
3 1761 07828932 9

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

II

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

KU CZCI

BOLESŁAWA ORZECHOWICZA

TOM II

Z 3 TABLICAMI I 1 RYCINĄ W TEKŚCIE



WE LWOWIE
NAKŁADEM TOWARZYSTWA DLA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ
Z FUNDUSZU BOLESŁAWA ORZECHOWICZA
1916

Z drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie
pod zarządem J. Filipowskiego.

SPIS RZECZY.

Z dziedziny prawa cywilnego.

Czy nabywca rzeczy wadliwej w rozumieniu § 922 nast. u. c. może domagać się jej naprawy z tytułu rękojmi?

Napisał

Roman Longchamps de Berier.

Jeżeli rzecz, będąca przedmiotem umowy odpłatnej, dotknięta jest wadą, a wadliwość ta może być usuniętą przez naprawę, powstaje kwestya, czy w razie istnienia innych warunków odpowiedzialności z tytułu rękojmi, uprawniony do jej żądania może się domagać naprawienia rzeczy. O ile chodzi o kontrakt najmu usług, a w szczególności o kontrakt o wykonanie dzieła, istnienie takiego roszczenia z tytułu rękojmi nie ulega wątpliwości wobec wyraźnego brzmienia § 1153 u. c. Przy kontrakcie najmu obowiązany jest najmodawca, już z tytułu swego obowiązku świadczenia na podstawie § 1096 u. c. nietylko oddać, ale i utrzymywać przedmiot najmu przez cały czas trwania najmu w stanie zdatnym do użytku i przedsiębrać potrzebne naprawy, tu więc równoległe roszczenie z tytułu rękojmi byłoby zbyteczne. Kwestya nasza ogranicza się zatem do pozostałych kontraktów odpłatnych, a w szczególności do kontraktów pozbycia (kupno-sprzedaż, zamiana, rozdział współwłasności, datio in solutum, kupno spadku itp.). W braku specyalnych postanowień dla tych kontraktów, któreby określały bliżej treść roszczeń z tytułu rękojmi, musimy znaleść odpowiedź w ogólnych przepisach, regulujących odpowiedzialność z tytułu rękojmi, a zawartych w §§ 922—933 u. c.

Rozciągłość roszczeń z tytułu rękojmi reguluje ustawa ex professo w § 932. Wedle tego przepisu uprawniony do żądania rękojmi może domagać się w razie, jeżeli wada czyni rzecz nieużyteczną i nie da się usunąć, rozwiązania umowy, jeżeli zaś brak n. p. co

do miary lub wagi może być uzupełniony, uzupełnienia tego, co brakuje, w obu wypadkach nadto dalszego odszkodowania, a jeżeli pozbywca działał w złej wierze, także zwrotu utraconego zysku.

Nauka panująca [1] przyznaje na podstawie tego paragrafu uprawnionemu do żądania rękojmi roszczenie o naprawę, jeżeli wada jest usuwalna. W tym celu powołuje się ona na ustęp: »jeżeli brak może być uzupełniony itd.« Gramatycznie odnoszą się te wyrazy ustawy jedynie do wypadku, gdy wada polega na braku ilościowym, który może być »uzupełniony« (nachgetragen) [2], jak wskazują użyte w ustawie przykłady: »co do miary lub wagi«. N. p. w kupionej hektolitrowej beczce wina brak kilku litrów, we worku mąki, oznaczonym jako cetnar, brak kilku kilogramów. Nauka panująca interpretuje powyższy ustęp § 932 u. c. rozszerzająco, rozumiejąc przez uzupełnienie braku także usunięcie wad innego rodzaju, niż braki ilościowe, drogą naprawy. Niektórzy idą konsekwentnie jeszcze dalej i powołując się na to, że »uzupełnienie« braku może nastąpić w pieniądzach, dopatrują się w tym ustępie § 932 u. c. uznania istnienia skargi quanti minoris w austryackiej ustawie cywilnej [3]. Oparcie skargi quanti minoris na § 932, t. j. pojmowanie jej jako jednej z form roszczenia »o uzupełnienie braku« wadą spowodowanego ma ten skutek, że w razie wygranej wzajemne świadczenie musi być obniżone o całą wartość uszkodzenia (wadliwości), tj. o tyle, o ile rzecz skutkiem wady jest objektywnie mniej warta niżby była warta w stanie nie wadliwym, gdyż tylko wtedy owo odszkodowanie pieniężne we formie upustu wzajemnego świadczenia spełni funkcyę uzupełnienia braku [4].

Przedstawiona wyżej, na rozszerzającej interpretacyi § 932 oparta nauka panująca nie wydaje mi się trafną.

Protokoły obrad nad projektem pierwotnym ustawy cywilnej nie dają wprawdzie pewnej wskazówki, zdają się jednak przema-

---

[1] Till, Austr. prawo pryw. III, § 328 uw. 7; Krasnopolski-Kafka, Lehrb. d. öst. privatr. III, str. 138; Eisner, Zur Lehre von der Gewährleistung w czasop. Grünhuta, T. 39, str. 644; Krainz-Ehrenzweig, System, II, wyd. 5, str. 132; Schey, Bericht der Kommission etc. 1912, str. 174.

[2] Uznaje to Schey l. c. str. 174.

[3] Zamiast innych Eisner, l. c. str. 661.

[4] Pfersche, Irrthumslehre, str. 123; Staub-Pisko, Kommentar z Allg. deut. Handelsgb. do art. 347, § 38; Dniestrzański, Das Wesen des Werklieferungsvertrages str. 168.

wiać za tem, że autorowie ustawy, mówiąc o uzupełnieniu braku, mieli tylko braki ilościowe na myśli, tj. takie, które przez dodanie czegoś do pierwotnego przedmiotu świadczenia mogą być usunięte. W projekcie pierwotnym (Kodeksie zachodnio-galicyjskim) brzmiało odnośne postanowienie jak następuje: »Kann das Fehlende z. B. an Maass, Zahl oder Gewicht nachgetragen werden, so ist dieser Nachtrag Ersatzes genug« (Cz. III, rozdz. V, § 155). Podczas obrad (Ofner II. str. 74) wiceprezydent von Haan zauważył, że słowo »ersetzen« ma dwojakie znaczenie: bądź oznacza, że w miejsce wadliwej rzeczy ma być daną rzecz dobra, bądź, że to, co brakuje, ma być dopełnione przez uzupełnienie i że jak wskazują podane przykłady, ustawa ma tu na myśli tylko to drugie znaczenie, pierwsze zaś jest stanowczo wykluczone. Na to wszyscy się zgodzili i w konsekwencyi słowa »Ersatz« jako dwuznacznego, w § 932 już nie spotykamy.

Aby uzyskać kryteryum do rozstrzygnięcia naszej kwestyi, musimy zwrócić uwagę na istotę rękojmi z powodu wad i braków, jej stosunek do obowiązku świadczenia i wynikające stąd zasady kształtowania się poszczególnych roszczeń z tytułu rękojmi. Panująca nauka wychodzi z zapatrywania, że kontraktowym obowiązkiem zobowiązanego z umowy odpłatnej jest zawsze świadczyć rzecz w stanie niewadliwym tak, iż odpowiedzialność z tytułu rękojmi za wady nie jest niczem innem, jak tylko rodzajem odpowiedzialności za niedopełnienie obowiązku świadczenia i różni się od odpowiedzialności z § 919 u. c. tem, że wchodzi w zastosowanie dopiero po przyjęciu wadliwego świadczenia przez wierzyciela [1]. Gdyby to zdanie było słuszne, wówczas rzeczywiście zgadzałoby się z istotą odpowiedzialności z tytułu rękojmi, by w wypadku, gdy usunięcie wady przez naprawę jest możliwe, zobowiązać pozbywcę także w drodze rękojmi do uskutecznienia tej naprawy, tj. do sprowadzenia tego stanu rzeczy, jaki w myśl umowy sprowadzić był obowiązany. Jednak wystarczy wskazać na wypadek, gdy pozbyta rzecz, indywidualnie oznaczona, dotknięta była wadą z § 922 u. c. już w chwili zawarcia umowy, aby udowodnić, że nie zawsze świadczenie niewadliwe jest obowiązkiem kontraktowym pozbywcy. Wedle

[1] Po. Till, IV § 394 uw. 6 in fine; Hasenöhrl, Öst. Oblr. wyd. III § 88, str. 403; Dniestrzański, l. c. str. 89 i 168; Pfersche, l. c. str. 124, 125, Staub-Pisko, l. c. do art. 347 § 46; Eisner, czasop. Grünhuta tom 39, str. 596; z modyfikacyami Spyra, O ewikcyi str. 5 i 8.

§ 1047 (1066) u. c. pozbywca czyni zadość swemu obowiązkowi świadczenia, jeżeli oddaje nabywcy rzecz w takim stanie, w jakim się znajdowała w chwili zawarcia umowy, a więc i z wadami, które już wówczas istniały. W tym wypadku pozbywca nie ma obowiązku świadczyć niewadliwie, a mimo to odpowiada za wady z tytułu rękojmi [1]. Odpowiedzialność z tytułu rękojmi nie jest zatem odpowiedzialnością za nienależyte dopełnienie obowiązku świadczenia, lecz, jak to wynika z ograniczenia tej odpowiedzialności do umów odpłatnych [2]; jest odpowiedzialnością za naruszenie, skutkiem wady, przyjętego w umowie przez strony kontraktujące stosunku ekwiwalentowego świadczeń. Nie chodzi tu o bezwzględny, objektywny stosunek ekwiwalentowy, o objektywną równoważność świadczeń [3], gdyż wolno stronom uznać za równoważne świadczenia, objektywnie różnej wartości, wolno im przepłacać, albo nabywać za tanio, robić dobre i złe transakcye. Istotnym dla umowy odpłatnej jest jedynie objektywnie, tj. przez zawarcie umowy na zewnątrz objawiony, zgodny sąd stron, że wzajemne świadczenia są ekwiwalentem. Ten sąd opiera się na uznaniu przez strony za równoważne przymiotów rzeczy, które bądź w umowie jako istniejące zostały wymienione, bądź z reguły są w obrocie domniemane (§ 922 u. c.). Jeżeli więc ustawa w braku takich przymiotów daje roszczenie z tytułu rękojmi, występuje w obronie utrzymania w mocy ustalonego w umowie stosunku ekwiwalentowego świadczeń. Cel ten, tj. utrzymanie tego stosunku w mocy, powinien być osiągnięty na drodze jak najprostszej, najmniej uciążliwej dla zobowiązanego, który z tytułu rękojmi odpowiada bez względu na to czy zawinił, czy nie [4].

Ponieważ przyjęty w umowie stosunek ekwiwalentowy naru-

[1] Dla prawa niemieckiego podnosi to słusznie Schollmeyer, Erfüllungspflicht und Gewährleistung für Fehler beim Kaufe w Iheringa Jahrb. f. Dogmatik Tom 49 (nowa serya tom 13) 1905 str. 93 nast.

[2] Znaczenie tej okoliczności dla pojęcia rękojmi podnosi trafnie Gutman w czasop. prawn. i ekonom. r. XI str. 274.

[3] Taką objektywną równoważność świadczeń zdaje się mieć na myśli Gutman l. c. str. 274.

[4] Inaczej ma się rzecz przy odpowiedzialności z § 1295 nast. u. c., gdzie wzgląd, jaki ze sposobów wynagrodzenia szkody jest dla zobowiązanego mniej uciążliwym, nie odgrywa roli. Por. § 1323. Tendencya możliwie względnego traktowania zobowiązanego z tytułu rękojmi przebija też z § 933 (krótszy termin przedawnienia).

szony został skutkiem ubytku w przymiotach po stronie jednego świadczenia, przeto najprostszym sposobem przywrócenia przyjętego w umowie stosunku ekwiwalentowego. a zarazem najmniej uciążliwem dla zobowiązanego jest stosunkowe umniejszenie wzajemnego świadczenia. To świadczenie wzajemne powinno być zniżone do takiej kwoty, która do pierwotnie umówionej kwoty stoi w takim samym stosunku, w jakim stoi wartość rzeczy wadliwej do wartości tej rzeczy w stanie niewadliwym (t. zw. względny sposób obliczenia, § 472 niem. k. c.). albo, innemi słowy, do takiej kwoty, którą nabywca, sądząc po brzmieniu kontraktu, byłby dał, gdyby przy jego zawarciu wadę uwzględnił (artykuł 1641 Cod. Nap.; Cz. III. Roz. IX, § XIII nr. 385 Cod. Teres.)[1]. Ustawa cywilna nie zawiera wyraźnego uznania skargi quanti minoris. Jednak jak z powyższego przedstawienia wynika, jest ona tak istotną formą odpowiedzialności z tytułu rękojmi z powodu wad i braków, że już samo ustanowienie tej odpowiedzialności zawiera w sobie dostateczną prawną podstawę tej skargi. Ustawa cywilna ustanawia odpowiedzialność z tytułu rękojmi w §§ 922 i 923, zwłaszcza w słowach »hat dafür (scil. za naruszenie przez wadliwość rzeczy stosunku ekwiwalentowego świadczeń) zu haften«. W § 923 musimy zatem upatrywać zarazem uznanie istnienia skargi quanti minoris. Ma to ten dodatni skutek, że w takim razie nietylko możemy, ale musimy stosować względny sposób obliczenia, podczas gdy teorya panująca, opierając tę skargę na § 932 u. c., zastosowania tego sposobu obliczenia, sprzecznego z pojęciem »uzupełnienia braku«, uzasadnić nie może.

Jeżeli przywrócenie naruszonego stosunku ekwiwalentowego świadczeń do przyjętej w umowie normy nie da się uskutecznić przez stosunkowe zniżenie wzajemnego świadczenia [2], mianowicie, gdy wada czyni rzecz całkiem nieużyteczną tak, iż nabywca byłby jej wcale nie nabył, gdyby wadę przedtem znał, nie pozostaje z reguły nic innego, jak kontrakt znieść i w ten radykalny sposób strony od szkody, wynikającej z naruszenia stosunku ekwiwalentowego, uchronić (§§ 932, 1117, 1153 u. c.). Przy kontraktach pozbycia stawia ustawa jako warunek roszczenia o rozwiązanie kontraktu, by wada

[1] Także w późniejszem klasycznem prawie rzymskiem ten sposób obliczenia był właściwy. Por. Haymann, Haftung des Verkäufers für die Beschaffenheit der Ware. 1912, str. 60.

[2] Przy kontraktach zamiany przez odpowiednią dopłatę w pieniądzach.

była nieusuwalną. Stanowisko słuszne z punktu widzenia ustawy, która o ile możności pragnie kontrakty utrzymać w mocy (Por. §§ 914, 919 u. c.). Jeżeli bowiem wada jest usuwalna, przedmiot, choć na razie bezużyteczny, nie jest dla nabywcy bez wartości i wyrównanie może nastąpić przez stosowny upust w cenie kupna, a uzyskaną w ten sposób kwotę może nabywca użyć na naprawę, Przy kontrakcie o wykonanie dzieła ustawa odstępuje od wymogu nieusuwalności wady i daje zamawiającemu prawo wyboru między rozwiązaniem kontraktu a innemi roszczeniami z tytułu rękojmi. Jestto postanowienie wyjątkowe, podyktowane względami na specyalną naturę tego kontraktu i koniecznością silniejszego zabezpieczenia zamawiającego przed zawodem ze strony robotnika.

Opisane wyżej dwa sposoby odszkodowania za naruszenie stosunku ekwiwalentowego świadczeń, tj. stosunkowe zniżenie wzajemnego świadczenia i rozwiązanie umowy, są istotne i normalne. Natomiast naprawa rzeczy przez pozbywającego jest wprawdzie także środkiem przywrócenia wyrażonego w umowie stosunku ekwiwalentowego, jednak środkiem z reguły uciążliwszym dla pozbywającego, niż zniżenie odpłaty lub rozwiązanie umowy. Dla kupca, który nie ma własnych warsztatów, taka naprawa pozbytych przedmiotów może być bardzo kłopotliwa i przynieść mu znaczne straty. Należy przecież uwzględnić, że kupiec, sprzedający swe towary, z reguły nie chce się przez to zobowiązywać i nie zobowiązuje się do żadnych robót około tych przedmiotów. Element wykonywania jakichkolwiek prac, robót około przedmiotu pozbycia nie leży, krom specyalnej ubocznej umowy, w naturze kontraktu kupna lub zamiany, jest sprzeczny z duchem i celem tych kontraktów, zastosowany do odpowiedzialności z tytułu rękojmi jest czemś, z zewnątrz narzuconem, obcem, wyjątkowem. Ostatecznie ustawa mogłaby taki wyjątek ustanowić, ale na to trzeba jej wyraźnego przepisu. Wszak odnośnie do kontraktu najmu usług, przy którym wykonywanie roboty jest istotnym elementem umowy i naprawa dzieła z reguły będzie dla robotnika łatwiejszą i bardziej pożądaną, niż upust na wynagrodzeniu, przecież ustawa uważała za stosowne wyraźnie postanowić, że tej naprawy zamiast upustu można żądać w drodze rękojmi (§ 1153 u. c.). Czyż wobec tego brak takiego wyraźnego przepisu w odniesieniu do kontraktów, które elementu pracy nie zawierają, nie przemawia przeciw istnieniu ogólnego roszczenia z tytułu rękojmi o naprawę?

W odniesieniu do kontraktów, nie zawierających elementu pracy, znajdujemy w ustawie jedynie wyjątkowe postanowienie o usuwaniu braków ilościowych. Ustawa tworzy tu wyjątek na rzecz uzupełnienia braku w naturze, wychodząc słusznie z założenia, że specyalnie przy brakach ilościowych ten sposób przywrócenia ustalonego w umowie stosunku ekwiwalentowego jako niewymagający żadnych robót około przedmiotu umowy będzie najprostszym i dla pozbywcy najmniej uciążliwym. Jako postanowienie wyjątkowe powinno być ono jednak ścieśniająco interpretowane i dlatego także z tego względu interpretacyę panującą uważam za niedopuszczalną.

Z przytoczonych wyżej względów sądzę, że u. c. zasadniczo zna tylko dwie formy roszczeń z tytułu rękojmi: [1] stosunkowe zniżenie wzajemnego świadczenia, względnie odpowiednią dopłatę przy zamianie, § 923 oraz w wypadku, gdy wada jest nieusuwalna i czyni rzecz nieużyteczną, rozwiązanie kontraktu, § 932 zd. 1. Wyjątkowo jeżeli wadliwość polega na braku ilościowym, można żądać uzupełnienia in natura, § 932 zd. 2. Roszczenie o usunięcie wady przez naprawę jest uzasadnione tylko przy kontrakcie o wykonanie dzieła, § 1153 [2].

Stanowisko, zajęte przezemnie w sprawie roszczenia o naprawę rzeczy, znajduje poparcie w najnowszej judykaturze. W orzeczeniu z dnia 4 stycznia 1913 Rv. II 1297 Ewidenzblatt z lipca 1913 wypowiada Najwyższy Trybunał zapatrywanie, że roszczenie o uzupełnienie braku (Nachlieferung) można podnosić tylko przy brakach ilościowych, a żądanie naprawy (usunięcia wady w budowie kupionego domu) nie jest wedle § 932 u. c. dopuszczalne [3].

Roszczenia o naprawę, jako normalnego roszczenia z tytułu rękojmi przy wadach usuwalnych, nie zna ani Kodeks Napoleona, ani Niemiecki Kodeks cywilny, ani Szwajcarskie prawo obligacyjne, ani projekty: Węgierski i Rosyjski. Kodeks niemiecki, Szwajc. prawo obl. oraz projekty: Węgierski i Rosyjski nadają to roszczenie uprawnionemu tylko przy kontraktach o wykonanie dzieła i to pod warunkiem, by naprawa nie spowodowała dla robotnika nadmiernych

[1] Uzupełniające roszczenie o zwrot tz. dalszej szkody z § 932 u. c. in fine pozostawiam na uboczu, jako dla naszej kwestyi obojętne.

[2] Oczywiście strony i w innych wypadkach mogą się zgodzić na to, że zamiast zniżenia ceny kupna nastąpi usunięcie wady przez naprawę.

[4] Por. też orzeczenie G. U. 1148.

wydatków (§ 633 niem. k. c., art. 368 Szwajc. pr. obl., projekt ros. ks. V nr. 451, projekt węg. § 1627). Z dawniejszych ustaw roszczenie o naprawę rzeczy jako normalne roszczenie z tytułu rękojmi znał Landrecht pruski (I, tyt. V, § 325), wynikało to jednak z wyrażonego w tym kodeksie zasadniczego zapatrywania, że obowiązkiem kontraktowym pozbywcy jest zawsze świadczyć niewadliwie, ze wszystkimi umówionymi lub dorozumiewanymi przymiotami (I, tyt. XI, § 192 i 193). Kodeks austr. tej teoretycznie mylnej zasady nie przyjął (§ 1047), zaczem i powoływanie się na Landrecht pruski, celem uzasadnienia roszczenia o naprawę w prawie austryackiem jest niedopuszczalne.

W projekcie noweli do ust. c., uchwalonym przez komisyę prawniczą Izby Panów (a także już i przez Izbę Panów), znajdujemy w § 192, zawierającym nowe sformułowanie obecnego § 932, wyraźne postanowienie, że przy wadach usuwalnych można żądać w drodze rękojmi naprawy rzeczy. Komisya prawnicza uczyniła to nie w zamiarze wprowadzenia do ustawy czegoś nowego, lecz jedynie celem położenia kresu wszelkim wątpliwościom co do znaczenia obecnego § 932, przez wyraźne sformułowanie go w duchu interpretacyi panującej [1]. Ponieważ intepretacya ta, jak starałem się wyżej wykazać, ani w brzmieniu i historyi ustawy nie znajduje poparcia, ani teoretycznie nie da się uzasadnić, przeto i projekt noweli uważam w tym punkcie za chybiony. Do argumentów, jakie powyżej przeciw uznaniu roszczenia o naprawę jako normalnego roszczenia z tytułu rękojmi przy kontraktach pozbycia przytoczyłem, przybywa jeszcze jeden, zaczerpnięty z samejże noweli. Oto w § 1153 (1167 proj. kom. z r. 1912) umieściła komisya prawnicza za przykładem nowszych obcych ustawodawstw i projektów zastrzeżenie, że naprawy wadliwego dzieła można domagać się o tyle, o ile ona nie spowoduje dla zobowiązanego nadmiernego wydatku. W § 192 projektu tego zastrzeżenia nie znajdujemy, bo rozszerzająca interpretacya § 932 nie dawała do niego podstawy. Wskutek tego nastąpił dziwny conajmniej rezultat: przy kontraktach pozbycia, z których pozbywca nie chce być i nie jest zobowiązany do żadnych robót około przedmiotu pozbycia, mógłby nabywca w razie wadliwości domagać się w drodze rękojmi naprawy bez względu na to, czy nie spowoduje ona dla pozbywcy zbyt wysokich kosztów

[1] Schey, Bericht der Komm. str 174.

a natomiast musiałby uwzględnić tę ostatnią okoliczność przy kontrakcie o wykonanie dzieła, który przecież w pierwszym rzędzie zobowiązuje robotnika do niewadliwego wykonania dzieła. Czyż nie wymagałaby konsekwencya prawnicza, by przy kontraktach pozbycia wykluczyć zasadniczo z dziedziny rękojmi roszczenie o naprawę, jeżeli przy kontrakcie o wykonanie dzieła jest ono tylko warunkowo dopuszczone? Autorowie projektu noweli zapewne nie spostrzegli się, że ustawodawstwa i projekty zagraniczne, za których przykładem wprowadzają do § 1153 u. c. (1167 proj. kom.) wspomniane wyżej ograniczenie prawa żądania naprawy wadliwego dzieła, nie znają wcale roszczenia o naprawę przy kontraktach pozbycia. Ograniczenie prawa żądania naprawy wadliwego dzieła ze względu na interes zobowiązanego jest słuszne i powinno było znaleść miejsce w noweli do ustawy cywilnej; tem bardziej jednak należało bądź wprowadzić to ograniczenie także do § 932 u. c. (§ 192 proj. kom.), bądź pozostawić § 932 u. c. pod względem omawianej przez nas kwestyi nietkniętym i w ten sposób umożliwić nauce na przyszłość interpretacyę zgodną z duchem ustawy, istotą rekojmi i konsekwentną polityką prawniczą.

Zarys rozwoju wersyfikacyi polskiej.

Napisał

Jan Łoś.

Jedną z cech mowy ludzkiej jest jej rytmiczność, polegająca na stałej podczas mówienia kolejności następujących po sobie a wyraźnie wyróżnianych uchem momentów głosowych. Taki prosty moment rytmiczny w językach europejskich stanowi zgłoska. W językach nowożytnych, a więc i w polskim, wszystkie zgłoski bez względu na ich skład są równomiernymi momentami rytmicznymi, czyli za równomierne najprostsze elementy rytmiczne w świadomości mówiących są poczytywane. W starożytnym, klasycznym języku greckim rozróżniano jeszcze zasadniczo zgłoski krótkie i długie, więc tutaj z zasadą rytmiczności łączyła się też zasada metryki, prozodyi, iloczasu, podobnie, jak to ma miejsce w muzyce, gdzie np. półnuta ma tę samą wartość, co dwie ćwiartki.

Pozostawiając na stronie metrykę, jako zupełnie obcą naszemu językowi, ograniczymy się wyłącznie do rozbioru zagadnień rytmicznych.

Oddzielne momenty rytmiczne w każdej mowie łączą się w grupy rytmiczne przedewszystkiem pod wpływem akcentów, a to w ten sposób, że z momentem rytmicznym wiążą się ściślej inne momenty, słabiej akcentowane. Tak więc np. wyraz wielozgłoskowy tworzy grupę rytmiczną, zjednoczoną przez jeden silniejszy od innych akcent. Wyraz stanowi grupę rytmiczną nie wskutek swego wyodrębnienia z pośród innych wyrazów dzięki znaczeniu lub właściwościom morfologicznym, ale tylko wskutek właściwości akcentowych. Dlatego też z jednej strony wyraz może stanowić pewną jednostkę rytmiczną jedno-, dwu-, trzy- lub więcej- zgłoskową, a z drugiej, o ile nie nosi na sobie silniejszego akcentu, może

wcale nie stanowić osobnej grupy rytmicznej, lecz tylko wchodzić w skład grupy, np. p r z y d w o r z e , m o g l i b y ś m y s i ę z a s t a n o w i ć .

W grupie rytmicznej nie wszystkie zgłoski, zgrupowane koło zgłoski najsilniej akcentowanej, noszą na sobie równe poboczne akcenty, z tych bowiem ostatnich mogą być jedne silniejsze od innych. Najsłabiej są akcentowane zgłoski, bezpośrednio sąsiadujące ze zgłoską najsilniej akcentowaną, np. p r z y- i -r z e w p r z y d w o r z e; poboczny silniejszy akcent zachodzi w zgłoskach, oddzielonych jedną, lub dwiema zgłoskami od zgłoski z akcentem głównym.

Oprócz tej akcentowej zasady grupowania momentów rytmicznych istnieje inny jeszcze czynnik, mający znaczenie. Zarówno ze względu na fizyologiczne właściwości naszego oddychania, jakoteż i z powodów rozczłonkowywania naszych myśli, nie mówimy ciągle jednostajnie, lecz momenty mówienia przerywamy pauzami, przyczem pauzy te najczęściej zaznaczamy bardziej lub mniej wyrazistemi zmianami tonacyi głosu. Nietylko tam, gdzie w piśmie stawiamy wykrzyknik lub pytajnik, zachodzi zmiana tonacyi, ale postrzegamy ją w mowie i tam, gdzie w piśmie stawiamy przecinek, średnik, dwukropek lub kropkę.

Ponadto jeszcze grupy momentów rytmicznych, zawarte między pauzami i odróżniające się rozmaitemi falowaniami tonacyi, jednoczą się ściślej, każda w swoich granicach, znowu przez jeden wydatniejszy od innych akcent, który w gramatykach nosi nazwę akcentu zdaniowego, a tu raczej nazwać by go trzeba akcentem, jednoczącym większe grupy, czyli związki grup momentów rytmicznych.

Na tych głównych zasadach opiera się rytmika prozy. Polega więc ona głównie na następstwie niejednakowo grupowanych momentów rytmicznych, łączących się dalej w swobodne pod względem budowy obszerniejsze związki. W prozie przeto mamy nieregularne następstwo akcentów różnej siły, a także tonacyj i pauz; słowem panuje tu swoboda w grupowaniu elementów rytmicznych.

Pod względem rytmicznym proza nie różni się zasadniczo od mowy naszej codziennej, zwykłej, gdzie nam nie chodzi ani o celowe urozmaicenie rytmiki, ani w ogólności o cechy artystyczne, ale wypowiadamy wyrazy w kolejności niejako naturalnej, odpowiadającej biegowi naszej myśli, czyli w kolejności nasuwających się

uwadze naszej pojęć lub wyobrażeń. Tutaj rozmaitość rytmiki zależy od rozmaitości w budowie wyrazów krótszych lub dłuższych, mających parzystą lub nieparzystą liczbę zgłosek, od swobodnego ich łączenia z sobą w krótsze lub dłuższe zdania, ściślej lub mniej ściśle wiążących się z sobą. Proza naukowa, czy też literacka, jest naśladownictwem takiej mowy naturalnej.

Obok prozy jednak tworzymy wiersze, a istotą wiersza jest jednostajne powtarzanie pewnych grup lub związków grup rytmicznych. Stopień tej jednostajności bywa różny, ale gdzie tylko są wiersze. tam pewna jednostajność rytmiczna zachodzić musi. Polega ona przedewszystkiem na tem, że pewien związek grup rytmicznych, postrzegany jako względna całość, zawiera pewną ilość prostych elementów rytmicznych, czyli zgłosek, i następujące potem kolejno takież same związki grup rytmicznych mają taką samą lub choćby prawie taką samą ilość zgłosek. Wtedy już takie związki grup rytmicznych nazywamy wierszami.

Wiersze te, o ile nie mają zupełnie jednakowej liczby zgłosek, lecz liczba ta w nich się nieregularnie waha, nie są w ścisłem tego słowa znaczeniu rytmicznymi, lecz tylko niby-rytmicznymi czyli rytmoidycznymi. Wiersze więc rytmoidyczne są niejako przejściem od prozy do wierszy istotnie rytmicznych, choć pomiędzy niemi a prozą zachodzi bardziej uderzająca różnica. niż między niemi a wierszami rytmicznymi. Bądź co bądź bowiem i w wierszach rytmoidycznych najczęściej bywa jednakowa liczba głównych akcentów, które też mniej więcej jednakowo są tu rozłożone.

Wiersze rytmoidyczne zresztą bardziej zbliżają się do prozy. gdy są wierszami tak zwanymi zdaniowymi. Znajdujemy je u różnych narodów, stojących na nizkim stopniu rozwoju; chodzi w nich tylko o to, aby pojedyncze zdania, lub wyrażenia. następujące po sobie, pod względem liczebności zgłosek nie zanadto się między sobą różniły, choć różnice te wynoszą nieraz kilka zgłosek. Takie wiersze zdaniowe, śpiewane lub recytowane przy muzyce, przez przedłużanie lub skracanie zgłosek rozciągają się lub kurczą stosownie do potrzeby i w ten sposób w głośnej reprodukcyi znacznie się ujednostajniają.

Stopnie rytmiczności wierszy też bywają różne: minimum warunków, przy których rytmiczność jest już dostateczna, polega na tem, ażeby każdy wiersz był istotnym związkiem grup rytmicznych, a przeto musi on mieć nietylko pewną ilość zgłosek, ale też i jeden

akcent główny. Otóż wiersze jednostajnie rytmiczne mają jednakową liczbę zgłosek i jednakowo umiejscowiony akcent główny w końcowej części wiersza. Wiersze polskie mają takie umiejscowienie normalnie na zgłosce przedostatniej wiersza (w wierszach żeńskich), lub na zgłosce ostatniej (w wierszach męskich, rzadziej używanych).

Pod względem umiejscowienia akcentu głównego w związku grup rytmicznych proza też się zbliża do wiersza, bo chociaż w niej wybór miejsca dla głównego akcentu bywa swobodniejszy, to jednak i tu wyrazy szczególnie ważne, na które też pada główny akcent, przekładamy często na koniec zdania, czyli na koniec związku grup rytmicznych, bezpośrednio przed pauzę przestankową; odpowiednio więc do natury akcentu polskiego związki grup rytmicznych często w prozie kończą się jednakowo, silnymi spadkami akcentowymi, mianowicie żeńskimi, rzadko męskimi.

Wiersz jednak ma pewne ograniczenia, których nie zna proza. Ponieważ w wierszach muszą się jednostajnie powtarzać podobne do siebie związki grup rytmicznych, przeto każdy taki związek musi być łatwy do pochwycenia uchem jako pewna całość; innemi słowy nie może zawierać w sobie zbyt wielkiej ilości zgłosek. Badanie wierszy polskich w ich historycznym rozwoju stwierdza, że związek grup rytmicznych, czyli wiersz, jako całość rytmiczna, może zawierać nie więcej, jak 8 zgłosek, czyli że wiersze, liczące po 8 lub mniej zgłosek i mające umiejscowiony główny akcent na zgłosce np. przedostatniej, za jednostajnie rytmiczne były i są uważane.

Natomiast wiersze, liczące od 10 do 16 zgłosek, o ile mają być do siebie rytmicznie podobne, muszą się dzielić każdy na dwa związki grup rytmicznych, z których każdy ma stałą liczbę zgłosek; a więc n. p. $10 = 4 + 6$, $11 = 5 + 6$ i t. d. Tym sposobem wiersze np. 10 zgłoskowe, z których jeden dzieli się na $4 + 6$, drugi na $5 + 5$, trzeci na $6 + 4$, nie są podobnymi pod względem rytmicznym.

Stała granica między pierwszym takim związkiem grup rytmicznych w wierszu a drugim nazywa się średniówką. Jej właściwością w wersyfikacyi polskiej jest to, że wypada ona po końcu wyrazu. Tak więc wiersze, liczące po 10 do 16 zgłosek, mają normalnie po jednej średniówce, wypadającej stale z końcem wyrazu po pewnej określonej liczbie zgłosek.

Jeżeli wiersz ma więcej, niż 16 zgłosek, w takim razie jedna

średniówka mu nie wystarcza, gdyż każdy związek grup rytmicznych, czyli każdy człon wiersza, nie może liczyć ponad 8 zgłosek; więc np. wiersz 19-zgłoskowy ma dwie średniówki np. 6 + 7 + 6. W literaturze polskiej jednak już wiersz 14 zgłoskowy ukazuje się rzadko, a tem rzadziej wiersze jeszcze dłuższe.

W tym wykazie wierszy opuściliśmy wiersz 9 zgłoskowy, gdyż ten trafia się u różnych pisarzy i w różnych okresach czasu w charakterze zmiennym: są utwory, w których dzieli się on stałą średniówką np. na 5 + 4, albo gdzieindziej znów na 4 + 5, ale zdarza się też, że wierszom 9 zgłoskowym, mającym być równorytmicznymi, brak stałej średniówki.

Średniówka dzieli wiersze na oddzielne człony, z których każdy stanowi pewien związek grup rytmicznych, stale się powtarzający. Te człony wierszowe mogą mieć jednakową liczbę zgłosek, t. j. być izorytmicznymi (np. 10 = 5 + 5, 12 = 6 + 6, 14 = 7 + 7, 16 = 8 + 8, albo też być różnorytmicznymi (np. 10 = 4 + 6, 11 = 5 + 6, 12 = 7 + 5 i t. d.), ale też wtedy muszą się powtarzać w kolejności niezmiennej; wiersze jednakże, złożone z takich jednostajnie różnorytmicznych członów, nazywamy izorytmicznymi czyli równorytmicznymi.

Człony wiersza okazują przez długi przeciąg wieków pewną różnicę w ustroju, objawiającą się nierzadko nawet w dzisiejszych wierszach: mianowicie człon pierwszy, przedśredniówkowy, jest zbudowany swobodniej, niż drugi, przez to, że niema on ustalonego głównego akcentu. Innemi słowy normalnie rzadziej bywa ujednostajniony akcentowy spadek głosu przed średniówką, niż w końcu drugiego członu wierszowego, czyli w końcu wiersza.

Średniówki nie możemy uznać za pauzę śródwierszową, gdyż przy czytaniu wierszy najczęściej nie czynimy przestanku pomiędzy pierwszym a drugim członem wiersza. Nie możemy też orzec, że jest ona granicą ujednostajnionego spadku głosowego wewnątrz wiersza, ponieważ to ujednostajnienie koniecznem nie jest i dziś jeszcze, a tem bardziej nie bywało go w czasach dawniejszych aż do w. XVIII. Średniówka może niegdyś istotnie była śródwierszową pauzą, na co jednak nie mamy historycznego dowodu; owszem Marcin Bielski, pisząc o sposobie czytania swoich wierszy, nie wspomina nic o średniówce, jakkolwiek w praktyce rzadko tylko jej nie zachowuje; a nie mógłby jej milczeniem pominąć, gdyby czytelnik zawieszał głos w środku wiersza. Średniówka więc jest tylko

stałem w podobnych do siebie wierszach miejscem, w którem zawieszenie głosu jest możliwe; jest to moment nie pauzy rzeczywistej, ale raczej wyimaginowanej, moment taki sam, jaki zachodzi wówczas, kiedy, słuchając bicia zegaru, równomierne uderzenia młotka o dzwon bez przyczyny realnej w duchu rozkładamy na wyosobnione grupy rytmiczne, jednocząc je pod wyimaginowanymi tylko akcentami głównymi i dzieląc od siebie również wyimaginowanemi pauzami, czyli średniówkami.

Również i pomiędzy końcem wiersza jednego a początkiem drugiego bynajmniej nie zawsze wypada przestanek; przeciwnie, przy tak zw. enjambement, t. j. przeniesieniu ostatniego wyrazu zdania na początek wiersza następnego, zawieszenie głosu następuje dopiero po wymówieniu tego przeniesionego wyrazu. Tak więc granica międzywierszowa jest podobna do średniówki, czyli do granicy między członami wiersza, oddawna jednakże jest ona silniej od tamtej uwydatniona przez częstsze już nawet w średniowieczu, a prawie bezwyjątkowe dziś ujednostajnienie spadków głosowych, dalej przez rymy, które stają się zjawiskiem normalnem w wersyfikacyi polskiej od najdawniejszych czasów historycznych, wreszcie przez to, że oddawna często z końcem wiersza wypadał koniec zdania.

Tak więc należy ściśle odróżniać to, co nazywamy średniówkami śródwierszowemi i to, co moglibyśmy nazwać średniówkami międzywierszowemi, od pauz logicznych, czyli składniowych, oznaczanych w piśmie znakami przestankowymi. Te pauzy mogą wypadać na miejscach średniówek, ale bynajmniej niekoniecznie. W historyi wiersza znajdujemy okresy, w których dążono do tego, aby wszelkie średniówki, a zwłaszcza międzywierszowe, uwydatniać przez pauzy zdaniowe (logiczne, składniowe), gdy w innych okresach tego właśnie unikano. Rozmieszczenie pauz zdaniowych w wierszu nie wpływa na jego charakter rytmiczny, o ile istotne cechy średniówek są w nim zachowane. Natomiast w prozie miejsce średniówek wierszowych zajmują właściwe pauzy zdaniowe, a miejsce akcentów rytmicznych — akcenty logiczne. To też aktorzy, grający w komedyach, wierszem pisanych, a pragnący dyalogowi nadać cechy — według ich zdania — rozmowy naturalnej, zacierają wiersze w swej interpretacyi przez to, że nietylko szybko przechodzą od wiersza do wiersza, ale także i rugują akcentowanie rytmiczne, uwydatniając wyłącznie tylko pauzy i akcenty logiczne. Niekiedy udaje im się ta

»sztuka« i sprawiają istotnie wrażenie, jakby mówili »naturalnie«. t. j. prozą.

Z tego, cośmy dotychczas o rytmice językowej powiedzieli, wypływa. że zarówno w prozie, jak i w wierszach, znajdują się pierwiastki jednostajności rytmicznej i pierwiastki rozmaitości rytmicznej. W prozie np. pierwszy z tych pierwiastków wyraża się w jednakowej wartości zgłosek. a natomiast w najbardziej nawet ujednostajnionych wierszach, dzielących się na jednakowo i stale powtarzane najprostsze grupy rytmiczne, pierwiastek rozmaitości rytmicznej polega na niejednakowej sile akcentów zgłoskowych w każdej grupie rytmicznej. Do tego dodać należy rozmaitość muzykalną, wyrażającą się w zmiennej i nieustalonej kolejności różnie zabarwionych tonów różnie brzmiących samogłosek, w falowaniu tonacyj, tworzącem istotną melodyjność mowy, wreszcie w rozmaitości trwania pauz. Mowa polska ma dość obszerną skalę zarówno wznoszenia się i opadania tonów, jakoteż wzmacniania i przytłumiania akcentów (przycisków głosowych).

W prozie stanowczo przeważają pierwiastki rozmaitości rytmicznej nad pierwiastkami jednostajności rytmicznej. W wierszach ten stosunek jednych pierwiastków do drugich jest bardzo rozmaity: wiersz tak zw. wolny stoi najbliżej do rytmu prozy; wiersz, dzielony na jednostajne równe 3, 4 lub 5 zgłoskowe cząstki ze stałemi średniówkami, ma najwyższy stopień jednostajności, najbardziej budową swoją zbliża się do budowy utworu muzycznego według systemu mensuralnego, który polega na równości taktów; jeżeli i rozłożenie akcentów jest w takim wierszu ujednostajnione, otrzymuje się wtedy najwyższy stopień analogii między wierszem a frazesem czysto muzycznym. Wiersz wolny, używany już w średniowieczu (por. »Te Deum laudamus«), mógł być śpiewany według zasad muzyki niemensuralnej, zasadzającej się jedynie na zmianach melodyi i na zaznaczaniu końca frazesu muzycznego przez pewne melodyjne typowe zakończenia: jest to tak zw. »śpiew płaski«, »cantus planus«.

W rozwoju techniki wiersza rozróżniamy więc dwa główne kierunki na gruncie rytmiki: dążenie do ujednostajnienia grup rytmicznych oraz ich związków, i dążenie przeciwne — do wprowadzania pierwiastków, urozmaicających jednostajność rytmiczną. Poza tem na historyę rozwoju techniki wiersza składają się jeszcze inne

momenty: rozwój rymów i dążenie do najdoskonalszego zużytkowania muzykalnych pierwiastków mowy: do efektów, polegających na grupowaniu różnie zabarwionych tonów, do urozmaicenia skali tonów według ich wysokości i siły, do rozmieszczania pauz zdaniowych, które, choć nie zacierają jednostajności rytmu, nadają jednak mowie pewne piętno rozmaitości muzykalnej.

Niestety, najwięcej może wzbudzająca interesu kwestya istoty muzykalności wiersza uchyla się jeszcze dziś z pod ścisłej analizy. Oprócz najogólniejszych przypuszczeń nic o niej powiedzieć nie możemy, jakkolwiek przy czytaniu różnych utworów poetycznych wyraźnie odczuwamy różnicę w stopniu ich muzykalności. W historyi naszej wersyfikacyi po raz pierwszy muzykalność wierszy znajdujemy u Kochanowskiego; w niektórych jego utworach odróżniamy czuciem większą muzykalność jednych zwrotek, mniejszą innych; możemy nawet określić muzykalność wierszy Zaleskiego, jako prostą i zbyt jednostajną, niby melodyę jakiejś miłej piosenki, która szybko się osłucha, a natomiast muzykalność liry Słowackiego uznajemy za stojącą na znacznie wyższym poziomie, niemal równającym się poziomowi sonat lub symfonij. To odczuwamy, ale nie umiemy określić przyczyn tego, nie umiemy prostych pierwiastków tej muzykalności wyosobnić i uświadomić sobie. Nie umiemy nawet przeprowadzić ścisłej granicy między czystymi muzycznymi pierwiastkami wierszy a stylistycznemi ich cechami. co wydaje nam się jeszcze trudniejszem zadaniem. niż odgraniczenie cech stylistycznych od pierwiastków treściowych utworu. Wobec tego stanu rzeczy trudno przedstawić jakąś wytyczną linię rozwoju wierszy polskich pod względem muzyczno-melodyjnym i rozjaśnienie tej strony rzeczy trzeba zostawić przyszłości.

Przebieg rozwoju rymów polskich jest znacznie łatwiejszy do przedstawienia: w najogólniejszych zarysach jego linia idzie od mieszania rymów istotnych z asonansami i rymów żeńskich z męskimi; dalej przez stopniowe coraz częstsze unikanie asonansów (Rej, Bielski), przez zarzucenie zupełne rymów męskich od czasów Kochanowskiego. przez wprowadzenie zasady rymowania wyrazów z końcówkami podobnie brzmiącemi, choć różniącemi się w piśmie, przez wskrzeszenie rymów męskich w początkach wieku XIX, aż do postawienia zasady w tym samym czasie, że artyzm poety mierzy się między innemi także i pewną większą lub mniejszą, zależnie od treści utworu, wytwornością w dobieraniu rymów.

Bardziej skomplikowane są linie wytyczne historycznego kształtowania się typów rytmicznych, gdyż działają tu wyraźnie dążenia sprzeczne, których ostatecznemi celami są: możliwe urozmaicenie z jednej, oraz możliwe ujednostajnienie rytmu z drugiej strony. Wahają się okresy przewagi jednego lub drugiego z tych dwu czynników i walka ich nie odbywa się po jakiejś jednej linii rozwoju, lecz wynikiem jej stają się coraz liczniejsze, coraz rozmaitsze i bardziej rozbieżne typy, z których prawie każdy wcześniej lub później wywalcza dla siebie grunt stały w poetyckiej dziedzinie twórczości. Wszystkie jednak te typy dadzą się sprowadzić do trzech grup, z których pierwszą możnaby nazwać grupą typów pośrednich, tradycyjnych, konserwatywnych, zrównoważonych. czyli właściwie takich, gdzie czynniki ujednostajniające rytm występują obok czynników urozmaicających go w ten sposób, że jedne drugich stanowczo nie przytłumiają. Dwie inne grupy składają się z typów bardziej skrajnych: w jednej stanowczo przeważa pierwiastek jednostajności, w drugiej zaś, przeciwnie — pierwiastek rozmaitości; w jednej bierze górę wpływ postronny muzyki, w drugiej zaś objawia się wpływ falowania uczuć poety. Stosownie do tego podziału przedstawimy tu ogólny zarys rozwoju tych trzech zasadniczych typów: pośredniego, ujednostajnionego i zmiennego.

Typ pośredni, najpospolitszy, wytworzył się u nas na gruncie naśladownictwa średniowiecznych wzorów łacińsko-kościelnych, w których granice ujednostajniania i urozmaicania rytmu były dość ściśle określone. W budowie pojedyńczych wierszy trzymano się zasady, że bezśredniówkowymi mogły być nie dłuższe, jak liczące 8 zgłosek; inne miały stałą średniówkę. W wierszach bezśredniówkowych było jedno miejsce, w średniówkowych także jedno lub dwa miejsca stałego akcentu głównego. Tym sposobem w utworach, jednakowymi bezśredniówkowymi wierszami pisanych, pierwiastek urozmaicania rytmu polegał na swobodnem rozłożeniu w każdym wierszu akcentów pobocznych.

Wiersze średniówkowe pod względem stopnia jednostajności rytmu nie różniły się od bezśredniówkowych tylko wtenczas, kiedy ich człony były izorytmiczne; natomiast większą przedstawiały rozmaitość rytmu, kiedy z członów różnorytmicznych się składały, każdy bowiem ich człon inne rytmiczne wrażenie wywoływał w uchu

słuchacza. Ale zarazem też tutaj występował i pierwiastek ujednostajniający, który objawiał się w peryodycznem powtarzaniu obu członów wiersza w porządku stałym, niezmiennym.

Jeżeli wiersz bezśredniówkowy oznaczymy przez *a* i tak samo każdy z członów izorytmicznych wiersza średniówkowego, to kolejność rytmów, powtarzających się w utworze, pisanym takimi czy to bezśredniówkowymi, czy też średniówkowymi wierszami, wyrazi się przez *a a a a*... Gdy zaś oznaczymy człony różnorytmiczne wiersza średniówkowego przez *a* i *b*, to takaż kolejność rytmów wyrazi się przez: *a b*, *a b*, *a b*... Gdy się wiążą z sobą dwa różne wiersze średniówkowe, już peryod niezmiennego powtarzania się związków rytmicznych będzie: *a b c d*, *a b c d*... i w ten sposób także dalej można rozmaicie kombinować peryody tych związków czyli zwrotki, wprowadzając obok peryodycznej jednostajności także różnorodność rytmiczną w każdej zwrotce. Ta rozmaitość i jednostajność wzmacnia się także innymi środkami, a mianowicie głównie przez rozłożenie rymów, które mogą być końcowymi parzystymi lub przeplatanymi, albo też śródwierszowymi (kiedy rymują z sobą człony wiersza) i t. d. Wreszcie zrzadka kombinowano także zwrotki, różniące się budową, a mimo to mające pewne charakterystyczne cechy wspólne.

Smak artystyczny średniowieczny wyrażał się w takiem kombinowaniu czynników ujednostajniających i urozmaicających rytmikę wierszy w utworze; było tu pole do zastosowywania różnych środków prostych lub skomplikowanych, powstawały przeto utwory, formalnie nieraz bardzo kunsztowne obok najprostszych.

Naszych pierwszych naśladowców nęciły właśnie wzory bardzo skomplikowane, jak tego dowodzi najstarsza pieśń polska »Bogurodzica«:

1. Bogurodzica, dziewica, Bogiem sławiena Maryja,
   U twego syna, gospodzina, matko zwolena, Maryja!
      Zyszczy nam, spuści nam. Kyrielejzon.
2. Twego dziela krzciciela, Bożycze!
   Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze,
      Słysz modlitwę, jąż nosimy,
      A dać racz, jegoż prosimy:
      A na świecie zbożny pobyt,
      Po żywocie rajski przebyt. Kyrielejzon.

Uderza nas tu niezwykła kunsztowność techniki typowo średniowiecznej. Przedewszystkiem obie zwrotki są trójdzielne, t. j.

każda składa się z trzech części: dwie pierwsze są do siebie podobne (wiersz pierwszy i drugi każdej zwrotki), trzecia część jest od tamtych różna. Dalej zastanawia skomplikowany system rozłożenia rymów: pierwszy dwuwiersz zwrotki pierwszej i pierwszy zwrotki drugiej mają własne rymy wewnętrzne: Bogurodzica-Dziewica, Syna-gospodzina, Twego dziela-krzciciela, Głosy-myśli (asonans zam. rymu); oba te dwuwiersze łączą rymy parzyste: sławiena-zwolena i bożycze-człowiecze; wreszcie pierwszy dwuwiersz pierwszej zwrotki ma powtarzający się okrzyk refrenowy: Maryja, i podobny okrzyk drugi znów wiąże pierwszą zwrotkę z drugą: kyrielejzon. Część drugą zwrotki drugiej charakteryzuje zwykłe rymowanie według zasady parzystości. oraz jednostajność rytmiczna równych wierszy 8 zgłoskowych. Cechą wspólną obu zwrotek, obok ich trójdzielności, jest to, że w każdej z nich pierwsze dwie części składają się z wierszy dłuższych niż te, których użyto w części trzeciej, a więc między obu zwrotkami zachodzą cztery cechy wspólne (zasada trójdzielności, częściowe podobieństwo w rozłożeniu rymów, stosunek rozmiaru wierszy początkowych do pozostałych i refren) obok cech różnych (liczba wierszy, ich budowa i t. d.).

Nie jest ta kunsztowność bez skazy: więc w obu zwrotkach wiersz drugi ma o jedną zgłoskę więcej od pierwszego, dalej rymy: bożycze-człowiecze, pobyt-przebyt, a przedewszystkiem: głosy-myśli mają charakter tylko asonansów, nie rymów właściwych. Są to wady najpospolitsze, powtarzające się w mnóstwie utworów średniowiecznych, stopniowo i powoli usuwane: błędy w rytmice, niedokładności w rymach, brak wytworności w rymowaniu (używanie rymów gramatycznych, jak dobrego-złego, widzicie-słyszycie, synowi-duchowi i t. p.), często zadowalnianie się najłatwiejszą formą wierszowania. Bądź co bądź jednak pieśni, o których można sądzić, że powstały w w. XIV i pierwszej połowie w. XV mają formę kunsztowniejszą, aniżeli późniejsze, z czasów poprzedzających wystąpienie Reja. Te najstarsze utwory są ułożone albo w dość urozmaiconych zwrotkach, albo przynajmniej w niebanalnym rytmie, t. j. nie w 8-zgłoskowych jednostajnych wierszach. Ośmiozgłoskowiec — jak wiadomo — jest najdłuższym wierszem, nie wymagającym stałej średniówki, wskutek czego obojętnym jest w nim szyk wyrazów: w wierszu takim można wyrazy przestawiać, jak się komu podoba, bez szkody dla wrażenia

rytmu i tylko jeden jest' tu warunek konieczny, mianowicie żeby wszystkie takie wiersze kończyły się jednakowym spadkiem głosowym, więc żeby przycisk główny padał w wierszach żeńskich na przedostatnią, w męskich — na ostatnią zgłoskę.

Z wieku XIV nie mamy ani jednej pieśni, ułożonej w jednostajnych parzysto rymowanych ośmiozgłoskowcach: z pieśni związanych z »Bogurodzicą« pierwsza »Nas dla wstał z martwych syn boży« okazuje widoczną tendencyę do rymów wewnętrznych w trzecim wierszu każdej zwrotki; szematem tu jest: 8 a + 8 a + (3 b + 3 b) + 6 a, więc dwa wiersze 8 zgłoskowe i dwa 6-zgłoskowe, rym wspólny w wierszu 1, 2 i 4, rym wewnętrzny w trzecim. W pieśni czy pieśniach dalszych również zwrotki niezwykłe, np. pięć jednakowych: (6 + 6) a + 6 a + (6 + 6) a:

Ciebie dla, człowiecze, dał Bóg przekłóć sobie
Ręce, nodze obie;
Kry święta szła z boku na zbawienie tobie.

Pieśń: »Chrystus zmartwych wstał je« liczy tylko jedną zwrotkę czterowierszową z 6-zgłoskowców; »Jezus Chrystus Bógczłowiek« składa się z parzystych 13-zgłoskowców (7 + 6), »Posłał przez anioły« dzieli się na 5-wierszowe zwrotki z rymami okolnymi (piąty wiersz zwrotki I rymuje z piątym zwrotki II i t. d.) »Maryja czysta dziewice« jest wprawdzie ułożona z 8-zgłoskowców, te jednak łączą się w trzywierszowe zwrotki, z których każda ma rym jeden wspólny. Urozmaicone są także utwory wierszowane, które trzeba lub można odnieść do pierwszej połowy w. XV, a między nimi są niektóre ze smakiem opracowane technicznie, np. »Mocne boskie tajemności«, ułożony ze zwrotek pięcio- i trzywierszowych, przeplatanych według pewnego niezupełnie wytrzymanego systemu. Jeden Słota (zapewne żyjący na początku w. XV) swój wiersz dydaktyczny o zachowaniu się przy stole i o czci należnej białym głowom napisał mieszanymi 8- i 7-zgłoskowcami o rymach parzystych.

W drugiej połowie w. XV uganianie się za kunsztownością formy cechuje rzadkich tylko (zresztą nieznanych z imienia) wierszopisarzy, np. autora pieśni »Maryja, panno szlachetna«, który swój utwór podzielił na trzy bardzo skomplikowane i bez żadnych zmian w budowie powtarzające się zwrotki, każda o 16 wierszach różnej długości i z przekładanymi w różny sposób rymami. Naturalnie.

przy tak skomplikowanej zwrotce, którą bez zmian trzy razy trzeba było powtórzyć, autor musiał całą uwagę zwrócić na samą technikę wiersza i dla niej poświęcić wymagania stylistyczne, a nadto ta arytmetyka sparaliżowała jego nastrój uczuciowy.

Wtedy już pomnaża się zastęp wierszopisów, zabierają głos mniejsze talenty, wierszopisarstwo się popularyzuje, a zarazem obniża się poziom jego kunsztowności. Powstają liczne, a między nimi dość obszerne utwory, złożone z jednostajnych, najpospolitszych ośmiozgłoskowców, parzysto rymowanych (np. »Legenda o św. Aleksym« lub »Rozmowa magistra Polikarpa ze śmiercią«). Ale już początki wieku XVI przynoszą z sobą zmiany: w nielicznych jeszcze wtedy utworach świeckich i w znacznie liczniejszych pieśniach kościelnych rozpowszechnia się użycie zwrotek metabolicznych (złożonych z wierszy o różnym rytmie) i pomnaża się liczba typów zwrotkowych, jak na to wskazują ogłoszone przez Bobowskiego w »Rozprawach« filol. Akad. Umiej. w Krakowie t. XIX kancyonały: Kórnicki i Czartoryskich, napisane w połowie w. XVI, ale zawierające szereg starszych pieśni. Jest tu więc dążenie do silniejszego uwzględnienia pierwiastku rozmaitości w rytmice przez łączenie z sobą wierszy różnorytmicznych. Nadto w tymże czasie ukazują się świeże typy wierszy, jako to: w r. 1522 Spiczyński wprowadza tak później spopularyzowany wiersz 11-zgłoskowy (5 + 6) w pieśni, wydrukowanej w »Żywocie Pana Jezu Chrysta« Opecia; Stanisław Kleryka w r. 1530 ogłasza utwory, gdzie używa wiersza 12-zgłoskowego (6 + 6) i po raz pierwszy 10-zgłoskowego (4 + 6); w jednej z pieśni kancyonału Kórnickiego znajdujemy połączenie dawniej nieznanych, a i potem nieużywanych wierszy 13- (6 + 7) i 10-zgłoskowych (3 + 7); wiersz 14-zgłoskowy (8 + 6) ukazuje się po raz pierwszy w kancyonale Czartoryskich, oraz u Mikołaja Reja, który ze znanych już typów rozpowszechnia wiersz 13- i 11-zgłoskowy, a wprowadza nadto także (monolog Magoną w »Żywocie Józefa«) wiersz 15-zgłoskowy (8 + 7). Na ogół posługuje się on sześciu rodzajami wierszy, liczących po 6, 10, 11, 13, 14 i 15 zgłosek.

Znacznie nad nim góruje Jan Kochanowski, u którego rozmaitość rytmów, wiążących się często w wytworne zwrotki dochodzi do istotnego bogactwa: używa on 15 rodzajów wiersza od 5- do 14-zgłoskowego, nie uchylając się i od 9-zgłoskowego, który naogół w wersyfikacyi polskiej nie zajmuje wybitnego miejsca i kuleje

nieraz, nawet u mistrzów prawdziwych. Co jeszcze jest godnem uwagi u Kochanowskiego, że używa on różnych typów wierszy, które mają wprawdzie jednakową liczbę zgłosek, ale różnią się miejscem średniówki, i nigdy ich z sobą nie miesza. Pod tym względem nie ma on poprzednika, ani między wybitnymi poetami następcy aż do Mickiewicza; niektóre używane przez niego rytmy trafiają się tylko w wersyfikacyi ludowej. Oprócz zwykłego 13-zgłoskowca (7 + 6) ma on także inny, ze średniówką po 8 zgłosce:

Ucieszna moja śpiewaczko, Sappho słowieńska,
Na którą nietylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała:
Tęś nadzieję już po sobie okazowała.

Podobnie jeszcze w czterech utworach. Typ ludowy tego wiersza tem tylko się różni, że się dzieli nie na 8 + 5, lecz na 4 + 4 + 5:

A w niedzielę, raniusieńko, descyk z porania,
Jużci moja kochaneńka wołki wygania;
I wygnała za stodoły, wraca do domu,
Spotyka się z kochaneńkiem na wronym koniu.

Tak samo 11-zgłoskowca Jan Kochanowski daje typy: zwykły (5 + 6) i osobliwy (4 + 7):

Rozumie mój, próżno się masz frasować,
Co zginęło, trudno tego wetować:
Póki czas był, póki szczęście służyło,
Czegoś żądał, o wszystko łacno było.

Najczęściej tu człon drugi rozpada się na 4 + 3, przez co rytm tem bardziej zbliża się do rytmu śpiewek ludowych:

A scyrze ja panu Bogu słuzyła,
Kiedy ja tę jabłoneckę sadziła;
I nie wysło jabłonecce dwie lecie,
Jużci moja jabłonecka biało krzcie.

Takiego rytmu nie spotykamy u żadnego z naszych poetów poza Kochanowskim, który go użył w dwu utworach: w pieśni 22 ks. I i w psalmie 150. Ma on też dwa typy wiersza 14-zgłoskowego: 8 + 6 i 7 + 7; pierwszy poza Kochanowskim wyłącznie uży-

wany tylko w poezyi ludowej, a drugi więcej u ludu rozpowszechniony, niż w poezyi artystycznej. Przykład pierwszego typu u Kochanowskiego:

> Niemasz grzechu, kędy Pańskie prawa uważono:
> Wola twoja, Panie, aby pilnie ich strzeżono.

W pieśni ludowej:

> Wyjechał ci pan starosta w pole na zające
> I napotkał trzy panienki na zielonej łące.

Często, zwłaszcza w poezyi ludowej, ten typ zam. 8 + 6 dzieli się na 4 + 4 + 6. Typ drugi u Kochanowskiego tylko w psalmie 11:

> Twój nieprzyjaciel łuk wziął, strzałę ma na cięciwie,
> Myśląc, jakoby z cienia dobre strzelał zdradliwie.

W pieśni ludowej:

> A wyjrzyjże, dziewczyno, da za owczarskie pole,
> Jeżeli ta nie jadą da nasi owczarkowie.

Z innych typów podwójnych znajdujemy u Kochanowskiego wiersz 12-zgłoskowy: 7 + 5 i 6 + 6, oraz 10-zgłoskowy: 4 + 6 5 + 5. To subtelne rozróżnianie typów wierszowych charakteryzuje Kochanowskiego jako wielkiego mistrza formy i to tembardziej, że nie miał on w Polsce poprzedników. Wprowadzone przez niego nowe typy są następujące, 13 (8 + 5), 11 (4 + 7), 14 (7 + 7); 12 (7 + 5), 10 (5 + 5), 9 (5 + 4) i wreszcie krótki wiersz 5-zgłoskowy.

Nie czyniono dotyczas poszukiwań, czy te nowe typy wiersza Kochanowski zapożyczył z literatur obcych, czy je sam stworzył, czy też wreszcie naśladował w nich rytm ludowy, bo w każdym razie zgodność między nim a pieśniami ludowemi nie może być przypadkowa, a zasługuje na uwagę i ta okoliczność, że typy rytmiczne, zapożyczone z literatur obcych, zapewne znalazłyby chętnych naśladowców między następcami Kochanowskiego; gdybyśmy zaś przypuścili, że lud je wziął od Jana z Czarnolasu, to dziwnem by się okazało, że lud był skłonniejszy do tego naśladowania, niż poeci, kształcący się na Kochanowskim, i że naśladował te właśnie typy rytmiczne, które w literaturze warstw oświeconych nie wzbudziły

chęci naśladownictwa. Co więcej, z materyału, zanalizowanego w pracy pani Windakiewiczowej (»Rozprawy« filol. Akad. Umiej. XLII, 175—269, r. 1913) można wyprowadzić tylko jeden wniosek: że dziedzina rytmiki ludowej jest jedyną może, na którą literatura książkowa prawie żadnego nie wywarła wpływu. Z późniejszych wierszopisów polskich, jak się zdaje, tylko u Petrycego w jego »Horacym« (r. 1609) znajdujemy niektóre z rytmów, stanowiących właściwość jedynie Kochanowskiego.

Bogatą także jest i strofika Jana z Czarnolasu, ale już przed nim wyrobiono bogaty zasób różnych typów zwrotkowych, zwłaszcza w pieśniach religijnych (p. Bruchnalski, »Rozprawy« filolol. Akad. Um. XIII, 1—90, r. 1889). Kochanowski używa przeszło 20 typów od zwykłego dwuwiersza rymowanego aż do zwrotek bardzo artystycznych, zarazem prostych i wytwornych, do czego trzeba jeszcze dodać pierwszy raz przez niego wprowadzony sonet »Fraszki« III, 24 i II, 102, nie licząc swobodnie budowanych zwrotek w chórze III »Odprawy posłów greckich« i wiersza białego w tejże »Odprawie«; wreszcie osobny typ przedstawia »Carmen macaronicum«, napisany według zasad metryki łacińskiej.

Z późniejszych poetów rozmaitość zwrotek do przesady doprowadził Zimorowicz w »Roksolankach«, z których prawie każdą w inny sposób pod względem stroficznym zbudował. W tem już mamy oznakę wybitną smaku barokowego, który potem tak wyraźnie się objawił w pismach Morsztyna, choć tu już nietyle w rozmaitości zwrotek, jak we właściwościach stylu. Szymon Zimorowicz prawdopodobnie nie był twórcą nowych typów zwrotkowych, lecz tylko naśladowcą wzorów zachodnich, zapewne pieśni tanecznych, głównie francuskich: niektóre z jego roksolanek przedrukowywano w zbiorach pieśni tanecznych, np. »Koło tańca wesołego« (cztery roksolanki), lub »Lutnia wdzięcznej melodyej« (dwie roksolanki) r. 1685, gdzie zresztą znalazła się też i fraszka Kochanowskiego 96 z ks. I.

W dalszych okresach jedni poeci więcej dbali o rozmaitość typów wierszowo-zwrotkowych (Karpiński, Mickiewicz, Zaleski), inni mniej (Krasicki, Słowacki), tak, że pod tym względem niepodobna wyznaczyć stałej linii rozwoju. Natomiast ciągły rozwój widzimy w doskonaleniu rytmiki, w coraz skuteczniejszem unikaniu uchybień względem idealnych zasad wersyfikacyi średniowiecznej, które coraz jaśniej się krystalizowały w duszy poetów. W utworach średnio-

wiecznych bardzo często spotykamy zamącenie rytmiki wiersza wskutek nieprawidłowego umiejscowienia akcentów głównych lub średniówek, a nawet wskutek niedokładnego liczenia zgłosek. Czy winę tego ponoszą autorowie, czy przepisywacze, nie zmienia to istoty rzeczy: błędy te dowodzą, że ludzie ówcześni u nas jeszcze nie wyrobili w sobie poczucia doskonałej rytmiki, że ich nie raziło, gdy jeden wiersz miał o jedną lub dwie zgłoski więcej lub mniej od innych, mających właściwą liczbę zgłosek. Zdarza się to jeszcze i Rejowi, choć rzadko, np. w »Żywocie Józefa«:

Wiem, mój miłosierny panie, iż to nie ma godność
To mnie u ciebie sprawiła, lecz twoja dobroć.

Drobna zmiana »lecz« na »ale« naprawiłaby miarę wiersza, ale Rej tego nie spostrzegł i usterkę zostawił. U Kochanowskiego takie błędy rytmiczne należą do największych rzadkości; wolni od nich są Trembecki i Krasicki, znajdziemy je zrzadka u Mickiewicza i Słowackiego, a nie ma ich Zaleski, słowem zależy to od indywidualności poety, ale naogół w nowszej poezyi trafiają się tylko wyjątkowo.

Tak samo zachodzi we wcześniejszych okresach historyi wersyfikacyi polskiej coraz ściślejsze przestrzeganie właściwego miejsca średniówki. W dawnych wiekach spotykamy dość liczne tego rodzaju uchybienia, dowodzące, że wtedy nie wszyscy wierszopisowie mieli wyrobione poczucie doskonałego rytmu. Tak np. pieśń z w. XIV »Jezus Chrystus, Bóg-człowiek«, ułożona w 32 trzynastozgłoskowcach ze średniówką stałą po zgłosce 7-ej, ma dwa wiersze, w których średniówka pada na inne miejsce, a przeto wiersze te, mające rytm inny, niż wszystkie pozostałe, tworzą z nimi dysharmonię. Takim jest np. wiersz zapewne zepsuty przez przepisywacza:

Jegoż nas domieści do królestwa niebieskiego.

Mamy tutaj i zbyt wielką liczbę zgłosek i średniówkę po szóstej, a nie po siódmej zgłosce. Gdybyśmy go poprawili na:

Jenż nas domieści do królestwa niebieskiego

i chcieli go czytać według wymagań rytmu innych wierszy tejże pieśni, brzmiałby on tak:

Jenż nas domieści do kró | lestwa niebieskiego

t. j. średniówka wypadłaby wprawdzie po 7 zgłosce, ale w środku wyrazu, i musielibyśmy ją wtedy uwydatnić przez silniejsze akcentowanie przyimka »do« oraz przez krótką pauzę po »kró-«. Z biegiem czasu jednak i tych uchybień coraz mniej znajdujemy u późniejszych pisarzy, a w wieku XVIII postawiono nawet zasadę, aby przed średniówką był zawsze stały spadek głosu. To praktykuje się i u późniejszych poetów, którzy dzięki temu niekiedy stwarzali szczególne efekty rytmiczne, stosując np. stale spadek głosu oksytoniczny (męski) bezpośrednio przed średniówką, jak w »Wezwaniu do Neapolu« Mickiewicza:

Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa,
Gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?

Wyżej ogólnie rozpatrzony rodzaj wierszy jest w poezyi naszej najpospolitszy, a cechuje go pewne umiarkowanie w stosunku między czynnikami ujednostajnienia i urozmaicenia rytmu. Jego rozwój wyraził się w coraz doskonalszem realizowaniu zasad wersyfikacyjnych średniowiecznych, w pomnożeniu typów wierszowych bezśredniówkowych i średniówkowych, w rozmaitości kombinowania z sobą tych typów. Charakterystyka jego polega na umiejscowieniu jednego akcentu w wierszach bezśredniówkowych, a dwu akcentów w wierszach średniówkowych, przyczem pierwsze liczą nie więcej jak 8, drugie zaś od 9 do 16 zgłosek; wiersze te mogą być nierymowane, lub rymowane; rymy układają się w pewnym stałym porządku (romantycy jednak wprowadzili także układ rymów zmienny); spadki głosowe przed średniówką lub w końcu wiersza mogą być żeńskie lub męskie, jednak nie mieszane bez stałego porządku, a także muszą być według pewnego planu rozłożone w zwrotce; słowem przy całej rozmaitości rytmiki panuje tu planowa prawidłowość i pewna jednostajność, obejmująca mniejsze (aż do pojedynczego wiersza) lub większe (zwrotka) peryody rytmiczne, niezmiennie się powtarzające.

Większy stopień ujednostajnienia rytmu możnaby tu osiągnąć przez jednakowe rozłożenie wszystkich akcentów, wskutek czego wiersze miałyby stale uporządkowane najprostsze momenty rytmiczne 2-, lub 3-zgłoskowe, podobne w pewnej mierze do stóp metrycznych, np. trochejów lub amfibrachów. Zdarza się istotnie

niekiedy rytm w ten sposób ujednostajniony i to dość dawno, np. u Reja w »Żywocie Józefa«:

⊥ ⏑ | ⊥ ⏑ | ⊥ ⏑ ⊥ ⏑ || ⊥ ⏑ | ⊥ ⏑ | ⏑ ⊥ ⏑
Ach, nasz panie wszechmogący, toć są dziwne twe sprawy:
A szafujesz swe mądrości iście jako pan prawy.
Rozmaicieś wszystkie stany dziwną sprawą rozdzielił,
By się każdy w swem urzędzie, nacz wystawion, weselił.

Jednakże w dalszym ciągu zam. ⊥ ⏑ | ⊥ ⏑ trafia się nieraz jednoakcentowy człon rytmiczny 4-zgłoskowy ⏑ ⊥ ⏑ ⏑ (raczyłeś też, albowiem ty i t. p.). Do stóp klasycznych próbowano naginać język polski, czy to mieszając wyrazy polskie z łacińskimi, jak w »Carmen macaronicum« Jana Kochanowskiego, czy też w utworach czysto polskich, zwłaszcza w początkach w. XIX, idąc za radą Królikowskiego i innych reformatorów wersyfikacyi polskiej. Z prób takich najznakomitszą jest »Pieśń Wajdeloty« z »Konrada Wallenroda«, którą Mickiewicz napisał w wierszach na wzór starożytnych heksametrów.

Poza tem taką izorytmiczność znajdujemy tylko w wierszach, dzielonych średniówkami na cząstki drobne: 4-, 3-, 2-, lub 1-zgłoskowe; gdzie tego niema, tam nawet świadomy zamiar autora nie daje się przeprowadzić konsekwentnie. Tak np. Bohdan Zaleski, ogłaszając w r. 1819 »Dumę o Wacławie«, wystawił jej wzór metryczny: ⊥ ⏑ ⏑ | ⊥ ⏑ ⏑ | ⊥ ⏑, ale tylko niektóre wiersze zdołał ściśle wytrzymać w tym rytmie.

Odmienny ma charakter drugi rodzaj wierszy, który rozwinął się już zapewne w bardzo dawnych czasach pod wpływem muzyki. Przypuszczamy, że jego kolebką była poezya ludowa, tj. nie zapisywana, lecz odtwarzana z pamięci. Gdy śpiewano jakąś piosnkę według melodyi, dzielonej na równe, lub — co się często zdarza w pieśniach niektórych ludów słowiańskich — na nierówne takty, pomimo woli starano się przystosowywać tekst do muzyki, czyli dzielić wiersze na cząstki, odpowiadające taktom melodyi. Taka cząstka wiersza wyodrębniała się w świadomości ludzkiej z pomiędzy innych, kiedy jej granicą był koniec wyrazu; mimowoli przeto dążono do tego, ażeby tekst, pierwotnie nie odrazu przystosowany do melodyi, tak zmienić stopniowo, aby na każdy takt wypadał jeden wyraz, lub grupa wyrazów. Z badań nad stosunkiem tekstu

pieśni ludowych polskich do ich melodyi wypada, że człon wiersza, odpowiadający jednemu taktowi muzycznemu, może liczyć najwięcej 6 zgłosek.

Tutaj więc już wiersze 8- lub 7-zgłoskowe otrzymują średniówkę i dzielą się zazwyczaj na 4 + 4, względnie 4 + 3; ale także i krótsze w razie, gdy melodya tego wymaga, rozkładają się na mniejsze stałe cząstki, np. 4 + 2, 3 + 3, 2 + 3 i t. d. To samo zachodzi i w wierszach dłuższych, liczących ponad 8 zgłosek: i tutaj obok średniówki, może najdawniejszej, tradycyjnej, takiej samej, jak np. w wierszach średniowiecznych, tworzą się inne, dzielące wiersz na drobne człony. Może też zbyteczną jest rzeczą mówić o średniówce pierwotnej, głównej i innych, później wytworzonych, ale raczej należałoby przypuścić, że wiersze takie poprostu dwiema, lub więcej średniówkami rozczłonkowywały się na drobniejsze cząstki. Wprawdzie cząstki te nie wszystkie w wierszu zawsze są do siebie podobne, bo mogą liczyć od 2 (rzadko jednej) do 6 zgłosek, ale w jednakowej kolejności we wszystkich (podobnych) wierszach się powtarzają; ponieważ jednak uwydatniają się w nich przedewszystkiem akcenty główne, przeto wytwarzają one dla ucha znaczną jednostajność rytmu; jeżeli zaś wiersze dzielą się na jednakowe cząstki, np. 3-zgłoskowe, wtedy już powstaje monorytmiczność zupełna.

Istnieje dość znaczna ilość polskich pieśni ludowych, których wiersze się dzielą na takie drobne cząstki, odpowiadające taktom muzyki, i zrzadka tylko trafiają się w nich wiersze, w ten sposób do melodyi niezupełnie przystosowane; nie we wszystkich jednak pieśniach ludowych proces pogodzenia rytmiki wierszowej z taktami muzycznymi się dokonał.

W historyi wersyfikacyi polskiej po raz pierwszy z tym typem wierszy spotykamy się w krótkiej dwuzwrotkowej kolędzie z końca XV wieku, w której wiersze 7-zgłoskowe dzielą się stale na 4 + 3:

Nuż wy, bielscy | panowie,
Panny, panie, | żaczkowie.

Takich jednak wierszy jest tu nie więcej, jak cztery, możnaby więc sądzić, że zaszedł tu tylko przypadek. We wspomnianych wyżej utworach Jana Kochanowskiego, w których można podejrzywać wpływ rytmiki ludowej, zauważyć się daje nieświadoma skłonność do wielośredniówkowości w wierszach, nie przeprowadzona jednak

konsekwentnie przez cały utwór. To samo też powiedzieć trzeba o »Roksolankach« Zimorowicza, w których tę samą skłonność tłumaczy ich charakter, jako pieśni tanecznych, więc do muzyki z dobitnie akcentowanymi taktami dorabianych. Wyraźniej jednak ta cecha rytmiczna występuje dopiero w w. XVIII. Karpiński drobi wiersz w »Dumie«:

Gdzie się podziały | szczęśliwe lata | naszej chwały,
Kiedy się do nas | korony świata | ubijały?
Kiedy Czech, Węgrzyn | Wołoch, Prus hardy | poddaje się
I od północy | Moskwicin twardy | berło niesie.

Możnaby jednak i tu zapatrywać się na te wiersze inaczej: że rymowane 10-zgłoskowce (5 + 5) przeplatają się rymowanymi również 4-zgłoskowcami, ale już u Mickiewicza widzimy zupełnie wyraźne pomnażanie średniówek stałych; mianowicie w »Dziadach« istoty nadprzyrodzone przemawiają wierszami 9- lub 12-zgłoskowymi, dzielącymi się prawie bez wyjątku na cząstki 3-zgłoskowe np.

W dzień Bóg nam | dokucza, | lecz w nocy, | wesele:
W noc późną | próżniaki | się tuczą,
I w nocy | swobodniej | śpiewają | minstrele,
Szatany | piosenek | ich uczą.

Podobnie w innem miejscu:

Gdzie kościół? | gdzie kościół? | gdzie Boga | lud chwali,
Gdzie kościół? | ach pokaż | człowiecze!

Gdzieindziej wiersze typu: 5 + 5 + 5, albo 5 + 5 + 5 + 5:

Panie, on zgrzeszył, | przeciwko Tobie | zgrzeszył on bardzo,
Lecz płaczą nad nim, | modlą się za nim | Twoi anieli.
Tych zdepc, o Panie! | tych złam, o Panie! | którzy Twe święte | sądy pogardzą.
Ale tym daruj, | co świętych sądów | Twych nie pojęli.

Cały też chór aniołów w czasie snu Ewy brzmi w rytmie 3 + 3 + 5:

Braciszka | miłego | sen rozweselmy.
Sennemu | pod głowę | skrzydło podścielmy,
Oczami | gwiazdami | twarz mu rozświećmy.
Śpiewając | i grając, | latajmy wiankiem
Nad czystym, | nad cichym | naszym kochankiem.

Możnaby przypuścić, że Mickiewicz chciał przez to przedstawić mowę duchów, jako śpiewniejszą, przenikniętą bardziej pierwiastkiem muzycznym, niż mowa ludzka. I Słowacki niekiedy 8- lub 7-zgłoskowe wiersze dzielił stałą średniówką, np. w »Kordyanie«:

Pijcie wino, | pijcie wino!
Nie wierzycie, | że to cud,
Gdy strumienie | wina płyną,
Choć nie sadzi | winnic lud.

Albo też wiersze 12-zgłoskowe rozkładał na cząstki 3-zgłoskowe, np. w niektórych ustępach »Żmii« lub w »Dumie o Wacławie Rzewuskim«. Ale w okresie romantyzmu żaden z poetów nie tworzył chętniej takich drobnocząstkowych wierszy, jak Bohdan Zaleski, a ta jego właściwość znakomicie się przyczyniła do tego, że wyrobiono sobie o nim zdanie, jako o najmuzykalniejszym śpiewaku. Znajdujemy w jego utworach wiersze, składające się ze stałych cząstek czterozgłoskowych i trzyzgłoskowych, albo regularnie mieszanych 3- i 2-zgłoskowych:

4-zgł. Na żegludze | tu żywota,
Póki wieje | duch niebieski,
Mile łódź się | nasza miota.

3-zgł. Do lotu | ku wiośnie
Unosi | się łono;
I w sercu | radośnie,
I w duszy | zielono.

3- i 2- zgł. Co kwiecia! | i bujnie | tchnie słodko | w swej krasie
Ogródek | jak raj!
Co dziewic, | młodzieńców | rozkwita | na czasie!
Podwójny, | och maj.

Kierunek, dążący do największego ujednostajnienia rytmu wierszy, mających być w tych utworach naszych poetów podobnymi, dosięga granic krańcowych. Następcy ich w tym względzie nic więcej nie zrobili i trudno nawet wyobrazić sobie, co mogłoby pozostać do zrobienia.

Inny, wręcz przeciwny tamtemu kierunek — to dążenie do kształtowania wierszy mieszanych nieregularnie. Na pierwszy rzut oka wiersz nieregularnie zmienny może się wydać nawrotem do

czasów odległych, barbarzyńskich, do wierszy rytmoidycznych. Ale między dawnymi wierszami rytmoidycznymi, a mieszanymi nowymi zachodzi ta zasadnicza różnica, że śród tych ostatnich znajdują się wiersze tylko tradycyjne, więc każdy z nich przedstawia ściśle określony typ rytmiczny, a nadto zmiany rytmu znajdują uzasadnienie psychologiczne, gdyż odpowiadają im zmiany w nastroju i stopniu uczuciowego napięcia poety, czego nie było w wierszach nieregularnych pierwotnych. Na czem polega harmonia między nastrojem uczuciowym a rytmem zmiennym, może się wyjaśni nieco, gdy spojrzymy choć pobieżnie na historyę wiersza nieregularnie mieszanego. Za najdawniejszy jego przykład możnaby u nas uznać jedną z pieśni średniowiecznych (z w. XV), znaną pod nazwą łacińską »Planctus« lub polską: »Żale Matki Boskiej«. Osobliwy jej charakter polega na tem, że jej dwie zwrotki wstępne, zawierające zapowiedź o tem, co ma być przedmiotem opowiadania, i zwrotka ostatnia, są pisane wierszami równymi, natomiast główna treść zamyka się w czterech nieregularnych i w zmiennym rytmie trzymanych zwrotkach, gdzie mieszają się wiersze od 14- do 4 zgłoskowych: narzekania wyrażone są w wierszach dłuższych, okrzyki boleści — w krótszych. Utwór ten i pod względem środków stylistycznych, użytych w nim dla odmalowania żalu i bólu matki cierpiącej jest niezwykły: przypomina on zawodzenia wieśniaczek na pogrzebach dzieci, nacechowane prostotą i szczerością. Możnaby przypuścić, że w nim odbiły się ludowe pierwiastki dawnych płaczów pogrzebowych, że mamy tu ową zmienność rytmu pierwotną, instynktownie przystosowaną do stanu duchowego osoby, przejętej żalem.

Jest to jednak utwór na owe czasy zupełnie wyjątkowy, i przez długie lat szeregi nikomu się u nas o wierszu nieregularnym ani marzyło; dopiero pierwsze świadome jego próby dał nam w r. 1699 Krzysztof Niemirycz w »Bajkach Ezopowych«, tłumaczonych z Lafontaine'a. Zaznacza on, że w przekładzie swoim starał się o styl naturalny i w wierszowanej przemowie tak zachwala swe rytmy nieregularne:

Niech się nie myli, kto te bajki czyta,
Lub inszy człowiek, lubo też poeta,
Mniemając, że ten wiersz nieregularny
Jest łacwy, podły, niemodny i marny,
I że ci jeno tego stylu drogą
Chodzą, co pisać inaczej nie mogą.

A choć sam poeta nie wie

. . . . . . czy polskim językiem
Wydał kto kiedy wiersze takim szykiem,

to jednak, co

Wolno Francuzom, Włochom i Hiszpanom,
Wolno niech będzie i Polakom panom.

Wiersz nieregularny nie jest bezładnym chaosem, lecz

. . . Tych wierszów wolność umiejętna
Chce być wyraźna, gładka i nie mętna:
Wojna w koncepty i terminy zwięzłe,
W żarty przystojne i przysłowia niezłe,
A wszystko z kunsztem.

Autor upewnia dalej czytelnika, że niekoniecznie wiersze mają być równe, lub rymować się parzysto: wolną ma być miara wiersza. a to »z tej racyjej, żeby dogodzić lepiej relacyi«. Co pod tą relacyą autor nasz rozumiał, tego nie objaśnia, mamy jednak prawo przypuszczać, że właśnie miał tu na myśli stosunek nastroju do miary wiersza: dowcip musi być krótki, efekt — niespodziany, groźba — zwięzła i t. d. i dla lepszego uwydatnienia tworzyć wiersz osobny; słowem energiczne objawy uczuć muszą się wyrażać w wierszach krótkich a mocnych.

Za przykładem więc Francuzów wchodzi do nas wiersz nieregularny, najprzód w utworach lekkich. dowcipnych, żywych i barwnych, jakimi są bajki. Nie odrazu jednak i w tej dziedzinie zyskał on szersze zastosowanie. Krasicki np. swe »Bajki« pisze równomiernymi 13-zgłoskowcami, nie dbając w nich o francuskie wzory i dążąc tylko do największej zwięzłości; dopiero jego »Bajki nowe« przedstawiają bogaty zbiór wierszy nieregularnych; późniejsi bajkopisarze uprawiają już ten rodzaj z zamiłowaniem.

Harmonia między nastrojem a zmiennością wiersza nie da się w bajkach wykazać szczegółowo; znalazłyby się wprawdzie wiersze, których rytm możnaby uzasadnić psychologicznie, ale na ogół wiersz nieregularny odpowiada tu swobodnemu, wesołemu nastrojowi ogólnemu. To samo znajdujemy w utworze Trembeckiego »Pszczoły«, mającym charakter bajki.

Zastosowanie wierszy nieregularnych, zresztą w bardzo szczupłym zakresie, do wyrażania uczuć smutnych, bolesnych, zawdzięczamy Karpińskiemu i ks. Adamowi Czartoryskiemu. Wprawdzie

już Węgierski »Pigmaliona« pisał w wierszu nieregularnym, ale tu naśladował wzór obcy bez głębokiego zrozumienia psychologicznych jego właściwości. Karpiński, w którego rytmie znajdujemy wiele ciekawych nowych i oryginalnych rysów, używa zwrotek różnej budowy dla odróżnienia oddzielnych części, składających się na jeden większy utwór np. w »Rozstaniu się Medona«, gdzie może formę tę zapożyczył z pieśni Osyana. Pełna głębokiego smutku ostatnia zwrotka »Żalów Sarmaty« ma zupełnie inną budowę, niż wszystkie poprzednie, i przez to silniej i głębiej wzrusza czytelnika. Nieregularnie wiersz się zmienia w elegijnych »Myślach jesiennych«, pisanych nieledwie w przeddzień ostatniego rozbioru Polski: pod wpływem smutnych przeczuć poeta nie pilnuje jednostajności rytmu, przeskakuje od 8- do 11-zgłoskowych wierszy, niekiedy wplatając między nie to 13-zgłoskowe, to znów wiersze 7-zgłoskowe, a kończy 6-zgłoskowymi. W »Bardzie polskim« Czartoryski gwałtowniejsze momenty uczuciowe zaznacza krótszymi wierszami. Ale prawdziwym i wielkim twórcą u nas nieregularnego łączenia wierszy, za przykładem głównie poetów niemieckich, jest Mickiewicz, zwłaszcza w III części »Dziadów«, gdzie doszedł do największego mistrzostwa formy.

Nigdzie indziej nie dał nam tak niezwykłych efektów rytmicznych. W »Dziadach« mamy najdoskonalsze emanacye obu przeciwnych kierunków rozwoju rytmiki polskiej: niezwykłe dotychczas formy wierszy z dwiema lub więcej stałemi średniówkami, i z drugiej strony wiersze, krnąbrnie wyłamujące się z więzów tradycyjnego porządku, zwichrzone i jakby chaotycznie pomieszane, których nieustawiczność rytmu chyba tylko z szumem wzburzonych fal morskich porównać by można, gdy inne znowu mienią się nieustannie, jak pobłyski milionów iskier słonecznych w zwierciadle jeziora, muskanego łagodnym powiewem wietrzyka. Takiem właśnie jest »Widzenie Ewy«, ujęte jakby w misterne ramy zwrotek o rytmie jednostajnym, niezwykłym a pięknym. Główna osnowa »Widzenia« składa się z wierszy różnych, ale najczęściej niezbyt odskakujących od siebie ze względu na liczbę zgłosek: dwa tylko są wiersze 5-zgłoskowe, więcej 6-, 7- i 8-zgłoskowych i te stanowią zasób wierszy krótszych, grupujących się między dłuższymi, przeważnie 11-zgłoskowymi, rzadko liczącymi 13 zgłosek. Przejścia są niezbyt nagłe, a zato kapryśne; niema tu wznoszących się i opadających linij napięcia, lecz ciągłe zmiany linii lekko falistej, w tempie słabo przy-

spieszonem i zwalnianem. Rytm ten dziwnie harmonizuje z sennym polotem żywej wyobraźni »braciszka aniołów«.

Jakże inny charakter ma »Improwizacya« Konrada! Rozpoczyna ją 9 wierszy 13-zgłoskowych, za któremi następuje jeden 8-zgłoskowy, poczem idą w dalszym ciągu 13-zgłoskowe w liczbie ośmiu, zamknięte dwoma znów 8-zgłoskowcami. Ten więc wstępny szereg 20 wierszy dzieli się na dwie połowy: pierwsza zakończona jednym, druga dwoma wierszami krótszymi, a cały pierwszy okres »Improwizacyi« zamyka czterowiersz z przeplatanych 13- i 8-zgłoskowców, co stanowi przejście od rytmu bardziej jednostajnego do zmiennego, więcej niespokojnego.

Potem już następują wiersze z wybitniej zmiennym rytmem; od słów: »Ty Boże! ty naturo...« po dwu dłuższych (13 zgłoskowych) wierszach odrazu wykrzyk zamyka się w dwu zgłoskach: »Ja mistrz!« stanowiących wiersz cały; i dalej do końca tego ustępu, liczącego 11 wierszy, rytm co wiersz lub co dwa wiersze nieustannie się zmienia, głównie wskutek mieszania 13- i 8-zgłoskowców. W rytmie pierwszych ustępów odbija się stopniowe wyjście z okresu pozornej równowagi duchowej, zlekka tylko zakłóconej w pierwszym momentami słabego jeszcze podniecenia, zapowiadającymi większe przeskoki, które energiczniej się zaznaczają w krótkim wierszu ustępu drugiego.

Następny liczy wierszy 31, z początku w ten sam sposób pomieszanych, ale po słowach: »Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie«, Konrad wpatruje się w twory własnej fantazyi, śledzi ich lot, rozważa kształty i to wszystko wypowiada w 10 jednostajnych 8-zgłoskowcach, aby wreszcie wyrazić swą do nich miłość w jednym wierszu długim (13-zgłoskowym) i w krótkim (5-zgłoskowym). I tu część refleksyjna składa się z wierszy równych, uczuciowa — z nierównych.

Od słów »Depcę was, wszyscy poeci« rozpoczynają się momenty gwałtownych wybuchów uczucia Konrada, i to się ciągnie przez 53 wiersze; rytm tu w dwunastu miejscach ujednostajnia się na moment tylko: w dwu, trzech lub czterech (raz jeden) wierszach izorytmicznych, a w dziewiętnastu miejscach zmienia się z każdym wierszem, aż znowu w uczuciach Konrada następuje chwilowe, bardzo krótkotrwałe uspokojenie w jednostajnym rytmie 13-zgłoskowców od słów: »Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła«, ażeby z nową gwałtownością wybuchnąć buntem, tym razem do-

sięgającym szczytu, kiedy Konrad stawia siebie na równi z Bogiem. Tę chwilę poeta zaznaczył przez wyjątkowe sprzężenie rytmów, gdzieindziej w takim zespole nie spotykanych:

Nie służą mi, nie znają, nie znają nas obu,
Mnie i Ciebie.
Ja na nich szukam sposobu
Tu w niebie.

Wiara we własną potęgę utrzymuje energię Konrada, przejawiającą się dalej w zmienności rytmu mniej więcej takiej samej, jak w chwilach poprzedzających wybuch pychy, tylko że tu reakcya wyraża się dobitniej dwukrotnie w dłuższych nieco momentach, jednostajnymi wierszami zaznaczonych: »Tak bliźnich rozrządzać muszę« — rozmyśla Konrad w pięciu wierszach 8-zgłoskowych i niebawem w takichże czterech mówi o skutkach swych rządów:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną:
Spełnią — tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!

Konrad już nie stawia się na równi z Bogiem, lecz chce być tylko prorokiem, przemawia wtedy aż w dziesięciu jednostajnych 13-zgłoskowych wierszach od słów: »Możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił«. Charakterystycznem jest to: »Możebym«; nie mówi już tu Konrad, że na pewno to zrobi. I w dalszym ciągu zbyt wielkich przeskoków w rytmach niema: Konrad dalej rozmyśla i przemawia znów jednostajnymi 8-zgłoskowcami: (»Ten tylko, kto się wrył w księgi...« ośm takich wierszy), lub wierszami, choć niejednakowo długimi, ale jednostajnie przeplatanymi przez wyrazy: »Iskrą tylko«, »Jedną chwilką«.

Ale na nowo roznieca się walka między pierwiastkami buntu a rezygnacyi, zaznaczona głosami duchów z lewej i z prawej strony, które już z przerwami do końca się powtarzają; to też i rytm słów Konrada staje się mniej jednostajnym i wyraża się głównie w przecinaniu szeregów wierszy 13-zgłoskowych nagłemi przejściami do chwilowo trwającego rytmu wierszy krótkich z najsilniejszem rytmicznem zaznaczeniem nowego bluźnierstwa Konrada, który woła:

Cierpię, szaleję... a Ty mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz!
I mówią, że Ty nie błądzisz!

Za chwilę, jak po pierwszym największym wybuchu, następuje ponowny krótki okres uspokojenia. Konrad prosi o rząd dusz i prośbę tę wypowiada w dziewięciu jednostajnych 13-zgłoskowych wierszach. Następnie znowu w ciągu ośmiu wierszy, przerywanych głosami duchów, rytm się plącze, przechodząc wreszcie w jednostajny szereg 13-zgłoskowców; czwarty z nich miał się kończyć zwróconym przeciw Bogu wyrazem obelżywym. Ten końcowy zespół jednakowych wierszy dłuższych wskazuje, że Konrad tu mówi nie w zupełnem obłąkaniu, lecz ze świadomą, zimną zawziętością, a przeto gdyby ostatni wyraz wymówił, słusznieby musiała spaść na niego kara.

Twórcą więc istotnym wiersza nieregularnego w Polsce był Mickiewicz, który też umiał użyć go w sposób wysoce mistrzowski tak samo, jak zużytkowywał dla swych celów artystycznych wiersze jednostajne wielośredniówkowe. Przykład Mickiewicza znalazł naśladowców początkowo niewielu, ale z czasem liczba ich znacznie wzrosła.

Wiersze nieregularnie mieszane tak samo, jak wiersze drobione na małe cząstki, zasadniczo nie różnią się od najogólniejszego rodzaju wierszy, opartych na teoryi średniowiecznej, owszem, są nawet do nich bliższe od wierszy drobionych, gdyż między nimi nie trafiają się inne, prócz tradycyą literacką uświęconych, a tylko swobodne jest ich łączenie. Stopień tej swobody zależy od treści utworu i nastroju pisarza, niekiedy przejawia się on słabo, a mimo to wiersze w czytaniu nabywają szczególnego uroku. Z nowszych poetów wspomnę tu Kasprowicza, który lubi nieregularnie mieszać dwa rodzaje wierszy np. 8- i 7-zgłoskowe:

Chciałabym szeptem trawy,
Która kiełkuje z pod ziemi,
Opiewać nieśmiertelność
Ustami dziękczynnemi.
Chciałabym puchem kwiecia,
Obsypującym czereśnie,
Żywot uwielbiać wieczysty,
Niezmilkłe nucić mu pieśnie.

Językiem poezyi jest też i proza, która jako środek wyrażania uczuć ma dwojaką formę: jest ona naśladownictwem prozy biblijnej, wyraża się wtedy prawie stale w okresach krótkich, na

które składa się zdań niewiele. Rytm jej jest nieregularny, ale w pewnym stopniu ujednostajniają go częste, podobne do siebie spadki głosowe, kończące każdy okres. Najdawniejszy jej okaz mamy z w. XIV w przekładzie psałterza; pierwszym jej objawem w literaturze oryginalnej jest »Psalmodya polska« Kochowskiego; najwyższy stopień artyzmu osiągnęła ona w »Księgach pielgrzymstwa« Mickiewicza i w »Anhellim« Słowackiego.

Inny rodzaj prozy lirycznej, formalnie swobodniejszej, bierze początek w dawnych modlitewnikach polskich: Nawojki i Konstancyi. Rytm jej jest tak samo swobodny, jak każdej innej prozy, więc zdania krótkie, urywane mogą się mieszać z okresami, w których słowa i wyrażenia wiążą się w bardzo długie szeregi. Różnica między tą prozą liryczną a każdą inną polega tylko na jej właściwościach stylistycznych, jak to widzimy np. w licznych utworach Zygmunta Krasińskiego, lub w »Genezis z ducha« Słowackiego.

Z takiej to właśnie prozy powstał ostatnimi czasy we Francyi (tam podobno wprowadzony przez pióra polskie) i w Polsce wiersz wolny. Nie jest on właściwie wierszem w jego znaczeniu średniowiecznem, gdyż nie posiada żadnych jego charakterystycznych właściwości, prócz pewnych, zresztą nieokreślonych ściśle, granic trwania. Zbliża się on do wierszy pierwotnych zdaniowych, t. j. składających się albo z jednego zdania dłuższego lub krótszego, albo z paru krótkich.

Jak się zdaje, pierwszy u nas Juliusz Słowacki użył, zresztą niesystematycznie, wierszy, przypominających wiersze zdaniowe w utworach literatury ludowej, przyczem rozłożył w nich rymy w sposób niezwykły; spotykamy to w paru fragmentach »Króla Ducha«, a zwłaszcza w przytoczonym przez prof. Tretiaka (»Juliusz Słowacki« II, 493):

Ja, brat śpiewak; znowu do was przychodzę,
A po drodze wstąpiłem do chat i wiosek
Z pieśnią; każdy mię kłosek zna i każda mogiła.
Matka chłopca wysyła... i z lirą dziada zaprasza,
Bo dziś ojczyzna nasza w pieśni skrzydlatej spoczywa,
A pieśń żywa złożyła skrzydła i leży
W sercu dawnych rycerzy, a dziś — śpiewaków za karę.
O! miejcie wiarę i t. d.

Po Słowackim także i Cypryan Norwid zaczął się nimi posługiwać, zresztą również rzadko i w bardzo ograniczonym zakre-

się. W jego dramatach, pisanych około r. 1850, znajdujemy często wiersze nieregularnie mieszane w taki sam mniej więcej sposób, jak u Mickiewicza. Otóż dramat »Wanda«, osnuty na tle przeddziejowego podania, ma ustępy, w których między wierszami zwykłego, tradycyjnego typu trafiają się inne, sprawiające wrażenie arytmicznych, czyli trzymające rytm prozy. Znajdujemy je w końcowej części przemowy Wandy oraz na początku przemowy Rotnego w koczowisku germańskiem (Tom C, str. 132 i 133). Wanda kładąc rękę na sercu, woła:

Ha! kolczyka, widzę, brak... kolczyka
U srebrnego stanika,
Co odprysnął właśnie, gdy westchnęłam...
I ty, drugi, odpryśnij, jak gwiazdeczka,
I ty, taśmo, zwiń się, przełam, —
Niech wyfrunę, oj, jak gołąbeczka.

Słowa Rotnego układają się najpierw w rytmie zmiennym, chropawym, i potem dopiero w takt jednostajny się porządkują:

Runniki wszystkie, a z młotami ostremi,
Co na głazach sinych ryć umieją
I siadają na ziemi,
Sami rzadko się śmieją —
A te zwłaszcza, co strzałami wróżą,
I na dumie cichej posiwieli,
Zwołać szeptem, niech oczy zamrużą.

Oba wiersze Wandy, zaczynające się od: »I ty« oraz pierwszy wiersz Rotnego nie mają rytmu tradycyjnego i pomiędzy innymi brzmią arytmicznie. Przypuścić by można, że Norwid umyślnie lub intuicyjnie je tak zbudował, chcąc w ten sposób nadać im charakter techniki archaicznej. Od późniejszych wierszy wolnych tem się różnią, że rymują z innymi, gdy właściwe wiersze wolne nie mają ani ustalonego przez tradycyę wersyfikacyjną rytmu, ani rymów. Ich rozmiar zależy jedynie od charakteru momentów psychologicznych, przez nie wyrażonych, więc jest zmienny i swobodny. Ale i tu stopnie tej swobody w budowie takich wierszy są różne. U jednych poetów, lub w jednych utworach wiersze wolne są istotnymi kawałkami prozy więcej lub mniej poetycznej, gdzieindziej znowu przypominają one typy wierszowe tradycyjne, w których chociaż grupy rytmiczne są nieustannie zmienne i wskutek tego falowanie rytmu ani na chwilę się nie ustala, a jednak mimo to pewną jednostaj-

nośé rytmu wyraźnie wyczuwamy. Znowu przytoczę ustęp z Kasprowicza:

Twym czynem
Siąść na kamieniu, | który się odłamał
Z odwiecznych skał,
I przez potoku | odwieczny szum
Rozmawiać z Bogiem
I ludziom | krzyczącym | i gniewnym
Nosić | orędzie | wieczności.
Pełne dalekich | tajemniczych | westchnień,
Którémi wielki, | miłosierny Pan
W dal towarzyszy | ich losom.

Jeśli moje poczucie rytmu tego ustępu nie jest fałszywe, mielibyśmy tą ciekawą syntezę: muzykalnego drobienia cząstek wiersza, jakie widzieliśmy w wierszach ludowych i niektórych literackich, oraz nieregularności wierszy wolnych.

Z tego pobieżnego przeglądu można się przekonać, że technika rytmiki wiersza polskiego kształciła się i kształci ciągle, że wyszedłszy z zasad średniowiecznej wersyfikacyi zachodnio-europejskiej i prawdopodobnie wchłonąwszy w siebie pierwiastki niektóre poezyi ludowej, przez długie wieki się wzbogacała i że każdy z poetów aż do ostatnich czasów w języku znalazł zawsze te środki techniczne, których potrzebował, aby wyrazić w artystycznej formie »swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty«.

Ograniczyłem się tylko do głównych prądów w rozwoju rytmiki polskiej, jako cechy utworów poetyckich. Spostrzeżenia te są streszczeniem i syntezą kilkoletnich poszukiwań analitycznych. Poświęcając je w hołdzie Mecenasowi nauki polskiej, nie mogę pominąć tu imienia uczonego, który pierwszy u nas założył poważne podwaliny badań syntetycznych nad historyą wersyfikacyi polskiej. Jest nim prof. Michał Rowiński, którego praca p. t. »Uwagi o wersyfikacyi polskiej, jako przyczynek do metryki porównawczej« (w »Pracach filologicznych« t. IV, w Warszawie, r. 1892, str. 1—152) odrazu postawiła te badania na gruncie ściśle naukowym.

Nowe zjawiska w karnem ustawodawstwie.

Napisał

Juliusz Makarewicz.

Obok ewolucyi zasadniczej, jakiej ulega prawo każde, a prawo karne w szczególności, spostrzegamy także pewne przesunięcia w obrębie instytucyj, które dla charakteru ustawodawstwa danej epoki nie mają znaczenia rozstrzygającego, niemniej przedstawiają interes wielki dla badacza rozwoju myśli prawniczej. Przemiany te często są dodatnim rezultatem procesu niejako oczyszczania tworu prawnego z przygodnych dodatków fałszujących i psujących jasny pogląd na instytucyę, są wynikiem rozdziału dwu myśli ze sobą połączonych niepotrzebnie bez wzajemnego pożytku, jak dajmy na to myśli odpłaty i myśli społecznego zabezpieczenia, myśli, które doskonale istnieć mogą odrębnie, a zmotane razem prowadzą tylko do nieporozumień i wzajemnie się paraliżują. Poza przypadkami procesu oczyszczania instytucyi zjawiają się przypadki pewnego przechylania się instytucyi w stronę innego tworu prawnego, zbliżania się takiego, iż granica demarkacyjna staje się bardzo już delikatną, grozi zlanie się tak niepożądane z punktu widzenia metodycznego. Jest to jak gdyby odwrotny proces w stosunku do poprzedniego. Czy proces ten jest uzasadniony względami użyteczności społecznej, wobec której wszelkie względy metodyczne milknąć muszą, to jest oczywiście quaestio facti, wymagająca rozstrzygnięcia w każdym konkretnym przypadku.

Pragnę zająć się zjawiskami jednego i drugiego typu. Do typu pierwszego zaliczam wydzielanie z odpłaty środków zabezpieczających, które w niej tkwią, czego dalszym rezultatem jest zdanie sobie sprawy z bezużyteczności odpłaty czystej we wielu przypadkach, co prowadzi znów do rezygnacyi z odpłaty i to nie warun-

kowej jak do niedawna, lecz bezwarunkowej (bezkarności, względnie darowania kary). Do drugiego typu odwrotnie należy zbliżanie się takie konstrukcyi wyższej konieczności do obrony koniecznej, iż zmienia się zasadniczy charakter (tak różny dotychczas) obu tych tworów prawnych.

I. Wydzielanie środków zabezpieczających z kary. Czy w karze tkwią inne czynniki prócz myśli sprawiedliwej odpłaty? na pytanie to odpowie twierdząco każdy, kto nie jest pogrążony w pewnej formułce, podającej teoretycznie istotę kary, lecz przypatrzy się jej tak, jak ona zjawia się w życiu narodów. Oczywiście pomieszanie obu czynników: odpłaty (malum passionis propter malum actionis) i myśli zabezpieczenia społecznego jest tem widoczniejszem, im pierwotniejszem jest społeczeństwo. Wypędzanie lub pozbawianie życia przestępcy nosi na sobie obok cech typowego aktu zemsty społecznej wszystkie cechy aktu zapobiegania powtórzeniu się przestępstwa ze strony tej jednostki w przyszłości. Wykonanie aktu kary kolektywnej (także na otoczeniu, szczególnie na dzieciach sprawcy), spełnia do pewnego stopnia nawet nowożytny postulat społecznej selekcyi (wszak czytamy u postglossatorów uzasadnienie: quia saepe solet filius similis esse patri). Kary kaleczące, stanowiące t. zw. talion symboliczny (odcięcie tego członka ciała, który był narzędziem przestępstwa), są oczywistem złączeniem obu myśli, samo stosowanie nazwy jus talionis do tych przypadków (choć może niezbyt ściśle) wskazuje na tendencyę prawa zrównania ich z tymi, przy których stosuje się odpłatę mechaniczną: »oko za oko, ząb za ząb«.

Kara więzienia w swych początkach (dzieje się to świadomie, czy nieświadomie) ma charakter kwalifikowanej kary śmierci, głodzenie więźnia, możliwie najgorsze warunki hygieniczne prowadziły, względnie miały prowadzić, do usunięcia więźnia, urzeczywistniały przeto ów postulat zapobiegawczy, właściwy karze śmierci.

Wystawienie u pręgierza i piętnowanie ma zabezpieczać społeczeństwo o tyle przed sprawcą, że jako jednostka, znana ze skłonności zbrodniczych, nie otrzyma tak łatwo sposobności do urzeczywistnienia zamiaru.

Tendencya do stosowania czystej odpłaty zjawia się z chwilą, gdy nie z powodów zasadniczych, lecz z powodu humanitaryzmu (z prawem karnem ściśle biorąc nie mającego nic wspólnego) zaczęto w karze ścieśnienia wolności widzieć tylko — ścieśnienie wol-

ności, jako dolegliwość, będącą celem dla siebie, kiedy obok tej kary zachowano tylko grzywnę i naganę jako środki karne wybitnie zaznaczające charakter reakcyi karnej jako odpłaty. Wprawdzie rozpowszechnione teorye karne, t. zw. względne, zdołały uzyskać pewne formowanie kary ścieśnienia wolności w kierunku poprawy, nadając tem samem karze pewien kierunek kryminalno-polityczny, wprawdzie przez to starano się do pewnego stopnia realizować postulat zabezpieczenia społeczeństwa przed przestępcą — przez jego poprawę, ale z jednej strony doświadczenie wykazało, że była to tylko teorya, a więzienie nie poprawia, lecz raczej demoralizuje, z drugiej znów strony poprawianie sprawcy, czy jakiekolwiek inne oddziaływanie na psychikę sprawcy w kierunku dodatnim nie da się, ściśle biorąc, podciągnąć pod pojęcie środka zabezpieczającego, działającego na sprawcę wprost przemocą fizyczną, przez wyodrębnienie go ze życia społecznego, dla celów ochrony grupy społecznej. Jakżeż przedstawiają się tego rodzaju środki zabezpieczające w ustawodawstwie współczesnem? Są niewątpliwie, ale bardzo starannie ukryte w szatę sprawiedliwej odpłaty. Które ustawodawstwo współczesne nie zna pojęcia powrotu do przestępstwa wraz z obowiązkowem zaostrzeniem kary, względnie zupełnie kategorycznem stosowaniem wyższego wymiaru ustawowego, które ustawodawstwo nie zna pojęcia przestępstwa zawodowego, względnie nałogowego, przyczem nie potrzeba już odcierpienia kary za taki sam czyn karygodny, ale wystarczy poprostu stwierdzenie, że sprawca z dokonywania przestępstw pewnej kategoryi zawód sobie stworzył, względnie dokonywanie takich przestępstw w nałóg u siebie wprowadził? Pojęcia te oczywiście dostają się do ustawy nie dla teoretycznego interesu, lecz poprostu dlatego, by nawiązać do stwierdzenia faktu niestosunkowy wobec wielkości szkody społecznej konkretnej wymiar kary.

Przypatrzmy się przepisom najbliższego nam kodeksu karnego austryackiego. Wszak recydywa (drugi powrót) przy kradzieży wywołuje tak dalece wyższą kwalifikacyę czynu, iż to, co normalnie przedstawia się jako przekroczenie, piętnuje ustawa już jako zbrodnię (§ 176, II a). Dla czego? Dla tego, by kara stosowna nie wynosiła od tygodnia do sześciu miesięcy aresztu (§ 460), lecz od sześciu miesięcy do roku, względnie pięciu lat więzienia (§ 178).

Jeżeli przy powrocie do przestępstwa możnaby konstruować zamiar ustawodawcy odstraszenia wyższemi karami przestępcę, który

nie reaguje na karę łagodniejszą (co nie bardzo da się zastosować do tych systemów prawnych, które znają recydywę bez poprzedniego odcierpienia kary, lecz zadowalniają się faktem wydanego wyroku)[1], to co powiedzieć o karach wyjątkowo surowych za przestępstwo zawodowe, choć po raz pierwszy odkryte: § 4 ust. austr. z r. 1881 o lichwie przepisuje karę aresztu ścisłego od sześciu miesięcy do dwu lat grzywnę do 6.000 kor. zamiast normalnej kary takiegoż aresztu do trzech miesięcy i grzywny do 1.000 koron. Wszak tutaj nie można mówić o niedostatecznej skuteczności cierpienia, związanego z pierwszem ukaraniem, bo go wcale nie było. Sprawa występuje najjaskrawiej przy przestępstwie z nałogu — kradzieży — mimo że sam fakt kradzieży ze względu na wielkość wyrządzonej czy zamierzonej szkody uzasadniałby karę do sześciu miesięcy aresztu (§ 460) — ustawa przepisuje kategorycznie karę od pięciu do dziesięciu lat ciężkiego więzienia (§ 179).

Złudzeniem byłoby przypuszczać, że ustawa w tych przypadkach liczy na możność poprawienia, czy odstraszenia przestępcy surowszemi karami, a doświadczenie uczy, że im częstszą jest recydywa, tem większa szansa dalszego powrotu do przestępstw. U kogo stwierdzamy nałóg, stwierdzamy, że skłonności zbrodnicze zapuściły w jego psychikę bardzo głębokie korzenie.

Cóż więc pozostaje? zwiększona mściwość społeczna, potrzeba silniejszej reakcyi, zwanej eufemistycznie sprawiedliwą odpłatą? Czynnik ten nie da się stosować jako argument tam, gdzie sprawca za poprzedni czyn odcierpiał swą karę — rachunek zamknięty, tymczasem bierzemy ten sam czyn jeszcze raz pod rozwagę jako moment przy wymiarze kary za czyn nowo na jaw wychodzący.

Sprawa wyjaśni się ponad wszelką wątpliwość, jeżeli dla porównania weźmiemy przepisy tych ustaw, czy systemów prawnych, które idą w konsekwencyach dalej, niż prawo austryackie. Nie potrzeba sięgać do ludów kultury pierwotnej, ani do historyi prawa, aby się przekonać, że społeczeństwa o silniejszym temperamencie i celowem działaniu złodzieja, który kilkakrotnie był za kradzież karanym, skazują na taką karę, która czyni go nieszkodliwym.

Jeżeli społeczeństwa pierwotne stosują karę śmierci, to nowożytne stosują dożywotnie zamknięcie, dożywotnie więzienie, (por. ust. Stanu Jowa Ameryki północnej z r. 1902, która przepisuje za

---

[1] Por. Code pénal francuski art. 56: quiconque ayant été condamné..

drugim powrotem do zbrodni (o ile poprzednie kary opiewały na lat trzy co najmniej) więzienie co najmniej lat 25 — ustawa poprzednia z r. 1900 przepisywała więzienie dożywotnie. W stanie Washington (ust. z r. 1903) i stanie Indiana (ust. z r. 1907) za drugim powrotem następuje zawsze więzienie dożywotnie).

Jaka w tem tkwi myśl? oto kara ta ma kombinować odpłatę odpowiadającą czynowi ostatniemu, z koniecznością zabezpieczenia społeczeństwa przed zamachami tej jednostki w przyszłości: jestto widoczna kombinacya dwu odrębnych zupełnie czynników — odpłaty i zabezpieczenia, nie mającego nic wspólnego z winą sprawcy, ani też z wyrządzoną społeczeństwu szkodą, lecz jedynie i wyłącznie z charakterem sprawcy — społecznie groźnym.

Oczywiście, że tam, gdzie recydywistę karze się na życiu, lub na całe życie pozbawia wolności, ten czynnik zabezpieczenia jako różny od odpłaty rzuca się w oczy, boć kara sama jako taka nie odpowiada poczuciu owej harmonii między winą i karą, którem kierujemy się przy próbach wyszukania proporcyj stanowiących podkład sprawiedliwego wyroku.

To samo na mniejszą skalę spotykamy w systemach europejskich współczesnych. Zdaje nam się, że stosujemy wyższy wymiar kary dlatego, ponieważ odpowiada to poczuciu sprawiedliwości, a mimo woli przy recydywiście, przestępstwie zawodowem, a zwłaszcza nałogowem dodajemy czynnik unieszkodliwienia choć czasowo niezbyt długo trwały.

To cofanie się przed radykalizmem pierwotnym czy współczesnym amerykańskim, konsekwentnie stosującym więzienie dożywotnie, wykazuje nowożytna zresztą i kryminalno-politycznie śmiała ustawa norweska.

§ 65 ust. norw. każe w przypadku dokonania większej ilości przestępstw pewnego typu zadać przysięgłym pytanie, czy sprawcę należy uważać za szczególnie niebezpiecznego dla ludzkiego społeczeństwa, dla życia, zdrowia lub dobra jednostek. Jeżeli przysięgli pytanie zatwierdzą, to wyrok ma zaznaczyć, że skazany pozostanie w więzieniu, jak długo zajdzie tego potrzeba, jednak po odbyciu kary (zasłużonej) nie poza trzechkrotną długość tego czasu i nigdy poza lat pietnaście, licząc od ukończenia kary.

W postanowieniu tem uderza po pierwsze — wahanie się, czy można człowieka sekwestrować na całe życie pomimo, że jest on niewątpliwie niebezpiecznym, jest to wątpliwość niezbyt logiczna,

skoro raz staje się na stanowisku, że dana jednostka jest niebezpieczną. Uderza dalej, że z pewną świadomością rozdziela się karę jako taką od zabezpieczenia, gdyż mówi się o odcierpieniu kary i liczy się czas zabezpieczenia od jej ukończenia. Równocześnie jednak owo zabezpieczenie ma się odbyć we formie — zamknięcia we więzieniu, w tem samem więzieniu, które przeznaczono na odbycie kary i w którem sprawca już swą karę odbył.

Jest to doskonały przykład dla wykazania, jak się pewne twory prawne przeobrażają, jak ów czynnik zabezpieczenia zaczyna się zwolna wydzielać, jeszcze przyczepiony formalnie, choć jego odrębność zasadniczą ustawa sama wyraźnie stwierdza. Do dalszej ewolucyi już jeden tylko krok. Oto wystarczy tylko orzec zupełną odrębność środków zabezpieczających, jako środków o charakterze administracyjnym a nie karnym, przeprowadzenie tych środków pozostawić nie sądowi, lecz władzy administracyjnej, zamknięcie zabezpieczające wykonywać oczywiście nie we więzieniu, bo do tego nie ma żadnego tytułu, ale w osobnych zakładach na ten cel przeznaczonych, wreszcie nie ograniczać wcale jego trwania. gdyż nie jest to kara, która kres jakiś przez sędziego wyznaczony mieć musi. (Oczywiście pomijam kwestyę, czy nieograniczone trwanie nie może być wyrównanem za pomocą warunkowego uwolnienia itp., bo są to kwestye oportunizmu i szczegółów, nie mających z głównemi liniami instytucyi nic wspólnego).

Do stanowczego kroku oczyszczenia kary z czynnikow zabezpieczających dochodzi instytucya, znana projektom austryackiemu, niemieckiemu i szwajcarskiemu — zupełnie odrębnych środków zabezpieczających.

Nie należy jednak sądzić, by krok ten był ostatnim. Przedewszystkiem kodyfikacye wspomniane proces ten oczyszczenia kary przeprowadzają tylko w przypadkach stosunkowo rzadkich, powiedzmy najbardziej rażących, dawny system stosowania kar wyższych (rzekomo z konieczności sprawiedliwej odpłaty) pozostać ma i w przyszłości przy przestępstwach zawodowych, nałogowych, przy powrocie do przestępstwa.

Wszak ten sam projekt austryacki, który mówi w § 38 o zabezpieczeniu przy recydywistach, zna także karę surowszą zasadniczo przy powrocie do przestępstwa, zna wymiar ustawowy w ramach o jedną czwartą podwyższonych (§ 62), zna pojęcie recydywisty powtórnego (§ 63), przyczem podkreśla tę samą tendencyę

(wspólne podłoże przestępstw) na to, by np. zamiast kary zwykłej kradzieży do sześciu miesięcy więzienia (§ 335) stosować karę do trzech lat (§ 336 l. 4), zna pojęcie zawodowego naruszania cudzej własności, na to by przy kradzieży móc stosować kryminał do lat pięciu (§ 337 l. 5), wzgl. do lat dziesięciu (§ 339 l. 3).

Projekt niemiecki jeszcze silniej wiąże się z tradycyami przeszłości. Skłonny do stworzenia środków zabezpieczających przy przestępcach o ograniczonej odpowiedzialności, wzgl. niepoczytalnych (§ 65), nie wyciąga dalszych konsekwencyi przy przestępcach normalnych, lecz dla tych, którzy popełnianie przestępstw traktują jako zawód, wzgl. w nałóg wprowadzili, przepisuje surowy wymiar kary, co szczególnie rzuca się w oczy przy występkach. Po myśli § 1 występkiem jest działanie, zagrożone więzieniem zwykłem, wzgl. aresztem wyżej trzech miesięcy. Po myśli § 89 przy jakimkolwiek występku, opartym na nałogu, wzgl. zawodowem dokonywaniu występku karę wymierzyć należy między dwu a dziesięciu latami kryminału (Zuchthaus). Dodajmy, że cały przepis § 89 obraca się koło myśli kombinowania owego niebezpiecznego charakteru sprawcy z poprzedniemi licznemi karami przez sprawcę już odcierpianemi Dodajmy także, że przy zwykłym powrocie do przestępstwa (§ 88) zna projekt niemiecki zasadniczo wyższy wymiar ustawowy kary. Są to szczegóły, wskazujące na jeszcze mniej zdecydowane stanowisko w kierunku oddzielenia zabezpieczenia od odpłaty, niż w projekcie austryackim.

Nie zmieni nic na fakcie tym okoliczność, że projekt niemiecki owych nałogowców i zawodowców każe zamykać w osobnych, specyalnie dla nich stworzonych zakładach karnych (Strafanstalten). Zakład karny jest zakładem, w którym odbywa się k a r ę, (proj austr., mówiący o »zatrzymaniu po odcierpieniu kary«, podkreśla wyraźnie, że ma to nastąpić w osobnym zakładzie, lub osobnym oddziale zakładu karnego). Najsilniej naprzód posunął się projekt szwajcarski (1908 art. 31). Spotykamy tam zupełnie śmiałe pociągnięcie: wielokrotnie karanego przestępcę, okazującego skłonność do zbrodni, rozpusty (Liederlichkeit) lub wstrętu do pracy, może sąd zamiast za ostatnią zbrodnię skazać na karę wolności, przekazać do zakładu zabezpieczającego, służącego wyłącznie do tego celu.

Jest w tem ujęciu kwestyi racyonalna rezygnacya z wszelkiej odpłaty, skoro kara na sprawcę wcale nie działa, jest oddzielenie

pojęciowe zabezpieczenia od kary przez podkreślenie, że zabezpieczenie nie ma mieścić w sobie kary, lecz wstępuje w miejsce kary.

Nie przeszkadza to jednak projektowi szwajcarskiemu znać specyalne traktowanie powrotu do przestępstwa w zakresie surowszego wymiaru kary (55): »wolno sędziemu nawet przekroczyć maximum ustawowego wymiaru kary, wyznaczonego dla danego przestępstwa, byle tylko nie przekroczyć maximum danego środka karnego«.

Z zestawienia tych wszystkich przepisów wynika, że ustawodawstwu trudno zerwać z tradycyą uwzględniania poprzedniego ukarania przy wymiarze kary, że ponadto z trudnością tylko odłączają się środki zabezpieczające od odpłaty.

W innym jeszcze kierunku proces ewolucyi okazuje pewną niedostateczność. Istotą zabezpieczenia jest gwarancya, iż przestępca, stanowiący trwałe niebezpieczeństwo społeczne, znajduje się w odpowiedniem zamknięciu i to oczywiście tak długo, jak długo trwa ów stan groźny. Z góry trwanie potrzeby przewidzieć jest oczywiście niepodobieństwem, dlatego nielogicznem jest ograniczanie okresu trwania zabezpieczenia pod względem czasu. Rozumieją to doskonale wszystkie trzy projekty, o ile chodzi o sprawców o odpowiedzialności ograniczonej lub niepoczytalnych, cofają się przed logiczną konsekwencyą, o ile chodzi o przestępców normalnych. Projekt austryacki zna lat dziesięć, szwajcarski dwadzieścia jako maximum takiego zamknięcia. Nie wchodźmy w pobudki, które operują frazeologią, mającą pokryć strach przed zbyt śmiałem pociągnięciem. Jest to cofanie się w połowie drogi, trybut złożony na ołtarzu przeszłości.

Nie da się również uzasadnić stosowanie środków zabezpieczających tylko do przestępców, którzy ostatnim razem dopuścili się zbrodni, lub co gorzej zbrodni pewnego gatunku (por. proj. austryacki: wyliczenie § 38). Zapytać należy, jaka zachodzi przeszkoda w stosowaniu tych środków do jednostek, które dopuściły się występku lub przekroczenia, wykazującego w sposób równie wyraźny jak zbrodnia niebezpieczny charakter sprawcy, czyż nie zależy kwalifikacya zbrodnicza bardzo często wyłącznie od okoliczności przypadkowej, jaką jest wysokość wyrządzonej szkody, czy kilka koron więcej lub mniej ma tutaj zaważyć na szali tam, gdzie

chodzi o rozstrzygnięcie o wartości etycznej jednostki, o wielkości społecznego niebezpieczeństwa, grożącego ze strony sprawcy?

Wszak przy stosowaniu środków kryminalno-politycznych takich, jak domy poprawy lub domy pracy przymusowej, nie krępujemy się wielkością kary, kwalifikacyą zbrodniczą czynu karygodnego, lecz wyłącznie zwracamy uwagę na kwestyę, czy sprawca odznacza się wstrętem do pracy.

Jest to więc dalszy krok do zrobienia przez prawo przyszłości, rozszerzenie środków zabezpieczających na wszelkie przestępstwa, o ile tylko sąd stwierdzi przy sposobności wydania wyroku charakter niebezpieczny sprawcy.

Jak widzimy ewolucya prawa ma przed sobą jeszcze bardzo otwarte pole:

1. Wyłączyć w zupełności z wymiaru kary czynnik zabezpieczający i stworzyć z tegoż odrębny zupełnie środek w walce z przestępstwem.

2. Wyłączyć z ustawy karnej konstrukcyę powrotu do przestępstwa jako okoliczności, wpływającej na wymiar kary, gdyż kara jako odpłata ma być załatwieniem tylko konfliktu między przestępcą a społeczeństwem na tle ostatniego przestępstwa. Odpłata czysta nie może się liczyć z tem, czy kara poprzednia poprawiła czy nie, czy sprawcę odstraszyła, czy pozostała bezskuteczną, są to rozważania, wychodzące poza ocenę indywidualnej winy in concreto.

3. Czynnik zabezpieczający zaznaczać się powinien nawet swą zewnętrzną postacią: zamknięcie zabezpieczające odbywać się powinno zawsze w osobnych zakładach.

4. Zamknięcie zabezpieczające jako mające na oku cel wyraźny: ochronę społeczeństwa przed niebezpiecznym sprawcą nie może być ograniczonem co do trwania, lecz ma trwać tak długo, jak tego wymaga potrzeba.

5. Zamknięcie zabezpieczające jest instytucyą, nadającą się do powszechnego stosowania tak przy przestępcach wyższej kategoryi (przy zbrodniach), jak i przy drobnej przestępczości; nadaje się do stosowania rozległego, skoro tylko bądź to poprzednie ukarania, bądź też inne czynniki wskazują na konieczność ochrony społecznej.

6. Zamknięcie ochronne jest zarazem instytucyą nadającą się w zupełności do zastąpienia wyższego wymiaru kary w przypadkach powrotu do przestępstwa.

II. Wynikiem wyłączenia odpłaty, oczyszczenia jej jest ko-

nieczność postawienia sobie pytania, czy taka odpłata, będąca poprostu tylko zamierzoną, czy rzeczywistą dolegliwością, jest konieczną, czy nie należy lepiej albo poprostu z niej zrezygnować, albo też ją zastąpić, zadowalniając się faktem, iż społeczeństwo się »zabezpieczy« przed przestępcą.

Darowanie kary mimo dokonania przestępstwa nie jest zjawiskiem bezwzględnie nowem, nowemi są dziś tylko motywa darowania kary, sposoby i przypadki stosowania. Darowanie kary (rezygnacya z odpłaty) dawnego typu miało charakter pewnego rodzaju premii, wynagrodzenia przestępcy za to, że albo nie doprowadził swego przestępnego działania do ostateczności, albo zapobiegł powstaniu szkody pomimo, że działanie przestępne w zupełności ukończył, albo wreszcie, że wynagrodził szkodę już wyrządzoną, zanim władza o przestępstwie się dowiedziała.

Są to znane typy: żalu przy usiłowaniu (usiłowanie zaniechane), czynnego żalu w ścisłem tego słowa znaczeniu i wreszcie czynnego żalu niewłaściwego, a właściwie instytucyi wynagrodzenia szkody.

Darowanie kary przy usiłowaniu w razie zaniechania zna wyraźnie k. k. niemiecki 1871 § 46, ust. norweska 1902 § 50.

Czynny żal przez odstąpienie jako postać ogólną zna k. k. duński 1866 § 54, do pewnego stopnia norweski § 59, 58, inne ustawy znają czynny żal przy niektórych tylko przestępstwach [1].

Wynagrodzenie szkody jako środek uchylenia karygodności ma wybitną tendencyę do zaniku.

Tu i owdzie spotykamy się z premiowaniem denuncyacyi (por. k. k. austryacki § 62, rosyjski § 127, japoński § 80 i 93, francuski Cp. § 266).

Wszystko to są przypadki, gdzie ustawodawca wchodzi do pewnego stopnia na pole oportunizmu ze względu albo na możność odwrócenia grożącego społecznej grupie niebezpieczeństwa, albo ze względu na załatwienie sprawy majątkowej między poszkodowanym a sprawcą (objawia się tu przy przestępstwach przeciw dobrom jednostki ta znana skłonność do ich bagatelizowania, która pierwotnie zostawiała ich ściganie zemście prywatnej, a dziś znaczną ich część pozostawia skardze prywatnej), oportunizmem procesowym znów

[1] Por. Makarewicz, Prawo karne ogólne 222—227.

tłomaczy się chęć kupienia sobie dowodów winy sprawców przez zapewnienie bezkarności współsprawcy — denuncyantowi.

We wszystkich tych przypadkach zachodzi bezkarność jako nagroda za pewne zachowanie się sprawcy w danej sytuacyi: wprawdzie dokonał lub chciał dokonać przestępstwa, ale przez następowe zachowanie się pozyskał przebaczenie społeczne. Tu nie stwierdza się, że odpłata jest niepotrzebną lub nawet niewskazaną, lecz uważając odpłatę za zupełnie zasłużoną i konieczną, rezygnuje się z niej, bo się z góry taką premię przyrzekło.

Mniej rozpowszechnioną, choć wcale nie nową jest instytucya warunkowego wstrzymania wykonania kary, z czem oczywiście łączy się zupełne jej darowanie w razie należytego zachowania się sprawcy w pewnym okresie czasu, czy powołamy się na dawne prawo węgierskie, czy średniowieczne niemieckie [1], czy w starem prawie chorwackiem [2], czy w praktyce sądów anglosaskich myśl przewodnia instytucyi jest ta sama: zachęcić sprawcę do poprawy przez przyrzeczenie mu bezkarności pomimo dokonania czynu karygodnego, byle w pewnym okresie czasu zachowywał się nienagannie. Jeżeli według typu poprzedniego bezkarność była nagrodą za zachowanie się przy dokonywaniu przestępstwa bezpośrednio, to bezkarność instytucyi warunkowego wstrzymania wykonania kary prowadzi do premiowania zachowania się w okresie znacznie dłuższym i już zupełnie bez związku z głównym czynem, z powodu którego kara powinnaby nastąpić.

Typ najnowszy, to rezygnacya z odpłaty, jako aktu społecznego bezcelowego, zbędnego lub nawet szkodliwego, rezygnacya bezwarunkowa, niezawisła od zachowania się sprawcy ani w czasie dokonywania przestępstwa, ani też po dokonaniu. Pewnego rodzaju bankructwem idei bezwzględnej odpłaty jest już tak rozpowszechniony system ograniczenia karygodności usiłowania do przestępstw najcięższych (zbrodni), wyjątkowych występków (wyraźnie przez ustawę oznaczonych) przy wykluczeniu przekroczeń. Z punktu widzenia subjektywnego nie da się to uzasadnić, gdyż subjektywizm nie kładzie wagi na sprawę pochodu zewnętrznego działania, lecz na nastrój sprawcy. Objektywizm, czyniący różnicę między przestępstwami ciężkiemi a mniejszemi, wytwarza właśnie atmosferę

[1] Vgl. Darst. Allg. T. III, 6 sq.
[2] Mitt. IKV. XXI, 25 sq.

lekceważenia pewnych przejawów przestępności. »Sprawa drobna, lepiej nie bawić się w karanie«. Jest to jednak odstępstwo od zasady bezwzględnej odpłaty, bardziej stanowcze, niż instytucya warunkowego wstrzymania wyroku, która z tego tytułu tylu ma nieprzyjaciół specyalnie w Niemczech, wśród ludzi wychowanych na filozofii Kanta, który domaga się kary w każdym poszczególnym przypadku jako kategorycznego imperatywu i Hegla, dla którego przestępstwo jest zaprzeczeniem bytu najwyższej istoty, zaprzeczeniem, które najśpieszniej zapomocą drugiego zaprzeczenia usunąć należy, a więc tylko przez konieczne ukaranie sprawcy.

To zobojętnienie na przestępstwo, to lekceważące machnięcie ręką na odpłatę występuje wybitnie w nowszych przedłożeniach: projekt austryacki nie karze usiłowania przy przekroczeniach najdrobniejszych (§ 13), karygodność usiłowania podżegania ogranicza do zbrodni, a więc bezkarnem jest namawianie bezskuteczne do występku i przekroczenia. Tu i ówdzie rezygnuje z kary nawet w razie dokonania, przy przestępstwach przeciw majątkowi na przedmiotach »prawie bez wartości« (§§ 343, 345, 347, 351, 405) lub na przedmiotach wartości najwyżej 2 koron (§ 346), wzgl. jednej lub trzech koron (§ 344) itp.

Dalej idzie projekt niemiecki, który zna bezkarność nawet d o k o n a n i a — w przypadkach »szczególnie lekkich«. »Szczególnie lekki« przypadek zachodzi wtedy, kiedy skutki czynu są bez znaczenia, wola zbrodnicza sprawcy jest mała, w miarę okoliczności wydaje się zasługiwać na uniewinnienie tak, że zastosowanie zwykłej kary ustawowej przedstawiałoby szczególną surowość (§ 83 II).

Również zobojętnieniem grupy społecznej tłomaczyć sobie należy wprowadzenie bezkarności w przypadkach retorsyi, tj. wzajemnego pokrzywdzenia napastnika przez pokrzywdzonego. Instytucya ta, znana już dawniej przy obrazie czci całemu szeregowi ustaw (k. k. duński 1866 § 219, węgierski 1878 § 275, bułgarski 1896 art. 237, rosyjski 1903 § 536, włoski 1889 art. 397), przedostaje się nawet do przestępstw ściganych z urzędu, do w s z e l k i c h uszkodzeń cielesnych. Myśl tę propaguje jedna z najnowszych ustaw, bo kod. norweski 1902 § 228, (przy lekkich uszkodzeniach mają k. k. niemiecki 1871 §§ 233, 199). Jakiż walor społeczny może mieć fakt, że pokrzywdzony także nie jest bez winy? tam, gdzie przestępstwo jest skargowo publicznem, tam niewątpliwie widzi społeczeństwo w dokonaniu tegoż szkodę dla siebie przedewszystkiem, a skoro

tak, to obaj sprawcy, którzy wzajemnie się uszkodzili, tem samem też naruszyli jakieś dobro społeczne, jakaż więc przyczyna bezkarności? Zadowolnienie się tłomaczeniem, że pokrzywdzony reagując na uszkodzenie, działał prawdopodobnie w afekcie, a więc w stanie zbliżonym do niepoczytalności, zaś napastnik, otrzymawszy sprawiedliwą odprawę od napadniętego, nie potrzebuje już sądu państwowego, jest to argumentacya, za którą kryje się skłonność do rezygnacyi z odpłaty przy każdej nadarzonej sposobności.

Rezygnacya z odpłaty wysuwa się jako postulat kryminalnopolityczny szczególnie silnie przy nieletnich. »Lepiej nie karać, niż karą zepsuć«, to hasło rozbrzmiewające dziś wyraźnie na zjazdach, poświęconych sprawie nieletnich, znajdujące swe echo w ustawodawstwie.

Jest to myśl zupełnie jasno postawiona w amerykańskiem ustawodawstwie dla nieletnich: rzeczą sędziego jest badać, czy leży w interesie dziecka, a tem samem państwa, by je karać: that in his opinion the good of the child and the interests of the State do not require a prosecution upon an indictment under the criminal law of this Commonwealth (ust. pensylwańska 1903 [1], por. także ustawy Colorado 1903 [2]).

Myśl ta przedostała się do najnowszych projektów.

Projekt austryacki zupełnie rezygnuje z kary, o ile chodzi o nieletniego (14 do 18 lat por. § 5), który dopuścił się przestępstwa, zagrożonego karą do trzech miesięcy ścieśnienia wolności lub grzywną do 1.000 kor,. a to z powodów nie wykazujących zepsutej natury (§ 54).

Jest to wyłom oczywiście drobny w zasadzie odpłaty, niemniej znamienny: stwierdza się zupełną odpowiedzialność sprawcy, nie karze się go jednak dla tego tylko, ponieważ dokonał przestępstwa drobnego i nie wynikającego ze zepsutej natury.

Darowuje się karę, bo dziecku i społeczeństwu jest z tem lepiej.

Jeżeli podobne przestępstwo wypływa już ze zepsutej natury sprawcy (arg. a contrario § 57 i 54), to sprawca nie ponosi także kary, ale w jej miejsce ma odbyć wychowanie przymusowe (§ 57).

Metoda czystego darowania kary nieletniemu (tak jak przeja-

---

[1] Por. Lenz, Die anglo-amerikanische Reformbewegung 212.

[2] Baernreither, Jugendfürsorge u. StrR. 292.

wia się w projekcie austryackim) nie rozpowszechniła się dotąd w Europie [1].

Spotykamy się za to bardzo często z czem innem, z drugą metodą: zastąpienia kary wychowaniem przymusowem. Spotykamy się z tem stanowiskiem w ust. bułgarskiej z r. 1896 art. 57, l. 5 zamiast więzienia, aresztu lub grzywny, w ustawie węgierskiej z r. 1908 § 24 i 17 (na wielką skalę), w ust. karnej rosyjskiej spotykamy rozróżnienie: nieletnich od dziesiątego do czternastego roku życia oddać można do domu wychowawczo-poprawczego zamiast skazywać na karę śmierci, robót przymusowych, zesłania na posielenie, domu poprawy, twierdzy, więzienia, natomiast nieletnich od czternastego do siedmnastego roku życia można oddać do zakładu wychowawczo-poprawczego tylko w miejsce: zesłania na osiedlenie, domu poprawy, twierdzy i więzienia (§ 55 l. 2).

Projekt niemiecki stosuje szeroko zasadę zastąpienia każdej kary ścieśnienia wolności przy nieletnich niżej lat ośmnastu: jeżeli czyn jest wynikiem głównie zaniedbanego wychowania, lub wogóle przyjąć należy, że zachodzi potrzeba środków wychowawczych, by sprawcę przyzwyczaić do życia zgodnego z ustawami, może sąd zarządzić przekazanie sprawcy do wychowania nadzorowanego przez państwo w miejsce kary. Wychowanie to może się odbywać w zakładzie wychowawczym lub poprawczym (§ 69, II).

Projekt szwajcarski 1908 wogóle nie zna prawie zupełnie kar dla nieletnich od lat czternastu do lat ośmnastu w razie popełnienia zbrodni (§ 11). Projekt rozróżnia kategorye następujące: *a*) zaniedbane wychowanie, wzgl. zepsucie moralne: sędzia oddaje do osobnego zakładu wychowania przymusowego na czas co najmniej roku, pozatem w miarę potrzeby nigdy poza lat dwadzieścia życia; *b)* zupełne zepsucie moralne, tak, że nie można nieletniego oddać do zakładu przymusowego wychowania, wzgl. nie może tam pozostać — sędzia oddaje go do osobnego zakładu poprawczego dla nieletnich na czas od trzech do dwunastu lat; *c*) z nieletnimi o odpowiedzialności zmniejszonej lub niepoczytalnymi postępuje się w miarę potrzeby i ich indywidualności; *d)* innych nieletnich (nor-

---

[1] Wspomnieć jednak wypada, że ust. bułgarska zastępuje karę aresztu lub grzywny — naganą (§ 57 l. 5), podobnie ust. węgierska 1908, § 19, o ile kara, na którąby nieletniego (12—18 lat) skazać można było, nie przekracza miesiąca więzienia, wzgl. więzienia stanu. Por. także § 55 ust. rosyjskiej — nagana dla nieletnich od 10—17 lat zamiast aresztu lub grzywny.

malnych, niezepsutych itp.) karze się naganą lub zupełnie odosobnionem zamknięciem od trzech dni do dwu miesięcy. W budynku, nie będącym ani domem kary ani domem pracy dla dorosłych, nieletniego zatrudnia się w odpowiedni sposób.

Przeważa w powyższem przedstawieniu zasada zastąpienia kary środkami wychowawczymi.

Klasycznym przykładem rezygnacyi z kary, jako bezcelowej, stanowi postępowanie z przestępcami nałogowymi według projektu szwajcarskiego 1908 art. 31.

Jeżeli skazany za zbrodnię na karę ścieśnienia wolności, który ma za sobą już wiele kar podobnych okazuje skłonność do zbrodni lub rozpusty, wzgl wstręt do pracy, może sąd zamiast kary ścieśnienia wolności zastosować oddanie do zakładu zabezpieczającego wyłącznie do tego celu służącego.

Jest to zatem najzupełniejsze pozostawienie na uboczu kwestyi sprawiedliwej dolegliwości, odpowiadającej przewinieniu, szkodzie społecznej i t. d., pozostaje zabezpieczenie się przed sprawcą.

Fala rezygnacyi z odpłaty, rozpoczęta z myślą premiowania przestępcy zrazu, później rozszerzona we formie warunkowej, zatacza kręgi coraz większe, obejmuje drobne przestępstwa, to znów retorsyę, występuje nakoniec potężnie przy przestępcach nieletnich.

III. Dogmatem prawa karnego teoretycznego jest, że działanie przedsięwzięte w obronie koniecznej jest działaniem prawnem, że fakt użycia obrony koniecznej jest okolicznością, wykluczającą bezprawność działania, a to dla tego, że jednostka napadnięta zastępuje niejako państwo w wypełnianiu zasadniczego obowiązku dostarczania swym obywatelom pomocy dla odparcia bezprawnego napadu. Z tych także powodów wolno użyć obrony koniecznej dla odparcia takiego napadu nie tylko od siebie samego, ale także od osób innych. obcych zupełnie, niepowiązanych żadnymi węzłami przygodnymi z obrońcą.

W przeciwieństwie do tego stanowiska obrony koniecznej przyjmuje się, że t. zw. wyższa konieczność, polegająca na poświęceniu obcego dobra prawnego dla ratowania własnego jest okolicznością, która nie zmienia nic na faktycznej bezprawności działania tego, kto bez winy po stronie danej osoby narusza jej dobra tylko dlatego, bo inaczej nie może uratować własnego z grożącego niebezpieczeństwa. Oczywiście liczy się tutaj prawo ze stanem psychicznym jednostki, znajdującej się w krytycznej sytuacyi i dlatego

odstępuje od karania. Oczywiście ograniczyć należy stosowanie wyższej konieczności do tej osoby, której niebezpieczeństwo grozi, a niepodobna rozszerzać tego dobrodziejstwa na przypadki pomocy udzielonej osobie trzeciej, gdyż w takim razie ów ratujący a osobiście nieinteresowany byłby samowolnym sędzią co do kwestyi, czyje dobro prawne należy zniszczyć czy naruszyć, a czyje od zniszczenia czy naruszenia ocalić. Do stworzenia takiego prawa, zdawałoby się, nie ma żadnej podstawy.

Wyższa konieczność stanowi zatem okoliczność, wykluczającą karygodność, ale nie wykluczającą bezprawności działania.

Jest to stanowisko przyjęte przez naukę, oświadcza się za niem, rzec można, communis opinio nowszych czasów.

Nie można powiedzieć, by ustawodawstwo dziewietnastego wieku zawsze obracało się ściśle w tych granicach, można nawet stwierdzić, że te jasne różnice między obu instytucyami często się zamazywały.

W całym szeregu ustaw spotykamy się z ujęciem obrony koniecznej nie jako aktu prawnego, lecz tylko jako aktu wyłączającego karygodność i tak ust. bawarska 1813 art. 125 używa zwrotu unsträflich, heska 47 straflos, hanowerska 78 nichtstrafbar, badeńska 85 mówi o Straflosigkeit, niderlandzka 1881 § 41 nicht strafbar, finlandzka 1889 III b. nicht zu bestrafen, duńska 1866 art. 40 straflos, nawet włoska 1889 art. 49 non e punibile, podobnie japońska 36.

Z uznaniem natomiast podkreślić należy stanowisko ustawy węgierskiej, zaznaczającej wybitnie różnicę między obroną konieczną, którą sprowadza się do okoliczności, wykluczającej poczytanie przestępstwa a wyższą koniecznością, o której się mówi, że spowodowane przez nią działanie nie jest karygodne (por. art. 79 i 80), podobnie ustawa bułgarska przy obronie koniecznej stwierdza, że nie ma przestępstwa (45), a przy wyższej konieczności nie karze się (46). Niewłaściwem jest także obniżanie znaczenia prawnego obrony koniecznej przez to, iż czyni się zawisłem od zaistnienia negatywnego warunku: »niemożliwem było wezwanie zwierzchności na pomoc« (ustawy partykularne niemieckie, a także ustawa portugalska art. 46, 2 i meksykańska 34, 8, II—IV), lub niemożliwości ucieczki (turecka 42). Odparcie bezprawnego napadu jest zawsze prawnem, o ile tylko było koniecznem, choćby inne możliwości nie były bezwzględnie wykluczonemi.

Z charakteru prawnego obrony koniecznej wynika możność

stosowania jej także do odparcia napadu, zwróconego przeciw osobom innym, jest to stanowisko powszechnie przez ustąwodawstwo przyjęte, prawie zawsze spotykamy się z formułą: »od siebie lub innych«. Wyjątek stanowi tylko ustawa hiszpańska (8, 5, 6) i dla Chile (10, 5, 6), które przeprowadzają pewne różniczkowanie między krewnymi a obcymi, przesuwając przez to punkt ciężkości z kwestyi prawa na kwestyę psychologiczną.

Sprawa wyższej konieczności jest za to, można powiedzieć, kwestyą otwartą dla ustawodawstwa; jeżeli w dziedzinie obrony koniecznej udaje się stworzyć pewne przeciętne zasady, to na polu wyższej konieczności spotykamy wahania się i różnorodność ujęcia niezwykłą. Przedewszysskiem stwierdzić wypada, że dla wielu ustaw jest to konstrukcya, a przynajmniej nazwa nieznana. Należą tu ustawa francuska, turecka, austryacka, niderlandzka. Praktyka radzić sobie musi z pojęciem, wytworzonem przez teoryę, a nieopracowanem przez ustawę, jak umie i może. Podciąga się, jak wiadomo, w Austryi wyższą konieczność pod przymus nieodporny (§ 2 g), nadając wyższej konieczności charakter wybitnego oddziaływania na psychikę, odbierając tem samem możność zimnej czysto rachuby w przypadku konfliktu między dwu interesami prawnemi.

Wyraźnie w kierunku psychologicznym pogłębia tę konstrukcyę kod. portugalski (44, 2), sprowadzający wprost wyższą konieczność do »nieprzezwyciężonego strachu«, a więc do stanu niemal bezprzytomności.

Typowem dla rozwoju nowożytnego jest rozszerzanie zakresu dóbr, które chronić można w stanie wyższej konieczności: punktem wyjścia była ochrona życia i ciała, jest to stanowisko zajmowane jeszcze przez kod. k. niemiecki (Leib oder Leben) przez § 54 odpowiadający przepisom kodyfikacyi partykularnych niemieckich; stanowisko to dzieli jeszcze ustawa duńska (§ 41), węgierska (§ 80), włoska: alla persona (§ 49, 3), natomiast czasy nowsze wykazują przedewszystkiem tendencyę do rozszerzenia na własność, finlandzka (III, § 10), norweska (§ 47), projekt niemiecki (67), następnie na wszystkie prawie dobra szczegółowo wyliczone lub ogólnie zaznaczone (por. ust. bułgarską 46, rosyjską 46, japońską 37, projekt szwajcarski 27, austryacki 10), choć dość wyraźnie niektóre kodyfikacye starają się wykluczyć cześć, gdzieindziej znów (proj. szwajcarski) z naciskiem podniesioną.

Charakterystycznem dla rozwoju jest także, że wolno pierwo-

tnie dla ratowania własnego dobra poświęcać wyłącznie tylko własność obcą, nigdy więcej (tak że stosunek pierwotny jest: dla ratowania własnego życia poświęca się cudzą własność. Jest to stanowisko zajęte przez ust. hiszpańską § 8, meksykańską § 34, II, Chile 10, 7, duńską 41).

Natomiast czasy nowsze tu także przynoszą wybitne rozszerzenie: a więc zaznacza się wyraźnie. że dla ratowania własnego życia wolno poświęcić życie obce (por. ust. bułgarską 46, rosyjską 46), pozatem przejawia się zasada t. zw. proporcyonalności, choć, podkreślić to należy, w dwojakiej formie: ściśle biorąc proporcyonalność zachodzi wtedy, kiedy poświęcam dobro, odpowiadające wielkością zagrożonemu, tymczasem cały szereg wspomina o tem, że dobro poświęcone ma być stosunkowo drobnem, a więc w stosunku do zagrożonego i ratowanego mniejszem: wynikałoby to z postanowień ustawy bułgarskiej 46 i rosyjskiej 46, norweskiej 47, projektu niemieckiago 67. Inny typ zaś przedstawiają te kodyfikacye, które kładą za warunek, by wyrządzona szkoda nie przewyższała wielkością tej szkody, której uniknąć chcemy. Postulat tego rodzaju wypowiada ust. japońska, mówiąca wyraźnie o stopniu szkody (§ 37) projekt austryacki (10), domagający się, by miara była zachowaną. Proj. szwajcarski załatwia kwestyę zapomocą ogólnikowego, choć wiele mówiącego określenia: »jeżeli od sprawcy nie można było żądać, by poświęcił dobro zagrożone« (27).

Dla rozwoju prawnego najwięcej zajmującym jest zwrot w sferze innej kwestyi: jak długo stoimy na stanowisku psychologicznem, na stanowisku, że od jednostki nie można domagać się heroizmu, by dla podtrzymania powagi prawa poświęcał swoje dobra, znajdujące się w niebezpieczeństwie, to oczywiście mamy na myśli zagrożenie indywidualne: najbardziej popularnie biorąc komuś grozi śmierć, chcąc się ratować, niszczy cudzą własność. Sytuacya zmienia się odrazu, gdy ustawa wprowadzi czynnik ochrony osób trzecich. Tutaj już nie wystarczy formuła dotychczasowa, tłomacząca dlaczego nie karzemy wyższej konieczności, wszak owej obcej interwencyi człowieka zupełnie nie interesowanego nie jesteśmy w stanie sprowadzić do jakiegoś psychologicznego przymusu, tu zachodzić musi inna podstawa bezkarności.

Może do wyjaśnienia sytuacyi posłuży zapoznanie się z tokiem ewolucyi prawnej. Kod. niemiecki, zgodnie z przepisami ustaw partykularnych (np. heską 45, badeńską 81), uważa za wskazane roz-

szerzyć pojęcie »osoby zagrożonej« także na pewne osoby z otoczenia (§ 52, II), spotykamy się tu nawet z dokładnem wyliczeniem tych osób: krewni i powinowaci, wstępni i zstępni, osoby związane stosunkiem adopcyi, wychowania, małżonkowie, rodzeństwo i narzeczeni (!), podobne stanowisko zajmuje kod. węgierski (§ 80 i 78), kod. bułgarski pozwala bronić osoby przynależne tylko przed utratą życia (§ 46) Byłby to niejako egoizm kwalifikowany, który kieruje sprawcą, popełniającym czyn karygodny, możnaby jeszcze dopatrzeć się uzasadnienia psychologicznego: »życie drogiej osoby jest nam równie bliskie jak własne«.

Z tą argumentacyą jednak zerwać musimy bezwzględnie z chwilą, gdy sobie uprzytomnimy przepisy kodyfikacyi najnowszych, mówiących wprost o uchyleniu niebezpieczeństwa od siebie lub innych, bez żadnego ograniczenia do krewnych. powinowatych i innych osób sercu drogich.

Jest to stanowisko ustawy rosyjskiej 1903 (46), finlandzkiej III § 10. duńskiej 41, norweskiej 47, włoskiej 49, 3. japońskiej 37, projektu szwajcarskiego 27, niemieckiego 67, austryackiego 10.

Stoimy zatem wobec zjawiska nowego: wolno dopuszczać się czynu zasadniczo karygodnego dla ochrony dóbr osób trzecich obojętnych. Mieliśmy do czynienia z czemś podobnem przy obronie koniecznej, tam tłomaczyło się to zjawisko poprostu zastępstwem społeczeństwa w ochronie dóbr prawnych przed bezprawnym napadem, tam sprawca był jakby społecznym funkcyonaryuszem służby bezpieczeństwa, był jakby surogatem władzy powołanej do iterwencyi i pomocy wobec bezprawia. Tutaj nie ma bezprawia, niebezpieczeństwo nie pochodzi ze strony jakiejś osoby, jakiegoś napastnika. lecz w regule od sił przyrody. Przyznajemy niejako sprawcy prawo wyboru między dobrami obcych sobie ludzi; mówimy mu: możesz pomóc Iksowi do zniszczenia dobra Ypsylona a ratowania własnego, możesz jednak także przypatrywać się groźnej sytuacyi Iksa spokojnie, a wtedy Iksa dobro zniszczeje, Ypsylona się uratuje«. Jaka jest tu ratio legis?

Szukajmy odpowiedzi w motywach nowszych kodyfikacyi. Uzasadnienie projektu austryackiego stawia kwestyę jasno: ustawodawca chce stworzyć obok pojęcia wyższej konieczności jeszcze drugie: koniecznej pomocy. Dabei kann es nach dem Gesagten keinen Unterschied begründen, ob der Handelnde zugleich derjenige ist dem die Verletzung droht, oder nicht. Die »Nothilfe« muss

grundsätzlich ohne jede Rücksicht auf das Verhältniss zwischen dem Bedrohten und dem Handelnden anerkannt werden. Gerade dass auch bei ausdehnender Interpretation des geltenden Rechtes eine dem Bedrohten ferne stehende Person nicht für straflos angesehen werden konnte, wenn sie den Bedrohten durch einen Eingriff in Güter eines Drittten rettet, hat sich als ein Mangel des Gesetzes erwiesen und muss zu schweren Konflikten zwischen Strafrecht und Etnik führen (Mot. 30).

Sprawa jest jasną: człowiek przychodzący z pomocą drugiemu, znajdującemu się w położeniu krytycznem, z konieczności naruszający dla jego ratowania dobra trzeciej osoby, nie może być pociągniętym do odpowiedzialności, bo stworzyłoby to konflikt między etyką a prawem karnem. W ten sposób dochodzimy do nowej konstrukcyi »koniecznej pomocy«. Motywa nie pogłębiają jednak tej konstrukcyi swem uzasadnieniem, nie zadają sobie pytania, dlaczego domaga się od nas odczucie etyczne bezkarności tego działania. Samo stwierdzenie wymogu etycznego nie jest wystarczającem, gdyż przypadki konfliktu między etyką a prawem karnem są dość częste, a nie zniewalają jeszcze do zmiany ustawy karnej: denuncyant działa nieetycznie, a jednak prawo karne zna dlą niego premie, co najmniej premię własnej bezkarności. Projekt austryacki, tak wybitnie stojący na stanowisku etyki, nie waha się nałożyć obowiązku denuncyacyi w § 241.

Dlatego nie można sprawy załatwić samem wskazaniem na etykę i możliwy konflikt. Uzasadnienia szukać należy w prądzie społecznym, który nazwaćby można solidaryzmem. Prawo nowożytne nakłada pewien obowiązek do działania na każdego, kto widzi bliźniego w niebezpieczeństwie, a tam gdzie nie stwarza obowiązku sankcyonuje przynajmniej prawo.

Projekt austryacki jest tej ewolucyi pojęć najlepszym dowodem. Wszak mamy cały szereg przepisów nowych zupełnie, dla których punktem wyjścia jest obowiązek niesienia pomocy bliźniemu. Obowiązki dotychczas prywatnoprawnej natury dostają się pod sankcyę prawa karnego: karygodnem jest zaniedbanie obowiązku utrzymania lub wychowania nieletniego niżej lat 21 (§ 256). Karygodnem pozostawienie kobiety przez siebie zapłodnionej podczas brzemienności i połogu bez pomocy (§ 257). Karygodnem jest niedostarczenie, lub zaniechanie przewozu żywności lub innych rzeczy

przeznaczonych do tego, by usunąć lub zapobiedz powszechnej katastrofie (§ 433).

Ustawa nakłada na każdego, kto zna jakieś okoliczności, mogące wyjść na korzyść oskarżonego lub skazanego, obowiązek podania ich do wiadomości sądu lub obwinionego (§ 192), nie chodzi tu więc o wymiar sprawiedliwości, lecz tylko o pomoc dla bliźniego, znajdującego się w niebezpieczeństwie poniesienia niezasłużonej kary.

Solidaryzm społeczny jest tu osią, około której obracają się przepisy karne. W tych warunkach zrozumiałem jest, że ustawa, mówiąc o pomocy koniecznej, udzielonej trzeciej osobie, zaznacza, iż nie pociąga za sobą kary, mniej jednak zrozumiałem jest, dlaczego nie czyni z niej wprost okoliczności, wyłączającej bezprawność, tylko karygodność.

Identyczne stanowisko co do pomocy koniecznej zajmuje uzasadnienie projektu niemieckiego (mot. str. 249), które z naciskiem podnoszą wyższą etyczną wartość działania człowieka, przychodzącego drugiemu z pomocą, od aktu własnej pomocy w chwili krytycznej. (Und wenn das eigene Interesse des Täters hinreichen soll, seine Handlung zu entschuldigen, so muss dies auch der Fall sein, wenn die sittlich höher stehende selbstlose Hingabe an das menschliche Wohi und die Rettung eines fremden Gutes in Frage kommen).

Projekt niemiecki jednak wyraźnie zaznacza, że działanie jednostki, udzielającej pomocy, jest prawnem, idzie bowiem tak daleko, że wogóle także i wyższą konieczność traktuje jako okoliczność, wykluczającą bezprawność czynu. Dzieje się to wprawdzie nie w tekście ustawy, lecz w uzasadnieniu, za to motywa są znamienne. (Der Entwurf steht auf dem Standpunkte, dass der Notstand Anspruch auf unbedingte Geltung hat und dass die Notstandshandlung rechtmässig ist (249).

Projekt niemiecki idzie oczywiście znów za daleko, gdyż odróżnić należy »wyższą konieczność«, opartą na czysto egoistycznych motywach, przyczem jakikolwiek interes społeczny nie gra żadnej roli od konstrukcyi »pomocy koniecznej«, opartej na solidaryzmie i wynikającej z współżycia społecznego, akt pomocy koniecznej leży wprost w interesie społecznym, wobec tego musi być faworyzowanym.

Proj. niemiecki, podobnie jak austryacki, zna obowiązki do pomocy stojące pod sankcyą karną: obowiązek do utrzymywania

(§ 306, l. 1), do udzielenia pomocy w czasie katastrofy, lub ogólnego niebezpieczeństwa na żądanie policyi lub jej zastępców (§ 308 l. 8) i t. p.

Ten ścisły związek między wprowadzeniem solidaryzmu do konstrukcyi pomocy koniecznej z jednej strony a stworzeniem całego szeregu obowiązków pomocy dla bliźniego, wzgl. sankcyonowania karami obowiązków dotychczas prywatno-prawnych zachodzi we wszystkich ustawach, znających pomoc konieczną.

Wystarczy przytoczyć ust. włoską, znającą (art. 205) kary na tego, kto w czasie katastrofy nie dopełnia obowiązku dostarczania środków żywności lub innych rzeczy koniecznych, por. analogiczny przepis ustawy norweskiej § 158.

Ust. norweska zna przestępstwa, zasadzające się na tem, iż mężczyzna, który w stosunku pozamałżeńskim zapłodnił kobietę, nie udziela jej pomocy w czasie ciąży i rozwiązania (§ 240), nie przeszkadza działaniu, skierowanemu przeciw płodowi lub życiu dziecka (§ 241), zna obowiązek służbodawców wypytywania się służącej, która według ich przypuszczenia znajduje się w ciąży, o jej stan, by ewentualnie zapobiec jakiemuś zamachowi przeciw życiu płodu (§ 388—389) itp.

Rozwój prawa, w kierunku stworzenia pomocy koniecznej idący, nie ukończył jeszcze swego procesu krystalizowania; wyraźnem jest, że trzy zasadnicze pojęcia: obrona konieczna, pomoc konieczna i wyższa konieczność nie zarysowały się dość wyraźnie w kodyfikacyjnej systematyce; pamiętać należy, że obrona konieczna jest okolicznością, wykluczającą bezprawność czynu, podobnie jak pomoc konieczna, natomiast niewłaściwem jest zaliczanie wyższej konieczności do tej samej kategoryi, w pierwszym przypadku mamy do czynienia ze spontanicznym aktem trzeciej osoby dla ratowania dóbr obcych zagrożonych, np. ratowanie tonącego, w drugim przypadku zachodzi tylko pomoc, współdziałanie obok osoby bezpośrednio zagrożonej: zachodzi tu stosunek taki sam, jak przy jakiejkolwiek pomocy do dokonania czynu przez ustawy karne przewidzianego. Działalność pomocnika ma tu także charakter akcesoryjny, nie będzie karanym, bo nie ulega karze działanie sprawcy głównego.

Systematyka tych trzech odrębnych typów odbije się w dziedzinie prawa karnego jeszcze tem, że jeżeli wobec obrony koniecznej jako aktu prawnego, aktu nadania powagi zagrożonemu prawu, nie ma możliwości prawnego odporu (nie ma obrony wobec obrony

koniecznej), to wobec pomocy koniecznej jako aktu wprawdzie z prawem zgodnego, ale nie mającego na oku podkreślenia autorytetu prawa, dopuszczalną jest tylko akcya, odpowiadająca stanowi wyższej konieczności, wreszcie wobec działania, powołującego się na stan wyższej konieczności, działania zasadniczo bezprawnego, choć nie karygodnego, w zupełności dopuszczalną jest obrona konieczna.

Jeżeli ktoś widząc tonącego spieszy mu na ratunek, spełnia akt pomocy koniecznej, skoro od małej łodzi, gdzie ułożył wyratowanego, odtrąca inną osobę również tonącą, dla której nie ma pomieszczenia na łodzi. Ta osoba może jednak wdać się we walkę, gdyż dla niej istnieje stan wyższej konieczności, ów ratujący jednak może walkę tę zakończyć zabiciem owej trzeciej osoby, gdyż akt owego tonącego jest bezprawnym, dopuszczającym obrony koniecznej.

Znaczenie tego rozróżnienia występuje wyraźnie w dziedzinie prawa prywatnego: za naruszenie praw prywatnych przy wykonywaniu obrony koniecznej, lub pomocy koniecznej nie odpowiada się wcale, odszkodowanie wykluczone, natomiast wyższa konieczność nie wyklucza roszczenia o odszkodowanie.

Znamiona ogólne przemian u ostatnich amonitów.

Napisał
Jan Nowak.

Wiadomo, że w utworach wieku pokredowego nie napotykamy już śladów życia amonitów. Przypuszcza się powszechnie, że amonity nie przetrwały ery mezozoicznej, lecz wymarły z jej końcem z przyczyn niedostatecznie dziś jeszcze znanych. W ostatnich czasach Steinmann mocno zachwiał podstawy tego przypuszczenia. Doszedł on do przekonania, że owo rzekome wyginięcie gatunków z dawnych epok geologicznych jest fikcyą, wynikłą z fałszywego ustawienia podstawy czysto zoologicznej współczesnej systematyki paleontologicznej. Systematyka ta mianowicie wiąże genetycznie współczesny świat zwierzęcy w jeden system, nie uwzględniając historycznych podstaw jego rozwoju, skutkiem czego pewne ogniwa łańcucha rozwojowego znane tylko z historyi, t. j. w stanie kopalnym, rwą się w pewnem stadyum swego rozwoju. Jeżeli jednak w schemat klasyfikacyjny wciągniemy również momenty historyczne, okaże się, że owo przypuszczalne wyginięcie jest niczem innem, jak tylko zmianą w typ dotychczas istniejący.

Około tych wywodów, jak i przykładów Steinmanna, rozwinęła się obszerna i zacięta nieraz dyskusya, lecz i dziś jeszcze sprawa jest daleka od ostatecznego rozstrzygnięcia. Wydaje się słusznem przypuszczenie, że czy to brak amonitów w osadach pokredowych nazwiemy wymarciem, czy też przemianą w typy bezskorupowe, które dały początek formom współczesnym, musiał on się przygotowywać przez pewien przeciąg czasu i że ślady tego przygotowywania powinniśmy na ostatnich epigonach tego typu odcyfrować. Praca w tym kierunku winna nas nęcić także i z tego względu, że gdyby się okazało, iż takie przygotowywanie nie istnieje wprost,

lub nie da się zauważyć, zdobylibyśmy podstawy dla hipotezy, że przecięcie nici życia amonitów, lub tylko istnienia ich w swej formie historycznej odbyło się z nagła, katastrofalnie niejako, i nie było ostatecznym, konsekwentnym wynikiem dłużej trwającego procesu.

Tych zagadnień zamierzam dotknąć na podstawie amonitów z górnej kredy w Polsce.

Będę omawiać wyłącznie te rodziny i rodzaje, które bądźto mają reprezentantów bezpośrednich w kredzie polskiej, bądź należy o nich wspomnieć ze względu na ich pokrewieństwa z amonitami polskimi. Natomiast nie będę poruszał tych rodzajów, które, jak południowe »kredowe ceratyty«, są materyałem dla naszego zagadnienia niezmiernie ciekawym, na naszym terenie jednak nie występują, nadto nie posiadam odpowiednich okazów, aby sobie o stosunkach ich pokrewieństwa wyrobić zdanie samodzielne.

Wspomnę najpierw ogólnie, że najwięcej pomyłek we wzajemnem wyprowadzaniu rodzajów młodszych od starszych i w łączeniu ich w większe grupy, jak rodziny i podrodziny, wynikło z zasady uwzględniania przedewszystkiem jednej cechy jako postawy systematycznej. Taką w ostatnich czasach była linia lobowa. Zobaczymy później, że pewien rys linii lobowej, czyli zatokowej powtarza się stale w rozwoju licznych rodzajów. Stąd powstaje zbieżność, która stała się podstawą łączenia tych wszystkich form, zresztą pomiędzy sobą zewnętrznie różnych w jedną rodzinę. Czasami forma zewnętrzna skorupy kazała bezwzględnie wyprowadzać pewien rodzaj od pewnych przodków, linia lobowa natomiast okazywała konwergencyę z innym rodzajem, przydzielano go więc do tegoż.

Do stwierdzenia błędności tej zasady i do wykazania wypadków, gdzie ona była błędna, znalazłem oparcie w samych amonitach i to oparcie niezawodne. Śledząc rozwój osobnikowy różnych rodzajów amonitów interesujących mnie bliżej, doszedłem do przekonania, że w tym rozwoju dadzą się stwierdzić pewne prawa.

Najgłówniejsze z nich jest to, że z wyjątkiem nielicznych tylko rodzajów górnokredowych, które w tym względzie nie ulegają zmianom zupełnie, linia zatokowa o lobach w zasadzie trójdzielnych zmienia się w ten sposób, iż loby stają się d w u d z i e l n e.

Sposób powstawania tej zmiany ma również swoją ścisłą prawidłowość, objawiającą się następująco: Pierwsze linie zatokowe są w regule zbudowane z lobów trójdzielnych; po pewnym czasie

zatoka zewnętrzna zaczyna przybierać, najpierw niewyraźnie, a w następnych liniach coraz wyraźniej wygląd dwudzielny, aż dochodzi do zupełnie wyraźnej dwudzielności. Później nieco, niż pierwsza, zaczyna to samo robić zatoka druga, czyli pierwsza boczna, od tej jeszcze później trzecia, od tej znowu później czwarta i t. d. aż do ostatniej. Przeczuwałem, że ta sama zasada istnieje również i dla rozwoju rodowego. Praca w kierunku sprawdzenia słuszności tego przypuszczenia wydała zadowalające i nadspodziewanie obfite wyniki. Okazało się bowiem, że liczne rodzaje z dolnych i średnich piąter kredy, posiadające zatoki trójdzielne, które rzekomo wyginęły, mają swych następców w piętrach wyższych, ale o lobach dwudzielnych. Fakt ten można było stwierdzić niezawodnie na rozwoju osobnikowym, gdyż w tych wypadkach amonit posiadał tylko ostatnie linie lobowe dwudzielne, natomiast na zwojach wewnętrznych były one successive trójdzielne, ściśle wedle omówionego powyżej porządku.

Z tego wynikło ogromne rozszerzenie i pogłębienie znanej już dawniej a w wielu wypadkach przeczuwanej zasady, że nie wszystkie amonity, posiadające linię lobową o zatokach dwudzielnych są ze sobą blisko spokrewnione, a czasem nawet wręcz przeciwnie, stoją od siebie bardzo daleko.

Pod powyższym kątem widzenia przebiegnę pokrótce systematyczne grupy naszych amonitów górnokredowych.

Z góry zaznaczę, że w rodzaju *Phylloceras* i rodzinie *Desmoceratidae* zmiany tego rodzaju nie istnieją, a w rozwoju ich linii zatokowych żaden bijący w oczy postęp od pierwszych do ostatnich reprezentantów nie da się stwierdzić. Czasem nawet wśród nich da się zauważyć u młodszych reprezentatów rodów pewne uwstecznienie w porównaniu z przodkami. Odnosi się to przedewszystkiem do *Phyllocerasów* z najwyższej kredy.

W rodzinie *Lytoceratidae* wyróżnia się zazwyczaj formy normalne i formy mniej lub więcej rozkręcone. Przedstawicieli występujących w wyższych poziomach kredy wydzielono osobno, jako rodzaje *Gaudryceras* i *Tetragonites*, u nas znaleziono je dotychczas wyłącznie tylko w kredzie karpackiej. Jeżeli obserwujemy ich linie przegrodowe np. u Kossmata [1], zauważymy wśród nich pewną nierównomierność. I tak np. *Tetragonites epigonum* (tab. XVII, 10) ma

[1] Beiträge z. Paläontologie Öst.-Ung. IX.

wszystkie zatoki dwudzielne; jednak już linia tego samego gatunku, ale z mniejszego (młodszego) okazu fig. 7 a ma tylko pierwszą zatokę wyraźnie dwudzielną, inne natomiast niewyraźnie tylko są dwudzielne, lub nawet wprost trójdzielne. *Tetragonites Cala* (tab. XVII, 12 d) wykazuje linię przegrodową tylko z zatoką zewnętrzną dwudzielną, wszystkie inne natomiast są wprost trójdzielne, tak samo *Gaudryceras Odiense* (tab. XVIII, lc.). Takich przykładów z literatury łatwo dziś cytować bardzo wiele. Wiemy jednakowoż, że litocerasy dawniejsze okazują w tym względzie głęboką różnicę. Pomijam już ten wzgląd, że mają one tylko dwie zatoki, podczas gdy *Gaudrycerasy* i *Tetragonity* mają ich więcej, gdyż jesteśmy u amonitów do tego przyzwyczajeni, że ilość członów z postępem epok geologicznych się zwyczajnie pomnaża. Daleko ważniejszem jest, że u starszych litocerasów mamy zatoki wyłącznie d w u d z i e l n e, podczas gdy wymienione szczegóły linii lobowej u reprezentantów młodszych wskazują na swe pochodzenie od amonitów, które w zasadzie posiadały zatoki t r ó j d z i e l n e.

Z tego wysnuwam przypuszczenie niezmiernie prawdopodobne, że mimo wszystkie inne cechy zewnętrzne, które przemawiają za łącznością genetyczną obu typów, *Gaudrycerasy* i *Tetragonity* nie pochodzą od starszych litocerasów.

Takie postawienie kwestyi ma swoją dalszą doniosłość. Wiadomo, że początków litocerasów należy szukać wśród dawniejszych amonitów o lobach trójdzielnych. Ponieważ, jak się to okaże poniżej, nietylko *Gaudrycerasy* i *Tetragonity*, ale żaden inny rodzaj z amonitów górnokredowych nie może być uważany za pochodny od owych litocerasów właściwych, nasuwa się przypuszczenie, że dwudzielność lobów jest ostatnim etapem w rozwoju całego tego phyllum, etapem, z którym istnienie szeregu się kończy. Nie chcę iść za daleko. Zadowalam się przeto stwierdzeniem współistnienia, równoległości obu zjawisk.

Do rodzaju *Lytoceras* zaliczono szereg form nienormalnych, a przedewszystkiem amonitów rozkręconych. Są to rodzaje *Macroscaphites, Pictetia, Hamites, Turrilites, Baculina, Baculites.* Z tych wszystkich jednak form jedyna tylko *Pictetia* według wszelkiego prawdopodobieństwa łączy się rzeczywiście z litocerasami właściwymi. Inne natomiast nie należą tu zupełnie niewątpliwie.

Przydzielenie tych form do litocerasów odbyło się na podstawie dwudzielności ich lobów. W ostatnich jednak czasach przeciw

5*

takiemu postawieniu kwestyi poczęły się piętrzyć coraz większe trudności. Wprawdzie bowiem bakulity górnokredowe mają niewątpliwie loby dwudzielne, jednakże ponieważ dolnokredowy bakulit *neocomiensis* posiada loby trójdzielne, Lory [1] utrzymywał, że formy górnokredowe nie mogą pochodzić od *neocomiensis*, wydzielił więc ten ostatni jako osobny rodzaj pod nazwą *Bochianites*. Jednakże musi w tym wypadku zwracać uwagę istnienie typów pośrednich, występujących w kredzie środkowej, które mają jeden lobus dwudzielny, drugi zaś trójdzielny. Rozstrzygnięcie jednak sprawy nie dało na się długo czekać, znalazłem bowiem w zbiorach wiedeńskiego Muzeum Nadwornego okaz bakulita cenomańskiego, który w części młodszej posiadał loby trójdzielne w starszej zaś dwudzielne, które się z tamtych widocznie rozwinęły. Tak więc *Baculites* wraz z *Bochianitem* nie stoi w żadnym genetycznym związku z rodziną litocerasów i musi być odniesiony do rodziny *Cosmoceratidae*.

Dodam tylko krótko, że podobnie zupełnie ma się rzecz i z wyliczonymi powyżej rodzajami amonitów rozkręconych. Odpowiednie wywody podałem w swej pracy o amonitach górnokredowych w Polsce [2].

Powszechne jest zdanie, że rodzina *Oppelii* kończy swój żywot w kredzie dolnej. W cenomanie naszego Podola występuje amonit *Forbesiceras obtectum*, którego rodzaj jest dalszym ciągiem *Oppelii*. Faktem jest, że po pierwsze rodzaj ten nie sięga w kredę górną wyżej, niż do cenomanu, a po drugie, że podczas gdy *Oppelie* właściwe mają loby trójdzielne, *Forbesiceras* ma je dwudzielne. Znów jednak powtarza się jota w jotę to samo, cośmy stwierdzili na *Gaudrycerasach* i *Tetragonitach*. Loby okazu dorosłego (np. u Pervinquière'a, str. 111 [3]), pierwszy i drugi są dwudzielne, natomiast u okazu młodego (str. 110) tylko pierwsza zatoka jest dwudzielna, druga natomiast jest trójdzielna. Widzimy tu zatem znów ową dziwną zbieżność faktu dwudzielności lobów obok urwania łańcucha rozwojowego.

Podobnie, jak w rodzinie poprzedniej, rodzina *Stephanoceratidae* kończy rzekomo swój żywot z końcem kredy dolnej. Pewną

[1] Travaux labor. géol., Grenoble, 1897.
[2] Bulletin Ac. sc. Kraków, 1913.
[3] Etudes de pal. Sunraienne, Paris, 1907.

senzacyę więc wywołało odkrycie Kossmata, gdy w górnej kredzie indyjskiej odkrył formę, która zupełnie przypominała Stefanocerasy jurajskie lub dolnokredowe. Formę tę zaliczył Kossmat do tejże rodziny i nazwał *Olcostephanus superstes*. Pervinquière jednak z uwagi na dwudzielne loby utrzymywał, że amonity tej grupy zupełnie nie łączą się z *Stephanocerasami*, które mają loby trójdzielne, lecz z *Acantocerasami* i nazwał je *Fagesiami*. W cytowanej pracy zebrałem wszelkie poszlaki, wskazujące, że dwudzielność lobów tej, jak i pokrewnej grupy *Vascocerasów*, nie jest pierwotna, lecz pochodna, wyrobiona podczas rozwoju w epokach geologicznych, a więc mimo wszystko te formy są dalszym ciągiem *Stephanocerasów*, a nie *Cosmocerasów*. Przetrwały one tylko do turonu. W tym wypadku uderza nas znów fakt urywania się szeregu rozwojowego, któremu towarzyszy wyrobienie linii lobowej o zatokach dwudzielnych ze zatok pierwotnie trójdzielnych.

Stephanoceratidae przeszły jednak do kredy górnej jeszcze i w innej formie. Mianowicie na rozwoju pewnej grupy *skafitów* górnokredowych można stwierdzić, że ich linia lobowa o zatokach dwudzielnych pochodzi z takiejże o zatokach trójdzielnych, nie różniącej się niczem od zatoki *Stephanoceratidów*, że nadto ich forma zewnętrzna skorupy żywo przypomina tę samą grupę. Te skafity nazwałem *Holcoscaphitami*. Na tej odnodze, która nie przetrwała prawdopodobnie tylko do turonu da się obok zmiany lobów na dwudzielne stwierdzić jeszcze zjawisko przechodzenia w formę nienormalną komory mieszkalnej jako towarzyszące urywaniu się szeregu.

Przechodzę do ostatniej, najpotężniejszej rodziny *Cosmoceratidae*. Pierwszym, który wśród niezmierzonej ilości form reprezentantów tej grupy pewien ład zaprowadził, był Neumayr. Wydzielił on tu cztery rodzaje: *Hoplites*, *Acanthoceras*, *Schloenbachia*, *Stoliczkaia*. Douvilè zauważył jednakże, że wśród *Acanthocerasów* są formy o lobach trójdzielnych i takież o lobach dwudzielnych. Sądził przeto, że pierwsze z nich, które później nazwał Grossouvre [1] *Douvilleicerasami* łączą się z Hoplitami właściwymi, drugie natomiast nic z tamtymi nie mają wspólnego i połączył je z innemi jeszcze formami w rodzinę *Acanthoceratidae*. Temi innemi formami były między innemi amonity, które Meek nazwał *Mortonicerasami*, a które

[1] Ammonites de la craie super., Paris, 1893.

miały wygląd zewnętrzny *Schloenbachii*, linię lobową jednak o lobach dwudzielnych. Otóż podobnie jak na przykładach cytowanych poprzednio, tak i w tych obu wypadkach dwudzielność linii lobowej jest wtórną i na *Acanthocerasach* można wykazać, że ich młodzieńcze zwoje mają loby trójdzielne, a dopiero na okazach dorosłych są one dwudzielne. To samo zdołałem stwierdzić na *Mortoniceras inflatum* w zbiorach Picteta uniwersytetu w Lozannie. W tym samym stosunku do *Schloenbachii*, jak *Mortonicerasy* stoją również rodzaje *Brancoceras*. *Peroniceras*. *Prionotropi* i *Mammites*, mające również linie lobowe o zatokach dwudzielnych, które powstały z lobów trójdzielnych.

Obok pochodnych od *Hoplitów*, *Schloenbachii* i *Acanthocerasów* mamy jeszcze inne odgałęzienia tej rodziny, na których również nasze prawo możemy stwierdzić. Do nich należy przedewszystkiem średniokredowy rodzaj *Stoliczkaia*, dla którego ten objaw jest równoczesny z zakończeniem szeregu, podobnie jak w kilku wypadkach, omawianych powyżej. Podobnie też inny rodzaj wychodzący z pnia Hoplitów, mianowicie *Hoplitoides*, zmieniający podobnież loby na dwudzielne, przetrwał prawie aż do końca kredy, lecz w ostatnich jej poziomach już nie jest znany.

W końcu należy tu jeszcze wymienić pochodne od *Hoplitów* nienormalne formy amonitów. Do tych należą wspomniane wyżej *Baculity*, dalej *Criocerasy*, *Ancylocerasy*, *Toxocerasy*, *Hamity*, *Hamuliny*, *Turrility*, a wreszcie *Scaphity*. Już u najstarszych autorów, np. u Picteta znajdujemy pogląd, że formy rozkręcone odznaczają się tem, iż mają loby trójdzielne, młodsze zaś dwudzielne. Pogląd ten jednakże w miarę postępu spekulacyj filogenetycznych pozostał w zapomnieniu. Obecnie możemy ustawić kilka prawdopodobnych szeregów, które na początku będą miały formy lobów trójdzielne, a w miarę postępu w epokach geologicznych zmieniają je na dwudzielne. Takimi szeregami są *Hamulina-Ptychoceras-Hamites*, *Crioceras-Ancyloceras-Anisoceras*, *Turrilites-Helicoceras-Heteroceras* i *Bochianites Baculites*. Z tych szereg *Turrilites-Heteroceras* kończy swe istnienie wedle dotychczasowych danych w przedostatniem piętrze kredy, inne natomiast dotrwały aż do końca tego systemu.

Widzieliśmy powyżej, że już rodzina *Stephanocerasów* dostarcza w jednej ze swych odnóg form skafitowych. Z rodziny Hoplitów aż dwie odnogi naśladują ją w tym względzie, mianowicie odnoga *Acanthocerasów* i *Hoplitów* sensu stricto. W ten sposób obok

Holcoscaphitów posiadamy również *Hoploscaphity* i *Acantoscaphity*, podczas gdy jednak pierwsza z nich nie utrzymała się do końca kredy, dwie ostatnie, a przynajmniej grupa *Hoploscaphitów* znajduje się jeszcze w najwyższem piętrze kredy.

Z powyższego przedstawienia wynika więc niedwuznacznie, że zakończeniu łańcucha rozwojowego całego szeregu rodzin i rodzajów ostatnich amonitów jużto pomiędzy sobą bliżej lub dalej spokrewnionych, już stojących nieraz filogenetycznie bardzo od siebie daleko, towarzyszy niezmiernie ciekawy rys rozwoju, dający się krótko ująć: przegrody o zatokach trójdzielnych zmieniają się na takież o zatokach dwudzielnych. Odpowiedź tedy na pytanie ogólne, któreśmy sobie na początku niniejszej rozprawki postawili, musi wypaść twierdząco. Przeważna część ostatnich amonitów okazuje wcześniej lub później, przed końcem swego szeregu rozwojowego zmiany, idące w jednym kierunku. Tym zwrotem rozwoju musiała rządzić przyczyna wspólna, która go przygotowywała. Czy ta przyczyna leżała wewnątrz amonitów, w ich organizacyi, czy też poza nimi, w zewnętrznych warunkach ich rozwoju — winna okazać przyszłość.

Badania nad restytucyą u rozgwiazd morskich.

Napisał
Józef Nusbaum-Hilarowicz.

I.

Część historyczna.

W r. 1703 Edw. Shwyd (Linck, »De Stellis marinis« Lipsiae 1703) pierwszy, zdaje się, stwierdził u rozgwiazd wysoko rozwiniętą zdolność regeneracyjną; nie badał jednak przedmiotu doświadczalnie. Eksperymentalnie stwierdził ten fakt Réaumur w r. 1742. Wkrótce potem Guettard i B. Jussieu wykonali szereg doświadczeń nad regeneracyą promieni u rozgwiazd. Bonnet (Contemplation de la nature 1764), a głównie J. Walch badali dokładniej ten przedmiot (Walch J. E. J., Abhandlung von der Reproduktion der Seesterne. Der Naturforscher, 4 Stück, Halle 1774). J. Cuvier (Regne animal t. 4. 1817) nie tylko przypisuje rozgwiazdom zdolność odradzania utraconych części, ale i dla każdego promienia stwierdza zdolność wytwarzania całkowitego osobnika. Lamarck (Histoire des animaux sans vertebrès t. 2. 1816), Schweiger (Handbuch d. Naturg. der skeletlosen Tiere, 1820), Oken (1835) i M. H. Milne-Edwards (Leçons sur la physiologie t. 9. 1840) sądzili, że regeneracya promienia jest tylko wówczas możliwą, gdy wraz z nim zachowała się też nienaruszoną część tarczy; to samo przypuszczał sir J. Graham Dalyell, który opisał u Asterias rubens rozwój rozgwiazdy z jednego ramienia (J. G. Dalyell, The Powers of

[1] Obszerną pracę o tym przedmiocie ogłoszę wkrótce wspólnie z D-rem M. Oxnerem, asystentem Instytutu Oceanograficznego w Monaco, w Archiv f. Entwicklungsmechanik der Organismen wyd. przez W. Roux. Tamże załączę liczne tablice rysunków.

the Creator, V. I. London 1851). Tenże autor a także Forbes (1841) opisali postać zregenerowanego promienia rozgwiazdy, który wyglądał jak kometa, a szczególniej E. v. Martens (Ueber ost-asiatische Echinodermen, Arch. f. Nat. 32. 1866 oraz Ueber das Wiedererzeugungsvermögen bei Seesternen. Sitz. Ber. d. Gesell. naturf. Freunde zu Berlin 1884) i E. Haeckel (Die Kometenform der Seesterne. Zeisschr. f. wiss. Zool. Bd. 30. 1878) opisali taki, do komety podobny regenerat u rozgwiazdy Linckia multiforis, która odznacza się wielką zdolnością regeneracyjną i była przedmiotem wielu badań w nowszych także czasach, jak np. Kelloga (Restorative Regen. in Nature of Linckia diplax. Journ. of Exper. Zool. 1904), Monksa (1903), P. i F. Sarasinów (Ergebnisse naturwiss. Forschungen auf Ceylon. Wiesbaden 1888), a głównie C. Richtersa 1912 (Zur Kenntnis d. Regener. bei Linckia. Zeitschr. f. Wiss. Zool. Bd. C. H. I.).

W r. 1875 Sars (Researches on the Structure and Affinity on the genus Brisinga. Christiania 1875) opisał szereg doświadczeń nad regeneracyą promieni u rozgwiazdy Brisinga. Simroth (Anatomie u. Schizogonie der Ophiactis virens. Zeitschr. f. wiss. Zool. Bd. 28. 1877) opisał tworzenie się nowych tkanek w znajdywanych w przyrodzie regeneratach wężowidła Ophiactis virens, dochodząc do wniosku, że »Die geronnenen Lymphzellen erhalten Kerne, vermehren sich und stellen das gesammte Material vor, aus dem die neue Körperhälfte geformt wird«.

Z nowszych prac nad regeneracyą rozgwiazd i ściśle z niemi spokrewnionych wężowideł oraz liliowców, zasługują na uwagę następujące: badania Heleny Dean King z r. 1898 (Regeneration in Asterias vulgaris. Arch. f. Entwicklungsmechanik der Organismen. Bd. VII.) oraz tejże autorki praca z r. 1900 (Further Studies on Regeneration in Asterias vulgaris. Archiv f. Entwickelungsmech. d. Org. Bd. IX.), praca C. Dawydowa z r. 1901 (Beiträge zur Kenntnis der Regenerationserscheinungen bei den Ophiuren. Zeitschr. f. wiss. Zool. Bd. LXIX. 2), A. Reichenspergera z r. 1912 (Beiträge zur Histologie und zum Verlauf der Regeneration bei Crinoiden. Zeitschr. f. wiss. Zool. Bd. CI. H. 1—2). wymieniona wyżej praca C. Richtersa z r. 1912 (Zeitschr. f. wiss. Zool. Bd. C. H. I.) i wreszcie rozprawa J. Schapiro z r. 1914 (Ueber die Regenerationserscheinungen verschiedener Seesternarten. Archiv f. Entwicklungsmech. d. Organismen. Bd. XXXVIII. H. 2). Jak widzimy, liczba

najgłówniejszych prac nad omawianym przedmiotem, pomimo wielkiej jego ważności i dużego interesu naukowego, bardzo jest stosunkowo nieznaczna.

Najważniejsze wyniki badań Heleny Dean King (1898, 1900) nad regeneracyą rozgwiazdy Asterias vulgaris są następujące. Jeżeli rozgwiazda zostanie podzielona na dwie części przez przecięcie jej tarczy, to każda część zregeneruje i wytworzy normalne indywiduum; pojedyńcze promienie, tuż przy tarczy odcięte, nie są zdolne do odradzania całego zwierzęcia; szybkość regeneracyi jest największa u tarczy, zmniejsza się zaś w kierunku ku wierzchołkowi promienia; po ukośnem przecięciu promienia tenże regeneruje początkowo pod kątem prostym do powierzchni przekroju, ale powoli przybiera kierunek promienia; brzuszna część promienia (po dokonaniu przecięcia poziomego) może odradzać grzbietową, przeciwnie zaś wątpliwem jest, ażali część grzbietowa może odrodzić brzuszną. Z innych wyników badań H. D. King (1900) zasługuje na uwagę, że tarcza sama może odrodzić wszystkie odcięte promienie, połowa zaś tarczy nie wykazuje zdolności regeneracyjnej; wreszcie jeżeli usuwać będziemy część promieni przez nacinanie ich łamanemi liniami, to zauważymy, że tam, gdzie więcej brakuje dawnego materyału, wzrost odbywa się szybciej, wskutek czego zachodzi restytucya normalnej postaci regeneratu. W pracy H. D. King, jak, niestety, w większości prac z zakresu regeneracyi zwierząt bezkręgowych, nie znajdujemy żadnych danych histogenetycznych. Pod tym względem na wyróżnienie zasługuje praca Dawydowa nad regeneracyą wężowideł (1901), w której autor podaje już pewne interesujące fakty histologiczne. Badał on mianowicie regeneracyą u małego żyworodnego gatunku Amphiura squamata oraz częściowo u Ophiopholis longicauda i Ophioglypha nodosa. Tylko promienie czyli ramiona okazują tu zdolność regeneracyjną, gdy zaś nawet mała część tarczy zostaje również wycięta, wówczas zwierzę ginie. Tkanki, okaleczone wskutek amputacyi, ulegają degeneracyi, a powierzchnia rany pokrywa się cząstkami zanikłych mięśni, nerwów, komórek łącznotkankowych i t. p. Degeneracya przenika dalej w głąb ramienia, a jednocześnie i niezależnie od tego powierzchnia rany pokrywa się dosyć grubą, jednorodną, bez budowy, masą, tworzącą rodzaj błonki przyrannej; autor sądzi, że błonka ta stanowi produkt cieczy, krążącej w ramieniu (t. j. cieczy układu wodnego i jamy ciała), która strąca się i zagę-

szcza. Pod tym względem zapatrywanie Dawydowa zgodne jest z poglądem Ed. Perriera, który badał proces gojenia się rany u Antedon. Simoth, który również obserwował wystąpienie cieczy limfatycznej na powierzchni rany u amputowanych wężowideł, przypisuje tej cieczy, zupełnie zresztą według mnie bezpodstawnie, wielkie znaczenie, sądząc, że ona stanowi podnietę najgłówniejszą procesów regeneracyjnych. Pod ową błonką jednorodną widzi niebawem Dawydow silne nagromadzenie dużych, gruboziarnistych komórek z jądrami. Pośród komórek tych odróżnia on dwa typy: jeden typ przedstawiają komórki natury łącznotkankowej z licznymi, długimi wyrostkami, wielkiem, owalnem jądrem i drobnoziarnistą plazmą, komórki zaś drugiego typu są silnie ziarniste, z wielkiem, okrągłem jądrem, zwykle bez wyrostków — są to elementy wędrujące, które pochodzą z jam ramienia. Oba rodzaje komórek gromadzą się w wielkiej ilości nie tylko pod błonką jednorodną, lecz zarówno też dokoła mięśni, nerwu i t. d. i odgrywają rolę fagocytów, pochłaniających tak błonkę tymczasową, jako też i części tkanek zranionych, przyczem fagocyty te nie tylko zjadają produkty rozpadu degenerujących tkanek, lecz i powodują same rozpad tkanek, ponieważ napastują zdrowe także komórki w pobliżu rany. Degeneracya tkanek trwa jeszcze nawet i wówczas, kiedy rozpoczęły się już procesy regeneracyjne we właściwem znaczeniu. Nabłonek dawny wraz z leżącymi pod nim elementami mezodermalnymi pokrywa jednorodną błonkę przyranną i wypiera ją, a do zawiązku ramienia wrasta kanał wodny, jako przedłużenie dawnego. Wkrótce mezodermalne elementy oddzielają się od nabłonka skóry, który się należycie wykształca, a w jamie »regeneracyjnej«, zawartej między przewodem wodnym a ścianką ciała, pojawiają się wolne komórki wędrujące, które pochodzą ze starej części promienia. Dawydow sądzi, że są to te same komórki, które przedtem spełniały też rolę fagocytów. Wkrótce wypełniają one wraz z mezodermalnymi elementami, odgraniczonymi od nabłonka skóry, całą »jamę regeneracyjną«. Z tej tkanki powstaje tkanka łączna i wszystkie jej pochodne. Muskulatura regeneratu natomiast powstaje z »coelothelu«, który, według badań Russo, jest pochodzenia mezodermalnego. Najgłówniejszego materyału dla rozwoju układu nerwowego regeneratu dostarcza nowoutworzony nabłonek skóry (ektoderma) regeneratu. Jama ciała stanowi przedłużenie tejże jamy dawnej części. Oto najważniejsze wyniki badań autora rosyjskiego.

Z pracą Dawydowa wiążą się ściśle badania A. Reichenspergera (1912), przeprowadzone na liliowcu, mianowicie na Antedon rosaceus Linck. i jedyne, które dotykają przedmiotu ze stanowiska histologicznego (por. Przibram, Experim. Zool. 2. Regeneration 1909). Bezpośrednio po autotomii występuje z jamy ciała nieco cieczy, zawierającej nieliczne tylko elementy komórkowe; autor nie zauważył jednak formowania się grubej błony bez budowy na powierzchni rany, jaką opisali Perrier i Dawydow. Natomiast opisuje on utworzenie się pokrywy, »eine Decke von scheinbar lockeren Bröckchen, Körnchen und Fäden gebildet, welche in sich zusammenhält«. Materyał, stanowiący tę pokrywę, to produkt degeneracyi tkanek na powierzchni i w pobliżu rany. Przy degeneracyi i regeneracyi odgrywają szczególniej ważną rolę dwa rodzaje komórek: 1) Limfocyty czyli fagocyty, występujące u wszystkich liliowców i, jak się zdaje (Cuénot 1889), u wszystkich szkarłupni; komórki te działają przedewszystkiem niszcząco i przenosząco (»zerstörend und transportierend«); zapomocą nibynóżek otaczają kawałki mięśni, włókien, substancyi zasadniczej i pochłonąwszy je do wnętrza, trawią. 2). Drugi rodzaj komórek — są to komórki wędrujące (Wanderzellen), które normalnie towarzyszą nerwowi grzbietowemu i jego gałęziom w olbrzymiej ilości. Po każdem zranieniu promienia, pobudzone zostają one do czynności, wędrują w wielkiej ilości ku ranie, przyczem przybierają wydłużoną, robakowatą postać, a plazma ich wypełniona jest ciemnemi ziarenkami i pręcikami. Rola obu tych rodzajów komórek zdaje się być według autora zupełnie różna, a mianowicie właściwe fagocyty mają zadanie usuwania starych tkanek, podczas gdy komórki wędrujące przynoszą z odległych części ciała materyały do odnowy. Co do źródła z jakiego rozwijają się nowe tkanki regeneratu, dochodzi autor do wniosku, iż »fast alle Teile der Regenerate sich aus den entsprechenden Stammorganen des Tieres entwickeln«.

Oto skąpe stosunkowo wiadomości nasze o procesach regeneracyjnych. Gdy jednak co do wężowideł i liliowców wiadomości te, jakkolwiek bardzo niezupełne, zaznajamiają nas w ogólnych zarysach z przedmiotem, to co do rozgwiazd, nie posiadamy żadnych zgoła danych o przejawach histologicznych przy regeneracyi. Najnowsze prace nad odradzaniem się rozgwiazd, Heleny Dean King (1900), C. Richtersa (1912) i J. Schapiry (1914), nie posuwają ani o krok naprzód odnośnych pytań, gdyż zajmują się tylko prze-

jawami zewnętrznymi. Ze względu na to, że w pracy Schapiry znajdujemy najwięcej danych doświadczalnych oraz że za przedmiot do badań służył mu między innemi i to głównie gatunek Echinaster sepositus (Lamarck), na którym i ja poszukiwania opieram, przedstawię nieco obszerniej wyniki badań tego autora. Stwierdza więc on przedewszystkiem, iż Echinaster sepositus posiada niezwykle wielką zdolność regeneracyjną, iż usunięte jedno ramię (lub kilka ramion), bądź to przez cięcie bliżej wierzchołka, bądź to pośrodku lub u podstawy, bezpośrednio przy tarczy, odradza się w zupełności; regeneracya zachodzi i wówczas, gdy wraz z ramieniem usunięta zostaje mała część tarczy. Płytka wierzchołkowa regenerującego ramienia występuje najwcześniej ze wszystkich części skieletowych, wcześnie zaczyna się też odradzanie nerwu promienistego. Już w pierwszych dniach regeneracyi przecięty nerw promienisty zaczyna wyrastać, zarówno też przewód wodny zaczyna się rozrastać w początkowych stadyach regeneracyi, rozwój zaś nóżek ambulakralnych i skieletu przypada później, przyczem płytki skieletowe występują naprzód bliżej podstawy promienia, najmłodsze zatem są najbardziej od ust oddalone.

Jeszcze później wrasta do regeneratu przedłużenie ślepego worka jelitowego, a najpóźniej występują narządy płciowe w okolicy podstawowych części ramion. Interesujący jest fakt stwierdzony przez Schapirę, iż ramię, odcięte u nasady, rośnie przy regeneracyi najszybciej, traci zaś na sile i szybkości wzrostu, im płaszczyzna przecięcia operacyjnego bliższą jest wierzchołkowi ramienia. Samo ramię, odcięte od ciała, ani też ramię z małą cząstką tarczy środkowej nie regeneruje; tylko ramię z połową co najmniej tarczy, a właściwie z częścią stanowiącą więcej, niż jej połowę, może regenerować, ale nie zawsze. Jeżeli grzbietowa część tarczy wraz z płytką sitową zostanie bardzo ostrożnie usunięta zwierzęciu, to zwykle odradza się. Jeżeli ramię zostanie w płaszczyźnie pionowej przecięte wzdłuż, a mianowicie w samym środku, to niekiedy (na 25 wypadków udało się to tylko w trzech) każda z połów regeneruje w zupełności, tak że w każdem z dwóch powstałych w ten sposób ramion pojawia się przewód promienisty i nerw promienisty całkowity. Najciekawsze, zdaniem mojem, są wyniki, osiągnięte przez Schapirę wówczas, gdy ramię zostaje przecięte wzdłuż (począwszy od wierzchołka) w kierunku płaszczyzny poziomej, tak iż rozszczepia się na część brzuszną i grzbietową. Otóż część brzu-

szna zamyka się i regeneruje brakujący oddział grzbietowy, wytwarzając całkowite nowe ramię, podczas gdy część grzbietowa zamyka się w workowaty utwór (»Schlauch«), w którym części brzuszne, a więc nerw brzuszny, nóżki ambulakralne i odpowiednie płytki skieletowe nie odradzają się. Doświadczenia, wykonane na innych gatunkach (Astropecten pentacanthus, Asterias glacialis, a w części i na Astropecten bispinosus), nie były ani tak liczne, ani tak zupełne, a wyniki przeto mniej interesujące. Co do procesów histologicznych, zachodzących przy regeneracyi, nie znajdujemy u Schapiry niczego zgoła. Badania w tym kierunku mogą więc wypełnić bardzo dotkliwą lukę w nauce o regeneracyi, one też były głównym celem poszukiwań moich niniejszych, które przeprowadziłem w części w Instytucie Oceanograficznym w Monaco, w części w zakładzie zoologicznym Uniwersytetu lwowskiego [1].

II.

Badania własne.

Badania swe oparliśmy w części na znajdywanych w przyrodzie regeneratach naturalnych Echinaster sepositus, w części zaś na materyale zdobytym doświadczalnie. Tak regeneraty naturalne, jak i eksperymenty przekonały nas, że co do procesów morfologicznych na ogół spostrzeżenia odnośne Schapiry są zupełnie słuszne. Stwierdziliśmy zatem, że: 1) jeden lub kilka promieni bez względu na to, w jakiej wysokości zostały zamputowane, regenerują w zupełności; że 2) tarcza z jednym promieniem lub kilku promieniami, o ile zachowaną jest w mniejszych rozmiarach, aniżeli połowa, nie regeneruje, że jednak zachodzą przytem pewne regulacye, których nie opisał Schapiro, a które niżej przedstawię; że 3) ramię, przecięte poziomo, zachowuje się zawsze zgodnie z opisem Schapiry, a mianowicie część brzuszna podlega zupełnej regeneracyi i odtwarza brakującą część grzbietową, ta ostatnia zaś ulega tylko zagojeniu, pewnej regulacyi, lecz nie odradza organów właściwych części brzusznej. Doświadczeń nad przecinaniem promieni w kierunku strzałkowym na połowę prawą i lewą nie wykonywaliśmy. Ponieważ jednak najdotkliwszy brak we wszystkich dotych-

[1] Pracę niniejszą wykonałem w części wspólnie z p. Dr. M. Oxnerem, który mi mianowicie dostarczył interesujących regeneratów naturalnych.

czasowych badaniach nad regeneracyą rozgwiazd tyczył się procesów histologicznych, na to więc głównie zwróciłem uwagę. Procesy te zachodzą jednakowo na ogół wszędzie, gdzie regeneracya się odbywa, a więc tak na końcu zamputowanego poprzecznem cięciem ramienia, jak i przeciętego poziomo, ale rzecz prosta, że tam, gdzie powierzchnia rany jest większa, gdzie więcej zostało przeciętych narządów i gdzie więcej ma się narządów odtworzyć, tam procesy inwolucyjne i ewolucyjne na większą odbywają się skalę. Jak już powiedzieliśmy, całe ramię, przecięte wzdłuż poziomo, zachowuje się w ten sposób, że część brzuszna regeneruje całkowicie, część grzbietowa zaś ulega zagojeniu i interesującej regulacyi; w obu częściach powierzchnia przyranna jest olbrzymia, wskutek czego czynności inwolucyjne, względnie twórcze na wielką skalę muszą się odbywać. Najwybitniej przeto procesy odnośne występują przy regeneracyi brzusznej części promienia przeciętego wzdłuż poziomo i przy regulacyi odcinka grzbietowego tegoż promienia. Tu otrzymaliśmy najpełniejszy i najpiękniejszy obraz przejawów inwolucyjnych i regeneracyjnych i dlatego też przedewszystkiem zajmiemy się opisem tychże.

Zachowanie się brzusznej połowy ramienia, podzielonego przez cięcie poziome na dwie części. Pierwszy odczyn amputacyi, który zauważyć już można w kilkanaście godzin do jednej doby, a niekiedy dopiero na drugi dzień po operacyi, polega na tem, że występująca limfa ścina się na powierzchni przyrannej a przecięte brzegi nabłonka tworzą jakby zgrubiałe i nieco podgięte wały. Niebawem cała powierzchnia rany od jednego do drugiego brzegu nabłonka zaczyna się pokrywać szczególną charakterystyczną tkanką, która występuje już na drugi, trzeci, czwarty dzień po operacyi, a oku nieuzbrojonemu przedstawia się jako bardzo delikatna błoneczka blado-różowawa, pokrywająca ranę, tu i ówdzie jeszcze niezupełna i przerwana. Na piąty, szósty dzień błoneczka ta jest już zupełna, nigdzie nieprzerwana i ją to właśnie zauważył Schapiro, nazywając ją »rötliches Häutchen«. Cóż to jest owa błoneczka, wcześnie powlekająca obszerną powierzchnię przyranną? Otóż na wytworzenie jej składają się rozliczne elementy komórkowe. Przedewszystkiem skupiają się u powierzchni rany oraz w najbliższej jej okolicy liczne ciałka limfatyczne, których obfitość wielką znajdujemy w jamie ciała i w jamach układu wodnego rozgwiazd. Ponieważ przy opisanej wyżej amputacyi zostają na wię-

kszej lub mniejszej przestrzeni nacięte jamy ciała ramienia, a także banieczki wodnego układu promienia, z tych wszystkich otwartych jam wraz z limfą wędrują ku powierzchni rany limfocyty w ilości bardzo znacznej. Jak wiadomo na podstawie dawniejszych jeszcze badań różnych zoologów, stwierdzonych i uzupełnionych przez L. Cuénot'a (Contribution a l'Étude anatomique des Astérides, 1887), ciecze jam wewnętrznych u rozgwiazd (jamy ciała ogólnej, aparatu krążenia krwi i naczyń wodnych) zawierają jednakowego rodzaju ciałka, które możnaby nazwać ogólnie limfocytami lub komórkami wędrującemi. Są to u rozgwiazd komórki drobne, 5 do 6 μ średnicy, o jądrze okrągłem lub owalnem, bardzo dobrze się barwiącem, obfitującem w chromatynę i opatrzonem jąderkiem; protoplazma, mniej lub więcej ziarnistej budowy, wysyła na obwodzie pewną ilość krótszych lub dłuższych, jednorodnych nibynóżek, często ostro zakończonych na wierzchołku. Na preparatach utrwalonych widać te wypustki rzadziej niż w komórkach żywych, gdzie często wyrostki te tworzą na obwodzie sieci subtelne, łączące się z sobą. Często bardzo widać także w plazmie wodniczki. W komórkach młodych Cuénot widzi ziarenka barwikowe, w dorosłych stwierdza brak ich; w regeneratach u Echinaster nie napotykałem nigdzie ziarenek barwikowych, natomiast, jak wspomniałem, plazma ma tu budowę ziarnistą, przyczem zgranulowanie to jest widoczne w różnym stopniu; w niektórych limfocytach plazma jest niemal jednorodna i wykazuje zatoczkową (alweolarną) budowę, w innych zgranulowanie jest bardzo silne. Już Cuénot zauważył, że limfocyty nie zawsze występują odosobnione, lecz często bardzo tworzą plasmodya wielojądrowe, czasami nawet olbrzymiej wielkości; częstokroć widać granice komórek, które zlały się z sobą dla wytworzenia plasmodyum. Plasmodya te mogą również często wysyłać wypustki (pseudopodia). Obecność takich plasmodyów stwierdziłem u Echinaster sepositus, tak w regeneratach, jak i w wypadkach normalnych.

Otóż na powierzchni przyrannej występują w ogromnej ilości tak jednojądrowe, jak i w plasmodya połączone, wielojądrowe limfocyty, nadto wędrują tu komórki łącznotkankowe rozgałęzione. Limfocyty wielojądrowe dosięgają znacznych bardzo rozmiarów, ponieważ zlewają się z sobą w wielkie masy. Wszystkie te elementy skupiają się silnie i zamykają ranę. W miarę jak u samej powierzchni rany elementy te ulegają niebawem rozpadowi, mianowicie

zwyrodnieniu ziarnistemu, przez co dają początek masie ziarnistej, w której widać większe i mniejsze granula, resztki jąder, rozpadających się też na ziarenka — w częściach nieco głębszych zachowują się te elementy przez pewien czas bez widocznej zmiany, a bardzo charakterystycznem zjawiskiem w tej części głębszej jest układanie się limfocytów jednojądrowych tu i owdzie w szereg, dający początek długim, plazmatycznym, ziarnistym pasmom wielojądrowym (p. niżej). Podczas gdy tak się zachowują owe elementy przyranne, nabłonek skóry (mniej więcej aż do 5—6 dnia po operacyi) nie pokrywa jeszcze powierzchni rany, lecz tworzy wciąż wspomniane wyżej wały na wolnym brzegu, w których następuje lekkie podgięcie brzegów. W wałach tych komórki nabłonkowe bardzo silnie się wydłużają, przybierają mniej lub więcej ukośne lub poziome położenie. Nagle (zwykle w 5 lub 6 dniu, niekiedy nieco później lub wcześniej) wały nabłonkowe, prawy i lewy, zsuwają się na powierzchnię przyranną i tworzą nieprzerwaną powłokę nabłonkową, której długie, cienkie, walcowato-włókniste komórki leżą długiemi osiami równolegle do powierzchni rany, zachodząc końcami swymi dachówkowato jedno na drugie. Dopiero później, począwszy od 6—7 dnia, zaczynają się te poziomo ułożone komórki nabłonkowe ustawiać prostopadle do powierzchni przyrannej, i to początkowo grupkami, aż wreszcie tworzą nieprzerwaną warstwę walcowatego nabłonka z dobrze rozwiniętymi gruczołkami jednokomórkowymi, śluzowymi i białkowymi oraz z wielokomórkowymi wielkimi gruczołami białkowymi, które charakterystyczne są dla Echinaster sepositus.

Niezmiernie interesujące procesy inwolucyjne i ewolucyjne zachodzą w mięśniach, które zostały przecięte przy amputacyi. Mięśnie te ulegają daleko sięgającej odnowie. Przedewszystkiem na końcach włókien mięsnych, które tu są długie, gładkie i opatrzone wydłużonemi jądrami wraz z ubogą warstewką sarkoplazmy na zewnątrz, pojawiają się gruszkowate nagromadzenia sarkoplazmy z jądrami, która zsuwa się niejako z włókna i w ten sposób wytwarza wielojądrowe sarkocyty. Sarkocyty sąsiednich włókien zlewają się z sobą i wytwarzają rozległe syncytya, przedstawiające się miejscami jako grube sieci plazmatyczne, w których rozproszone są liczne jądra. W miarę jak się tworzą te syncytya sarkocytów, same włókna mięsne ulegają rozpadowi i wewnątrz syncytyów widać jeszcze przez dłuższy czas produkty rozpadu włókien mięsnych,

jako wydłużone, owalne lub kuliste ciałka, pogrążone w wodniczkach i silnie początkowo barwiące się (n. p. na czerwono eozyną, na czarno hematoxyliną żelazistą, na żółto przy użyciu płynu Van Giesona), później zaś zatracające stopniowo tę zdolnosć w miarę, jak ulegają resorpcyi. Z masy syncytyalnej owych sarkocytów uwalniają się później komórki, początkowo owalne, później wrzecionowato się wydłużające, zrazu jednojądrowe, które stanowią młode włókna mięsne. Tak więc nowe włókna mięsne powstają z sarkocytów rozwijających się z sarkoplazmy starych, przyczem sarkocyty te odgrywają jednocześnie rolę fagocytów względem produktów rozpadu starych włókien mięsnych.

Płytki skieletowe ulegają również zadziwiająco złożonej odnowie. Te, które zostały nadwerężone przez amputacyę, podlegają zniszczeniu całkowitemu lub częściowemu i w ich miejsce powstają nowe. Procesy zanikowe i twórcze, inwolucyjne i ewolucyjne występują tu obok siebie, zachodzą jakby jedne na drugie. Jak wiadomo, płytki wapienne (skieletowe) rozgwiazd składają się z organicznej masy zasadniczej, która przepojona jest solami wapiennemi. W tej masie zasadniczej opisuje Cuénot przeplatające się w różnych kierunkach pęczki włókien oraz rozproszone pośród nich jądra. Według moich spostrzeżeń należy w niej odróżnić istotę podstawową (międzykomórkową) jednorodną, w niej pogrążone pęczki włókien, natury klejorodnej (elastycznych nie znalazłem), oraz pośród tych włókien rozproszone nie same jądra, lecz komórki o dużych okrągłych jądrach, silnie się barwiących, oraz o małej ilości jasnej plazmy, otaczającej je równomiernie; nadto znajdują się tu także skupienia plazmy o dwóch, trzech jądrach, niewątpliwie powstałe ze zlania się pojedyńczych. Otóż procesy inwolucyjne rozpoczynają się od tego, iż do tych płytek skieletowych przenikają liczne fagocyty (limfocyty), szerząc tu czynnie gwałtowne zniszczenie i pochłaniając produkty rozpadu; na preparatach takich widać rozpadanie się włókien na drobne ziarna, rozpraszające się w istocie podstawowej; jądra tracą plazmę je otaczającą, kurczą się, tworzą drobne, początkowo silnie barwiące się elementy, które rozpadają się na ziarenka. Nareszcie pozostają na miejscu zniszczonej płytki skieletowej jamy, które pojawiają się naprzód pośrodku, a z kolei, w miarę postępującego procesu inwolucyi, i w obwodowych okolicach płytki. Jednocześnie przenikają w te miejsca syncytya limfo-

cytów, które obficie się rozgałęziając i łącząc się swemi wypustkami, dają początek sieciom plazmatycznym, wielojądrowym. W plazmie tych sieci występują pęczki włókniste, a jądra z częścią różnicującej się dokoła nich plazmy tworzą elementy komórkowe, ostateczne płytek skieletowych.

Muszę tu jeszcze zaznaczyć, że obserwowałem także przenikanie syncytyów pochodznia sarkoplazmatycznego do wnętrza płytek skieletowych, położonych w najbliższem sąsiedztwie zanikającej muskulatury, a podlegających powyżej opisanym procesom. Czy te syncytya, trawiąc zawarte w nich szczątki mięśni, spełniają nadto rolę fagocytów również i względem części skieletowych, czy też odgrywają one nawet, być może, rolę twórczą na równi z syncytyami pochodzącemi z limfocytów, tego stanowczo rozstrzygnąć nie zdołałem. Wydaje mi się jednak bardzo prawdopodobnem, że spełniają one tylko rolę elementów, dopomagających do usunięcia szczątków skieletowych.

Elementy nowej tkanki łącznej, znajdującej się pod nabłonkiem skóry i pomiędzy różnymi organami wewnętrznymi, rozwijają się w części ze starej tkanki łącznej, która pojawia się w okolicy pobliskiej powierzchni przyrannej, w części zaś, i to w bardzo znacznej, rozwijają się one z samej tkanki przyrannej, wyżej opisanej, a powstałej, jak widzieliśmy, głównie z komórek wędrujących (limfocytów). Mam na preparatach swych najrozmaitsze przejścia i obrazy, świadczące o tem: komórki wędrujące wydłużone, takież komórki rozpadające się na obu wydłużonych końcach na całe wiązki subtelnych i długich włókien natury klejorodnej, komórki rozgałęzione, których wypustki przedłużają się w bardzo cienkie i obficie rozgałęzione włókienka. W tkance łącznej włóknistej rozgwiazd występują oprócz zwykłych cienkich włókien klejorodnych wielkie, grube, długie bardzo włókna, opisane przez O. Hamanna (Beiträge zur Histol. der Echinadermen. Zeitschr. f. wiss. Zool. Bd. 39. 1883 oraz Jena 1885) i przez L. Cuénot'a (1887). Ostatni autor sądzi, że są to włókna elastyczne. Co do mnie, to próbowałem stwierdzić elastyczną naturę tych włókien za pomocą metod, które dają zawsze pewne rezultaty u kręgowców (metody Tanzera-Unny, Prantnera); nie otrzymałem jednak nigdy charakterystycznych zabarwień. Sądzę przeto, że albo nie są to w ogóle elementy elastyczne, albo, jeżeli odzna-

czają się nawet sprężystością, to skład ich chemiczny różni się znacznie od tegoż w typowych włóknach elastycznych u zwierząt kręgowych. Dla nas atoli ważnym jest fakt, że te wielkie włókna powstają również z komórek wędrujących, zbierających się w sąsiedztwie rany. Komórka wydłuża się i łącząc się z sąsiedniemi, również wydłużonemi, tworzy wspomniane już przez nas wyżej długie, wstęgowate syncytya wielojądrowe, w których jądra w jednym są ułożone szeregu. Z kolei jądra przechodzą ku obwodowi, gdzie stopniowo kurczą się i zanikają, a pośrodku plazmy pojawia się zaczątek włókna, który stopniowo coraz bardziej grubieje i wydłuża się, przekształcając się w ostateczne włókno.

Zachowanie się grzbietowej części ramienia, przeciętego wzdłuż poziomo. Jak to już zauważył Schapiro (l. c.), a co mogłem najzupełniej stwierdzić, grzbietowa część ramienia, powstała przez poziomy przekrój tegoż, nigdy nie regeneruje u Echinaster sepositus organów części brzusznej, i to bez względu na to, czy ów przekrój poziomy przypadł pośrodku, czy też bliżej brzusznej lub grzbietowej powierzchni ramienia. Wszelako zachodzi tu bardzo interesująca regulacya. Otóż brzegi rany zaginają się ku stronie brzusznej, tak iż cała część ramienia przybiera na przecięciach poprzecznych postać łukowatą, o powierzchni grzbietowej wypukłej i brzusznej wklęsłej. W pierwszych dniach po amputacyi i tutaj gromadzi się tkanka przyranna, podobna do tej, jaką widzieliśmy w brzusznej części ramienia, zamputowanego przez poziome cięcie. Tkanki tej jest tu jednak znacznie mniej, a w skład jej wchodzą oprócz elementów wyżej opisanych jeszcze bardzo liczne komórki wędrujące (przeważnie zaokrąglone lub opatrzone bardzo krótkimi wypustkami), które stanowią przekształcone elementy śródbłonkowe, wyścielające jamę ciała. Na preparatach z 2—5 dnia po amputacyi widziałem w wielu miejscach śródbłonkowej ściany jamy ciała, iż komórki przedtem sześcienne przybierają postać elementów zaokrąglonych, rozluźniają się i jakby odpadają całemi grupami, dostając się do jamy ciała. Otóż liczne z tych komórek w pierwszych dniach po amputacyi, kiedy jama ciała jeszcze jest otwarta, skupiają się obok innych u powierzchni przyrannej, gdzie jednak później w przeważnej mierze giną, ulegając degeneracyi ziarnistej. Wkrótce (obserwowałem to już w 3—4 dniu po operacyi) nabłonek, wyścielający jamę ciała, otwartą od strony brzusznej wskutek przecięcia poziomego, zrasta

się z wolnymi brzegami przeciętego nabłonka skóry, wskutek czego owa grzbietowa część ramienia przedstawia się na przekrojach poprzecznych w ten sposób, iż na stronie grzbietowej jest wypukła, na brzusznej zaś posiada głębokie jakby wpuklenie, przypominające gastralne, mianowicie nabłonek skóry przechodzi tu bezpośrednio w nabłonek (śródbłonek) wyścielający jamę ciała. Jednem słowem jama ciała tej grzbietowej części przeciętego poziomo ramienia uchodzi na zewnątrz za pośrednictwem długiej, wązkiej szczeliny brzusznej. Niebawem (w 4—5 dniu rozwoju) brzegi tej szczeliny zrastają się z sobą w zupełności, czemu sprzyja miejscowe fałdowanie się nabłonka. Przez pewien czas zamknięta cewa jamy ciała łączy się z nabłonkiem brzusznej strony ciała owej grzbietowej części promienia za pośrednictwem dosyć wysokiej, podwójnej listewki nabłonkowej. Wkrótce nabłonek tej listewki ulega zanikowi i w jego miejscu pozostaje tylko listewka łącznotkankowa, która przebiega od ściany jamy ciała ku nabłonkowi skóry wzdłuż całego cylindra, w który przekształciła się grzbietowa część przeciętego poziomo promienia. W cylindrze tym, czyli jak go nazywa Schapiro, worku, biegnie teraz środkiem cewa jamy ciała, na przodzie ślepo zakończona, ku nasadzie zaś cylindra przechodząca w jamę ciała tarczy środkowej. Śródbłonek tej cewy ulega, jak powiedzieliśmy, w części zanikowi, w części zachowuje się bez zmiany i wytwarza nawet liczne fałdy, w które i tkanka łączna wrasta. Muskulatura ściany jamy ciała zachowuje się bez zmiany na stronie grzbietowej i z boków cewy, na stronie brzusznej brak jej zupełnie. Płytki grzbietowe skieletu po pewnej odnowie zachowują się bez zmiany; nadto ulegają rekonstrukcyi płytki boczno-grzbietowe, tak iż na przecięciach poprzecznych występują wszystkie płytki parzysto i symetrycznie; zwykle 4 pary płytek skieletowych, symetrycznie rozłożonych. W ten sposób powstaje heteromorficzny utwór, który zachowuje się już stale jako cylindryczny, ślepo zamknięty wyrostek grzbietowy, wybiegający, podobnie jak zregenerowany promień, z tarczy. Zależnie od tego, jak daleko ku nasadzie ramienia sięgał przekrój poziomy, ów heteromorficzny utwór grzbietowy jest dłuższy lub krótszy. U osobnika, u którego wszystkie pięć ramion przeciąłem poziomo aż do nasady, wytworzyło się pięć normalnych ramion, a od nasady każdego z nich na stronie grzbietowej wybiegał ów wyrostek obły, równie długi jak ramię. Podobne przysadki cewkowate, dłuższe lub krótsze, na grzbietowej stronie ramienia napotka-

łem także śród regeneratów naturalnych i sądzę, że niewątpliwie i tutaj powstały one wskutek przypadkowego poziomego nadcięcia lub głębokiego okaleczenia odpowiedniego promienia.

Wreszcie jeszcze wspomnę, iż Schapiro słusznie zauważył, że skoro brak pewnych promieni z częścią tarczy, stanowiącą więcej niż połowę wielkości tarczy całkowitej, wówczas ta brakująca część tarczy wraz z promieniami nie odradza się. Ale zauważyłem w takich wypadkach zamknięcie rany, zupełne wygojenie i pewną regulacyę o tyle, że w miejsce bądź wszystkich, bądź niektórych brakujących promieni powstają krótkie kikuty o podobnej budowie, jak owe grzbietowe cylindry, powstałe po przecięciu promienia wzdłuż w kierunku poziomym. W kikutach tych nie regenerują zatem ani nóżki ambulakralne, ani rowek ambulakralny, ani nie odradzają się nerwy, naczynia lub cewy ślepe przewodu pokarmowego; natomiast przedłuża się do nich jama ciała wraz z wyścielającym ją śródbłonkiem, warstwą łącznotkankową i mięsną oraz formują się w nich nieregularne płytki skieletowe.

Z rozpatrzonych tu stosunków widzimy, że przy regeneracyi rozgwiazd nie zachodzą tak olbrzymie i uderzające metaplazye tkanek, jakie opisałem wraz z Oxnerem u wstężnic (J. Nusbaum-H. i M. Oxner, Fortgesetzte Studien über die Regeneration der Nemertinen. II. Regeneration des Lineus lacteus Rathke. 1912 oraz szereg innych prac naszych z r. 1910, 1911). Tutaj bowiem w starych częściach ciała znajdują się zawsze tkanki, które mają wystąpić także w regeneracie, a więc metaplazya tak głęboka jest tu zbyteczna, jak to starałem się wykazać w pracach owych z r. 1912 (J. Nusbaum, Die entwicklungs-mechanisch-metaplastischen Potenzen der tierischen Gewebe, Vorträge u. Aufsätze über Entw. der Org. herausg. von W. Roux H. 17. 1912 oraz J. Nusbaum, O pojęciu wtórnej potencyi prospektywnej homogenetycznej i heterogenetycznej, Księga pam. ku uczczeniu 250 rocznicy założenia Uniw. lwowskiego przez króla Jana Kazimierza, 1912). Wszelako i tu znajdujemy bardzo interesujące metaplazye, jak rozwój mięśni nowych z sarkocytów, rozwój elementów tkanki łącznej z komórek wędrujacych i w ogóle bardzo różnorodne, twórcze zachowanie się w regeneracie owych komórek wędrujących czyli limfocytów.

O nitrofenylooctanach.

Napisali

Stanisław Opolski i Tadeusz Zwisłocki.

Estry kwasów nitrofenylooctowych dają, jak to po raz pierwszy zauważył T. Maxwell[1], z alkaliami, względnie z alkoholanami fiołkowe, krótkotrwałe zabarwienia. A. Meyer[2] wyraził przypuszczenie, że zabarwienie to powstaje wskutek zastąpienia wodoru grupy metylenowej przez metal. Podobnie tłómaczy W. Borsche[3] ciemnobrunatne zabarwienie, występujące w alkoholowych rozczynach dwunitrofenylooctanu metylowego pod wpływem alkoholanu sodowego. Powstającej tu soli przypisuje on wzór $(NO_2)_2\ C_6H_3 \cdot CHNa \cdot CO \cdot OCH_3$, który zupełnie nie wyjaśnia, dla czego sól jest silnie zabarwiona, podczas gdy odpowiadający jej kwas, $(NO_2)_2\ C_6H_3 \cdot CH_2 \cdot CO \cdot OCH_3$, jest związkiem prawie zupełnie bezbarwnym. Soli tych dotychczas — o ile nam wiadomo — nikt nie wydzielił ani nie oznaczał.

Do wytłómaczenia pewnych faktów, zauważonych przez jednego z nas na cyankach nitrobenzylowych, lecz dotychczas nie ogłoszonych, potrzeba nam było stwierdzić, czy sole nitrofenylooctanów dają się wyosobnić i jaka jest ich barwa. Do doświadczeń użyliśmy orto- i para- nitrofenylooctanów etylowych i przekonaliśmy się, że oba te połączenia dają się łatwo przeprowadzić w sole (potasowe, sodowe, srebrowe), przedstawiające się jako ciemno zabarwione ciała. Właściwe ich zabarwienie występuje wyraźnie w rozczynach, które są ciemnofiołkowe.

[1] Ber. d. d. ch. Ges. XII. (1879) 1765.
[2] Ber. XXI. (1888) 1306.
[3] Ber. XLII. (1909) 1310.

W solach tych usiłowaliśmy wprowadzić rodnik alkylowy w miejsce metalu w nadziei, że uda się nam otrzymać barwne pochodne alkylowe. W tym celu działaliśmy na nie jodkiem metylowym. Jednakże próby te nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, prawdopodobnie wskutek wielkiej nietrwałości mogących powstać związków, jak i z powodu trudności przeprowadzenia doświadczeń na nieco większą skalę. Analogiczną przemianę badał Borsche[1], który stwierdził, że chlorek benzoilu nie działa na p-nitrofenylooctan etylowy w obecności alkoholanu sodowego.

Co się tyczy budowy otrzymanych przez nas soli, należy przyjąć, że między niemi a wolnymi estrami, które są bezbarwne, musi zachodzić w tym kierunku wybitna różnica. Sole muszą zawierać ugrupowanie chromoforowe, jakiego nie posiadają estry. W myśl teoryi przekształcenia Hantscha i analogii z solami nitrofenoli najlepiej odpowiadałyby im wzory chinoidowe: $C_2H_5O \cdot CO \cdot CH : C_6H_4 : NO_2Me$.

o-Nitrofenylooctan etylowy. Kwas o-nitrofenylooctowy otrzymano metodą podaną przez A. Reisserta[2], t. j. przez utlenienie kwasu o-nitrofenylopyrogronowego wodą utlenioną w rozczynie alkalicznym. Tworzy on bezbarwne igiełki, topniejące 139—140°. Pod wpływem alkoholu etylowego i chlorowodoru przechodzi łatwo w ester, igiełki bezbarwne, topniejące w 65—67°. Punktu topnienia podanego przez Reisserta (69°), nie mogliśmy osiągnąć mimo wielokrotnych krystalizacyi z alkoholu, benzolu, ligroiny i eteru. Wobec ostrego topienia się kwasu[3], z którego ten ester otrzymaliśmy, trudno przypuścić obecność znaczniejszych ilości zanieczyszczeń. Być może, że preparat nasz nie był wolny od śladów paraizomeru.

Z roztworu eterowego tego estru opada po zadaniu go równoważną ilością świeżo sporządzonego alkoholanu sodowego osad ciemnofiołkowy soli sodowej, trudno rozpuszczalnej w alkoholu barwą fiołkową, nierozpuszczalnej w benzolu i eterze. Woda rozkłada ją natychmiastowo, wskutek czego trzeba ją chronić przed dostępem

---

[1] Ber. XLII. (1909) 3596.

[2] Ber. XXX. (1897) 1030 i XXXI. (1898) 395.

[3] Gabriel S. i Bergmann O., Ber. XVI. 2064 podają 139·5—140°; Salkowski H., (Ber. XVII. 504) 141°.

wilgotnego powietrza. Sączenie jej, przemywanie i t. p. musi być przeprowadzone w atmosferze wolnej od wilgoci.

Z 0·1372 g. tej soli otrzymano 0·0424 g. Na_2SO_4, co odpowiada 10·03% Na, podczas gdy z wzoru $C_{10}H_{10}O_4NNa$ oblicza się 9.97%.

Sól potasowa, otrzymana w podobny sposób, tworzy również ciało ciemnofiołkowe. W alkoholu rozpuszcza się łatwiej, aniżeli sól sodowa, dając rozczyny ciemnofiołkowe. W eterze, benzolu i chloroformie nie rozpuszcza się; na działanie wilgoci jest jeszcze wrażliwsza. Na powietrzu przechodzi bardzo szybko w ciało ciemne, maziste.

0·1573 g. soli potasowej dało 0·0545 g. K_2SO_4, co odpowiada 15·55% K. Dla $C_{10}H_{10}O_4NK$ oblicza się 15·83%.

Sól srebrowa powstaje przy działaniu azotanu srebrowego na sól potasową w rozczynie alkoholowym. Ze względu na niewątpliwy, chociaż powolny rozkład soli potasowej w alkoholu, przeprowadzaliśmy tę przemianę w ten sposób, że wrzucaliśmy suchą sól potasową do alkoholowego rozczynu azotanu srebrowego i następnie dłuższy czas silnie wstrząsali. Po odsączeniu, przemyciu alkoholem i wysuszeniu tworzy ona czekoladowoszare ciało, nierozpuszczalne w zwykłych rozpuszczalnikach organicznych. Silnie ogrzana rozkłada się nagle.

0·1632 g. soli dało 0·0730 g. AgCl, co odpowiada 33·72% Ag (teoretycznie oblicza się 34·15).

Tak sól potasową, jak i srebrową poddaliśmy działaniu jodku metylowego, bardzo starannie oczyszczonego i osuszonego. Sól srebrowa nie ulega zmianie pod wpływem niego; potasowa zaś wchodzi z nim łatwo w działanie, przyczem obok jodku potasowego powstaje olej, którego nie udało się doprowadzić do krystalizacyi. Wobec wielkiej nietrwałości soli potasowej musi się przemianę tę przeprowadzać w bardzo małych ilościach, co uniemożliwia zbadanie tworzącego się oleju.

p-Nitrofenylooctan etylowy daje sole równie łatwo jak ortonitrozwiązek. Sól potasowa i sodowa są ciemnoczekoladowe i rozpuszczają się w alkoholu barwą fiołkową. Sól sodowa jest w alkoholu łatwo rozpuszczalna.

0·1049 g. tej soli dało 0·0319 g. Na_2SO_4, co odpowiada 9.86% Na.
0·1791 g. soli potasowej dało 0·0629 g. K_2SO_4, co odpowiada 15.77% K.

Próby metylowania soli potasowej i srebrowej pozostały, jak w poprzednim wypadku, bez dodatnich wyników.

P. Maryi Friedównie dziękujemy za wykonanie kilku doświadczeń z estrem p-nitrofenylooctowym.

Badania nad patogenezą chorób myotonicznych [1].

Z Oddziału chorób nerwowych Szpitala Powszechnego we Lwowie.

Napisał

K. Orzechowski.

Wstęp.

Zastanawiając się w pracy, która wyszła z druku w styczniu 1909 r., nad objawami myotonicznymi, komplikującymi tężyczkę, starałem się udowodnić istotną samodzielność syndromu myotonicznego w tych przypadkach tężyczki i wywodziłem go, stając w obronie genialnej intuicyi Lundborga, od zaburzenia tego samego gruczołu, który tężyczkę wywołuje t. j. od zaburzenia gruczołów przytarczykowych. Ze względu na przebieg tych przypadków powikłań obu chorób, ich niezwykły wygląd kliniczny i ciężki przebieg przypuszczałem jako źródło myotonicznego syndromu zaburzenie jakościowe (dysparathyreoidosis), odmienne od tężyczkorodnego, ilościowego (hypoparathyreoidosis), albo też przyjmowałem obok hypoparathyreoidosis, która tłómaczyłaby obecność tężyczkowych symptomów, współudział zaburzenia innego, z gruczołami przytarczykowymi ściśle funkcyą związanego gruczołu. Miałem na myśli przydatek zaburzenia wydzielania wewnętrznego gruczołów rodnych, jako jedynych, których korelacya z przytarczycami wówczas była znaną. Już wtedy moimi patogenetycznymi rozważaniami obejmowałem zarówno myotonię wrodzoną jak i nabytą, powołując się na częstość

---

[1] Opracowanie części referatu: »Choroby nerwowe a wydzielanie wewnętrzne«, wygłoszonego na II. Zjeździe neurologów i psychiatrów polskich w Krakowie w grudniu 1912 r. Rzecz oddana do druku w sierpniu 1914 r., poczem, gdy druk wstrzymano z powodu wypadków wojennych, stało się możliwem uwzględnienie dodatkowe literatury po koniec r. 1915.

poszczególnych objawów tężyczkowych w przypadkach typowej choroby Thomsena. Jeśli objawy tężyczkowe w myotonii rzadko się zdarzają, tłómaczyć należało to tendencyą do wzajemnego wypychania się syndromów obu grup: tężyczkowej i myotonicznej [1]. Ponieważ myotonia jest chorobą wrodzoną, należy przyjąć, że odziedziczoną i wrodzoną jest też zmiana gruczołowa, która ją wywołuje, i że z tego, przy założeniu ustroju już istniejącego, nieprawidłowego układu wzajemnych funkcyj w systemie gruczołów wewnętrznego wydzielania wynikać musi także wpływ na ukształtowanie się systemu nerwowo-mięśniowego.

Z końcem lutego 1909 r. Chvostek, przedstawiając w wiedeńskiem Towarzystwie internistów i pedyatrów myotonika Rebaya, wygłosił mniemanie, że myotonia jest wypływem zmian wydzielania wewnętrznego, przyczem wskazał na nadnercze, w którego hyperfunkcyi streszcza się jakoby ta zmiana wydzielnicza. Uwagi Chvostka, wypowiedziane przy sposobności tej demonstracyi, są jednak tak ogólnikowe, że pozostają w ramach przygodnie wypowiedzianej hipotezy.

Od tego czasu pojawiła się niezmiernie ważna praca Steinerta, dotycząca jednak tylko myotonii atroficznej. Był to pierwszy autor, który niemal wprost do obrazu chorobowego włączył łysinę, wole i zaniki jąder zanikowców, uważając jednak te objawy za równorzędne zjawiska z objawami motorycznymi, za przejawy skoordynowane dziedzicznej zwyrodniającej choroby. Steinertowi pierwszemu świtała myśl, że zajęcie sznurów tylnych w myotonii zanikowej jest wynikiem zatrucia patologicznymi produktami przemiany materyi, które w następstwie wywołuje zaniki jąder, wole i objawy troficzne ze strony skóry (łysinę). Hoffmann, któremu los nadarzył sposobność obserwowania katarakt w myotonii zanikowej, nie postąpił mimo to dalej od Steinerta w pojmowaniu patogenezy myotonii atroficznej, chociaż przed nim już Pässler wskazywał na analogie ze zaburzeniami wewnętrznego wydzielania.

[1] Zdaje się, że zachodzi także omijanie się wzajemne obu jednostek chorobowych, co się uwidacznia w ich rozmieszczeniu topograficznem; we Wiedniu, gdzie tężyczka jest bardzo częstą, należy do nadzwyczajnych rzadkości myotonia. Natomiast w południowych Niemczech jest myotonia względnie częstą, tężyczka zaś rzadszą w porównaniu z Wiedniem. W ogóle myotonicy pochodzą, jak się zdaje, z okolic, gdzie tężyczka tylko sporadycznie i wcale rzadko się przytrafia.

»Całkiem słusznie« (»mit Recht«) — w tem określeniu zaznacza swą zgodność z zapatrywaniem Hoffmanna Curschman w swej pracy z r. 1912 — nie mógł znaleść Hoffmann mimo pozornych analogij dowodów na zaburzenia wewnętrznego wydzielania w myotonii zanikowej. Ostatnią ważną pracą nad symptomatologią i patogenezą myotonii zawdzięczamy Curschmanowi. Przypadki tego autora dostarczają nowych spostrzeżeń istnienia zaburzeń wiądowych w myotonii zanikowej. Zapatrywania swego na patogenezę myotonii zanikowej nie wyraża Curschman zupełnie jasno i stanowczo, bo w jednym rozdziale razem z Hoffmannem nie widzi dotąd istnienia dowodów zaburzeń wewnętrzno-wydzielniczych w myotonii atroficznej, zaraz w drugim jednak ustępie uzupełnia pogląd Erba na myotonię (czystą!) w ten sposób, że jest to trofoneuroza mięśni (i organów troficznych) z siedzibą w centralnych troficznych narządach (i w narządach wewnętrznego wydzielania zostających pod regulacyą tychże). Ponieważ C. za organa troficzne uważa według mego rozumienia i skórę i jądra i gruczoł tarczykowy, wypowiada on w tem zdaniu jednem dwa sprzeczne poglądy, t. j. raz uważa zaburzenia wewnętrzno-wydzielnicze na równi z myotonicznemi za wtórne, to znowu uzależnia zmiany mięśniowe pośrednio (po przez ośrodki nerwowe wyższe) od zaburzeń narządów wewnętrznego wydzielania.

Praca niniejsza nad patogenezą chorób myotonicznych uwzględnia myotonię zwykłą, paramyotonię i myotonię zanikową, z których obie pierwsze uchodzą za jednostki chorobowe ściśle ze sobą pokrewne.

Co do wzajemnego stosunku choroby Thomsena do myotonii zanikowej zdania się ważą. W ostatnich czasach Hirschfeld i Grund stoją na gruncie odrębności obu tych postaci chorobowych, powołując się na to, że w tych samych rodzinach obie one nie przeplatają się w generacyach, ani w tem samem pokoleniu, i podnoszą, że odmienne zapatrywania autorów polegają tylko na zapodaniach chorych, a nie na bezpośredniem stwierdzeniu faktu.

Mimo tej rozbieżności zapatrywań w kwestyi pokrewieństwa myotonii czystej i zanikowej, sądziłem, że, nie przesądzając sprawy, mogę zestawić obok siebie obie te postacie chorobowe w badaniach

uwzględniających biologiczną stronę tych cierpień. Zestawienie to usprawiedliwione jest, bo bądź co bądź symptomatologicznie obie postacie chorobowe są bardzo blizkie siebie i stanowczo wykazują biologiczne podobieństwa, chociaż i krańcowe przeciwieństwa. Te przeciwieństwa jednak zachęcają do spoglądania na oba cierpienia ze wspólnego punktu widzenia. Przecież obrzęk śluzakowy i Basedow są biologicznemi przeciwstawieniami, a jednak łączy je razem fakt zajęcia identycznego gruczołu. Sądzę, że właśnie wyniki tej pracy, wskazujące na podobieństwa lub krańcowe przeciwieństwa w zachowaniu się gruczołów wewnętrznego wydzielania w obu wymienionych schorzeniach, dostarczają z biologicznego stanowiska dowodów ścisłego pokrewieństwa choroby Thomsena i myotonii zanikowej.

Praca ta opiera się na całej dotychczasowej literaturze, z wyjątkiem niektórych zupełnie nietypowych albo zgoła nie będących myotonią przypadków lub zbyt krótko przedstawionych w sprawozdaniach z posiedzeń: Sicka (nietypowy), Smith Allena (podejrzenie histeryi), Collinsa (niedokładny), Hughesa, identyczny z Shaw-Fleminga i identyczny także z Bremer-Carsona (guz mózgu, ostatecznie rozpoznany przez operacyę), Deligny'ego (wątpliwy), Fürstnera (objawowa myotonia), Hughesa (rzekomo myotonia + sclerosis lateralis amyotrophica), Waltona (rzekomo cukrzyca z nabytą myotonią). Zupełnie wątpliwe lub nieprzekonywujące przypadki: Mignot'a, Rizzuti'ego, Delmasa, Bregmana, Pic et Porot'a, Hamilton'a, Gowersa. Niezupełnie pewny jest przypadek Mingazzini'ego e Perrusini'ego, który jednak uwzględniłem.

O niektórych przypadkach dodaję uwagę w spisie literatury, za co je uważam. W tych warunkach trudno o obszerniejsze motywowanie tego zapatrywania, które jednak z reguły okazuje się zbytecznem dla tego, który samą pracę czytał wprost.

Jak wynika z metodyki badania, koniecznem było każdą pracę, każdą historyę choroby dokładnie przeglądnąć, by nie pominąć żadnego, na pozór nieraz podrzędnego szczegółu. Ostatecznie tylko kilka prac, zupełnie mi niedostępnych, poznałem powierzchownie tak, jak były przedstawione w krótkich zazwyczaj referatach, wszystkie inne prace starałem się poznać in extenso. Przeglądanie takie ścisłe historyj chorób literatury, gdy chodzi zwłaszcza o numeracyę statystyczną poszczególnych objawów, napotyka przy studyum myotonii na wielkie trudności z tego powodu, że bardzo

często te same przypadki jako interesujące po wielekroć były ogłaszane przez różnych autorów. Jako przykład przytoczę, że słynny chory Rebay był opisany w oddzielnych pracach lub w sprawozdazdaniach towarzystw lekarskich co najmniej 13 razy (Strümpell, Steinert dwa razy, Toby Cohn, Hoffmann, Hoche, Berg, Niedendarp, Nonne, Mannel, Rindfleisch, Siemerling i Chvostek).

W pracy tej uwzględniłem także własne spostrzeżenia, dotyczące kilku myotoników, i to jednego, którego badanie ułatwił mi ś. p. prof. Frankl-Hochwart (Th.), chorego Bohsego (atr.), pozostającego w obserwacyi prof. A. Fuchsa we Wiedniu, chorego Sołomowicza (Th.), po części wspólnie z nim w czasie jego pobytu na moim oddziale obserwowanego (ten chory pochodził z ambulatoryum klinicznego prof. Halbana), chorego, opisanego przez Renckiego (atr.), który był tak uprzejmym przypadek ten mi przedstawić, wreszcie dwóch własnych chorych: W. z myotonią rodzinną, należącą do grupy myotonij z postinicyalną parezą i Sch. z myotonią nabytą.

Postawiłem sobie za zadanie wyszukanie w historyach chorób myotoników wszelkich grup objawów, które wskazywałyby na zaburzenia narządów wewnętrznego wydzielania. Uprzedzam z góry już na tem miejscu, że objawy takie się powtarzają, i to na tyle często i w tak charakterystyczny sposób, że zniewalają do tego, by uważać je za wcale stałe i ogólne zjawisko w myotoniach. Należało się więc zastanowić, jakie im przyznać znaczenie? Wydaje mi się, że tylko jedyne pozostaje przypuszczenie, że zmiany wewnętrznego wydzielania, które w myotoniach dają się wykazać, mają znaczenie przyczyny choroby, że od nich objawy myotonij zależą. O jednej grupie zaburzeń wewnętrznego wydzielania, mianowicie tężyczkowej, na pewne to przecież powiedzieć możemy, oparci na doświadczeniach fizyologów. Tak samo nie jest już hypotezą tylko sprowadzanie objawów konstytucyjnych myotoników obu grup do zmian wewnętrznego wydzielania, gdy wiemy, jakie znaczenie mają narządy tegoż w tworzeniu kośćca, dla stanu odżywienia ustroju, jego wzrostu i t. p.

Jeśli zmiany wewnętrznego wydzielania, które poniżej starałem się zebrać i określić, uważam za przyczynę objawów w chorobie Thomsena i myotonii zanikowej, nie mogę jednak rozstrzygać, czy one są tych objawów pośrednią, czy też bezpośrednią przyczyną. Możliwe bowiem, a nawet bardzo jest prawdopodobne w myśl ba-

dań Gregora i Schildera, że działanie wychodzące z aparatów gruczołowych dokonuje się za pośrednictwem systemu nerwowego, a może tylko w małej części wprost się zaznacza w pewnych objawach myotonii i w pewnej stronie zaburzenia myotonicznego.

Na podstawie tych studyów dochodzę do przekonania, że schorzenia myotoniczne są wyrazem i następstwem swoistego zaburzenia kilku (a może i całego układu) narządów wewnętrznego wydzielania. Gdy n. p. Basedow, obrzęk śluzakowy są przedewszystkiem chorobami jednego gruczołu o wewnętrznej sekrecyi, myotoniczne schorzenia są cierpieniami całego szeregu gruczołów wewnętrznego wydzielania. W przeciwieństwie do wymienionych schorzeń monoglandularnych są one schorzeniami polyglandularnemi.

Metodyka badania.

1. Uwzględnianie konstytucyi cielesnej, jako wykładnika sił, działających w różnem nasileniu ze strony poszczególnych gruczołów wewnętrznego wydzielania. Uwzględnianie tej konstytucyi w błahych nawet na pozór szczegółach, o ile one w historyach myotoników częściej się powtarzają. Ponieważ brak nam zupełnie wiadomości, od jakich gruczołów zależy wytworzenie się tej lub owej konstytucyi, wyniki badań nad konstytucyą cielesną myotoników, którym w ogóle można przyznać jakieś znaczenie tylko wówczas, jeśli stwierdzą zgodnie dla ogółu myotoników jednej kategoryi pewien stały typ, są tylko wskazówką ogólną zaburzenia w zakresie wewnętrznego wydzielania. Wskazówki, który lub które gruczoły są zmienione w swej funkcyi, tą drogą nie otrzymujemy na razie.

2. Uwzględnianie zmian naczynioruchowych. Ponieważ objawy naczynioruchowe uzależnia się od funkcyi gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu, stwierdzenie tych zmian w myotonii stanowi także pożądaną wskazówkę, która, o ile przyjmie się zapatrywania Eppingera i Hessa, może mieć znaczenie wskazówki już ściślejszej, bo wymieniającej te gruczoły typu wagotonicznego, lub typu sympatykotonicznego.

3. Wyszukiwanie w historyach chorób objawów, które zwykliśmy wiązać z zaburzeniami pewnych gruczołów wewnętrznego wydzielania, jak n. p. wzmożenie pobudliwości mechanicznej i elektrycznej nerwów (objawy wskazujące na gruczoły przytarczykowe),

pigmentacye (nadnercze), brak menstruacyi (gruczoły rodne) i t. p. Wskazówki, tą drogą otrzymane, dotyczą już pewnych określonych gruczołów. Bardziej ogólne znaczenie mają wyniki badań morfologicznych krwi, ciśnienia krwi i t. p.

4. Uwzględnianie wieku dożycia i płodności, co poniekąd wskazuje na sprawność gruczołów w ogóle, a w szczególności rodnych.

5. Kombinacye z chorobami monoglandularnemi (n. p. z tężyczką) dowodzą, że ten sam gruczoł, który w danej chorobie monoglandularnej jest zajęty, widocznie w podobny sposób ilościowo i jakościowo jest zmieniony w swej funkcyi w myotonii.

6. Kombinacye myotonii z innemi chorobami (wielogruczołowemi), których tło gruczołowe jest domniemane (n. p. z myasthenią). Wskazówki, tą drogą otrzymane, są już więcej hypotetycznej natury, o tyle zaś cenne, że od razu podają zaburzenie kilku gruczołów i jakość tego zaburzenia.

7. Natomiast brak kombinacyj, czy to z pewnemi mono-, czy polyglandularnemi cierpieniami dowodzi. że dane zaburzenia monoglandularne czy polyglandularne o tym typie na tło zaburzenia wewnętrznego wydzielania nie mogą się składać. Nie może więc istnieć w myotonii obniżenie funkcyi tarczycy, bo nieznaną jest kombinacya jej z obrzękiem śluzakowym, ani hypofunkcya płatu gruczołowego przysadki z tegoż powodu. Dowody, tą drogą zebrane, upadają oczywiście z chwilą, gdy kazuistyka w przyszłości wykaże, że jednak takie powikłania się zdarzają.

8. Uwzględnianie wprost badaniu dostępnych zmian w gruczołach, jak n. p. zaniki jąder, wole i t. p.

9. Wreszcie zostały podane objawy niektóre, które zwracają uwagę dzięki temu, że częściej się powtarzają, choć niewiadomo na razie, do jakich czynników etyologicznych je odnieść. O ich znaczeniu rozstrzygnie postęp przyszłości (n. p. zmiany stawowe i ścięgien).

Omówienie materyału.

Przyjmując dla myotonii wrodzonej wrodzone zaburzenie jednego lub kilku gruczołów wewnętrznego wydzielania, przyjmuje się tem samem jako podstawę zmianę wydzielania poniekąd całego systemu gruczołów przy znanym fakcie ich wzajemnej od siebie zależności funkcyonalnej. Wynika zaś z tego, że ustrój w okresie, kiedy jest w zaraniu rozwoju, innym ulega, niż normalnie, wpływom

ze strony tych gruczołów. które zawiadują formacyą jego kośćca, ogólną tegoż budową, kształtowaniem jego składników płciowych, narządów wegetatywnych, unerwieniem naczyń, a między innemi także, jak się pokazuje z niniejszego studyum nad myotonią, i upostaciowaniem umięśnienia szkieletowego. Tak też jest w rzeczywistości. Bliższe studyum stosunków cielesnych myotoników przekonuje, że zaburzenie chorobowe dotyczy nie tylko samej sprawności mięśniowej i samej struktury mięśni, ale całej konstytucyi osobnika.

Myotonik ma własną budowę ciała, która zupełnie ściśle należy do symptomatologii cierpienia. Dotyczy to przedewszystkiem myotoników bez zaników mięśniowych. Historye chorób przedstawiają zgodnie rodziny myotoników, jako silne fizyczne, a samego myotonika, jako osobnika średniego wzrostu, o bardzo silnie rozwiniętych kościach, dobrze lub atletycznie rozwiniętych mięśniach, przyczem przeważa rozwój mięśni dolnych kończyn nad górnemi, z podściółką tłuszczową skąpą, zazwyczaj dobrze, nawet bardzo dobrze wyglądających na twarzy, rzadko bladych, przytem jednak nie anemicznych, o skórze białej, delikatnej. Tylko Sołomowicz (Th.) i Orzechowski u. Sch. (Th.) w swoim przypadku znaleźli blizenki liczne po acne. Jako szczegół konstytucyjny trzeba wymienić małą lub »żadną« skłonność do chorób. Wzrost myotoników zwykłych, obliczony na podstawie liczb podanych w 13 przypadkach wynosił 164 cm (najniższa cyfra 160, najwyższa 175). Waga ciała wynosi u zwykłych myotoników 69·70 kg (z 10 przypadków), więc, jak na ich wzrost i atletyczną budowę, niezbyt wiele. Obwód piersi w przyp. Grixoni'ego i moim (Sch.): 88 cm. O czaszce mało dowiadujemy się z historyj chorób. Dość dużą była ona w przypadku Déjérina-Sottasa, w przypadku Sołomowicza wynosił obwód 54 cm, w moich przypadkach 56 i 57·5, u jednego atrofika $53^1/_4$ cm, w przypadku zanikowym Ferrarini'ego-Paoli'ego była ona dolichocephaliczna, w takim samym Lannois et Porot: clinocephaliczna, a hydrocephaliczna (56 cm) u Krammera-Sellinga (prawdopodobnie atr.). O częstej prognacyi wspomniemy jeszcze później. Krótka, szeroka szyja w przypadku Erba (= Fischera). Zęby myotoników są dobre, natomiast w przypadkach Erba, sióstr M., prawdopodobnie zanikowych, były one złe, a nadto u zanikowców (Gauppa i Steinerta). Do wyjątków należy delikatna budowa i ogólny wątły wygląd u myotoników zwykłych (Meara, Mele, Frankl-Hochwarta, Vigouroux, chory 3. Sölder'a).

Raz tylko mówi ogólnie o dużym wzroście Erb w pierwszym przypadku, a Gessler podkreśla, że jego chory, jedyny w rodzinie myotonik, zresztą świetnie wyglądający i atletycznie zbudowany, był wyjątkowo w rodzinie niskiego wzrostu. Jak wspomniano, najczęściej świetnie wyglądają myotonicy zwykli, czasem są jednak bladzi, rzadko mówią historye chorób o grubych rysach twarzy i wskutek tego mało inteligentnym wyrazie. Jako coś niezwykłego podaję wzmiankę Friisa, że jego chory miał brwi podciągnięte, co nadawało twarzy wyraz zdumienia, że Delprat nazywa oczy małemi, a szpary powiekowe chorego Sołomowicza były też dość wązkie.

W związku z tem, że myotonicy zwykli są ogólnie zdrowi, stoi rzadkość schorzeń w przeszłości, a ich brak w dzieciństwie. Tylko Déjérine i Sottas podają, że ich chory przechodził w dzieciństwie pląsawicę, chory w 3 przypadku Eulenburga i Melcherta przebywał blednicę, a 1. chory Söldera (ident. z przyp. Mahlera) krzywicę.

O uwłosieniu historye chorób nic nie wspominają. Sądząc z rycin bywa ono u zwykłych myotoników na czaszce dobre, a zresztą widocznie nic szczególnego tutaj nie zauważono. Jedynie Messaroch zaznacza w swoim przypadku silne uwłosienie na dolnych kończynach, natomiast brak zresztą włosów na tułowiu i kończynach górnych.

Dla uzupełnienia tej charakterystyki konstytucyi czystych myotoników trzeba dodać, że czasem mimo ich nieastenicznej budowy spotyka się u nich przepukliny (w przypadku Raymonda obustronną pachwinową, Jones'a wrodzoną pachwinową, w przypadku Meary była w dzieciństwie przepuklina pachwinowa i pępkowa). U zanikowców, u Nikonowa obustronna, u Gauppa pachwinowa lewostronna.

Często również zdarza się skrzywienie kręgosłupa ku przodowi i boczne w obu grupach myotoników. Lordoza sama lub ze skoliozą była w 14 przypadkach (w tem u 9 atrofików), tylko skolioza po jednym przypadku w myotonii zwykłej i zanikowej.

W pięciu wreszcie przypadkach czystej myotonii był zez, i to zbieżny w przypadkach Meary, Eiselta i Wichmana, a rozbieżny w przypadku Sołomowicza i Orzechowskiego (Sch.).

Gdy tak z bardzo nielicznymi wyjątkami historye chorób literatury przedstawiają myotonika zwykłego, jako prototyp bardzo

zdrowego osobnika, średniego wzrostu, o skąpej podściółce tłuszczowej, lecz z mięśniami i kośćmi silnie rozwiniętymi, spotykamy odmienne stosunki ogólno-konstytucyjnego stanu u myotoników ze zanikami mięśniowymi. Co do wzrostu, to przeciętna, wyliczona na podstawie tych przypadków, w których opisach została ona podana (6), wynosiłaby 166 cm, więc różniłaby się mało od przeciętnej wzrostu zwykłych myotoników. Sądząc jednak z rycin i określeń w historyach chorób, podanych przez autorów, ma się raczej wrażenie, że myotonicy zanikowi są prawie dużego wzrostu, a małe osobniki zdarzają się wśród nich rzadko (n. p. przypadki Grunda). Mimo że są wzrostu albo równego z myotonikami zwykłymi, albo raczej od nich wyżsi, mają ci myotonicy wagę ciała niższą; przeciętna z 10 przypadków, w których ona jest podaną, wynosi 54·5 kg (więc jest niższą o 15 kg przeszło od przeciętnej wagi ciała myoników zwykłych). W parze z niższym ciężarem ciała idzie znaczna skąpość podściółki tłuszczowej, prawie stała w tych przypadkach, często sprawiająca wrażenie wprost wyniszczenia (przyp. ogłoszony w 1910 przez Steinerta, przyp. 1. 2 i 4 Steinerta w jego pracy z r. 1909, 3. chory Batten-Gibba o wyglądzie starczym w 56. roku życia i tegoż autora 4. chory z wyniszczeniem ogólnem, przedwcześnie postarzały 55-letni Baldner i nadzwyczaj chudy Gentges [Curschmana]). Budowa kośćca tych myotoników jest niemal stale delikatna (grazil) — tylko o Jansenie J. mówi Passow, że jest »starkknochig« i takim samym jest atypowy przyp. Stieflera — są oni słabowici, bardzo chudzi, mięśnie (i nie objęte zanikami) miewają słabo rozwinięte i wiotkie. O skórze przeświecającej, lśniącej, cienkiej i napiętej na nosie, mówi Steinert przy opisie jednego przypadku. Czasami zdarza się nadto mało energiczna postawa ciała (schlaffe, matte Haltung w przypadku Gauppa). Bardzo długie kończyny przy średnim wzroście podają Ferrarini e Paoli, od dziecka słabowity i niedorozwinięty chory Gauppa zawsze się łatwo męczył, Bohse przy ogólnych znamionach hypoplastycznej budowy ma i ręce delikatne, kobiece. chorzy Tetznera i Kramera-Sellinga mają wązką, długą klatkę piersiową, a Janson J. ma szewską pierś, przyp. Modeny-Sicardiego ma thorax paralyticus. Czasem wystąpienie zanikowej myotonii (czy też przejście zwykłej myotonii w zanikową) zaznacza się zmianami odżywienia, i tak chory Rossolima, dotąd dobrej tuszy, w 32 roku życia po ożenieniu się chudnie, jedna chora Steinerta, jako dziecko gruba i silna. od 17. roku życia dostaje obja-

wów gruźlicy i chudnie, w tymże czasie mogły się rozpocząć u niej zaniki. Od tej ogólnej reguły spotykamy bardzo nieliczne wyjątki, więc J. Jansena, który ma gruby kościec, chorego Modeny e Sicardi'ego z silnie rozwiniętymi mięśniami, 2. przypadek Batten-Gibba i 1. Grunda z dobrem odżywieniem i stanem ogólnym zdrowia dobrym. Jako wyjątek figuruje też w grupie tej J. Jansen (przynajmniej w opisach, które może pochodzą z doby, kiedy nie miał jeszcze zaników) z dobrem zabarwieniem twarzy. Zupełny już kontrast do zwykłego typu zanikowego myotonika stanowi niezwykły zresztą pod pewnymi względami przypadek Stieflera z wzrostem 173 cm, ciężarem ciała 78, obwodem piersi 89—96, o grubych kościach, nader rozwiniętych mięśniach, z czaszką brachycefaliczną i zdrowo ubarwioną twarzą. W przypadku tym jednak zaniki dotyczą tylko małych mięśni rąk, a trwają od dzieciństwa, więc nie można wykluczyć niedorozwoju wrodzonego u »czystego« myotonika.

Jako regułę o bardzo nielicznych wyjątkach należy więc przyjąć, że myotonici zanikowi są typowymi astenikami, dość wysocy, o długiej wąskiej twarzy, długiej, wąskiej klatce piersiowej, długich kończynach, chudzi, bladzi i anemiczni.

W związku z konstytucyą asteniczną zanikowych myotoników pozostają przypadłości gruźlicze, zdarzające się w tej grupie (w przyp. 2., 4., 6. i 7. Steinerta, we wszystkich zmiany posunięte, i w przypadku Tetznera). Wreszcie z ich konstytucyą asteniczno-enteroptotyczną wiążą się może przypadłości kiszkowe w dwóch przypadkach Curchmana i u Jansena J., a kamica żółciowa u Baldnerównej (Curschman), »dyspepsya« w przyp. Prestena.

Jeszcze dla wykończenia charakterystyki konstytucyjnych cech u zanikowych myotoników nadmienię, że u nich raz zdarzyły się genua valga + pedes plani, dwa razy (Jansen J., Ascensi) same tylko stopy płaskie, a w przypadku Genthgesa (Curschmana) jest wyraźnie podkreślona enteroptoza (wszystko szczegóły astenicznej budowy). W grupie zwykłej myotonii były miernie płaskie stopy tylko w moim przypadku (W.).

Do konstytucyi obu grup myotoników należą zaburzenia naczynio-ruchowe, mianowicie:

Myotonicy są w wybitnym stopniu wagotonikami; przytem z góry zaznaczam, że wagotonia niezaprzeczenie nasila się tam, gdzie obok myotonicznego zaburzenia występują też zaniki. Liczby tętna są nieco poniżej normalnej, 70—80 w 5 przypadkach zwy-

kłych i w jednym atroficznym, 68—72 w obu moich przypadkach niezanikowych (Sch. i W.) dwa razy tylko było tętno 106 do 110, przyczem zaznaczyć należy, że w jednym z tych przypadków był przerost serca, a w drugim tętno było tylko raz badane. W przypadku Skutetzky'ego jest arytmia, lecz przy zmianach wysłuchowych w sercu. W trzech przypadkach myotonii zanikowej było tętno 60—64, w czterech przypadkach tejże grupy 52—56, a w przyp. Klieneberga stała tachykardia. Raz określają tętno jako zmienne, leniwe, raz jako pełne (Fischera zwykły i dwa przypadki zanikowe).

Zimne, sinawe ręce w 7-iu przypadkach, przytem to sine, to czerwone, to białe w dwóch przypadkach, albo przytem i skłonność do obrzękania warg w jednym przypadku w grupie myotoników zwykłych, a u zanikowych 7 razy pod wpływem zimna sinienie i ziębnięcie rąk, przytem dwa razy także obrzmiewanie rąk i uczucie ich znieczulenia. Myotonicy nie znoszą ciepła (3 razy). To skarży się jeden na uczucie zimna, to ciepła naprzemian, jeden na częste uderzanie krwi do głowy i z tego powodu bole głowy, jeden na szum bardzo silny w uszach. Trzej podają zawroty głowy, jeden zanikowy dostaje omdleń przy egzaminach, trzej zwykli myotonicy mają wybitną skłonność do katarów, u jednego pojawia się po obnażeniu falowanie mięśni, u 4-ch zwykłych dermografia, u 3-ch zaś urticaria factitia, a obok tego 4 razy dermografia i raz urticaria factitia w grupie atrofików. Raz tylko zaznaczono wyraźnie brak dermografii u zwykłego myotonika, a raz u zanikowego. Skłonność do odmrażania rąk była wybitną w przypadkach zanikowych: w 4. i 5. Steinerta, w pierwszym Hoffmanna i pierwszym Fürnrohra. — W przypadkach 4. i 5. Steinerta palce rąk stawały się trupio blade pod wpływem zimna. Wzmożone pocenie się raz u Stieflera (at. atr.), 7 razy u zwykłych myotoników (Erb. u v. X., Sołomowicz, Nikonow 2, Braun 3, Maggiore, Sölder 1, Orzechowski u Sch.), przytem w przypądku Sołomowicza w parze z pogorszeniem myotonii potęgowała się skłonność do pocenia, która w ogóle u niego była dużą. U jednego chorego uderzyła badającego marmurkowana skóra, w dwóch przypadkach (po jednym z obu grup) wielka wrażliwość skóry na szkodliwości i złe gojenie się ran, przyczem u atrofika pojawiła się ta właściwość od czasu wystąpienia myotonicznych objawów. Dwa razy notują przerost serca, po jednym razie dermatitis exfoliativa, astmę (Rybalkin), bicie serca i duszność przy dłuższem chodzeniu, napady duszności i potów (u atrofika), rozstrzenie

żył na skórze, krwawienie z nosa i żylaki u atrofika, Steinerta 6 przyp. i u W. Orzechowskiego (Th.), guzy krwawnicowe u Sch. (Th.) Orzechowskiego.

Gęsią skórę miało po dwóch chorych z obu grup.

O pulsowaniu łuku aorty w iugulum wspomina Gottardi.

Może tutaj należy wspomnieć, że kurcze bolesne (crampi) podaje Steinert w swoim 6 przyp. (atr.) i Orzechowski (Sch. Th.).

Uwzględniając tylko przekonywujące objawy wagotonizmu znachodzimy tego rodzaju różne poszczególne objawy 33 razy w grupie czystej myotonii, a 21 razy w grupie powikłanej myotonii z zanikami, stanowczo więc atroficy mają na polu wagotonii przewagę, jeśli się zważy, że grupa ich jest o wiele mniej liczną.

Wiedząc o tem, że wagotonicy bardzo często są bladzi na twarzy, nie będąc anemicznymi, albo naodwrót mają piękne rumieńce, moglibyśmy dołączyć do objawów wagotonicznych bladość twarzy w 5-ciu przypadkach czystych i w 2 przypadkach zanikowych, a nadto świetny wygląd twarzy (»blühend«) w 5 przypadkach (4 czyste, 1 zanikowy).

W ten sposób grupa czystych myotoników wykazywałaby 42, a atrofików 24 szczegółów wskazujących z wielkiem prawdopodobieństwem na wagotoniczne zachowanie się.

Dla wykazania, że objawy naczynioruchowe we wszystkich grupach myotonicznych się zdarzają, a nie tylko lub przeważnie u zanikowców, przytaczam bardziej uderzające z podaniem przypadków autorów. Szczególnie zdarzają się one u paramyotoników: Funcke, czerwono-sine ręce (paramyotonia + myotonia), Sölder, 3. przyp. (ręce i wargi na zimnie sinieją i lękko brzękną, często katary oskrzeli), Alsberg u chorego Schaperdöckera, ręce do połowy przedramion to sine, to białe, na przemian w nich to uczucie gorąca, to zimna.

U myotoników zwykłych: Erb (Fr. W.), skóra marmurkowana, Kron, łatwo skórka gęsia, wzmożona dermografia z urticaria factitia, Messarocha chory nie znosi od dziecka ciepłej odzieży, ma skłonność do zaziębień, ręce zimne, sine, Dana, ręce sine i zimne, te Kamp, krwawienie z nosa, Haynes u chorego, zdaje się (?) młodego tętnice obwodowe zgrubiałe, u Grixoni'ego rozszerzenie żył skóry, urticaria factitia, Strümpell, uderzenia krwi do głowy i bóle głowy, zawsze uczucia gorąca w dolnych kończynach, Braun w 3. przypadku silna dermografia, Pelz w 1. przypadku zawroty, silne

pocenie się nóg, słaba dermografia. Sołomowicz: przy dłuższem chodzeniu bicie serca i duszność (przy braku zmian w sercu), ręce wilgotne, lekko zasinione, Nikonowa drugi przypadek cierpi na silne pocenie się ciała, zwłaszcza rąk, stałe uczucie gorąca i silny pruritus, w pierwszym przypadku Nikonowa przerost serca, w przypadku Erba (= Fischera) tętno 60, zmienne, słabe, wrażliwa skóra, skłonność do gęsiej skórki, porażenne zaczerwienianie się jej po drażnieniu, złe gojenie się ran, w Pansiniego 1. przypadku zastój żył na rękach i nogach, urticaria factitia, Sölder w 1. przypadku wzmożenie pocenia się, zawroty głowy, skóra blada, kończyny zimne jak lód, cutis anserina. Twarz żywo czerwona, tętno nierówne, zależne od oddechania w przypadku Skutetzky'ego. Łatwe sinienie rąk i stale się utrzymająca wzmożona wilgotność u Sch. (Orzechowski), bardzo silne sinienie rąk u W. (Orzechowski), przyczem ręce są suche, lecz opuszki prawie obrzękłe. Tenże W. poci się silnie przy lada wysiłku, miewa bardzo często szum i tętnienie w uszach, że słowa drugich nie słyszy, skarży się też często na zgagę i wracanie do ust treści kwaśnej. Natomiast Sch. ma skłonność stałą do skurczowego zaparcia. Obaj mają uderzająco wąskie tętnice sprychowe o wąskich ścianach. Sch. blednieje przy najbłahszem wzruszeniu, miewa bardzo często zimne aż do bolu nogi, zawroty głowy, urina spastica i kilka razy w życiu miał »trupie palce«.

U myotoników atroficznych: skłonność do odmrażania rąk lub ziębnienia i sinienia ich lub blednięcia w przypadkach Steinerta (4., 5., 6. i 7.), w 1. przypadku Hoffmanna, w 1. przypadku Fürnrohra, u chorych trzech Curschmana (Baldnerowie i Centhges) w 3. przyp. Pansini'ego i Tetznera, w przyp. Aimé twarz prawie cyanotyczna, u Zamblera omdlenia przy egzaminach, u Schotta dermografia wzmożona, u Déléage'a napady duszności i potów, u Rossolima bardzo powolne i liche gojenie się ran od czasu choroby, u Gauppa kończyny wilgotne i sine, po odsłonięciu falowanie wiązkowe mięśni, tętno 52, małe, u Modeny-Sicardi'ego ręce sine, zimne, u Schönborna sine ręce. Pocenie się przy małym wysiłku u Oberndorfa.

Badania dokładne krwi u myotoników istnieją w 5. przypadkach. Pierwsze takie badanie zawdzięczamy Sołomowiczowi w przypadku czystej myotoniki: polyglobulia, lymphocytoza, mononukleoza, eozynofilia (glist w stolcach nie było). C. cz. 6,500,000, Hb. 98, ind. 0·8, c. b. 7.200, eozynofilów 3·5%, neutrofilów 58·5%, lymfocytów

małych 26·5%, mononuklearnych 11%, basofilnych 0·5%; lepkość krwi 4·8, napięcie powierzchniane 50·8, ilość białka we krwi 19·5%. Wynik ten wskazywałby też na wagotonię. Niemal identyczne wyniki otrzymali: Skutetzky (c. cz. 5,740,000, c. b. 7,600, hb. 11·9, małych limfocytów 37%, dużych 3%, neutrofilów 57%, eozynofilów 3%), Orzechowski u W. (c. cz. 5,000,000, hb. 80, index 0·8, ciałek białych 7,200, neutrofilów 60·2%, eozynofilnych 7·8%, limfocytów małych 25·6%, dużych 4%, basofilnych 2%, tucznych 0·4%) i Orzechowski u Sch. (5,066,000 c. cz., 7,188 c. b, 95 hb., 50·5% neutrofilnych, 5% eozynofilnych, 40% limfocytów dużych i małych, tucznych 0·5%, mononuklarnych 2·5%, przejściowych 1·5%). U zanikowca Genthgesa (Curschman) skład krwi i stosunek procentowy ciałek białych były prawidłowe.

Wreszcie dodać należy, że pilokarpinę, podawaną na wewnątrz, znosił chory Sołomowicza dość dobrze, czasami podawał, że ma pewną ulgę po wypoceniu się. Wstrzykiwania jadów, działających na nerw błędny, dały w moich przypadkach niezanikowych wynik ujemny, 0·01 pilokarpiny w obu przypadkach dało oddziaływanie normalne, a 1 mgr. atropiny tylko u Sch. i to, jako jedyne działanie, wywołał dłużej trwające uczucie suchości w ustach.

Jak wiadomo, Eppinger i jego współpracownicy uzależniają wagotonię od wpływu gruczołów wewnętrznego wydzielania, wyobrażając sobie, że stan ten odpowiadać może wzmożonej funkcyi jednego lub kilku gruczołów, hamujących układ sympatyczny, a pobudzających system nerwu błędnego. Rozmieszczając gruczoły według podziału Cara, oczekiwać moglibyśmy w myotonii obniżenia funkcyi niektórych z gruczołów sympatykotonicznych: tarczycy, układu chromoaffinowego, części lejkowej przysadki — a wzmożenia czynności wydzielniczej jednego z następujących gruczołów: trzustki, przytarczyc i gruczołów rodnych.

Przystępuję więc do rozpatrzenia szczegółów konstytucyjnych i objawowych, które mogłyby w myotonii wskazywać na zachowanie się funkcyonalne poszczególnych gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu.

Na gruczoły przytarczykowe, jako narządy, których zmiana wydzielnicza może wywoływać zaburzenia myotoniczne, wskazują przypadki powikłania obu chorób, i to takie, które można określić jako tężyczki z objawami myotonicznymi (większość przypadków), albo bardzo nieliczne, które są myotoniami (nabytemi), z poszcze-

gólnymi objawami tężyczki, albo wreszcie przypadki, co do których klasyfikacyi jesteśmy w kłopocie, bo w nich równie silnie reprezentowane są objawy tężyczkowe, jak i myotoniczne [1]. W ocenie przynależności tego rodzaju przypadków nie możemy tu kierować się etyologią zbliżoną do tężyczkowej, bo ostre przypadki wedle pracy Talmy mają się i w myotonii zdarzać. Niczego też nie dowodzi uleczalność, bo i myotonia bywa przemijającą. Wreszcie habitus atletyczny może być w tężyczce (v. Frankl-Hochwart), a może go brakować, choć rzadko, w typowej myotonii.

To zlewanie się społem objawów tężyczki z myotonią w obrazy chorobowe, wobec których bezradny stoi klasyfikujący mózg obserwatora, już samo przez się wskazuje na ścisły patogenetyczny związek obu tych syndromów chorobowych.

Pokrewieństwo to, widoczne w tężyczce myotonicznej, uwydatnia się tem więcej, gdy zobaczymy, że w myotonii wrodzonej napotyka się z jednej strony na objawy tężyczkowe, tak, że nieraz możnaby mówić na odwrót o myotonii tężyczkowej, a z drugiej strony na analogie etyologiczne, przebiegu i objawów.

W dwóch przypadkach myotonii zwykłej stwierdzono objaw Erba (Martius Hansemann, Kumagai), a w jednym zanikowym przypadku Curschmana An O Tę i K O Tę wcześnie występowały, jako wyraz wzmożonej pobudliwości nerwów, zaś u Jansena J. K Z Tę następował zaraz po K Z S. W moich przypadkach stwierdziłem objaw Erba, i tak u Sch. z n. ulnaris K O S: 3·5 MA, K Z Tę: 4·5, z n. radialis K Z Tę: 3·0, An OS: 2·2, z n. peroneus K Z Tę: 4·0, a u W. z n. ulnaris K O S: 4·0, K Z Tę: 3·5, z n. peroneus i radialis dla An O S: 2·4. Wzmożenie pobudliwości faradycznej dla n. twarzowego notuje Fromowicz.

Według Erba pobudliwość galwaniczna nerwów ruchowych jest w myotonii obniżona, bo K Z Tę późno występuje, pozatem jednak stwierdza on w swych historyach chorób dość wczesne występowanie K O S. W myśl nowoczesnych zapatrywań to wczesne występowanie K O S wskazuje właśnie na pewne wzmożenie pobudliwości galwanicznej nerwów ruchowych, istniejące w chorobie Thomsena podobnie jak w tężyczce, w której jednak wyraża się

[1] Kazuistykę przypadków, zebranych w mojej pracy: »Tężyczka z objawami myotonicznymi« pomnaża przypadek, przedstawiony przez Flataua i Sterlinga (Neurologia polska T. II.) i własne dwa, mające być ogłoszone w pracy o »Tężyczce we wschodniej Galicyi«.

ono wybitnie w ostrem nasileniu choroby, a w granicach tych samych mniej więcej, co w myotonii, w stanach utajonej tężyczki.

W 7 przypadkach zanikowych (!), a w dwóch zwykłych (zanikowe: Löhlein (słabo), Curschmana (Baldner iun. i Hammer), Rossolimo i Steinert w 3 przypadkach — zwykłe: Köster, Sölder) objaw Chwostka był obecny. Objaw Chwostka, a nadto wzmożenie pobudliwości mechanicznej któregoś z nerwów obwodowych były w 6 przypadkach zwykłych, a w trzech zanikowych (zwykłe: Duse-Astolfoni, Kumagai, Jastrowitz, Orzechowski u W., w ogóle nerwów obwodowych, Koch z plexus brachialis, Sołomowicz z n. ulnaris — zanikowe: Schott z n. radialis, Jansen J. z plexus brachialis, z n. ulnaris i peroneus i Berg 3 przyp. z ulnaris). Wzmożenie pobudliwości mechanicznej wykazywały nerwy obwodowe prócz twarzowego w 3-ch przypadkach. W jednym przypadku u zwykłego myotonika (Süsskand) otrzymywało się skurcze przez opukiwanie nervi accessorii. Mamy więc 15 przypadków z wzmożeniem pobudliwości mechanicznej obwodowych nerwów.

Objaw Hofmanna stwierdzono w jednym przypadku (Sölder 1. = Stein i Orzechowski u W.). — Trousseau był obecny u Jastrowitza.

Mrowienia i cierpnienia napadowo występujące, tak charakterystyczne dla tężyczki, opisano w 4 przypadkach zwykłych (Nalbandow, Seeligmüller 3., Eiselt (tu jednak mogły one być zależne od równoczesnej nerwicy urazowej), Sołomowicz) i u jednego atrofika Hirschfelda (niepodejrzanych na powikłania wiądowe). Kłucia i mrowienia nienapadowe w 4 czystych przypadkach (te Kamp, Sölder 1., Wichman i Skutetzky) i w 2 atroficznych (Magneval 2. i Modena-Sicardi). Mrowienia te umiejscowiały się w kończynach, tułowiu lub w całem ciele. Sch. Orzechowskiego skarży się na »zasypianie« i »znieczulanie« napadowo występujące w prawej lędźwi od pierwszej młodości, miewa nadto przemijająco kłucia w palcach rąk i nóg i mrowienia na piersiach. O bolach (w 2 przypadkach) wspomnę przy opisie objawów wiądopodobnych w myotonii, bo one tam prawdopodobnie należą.

W jednym przypadku była przeczulica (Pelz przyp. 1.).

W jednym przypadku zanikowym skłonność do kurczów bolesnych, które Frankl-Hochwart często znachodzi w chronicznej tężyczce (Steinert w 6. przypadku) i w niezanikowym (Orzechowski, Sch., po zmęczeniu — kurcze łydek).

Odpowiednio do drżeń włókienkowych w tężyczce spotykamy raz, w zwykłej myotonii, typowe drżenia fibrillarne (Kroitsch Seeligmüllera), a w trzech przypadkach »undulacye« i niepokój mięśniowy (3 zwykłe przypadki (Marie, Erb, Pansini 1.), jeden atroficzny (Rebay).

Skurcze przełyku i laryngospasmus po jednym razie (w przypadkach rodzinnych Pańskiego)[1].

Typowy tężyczkowy ubytek szkliwa (Schmelzdefekt) w przypadku Sołomowicza.

Kataraktę wrodzoną tężyczkową stwierdzono ogółem w 15 przypadkach, i to w 4 przypadkach Bartelsa (które właściwie niesłusznie zaliczają autorzy i ja sam je zaliczyłem swego czasu do tężyczki, bo żadnego objawu tężyczkowego prócz zaćmy i w 1. tylko przypadku Chvosteka nie wykazują, a mają natomiast objawy myotonii ze zanikami), w przypadku Raymonda (zwykłym) i zdaje się nabytą u 52-letniego pierwszego paramyotonika Söldera na prawem oku, a wreszcie u chorego Sch. Orzechowskiego (nie atr.) i Kumagai (Th.), a zresztą w samych tylko zanikowych przypadkach, i to według Hoffmanna w około 10% przypadków (u jednej ze sióstr M. (atr., swego czasu opisanej jako Th.) Erba, Curschmann, Hoffmann, Hirschfeld, Greenfield, Löhlein, Oberndorf, Abrahamson i Kennedy).

W przypadkach Ferrarini-Paoli'ego było »wrodzone cierpienie oka«, czyżby więc także zaćma wrodzona? W takim razie wbrew mniemaniu Hoffmanna zdarzałaby się i w przypadkach zwykłej myotonii katarakta (Raymond, Ferrarini-Paoli, Orzechowski i Kumagai).

Liczba ta jest wysoką, a z całą śmiałością można utrzymywać, że byłaby znacznie większą w rzeczywistości, gdyby badacze zwracali szczególniejszą uwagę na soczewki myotoników i badali je odpowiednio, jak to się czyni obecnie w przypadkach tężyczki i znachodzi dzięki temu w pewnym procencie przypadków chronicznej tężyczki choćby drobne zmiany zaćmowe zgoła charakterystyczne (Phelps), a przy zwykłem badaniu (bez rozszerzenia źrenicy i bez ogniskowego oświetlenia) zupełnie uchodzące uwagi. Nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że, jeśli w przyszłości uważnie badać się będzie

[1] Może też tutaj należy przypadek Fürstnera (niepewny i nietypowy) z laryngospasmus (?), skurczami samoistnymi, drżeniem włókienkowem i słabymi odruchami kolanowymi.

soczewki myotoników zanikowych, to znajdzie się w nich bardzo często zaćmowe zmiany. Że wspólny jakiś czynnik patogenetyczny istnieje dla zaćm i zanikowej myotonii, wynika z drzew genealogicznych, zestawionych w pracach Greenfielda i Hoffmanna z dwóch rodzin, których poszczególni członkowie mają to zaćmę, to myotonię zanikową, to oba razem cierpienia.

W przypadku Mingazzini'ego i Perusini'ego (bardzo niepewnym!) choroba zaczęła się bolesnemi przykurczeniami dolnych kończyn, które mogły być skurczami tężyczkowymi.

Podobnie jak czasem odruchy kolanowe mogą być w tężyczce słabe i nieobecne, napotykamy w historyach chorób typowej, a zwłaszcza zanikowej myotonii często wzmianki o braku odruchów ścięgnistych, albo o ich osłabieniu, nie doliczając tutaj kombinacyj myotonii z wiądem.

Jak tężyczka w pewnych miesiącach, tak i myotonia nasilać się może w porach zimnych roku.

Analogicznie do tężyczki mamy etyologię gastrektatyczną w przypadku Nartowskiego. Analogię do tężyczki infekcyjnej widzę w przypadkach Jakoby'ego po tyfusie, u Fürnrohra w 2 przyp. po zapaleniu płuc, a Ascenziego po tyfusie pogorszenie już istniejącej myotonii. Jones'a po influenzy, Mirallié, Jalaber i Cullerre'a po ciężkiem zapaleniu płuc i Lorda (też po jakiejś chorobie, prawdopodobnie infekcyjnej). Z drugiej strony wprost odmiennie zdarzyło w przypadku Skutetzky'ego, w którym po szkarlatynie w 11. r. ż zaburzenie myotoniczne prawie nagle ustało i później już tylko na zimnie się pojawiało.

Zachowanie się przemiany materyi wykazuje też pewne analogie, albowiem według badań Rosenblooma i Cohoe'a myotonik wydziela w wzmożonej ilości azot, siarkę, sole magnowe, a zwłaszcza wapniowe, zatrzymuje natomiast fosfor.

Zamykając ten poczet objawów tężyczki w myotonii, podkreślić należy przewagę częstości ich występowania w grupie zanikowej myotonii, szczególnie zaznaczającą się olbrzymią przewagą katarakt przedwczesnych w tej grupie.

Wzmożone powinowactwo kompleksu tężyczkowego z zanikową zwłaszcza myotonią wyraża się w przypadku Jastrowitza, gdzie obok niewątpliwej myotonii zanikowej jest wzmożenie ogólnej pobudliwości mechanicznej nerwów i Trousseau (o pobudliwości elektrycznej nerwów nie ma wzmianki) i w przypadku. w ostatnim

czasie ogłoszonym, Curschmana (1914, znanym mi tylko z referatu), w którym w 24. r. ż. chory przechodził cierpienie, zakrawające anamnestycznie na tężyczkę, a w swym 46. r. ż. przedstawiał pełny obraz zanikowej myotonii.

Na tem miejscu muszę jeszcze podnieść, że wbrew zapatrywaniu Erba uważam podobieństwo, zachodzące między tężyczką a myotonią, za wcale istotne i daleko idące. Różnice według Erba polegają na tem, że skurcz w tężyczce jest gwałtowny i bolesny, że umiejscowia się tylko w kończynach, że nie jest intencyonalny, że tężyczka jest chorobą nabytą. Rozgraniczenie myotonii i tężyczki na tych podstawach nie dą się obecnie utrzymać. Spostrzeżenia, dotyczące tężyczki chronicznej (utajonej), a zdaje się każda tężyczka jest nią w gruncie rzeczy, pouczają, że skurcze poza ostrem nasileniem choroby mogą być słabe i zupełnie bezbolesne, w zwykłej i w myotonicznej tężyczce zdarzają się skurcze zamiarowe, tężyczka może dotyczyć i mięśni twarzy, języka, przełyku, jak z drugiej strony myotonia przeważnie dotyczy kończyn, a właśnie nieraz grupy wymienione zaoszczędza; wreszcie tężyczka, podobnie jak myotonia w postaci utajonej towarzyszy organizmowi przez całe bodaj życie i objektywnie daje się i poza ostrem stadyum u niego wykazać.

Celem rozstrzygnięcia pytania, jak się zachowują nadnercza u myotoników, oprzeć się możemy na następującym materyale faktycznym:

Ciśnienie krwi jest u zwykłych myotoników, ludzi w okresie badania młodych, bo 20—30 lat mających, wygórowane. Marie podaje, że znalazł u dwóch liczby wyższe od normalnych wartości, u Grixoni'ego ciśnienie, w różnych stanach funkcyonalnych mięśni badane, było 115, 129, 147 (u tegoż chorego 21-letniego były znamiona poczynającej się miażdżycy obwodowej), u Sołomowicza w różnych dniach 125, 135, 145, a u Maggiore istniała hypertenzya tętnicza z przerostem serca, którą też ten autor odnosił do hyperfunkcyi nadnercza. U chorego Skutetzky'ego (Th.) wynosiło ciśnienie: 140 (Sahli), mojego niezanikowego (Sch.) 135 (Riva-Rocci), lecz u W. (Th.) w różnych dniach badane, bywało niższe 75—80, 95—100, 100—105. Lecz u Sch. były objawy, wskazujące na przerost serca, który był zresztą rentgenologicznie stwierdzony (obwodowe tętnienie, wzmożenie II. tonu nad aortą). Również w przypadku Skutetzky'ego można myśleć o zmianach organicznych w sercu.

W kilku przypadkach stwierdzono zmiany barwikowe: bronzed skin (Delprat, paramyotonia), vitiligo 2 lub 3 razy (Eulenburg-Melchert 3. przyp., te Kamp. Sołomowicz?), fundus obwodowo albinotyczny (Sölder, 1. przyp. ident. z przypadkami Mahlera i Steina) skórę brunatną mieli atroficy: Ascensi'ego, Vossa (marynarz!) i Modeny e Sicardi'ego. Na ogół jednak myotonicy mają skórę bez wybitniejszych zmian barwikowych, czy też innych, niektórzy badacze nawet z naciskiem podnoszą białą skórę (Meara), białą, bardzo suchą, osypującą się (Orzechowski, W.), delikatną i cienką w przypadku ze zanikami (Bernhardt, 2. przyp.), delikatną Pitres et Dallidet, w innej historyi choroby znachodzi się wzmianka o skórze na dolnych kończynach lśniącej, łuszczącej się (schilfernd).

Pigmentacye więc znachodzimy u czystych myotoników wyjątkowo; nie bez znaczenia może jest natomiast trzykrotne powtarzanie się brunatnej skóry u zanikowych myotoników.

Funkcyę nadnercza określa zachowanie się wobec adrenaliny. Pierwsze spostrzeżenia w tym kierunku zawdzięczamy Sołomowiczowi. Glykozuryi alimentarnej u swego chorego nie wykazał on, tak samo nie było cukromoczu po wstrzyknięciu 0·5 cm^3 adrenaliny P. D. Natomiast po wstrzyknięciu 0·5 cm^3 adrenaliny i podaniu 100 gr. cukru gronowego wydzielił chory 7·99 gr. cukru. Nietolerancya wobec adrenaliny objawiała się nadto nie tyle w tętnie i zachowaniu się parcia krwi (tętno ze 70 na 74, parcie krwi ze 140 na 170), ile w bardzo silnie wyrażonem pogorszeniu stanu podmiotowego (zblednięcie, uczucie bicia serca, osłabienie, ćmienie w oczach), które długo trwało, bo od 11-tej rano przez całe popołudnie, chory do wieczora czuł się niedobrze, miał ból głowy, brak apetytu i ćmiło mu się przed oczyma, a swoje zwykłe senzacye myotoniczne uczuwał w silniejszym stopniu. Po injekcyi adrenaliny był w pierwszej porcyi moczu ślad białka. Oba moje przypadki, o ile na atropinę i pilokarpinę prawie zupełnie nie oddziaływały, reagowały natomiast wybitnie na 1 mgr. adrenaliny; Sch.: ciśnienie krwi z 135 na 210 stale, dopiero po 30 minutach opadło do 160, zbladł silnie, dreszcze, zziębnięta i ścierpnięta stopa i prawy bok, uderzenia w głowie, przez cały dzień czuł się potem niezwykle osłabiony. Naokoło miejsca wstrzyknięcia utrzymywała się miernie wyrażona cutis anserina przez godzinę. — W: ciśnienie z 95 na 130 na dość krótko, cutis anserina wybitna przez 2 godziny, mierne senzacye sercowe i bladość przemijająca, przez godzinę bardzo pełne tętno, którego zwy-

kle trudno się domacać. Na glykozuryę alimentarną z powodów zewnętrznych nie badano.

Po adrenalinie, podawanej dla celów terapeutycznych, obserwował Pansini w swoim 1. przypadku pogorszenie.

Gdyby się przyjęło zapatrywanie Sterna, że ludzie o wątłych mięśniach mają liche, a ludzie silni mięśniowo sprawne nadnercza, możnaby, opierając się na tem, że myotonicy mają ciśnienie krwi wysokie i są wrażliwi na adrenalinę, uznać, że oni, jako prototyp atletów, podlegają wybitnie wzmożonemu działaniu nadnercza, które u konstytucyjnie i funkcyonalnie astenicznych zanikowców zdaje się opadać w swem nasileniu czasem nawet poniżej normy. Na to wskazywałyby pigmentacye zanikowców i często podnoszony lichy rozwój mięśni. W jednym przypadku zanikowca, w którego historyi choroby jest podane ciśnienie krwi (Tetzner), było ono niższe, niż u myotoników czystych, mianowicie 105.

Przyjęciu hyperepinephrii u myotoników zwykłych nie sprzeciwia się wynik jednej z dwóch dotąd istniejących sekcyj. Mianowicie chory Déjérine'a i Sottasa umarł na nephritis parenchymatosa.

Na udział przysadki w powstaniu niezanikowej myotonii wskazują następujące okoliczności: przedewszystkiem silna budowa kośćca, już w wczesnym wieku się zaznaczająca. »Silna budowa kośćca«, wprost »grube kości«, oto słowa stale powtarzające się w historyach chorób. Przytem o gigantyzmie nie ma mowy. Wzrost myotoników jest średni, a kończyny odpowiedniej długości, wyjątkowo tylko raz Ferrarini e Paoli wspominają o bardzo długich kończynach. Że nie tylko kościec dostępny zewnętrznemu oglądaniu jest silnie rozwinięty, widzimy z protokołu sekcyi chorego Déjérine'a i Sottasa, w którym zaznaczono, że także kości czaszki i żebra były grube. Moje badania roentgenogramów rąk u trzech zwykłych i jednego atroficznego myotonika, prócz grubych kości u jednego zwykłego i nieco rzadkiej budowy czaszki u W., żadnych nieprawidłowości strukturowych nie wykazały. Ręce i stopy myotoników zazwyczaj nie są rozwinięte ponad miarę ogólnie silnej konstytucyi. Wyjątek od tego ogólnego zachowania się stanowią dzieci chorego w pracy Friisa, z których starszy przy małym wzroście i grubych (!) rysach twarzy miał ręce i stopy niezwykle szerokie, a młodszy stopy duże, niemal kwadratowe — i paramyotonik Delprata ze szerokiemi rękami.

Często wykazują chorzy na myotonię prognacyę: w 1 przypadku zwykłego myotonika (Ferrarini e Paoli) i u czterech atroficznych (Erb, drugi i trzeci przypadek, chory Bohse i Modeny i Sicardi'ego w lekkim stopniu), raz progenię (Steinerta 6. przyp zanik.), raz dolną szczękę silnie rozwiniętą (Sołomowicz), Erb w przypadku, opisanym też przez Fischera, podnosi uderzającą szerokość dolnej części twarzy, nadto Erb mówi o wystających zębach w dwóch przypadkach, z których jeden, jak wspomniano, miał także prognatyzm, u chorego (Th.) Skutetzky'ego szeregi zębów odstają od siebie o 6 mm, wreszcie Delprat opisuje podbródek swego chorego, jako duży i szeroki, a Skutetzky (Th.) jako długi, szeroki i okrągły. W 12 więc przypadkach znaleźlismy opisane ukształtowanie dolnej szczęki mniej lub więcej zbliżone do akromegalicznego, a w liczbie tej mieści się sześciu atroficznych myotoników. Raz jedyny tylko opisano u myotonika wąską dolną szczękę, ostro się kończącą (Steinert), ale i w tym opisie możnaby się dopatrzeć znamion szczęki akromegaloidalnej.

Raz zanotowano wystające łuki nadoczodołowe. Bardzo szeroki i mięsisty język ($5^1/_2$ cm w środku, a 4 cm z przodu szerokości) miał zanikowy myotonik Jensen, a również chory Skutetzky'ego.

Z innych objawów, które mogłyby może odpowiadać zmianom przysadkowym, spotykamy raz niesłychane obżarstwo w przypadku Nikonowa i polyurię w przypadkach Gesslera i Eiselta (który jednak powikłany był nerwicą urazową) myotonii zwykłej i Steinerta myotonii atroficznej.

W zespole przedstawionych objawów możnaby dopatrywać się wyrazu wzmożonej czynności przysadki. Dla rozstrzygnięcia tej kwestyi jeszcze przed 7-miu laty uprosiłem prof. Schüllera o zdjęcie roentgenologiczne u chorego, odstąpionego mi przez ś. p. Frankl-Hochwarta i u chorego Bohsego. Ówczesne zdjęcia wykazały siodełko raczej małe. Również Chvostek (u zanikowego myotonika Rebaya) i Ascensi u takiegoż myotonika nie stwierdzili powiększenia siodełka, ani go też nie było w wybitniejszym stopniu u W. i Sch. (Orzechowski).

Przystępując do omawiania funkcyi gruczołów płciowych, zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie zachodzą w ocenie jej, o ile nie ma zupełnego wypadnięcia lub też objawów częściowego niedorozwoju płciowego, boć nie mamy zresztą kryteryów, zwłaszcza u mężczyzny, do oceny stanów mało upośledzonej funkcyi, a już

brak nam zupełnie danych u obu płci do rozpoznania stanów hyperfunkcyonalnych. Zachowanie się popędu do pewnego stopnia i z zastrzeżeniami tylko upoważnia do wniosków o zachowaniu się wewnętrznej strony wydzielania gruczołów rozrodczych. I tak n. p. w nerwicach (może szczególnie u Basedowoidów) zdarzająca się nadmierna pobudliwość płciowa, onania, częste erekcye i polucye, przytem nierzadko przedwczesna eiaculatio, objawy wypełniające lata młodzieńcze, właśnie często wydarzają się u mężczyzn wcześnie się starzejących, i u których popęd płciowy wcześnie, bo między 35. a 45. rokiem życia ma się ku schyłkowi. Objawy więc normalnego popędu lub hyperpotencyi u mężczyzn nie upoważniają do wniosków o wewnętrznej, sekrecyi, natomiast raczej można się kierować szczegółami obniżonej potencyi w poszczególnych sposobach jej manifestowania się przy rozważaniu możliwości hypofunkcyi testikularnej wewnętrznej. Również niewiadomo nam o objawach ze strony erotycznej i zachowania się menstruacyj u kobiet, które upoważniałyby do wniosków o hyperfunkcyi, a tylko zaburzenia w menstruacyi jakiegokolwiek rodzaju mogą dowodzić pogorszenia sprawności jajnikowej.

Na ogół myotonicy niezanikowi odznaczają się popędem zgoła normalnym, a ich części płciowe zewnętrzne zachowują się prawidłowo, z wyjątkiem »szkolnego« przypadku Kumagai z niedorozwojem części płciowych. W dwóch przypadkach spotykamy notatkę: popęd wzmożony (Koch, Vigouroux). Chory Ferrarini'ego i Paoli'ego onanizował się w młodości. Chory Erba (v. X.) za młodu się onanizował i miał potencyę w okresie badania, w 31. roku życia, zmniejszoną; objektywnie wykazywał hypospadiasis. Chory Sołomowicza miewał zwody od 14. roku życia, onanii nie uprawiał, natomiast mierny coitus od 18. roku życia. Inny chory Erba (Fr. Werle), w okresie badania mający lat 14, miał części płciowe »jeszcze w dziecięcym stanie«. Był więc jeszcze przed pokwitaniem, ale u jego brata o rok starszego właśnie objawy pokwitania dawały się już stwierdzić. Zachowanie się więc młodszego było zupełnie fizyologiczne. Tylko moi chorzy (W. i Sch.) zachowywali się poniekąd jak neurastenicy seksualni.

O ile więc chodzi o funkcyę genitalną »zewnętrzną«, spotykamy w głównej grupie myotoników stosunki normalne. Uderza jedno, mianowicie wyjątkowość onanii, tem więcej, że u myotoników, jako neuropatycznie obciążonych, właśnie onania nie dziwiłaby.

Może zaś ta rzadkość onanii, w sprzeczności stojąca z zachowaniem się pewnej grupy neuropatów (Basedowoidów?), u których, zdaje się, że nadmierna pobudliwość jest objawem grożącego wyczerpania i przedwstępem upadku funkcyi, świadczy że to zachowanie się, wskazujące na pewien frigor temperamentu, jest objawem współrzędnym z normalną, zrównoważoną funkcyą wewnętrzno-wydzielniczą jąder.

O zaburzeniach menstruacyi u myotoniczek nic nie wiemy.

A jednak niektóre wiadomości o rozwoju i przebiegu myotonii pozwalają na domniemywanie się pewnego, przynajmniej pośredniego, wpływu gruczołów rozrodczych na rozwój i przebieg tej choroby.

I tak wiemy, że myotonia, która może już zaraz po urodzeniu się zaznaczać, a dość stale poczyna się koło 6. lub 7. roku życia, wybitnie się nasila, albo w ogóle dopiero po raz pierwszy się zjawia w okresie dojrzewania płciowego między 14. a 17. rokiem życia. Zdarza się przytem, że w ogóle ona tylko w tym okresie życia istnieje, a potem znika zupełnie, znika tak zupełnie z pamięci, że przypominają sobie o niej myotonicy dopiero, gdy u jednego z dzieci po raz pierwszy zaznaczą się objawy tego dziedziczącego się utrudnienia ruchów. Taka przejściowa myotonia tylko w okresie dojrzewania płciowego istniała u dwóch członków rodziny chorego Pitres et Dallideta. Po okresie pokwitania myotonia znacznie słabnie co do nasilenia, a nierzadko do kilku lat przemija. W młodości tylko istniała myotonia u krewnych chorych, opisanych przez Waltona, René Sanda (paramyotonia), Brauna (może) i u dwóch krewnych w przypadku Marie'a. W przypadku Pańskiego z czasem przeważna część objawów ustąpiła, tak że od 27. roku życia pozostały tylko objawy w zakresie ruchów powiek i połykania. Podczas ciąży myotonia się pogarszała w przyp. Frankl-Hochwarta, w ogóle tylko podczas całej ciąży lub tylko w drugiej jej połowie dawała się uczuwać krewnym w przypadkach Khovrine'a, Prestona i Gardinera (w tych przypadkach także podczas emocyj). Natomiast po przebyciu ciąż poprawiała się u kobiet w całej rodzinie chorego Delprata i u siostry Kroitscha (Seeligmüller). Jak ci autorzy przypuszczają, miały tu wpływ ciąże i w ogóle fakt zamążpójścia (może tylko przebycie wieku młodości, najwrażliwszego na myotonię?). U siostry chorego Lorda zaburzenie myotoniczne w nogach pojawiało się w ogóle tylko podczas regularności, a u siostry W. (Orzechowski) znacznie pogarszało się w tym czasie. Niewiadomo, czy tutaj należałoby

może umieścić niejasną notatkę Prestona, że matka jego chorego miała przed jego urodzeniem »cramps«.

O jakiemś zaburzeniu w narządach rodnych mężczyzny świadczy może notatka anamnestyczna Jakoby'ego, który od swojego chorego dowiedział się, że po przejściu tyfusu wśród stanów wzmożonego pocenia się, częstych polucyj i stałego przybywania na wadze, rozpoczął się atletyczny rozwój, a wraz z nim ujawniło się zaburzenie myotoniczne.

Wreszcie dodać można, że Ballet i Marie wspominają, że u ich chorego abstynencya pogarszała stan myotonii, u mojego W. jednak pogarszał się on na drugi dzień po stosunku i w ogóle abstynencya raczej mu służyła.

Pogarszanie się, względnie pojawianie choroby w wieku dojrzewania płciowego, przemijanie lub polepszanie się po przejściu tegoż, wpływ ciąży na powstawanie i potęgowanie się myotonii, polepszanie się po przejściu ciąży, pojawianie się i pogarszanie w czasie menstruacyi, wszystkie te fakty wskazują na pewną współrzędność myotonicznych objawów ze stanami nadmiernej produkcyi wewnętrznej organów płciowych.

Są jednak okoliczności, które jeszcze bardziej stanowczo wskazują na hypergenitalismus. Oto myotonicy zwykli, zarówno sami, jak i ich rodziny, żyją bardzo długo, a wreszcie okazują zwiększoną zdolność rozmnażania się.

Rzeczywiście uderzającym szczegółem, powtarzającym się w historyach chorób myotoników, jest wielka rozpłodność członków ich rodzin, i to zarówno dotkniętych zaburzeniem mięśniowem, jak i zdrowych, z drugiej zaś strony długowieczność chorych, jak i ich rodziców, i to zarówno zdrowych, jak i cierpiących na myotonię. W historyach chorób zwykłych myotoników jest 42 razy podaną ilość rodzeństwa, zazwyczaj tylko chorych opisywanych, a zaledwie w kilku publikacyach także ilość rodzeństwa w dwóch poprzednich generacyach, kilka razy także ilość rodzeństwa linij bocznych z członkami niektórymi, chorymi na myotonię. Zesumowując ilość rodzeństwa poszczególnych grup i dzieląc przez ilość grup, otrzymuje się jako przeciętną przeszło 8 rodzeństwa, cyfrę wysoką. Rodzeństwo samych atroficznych myotoników jest mniej liczne, przeciętnie jest razem 6, obliczone z 20 grup. Na czele w grupie myotonii zwykłej idzie rodzina chorego Raymonda, którego dziadek miał 25 rodzeństwa, ojciec 13, sam zaś chory 11 rodzeństwa; chory Nalbandowa

miał 11 rodzeństwa, rodzeństwo lekarza Thomsena wynosiło 13, chorego Herschella 10, Buzzarda 15, Alsberga 14, W. (Orzechowski) 11. Wyjątkowo zdarzają się rodziny z ilością dzieci małą; i tak rodzeństwa chorego Brauna, Uebelleisena i Skutetzky'ego było troje, a tylko 4 razy powtarza się cyfra rodzeństwa 4. Rodzeństwa myotoników atroficznych są mniej liczne, jak wspomnieliśmy. Tutaj tylko w rodzinie, opisanej przez Kennedy'ego i Oberndorfa było 13 »członków«, zresztą dwaj chorzy Bernhardta, z różnych rodzin, pochodzą z rodzeństwa liczącego po 10 osób, liczniejszych rodzeństw nie ma, a raz zdarza się rodzeństwo tylko z dwojga osób złożone. Atypowy chory Stieflera nie miał wcale rodzeństwa.

Myotonicy zwykli mnożą się więc silnie i pochodzą z rodzin, mających silną roztwórczą tendencyę. Myotonicy atroficzni nie są płodni (zob. poniżej), a pochodzą z rodzin mniej płodnych, niż zwykli myotonicy, w każdym jednak razie płodność ich rodziców pozostaje w granicach przeciętnej normy.

Rodzice myotoników, którzy często sami są myotonikami, żyją bardzo długo. Fakt ten wpadał w oczy różnym badaczom, którzy też często podają wiek rodziców i dziadowstwa, wiek stale bardzo podeszły. Na czele tego korowodu starców i staruszek stoi babka chorego Prestona, która dożyła 102. roku życia i rodzice chorego Haynesa (ojciec w 98. roku życia, matka w 72. roku życia). Sam odkrywca choroby, pisząc swą publikacyę, miał 77 lat. Podany jest wiek trzynaściorga par rodziców myotoników zwykłych (ludzi w okresie badania młodych), z których wszyscy, prócz jednego, w chwili podania wieku jeszcze żyli; przeciętnie obliczony wiek ich wynosił 58 lat. Wśród siedmiorga rodziców myotoników atroficznych pięcioro już nie żyło. Wiek z uwzględnieniem wszystkich razem przeciętnie wynosił $68^1/_2$ roku. Różnica więc między grupą zwykłych i atroficznych myotoników jest mała, może na korzyść pierwszych, uwzględniając, że rodzice myotoników zwykłych jeszcze żyją, co podniesie ich wiek przeciętny w przyszłości, co w grupie atrofików mniej prawdopodobne, bo kilkoro rodziców już pomarło.

Omawiając powyżej nawiedzione okoliczności, prawdopodobnie nie spotkamy się z opozycyą, jeśli wyciągniemy ze stwierdzenia siły rozrodczej myotoników wniosek o nadmiernie, a conajmniej w granicach fizyologicznych jeszcze bardzo sprawnej funkcyi ich gruczołów płciowych, która u rodziców atrofików jest nieco mniejsza,

zawsze jednak utrzymuje się w granicach miary conajmniej normalnej.

Zależność starzenia się organizmu od zmian wstecznych w narządach wewnętrznego wydzielania nie ulega chyba wątpliwości, a pod dyskusyę podpada tylko kwestya, który z gruczołów odgrywa tu decydującą rolę. Nie odbiegniemy od prawdy, utrzymując, że gruczoły płciowe rozstrzygają o starzeniu się ustroju, jeśli nie wyłącznie, to, co najmniej, w bardzo wybitnym stopniu. Już popularne wyobrażenia ludowe wiążą ze sobą starość i impotencyę, bezpłodność ze starością, a tajemnicę młodości odnoszą do sprawności płciowej. Więc i w późnym wieku, jakiego dożywają nasi chorzy, musimy się dopatrywać znamion dzielnej i w długie lata na poziomie »młodocianym« utrzymującej się funkcyi wewnętrzno-wydzielniczej rozrodczych gruczołów. Dzięki temu myotonicy w późnym wieku młodo wyglądają (tak siebie sam Thomsen opisuje) i mają ten dar nieoceniony młodości, że są »zresztą« bardzo zdrowi i wolni od chorób.

Wszystkie więc te dane, dotychczas zebrane, wskazują na to, że funkcya gruczołów płciowych jest dobra u myotoników zwykłych, a bodaj jest ona bardzo dobrą, zważywszy, że płodność ich przechodzi nieco przeciętną miarę, a wiek ich sięga ponad przeciętny.

Jako jedyny szczegół, przemawiający przeciw temu zapatrywaniu, należałoby wymienić obecność małych, lecz wyraźnych guzków Haberdena, które autorowie niektórzy uważają za objaw upadania funkcyi wewnętrzno-wydzielniczo-płciowej u obu moich trzydziesto-kilkuletnich zwykłych myotoników (W. i Sch.).

Już wyżej zauważyliśmy, że atroficy, których rodzice od zwykłych myotoników różnią się nieco mniejszą płodnością i może nieco krócej żyją, mają pewne znamiona hypoplastycznej konstytucyi (zapadają też czasem na gruźlicę!), więc wieku późnego zapewne nie dosięgają. Z przyczyn, które zaraz omówimy, nie mogą być oni płodni.

Gdy zewnętrzne funkcye seksualne zwykłych myotoników prawidłowo się zachowywały i podobnież się przedstawiały ich części płciowe, spotykamy się u atrofików z niezwykłemi pod tym względem zaburzeniami, na co już Steinert zwrócił uwagę, lecz i jemu aż tak wielka częstość tych zaburzeń nie była wiadomą.

U dziesięciu atrofików istniał zanik jąder lub zmiany wskazu-

jące na pewien niedorozwój (w 4 przypadkach Steinerta zanik, w jednym dopiero na sekcyi odkryty!), w drugim przypadku Fürnrohra, u 32-letniego pacyenta Lortat-Thaona jądra bardzo małe, brak popędu, w jednym przypadku Fürnrohra zanik jąder, coitus prawidłowy, lecz bezdzietność, u Vossa cryptorchismus, przytem potencya dobra, w 3. przypadku Pansini'ego lewe jądro w kanale pachwinowym, u Gauppa w przypadku, dotyczącym 39-letniego chorego, dziecięce jądra, brak popędu, zwodów i zmazań, skąpe crines, phimosis, kobieca miednica, rzadka broda. Obok tego w całym szeregu atrofików spotykamy mniej lub więcej wyrażone rysy dysgenitalne: u 17 letniego chorego Modeny i Sicardi'ego mała potencya, a częste polucye, Bohse spółkuje miernie, potrzebę płciową ma mierną, lecz nigdy nie miewa polucyj, u 19-letniego chorego Curschmanna popęd płciowy jeszcze się nie ujawnił, u 4 chorych, przez Curschmanna opisanych w 1912 r., popęd płciowy słaby lub żaden, a u dwóch z nich zanik lewego jądra (po stronie varikokele), chory Renckiego ma słabe owłosienie pod pachami i na częściach rodnych, a u dwóch innych chorych Steinerta przedtem normalna potencya z czasem zupełnie znikła. Również u chorego Oberndorfa J. T. zmalała potencya w początkach choroby, a u 34-letniego chorego II. Tetznera są jądra małe, brak polucyj i nie spółkował on od miesięcy. Jeden z przypadków Grunda ma jądra ledwie wielkości jaja gołębiego, co jednak może pozostawać jeszcze w granicach prawidłowych. W przypadku Curschmanna, ogłoszonym w 1914, w 10 lat po rozpoczęciu się choroby zaburzenia potencyi i libidinis. Dodać wreszcie należy, że chory 3. Batten and Gibb'a jest żonaty od wielu lat, lecz nie ma dzieci, a u 34-letniej dziewczyny Steinerta (praca z r. 1910) uderzenia krwi do głowy i dłuższe pauzy międzymiesiączkowe nasuwały podejrzenie przedwcześnie nastającego okresu klimakterycznego — nie wiadomo jednak, o ile to przypuszczenie sprawdziło się później. Chory Modeny e Sicardi'ego w 17. roku życia ma słaby popęd, lecz częste polucye.

Ta częstość hypogenitalizmu (24 przypadków) u atrofików myotonicznych naprowadziła Steinerta zupełnie słusznie na przypuszczenie w poszczególnym przypadku myotonika bez atrofij mięśniowych, że one u niego z czasem się rozwiną, bo chory ten miał zanik jąder. Wydaje mi się też prawdopodobnem, że do grupy atroficznej należy przypadek Dany, w którym atrofie zaczynające się mogły być przeoczone, tem bardziej, że przypadek ten ogłoszony

był w dobie, kiedy zanikowa myotonia nie była jeszcze dokładnie znana. U mężczyzny Dany 35-letniego mutacya głosu niedawno dopiero nastąpiła, miał on krtań dziecięcą i niezupełne erekcye, lecz popęd utrzymany. Może też do tej grupy należy przypadek Kumagai (praca dostępna tylko w referacie), który autor określa wprawdzie jako przypadek szkolny zwykłej myotonii, w którym jednak części płciowe były niedostatecznie rozwinięte.

Z poglądem o hypofunkcyi genitalnej atrofików możnaby pogodzić dodatni czasowo wynik injekcyj sperminy w przypadku J. Jansena (Jensen).

Reasumujemy dotychczasowe spostrzeżenia w następujących wnioskach: Myotonicy zwykli pochodzą z rodzin o sprawności gruczołów płciowych wzmożonej, i również sami wykazują znamiona hypergenitalne. Ta hypergenitalna właściwość przysługuje także do pewnego stopnia rodzinom myotoników z atrofiami, na nich samych jednak już się kończy, ustępując miejsca znacznemu lub zupełnemu obniżeniu funkcyi gruczołów płciowych. Mamy więc prawo uzależnić w pewnej mierze zaniki mięśniowe myotoników od niedostatecznego wydzielania wewnętrznego organów płciowych, nie utrzymując jednak, że ono jest wyłączną ich przyczyną, bo prawdopodobnie udział jakiś mają tu także i inne gruczoły (przedewszystkiem tarczyca (+), a może i nadnercza (—). Interesującą obserwacyę, popierającą to zapatrywanie, znachodzimy w historyi choroby 6. przypadku Steinerta: odkąd chory »chudnie« (t. j. od kilku lat), potencya słabnie, polucyj od tego czasu nie ma, erekcye zdarzają się rzadko, a jądra w tym czasie zmalały. Z tego spostrzeżenia możnaby wnosić, że stan hypofunkcyi genitalnej u myotoników zanikowych może być nabyty, często jednak, jak się zdaje, bywa on atrybutem wrodzonym.

U zanikowych myotoników mamy podstawy do przyjmowania hypogenitalizmu, przyczem wyjątkowo płodność ich może być utrzymana. I tak matka chorych Grunda z 4 dziećmi, w tem 3 zanikowcami, sama ma w 47. roku życia szczątkową myotonię z objawami zaznaczonymi, pewny zanik tylko w mięśniach mostkowo-sutkowo-obojczykowych i niedomogę w zginaczach palców rąk. Drugą rodziną z dziedziczną zanikową myotonią mają być według Hoffmanna przypadki, opisane przez Erba (w tem jeden ze zaćmą), a trzecią Baldnerowie Curschmana. Wiadomości o objawach myotonicznych w poprzednich generacyach przypadków zanikowych li-

teratury są zresztą wyłącznie anamnestyczne, wprost przez autorów niestwierdzone. Mogły być one w ogóle nieścisłe, a mogły dotyczyć zarówno przypadków Thomsena, jak i zanikowych w poprzedniej generacyi. Nie mamy ścisłych dowodów, że zanikowa myotonia dziedziczy się z rodziców, mających zwykłą chorobę Thomsena, tak samo, jak nie ma niewątpliwych dowodów na to, by w tem samem rodzeństwie obok czystych myotoników występowali zanikowi. Rozstrzygającemi w tym kierunku będą dopiero dalsze spostrzeżenia, które ewentualnie oświetlą na tej drodze wzajemne pokrewieństwo lub brak tego pokrewieństwa między chorobą Thomsena a myotonią zanikową. Z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że są tylko dwie pewne obserwacye dziedziczenia się myotonii zanikowej.

Kończąc omawianie roli gruczołów płciowych, musimy dodać, że mimo niezaprzeczonego wpływu hyperfunkcyi genitalnej na powstanie myotonii, nie może ona być wyłącznym, a tem mniej pierwotnym czynnikiem, bo inaczej nie moglibyśmy sobie wytłómaczyć myotonii u osesków, więc w wieku, w którym gruczoły płciowe w bilansie wewnętrznego wydzielania jeszcze prawdopodobnie nie zabrały głosu.

Gruczoł tarczykowy jest stale u zwykłych myotoników niezmieniony, jak również nie ma objawów, które mogłyby u nich wskazywać na zaburzenia od niego zależne. Polyurię w przypadkach Gesslera, Eiselta (z nerwicą urazową!) i zanikowym Steinerta możnaby też odnieść do zaburzenia przysadkowego. Historya choroby chorego Sołomowicza wzmiankuje: gruczoł tarczykowy słabo macalny, co właśnie dowodziłoby braku zmiany. Jedynie w przypadku Skutetzky'ego jest on w płatach bocznych miernie powiększony. Graefle w przypadku Oppenheima najprawdopodobniej był pozornym (wskutek myotonicznego skurczu górnej powieki).

Przy tym braku objawów zaburzenia tarczykowego u zwykłych myotoników musi uderzyć częstość wola tam, gdzie chorobę wikłają zaniki. (W przypadkach, zestawionych przez Steinerta, Curschmana, Jastrowitza, Brascha [ten z powodu wola uwolniony nawet od wojska], II. przyp. Tetznera, 1. przyp. Pansini'ego, u jednej ze sióstr Bychowskiego [lecz czy u tej, u której jest i myotonia? — Praca znana mi tylko z referatu]). Na częstość występowania wola u zanikowych myotoników zwrócił uwagę Steinert (w jego zestawieniu sześć razy) Nie wiedział jednak, jak się zdaje, Steinert, że wól u zwykłych myotoników w ogóle się nie zdarza, a tylko przy-

padek Skutetzky'ego stanowi wyjątek od tej reguły. Według moich wyników przeglądu historyj chorób wól był ogółem u zanikowców 12 razy. Mamy też w historyi choroby Rebaya zaznaczoną interesującą kolejność rozwoju objawów: w r. 1900 zmiany zanikowe, w roku 1901 zaburzenia myotoniczne, a od roku 1903 wól.

Gdy więc wól zdarza się czasem u myotoników zanikowych, zasługuje na uwagę, że skłonność do biegunek, notowana dwa razy, a która może być następstwem thyreotoxykozy, właśnie zdarzała się u zanikowych myotoników (Steinert i chory J. Jansen). Myotonicy obu grup oddają zresztą stolce prawidłowo, bo raz tylko spotkałem wzmiankę o zaparciu żywota.

Przy częstości powikłań wola z łysiną, co podnosi R. Stern jako charakterystyczne dla swojego Basedowoida, należy podkreślić częstość łysiny i różnych form alopecyj, które oszczędzają myotoników zwykłych, a nagabują myotoników atroficznych (w wieku nietłómaczącym łysiny), t. j. idą w parze z thyreotoxykozą tychże (20 razy: 5 przypadków Steinerta, w tem 1 kobieta, nadto 2. Magnevala (rycina), Fürnrohra, Lannois'a, Nogués-Sirola, Rossolima, 4. Hoffmanna, Tetznera, 3 przypadki Curschmanna, a nadto tegoż autora przypadek Hammer, przyp. G. S. Kennedy i Oberndorfa, III. Grunda i II. Tetznera, wreszcie Renckiego (alopecia w 10. roku życia).

Zdaniem mojem słusznie kładzie Steinert nacisk na dość niezwykłe zmiany stawowe i powięzi w swoich przypadkach ze zanikami. Dwa razy kontraktura Dupuytrena, raz niezwykłe (»schwer zu deutende«) zmiany stawowe, raz niezwykłe (»eigener Art«) kontraktury ścięgien. Jak widzę z podobizny 2. chorego (zanikowego) Magnevala, może istniały u niego zmiany stawów kolanowych lub okolicy (dziwnie wypukłe i sterczące rzepki). Wszystkie te zmiany stawowe może dałyby się z pewnem prawdopodobieństwem powiązać z zaburzeniem w gruczole tarczykowym?

W przypadkach niezanikowych tylko u mojego chorego W. istnieje wrodzone, jak się zdaje, skrócenie ścięgien długich flexorów palców rąk.

Gdy mowa o nieprawidłowościach stawowych, nie od rzeczy jest wtrącić, że często dość powtarzają się w historyach chorób wzmianki o trzeszczeniach w stawach kolanowych, łopatkach, żuchwy, przyczem widocznie objawów zajęcia stawów trzeszczących nie było (6 przyp. zwykłej myotonii: 1. Brauna, Ballet-Marie, Rieder, Schönfeld, Wichman, te Kamp i 2 zanikowe: Rossolimo, Jansen J.).

Na tem miejscu wspomnę, że dwaj chorzy (Schönfeld. Nikonow) skarżyli się na pruritus, który, jak wiadomo, niektórzy autorowie uzależniają od zmian w funkcyi gruczołu tarczykowego.

Na bole w paluchu skarżył się Messaroch. Bechterew i jego szkoła podejrzywali myotoników o dnę, popierając to mniemanie wynikami badania moczu, którym jednak nie można w tej sprawie przyznać rozstrzygającego znaczenia.

Wreszcie dodaję, że Pansini w jednym przypadku czystym(?) z nieco powiększonym prawym płatem notuje niejaką poprawę po thyreoidynie, a Jensen u atrofika J. Jansena poprawę przemijającą.

Aparat grasicowo-limfatyczny zachowuje się u myotoników na ogół prawidłowo. Grasica u chorych Bohsego, W., Sch. (Orzechowski) i Sołomowicza, badana przezemnie we wszystkich tych przypadkach, nie dała się wykazać ani wypukiem, ani roentgenologicznie. Mele mówi o »limfatycznym temperamencie« swego chorego, może miał jednak na myśli tylko delikatną budowę i blady wygląd. Raz znalazłem notatkę w historyach choroby o »wegetacyach i adenoidach« w nosie, raz o przeroście dolnej muszli (Pelz), raz o silnym obrzęku gruczołów limfatycznych na szyi i w rowku mięśnia dwugłowego (Alsberga chory Schaperköter), wreszcie macalne one były wszędzie w moim przypadku Sch. W historyi choroby w przypadku Sołomowicza jest zaznaczone: migdałki prawidłowe, gruczoły limfatyczne nigdzie nie macalne, natomiast macalne były one w przypadku zanikowym Modeny i Sicardi'ego, a lewy migdałek był powiększony u Skutetzky'ego.

Zmian wątroby nie obserwowano w ogóle w myotonii (obrzęk w moim przypadku Sch. odnoszę do nałogowego picia) prócz przypadku Skutetzky'ego.

Zamykając omawianie faktów, przemawiających za pochodzeniem wewnętrzno-wydzielniczem choroby Thomsena, wspomnieć trzeba, że i przestrach może decydującą rolę odgrywać w etyologii myotonii, taką mu rolę bowiem przypisują z całą stanowczością anamnezy przypadków dwóch Marscha (niespokrewnionych), Schönfelda (wskutek ukąszenia psa), Petersa (upadek z przestrachem) i Eiselta (2 urazy w odstępie czasu). W 3-ch przypadkach omawiani chorzy byli jedynymi myotonikami w rodzinie. Przestrach, jako przyczyna wywołująca, nie przeszkadza uzależnieniu choroby od gruczołów wewnętrznego wydzielania, bo wiemy, że i w innych

chorobach wewnętrznego wydzielania może on mieć pierwszorzędne wywołujące znaczenie (diabetes, Basedow, a nawet akromegalia).

Na podstawie dotychczas zebranych szczegółów dochodzimy do utworzenia następującej prawdopodobnej formułki wielogruczołowej w myotonii:

	myotonia zwykła	myotonia zanikowa
Układ grasicowo-limfatyczny	Brak pewnych zmian	Brak(?) zmian
Nadnercza	Hyperfunkcya	Hypofunkcya(?)
Tarczyca	Brak zmian	Hyper- (i dys-?) funkcya
Gruczoły przytarczykowe	hypo- (i dys-?) funkcya (mierna)	hypo- (i dys-?) funkcya (znaczna)
Gruczoły rodne	hyperfunkcya	hypofunkcya
Przysadka	hyperfunkcya płatu gruczołowego	brak zmian(?) lub hyperfunkcya.

Dla objaśnienia tej formułki dodaję, że dla myotonii zwykłej pozwalają dane zebrane i omówione w niniejszej pracy z pewną ścisłością przyjąć normalną funkcyę układu grasicowo-limfatycznego i tarczycy, a zaburzenie jakościowe i obniżenie wydzielania gruczołów przytarczykowych, wreszcie z wielkiem prawdopodobieństwem nadmierne działanie gruczołów rozrodczych, gdy natomiast skąpe fakty co do zachowania się przysadki pozwalają tylko w granicach hypotetycznych przyjąć prawdopodobieństwo zaburzenia (i to raczej w kierunku dodatnim, t. j. wzmożenie) funkcyi przysadki. Dla myotonii zanikowej za niemal ściśle dające się wykazać, należy uważać obniżenie funkcyi gruczołów rodnych i zaburzenie jakościowe i ujemne (obniżenie) działania gruczołów przytarczycowych, które nadto w grupie zanikowej wykazuje nasilenie większe, niż w myotonii zwykłej. Za wielce prawdopodobne należy uważać u myotoników atroficznych nadmierne i jakościowo nieprawidłowe wydzielanie gruczołu tarczykowego. Prawdopodobną dosyć, przynajmniej w tym okresie, kiedy zaczynają występować zaniki, jest hypofunkcya nadnerczy. Zaburzenie funkcyonalne przysadki (w kierunku dodatnim) jest hypotetyczne, a zgoła problematycznem jest przyjmowanie u zanikowców braku zmian w aparacie grasicowo-limfatycznym (z powodu powikłań z gruźlicą). Rozstrzygnięcia szczegółów wątpliwych i hypotetycznych w podanej tablicy polyglandularnej myotonii należy spodziewać się w dalszej przyszłości, gdy materyał kazuistyczny obu grup myotonii się zwiększy, gdy badacze zwracać będą

w wyższej mierze, niż dotychczas, uwagę na szczegóły konstytucyonalne, zachowanie się krwi, dostępnych badaniu gruczołów wewnętrznego wydzielania i t. p., bo dotychczas wielu ograniczało się tylko do opisywania strony nerwowo-mięśniowej myotoników, i gdy wreszcie ta przyszłość dostarczy nam więcej i bardziej pewnych objawów, wskazujących na stan funkcyonalny narządów wewnętrznego wydzielania, niż je posiadamy w obecnej dobie.

Poniżej (str. 126) zamieszczoną jest tablica, zestawiająca formułki wielogruczołowe w obu grupach myotonii, myastenii i w rodzinach myotoników. Formułka dla myastenii podaną była przezemnie z końcem r. 1912 na II. Zjeździe Neurologów polskich. Zestawienie to jest z tego powodu interesującem, bo widać z niego, że podobnie jak habitus chorych i zaburzenie myasteniczne są wprost przeciwieństwem do konstytucyi myotoników i ich ruchowego zaburzenia, tak samo niemal antagonistycznie w każdym szczególe formułek wielogruczołowych zachowują się stany funkcyonalne gruczołów wewnętrznego wydzielania obu tych postaci chorobowych. W tabliczce tej uwzględnionem jest także zachowanie się epilepsyi i migreny w myotonii i w rodzinach myotoników, o czem zaraz będzie mowa.

Z podanych formułek wynika, że myastenię i myotonię uważam za cierpienia, odpowiadające nienormalnemu nastawieniu funkcyi przeważnej części gruczołów wewnętrznego wydzielania. W przeciwieństwie do Basedowa, cukrzycy, akromegalii, Addisona, tężyczki i obrzęku śluzakowatego, które zaliczamy do chorób monoglandularnych, są myotonia jak i myastenia zaburzeniami par excellence polyglandularnemi. Różnica ta mimo wszystko jest istotną, bo jeśli w wymienionych chorobach jednogruczołowych z reguły zdarzają się zmiany w kilku gruczołach, to są one jednak następowe, mniej uogólnione, przecież zmiana jednego gruczołu opanowuje cały obraz chorobowy, i są one z reguły nabyte. W chorobach wielogruczołowych, których przykład podajemy tutaj na myotonii i myastenii — a zapewne jest ich więcej (epilepsya, nerwice konstytucyonalne, może choroby »metaluetyczne« (Stern), może sclerosis disseminata) — schorzenie gruczołów jest konstytucyonalne, datuje się od założenia ustroju i z tego może powodu jednocześnie i po równi dotyczy większej ilości gruczołów, tak że objawy, wskazujące na zajęcie jednego gruczoła wewnętrznego wydzielania, nie wybijają się na czoło obrazu chorobowego. Wskutek tego tło cierpienia ujawniające się

w całym systemie narządów wewnętrznego wydzielania, nie uzewnętrznia się tak silnie i pozostaje poniekąd ukrytem.

	Myotonia	Myotonia atr.	Myastenia	Członkowie rodzin myotoników bez myotonii:
1) Układ limf.	Brak zmian	?	Hyperthymisatio, lymphotoxicosis	Brak zmian
2) Nadnercze	hyperfunkcya	hypofunkcya	hypofunkcya	hyperfunkcya (?)
3) Gruczoły przytarczykowe	hypo- (i dys-?) funkcya	hypo- (i dys-?) funkcya (większego stopnia?)	hyperfunkcya	normalna funkcya
4) Tarczyca	normalna funkcya	hyperfunkcya	hyperfunkcya	normalna funkcya
5) Gruczoły rodne:	hyperfunkcya	hypofunkcya wybitna	hypofunkcya	hyperfunkcya
6) Przysadka	hyperfunkcya	hyperfunkcya (?) lub brak zmian	hyperfunkcya	hyperfunkcya (?)
Epi	0	0		+
Migreny	0	0		+

Zestawienie formułek myotonii i myastenii obok siebie wykazuje obok szczegółów zgodnych rażące przeciwieństwa. Bliższą w każdym razie jest formułka, dotycząca myotonii zanikowej, formułce myastenicznej, niż formułka myotonii bezzanikowej. Wobec tych sprzeczności, trudno dających się pogodzić, niełatwo znaleść wytłómaczenie dla objawów myastenicznych, zdarzających się w przypadkach myotonii (spostrzeżenia Curschmanna w 3 przypadkach i w przyp. Hammera, Oppenheima, Steinerta, Vossa, Rossolimo, Klienebergera i Stieflera). Powołując się jednak na analogie występowania obok siebie przeciwieństw w patologii gruczołów wewnętrznego wydzielania (n. p. objawy obrzęku śluzakowatego w Basedowie), moglibyśmy hypotetycznie przyjąć, że w przebiegu choroby dalszym powstają wahania funkcyonalne ze strony poszczególnych gruczołów, że dochodzi do wyczerpania jednych gruczołów, kompenzacyjnej hyperfunkcyi drugich, tak że ostatecznie mogą wystąpić objawy,

które, wydawałoby się, w ramach danej formułki gruczołowej z początku choroby nie dałyby się pomieścić.

Na zakończenie pozostaje nam do omówienia stosunek myotonii do padaczki i wiądu rdzenia. Przyjmując jako wielce prawdopodobne tło myotonii w zaburzeniach wewnętrznego wydzielania, otrzymamy w tych uwagach dane, wskazujące na możliwość zaburzeń polyglandularnych w obu tych cierpieniach.

W chorobach wewnętrznego wydzielania monoglandularnych, których patogeneza gruczołowa jest ustaloną i przyjętą, zdarzają się napady epileptyczne. W tężyczce zwłaszcza, rzadziej w Basedowie, a wyjątkowo w chorobie Addisona pojawiająca się epilepsya, jest, choć na ogół rzadkim, ale znamiennym objawem w tych chorobach wewnętrznego wydzielania.

Jeśli się i w tym kierunku bada historye chorób myotoników, stwierdza się w rodzinach chorych częstość cech degeneracyjnych, stany lękowe, neurasteniczne, przypadki histeryi, częste migreny, dzieci głuchonieme, głupowate, a przedewszystkiem częste napady epileptyczne. U samych myotoników cechy zwyrodnienia psychicznego są niezawodnie, lecz w miernym stopniu wyrażone, w ogóle zaburzenie psycho-nerwowe, o ile jest obecne, streszcza się poza objawami naczynioruchowymi w pewnem przygnębieniu, apatyi i stronieniu od ludzi, a że myotonicy mają te cechy, tłómaczono, i może do pewnego stopnia słusznie, wpływem ujemnym, ale wtórnym, upośledzenia fizycznego, wynikłego z choroby mięśni, na psychę.

Wybitniejszego zwyrodnienia psychicznego, wybitniejszych schorzeń nerwicowych i chorób umysłowych u myotoników nie ma.

Co jednak najbardziej uderza i zdziwieniem przejmuje, to brak padaczki u myotoników. A priori rzecz biorąc, trzebaby przypuszczać, że właśnie myotonicy powinni zapadać na napady padaczkowe: pochodzą bowiem z rodzin ciężko obarczonych psychopatycznie i padaczkowo, sami wykazują cechy, które, jak wiemy, znamionują często epileptyków: często asymetrye lekkie, rzadziej silne twarzy, czasem czaszki, wyjątkowo nawet obu stron ciała, są czasami mańkutami, wyjątkowo w dzieciństwie przechodzili »napady«, a wreszcie myotonicy mają słabo funkcyonujące przytarczykowe gruczoły, wiemy zaś ze studyów Curschmanna, Redlicha i własnych, że niedomoga przytarczycowa usposabia do padaczki, a nawet wprost ją sprowadza; wreszcie myotonicy są to ludzie silnej budowy, o silnym kośćcu i muskularni, a tacy właśnie ludzie

dostarczają sporego kontyngentu epileptyków. Mimo to wszystko skłonność myotoników do padaczki, jeśli w ogóle istnieje, jest minimalną.

W trzech przypadkach atrofików myotonicznych (Schotta, Gauppa i I. Grunda) były napady kurczowe, które odpowiadały prawdopodobnie tężyczce dziecięcej. Ponieważ myotonia, która może i od urodzenia istnieć, zazwyczaj jednak daje pierwsze objawy później, koło 6-go, 7-go roku życia, trzy te przypadki, dotyczące zresztą zanikowej myotonii, która w ogóle z reguły znacznie później się zaczyna, nie stawałyby w sprzeczności z wyrażonym poglądem.

Chory Sołomowicza podawał w anamnezie, że miał napad padaczkowy raz w życiu przed 4-ma laty (wówczas miał już myotonię), a wystąpił on po zmęczeniu długą jazdą kolejową wśród bezsennej nocy. Byłaby więc tutaj pewna bezpośrednia etyologia dla napadu (psychasteniczny napad epileptyczny?).

O niezwykłych napadach padaczkowych mówi Frankl-Hochwart: naprzód kurcze zwieraczy głośni, potem nieprzytomność.

W przypadku Marie'a napady tak wyglądały: upadek, tężec całego ciała, potem nieprzytomność. O drgawkach klonicznych i innych akcesoryach napadu nie ma wzmianki. U tegoż (?) chorego napady prawostronne Jacksona. Siostra tego chorego miała do 32. roku życia zaburzenia myotoniczne i napady padaczkowe; jedne i drugie ustały w tym wieku równocześnie.

Charakter napadu u chorego Sołomowicza może budzić wątpliwości, jako jedyny, wśród niezwykłych warunków powstały, bez akcesoryów zwykłych dla typowego napadu padaczki, i jest on najpewniej napadem padaczkopodobnym psychastenicznym. Również budzi wątpliwości niezwykłość napadów w przypadku Frankl-Hochwarta. Wobec tego, że wiadomość o napadach u siostry chorego Marie'a podaną jest tylko anamnestycznie, pozostawałby do omówienia jedyny przypadek, dotyczący tegoż chorego, u którego napady przebiegały pod postacią ogólnego zesztywnienia. Mojem zdaniem jest tu usprawiedliwione powątpiewanie co do natury padaczkowej tych napadów z następującego powodu: Myotonicy mają obok sztywności inicyalnej ruchów w zakresie pewnych tylko grup mięśniowych, mniej lub bardziej długie okresy zwiększonego napięcia w zakresie, czasem dotyczącym ogółu mięśni szkieletowych. Obok tego zdarzają się stany nagle występującego, silnie wzmożonego napięcia wszystkich mięśni. Dzieje się to zazwyczaj pod wpływem

wzruszenia lub upadku. Wzruszenie bywa nieraz minimalne, tak n. p. u jednego chorego wystarczyło, by go ktoś z tyłu zawołał po imieniu. Wówczas, nie stwierdzając u siebie zresztą subjektywnie jakiegoś stanu afektu, chory sztywniał w jednej chwili i jak kłoda nieruchomy padał na ziemię. W takim stanie chory dłuższy czas nie może absolutnie ruchu wykonać żadnego ani mówić. Niektórzy uczuwają ćmienie przed oczyma, to rodzaj zamroczenia. Napad tego rodzaju niewątpliwie na otoczenie przez błyskawiczną szybkość swego wystąpienia, toniczny spazm całego ciała, niemożność mówienia i pewien stan zamroczenia, może robić wrażenie epileptycznego. Ponieważ wyjątkowo stan zamroczenia może być wśród niezwykłych warunków wywołujących bardziej nasilonym i może prawie do nieprzytomności dochodzić, będziemy w kolizyi w ocenie tych napadów. Wobec przejść, dających się skonstruować ze zwykłych stanów nagłego zesztywnienia, połączonego z upadkiem, do takichże stanów z zamroczeniem połączonych, wreszcie niesłychanie rzadko z nieprzytomnością prawie, przecież musimy te napady uważać tylko za swoiście myotoniczne napady z zupełnie powierzchownem podobieństwem do padaczkowych. Bardzo możliwe, że napady, podane przez Frankl-Hochwarta, do tej kategoryi należały. Uzasadnione jest to samo podejrzenie wobec tężcowych tylko napadów chorego Marie'a, a tem bardziej musimy być krytyczni wobec napadów jego siostry, niedokładnie i tylko z anamnezy nam znanych.

Widzimy więc, że literatura, dotycząca myotonii, nie podaje żadnego pewnego, żadnego zupełnie charakterystycznego napadu epileptycznego, a w ogóle nie wspomina o peryodycznych napadach padaczkowych u myotoników obu grup.

Tak samo nigdy nie znalazłem notatki o migrenach, a zupełnie wyjątkowo znachodziłem wzmiankę o bólu głowy niecharakterystycznym (neurastenicznym?).

Wniosek z powyżej przytoczonych spostrzeżeń jest następujący: protoplaści myotoników, o ile sami nie cierpią na myotonię, mają skłonność do padaczki (i migreny), ich potomstwo chore na myotonię natomiast na padaczkę (ani na migreny) nie zapada. Skłonność do myotonii i do padaczki wykluczają się więc wzajemnie; innemi słowy skłonność do myotonii immunizuje przeciw epilepsyi (i na odwrót), może nawet tam, gdzie ewen-

tualnie istnieją pewne warunki anatomiczne do powstania tej ostatniej choroby.

Ponieważ zaś na pewno możemy przyczynę myotonii odnieść co najmniej w przeważnej części do zaburzeń wewnętrznego wydzielania, a z drugiej strony nie ulega dla mnie wątpliwości, że te zaburzenia pierwszorzędną także rolę odgrywają w powstawaniu padaczki, muszą widocznie być zaburzenia glandularne myotoniogenne tego rodzaju, że w obec nich nie stać miejsca na zaburzenia gruczołów padaczkorodne.

Przykładowo można sobie z grubsza ten wzajemny stosunek w ten sposób wyobrażać: jeśli w myotonii jest obniżona funkcya gruczołów przytarczykowych, a wzmożona gruczołów rodnych i nadnerczy, to epilepsya w danym przypadku, w którym może istnieć i hypoparatyreoidosis i hyperepinephria, nawet przy szczególnych, wywołujących ją, często zresztą anatomicznych czynnikach, przecież się nie rozwinie, bo do jej powstania jest n. p. potrzebnym jeszcze hypogenitalismus. Przy zresztą może zgodnej formułce pluriglandularnej nie dochodzi do padaczki z powodu braku jakiejś składowej części funkcyonalnej obrazu pluriglandularnego padaczki, który widocznie do jej powstania jest bezwzględnie konieczny, a wreszcie przy zupełnie zgodnych formułkach mogą zachodzić może drobne nawet różnice ilościowe, które widocznie wystarczają do wywołania jednej, a wykluczenia drugiej choroby.

Podobnie jak w tężyczce zdarza się w myotonii brak odruchów ścięgnistych. W tężyczce zdarza się on w 7% przypadkach. Przeglądając literaturę myotonii, znachodzimy wzmożenie odruchów kolanowych w 6 czystych przypadkach (cztery Brauna, Eiselta, Söldera 1) i w jednym zanikowym (Magneval 1), odruchy kolanowe prawidłowe lub żywe w 6 przypadkach, 4 zwykłych (Seligmüller 2, Martius-Hanseman, Pelza drugi, Erb-Fischer) i 2 zanikowych (Jansen J., Bernhardt), natomiast brak wszystkich odruchów ścięgnistych i okostnowych w przypadkach ojca i syna Badnerów i Hammera (atr. Curschman), brak wszystkich odruchów okostnowych i Achillesa przy słabych rzepkowych u córki Baldnera (atr. Curschmann), brak odruchów Achillesa przy słabych odruchach rzepkowych i okostnowych (Pelza I., Curschmann, przyp. Gentghes atr. i oba przypadki zanikowe Kennedy-Oberndorfa), nadto brak odruchów kolanowych i Achillesa w 3 przypadkach (Meeusa, Delogu'a myotonii zwykłej

i zanikowym Grunda I.), brak tylko kolanowych w 1 przypadku (Th., Seeligmüller 1), brak tylko Achillesa w 1 przypadku (Pelza drugi), odruchy rzepkowe słabe w 7 (w tem dwa zanikowe: Deléage-Nikonowa, Hirschfelda, a czyste: Lorda, Ramsey, Rosenthala 1. przyp., Egarowa, Pansini'ego 4 przyp.), a w jednym odruchy Achillesa słabe (Wichman, Th.). Brak odruchów okostnowych, a słabe kolanowe i Achillesa po prawej stronie w zanikowym przyp. II. Grunda i również brak odruchów okostnowych z osłabieniem lewostronnych odruchów ścięgnistych u zanikowca Laruelle-Leroy'a. Razem więc w 13 przypadkach nie było albo odruchów rzepkowych, albo Achillesa, albo też jednych i drugich, w 7 zaś przypadkach odruchy te były słabe. Wybitniejsze stopnie arefleksyi głębokiej napotyka się przytem, jeśli chodzi o udział w niej różnych postaci omawianych, w myotonii zanikowej, i to ogółem w 9 przypadkach (3 razy brak wszystkich odruchów, i ścięgnistych i okostnowych, raz brak okostnowych i Achillesa przy słabych kolanowych, raz brak Achillesa przy słabych kolanowych i okostnowych). Natomiast słabsze stopnie braku odruchów głębokich napotyka się w myotonii zwykłej, tu jednak częściej, mianowicie 10 razy (2 razy brak odruchów kolanowych i Achillesa przy zachowanych okostnowych, po razie brak odruchów kolanowych lub Achillesa, 5 razy odruchy kolanowe słabe, raz odruchy Achillesa słabe).

We wszystkich tych zestawieniach oczywiście uwzględniano tylko te przypadki, w których zmiana odruchów nie zależała ani od zaników, ani też najprawdopodobniej od stanu myotonicznego w zakresie badanych mięśni. Ponadto w 2 przypadkach myotonii tężyczkowej (Hoffmanna, Schultzego-Schütza) brak było odruchów rzepkowych, a w przypadku Schultzego-Schütza także odruchy Achillesa były bardzo słabe.

Obok 9 przypadków w zwykłej i zanikowej myotonii i dwóch myotonii tężyczkowej z brakiem odruchów ścięgnistych, umieszczamy 4 przypadki kombinacyi myotonii z wiądem (2 przypadki zwykłej myotonii Charcota i Nalbandowa i 2 zanikowe Hoffmanna i Steinerta, w tym ostatnim z rozpoznaniem, wykazanem przez badanie anatomiczne). Do tych przypadków możnaby dołączyć jeszcze trzy, wykazujące mniej lub więcej kompletny zbiór wiądowych objawów: 1. przypadek Curschmanna (Hammer), brak wszystkich odruchów ścięgnistych, silna ataksya dolnych kończyn w leżeniu, Romberg +, osłabienie pęcherza, 2. przypadek Curschmanna (Baldner

senior), źrenice wąskie, brak wszystkich odruchów okostnowych i ścięgnistych, silna ataksya dolnych kończyn w leżeniu, Romberg + +, osłabienie pęcherza, 3. przypadek Curschmanna (Baldnerówna), bole reumatyczne dolnych kończyn, odruchów ścięgnistych i okostnowych z górnych kończyn brak, odruchy kolanowe słabe, brak odruchów Achillesa, silna ataksya dolnych kończyn w leżeniu, Romberg + +. Ponadto lekkie objawy tabetyczne wykazuje przypadek Oppenheima: wąskie źrenice, osłabienie odruchów ścięgnistych dolnych kończyn, osłabienie czucia ułożenia na palcach nóg, Romberg zaznaczony. Ta liczba 7 powikłań z wiądem wydaje się niesłychanie wysoką, jeśli się zważy, że myotonia nie miewa tendencyi do wikłania się z innemi chorobami organicznemi systemu nerwowego. W literaturze znane są następujące przypadki powikłań myotonii: wątpliwy Marie'a z prawostronnym Jacksonem, Erba ze sclerosis multiplex, Raymonda z meningo-myelitis luetica, Ferrarini-Paoli'ego z guzem mózgu, Rindfleischa (identyczny z przyp. Frohmanna) ze syringomyelią i Lorenza z neurofibromatozą. W 3 przypadkach syringomyelii Schlesingera, w przypadku Spillera guza mózgu i w przypadku syringomyelii Spillera zaburzenia myotoniczne polegały przedewszystkiem na skurczach intencyonalnych i najprawdopodobniej nie miały nic wspólnego z prawdziwą myotonią.

Gdy więc myotonia szczególnie często wikła się z wiądem, nasuwa się mimowoli pytanie, poruszone przez Steinerta, czy brak odruchów ścięgnistych nie jest w myotonii objawem zajęcia sznurów tylnych, które przecież tylko brakiem odruchów głębokich może się zdradzać, zwłaszcza, że inne objawy tabetyczne mogły być nieraz przeoczone, gdy się na nie szczególniejszej nie zwracało uwagi. Przypuszczenie to zyskuje na mocy wobec faktu, że często istniały różne objawy wiądowe: zaburzenia oddawania moczu (w przypadkach zanikowych, jednym Magnevala i dwóch Curschmanna i w zwykłym Grixoni'ego), bole w kończynach i w całem ciele w 2 przypadkach, lekkie zaburzenia czucia w obwodowych częściach kończyn (dwa pierwsze przypadki Steinerta, nadto Berga i Rossolima), wązkie źrenice, upośledzenie czucia ułożenia w palcach nóg, zaznaczony Romberg i osłabienie odruchów ścięgnistych w przypadku Oppenheima dotyczącym lekarza, uważanym przez Curschmanna słusznie za myotonika atroficznego, wreszcie w rodzinie Baldnerów i u Hammera (Curschmann) raz wąskie źrenice, 3 razy Romberg i ataksya, a raz silne bole reumatyczne w nogach, nie-

równość źrenic w przypadku Fromowicza, gwałtowne bole w prawej kończynie górnej obok braku odruchów okostnowych a różnicy ścięgnistych u Laruelle-Leroy, rwanie w kończynach przy braku wszystkich odruchów ścięgnistych w przyp. I. Grunda, zanik nerwu ocznego przy braku odruchów kolanowych i części okostnowych, w przypadku zanikowym Löhleina, i ospała reakcya źrenic w przypadku Modeny-Sicardi'ego, wreszcie ciągnące bole w kończynach, »szeroki chód« i Romberg w przypadku atypowym Stieflera.

Mimochodem wspominam, że tak samo nasuwa się przypuszczenie tabetycznego pochodzenia odruchów głębokich w tężyczce czystej. Przeciwko temu przemawia jednak okoliczność, że na razie kombinacya wiądu z tężyczką nie jest znana.

Uważając myotonię za wyraz swoistego schorzenia narządów wewnętrznego wydzielania, gdy stwierdzamy z drugiej strony skłonność do wytwarzania się w przypadkach myotonii mniej lub więcej nasilonych zmian w sznurach tylnych o charakterze wiądowym, stajemy się skłonni odnieść schorzenie sznurów tylnych do tych samych szkodliwości, czynników chemicznych, które myotonię wywołują. Zaburzenie przemiany materyi, wywołujące zarówno myotonię jak i zajęcie wiądowe sznurów tylnych, zostało już wyrażone w formułce wielogruczołowej, ustalonej przez nas dla myotonii. Nasuwa się w dalszym ciągu przypuszczenie, że czynniki chemiczne, zaburzenia, płynące z przemiany materyi, mogą w ogóle wywoływać zmiany wiądowe, mogą prowadzić do prawdziwego wiądu i że w takim razie mogą odgrywać pierwszorzędną rolę w etyologii wiądu zaburzenia gruczołów wewnętrznego wydzielania, zaburzenia jakościowo i ilościowo wielce zbliżone do zaburzeń myotoniorodnych, t. j. w ramach podobnej formułki wielogruczołowej pozostające. Że w takiem pojmowaniu etyologii wiądu nie ma przesady, na to wskazują analogiczne powikłania wiądu zupełnego lub poszczególnych jego objawów z zaburzeniami wewnętrznego wydzielania: z guzami przysadki (także przez Oppenheima opisane), Basedowem, cukromoczem, tężyczką i konstytucyą asteniczną (zob. pracę Sterna: »O objawach cielesnej dyspozycyi do wiądu« i moją: »Choroby metaluetyczne, a wewnętrzne wydzielanie«).

Na podstawie tej predylekcyi do objawów tabetycznych przy zaburzeniach wewnętrznego wydzielania, trzeba uważać zajęcie sznurów tylnych za bardzo czuły reagens na czynniki chemiczne, dostarczane przez patologicznie funkcyonujące gruczoły krwi. W ten

sposób objawy wiądowe zyskują swoje miejsce obok innych objawów, które zwykliśmy ogólnikowo odnosić do zaburzeń wewnętrznej sekrecyi, t. j. takich objawów, jak: zmiany naczynio-ruchowe, napady epileptyczne, zmiany troficzne, zaburzenia pocenia się, polyuria, zmiany psychiczne, cukromocz i t. p. Podobnie jak te objawy, zajęcie sznurów tylnych może być jednym z wykładników schorzenia w zakresie gruczołów wewnętrznego wydzielania.

Literatura.

1. Literatura, dotycząca myotonii zwykłej, nieskomplikowanej zanikami. (Kazuistyka i patogeneza w ogóle).

Allaire et Denès, Gazette méd. de Nantes. 1911. Nr. 31 (Ref. w Neur. Centrlbl. 1911, str. 241).
Alsberg, Ueber Myotonia congenita. J. D. Göttingen 1898.
Andersen, Mendel's Jahrb. 1904.
Angell, Thomsen's disease, report of a case. Journ. of mental diseas. 1891. Dez.
Ballet et Marie, Archiv. de Neurol. 1883. T. 5. p. 1.
Ballet et Bordas, Arch. de Neur. 1903. T. 15. p. 102.
Banham French, Case of Thomsen's disease. Brain X. 1888, p. 228.
Bauer, La Maladie de Thomsen. Leçon de Ballet. Le Progres Médical. 1902. T. XV. p. 16.
Bechterew, Ueber den Muskelwulst bei Myotonie. Neur. Centrlbl. 1904, str. 255.
— Zur Behandlung der Myotonie. Neur. Centrlbl. 1897.
Bennoit, Un cas de maladie de Thomsen. Arch. de médecine et de pharmacie militaires. T. XX. 1892, p. 334.
Bernhardt, Virch. Arch. Bd. 75, str. 516.
— Beitrag zur Pathologie der s. g. Thomsen'schen Krankheit. Centrlbl. f. Nervenheilk. 1885, str. 122.
Bioglio. Les échanges organiques dans le syndrôme myotonique. Il Policlinico. Bd. XIV. 1907, p. 344. Ref. w Revue Neur. 1908, p. 911.
Blumenau, Po rosyjsku. Ref. w Neur. Centrlbl. 1888, str. 679.
Borgherini, Miotonia essenziale e stati criotannici. Gazzeta degli osped. 1900, str. 1068.
Boot, A case of congenital myotonia. Journ. of the Amer. med. Assoc. T. 61. 1913. Nr. 25.
Botazzi, Ueber die Wirkung des Veratrins und anderer Stoffe auf die quergestreifte, atriale und glatte Muskulatur. Arch. f. Physiol. 1901. str. 377.
Braun, Ueber Thomsen'sche Krankheit. I. D. Leipzig 1902.

Brissaud et Bauer, Sur les troubles de la motilité dans la maladie de Thomsen. Rev. Neur. 1909, str. 600.
Brissaud et Bordat, Arch. de Neurol. 1903. T. 15. p. 102.
Brinckman, Zur Kenntnis der Thomsen'schen Krankheit. I. D. Kiel 1902.
Bychowski, Dwie siostry z chorobą Thomsena. Posiedz. Neur.-psych. Sekcyi Warsz. Tow. Lek. 21. VI. 1913 (według Deut. Zeitschr. f. d. ges. Neur. u. Psych. Referate).
Buzzard, Two cases of Thomsen's disease. Lancet. 1887. V. II. p. 972.
Bückling, Ueber einen Fall von Thomsen'scher Krankheit. Aerztl. Ver. zu Stuttgart. Centrlbl. f. Nervenhk. 1885, str. 335.
Clark Pierce and Atwood, A case of Thomsen's disease with recurring attacks of oculomotor palsy (Ophtalmic migraine).
Chapman Paul, Brain, Vol. VI. 1884 (Referat zbiorowy).
Cook and Sweeton, A case of Thomsen's disease. Brit. med. Journ. 1890, str. 73.
Damsch, Demonstration eines Falles mit Thomsen'scher Krankheit. Ver. Beil. der Deutsch. med. Woch. 1902, str. 138.
D'Amato, Sulla natura dela malattia di Thomsen. Rivista crit. di clinica medica. 1900. P. 691, 710, 726 (referat).
Daniłło S., Zur Lehre von der Myotonie. Wratsch 1891. Nr. 20, ref. w Centr. f. Nervenhlk 1892, str. 74.
Déjérine-Sottas, Sur un cas de maladie de Thomsen suivi d'autopsie. Paris 1895.
Delogu, Un caso genuino di malattia di Thomsen. Gazz. d. ospedagli e delle cliniche. 1897, p. 935.
Deny, Maladie de Thomsen. Semaine médic. 1884, p. 517 (Referat).
Dreschfeld, Brit. med. Journ. 1890, str. 429. Demonstr.
Engelen, Deutsche med. Wochenschrift, 1905, str. 974. Sitzungsber. d. Ver. d. Aerzte in Düsseldorf.
— Ein Fall von Myotonie. Aerztliche Rundschau 1905, str. 85 (ten sam przypadek).
Egarow, Demonstr. w Tow. lek. w Moskwie. Ref. w Rev. Neurol. 1893. T. I.
Eiselt, Atypický případ Thomsenovy nemoci. Čas. lék. česk. 1907. Nr. 19 (Komplex myotoniczny z powikłaniem z nerwicą urazową).
Erb, Thomsen'sche Krankheit. Leipzig 1886.
— Thomsen'sche Krankheit. Deutsche Arch. f. Klin. Med. 1889.
— Ziemssen's Handbuch d. spez. Pathol. u. Therapie. Bd. XI. 2 Hälfte.
— Handbuch d. Krankheiten d. Nervensystems. Leipzig 1878.
— Klinisches und Pathologisch-anatomisches von der Thomsen'schen Krankheit. Neur. Centrbl. 1885, str. 288.
Eulenburg-Melchert, Berl. Klin. Wochschr. 1885. Nr. 38.
Eulenburg, Deutsch. med. Wochenschr. 1895, str 691.
— Thomsen'sche Krankheit. Real-Encyklopädie.
Ferrarini e Paoli, Glioma bilaterale del nucleo lentiforme e miotonia. Annali di Nevrologia 1903, p. 294.

Frankl-Hochwart, Die Thomsen'sche Krankheit. Deutsche Klinik. 1904.
Friis, Zur Kenntnis d. Thomsen'schen Krankheit. Neur. Centrlbl. 1892.
Frohman, Ueber Thomsen'sche Krankheit mit Muskelatrophie. (Identyczny z przyp. Rindfleischa, myotonia + syringomyelia). Dtsch. med. Woch. 1900 i Sitzgsber. Königsberg 1905 i D. Arch. f. klin. Mediz. 1905.
Fischer, Ein Fall von Thomsen'scher Krankheit. Neur. Centralbl. 1886. Nr. 4 (chory Martin).
Gottardi, Miotonia congenita. Giorn. med. d. r. eserc. 1896.
Grixoni, Sopra un caso di malattia di Thomsen. Il Morgagni 1901, p. 728.
Gardiner, Archiv of Pediatrics. 1901. Dec.
Gessler, Ein Fall von Thomsen'scher Krankheit. Mediz. Correspond.-Blatt d. Württemberg. ärztl. Landesver. Bd. 68. 1898. Nr. 47 (czy identyczny z Jansonem J., w takim razie zanikowiec?).
Gildemeister, Elektrophysiologische Untersuchungen über Myotonia congenita. Neur. Centrlbl. Bd. 32. 1060, 1913.
Goldflam, D. Zeitschr. f. Nervenhk. Bd. 7 i 11.
Guillain, La pression arterielle chez les myopathes et dans la maladie de Thomsen. Ref. w Rev. Neur.
Gregor u. Schilder, Zur Theorie der Myotonie. Zeitschr. f. d. ges. Neur. u. Psych. Bd. 17, str. 206, 1913.
Guttman, Deutsche med. Wochschr. 1892.
Hale White, On Thomsen's disease. Extract from the Guys Hospital Reports. 1890. Vol. 46, p. 329. Ref. w Neur. Centrlbl. 1890, str. 306 i Brain Vol. IX., str. 112.
Hammond Graeme, Dyskusya nad odczytem Jakoby'ego. Journ. of ment. a. nerv. dis. 1898. Nadto Medical Record 1898. II. str. 62.
Haas, Ein neuer Fall von Myotonia congenita. I. D. Bonn 1897 (przypadek: Julius Jansen).
Herschell, Demonstracya w Medic. Soc. of London. Ref. w Brit. med. Journ. 1890, str. 242.
Hofmann F. B., Ergographische Versuche an einem Falle von Myotonia congenita. Mediz. Klinik. Bd. 9, str. 990, 1913.
Hollman, Ein Fall von Thomsen'scher Krankheit. Festschr. z. Feier d. 50 jährigen Jubiläums d. Ver. d. Aerzte Düsseldorfs 1894, str. 362.
Huet, Contribution a l'étude de l'excitabilité électrique des muscles dans la maladie de Thomsen. Nouv. Iconogr. d. l. Salpetr. 1892. (Badania przeprowadzone na chorym Raymonda).
Huet et Bourguignon, La contraction galvano-tonique durable et non durable dans la maladie de Thomsen. Arch. d'électricité med. T. 21. 1912. (Ref. w Rev. 1912).
Jakoby, New. York. Med. Zeitung, 1898. Thomsen's disease. Journ. of ment. disease. 1898, p. 53.
Jacquet, Les troubles de la motilité dans la maladie de Thomsen. Semaine medicale 1903.

Jendrassik, Die hereditären Krankheiten (Myotonie). Handbuch der Neurologie von Lewandowsky. Bd. II.
Jones, Two cases ... in the same family, Occidental Medical Times 1900, p. 316.
Joteyko, Mécanisme physiologique de la réaction de dégénérescence des muscles. Bullet. de l'Academie Royale de Médicine, IVe Série. T. XVII. 1903.
— Etudes sur la contraction tonique du muscle strié et ses excitants (Travail fait à l'institut Solvay). Bruxelles 1903.
Jolly, Neurol. Centrlbl. 1890. Sitzgsber.
te Kamp, Ein Beitrag zur Kenntnis der Myotonia congenita, sogenannten Thomsen'schen Krankheit. Deutsche med. Wochschr. 1907, str. 1005.
Karpinsky, Neurol. Centrlbl. 1899. Demonstr. (Ref.).
Khovrine, Questions de médicine neuro-psychique, 1899. IV., p. 431. Referat w Rev. Neurol. 1900, p. 238.
Kiesewalter, Deutsche med. Wochschr. 1897. Vereinssitz. str. 63.
Koch, Ueber Thomsen'sche Krankheit. I. D. Leipzig 1904.
— Virchows Archiv. Bd. 163.
Knoblauch, Demonstration eines Falles von Thomsen'scher Krankheit. Münch. med. Wochschr. 1908. str. 1903 (Jansen J.).
— Das Wesen der Myastenie... Frankfurter Zeitung für Pathologie, Bd. II., str. 57.
Kramer u. Selling, Die myotonische Reaktion. Monatschr. f. Psych. u. Neur. Bd. 32, str. 283, 1912 [1].
Kumagai, Mitteil. a. d. med. Fakultät d. Univ. zu Tokio, B. X. 1911. H. 1 (Ref. w Neur. Centrlbl. 1913).
Köster, Ein Fall von Myotonia congenita. Münch. med. Wochschr. 1902, str. 1442. Stzgb.
— Ett fall of myotoni. Hygiea 1899. Bd. 51, str. 473. Ref. w Neur. Centrlbl. 1900, str. 1077.
Kron, Berl. klin. Wochschr 1898, str. 447. Stzgsber.
Kumagai, Ueber die Thomsen'sche Krankheit. Mitteil. a. d. med. Fakultät d. Univ. Tokio, Bd. 10, str. 1.
Lévi-Leopold, Le syndrôme myotonique. Semaine médicale 1905, p. 541.
— — Maladie de Thomsen. Rev. neurol. 1905.
Leyden, Klinik der Rückenmarkskrankheiten. Bd. I. str. 128.
Lannois, Lyon Médical, 1897. T. I. str. 452 (Demonstr.).
Longuet, Union médic. 1883, p. 904. Ogólny referat.
Lord, Ref. w Jahresbericht f. Neurol. u. Psych. 1900.
Lundborg, Myoklonus-Epilepsie.
— Ueber die Beziehungen der Myoclonia familialis zur Myotonia congenita. Deutsche Zeitschr. f. Nervenhk. Bd. 22, str. 152.

[1] Przypadek, przez tych autorów opisany, dotyczy prawdopodobnie przyszłego zanikowca. (Brak obarczenia, paretyczność ruchów, myopatyczna, zdaje się, twarz, wysoki, chudy, wybitny astenik!).

Lundborg, Spielen die Glandulae parathyreoideae in der menschlichen Pathologie eine Rolle? Deutsche Zeitschr. f. Nervenhk. Bd. 27, str. 217, 1904.

Maggiore Salvatore, Osservazioni cliniche ed etiologiche sopra un caso di malattia di Thomsen. Pediatria, Naples 1912.

Mahler u. Beck, Beiträge zur Thomsen'schen Krankheit. Wien. klin. Woch. 1900. Nr. 52 (ident. z przyp. Steina i Söldera).

Marie, Maladie de Thomsen. Revue de Médecine 1883, p. 1075.

— Pression arterielle dans la myopathie atrophique. Soc. de Neur. 1901. Demonstr., Arch. de Neurol. 1901, p. 514.

— Maladie de Thomsen. Dict. Enc. XVII. p. 340. Paris 1887.

Marsch, Zur Kasuistik der Thomsen'schen Krankheit, D. militärärztliche Zeitung 1903, str. 155.

Martius-Hansemann, Myotonia congenita Virchows Archiv, Bd. 97. 1889.

Mann, Thomsen'sche Krankheit. Deutsche med. Wochenschr. 1907. Bd. l., str. 486. Demonstr.

— Fall von Myotonie. Allgemeine med. Central Zeitung 1907. Nr. 2.

Meara, Myotonia congenita, or Thomsen's disease; a case. Arch. of Pediatr. 1905, p. 814.

Meeus, Un cas de myotonie congénitale. Arch. de neur. Bd. 21. 1906. Nr. 122.

— Journal de Neurol. 1905.

Mele, Un caso di malattia di Thomsen. Giorn. med. d. reg. eserc. 1898. Anno 46, p. 1173.

Messaroch, Jahresber. f. Neurol. u. Psych. 1904.

Mills, Myotonia and athetoid spasm. International Clinic 1891.

Moyer, Remarks on Thomsen's disease with report of a case. Medical News 1890, p. 168 (wątpliwy!).

Moebius, Ueber die Thomsen'sche Krankheit. Schmidt's Jahrbücher. Bd. 198. 1883.

Moltschanow, Stzgber.. Ref. w Neur. Centrlbl. 1896.

Müller Johannes, Münch. med. Wochenschr. 1899, str. 1102.

Nałbandow, po rosyjsku, ref. w Neur. Centrlbl. Sitzgsber. 1899, str. 336.

Nearonow, po rosyjsku, ref. w Neur. Centrlbl. 1889, str. 239.

Nonne, Stzgsber. Ref. w Neur. Centrlbl. 1894 i D. Med. Wochenschr. 1894.

Niedendarp, Ein neuer Fall von Thomsen'scher Krankheit. I. D. Berlin 1895. (Przypadek A. Rebay?).

Oppenheim, Lehrbuch der Nervenkrankheiten 1913.

Pański, Czasopismo lekarskie 1902, str. 227. Demonstracya.

Peters, Ueber Muskelsteifigkeit (tonische Krämpfe in willkürlich beweglichen Muskeln). Deutsche Militärärztl. Zeitschr. Bd. VIII. 1879, str. 101.

Petrone, Rivista sperim. di freniatria. T. III. 1881.

Pesme, Maladie de Thomsen. Arch. de méd. et de pharmacie milit. T. 18. 1911, p. 113. Ref. Neur. Centrlbl. 1911, str. 241.

Pansini, Sulla Malattia di Thomsen. Napoli 1907.
Petrone, Le sperimentale 1884, p. 41. Referat zbiorowy.
— Di un caso di rigidità musculare con lieve ipertrofia dei muscoli. Riv. spez. di freniatria 1881. T. VII.
Pitres et Dallidet, Arch. de Neurol. 1885. T. X.
Preston, Medical News 1898, p. 863 (Przypadek zbyt pobieżnie opisany i wątpliwy, bo bez odczynu myotonicznego mechanicznego i elektrycznego).
Pontoppidan Knut, Ref. w Neurol. Centrlbl. 1884.
Rad v., Deutsche Med. Wochsch. 1902. Vereinsbeilage. str. 334. Nr. 46.
Ramsay Hunt, Journ. of nerv. dis. 1902, str. 354 (Demonstracya).
Raymond, Leçons sur les maladies du système nerveux 3-e Serie. Paris, Doin 1898, p. 561.
— Gazette médicale de Paris 1891 (dwa przypadki, w tem jeden Déléage'a).
Renner, Zwei Fälle Thomsen'scher Krankheit (Myotonia congenita) Festschr. z. Feier des 50-jährigen Bestehens des Vereines pfälzischer Aerzte. Frankenthal 1889, str. 251.
Rieder, Deutsche militärärztliche Zeitung 1884. Bd. XIII.
Rindfleisch, Ueber die Kombination von Syringomyelie mit Myotonie. Deutsche Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 33, str. 171.
Ringer S., and Sainsbury H., The Lancet 1884. II. p. 767.
Riviste, I disturbi della motilità nella malattia di Thomsen. Rivista crit. di Clinica Medica 1903, str. 781 (Sprawozdanie).
Rosenthal, Vier Brüder mit Thomsen'scher Krankheit. I. D. Berlin 1902.
Rizzi, Giornale di med. milit. 1884, p. 217 (Artykuł sprawozdawczy).
Rosenbloom and Cohoe, Clinical and metabolism studies in a case of Myotonia congenita. The Arch. of intern. Medicine, Vol. 14, p. 263 (Ref. w Jahresb. f. Neur. 1914).
Rzętkowski, Kilka uwag o chorobie Thomsena. Medycyna 1900.
Russel Risien, Brain. T. 23, str. 158. Demonstr.
Rybalkin, Contribution à l'étude de la symptomatologie de la maladie de Thomsen. Bolnicznaja gaz. Botkina 1892. Cyt. według Nikonowa.
Sänger, Myotonia congenita. Neurol. Centrlbl. 1914, str. 592 (Demonstracya).
Schmidt, D. med. Wochschr Bd. 28. VB. str. 227. Demonstracya.
Schönfeld, Ein Fall von Thomsen'scher Krankheit. Berl. klin. Wochsch. 1883, str. 412.
Schröder Harry, Beitrag zur Lehre von der Thomsen'schen Krankheit. I. D. Kiel 1903.
Schultes, Ein Fall von Myotonia congenita. D. militärärztl. Zeit. Bd. 25. 1896, str. 330. Stzgber.
Schultze Fr., Deut. med. Wochsch. 1897. VB., str. 184.
Skutetzky, Zur Klinik der Myotonia congenita. Mediz. Klinik 1913. Nr. 25.

Sołomowicz, Tygodnik lek. lwowski 1910. Demonstr.
Seifert Paul, Ueber Thomsen'sche Krankheit. Jahrsber. d. Ges. f. Natur- und Heilk. in Dresden 1888—89. str. 118 i Deut. Arch. f. klin. Med.
Seifer, Deutsche med. Woch. VB., str. 148.
Seeligmüller, Jahrb. f. Kinderheilkunde XIII. str. 257.
— Tonische Krämpfe der willkürlich bewegten Muskeln (Muskelhypertrophie). Deutsche med. Woch. 1876.
Senator, Berl klin. Wochenschr. 1899, str. 635. Przyp. demonstrowany także przez Wirsinga.
Sepilli, Arch. ital. per le mal. nerv. 1883. T. 20. p. 357. Ogólny ref.
— Gazetta degli Ospitali 1883. Nr. 40. Ogólny referat.
Stein Conrad, Wien. klin. Rundschau 1900 (vide Mahler u. Beck).
Scheiber, Thomsen'sche Krankheit. Pester med.-chir. Presse 1898, str. 1237. Stzgb.
Schlayer, Med.-naturwiss. Verein in Tübingen. Münch. med. Wochschr. 1908, str. 2065. Demonstr.
Souques et Routier Daniel, Electrocardiogrammes et polygrammes dans la maladie de Thomsen. Rev. Neur. T. 41 (I), p. 250, 1913.
Strümpel, Berl. klin. Wochenschr. 1881, str. 119.
Süsskand Adolf, Zur Kenntnis der Thomsen'schen Krankheit (Myotonia cong. ineunte motu). Zeitschr. f. klin. Med. Bd. 25, str. 91.
— Zur Kenntnis der Thomsen'schen Krankheit. I. D. Breslau 1893. (Identyczny przypadek z poprzednim).
Thomsen, Arch. f. Psychiatrie. Bd. X.
— Nachträgliche Bemerkungen über Myotonia congenita (Strümpell). Arch. f. Psych. Bd. 24. 1892, str. 918.
— Zur Thomsen'schen Krankheit. Brief an Prof. Bernhardt. Centrlbl. f. Nervenheilk. 1885, str. 194.
Tramonti, Il Policlinico. T. 14, p. 1318. 1907, 20 oct. (Ref. w Rev. Neur. 1908, p. 154).
Trömmer, Myotonia acquisita. Neurol. Centrlbl. 1911, str. 606 (Sprawozdanie).
Uebeleisen, Zur Kasuistik der Myotonia congenita oder Thomsen'scher Krankheit. Münch. med. Woch. 1887. Nr. 23.
Urbach, Wien. med. Wochenschr. 1899.
Vigouroux, Arch. de Neur. T. 8, str. 273.
Vizzioli, Ref. w Neur. Centrlbl. Bd. II. str. 520.
Walton, Contribution to the study of the myospasm: Myokymia, myoclonus multiplex, myotonia acquisita, intentionspasm. Journ. of ment. diseases, 1902, str. 403.
— Thomsen's disease. Journ. of ment. dis. 1891. Vol. 18. Sprawozd. z posiedz.
Weichman Wilh., Ueber Myotonia intermittens congenita. I. D. Breslau 1883.
Wersilow, Po rosyjsku. Referat w Neur. Centrlbl. 1899, str. 716.
Wertheim-Salomonsohn, Ref. w Neur. Centrlbl. 1899.
Westphal (sen.), Berl. klin. Woch. 1883, str. 153.

Wichman, Ref. w Neur. Centrlbl. 1897, str. 41.
Wirsing. Deutsches Arch. f. klin. Med. Bd. 45, str. 534 i Centrlbl. f. innere Med 1899.
Zambler, Sopra un caso di malattie del Thomsen. Giorn. med. del regio esercito. Vol. 44. 1896, p. 614.

2. Literatura, dotycząca paramyotonii.

Alsberg, Ueber Myotonia congenita. I. D. Göttingen 1898.
Bernhardt, Deutsche med. Woch. 1889, str. 169 (»atypowa«, raczej atroficzna myotonia +? paramyotonia).
Dercum, Note on a case closely resembling Thomsen's disease. Paramyotonus. The Journ. of nerv. a. mental diseas. Vol. 27. 1900, p. 454.
Delprat, Deutsche med. Woch. 1892, str. 158.
Eulenburg, Ueber eine familiäre, durch 6 Generationen verfolgbare Form congenitaler Paramyotonie. Neur. Centrlbl. 1886.
Funcke, Ein Fall von Myotonia congenita bez Paramyotonia congenita. Deutsche militärärztliche Zeit. 1898. Bd. 27, str. 114.
Hlavaczek, Jahrb. f. Psychiatrie 1895 i Wien. med. Presse 1894, str. 1777.
Krafft-Ebing, Allgem. mediz. Zeitung 1893, str. 175 (myotonia + paramyotonia).
Lewandowsky, Familiäre Kältelähmung. Neurol. Centrlbl. 1916. Nr. 1, str. 58 (Demonstr.).
Sand René, Un cas de myotonie fruste et intermittente (Maladie de Thomsen). La Clinique. T. 19. Nr. 18, p. 343.
Sölder v., Zur Kenntnis der Paramyotonia congenita. Wien. klin. Woch. 1895. Nr. 6 (tu przypadek identyczny z wyżej cytowanym Krafft-Ebinga).

3. Literatura dotycząca zanikowej myotonii.

Abrahamson. Journ. of nerv. a. mental diseas. T. 40. 1913, str. 598.
Aimé, Considérations histo-pathogéniques sur la myotonie atrophique. L'Encephale 1914, p. 503.
Ascenzi, Monatschr. f. Psych. u. Neur. Bd. XXXI. 1912.
Batten Fred. and Gibb, Myotonia atrophica. Brain. Bd. 32. 1909, str. 187.
Bartels, Ein Beitrag zur Tetaniekatarakt. Klin. Monatsbl. f. Augenheilk. 1906, str. 374.
Bernhardt, Ein atypischer Fall von Thomsen'scher Krankheit. Deutsche med. Woch. 1899, str. 169 (»atypowa myotonia +? paramyotonia).
Berg, Ueber Muskelatrophien bei Thomsen'scher Krankheit. I. D. Bonn 1904 (Jansen J., Rebay).
Bettmann, Deutsche Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. IX.
Bramwell and Addis, Edinb. med. Journ. 1913, Juli (ref. w Neur. Centrlbl. 1914).

Brasch, Ueber Muskelatrophie und Myotonie nach Unfall. Münch. med. Wochenschr. Bd. 58. 1911, str. 620.
Cohn Toby, Neurol. Centrlbl. 1904, str. 118. Demonstr. d. Falles Rebay.
Chvostek, Ein Fall von Myotonie mit Muskelatrophie und Myasthenie. Wien. Med. Woch. 1909, str. 645 (Rebay).
Curschman H., Ueber partielle Myotonie. Berl. klin. Wochschr. 1905. Nr. 37, p. 1175.
— Ueber familiäre atrophische Myotonie. Deutsche Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 45. str. 160.
— Beobachtungen und Untersuchungen bei atr. Myotonie. D. Zeitschr. f. Nervenhk. Bd. 53. H. 13.
Dana, Boston medic. and surg. Journ. Vol. 98. 1888. p. 323 (przyp. atyp. i niepewny).
— Boston med. a. surg. Journ. Vol. 126. 1892, p. 144. Demonstr. w New-York Neur. Society.
Déléage, Thèse de Paris. Poissy 1890.
Embden, Corresp. f. Schweizer Aerzte 1902, str. 313.
Fuchs A., Zwei Fälle von atrophischer Myotonie. Neur. Centr. Bd. 24. 1905, str. 783. Demonstracya.
Fürnrohr. Myotonia atr. Zeitschr. f. Nervenheilk. 1907. Bd. 33, str. 25.
Fromowicz, Myotonia congenita mit Muskeldefekten oder Dystrophie. Wien. klin. Woch. Bd. 25. 1912, str. 820.
Gaupp, Ein Fall von partieller Myotonia congenita. Neurol. Centrlbl. 1910.
Greenfield Godwins, Notes on a Family of Myotonia Atrophica and early cataract with a report of an additional case. Review of neurology and Psychiatry V. IX. 1911. Nr. 4.
Grenier, Etude sur la Maladie de Thomsen. Thèse de Paris 1890 (Przypadek identyczny z I. Déléage'a).
Grund, Ueber atrophische Myotonie. Münch. med. Woch. 1913. Nr. 16 u. 17.
Griffith, On Myotonia. Quarterly Journ. of medic. (Oxford). Vol. V. 1912. Ref. Neur. Centrlbl. Bd. 31. 1912, str. 241.
Hirschfeld, Zeitschr. f. d. ges. Neur. u. Psych. Bd. 5.
Hoffmann, Katarakt bei und neben atrophischer Myotonie. Gräfes Arch. f. Ophtalmologie. B. 81. H. 3. 1912.
— Ueber kongenitale Hypertrophie. Sitzgsber.. Ref. w Neur. Centrlbl. 1891, str. 411.
— Zur Lehre von der Thomsen'schen Krankheit mit besonderer Berücksichtigung des dabei vorkommenden Muskelschwundes. D. Zeitschr. f. Nervenheilk. 1900. Bd. 18, str. 198.
Hunt Ramsay, Journ. of nerv. and mental diseas. T. 40. 1913, p. 598 (Dyskusya).
Huet et Mme Long-Landry, Un cas de myotonie atrophique. Revue Neurolog. 1913. Sem. I, str. 433 (Demonstracya).

Jastrowitz, Myotonie mit tetanischen Symptomen. Münch. med. Woch. Bd. 59. 1912, str. 726 (Demonstracya).
Jolly, Neurol. Centrlbl. 1896 (Demonstracya).
Jensen, Deutsches Arch. f. klin. Mediz. Bd. 77 (Jansen J, opisany przez Schultzego, Schieferdecker - Schultzego, Steinerta, Berga).
Kleist, Ueber nachdauernde Muskelkontraktionen. Journ. f. Psychol. u. Neurol. Bd. 10. 1908, str. 95.
Kliseneberger, Zur Frage der Kombination der Muskeldystrophie mit anderen Muskelerkrankungen. Arch. f. Psych. Bd. 51, str. 1086. 1913.
— Myotonia congenita u. Myasthenia. Berl. klin. Woch. 1911.
Kornhold, La Maladie de Thomsen 1897 (1. przypadek B. I. identyczny z przyp. Raymonda).
Kennedy and Oberndorf, Journ. of. the amer. med. Assoc. 1911, 30 Sept.
Kennedy, A case of myotonia atrophica. Journ. of the amer. med. Assoc. Bd. 41. 1913 i Journ. of nerv. and ment. disease 1913, str. 597.
Laruelle et Leroy, Un cas de dystrophie musculaire avec syndrome myotonique. Annal. d. l. soc. méd. chirurg. de Liège. Bd. 51. Ref. w Zeitschr. f. d. ges. Neur. u. Psych. (Referate). Bd. 5. 1912, str. 899.
Lewandowsky, Fall von Myotonie mit Muskelatrophie. Münch. med. Woch. 1911. Bd. 58, str 490 (Przyp. identyczny z opisanym przez Hirschfelda).
Lorenz H., Ein Fall von Neurofibromatose der spinalen Nervenstämme mit den ungewöhnlichen Symptomen der myatrophischen Myotonie. Wien. med. Woch. 1909, str. 2216.
Lannois, Nouvelle Iconographie d. l. Salp. 1904 (Przypadek powtórzony przez Magnevala).
Lannois et Porot, Nouvelle Icon. d. l. Salp. 1903 (Ten sam przyp. powtórnie opisany w Thèsie Magnevala, str. 35).
Löhlein Walt, Frühkatarakt bei atrophischer Myotonie. Klinische Monatsbl. f. Augenheilkunde 1914. Bd. 52, str. 456.
Longard, Deutsche med. Wochschr. 1898. Vereinsber. str. 91 (Jansen J.).
Lortat et Thaon, Rev. Neur. 1905, p. 778. Demonstracya.
Luce, Neur. Centrlbl. 1902, str. 430. Stzgsber. (Rebay?).
Magneval. Des Myotonies atrophiques. Thèse de Lyon 1904.
Mannel, Ein Fall von Myotonia congenita verbunden mit progressiver Muskeldystrophie. I. D. Kiel 1905 (Rebay).
Mendel K., Myotonia atrophica. Neurol. Centrlbl. 1914. Bd. 33, str. 859.
Miraillé, Jalaber, Cullerre, Myopathie facio-scapulo- humérale associée à des symptômes myotoniques. Rev. Neurol. 1907, str. 912 (Demonstr. na kongresie w Genève-Lausanne).
Modena e Sicardi, Di un caso di miotonia. Riv. sper. di Freniatria Vol. 31. 1905, p. 161.

Modena, Atti della società medico-chirurgica di Ancona. Bolletino 1907. Nr. 2, p. 4 (Siostra poprzedniego chorego).
Nikonow, Thèse pour le doctorat. Paris 1897 (Przyp. Merlin, publikowany też przez Déléage'a i własny).
Noguès et Sirol, Nouvelle Iconogr. d. l. Salpetr. 1899, p. 15.
Nonne, Stzgsber. Ref. w Neurol. Centrlbl. 1905, str. 142 (Rebay).
Oberndorf, A case of myotonia atrophica. Journ. of nerv. and ment. diseas. Bd. 38 1911, str. 688.
Oddo. Les myopathies familiales paroxystiques: myotonie, myoplegie. Rev. neur. 1902. Sept.
Oppenheim, Lehrbuch der Nervenkrankheiten 1913. Przypadek lekarza, który Curschmann uważa słusznie za przypadek myotonii zanikowej.
Ortleb, Ueber Thomsen'sche Krankheit und ihre Beziehungen zur Dystrophia musculorum progressiva. Jena. Dissertation 1912.
Pansini, Sulla malattia di Thomsen. Pasquali. Napoli 1907.
Pelizzäus, Sitzgsber. Ref. w Neurol. Centrlbl. 1897, str. 139 i Berl. klin. Woch. 1897, str. 609.
Pässler, Sitzgsber. Neurol. Centrlbl. 1906, str. 1064.
Passow, Sitzgsber. Neurol. Centrlbl. 1900, str. 335 (Jansen J.).
Pelz, Ueber atypische Formen der Thomsen'schen Krankheit. Arch. f. Psych. Bd. 42, str. 704.
Rencki, Tygodnik lekarski lwowski 1909.
Rindfleisch, Verein f. wiss. Heilkunde in Königsberg in Preussen. Sitzgsber. vom 1/V. 1905. Deutsche med. Wochschr. (Rebay).
Rossolimo, Nouvelle Iconogr. d. l. Salpetr. 1902.
Rydel Adam, Przypadek polyneuritis z objawami myotonicznymi. Przegląd lekarski 1908 (Demonstr.).
Schönborn, Ein kasuistischer Beitrag zur Lehre von der Thomsen'schen Krankheit. D. Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. XV. 1899, str. 274.
Schieferdecker-Schultze, Deutsche Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 25.
Schott, Partielle Myotonie mit Muskelschwund. D. Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 21.
Schultze, Deutsche med. Wochschr. 1897. Ver. Beil., str. 184.
Siemerling, Münch. med. Wochschr. 1905, str. 1071. Demonstracya (Rebay).
Steinert H., Münch. med. Wochschr. 1902.
— Verhandl. der Leipz. med. Gesellschaft 1904.
— Myopathologische Beiträge. D. Zeitschr. f. Nervenheil. Bd. 37. 1909, str. 58.
— Ein neuer Fall von atrophischer Myotonie. D. Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 39. 1910, str. 168.
Stiefler G., Ueber einen seltenen Fall von Myotonia congenita mit myatrophischen und myasthenischen Erscheinungen. Jahrbücher f. Psych. Bd. 35, str. 173, 1915.
Tetzner, Zur Kasuistik der atr. Myotonie. Neur. Centrlbl. 1912, str. 89.

Tetzner, Myotonia atrophica nach Trauma. Deut. Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 46. 1913, str. 436.
Voss G., Zur Frage der erworbenen Myotonien und ihrer Kombination mit der progressiven Muskelatrophie und angeborenem Muskeldefekt. D. Zeitschr. f. Nervenheilk. Bd. 34, str. 465.
Willich, Myotonia acquisita mit Muskelatrophie. Münch. med. Woch. Bd. 60, str. 2025. 1913.

4. Przypadki, niemające nic wspólnego z myotonią lub z objawami powierzchownie zbliżonymi do myotonicznych.

Bennet Hughes, Brain VII.
Bechterew, Hemitonie. Deutsche Zeitschr. f. Nervenhlk. Bd. 15. 1899.
Bremer and Carson, A case of Brain Tumor (Angioma cavernosum) causing spastic paralysis and attacks of tonic spasms. Operation. The amer. Journ. of the med. scienc. 1890. Sept., p. 219.
Ballet Gilbert, Sur un syndrôme caracterisé par des troubles myotoniques... Rev. Neurol. 1907, p. 308. Demonstr.
Becker, Ueber eine eigenartige Reflexkontraktur. Militärzeitung.
Benedikt, Elektrotheraphie 1868. Beobachtung 86.
Bittorf, Zur Kenntnis der Muskelkrämpfe peripheren Ursprungs. Deut. Zeitschr. f. Nervenhlk. Bd. 39. str. 208.
Bregman, Posiedz. Sekcyi neurol.-psych. Tow. lek. w Warszawie. Ref. w Neur. Centrlbl. 1907, str. 875.
Bumke Oswald, Ueber eine der myotonischen ähnliche familiär auftretende Form von Intentionskrämpfen. Zeitschr. f. d. ges. Neurol. u. Psych. Bd. 4, str. 645.
Clemesha, Thomsen's disease: a family history. The Lancet 1897, 23 oct. (Peryodyczne porażenie kończyn?).
Coe, Thomsen's disease — Friedreich's Ataxia — Acromegaly. Medical Sentinel 1896, p. 415.
Collins, A case of Myotonia 1903.
Delmas, Dysmyotonie. Mémoires et Bullet. de la Société de méd. de Bordeaux 1887, p. 427.
Deligny, Union méd. 1885, p. 50.
Dercum, Note on a case closely resembling Thomsen's disease, Paramyotonus. The Journ. of ment. nnd nerv. disease. Vol. 27. 1900. p. 454.
Duse e Astolfoni, Di un caso di miotonia essenziale. Riv. sper. di freniatria 1900. T. XXVI. str. 420.
Engel, A case of Thomsen's disease, a form of paresis of motion, accompanied by muscular hypertrophy. Philadelfia med. Times 1883, 8 Sept. Ref. w Neurol. Centrlbl. Bd. II. 518.
Etienne, Syndrôme hémitonoclonique post-hémiplégique. L'Encephale 1907, p. 1.
Fürstner, Ueber einige selteneren Veränderungen im Muskelapparat. Arch. f. Psych. 1895. Ed. 27.

Gowers, Ataktische Paramyotonie u. Thomsen'sche Krankheit.
Grund, Zur Frage des Vorkommens erworbener Myotonie. D. Zeitschr. f. Nervenhlk. Bd. 42, str. 110.
Guthrie, Myotonia congenita. Brit. med. Journ. 1900. 21 April.
Hamilton, A consideration of the Thomsen Symptom-Complex... Medical Record 1886, p. 85.
Hughes, Brit. med. Journal 1890, p. 62. Ref. w Neur. Centrlbl. 1890, str. 305.
— Memoranda of examination of a case of Neuro-Myotonia (Thomsen's disease) with remarks on its differen. diagnosis. Alienist XI. 1890.
— Thomsen's disease as an intercurrent symptom with antero-lateral sclerosis. New. York. Med. Journ. 1886, p. 70.
Handelsmann J., Ueber die neurotonische elektrische Reaktion. Neur. Centrlbl. 1911, str. 418.
Haynes, A case of »Myotonia congenita«. Journ. of mental and nerv. diseas. 1897, p. 413.
Hochsinger, Die Myotonie der Säuglinge... Wien. med. Presse 1900, str. 313.
v. Hösslin, Ein Fall von myotonischer Bewegungsstörung. Münch. med. Woch. 1887. Nr. 32.
Kaiser, Myotonische Störungen bei Athetose. Neur. Centrlbl. 1897, str. 674.
Leclerc et Agniel, Arch. de Neurol. 1902, p. 325. Ref. z posiedz. Soc. méd. des hôpitaux de Lyon 1902.
Lemoine, Un cas de maladie de Thomsen. Le Nord méd. 1897. Ref. w Rev. Neurol. 1898, p. 114.
Levi et Bonniot, Journ. de Neur. 1905, p. 278. Demonstr. pod tytułem: Un cas de myospasme tonique et clonique.
Mignot, Observations d'un cas de basophobie à type myotonique. Rev. de méd. T. 25. 1905, p. 298.
Mingazzini e Perusini, La sindrome miotonica. Miotonia congenita, miotonia acquisita e stati affini. Riv. di Pat. nerv. e ment. T. 9. 1904, p. 153.
Peters, La myotonie spastique persistante de Hochsinger. XV. Międzynarodowy kongres medycyny w Lizbonie.
Pfeiffer, Ein klinischer Beitrag zur Lehre von der Hemitonia apoplectica (Bechterew). Neurol. Centrlbl. 1901, str. 386.
Pic et Porot, Myotonie avec myoclonie. Lyon Médical 1907, p. 1143.
Rich, A unique form of motor paralysis. Med. News 1894, Aug. 28.
Rothe, Statistischer Sanitäts-Bericht über d. königl. Preuss. Armee 1879, 81. Berlin 1882, (Paralysis periodica?).
Rizzuti, Su di un caso di mal. di Thomsen da lesione cerebrale. Bolletino delle cliniche. 1903, p. 79.
— Su di un caso di malattia di Thomsen da lesione cerebrale. Giornale medico del regio esercito. Anno 50. 1902, p. 817 (Brak odczynów myotonicznych!).
Shaw-Fleming, Atypical Myotonica-noncongenital? The Alienist and

Neurologist XI. 1890, str. 51 (Przypadek identyczny z przyp. Hughes'a i Bremera and Carsona).
Sick, Hochgradige Muskelstarre. Deutsche med. Woch. 1908, str. 1452.
Schlesinger, Syringomyelie. Deuticke.
Smith Allen, A case of Myotonia (Thomsen's disease) apparently arising from the effects of a fall. Internat. Med. Magazine III. 1894, str. 129.
Spiller, Medical Record 1898, II, p. 62. Dyskusya w New. York. med. Soc.
Talma, Myotonia acquisita. D. Zeitschr. f. Nervenhlk. 1892. Bd. 1.

5. Literatura, dotycząca tężyczki myotonicznej.

Flatau E. i Sterling W., Przypadek tężyczki z objawami myotonicznymi (Demonstracya, ref. w Neurologii polskiej 1912. T. II. z. 8).
Orzechowski K., Myotonia tężyczkowa. Tyg. lek. lwowski 1909 (Tutaj podana cała literatura).

Sądy Goethego o sztuce włoskiej.

Napisał

Leon Piniński.

Historyę sztuki, a nawet w ogóle dzieje kultury ludzkiej porównać można z pracą Penelopy: postępu realnego trudno się dopatrzeć, bo co jedna epoka stworzy, to następna z reguły lekceważy, a często usuwa i niszczy.

Moda, ta wszechwładna i kapryśna władczyni, każe ludziom zwykle ganić, zmieniać i usuwać to, co bezpośrednio poprzednie stworzyły generacye. Jeśli w istocie tu i ówdzie jakaś epoka tworzy pozytywnie rzeczy dodatnie, a nawet świetne, to można prawie być pewnym, że następna warstwa ludzi cofnie się znów wstecz, potępiając jako naganne wypaczenie to nawet, co było wykwitem wielkich talentów lub prawdziwego geniuszu. W ten sposób w dziejach sztuki, a podobnież i na wielu innych polach kultury, ludzkość, o ile w ogóle postępuje, posuwa się naprzód krokiem chwiejnym i niepewnym, psując i niszcząc, na wzór Penelopy, nocą, to co stworzono w dzień.

Dopiero po latach wielu rozumny historyk w oświetleniu dziejowem jest w stanie choć w części odróżnić te epoki, które podnosząc ludzkość, posuwały ją naprzód, od tych, które, choć także z głośnem hasłem postępu na ustach, były w gruncie cofaniem się w barbarzyństwo, niszczeniem lub dekadencyą. Lecz i ten historyk późniejszy niech się ma na baczności, by i on też w sądach nie uległ suggestyi chwilowej mody.

Tak zmienną bowiem i chwiejną jest »królowa opinia«, iż nie tylko zapatrywania na teraźniejsze wypadki, ale i sąd nasz o przeszłości dziejowej trwale ustalonym nie bywa nigdy. Podlega on nieraz kaprysom niewytłómaczonym, tak, iż bohaterowie dziejowi,

dobroczyńcy ludzkości, założyciele systemów filozoficznych lub religijnych wyznań, a nie mniej też wielcy mistrze w dziale sztuk pięknych, po stuleciach nawet »wchodzą« w modę lub z niej »wychodzą«, bez widocznej racyonalnej przyczyny, tak prawie, jak artykuły toaletowe.

Czas, na który przypada podróż Goethego do Włoch (lata 1786 i 1787), był epoką przygotowującego się właśnie zupełnego przełomu w zapatrywaniach na sztukę, zwrotu w smaku artystycznym tak zasadniczego, jakiego może nigdy w dziejach sztuk pięknych nie było ani wprzód, ani też później. Zwrot ten określamy ogólnie, choć określenie to jest zbyt sumarycznem i niedokładnem, przejściem sztuki ze stylu »rococo« przez pośredni styl Ludwika XVI do stylu »empire«. Formułka ta już dla tego jest niedokładną, bo podstawy stylu »empire« wytwarzają się właściwie jeszcze znacznie przed cesarstwem Napoleona. Na czem jednak przewrót ten polegał, jak radykalnie przekształcił pojęcia o walorach estetycznych, to ogólnie jest wiadomem.

Otóż jest to wielce interesującem przypatrzeć się temu bliżej, jak w umyśle jednego z największych myślicieli owego czasu, męża, który zarazem wielce lubował się w sztuce, przewrót ten się odzwierciedla.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że Goethe, ten geniusz uniwersalny, ostatni już może mąż, który, podobnie, jak myśliciele starożytni i wielcy mężowie epoki Odrodzenia, kusił się o wszechstronne objęcie wszelkich gałęzi umysłowej wiedzy i produkcyi, powinienby był stać ponad uprzedzeniami wieku i kaprysami mody. Mielibyśmy po nim prawo żądać nie tylko entuzyazmu i zapału, ale przedewszystkiem sprawiedliwości i bezstronności w sądach estetycznych. Wielki jego umysł powinienby był odczuwać żywo rozwój dziejowy w produkcyi artystycznej, a nie zamykać się w ciasnym i jednostronnym widnokręgu myśli.

Tymczasem czytelnik dzisiejszej doby, znający gruntownie Włochy i rozwój sztuki na ziemi italskiej, z pewnem zadziwieniem przekonuje się, że i wielki Goethe w opiniach swych był w najwyższym stopniu dziecięciem wieku, niewolnikiem jednostronnych teoryj, posłusznym sługą panujących haseł.

Główną cechą okresu owego, na który przypada pobyt Goethego we Włoszech, jest odwracanie się smaku publiczności od sztuki

barokowej i najbardziej wyrafinowanej jej formy, francuskiego rokoko. Przedewszystkiem w samej swej ojczyźnie, Francyi, sztuka rokoko jest wówczas już na przeżyciu. Generacyi, w której czuć groźne teorye i dążenia, zapowiadające ruch rewolucyjny, wydaje się owa sztuka wytworna, uśmiechnięta i zmysłowa, czemś zbyt lekkiem, pozbawionem powagi, zasługującem na naganę i potępienie. Zapragniono sztuki poważnej i uroczystej, muzy na koturnie i sądzono, że się ją znajdzie przedewszystkiem w imitacyi antyków.

Równocześnie też i teoretycy estetyczni niemieccy z Winkelmannem na czele, który pisząc na podstawie swej podróży do Włoch, zachwyca się przedewszystkiem zabytkami sztuki klasycznej, wytworzyli przekonanie, że sztuka Grecyi i Rzymu prześciga nieskończenie wszelkie inne kierunki artystyczne, do niej więc jako do najczystszego źródła natchnienia należy się zwrócić. Kierunek ten istotnie wkrótce zwyciężył, tak, że w ostatnim dziesiątku XVIII wieku urocze rokoko popada w zupełną pogardę, ustępując miejsca sztuce sztywnej, zimnej, uroczystej i, aż nadto często, konwencyonalnej, opartej na nieraz źle zrozumianem zastosowaniu motywów klasycznych.

Suggestya ta, wywołana bezkrytyczną idolatryą antyków, a potępiająca barok jako lekkomyślną, »niemoralną« manierę, spowodowała w krótkim czasie przeobrażenie smaku, które, mojem zdaniem, nie było wcale postępem, lecz raczej upadkiem sztuki. Mylne i ciasne z tym kierunkiem połączone wyobrażenia zakorzeniły się jednak tak silnie, że dotrwały nawet aż do ostatnich dziesiątek wieku XIX.

Otóż zaprzeczyć się nie da, że i Goethe był »magna pars eorum«, którzy ten w założeniu może szlachetnie pomyślany, lecz w skutkach zgubny prąd spowodowali.

I w drugim jeszcze kierunku objawia nam się Goethe na ziemi włoskiej jako dziecię swego wieku w świetle raczej niekorzystnem i ujemnem. Kształcony w epoce wysokiej wprawdzie, lecz jednostronnie ciasnej kultury artystycznej, której cechą było lekceważenie dawnych, »ciemnych« wieków, nie ma Goethe żadnego interesu dla produkcyi artystycznej średnich wieków przed rozkwitem renesansu i, co u umysłu tak wszechstronnego zadziwieniem przejmuje, nie zdradza wcale zmysłu dla historycznego rozwoju sztuki. Wykształcenie jego w tym względzie, i to nawet po odbytej podróży, wykazuje, w porównaniu z wiadomościami, które dziś spotykamy u znawców sztuki włoskiej, tak wielkie braki i luki, iż, gdyby ten epitet

w zastosowaniu do Goethego nie brzmiał jak bluźnierstwo, możnaby mu w niejednym kierunku wprost ignorancyę zarzucić.

Nie zapominajmy jednak o tem, o ile to trudniej w owych czasach było przyswoić sobie przygotowawcze wykształcenie, i jak uciążliwem było podróżowanie po Włoszech. Nie zapominajmy też, że pogarda dla barbarzyństwa średnich wieków i wszelkiej sztuki »prymitywnej« była znamieniem XVIII wieku. Wykroczylibyśmy tedy sami przeciw zasadzie historycznego oceniania objawów kultury, gdybyśmy się u Goethego spodziewali wszechstronności i sprawiedliwości w osądzeniu poszczególnych faz historycznych, przez które przechodziła sztuka włoska.

A jednak pomimo tak wielkich wad i braków w zapatrywaniach artystycznych Goethego, podróż jego do Włoch i wyraz uczuć i opinii, które ta podróż spowodowała, są wypadkiem dziejowym w rozwoju europejskiej kultury. Sądy jego mogą być mylne, pełne luk, braków i uprzedzeń, lecz entuzyazm był wielki i szczery I ten płomień zapału wielkiego męża udzielił się innym mieszkańcom północy, zagrzał i zachęcił do pielgrzymek do ziemi błogosławionej, będącej kolebką naszej kultury, a w ten sposób nowe, jeszcze silniejsze węzły z nią wytworzył, węzły, będące źródłem uroczych wrażeń, umysłowej i estetycznej podniety.

Zapewne, Goethe pod względem artystycznym i dziejowym nie »odkrył« we Włoszech niczego zgoła, a mnóstwo cennych rzeczy »prześlepił«, ale za to on to głównie przyczynił się do odkrycia ludom północy tej prawdy, że bez zetknięcia się bliższego z ziemią i sztuką włoską nie masz wyższej kultury, nie masz szerszego poglądu na dzieje świata. Dla tego wspomnienie jego pielgrzymki pozostanie nam drogiem po wszystkie czasy, gdyż przyczyniło się potężnie do rozszerzenia kulturalnych promieni włoskiego nieba na wszystkie kraje północy.

A jeżeli pamięć pobytu Goethego w Rzymie została kilka lat temu uczczona wystawieniem pamiątkowego pomnika wśród zieleni Villi Borghese, to przyznać należy, że zasługi Goethego wobec kultu Italii i Rzymu uprawniają ten krok zupełnie. Cesarz Wilhelm II, ofiarodawca pomnika, miał tym razem pomysł kulturalno-artystyczny istotnie szczęśliwy.

Lecz czas już wreszcie przystąpić do cytowania zdań i sądów samegoż poety, któremu towarzyszyć będziemy w wędrówce. tak jak on ją odbywał. Z góry zwracamy też na to uwagę, iż dla po

znania jego opinii i upodobań, często ważniejszym momentem, niż słowa, są jego przemilczenia. Okoliczność, iż Goethe pewnych rzeczy nie widział i nie był ciekaw zobaczyć, lub uważał za rzeczy niezasługujące na pochwalną wzmiankę, często w niezmiernie ciekawy sposób charakteryzuje bądź indywidualność autora, bądź zapatrywania epoki.

Dla mniej obznajomionych z datami biograficznemi Goethego przypominam, że źródłem opinii poety o kraju i sztuce włoskiej jest jego pamiętnik, pisany w formie dziennika w czasie pobytu we Włoszech (od jesieni 1786 do wiosny 1788), oraz listy stamtąd, pisane przedewszystkiem do pani v. Stein, a nadto do Herdera, do księcia weimarskiego Karola Augusta i do przyjaciół w Weimarze (an den Freundeskreis in Weimar). Źródła te, uzupełnione późniejszemi wspomnieniami, zostały w pewną całość ułożone przez Goethego dopiero w latach 1814 i 1815 pod zbiorowym tytułem »Italienische Reise«. Posiadamy jednak prócz tego pierwotny tekst dziennika Goethego, pisany w ciągu podróży, a ułożony w formie pamiętnika, przeznaczonego dla pani v. Stein. Tekst ten w niejednym punkcie różni się od tekstu, włączonego do »Italienische Reise«. Ten ostatni został bowiem miejscami znacznie zmieniony, a nadto opuścił w nim autor wiele ustępów, skierowanych wprost do przyjaciółki. Co się tyczy wygłaszanych sądów i opinii o dziełach sztuki, które przedewszystkiem nas tu interesują, spotykamy w owej późniejszej przeróbce dyaryusza, gdzieniegdzie zmiany, opuszczenia i modyfikacye, będące niekiedy charakterystycznem świadectwem pewnej ewolucyi, zaszłej w zapatrywaniach autora.

Wiadomo powszechnie, jak gorąco poeta pragnął odbyć podróż do Włoch i jak trudno mu było przezwyciężyć stojące w drodze przeszkody. Może mniej ważną przeszkodą były przyjęte na się na dworze weimarskim obowiązki, oraz liczne z tem związane zajęcia. Trudniejszą jeszcze zawadą była owa tyrańska pół-przyjaźń, a półmiłość, którą w więzach swych poetę trzymała Charlotta von Stein.

Niepospolita ta kobieta posiadała wprawdzie bystrość rzadką, poczucie kultury i szlachetny, choć chłodny sposób myślenia, lecz nie rozumiała tego, a raczej, bojąc się osłabienia swego wpływu, rozumieć nie chciała, że poeta dla rozwoju swego umysłowego musiał choćby na czas jakiś wyrwać się z ciasnej atmosfery weimarskiego świata, że zapragnął szerszych horyzontów, a przedewszyst-

kiem naocznego zapoznania się z italską kulturą i światem klasycznym. Natura i zabytki Italii, szczególnie zaś Rzym, nie mogły mu pozostać nadal mglistą ideą tylko i legendą.

Postanowiwszy wykonać projekt upragniony, a bojąc się objekcyi, które byłyby go może odwlekły lub udaremniły, w tajemnicy przed przyjaciółmi weimarskimi wyjechał, rzecby prawie można, »uciekł« do Włoch. Listy pierwsze z Włoch wysyłał tajemną drogą do Weimaru, nie zdradzając miejsca pobytu i dopiero gdy dotarł do celu swej pielgrzymki, Rzymu, uwiadomił oficyalnie swych przyjaciół o miejscu pobytu. Łatwo zrozumieć, że wobec tego pobyt w Italii miał dlań o tyle silniejszy urok owocu zakazanego.

Droga do Włoch wiodła Goethego przez Brenner, pierwszem zaś miastem, gdzie mógł już podziwiać cenne zabytki włoskiej architektury, był Trydent. O uroczem tem mieście jest wprawdzie wzmianka w dzienniku, ale tu już na wstępie sprawia nam poeta pewien zawód. O starożytnej, wielce interesującej romańskiej katedrze, o harmonijnem jej otoczeniu, o licznych domach pałacowych ani słowa i ani słowa też o Castello. który należy do świetnych i wielce oryginalnych zabytków świeckiej architektury włoskiej z epoki wczesnego renesansu. Jeden jedyny tylko dom znalazł Goethe w Trydencie »von einem guten Geschmack!« Charakterystyczne to rzuca światło, jak mało na piękności włoskiej architektury umiał patrzyć.

Verona jest pierwszą ważniejszą stacyą włoską, która żywy interes budzi w duszy poety. Łatwo to zrozumieć, bo wiemy, że przedewszystkiem zabytki i szczątki Rzymian świata klasycznego były owym magnesem, który pociągał poetę ku italskiej ziemi. Sławne ruiny Veroneńskiego Amfiteatru znane mu były dobrze już dawniej z rycin. Nic dziwnego, że wspaniały ten pomnik dawnego świata, pierwszy rzymski zabytek, który oglądał, wprawiły go w podziw i zachwyt.

Co jednak jest bardziej znamiennem dla sposobu myślenia poety, to że zachwyt ten był tak ekskluzywnym, iż zrobił go wręcz nieczułym na wszelkie inne wrażenia. Oprócz bowiem Areny i wspaniałych cyprysów w Giardino Giusti, tylko jeszcze Porta del Palio budzi żywe uznanie Goethego, niezawodnie dla tego, bo jej architekt Sammicheli starał się odtworzyć w niej motywa klasyczne.

Wszelkie inne natomiast, tak bogate architektoniczne skarby Verony są mu widocznie obojętne. Cóż za jaskrawy dowód jedno-

stronności artystycznego smaku! Wszakżeż Verona, to jedna z najcenniejszych pereł italskiej ziemi. Jej kościoły: S. Zeno, S. Anastasia, S. Fermo maggiore i katedra, to nie tylko najcenniejsze dla historyi sztuki, zabytki, dające nam pyszne wzory romańskiego stylu północnych Włoch i przejścia z romańszczyzny do gotyku, lecz nadto budowle zachwycającej harmonii, których wnętrza obfitują w oryginalne i cenne obrazy, rzeźby i wszelakie architektoniczne ozdoby.

Place Verony (Piazza dei Signori i Piazza delle Erbe) tworzą obraz niczem niezatarty; ich widok odtwarza nam żywcem epokę, kiedy poważny gotyk średniowieczny zaczyna się rozjaśniać uśmiechem pierwszych tworów wczesnego Odrodzenia. A nie zapominajmy, że architektoniczne skarby Verony podnosi jeszcze nad wyraz urocze, pejzażowe położenie.

Czyż na te wszystkie piękności wielki poeta północny, tak wrażliwy zresztą i z dawien dawna tęskniący do pozaalpejskich krain, mógł być obojętny? Otóż wątpić nie można, że tak było istotnie. Jednostronność wykształcenia i inklinacyj estetycznych była w nim tak wielką, że nawet patrząc na ów jedyny w swym rodzaju klejnot architektury i ornamentyki gotyckiej, jakim są, słowem nawet przez niego niewspomniane — Grobowce Scaligerów, zapewne ruszył ramionami, widząc w nich zabytki epoki, którą wówczas uważano za świat ciemnoty, niebudzący najmniejszego interesu.

Pod koniec uwag o Veronie, zawartych w dzienniku, notuje, zapewne dla pamięci tylko, »das dunkle Alterthum der Kirche des Heil. Zeno, Patrons der Stadt«. Wiemy zaś dobrze, że w ustach Goethego i jego współczesnych z wyrażeniem »dunkles Alterthum« w odniesieniu do epoki średnich wieków łączy się nie uczucie respektu i uznania, lecz raczej niechęć i lekceważenie [1].

Milczenie Goethego o pięknościach średniowiecznej Verony nie może też iść na karb braku chęci notowania wrażeń. Wszakżeż dziennik jego weroneński zawiera opis dokładny antyków, jak się

---

[1] Nieco łagodniejszym był sąd Goethego o budowlach średniowiecznych gotyckiego i romańskiego stylu w ostatnich latach jego życia, jak to poznać możemy z niektórych uwag, zawartych w »Rozmowach z Eckermannem«. W odniesieniu do średniowiecznych budowli w krajach nadreńskich przyznaje Goethe, że są one interesujące i świadczą o uznania godnych wysiłkach, zwłaszcza jak na owe czasy. Oczywiście, że i to chłodne, z pobłażliwością połączone uznanie jest sądem niesprawiedliwym, bo kościoły i zamki średniowieczne są dziełami godnemi najwyższego podziwu, bez względu na »dawne czasy«, kiedy powstały.

zdaje, niezbyt cennych, które tamże oglądał, nie mówiąc już o detalicznem wytłómaczeniu zegara włoskiego i rozmaitych uwagach, tyczących się meteorologii, deszczu i pogody.

Z kościołów zainteresował go, jak się zdaje nieco żywiej, tylko S. Giorgio dla zawartych tamże obrazów malarzy nieco nowszej daty. Sądy jego o tych i innych dziełach malarskich omówię później w innym związku.

Jeżeli w Veronie wydaje nam się Goethe nieczułym na piękno dzieł architektury włoskiej, to w nieco innem świetle przedstawia nam się w następnem miejscu pobytu, w Vicenzy.

Jak wiadomo, w architekturze tego miasta panuje przedewszystkiem Palladio, twórca słynnego Palazzo del Consiglio, zwanego »Basilica« i licznych prywatnych pałacowych budowli, dających uroczej Vicenzy właściwe piętno rozkwitłego renesansu w najczystszym stylu.

Budowle Palladia wprawiają Goethego w zachwyt i entuzyazm. Uczucia te są niezawodnie uprawnione; i my je dziś podzielamy, przyznając, że styl Palladia nigdzie tak wdzięcznie się nie przedstawia, jak w jego rodzinnem mieście. Co nas razi jednak w admiracyi Goethego dla Palladia, to jej wyłączność, a niemniej też i to, że to entuzyazm »nauczony«, »przywieziony« już do Włoch na podstawie zbyt jednostronnego przygotowania się.

Goethe znał jeszcze przed podróżą architekturę Palladia z rycin, wydanych przez Scamozzi'ego, czytał nadto z najwyższem zajęciem traktat jego o architekturze i dzieło o zabytkach dawnego Rzymu, a zachęcony tą lekturą, studyował także Vitruv'a, jak się zdaje, we włoskim przekładzie.

W dziejach architektury reprezentuje Palladio tak jako teoretyk, jak niemniej też jako produkujący artysta-architekt, kierunek odtwarzania wiernego motywów architektury klasycznej, znanej z pozostałych zabytków Grecyi i Rzymu. Kierunek przez niego reprezentowany stał się też dominującym w połowie XVI wieku, lecz wkrótce został wyparty przez śmielsze i bardziej swobodne, a często i fantastyczne formy baroku. W epoce Goethego lektura dzieł Palladia, a nawet studyowanie starożytnego Vitruva, jedynego teoretyka w dziale nauki o architekturze, którego pisma przechowały się do naszych czasów, weszły znów napowrót w modę. Pozostawało to w związku z rozbudzeniem się żywszego interesu dla sztuki świata starożytnego. Otóż ten »renesans« rozmiłowania się w sztuce i teo-

ryach Palladia przyczynił się żywo do zagłady i potępienia sztuki barokowej i stał się jedną z podwalin rozwijającego się stylu »empire«.

Goethe w czasie swej podróży całą duszą jest w tym prądzie. Kult dla Palladia staje się dlań rodzajem »credo« w dziedzinie architektury, oślepia go na piękności wszelkich budowli w odmiennym stylu, staje się powodem dziwnie ciasnych i mylnych pojęć na tem polu, które niestety przekazał i swoim następcom. Jest on tu ofiarą owego właściwego uczonym niemieckim, a niebezpiecznego w ocenianiu sztuki »Autoritätsglauben«, ofiarą idei, że »teorya« i »system«, ułożone przez jakąś wybitną powagę, stać się mogą rodzajem »kodeksu« dla ocenienia sztuki i jej objawów. Błędy wynikłe z tych zapatrywań uderzą nas jeszcze silniej w czasie pobytu poety w Wenecyi.

Tu jeden tylko jeszcze moment podniosę: Goethe skarży się, iż wrażenie wspaniałych arkad renesansowych »Basiliki« Palladia jest zepsute gotyckiemi nierównemi oknami i wieżą dawnego ratusza i że Palladio, myśląc o efekcie ogólnym »hat sich dies alles gewiss weggedacht«. W »Italienische Reise« dodaje ponadto jeszcze Goethe charakterystyczne słowa: »ich finde auch hier — leider gleich! — das, was ich fliehe und suche, nebeneinander«.

Powiedzenie to jest jakoby w embryonie zapowiedzią owych nieszczęsnych estetycznych teoryj, które, w ciągu XIX wieku stały się powodem wandalizmów, teoretycznie »harmonią stylu« motywowanych. Zapowiada się tu owa tendencya usuwania rzeczy w architekturze, które rzekomo nie godzą się ze stylem całości wcześniejszym lub późniejszym. Nieświadomie może wypowiada tu Goethe formułę zgubną i niebezpieczną, nie przez niego zapewne wymyśloną, lecz będącą już »w powietrzu« niejako, która w dalszej przyszłości doprowadziła do tego, iż dla dogodzenia estetycznym mrzonkom, niszczono z największą bezwzględnością najcenniejsze historyczne pamiątki.

Padwa, następna z rzędu stacya pobytu Goethego we Włoszech, nie może rywalizować co do malowniczości położenia i piękności zabytków architekturalnych z Veroną i Vicenzą, przewyższa natomiast wspomniane dwa miasta nieskończenie znaczeniem swem w historyi rzeźby i malarstwa.

Goethe zatrzymał się w Padwie dzień tylko i miał na jej zwiedzenie zaledwie kilka godzin. Ogólne wrażenie pobytu tamże

formułuje w następujących słowach: »nichts was mich recht herzlich gefreut hätte, aber manches das gesehen zu haben gut ist«. W istocie jednak właśnie najcenniejszych zabytków sztuki Padwy nie widział wcale, lub ich nie zauważył.

Że architektura sławnego kościoła św. Antoniego (»Il Santo«) nie przemówiła mu do smaku, temu się dziwić nie można. Jest to budowla niezwykle oryginalna i historycznie wielce interesująca, lecz pozbawiona ujmującej harmonii. Nie zasługuje ona przecież z pewnością na pogardliwe słowa Goethego, który kościół ten zwie »ein barbarisches Gebäude«.

Bardziej jeszcze charakterystycznem jest, że Goethe widocznie pojęcia nawet o tem nie miał, iż wnętrze tego kościoła zawiera pierwszorzędne arcydzieła włoskiej sztuki. Na wielki ołtarz może nawet nie rzucił okiem, choć się w nim mieszczą sławne dziś na świat cały rzeźby Donatella, najwyższe arcydzieła plastyki »quatrocenta«.

Lecz Donatello, to może zbyt jeszcze wczesna i surowa sztuka dla oka wychowanka XVIII wieku. Dziwniejszem jest jeszcze to, że nie zauważał wcale efektownych i bijących w oczy wypukłorzeźb marmurowych, pokrywających ściany sławnej »Capella del Santo«. Pierwszorzędnej wartości arcydzieł Donatella nie mają one wprawdzie, lecz są to żywego uznania godne twory rozwiniętego renesansu i jako sztuka epoki już rozkwitłej powinnyby były zyskać uznanie naszego turysty. Że Goethe i dla tej plastyki jest wręcz nieczułym i obojętnym, przypisuję głównie temu, iż rzeźba klasyczna tak jednostronnie i wyłącznie pozyskała jego podziw, iż wszelka inna rzeźba jakiejkolwiekbądź epoki nie budzi w nim interesu. W dalszym ciągu podróży będziemy tego objawu jeszcze jaskrawsze mieli dowody. Lecz już i teraz przekonują nas notatki dziennika, że w kościołach, choć się skarży, »dass man der Kirchen und Altarblätter satt kriegt«, głównie obrazy tylko żywiej go zajmują, podczas gdy rzeźby, owa w ogóle cenniejsza, a w każdym razie dekoratywniejsza ozdoba kościołów włoskich, prawie zupełnie uchodzą jego uwagi.

Druga jeszcze, niemniej znamienna luka uderza nas w notatkach, które nam dziennik Goethego daje o pobycie w Padwie. Oto dosłownie lakoniczna uwaga, którą tam czytamy: »Marie von Giotto habe ich nicht finden können«. Wynika z niej, że Goethe nie zadał sobie wcale pracy, ażeby znaleźć i oglądnąć kościołek Sta Maria

dell Arena, którego ściany wewnętrzne są pokryte freskami Giotta.

Freski te, jak wiadomo, choć należą do wcześniejszej działalności Giotta. dają o jego stylu stosunkowo najlepsze wyobrażenie, bo sławne freski w dolnym kościele Św. Franciszka w Assisi nie mają nigdy dostatecznego światła, a freski w florenckim kościele Sta Croce są niemiłosiernie zepsute przemalowaniem. Freski więc padwańskie są, obok malowideł szkoły sieneńskiej w Campo Santo w Pizie, najcenniejszym tworem malarskim trecenta, tej sztuki, budzącej się do życia, niedołężnej jeszcze w formach i technice, ale kompozycyjnie i duchowo nad wyraz wzniosłej.

Dla estetów XVIII wieku cały urok tego zarania włoskiej sztuki nie istniał wcale. Skoro Goethe, mimo wzmianki w podręczniku Volkmanna, który mu zastępował dzisiejszego »Baedeckera«, nie zajrzał nawet do Sta Maria dell' Arena, to mamy w tem dowód nie tylko zupełnego lekceważenia malarstwa prymitywnego z epoki gotyckiej, ale zarazem braku zainteresowania się historycznym rozwojem sztuki w ogóle. Dla Goethego i współczesnych był Giotto rodzajem zabytku archeologicznego z czasów barbarzyństwa, niczem więcej. Jakiejkolwiek artystycznej wartości w tej sztuce z epoki dzieciństwa dostrzec wcale jeszcze nie umiano.

Z pamiętnika Goethego o bytności w Padwie mamy wszakże do zaznaczenia także i punkt jeden jasny, zadziwiający nas bystrem i tym razem samodzielnem poznaniem się na piękności artystycznej dzieła, którego mu współcześni nie zachwalili wcale. Mam tu na myśli ustęp o freskach Mantegni, jeden z najciekawszych, jakie zawiera pamiętnik.

Zaczyna on się od słów: »In der Kirche der Eremitaner habe ich Gemälde von Mantegna, eines der älteren Maler gesehen, von denen ich erstaunt bin!« W dalszym ciągu nazywa Mantegnę jednym z pierwszych wielkich malarzy »nach der barbarischen Zeit«.

Tym razem oko Goethego nie zawiodło, co, jak już widzieliśmy, zdarzało się zresztą nieraz. Tym razem poznał się na arcydziele, choć był to »jeden z dawniejszych malarzy«, quatrocencista, dla którego to czasu Goethe zresztą nie zdradza wcale ani zamiłowania ani interesu.

Cóż mogło go tak chwycić za serce w freskach Mantegni, jego, obojętnego zresztą dla wszelkiej przed-Rafaelowskiej sztuki? Łatwo to wytłómaczyć. Z malarzy quatrocenta nikt tak silnie nie

przejął się antykami. jak Mantegna, szczególnie w freskach padwańskich. Jego postacie, mistrzowsko rysowane, to często jakby do nowego życia powołane płaskorzeźby lub kamee antyczne, nie kopia zimna, lecz w najlepszem słowa znaczeniu »renesans«. odtwarzanie w nowych motywach ducha klasycznej sztuki. Jeżeli dodamy lubowanie się Mantegni w zdobieniu kompozycyi architekturą i ornamentyką, wręcz wziętą z pomników rzymskiej architektury, to łatwo pojmiemy, dla czego on tylko jeden z »wczesnych malarzy« włoskich znalazł w oczach Goethego, tego namiętnego wielbiciela świata klasycznego, łaskę i żywe uznanie.

Przybywamy do Wenecyi. Tam mimo pełnej entuzyazmu dziękczynnej inwokacyi, umieszczonej na czele uwag, iż los łaskawy pozwolił mu dotrzeć do celu marzeń, nie znać w dalszym ciągu u Goethego tak szczerej i ciepłej admiracyi sławnego miasta. jakiej spodziewaćbyśmy się powinni po usposobieniu poety i spragnieniu, z jakiem zdążał do Italii. Na obraz i życie Wenecyi patrzy Goethe okiem ciekawego obserwatora, lecz raczej zimno, jak na zadziwiającą osobliwość, bez należytego odczucia czaru. którym tchnie stolica lagun.

Winny temu znów przedewszystkiem jego mylne, z lektury zaczerpnięte teorye, a raczej przesądy estetyczne. winien przedewszystkiem nieszczęśliwy kult Palladia.

W jednem miejscu pamiętnika spotykamy słowa: »Palladius hat mir den Weg zu aller Kunst und Leben geöffnet«. My dodać musimy — »niestety!«, a to szczególnie w odniesieniu do Wenecyi, gdzie właśnie Palladio zamknął mu oczy na najpiękniejsze wrażenia. Jeżeli Goethe do piękności dzieła architektury wymaga »miary, porządku i harmonii«, to formułka ta sama przez się mylną nie jest, ale za to o tyle mylniejszem jest zaczerpnięte z Palladia przekonanie, że warunkom tym tylko jeden jedyny rodzaj architektury, jeden ekskluzywny i ciasny »styl« zadość czyni, mianowicie: styl klasyczny, oraz styl tych, którzy się do klasyków zbliżają, czyli mówiąc jaśniej, Greków i Rzymian niewolniczo naśladują.

Oczywiście, że wobec tych idei, najcenniejsze skarby weneckie, tak wręcz odmienne od klasycznego stylu, nie tylko były dlań martwą literą, ale nawet raziły go jak gdyby personifikacya architektonicznych »grzechów głównych«. Tem się tłómaczą sądy jego o kościele św. Marka i Pałacu Dożów, które prawdziwie już nie tylko zdziwieniem, ale politowaniem nas przejmują.

Ustęp o kościele św. Marka jest tak niesłychany, że cytuję go dosłownie: »Die Bauart der Markuskirche ist des Unsinns werth, der jemals drinne gelehrt oder getrieben worden sein mag. Ich pflege mir die Façade zum Scherz als einen kolossalen Taschenkrebs zu denken«. Jedyna rzecz, która mu się w kościele Św. Marka podoba, to kolosalne konie zdobiące portal, oczywiście dla tego, bo są greckiego pochodzenia.

Architektura Pałacu Dożów, gdzie zbyt nizkie kolumny bez podstaw dźwigają ciężki mur, wydaje mu się czemś tak dziwacznem, że tylko rozpadłe ruiny, z kolumnami na pół ziemią zasypanemi, mogłyby coś tak nieforemnego wytworzyć.

Prawdziwie oczom trudno wierzyć, że to jeden z najgłębszych myślicieli świata wygłasza tego rodzaju sądy[1]. Lubo każdemu z nas, piszących o sztuce, wyrwać się może kiedyś niebacznie jakiś sąd nieoględny, to jednak możemy się pocieszyć, że »rekordu« Goethego nie osiągniemy łatwo, który w słabej chwili pod wpływem fałszywych teoryi potępia »w czambuł« Św. Marka wraz z Pałacem Dożów. W »Italienische Reise« opuszcza Goethe bardzo znamiennie z pamiętnika ową niefortunną ocenę zabytków weneckich. Mamy wszelki powód mniemać, że w późniejszym wieku wstydził się przecież nieco tego nieszczęsnego, pierwszego wrażenia.

Jeżeli przedrenesansowe architektoniczne formy rażą smak Goethego, to niemniej też i fantazye porenesansowego baroku nie znajdują łaski w jego oczach. O niewielu wprawdzie z tych budowli wspomina, lecz, o ile o nich mówi, to z lekceważeniem, a nawet pogardą. I tak n. p. Sta Maria dei Scalzi nie ma, zdaniem jego, mimo bogactwa marmurów, ani wyższej myśli, ani należytej miary i harmonii. Jeszcze gorzej wyszła biedna, tak często przez estetycznych purystów niesłusznie spotwarzana Sta Maria della Salute. Z tem samem odcieniem właściwego Goethemu »pogaństwa«, z jakiem wyraża się o kościele św. Marka, mówi on: »Das ganze bis in's einzelne, Muster über Muster eines

[1] Zewnętrzny wygląd kościoła św. Marka i Pałacu Dożow raził w ogóle smak estetów XVIII wieku. Pisarz francuski de Brosses (zwiedził Włochy w latach 1739 i 1740), zresztą niepospolity znawca sztuki, nazywa kościół św. Marka: »une église d'un goût misérable, tant en dedans qu'en dehors«, a o Pałacu Dożów mówi: »c'est un vilain monsieur, s'il en fut jamais, massif, sombre et gothique, du plus mechant goût«.

schlechten Geschmacks, eine Kirche, die werth ist, dass Wunder drinne geschehen«.

Natomiast nie ma dość słów i epitetów pochwalnych dla sztuki Palladia, który jedyny z pomiędzy architektów, nieskończenie wyższy od współczesnych i następców, umiał ideały sztuki klasycznej, formy dawnych świątyń zastosować do kościelnych budowli. Z pomiędzy kościołów, stawianych w Wenecyi według planów Palladia[1], szczególnie S. Redentore, budzi w nim najwyższy podziw. Przenosi go widocznie ponad wszystkie inne dzieła architektoniczne Wenecyi.

Prócz kościołów inna jeszcze, mniej dziś znana praca Palladia wywołuje okrzyki zachwytu z ust poety; jest nią »cortile« klasztoru della Carità, przez Palladia rozpoczęte i zaledwo w czwartej części dokonane.

Jakże się czasy zmieniają! Kto z turystów dzisiejszych zna »Cortile della Carità«?[2]. Na stu jeden zaledwo. A jednak ów fragment arkad, wykonanych w surowej cegle, bardziej zachwycił Goethego, niż wszystkie pałace na Canal Grande wraz z placem św. Marka i Piazzetą. Widzi w nim objawienie się »boskiego geniuszu« i sądzi, że gdyby owo cortile było wykonane w całości, to stałoby się »najdoskonalszem dziełem architektury, jakie świat posiada«. Kilkakrotnie powraca też do Carità i mówi, że przez lata całe mógłby się wpatrywać w piękność tej budowli, ponad którą nic piękniejszego nie widział.

Co za bezprzykładna przesada! Ów fragment arkadowego dziedzińca odznacza się niezawodnie pięknemi proporcyami i niezwykłą harmonią, ale ma jako dzieło sztuki tę ujemną stronę, że brak w nim oryginalności, bo to prawie wierna kopia zewnętrznej dekoracyi rzymskiego Colosseum.

Co do mnie, dalekim jestem od tego, bym nie oceniał piękności i harmonii form w architekturze Palladia. Sztuka to jednak zimna, pedantyczna, skąpa i uboga w dekoracyę, a przedewszystkiem zbyt niewolniczo trzymająca się wzorów klasycznych. Dostrzegać w niej zrealizowany ideał estetycznego piękna było aberacyą i w praktyce

[1] S. Giorgio maggiore, S. Redentore i S. Pietro in Castello, o którym to ostatnim Goethe nie wspomina. Prawdopodobnie nie widział go.

[2] Dla informacyi podaję, że to jest drugi dziedziniec budynku dawniejszego klasztoru della Carità, gdzie się mieści obecnie Akademia sztuk pięknych.

doprowadziłoby do nudnego kopiowania tychże samych form po wieczne czasy. Bujna wyobraźnia artystów włoskich nie mogła się zasklepić w odtwarzaniu niewolniczem tychże samych form architektonicznych przez stulecie całe, podobnie, jak to było n. p. w sztuce egipskiej.

Przejście z rozkwitłego renesansu Palladia do fantastyczniejszej dekoracyi baroku było więc ewolucyą nie tylko konieczną, lecz zarazem szczęśliwą i zdrową, mimo pewnych, niezbyt harmonijnych tu i owdzie wybryków barokowego stylu. Czyż moglibyśmy sobie tego życzyć, by w zamian za fantazye baroku styl wszelkich późniejszych budowli, pałaców i kościołów Wenecyi był skostniał w zimno-umiarowych formach architektury Palladia?

Rozmiłowanie się przesadne w klasycyzmie i imitacyi starożytności łącznie z potępieniem »maniery« i »wybryków« baroku, wyobrażenie, że istnieje jakiś styl idealnego piękna i że najbardziej doń się zbliżają wzory klasyczne oraz rozkwitły renesans, którego Palladio głównym jest przedstawicielem, oto reguły »kodeksu estetycznego«, który powstał w epoce podróży włoskiej Goethego i »obowiązywał« jeszcze aż po ostatnie dziesięciolecia XIX wieku. I mnie, gdym w r. 1877 jako młody chłopiec po raz pierwszy zdążał do Włoch, karmili rzekomi znawcy ustnie i w książkach owymi dogmatami estetycznymi. I mnie też kazano jeszcze święcie w to wierzyć, że naga fasada Redentora stokroć jest piękniejsza od wszystkich tak dekoratywnie bogatych i bujnych pałaców i kościołów, które powstały bądź za wcześniejszego renesansu, bądź już w latach baroku.

Zamiast oddać się uczuciu błogiego podziwu na widok tych wspaniałych różnorodnych budowli, świadczących o przepychu, smaku i bogatej wyobraźni narodu, zamiast w rozmaitości ich stylu poznawać z interesem badacza kultury znamiona epok, cechy zmieniających się indywidualnych i etnograficznych wpływów, nakładano na nas obowiązek obserwowania tylko, czy i o ile ta lub owa budowla w stylu swym zbliża się, czy też odstępuje od jakiejś samowolnie oktrojowanej formułki idealnego piękna.

Nic tak nie psuło wrażenia, nic tak nie tamowało historycznego poglądu na sztukę, jak w ten właśnie sposób pojęty problemat oceniania piękna w sztuce.

Przez stulecie całe trwały owe nieszczęsne pęta estetyczne, do których utrwalenia niezaprzeczenie i Goethe znacznie się przyczy-

nił. Przez cały ten okres czasu panowała owa rozpaczliwie smutna teorya estetyczna, która co najmniej dziewięć dziesiątych produkcyi artystycznej wszystkich wieków i czasów każe skrytykować, odrzucić i potępić dla tego, że są to twory bądź »nierozwinięte« jeszcze, bądź też już »zepsute«. My wszyscy, mający pewną pretensyę do wykształcenia estetycznego, musieliśmy prawdziwie zazdrościć laikom ich przywileju, iż im się pewne dzieła sztuki podobać mogą bez patentu, danego na to przez krytyka i estetę.

Dziś dzięki Bogu wyswobodziliśmy się z tych ciasnych pojęć; co do najnowszej produkcyi artystycznej wyswobodzenie się z nich doszło nawet o wiele za daleko, bo pod wpływem zasady »swobody w sztuce« zapomina się już nawet o wszelkiej poprawności w rysunku i modelowaniu. O tym temacie nie chcę tu bliżej mówić. W każdym razie jednak w sztuce zeszłych wieków we Włoszech, a w szczególności w Wenecyi, nie ma powodu potępiać żadnego okresu ani żadnego stylu, gdyż z nielicznymi wyjątkami nie wychodzą one nigdy poza granice dobrego smaku. Jeżeli gdzie zresztą, to w fantastycznej sceneryi wód i lagun wolno było artystom śmielej, niż gdziekolwiekbądź indziej, puścić wodze fantazyi i lubować się w pewnej dekoracyjnej przesadzie.

To też słusznie zupełnie milkną już wreszcie skargi na »zepsuty styl« architektury dzieł tego rodzaju, jak n. p. Sta Maria della Salute. Kapryśna ta budowa, otwierająca efektownie perspektywę niezrównanego »Canal grande« i jakby różdżką czarodziejską wydobyta z toni morskiej, jest obecnie po stu latach pogardy i złorzeczenia napowrót »piękną«, tak jak nią była w oczach Wenecyan, gdy ją Longhena stworzył. I żałować tylko wypada tych, którzy te i inne wrażenia Wenecyi zatruwają sobie, słuchając rad »hipochondrów estetycznych«, wierząc ślepo w formułki i pseudodogmaty pedantów.

Goethe im uległ niestety i dla tego to z zachwycającego uroku Wenecyi odczuł znacznie mniej, aniżeli był powinien. Tem tylko wytłómaczyć sobie możemy fakt dziwny, że, podczas gdy wspomina obszernie o jakichś kolekcyach odlewów gipsowych z antyków, nie znajdujemy natomiast wzmianki o wrażeniu owych sławnych wnętrz weneckich kościołów, jak n. p. S. Giovanni e Paolo, Sta Maria dei Frari, S. Zacharia i inne. Pominąwszy wartość artystyczną szczegółów, już sam efekt dekoracyjny tych wnętrz jest niezrównany. Prześcigają je chyba tylko wnętrza katedr hiszpańskich. Cała wiel-

kość, świetność, rozmiłowanie się w chęci sławy i przepychu »Królowej mórz« przemawia wymownie z tych nagrobków i ołtarzy do oczu widza. A jakaż interesująca rozmaitość w odtworzeniu przedmiotu, co za różnorodność gustu stosownie do epoki!

Widzimy tam dożów bądź w martwem uśpieniu pod baldachimami gotyckimi, bądź w wspaniałych strojach i perukach, w pozach uroczystych. Jedni chełpią się niewolnikami z czarnego bazaltu, innych otacza towarzystwo »cnót« mało odzianych. Tu dogaressa ustrojona w brokaty roztacza swe zbyt bujne kształty, owdzie kościotrup wychyla się z pod marmurowych kotar, by głosić sławę zmarłego; tam znów kondotierzy harcują na koniach, walcząc jeszcze po śmierci i tratując niemiłosiernie przeciwników, lub też znów mnisi klęczą zatopieni w modlitwie. A do tego owe grona aniołów i rozmaitych symbolicznych postaci, w których stosownie do mody i czasu uderza nieśmiałość, bogobojność, powaga lub też powab światowy, przechodzący nawet w zalotność zmysłową, tu poza sztywna lub pełna namaszczenia, tam znów salonowa gracya i attituda menueta.

Czyż ten obraz, tak żywo odźwierciedlający przeszłe dzieje i kulturę Wenecyi, nie przemówił do oczu poety, nie wywołał oddźwięku w jego duszy? Zdaje się, że nie, bo miarą piękna i harmonii w dekoracyi była mu zimna jednolitość Palladia, w dziedzinie zaś rzeźby pierwszy lepszy gipsowy odlew antyku więcej mu przemawiał do duszy, niż ów świat cały zadziwiających nagrobków, odtwarzający pięć wieków, tak obfitych w wypadki, dziejów polityki i kultury Wenecyi.

Wypada mi obecnie wspomnieć nieco dokładniej o sądach Goethego o malarstwie: Sztuka malarska włoska wzbudzała — o ile pominiemy świat klasyczny — najżywszy interes poety z całej zresztą produkcyi artystycznej Włoch. Jest to zrozumiałem, boć przecież Goethe sam jako dyletant uprawiał tę sztukę, a nawet były chwile, gdy się jej chciał poświęcić zupełnie. Widzimy tedy, że z wielkiem zajęciem przypatruje się obrazom w kościołach, muzeach i zbiorach prywatnych i chętnie notuje odniesione wrażenia. Któż nie wie, iż niektóre z uwag Goethego o rozmaitych sławnych obrazach, znanych mu nawet tylko z rycin, do największego doszły rozgłosu.

Jeżeli jednak na podstawie obfitego materyału, tyczącego się jego sądów o dziełach malarskich, którego dostarcza nam pamiętnik,

mielibyśmy odpowiedzieć na pytanie, czy Goethe był wybitnym znawcą sztuki malarskiej w tym sensie, jak to dziś pojmujemy, to musielibyśmy się zawahać, czy można na to dać odpowiedź twierdzącą.

Dwie mu bowiem przedewszystkiem właściwości stały do znawstwa na przeszkodzie: ulegając wpływowi zapatrywań swego wieku, zbyt mało znał historyę malarskiej sztuki i za mało się o nią troszczył. Ponadto popadał często w ten błąd, iż oceniał dzieła sztuki bardziej ze stanowiska »literackiego« niż artystycznego.

W miastach północno-wschodniej Italii, gdzie dotąd przebywał, miał sposobność zapoznać się z wielką ilością włoskiej produkcyi malarskiej, jednak prawie wyłącznie tylko z pracami szkoły weneckiej. Pominąwszy zadziwiający sąd o Mantegni, o którym już wspomniałem, nie zdradza on żadnego interesu dla szkoły przed-Tycyanowskiej. Nawet wielki Giovanni Bellini, którego przecież znaczną ilość obrazów musiał widzieć w kościołach weneckich, nie istnieje dlań wcale, nie mówiąc już o Vivarinich.

Za to Tycyan pobudza go do okrzyków podziwu, choć dziwnym trafem właśnie o największych jego arcydziełach, jak Madonna Pesarów i Assunta, która wisiała wówczas także w Sta Maria dei Frari w głównym ołtarzu, nie wspomina wcale. Miałżeby Goethe wcale nie zwiedzić owego kościoła, tej najsławniejszej skarbnicy weneckiej sztuki? Nie jest to wykluczonem. Antypatya jego do mnichów często wstrzymywała go od zwiedzania sławnych przybytków sztuki dla tego tylko, że zostają w rękach zakonnych kongregacyj.

Dalej niezmiernie żywo interesuje się Pawłem Werończykiem i Tintorettem, lubo nie umie szczęśliwie sformułować ich charakterystycznych właściwości. Szczególnie co do Tintoretta, tego geniusza malarskiego najwyższej miary, który produkował wprawdzie za wiele i za szybko, lecz wirtuozostwem kompozycyi, głębią patosu i pewnym urokiem tajemniczej poezyi zachwyca nas tem więcej, im gruntowniej go znamy, nie spotykamy w uwagach Goethego sądów, świadczących o trafnem i wszechstronnem ocenieniu. Uwaga, że talentowi tego mistrza odpowiadały raczej obrazy drobne, aniżeli potężne rozmiarami kompozycye, jest wręcz niezrozumiałą i rażąco mylną.

Niechęć do malarstwa dawniejszych epok, brak wiadomości z działu historyi sztuki, a zarazem lekceważenie pewne nawet naj-

większych mistrzów swej własnej, niemieckiej ojczyzny, są powodem następujących dwóch uwag, które dzisiejszego historyka sztuki w przykry sposób uderzyć muszą, jakby zgrzyt fałszywy: Goethe ubolewa nad tem, że Dürer nie przejął się bardziej wzorami sztuki włoskiej, co tyle znaczy, że nie stał się imitatorem Włochów. Jeszcze dziwniejszem jest wyrażenie ubolewania, że u portrecistów włoskich znać brak należytego wyzwolenia się z pod wpływów dawnej niemieckiej, Holbein'owskiej maniery(!).

Bardzo interesujące są stosunkowo dość częste wzmianki o sztuce wielkiego G. B. Tiepola, którą widocznie żywo się zajmował, skoro nawet jeździł do Villa Valmarana, ażeby znajdujące się tamże malowidła oglądać. Trzeba sobie uprzytomnić, że Goethe pisze zaledwo w kilkanaście lat po śmierci Tiepola, który, jak wiadomo, do końca życia budził podziw najwyższy tak we Włoszech jak i zagranicą. Uwagi Goethego, w których znać już zwrot mody i »zmierzch« wielkiego mocarza settecenta, brzmią chłodno i bez entuzyazmu. Sztuka Tiepola wydaje się Goethemu niedość wzniosłą, choć przyznaje jej przecież wiele prawdziwej ekspresyi. Doktrynerzy pseudoklasyczni poszli wkrótce w denigrowaniu Tiepola znacznie dalej, skazując go na rolę zręcznego wprawdzie, lecz zmanierowanego dekoratora, bez głębszej myśli i pozbawionego wszelkiej »moralnej wartości«.

Dopiero po stuletniem wygnaniu powrócił w tryumfie genialny Wenecyanin razem z malarzami francuskiego rokoko napowrót na należące mu się słusznie jedno z najwyższych miejsc artystycznego Parnasu.

Wspomniałem już powyżej, że Goethe do ocenienia dzieł sztuki malarskiej zbyt wiele mięsza literackich motywów. Zbyt jednostronnie interesuje go przedmiot obrazu; zanadto często, niekiedy wręcz niesłusznie, krytykuje obraz, bo mu temat jest niesympatyczny, lub, bo znajduje, że nie jest on w szczegółach n. p. co do wyrazu osób w dość zrozumiały sposób przedstawiony.

Tymczasem wybór przedmiotu jest często czemś dość dowolnem, wynikiem utartego zwyczaju, mody społeczeństwa w danej chwili, a wcale nie dowodem upodobania autora. Mojem zdaniem nie potrzebujemy artyście, któremu temat narzucono, brać za złe, że nie traktuje go zbyt na seryo, zwłaszcza jeżeli nas za to sowicie wynagradza innymi, czysto malarskiemi walorami. Stąd też nie mamy wcale powodu gorszyć się, jeżeli malarze włoscy do tematów

czysto religijnych mięszają aż nadto często świecki przepych, niemający z tematem nic wspólnego, lub zaludniają obraz wybornemi studyami portretowemi, zachowującemi się wobec przedmiotu wręcz obojętnie. Przeciwnie, jest w tym objawie raczej zdrowy instynkt malarski, tendencya naturalna artysty do rozwinięcia swych zdolności wbrew konwencyonalnie narzuconemu przedmiotowi, wyłamanie się z pod tyranii tematu, krępującego zbyt malarską swobodę.

Ten właśnie sposób postępowania jest mi u mistrzów dawnych nierównie sympatyczniejszy, niż n. p. pedanterya słabych malarzy historycznych lub religijnych XIX wieku, którzy chcąc nastroić wyrazy twarzy do tematu, dają nam nieraz tylko konwencyonalne maski, zamiast żywych ludzi z krwi i kości.

Wszakże i nowszym najznakomitszym artystom czyniono podobne zarzuty. I tak spotykałem się n. p. nieraz z zarzutem, że we wielu obrazach Matejki poszczególne postacie nie troszczą się o akcyę ogólną, lecz zajęte są tylko same sobą. To prawda, ale gdyby tego nie było, nie stworzyłby nam mistrz tyle przepysznych szczegółów i typów, z których słyną jego obrazy z najlepszej epoki.

Literackie wątpliwości, które niekiedy podnosi Goethe, weszły później, w XIX wieku, jeszcze bardziej w zwyczaj i stały się powodem licznych, wręcz niezdrowych wskazówek, dawanych artystom przez krytykę. Słabsze talenty brały je sobie aż nadto często zbyt do serca ze szkodą dla sztuki, płodząc pod ich wpływem twory nudno dydaktyczne, pozbawione malarskiej siły.

Szkodzi też Goethemu w ocenianiu malarstwa włoskiego i ta okoliczność, że w ogóle niezbyt lubi tematy religijne i mało jest obznajomiony z właściwościami łączącej się z tym przedmiotem hagiografii. W jednym względzie tylko przyklasnąć mu można, iż gani rozmiłowanie się w przedstawianiu scen męczeństwa.

W szczególności spotykam w pamiętniku ustęp bardzo charakterystyczny, gdzie Goethe mówi, że niesmaczne te tematy przedstawiają nam tylko dwa rodzaje typów ludzkich: »Missethäter oder Verzückte, Verbrecher oder Narren«. W tych paru słowach uwydatnia się zarazem, rzekłbym, plastycznie, jak się Goethe zapatrywał na wielkie problematy żarliwości religijnej i prześladowań za wiarę.

Nie należy jednak zapominać, że bardzo często tematów tych, narzuconych malarzom przez osoby, zamawiające obrazy dla kultu, sami malarze nie traktują zbyt poważnie i osłabiają przykre strony

akcyi przez ujmujące szczegóły, bliższego z tematem niemające związku. Wobec tych szczegółów pięknych i ujmujących zapomina się o katuszach i krwi rozlanej i można się pocieszać, że to nie rzeczywiste »martirium«, lecz raczej piękna scena teatralna, którą mamy przed oczyma.

Z Wenecyi zdążał Goethe do Bolonii z zatrzymaniem w Ferrarze, gdzie wszakże, obojętny na architekturę średniowieczną, ani na katedrę, ani też na kastel Estów (mimo wspomnień Tassa) wcale nie zwraca uwagi.

I w Bolonii znów ten sam brak zainteresowania się kościołami starożytnymi i zawartymi w nich skarbami sztuki, szczególnie rzeźby. S. Petronio, S. Francesco i S. Domenico, te potężne, wpadające w oczy budowle jakby dla niego nie istniały. Nie widział też wcale, jak się zdaje, sławnej Arca di S. Domenico, gdzie rzeźby Niccola Pisana, tak harmonijnie złączone z epoką renesansu aż po Michała Anioła, tworzą jakby jedyny w swym rodzaju »microcosmos« historyi włoskiej rzeźby.

Rewelacyą artystyczną, wydarzeniem najwyższego znaczenia wydaje się Goethemu oglądanie świętej Cecylii Rafaela, pierwszego niezawodnego oryginału mistrza, który miał sposobność zobaczyć.

Rafael był jedynym i wyjątkowym artystą, mającym za wiele powodzenia, i to tak za życia jak i po śmierci, aż po najświeższe czasy, kiedy znów niektórzy krytycy — jest to także efekt mody i chęć gonienia za oryginalnością — zbyt go obniżają. Powodzenie za życia popsuło go i zrobiło w ostatnich latach życia niedbałym, wyręczającym się zbyt obcą, prawie rzemieślniczą pomocą; bezkrytyczne sławienie go po śmierci wywołało ślepe naśladownictwo, i to tych właśnie prac Rafalela, które należały do najsłabszych, bo wykonane były po akademicku i bez natchnienia.

Grupa św. Cecylii, mimo piękności głów, należy właśnie do tych późnych, mało sympatycznych kreacyj Rafaela. Przechwalano ją zawsze, w szczególności też w epoce Goethego, kiedy to ostatnie właśnie prace Rafaela okrzyczano jako szczyt »klasycyzmu« malarskiej sztuki. Goethe w swych sądach o sztuce, jak już nieraz widzieliśmy, lubi »iurare in verba magistri«, nic więc dziwnego, że idąc za jednomyślnem zdaniem współczesnych »znawców«, widzi w św. Cecylii ostatnie słowo sztuki, objaw najwyższego »niebiańskiego geniuszu«.

Ustęp, poświęcony temu obrazowi, ma dla nas jeszcze odrębne, bardzo interesujące znaczenie. Wiemy, że już za czasów podróży Goethego, a bardziej jeszcze w pierwszych dziesiątkach XIX wieku, zachwycano się w malarstwie włoskiem tylko szczupłą garstką najznakomitszych malarzy rozkwitłego renesansu z Rafaelem na czele, lekceważąc zarazem zupełnie epoki dawniejsze, tak jakby tych kilku genialnych mistrzów powstało z niczego i bez procesu przygotowawczego, podobnie jak Pallas Atene wyszła w pełnej zbroi z głowy Jowisza. Goethe instynktownie czuje, że w tym sposobie pojmowania rzeczy tkwi pewna niesprawiedliwość. Stara się więc uwzględnić proces historyczny, a widząc w Rafaelu »szczyt piramidy« w rozwoju sztuki, wspomina i o tych, którzy do budowy tej fundamenty położyli, wymieniając jako właściwych poprzedników mistrza, słusznie zresztą, Francię i Perugina Otóż ustęp ten, prekursorom Rafaela poświęcony, jest tak typowy, że zacytuję go w oryginale: »Die älteren Meister sehe ich mit besonderem Interesse... Francesco di Francia ist gar ein respektabler Künstler, Peter Perugin ein so braver Mann, dass man sagen möchte: eine ehrliche deutsche Haut«.

Nic tak nie uwydatnia braków ówczesnego zrozumienia historyi malarstwa, jąk ta próbka »historycznej sprawiedliwości«, w której z wyżyn przesadnej wielkości Rafaela, Francia i Perugino są traktowani z pewną łagodną, ale i nieco pogardliwą pobłażliwością. Ceni ich się widocznie tylko dla tego, bo wielki Rafael nieco im ma do zawdzięczenia. Tymczasem Perugino, często przez krytyków niedoceniony, w szczęśliwszych swych pracach, mimo pewnej jednostronności, nie ustępuje wcale Rafaelowi, co o tyle bardziej podziwu jest godnem, iż go chronologicznie znacznie wyprzedza.

Właśnie w Pinakotece bolońskiej wisi naprzeciw św. Cecylii jedno z największych arcydzieł Perugina. Otóż, ile razy oglądam tę salę, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że artystyczne zalety tego właśnie obrazu Perugina wyższe są od przecenionej św. Cecylii. Obraz nauczyciela do obrazu sławnego ucznia ma się tu, mojem zdaniem, jak zdrowy pączek róży do kwiatu rozkwitłego wprawdzie, lecz już tracącego życie, zbliżającego się do zwiędnięcia.

Drugie, silne wrażenie, które Goethe odnosi co do malarstwa w Bolonii, to zapoznanie się bliższe z eklektykami t. zw. bolońskiej szkoły XVII wieku. Carraccich na tem miejscu za-

ledwo wymienia, lecz o tyle żywiej interesuje się Renim i Guercinem, którego to ostatniego piękne prace oglądał także w jego rodzinnem mieście Cento. Dla amatora lubującego się, tak jak Goethe, w efektach wyrozumowanych i logicznie obmyślonych, musiała szkoła bolońska być w wysokim stopniu sympatyczną. Nie dziwmy się więc przesadnym nieco okrzykom podziwu na cześć Guidona Reniego, który miał »niebiańskie poczucie doskonałości« i Guercina, »w którego obrazy przez lata całe można się wpatrywać«. Szkoła bolońska musiała mieć powodzenie w oczach Goethego i jego epoki, i nie jest to czemś przypadkowem tylko, lecz objawem panujących przekonań, jeżeli n. p. tak rozumny człowiek i wielki mistrz, jak Reynolds, także w podobny sposób bolończyków przesadnie sławi.

Jest to zrozumiałem. Styl »rokoko« przeżył się nieco i zdawał się »krytykom-myślicielom« niedość godnym i poważnym. Zwracając się ku klasycyzmowi, zażądano w sztuce przedewszystkiem poprawności, harmonii i równowagi; cóż więc dziwnego, że sztukę eklektyków bolońskich uznano za »najwyższy styl« zaraz po Rafaelu i Tycyanie.

Dziś pochwały te wielu współczesnych krytyków rażą zapewne, gdyż na »giełdzie« artystycznej sławy i cen antykwarskich bolończycy raczej spadli w ostatnich latach w stosunku do szkół innych. Objawem tego zwrotu mody, bardzo zresztą niesprawiedliwym, było n. p. to, że w paryskim Luwrze, cierpiącym na brak miejsca, właśnie wyłącznie prawie obrazy bolońskiej szkoły masowo skazano na złożenie w »dépot«. Sądzę, że mamy tu do czynienia znów z przesadą chwilowej mody. Szkoła bolońska jest niezawodnie zbyt zimna i wyrachowana, ale są w niej talenty wielkie, a właśnie ulubieńcy Goethego, jak Reni — o ile się zapomni o jego »przesentymentalizowanych« pracach — i Guercino niezawodnie do nich należą.

A nadto nie zapominajmy, że »poprawność« wykonania i rysunek wyborny, to także wielkie przymioty. Wobec niedorzecznych wybryków wielu nowoczesnych malarzy przestaje dziś być banalnością o tem wspominać. Nauczeni zresztą historyą tylokrotnych przykładów sprowadzenia sztuki na manowce przez kaprysy mody, nie bądźmy zbyt zarozumiali i nie lekceważmy zdania znakomitych mężów przeszłości. Ludzie tej miary, jak Goethe lub Reynolds, mogli wskutek braku zainteresowania się niedocenić wartości prymitywów, mogli dla modnej przesady w pochwałach przecenić Rafaela, lecz nie jest prawdopodobnem, by cała szkoła malarska, która zyskała

tak żywe i umotywowane ich uznanie i poklask, była rzeczywiście kierunkiem pozbawionym wszelkiej wyższej wartości.

Po opuszczeniu Bolonii jest Goethe, jak świadczą zapiski pamiętnika, w formalnej gorączce, by jak najspieszniej dostać się do upragnionego Rzymu. O rzeczywistem zwiedzaniu miejscowości, przez które przejeżdżał, mimo ich niezmiernej doniosłości dla sztuki, nie mogło już być mowy. Umysł jego opanowany jest tylko jedną ideą: dotrzeć do Rzymu i nasycić się widokiem antyków w stolicy świata!

Sposób podróżowania jego w miarę, jak się zbliża ku Rzymowi, staje się prawie już niedorzecznym.

Poeta nasz nie dosypia po nocach, kładąc się do spoczynku często ubrany i tylko na parę godzin, mija najciekawsze miejscowości, nie mając nawet czasu okiem na nie rzucić. Każdy z nas, który w drogiej Italii kocha wprawdzie Rzym »nad wszystko«, ale przecież nie ekskluzywnie, z pewną zgrozą dowiaduje się z notatek Goethego, że poeta w Florencyi zatrzymał się tylko trzy godziny, a w Perugii nie widział, jak sam przyznaje, nic zgoła.

W Florencyi, jak się dowiadujemy, przeleciał tylko przez Giardino Boboli, wstąpił do katedry i baptisterium — na tem koniec. Lecz i z lakonicznej wzmianki o tem dziwnem zwiedzeniu Florencyi poznajemy sposób myślenia Goethego i smak, tak różny od tego, czego się dziś wymaga od kulturalnych turystów. O katedrze i baptisterium wypowiada Goethe w notatce dziennika następujące słowa (opuszczone w »Italienische Reise«, widocznie pod wpływem postępu w wykształceniu autora): »an diesen beiden Gebäuden hat sich der Menschenwitz nicht erschöpft«.

Cóż za straszne kacerstwo artystyczne! Nie wysilił się umysł ludzki na kopułę Brunelesca! Wszakżeż to, jak na owe czasy, było istne cudo konstrukcyi, wzór dla następnych pokoleń aż do Michała Anioła. Wprawdzie wnętrze Katedry florenckiej jest nieco ponure i niezbyt sympatyczne, lecz jest to budowla niezmiernie imponująca i zawierająca skarby rzeźby; baptisterium zaś, pominąwszy niezmiernie interesujące mozaiki, jest dla historyi architektury jednym z najważniejszych pomników.

A »Porta del paradiso« Ghiberta? czy rzucił też choćby okiem na nią wielki esteta północny? Zapewne nie, tak jak nie był ciekaw zaglądnąć do »Sagrestia nuova« w S. Lorenzo, by zobaczyć nagrobki Medyceuszów dłuta Michała Anioła. Rzeźba, poza antykami, widocznie nie istniała dla niego. Wreszcie już

tylko na karb gorączki dotarcia do Rzymu położyć należy, że nie oglądał medycejskich zbiorów sztuki, gdzie, o czem z pewnością wiedział, były liczne, najcenniejsze dzieła ulubionego Rafaela.

Jedyne silne wrażenie, które odniósł Goethe w ciągu drogi, począwszy od Bolonii aż do Rzymu, było — Assisi; nie zawdzięcza je jednak temu, co właściwą jest gloryą sławnego miejsca, kościołowi św. Franciszka, lecz ruinie świątyni Minerwy.

Uwagi, poświęcone wycieczce do Assyżu, to, mojem zdaniem, najbardziej znamienny ustęp pamiętnika. Sposób myślenia Goethego uwydatnia się tu w całej pełni. Przedstawia on się nam jako fanatyk świata starożytnego, poganin XVIII wieku, dla którego Rzym i Grecya są jedynie czemś prawdziwie wzniosłem, podczas gdy sztuka średniowieczna i jej pamiątki, związane ze światem klasztornym, budzą tylko niechęć i wzgardę.

Goethe, jadąc vetturinem z Perugii do Foligno, wysiadł koło kościoła Sta Maria degli Angeli i pieszo puścił się w górę, by oglądnąć Assyż. Lecz to nie kościół św. Franciszka budził jego ciekawość.

Przeciwnie, w żywo obrazowym opisie, podanym w pierwotnym tekście dziennika, czytamy: »Den geehrten, geheiligten Galgenberg liess ich links liegen, sah des heiligen Franciscus Grabstätte nicht, ich wollte mir, wie der Cardinal Bembo, die Immagination nicht verderben, sondern fragte einen hübschen Jungen nach der Maria della Minerva«.

Ilekroć jestem w uroczej krainie Św. Franciszka i od kościoła S. Maria degli Angeli, zbudowanego nad jego chatką, Porziunculą, zdążam — zwykle także pieszo — w górę ku Assisi, żywo mi zawsze staje w myśli obraz wielkiego poety, gdy szedł tą samą drogą. Przepaść cała dzieli jego sposób myślenia od uczuć i myśli nie tylko pielgrzymów, rozmodlonych nad grobem Poverella, ale nawet zwykłych dzisiejszych, kulturalnie myślących turystów. Któżby śmiał z dziś żyjących uważać ruinę świątyni Minerwy za jedyną rzecz godną widzenia w Assisi, a gardzić sławnym kościołem św. Franciszka, tą najcenniejszą skarbnicą nie tylko religijnych, lecz przedewszystkiem estetycznych i kulturalnych pamiątek!

Dwie okoliczności złożyły się na ten dziwnie fałszywy sposób myślenia poety: przesadna idolatrya świata starożytnego i ciasne wychowanie protestanckie, rodzące nienawiść do zakonów, ich działalności i wpływu w wiekach średnich. Mimo uniwersalności geniuszu nie mógł się Goethe oswobodzić z wszczepionych przekonań, że

klasztory to tylko ciemnota, zacofanie i tyrania religijna. W tej antypatyi tkwi zaślepienie, niedozwalające ocenić według rzeczywistej wartości ani osoby św. Franciszka, ani łączącej się z tradycyą o nim sztuki. Św. Franciszek, ten uroczy apostoł miłości i łagodności, był dla Goethego widocznie tylko inicyatorem ponurych, znienawidzonych mnichów, a sztuka powstała pod natchnieniem tradycyi o jego życiu i czynach, ta jutrzenka rozbudzenia się artystycznego Italii, była tylko czemś barbarzyńskiem, niegodnem jednego spojrzenia w porównaniu »mit dem schönen, heiligen Werk«, jak zwie ruinę rzymskiej świątyni.

Dnia 29 października, po sześciotygodniowej wędrówce przez kraje italskie. dotarł wreszcie Goethe do Rzymu. celu swych marzeń. Dziękczynny okrzyk, skierowany ku »niebu«, wyrywa się z jego piersi. Pierwszego dnia leci obejrzeć rano najważniejsze ruiny, popołudniu zaś kościół św. Piotra i notuje w dzienniku słowa: »nun bin ich initiirt«!

Pobyt w Rzymie (lub blizkiej okolicy) trwa do 21 lutego 1787, a następnie za drugim nawrotem, po pobycie w Neapolu i Sycylii, od czerwca 1787 aż do kwietnia 1788, a zatem zliczywszy razem, rok i dwa miesiące. Oczywiście o gorączkowem zwiedzaniu »wiecznego miasta« nie było już mowy; poeta starał się zaaklimatyzować w miejscu swego pobytu i oddawał się z zapałem zajęciom literackim, zwłaszcza, gdy się przekonał, iż do tego, by obrać karyerę artysty (próbował nie tylko malarstwa, ale i rzeźby) ma lat już za wiele, a talentu za mało. W obszernych notatkach pamiętnika (a podobnie ma się rzecz w czasie pobytu w Neapolu i Sycylii), jak niemniej i w korespondencyi spotykamy stosunkowo szczupło uwag o sztuce. Nie wynika z tego, by się nią Goethe mniej interesował, tylko zamiast pochłaniać coraz to nowe wrażenia, rozkoszował się już znanemi i często do nich powracał.

W inklinacyach swych i gustach artystycznych nie zmienił się wcale w czasie rzymskiego pobytu, przeciwnie utrwalił w nich jeno. Świat klasyczny jest dlań zawsze szczytem estetycznych i kulturalnych wrażeń, ulubionym tematem rozmyślań. Zabytkom dawnego Rzymu i zbiorom antyków poświęca liczne, często entuzyastyczne uwagi. Lubimy sobie wyobrażać poetę w pośród ruin Rzymu, marzącego o wspaniałości dawnego świata klasycznego, snującego na kanwie tych wrażeń wzniosłe swe poetyckie pomysły. Takim go

nam odmalował, nie bez pewnego odcienia teatralności, jego przyjaciel Tischbein na tle krajobrazu rzymskiej Campagnii.

Otoczenie, w którem żył Goethe w Rzymie, lektura jego ówczesna, wszystko to skłaniało go jeszcze bardziej do utwierdzenia się w upodobaniach, do których czuł już skłonność nieprzełamaną, wstępując na ziemię italską. Z uwag pamiętnika dowiadujemy się, jak wielkie wrażenie wywarła na nim lektura pism Winkelmanna, szczególnie zaś jego listów z Włoch pisanych. Kilkakrotnie też wspomina, że Winkelmann i Rafael Mengs [1] są owymi mężami, którzy potomności w świecie sztuki »jedyną słuszną i prawdziwą wskazali drogę«. Wiemy, co to znaczy: odwrócenie się od śmielszych form i stylu baroku, a przejęcie się wzorami klasycznemi w rzeźbie i architekturze, w malarstwie zaś, którego nam starożytność nie przekazała w dość świetnych przykładach, powrócenie do wzorów rozkwitłego renesansu z Rafaelem na czele.

Na kształcenie się Goethego w znawstwie sztuki, a szczególnie malarstwa, wpływało częste obcowanie z artystami, mieszkającymi w Rzymie, szczególnie zaś ścisłe zaprzyjaźnienie się z Tischbeinem i Angeliką Kaufmann. Obojga ich należy zaliczyć do talentów malarskich bardzo niepospolitych; w każdym razie byli najświetniejszymi w gronie współczesnych niemieckich artystów.

Wilhelm Tischbein [2], talent żywy i indywidualny, niedochodzący wprawdzie do geniuszu, ale zdrowym instynktem broniący się przed sztywną manierą, szedł wprawdzie z modą, lecz zachował do końca swej działalności coś z dobrych tradycyi portretowych 18 wieku.

Sentymentalna Angelika Kaufmann, lubiąca zatapiać się także w teoretyczne problematy, tyczące się sztuki, była od początku swej karyery najżarliwszą protagonistką klasycznego kierunku, pojmując go wszakże w pewien, właściwy sobie, »przesłodzony« sposób. Talent to był niezawodnie świetny, lecz natura przesadnie egzaltowana,

[1] Antoni Rafael Mengs (1728—1779) jest w początkowej fazie malarskiego zawodu inteligentnym i pełnym życia portrecistą w stylu rokoko. Dopiero pobyt w Rzymie, a szczególnie nieszczęśliwy wpływ Winkelmanna, zrobił zeń nudnego i bezdusznego »Talmi-Rafaela«. Przez lat kilkadziesiąt nie miano dość słów podziwu dla jego pseudo-rafaelowskich madon i mitologii; dziś, bardzo słusznie, ceni się więcej jego wczesne portrety, szczególnie pastelowe.

[2] Rodzina Tischbeinów wydała w 18 wieku aż pięciu utalentowanych malarzy, z których przyjaciel Goethego, zwany często w Niemczech »Der Goethe-Tischbein« był najbardziej uzdolnionym i największą cieszył się sławą.

dla której afektacya sentymentu stała się elementem życiowym. Jej portrety pozują zawsze na wyższość i szlachetność bez skazy, a jej bohaterowie i bohaterki ze świata klasycznego o słodkiem spojrzeniu i bawełnianych muszkułach mają w sobie taką dozę mdłego sentymentalizmu, iż tylko zminiaturowani w subtelnych rycinach Bartolozziego lub Rylanda robią sympatyczne wrażenie.

Tischbein i Angelika »ciceronowali« często Goethemu w wędrówkach po Rzymie, szczególnie przy zwiedzaniu kollekcyj prywatnych. Angelika, gorąca wielbicielka jego talentu, nie szczędzi mu przy każdej sposobności czułych komplementów i rysuje postacie do jego dramatów. Grała ona wobec niego rolę opiekunki i starszej siostry, z czem łączyło się może — en tout bien tout honneur — nieco cieplejsze uczucie dla pięknego, młodego poety, owianego aureolą geniuszu. Bo i któżby był mógł dla sentymentalnej, nieszczęśliwej w małżeństwie niemieckiej artystki być osobistością bardziej pociągającą, jak wyniosły, orlooki gość z Weimaru, autor tylu miłosnych utworów poetyckich, a przedewszystkiem owych wzruszających świat cały, a, jak wiadomo, w części przeżytych »Cierpień młodego Werthera«? Uczuć głębszych nie zdradzała wszakże interesująca, choć nieco już przekwitła Angelika, przyzwyczajona, jak wiemy, już z dawniejszych czasów do afektów niezbyt szczęśliwych.

W sercu Goethego nie było zapewne dla ckliwej Angeliki żadnych żywszych uczuć, prócz przyjaźni, połączonej z podziwem dla jej talentu, wykształcenia i wysokiej kultury. Niejednokrotnie sławi on w swych notatkach nadzwyczajną zdolność malarską pani Kaufmann, zadziwiającą »zwłaszcza, jak na kobietę«, a nie mniej też jej znawstwo sztuki, dumny z tego, że przyjaciółka przyznaje mu, że i on, choć w malarstwie słaby dyletant, umie zawsze »na obrazy należycie patrzeć«. Styl malarski Angeliki odpowiadał zresztą gustom Goethego, utwierdził rozlubowanie się w owym mdłym nieco klasycyzmie, zmięszanym z pewnym, sprzecznym w gruncie ze światem antycznym, sentymentalizmem niemieckim.

Angelika, jako kobieta niezwykle wykształcona, lubiąca popisywać się »głębszym« sposobem pojmowania malarstwa, zachęcała niezawodnie Goethego do owych tak ulubionych wówczas dyskusyj o obrazach na temat właściwego ich głębszego znaczenia. Lubowano się bowiem wówczas niezmiernie w filozoficznych komentarzach do sławnych obrazów, a ta literacka strona oceniania sztuki przycie-

mniała niekiedy, nawet u rzeczywistych znawców, sąd czysto malarski.

Typowym przykładem takich komentarzy jest n. p. sąd Goethego o sławnej transfiguracyi Rafaela. Któż nie zna owego interesującego i głębokiego wytłómaczenia kompozycyi, które podaje nam Goethe? Równocześnie jednak jego sąd malarski o tym obrazie trafnym nie jest wcale. Goethe wspomina nam wprawdzie, iż niektórzy znawcy przenoszą wcześniejsze nieco prace Rafaela, n. p. Disputę z pierwszej sali Stanz nad Transfiguracyę (mojem zdaniem bardzo słusznie!), lecz on sam tego zapatrywania, wynikłego z przecenienia dawniejszych szkół, nie podziela. Zainteresowanie się literackie tematem, a przytem wiara w nieomylny rozwój i postęp »niezrównanego« Rafaela, sprawiają, że Goethe, wbrew twierdzeniu Pani Angeliki, na Transfiguracyę patrzy mylnie i nie widzi w niej ani zimnej konwencyonalności w ugrupowaniu, pozach i wyrazach twarzy, ani też techniki przeważnie słabszej, niegodnej ręki samego mistrza i świadczącej o wysługiwaniu się pomocą uczniów.

Mamy w pamiętniku Goethego jeszcze dwa inne nierównie bardziej jaskrawe dowody na to, iż magiczny urok już samej »firmy« Rafaela zaciemnia zupełnie objektywnie-malarski sąd Goethego:

W Academia S. Luca widział Goethe obraz, przypisywany najniesłuszniej Rafaelowi, przedstawiający św. Łukasza malującego portret Madonny. Otóż obraz ten, znajdujący się tamże i dziś, jest wręcz słabem malowidłem, niegodnem nawet jakiegoś nieco więcej utalentowanego ucznia Rafaela. Goethe — za wzorem zresztą wielu innych — podziwia obraz ten bezkrytycznie, nie mając najmniejszych wątpliwości co do autorstwa.

Drugi przykład: W jednym z trzech kościołów, należących do Abbazia S. Paolo, zwanej zwykle »Tre fontane«, koło Rzymu, są freski, przedstawiające postacie dwunastu Apostołów, rzemieślnicze bez artystycznej wartości powtórzenie rycin Marc'Antonia Raimondi. Goethe wielce podziwia te freski, cytując artykuł, który podaje szczegółowy opis postaci, a to tylko na tej podstawie, iż daje wiarę mylnej tradycyi, iż są one wiernem powtórzeniem rysunków Rafaela.

Wspomniałem już na wstępie, że moda ówczesna, nakazując szukać w sztuce wyłącznie tylko najwyższej doskonałości, ograniczyła podziw i uznanie krytyków i publiczności prawie tylko do kilku malarzy rozkwitłej epoki renesansu. Z pomiędzy tych »wybranych« Leonardo da Vinci, choć go często Goethe wspomina, był mu

z oryginałów wówczas prawie nieznanym. Przez dziwną pomyłkę uważa obraz Dürera w Galeryi Barberinich (Chrystus między Faryzeuszami) za dzieło Leonarda. Corregia także prawie nie znał, Tycyan zaś (z wyjątkiem jednego obrazu, będącego dziś w Galeryi watykańskiej) mniej go w Rzymie interesował, niż w północnych Włoszech. Pozostali więc tylko Michał Anioł i Rafael i tym też głównie poświęcił Goethe swą uwagę.

Było to zgodnem z prądem panującym, gdyż krytycy ówcześni i amatorowie sztuki, zahypnotyzowani doskonałością tych dwóch mistrzów, zapomnieli niejako o legionie innych, wielce utalentowanych i produktywnych malarzy. Wspomina nam Goethe, że wielce ulubione były wówczas dyskusye na temat, kto z tych dwóch artystów był większym geniuszem [1], dyskusye, które dziś musimy uznać za wręcz jałowe wobec tak wielkiej różnorodności tych dwóch artystycznych natur. Goethe brał w tych debatach często udział, a mimo wmówionego bezgranicznego podziwu dla mistrza urbinackiego, zdrowy instynkt mu mówił, że Michelangelo jest potężniejszą indywidualnością. W jednym ustępie pamiętnika bardzo trafnie podnosi, że po bezpośredniem wrażeniu potęgi malowideł Michała Anioła w Sykstynie na Loggie Rafaela »nie można się patrzeć«, tak gasną i słabną.

W ogóle uwagi jego o freskach watykańskich Rafaela, a szczególnie Michała Anioła, są pod niejednym względem trafne i głębokie. Do Sykstyny powracał często, z rosnącym wciąż upodobaniem; parokrotnie kilka nawet godzin z rzędu tam przepędził. Lubię go sobie tamże wyobrażać wpatrzonego w freski kopuły, lub siedzącego w tronie papieskim i spożywającego z przyjaciółmi przekąskę, przyczem dyskutowano o wielkości tytana sztuki. Nieśmiertelnym postaciom Sybil i Proroków, z góry nań spoglądającym, odwiedziny te były przecież może pewnem wynagrodzeniem za gapienie się gawiedzi zwykłych banalnych turystów. Nawet ceremonie religijne, których zresztą Goethe nie lubiał, zbywając je często złośliwą ironiczną

[1] Także w »Rozmowach z Eckermannem« wspomina Goethe obszernie o tych dyskusyach rzymskich. Znajdują się też w rozmowach tych liczne inne wzmianki o malarstwie, których nie chcę bliżej omawiać, bo zaprowadziłoby mnie to za daleko. Wystarcza skonstatować, że opinie Goethego o malarstwie włoskiem nie zmieniły się też i pod koniec życia zasadniczo w niczem. W szczególności jest dlań Rafael zawsze »klasykiem« malarstwa bez błędu i skazy. Wspomina o nim często z upodobaniem, stawiając go za wzór niedościgniony, podobnie jak w muzyce był mu równie doskonałym i niedoścignionym Mozart.

uwagą, wydawały mu się wielkie i wspaniałe w Sykstynie w otoczeniu tworów wielkiego geniusza.

Lecz ten pociągający obraz Goethego na tle Sykstyny, o ile jest dokumentem odczucia wielkości Michała Anioła, o tyle świadczy zarazem o zupełnem zapoznaniu wartości wcześniejszego malarstwa włoskiego tak przez Goethego samego, jak i przez jego epokę. Goethe wspomina w jednem miejscu, iż zna malowidła Sykstyny »prawie na pamięć«. Czyż tak było istotnie? Czyż pod »Sykstyną« nie rozumie on wyłącznie tylko Michała Anioła? Tak, niezawodnie! Głuche milczenie jego o reszcie Sykstyny jest wymownym dowodem, że na niższym rzędzie fresków, na malowidłach dawniejszych malarzy szkoły florenckiej i umbryjskiej, oko jego nie spoczęło nigdy z należytą uwagą. Arcydzieła Botticellego, Ghirlandaia, Signorellego, Perugina i Pinturichia nie istniały prawie w oczach ówczesnej krytyki, były one zaćmione, pochłonięte przez wielkość Michała Anioła i Rafaela.

Interesującem jest badać, kiedy to znów »odkryto« napowrót piękność tych dzieł, na które przez wieki całe codziennie patrzono z lekceważeniem i obojętnością. Stendhal w swych »Promenades dans Rome«, tak niezmiernie interesujących dla historyi i sztuki Rzymu, wspomina (r. 1828), że są amatorowie sztuki, którzy twierdzą, że już Rafael i Michał Anioł właściwie popsuli malarstwo włoskie, a więc że malarstwo dawniejsze było bardziej ujmującem, niż rozwinięta epoka Odrodzenia. Nazwisk nam Stendhal nie cytuje, kto to wygłaszał owe opinie, tak różne od panujących wówczas. Sam ich nie podzielał, notuje je tylko jako ciekawy objaw.

Że w tem zdaniu, na owe czasy tak ekscentrycznem, jest wiele prawdy, to niejeden z nas dziś czuje. Rozmach bowiem Michała Anioła, jego skłonność do gwałtownych ruchów i przesadnej muskulatury, a niemniej też i zręczność, akademicka łatwość produkcyi Rafaela pozbawiły sztukę włoską dawnej świeżości, gracyi i prostoty. Ewolucya ta zapewne musiała nastąpić, lecz przyniosła obok postępu wiele też ujemnych skutków.

Ogólniej wszakże zrozumiano i oceniono wartość prerafaelitów dopiero w ostatnich dziesiątkach zeszłego wieku. Pamiętam żywo, że kiedy pierwszy raz wstąpiłem na ziemię włoską, Botticelli w oczach »znawców« był jeszcze co najwięcej »un objet de curiosité«, a Perugino i Signorelli mieli wobec Rafaela i Michała Anioła podobne stanowisko jak n. p. św. Jan Chrzciciel w stosunku do

Mesyasza. Wyswobodzenie się z mylnej opinii, że włoskie quatrocento tylko przygotowywało właściwy wiek złoty, a nie miało samoistnej wielkiej wartości, jest jedną z prawdziwie zdrowych ewolucyj w historyi znawstwa sztuki.

Zajmującym jest to zbiegiem okoliczności, że Goethe, tak gorliwy zwolennik budzącego się klasycyzującego kierunku w sztuce, notuje właśnie w swym dzienniczku ów przełomowy niejako moment, wielce ważny dla historyi sztuki, kiedy to nowy kierunek »klasyczny« pierwszy praktyczny odnosi tryumf w opinii publicznej. Ważnem tem wydarzeniem była wystawa francuskich młodych malarzy, urządzona przez Akademię w Villa Medici, na której David swym obrazem »Horacyusze«, malowanym w zdecydowanym stylu klasycznym, zyskuje jako przywódca nowego kierunku poklask i uznanie rzymskiej publiczności.

David przybył do Rzymu jeszcze jako malarz »rokoko«, wychowany w tradycyach XVIII wieku. Wrażenia rzymskie zrobiły dopiero zeń fanatycznego »klasyka« ku szkodzie jego własnej produkcyi i sztuki w ogóle. Jeżelibyśmy więc mieli datować początek stylu, nazwanego później »empire«, datą stanowczego zwycięstwa nowego kierunku, to należałoby go oznaczyć na czas owej pamiętnej rzymskiej wystawy (r. 1787), a więc na dwa lata jeszcze nawet przed rewolucyą francuską, w której szef klasycznej, a raczej »pseudoklasycznej« szkoły, David, tak straszną i krwawą odegrał rolę.

Zostawmy jednak malarstwo; o temacie tym mówiłem może i tak już zbyt wiele. Przejdźmy na chwilę do rzeźby. Rozmiłowanie się Goethego w rzeźbie klasycznej znalazło w Rzymie w licznych zbiorach antyków tak obfity pokarm, że zatopiony w podziwie tych dzieł, zapomniał, jak się zdaje, do reszty o istnieniu wszelkiej innej rzeźby. Okrzyki podziwu dla antyków spotykamy u niego na każdym kroku, niemniej też częste uwagi o plastyce w ogóle i objawy zamiłowania w tej sztuce, którą starał się też posiąść praktycznie, biorąc seryo lekcye modelowania. Pilny i pracowity, jak we wszystkiem, męczył się czas dłuższy nad jakąś głową Herkulesa, oczywiście podług antyku.

Mimo tego wszystkiego, jeżeli zapytamy, czy Goethe miał oko dobre dla rzeźby, czy był znawcą w tym dziale sztuki, to sądzę, że na pytanie to musi się odpowiedzieć przecząco. Już nawet co do antyków mam wrażenie, że podziw jego jest w znacznej części wmówiony, odnoszący się do idei raczej, aniżeli do realnego tworu.

Wybuchów entuzyazmu, najszczerszych, nie przeczę, na widok antyków wiele, ale uwag »fachowych« lub chociażby świadczących o bystrej obserwacyi nie spotykamy wcale.

Przedewszystkiem nic bardziej wmówionego jak bezgraniczny podziw dla watykańskiego Torso, który zdaniem Goethego jest najwyższem dziełem plastyki, jakie kiedykolwiek widział (»das Wunder der Kunst, der nie genug zu preisende berühmte Torso«!). Pominąwszy już to, że Torso nie jest wcale tworem wielkiej epoki i nie odznacza się pierwszorzędną techniką, mam przekonanie, że chyba anatom, specyalny znawca muszkulatury, może znaleść upodobanie i odczuć szczerą admiracyę dla Torsa, nie zaś właściwy znawca sztuki. Dzieło to bowiem jest zbyt fragmentarycznem, ażeby można w niem odczuć właściwą pozycyę ciała i ruch, a zatem momenty najbardziej esencyonalne dla ocenienia dzieła sztuki. Lubiano zawsze nadawać sobie pozory głębokiego znawstwa przez podziwianie »fragmentu«, na czem oczywiście »laik« nie potrafiłby się poznać — oto główne źródło przesadnej admiracyi Torsa, którą zaraził się także Goethe.

Dalej przemawia przeciw znawstwu Goethego okoliczność, że odlewy gipsowe antyków wprawiają go w te same niemal ekstazy podziwu, co widok oryginałów. Prawda, że odlewy te były wówczas rzadkością jeszcze wielce cenioną. Zawsze jednak fakt ten dowodzi, że nie miał Goethe dostatecznego poczucia, czem dla rzeźby jest szlachetny materyał i nie zrozumiał, że martwy ton gipsu żadną miarą nie zastępuje marmuru, zwłaszcza podniesionego szczęśliwą »patyną« wieków. Jeżeli więc Goethe, jak sam zeznaje. przed umieszczonym w sypialnym pokoju odlewem gipsowym Jowisza z Otricoli odmawiał swą »Morgenandacht«, jeżeli olbrzymi odlew Hery Ludovisi, który wraz z kopią Nozze Aldobrandine tak wymownie świadczy w weimarskim »Goethehaus« o inklinacyach poety, uważał za najwspanialszy nabytek swych zbiorów, to są to bardzo charakterystyczne cechy jego sposobu myślenia. ale z pewnością nie dowody prawdziwego znawstwa i szczerego amatorstwa sztuki rzeźbiarskiej.

Nie zapominajmy zresztą o tem, że »wiadomości« ówczesnej krytyki o rzeźbie starożytnej były w ogóle płytkie i powierzchowne. »Antyki« uważano za pojęcie jednolite; nie znano jeszcze epok rzeźby starożytnej, nie umiano odróżniać rzeźby rzymskiej od greckiej, a tę ostatnią znano tylko bardzo niedostatecznie. Wszakżeż Goethe znał

n. p. rzeźby Partenonu tylko ze szkiców pobieżnych, zrobionych przez pewnego turystę.

Cóż dopiero powiedzieć o zupełnej obojętności Goethego na wszelkie inne rodzaje rzeźby! Poznaliśmy ją już poprzednio, lecz dopiero w Rzymie mamy jej najjaskrawsze dowody.

Dziś, kiedy krytyka sztuki wyleczyła się wreszcie z nieszczęsnej »barokofobii«, przyznaje się już ogólnie, że wiek XVII aż do połowy wieku XVIII jest szczególnie w Rzymie w dziale rzeźby epoką niezmiernie produktywną, bogatą w wielkie talenty. Na czele ich jaśnieje Lorenzo Bernini, artysta niekiedy ekscentryczny i lubiący przesadę, ale geniusz najwyższej miary. I pomiędzy innymi współczesnymi mu widzimy wielu niepospolitych artystów, wszyscy zaś odznaczają się niebywałą, do doskonałości doprowadzoną techniką, wobec której, jak to najlepiej widzimy na nagrobkach papieskich we wnętrzu Św. Piotra w Rzymie, rzeźba najlepszych artystów XIX wieku wydaje się wręcz niedołężną.

Kościoły Rzymu zaludniły się w wspomnianym okresie olbrzymią ilością nagrobków i figuralnych ołtarzy, niezawsze może głęboko pojętych, często przesadnych, lecz zawsze niezmiernie dekoratywnych i w wykonaniu świetnych. Z tej tak bogatej produkcyi nie zdawał sobie Goethe wcale sprawy. W wędrówkach po Rzymie mało się interesował wnętrzami kościołów, oprócz Św. Piotra. Ale właśnie w wnętrzu Św. Piotra miał przed oczyma powódź całą rzeźb barokowych, wobec których zachowuje się wręcz obojętnie, nie wygłaszając ani słowa czy to uznania, czy też krytyki. Skoro, jak wiemy, zraził się już do sztuki baroku, toć przynajmniej arcydzieła Pallaiuola (grobowce Sykstusa IV i Innocentego VIII), o tyle żywsze mogły znaleść w jego oczach uznanie.

Klasycznym wszakże dowodem zupełnego braku rzeczywistego interesu dla rzeźby jest fakt, trudny zaiste do uwierzenia, że Goethe, podziwiając nad wszystko sztukę malarską Michała Anioła, wpadając w ekstazy przed freskami Sykstyny, pomija zupełnem milczeniem rzeźbiarskie jego prace i zdaje się nawet nie wiedzieć, że Michał Anioł w ogóle był rzeźbiarzem. Ponieważ luki tak rażącej nie możemy przypuścić w wykształceniu Goethego, więc nie pozostaje nam nic innego, jak złożyć na karb braku zainteresowania się fakt niezbity, że podobnie jak w Florencyi nie zajrzał do Nagrobków Medycejskich, tak też w Rzymie nie oglądał wcale ani nadludzkiego Mojżesza w S. Pietro in Vincoli, ani Chrystusa w Sta

Maria Minerva, wstępując zaś tyle razy do kościoła Św. Piotra, nie poświęcił nigdy bliższej uwagi cudownej Pietà wielkiego florentczyka[1]. Odczuwając wielkość Michała Anioła jako malarza, nie zrozumiał przecież Goethe tego, z czego sam mistrz zdawał sobie dokładnie sprawę, że natura jego geniuszu była przedewszystkiem rzeźbiarska, boć i postacie Sybil i Proroków są pojęte w sposób rzeźbiarski.

Co za szkoda, że Goethe nie znał rzeźbiarza Michała Anioła, jak interesujące mogłyby być jego uwagi o Mojżeszu i Nagrobkach Medycejskich!

Zaniedbanie rzeźby rodzimej, spowodowane przesadnem podziwem antyków, nie było indywidualną właściwością samego tylko Goethego, lecz symptomem choroby wieku. Czyż to nie jest charakterystycznem, że jego »ciceronowie« włoscy, n. p. tak wykształcona Angelika i Tischbein, kollekcyonujący antyki, nie zwrócili mu na to uwagi, że wartoby zaglądnąć na wzgórze Esquilinu i zajrzeć do S. Pietro in Vincoli, zamiast po raz nie wiem który oglądać antyki watykańskie raz w dzień, raz znów w nocy przy pochodniach? Czyż się dziwić można, że wobec wytwarzania się ogólnej opinii, iż imitacya, a nawet niewolnicze kopiowanie antyków jest szczytem doskonałości w rzeźbie, sztuka ta zamarła w epoce empiru niemal zupełnie?

Włochy i Francya, te dwa narody romańskie, prześcigające niezmiernie wszystkie inne uzdolnieniem do rzeźby, odznaczają się nadzwyczaj świetną epoką produkcyi na tem polu w czasie panowania

---

[1] Wymownem świadectwem niesprawiedliwego oceniania rzeźby rodzimej włoskiej pod wpływem przesadnego kultu antyków są uwagi, które rzeźbie poświęca Stendhal w swych »Promenades dans Rome«, pisanych w czterdzieści już lat po podróży Goethego. Krytykuje on nie tylko niezmiernie surowo rzeźbę baroku, ale nawet o wspomnianych powyżej trzech rzymskich rzeźbach Michała Anioła, które wylicza jako godne widzenia ciekawości Rzymu, wyraża się w następujący sposób: »Vous trouverez tout cela fort laid, et serez étonné de l'honnorable mention que j'en fais ici«. W opinii »znawców« ówczesnej doby zgasły wszystkie gwiazdy rzeźbiarskiej sztuki włoskiej od Jakóba della Quercia począwszy aż do Berniniego, a w miejsce ich zabłysła jedna jedyna tylko światłość apostoła nowego kierunku, Antonia Canovy. Otóż nie da się zaprzeczyć, że ten ostatni, to talent sympatyczny, i mimo zasadniczej imitacyi antyku niepozbawiony indywidualności i w tem znacznie wyższy n. p. od Thorwaldsena, lecz jest to przecież rodzaj rzeźby mdły, zbyt wymuskany, pozbawiony szczerej energii i ożywczej siły.

baroku i rokoko, Włochy z Berninim, Francya zaś, chronologicznie znacznie później, z Houdonem na czele. Nagle ze zbliżaniem się teoryi stylu empire, produkcya ta zamiera zupełnie. Kult przesadny antyku, choć spowodowany interesem dla sztuki i chęcią właśnie podniesienia, uszlachetnienia rzeźby, stał się w istocie jej wrogiem, bo sławiąc niewolniczą imitacyę i kopię, zadał cios śmiertelny wszelkiej śmielszej, oryginalnej produkcyi.

Wypada mi jeszcze zaznaczyć stanowisko Goethego wobec architektonicznych pomników chrześcijańskiego Rzymu. I tu uderza nas podobny brak zainteresowania się, jaki widzimy u niego wobec rzeźby. Świat ruin rzymskich zbyt żywo zajmował umysł Goethego, myśl jego zwykła była ulatywać ku wspomnieniom wielkiej starożytności. Z wrażeniami temi świat chrześcijański i jego pomniki nie mogły wytrzymać rywalizacyi. Do tego styl przeważnej ilości kościołów rzymskich, oraz owe epoki sztuki, które tu głównie są reprezentowane, nie odpowiadały jego upodobaniom. Palladia tu Goethe nie znalazł, ani w ogóle stylu, zbliżonego do znanych nam, tak ekskluzywnych jego predylekcyj w dziedzinie architektury. W chrześcijańskim Rzymie panuje barok na całej linii, bo kościoły rzymskie albo powstały w tym okresie czasu, albo też przeszły przynajmniej przez bardzo znaczne rekonstrukcye i przeobrażenia. Kto więc nie lubi baroku, dla tego Rzym chrześcijański traci dziewięć dziesiątych swej artystycznej wartości. Tymczasem Goethe był już widocznie gruntownie zrażony do barokowego stylu.

Druga właściwość Rzymu, styl starochrześcijańskich bazylik, musiała się Goethemu wydawać, podobnie jak gotyk i romańszczyzna, które lekceważył, czemś zbyt prymitywnem i nierozwiniętem. Niewątpliwie też miał niechęć do starochrześcijańskich budowli już z tego powodu, bo powstały one z odarcia świątyń pogańskich z ich świetności.

Chociaż więc niewątpliwie zwiedzał wszystkie ważniejsze kościoły Rzymu, nie przekazał nam jego pamiętnik objawów żywszego uznania lub chociażby zainteresowania się ich architekturą, dekoracyą lub zawartymi w nich zabytkami. Uszła więc uwagi Goethego nawet owa, jedyna w swym rodzaju piękność wspaniałych, wielkich bazylik rzymskich, w których z prostotą architektury, podniesionej szlachetnym materyałem lasu starożytnych kolumn, łączy się bogata, a pełna gustu zarazem, dekoracya barokowa. Kościoły takie, jak: Sta Maria Maggiore, Sta Maria in Trastevere, Sta Ma-

ria Aracoeli i S. Paolo fuori le mura (jakim był ten kościół przed katastrofą pożaru), nie tylko przedstawiają w swych zabytkach i pamiątkach pełen najżywszego interesu obraz sztuki chrześcijańskiej począwszy od najdawniejszych czasów. tworząc w ten sposób żywą historyę świetności katolickiego kultu, ale zarazem dowodzą, w jak harmonijną całość zlać się może starożytna prostota w założeniu z przepychem późnej dekoracyi. Żałować tylko przychodzi, że ciasne i jednostronne teorye estetyczne, wszczepione w Goethego, nie pozwoliły duszy jego odczuć całej piękności tych świątyń, będących istnymi klejnotami chrześcijańskiego Rzymu.

Z kościołów tylko Św. Piotr interesował go żywo, i to nie tyle w szczegółach, ile jako wrażenie całości. Oczywiście i tu efekt tej najwspanialszej na świecie świątyni katolickiej psuli mu swemi krytykami esteci puryści, zwolennicy klasycznego stylu. Wszakżeż od chwili potępienia baroku słyszeliśmy aż po nasze czasy ciągłe tylko ubolewania nad zdefigurowaniem wnętrza Św. Piotra przez artystów epoki baroku, lamenty, będące wynikiem małostkowości i filisterstwa pseudo-znawców, nieumiejących odczuć charakteru i ducha epoki, w której to wielkie dzieło powstało. I myśmy się przed niedawnymi jeszcze laty nasłuchali dość owych słów potępienia pod adresem »katedry« i »baldachimu« Berniniego i wielu innych szczegółów dekoracyi tej wspaniałej świątyni.

Dziś dopiero czuję w całej pełni, jak niesłuszne były wszystkie te zarzuty. Olbrzymie rozmiary kościoła Św. Piotra i niesłychany przepych w materyale budowlanym wymagają właśnie, zdaniem mojem, »wielkiego gestu« w dekoracyi wnętrza, którego mogła użyczyć tylko sztuka baroku. Przesada pewna tu nie szkodzi wcale, przeciwnie, skromność i prostota kłóciłaby się tu z całością stylu i robiłaby wrażenie afektacyi. Wspaniała poza baroku była nadto w zupełnej harmonii z epoką świetności papiestwa, umiała stworzyć ramy, właściwe przepychom kultu i ceremoniału, a zarazem dać wyraz światowej potęgi Watykanu.

Goethe powracał do kościoła Św. Piotra chętnie i z upodobaniem. Znajdujemy w pamiętniku ustęp niezmiernie znamienny, świadczący, że mimo wszelkiej krytyki, którą go karmiono, umiał odczuć wielkość i potęgę tej świątyni i wznieść się ponad drobnostkowość podnoszonych zarzutów. W tych słowach mamy dowód, że dusza jego była przystępną zawsze dla wszelkich prawdziwie wielkich wrażeń, nawet wbrew mylnym teoryom, które weń wpojono.

»Wir ergötzten uns, mówi on, als gemessende Menschen, an der Grösse und Pracht (der Peterskirche), ohne durch allzu eklen und zu verständigen Geschmack uns diesmal irre machen zu lassen, und unterdrückten jedes schärfere Urteil«. W tych słowach znać walkę między »wrażeniem« trafnem i dodatniem a »sądem krytyki« ujemnym i mylnym, ze zwycięstwem, tym razem, wrażenia, podyktowanego mu przez zdrowe poczucie wspaniałości i piękna.

Żegnamy się teraz z pobytem poety w Rzymie i będziemy mu dalej towarzyszyli w wędrówce do Neapolu i Sycylii. Tu wszakże znajdziemy w listach jego i pamiętniku znacznie mniej nowego materyału do ocenienia jego stanowiska wobec sztuki. Podróż bowiem dalsza na południe miała dla Goethego w mniejszym stopniu cel kształcenia się w dziedzinie artyzmu i nauki, aniżeli chęć poznania kraju, o którym marzył zdawna i »rajskim« często nazywał, oraz charakteru ludności.

Miłośnik gorący i subtelny znawca piękności przyrody, rozkoszuje się więc Goethe urokiem nieba i widoków neapolitańskich i liczne o tem, niemniej jak i o charakterze ludności, zamieszcza uwagi. Odbywa częste wycieczki, jak n. p. kilkakrotnie na szczyt Wezuwiusza, przyczem spostrzeżenia z dziedziny geologii i botaniki żywo go zajmują.

Oczywiście, że świat antyków był mu i tu najdroższą atrakcyą, a więc rozumie się samo przez się, iż tak sławnym zbiorom farnezyjskim, które przeszły na własność neapolitańskiego dworu, jak i wykopaliskom w Pompei poświęca liczne uwagi.

Odkrycie szczątek zniszczonych przez wybuch Wezuwiusza miast rzymskich było wówczas jeszcze zdarzeniem stosunkowo nowem. To bliższe zapoznanie się i spoufalenie z prywatnym światem Rzymian, wglądnięcie w estetykę ich domowego życia, zelektryzowało cały świat kulturalny i przyczyniło się niepomiernie do wzmocnienia klasycznego kierunku w sztuce. Szczęśliwszy od Schillera, który tylko śnił i marzył o Herculanum i Pompei, oglądał Goethe ruiny kilkakrotnie i robi o wybuchu wulkanu, któremu zawdzięczamy wykopaliska, tę trafną uwagę, iż na tyle rozmaitych katastrof, trafiających ludzkość, ta jedna przynajmniej nie była bezowocną, bo potomności olbrzymią sprawiła przyjemność.

Dla dzieł sztuki chrześcijańskiej okazuje Goethe w Neapolu obojętność jeszcze większą, aniżeli w Rzymie. Kościoły neapolitań-

skie, w cenne pomniki o wiele bogatsze, niż sądzą o tem zwykli, pobieżnie tylko miasto zwiedzający turyści, nie zdołały pozyskać uwagi poety, nie wyłączając nawet imponującej katedry wraz z bogatą, słynącą z kosztowności i cudów kaplicą św. Januarego.

Bardziej od neapolitańskich piękności dzieł sztuki zafrapowała snać Goethego sławna żyjąca piękność, którą miał sposobność tamże podziwiać — Emma Hart, późniejsza Lady Hamilton. Nie mogę się powstrzymać od poświęcenia choćby kilku zdań tej ciekawej neapolitańskiej znajomości Goethego, chociaż to właściwie wychodzi poza temat mej rozprawki.

Sir William Hamilton, ówczesny ambasador Anglii przy dworze neapolitańskim, zaprodukował Goethemu swą przyjaciółkę i już wówczas towarzyszkę życia (obyczaje XVIII w. nie były zbyt surowe, nawet dla dyplomatów), przepiękną Emmę w swych sławnych produkcyach choreograficznych. Było to jej specyalnością przybierać z niezmierną gracyą przy stosownem udrapowaniu najrozmaitsze malarskie i skulpturalne pozy. Goethe daje nam barwny tej sceny opis, zwąc piękną Emmę w tej roli »żyjącą statuą«.

Emma Hamilton, która następnie jako kochanka Nelsona historyczną odegrała rolę, jest ciekawym przykładem, jak przy sprzyjających okolicznościach sama piękność, ten dar natury, przemijający najszybciej ze wszystkich, wystarcza, by zapewnić nieśmiertelną sławę. Prócz wielkiej piękności i daru uwydatnienia jej, nie posiadała bowiem ex-buketierka uliczna żadnych zgoła przymiotów, ani rozumu, ani przebiegłości, ani nawet braku serca, tak pożytecznego z reguły w zawodzie kurtyzany. A jednak rozgłos jej światowy jest bardziej ufundowany i popularny, niż największych dobroczyńców ludzkości. I sława ta niezasłużoną nie jest. Bo podobnie, jak piękność Heleny była ważnym czynnikiem natchnienia Homerowskiej poezyi, podobnież i urok Emmy był źródłem świetnych inspiracyj. Najznakomitsi malarze współcześni: Reynolds, Tischbein, Lawrence, Pani Vigée-Lebrun i inni, a przedewszystkiem Romney (ten ostatni malował »muzę swą« przeszło pięćdziesiąt razy) stworzyli arcydzieła pod wrażeniem jej wdzięków, a bohater Bellony, Nelson, przed którym drżała Francya za czasów najświetniejszych wielkiego Korsykanina, umierał podczas zwycięstwa pod Trafalgar wpatrzony w portret czarodziejki i zostawił nam w spuściźnie tomy listów miłosnych do niej, tak płomiennych, iż rywalizują z najnamiętniejszemi wynurzeniami Romea.

Któż się temu dziwić może, że Goethe, będąc już w południowych Włoszech, zapragnął koniecznie uzupełnić swą podróż pobytem w Sycylii, mimo wielkich trudności, z któremi wyprawa ta w owych czasach była połączoną? Wszakżeż sławna ta wyspa tak dla miłośnika natury, jak i dla każdego interesującego się historyą, sztuką, pamiątkami starożytności i poezyą grecką, to prawdziwie kraj obiecany, świat marzeń, uroku pełen.

Podobnie jak w życiu ludzi, podobnie też i w historyi krain, los w bardzo rozmaity i nierówny sposób rozdziela bogactwo i intenzywność wydarzeń na poszczególne jednostki; tu życie upływa nudno, w jednostajnej monotonii, tam najeżonem jest niezwykłymi wypadkami i wrażeniami. Jeden z przyjaciół moich, oprowadzając mnie pewnego razu po swych dobrach i zwracając uwagę na piękny, poważny i prawie groźny charakter pejzażu rzekł: »Czy nie znajdujesz, że widok ten robi wrażenie »krajobrazu historycznego?« Co za szkoda, że się tu właściwie nigdy nic godnego uwagi nie wydarzyło!«

O Sycylii tego nie powiemy! Bogactwo wydarzeń tej sławnej wyspy imponuje, zadziwia i przejmuje grozą. Ileż wspomnień poetycznych, ileż wydarzeń krwawych, ile uroczych mitów i ile strasznych zbrodni się z nią łączy! Ile warstw kultury przeszło przez ten kraj, będący punktem centralnym śródziemnego morza, tego basenu cywilizacyi europejskiej! I już snać natura sama wysiliła się na wytworzenie wyjątkowych efektów tej krainy, strojąc ja w wspaniałą konfiguracyę gór, zestawiając nagie skały i pustki ponure w kontrast z najbujniejszą wegetacyą, otaczając ją w ogóle czarami piękności, zarazem zaś tworząc z niej teatr swych najsroższych, wyrafinowanych okrucieństw.

Wskutek znanych nam już gruntownie upodobań artystycznych i teoryj, którym hołdował Goethe, miała oczywiście sławna wyspa dlań urok potężny, choć jednostronny nieco. Była mu ona bowiem wyspą przedewszystkiem reminiscencyj klasycznych, krainą, z którą się łączą mity homerowskich poezyj i gdzie wśród bujnej południowej wegetacyi rozpadają się ruiny dawnej świetności miast greckich.

Dla Sycylii średniowiecznej i czasów późniejszych nie ma Goethe ani należytego interesu, ani zrozumienia. Możemy nad tem tylko ubolewać, gdyż pod względem pomników sztuki, Sycylia Normanów z domieszką elementów bizantyńskich i maurytańskich ma urok nie-

zrównany, a także i barok sycylijski, pokrewny, bo zostający pod wpływem Hiszpanii, stworzył dzieła świetne, niespożytej wartości. Ciasną więc była nieco Sycylia Goethego i większa część jej zabytków uszła jego uwagi; za to umiał on świat klasyczny i jego wspomnienia odczuć o tyle intenzywniej.

Bóstwa morza i wiatrów nie były łaskawe dla naszego poety-żeglarza, ani gdy dążył do klasycznych wybrzeży, ani też gdy je z powrotem opuszczał. Podróż trwała z Neapolu do Palerma pełnych cztery dni i tyleż także powrót z Messiny do neapolitańskiej zatoki, obie zaś te przeprawy były urozmaicone wiatrem niepomyślnym, nawet burzą budzącą pewne niebezpieczeństwo, a co gorsze, i mniej poetyczne, silną chorobą morską. Mimo tego pozostawił nam Goethe bardzo żywe opisy tych przepraw, w ciągu których odczuł senzacye tak dobrze mu znane w poezyi z homerowskich opisów tułaczki po morzach. Wrażenia te, jak mówi, były mu najlepszym komentarzem Odyssei, która dopiero odtąd stała się dlań prawdziwie »żywem słowem«.

My, którzyśmy już tylko na pokładzie parowców zbliżali się do sławnych wybrzeży, nie mogliśmy się łudzić odczuwaniem Odyssejskich wrażeń. A cóż dopiero powiedzieć o tych, co korzystając z parowego promu między S. Giovanni a Messiną, nie wysiadają nawet z wagonów sypialnych w przejeździe od Scylli do Charibdis, której to ostatniej zresztą, wbrew zdaniu Homera i Goethego, dopatrzeć się nigdzie nie można.

Nie będziemy naszemu poecie towarzyszyć w poszczególnych miejscach pobytu. Zaznaczenie ogólnego wrażenia, które jego diarium przedstawia, o tyle bardziej wystarczy, ile że niewiele w niem znajdujemy materyału, odnoszącego się do sądów o sztuce.

Opis pobytu w Sycylii jest w ogóle żywy i interesujący, obfituje w piękne szkice efektów natury i zawiera wiele zajmujących szczegółów, dających charakterystyczny obraz trudności i niewygód, połączonych ze zwiedzaniem tego kraju w owych czasach. Sztuką wszakże zajmował się umysł Goethego w ciągu tej wędrówki stosunkowo niewiele. Nawet ustępy, poświęcone sławnym ruinom greckich świątyń w Segeste i Girgenti, nie tchną tak silną dozą entuzyazmu, jakiego po Goethem spodziewaćbyśmy się mogli.

Syrakuzę Goethe zaniedbał zwiedzić, obierając w drodze z Girgenti ku Catanii przejazd przez środek kraju. Była to myśl nieszczęśliwa, spowodowana mylną informacyą, iż ze sławnej Syra-

kuzy »nic więcej nie zostało, jak tylko imię wspaniałe«. Tak nie jest, jak wiemy, i nie było też za Goethego czasów. Opuszczając Syrakuzę, pozbawił się Goethe wielu wrażeń pięknych i bogatych, odpowiadających właśnie owemu nastrojowi klasycznemu, w którym się lubował tak bardzo.

Jako wspomnienie Taorminy pozostawia nam Goethe opis owego sławnego, niezrównanie uroczego widoku z wzgórza ponad ruinami teatru greckiego. Zresztą wszakże bogate piękności architekturalne Taorminy nie zrobiły na nim dostatecznego wrażenia.

Z pobytu w Messinie daje Goethe opis przejmującego spustoszenia, spowodowanego strasznem trzęsieniem ziemi, które dotknęło miasto w czas nie dawny przed jego podróżą. Zdaje nam się, że to opis prawie aktualny dziennikarskiego reportera z przed kilku laty. Straszna katastrofa powtórzyła się po stu dwudziestu kilku latach w ponownem, jeszcze o wiele okropniejszem wydaniu, bo Goethe wspomina o dwunastu tysiącach zabitych, a trzydziestu tysiącach bezdomnych, podczas gdy skutki trzęsienia r. 1909 były jeszcze nierównie okropniejsze. Gdym w krótki czas po tej katastrofie oglądał Messinę, przypomniał mi się żywo opis Goethego. Wrażenie jednak, które ja odniosłem, było jeszcze smutniejsze. Piękne i dobrze mi znane kościoły Messiny, o których wspomina Goethe, że zwycięsko oparły się sile trzęsienia, stoją mi dotąd żywo w oczach z rozdartemi ścianami i zburzonymi ołtarzami. Patrzałem na nie z podobnem uczuciem, jak ktoś, który agnoskuje zdefigurowane trupy swych drogich przyjaciół.

Z całego pobytu w Sycylii czas stosunkowo najdłuższy, bo przeszło dwa tygodnie, przypada na Palermo, pierwszą stacyę Goethego na wyspie. Z notatek jego, tyczących się tego miasta, najbardziej ujmującym jest opis ekskursyi na Monte Pellegrino do grobowej groty św. Rozalii. Tu przecież wyjątkowo umiał Goethe odczuć w całej pełni, bez niepotrzebnej krytycznej domieszki, czar naiwnego, zmysłowo-estetycznego kultu świętych, któremu we Włoszech tak wiele ujmujących zawdzięcza się wrażeń. Opis jego przyczynił się niepomiernie do spopularyzowania patronki Palermа także wśród cudzoziemców.

Zresztą jednak pod względem wrażeń artystycznych zawodzi nas Goethe w Palermie zupełnie. Rozkoszował się pięknością przyrody, przeglądał skwapliwie zbiory antyków, ale zamknął oczy na najwspanialsze klejnoty sztuki chrześcijańskiej, w które tak bo-

gatą jest stolica Sycylii. Co do kościołów palermitańskich zauważał tylko ich przepych dekoracyi, lecz wyraża się o nim z niechęcią i niezadowoleniem, niedopatrując się w nim niczego więcej, prócz złego smaku.

Wspaniała zewnętrzna piękność katedry nie uderzyła go snać wcale. Cudownych, mozaikami pokrytych wnętrz Martorany i Capella Palatina, gdzie naiwne kompozycye wraz z barwną dekoracyą łączą się w całość nie do opisania piękną i interesującą, nie oglądał może nawet.

Nic bardziej nie charakteryzuje obojętności jego na podobne wrażenia, jak opis wycieczki do Montreale. Zajmuje go widok z wzgórza i medale starożytne, które znalazł w klasztornym zbiorze. Natomiast ani słowa o sławnej katedrze, o niesłychanie imponującem jej wnętrzu, słynącem z bogactwa starożytnych mozaik, ani słowa też o niezrównanie pięknem klasztornem »cortile«, które zachwyca oko zarówno harmonią całości, jak i wdziękiem szczegółów dekoracyi.

Równie niesprawiedliwym był też Goethe i dla kościołów palermitańskich epok późniejszych. Przeładowany z reguły zbyt bogatą dekoracyą styl sycylijskich kościołów z epoki baroku niesłusznie uważa ogólnie jako objaw złego smaku. Przesada pewna w ozdobieniu wnętrza, nagromadzenie zbyt wielu szczegółów dekoracyjnych, nie zawsze ze sobą zgodnych, wcale nie jest jeszcze zepsutym smakiem, jak to sądził Goethe, który n. p. potępia wręcz wszelki, zbyt bogaty styl »jezuickich« budowli. Na zdanie Goethego wpływało, oprócz teoryi Palladia, zapewne i to, iż oko jego na północy było przyzwyczajone raczej tylko do nudnych i nagich ścian kościołów protestanckich. Wielu krytyków z krajów protestanckich mylnie sądzi, że powadze świątyni bożej odpowiada najlepiej monotonia lub nudna pustka nagich murów, wskutek czego nie mogą być sprawiedliwi w ocenieniu piękności kościołów południowych narodów romańskich, a więc tak Włoch, jak przedewszystkiem Hiszpanii, z którą kościoły Neapolu i Sycylii mają wiele pokrewnych rysów.

Niezwrócenie należytej uwagi na barok miało oczywiście i ten skutek, że Goethe wcale się nie mógł zaznajomić bliżej z rzeźbami mistrza barokowego Serpotty, które podziwiamy w wielu kościołach i oratoryach Palerma. Mistrz ten, mimo że tworzył prawie wyłącznie w kruchym materyale »stucca« i w działalności swej nie wyszedł poza rodzinne swe miasto, zasługuje na światową sławę

jako jeden z najśmielszych i najgenialniejszych rzeźbiarzy, a prace jego należą do prawdziwych skarbów artystycznych uroczej stolicy Sycylii.

Z powrotnej podróży Goethego nie mamy, od chwili kiedy się pożegnał z Rzymem po powtórnym tamże pobycie, żadnych wspomnień. Spieszył się do ojczyzny, zatrzymywał jak najmniej w drodze i nie notował wrażeń. Mamy wszelki powód przyjąć, że nie uzupełnił też owych luk w zwiedzeniu kraju na północ od Rzymu, które pośpiech w drodze ku Rzymowi spowodował[1].

Samo pożegnanie się z Rzymem jest prawdziwie efektowne, wzruszające nawet. Ostatnie jego spojrzenie i westchnienie jest skierowane ku ruinom starożytnej Romy. Forum i Colosseum żegna w świetle pełni księżyca z uczuciem, że tych wrażeń nie odczuje więcej w życiu. My dziś, wskutek ułatwionych komunikacyj, nie znamy tego uczucia i rozstając się z drogimi przedmiotami na obczyźnie, możemy zawsze pocieszać się nadzieją, że do nich powrócimy jeszcze. Pożegnanie Goethego ze starożytnym Rzymem ma w sobie coś patetycznego. Wchłania on pełną piersią w ostatniej jeszcze chwili drogie mu wrażenia pragnąc, ażeby intenzywność wspomnienia wystarczyła mu jako siła ożywcza na cały przyszły przeciąg życia.

Ogólne wrażenie, które odnosimy ze wspomnień Goethego o Włoszech, jest niezaprzeczenie, mimo wielu błędów w sądach, miłe i dodatnie. Postać poety uwydatnia się na tle italskiej ziemi nie tylko z efektowną plastyką, ale zarazem sympatycznie, a chwilami nawet wspaniale.

Natomiast trudnoby było przyznać, iż Goethe poznał i ocenił trafnie świat, życie, ludzi, sztukę i kulturę włoską. Mimo dążenia szczerego do uniwersalności, mimo wysileń, by badać gruntownie, a osądzać objektywnie i sprawiedliwie, pozostaje Goethe przez czas cały swego długiego pobytu obcym wśród italskiego otoczenia. Zbyt wielka przepaść dzieli germańskiego myśliciela, wychowanego we wręcz innym świecie i odmiennych pojęciach, od południowego świata romańskiego szczepu, by mógł się tu choć w części zaakli-

[1] Wiemy wszakże, że wracając zatrzymał się Goethe w Medyolanie, gdzie oglądał »ostatnią Wieczerzę Leonarda da Vinci«. Znane uwagi jego o tem dziele były jednak pisane o wiele później, nie pod wrażeniem oryginału, lecz raczej na podstawie wielce cenionej wówczas ryciny Rafaela Morghen'a.

matyzować, wżyć we włoski sposób czucia i myślenia. To też nie możemy się powstrzymać od mimowolnego uśmiechu, gdy czytamy u Goethego, iż przypisuje sobie już po krótkim czasie pobytu wcale dokładne znawstwo natury włoskiego ludu i świata.

Nie, Goethe Włoch nie znał prawdziwie i nie mógł ich poznać, bo patrzał na świat i sztukę przez pryzmat fałszywy. Przejmował się zresztą naprawdę prawie wyłącznie tylko tem, co mu się zdało być wzniosłem, a i tu kult przesadny antyków czynił go jednostronnym, nie doceniał zaś tego wszystkiego, co na ziemi włoskiej w życiu ludu i jego objawach jest uroczem, miłem, często dziecinnem i tchnącem naiwnym humorem.

Nawet wyobrażenia jego o świecie klasycznym i starożytnej sztuce nie były w gruncie zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. Świat klasyczny potężnem był dlań źródłem natchnienia, lecz podobnie, jak Schillera »Götter Griechenlands« przesiąknięte niemieckiem romantycznem marzycielstwem, nie są mitologią klasyczną, podobnież nie jest realnym światem starożytnym ów klasycyzm, który spotykamy w licznych dziełach poetyckich Goethego. Poeta przedstawia nam się w tych pracach przeważnie jako głęboki myśliciel północy o wzniosłej, lecz mimo zmysłowości, nieco pedantycznej kulturze, przesiąkniętej wpływem etykiety małych dworów niemieckich, który ad hoc przywdziewa togę starożytną i w nią się drapuje. Lecz jeżeli świat rzymski i grecki w koncepcyi Goethego nie jest prawdziwym, to przez to nie chcę wcale obniżać jego poetyckiej wartości. Przeciwnie, ów klasycyzm Goethego jest wielki i piękny i niewątpliwie szlachetniejszy od tego, jaką w istocie była kiedyś rzeczywistość świata starożytnego.

Goethe przybył do Włoch, ażeby rozszerzyć swój widnokrąg myśli. Nie zyskał tam wprawdzie wszechstronnego zrozumienia kraju i sztuki włoskiej, ale znalazł za to rzecz o wiele donioślejszą, bo bogate źródło poetyckiego natchnienia, a pobyt jego włoski wywarł potężny i użyźniający wpływ na dalszą jego literacką produkcyę. Bez zetknięcia się z ziemią włoską nie stałby się on tym wzniosłym mistrzem myśli i natchnionym olimpijskim poetą, którym go później widzimy, nie stałby się owym potężnym apostołem międzynarodowej kultury. Już w czasie pobytu we Włoszech widzimy zbawienny wpływ ziemi klasycznej na jego dzieła, a wiadomo, że pracował wówczas nad takiemi arcydziełami dramatycznej poezyi, jak Iphigenia, Torquato Tasso i Egmont. Wpływ ten nie słabnie też

i później, promienie italskiego słońca oświecają twórczość poety aż do najpóźniejszej starości.

Śladami Goethego zdążały setki i tysiące turystów z krajów germańskich corocznie do Włoch, a ilość ich w obecnych czasach rośnie z dniem każdym. Prócz tłumu ciekawych było między nimi w ciągu 19 wieku wielu uczonych historyków sztuki i rzekomych znawców, estetów i krytyków. Zaopatrzeni nieraz w wielki zapas wiedzy, nie lenili się oni przed przedsięwzięciem studyów gruntownych, a często też i uciążliwych prac archiwalnych, ale duchowi narodu włoskiego, charakterowi jego sztuki pozostali, prawie bez wyjątku, obcy.

Instynkt narodowy włoski nie lubi »Tedesca« i uważa go za przybysza niechętnego, pozbawionego prawdziwej sympatyi dla właściwości italskiego ludu i ziemi. Czasy najeźdźców z północy minęły wprawdzie; niemiecki krytyk sztuki nie był wrogiem, lecz raczej przyjacielem, niekiedy nawet entuzyastą Włoch. Tymczasem i ci przyjaciele mylnemi teoryami, filisterskiem klasyfikowaniem dzieł sztuki podług jakiegoś pedantycznego systemu formułek estetycznego piękna, niezmierną sztuce i lubowaniu się w niej wyrządzili szkodę. Mieli oni jednostronność Goethego, nie mając ani krzty jego geniuszu.

Goethe zaledwo drobną część skarbów sztuki włoskiej spostrzegł, ale i ta wywołała w nim porywy entuzyazmu i natchnienia; resztę zignorował zupełnie. Stokroć gorzej obeszli się ze sztuką włoską jego następcy, późniejsi krytycy z północy. Zapoznali się oni wprawdzie ze sztuką gruntowniej, lecz na podstawie niedorzecznych swych teoryj olbrzymie działy i kierunki sztuki potępili i zeszkaradzili, odsądzili od wszelkiej wartości. Gdyby to było w ich mocy, jakże chętnie byliby wykreślili i wytępili z historyi sztuki rozmaite peryody bujnej i oryginalnej produktywności dla tego tylko, bo była ona niezgodną z ich marnemi formułkami piękna! Iluż z pomiędzy nich byłoby z rozkoszą śmiałkom baroku w rodzaju Berniniego nałożyło karę odrysowania po sto razy frontonu Partenonu lub głowy Minerwy podług gipsu!

Niesprawiedliwością wprawdzie byłoby utrzymywać, że owe fałszywe estetyczne teorye jedynie w niemieckich wylęgły się głowach. Faktycznie jednak Niemcy najsilniej za nie są odpowiedzialni, bo dali oni do nich impuls już przez Winkelmanna i Les-

singa i więcej od innych narodów dołożyli starań, by mylne teorye ująć w pozory naukowego systemu.

Kształciłem się i ja jeszcze w młodości na tych teoryach, które dawały nam niezbyt wiele realnej wiedzy, pomięszanej z mnóstwem przesądów. Śmiało mogę powiedzieć, że dopiero coroczne prawie wycieczki przez przeszło lat dwadzieścia do Włoch, połączone z pilną obserwacyą, wyleczyły mnie ze śladów wszczepionych mi dawniej mylnych zapatrywań.

Kto jako artysta lub poeta szuka natchnienia i zapału we wzorach artystycznych przeszłości, temu wolno w sądach i upodobaniach być jednostronnym. Dla twórczości bowiem potrzebnem jest namiętne rozmiłowanie się w pewnym specyalnym artystycznym kierunku, podczas gdy uniwersalność tu raczej szkodzi. Dla tych Goethe dobrym i naśladowania godnym jest wzorem.

Nie jest on nim wszakże dla tych, którzy w zetknięciu się ze sztuką szukają przedewszystkiem rozszerzenia własnego artystycznego wykształcenia i upodobania, wszechstronnego zrozumienia obcej kultury. Jeszcze gorszymi zaś dla tych osób wzorami są następcy Goethego, krytycy, którzy jego upodobania ujęli w ciasne formy estetycznych kodeksów. Tych przedewszystkiem strzec się powinniśmy i pamiętać o tem, że nie rozumowa formuła estetyczna, wymyślona przez uczonego teoretyka, lecz żywe odczucie i wszechstronna wrażliwość estetyczna są źródłem poznania i ocenienia wartości sztuki w jej najrozmaitszych objawach.

Miniatury tynieckich ksiąg liturgicznych
w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie.

Napisał

Władysław Podlacha.

Z 1 tablicą.

Wśród rękopisów lwowskiej Biblioteki Uniwersyteckiej znajdują się trzy księgi pergaminowe, zapisane w inwentarzu pod wspólną liczbą 413 i określone jako »kancyonał tyniecki«. Notatki na kartach i okładkach ksiąg i dawniejszy krótki opis, uskuteczniony w r. 1818 przy sposobności oddawania przez rząd austryacki bibliotek ze zniesionych klasztorów uniwersytetowi lwowskiemu, są wskazówką, że omówione niżej księgi były pierwotnie własnością opactwa Benedyktynów w Tyńcu i że dostały się do zbioru uniwersyteckiego razem z cenną biblioteką tyniecką [1]. Nie są to, na ogół biorąc, zbyt wybitne dzieła kaligrafii i sztuki malarskiej, nie dorównują owym świetnym kodeksom współczesnym, które spotykamy we Włoszech, Francyi, Czechach lub choćby w Niemczech, nabierają jednakże pewnego znaczenia wobec niezbitych poszlak, że powstały na miejscu w Polsce, a następnie wobec tego, że w braku dostatecznej liczby materyałów do dziejów malarstwa polskiego na

[1] W spisie książek tynieckich z r. 1818 zanotowano przy końcu z powołaniem się na liczbę aktu gubernialnego 44389/817 przejęcie dwóch graduałów, pisanych pięknie na pergaminie i żywemi barwami illuminowanych, jakoteż dwóch antyfonarzy »von ganz gleicher Beschaffenheit«. Oznaczenie chronologiczne ksiąg jest mylne. Por. Verzeichniss der aus der Tyniecer Benedictiner Kloster-Bibliothek für die lemberger Universität ausgehobenen Bücher im 818 (Rękopis nr. 264 w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie). Na szczegółach tego spisu opiera się wzmianka, którą pomieścił Dudík B., Archive im Königreiche Galizien und Lodomerien, Wien 1867, 117.

przełomie XIV i XV wieku dwa z nich są w każdym razie interesującym przyczynkiem, pomnażającym naszą wiedzę o stanie kultury artystycznej, która panowała w Polsce po klasztorach na początku okresu jagiellońskiego. Każda z ksiąg stanowi osobną dla siebie całość i posiada w miniaturach własny styl, który w różnym kierunku obudza zaciekawienie badacza. Pod względem treści dwie księgi są pełnymi graduałami, jedna antyfonarzem »de tempore«. Pod względem chronologicznym pierwszeństwo należy się antyfonarzowi, sporządzonemu dla opata Mścisława prawdopodobnie jeszcze w XIV stuleciu, drugie miejsce graduałowi w oprawie z datą 1569, przynależnemu do pierwszej połowy XV wieku, na trzeciem miejscu wypadnie położyć drugi graduał, illuminowany w ciągu XV wieku. Temu datowaniu, urobionemu na podstawie stylu miniatur, odpowiadają (względnie nie sprzeciwiają się) paleograficzne znamiona tekstu.

Ogólne tło artystyczne.

Wiek XIV jest okresem, w którym tradycye romańskie, opanowujące miniatorstwo polskie poprzednich stuleci, zwolna ustępują miejsca nowym sposobom zdobienia ksiąg liturgicznych. W świadomości illuminatora zjawiają się podniety artystyczne, które skierowują jego uwagę na świat zewnętrzny, tak dotąd mglisty i niejasny, a z niemi rodzą się nowe formy ujmowania przedmiotów, godzące w dekoracyjny wyłącznie charakter miniatury, posuwa się naprzód umiejętność modelowania i nadaje przedstawionym przedmiotom wygląd bryłowatości, zamiast złoconego lub ornamentalnego tła zaczyna wchodzić w praktykę, choć nie powszechnie, nowa optyczna konstrukcya głębi, zmierzająca do przedstawienia figur i przedmiotów jako istniejących w przestrzeni. Zdobycze powyższe nie były wytworem ducha północnego, choć przygotowywały się powolnie od XIII wieku w postaci luźnych materyałów artystycznych także na gruncie północnym. Illuminowane kodeksy włoskie i francuskie, w których podobne pojmowanie problemów malarskich ustaliło się w ciągu XIV wieku, były głównem źródłem nowatorstwa. Szczególnie w Czechach, które pod rządami domu luksemburskiego stały się wybitnem ogniskiem sztuki w środkowej Europie, wydało illuminatorstwo pod wpływem wzorów francuskich i włoskich cenne okazy i wyrobił się w tym dziale twórczości lokalny typ zdobnictwa. Odrębność jego zasadza się na sposobie zdobienia brzegów

karty i na sposobie łączenia scen figuralnych z inicyałami, umieszczonymi na początku ustępów. Z reguły inicyał jest otoczony prostokątną ramą. pośredniczącą między nim a kolumną tekstu; wewnątrz inicyału lub pomiędzy jego ramionami znajduje się scena figuralna, illustrująca wydarzenie, opisane obok w wierszach tekstu, a prawie zawsze komponowana w związku z architektoniką inicyału i od niej zależna. Poza inicyał wybiegają na margines wypustki roślinne; między niemi widać epizody. do których dostarczył treści tekst księgi, albo też znachodzą się luźne szczegóły, niepołączone myślowo z tekstem, jak n. p. figury ludzkie, herby, motywy żartobliwe (drôleries) i epizody, zaczerpnięte z codziennych zajęć. Styl wypustek roślinnych i innych motywów zdobniczych wskazuje, że illuminatorowie czescy, nie odrzucając bezwzględnie swoich miejscowych nawyknień, wyrobionych pod naciskiem tradycyi niemieckiej, czerpali swobodnie ze źródeł francuskich i włoskich [1]. Częstokroć już wzory francuskie, które przedewszystkiem muszą być tutaj uwzględnione, mieściły w sobie modyfikacye włoskie, zaniesione do południowej Francyi w poważnej części za pośrednictwem dworu papieskiego, rezydującego w latach 1309—77 w prowansalskiem mieście Avignon [2]. W ten sposób powstawała dziwna mieszanina materyałów artystycznych, zaczerpniętych bezpośrednio u źródła lub wziętych z drugiej ręki, a często tak stopionych ze sobą w całość, że tylko dzięki doświadczeniu i uwadze, w tym kierunku zwróconej, udaje się badaczowi wyróżnić wspomniane odcienie stylistyczne.

Przejawy artystyczne, które spotykamy w obrębie illuminatorstwa polskiego w drugiej połowie XIV wieku i w ciągu XV-go, posiadają pewne podobieństwo do przejawów na gruncie czeskim. Polskie illuminatorstwo nie wzniosło się do tej wyżyny doskonałości, co czeskie, i nie wydało tak wartościowych kodeksów w wymienionym czasie (a przynajmniej dotychczas takich nie znamy), jednakowoż, jeśli chodzi o charakter ogólny, o środki i materyały artystyczne, którymi ono się posługuje, to w nich znalazły wyraz i narzędzie te same dążenia artystyczne, jakie są znamieniem miniatur czeskich, przechowywanych w zbiorach praskich i wiedeńskich.

[1] Dvořák M., Die Illuminatoren des Johann von Neumarkt. w wydawnictwie: Jahrbuch der kunsthistorischen Sammlungen des Allerhöchsten Kaiserhauses, Wien, t. XXII (1901), 35—126.

[2] Tamże, 99 i nast.

Poniekąd obydwa te pobratymcze kraje wraz z Morawą tworzą jeden obszar artystyczny, przynajmniej o ile ma się na myśli płody średniej miary. Okoliczności, w jakich pojawia się omawiana równoległość usiłowań artystycznych, skłaniają badacza do przypuszczenia, że produkcya illuminatorska w Polsce w niejednym wypadku musiała być odblaskiem twórczości czeskiej. Jak daleko sięga zależność illuminatorstwa polskiego od czeskiego, co zostało przeszczepione na grunt polski z Czech, a co powstało samorzutnie na miejscu w Polsce i upodobniło się do okazów czeskich w myśl zasady, że te same przyczyny wśród podobnych warunków wywołują analogiczne skutki — niepodobna rozstrzygnąć i lepiej nie dążyć w tym kierunku do zbyt daleko idących uogólnień. Faktem, dającym się stwierdzić analizą stylu, jest to, że w kodeksach naszych, opartych przeważnie o niemiecki typ zdobnictwa, znajdują się tak samo, jak w czeskich, liczne naleciałości francuskie; drugim faktem, niepodlegającym wątpliwości, choć mało znanym, jest obecność elementu włoskiego, który przyniesiony drogą pośrednią, bądź też przejęty wprost z illuminowanych kodeksów włoskich, aktów papieskich, ksiąg prawniczych, już wówczas wpływa określająco na wygląd ornamentyki marginesowej w rękopisach polskiego pochodzenia. Tak n. p. ornamentyka biblii nr. 64 w archiwum kapitulnem katedry krakowskiej [1], a jeszcze bardziej pasyonału nr. 147 w tym samym zbiorze, już luźnem powiązaniem małych listków przy inicyałach i akcentowaniem ich sylwety, prowadzi badacza w świat ornamentyki południowej, nie mówiąc o takich motywach, jak zaraz na pierwszej karcie pasyonału motyw skrzydlatego putta, wspinającego się po łodydze. Jeszcze więcej występuje zależność od wzorów południowych w jednym z mszałów katedry sandomierskiej, i to nie tylko w rysunku liter i wypustek liściastych, ale także w wesołym kolorycie, szczególnie w owej, tak znamiennej dla południowego zdobnictwa barwie różowo-cielistej. W miniaturze, znajdującej się na początku czwartej księgi Pentateuchu w gnieźnieńskiej biblii arcybiskupa Jarosława Bogoryi Skotnickiego z r. 1373 [2], pustynny

[1] Cyfry porządkowe przytoczono według Polkowskiego I., Katalog rękopisów kapitulnych katedry krakowskiej, Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, III, Kraków 1884.

[2] Opis bibliotekarski księgi zob. Trzciński T., Katalog rękopisów biblioteki kapitulnej w Gnieźnie (odbitka z Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk), Poznań 1910, str. XIII i 49—50.

krajobraz przypomina przyrodę z obrazów mistrzów włoskiego trecenta; charakter włoski przebija się po części w zestawieniach barw i w obszerniejszem zastosowaniu modelunku, nie mniej i typ wypustek przy inicyałach nakazywałby szukać źródeł na południu, jakkolwiek z drugiej strony nie brakuje także akcentów francuskich. Podobną rozmaitość wpływów z przewagą jednego lub drugiego elementu, wpływów przytłumionych w mniejszym lub większym stopniu lokalną praktyką, znajdziemy w innych polskich rękopisach, jak n. p. w biblii z r. 1389 ze zbioru Kazimierza Stronczyńskiego w Bibliotece Baworowskich we Lwowie lub w mszale nr. 3 w archiwum kapituły krakowskiej. Najbardziej może, przynajmniej zewnętrznie, upodobania ludów romańskich wycisnęły piętno na motywach żartobliwych, pomieszczonych w niektórych z wymienionych ksiąg liturgicznych. Wspinający się po łodygach czy prętach ludzie, sceny polowania na zające i żórawie, pojedynki między mężami zbrojnymi, małpy igrające piłkami i t. p., w ogóle te tak uciesznie uderzające wzrok wyskoki wyobraźni, a niezwiązane zwykle żadną nicią z poważnym tekstem św. Pisma, to rzeczy znane dobrze z illuminowanych rękopisów francuskich i włoskich. Zjawiają się one w polskich kodeksach jako widomy dowód kulturalnych związków Polski z oświeconą zagranicą, ale zarazem jako dowód wpływu rozwijającej się świeckiej kultury na płody sztuki, przeznaczone do celów liturgicznych.

Księgi tynieckie, do których opisania przystępuję, zachowują jeszcze charakter klasztorny. Nie ma w nich epizodów żartobliwych, ani scen z życia rycerstwa, choć z drugiej strony wszelkie inne znamiona, jak n. p. ornamentyka marginesowa, łączenie scen figuralnych z inicyałami, technika i zestawienie barw, mają niezaprzeczone piętno czasu. Najcenniejszą pod względem artystycznym księgą jest antyfonarz; w miniaturach jego odzwierciedliły się prądy, które opanowały malarstwo rękopisów w pierwszej fazie nowego stylu, gdy w ozdobach dwóch innych rękopisów tynieckich dają się dostrzegać akcenty, odpowiadające postępowemu rozwojowi zdobnictwa w pierwszej połowie i w ciągu XV stulecia.

Antyfonarz opata Mścisława.

Jest to duży kodeks, oprawiony w deski powleczone białym pergaminem z wyciskami w stylu XVI wieku, z śladami zapinek

i okuć mosiężnych na rogach i w pośrodku. Wielkość kart, obciętych — jak zresztą we wszystkich trzech księgach — ze szkodą ornamentyki marginesowej w czasie oprawiania księgi w pomienionym wieku, wynosi 38 × 54 cm. Wśród 354 kart, mających paginacyę późniejszą (z wyjątkiem pięciu ostatnich kart, które są nieliczbowane), spotykamy dziesięć kart illuminowanych.

Treścią księgi są śpiewy »de tempore«, począwszy od adwentu aż do dwudziestej czwartej niedzieli po Zielonych Świątkach. Dalszego ciągu, obejmującego »proprium missaram de sanctis«, nie ma w zbiorze bibliotecznym, gdy jednakże cytowany spis książek z r. 1818 wylicza dwa graduały i dwa antyfonarze, więc może te szczegóły byłyby wskazówką, że zaginiona czy też zniszczona księga była właśnie drugą częścią opisanego tutaj antyfonarza.

Naczelna miniatura antyfonarza na pierwszej jego karcie przedstawia w literze D, ujętej ramą prostokątną, Chrystusa siedzącego na tronie, w nawiązaniu do słów »Dominum saluatorem nostrum expectamus«. Prawą ręką Zbawiciel błogosławi, w lewej trzyma kulę świata. Na zaplecku tronu zwiesza się wzorzysta czerwona draperya, w głębi ukazuje się centralna architektura czy też rodzaj centralnego baldachimu. Tron jest drewniany, malarz z wyraźnym zamiarem uwydatnił krzywe linie słojów drzewnych. W odcinkach pomiędzy ramionami inicyału a prostokątną ramą znajdują się tak tutaj, jak w następnych inicyałach, złocenia wygniatane stemplami. Na brzegi karty wybiegają roślinne wypustki, obłożone również polerowanem złotem, i przewijają się obok kolumny tekstu i nut, przechodząc z jednej barwy w drugą. Podobnie przy innych literach początkowych kodeksu.

Karta 2, strona odwrotna. Inicyał A, w połączeniu ze słowami: »Aspiciens a longe ecce uideo dei potentiam«, wypełniony kratką, wzorowaną na motywach francuskich.

Karta 45, strona odwrotna. W literze G na tle niebieskiem, pokrytem złotemi gwiazdami, wyobrażony prorok, trzymający rozwiniętą wstęgę pergaminową ze słowami: »gaude et letare iherusalem ecce rex tuus uenit de quo (domyślne w dalszym ciągu: »prophetae praedixerunt«). Inicyał wiąże się z temi samemi słowami w tekście.

Karta 47, strona odwrotna. W literze gotyckiej h, utworzonej z prostego ramienia i z wygiętego ciała potwora skrzydlatego, modelowanego »bleu en bleu«, przedstawił illuminator Narodzenie Jezusa

w nawiązaniu do słów: »Hodie nobis celorum rex de uirgine nasci dignatus est«. Scena pojęta jest jako adoracya dzieciątka, które nagie leży na skale w złotej aureoli o kształcie romańsko-gotyckiej mandorli; przy dziecięciu klęczy Marya, ubrana w obcisły strój dziewic średniowiecznych, poza Maryą widać starczą postać Józefa. Powyżej dzieciątka znajduje się żłób z sianem i wychylają się głowy wołu i osła. Scena rozgrywa się jakoby na otwartem polu na tle gwiaździstego nieba, przy skale, na której rosną barwne kwiaty i zielone gałązki. Z obłoków, znaczonych jeszcze na pół symbolicznie i pomieszczonych w półkolistym odcinku, spływają promienie złotego światła na małego Jezusa.

Karta 110, strona odwrotna. Inicyał D, rozpoczynający zdanie: »Domine ne in ira tua arguas me«.

Karta 190, strona odwrotna. Inicyał I do słów: »In die qua inuocaui te domine«.

Karta 218. strona przednia. W inicyale A, zaczynającym słowa: »Angelus domini descendit de celo« znajduje się wyobrażone Zmartwychwstanie Pańskie. Na tle różowem ze złotem floryzowaniem widać w pośrodku grobowiec kamienny, z którego wychodzi Chrystus, dzierżący chorągiew zwycięstwa, i równocześnie wykonuje prawicą gest błogosławieństwa. Na prawo odwalona płyta grobowa, zaopatrzona w żelazne chwyty. Trzech strażników, pogrążonych we śnie, dopełnia treści sceny ewangelicznej.

Karta 251, strona przednia. Do tekstu: »Post passionem suam per dies quadraginta apparens eis« załączył malarz w literze P scenę Wniebowstąpienia Pańskiego. Jest to chwila, w której zgromadzeni przy wzgórzu apostołowie widzą już tylko stopy i część dolną szaty Chrystusa, niknącego w obłokach. Na wzgórzu pozostały ślady stóp Zbawcy — w ten sposób illuminator, zwracając uwagę widza na związek pomiędzy śladami stóp, a postacią ginącą w obłokach, usiłował unaocznić dokonywanie się ewangelicznego wydarzenia.

Karta 262, strona przednia. W inicyale D, rozpoczynającym słowa: »Dum complerentur dies penthecostes« wyobrażone na tle niebieskiem, floryzowanem białą i ciemną farbą, Zstąpienie św. Ducha w postaci gołębicy na apostołów, ugrupowanych symetrycznie po obu stronach Matki Boskiej.

Karta 278, strona przednia. Inicyał B, zaczynający zdanie: »Benedicat nos deus, deus noster«, bez sceny figuralnej wewnątrz,

ze śladami floryzowania barwą niebieską na różowem podłożu. Całość pięknie pomyślana jako kompozycya ornamentalna.

Na odwrociu karty 352 czytamy słowa, napisane czerwonym atramentem:

»Explicit liber de tempore per manus Przibislai Kathedralis compilatus per reuerendum in Christo patrem diuina prouidencia mstislaum abbatem tinciensem orate pro eis«.

Z treści słów wynika, że świątnik przy katedrze Przybysław sporządził antyfonarz dla opata tynieckiego Mścisława, który — jak ze źródeł wiadomo — władał klasztorem za panowania króla Jagiełły, w latach 1386—1409 [1].

Temu okresowi czasowemu odpowiada także styl miniatur, przechylający się jeszcze ku XIV stuleciu. Gdyby chodziło o wprowadzenie szerszej podstawy do ocenienia związków stylistycznych, to znajdziemy ją w miniaturach czeskich, z któremi miniatury antyfonarza posiadają wiele powinowactwa [2]. Porównawcze zestawienie ozdób marginesowych i liter antyfonarza tynieckiego z takimiż motywami w współczesnych kodeksach czeskich, n. p. w mszale praskiego kanonika Wacława de Radecz, przechowywanym w bibliotece kapituły katedralnej w Pradze [3], unaocznia nam tę wspólność dążeń artystycznych, widną w sposobie opracowania wypustek liściastych, w listowiu, które wypełnia ramiona inicyałów i przybiera wskutek przycięcia charakterystyczną dla ostatnich dziesięcioleci XIV wieku stylizowaną formę, w doczepionych do litery lub do jej obramienia dzbankach kwiatowych, w posługiwaniu się motywem wzorzystej draperyi i centralnej architektury jako tła, w sposobie opracowywania scen figuralnych, choć trzeba przyznać z drugiej strony, że motywy pochodne, zaczerpnięte z ornamentyki południowej, jak n. p. wypustki roślinne, nieco silniej dokumentują swoje południowe pochodzenie w mszale kanonika Wacława, niż w antyfo-

---

[1] Kodeks dyplom. klasztoru Tynieckiego, część pierwsza, wydał W. Kętrzyński, Lwów 1875, str. XXXI.

[2] Na pokrewieństwo miniatur tynieckich z czeskiemi, znajdującemi się w rękopisach z czasu Karola IV i Wacława I, zwracał uwagę pierwszy Sokołowski M. w Sprawozdaniach Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce (Wydawnictwo Akad. Umiejętności w Krakowie) VI, Kraków 1900, str. LXVII.

[3] Por. Podlaha A., Die Bibliothek des Metropolitankapitels, w wydawnictwie: Topographie der historischen und Kunst-Denkmale im Königreiche Böhmen, Prag 1904, 232—236, tamże podobizny miniatur.

narzu opata Mścisława, gdzie element włoski gubi się w praktyce lokalnej, wytworzonej pod naciskiem odmiennej tradycyi artystycznej. Więcej podpadają pod oczy zapożyczenia francuskie, do których między innemi należy motyw kratki, wypełniającej miejsce wśród ramion inicyałów, lub układające się szeregiem motywy linijek trzykrotnie załamanych.

Dla zupełności opisu należy jeszcze zająć się techniczną stroną miniatur. Nie mam zamiaru omawiać materyałów, którymi posługiwali się illuminatorzy antyfonarza tynieckiego, lub przechodzić po kolei szczegóły techniczne. Są one bowiem takie same, jak w całem ówczesnem illuminatorstwie środkowej Europy, takie same, jak je opisują ówczesne podręczniki sztuki illuminatorskiej czy malarskiej. Optyczny wygląd barw, szczegóły kompozycyi i sposób modelowania dowodzą, że miniatury wykonano farbami, zmieszanemi z bielą i łączonemi prawdopodobnie za pośrednictwem wody, w której roztworzono gumę arabską i białko jaja kurzego. Cały ten system pracy, oparty na tradycyi bizantyńskiej, był tak dalece ustalony, że przypuszczenie o odstępstwach od praktyki, przyjętej w centrach artystycznych bardziej postępowych niż Polska, musi od razu obudzić powątpiewanie. Ale chciałbym w nawiązaniu do poruszonych tu związków illuminatorstwa polskiego z czeskiem zwrócić uwagę na zestawianie żywych barw obok siebie, następnie na opracowanie inkarnatu u osób przedstawionych. Inkarnat w miniaturach antyfonarza (i w miniaturach graduału z XV wieku) wygląda jak gdyby przydymiony, co pochodzi ze sposobu modelowania za pośrednictwem farby »terra verde«. Podobny typ inkarnatu można spotkać w szeregu obrazów włoskich XIV wieku i czeskich z tego samego czasu, jest on opisany także w jednym ówczesnym łacińskim podręczniku illuminatorstwa, powstałym we Włoszech [1]. Jeśli to nie wytwór malarskiej techniki włoskiej, to w każdym razie rozpowszechnił się ten sposób malowania inkarnatu za pośrednictwem obrazów i miniatur włoskich i wraz z niemi dotarł także do Czech i do Polski.

Graduał z pierwszej połowy XV wieku.

Kodeks ten posiada oprawę z desek, powleczonych białym

[1] Berger E., Quellen und Technik der Fresko- Oel- und Tempera- Malerei des Mittelalters, w dziele: Beiträge zur Entwickelungs-Geschichte der Maltechnik, München 1897, 133.

pergaminem z wyciskami w stylu XVI wieku. Wszystkie narożniki i środek oprawy wierzchniej są opatrzone starszemi od oprawy okuciami typu gotyckiego. Na wierzchniej okładce napis: GRADVALE MDLXIX. Treścią księgi są śpiewy mszalne »de tempore« i »de sanctis«, zebrane na przeciąg całego roku kościelnego, z późniejszemi uzupełnieniami. Wyszczególniona na okładce data 1569 odnosi się do robót introligatorskich, w czasie których pododawano nowe śpiewy, mianowicie wkładkę końcową, opatrzoną tą samą datą. Znajdujący się na końcu indeks pochodzi z r. 1632. Paginacya, znaczona rzymskiemi liczbami na odwrociu kart, ciągnie się przez pierwotny rękopis, wielkości 38 × $55^1/_2$ cm, i przez wkładkę końcową. Ogółem jest w kodeksie 328 kart, z nich dziesięć illuminowanych.

Obcięcie kart w czasie oprawiania księgi uszkodziło ornamentykę roślinną na marginesach. Nie mniejszą szkodę wyrządziła późniejsza restauracya, która miejscami pozacierała niemal zupełnie pierwotny artystyczny charakter malatur. Mimo to można jeszcze wyrobić sobie wystarczające wyobrażenie o stylu ozdób i scen figuralnych. W zestawieniu z miniaturami antyfonarza opata Mścisława malowidła graduału ukazują gorszą rękę i mniej wrażliwe oko; illuminator, pozostający pod widocznem oddziaływaniem ornamentyki roślinnej, która poczęła wyrabiać się w pierwszych dziesięcioleciach XV wieku pod wpływem niemieckim i odznaczała się bujniejszem uliścieniem wypustek roślinnych lub gałązek, wypełniających ramiona litery, nie dość jasno i logicznie umiał rozwijać jeden motyw z drugiego, pozwalał liściom bezładnie kłębić się obok siebie i nie zdołał im nadać wyraźnie zdecydowanej fizyognomii stylowej.

Naczelna miniatura na pierwszej karcie przedstawia w literze A przy słowach »Ad te leuaui animam meam« świątobliwego biskupa przy pulpicie w chwili spisywania śpiewu kościelnego. U stóp świętego ukląkł fundator graduału, duchowny w infule, którym jest bez wątpienia któryś z opatów tynieckich. Szkarłatna suknia świętego ukazuje z grubsza zaznaczone fałdy i cała jest pokryta delikatnymi złotymi deseniami. Na brzegi karty wybiegają wypustki roślinne opisanego typu, takie same wypustki powtarzają się przy dalszych inicyałach.

Karta XXII, strona odwrotna. W inicyale, zaczynającym zdanie: »Puer natus est nobis et filius datus est nobis« pomieścił miniaturzysta sędziwą postać proroka, ukazującego palcem na zwój

pergaminowy, na którym wypisane są słowa psalmu: »cantate domino«.

Karta CLXIV, strona przednia. Miniatura przedstawia w nawiązaniu do słów: »Uiri galilei quid admiramini aspicientes in celum« w ramionach inicyału U Matkę Boską, klęczącą z kilku apostołami; osoby te są świadkami odbywającego się w górnej części sceny Wniebowstąpienia Pańskiego, które malarz uzmysłowił w optycznem skróceniu, malując dolną część szaty i nogi Zbawiciela i pozwalając ze zbiegu tych szczegółów domyśleć się widzowi właściwego sensu sceny.

Karta CLXVII, strona przednia. W inicyale S, do słów: »Spiritus domini repleuit orbem terrarum alleluia« wyobrażona jest scena modlitwy w ogrojcu na górze Oliwnej. Na tle ornamentu widać narysowane schematycznie skały, obok postacie trzech śpiących apostołów. Chrystus modli się, spoglądając w niebo, uzmysłowione we formie półkolistego odcinka, skąd wychyla się błogosławiąca ręka— jest to znany symboliczny motyw, zjawiający się w dawniejszych średniowiecznych dziełach sztuki na oznaczenie obecności Boga Ojca i jako »pars pro toto« używany w ogóle zamiast całej jego osoby.

Karta CLXXIII, strona odwrotna. W nawiązaniu do słów: »Benedicta sit sancta trinitas« przedstawił illuminator w literze B Chrystusa na drewnianym tronie, na tle karminowem, floryzowanem białemi linijkami. Pod względem ikonograficznym przedstawienie omawiane przywodzi na myśl dawniejsze wizerunki Zbawiciela, który tutaj, podobnie jak w romańskich miniaturach, trzyma w lewej ręce księgę, prawą zaś wzniósł do błogosławieństwa. Alluzyą do św. Trójcy są promienie, rozchodzące się w trzy strony głowy, po trzy w każdym pęku. Nad głową Chrystusa dekoracyjnie w półfigurze pomyślany anioł podtrzymuje koronę. Miniatura, pierwotnie wykonana z pewnością tą samą techniką, co większość miniatur współczesnych, zmieniła wygląd wskutek późniejszej restauracyi.

Karta CC, strona odwrotna. W inicyale D, przy słowach: »Dilexisti iusticiam et odisti iniquitatem« wyobrażona któraś ze świętych męczennic. Miniatura zniszczona restauracyą.

Karta CCXVIII, strona przednia. W inicyale S. w nawiązaniu do słów: »Suscepimus deus misericordiam tuam« widać Matkę Boską, trzymającą nagie dzieciątko. Osoba Maryi przywodzi dalekiem podobieństwem na myśl typy, jakie wyrobiły się w miniaturach czeskich i niemieckich pod wpływem francuskim.

Karta CCXXXVIII, strona przednia. Przy słowach: »De uentre matris mee uocauit me dominus« miniatura, znacznie przemalowana, wyobraża w literze początkowej św. Jana Chrzciciela, wskazującego palcem na baranka.

Karta CCXLI, strona przednia. Przy słowach: »Nunc scio uere quia misit dominus angelum suum« miniatura przemalowana wyobraża w literze początkowej św. Piotra z dużym kluczem w ręku.

Karta CCL, strona przednia. Przy słowach: »Gaudeamus omnes in domino diem festum celebrantes« miniatura przemalowana wyobraża Maryę, klęczącą z rękami złożonemi do modlitwy obok pulpitu, na którym leży otwarta książka.

Graduał z XV wieku.

Trzeci ten z rzędu kodeks posiada taką samą oprawę z desek, powleczonych białym pergaminem, jak dwie poprzednie księgi. Na oprawie znać ślady nieistniejących okuć mosiężnych. Przechowana osobno zapinka mosiężna jest pomyślana jako głowa brodatego człowieka, w którego otwarte usta zachodził sztyft, przybity na okładce wierzchniej. Treścią graduału są śpiewy mszalne na przeciąg roku kościelnego, »de tempore« i »de sanctis«, z późniejszemi uzupełnieniami. Paginacya, znaczona rzymskiemi liczbami, ciągnie się przez całą księgę zrazu na odwrociu kart, następnie od karty CCXII na przedniej stronie. Dodany na początku i na końcu alfabetyczny indeks pieśni pochodzi z roku 1632. W czasie oprawiania księgi w XVI wieku uszkodzono ornamentykę marginesową; niektóre karty, niewątpliwie ozdobione miniaturami, wycięła w nowszych czasach nieuczciwa ręka. Ogółem jest dzisiaj w kodeksie 344 kart wielkości $35^1/_2 \times 56^1/_2$ cm, z nich trzynaście illuminowanych.

Karta XX, strona odwrotna. Przy słowach »Puer natus est nobis et filius datus est nobis« przedstawił illuminator w inicyale P Maryę, adorującą dzieciątko, które leży na ziemi w otoczeniu promienistej aureoli. Tło sceny floryzowane grubym złoconym deseniem, w górze znajdują się schematyczne obłoki niebieskie, wyjaśniane białą barwą. Wybiegające na margines wypustki posiadają charakter nie liściastych gałązek, lecz łodyg różnobarwnych z oddzielającymi się od nich wązkimi, podłużnymi listkami (podobnie przy dalszych inicyałach), wśród tego widna głowa, namalowana w barwie zielonej, z włosami na głowie i brodzie, dostosowanymi do stylu listków łodygi.

Karta XXX, strona przednia. Inicyał wycięty, została część ornamentyki marginesowej.

Karta LXXXIV, strona odwrotna. Przy słowach: »Letare ierusalem« znajdują się dodane w późniejszym czasie ornamenty roślinne o motywach jakby urobionych na wzorach XVII wieku, wykonane w barwie niebieskiej i czerwonej.

Karta CXII, strona przednia. W inicyale D, na tle zielonem, floryzowanem za pomocą złota, przy słowach: »Domine ne longe facias auxilium tuum«, przedstawił illuminator Chrystusa, jadącego na oślicy, w towarzystwie postępującego za nim apostoła.

Karta CLXVIII, strona odwrotna. W literze U, zaczynającej słowa: »Uiri galilei quid admiramini aspicientes in celum«, wyobrażone Wniebowstąpienie Chrystusa. Scena, należąca do tego samego ikonograficznego typu, co scena w poprzednim graduale, przedstawia Maryę i jednego z apostołów w pozycyi klęczącej na pierwszym planie, nieco w głębi klęczą dwaj inni apostołowie, ukazują się nadto szczyty nimbów reszty osób. W górze widać dolną część szaty Chrystusa i stopy z krwawiącymi śladami męki krzyżowej.

Karta CLXXII, strona odwrotna. W literze S do słów introitu: »Spiritus domini repleuit orbem terrarum alleluia« Zesłanie św. Ducha, który w postaci gołębicy z nimbem unosi się nad Matką Boską i apostołami siedzącymi na ławie. Scena przedstawiona w pewnem skróceniu, jak zresztą inne wydarzenia ewangeliczne tegoż graduału, z osób tylko cztery się wyszczególniają.

Karta CLXXIX, strona odwrotna. W inicyale B, zaczynającym słowa: »Benedicta sit sancta trinitas« umieścił illuminator na tle czerwonem floryzowanem wyobrażenie św. Trójcy w trzech osobach, przywodząc przed oczy widza sędziwą postać Boga Ojca, który trzyma przed sobą krzyż z przybitym doń Synem Bożym; u głowy Zbawiciela znajduje się gołąbek, uskubujący cierń z korony. Podobny sposób uzmysłowiania św. Trójcy wchodzi do ikonografii zachodniej w XIV wieku, u nas rozpowszechnia się w ciągu wieku XV-go i nie traci aktualności jeszcze w XVI wieku, jak tego przykładem są obrazy i rzeźby cechowe, znajdujące się po prowincyonalnych kościołach małopolskich.

Karta CLXXXI, strona przednia. Litera C, zaczynająca introit na Boże Ciało: »Cibauit eos ex adype frumenti alleluia« mieści w sobie dwa biało ubrane anioły, które przyklęknąwszy trzymają

gotycką monstrancyę. Tło w głębi karminowe, floryzowane złotem, na pierwszym planie posadzka z uwydatnionemi płytami.

Karta CLXXXIII, strona przednia. Przy słowach introitu na niedzielę pierwszą po Zielonych Świątkach: »Domine in tua misericordia speraui« ukazał illuminator w literze D, na tle niebieskiem ze złotem floryzowaniem, św. Hieronima, ubranego w szaty kardynalskie, u pulpitu, na którym leży otwarta księga. Święty, zwrócony osobą ku widzowi, zajęty jest wyjmowaniem dużego gwoździa z łapy lwa.

Karty CCXI i CCXXXII wycięte całkowicie.

Karta CCXLVIII, strona odwrotna. W inicyale T, przy słowach: »Terribilis est locus iste« widać budynek kościelny o półkolistych odrzwiach i oknach, na jego wieży powiewa chorągiew.

Karta CCLI, strona przednia. Inicyał M bez sceny figuralnej, przy słowach: »Mihi autem nimis honorati sunt«.

Karta CCLXXXIII, strona odwrotna. Inicyał G bez sceny figuralnej, przy słowach: »Gaudeamus omnes in domino«.

Karta CCXCIII, strona odwrotna. Inicyał G, zaczynający zdanie: »Grates nunc omnes reddamus«, mieści w sobie, w nawiązaniu do myśli odkupienia, Zwiastowanie. Marya klęczy u pulpitu, anioł obwieszcza wolę Stwórcy przyklęknąwszy i wykonuje w stronę Maryi gest błogosławieństwa. Jako tło sceny występuje ukośne złote kratkowanie na czerwonym podkładzie.

Opisane tu miniatury wyglądają raczej na utwór przygodnego illuminatora, aniżeli na dzieło o pokroju artystycznym, budzą jednak zainteresowanie przez to, że w nich znalazły wyraz dążenia, właściwe już późniejszym dziesięcioleciom XV wieku. O przynależności miniatur graduału do tegoż okresu czasowego świadczy już obecność pewnych scen i motywów ikonograficznych, jak n. p. wyobrażenie św. Trójcy i adoracya hostyi przez aniołki. Ale doraźniej przemawia piętnaste stulecie z ogólnego wyglądu ozdób. Miniatury antyfonarza opata Mścisława i pierwszego graduału są obliczone bądź co bądź na efekt kolorystyczny, na zabawienie oka grą kolorów czy złota, tutaj zaś illuminator zaczyna przechylać się ku jakościom linearnym i patrzeć na ornamentykę i na illustracyę figuralną ze stanowiska artysty, dla którego równą wagę w koncepcyi mają kontury i szczegóły rysunkowe, jak i barwy. Stanowisko to odbiło się zaraz na sposobie stylizowania wypustek roślinnych, które — jak już zaznaczono — nie są gałązkami o bujnem uliście-

niu, lecz łodygami z doczepionymi pękami wązkich listków. Sposób stylizowania liści, wypełniających ramiona inicyałów, również odpowiada zwyczajom zdobnictwa XV wieku, tak samo akcenty, dawane zielonemu listowiu żółtą farbą. Sceny figuralne mają charakter kompozycyi o uwydatnionych silnie granicach kształtu.

Ujemnie przedstawia się wyrobienie formalno-techniczne naszego illuminatora. Proporcye osób są niepewne, a w niektórych scenach, jak w Zesłaniu św. Ducha, głowy osób w stosunku do tułowia rażą zbytnią wielkością. W zestawianiu barw brak wykwintnej dyskrecyi, w stylizacyi łodygi i w jej prowadzeniu wzdłuż kolumny tekstu widać pewne niezdecydowanie, a wszędzie pewną twardość faktury; na tkaninach i w tłach widnieją złocone floresy grubego rysunku. Jednakże niezrażający się do domorosłego illuminatora obserwator ma sposobność poczynić przy pomocy nawet tak skromnego dzieła sztuki illuminatorskiej, jakim jest nasz graduał, ogólniejsze wnioski. Wystarczy spojrzeć na twarze przedstawionych osób i porównać je z twarzami osób w antyfonarzu opata Mścisława, ażeby od razu spostrzec w miniaturach graduału dążność do silniejszego podkreślania cech charakterystycznych i wcale śmiałą próbę oznaczania osoby za pośrednictwem samego jej wyglądu. Sposób ucharakteryzowania apostoła, siedzącego w Zesłaniu św. Ducha obok Maryi, pozwala domyślać się w nim św. Piotra, gdy apostoł, siedzący w głębi z drugiej strony Maryi, ma wszelkie zewnętrzne cechy, przypisywane św. Janowi, i pozwala dopatrywać się w sobie prototypu dla tegoż apostoła z obrazów XVI wieku. To dążenie do indywidualizowania przedmiotów, znane także z innych kodeksów illuminowanych polskiego typu, odpowiada stopniowej sekularyzacyi sztuki kościelnej w duchu ideałów mieszczańskich, sekularyzacyi, dokonywującej się na wszystkich polach twórczości plastycznej późnego gotyku. Nie można powiedzieć, że miniatury graduału zrywają zupełnie z przeszłością, że zacierają wszelki ślad artystycznych myśli, wytworzonych w dawniejszych stuleciach. Tak bynajmniej nie jest, illuminator posługuje się, jak za najlepszych czasów symbolicznego stylu średniowiecznego, konwencyonalnymi znakami na uzmysłowienie pewnych przedmiotów i czynności, a wydarzenia przedstawia w zbyt daleko posuniętem skróceniu rzeczowem, poprzestając na uwidocznieniu głównej strony akcyi. Równocześnie jednak nieodrodny ten syn wieku zaczyna odczuwać

chęć nagięcia wzroku do ściślejszego różniczkowania zjawisk otoczenia, ażeby na zasadzie zdobytych tutaj doświadczeń stworzyć typ sztuki, odpowiadający umysłowej potrzebie ówczesnego człowieka, który przenosząc coraz częściej myśl swą z odległych zaświatów na bliższe otoczenie, odkrywa w niem poza metafizycznemi obsłonkami niedostrzeżone przedtem przejawy zmysłowej rzeczywistości.



Wizerunek Chrystusa, na karcie 1.



Adoracya Dzieciątka, na karcie 47.

Miniatury w antyfonarzu opata Mścisława.
(Lwów, Biblioteka Uniwersytecka).

Nowe piękno wieków średnich.

Napisał

Edward Porębowicz.

Osławione ciemności wieków średnich! Tysiącletnia noc, rozbrzmiewająca jeno krzykiem wojennym hord barbarzyńskich, jękiem gnębionego ludu, ponurym śpiewem laudenzów i biczowników. Tak mniemano w czasie, kiedy najwyższym okresem kultury wydawał się wiek »oświecenia«; tak i dziś jeszcze mniemać może, kto nie dotarł, gdzie piękno i wielkość tych wieków się kryje; tak fałszywie oceniano ducha epoki, kiedy wiedza była przecież najwyższem pragnieniem, wiedza usymbolizowana postacią Ulyssesa, zapamiętałego badacza rzeczy nowych w Boskiej komedyi [1], wiedza będąca według Dantego »l'ultima perfezione della nostra anima nella quale sta la nostra ultima felicità« [2]. Dogmat to był wywiedziony z powagi pierwszych słów Metafizyki Arystotelesa: »Omnes homines natura scire desiderant« i służący za punkt wyjścia etyce: Celem ostatecznym szczęśliwość; drogą do niej życie cnotliwe; środkiem cnoty — wiedza. Prze się ku niej wielki i mały; może ona być dobra i zła; dobrej wiedzy uczy biegły w piśmie mędrzec. Nawet żongler poczyna swą opowieść zdaniem, że wiedzy nie należy kryć pod korzec: kto ją posiada, winien udzielić drugim. Nadmiar encyklopedyj i dzieł moralizujących, sama dążność wykładu moralnego dzieł świeckich (Ovide moralisé) tem się właśnie tłómaczą. Wszystka wiedza »klerków« da się określić jedną dążnością powszechną: ma

[1] Considerate la vostra semenza:
Fatti non foste a viver come brutti,
Ma per seguir virtute e conoscenza (Inf. XXVI. 118—20).

[2] Convito, I. 1.

służyć potrzebom duszy ludzkiej: przedstawia duszę i kształci ją. Poeta nie opowiada promieni słońca, jak po fali grają, ani się tem rozkoszuje; nie znajdzie upodobania w harmonijnym rysunku gór i pagórków, w liniach doskonale proporcyonalnych ciała ludzkiego. Przedstawia duszę, jak się kurczy w strachu śmiertelnym szatana, jak się rozpręża w widzeniu i pragnieniu raju, jakie przechodzi odmiany pod wpływem »strzały miłosnej«, co »przez oczy wpadła do serca«.

Osławiona nieproduktywność wieków średnich! Ślęczą mnisi nad pulpitami, murem odgrodzeni od gwaru życia; przepisują z księgi w księgę, przelewają z pustego w próżne, kompilują wiedzę bezkrytycznie i bezdusznie. Tysiące istot ludzkich, wyczerpujących się w trudzie bezcelowym, miliony godzin straconej energii w dociekaniu zagadnień z gruntu nierozwiązalnych, w komentowaniu prawd niedowiedzionych i chimerycznych. Kronika — stek wiadomości niesprawdzonych lub skrzywionych tendencyjnie; nauki przyrodnicze— chaos dziwactw i przesądów śmiesznych lub potwornych; filozofia i etyka — komentowanie powag, wirowanie w błędnem kole syllogizmów.

A jednak w tej mrówczej pracy, budującej kopce, co je rozburzy jeden cios krytyki w czasie, gdy rozum się zbuntuje i na krytykę ośmieli, jest jakiś rozmach olbrzymi: chęć opanowania wszechzjawisk, budowanie systemów sięgających po horyzonty bytu, szukanie syntezy i absolutu. Na zatopie dawnego świata wyłaniają się kontynenty nowe, przeniknięte świeżymi prądy aż do najdrobniejszych żyłek, aż do najgłębszych pokładów; przerabia się miąsz intelektualny ludzkości aż do najtajniejszego tętna. Co za trud olbrzymi przetworzyć świat fizyczny i moralny, tym razem z ducha chrześcijańskiego. I któż powie, że wieki średnie nie są twórcze? Nowe systemy państwowe, nowa socyologia i morał, nowe prawodawstwo, nowy Kościół, nowa literatura, sztuka, umiejętność. Nawet w tej ostatniej dziedzinie, jeśli nie wzbogaciła się wiedza pozytywna, wiedza tycząca materyi, to wzbogaciła się przez nią suma piękna. Choćby ten ogrom produkcyi kleryckiej przestał być zgoła użyteczny, to ma wartość przez swój gest potężny, przez swoją dziwność niewidzianą, przez masę nowych pomysłów pseudo-przyrodniczych, tak śmiesznych jako wiedza, ale często tak pięknych jako fikcya!

Skoro wieki średnie są tak znamiennie twórcze, ponętną było

rzeczą przyjrzeć się bliżej tej produkcyi i bodaj w szerokich liniach ją ogarnąć; przejrzeć inwentarz pomysłów, wybrać najbardziej typowe i takie, co będą zaczynem na nową literaturę; pokazać, ile w nich jest iście pięknego. Ten był cel podjęcia niniejszego szkicu. A naprzód trzeba rozgarnąć cokolwiek ogromny termin »średniowiecze«, rozróżnić w nim przynajmniej dwie epoki: od upadku cesarstwa rzymskiego do Karola W.; od Karola po pierwsze brzaski Odrodzenia. W pierwszej znamienny brak zabytków literatury świeckiej, wojna, wypowiedziana tradycyi pogańskiego piękna, poczuciu humanisty dzisiejszego przykra, wówczas dla bytu i tryumfu nowej wiary konieczna. Więc co wchodziło w karty księgi, musiało służyć Chrześcijaństwu i Kościołowi, wskazywać ludziom cel jedyny: życie zaziemskie. Pisma dogmatyczno-egzegetyczne, apologetyczne, hagiograficzne, moralne. Pozatem kroniki, pisane w interesie dynastyi, gramatyki, ratujące resztki poprawnej łaciny, kompilacye naukowe. Wreszcie poezya łacińska religijna: hymny, epika alegoryczna, doktrynały. — W drugiej epoce przeciwnie, twórczość świecka bierze górę; okrzyk życia zabrzmiał pośród zwalisk; powstają nowe społeczeństwa, państwa konsolidują się; piękno wykwita w pieśni jako nieodzowna żywota przyprawa: pieśń kościelna w dziesiątkach języków i narzeczy, epika wspaniała, rycerski romans dworny, liryka wykwintna, nowella i facecya żartobliwa, satyra zuchwała, allegorya z dążnością moralną i pouczającą, ale przybrana w najpowabniejsze szaty.

Twórczość pierwszej epoki zasadniczo jest anonimowa, jak w ogóle nie człowiek występuje na pierwszy plan, lecz dzieło; dziwna rzecz, w czasie, kiedy po lądach starego świata przesuwały się olbrzymy: wszechzaborcze umysły, talenty poetyckie, bojownicy, myśliciele, święci. W braku literatury i sztuki sami oni są poematami, stoją na wielkim trakcie dziejów jak posągi, wykute ręką tytana: Alaryk, król Wizygotów, chowany w łożysku spuszczonej umyślnie rzeki, na krańcu zawojowanej Italii; Attyla, równie potężny wojownik, jak mądry władca; Teodoryk ostrogocki, w Rawennie mający bajeczny grobowiec, bohater legendy włoskiej i germańskiej epopei; Fredegonda, czarnowłosa kobieta z południa, pośród płowych niewiast frankońskich namiętna i zbrodnicza; Justynian, kondotier słowiański, o chytrej a niezrównoważonej woli; Alboin, longobardzki zdobywca, zabity z poduszczenia mściwej Rosmundy, temat romantyczny przyszłych tragików włoskich. Wreszcie ów Charlemagne,

nieśmiertelny w pieśni »empereur à la barbe fleurie«. Wszyscy weszli do legendy; kronika nie zdołała ich ogarnąć, dopomogła wyobraźnia ludu.

Z drugiej strony działacze w świecie ducha: Tertulian afrykański, wszystkimi zmysłami zapamiętały asceta, wróg hellenizmu, a nawet katolickiej formy Kościoła, tak nienawistny sztuce i świeckości, tak nienawistny wszelkiemu pięknu, że nawet Chrystusa nie inaczej, jak brzydkim sobie wyobraża; myśliciel z żarliwości zuchwały, zamieniający paradoksy w pewniki logiczne: Christus est Dei filius, — non pudet, quia pudendum est. Et mortuus est Dei filius, — prorsus credibile est, quia ineptum est. Et sepultus resurrexit, — certum est, quia impossibile est. — Hieronim, niestrudzony pisarz pustelnik, niegdyś humanista świetny, wielbiciel Cycerona, potem pełen skrupułów z powodu tego pogańskiego kochania, za które też aniołowie we śnie rózgami go sieką. — Ambroży, pieśniarz niezrównany, Augustyn sam sobą przeżywający dwa światy, dwie kultury, dwa żywoty. — Grzegorz papież, za życia już legendarny. Wszystko wzory spotęgowanego człowieczeństwa, o kształtach, rzucających cień rozległy z piętnastowiekowej odległości. Potem filozofowie i uczeni: Boecyusz, w więzieniu uśmiechnięty do filozofii »pocieszycielki«; Cassiodor, Beda, Izydor sewilski, z których każdy swoją encyklopedyą zastępuje bibliotekę. Potem ci późniejsi uczeni z epoki Karola W.: Alcuin pogodny i jowialny reformator-humanista; Scotus Erigena, pełen rozległej wiedzy teolog, filozof, poeta, Hincmar z Rheims, chytry i przebiegły polityk. O tamtych, wodzach i władcach wiemy tyle, co zapisał stronniczy kronikarz lub rozniosła bajeczna legenda; o tych tyle, ile z ich pism się domyślamy. Bo wyraźnie te setki ksiąg nic o człowieku nie mówią. Co może powiedzieć kompilacya, złożona z wyimków starszych pisarzy, bez jednego osobistego wyznania? A przecież powiada niejedno: w co wierzył, co upodobał, jak sądził i oceniał myśli i rzeczy ów asceta czy kleryk, schylony nad pulpitem zdala od świata, pełnego szumu i namiętności.

Im dalej wstecz, w ciemności wieków, tem owa twórczość pulsuje żywiej, jak w głębi ziemi odbywa się cudowny proces kiełkowania życia. Im bardziej stanowcze zerwanie z duchem starożytności, tem bogatsze źródła twórczości nowej w pokładach przekształconej kultury. Chrystyanizm, zabijając starą wiarę, starych bogów, stare piękno, odwala skiby pod nową pracę wyobraźni. W okresach ciemnoty, gdy myśli nie zagłusza książka, gdy człowiek

bezpośrednio odczuwa przyrodę; w chwilach kataklizmów, pod grozą plag wojny, moru i głodu, nerwy ustawicznym strachem napięte pomagają fantazyi do tworzenia dziwów. Epoka poprzedzająca twórczość literacką w dziedzinie świeckości, a więc okres przed Karolem W., to czas formowania się legend i baśni. Ze źródeł pochodzą dwojakich: z tradycyi starej, pogańskiej, teraz przekształconej od samego rdzenia; z pierwiastków zgoła nowych, z nowego poglądu na życie. Oddzielić jedno od drugiego niełatwo. Kto dziś wykryje czy myt Avalonu — wyspy szczęśliwości lub myt o krainie »skąd nikt nie powraca« podań celtyckich, — a z drugiej strony myt o ogrodach hesperyjskich i myt o Prozerpinie pochodzą ze wspólnych źródeł praaryjskich, czy też istnieje między nimi związek filiacyi chronologicznej? Zatrzymajmy się przy tych tworach, które uderzają bądź wdziękiem poetyckim, bądź potwornością, bądź majestatem, bądź wagą moralną.

Naprzód podania z tradycyi pogańskiej przerabiają się w duchu chrześcijańskim; dobrze to widać na historyi Rzymu [1]. Miasto, jakkolwiek w ruinach, nie przestaje być ogniskiem świata, przeraża potęgą sił utajonych. W książkach, będących przewodnikami dla pielgrzymów, jak »Mirabilia Romae« Marcina Polaka, przerobionych zresztą ze starszej »Graphia aurea« [2], opowiada się o siedmiu cudach Rzymu, jakimi są: Wodociąg Claudiana, termy Dyoklecyana, Forum Nerwy, Palatium maius, Pantheon, Colosseum, Moles Hadriani. W Colosseum miał stać posąg Nerona, Wespazyan kazał mu znieść głowę i zastąpić słońcem, obrazem Rzymu, o promieniach $22^1/_2$ stopy długich. Święty Grzegorz papież kazał ten bałwan zniszczyć ogniem, bo był wytrwały na wszystkie ciosy: nic dziwnego, już bowiem Neron przedzierżgnął się w szatana. — Na Kapitolu stała »Salvatio Romae«: jedni mówią, posągi wszystkich państw podbitych, opatrzone dzwonkami, które odzywały się, gdy gdzie wybuchło powstanie; inni mówią, źwierciadło magiczne, arcydzieło czarodzieja Wirgiliusza, odbijające postaci nieprzyjaciół. — Posągi Dioskurów na Monte Cavallo, to znów dzieło dwu »filozofów«, Fidyasza i Praxytelesa, którzy przybyli do Rzymu za Tyberyusza. Byli tak mądrzy, że odgadywali myśli cesarza. Wedle ich

[1] Graf, Roma nella memoria e nelle imaginazioni del Medio Evo. 2 vol. Torino 1882.

[2] Giesebrecht, Geschichte der deutschen Kaiserzeit I. 866.

życzenia kazał wystawić owe konie, symbol książąt panujących nad światem; dwaj półnadzy pogromcy, to owi filozofowie, gestem rąk wskazują rzeczy przyszłe. Wyobraźnia arabska powiększa rozmiary Rzymu do niesłychanego ogromu: Miało tam stać 600.000 łaźni; kościół św. Stefana cały z jednego kamienia; kościół narodów czyli Syonu z 1200 bram: między niemi 40 bram złotych, reszta z kości słoniowej i hebanu. Zawierał 1000 rzędów kolumn, w każdym rzędzie po 440. Obsługiwało go 618 biskupów i 50.000 kapłanów. A pod zwałami marmurów i spiżu, zalegającymi wieczne miasto, leżały nieprzebrane skarby, strzeżone przez armię demonów. W fantazyi, niekontrolowanej dobremi studyami, tradycya starożytna wykrzywia się: Apollo był astrologiem, potem szatanem i bogiem saraceńskim naspół z Mahometem: Plato był lekarzem, Cicero truwerem i rycerzem, Wirgiliusz magiem, który uwolnił Neapol od much, komarów, pijawek, bocianów i wężów, otworzył górę Pozylippu, a zamknął krater Wezuwiusza, nadto zaś przepowiedział przyjście Chrystusa.

Śród podań, w tej epoce wykształconych, najprzestrzenniej rozsiane, najbogaciej przybrane we wszystkie dziwy są legendy o zaświecie, o raju ziemskim, o czyśccu i piekle. Człowiek, którego życie prawdziwe przeniesiono poza grób, wyobraził sobie to zaświecie w barwach najbardziej ponętnych i najbardziej strasznych. Źródła podań sięgają wstecz, do Grecyi i na Wschód, ale Chrystyanizm urobił je szczególnie. Ojcowie kościoła, wizyonerzy, poeci, historycy: Tertullian, Prudentius, Avitus, Sidonius Apollinaris [1] są przekonani o istnieniu krainy wiecznej wiosny, dawnym, utraconym raju. Mieści się to w Indyach, to na którejś wyspie Atlantyku, to w obrębie góry Etny, dokąd przybywa się długim, podziemnym korytarzem, to w Appeninach, w pobliżu Norcyi, gdzie do dziś dnia pozostała nazwa »Monte della Sibilla« i gdzie miała powstać legenda o Tannhäuserze [2]. W podaniu o drzewie Krzyża św. [3] Seth, syn Adama, podszedł aż do wrót rajskiego ogrodu i otrzymał od archanioła Michała gałązkę, którą posadził na grobie rodzica. Drzewo z niej wyrosłe posłużyło potem na krzyż Zbawiciela. Legenda ogarnęła cały

[1] Graf, Miti, leggende e superstizioni del Medio Evo. Torino 1882, vol. I. Appendice.

[2] Por. G. Paris, Légendes du Moyen Âge, Paris 1908.

[3] Jac. de Voragine, Legenda aurea, ed. Graesse 1846, n. LXVIII.

okres życia ludzkości, połączyła momenty pierwszych, cielesnych, i drugich, moralnych narodzin człowieka.

Naprzeciw marzeń o raju są wizye piekła i czyśćca, pierwotnie zjednoczone, bo w pojęciach najstarszego Chrystyanizmu, bardziej łagodnego, męki pokutników były doczesne; wszak Origenes utrzymywał zbawienie ostateczne wszystkich, nawet szatana. Nie brak też sceptyków między nowo nawróconymi. Marcin Polak [1], pod datą 720 r. pisze, że Ruthodus, wódz Fryzów, kazał się ochrzcić, ale wstawiwszy jednę nogę do miednicy pytał, gdzie więcej jego przodków: w piekle czy w niebie. Gdy mu powiedziano, że w piekle, — weselej będzie, rzekł, jeżeli zejdę się z wieloma — i wyjął nogę z miednicy. Dla serc miłujących nieznośna była myśl o wiecznem potępieniu bliźnich. Już w apokryficznej wizyi św. Pawła, Chrystus na prośbę apostoła, archanioła Michała i tysiąca klęczących aniołów postanawia zawieszenie mąk od 9 godziny sobotniej aż do 1 godziny poniedziałkowej. Dyogenes Pseudo-areopagita opowiada wizyę św. Carpa: Chrystus lituje się nad poganami, gdy ich szatani pędzą do piekła, powiada, że dla wybawienia ich gotów jest umrzeć powtórnie. W późniejszej »Podróży św. Brandana« jednym z tych licznych utworów, co się złożyły na pomysł »Boskiej komedyi«, szatan jest przedstawiony, jak sterczy śród morza w mękach żaru, są jednak dni w roku, kiedy morze i wiatr litośnie go chłodzą [2]. Wchodzi następnie do legendy Matka Boska jako orędowniczka grzeszników, wybawiająca od szatana, ktokolwiek bodaj westchnieniem do niej się uciecze. Piękne są z tej prastarej epoki pochodzące legendy fatalistyczne o Judaszu, predestynowanym na zdrajcę, o papieżu Sylwestrze II, co przyrzekł oddać się dyablu w dniu, gdy go zaskoczy odprawiającego mszę w Jerozolimie. »Jerozolimą« okazał się jeden kościół rzymski (nie inaczej pan Twardowski kazał szukać się w Rzymie); — o papieżu Grzegorzu, powtarzającym swymi losami straszny myt Edypa; o Piłacie, wleczonym z miejsca na miejsce i wreszcie utopionym w jeziorze pod Lucerną. Bardzo wiele podań hagiograficznych, które wejdą później do Złotej legendy, w tym czasie powstaje po pustelniach i odległych klasztorach wschodnich; od późniejszych stereotypowych cudownych powieści wyró-

[1] Cronica fratris Martini (Poloni) de summis pontificibus et imperatoribus, ed. Klimeš, Prague 1859.

[2] Por. Graf, Miti etc. vol. I., Il riposo dei dannati.

żniają się jakąś naiwną świeżością, jakąś dziwnością niesamowitą jakąś tężyzną zuchwałą: Opat Makary, wędrując po puszczy, wstąpił do grobowca, gdzie leżały ciała pogan; na jednym z nich położył się jak na poduszce. W nocy dyabli zaczęli wołać, jak gdyby do niewiasty: »wstawaj i chodź z nami do kąpieli«. A trup na to: »nie mogę, jakiś wędrowiec na mnie się położył«. Makary nieprzestraszony rzekł: »wstań i odejdź, jeśli możesz«. Tedy dyabli uciekli wołając: »zwyciężyłeś nas panie!« (Leg. aur. c. XVIII.). — Św. Antoni ma się za pierwszego pustelnika; we śnie otrzymuje wiadomość, że jest odeń doskonalszy. Wybiera się w podróż, szuka go po lasach; hipopotam wskazuje mu drogę; dziwny zwierz, mający górą postać człowieka, dołem kozła, częstuje go daktylami, wilk prowadzi do celi św. Pawła tebańskiego. Żyją razem, kruk przynosi im co dnia podwójną porcyę chleba. Paweł umiera; dwa lwy kopią grób i grzebią ciało świętego (tamże c. XV.).—Gdzieindziej obraz dzikiej fantastyczności. Pośród pustynnych piasków nad Jordanem opat Zosimos widzi postać nagą, zczerniałą od słońca. Zaczyna ją gonić. Pokazuje się, że to jest Marya Egipcyanka. Okrywszy się jego płaszczem, opowiada mu dzieje swego życia: Była przez 17 lat kobietą nierządną; w Jerozolimie nawróciła się i poszła na puszczę, gdzie żyła lat 47. Teraz czuje zbliżającą się śmierć, prosi opata o przyniesienie ciała Pańskiego. Idąc naprzeciw, stąpa suchą nogą po wodzie Jordanu. Na drugi rok Zosimos znajduje ją umarłą, z pomocą lwa kopie grób i grzebie ciało (tamże, c. LIV.).—Legenda o 7 braci śpiących, wspólna także podaniom arabskim i celtyckim, opowiada o młodzieńcach, którzy za prześladowania Decyusza w Efezie skryli się w jaskini, a zasnąwszy ocknęli się dopiero po 372 latach (tamże, c. CI.).— Legenda o św. Justynie i magu Cypryanie wygląda jak baśń ubrana w formę noweli. Justyna panna, córka kapłana pogańskiego z Antyochii, nawróciła się, słysząc kazanie Proclusa. Cypryan w 7 roku życia był ofiarowany dyabłu; posiadał wiedzę czarodziejską, umiał zamieniać kobiety w klacze i działać inne dziwy. Zapaławszy miłością do Justyny wywołał dyabła i zażądał od niego pomocy. Dyabeł dał mu maść wabiącą i kazał pomazać jej drzwi, ale ona obroniła się krzyżem św. Cypryan wezwał mocniejszego dyabła, ale i ten był bezsilny. Tedy samego księcia demonów. Szatan przedzierżgnął się w dziewczynę i w tej postaci przed oczyma Justyny przesuwał lubieżne obrazy. Więc ona zaczęła słabnąć, ale wnet pokrzepiła się krzyżem, dmuchnęła, a szatan jak

wosk się roztopił. Więc się przerzucił w pięknego młodzieńca i legł przy niej w sypialni, ale znowu zczezł od znaku krzyża. Więc spuścił na nią gorączkę, a na bydło w Antyochii pomór. Ale ona modłami po 7 latach stłumiła zarazę. Więc aby ją shańbić, przedzierżgnął się w jej własną postać i wszedł do domu Cypryana; gdy jednak ten zawołał: witaj Justyno, dyabeł nie mógł znieść tego imienia i rozwiał się jak dym. Z drugiej strony kusił ją Cypryan: przedzierżgał się to w kobietę, to w ptaka, ale u jej progu czar pryskał. Dyabeł wreszcie wyznał Cypryanowi, że krzyż go zwyciężył. »Więc krzyż mocniejszy od ciebie«? Natychmiast wyrzekł się pogaństwa, a potem wraz z Justyną poniósł śmierć męczeńską (tamże, c. CXLII.).

Podobnie jak legendy, cuda w tej epoce spisane noszą znamię szczególnej naiwności i szczerości; zarówno treścią jak tonem przedstawienia niezwykłe są te, które się znajdują w sławnych »Dyalogach« Grzegorza W. papieża (pocz. VII. w.)[1]. Jedne wyrosły z żarliwości przeciwaryańskiej, drugie podane dla zbudowania lub ostrzeżenia braciszków klasztornych. Dyalogi bardzo popularne, tłómaczone na wiele języków, są najpiękniejszym kwiatem wczesnej belletrystyki średniowiecznej. Więc powieść o opacie Equitiusie (c. 4), który dręczony żądzami cielesnemi, pewnej nocy we śnie »assistente angelo eunuchizari se vidit«. Od tej pory tak był wolny od pokus, jakby wcale nie posiadał płci i jak przedtem był przełożonym klasztorów męskich, tak teraz z łaski bożej w żeńskich mógł być przeorem; nie przestawał jednak uczniów swoich ostrzegać, aby nie uważali tego za rzecz łatwą i nie kusili Boga o łaskę, której mogliby nie otrzymać. Do tegoż klasztoru dostał się raz czarownik Bazyli w sukni braciszka i bardzo niepokoił zakonnice, ale go Equitius zdemaskował i przepędził. Zawsze ubogo odziany, przez pokorę jeździł na lichej szkapie, ze skórą baranią zamiast siodła; można go było często zastać w polu, jak grabił siano lub żął zboże, a potem wracał z sierpem na ramieniu. Istny sielski obrazek. Opowiada dalej o pewnym Konstantynie, braciszku kościelnym. Jak gdy raz zabrakło oliwy, ponalewał do lamp wody, pokładł papierowe knoty — i z łaski boskiej, przez zasługę swej świątobliwości sprawił, że woda się paliła. »Pomyśl, jakiej to zasługi był mąż, który w potrzebie zmieniał przyrodę żywiołów!« Był niepokaźny, brzydki i mały.

[1] Patrologia lat., LXXVII.

Przyszedł do klasztoru chłop, aby obaczyć świątobliwego zakonnika. Czyścił właśnie lampy w kościele. Chłop nie chciał wierzyć, aby to był sławny Konstantyn. »Spodziewałem się ujrzeć wielkiego człowieka, a to jest nieboskie stworzenie«. Zakonnik zawsze pokorny, z wielkiej radości zeskoczył i uściskał wieśniaka. Rozmowa mistrza z uczniem wygląda jak swobodna pogadanka; młody ksiądz wypytuje ciekawie o szczegóły cudów, dziwi się, że są możebne. Czasem te cuda są naprawdę dziecinne, im naiwniejsze jednak, tem lepiej malują głęboką wiarę ówczesną. Pewien biskup spostrzegłszy, że mu gąsienice objadają jarmuż, tak do nich przemówił: »Zaklinam was w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, odejdźcie stąd, nie zjadajcie mi kapusty!« I gąsienice natychmiast odeszły. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, obaczył jak lis porwał kurę z kurnika. Pomodlił się — i lis odniósł kurę! Gdy uczeń dziwi się cudowi wskrzeszania umarłych, papież tłómaczy, że większy jest cud kazaniem lub modlitwą nawrócić grzesznika, niż odwołać duszę w ciało, bo tam wskrzesza się ciało, które znów umrze, tutaj zaś duszę, która żyć będzie wiecznie.

Jeżeli teraz zechcemy poszukać literatury ze świadomą dążnością artystyczną, to jako najbliższą poezyę po upadku klasycznej napotkamy hymnologię chrześcijańską. W jednych utworach, to jeszcze dobry język i forma rytmiczna z tradycyi uczonej. Jak mało znane ludziom świeckim piękno czterech hymnów Ambrożego, tych czterech uniesień modlitewnych: na nieszpór sobotni, na jutrznię, na tercyę, na Boże Narodzenie. Zwłaszcza ten pierwszy hymn [1] w dymetrach jambicznych: »Deus creator omnium«, niezrównany swym nastrojem uciszenia wieczornego. Pieśniarz modli się za ludzi, »by im odpoczynek wzmocnił do zwykłej pracy rozwiązane członki, pokrzepił myśli znękane, spędził niepokoje i smutki. A gdy głęboka ciemność nocy zamknie podwoje dnia, niech wiara nie zna ciemności, niech wiarą noc się rozświetli. Ze zmysłowości lubieżnej wyzute niech serce o tobie, Boże, śni, a chytrość zazdrosnego wroga (szatana), niech strachem nie płoszy uśpionych«.

Lecz oto drugi hymn, wiele późniejszy, anonimowy, przypisywany Tomaszowi z Celano, uczniowi św. Franciszka z Assyżu, najsławniejszy może hymn wieków średnich, o charakterze pozbawionym już zupełnie cech klasycznych, w języku, rytmie, treści, na-

[1] Mone, Lat. Hymnen des M. A., 1853, I., n. 281.

stroju zupełnie nowy: »Dies irae«. Na ostatnie stulecie średniowiecza rzuca cień ponury laudami Jacopona de Todi; za Renesansu woła swem memento w kazaniach Savonaroli, w Sądzie ostatecznym Michała Anioła [1].

Na ruinie klasycznej literatury zmysłowej, epikurejskiej, wystrzeliła poezya chrześcijańska allegoryczna i budująca. Równocześnie z Ambrożym medyolańskim, w innej dziedzinie Romanii, w kraju iberyjskim Prudentius (IV. w.), poeta namiętny, z bujną fantazyą i wymową kwiecistą, jak ziomek jego Claudian, pisze »Psychomachię«, walkę duszy; bije z niej temperament żołnierza. Psychomachia [2], to wspaniały obraz bitewny; gdyby nie nazwy zapaśników, miałoby się przed sobą opis gwałtownego starcia legionów z barbarzyńcami. Cnoty chrześcijańskie wystąpiły przeciw występkom pogańskim: dwie religie. przedstawicielki dwu światopoglądów, dwu etyk, mocują się w duszy człowieka: Pierwsza na harc wyjeżdża Wiara; w chłopskim stroju, bezbronna a żądna walki; włos ma nietrefiony, ramiona nagie. Naprzeciw Idolatria, bałwochwalstwo z opaską na skroni, jak u kapłanów pogańskich; Wiara zwycięża ją i depce. Potem walczy Wstydliwość dziewicza w błyszczącej zbroi przeciw największej furyi sodomickiej, Libidynie. Ta potrząsa głownią smolną, aby ugodzić tamtę w skromne oczy, ale trafiona kamieniem i przebita mieczem, kona. Cierpliwość walczy przeciw Gniewowi; pociski jego odbijają się od potrójnego pancerza, Gniew rzuca się na własny miecz. Pycha potyka się z Pokorą i jej sztabem. Występuje nowy szermierz potężny: Luxuria, Rozpusta, w postaci pijanej bachantki, ponętna, z włosem trefionym, na rydwanie w czwórkę koni. Rozsypuje fiołki, róże osłabiające odwagę. Cnoty już się chwieją, ale Trzeźwość zatyka sztandar Chrystusa; konie płoszą się krzyża i pierzchają, Rozpusta spada i zostaje dobita.

[1] Gdyby nie aluzya pierwszej strofy do psalmu Dawidowego (II. Król. roz. 22. w. 8), gdzie mowa o gniewie Pańskim, możnaby mniemać, że straszna omyłka spełniła się w rozpacznej interpretacyi tego hymnu. Bo »dies irae« może nie tłómaczyć się »dzień gniewu«. Naprzód »ira« w łacinie ludowej (jakkolwiek Du Cange tego nie poświadcza), musiało znaczyć także »smutek«, skoro to znaczenie ma w wielu a wielu tekstach staroprowanckich i starofrancuskich; sama też składnia nie podaje dopełniacza do »irae«; następnie treść utworu mówi naprawdę nie o gniewie, ale o sądzie sprawiedliwym i przewiduje litość sędziego; nadto ostatnia strofa hymnu, wyglądająca na parafrazę pierwszej, nazywa ów dzień: »lachrymosa dies illa«.

[2] Patrol. lat. LX.

I tak jeszcze długo. Ostatnia Haeresia wmięszała się obłudnie w szeregi zwycięzców. Wiara przebija jej język i odbiera mowę, poczem wojsko wiernych rozdziera ją w kawały. Budową świątyni Mądrości kończy się poemat.

Allegoryi używali już pisarze rzymscy późnej epoki: Apuleius i Claudian, jednak teraz staje się ona formułą tworzenia poetyckiego. W dualistycznem pojmowaniu bytu świat zmysłowy jest odbiciem i symbolem wiecznego świata idej. Dante wyrazi to później słowy:

Ciò che non muore e ciò che può morire
Non è se non splendor di quella idea
Che partorisce, amando, il nostro Sire [1],

a Goethe powtórzy ten powszechny pogląd średniowiecza wierszem, który dla spółczesnych wyglądał jak objawienie: »Alles Vergängliche ist nur ein Gleichniss«. Świat klasyczny, potępiony przez Tertuliana, a tak przecież blizki i luby poczuciu łacińskiemu, w ten sposób otrzymywał prawo dalszego bytu. Kościół czynił tu, co zawsze: w mądrej zapobiegliwości wyzyskiwał ową skłonność do celów wiary, i jak święta pogańskie zamieniał na chrześcijańskie, podobnie brał w swoją służbę pisarzy starożytnych. Charakterystyczny jest utwór Fulgencyusza [2] (przed 439 r.): »De continentia (t. j. o zawartości) Virgiliana«. 12 ksiąg Eneidy przedstawia zupełny obraz życia ludzkiego w trzech stopniach, jakimi są: mieć, rządzić tem, co się ma, wypiększyć to, czem się rządzi. Ten argument zawiera się symbolicznie zaraz w pierwszym wierszu: »arma«, t. j. siła, odnosi się do substancyi materyalnej; »virum«, t. j. rozum męski do substancyi duchowej; »primus«, t. j. książę do substancyi zdobiącej. Rozbicie się Eneasza na morzu oznacza narodziny człowieka, boleśnie wstępującego w burzliwe fale życia. Pieśni I i II odnoszą się do dzieciństwa, chciwego dziwów i powieści bajecznych. Cyklop z III ks. swojem jedynem okiem symbolizuje ducha skłonnego do gniewu, a zwyciężonego przez rozum pod postacią Ulyssesa. Okres dzieciństwa zamyka się śmiercią i pogrzebem Anchizesa, t. j. wyjściem z pod opieki rodzicielskiej. Pozostawiony sam sobie młodzieniec oddaje się uciesze, popada w ręce Didony. Upomniany głosem rozsądku (Merkury), wchodzi w siebie, a miłość spala się na popiół

---

[1] Par. XIII. 52—4.

[2] Publ. w Mythographi latini, ed. Van Staveren, 1742; cf. Comparetti, Vergilio nel Medio Evo. 2 ed. I. 147.

(Dido na stosie). Tak samo później Owidyusz zostaje »zmoralizowany«, co bez wątpienia wymagało jeszcze większych wysiłków dowcipu. Tak samo w Lapidariach [1], gdzie męka Chrystusa jest symbolizowana berylem, topazem, onyksem, agatem, a grzech pierworodny czerwonym na skróś sardonitem, a wiara w Trójcę św. zielonym szmaragdem. Nie inaczej allegorycznym wykładem różne »zwierzyńce« zamienione zostały na książki religijno-moralne. Wyłoniły się te »bestiaria« z greckiego »Physiologa« (II w. po Chr.), a rzadko fantazya ludzka szukała dalekich analogij tak pracowicie i dociekliwie. Oto n. p. francuski »Bestiaire« F. de Thaün (XIII w.)[2]. Lew — oczywiście — jest obrazem Chrystusa. Pierś szeroka oznacza jego siłę boską, kadłub ludzkość złączoną z bóstwem, ogon — sprawiedliwość (w Piekle Dantego Minos, sędzia otchłani, ogonem naznacza stopień kary). Osioł, któremu w bajce lew każe przybyć na dwór, oznacza upornych żydów. Lew, gdy chce polować zwierzynę, ogonem zakreśla koło, zostawiając ciasne wejście. Zwierz, gdy raz tam wstąpi, już się nie wydobędzie. Koło oznacza raj, zwierzyna ludzi cnotliwych. Lew obawia się krzyku białego koguta. Białe koguty — to prorocy, którzy przepowiedzieli śmierć Chrystusa. Jak misternie wyłożone podanie o bajecznym Jednorożcu, symbolu czystości! Myśliwy chwyta to zwierzę sposobem następującym: Posyła naprzód pannę z odkrytą piersią. Jednorożec, zwabiony zapachem, zbliża się i usypia na jej łonie; wtedy go wiążą. Jednorożec — to Chrystus; panna — to Matka Boska; pierś — Kościół; sen — śmierć pozorna na krzyżu. — Assida (struś) ma dwie stopy jak wielbłąd, a dwa skrzydła jak ptak. Izajasz mówi o nim, że po pewnej gwieździe poznaje czas, kiedy ma składać jaja. Składa je w gorącym piasku, sam odchodzi, a słońce je wygrzewa. Assida oznacza człowieka natchnionego Bogiem, który porzuca świat i idzie na puszczę. — Nie można rzec, aby te allegorye zawsze były wzniosłe, ale jak dużo pięknego wdzięku w tej ich dziwności; jaka powaga w usiłowaniu, aby rehabilitować tak bliską i ukochaną mimo wszystko przyrodę, która sama przez się bez wartości, boć jest materyą i pokusą zmysłów, służy przecież do uczenia wysokich prawd moralnych!

[1] Pannier, Les lapidaires fr. du M. A., Bibl. de l'École des Hautes Études, 52e fasc. 1882.

[2] Le Bestiaire de Philippe de Thaün, ed. E. Wahlberg, Lund et Paris, 1900.

Znane są wyniki odrodzenia za Karola W.; ów zwrot do łaciny klasycznej w gronie światłych ludzi na dworze cesarza, jakimi są Alcuin, Paweł Dyakon, Angilbert, Hraban Maurus, Eginhart i i. Dla sztuki niewiele po nich zostało; naiwne wiersze: zagadki, anagramy i bajki, eklogi, hymny, allegorye; są one jakby próbą chodu człowieka, dźwigającego się po długiej chorobie. Za to duch ludowy, treść świecka podań i opowieści epicznych, płody śmiałej i niestępionej wyobraźni twórczej, coraz to gęściej zaścielają karty ksiąg. A więc tematy bajeczne i nowelistyczne, facecye, które wejdą do kazań i fraszek — wszystko opisywane w języku łacińskim. Więc »kantyleny« o dzielnych łgarzach; sentymentalna historya dwu przyjaciół, których przywiązanie było tak ofiarne, że jeden drugiemu ustąpił żony; sławna powieść o »dziecku ze śniegu«: Kupiec powróciwszy z dalekiej zamorskiej podróży, zastał w domu synka. Żona wytłómaczyła mu, że urodził się ze śniegu, jakim raz gasiła pragnienie w górach. Kupiec udał, że wierzy, ale gdy chłopiec dorósł, zabrał go z sobą i sprzedał w Konstantynopolu, a po powrocie opowiedział, że »dziecko ze śniegu« roztopiło się od żaru słonecznego w gorących krajach [1]. Więc piękne baśni, wplatane w poważne traktaty moralno-polityczne, znane pod nazwą »Nugae curialium« Jana Salisburego lub Waltera Map [2]: baśń o królu Brytów, nazwiskiem Herla, co zaproszony do króla karłów na wesele, bawi u niego niby 3 dni, a naprawdę 200 lat; liczne baśni o rycerzach żyjących z wróżkami – echo wiecznej tęsknoty do wiosny i nieziemskiego kochania. Gdzieindziej humor i tężyzna kleryków i mnichów znajdują ujście w t. z. »Carmina burrana«; na nutę śpiewów kościelnych, to znów na nutę ludowych piosenek śpiewa się: »Meum est propositum in taberna mori«, albo: »Fuit una domina, valde pulcra femina« [3]. Pieśni świeckie szkolarzy mieszają się w rękopisach między kościelne; jest między niemi śliczny w swoim smętku »żal« zakochanego klerka: »Vale tellus, valete socii« [4]: Słodka ziemio ojczysta, domie igraszek, łoże powabu, porzucę was dzisiaj lub jutro, bo zginę od miłosnego szału. Głowa pełna niezaznanego do-

[1] Müllenhoff-Scherer, Denkmäler deutscher Poesie u. Prosa um das VIII—XII Jh., 1892, 2 vol., nr. 20. 21. 23.

[2] Por. Philipps w Sitzb. d. Wien. Ak. X. 319.

[3] Wattenbach, Die Anfänge lat. prof. Rythmen im M. A., w Haupt'a Zeitschr. f. deutsch. Altertum XV.

[4] Dreves w Zeitschr. f. deutsch. Alt. XXVII. 361.

tąd ognia Wenery powtarza sobie przysłowie: gdzie miłość, tam niedola. Ile pszczół w dolinie, ile liści w gaju Dodony, ile ryb w morzu, tyle cierpienia w kochaniu.—Pieśni kościelne, zwłaszcza kolędy, przekazywały rytm śpiewom ludowym. Któż nie pozna rytmu naszej kolędy: »Zagrzmiała, runęła w Betleem ziemia«, w łacińskiej: »Auscultet, exultet fidelis concio« [1].

Śród poezyi łacińskiej średniowiecznej dwa zjawiska wyodrębniają się: jedno swą świeżą, wdzięczną naiwnością, drugie dziką siłą i rycerskim humorem: komedye mniszki Hrotsvithy (X w.) [2] i epos o Walgierzu Wdałym, co do wieku równoczesne. Wiadomo, jak w wiekach średnich pojęcie istoty teatru zatarło się: tragedyą zwała się »historya poczynająca wesoło, a kończąca smutnie«, komedye Terencyusza przeszły na budującą lekturę szkolną. Nie dziwią nas gromy Tertulliana, gdy się dowiadujemy, że n. p. autor, przedstawiający śmierć Herkulesa, był palony żywcem, lub że historyę Ledy i Pazyfai wystawiono z realistyczną dokładnością. Hrotsvitha, wykształcona na Terencyuszu, dla zbudowania sióstr zakonnych jęła pisać dyalogi [3]; technika w nich jasełkowa, istny teatr maryonetek i do niego też odsyłał mniszkę z Gandersheim wybredny Anatol France [4], powiadając, że dla jego smaku teatr dzisiejszy jest »zbyt skomplikowany«. Figury z gestami lalek mają równie psychologię niezłożoną; postanowienia zapadają prędko, upadki i nawrócenia odbywają się bez walk wewnętrznych; świat rozkoszy i grzechu, świat pokuty i uświęcenia kreślą się naiwnie w oczach niedoświadczonej mniszki. Głowa jej pełna wizyami uwiedzeń, prób gwałcenia, rozpusty lupanarów, strachami dyabła i piekła. Jak dziecko jest rada psotom, jakie dobry Bóg, zawsze w najgorętszej chwili, wyprawia pogańskim uwodzicielom. Oto męczeństwo świętych dziewic: Agapity, Chionii, Ireny (dyal. II); Dioklecyan chce je skłonić do porzucenia wiary, a gdy się wzdragają, wtrąca do więzienia pod straż Dulcitiusa. Ten podchodzi, rozkoszuje się ich widokiem, lecz nagle, wszedłszy do kuchni, zaczyna przyciskać do piersi i całować garnki i kociołki, — widocznie oszalał. Właśni żołnierze uciekają przed zakopconym i osmolonym. Wraca do domu, żona przeraża się jego

[1] Du Meril, Poésies pop. lat. du M. A., Paris 1847, str. 46.
[2] Hrotsvithae, Opera, ed. P. v. Winterfeld 1902.
[3] D'Ancona, Origini dell' teatro italiano, Torino 1891, I. 10.
[4] Anatol France, La vie littéraire II.

widokiem; wściekły z gniewu każe przyprowadzić święte panny obnażone. Żołnierze idą wykonać rozkaz, ale nie mogą zedrzeć szat, suknie przylegiy do ciała. Potem dwie pierwsze dziewice, rzucone w ogień, konają, ale nie płoną; najmłodsza Irena, zaprowadzona do lupanaru, zostaje porwana od dwu aniołów i postawiona na szczycie góry, gdzie dopiero ginie, ustrzelona z łuku. Przygoda Dulcitiusa musiała szczególnie podobać się, skoro weszła do Złotej legendy; równie popularna była historya nawrócenia kurtyzany Thaidy. Nie owej starożytnej, ale Thaidy z hagiografii, co ją na drogę cnoty przewiódł Pafnucy, wstąpiwszy do jej rozkosznego domu w postaci miłośnika. Od pierwszych słów upomnienia piękna grzesznica jęła płakać i kajać się, zebrała kosztowne graty, monety, stroje i spaliła na stosie. Skazał ją na pokutę w cuchnących latrynach. Wzdrygnęła się zaduchu, ale weszła, cierpiąc jeno nad tem, że będzie musiała chwalić Imię pańskie w takiem miejscu. Po trzech latach Pafnucy pyta św. Antoniego, czy już dość pokuty. Nadchodzi uczeń i powiada, że miał widzenie wspaniałego łoża w pośrodku niebios. Myślał, że przygotowane dla św. Antoniego... — takiej chwały nie jestem godzien — wtrąca Antoni — ale głos z góry ozwał się powiadając, że »to jest łoże dla Thaidy nierządnicy«. Niełatwo było niemieckiej mniszce te naiwne sceny kreślić po łacinie; język jej jest niesłychanie uczony, widocznie pracą szkolną nabyty, ale co to szkodzi, gdy treść taka żywa! Jeszcze więcej życia i nerwu dramatycznego w tej pełnej humoru komedyi elegijnej o »Pamfilu« [1], co jeszcze nie była teatrem, a już miała wszystkie jego elementy: Pamfil ze sługą Birrhią jedzie na naukę do Paryża. Kogo pierwszego spotyka? Dawną znajomą, Gliscerium. Następują uściski. Wstępują do gospody, podczas gdy koń zostaje przed domem bez obroku. Birrhia przyrządza obiad: dziczyznę, jarzyny, ryby. Zajadają. Birrhia dławi się ością, Pamfil uderzeniem w kark go ratuje. Potem deser przy kominku: śliwki, orzechy, brzoskwinie; zakrapiają winem. Pierwszy kur pieje, kładą się spać, Birrhia pod gołem niebem. Koń filozoficznie wyczekuje przed gospodą. Pamfil w poufałej rozmowie przyrzeka zaślubić Gliscerium, która jest przewidująca i praktyczna; obiecuje jej nadto ładną suknię. Kur zapiał po raz drugi. Wstają. Koń ze zmęczenia i głodu zdechł, idą dalej pieszo, po wielu burzliwych przejściach przybywają do Lexodium (Lisieux). Pamfilowi

[1] Ed. K. Lohmeyer w Ztschr. f. deutsch. Altertum XLI.

przykro, że wraca pieszo — on, kuzyn króla Henryka! Akcya kończy się weselem. Autor — z końca XII w., jest Francuzem, a samo dzieło to dokument, dający świadectwo niesłychanemu bogactwu twórczości artystycznej, jaka w tym czasie już była trysnęła i przelewała się ze wszystkich ośrodków kultury: w Normandyi, Szampanii, Ile de France, Burgundyi, Prowancyi.

Przedewszystkiem dokonała się już formacya cyklów eposu francuskiego o początku tak niepewnym i dotąd niewyjaśnionym. Jako świadectwo starszej epiki — pominąwszy sprawę istnienia rzekomego eposu Merowingów [1], — w dziedzinie Romanii, do której należy także literatura łacińska, mamy tylko jednę powieść bohaterską, i to z ducha rdzennie germańskiego: »o Walterze z Akwitanii i Hildegundzie burgundzkiej«, dzieło młodego mnicha z St. Gallen, Ekkcharda I., napisane około 930 r., widocznie jako ćwiczenie szkolne na temat najazdu Hunów, znany z dawniejszej tradycyi. Jaka w tem werwa młodzieńcza, jaki temperament żołnierski, jaka świeżość wyobraźni w przedstawieniu epizodów ucieczki i walki, jaka dzielność intuicyi artystycznej w kreśleniu głównych figur: nieustraszonego Wałcierza, wiernej Hildy dorosłej do trudów wojennych, lichego króla Gunthera, hardego Hagena, w którym się ważą: przyjaźń druha i towarzysza niewoli z obowiązkami wasala. Ile zwłaszcza obozowego humoru w tych scenach po zakończeniu bohaterskich walk w lesie Wogezów (w. 1396—1442) [2], kiedy Walter zostaje bez ręki, Hagen bez oka, a Hilda przewiązuje rany obu, krzepi winem; kiedy potem przyjaciele pogodzeni żartują z ran wzajem sobie zadanych, podczas gdy Gunther pohańbiony, bez nogi, ponury siedzi z daleka.

Ale oto nowa, przestrzenna kraina piękna: epika francuska. Pominąwszy teoryę jej początku i rozwoju [3], jakkolwiek są to najżywotniejsze zagadnienia Romanii dnia dzisiejszego, zajrzyjmy w teksty: poczujemy na sobie od razu przemożną dłoń olbrzyma, zginającą nam kolana do podziwu. O autorach, prawie wyłącznie anoni-

---

[1] Por. teorye P. Rajny w Origini dell epopea francese, 1884 i P. Kurtha, Hist. poétique des Mérovingiens 1893, oraz krytykę negatywną J. Bédiera, Légendes épiques IV. 1913.

[2] Wyd. Pfeifera 1873.

[3] Przełomowe teorye J. Bédiera są zawarte w jego 4-tomowem dziele: Les légendes épiques, Paris 1908—13.

mowych, nikt nam nie powie; są jak wielkie fale: przybywają z oceanu, potężne a bezimienne, i wyrzucają na brzeg skarby swych głębin. Tyle tylko rozumiemy, że są to jednostki, zdolne odczucia wielkości; bez pracy, bez wysiłku, z hojnego kaprysu przyrody posiadły tajemnicę czaru, umiejętność szlachetnych wzruszeń. Organizmy żywiołowe, działające środkami pierwotnymi na pierwotne nastroje duszy ludzkiej: nastrój zapału, gniewu, strachu, wzniosłej grozy, żalu i czułości najtkliwszej. Najstarsza wiekiem »chanson de geste«: Pieśń o Rolandzie jest już literackiem arcydziełem. Kompozycya, ton ogólny, patetyczność epizodów, środki czysto techniczne — wszystko tam wzięło się z intuicyi geniuszu. Figury ogromne, z jednego kruszcu odlane; w nich porywy namiętne i gwałtowne, bohaterstwa odwagi i poświęcenia, niezłomność, czystość, słowność, duma i honor, miłość rodu i miłość ojczyzny, przywiązanie do suzerena i wiary — główna sprężyna czynów. Inne poematy, mniej powszechnie znane, jeżeli nie w całości, to w przygodnych epizodach lśnią klejnotami wyobraźni, uczucia, rzeźkiego humoru. Wilhelm z krzywym nosem, »au courb nez«, przed bitwą wyjeżdża na szczyt pagórka, obraca się ku »słodkiej« Francyi i wdycha pełną piersią wiatr, co stamtąd zawiewa (Charroi de Nimes). — Młodziutki Vivien uczynił ślub, że w boju z Saracenami nigdy nie cofnie się na długość włóczni. Lecz w okropnej rzezi stracił wszystkich towarzyszy, ujrzał się sam pośród tłuszczy pogan. Ranny, mdlejący, na chwilę poczuł grozę i strach, cofnął kroku; ten grzech go boli w śmiertelnej godzinie, z niego spowiada się przed wujem swym Wilhelmem, który za późno przybył z odsieczą. Wilhelm go rozgrzesza i w zastępstwie kapłana komunikuje grudką ziemi, a chcąc z pamięci martwego rycerza zwiać wszelki cień hańby, ucina stopę, co nie dotrwała hartowi niezłomnego serca (Aliscans). — Ogier, gdy wyginęło mu wszystko wojsko, w zawziętości przeciw Karlomanowi zamknął się sam jeden w zamku i stawia czoło całej armii. Kiedy potem, już pogodzony, walczy z olbrzymem saraceńskim Brahierem, pozwala znużonemu wrogowi zasnąć dla odpoczynku, czuwa nad jego bezpieczeństwem i dla wygody podkłada mu kamień pod głowę (Ogier de Danemarche). Podobnie Olivier pomaga zbroić się Fierabrasowi, z którym ma odbyć pojedynek, ale dumny nie przyjmuje cudownego kordyału, jakim tamten chce go pokrzepić śród walki (Fierabras). — Guibelin, syn Aymeryka z Narbony, zostaje pod miastem porwany od Saracenów i ukrzyżowany. Ojciec widzi to z mu-

rów, strzałą zabija kata, urządza rozpaczną wycieczkę, zdejmuje dziecko z krzyża i na tarczy odnosi do zamku (Li Narbonois). — Fromont poznaje zabitego na łowach Begona Lotaryńczyka po bliźnie rany, którą niegdyś sam mu zadał; cierpi nad niesławnym skonem śmiertelnego wroga, sam myje ciało w winie, czuwa nad umarłym i wyprawia mu pogrzeb wspaniały (Garin li Loherenc). — Jaki humor swojski i krzepki tryska z tej pierwotnej poezyi! Olivier obiecuje swemu rumakowi, że jeśli dobrze się sprawi, będzie go pasował na rycerza (Fierabras). Aymeryk rozdziela dziedzictwo między siedmiu synów; każdemu przeznacza kraj, który ma sam sobie zdobyć (Li Narbonois). Guimer oddaje pojmanego Ogiera do strzeżenia własnej córce, która zabiera młodego rycerza do swych komnat; tak Guimer jest pewny, że mu jeniec nie uciecze... Pomiędzy przechwałkami, jakiemi paladynowie Karlomana zabawiają się na dworze króla Hugona w Konstantynopolu, Olivier obowiązuje się dowieść 100 razy afektu córce królewskiej. Król podsłuchawszy, złośliwie bierze go za słowo; królewna mimo znaczne deficyty potwierdza zgodność rachunku... (Voyage Charlemagne).—Wyobraźnia człowieka owych czasów jest przepojona wizyami wielkości i cudu, świadkiem legendy mieszające się z faktami w dziejach Karola W., świadkiem ta niezrównana w swej wyrazistości karta kroniki Mnicha z St. Gallen [1] o majestacie cesarza: Dezyderyusz lombardzki, mając przy boku Otkera (Ogiera z epopei). przygląda się z wież pawijskich pochodowi wojsk Charlemagne'a. Ledwie zjawiło się w tumanach pyłu czoło straży przedniej, już drży na całem ciele. »Czy to Charlemagne?«, pyta. »Jeszcze nie«, odpowiada tamten. Armia ogromna snuje się, pułk za pułkami. Król coraz bledszy powtarza ustawicznie swoje pytanie. Nareszcie w blasku zbroic, otoczony rycerstwem, zalegającem całą dolinę, zjawia się On, Karol »żelazny«. »To jest Charlemagne«, powiada Otker, a król upada jak martwy na ziemię.

Pieśni epiczne były śpiewane po zamkach. śród biesiady; na jarmarkach i odpustach przed gawiedzią. której żongler nie omieszkał tytułować »seigneurs barons«; na postojach pielgrzymich, w podworcach klasztorów, gdzie pokazywano pątnikom: to »autentyczny« róg i miecz Rolanda, to grobowiec Wilhelma i jego żony, bohaterskiej Guiborgi. Ale na dworach książęcych świetna młodzież

[1] Mon. Germ. SS. II. 759.

męska i delikatne damy upajali się powieścią inną, gdzie wojownicy niezwalczeni byli równocześnie lękliwymi i wiernymi kochankami, gdzie wróżki, spragnione miłości ziemskiej, schodziły z wysp tajemniczych i rozkosznych i porywały pięknych, młodych rycerzy, a gdy ich odprawiły z powrotem, to pozostawiały im w sercu tęsknotę nigdy nie ukojoną. Cykl poemacików epicznych Maryi z Francyi p. t. »lais« (XII w.) [1], cykl romansów poety szampańskiego Chretiena z Troyes (XII w.) [2] na takich tematach jest osnuty. Zeszły się w nich: temat bajecznego króla Artusa i rycerzy Okrągłego Stołu; temat uwiedzenia rycerza przez wróżkę do krainy wiecznej szczęśliwości; temat porwania niewiasty przez potwora, karła, olbrzyma do krainy nocy; temat wyzwolenia, temat »głupiego syna wdowy« (Parcival), któremu, dzięki niewinności, przeznaczone jest dokonanie wielkiego dzieła [3]. Środkami są: czarodziejstwa, napoje miłosne, cudowne lance i hełmy, zamki wirujące, statki bez żagla i steru, przedzierżganie się w postaci zwierząt i ptaków. W »Lanvalu« Maryi z Francyi rycerz skrzywdzony na dworze wyrusza na awantury. Na łące śród lasu spotyka dwie służebne, które prowadzą go do pięknej damy. Żyje z nią śród rozkoszy, potem powraca odprawiony z nakazem zachowania tajemnicy i obdarowany skarbami. Królowa Ginewra zabiega o jego miłość, Lanval odpowiada lekceważąco, że zna piękniejszą niewiastę. Król Artus, któremu Ginewra się poskarżyła, każe rycerzowi dowieść zuchwałego twierdzenia. W dniu sądu przepiękna wróżka przybywa na białym koniu, Lanval odjeżdża z nią na zawsze. W innem »lais«, przypisywanem tejże autorce, »Guingamor« [4], rycerz zabłąkany w lesie, zostaje przez białego odyńca zwabiony nad rzekę, gdzie kąpie się śliczna panna. Rycerz zabiera jej suknie; w zamian za ich oddanie panna-wróżka wiedzie go na swój zamek z kości słoniowej, gdzie rycerz przebywa 300 lat, krótkie jak dzień jeden. Po wyjściu zjada owoc z drzewa ziemskiego, natychmiast słabnie i przemienia się w zgrzybiałego starca. Ale służebnice czarownej krainy zabierają go i uwożą z powrotem. Co w dzisiejszych baśniach zachwyca dzieci i lud, było

---

[1] Lais der Marie de France, ed. K. Warnke 1885.

[2] Christian von Troyes, Sämmtliche erhaltene Werke, ed. W. Forster, 4 t. 1884—1899.

[3] Por. Ehrismann, Märchen im höfischen Epos, Beitr. zur Gesch. d. deutsch. Spr. u. Literatur XXX. (1905).

[4] Wyd. G. Paris, Romania VIII.

dawniej lekturą ulubioną dostojnych kasztelanek. Trzymane w zamknięciu, nie mogące czerpać z pełni życia, rade przebywały w świecie marzeń; w dzień poglądały z krużganku, czy nie jedzie rycerz w złotej zbroi, a nocą nadsłuchiwały, pewne, że lada chwila zjawi się kochanek w postaci sokoła i zapuka w okno zakratowane.

W romansach Chretiena de Troyes występuje nadto nowy motyw, regulujący nowe ideały życia towarzyskiego: motyw t. z. miłości dwornej. Miłość taka, powstała na tle zmysłowem, ale wysubtelniona prawie do zupełnej duchowości, zamieniła się w »sztukę«, dostępną jedynie wybranym i została ujęta w reguły ścisłe i surowe. Jest nielegalna — (zwraca się jedynie do kobiety zamężnej, jako tej, która »zna« miłość) — winna być tajemna i trwała; daje kobiecie wszystkie prawa, na mężczyznę nakłada wszystkie obowiązki: posłuszeństwa, zaparcia się, poświęcenia, ślepej odwagi. W zamian za to, posiadając moc oświecającą i uzacniającą, czyni kochanka mądrym i dobrym. Oto pomysł, jakiego nie zna starożytność — (miłość »platońska« jest koncepcyą filozoficzną); — pomysł, jaki mógł powstać jeno w chrześcijaństwie, dzięki wywyższeniu w niem stanowiska kobiety. Teorya miłości dwornej, pochodzenia prowanckiego, rozwinęła się naprzód, jako igraszka towarzyska, zapewne mało cierpiana w praktyce, na dworze Maryi z Szampanii, gdzie Chretien głównie działał, i ogarnęła następnie cały romans XII i XIII w., szerząc zły obyczaj; wszak epizod miłostek Lancelota i Ginewry, z romansu prozaicznego »Lancelot du lac«, stał się pierwszą przyczyną zatracenia Franczeski z Rimini. Jednak pośród olbrzymiej produkcyi tego romansu sentymentalno-fantastycznego wynurza się jeden, gdzie zgoła inne działają sprężyny: przemoc namiętności fatalistycznej i zgubnej; przerażające szukanie rozkoszy w cierpieniu. W całej literaturze średniowiecza, poza Dantem, miłość - grzech nie tłómaczy się tak przepastnie głęboką symboliką, jak w owych fragmentach powieści o Trystanie i Izocie złotowłosej, co zachowały się pod nazwiskiem poety anglo-normandzkiego Thomasa (druga połowa XII w.) [1]. Dwie istoty niewinne i czyste, władzą napoju miłosnego przykute do siebie na wieki; on staje się niewdzięcznikiem i zdrajcą, ona żoną cudzołożną. Rozerwani nie mogą przestać żyć sobą, myśleć o sobie, pożądać siebie. W głowie

[1] Le Roman de Tristan par Thomas, publié par J. Bédier, 2 vol. Paris 1902—1905.

Trystana powstaje myśl wyrafinowanej samo-katuszy. Po Izocie złotowłosej, przeprawiwszy się do Armoryki, bierze za żonę Izotę białoręką: pragnie bowiem sam na sobie doświadczyć tych cierpień co kochanka, związana z nienawistnym królem Markiem. A poeta, jakby obojętny widz krwawego igrzyska, za pomocą szkolarskich syllogizmów rozpatruje pytanie, które z czworga męczenników cierpi najbardziej... Oto tragedya, do jakiej okropnością Fedra starożytna zaledwie się zbliża, znowu tylko możebna w epoce, kiedy samo postawienie naprzeciw siebie zmysłów i duszy musi wywołać między niemi bój śmiertelny i klęskę jednego z nich nieodwołalną.

Teorya miłości dwornej, w gruncie lubieżnej, ale w pozorach uduchowionej, była dziełem poetów limuzyńskich. »Kochać« nazywa się u nich »s'entender en...«, co w prowanckiem ma znaczenie etymologiczne dążenia, skłonności, ale później, w poezyi włoskiej już przed Dantem, oznacza czynność intellektualną. Amor to jest »intendenza«, pojmowanie, i na tym stopniu schodzi się z platonizmem. Jest to, jak się rzekło, miłość »z głowy«, dziwna roślina mistyczna, wyrosła w ogrodzie krewkiej tężyzny, a nawet rozwiązłości dworów prowanckich; fałsz konwencyonalny, umilający rzeczywistość często pospolitą i brutalną. Stoimy przed zjawiskiem zdumiewającem: poezya, której pierwocin nie znamy, a oglądamy ją już w pełnym rozkwicie, artystycznie doskonałą, w formach definitywnie ustalonych, z wyrafinowanymi środkami stylu. Przeszło 400 poetów: królowie, książęta, szlachcice, kupcy, mnisi odtonzurowani, klercy i żonglerowie z gminu, oto twórcy liryki najbardziej kunsztownej na świecie. Najprzedniejsze układy stroficzne; najwybrańsze rymy; rytmy naginane do wszystkich nastrojów; efekty muzyczne, raz zdobyte allitacyą, jak w wierszu Arnauta Daniela: »En breu brisaral temps braus — Eill bisa busina els brancs« (wnet powieje dziki wichr, zaszumi burza po gałęziach), drugi raz słodyczą dźwięków, jak w smętnej skardze Jaufreya Rudela, »Amor de terra lonhdana, — Per vos totz lo cors mi dol« (miłość z krainy dalekiej, przez cię w ciele mojem ból). Treścią tej liryki jest: z jednej strony uwielbienie kobiety, z drugiej służba lennika, wykonywana pamfletem poetyckim, zwróconym przeciwko wrogom suzerena lub chlebodawcy. Do tamtego użyte wszystkie środki stylu, wszystka wynalazczość fantazyi, wszystka egzaltacya uczucia; przewidziane w niej wszystkie możliwe kombinacye stosunku obu płci: kazuistyka miłosna, przynosząca Petrarce do Kancyonarza formuły gotowe. Mimo ogro-

mną masę »dokumentu«, jest jednak w liryce miłosnej trubadurów jedna rzecz nierozjaśniona: trudno mianowicie przypuścić, aby wszyscy poeci, składający coraz to innym damom hołdy najgorętszej namiętności i konający dla nich każdego dnia, bądź rzeczywiście tak zapalczywie się kochali, bądź, gdy w charakterze kochanków występują biedne, śpiewackie włóczęgi, ośmielali się miłość tę wyznawać małżonkom królów i książąt. Budzi się podejrzenie, że w bardzo wielu wypadkach mamy przed sobą utwory, napisane i wyśpiewane w cudzem imieniu, dla cudzej korzyści: pieśni słowicze Cyrana de Bergerac pod balkonem Roxany... To byłaby odwrotna strona roli idealnego trubadura. Sirwentesy polityczne wypływały z czystszego źródła: solidarności rycerskiej, wierności wdzięcznej wasala i sługi. Co za siła jątrzącego szyderstwa w takim sirwentesie Bertranda de Born, gdy pokazuje Henrykowi angielskiemu, jak pięknie błyszczy w słońcu zamek, zabrany mu przez syna, Ryszarda Lwie Serce. Co za pogarda Sordela dla małości spółczesnych władców, gdy każdemu z nich kolejno ofiaruje do zjedzenia po kęsie serca zmarłego Blacatza. Jaka zuchwałość Piotra Cardinala, gdy wzywa Boga, aby zniósł piekło i wszystkim chrześcijanom otwarł bramy raju!

Liryka prowancka opanowała wszystkie dziedziny sąsiednie: Francyę północną, Włochy, półwysep iberyjski, Niemcy, ale nie wszędzie zdołała przeszczepić swoją siłę żywotną i płodną. Pieśni szkoły sycylijskiej [1] oblekły się w pyszną szatę, ale wewnątrz brak im duszy; kancyonarze portugalskie nie przynoszą ani nowych tematów, ani nowych środków artystycznych. Przegląd jednych i drugich niekiedy tylko zastanawia uwagę odmiennością tonu; wtedy okazuje się, że to pociąga prostota i swojskość jakby rodzimego natchnienia, zapach gleby rodzimej. Tak w owej piosnce włoskiej Rinalda d'Aquino, powtarzającej skargę dziewczyny, której rycerz-kochanek odjechał na wojnę krzyżową. »Krzyż mi sprawił tę boleść, nie pomoże modlitwa. O krzyżu pątniczy, czemuś mię tak zasmucił? Biedna ja i nieszczęsna, płaczę i goreję wszystka«. Albo w sonecie anonimowym »Niny i sokoła«: »Tapina me, che amava uno sparviero«. Biedna ja, kochałam sokoła: był tak łaskawy, że przylatał na zawołanie; a teraz spyszniał, usiadł w cudzym ogrodzie, inna go

---

[1] Największa część znajduje się Ms. Watykańskim 3793, wyd. d'Ancona i Comparetti p. t. Le antiche rime volgari 1875—88.

posiada. O sokole, com cię wychowała! Złote dzwoneczki kładłam ci na szyję, byś ochoczej leciał na łowy. Porwałeś się jak morze, podarłeś rzemyki u nóg i uleciałeś z klatki...« Podobnie z pośród zbiorów liryki portugalskiej wyróżniają się nerwem osobistym i oryginalnym śliczne pieśni króla Dyonizego (koniec XIII w.)[1]: »Vos mi defendestes senhor« (w tej liryce damę nazywa się tytułem feudalnym): »Zakazałaś mi o pani powiadać tobie, ile cierpię. Ale poucz mię na Boga, komu mam użalić się, jeżeli nie tobie? I komu, jeśli nie tobie, gdy milczeć nie zdołam, gdy mówić rzecz daremna; a cierpiąc tyle, jeżeli nie powiem tobie, to przez kogo się dowiesz?« Wdzięk tych dziwnych pieśni leży w ciągłym nawrocie myśli i rymu, w monotonnym rytmie smętku który do dziś dnia cechuje brazylijskie »saudades«. Ta maniera jest niezawodnie ludowego pochodzenia, co jeszcze wyraźniej występuje w pieśniach tego śpiewaka, zwanych »cantigas de amigo«[2].

Niepodobna w krótkich słowach okazać, do jakiego stopnia liryka prowancka jest rodzicielką liryki nowożytnej. Poza Dantem, który wykształcony na niej, odchylił się, poszedł sam i wydoskonalił dla swych kancon filozoficznych manierę »słodkiego stylu nowego«, liryka wszystkich dziedzin romańskich w bezpośredniej i nieprzerwanej filiacyi wywodzi się od Prowensalów. Po przez truwerów francuskich i Petrarkę z jednej strony Ronsard aż do Th. de Banville'a i Verlaine'a, z drugiej Bembo aż do poetów późnego baroka — wszyscy powtarzają wynalezione wówczas formy stroficzne, posługują się tradycyjną retoryką i stylistyką. Oni zaś sami nic, lub prawie nic nie winni pięknu klasycznemu starożytności; wstąpiwszy na widownię jak młodzi zdobywcy, schodzą z niej dumnie i strojnie, sypiąc złoto przyszłym wiekom.

Jakkolwiek Włochy do końca XIII w. nie stworzyły jeszcze wielkiej poezyi, to przecież jedna ich dziedzina, Umbrya błogosławiona słońcem i ciszą, przyniosła nowemu światu coś więcej, niż dźwięczny rym i rytmy skaczące; w Pieśni stworzeń św. Franciszka z Assyżu przyniosła wieść radosną, że natura nie jest człowiekowi wrogiem i pokusą; że wolno podziwiać jej urodę, miłować ją jak siostrę. Na przedświcie Odrodzenia zabrzmiał pierwszy hejnał. Łagodziła strachy pamięć proroctw kalabryjskiego opata, Joachima de

[1] Das Liederbuch des Königs Denis von Portugal, ed. H. Lang, 1894.
[2] Por. Porębowicz E., Pieśni ludowe, Lwów 1909.

Floris. Zapowiadała się w tych proroctwach, po ucisku i lęku, trzecia, szczęsna epoka Ducha świętego, Parakleta: południe po nocy i brzasku, lato po zimie i wiośnie, epoka lilii po ostach i różach, epoka miłości po okresach strachu i wiary. Zawiodło jednak oczekiwanie Pocieszyciela, zapowiedziane na rok 1260 i znów zerwały się groźby Sądu ostatecznego w »laudach« Jacopona z Todi, a z Umbryi i Emilii wyszły tłumy flagellantów, sącząc krew i szerząc jęki po bujnych szlakach Lombardyi. Wiek XIII to era spotężniałej twórczości mistycznej, wizyonerskiej, legendarnej. Mistyka, ów »nowy dreszcz« wieków średnich, ma dla wyrażenia swych uniesień, swego jednania się z Chrystusem, styl odrębny, biblijny, obrazowy. Język »Pieśni nad pieśniami« i mowa miłosna trubadurów naginają się do świętej służby w Medytacyach »doktora serafickiego«, św. Bonawentury; piękno z nich wionie, obce umysłom pozytywnym, ale pełne powabu dla dusz delikatnych. Wzmagają się Wizye piekła i raju, twór niespokojnej, zalękłej, uniesionej wyobraźni; plastyczne w wyrazie, gorące w kolorycie, suggestywne żywą wiarą twórców. Nadewszystko jednak mnożą się zbiory cudów, szczególnie cudów Matki Boskiej [1], równolegle ze wzmożonym kultem Orędowniczki. W jakich sytuacyach nie stawiają jej grzesznicy, do jakich posług nie używa się jej świętej opieki, jakie winy nie bywają odkupione jednem do niej westchnieniem! Pewna kobieta prosi Matkę Boską, aby ukarała kochankę jej męża. Matka Boska odpowiada, że nie może, bo tamta ma szczególne do niej nabożeństwo. Kobieta, spotkawszy rywalkę, wywodzi żale na zawiedzione nadzieje; tamtą skruszona oddaje jej męża. — Mnich odwiedza nocami zakonnicę, która mu wskazuje drogę światłem wystawionem w oknie (poznajemy temat Leandra i Hero): Raz musi przepłynąć przez rzekę; wiatr gasi świecę, mnich tonie ze słowami: »Ave Maria«. Na języku trupa znajdują te wyrazy, wypisane złotemi literami, a kiedy wątpią, czy należy go pochować w poświęconej ziemi, występują jeszcze wyrazy: »Salvatus est«. — Młody narzeczony gra w piłkę, pierścionek mu zawadza. Bojąc się go uszkodzić, wchodzi do kościoła, by go tam schować. Zachwycony figurą Matki Boskiej, kładzie jej pierścionek na palec; figura ściska go za rękę. W noc poślubną między nim a panną młodą zjawia się Matka Boska i okazuje rękę z pierścieniem. Mło-

[1] Mussafia A., Marienlegenden, w Sitzber. der Wien. Ak.. Ph. hist. Cl., CXIII. CXV. CXIX.

dzieniec porzuca żonę i wstępuje do klasztoru. (Temat ten, z zamianą Matki Boskiej na posąg bogini i z rozwiązaniem tragicznem znajduje się w nowelli Mériméego: Venus d'Ille). — Kiedy Matka Boska bawiła jeszcze z apostołami, św. Łukasz wymalował jej portret. Przywieziono go do Rzymu i umieszczono w Sta Maria in Templo. Papież Sergiusz chciał go przewieść do Lateranu, ale wóz w pewnem miejscu stanął jak wryty, a gdy mimo to obraz przeniesiono, powrócił na swoje miejsce (Legenda ta powraca w cudzie jasnogórskim za najazdu Szwedów).

Obok tych cudów inne, czasem z charakterem dziwacznym, śmiesznym, nawet brzydkim, czasem pełnym grozy i majestatu, a zawsze świetnie illustrujące duszę twórcy. Caesarius z Heisterbach [1] opowiada (III. 6) o dyable, który umiał odmawiać pacierz, ale nie chciał wymawiać »Credo in Deum«, tylko »Credo Deo« (Sabała przeciwnie mawiał: W Pana Boga wierz, ale Mu nie wierz).— Żacy przez psotę ochrzcili psa; ten »niegodny nosić na sobie tak wielkie imię, w oczach ich dostał wścieklizny« (X. 45). Ale tenże autor opowiada piękną legendę, jak płocha zakonnica, powierzywszy Matce Boskiej klucze od kaplicy, przez lat 15 żyła na świecie, a przez ten czas Matka Boska za nią odprawiała służbę klasztorną (VII, 34, znany temat »Siostry Beatryczy« Maeterlincka). Lub jeszcze wyrazistszą w geście opowieść o mniszce, co chciała uciec z klasztoru: w każdych drzwiach stawał krucyfiks z rozkrzyżowanemi ramiony i nie puszczał (VII. 33). »Złota legenda« (CXXXI. 4) notuje cud Matki Boskiej przedziwnej patetyczności: Pewna wdowa wie, że syn jej znajduje się w niewoli nieprzyjacielskiej. Gdy bezskutecznie modliła się do Matki Boskiej o jego wyzwolenie, zakrada się do kościoła i z ramion Maryi zabiera Jezusa. Wtedy Matka Boska uwalnia żołnierza i odsyła go matce ze słowami: Powiedz, aby mi oddała moje dziecko. — Niezawsze cuda działy się z bezinteresownego natchnienia świętych. Jedne są ostrzegawcze, zwrócone »ad hominem«: Marcin Polak pod r. 754 opowiada o Karolu Martelu, że łupił kościoły, a dziesięciny rozdawał rycerstwu; to też duszę jego biskup Eutherius widział w piekle, gdy zaś otwarto trumnę króla, złożoną w opactwie St. Denis, znaleziono w niej jeno dużego węża.

[1] Caesarius de Heisterbach, Dialogus miraculorum, ed. Strange, 1851, 2 vol.

Drugie mają przejrzysty cel potwierdzenia autentyczności relikwii lub zaświadczenia nabożnej donacyi: tak w owej niezrównanej historyi o relikwiach, co pod strażą św. Michała wędrowały powietrzem z Gudinsberg do Stromberg (C. de Heist. VIII. 46), lub w owych licznych odmianach jawienia się umarłego przed sądem, jak w cudzie św. Frydolina lub Stanisława biskupa krakowskiego, wskrzeszającego Piotrowina. — Inne służą do uświetnienia miejsc odpustowych, tak piękna legenda o Jakóbie większym z Compostelli: Po ścięciu w Judei ciało zostało na okręcie bez żagli przywiezione do Galicyi luzytańskiej i złożone na kamieniu, który sam otwarł się modłą sarkofagu. Dzikie byki podały kark, aby je zawieść do pałacu rozwiozłej królowej Lupy; ta nawróciła się i zamieniła pałac na świątynię. — Nieraz poznaje się łatwo naiwne źródło ich genezy: Przed urodzeniem św. Dominika matka we śnie widziała psa z gorejącą głównią w pysku; pomysł powstał z żartobliwej etymologii, jaką tłómaczono nazwę zakonu: »Domini — canes«. — Wreszcie znaczna liczba cudów, jako że były spisywane po klasztorach, ma cel dydaktyczny i blizki: pouczenia zakonników obojga płci o obowiązkach stanu i niebezpieczeństwach życia świeckiego, w czem wyobraźnia jest tak wynalazcza, jak w żadnej innej dziedzinie twórczości; lektura Caesariusza z Heisterbach jest istną biesiadą.

Powszechna dążność moralizatorska wieków średnich byłaby nużąca, gdyby nie wybierała sobie sposobów ponętnych, nie wynajdywała form, graniczących z artyzmem. Niezmiernie bogata jest ta literatura przypowieści, sentencyj, bajek, allegoryj; idzie falą ze Wschodu, po drodze przybiera coraz nowe dopływy. Żyje po dziś dzień w bibliotekach jarmarcznych »Historya siedmi mędrców« z tematem »chytrości niewieściej«; we wschodniej Słowiańszczyźnie znana jest postać »Warłama« (Barlaama), co nawrócił do ascezy królewicza Józafata, zabawiając go indyjskiemi powiastkami; za to erudytom jedynie przystępne inne zbiory, pełne mądrych i dowcipnych nauk: »Directorium humanae vitae« Jana z Capui (XI w.)[1], zawiera starą indyjską przypowieść o człowieku, co uciekając przed lwem, czepia się gałęzi drzewa po nad studnią. Lew nań czyha, dwa szczury podgryzają drzewo, wąż czeka na jego upadek w głębi

[1] Directorium humanae vitae, ed. Derenbourg, w 72 fasc. Bibl. de l'École des Hautes Études.

studni. Człowiek tymczasem spokojnie zajada plastr miodu, znaleziony w dziupli... Podstępna, dwuznaczna parabola, mogąca wykładać się zarówno pogańskiem »carpe diem«, jak chrześcijańskiem »memento mori!« — Jaka pyszna ta reguła polityczna Piotra Alfonsa [1], przechrzty hiszpańskiego (XI w.): Nie mieszkaj w państwie króla, którego rozchody większe są niż dochody! (XXV). Jaka znowu ostrożna, filisterska filozofia życia w »Speculum sapientiae« Cyryla z Quidenon (XIII w.) [2]: Muł ostrzega rumaka aby się nie rwał naprzód, bo go zabiją; koń zbywa go pogardliwie, pędzi i pada ciężko ranny. Muł zeń szydzi, cytuje Arystotelesa i wygłasza sentencyę: Błogosławiony, który zawsze się lęka (II. 5). — Turkawka tłómaczy wróblowi, że lubieżnicy krótko żyją. »Oszczędzaj się, powiada i czyń umiarkowanie« (IV. 11). — A przytem co za głębokie, Schopenhauerowskie wejrzenie w tajemnice przyrody! Słoń spotyka żmiję, spieszącą na miłosne święto i poucza ją o strasznych skutkach uciechy zmysłowej, a kiedy żmija zapytuje, dla czego miłość jest rzeczą tak przyjemną, odpowiada, że natura musi używać tego ponętnego sposobu dla swoich celów (IV. 10). »Księga przysłów« Raimunda Lulla (XIII w.) [3] liczy ich 6000; »Sermones vulgares« Jakóba de Vitry [4] zawierają świetne anegdoty, co przeznaczone do ozdabiania kazań, weszły potem do fraszek ludowych i rozsypały się po całym świecie: Dyabeł zbiera do worka źle odmawiane pacierze (n. 19). — Pustelnik z aniołem grzebią umarłego; pustelnik zatyka sobie nos. Potem spotykają ładną dziewczynę; teraz anioł czyni taki sam gest odrazy (n. 104). — Dyabeł wstąpił w człowieka i głosił prawdę i cnotę. Święty pytał, dla czego czyni tak wbrew swojej naturze. Dla tego, odparł dyabeł, bo takim sposobem wtrąca w potępienie tych, co słuchają nauk, ale nie wypełniają (n. 151). — Człowiek leciwy miał dwie kochanki, młodą i starą. Młoda wyskubywała mu siwe włosy; stara resztę czarnych, aby go uczynić podobnym do siebie; — tak go oskubały... (n. 201).

Nic jednak nie przewyższy wysokiej sztuki realistycznej, z jaką

[1] Petri Alphonsi Disciplina clericalis, ed. Hilka, 1911.

[2] Speculum sapientiae, ed. Graesse w Bibl. des lit. Vereins, Stuttgart. CXLVIII.

[3] Raimundi Lulli, Opera, Moguntiae 1721.

[4] Jacques de Vitry, The exemple, ed. Crane 1890.

nieznany twórca opracował liczne gałęzie epopei zwierzęcej, znanej w redakcyi francuskiej pod nazwą »Romansu o Lisie« [1]. Zdumiewająco dokładna obserwacya przyrody, humor galicki, cięłość przejrzystej satyry dziś jeszcze pociągają do tej książki. Czyż nie wygląda na epizod z komedyi charakterów — swemi figurami świetnie nakreślonemi, swym doskonałym rozkładem ról, swą akcyą żywą i ciekawą — choćby ta »Scena sądu« na początku I. »branche«: Renart, istny rycerz-rabuś i gwałciciel jest oskarżony o zbałamucenie wilczycy Hersenty. Mąż Isengrin wnosi skargę, król Lew radzi poufnie, aby dał pokój; niedźwiedź Brun (burek) żąda, aby sprawiedliwość była wykonana; Byk i Żółw wyrażają zdania »za« i »przeciw«. Hersent, cała w rumieńcach, zaklina się, że nie dopuściła do ostateczności. O Renarta nie dba, jest jej obojętny, ale o zazdrość męża, który codziennie dokucza, że uczyniła go rogalem. Sentymentalnie przypomina dzień zaślubin przed 10 laty, przysięga, że była mu wierna. Osioł wzdycha: gdyby to moja oślica była do niej podobna!... Lew nie chce wydawać wyroku na nieobecnego, radzi Wilkowi, aby się zadowolił przysięgą żony. I już ma ogłosić pokój powszechny, mimo biadanie Isengrina, który aż przysiadł na ziemi i ogon podwinął pod siebie, kiedy zjawia się nowa skarga. Kogut Chantecler i kura Pinta, z nimi Białaska, Czarnuszka i Ryża prowadzą wóz, na którym leży rozszarpana kura. Ta nowa zbrodnia decyduje, Brun zostaje wysłany, aby przystawił mordercę.

Ponad tą ludową twórczością wznosi się dostojna poezya erudytów: allegorya miłosna »Romansu o Róży«, allegorya wiedzy przyrodniczej w »Skarbczyku« Brunetta Latiniego lub w poemacie włoskim XIII w., znanym pod nazwą »Intelligenza«. Jeszcze rozleglejszem, ciekawszem, a mało znanem dziełem jest traktat pedagogiczny w języku katalańskim, prozą, Raimunda Lulla, p. t. »Felix de les maravelles« [2], w formie romansu, przeplatanego przypowieściami na sposób wschodni, a pouczający o wszystkich rzeczach ziemskich i niebieskich. A jeszcze wyżej olbrzymie encyklopedye wszechwiedzy boskiej i ludzkiej, istne tumy gotyckie, samą swą

[1] Le Roman de Renart, p. p. E. Martin, 3 vol. 1882—7.

[2] Ramon Lull, Felix de les maravelles, ed. P. Rossello, Barcelona 1873—1904.

konstrukcyą arcydzieła: »Summa Theologiae« św. Tomasza z Akwinu, »Speculum naturale, historiale, doctrinale« Wincentego z Beauvais, »Ars magna et maior« Raimonda Lulla. Na przełomie wieków średnich wszystką tę twórczość tysiącletnią: belletrystykę, teologię, filozofię, etykę, politykę, wiedzę przyrodniczą pozna, ogarnie, napełni duchem nowym Dante i użyje za materyał do swego dzieła.

Książę Husyta.

Napisał

Antoni Prochaska.

I.

Pierwszy pobyt ks. Korybuta w Czechach.

W okresie wielkiego wzrostu i spotężnienia Polski, obejmującej dorobkami swej cywilizacyi ogromne przestrzenie państwa litewskiego, szerzącej wiarę Chrystusową w zaledwie dostępnej Auksztecyi, w dziewiczych borach niedostępnej Żmudzi, nie dziwna, że stanowiła ona magnes przyciągający ku sobie mniejsze organizmy państwowe, jak Mołdawię, Wołoszczyznę, a przedewszystkiem stare dzielnice swoje, drobne księstwa śląskie. Ten jednakowoż fakt, że sławna korona czeska, pod rządami Karola IV doszedłszy do szczytu znaczenia wśród państw Europy, zwraca się ku Polsce i jest jakby w obrębie działania jej siły przyciągającej, wzbudza zdumienie w badaczu. Rośnie ono, jeżeli się zważy ówczesne prace misyjne Polski, szerzenie chrześcijaństwa, zakładanie biskupstw na Litwie— a z drugiej strony na wręcz odmienne zdarzenia w Czechach, w których husytyzm, urosłszy w potęgę, zrywał się do obalenia związków z Rzymem i wyzywał cały świat katolicki do boju [1]. I oto zaledwie w parę lat po założeniu biskupstwa na Żmudzi, Czesi ofiarowują sławną swą koronę Jagielle i Witołdowi: jednego z nich — których zasługi porównywano bądź z zasługami Konstantyna W., jak Jagiełłę, bądź też wielbiono jako atletę Chrystusowego, jak Witołda— chcą mieć królem potępieni przez Niemcy, odcinający się od Kościoła,

[1] Zdumienie to wyraża, co prawda z wyrzutem mądry papież Marcin V w liście do króla Jagiełły, Caro, Liber Cancellariae II. nr. 115.

słowem kacerze czescy. Zaprzeczający wierze, chcą mieć władcę w jednym z największych szerzycieli chrześcijaństwa; sekciarze, gubiący się w zabobonie, chcą poddać się największym misyonarzom katolicyzmu, zrywający z Rzymem pragną uderzyć czołem przed tymi, którzy o setki mil rozszerzyli władzę prymatu w Europie.

Rozmaite są przyczyny tego zbliżenia się, bądź co bądź w niezwykłych poczętego okolicznościach. Jednych szukać należy w podobieństwie języka, zwyczajów, obyczajów, słowem w narodowości, innych w ówczesnem położeniu politycznem, wspólności wroga politycznego. Pierwsze i drugie splotły się ostatecznie w jeden węzeł z chwilą słynnego wyroku wrocławskiego. Król rzymski i węgierski, Zygmunt Luksemburczyk, dziedzic korony czeskiej, jako sędzia w sprawach Polski z Krzyżakami, wydał wyrok, odsądzający Polskę od wszelkich politycznych korzyści, zdobytych mieczem na Krzyżakach, a Litwę pozbawiał jej rdzennej ziemi Żmudzi, którą oddawał Krzyżakom. Ponieważ równocześnie oburzył Czechów, przez to, iż kilku mieszczan praskich ściąć kazał, przeto wywołał w Czechach dążenie szukania ratunku w unii osobistej z Polską. Stronnictwa husyckie porozumiewają się, wysyłają swych wysłanników do Jagiełły, do Witołda, całe dwa lata krzyżowały się poselstwa, listy między Polską a Czechami, zanim ostatecznie Witołd przyjął ofiarowaną sobie koronę czeską, wysłał swego namiestnika do Czech, którym był bratanek polskiego króla Władysława Jagiełły, Zygmunt, syn Dymitra Korybuta, krótko Korybutem zwany.

Możnaby sądzić, że gdyby nie wyrok wrocławski, nie nastąpiłoby wysłanie Korybuta do Czech, stosunki polsko-czeskie nie byłyby się potoczyły tą drogą, po której, krocząc Korybut, nadawał im znamienną cechę i wyraz oryginalny, który możnaby określić nazwą polskiego husytyzmu. Z wysłaniem Korybuta rośnie ten husytyzm i w Polsce, gdzie wnet widzimy szereg wybitnych postaci husyckich. Są to po części wodzowie, jak Wierusz, jak Dobek Puchała, kierownicy stronnictw politycznych, jak Spytek z Melsztyna, uczeni, jak Gałka z Dobczyna. Jedni z nich, jak Puchała, mieli świetną przeszłość, mieli Grunwald i Koronowo, drudzy budowali własne stronnictwa w Polsce, inni szerzyli tendencye husytyzmu piórem, słowem i dziełem. Poza głównemi figurami kryją się całe szeregi innych, jak Piotr Polak, Pełka ze Skórkowa, Jakób z Rogowa, ks. Fryderyk Ostrogski, Jan Kuropatwa, rycerzy lub awanturników w rodzaju Mikołaja Kornicza Siestrzeńca, nie braknie tam i osób duchownych,

jak owych zbiegłych z Polski do Mołdawii Franciszkanów. Występujące na pierwszy plan figury są typami o mniej lub więcej zamaszystych rysach w boju i pokoju; przedstawiają mężów pochopnych do działania ryzykownego, zasobnych w dużą dozę fantazyi, w pomysły hazardowe, dla społeczeństwa szkodliwe, a nawet zgubne. Kilku tym figurom poświęcono nawet monograficzne opracowania, tak typowo odtwarzają one charakter polskiego husytyzmu, tyle faktów grupuje się obok ich działalności, jak n. p. osobie Siestrzeńca, wysłannika do husytów, lub próżnego aż do zdrady ojczyzny Spytka z Melsztyna. Z pośród tych wszystkich figur, bodaj czy nie najbardziej oryginalną i najlepiej odzwierciedlającą w sobie skutki hołdowania husytyzmowi, jak znowu z drugiej strony odznaczającą się i wielu zaletami, jak pewną dostojnością i ujmującą łaskawością, był ks. Zygmunt Korybut.

Jak syna ukochał król Władysław Jagiełło bratanka Korybuta, którego podobnie, jak i siostrę tegoż Helenę, na swym dworze wychowywał[1]. Inne rodzeństwo pozostało przy wierze wschodniej i żyło na Litwie. Helenę wydał król za księcia Jana II Raciborskiego i wraz z Witołdem wyposażył hojnie 1407 r., a w parę lat później obaj władcy pomnożyli jej wiano. Starannie opiekował się też król Zygmuntem Korybutem; w otoczeniu młodego księcia widzimy jakiegoś pana Grabę, »komesa de Holonia« [2] w latach 1412—1414. Zresztą posiada książę własny personal służbowy i jest stale w otoczeniu króla. Że w rycerskiem rzemiośle, na czem głównie

[1] Daty z pobytu na dworze Jagiełły w Piekosińskiego, Rachunki dworu króla Władysława Jagiełły, w Czołowskiego, Pomniki Lwowa II. str. 133, III. 54, Cod. epist. II. nr. 56.

[2] Obacz odnoszące się do wiana Heleny dokumenty z r. 1407, 1411 i 1412 roku w Bonieckiego, Kodeksie dypl. Polski IV. nr. 15. 16. 17. Co do rodzeństwa Zygmunta Korybuta, wiadomo, że bratem jego rodzonym był prócz Iwana także Fedor Korybutowicz, którego to ostatniego identyczność z Fedkiem Nieświeskim przez ks. Puzynę w Miesięcz. herald. 1913 skonstatowana, mimo zdań przeciwnych pp. Radzimińskiego i W. Semkowicza, które podpisany z początku podzielał (por. Miesięcznik 1914 str. 192), nie ulega prawie wątpieniu. Był ten Fedor zaciętym wyznawcą wschodniej wiary, podobnie jak prawie cała rodzina, jak to mówi wyraźnie Zbigniew Oleśnicki, Cod. epist. II. nr. 204, str. 290, w liście do kardynała Cezariniego: cuius (Coributhi Sigismundi) fratres germanl (a więc Iwan i Fedor) sunt cum duce Switrigallo in Lithuania ritu scismaticorum viventes... Ostatecznie wpadł ten Fedor w bitwie nad Świętą w ręce Zygmunta Kiejstutowicza, ale ocalił życie, podczas gdy Zygmunt, brat starszy, zginął.

polegało ówczesne wychowanie, nabył książę dużej sprawności, że nadto był mężnym i walecznym, przytomnym i bystrym, świadczy ten fakt, że nie tylko poruczono mu pod Grunwaldem chorągiew litewską, pięćdziesiątą i pierwszą, którą wiódł do boju, ale z rozporządzenia wodzów przydzielono go do osobistej straży króla wraz z młodym Ziemowitem siostrzanem i księciem Feduszkiem bratankiem króla, dzielnymi, aczkolwiek w leciech młodymi rycerzami.

Twarda szkoła życia pod Władysławem Jagiełłą, królem wiodącym częste a szczęśliwe wojny, dbającym o rozległe stosunki z zagranicą, o przyjaźń z sąsiadami, zaprawiała do samodzielności i do energicznego działania. Spotykamy Zygmunta nie tylko pod chorągwiami w kilkakrotnych wojnach krzyżackich i jako zdobywcę Prabut w 1414 r., ale nadto i na zjazdach dyplomatycznych i w zagranicznych poselstwach. Po ślubie arcyksięcia Ernesta z Cymbarką, siostrzenicą królewską, w Krakowie odbytym, towarzyszy książę królowi do Sącza na zjazd z królem Zygmuntem w Lubowli 1412 r., uwieńczony pokojem, zawartym pomiędzy monarchami. We dwa lata później poleca król księciu poselstwo do Mirczy Bessarabskiego, wojewody Wołoszczyzny naddunajskiej, sprzymierzeńca królewskiego, zapewne aby przywieść posiłki na wojnę z Krzyżakami. Powróciwszy z wojny pruskiej na dwór królewski brał udział w Radzie królewskiej w listopadzie w Bieczu, gdzie król swojem i Witołda imieniem dał upoważnienie papieżowi, cesarzowi i soborowi do rozstrzygnięcia sporów swych z Krzyżakami. Wtajemniczano księcia w najważniejsze sprawy państwowe, a tam, gdzie nadawał się dzielny reprezentant wojskowy, wysyłano go z pełnomocnictwami.

Gdy po wyroku wrocławskim zaostrzyły się stosunki pomiędzy królem Zygmuntem a Jagiełłą, a wojna z Zakonem stała się nieuchronną, nadeszła i dla Korybuta chwila wystąpienia na arenę dziejową. Czesi, zarówno katolicy, jako też stronnicy husytyzmu, nie chcieli mieć Zygmunta królem, powstali przeciwko niemu i zadawali mu klęskę po klęsce, koronę zaś czeską, jak już wspomniano, ofiarowali królowi Polski. Gdy Jagiełło odmówił przyjęcia, zwrócili się Czesi do Witołda; ten koronę przyjął po dłuższem wahaniu, tak, że w ogóle dwa lata pracowali Czesi w Polsce i na Litwie, zanim osiągnęli rezultat, poczem Witołd na samą Wielkanoc 1422 r. wysłał do Pragi z kilkutysięcznym zastępem rycerstwa bratanka swego, Zygmunta Korybuta.

Według zamiarów Witołda miał Korybut przywieść na drodze

pokojowej pacyfikacyą Czechów do skutku i pogodzić ich z Rzymem [1]. Czechy miały odnieść tę korzyść, że miecz krucyat byłby od nich odwrócony, chrześcijaństwo uniknęłoby krwawych bojów, dających się Rzeszy niemieckiej we znaki; Rzym miałby się cieszyć powrotem zbłąkanych owieczek. Szeroki ten program należał do przyszłości; ale już w chwili, kiedy Korybut miał rozpocząć działalność w Czechach, dawał realne korzyści Jagielle i Witołdowi. Ekspedycyą bowiem zbrojną do Czech, w chwili, kiedy kończył się już prawie rozejm z Krzyżakami, i kiedy w Polsce i Litwie do nowej z nimi wojny czyniono przygotowania, oddalano króla Zygmunta i Rzeszę niemiecką od wspomagania Krzyżaków, oddawano tych ostatnich w mściwe ręce pokrzywdzonych wyrokiem wrocławskim Polaków i Litwy, i co za tem szło, niszczono na zawsze wyrok króla rzymskiego, ferowany we Wrocławiu.

Dla czegoż jednak Witołd, nie Jagiełło wysłał Korybuta do Czech, zapytamy; wszakże Korybut był ulubieńcem Jagiełły, wszakże stosunki Czechów z Polską były daleko żywsze, aniżeli z Litwą, a odczucie grozy, wiszącej nad Czechami ze strony Rzeszy niemieckiej, większe w sąsiedzkiej Polsce, aniżeli na Litwie. Senat polski, duchowny i świecki, a nawet zjazd generalny stanów polskich czyli sejm odrzucił propozycye Czechów, ofiarujących koronę, gdyż taka protekcya wyklętych równała się zaprzeczeniu misyi cywilizacyjnej królestwa, z tak ogromnym skutkiem sprawowanej na Wschodzie. Witołd, dożywotni pan w świeżo nawróconej, na poły jeszcze pogańskiej Litwie, mógł objąć tę protekcyę, nie narażając przez to dzieła katolicyzmu na groźne niebezpieczeństwo. Można nawet sądzić, że to wyręczenie Jagiełły przez Witołda i wysłanie bratanka ich do Czech, było skutkiem porozumienia obudwu władców bez udziału senatu, duchowieństwo bowiem polskie stanowczo potępiało wysyłkę, czynami oświadczało królowi naganę za samo zezwolenie

[1] Wypływa ten wniosek z listów Witołdowych, a przedewszystkiem z listu jego do Marcina V, Palacky, Urk. Beiträge I. nr. 172, tudzież do arcybiskupa Rygi, Cod. Vitoldi nr. 1012. Pomimo, że Marcin V i na taki program Witolda się nie zgodził i stanowczo go potępił, Cod. epist. II. nr. 113. 114, Palacky, Urk. Beitr. I. 184 i w ogóle jak najbardziej stanowczo występował w sprawie czeskiej w obronie Kościoła i legalnej władzy królewskiej Zygmunta Luksemburczyka, mimo to wszystko Bachmann, Gesch. Böhm. II. 277 wyraża się, że die Stimmung in der Kurie hatte wieder umgeschlagen.

na Witołdową ekspedycyę, i Witołd musiał pomagać do zwalczania opozycyi duchowieństwa polskiego przeciwko królowi.

Bądź co bądź, Witołd poniósł olbrzymie koszta wyprawy. Dokonywała się ona w Polsce, w samym Krakowie, zaciągi Litwinów były całkiem nieznaczne; trochę szlachty z województwa ruskiego z ziemi lwowskiej, wyznania wschodniego, przybyło pod chorągwie, reszta, ogromną większość stanowiąca, było to rycerstwo polskie [1]. Władze były ślepe na te zaciągi, zakupna broni, amunicyi, żywności dla kilkutysięcznej armii; książę rycerski, jak wielu innych z rodziny królewskiej książąt, był ulubionym w Krakowie, wiedziano zresztą, że jedzie nawrócić bratni naród do Rzymu, dla tego też zaciąg powiódł się najlepiej. Książe katolik, dobry żolnierz, wódz, ćwiczony w dyplomacyi, wykształcony i wychowany na wielkim dworze, dawał niejako rękojmię, że sprosta trudnemu zadaniu. Sądzono, że ma wszelkie warunki po temu, albowiem jako brat księżnej raciborskiej i blizki kuzyn wielu innych książąt śląskich, mógł poznać i język i obyczaje Czechów, z wojen krzyżackich znał wielu rycerzy Czechów, a także i owego głośnego podówczas wodza Żyżkę z Trocnowa. Przytem ulubieniec Jagiełły, osobą swą miał przypominać Czechom tego, do którego oni najpierw się udali, jako zaś Litwin rodem i namiestnik Witołda, miał zastępować męża głośnego imienia, o którym Czesi dobrze wiedzieli, że był energicznym i sprawiedliwym, i że podjąwszy rzuconą sobie przez króla Zygmunta rękawicę, zrywał się do zemsty.

Z tych przyczyn już na rok cały przed ekspedycyą opinia publiczna w Polsce wskazywała na księcia, jako na tego, któremu król z Witołdem powierzą wielkie zadanie w Czechach. Gdy następnie zaczęły się krzyżować poselstwa czeskie i polskie w sprawie ofiarowanej korony, i gdy jedno takie poselstwo książę raciborski Jan przyaresztował z rozkazu króla Zygmunta w Raciborzu, naówczas wystąpił sam Korybut z protestem, jakby już wyznaczony przez Jagiełłę i Witołda do zaopiekowania się sprawą czeską. Wysłał bowiem groźny list do szwagra swego do Raciborza, by uwię-

[1] Że w wojsku Korybutowem byli Polacy, a potem i Czesi, stwierdzają samiż Czesi w uchwale gminy praskiej z 22 maja 1422 r., w której mowa o narodowości wojska: budte Poláci neb Čechowe. Por. Cod. epist. II. str. 149, et erant ex Lithuania: należy tłómaczyć oddział Feduszka czyli też Fryderyka ks. Ostrogskiego. O udziale szlachty z województwa ruskiego list Jagiełły u Palacky'ego, Urk. Beiträge I. nr. 273.

zionych posłów. spieszących do Polski, wypuścił z więzienia, przedstawiając mu, że będzie zniszczony i doczeka się strasznego końca, gdyby inaczej postąpił, albowiem król i Witołd nie opuszczą Czechów, pokrewnej sobie narodowości [1].

Ale ani groźby księcia, ani nawet Witołdowe, który zresztą podnosił, że Wilhelm Kostka i Hlas z Kamienicy spieszyli doń, by się zaciągnąć w służbę litewską, nie osiągnęły celu, gdyż Jan, książę raciborski odesłał był już aresztowanych do króla Zygmunta. Oczywiście tem aresztowaniem posłów czeskich nie przeszkodzono, owszem ułatwiono porozumienie co do objęcia korony. Już w styczniu 1422 r. wiedział Mistrz Zakonu, że Witołd przyrzekł Czechom wysłać Korybuta w kilkanaście tysięcy do Czech, że sam zbroił się i rozesłał listy do rycerstwa polskiego, które zazwyczaj zaciągał do licznych swych wypraw, by gotowi byli towarzyszyć Korybutowi do Czech. Co bardziej, mówiono nawet, że w czasie wymarszu Korybuta, zanim nie przybędzie do Czech, Polacy będą strzegli granicy pruskiej, by zapobiec jakiej niemiłej niespodziance; wiedziano tam bowiem, że król Zygmunt podjudzał Krzyżaków do najazdu na Polskę, że knował nawet jakieś fantastyczne plany podziału Polski.

Pogłoski o Korybucie niebawem już się sprawdziły — na Wielkanoc cały zaciąg wojska był gotowy do pochodu. Książę Korybut z Krzyczewa nad Bugiem, zdaje się posiadłości, nadanej mu przez Witołda, wysłał królowi Rzymskiemu listy wypowiednie, jako namiestnik Czech i Morawy, imieniem postulowanego króla Czech, Witołda [2]. Objąwszy komendę nad swoimi w Krakowie, wyruszył przez księstwa oświęcimskie i cieszyńskie do Morawy. Ani spokrewniony z królem Bolko, ani też sąsiad Polski, Kazimierz oświęcimski, nie stawili oporu. Byłby on zresztą bezowocnym wobec tego, że książę Korybut rozporządzał pięciu tysiącami kopij, co znaczyło kilkanaście tysięcy żołnierza dobrze uzbrojonego i zaprawionego w wojnach. Wprawdzie próba ubieżenia Oświęcimia nie udała się, natomiast wzięto szturmem Uniczów, skąd książę udał się do Cza-

[1] Nam exinde et per hoc non restat, nisi vestra destructio et finalis eversio, grozi szwagrowi Zygmunt i podpisuje się filius fratris regis Polonie, Script. rer. Sil. VI. nr. 16. Narodowość oznacza książę wyrazem: linguagium proprium.

[2] Listy wypowiednie, datowane 16 kwietnia, ob. Cod. Vitoldi, nr. 998. Bachmann, Gesch. Böhmens, każe już 16 marca być Korybutowi w Pradze. O wyruszeniu jego z Krakowa 21 kwietnia ob. Cod. epist. II. str. 149.

sławia, gdzie już zebrani byli przedstawiciele rozmaitych stronnictw i stanów czeskich, wobec których Korybut zaprzysiągł cztery artykuły praskie i przyjął komunię pod obiema postaciami [1]. W tym, przekraczaczającym program Witołdowy fakcie, szukać należy przyczyny, że stolica królestwa, złocista Praga, na dzień 16 maja wśród wesołych okrzyków tłumu uroczyście przyjęła księcia. Co bardziej, umiarkowani, jakby przygotowując stolicę do rządów i ułatwiając księciu namiestnictwo, uprzątnęli rądykałów z Janem z Żeliwa na czele, których w początkach marca jeszcze pościnano. W uspokojonej tym sposobem stolicy książę natychmiast po przyjeździe objął rządy namiestnicze imieniem postulowanego króla.

Mówi Długosz, że książę nie znosił buntowników i srogo karał wszelkie zamieszki [2]. Musi się ta uwąga odnosić do jednego wypadku i do późniejszej działalności księcia, gdyż sam Witołd oddaje księciu pochwały z powodu łagodnego obchodzenia się z Czechami wszystkich stronnictw w tym 1422 r. Można jednak stwierdzić pełną energii działalność księcia, z którą w parze szły mądre zarządzenia, mające porządek i bezpieczeństwo na celu. I tak zaraz za przybyciem usunął z rady miejskiej rajców ze skrajnego stronnictwa Żyżki, a nazajutrz, 17 maja, obsadził radę umiarkowanymi. Następnie omawiał z nimi środki bezpieczeństwa i 28 maja ogłosił zapadłe uchwały jako obowiązujące prawo, przez całą gminę uchwalone. Zabronił surowo zwad i niepokojów, od czasu śmierci Jana Żeliwy podkopujących porządek i bezpieczeństwo publiczne, a zarazem ogłosił amnestyę dla wszystkich zwolenników Żeliwy, którzy w ucieczce ratowali życie; jednakże nakazał im w przebłaganiu księcia szukać ratunku. Natomiast wszelkie nowe zaburzenia miały być gardłem karane. Do stronników króla Zygmunta, jak do Oldrzycha Rosenberga, rozpisał książę listy, by zaprzestali sprzeciwiać się prawu Bożemu i nie gubili ziemi postulowanego króla Witołda. Nawet »brat« Żyżka z Taborytami uznał w księciu pomocnika i najwyższego namiestnika Czech, obiecując, że gdyby

[1] Że stało się to wbrew i mimo woli mocodawcy Witołda, podnosi sam Witołd w listach do Czechów z marca 1423 r., Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 262. Że jeszcze przedtem fałszowano odpowiedzi Witołda, ob. Prochaska, W czasach husyckich str. 13.

[2] Długosz, Hist. XI. 290: in seditiosos et facinorosos asperrimus vindex.

kto wszczął niesnaski i swary, naówczas zbrojno wystąpi przeciwko niemu [1].

Niewątpliwie czynny książę zapragnął zajaśnieć jakiemś wielkiem dziełem, do którego zapraszał wszystkich Czechów, rozpadłych na liczne stronnictwa. Na nieszczęście swoje, jako środek do tego celu wybrał dzieło bardzo trudne, zdobycie Karlowego tynu, twierdzy kilka mil od Pragi odległej, ale znakomicie z natury i sztuką obronnej. Wprawdzie książę był już raz zdobywcą zamku Prabut [2], Karlowy tyn jednak był twierdzą o wiele większą od małego zamku krzyżackiego, a sztuka zdobywania większych zamków była tak niedoskonała, środki niszczenia wałów i murów tak niedołężne, że przy dzielnej obronie latami można było całą armię oblężniczą unieruchomić przy jednej takiej twierdzy. Nie odstąpił jednak Korybut od zamiaru ryzykownego, ile że straciwszy z powodu swej przysięgi czasławskiej względy króla polskiego, chciał i jemu dostarczyć dowodu, że ściga wrogów Polski w Czechach. Oblężenie dzielnych stronników króla Zygmunta przeciągało się; w lipcu zapewniał on króla Jagiełłę o swej nadziei pobicia wrogów Polski, t. j. stronników Zygmuntowych, a obrońców Karlsztynu [3], ale prawdopodobnie sam nie wierzył w zwycięstwo. Część armii wysłał na oblężenie Opoczny, musiał jednak w połowie sierpnia odstąpić od oblężenia w obawie odsieczy ze strony książąt śląskich.

Tymczasem, jak nawet dalecy od Czech, a ciekawi Krzyżacy wiedzieli, w samej Pradze nie było zgody. Korzystają z tego Taboryci, i pod Buhuslawem Schwambergiem i Janem Bzdinką usiłują Pragę ubiec. Napad na stolicę nie udał się, zmusił jednak Korybuta do pospieszenia z pod Karlowego tynu do Pragi, do zwołania w stolicy całej gminy na dzień 3 października, do zarządzenia środków większego bezpieczeństwa tak stolicy, jak mieszkańców, i do ukarania tych, którzy w porozumieniu z Taborytami starali się ułatwić im zamiar. Zagrożono srogo tym, krórzyby przeciwko Witołdowi lub namiestnikowi Korybutowi słowem lub czynem występowali lub hańbili wysłańców i posłów, do nich wysyłanych [4].

---

[1] List Żyżki z 11 czerwca 1422 r. w Archiv česk. III. str. 239, tamże list Zygmunta Korybuta do Oldrzycha Rosenberga.

[2] O zdobyciu tem ob. Długosz, Hist. XI. 174.

[3] Por. list z 9 lipca 1422 r. w Cod. epist. Vit. nr. 1029. Co do oblężenia Karlowego tynu ob. list margr. Fryderyka brandenburskiego do ks. bawarskiego z 26 listopada 1422 r. u Palackyego, Urk. Beitr. II. str. 500.

[4] Archiv čes. I. 216.

Środki zarządzone nie doprowadziły do uspokojenia wzburzonej opinii — co prawdopodobnie stąd pochodziło, że po zawarciu pokoju nad Melnem pomiędzy Polską i Litwą a Krzyżakami, było prawie pewnem, że jeżeli pokój ten ma być trwałym, naówczas Witołd musi odwołać Korybuta z Czech. Król rzymski knował ogromną ligę antypolską, podburzał Krzyżaków, wpływał na kuryę apostolską oczernieniami, słowem od zgody jego na pokój melneński zależała trwałość tego dzieła, a warunkiem króla Zygmunta było odwołanie Korybuta z Czech. Czujna opinia Czechów, zwłaszcza zdala od Pragi stojących Taborytów, była słusznie zaniepokojona — wreszcie podejrzenia i obawy objęły i Prażan. Te — jak się dorozumiewamy — były powody zaburzeń w Pradze.

To pewna, że wnet po owych zarządzeniach Korybuta w stolicy, gmina znowu wystąpiła przeciwko rajcom i wszystkich uwięzionych przy wspomnianym napadzie Taborytów wypuściła z więzienia.

Wtedy to poczuł w sobie Gedyminowic — dość niewcześnie — krew przodków, kazał drużynie wsiąść na koń i wyruszył z nią na rynek. Tutaj sprawdził, kto wypuścił z więzienia Taborytów — i na rozkaz księcia wrzucono sprawców do więzienia. Pod wieczór rozkazał Korybut przywołać kata i pojedyńczo wyprowadzanym obżałowanym ścinać głowy. Gdy już pięć głów padło, obecny przy egzekucyi Wilhelm Kostka, oburzony srogością, zwrócił do księcia bolesną przymówkę: bądź dalej katem, jeśli ci się tak podoba zajęcie... i odjechał.

Zajścia te sparaliżowały całą akcyę pod Karlowym tynem tak dalece, że załoga wypadła z zamku na nieczujnych oblężeńców, wycięła część Husytów i pobiła oddział Polaków, a ci ostatni nie chcąc dłużej pod murami pozostać, postanowili wrócić do Pragi [1]. Wśród takich stosunków nie pozostawało Korybutowi nic innego do podjęcia, jak wejść w układy ze stronnictwem króla Zygmunta. Dnia 8-go listopada zawarto roczne zawieszenie broni pomiędzy wszystkimi stronnikami króla Zygmunta, obejmując niem i Karlowy tyn z Prażanami i Korybutem.

W taki sposób król Zygmunt ułatwił niejako Korybutowi —

[1] List margr. Fryderyka Brandenburskiego z 26 listopada, Palacky, Urk. Beitr. II. str. 500.

któremu nawet glejty bezpieczeństwa posłał [1] — honorowe opuszczenie namiestniczego stanowiska w Pradze. Już 24 grudnia Korybut opuścił Pragę, ale jeszcze pozostał w kraju. Widocznie opierał się twardemu losowi, spychającemu go z gościńca sławy i szczęścia. Może jeszcze nie wierzył w mające nastąpić odwołanie go ze strony Witołda. W każdym razie zostawiał w Pradze wielu swoich stronników, również niewierzących, że książę tak rychło już miał opuścić stanowisko, i ufających, że rozłąka jest tylko czasową.

Znakomity historyk Czech, wyraża się o działalności Korybuta w czasach pierwszego pobytu w Czechach, że został on wyrwany z roli swej dziejowej. Głęboka to charakterystyka ważnego okresu działania księcia. Wśród akcyi ledwo zaczętej musiał książę porzucić całą obszernie zakrojoną pracę. Należy jednak uzupełnić trafne zdanie historyka i czeskiego patryoty, że książę został wyrwany z sytuacyi i ważnej pracy dziejowej, ale nie bez własnej winy. Wiemy wszakże z powyższych uwag, że rozpoczęte przez księcia akcye mijały się z kierunkiem przeznaczonym im przez Witołda i opisanym w listach wielkiego księcia do papieża. Gdyby działając w myśl tych wytycznych, całej akcyi swej nadał kierunek ściśle polityczny, by w ten sposób stworzyć podstawę do zgody z Rzymem, mógł siłą faktów stanąć na czele wszystkich stronnictw jako potężny naczelnik narodu, a naówczas odwołanie ze strony Jagiełły i Witołda nie pociągnęłoby za sobą skutków, działalność księcia przerywających. Ustępstwa na rzecz husytyzmu poczynione uczyniły go słabym, zależnym od narodu, wobec czego odwołanie ze strony tych, których zaufanie zawiódł, pozbawiło go podstawy, której sobie zbudować nie umiał. Oddany sam sobie, pozbawiony rady tych, którzy mu niejedną wskazówkę dali, nie umiał uderzyć w czynów stal, nie umiał pod hasłem zagrożonego bytu narodowości połączyć wszystkich sił narodu dla jej ratunku, do którego to połączenia Polacy wzywali Czechów jeszcze przed jego przybyciem do Pragi w napuszystych co do formy, a jednak w istocie rzeczy trzeźwych odezwach, bo streszczających się w jednem jedynem: ratować byt narodu!

[1] Palacky, Urk. Beitr. II. w dodatkach na str. 504, list Zygmunta do Piotra ze Strażnic z 31 marca 1423 r.

II.

Drugi pobyt ks. Korybuta w Czechach.

Wprawdzie wskutek zawarcia pokoju z Krzyżakami nad Melnem obalił król Władysław Jagiełło wyrok wrocławski, ale dopiero wskutek zgody, zawartej pomiędzy Jagiełłą i Witołdem z jednej, a królem Zygmuntem z drugiej strony, można było mówić o pokoju Polski z Zakonem, zarówno jak i z królem Zygmuntem. Na zjeździe w Kezmarku nastąpiło formalne odwołanie Korybuta z Czech, który prawie równocześnie z drużyną swą przybywał do Polski, i tutaj niejedną słuszną wymówkę usłyszał od stryja Jagiełły, od zjazdu kezmarskiego noszącego się z dokumentowo zresztą Zygmuntowi przyrzeczonym zamiarem dokonania wielkiej wojennej ekspedycyi do Czech, celem pacyfikacyi tego sąsiedniego królestwa, niedokonanej przez bratanka.

Sędziwy król całą duszą szczerze oddał się temu zamiarowi, nie bez widoków korzyści politycznych. Prawdopodobnie życzył sobie Śląska jako rekompenzaty za dokonaną pacyfikacyę. Toż król Zygmunt, który ani miał ochotę płacić za uczynność sąsiedzką, ani też życzył sobie wmięszania się Polski, owszem tylko straszył Czechów przyjaźnią zawartą z Polską, zręcznie udaremniał taką wyprawę, tak, że terminy jej, w Kezmarku umówione, spełzały bezowocnie, zawsze jednak z winy Zygmunta. Atoli na wiosnę 1424 r. Jagiełło stałością swą tyle dokazał, że ostatecznie wyprawa nastąpić miała, i część wojsk przez króla zebranych stanęła pod chorągwiami w Krakowie przed Zielonymi Świętami.

Wtedy to zaszedł wypadek wcale niespodziany. Książę Korybut stanął na czele tych wojsk, i zamiast w pomoc iść królowi Zygmuntowi, pospieszył z wojskami w pomoc Czechom. Kompromitacya króla była wręcz niesłychaną.

Książę, jak już wspomniano, od kwietnia 1423 r. był w Polsce. Zanim odzyskał łaskę królewską, musiał kilkakrotnie składać przysięgę, że nie będzie podzielał błędów heretyckich, że nie pomyśli o wspieraniu husytów, i że pozostanie zawsze w Koronie [1]. Towarzyszy też królowi w pracach nad przygotowywaniem posiłków dla króla Zygmunta i jest zapewne świadkiem, gdy król gromił szlachtę lwowską, że do zaciągów dla Korybuta przed dwoma

[1] Cod. Vit. str. 656.

laty spieszyła chętnie, teraz zaś, gdy idzie o wyprawę przeciw husytom, jest opieszałą. Niezawodnie był też książę świadkiem uchwalonego w Wieluniu w początkach kwietnia 1424 r. edyktu przeciwko husytom [1]. Że jednak Korybut mimo odwołania nauk husyckich stał po stronie husytów, i wcale nie sprzyjał owym środkom, przez króla zarządzonym, celem stłumienia w Polsce husytyzmu, nie może ulegać wątpliwości. Wiemy bowiem dowodnie, że Korybut potępiał wszelkie środki przeciwko husytyzmowi wymierzone, niemniej jak i zamierzaną przeciwko nim wyprawę, że uznawał projekt jej jako dzieło króla Zygmunta, wroga narodu czeskiego, a natomiast w duszy sprzyjał ówczesnym usiłowaniom husyckim co do udzielenia im konferencyi z katolikami w sprawie czterech artykułów praskich, czemu król Zygmunt odmawiał [2].

W Polsce poróżnił się też Korybut ze stanami. Począł bowiem prosić króla o ustąpienie mu w dzierżenie Dobrzynia. Król, z powołaniem się na wyraźne prawo Korony, odparł, że nie ma mocy rozdawać zamków książętom w Polsce, i odesłał Korybuta po decyzyę do zjazdu w Warcie [3]. Tutaj, wnoszącemu osobiście prośbę swą księciu odmówiły stany jednomyślnie. Rozgniewany książę począł agitować pomiędzy skłonnem do nowinek rycerstwem, wzniecał bunty, i z tą chwilą poczęto go unikać, a nawet potępiać go. Król może i nie wiedział o knowaniach księcia, a może łagodnem obejściem chciał go skłonić do powolności, dość, że gdy na koronacyę królowej Sonki przybył legat papieski Branda Castiglione, król wysłał na spotkanie dygnitarza Korybuta, niejako by dać dowód powolności życzeniom papieskim co do odwołania księcia z Czech. Korybut musiał zresztą wobec dostojnika powtórzyć przyrzeczenie niesprzyjania husytyzmowi. Także i naprzeciwko przybywającemu na koronacyę królowej królowi Zygmuntowi, wysłał król polski

[1] Korybut był w Dobrostanach z królem, por. dok. z 22 lipca 1423 r. w Akt. grodz. i ziem. III. nr. 95, str. 185.

[2] Wypowiada te przekonania Korybut w liście wypowiednim, królowi Zygmuntowi przesłanym w lipcu 1424 r., Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 304.

[3] Długosz, Hist. XI. 316. Relacya Długosza znajduje poparcie w jednym z listów Witołdowych, Cod. Vit. str. 828, w którym Witołd wymienia owych wspólników knowań Zygmunta Korybuta w 1423 i 1424 r. i nazywa ich Szafrańcami. Wielki książę obwinia ich, iż wydali znaczne sumy na tę drugą ekspedycyę Korybuta do Czech. Szafrańcy byli wielkimi przeciwnikami króla Zygmunta i jego wrogich przeciw Polsce zamysłów, por. Ibid. str. 838.

swego bratanka na spotkanie, i wobec tegoż musiał Korybut ponowić obietnicę niemięszania się w sprawy husyckie. Książę miał sposobność podziękowania królowi Zygmuntowi za przesłane mu glejty w czasie, kiedy przez Morawę powracał do Polski.

Zaledwie złożył przyrzeczenia Korybut, a już jego słowność narażona została na próbę. Gdy król pod koniec marca 1424 r. był w Wiślicy, przybyli doń posłowie z Czech z prośbą dania im Korybuta za króla i udzielenia pomocy. Otrzymali wprawdzie stanowczą odpowiedź odmowną tak co do pomocy jako też i co do Korybuta. Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, zawiesił interdykt na czas pobytu posłów, a kaznodzieję czeskiego, który wystąpił z kazaniem w kościele, nakazał król na żądanie biskupa wtrącić do więzienia; czescy posłowie nie zrazili się jednak tem, i dawną utartą już drogą poszli dalej na Litwę. Z porozumiewań z księciem Korybutem wiedzieli, że był ochotnym do objęcia korony, i że doradzał starać się o pozyskanie konsensu od wielkiego księcia Litwy.

O Witołdzie wiedziano, że najpierw towarzyszowi Korybuta, Puchale, którego ten książe pozostawił w Morawie, nakazał oddać Uniczów w ręce króla Zygmunta [1], że następnie na prośby listowne Prażan, by dotrzymując przyrzeczenia, objął rządy królestwa osobiście, odpowiedział, że nigdy nie dawał takiego przyrzeczenia, i że skoro Korybut słodyczą i łaskawością nie zdołał odwieść ich od błędów i z Kościołem połączyć, on widząc ich zatwardziałość, podał rękę do zgody królowi Zygmuntowi, który gotuje na nich krucyatę. Wobec tak stanowczej odpowiedzi, czegoż jeszcze spodziewać się mogli Wrbata z Orlce i Matiasz Anglik, gdy 26 kwietnia w Przełomie przedkładali Witołdowi prośbę, którą odrzucił już król polski, a mianowicie o danie im na królestwo Korybuta? [2] Już samo przyjęcie wzgardliwe posłów — przyjął ich Witołd na wyjezdnem, bardzo rano — wskazywało, jakiej się mają spodziewać odpowiedzi.

W przemowie swej czescy posłowie zaczęli od narzekań na króla Zygmunta z powodu, że nie dotrzymał żadnego z trzech terminów umówionej audyencyi, że nie tylko listami, ale i poselstwami zniesławił po całym świecie Czechów, a nadto usiłuje ich poróżnić z Witołdem, któremu dotąd wiernie służyli. Dla okrucieństwa Zymunta i jego nienawiści ku Czechom nie chcą go mieć swym kró-

[1] Cod. Vit. str. 1049.

[2] Poselstwo i odpowiedź w Cod. epist. Vit. nr. 633—634; cf. Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 262.

lem i nigdy go za takiego nie uznają. Jednomyślnie też obrali królem Witołda, teraz zaś Wielki książę z powodu podmowy Zygmunta ich opuszcza, nad czem bardzo boleją. A jakkolwiek z wielką przykrością przychodzi im oddalić się od łaski wielkiego księcia, chcą przynajmniej z rodu jego prawych i sprawiedliwych książąt wybrać sobie władcę, mianowicie Korybuta, i proszą o konsens Witołda, gdyż bez niego książę nie odważyłby się, o ile z odpowiedzi jego wyrozumiało poselstwo, objąć rządów w Czechach.

Jeżelim wysłał do Was Korybuta — odparł Witołd — uczyniłem to w nadziei, że tą drogą zapobieży się krwi rozlewowi, a Czechów skłoni się do powrotu do katolickiego kościoła. Ponieważ jednak wy, jedno królestwo, mniemacie być lepszymi od całego chrześcijaństwa, w próżnem oczekiwaniu zwątpiwszy w poprawę waszą, pogodziłem się z królem Zygmuntem Rzymskim, węgierskim i czeskim. Wiedząc o tem, pocóżeście tutaj przybyli?... Wszakże nie możecie mieć nadziei łaski i względów moich i próżnemi są trudy waszych poselstw. Gdyby zaś Korybut lub ktokolwiek z naszych poważył się przystąpić do was, będziemy go uważać za największego naszego wroga [1].

Z powyższych uwag wypływa, że zarówno Jagiełło jak i Witołd byli z gruntu przeciwni wszelkiemu wmięszaniu się Korybuta w sprawy czeskie, że stali przy królu Zygmuncie, a Jagiełło nawet przygotowywał wyprawę orężną przeciwko husytom; niestety jednak, co już wyżej zaznaczono, z zebranymi orężnymi, Korybut, stanąwszy na ich czele, podążył do Czech, aby objąć ofiarowaną mu koronę.

Kompromitacya była gruntowną. Należało zaradzić złym skutkom ze względu na opinię zagranicy, tudzież na zły wpływ, jaki fakt pociągnął za sobą w samem królestwie. Toż kanclerz polski rozwinął niezwykłą czynność w rozpisywaniu listów do królów, książąt, dygnitarzy duchownych i świeckich, do papieża i kardynałów, przedstawiając, jak książę, »niepomny dobrodziejstw mu świadczonych, na zgubę duszy i ku ogólnemu zgorszeniu uciekł do Czech« [2].

[1] Witołd odsunął stanowczo Korybuta od siebie, że nie ważono się przedkładać mu nawet listów Korybutowych, ob. Cod. Vit. str. 717. Co do stanowiska Jagiełły i zamiarów jego wyprawy przeciwko husytom ob. Lewickiego, Ein Blick in die Politik König Sigmunds w Arch. f. Oesterr. Gesch. t. LXVIII. cz. 2, str. 390 i n.

[2] Walną część tej korespondencyi Jagiełły z powodu drugiej ucieczki Korybuta ogłosił Caro w Liber Canc. I. nr. 12. 13. 14 i t. d., są atoli listy tego przedmiotu dotyczące w Cod. ep. I. nr. 65, Cod. Vit. nr. 1157, 1158, cf. 1156.

Tego, czegoby wróg mój mi nie uczynił, skarżył się Władysław Jagiełło, uczynił ten, którego jakby syna jednorodnego ukochałem i od dzieciństwa wychowywałem. Jakże mi przeboleć ten cios dotkliwy! Maską powolności okrył podstępny swój zamiar... ten Tatar i barbarzyniec, oślepiony własną głupotą..., skarżył się w listach do króla Zygmunta, do Cymbarki, żony ks. Ernesta austryackiego, do Fryderyka brandenburskiego, ks. Bogusława słupskiego, do ks. saskich, do elektorów, do Marcina V i kardynałów... wszędy bolesny swój zawód odkrywał król polski na swoje i korony swojej usprawiedliwienie. Zabrał mi żołnierzy moich, skarżył się w liście do ks. Ernesta austryackiego, gdym był zdala od Krakowa, ale już wysłałem oddziały celem ukrócenia tej jego swawoli; razem z innemi wojskami królestwa rzymskiego poskromią one zuchwalca.

Istotnie król wysłał wyborowy oddział rycerstwa, liczący 5000, pod wodzą Piotra Niedźwiedzkiego w pogoń za zbiegiem na Oświęcim, Opawę; ale gdy wojsko przybyło do Ołomuńca, książe Albrecht austryacki, zięć króla Zygmunta, mając je w podejrzeniu z powodu Korybuta, nie wpuścił Niedźwiedzkiego w mury miasta [1]. Boleśniejszem, aniżeli ta obraza, było to, że dworzanie najbliżsi królowi dopomogli Korybutowi do ucieczki, że niektórzy z nich ogromne wydali sumy na ekspedycyę, a nawet wzięli w niej udział i pojechali z księciem do Czech [2]. Najsroższe kary kazał oburzony król zastosować do winnych. Dobra Korybuta skonfiskowano, jego zaś samego wywołano z królestwa. Nie pomogły wstawiennictwa książąt, krewnych, król był nieubłagany i mówiono, że gdyby Korybut był popadł w ręce wysłanych za nim wojowników, byłby zginął haniebną śmiercią [3]. Witołd tak był zagniewany na księcia, że nawet listów jego z Czech nadesłanych nie odważano się przedkładać wielkiemu księciu [4]. Do zawiązującej się przeciwko husytyzmowi konfederacyi podał i Witołd pomocną rękę. Rzucono tam podstawy do obrony państwa — Polski i Litwy — od nowinek, podkopujących kościół, państwo i społeczeństwo, zagrożono karami wszystkim fautorom heretyków, wszystkim, którzy pomocni byli Korybutowi do ucieczki;

[1] Długosz, Hist. XI. 328; por. usprawiedliwienie króla Jagiełły z powodu ucieczki Korybuta do ks. Ernesta austryackiego, Cod. epist. I. nr. 65.

[2] Cod. epist. II. str. 279. Witołd nazywa tych dworzan Szafrańcami, Cod. epist. Vit. str. 828.

[3] Cod. epist. I. str. 99, por. str. 113 nr. 103.

[4] Cod. Vit. str. 717.

tym zaś, którzy z nim poszli do Czech, wyznaczono termin krótki powrotu (na Wniebowstąpienie), inaczej podpadną karom, które zapadły na Korybuta [1].

Książę tymczasem był już w swojem królestwie. W dwóch partyach przekroczył on w czerwcu granice Polski. Jedna, pod dowództwem Puchały, maszerowała na Oświęcim, Raciborz, Opawę i Jägerndorf; druga, którą sam książę dowodził, przez południowy Śląsk szła na Morawę, usiłując zdobyć po drodze jaką silną pozycyę, celem uzyskania punktu, łączącego Polskę z Czechami, a może w widokach zapewnienia sobie na każdy wypadek podstawy do odwrotu. Wazale księcia raciborskiego udaremnili jednak zamiar zdobycia zamku w okolicy Jägerndorfu [2]. Z drogi rozsyłał książę królowi Zygmuntowi, Albrechtowi austryackiemu listy wypowiednie. Występował w nich szumnie jako książę litewski oraz królestwa czeskiego i margrabstwa morawskiego postulowany i obrany król [3]. Wojnę zaś wypowiadał w obronie Czechów i Morawian i czterech artykułów... bo, jak mówi, przekonał się o zgodności praskich artykułów z ewangelią, Czesi zaś dotąd uzyskać nie mogą ich aprobaty, mimo żądanego w tej sprawie posłuchania. Widząc ucisk świętej boskiej prawdy i narodowości czeskiej od Ciebie (Zygmunta króla), oświadczamy, że prawdy tej i narodu czeskiego nie opuścimy, owszem dla obrony ich przybyliśmy do Czech... [4]. Wygnaniec z Polski, którego wyrzekał się król i Witołd, tworzył nowy program dla husytów, widocznie pragnąc ich skupić pod swoją chorągwią pod hasłem praskich artykułów.

Mimo wielkiich ustępstw na rzecz husytów, przyjęcie Korybuta w Pradze nie było takiem, jakiem było przed dwoma laty, kiedy przybywał jako namiestnik Witołda. Wiadomo, że żadne stronnictwo nie podniosło wniosku obwołania Korybuta królem, w ogóle sprawa jego królestwa, o którem Wrbata z Orlce i Matiasz Anglik tyle mówili na krakowskim i wileńskim dworze, idzie w zapomnienie. Walka wewnętrzna stronnictw trwa dalej. W jesieni podstępuje w krwawym pochodzie Żyżka pod Pragę, pragnąc stolicę, jako gniazdo zasad, odstępujących od nauk Husa, zburzyć i z ziemią

[1] Cod. Vit. str. 653; por. Prochaska, Dwa związki antihusyckie, Kwart. Hist. XI. 733 i n.

[2] Grünhagen, Hussitenkämpfe der Schlesier str. 89.

[3] Joh. Ratispon. Cronica, u Höflera, Geschschr. der Huss. Bew. II. str. 443.

[4] Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 304.

zrównać. Wysyła do ślepego wodza Korybut Rokiczanę, wybijającego się na czoło stronnictwa praskiego, i Żyżka zawiera rozejm pod stolicą, odstępując od oblężenia. Co bardziej, wjeżdża do Pragi i odnawia przyjaźń z Korybutem. Udali się obaj na wyprawę do Morawy, gdzie 11 października umarł słynny wódz taborycki. Świadczy to o niezwykłym darze ujmowania sobie ludzi ze strony Korybuta, skoro umiał pozyskać sobie nieprzystępnego i srogiego wojownika, postrach wieku, mówi trafnie jeden z historyków. Niewątpliwie dążył książę do pozyskania sobie za pośrednictwem wodza całego stronnictwa, gdy wtem śmierć Żyżki przeszkodziła zamiarowi, i wszelkie próby zgody Taborytów z Prażanami doprowadziły tylko do pogłębienia rozdziału stronnictw. W marcu 1425 r. musiał znowu książę odpierać od Pragi Taborytów [1]. Stronnictwo księcia umacnia się przystąpieniem profesorów i kilku z wybitniejszej szlachty, jak Podjebradów, którym książę wysyła pomoc, broniąc ich od Zygmuntowców [2].

Zdany na własne siły, bez nadziei chociażby pomocy moralnej z Polski, widząc, że Taboryci kuszą się o Prągę, że walka stronnictw trwa dalej, wdrożył Korybut rokowania z królem Zygmuntem, proponując dysputę. Lubo król Zygmunt projekt odrzucił, po nowym zamachu radykałów na Pragę, ponowił Korybut w maju 1425 r. ten sam wniosek Zygmuntowi.

Wśród tego wojna trwa dalej. Zaraz po ugodzie stronnictw w jesieni 1424 r. rzucono się na zdobycie granicznych zamków, obsadzonych przez Miśnieńczyków. Przybyli Jakóbek Wrzesowic i Taboryci pod Prokopem Holym. Korybut również pospieszył, chcąc zdobyć Uście (Aussig), podczas gdy inne grupy wiodły wojnę przeciwko Albrechtowi na Morawie, inne wpadały do Austryi i do Saksonii. Na wiadomość, że Miśnieńczycy, Łużyczanie i Fryderyk brandenburski spieszą na odsiecz Uściu, Korybut odstąpił od oblężenia i wyruszył na spotkanie odsieczy. Dnia 25 czerwca 1425 r. zadano Niemcom olbrzymią klęskę, ale nie Korybut, lecz Prokop dowodził armią czeską. I tu, na polu chwały, zaznaczyły się różnice pomiędzy Taborytami a Prażanami. Prokop bowiem chciał skorzystać ze zwycięstwa i zupełnie zniszczyć rozprószone wojska przeciwników;

[1] Mikołaj z Pielgrzymowa u Höflera, Gesch. d. huss. Bew. II. str. 690.

[2] Podziękowanie Hynka z Kunstadu i Podjebradu w Arch. česk. III. str. 303.

Korybut natomiast, lubo walczył mężnie, lubo swoich zagrzewał do walki i do zwycięstwa znacznie się przyczynił — udaremnił zamiar Prokopa, zabiegając jeszcze większemu wyniesieniu się radykałów, a tem samem jeszcze wybitniejszemu rozdziałowi pomiędzy Czechami a Zachodem, gdyby radykali zupełny tryumf odnieśli.

Zdaje się, że Korybut zwątpił, by można było mieczem wywalczyć zwycięstwo zasadom, w obronie których wystąpił w Czechach. Przy oblężeniu Mostu doznały wojska jego porażki od Brandenburczyka. I książe Albrecht austryacki odpierał ataki Czechów na Morawie, gdzie wojskom Korybuta groziła dywersya Ślązaków, pod biskupem wrocławskim księciem Konradem idących na Nachod i posuwających spustoszenia pod Trnawę. Nie dziw, że Korybut począł przemyśliwać nad pokojowem rozwiązaniem sprawy. Otoczenie jego, w którem przeważało rycerstwo, popierało go w tem dążeniu, wychodząc z tego stanowiska, że wszelkie zwycięstwa spowodowują tylko wzrost radykałów, i że jedynie zgoda z Rzymem mogłaby uratować Czechy od klęski wojny i od zamętu wewnętrznego.

Przypuszczać można, że już pod koniec 1425 r. Korybut miał nowy program, i że zdążając do urzeczywistnienia go, zawarł roczny rozejm ze stronnictwem króla Zygmunta, od pierwszego października trwać mający i obejmujący z jednej strony wszystkich stronników Zygmunta, z drugiej zwolenników księcia Korybuta tudzież Taborytów i Orebitów [1]. Zwolennicy zresztą księcia żyli dalej w otwartej nieprzyjaźni z Taborytami i na Bočka z Kunstadu, stryja słynnego później Jerzyka z Podjebradu, knuli spiski z zamiarem zgładzenia go, a zamek Podjebrad usiłowali w jesieni 1426 r. zdobyć.

Jeżeli jednak książę lubo wyklęty przez papieża [2], powziął program nowy, nie czynił tego bez widoków osobistych. Po półtorarocznej działalności, uwieńczonej takiem zwycięstwem pod Usti, o koronie czeskiej, dla której tu przybył i zerwał z potężnym królem Polski, nie było nawet mowy. Mógł tedy sądzić książę, że jeżeli mu się uda projekt przywieść do skutku, osiągnie zarazem owoce swych usiłowań, t. j. że co najmniej w nagrodę prac i trudów przypadnie mu jakie księstwo z bogatej korony czeskiej.

Do takiej zgody z Rzymem, mającej uspokoić królestwo cze-

[1] Arch. česk. III. str. 254.
[2] Zob. Caro, Lib. Canc. I. nr. 19.

skie, wiodły dwie drogi. Można było dotrzeć do celu albo za pośrednictwem króla Zygmunta, lub też za czynną pomocą króla Jagiełły i Witołda. Że zaś ci ostatni wyrzekli się księcia, musiał Korybut uderzyć najpierw do króla Zygmunta, którego niedawno jeszcze powtórnym swym listem wypowiednim tak srodze obraził. Jak już wyżej wspomniano, na propozycyę audyencyi dla mistrzów praskich z katolikami, mającą utorować Czechom drogę do zgody z Kościołem, odpowiedział król Zygmunt odmownie. Najpierw zwlekał z odpowiedzią, następnie odprawił posłów książęcych z tem, że tylko papież mógłby na taką audyencyę zezwolić. Na zjazd elektorów, przez Zygmunta do Wiednia wyznaczony, wysłał Korybut znowu posłów z prośbą, by książęta Rzeszy wyjednali mu u papieża Marcina V posłuchanie, gdyż tylko ono mogłoby w następstwach swych skłonić poróżnionych do zgody, usunąć wojnę; tyraństwem bowiem niczego nie osiągnie się w Czechach.

Ale i w Wiedniu niczego książe nie osiągnął[1]. Wtedy to postanowił zbliżyć się do granic polskich, do swoich, którzy go odstąpili, i stamtąd szukać poparcia. Tym celem rozpoczął najazdy na Śląsk, przyczem starał się trzymać siły w kupie i nadać im tęższą organizacyę, a to celem usadowienia się na Śląsku, pod bokiem Polski. Ponieważ zamiary Jagiełły co do wyprawy wielkiej na Czechy już były jakby rozwiane, przeto działalność księcia na Śląsku nie napotykała ze strony królestwa polskiego na przeszkody, owszem, w pobliżu granic będąc, nawiązywał zerwane stosunki z przyjaciółmi i z rycerstwem w Polsce, skąd mógł zaczerpnąć zachętę do akcyi, że skoro król Zygmunt go nie wysłuchał, król Jagiełło, mający wszakże upoważnienie papieskie do skłaniania husytów prośbą i groźbą do obedyencyi Rzymowi, nie odmówi swego poparcia w kierunku upragnionego zbliżenia się do Rzymu.

Wysłał tedy książę do króla Jagiełły szerokie usprawiedliwienie z powodu swej ucieczki, poinformował go o swej działalności, skierowanej do zgody z Kościołem, wreszcie przedstawił, że król Zygmunt odmawia pomocy w chwalebnem dziele i prosił króla o poparcie. Prośby jego były daremne. Jagiełło głuchym był na przedstawienia i poparcia książęcych próśb, odprawiono posła z niczem.

[1] Opowiada o tem wszystkiem Korybut w liście do Witołda z 26 marca 1426 r., Cod. ep. Vit. nr. 1218.

Widocznie był Korybut nieźle poinformowany o stosunkach ówczesnych w Polsce i na Litwie, o rozdźwięku, jaki panował pomiędzy królem a księciem, skoro postanowił skorzystać z sytuacyi. Widoczna to z listu jego, do Witołda pisanego, w którym zaraz na początku uderza na króla Jagiełłę, skarży się nań, że za wierne usługi obrzucił go kalumniami przed całym światem, przed książętami świeckimi i duchownymi, a nawet przed profesorami [1], że go poniżył tak dalece, iż książę nie chce już dalej królowi służyć, ale raczej odpierać kalumnie piórem i czynem! W tym celu czynił starania o audyencyę, mającą wdrożyć pacyfikacyę Czech, a skoro tak król Zygmunt jako też i Jagiełło odmówili poparcia, uprasza Witołda, by, jako miłośnik wielki sprawiedliwości i dobrej sławy, poparł jego starania u papieża.

Było to na wiosnę 1426 r. I zdaje się, że Witołd, któremu nawet imienia księcia nie ważono się wspominać, poparł prośbę Korybuta u papieża. Wszak szło tu o pacyfikacyę Czech, o myśl, którą sam Witołd podnosił i bronił przedstawieniami u papieża, dowodząc, iż bronią niczego się na Czechach nie uzyska, że wszelkie krucyaty są bezowocne, i że tylko na drodze pokoju będzie można ich napowrót pozyskać dla Kościoła. To pewna, że w jesieni b. r. pisał papież Marcin do króla Jagiełły, a więc do tego, który prośbę księcia odrzucił, że skoro Korybut żąda audyencyi i prosi, by za pośrednictwem króla położono koniec wojnie, papież, chcąc, by husyci nie zwalali winy na Kuryę apostolską i niechęć jakową papieża ku nim, oświadcza, że przyjmie ich, jeżeli dadzą zupełne pełnomocnictwo do poddania się orzeczeniom Kuryi [2]. Sądzimy, że takiż sam list otrzymał i Witołd od papieża. Widocznie wskutek porozumienia obu władców wysłano do papieża posła z ofiarowaniem pośrednictwa polskiego między husytami a Kuryą. Przechowała się nawet mowa posła polskiego w tej sprawie, na publicznej audyencyi w Kuryi miana [3].

Lubo rokowania w sprawie tej zgody z Kuryą, prowadzone z Jagiełłą i Witołdem, jako też i z królem Zygmuntem, czynione były w tajemnicy, dowiedzieli się jednak o nich niechętni księciu,

---

[1] Et singulis universis christiane religionis professoribus heu dolenter nos deprimavit. Cod. ep. Vit. nr. 1218.

[2] Caro, Lib. Canc. I. nr. 104, list papieski z 4 października 1426 r.

[3] Ogłoszona w Cod. epist. II. nr. 155.

których także i wśród Prażan liczył niemało, a którzy szpiegami otoczyli osobę księcia i najmniejszy krok jego śledzili z uwagą. Kiedy bowiem w samej Pradze umiarkowani, popierani przez księcia, wzięli górę, i poczęli wszystkie skrajne nauki Wiklefa i Taborytów nazywać kacerskiemi, urosła także wśród umiarkowanych obawa, że skoro Wiklefa można uważać za kacerza, natenczas i Husa, który chwalił naukę Wiklefa, będzie można nazywać heretykiem. W tym duchu w obecności Korybuta odbywały się dysputy około Bożego narodzenia pomiędzy magistrami Przybramem i Piotrem Anglikiem z jednej strony, a pomiędzy broniącymi nauk Wiklefa z drugiej; do tych ostatnich należał Jakobek i Rokičana. Korybut popierał stronnictwo Przybrama w nadziei, że ono utoruje drogę jego programowi zgody z Rzymem.

Przychwycenie dowodów co do układów, toczonych o zgodę z Kuryą, nie przedstawiało wielkich trudności, ile że nie tylko w Polsce i na Litwie toczono układy o audyencyę, ale nawet na Śląsku, przy czem biskup wrocławski, książe Konrad, był czynnym, zarządzając konferencyę książąt śląskich celem porozumienia się z arystokracyą czeską. Zresztą pisano znowu listy do króla Zygmunta, bez którego zezwolenia i glejtu nie mogliby nawet czescy pełnomocnicy dostać się na miejsce konferencyi. I otóż jeden z takich listów Korybutowych do Zygmunta został przejęty przez zwolenników Rokičany. On to bowiem uknuł zasadzkę, a będąc w posiadaniu dowodów usiłowanej zgody z Rzymem, w samą palmową niedzielę 17 kwietnia 1427 r. na porannem kazaniu ogłosił ludowi »zdradę księcia«. Równocześnie wysłany przez Rokičanę Marcin Lupač podburzył mieszkańców stolicy przeciwko księciu [1]. Uderzono

[1] W znanym w nauce rękopisie ces. publ. bibl. petersburskiej L. IV. 102, zawierającym szereg pism i dzieł z obozu katolickiego przeciwko husytom, pomiędzy innemi dwa traktaty prof. krakowskiego uniwersytetu Mikołaja z Brzegu Tempelfelda, znajdują się na str. 254—263 Articuli et errores Iohannis Rokiczana, które jakiś anonim sabbato post Cantate 1461 r. w Pradze zestawił z materyałów rozmaitych dziś już zaginionych. Na str. 262 v. czytamy o stosunku Rokiczany do księcia Korybuta taki ustęp: Excessus et crimina Rokiczani, propter que inhabilis est ad sacerdotium et alias spirituales dignitates. Primo est traditor, quia postquam ipse fuit conscius et concausa tradicionis ducis Sigismundi Lituani, qui traditorie de Praga et blasphemie eductus fuit, quia Martinus Lupacus cum literis equitando communitatem turbabat contra ducem, asserens ipsum infideliter contra ipsos intendisse et scripsisse imperatori Sigismundo, et communitatem convenire fecit, et hoc est notorium apud Pragenses

we dzwony na gwałt — pokazano ludowi listy księcia jako namacalny dowód zdrady, poczem dwaj dworzanie księcia Swojše z Zahradka i Jan Rozwoda z Stakora pojmali księcia, obsadzili mieszkanie jego strażą, wieczorem zaś powiedli na zamek praski. Równocześnie pojmano magistrów Przybrama, Krystyana z Prachatič, Piotra z Mladenowic i odstawiono na ratusz. Rokičany stronnictwo tryumfowało, odniósłszy zwycięstwo bez rozlewu krwi.

Rokičana ogłosić kazał szereg postanowień, mających ustalić powagę stronnictwa jego w Czechach. Nie wolno było odtąd pomawiać Husa o kacerstwo, a tak samo zabroniono słowem lub czynem popierać obedyencyę Rzymowi. Siódmym artukułem zabroniono orzekać, jakoby z Korybutem postąpiono zdradziecko [1]. Treść artykułów

illius temporis. Item est traditor Pragensis, quia ante annos certos erat conscius illius tradimenti. quod facturus erat Prage, et idcirco de Praga (brakuje tutaj: dux Sigismundus), clamore erat populi fuit (sic) bannitus... Item ipse publice duci Sigismundo Polono resignabat bona ecclesiastica universa. O wspomnianym tutaj Lupaču ob. Palacky, Gesch. Böhm. III. 2, 425.

[1] We wspomnianym wyżej rękopisie znajdują się w artykule owego anonima, który korzystając z materyału, jaki miał 1461 r. w Pradze pod ręką, spisywał artykuły przeciwko Rokiczanie, także i artykuły, które wyżej w tekście przywodzimy, a które tutaj w całości przytaczamy, jako nieznane badaczom historyi czeskiej, por. Arch. čes. III. 261—264. Dla stwierdzenia, że anonim zasługuje na wiarę, i że czerpał ze źródeł wiarygodnych, przytoczyć należy, że zarzuty inne przeciwko Rokiczanie, przez niego podniesione, są znane i stwierdzone. Ekscerpował on zresztą oryginalne akta, i zestawiając te wyciągi z aktów mówi, że pauca ex multis illicita existunt, nam si universa illius funestissimi hominis et secte sue poni deberent pessima opera in genere persecutionis et immundicicie occulte, voluminibus certe indigerent. Ustęp, który tu przytaczamy, znajduje się w rękopisie L. IV. 102 na str. 263: Sequuntur statuta, que fecerat, quando Pragam advenerat et obtinebat post traditionem ducis Sigismundi Poloni, ex quibus cognoscitur fides illius et religio ad ecclesiam Romanam: Primus articulus, quod nullus dicat illos sacrilegos, qui abstulerunt seu tenent bona temporalia spiritualium vel sacerdotum. Secundus, quod nullus obloquatur occulte vel manifeste de hoc, quia ecclesie vel monasterio aliquid sunt destructa vel corrupta. Tertius, quod nullus protegat confessionem illius fidei, que est contra remanenciam panis materialis in sacramento, quia est fides nova et intelligibilis. Quartus, quod nullus resumat ritus dispositos circa divina nec imagines erigat vel promoveat. Quintus, quod nullus detrahat officio, quum sacerdotes cum laicis tractant et iudicant causas matrimoniales et ad capitula vel divorcia sentencias ferunt. Sextus, nullus facto vel verbo publice vel occulte obedienciam pape promoveat vel indicat. Septimus, nullus publice vel occulte asserat hoc esse vel fuisse opus proditorium, quod factum est in Praga cum principe Sigismundo Polono. Octavus est: census, quos Pragensis civitas deposuit, nullus erigat nec

wskazuje, że Rokičana dążył do skrystalizowania wyznania dla wszystkich stronnictw husyckich, że takiemu wyznaniu Korybut, ograniczający ustępstwa swoje tylko do artykułów praskich, nie sprzyjał, i padł ofiarą podstępu swego przeciwnika.

Bano się jednak uwięzionego księcia, a może bardziej jeszcze jego stronników, skoro zaraz po Wielkiejnocy tajemnie uwieziono go na zamek Waldstein, ale w taki sposób, że i największy księcia zwolennik, Hynek z Waldsteinu, nie dowiedział się o miejscu więzienia Korybutowego. Wspomnianych magistrów wydalono z Pragi, a ten sam los spotkał i drużynę księcia.

Przyjaciele księcia, jak Hynek, jak Jan Smižycki, Wilhelm Kostka, pragnęli uratować go i wyzwolić z więzienia. Zbierają się na narady, zwracają się do husytów skrajnych, a nie uzyskawszy od nich poparcia, udają się do stronnictwa, trzymającego z królem Zygmuntem. Niegdyś gorliwy utrakwista, jakim był Hynek z Waldsteinu, obiecywał posłuszeństwo królowi Zygmuntowi w zamian za pomoc celem wyzwolenia księcia z niewoli. Obiecywał nawet Pragę wydać w ręce króla Zygmunta, ale Wilhelm Kostka przeszkodził planowi. Hynek stracił życie, Smižycki dostał się do niewoli Prażan, którzy, celem zapobieżenia dalszym spiskom, 9 września wypuścili Korybuta z niewoli i odstawili go do granicy polskiej.

Smutny był koniec trzech- i pół letniej pracy Korybuta, rezultat drugiego pobytu jego w Czechach. Odstępstwo od zasad katolicyzmu, od Kościoła — nie tylko że nie dopomogło mu do zamiaru pogodzenia stronnictw, ale raczej zwichnęło cały plan, a rozbicie stronnictw w chwili, gdy opuszczał Czechy, było większe, aniżeli w czerwcu 1424 r., gdy po raz drugi do Pragi przybywał. Nie zadowolnił skrajnych, gdyż nie dozwalał im wybić się przy pomocy zwycięskich wodzów w górę, tem mniej zadowolnił umiarkowanych,

dicat eos esse iustos. Nonus, quod nullus scripta vel tractata magistri Hus vel magistri Jacobelli vituperet vel hereticet vel confundat nec publice nec occulte. Decimus articulus est: quatuor Pragenses, quibus permittit(!) [quos promittit] firmiter tenere et protegere. Undecimus: nullus vituperet leccionem vel cantum vulgarem circa missas matutinas vel baptismum. Duodecimus: nullus magistrorum aut sacerdotum ad Pragam assumatur nec inhabitare permittatur, nisi subsit et oboedientiam in omnibus promittat illi, quem Pragensis civitas pro superiori constituet et nisi omnes subscriptos articulos fideliter teneat et defendat. Artykuł 7 wyraźnie wskazuje, że Rokiczana presyą osłaniał swoją zdradę, spełnioną na Korybucie.

którzy go obwołali zdrajcą, gdy dla ich żądań zapragnął uzyskać aprobatę Kuryi. Husyci skrajni również uważali go jako zdrajcę, a uwolnienie swe, a może i życie zawdzięczał tym, których przylgnięcie do husytyzmu może najbardziej zawiódł i dotknął, arystokracyi czeskiej.

Mimo to wszystko zgodzić się jednak należy na charakterystykę księcia, przez wielkiego historyka Czech nakreśloną, że mianowicie w działalności Korybuta przebija się roztropność i mądrość, że był dalekim od przesądów i namiętności partyjnej, że z umiarkowaniem łączył odwagę, swobodę umysłu i męstwo dzielnego wojownika. Dodać jednak do tej charakterystyki należałoby, że tym przymiotom duszy i serca brakło stałości i hartu, któreby zdolne były skierować je do jednego celu, bez względu na własny los, na swoje wywyższenie. Jak w 1422 r. nie on, lecz raczej ów kierunek z Polski zaszczepiony, owo hasło: ratujcie byt polityczny, przyczyniło się do zwycięstwa zasad konserwatywnych i arystokratycznych w Pradze, tak znowu, jeżeli i w tej drugiej epoce prądy i dążenia Taborytów nie objęły całych Czech i nie wzięły góry w stolicy, nie Korybutowi i jego działalności przypisać należy ten skutek, lecz oglądaniu się stałemu owych skrajnych stronnictw na Polskę, której mądry król, przygotowując nawet wyprawę przeciwko husytom, używał jej jako przestrogi dla bratniego, a zbłąkanego narodu, któremu w głębi duszy życzył stale szczęścia i powrotu do wspólnej matki — Kościoła.

III.

Awanturniczy koniec.

O pojmaniu bądź co bądź wielce czynnego, rzutkiego, odważnego księcia Korybuta obiegały Polskę rozmaite pogłoski, a i na Litwie nic pewnego o nim nie wiedziano. Mówiono, że husyci, którzy w tym roku pod Stribrem i pod Tachowem wielkie odnieśli zwycięstwo nad wyprawą krzyżową (14 sierpnia 1427 r.), słusznie twierdzili, że pojmanie Korybuta równało się klęsce Niemców, książę bowiem stał po stronie tych ostatnich [1]. Biorąc na uwagę owe po-

[1] Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 454, list wójta z Rotenberga do Mistrza: das is gar gros vor di Dutschen were, daz herzog S. ungefangen were, wen her gross off ire seyte gewesen were; por. Grünhagen, Hussitenkämpfe der Schlesier str. 116.

rozumiewania się ze stronnictwem króla Zygmunta i podanie przez tegoż ręki do reakcyi w Pradze, sądzićby należało, że klęska umiarkowanego stronnictwa była istotnie klęską Niemców, a zatem sprawy króla Zygmunta, ile że wskutek wystąpienia Rokičany Prażanie znowu przychylili się do skrajnych, a o umiarkowanych ogólnie mówiono, że nie pozostał dla nich inny środek ratunku, jak tylko zgoda z Taborytami i Sierotkami. Ostatecznie jednak król Zygmunt, który podsycaniem rozterek pomiędzy stronnictwami dążył do osłabienia husytyzmu, nie tracił, owszem zyskiwał z powodu upadku Korybuta. Groza bowiem, że jeden mąż, a do tego Polak, otoczony Polakami, zdoła Czechy uspokoić, zjednoczyć, ukrywała wielkie dlań niebezpieczeństwo.

Książę jednak nie poszedł do Polski, lecz na Morawie i na Śląsku, w pobliżu Polski rozwinął, ponownie akcyę na własną rękę, mającą na względzie widocznie nie Czechy same, ale kraje koronne czeskie. Zaniepokoił się tem król Zygmunt zarówno jak zięć jego, książe Albrecht austryacki. Pierwszy atoli miał środek przeciwko takiemu usadowieniu się Korybuta w odwołaniu się do zgody kezmarskiej, zwróconej przeciwko husytom, niemniej jak i w podburzaniu Witołda przeciwko Jagielle. Zdaje się, że wskutek zastosowania tych środków zięć króla Zygmunta, książe Albrecht, wysłał natychmiast listy do Jagiełły z prośbą o wydanie zakazu poddanym polskim łączenia się z Korybutem i księciem Feduszkiem, towarzyszem tegoż, napadami swymi niepokojącymi Morawę [1]. Natomiast król Zygmunt wysłał do Witołda, o którego nieporozumieniach z Jagiełłą zanadto dobrze wiedział, skargę na króla Polski, że odciąga od obedyencyi książąt śląskich, że poddani polscy wspierają Korybuta, że książę ten został przyjęty w Polsce — co bardziej, że według wieści sam Witołd wysyłał listy do Czechów, wstawiając się za księciem, i że teraz ma nawet zbrojną wyprawę wysłać na Śląsk [2]. Te insynuacye, z podkreśleniem wszakże, że na pogłoskach polegają, miały zachęcić Witołda do oporu na wypadek, gdyby z Polski istotnie zamyślano wesprzeć usiłowania Korybuta na Śląsku, coby naruszało umowy wspólne w Kezmarku zatwierdzone, których Witołd był uczestnikiem. Stanowcza odpowiedź Witołda, że ani przez myśl mu

[1] Cod. epist. I. nr. 69, por. Höfler, Gesch. der huss. Beweg. I. str. 55.

[2] List króla Zygmunta do Witołda z 1 stycznia 1428 r. w Caro, Lib. Canc. I. nr. 115 i odpowiedź Witołda z 28 stycznia, tamże str. 200.

nie przeszło wspierać Korybuta albo też odciągać śląskich Piastów od obedyencyi Zygmunta, napełniła tego ostatniego otuchą, że W. książę Litwy będzie się sprzeciwiał zamiarom Korybuta, dotyczącym piastowskiego Śląska i wszelkim próbom ponownego wspierania Korybuta ze strony polskiej. Mimo to jednak groziło Zygmuntowi niebezpieczeństwo, i to na Śląsku.

Z chwilą przeniesienia akcyi Korybutowej na polskie pogranicze, na Śląsk i Morawę — prowincye korony czeskiej, które się za nie nie uważały, husytyzmowi nie sprzyjały i coraz bardziej od Pragi oddalały — zaczyna się doba najazdów husyckich na te ziemie czeskiej korony. Oddalana od sprawy czeskiej ingerencya Polski, mimo woli i zabiegów króla Zygmunta mogła nastąpić. Zasilany przez Taborytów, przez zbiegów i rozmaite niespokojne elementy z Polski Korybut, usiłujący zdobyć sobie jakiś stały punkt na granicy polskiej, mógł właśnie dać powód do takiego czynnego wmięszania się Polski w sprawę czeską. Niezadowolenie przeciwko królowi Zygmuntowi, nieszczęśliwie wiodącemu całą sprawę uciszenia husytyzmu, objęło całe Niemcy, dotkliwe klęski wypraw wojennych mnożyły je jeszcze bardziej, a głowa Kościoła, energiczny Marcin V, był niezadowolony z działalności Zygmunta i żywo pragnął, aby Jagiełło z Witołdem dokonali trudnego dzieła, wiedział zaś dowodnie, że Zygmunt przeszkadza zamiarowi króla Polski.

W Kuryi znano zapewne i powód, dla czego Zygmunt nie życzył sobie współudziału Polski, a powód ten leżał w Śląsku, starej piastowskiej dzielnicy, naówczas jeszcze w większej połowie polskiej, uważanej przez koronę polską słusznie za awulz, o który niezawodnie upomniałaby się ona przy dokonaniu pacyfikacyi za współdziałaniem swojem. Nie jest nawet nieprawdopodobnem, że Marcin V był za takiem wynagrodzeniem Jagiełły piastowską dzielnicą, natomiast król Zygmunt nie tylko że nie mógłby zgodzić się na ten projekt, ale z góry wszelkim w tym kierunku zamysłom polskim przeszkadzał. Bezsilny, nie był w stanie dopomóc Ślązakom, niepokojonym przez Taborytów i wyciągającym doń błagalne dłonie, ale nie tyle bolała go własna niemoc i bierność własna, ile to, że zagrożeni ponownie przez Taborytów i Korybuta, prosili o pomoc króla Jagiełły, który dodawał proszącym otuchy, wytykał niedołężną obronę, doradzał sposoby lepszej [1]. Tymczasem Puchała wraz z Ko-

[1] Pusillanimitas zarzuca król Ślązakom w liście do ks. Konrada Kan-

rybutem przeciągają przez Morawę, idą do Odry, gdzie wyczekują zasiłków z Polski. Chwila pożądanego przez Kuryę współdziałania Polski mogła niebawem nastąpić.

W sposób podstępny, lecz zręczny, usunął król Zygmunt to wmięszanie się Polski na zjeździe z Jagiełłą i Witołdem w Łucku. Co mogą zdziałać Polacy przeciwko Polakom! Temi słowy oddalił on ofiarowaną mu przez króla Polski pomoc na Śląsku. Witołd, któremu obiecał koronę litewską, poróżniony z królem Jagiełłą, mógł być dlań rękojmią, że król Polski nie wyśle wojsk swych na Zachód. Przez cały rok 1429 zasypuje król Zygmunt skargami Witołda, jakoby Polacy niepokoili Śląsk, że więc Wierusz, dawny towarzysz Korybuta, rabuje kupców wrocławskich, że Puchała usadowił Korybuta w Odrze i że ogromne szkody czyni Ślązakom; że młody Szafraniec wspiera orężem te drużyny. Nadaremnie Jagiełło usprawiedliwia się Witołdowi; Witołd, chociażby chciał, nie może dać wiary królowi wobec nowych poduszczeń Zygmunta. Z Węgier nadsyła ten ostatni nowe, świeże skargi, przestrogi, wywołujące nowe inwektywy Witołda, skierowane przeciwko bratu, przeciwko Polsce [1].

W ten sposób ingerencya Polski była usuwaną. Wśród tego Puchała z Korybutem niszczyli Śląsk. W początkach r. 1430 w »małej kupie«, bo tylko dwanaście tysięcy liczącej, napadli na Opawskie, Raciborskie, Koźlińskie księstwa, poczem przekroczywszy Odrę, połączyli się z Korybutem, który niszczył Cieszyńskie. Puchała zdobył Kreutzburg, Korybut zaś osiadł w Gliwicach, zdobywszy także Byczynę. W Gliwicach założył książę dwór, łącznik Polski z czeską koroną, pojęty w duchu husytyzmu [2].

tnera oleśnickiego z 1 kwietnia 1428 r. Palacky, Urk. Beitr. I. nr. 511, str. 604. Mimo to Bachmann, Gesch. Böhm II. 298 twierdzi, że król Jagiełło przyjął napowrót Korybuta do łaski i pozwolił mu, że w jesieni 1428 r. z polskiemi wojskami pospieszył do Morawy z pomocą husytom. Pogłoski, o których mówiono w Ołomuńcu, służą szanownemu profesorowi za dowód faktu!

[1] Korespondencya ta w Cod. epist. Vit. nr. 1352. 1353. 1355. 1356—1358.

[2] Por. o tem Fragmenty Strzelnieńskie w Script. rer. Sil. VI. str. 156—157; Grünhagen, Hussitenkämpfe der Schlesier, str. 184—7. O Puchale list króla Zygmunta z 30 sierpnia 1429 r. Cod. Vit. str. 860 cf. str. 831 i nr. 861. 899. Odtąd pisze się Korybut: dominus in Hluvitz. Script. rer. Sil. VI. nr. 133, atoli nawet w dokumentach, w których występuje razem z innymi wodzami husyckimi, nie zajmuje pierwszego miejsca, a raczej ustępuje je innym wodzom, czego dowodem zacytowany wyżej dokument z 20 listopada 1430 r.

W połowie kwietnia, właśnie w czasie usadowienia się Korybuta w Gliwicach, zaszedł głośny wypadek rabunku Częstochowy i znieważenia Matki Bożej w jej cudownym obrazie częstochowskim. Gruchnęła pogłoska, że husyci byli sprawcami rabunku i zniewagi [1]. Okazało się wnet, że sprawcami byli swoi, jak Jakób Nadobny z Rogowa, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa, kniaź Fedko Ostrogski, którzy zebrawszy kupy swawolne z Czech, Morawy i Śląska, na samą Wielkanoc dokonali haniebnego dzieła. W Kaliszu bawiący król, będąc pewnym, że husyci czescy urządzili ten napad, zwołał pospolite ruszenie, chcąc pomścić najazd, tem bardziej, że i legat papieski nakłaniał go i Witołda do pomszczenia zniewagi Kościoła. Zebrało się jakie sto pięćdziesiąt tysięcy pospolitego ruszenia — mówi legat w swem sprawozdaniu do Kuryi. Husyci zaczęli się usprawiedliwiać, upokarzać przed królem, śledztwo zarządzone wskazywało na właściwych sprawców; z drugiej znowu strony śląscy książęta proszą o pomoc i ratunek od husytów, a głogowscy ofiarowują swe księstwo w lenno Koronie polskiej, aby je ocalić od husytów. Nawet Fryderyk Brandenburczyk spieszy do króla celem porozumienia się w sprawie niebezpieczeństwa, grożącego od husytów. Węgrzy, świeżo nawiedzeni najazdem husyckim, nie myślą o popieraniu swego króla w dążeniach jego, przeciwko Polsce zwróconych, a także i dopomóc mu na Śląsku nie mogą. Witołd ze swymi planami separatystycznymi był osamotniony.

Znowu tedy sędziwy król Polski zajaśniał jako ten, o którym sądzono, że on jedyny mógłby rozwiązać kwestyę husycką, zawieruszającą Europę od lat kilkunastu. Stronnictwo husytów polskich przycichło; wodzowie jego wskutek napadu częstochowskiego dostali się do więzienia lub szukali schronienia za granicą, u husytów lub u Korybuta.

Wypadki te nie naruszyły właściwie stanowiska księcia na Śląsku, wyczekującego na dworze gliwickim, azali bieg wypadków nie przyniesie i jemu jakiego fortunnego wywyższenia. Wraz z Taborytami wysyłał i on posłów do króla do Kalisza, by się usprawiedliwić, jako nie brał udziału w napadzie na Częstochowę. Zresztą utrzymywał, o ile mógł, stosunki z koronnymi przyjaciółmi. Śląskie zamki, zdobywane przez rozmaitych husytów, obsadzane były

[1] Najazdowi temu, jego skutkom i znaczeniu poświęcona osobna rozprawa w Kwart. Hist. XXI. str. 309 i nn.

w części dowódcami Polakami. Bolko ks. opolski, otwarty zwolennik husytyzmu, połączył się z księciem Korybutem, tak że razem z Puchałą tworzyli trójkę, teroryzującą Śląsk. Wiedział też Korybut, że z Polski nie może mu grozić niebezpieczeństwo, że w chwili, kiedy Witołd dążył do koronacyi, mógł on z swoimi przyjaciółmi i drużynami na Śląsku być pożądanym dla jednej lub drugiej strony wspólnikiem. Zbliżył się jednak do króla Polski; z Krakowa bowiem, bądź co bądź więcej mógł się spodziewać korzyści aniżeli z Wilna. Zresztą i księstwo śląskie zależało bardziej od tego, któremu książęta Piastowie swe własne ziemie w lenno ofiarowywali, aniżeli od Witołda, który gromił Polaków i ich króla za najmniejszy objaw sąsiedzkiej tolerancyi, okazywanej Korybutowi i jego towarzyszom przez pograniczne władze polskie.

Po śmierci Witołda i wybuchłem wnet powstaniu Świdrygiełły, Korybut, który tymczasem z Prokopem Wielkim, wodzem Taborytów, skłaniał Namysłowian do poddania się, wyruszył zbrojno na Miśnię i Saksonię, jakby chcąc orężem odzyskać utraconą u husytów opinię i zjednać ich poparcie do akcyi na Śląsku. Począł też bezwzględnie przyznawać się do zasad husyckich, widocznie, ażeby przez to dać husytom gwarancye swojej ku nim szczerości i odzyskać ich dawne zaufanie. W takim bowiem razie husyci niezawodnie skłoniliby się do wyznaczenia mu, w zamian za utraconą koronę czeską, jakiejś rekompensaty na Śląsku.

Ponieważ zanosiło się na nową wojnę pomiędzy Polską a Krzyżakami, i Polacy poczęli się oglądać za drużynami walczących hufców husyckich, aby je zaciągnąć pod swe chorągwie, sądził Korybut, że przez zapośredniczenie takiej ugody, pomiędzy Koroną z jednej a husytami z drugiej strony, zdoła wybić się znowu na pierwsze pomiędzy tymi ostatnimi miejsce i tem łatwiej dojdzie do celu.

Z wiosną 1431 r. zgromadziła się w Gliwicach starszyzna husycka i wysłała do króla do Sandomierza posłów z prośbą o danie im audyencyi w sprawie ich wiary, celem utorowania drogi do zgody, chcą bowiem wysłać posłów na sobór Bazylejski i proszą króla Polski o glejty na ów sobór. Król, mający pełnomocnictwo papieskie w sprawie nakłonienia husytów do powrotu do Kościoła, zezwolił na audyencyę [1]. Nie brakło na Wielkanoc pomiędzy wodzami, ma-

[1] Por. relacyę Długosza, Hist. XI. 438 i nn. z listem króla Jagiełły do króla Zygmunta w Palackyego, Urk. Beitr. II. nr. 734.

gistrami i kaznodziejami husyckimi, jak Prokop Holy, jak Piotr Anglik Payne, i Korybuta, który owszem rej pomiędzy nimi wiódł, lecz dysputa ich z profesorami krakowskimi nie doprowadziła do żadnego porozumienia. Biskup Oleśnicki opuścił Kraków; na czas Wielkanocny wydalono posłów husyckich na Kazimierz, zamykając bramy miasta przed nimi, inaczej bowiem nie mogłoby się odbyć nabożeństwo.

Korybut był oburzony — wszczynał kłótnie z powodu rzekomego sromu poselstwa, w radzie królewskiej przychodziło do zaciętych sporów. Oleśnicki całkiem otwarcie występował i paraliżował działalność Korybuta. Przestrzegano biskupa, że Korybut grozi zemstą i spustoszeniem dóbr, a nawet życiu biskupa zagraża, i to jednak nie wpłynęło w niczem na stałość biskupa w obronie praw Kościoła. Ostatecznie nawet na glejt bezpieczeństwa, żądany przez husytów na sobór, nie można się było zgodzić. Audyencya, do której Korybut wielkie przywiązywał nadzieje, tak bardzo nie powiodła się, że ustępujący z husytami z murów Krakowa książę, zwróciwszy się jeszcze raz ku Wawelowi, pogroził pięścią świętemu biskupowi, patronowi katedry, zaznaczając w ten sposób nieprzejednaną nienawiść ku Kościołowi i zemstę biskupowi Oleśnickiemu [1].

Los jednak sprawił, że klęska, którą groził biskupowi, najpierw, i to w bolesny sposób, dotknęła jego samego. Stracił bowiem nową swą siedzibę, w której się po książęcemu urządził, Gliwice. Podczas gdy książe groził w Krakowie, tymczasem Konrad Biały ks. oleśnicki, zdobył Gliwice, i spieszący do zamku, a niewiedzący o niczem Korybut o mało nie dostał się w ręce zdobywcy.

Zawiedziony w swych nadziejach, straciwszy nawet podstawę do działania, a tem samem i znaczenie wśród stronnictw husyckich zapałał Korybut zemstą ku Oleśnickiemu, którego uważał za przyczynę swych niepowodzeń. Tym celem postanawia oddać swe usługi, Świdrygielle, który w porozumieniu z królem Zygmuntem dążył do odrębnej korony litewskiej i z królem Jagiełłą pozostawał w nieprzyjaźni. Zaraz po powrocie swym na Śląsk, wysłał sługę swego Mieszka na Litwę, obiecując Świdrygielle pomoc przeciwko wszystkim nieprzyjaciołom jego i zaręczając, że stara się wszystką starszyznę husycką zjednać dla jego sprawy. Świdrygiełło przez wy-

[1] Por. list Oleśnickiego do kardynała Cezariniego w Cod. epist. II. nr. 204, str. 592 i Długosz, Hist. XI. 438. 440.

słańca listownie podziękował bratankowi za dobre chęci i w zamian obiecywał swoję pomoc husytom, prosząc o zjednanie dla sprawy innych wodzów, a dla Prokopa, Borzika Diwisa, Pawła Sowinsky'ego, Wilhelma Kostki i dla Smila Holickiego przesłał również miłe wyrazy podzięki [1].

Podziękowania te jednak nie doszły nawet do rąk adresata; przejęto je w Polsce i w oryginale posłano królowi Zygmuntowi na dowód, że protegowany przez niego Świdrygiełło wchodzi w związki z jego wrogami.

Odtąd spotykamy Korybuta wśród zamętu husyckiego jako jednego z pomniejszych wodzów; zapewne był pod Domażlicami (14 sierpnia 1431 r.) [2], rozbijał się na Śląsku, wysyłał listy wypowiednie Oleśnickiemu, i to w chwili, kiedy Sierotkowie pod Čapkiem z Sanu ofiarowali Polsce posiłki przeciwko królowi Zygmuntowi, i w Pabianicach prosili króla, by łaskawie przebaczył księciu. Były nawet pogłoski, że Korybut będzie wodzem, ale król zawarłszy układ z Sierotkami, ani Korybutowi nie przebaczył, ani też nie chciał go mieć wodzem.

Niknie nam Korybut z oczu, i dopiero w 1434 r. dowiadujemy się o jego przybyciu do Prus do Krzyżaków, których upraszał, by go wyprawili do Świdrygiełły, pozostającego w morderczym boju z Polską [3]. Przybył na dwór malborski z zaciągiem Ślązaków i Czechów; a ponieważ układy ze Świdrygiełłą długo, bo cały rok trwały, ogromnym kosztem z dworem swym i drużynami utrzymywany był przez Krzyżaków. Ci wprawdzie, pokonani przez króla Jagiełłę, zawarli pod koniec 1433 r. na lat 12 pokój z Polską, nie przeszkadzało im to jednak przyjąć księcia wygnańca z Polski, i protegować go u wiodącego z Polską wojnę Świdrygiełły. Wysłali oni księcia na Litwę przez Inflanty, nakazując landmistrzowi tak długo zatrzymać Korybuta w Inflantach dopokąd się nie dowie, że

---

[1] List Świdrygiełły w Čas. čes. Muz. 1831 r. str. 281—283; por. Cod. epist. II. nr. 192 i 202. Raczyński, Cod. dipl. Lith. str. 349 pomieszcza list Jagiełły do Zygmunta, w którym odsyła listy Świdrygiełły do Korybuta pisane.

[2] Długosz, Hist. XI. 463 mówi o bitwie pod Chebem.

[3] Relacyę Długosza, Hist. XII. 562 o udaniu się do Świdrygiełły przez Prusy należy czytać: Sigismundus Koributh per Prussiam, suspectum iter habens per regnum Poloniae, ad ducem Swidrigal se contulit. Dowodem trafności takiej interpunkcyi jest zdanie powyżej w tymże ustępie przez Długosza wypowiedziane: opera Cruciferorum et per eorum terras advenerat.

Świdrygiełło przyjmie księcia, i co w ogóle z Korybutem począć pragnie. W ten sposób dostał się Korybut na Litwę, gdzie przyjęty jako pożądany gość i głośnego imienia wódz, objął kierownictwo nad licznemi wojskami Świdrygiełły. W bitwie jednak nad Świętą nieopodal Wilkomierza, pamiętnego dnia 1 września 1435 r., nie powiodło się Korybutowi. Miał w Januszu z Kobylan, wodzu wojsk polskich i całego stronnictwa wielkiego księcia Zygmunta Kiejstutowicza, o wiele przewyższającego go inteligencyą i sztuką wojenną przeciwnika. Dwa dni stały wojska przedzielone rzeką, każdej chwili gotowe do boju. Korybut chciał ruszyć na miejsce sposobniejsze do boju i tym celem wydał rozkazy. Zaledwie poczęły się cofać jego wojska, gdy Kobylański, czy to biorąc ruch ten za tchórzostwo, czy też uważając chwilę cofania za najsposobniejszą do boju, kazał natrzeć, i tak rozpoczął bój, jeden z najkrwawszych w dziejach średniowiecza. Litwini Zygmunta Kiejstutowicza uderzyli na Świdrygiełłę, Polacy równocześnie na Tatarów, których rzucili na tabory Korybutowe. Tutaj przyjęto nacierających morderczym ogniem, Polacy jednak przełamali łańcuch wozów i poczęli siać śmierć pomiędzy obrońców, wśród których byli i Inflantczycy. Rozbiwszy Korybuta, zwrócili się przeciw Świdrygielle, walczącemu z Litwinami Zygmuntowymi i zmusili go do ucieczki. Mistrz inflancki, kilkunastu książąt ruskich padło w boju, kilka tysięcy bojarów wzięto do niewoli — na placu leżały tysiące. Słusznie sądzili współcześni, że bitwa ta była większą od grunwaldzkiej [1].

Korybut ranny dostał się również do niewoli, i tu z ran, a jak inni opowiadali, z dolanej do nich trucizny umarł. Opowiadają, że gdy lśniący od zbroi rycerze inflanccy pogardliwie wskazywali mu na kurzawą okryte zbroje Polaków, miał się wyrazić: a przecież wolałbym być po ich stronie. O jego szacunku, jaki w chwili przedzgonnej żywił jeszcze ku Polakom, znajdujemy przekaz u Długosza, widocznie od świadków bitwy pochodzący. Dla czego nie ratowałeś się ucieczką? pytano srodze rannego księcia, pojętego w niewolę przez Polaków. Pomiędzy wami wychowany, ćwiczony przykładami waszymi, przeniosłem cześć nad życie — odpowiedział Korybut. Były pogłoski, że wielki książę Zygmunt kazał otruć rannego,

[1] List o bitwie w Liv- Est- u. Curl. Ukbuch VIII. nr. 986; por. Długosz, Hist. XII. 562—5. Według tego współczesnego listu posiłki polskie wynosiły 15.000. Po stronie Świdrygiełły, prócz Korybuta cum Bohemis et Silesitis, walczyło 25 kniaziów, z których 12 prócz Korybuta dostało się do niewoli.

inni opowiadali, że kazał go utopić, by w ten sposób wymierzyć mu karę za odstępstwo od wiary; najprawdopodobniej umarł zaraz po wzięciu do niewoli z ran. W każdym razie znamiennym jest ten szczegół, że w kilka lat po bitwie opowiadano [1] o jakiejś strasznej śmierci księcia, będącej karą za jego odstępstwo. To pewna, że u adherentów jego, których pojmano na placu boju, znaleziono listy króla Zygmunta, w których nakazywał im służyć pod chorągwią Korybuta. Poczytano przeto Korybuta za najniebezpieczniejszego zdrajcę stanu, wysługującego się nie tylko już buntowniczemu Świdrygielle, ale nadto pozostającego w stosunkach i z Krzyżakami i z wrogim Polsce królem Zygmuntem. Nie jest tedy wykluczoną rzeczą, że wielki książę Zygmunt polecił zdrajcę, ciężko już rannego, zgładzić trucizną.

IV.

Charakterystyka.

Korybut, rycerz i wódz śmiały, a zarazem mąż stanu, w rezultacie swej kilkakrotnie w Czechach podejmowanej działalności olbrzymiemu zadaniu pacyfikacyi Czech nie podołał. W charakterze jego, jak u wielu innych z rodu Gedyminowego, przeważa ambicya, chciwość władzy i znaczenia. Wychowany do dowodzenia wojskami i rządzenia ludźmi, wiele rozwinął przymiotów w obydwu tych kierunkach, ale do doskonałości ich nie doprowadził. Prawda, że kilkakrotnie powraca do zaczętej raz pracy, lecz wiedzie go nie wytrwałość, ani porywa za sobą jasny cel, do któregoby zdążał, ale jedynie ambicya; ta zaś nie daje siły niepokonalnej przy zwalczaniu zapór i trudności. Program jego niejasny, za każdym razem ulega zmianie, bo cel dążenia jest każdorazowo inny. Ufa za wiele sobie i dla tego nie chce być narzędziem w ręku chociażby takiego Witołda — a Witołdem być nie umie.

Zaraz na wstępie swej działalności przekracza pełnomocnictwo Witołdowe. Nie zdaje jednak sobie Korybut sprawy z tej akcyi swojej. On nie rozumie, że husytyzm osłabił wiarę, że wnosił rozdźwięk do katolicyzmu, szczepiąc herezyę. Prawda, że na dworze Witołdowym, gdzie często gościł, wyrażano się o Husie z liberali-

[1] Extremo mortis horrendae supplicio vitam terminavit, mówią panowie polscy w liście do węgierskich z 15 października 1438 r. Cod. epist. I. nr. 99, str. 99; por. nr. 104.

zmem nowoczesnym, tak dalece, że biskup Dorpatu, życzliwy sąsiad Witołda, musiał mu przesłać upomnienie pasterskie z powodu obrony Husa na wileńskim dworze; prawda, że wyznawcy wschodniej wiary, których Korybut liczył wśród braci i sióstr, już dla komunii pod obiema postaciami sprzyjali husytyzmowi; ale wychowany na dworze Jagiełły książe powinien był znać, co Kościół orzekał o religijnem i socyalnem znaczeniu, o zgubnych skutkach husytyzmu. Nie biorąc w rachubę cenzury Kościoła, sądził, że ustępstwami skłoni husytów do wewnętrznej jedności, a potem do zgody z Kościołem, i w ustępstwach tych coraz dalej idących doprowadził do tego, że stał się sam skrajnym husytą.

Nie uwzględniając trafnego orzeczenia słynnego kardynała Brandy Castiglione, legata do Polski, że husytyzm wnosi rewolucyę socyalną, że burzy porządek społeczny, sądził, że kilkoma orędziami przywróci ład, przez skrajnych chwilowo zburzony. Za późno przyszedł do przekonania, że husytyzm znosi władzę królewską i namiestniczą i w ogóle wszelką władzę, że pobudza społeczeństwo do walki z władzą, a poznał to dopiero wówczas, gdy sam w niwelacyi społecznej zeszedł na stanowisko »brata«, oczywiście będąc zupełnie wyzuty z władzy, przez tych braci sobie ofiarowanej.

Nie zdawał sobie Korybut sprawy, że husytyzm zrywał z porządkiem politycznym zachodniego świata, że cała Europa potępiała takie burzenie budowy wiekami poważnej, opartej na cywilizacyi chrześcijańskiej, na braterstwie ludów chrześcijańskich, stanowiących jedną wielką gminę, gdy szło o zadania wielkie, stanowiące cele chrześcijańskiej kultury. Nie umiejąc zaś obronie zagrożonego w bycie narodu dać należytego wyrazu, bo mając własne wyniesienie na oku, nie odczuł nawet niebezpieczeństwa, grożącego czeskiemu narodowi, a w zapomnieniu wysokich celów, dla których był wysłany, tak zeszedł nisko książę, że w końcu chwytał oręż i oddawał go na usługi burzących własną ojczyznę wrogów.

Natura dość powierzchowna, biorąca pozory za istotę rzeczy, łudził się Korybut, jak się łudziło wielu innych w Polsce, że za przybyciem kilkutysięcznej drużyny rycerskiej, przy małych ustępstwach na rzecz nowatorów, połączą się Czesi w jeden obóz, który następnie Kościół przyjmie napowrót do łaski. Tylko że w Polsce ci nawet, którzy się łudzili, budowali równocześnie tamy przeciwko husyckim naukom w Koronie. Biskupi na synodach, senatorowie i dostojnicy na zjazdach, uniwersytet z katedry, Kościół

z ambony, piętnowali husytyzm jako herezyę, podkopującą Kościół i społeczeństwo i państwo. Wszyscy ci przyjaciele Czechów kochali ich jako bratni naród, zagrożony w istnieniu przez wspólnego wroga i spieszyli im z pomocą; przestrzegali, że zginą pod naciskiem wrogów. Na udzielenie pomocy, otwartą lub tajną drogą, zdobywają się stany polskie, ale o jakowychś koncesyach co do nauk, co do idei husyckich, nie ma nawet mowy. Rząd polski, duchowieństwo od pierwszej chwili, od kalisko-wieluńskich uchwał synodalnych, wie, że husytyzm jest zgubną herezyą, a społeczeństwo polskie, stany wszystkie zawiązują konfederacyą antyhusycką, kiedy Korybut z drugą wyprawą do Czech się udał, by czynić husytom jak najdalej idące ustępstwa, mające mu tron i berło czeskie zapewnić. Społeczeństwo polskie i dalej pozostaje przyjaznem narodowi czeskiemu, wrogiem czeskiemu husytyzmowi, i nie traci na takim rozdziale pojęć; Korybut, koncesyami dla husytyzmu nie osiągnąwszy tronu, zdradza Czechów, dostaje się do więzienia.

Trzy wybitne fazy dają się rozróżnić w działalności Korybuta w Czechach. W pierwszej jest książę wykonawcą planów obcych i samowolnem przekroczeniem pełnomocnictwa sprawia zawód swemu mocodawcy; w drugiej nosi się z ambitnymi zamiarami królowania w Czechach i zawodzi Taborytów, którym przeszkadza do wyzyskania zwycięstwa; potem zaś sprawia zawód umiarkowanym Prażanom, których bez ich woli i pełnomocnictwa, a nawet wbrew ich dążeniom, chce pogodzić po za ich plecami z królem Zygmuntem i Kuryą apostolską. W trzecim okresie, skompromitowany, wydalony za zdradę z Czech, książę rzuca się w ramiona swojej drużynie, oddaje się partyzantom dawnym i nowym, którzy go wspierają w nieokreślonych jakichś dążeniach do odrębnego księstwa na Śląsku lub na Morawie, do jakiegoś stanowiska pośrednika pomiędzy Polską a Czechami; lecz za pierwszem niepowodzeniem rabusiowska drużyna opuszcza księcia, on zaś z resztkami spieszy do wrogów Polski, obraca oręż przeciwko własnej matce i sprawia bolesny zawód tym, którzy mu byli dobrodziejami.

Zawiódł Korybut wszystkich, z którymi tylko wszedł w ściślejsze stosunki, których był wykonawcą mandatów, na których się opierał, którym miał wszystko do zawdzięczenia. On bowiem na ich powadze, ich wsparciu, ich dobrodziejstwach opierał własne wyniesienie, i o tyle cenił pomoc, o ile do ambitnych zamiarów była mu potrzebną. Skoro mniemał, że już sam o własnych siłach sta-

nąć może, usuwał się z pod powagi opiekuńczej. Ambicya, to znamię jego działalności, wśród której zresztą są także i jaśniejsze momenty, tak na polu wojny, jako też i dyplomacyi, gubią się jednak wśród niepowodzeń.

Wzmagają się te niepowodzenia skutkiem zbyt częstych zmian programu jego działalności. W pierwszym okresie, wsparty o szlachtę i katolików, miał książę przeprowadzić uspokojenie i zgodę Czechów z Kościołem. Jakżeż inny program drugiej wyprawy do Czech, jakżeż inne środki działania — tylko Taboryci, do których się zbliża, mogliby swym zwycięskim orężem wywalczyć mu koronę czeską, do której dąży. Prażanie są mu już obojętni, a nawet uważa za stosowne zdradzić ich sprawę, byle dojść do własnego wyniesienia. W trzecim okresie już tylko pławiący się we krwi wodzowie partyzantek, taki Puchała, Wierusz, mogą mu dopomóc do całkiem nowego celu, do księstwa na granicach czesko-polskich, a gdy i ten cel chybił, wrogowie Polski mają mu dopomóc do aktu zemsty.

Zmieniając ciągle programy, zmieniał za każdym razem i środki do celu, t. j. stronnictwa, na których się opierał w ambitnem dążeniu. Te zaś rychło przekonywały się, że książę ma swe własne odrębne od nich dobra i cele dążeń, że posługuje się niemi jak narzędziem, z podeptaniem danego słowa, przyrzeczeń, przysiąg; nie dziwna, że zdradzane odstępowały od niewiernego wodza. Brak wiary był źródłem jego niepowodzeń, klęsk, coraz większych upadków.

Mąż, który podjął pierwszą swą wyprawę dla ugruntowania wiary, dla jej obrony, a zaraz na wstępie popełnił dla politycznych widoków odstępstwo od wiary, nie mógł liczyć na wierność stronnictw lub chociażby przyjaciół. Wchodząc w kompromisy z własnem sumieniem, czynił coraz większe odstępstwa od zasad katolicyzmu, i w miarę tego coraz to pospolitszych uzyskiwał stronników, spadał coraz niżej, tak że stawszy się skrajnym husytą, otoczony był awanturnikami, rabusiami wojny, szukającymi chleba w najazdach i morderstwie. Zdrajca wiary — zginął jako zdrajca ojczyzny.

Ze względu na historyę Czechów i na ich rewolucyę działalność Korybuta nie jest bez znaczenia. W rezultacie bowiem działalnością swą podsycił on pożar rewolucyi. Husytyzm, wskutek wysłania go do Czech, spotężniał, jak to słusznie przepowiedział papież Marcin V. Poczęły się tedy rozlewać nowiny »prawdy« na Śląsk, Morawę, na Słowaczyznę węgierską, na Miśnię, Łużyce, a na-

wet na Polskę. Pod Usti, pod Tachowem, ponoszą Niemcy straszne klęski, krucyaty jedna za drugą spełzają — wielka niemiecka Rzesza okazuje bezsilność w stłumieniu husytyzmu. Wyraźne świadectwa króla Zygmunta, elektorów Rzeszy, legatów podnoszą, że obecność księcia Korybuta w Czechach przyczyniła się do tych klęsk, a same fakty, jak zasilanie rewolucyi siłami polskiemi, bronią, amunicyą, dzielnymi partyzantami i sprowadzanie coraz nowych drużyn z Polski, dodawały sił husytyzmowi.

Nie tu jednak kończy się znaczenie działalności księcia w historyi Czech. Zważyć bowiem należy, że przebija z niej stale jedna myśl, dążność do zgody z Rzymem, że za każdym swoim pobytem otwarcie lub skrycie, według okoliczności, dąży on do porozumienia z Kuryą, wzywa do pomocy dla sprowadzenia zgody z Kościołem, króla Polski, Witołda, nawet wroga Czech, króla Zygmunta, nie waha się prosić, ofiarując ze strony husytów dysputę, o audyencyę, w którejby udział wzięli z jednej strony husyci w obronie swych czterech artykułów, z drugiej katolicy, i obiecuje sobie na tej drodze pacyfikacyę Czech. Tym sposobem Korybut, podejmując myśl w Polsce mu poddaną, toruje drogę kompaktatom bazylejskim. Moment ten nie jest bez znaczenia w historyi Czech, i zasługa księcia jest niemałą, chociaż działa on nie z własnej woli, nie z pobudek własnego przekonania, lecz według rad i wskazówek, zaczerpniętych z Polski. O ile potężniejszą w skutkach byłaby działalność księcia, gdyby te przekonania były jego własnemi. Bądź co bądź, znaczenie działalności księcia w historyi Czech w kierunku ich pacyfikacyi i zgody z Rzymem, jest niemałe. W historyi czeskiego husytyzmu jest Korybut osobistością o dodatnich rysach, on bowiem mimo swej ambicyi, mimo używania ludzi i stronnictw do celów własnego wyniesienia się, wdrożył pacyfikacyę królestwa; uspokojenie, zgodę na wewnątrz i na zewnątrz wskazał jako cel wszystkich stronnictw, całego narodu.

Całkiem odwrotnie ma się rzecz ze znaczeniem Korybuta w dziejach polskich. Już przez to samo, że złamał wolę mocodawcy swego, że stał się następnie zdrajcą i wywołańcem z Korony, że zaciągał do swych wypraw, wbrew woli i polityce króla, polskich do Czech wojowników, zgubne tem samem dla swej ojczyzny spowodowywał skutki. Wychowywał bowiem dla Polski elementy, przesiąknięte ideami przewrotu, które tak smutną rolę odegrały później w ojczyźnie w buncie Spytka z Melsztyna — i tutaj Korybut był

dla Spytka wzorem, on bowiem pierwszy obrócił miecz przeciwko własnej ojczyźnie.

Nie bez racyi można by mniemać, że działalność księcia w Czechach paraliżowała widoki polskie na Śląsk, podówczas jeszcze w trzech czwartych polski; Korybut bowiem występuje tutaj sam jako współzawodnik do Śląska, a drugą swoją wyprawą udaremnia wyprawę polską do Czech, która w rekompensacie kosztów olbrzymich łatwo mogła powrócić Koronie straconą prowincyę. Tak więc i w kwestyi politycznego wzrostu Polski działalność Korybuta była szkodliwą dla ojczyzny, której się w końcu wyrzekł, dla króla, który go wychował i jak syna ukochał, a którego boleśnie zawiódł, dla Kościoła, który go przygarnął, a któremu on złamał wiarę.

Księżna wojewodzina bracławska jako przyrodniczka.

Napisał
Józef Rostafiński.

Jeżeli kiedy przyjdzie czas na to, że badania historyczne zwrócą się u nas ku historyi kultury, dwie kobiety doczekają się przedewszystkiem monografii; z cudzoziemek Bona, z Polek nie kto inny, jak Anna z książąt Sapiehów księżna Jabłonowska.

Księżniczka urodziła się w r. 1727 jako córka ks. Kazimierza Karola Sapiehy, generała artyleryi litewskiej i Karoliny, księżniczki Radziwiłłówny, córki księcia Karola, kanclerzanki litewskiej. Jako jedenastoletnie dziecko straciła ojca, a matka w dwa lata potem wyszła za mąż powtórnie, za młodszego od siebie Jana Aleksandra Jabłonowskiego, starostę buskiego.

Dwudziestokilkoletnią księżniczkę wydała matka za mąż, za Jana Kajetana Jabłonowskiego, późniejszego wojewodę bracławskiego (1754), starego, bezdzietnego wdowca, ale jaśnie oświeconego księcia, świętego państwa rzymskiego. Nie zdaje się, żeby matka zmuszała dziewczynę do tego związku pod wpływem męża. Zamierzone bowiem było poprzednio małżeństwo — za zgodą Sapiehów — z bogatym, ale także starym hr. Krasińskim. Bogactwo i tytuły działały tu raczej olśniewająco. Jabłonowscy, chociaż porośli dopiero w pierze za Sobieskiego, bardzo zadzierali nosa. Jakże nie mieli, skoro przez Leszczyńskich byli skoligaceni z dworem francuskim, i byli też z Bethunami, o których świadczył przecież sam Niesiecki, że przed 1000 lat panowali we Flandryi!

Książę małżonek był bezgranicznym pyszałkiem, szukał wszędzie za granicą: tytułów, odznaczeń i stosunków dworskich. Wywiózł niebawem młodą żonę za granicę i obwoził ją po Wersalu, Madry-

cie, Turynie, Wiedniu i Dreznie. Wyniosła stąd księżna Anna stosunki, rozwinęła nadmiernie pychę, ale nie mogła ani zatracić wrodzonych darów umysłu, ani ich nie rozwinąć.

Księżna była wychowywana zapewne przez matkę w wielkiej pobożności, bo w epoce wolteryanizmu pozostała głęboko religijną i uczciwą kobietą. Nie skalała się żadnymi kochankami, ani za życia, ani po śmierci męża i wbrew swemu możnowładczemu otoczeniu, co zapomniało, w tych czasach wyuzdania, o cnocie i religii, budowała w swoich dobrach kościoły, ozdabiała je obrazami Czechowicza, zakładała szczodrobliwie szpitale, oddając je pod opiekę sióstr miłosierdzia, fundowała szkołę położnic. Jej ludzkość wobec poddanych wypływała z prądu, co dążył ku konstytucyi Trzeciego Maja, ale że się dała temu prądowi unieść, że zaznaczyła się w nim nie tylko jej ludzkość, ale i jej dobre serce, to zapewne też zawdzięczała matce.

Niepospolitych właściwości jej umysłu, jak: w ogóle niezwykłe zdolności, jak rozległy rozum, zdrowy sąd o rzeczach i wiele dowcipu, jaki miała w mowie, nie będziemy szukać u Radziwiłłów, ale raczej w rodzie ojca. Przecież świecił tam w owych czasach Jan Fryderyk, pan na Kodniu, znakomity mąż stanu i pisarz, jak na wiek XVIII niepospolitej miary. Sapiehowie bywali też w ogóle dobrymi statystami i ona poszła w ich ślady.

Musiała odebrać staranne wychowanie. Czuwał zapewne nad niem jej stryj, Józef, biskup koadjutor wileński. Był to biskup starej daty, który nie uległ zgubnym wpływom XVIII wieku, i w godności kościelnej nie szukał zaszczytów, ale spełniania obowiązków. Światły i pobożny, musiał wpływać pożytecznie na wykształcenie swej bratanicy.

O sposobie kształcenia księżniczki nic nie wiemy. Wiemy, że była bardzo wykształcona. Karpiński podał w swoich pamiętnikach[1], że była to pani »wielu umiejętnościami sławna, a nawet łaciński język umiejąca i książki łacińskie czytająca«. Wdawała się w dysputy z uczonymi ludźmi, którzy nieraz musieli ustępować jej nie ze względu na stanowisko, ale na siłę argumentów.

Miała szczególne upodobanie do nauk przyrodniczych. Nie wiemy skąd się wzięło. W Polsce było o to trudniej, niż gdzieindziej, bo dzieł przyrodniczych było niewiele, a jeszcze mniej ludzi,

[1] Karpiński Fr., Dzieła, wyd. Turow., Kraków 1862, str. 1135.

oddających się tym naukom. Rozbudzić takie zamiłowanie może samo obcowanie z naturą. ale nic nie wiemy, czy księżniczce wolno było z nią obcować inaczej, jak w pałacowym ogrodzie, w towarzystwie jakiejś dozorczyni, krępującej każdy ruch swobodny. Możnaby też przypuścić, że to się wzięło z przeglądania przedmiotów gabinetów osobliwości, jakie wówczas musiały się znajdować w każdej pańskiej rezydencyi. Mogły w nich być i drzazgi z pałki, jaką Kain zabił Abla, i pióro archanioła Michała i podobne rzeczy, o których można czytać w »Nowych Atenach sciencyi pełnych« ks. Chmielowskiego (1745), ale bywały przecież i takie, w których było co do widzenia i zainteresowania się. Powiedzmy szczerze, że nie wiemy, skąd się to zamiłowanie wzięło, ale oczywiście było, i miało, jak poniżej zobaczymy, niemały wpływ na naszą literaturę.

Wojewodzina owdowiała w czasie bezkrólewia, po którem objął tron stolnik litewski. Księżna, podobnie jak wszyscy panowie polscy, nienawidziła króla, chociaż była z nim spowinowacona. Pierwszy okres jej wdowieńskiego życia zeszedł na wspieraniu wszystkich, co walczyli ze Stanisławem Poniatowskim. To trwało do jakiegoś 1773 r. Z jakiego powodu nastąpiło pogodzenie się z królem i kiedy? dokładnie nie wiemy, dość, że »ciotka«, jak ją król nazywał, raczyła się odtąd nawet pokazywać na jego salonach i przyjmować go niejednokrotnie u siebie w Siemiatyczach lub Kocku.

Księżna posiadała trzy klucze, trzy, jak je nazywała, państwa, to jest Siemiatycze. Kock i Wysokie. Siemiatycze leżały w Podlaskiem, w ziemi drohickiej (dziś gubernia grodzieńska), obejmowały 15 wsi. Kocka rezydencya znajdowała się w Lubelskiem, nad Wieprzem, w ziemi łukowskiej; należało do niej 12 wsi, zajmujących 3 mile kwadratowe. Kock i Siemiatycze przynosiły 110.000 złp. rocznego dochodu. Wysokie, też w Lubelskiem, było mniejszą posiadłością, bo dawało tylko 15.000 złp., przeszło też z czasem do Sapiehów; księżna miała na niem tylko dożywocie [1].

Księżna po śmierci męża wyjeżdżała za granicę, ale nie po to, żeby objeżdżać królewskie dwory; jechała teraz uczyć się postępowego rolnictwa w Szwajcaryi i Holandyi. Nauczyła się ustalać

[1] Wszystko, co w tej nieoryginalnej części z faktów podaję, przejrzawszy literaturę, opieram na artykule Bartoszewicza J., Anna z Sapiehów Jabłonowska, Dzieła, tom X. Kraków 1881, str. 272—356, na fejletonach Wilkońskiej P., »Czas« z r. 1859, nr. 232 i 234, oraz pracy Bagieńskiego A., Beitrag zur Geschichte der gutsherlich-bäuerlichen Verhältnisse in Polen, Krakau 1895.

piaski, poznała znaczenie koniczyny i ziemniaków w rolnictwie, wprowadziła je też do dóbr swoich. Sprowadziła merynosy z Hiszpanii, miała bydło holenderskie, tyrolskie i żuławskie. Słowem oparła gospodarstwo na postępowem rolnictwie.

Wydała nawet po niemiecku w r. 1777 w Gdańsku broszurę p. t. »Die Einrichtung der Wirtschaft für die Gütey Ihro Durchlaucht der Fürstin Jablonowska, Wojewodin von Braclaw« (u E. F. Müllera) [1]. Księżna zamierzała nie tylko podnieść rolnictwo, ale i przeprowadzić społeczne reformy w swoich dobrach. W rozpitej i zdemoralizowanej Rzeczypospolitej, która pod każdym względem podupadała za czasów saskich, odezwało się sumienie publiczne. Cały szereg możnowładców dąży do poprawy bytu swoich poddanych, do oparcia swego do nich stosunku na innych podstawach, niż plagi i wyzyskiwanie. Ich szereg rozpoczyna zacny kanclerz Andrzej Zamojski w r. 1760, za nim idzie (1769) ksiądz Paweł Ksawery Brzostowski, referendarz litewski, w r. 1774 do reformatorów zaciąga się biskup Massalski. W trzy lata potem książę Stanisław Poniatowski w Korsuniu wyzwala swych włościan. Podobnie postępuje Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, i Hiacynt Jezierski, kasztelan łukowski. Jest w tym szeregu księżna Lubomirska. Nie mogło tam zabraknąć księżnej Jabłonowskiej.

Jak już wspomniałem, ks. Brzostowski nadał włościanom swoim w Mereczu nie tylko wolność osobistą, ale zorganizował ten nowo przezwany Pawłów na socyalnych podstawach. przelewając swą władzę dziedzica na gminę. Tam (w r. 1777) szukała wzorów księżna Anna dla swego dobrego serca i otwartego umysłu, które pragnęły dać włościanom i mieszczanom dobrobyt i podnieść ich moralność.

Księżna jako osoba rozsądna musiała lata całe, powoli, od fundamentów wznosić organizacyę swoich dóbr. Skoro ją ustaliła i chciała, żeby każdy funkcyonaryusz miał w ręku drukowane przepisy, obowiązujące go, oraz wiedział, czego ma się pilnować, postanowiła zebrać te przepisy i wydrukować je. Miała swoją podręczną drukarnię w Siemiatyczach. Tu wychodziły od r. 1783 »Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców«. Ostatnie ich wydanie u Grölla z r. 1786 obejmuje ośm tomów i bez mała 700 stron.

Księżna drukowała ustawy dla swojej wygody. Sama mogła

---

[1] Nie ma w bibliografii Estreichera.

zawsze zajrzeć do przepisów i rozporządzeń własnych, ale jej poddani, jej urzędnicy mogli mieć tylko odpisy, nieraz utrudzające w odczytywaniu i łatwe do zagubienia. Wszystkim tym brakom zapobiegał druk. Druki siemiatyckiej drukarni były przeznaczone tylko do administracyjnego użytku, bo egzemplarze są niesłychanie rzadkie. Z poprawionego egzemplarza drukował Gröll. Księżna nie myślała o tem, że przez te ustawy stworzy dzieło, zajmujące pierwszorzędne miejsce w literaturze europejskiej o nauce administracyi. Niestety za mało znane. Poza pracą A. Bocheńskiego, odnoszącą się do stanu włościańskiego w Kocku, »Ustawy« czekają na wszechstronne opracowanie, przez grono wybitnych specyalistów, a współcześnie znawców XVIII wieku. Materyału nowego nie zabraknie. Są w Kocku teki ks. Jabłonowskiej, nietknięte przez Bocheńskiego.

Księżna nazywała »gubernatorem« administratora dóbr, »komendantem« zarządcę miejskiego. Oczywiście mieli oni pod sobą całą rzeszę urzędników. Tom pierwszy »Ustaw« podaje ich obowiązki i przepisy urzędowania, zawiera też »natury porządek w udziałaniu nam potrzebnych do żyzności części«, uczy po prostu hodowli roślin, mówi dalej, jak urzędnicy mają się obchodzić z włościanami, jak utrzymywać w porządku spichlerz i robić zapasy kuchenne i wiele innych rzeczy.

W tomie drugim są przepisy obowiązków »pisarza prowentowego«, w trzecim »pisarza propinacyi«, czwarty poświęcony jest wszelkiego rodzaju fabrykom. Piąty obejmuje po raz pierwszy w Polsce wyczerpujący traktat o racyonalnem leśnictwie. Tom szósty zawiera ustawy dla pisarza hamernianego i kotlarza, mówi o wagach i materyałach, używanych w hamerniach. Do tych tomów dodane są tablice rachunków gospodarskich.

W tomie siódmym jest opisanie porządku miast, w ósmym porządku wsi. Dwa te tomy są najciekawsze. W poprzednich mogła księżna iść za tradycyą polskiego gospodarstwa, o jakiem mamy przecież dobre wyobrażenie z »Gospodarstwa« Anzelma Gostomskiego, wojewody rawskiego (1588) i z późniejszej »Oekonomiki ziemiańskiej« Jakóba Haura (wiele wydań od r. 1675). Mogła te tradycye zmieniać, uzupełniać wiadomościami za granicą i z literatury nabytemi, wprowadzała rolnictwo i leśnictwo na nowe całkiem tory — zapewne, ważne to rzeczy, ale nie mogą iść w porównanie z ważnością socyalnych reform, jakie księżna wprowadziła do

swoich miast i dóbr, o których mówi w ostatnich dwu tomach ustaw.

Księżna oczynszowała włościan. Nadała każdemu 12 morgów pola, 2 sianożęci i 2 ogrodu. Dziedzic nie miał prawa odjąć coś z tych 16 morgów, nadanych prawem emfiteutycznem. Gospodarz co 50 lat miał płacić dziedzicowi 100 zł. Płacił też corocznie 5 zł. czynszu, oraz odrabiał tygodniowo dni sprzężajnych 2 lub pieszych 4, a raz na miesiąc dzień szarwarku. Oprócz tego dostarczał do dworu $1^1/_2$ korca owsa i 12 łutów włókna konopnego.

Każdy żeniący się włościanin musiał przed weselem posadzić 10 wierzb lub drzew owocowych.

Wieś miała i majątek publiczny, to jest magazyn, pasiekę i kasę. Użytkowała też z domu miłosierdzia dla starców, stajni wiejskiej, domu dla umarłych, z suszarni konopi. Byli ogrodnicy, pasiecznicy, kominiarze wiejscy oraz akuszerki. Kasę zasilał dwór kwotą 1500 zł., powiększała się dochodami z publicznych instytucyj wiejskich; mógł z niej każdy zaciągać pożyczkę dwa razy do roku.

Sąd był ławniczy z apelacyą do gubernatora i do dworu.

Ciężary roboty pieszej lub konnej były równomierne, bo księżna kazała wszystkie dworskie grunta pomierzyć i oznaczonem było na mapie, ile morgów ma każde pole.

Podobnie było z mieszczanami. Każdy dostawał 15 morgów pola, 2 sianożęci, prócz ogrodów i placów, i płacił dworowi co 50 lat 200 złp.

Mieszczanie płacili podatki Rzeczypospolitej i dworskie, obowiązani byli do szarwarku. Mieli instytucye publiczne, kasę miejską, magazyny, stajnie. Rządzili się prawem magdeburskiem. I tu była apelacya do komendanta, a nawet od niego do właściciela. Ale kto w trzech instancyach sprawę przegrał, brał 50 plag na rynku za: »złej sprawy poparcie i swoją niespokojność«, jak się dosłownie wyrażała księżna.

Dzieci miejskie uczyły się czytania i arytmetyki. Miasteczka miały różne ustawy, jak ogniowe i o obowiązkach względem kościoła. Księżna polecała płacić za chrzty, śluby i pogrzeby według taksy, ustanowionej przez biskupa Lipskiego. Ograniczała tem plebanów w wyzysku ludu. Zakazywała zbytków, pijatyk, wchodząc przez przepisy w drobne nawet szczegóły życia. Chcąc ocenić reformy księżnej, trzeba sobie uprzytomnić przedewszystkiem, że w Polsce conajmniej do końca czasów saskich nie było rolnictwa,

tylko wszystko stało gospodarstwem, rządnością. To jest rzecz nie ulegająca wątpliwości. Można przeczytać od deski do deski »Gospodarstwo« wojewody Gostomskiego (z r. 1588), a nie znajdzie się żadnego traktatu o rolnictwie, nic a nic. Pan wojewoda pisał dosłownie: »Gospodarze sobie rządni, u mądrych kmiotków się nauczyć mają, jako rolą sprawować«! Dopóki kmieć nie był wyzyskiwany, mógł się na swojem dorobić, dobrze stało trójpolowe rolnictwo, wprowadzane z chrześcijaństwem. Krescentyn daje o tem rolnictwie niezłe wyobrażenie, chociaż dzieło było pisane we Włoszech i ma treść przystosowaną do italskich stosunków. Skoro jednak kmieć zaczął być wyzyskiwany, skoro się niczego dorobić nie mógł, nie dbał już o staranną robotę u siebie, a za tym wzorem i we dworze szło gorzej. Tak wszystko chyliło się ku upadkowi. Włościanin był nędzny i pan nie miał dawnych dochodów. Przecież najniższy wywóz zboża do Gdańska wypada właśnie pod koniec czasów saskich. Racyonalna reforma musiała być współcześnie nie tylko socyalna, ale i rolnicza. Ten podwójny charakter mają reformy znakomitej Sapieżanki i tem stoją wysoko. Nie tylko podnoszą włościanina, ale dają mu wzory lepszego rolnictwa, hodowli nieznanych roślin i poprawnych ras zwierząt. Tego wcale niedocenił Bocheński w swojej znakomitej pracy o Kocku.

Pisał Anzelm Gostomski w drugiej połowie XVI wieku, w swojem Gospodarstwie: »Posłuszeństwo ma być, które pan ma mieć po każdym słudze zawszdy. A sługa nic nie ma czynić, ani kmiotek, nad wolą jego chcąc. A co pan rozkaże, już z tem drugiego rozkazania nie czekać, ale zaraz uczynić, — bo to już niełaskę przyniesie« [1].

A do swego urzędnika odzywał się ten pan wojewoda rawski w ten sposób: »Jakoś ty ode mnie słychał nie raz, na tem być ma: aby się Pana Boga bał — a tu Panu swemu, jego chleb jedząc, rękodannym i umówionym mu będąc, z pożytkiem służył, nic na swój pożytek nie obracając, jedno wszystko na Pański, nie dawając się uwodzić ani poddanych prośbie i pokłonom, ani sąsiedzkim czciom i zachowaniu (w czem więc i granice i pożytki giną), ale pilno we dnie i nocy myśląc, jakoby mnie i prowentowi memu we wszem się dogodziło« [2].

---

[1] Wyd. Jana Radwańskiego, Kraków 1856, str. 87.

[2] Ibid. str. 107.

Ten sam feudalny duch średniowieczny przebija się na każdej karcie ustaw pani wojewodziny. Jest Pan Bóg w niebie i księżna Jabłonowska w Siemiatyczach. Jest wprawdzie i Król Jegomość w Warszawie, no, ale wara mu wtrącać się do Siemiatycz. Dwór, urzędnicy, kmiecie, mieszczanie mają dbać o to, żeby się zaś »prowent« pani nie uszczuplił. Na to istnieją, żeby ją słuchali i cześć jej oddawali. Są jej poddani, tak im każe się ubierać, tak żyć, tak bawić. Wszystko, do najdrobniejszych szczegółów przewiduje, określa, postanawia. Że się to wszystko organicznie trzyma, w tym wielkim gmachu Ustaw, to wskazuje na niepospolity organizacyjny umysł księżnej. Trzeba podziwiać jasność tego umysłu, znajomość tylu przedmiotów, praktyczność rozporządzeń.

Księżna w VII. tomie Ustaw wyraźnie powiedziała, że tylko dobro »obywatelów swoich« ma na celu. Jeżeliby się dodało zdanie: naturalnie, o ile prowent mój na tem nie ucierpi, to można się na to zgodzić. Księżna zamiast świadczeń w naturze (kury, gęsi, jaja, trzęsiona na łąkach manna), kazała sobie płacić gotówką. Było to z pewnością z jej korzyścią, a nie wygodą jej obywateli. Nie rozpajała ludzi, w czem był już wielki postęp, ale nie zrzekała się dochodu z szynków. Uważała, że mieszczanie powinni umieć czytać, ale włościanom nie dawała szkoły [1].

Jednakże wszystkie jej ustawy przenika duch chrześcijański, pani ludzkiej, pragnącej widzieć obok siebie ludzi szczęśliwych. Przez swoje reformy podniosła też znakomicie dobrobyt ludności, tem bardziej, że — czego nie mogła przewidzieć — wartość pieniądza, a zatem i opłat gotówką oznaczonych, z czasem malały.

Możemy tej znakomitej Sapieżance i najznakomitszej Polce przyznać, że dobro jej »obywatelów« w gruncie rzeczy leżało jej na sercu. To nie był frazes, ani blichtr. Wystawił jej pod tym względem świadectwo nie kto inny, jak książę biskup warmiński, opisując w liście do księcia Stanisława Poniatowskiego swą podróż z Warszawy na Ruś. W czasie podróży — opowiada — stanął w Wysokiem:

[1] Jednakże matka p. K. Wielkońskiej powiedziała o księżnie co następuje: »W Siemiatyczach, miasteczku, położonem w Bracławskiem, wystawiła ratusz, sklepy i starała się zaprowadzić tamże handel i przemysł. Założyła instytut położniczy i szpital. I w innych dobrach pozakładała szpitale i szkółki, a odznaczających się uczniów oddawała własnym kosztem do szkół wyższych, a nawet i za granicę dla nauki ich wysyłała.

»Gdzie wdowa, a niemodna z zgorszeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianej istotnej zabawy,
Podłą się pracą bawi, śmie myśleć o roli,
I w pośród kmieci swoich bardziej mieszkać woli,
Niż błyszczeć w wielkim świecie...«

W powrotnej podróży pragnął osobiście złożyć hołd wojewodzinie bracławskiej, zboczył więc do Siemiatycz na Kock:

»Gdzie Wieprz płynie korytem wązkiem, a głębokiem,
Taż sama pani w Kocku, która i w Wysokiem.
Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze«.

Dwa te ostatnie wiersze obiegły całą Polskę i spopularyzowały godność, ludzkość i zasługi księżnej w całej Polsce.

Sądzę też, że te reformy zbliżyły księżnę do króla, bo przecież i król dążył do tego w całem państwie, co ona stworzyła w swojem. Bywała »ciotka« niejednokrotnie na królewskich salonach i król odwiedzał ją nieraz. To zbliżenie wskazuje, że pierwsze kroki księżnej, zwalczające Stanisława Augusta, wychodziły zapewne z wpływów, jakie na nią oddziaływały za życia męża. Skoro zaczęła myśleć samodzielnie, musiała ocenić dobrą wolę i zamiary króla, zaczęła widzieć w nim nie stolnika litewskiego, ale królewskiego reformatora.

Bo zaniechanie walki z królem nie znaczyło, że księżnę nie interesuje polityka. Interesowała ją do końca życia. Księżna prowadziła rozległą korespondencyę także polityczną, otrzymywała nawet szyfrowane depesze, jakie się do naszych czasów zachowały. Przejrzane i opracowane, mogłyby pewno rzucić światło na niejedną kwestyę polityczną z ostatnich trzech dziesiątków XVIII wieku.

Pani Nakwaska, znająca księżnę osobiście, opowiada: »Była to pani słuszna i chuda, miała coś wyniosłego w postaci, a wiele dowcipu w mowie, rozum jej słynął szeroko po kraju«.

O wizycie jej w Łazienkach pisze Ochocki: »Gdy weszła na salę, król zerwał się z krzesła, z pośrodka pięknych i młodych dam i na środek sali na spotkanie jej wyszedł. Księżna była ubrana w staroświecką materyę jedwabną, w pasy szerokie, do której i ubranie głowy tak zupełnie dobrane i ułożone były, jak widzimy w możnych domach na starych portretach. Szła z postawą wspaniałą, ale krokiem dosyć pewnym i śmiałym. Król skłonił się jej

dość nizko i pocałował ją w rękę, ona zaś tylko lekko mu głową skinęła, jakby to nie król, ale pan Stanisław Poniatowski tę cześć oddawał. Poszła dalej między damy, które wszystkie powstały i dały pierwsze miejsce tej matronie. Dziś jeszcze mam w oczach widok tej szanownej niewiasty, która wówczas między ubranemi wytwornie i modnie damami była prawdziwą reprezentantką dawnych znakomitych z rodu i znaczenia pań naszych. W życiu swojem nie zdarzyło mi się więcej jak dwa razy widzieć tak wspaniałą i imponującą osobę«.

»Wzrostu była słusznego i wielka, pełna godności zdobiła ją powaga...« »I w podeszłym już będąc wieku, zawsze pozostała żwawą i czynną« — mówiła pani Klemensowa Wilkońska, z tradycyi matki, która znała księżnę. Księżna zrazu mieszkała w Kocku, potem zbudowała sobie pałac w Siemiatyczach, gdzie pomieściła swoją bibliotekę i gabinet (zbiory przyrodnicze oraz etnograficzne), i gdzie stale rezydowała, wyjeżdżając tylko na lato do Kocka.

W rezydencyi swojej przyjmowała gości, nie wychodząc nigdy naprzeciw nich, choćby to były ukoronowane głowy. Oprócz króla odwiedził ją hr. de Falkenstein, to jest Józef II w r. 1780, w powrocie z Petersburga. W r. 1782 byli w Kocku hrabstwo du Nord, to jest następca tronu rosyjskiego Paweł z żoną Dorotą wirtemberską. Nie brakło też na dworze księżnej wizyt duchowieństwa, panów, szlachty, uczonych i poetów. Bywali w Siemiatyczach ksiądz biskup Krasicki, Naruszewicz, Kołłątaj, Kniaźnin. Trembecki, Karpiński.

Wszyscy podziwiali przedewszystkiem »Gabinet«, tak się bowiem nazywały biblioteka i zbiory księżnej. Matka p. Wilkońskiej twierdziła, że »Gabinet ten pięć wielkich sal zajmował. W pierwszej owalnej była biblioteka; w drugiej sztuki piękne, numizmaty, wyroby najsubtelniejsze, materye z kory drzew i t. p.; w trzeciej sali kruszce w naturalnych i sztucznych kształtach i wszelkie płody z wnętrza ziemi pochodzące; w czwartej wszelkiego rodzaju zwierzęta krajowe i zagraniczne, wypchane; w piątej rośliny krajowe i zagraniczne, z pięciu części świata pochodzące, na różny sposób zakonserwowane. To wszystko poskładane było w nader pięknych szafach, arcydziełach sztuki stolarskiej, wykładanych w przeróżne wzory drzewem kolorowem, muszlami i koralami różnej wielkości« [1].

[1] Na takiej tradycyi polegać nie można; czytałem, że zbiory te obejmo-

W każdym razie były tak mnogie, że kiedy Stanisław August, jadąc do Grodna w r. 1794 na sejm, wstąpił odwiedzić Jej Miłość panią »ciotkę« i bawił u niej przez tydzień, to oglądał te zbiory szczegółowo trzy dni i część nocy. Księżna sama mu wszystko pokazywała i objaśniała. Takie to były siemiatyckie zbiory. Nie mamy ich katalogu, chociaż pisma publiczne końca XVIII wieku dopraszały się o to u księżny w imieniu całego kraju. Że były może najznakomitsze w całej Europie, to można przypuszczać z wielkiem prawdopodobieństwem.

Poza skarbcami panujących, w których można było znaleźć nie jednę osobliwość przyrody, zbiory przyrodnicze zaczęły powstawać dopiero w XVI wieku. Sławni uczeni tego wieku zbierali przyrodnicze okazy, w celu ich opisywania w swoich dziełach. Nieśmiertelny Konrad Gesner opisał w swoich pracach zbiory Jana Kentmanna, wielki zbiór, który się mieścił... w jednej szafie, a przecież uważano go wówczas za bardzo niepośledni i kosztowny. We Francyi Bernard Palissy nie tylko subtelnie lepił glinę, ale gromadził zbiory, spisane w jego dziełach (wydanie panów M. Faujas et Gobet). We Włoszech słynęły zbiory Michała Mercantiego (Metallotheca Romae 1717). Ale pierwsze publiczne zbiory powstały we Francyi w pierwszej połowie XVII wieku w Museum d'histoire naturelle. Za czasów, kiedy księżna wojewodzina bywała w Paryżu, uważano je za bardzo bogate i ciekawe, zawierały okazy i ryciny zwierząt i roślin oraz cenny zbiór drogich kamieni Dufaya. Te bogate zbiory mieściły się w... dwu salach. Tak, w dwu salach. To daje wyobrażenie, czem były siemiatyckie zbiory. Księżna gromadziła je lata całe, podróżowała w tym celu po Hiszpanii, Włoszech, Francyi i nie wahała się zakupywać nawet całego zbiorku, jeżeli znalazł się w nim choć jeden okaz, który jej wpadł w oko. Znawstwo, zamiłowanie przedmiotu i nieliczenie się z wydatkami złożyły się na tę bezcenną kolekcyę.

Księżna była przyrodniczką i to niepospolitą. Ksiądz Ładowski wydając »Historyę naturalną Królestwa Polskiego«, tak się do niej o tem w przedmowie dedykacyjnej wyraził: »Wydając na widok publiczny opis płodów kraju naszego, szukam sprawiedliwie za-

wały także gabinet fizyczny, zbiory etnograficzne, modele narzędzi rolniczych. Zobacz zresztą poniżej, co o tych zbiorach napisał K. Kluk.

szczytu poświęcenia tej pracy mojej wielkiemu imieniowi J. O. W. Xcej Mci, która pierwsza w kraju naszym, chwalebną i użyteczną historyi naturalnej naukę zaszczepić wielkim kosztem przedsięwzięłaś, która tę naukę gruntownie posiadasz, w niej najsłodszą zabawę i najmilszą rozrywkę znajdujesz, dla niej żadnych trudów i największych nakładów nie oszczędzasz, która zagraniczne nawet kraje, Hiszpanię, Francyę, Włochy i Niemcy, tym chwalebnym zajęta celem, zwiedzić za rzecz potrzebną i nietrudną płci swojej osądziłaś«.

Jak powyżej powiedziałem, nie wiemy, jak rozwinęło się zamiłowanie księżnej do historyi naturalnej. Podobno największe miała do botaniki i mineralogii, ale lubiła i zwierzęta. W ogrodzie otaczano latem grupę krzewów klatką, utworzoną z siatek konopnych, zamoczonych w smole i posypanych piaskiem. W klatce tej trzymała księżna całą rzeszę ptaszków, które na zimę rozmieszczano w klateczkach, zawieszonych w ogrodzie zimowym. Pan Bocheński mówi nawet o utrzymywaniu menażeryi. Bądź co bądź pokazuje to, że i zoologia nie była księżnie obojętna. *Właśnie to zamiłowanie do nauk przyrodniczych pozwoliło jej zapoznać się na gruntownych podstawach z rolnictwem i z naukami technicznemi, których świetne opanowanie widać doskonale z Ustaw.*

Jeżeli księżniczka wcześnie szukała wiadomości przyrodniczych, to mogła je znaleźć przedewszystkiem w naszej literaturze XVI wieku. Mogła zajrzeć do Zielników: Marcina Siennika i Marcina z Urzędowa. Zadowalały ją może raczej księgi o gospodarstwie Piotra de Crescentiis, bo to było dzieło utalentowanego pisarza, dobrze organicznie złożone, pisane jasno, zwięźle, co wszystko do jej składu umysłu przemawiać musiało. Wiek XVII przynosił jej popularną księgę »Zielnika« Szymona Syreńskiego oraz »Oekonomię ziemiańską« Haura. Tu w trzeciem wydaniu (1683) mogła się naczytać różnych prawdziwych i bajecznych rzeczy o zwierzętach, nabyć wiadomości o zegarach, malarstwie, prognostykach, dniach szczęśliwych i fatalnych, obok traktatów o rolnictwie, ogrodnictwie, łowiectwie, rybołostwie, górnictwie. Jest tu akurat taki sam gąszcz chwastów przyrodniczo-technicznych, jaki ze wszystkich umiejętności zebrał ks. Chmielowski w »Nowych Atenach« (1745—1756). Mogła znaleźć niejednę kompilacyę w Kalendarzach Duńczewskiego (od r. 1746). Skoro zaś umiała po łacinie, to mogły być jej znane dzieła

Gabryela Rzączyńskiego S. J.: »Historia naturalis curiosa« (Sandomiriae 1721) i jej »Auctuarium« (Gedani 1745). Pożal się Boże, co to za dzieła. Oczytanie wielkie, kompilacya staranna, znajomość przyrody żadna. Wskutek tego rzecz jest bezkrytyczna. Przecież ksiądz Rzączyński opowiada o możności znalezienia w Karpatach rubinów i szafirów (l. c. 72, 73), nie umie odróżnić tura od żubra! (l. c. 323), a ileż innych podobnych kwiatków podaje jego łatwowierność.

Wyszedłszy za mąż, bawiąc za granicą, przyswoiwszy sobie oprócz łaciny język niemiecki i francuski, zapoznawszy się z literaturą wszechświatową, mogła księżna dopiero dojrzeć braków naszej literatury i nad tymi brakami ubolewać.

Księżna sama miała zbyt wiele zajęcia, żeby módz pisać przyrodnicze książki. Zarząd takim wielkim majątkiem, w którym w każdej sprawie swego państwa była trzecią instancyą, apelacyjnym senatem, przyjmowanie gości, obszerna korespondencya z krajem i zagranicą musiały jej czas pochłaniać, chociaż wstawała stale o godzinie 6-tej rano.

Jednakże księżna sama przyswoiła naszej literaturze mały traktacik psychologiczny. Motywowała wydanie tego tłómaczenia w przedmowie tem, że z pośród wszystkich nauk ta zasługuje na pierwszeństwo, »która dobro i szczęście nasze, tak doczesne jako i wieczne zabezpieczyć może«. »Traktat o duszy w formie rozmowy«, taki jest rzeczywisty tytuł poza przedmową położony i ten lepiej odpowiada treści, niż tytuł główny: Physiologia (sic!) albo krótko zebrane lekcye elementarne o naturze i własnościach duszy [1]. Broszurka ta zawiera ośm rozmów ojca ze synem, któremu wyjaśnia, że dusza istnieje, jakiemi władzami i w jaki sposób rządzi ciałem.

W Ustawach pominięte były ogrody dworskie. Znać rozumiała księżna, że do administracyi dóbr nie należą. Wydała więc w Siemiatyczach 1786 r. osobną instrukcyę dla ogrodników, jakby dziewiąty tom Ustaw, przedrukowany następnego roku u Grölla, pod tytułem: »Porządek robót miesięcznych ogrodnika, na cały rok wypisany i na miesiące podzielony« [2].

[1] Druga edycya u Grölla w Warszawie 1786 r., a pierwsza w Siemiatyczach. Nie mam więc tych wątpliwości, co Estreicher, Bibliografia XXIV. 228, czy księżna jest tłómaczem, bo przecież w jej drukarni żadne obce prace nie wychodziły.

[2] Zawiera 159 str. i spisy roślin zestawione w tablicach.

Główną część książki (do str. 91) zajmują »Roboty w ogrodzie«, zestawione z osobna na każdy miesiąc. Czytamy więc pod styczniem takie działy: Robota w ogrodzie kuchennym. — Robota w tymże miesiącu koło kwiatów i Trejbhauzów. — Co się znajduje pożytecznego do kuchni w tymże miesiącu. — Drzewa kwitnące w tymże miesiącu. — Kwiaty tegóż czasu kwitnące. — Z cebul (domyślne — co kwitnie). I podobnie traktowana jest rzecz w każdym z następnych jedenastu miesięcy. Potem idą traktaty. A więc: O zasadzaniu kwiatów. o krzewach treibhauzu i oranżeryi potrzebujacych, katalog różnych drzew oraz ich użytku, Planty wodne i inne drobiazgi, zwłaszcza o roślinach farbierskich obszerniej.

Na końcu książki znajdują się wielkie tabele; jest ich sześć, zadrukowanych obustronnie. Pierwsza wylicza 79 ogrodowin, druga i trzecia 128 ziół i bylin, trzy ostatnie 306 drzew i krzewów. Nazwy roślin są w czterech językach: po polsku, łacinie. francusku i niemiecku a dodane są wielorakie objaśnienia, odnoszące się do tych roślin. Na przykład z pierwszej tablicy może się każdy dowiedzieć: 1) Jaki jest czas trwałości nasienia na lata rachowany, 2) Czas zasiania onych, 3) Jakiej na nie potrzeba ziemi, 4) Odległość w sianiu na cale rachowana, 5) Głębokość nasienia w ziemi, 6) Ilość dni ich leżenia w ziemi zanim zejdą, 7) Czas przesadzania rozsady, 8) Odległość w jakiej trzeba je rozsadzać. Jednem słowem tabele te są to całe traktaty ogrodnicze, zestawione do użycia, z wielkiem ułatwieniem w praktyce.

Istnieje Sztuka ogrodnicza[1], — jak nieznany autor w przedmowie mówi — kompilacya, z książek przeważnie niemieckich, wydana po raz pierwszy w r. 1770 (edycyi tej napróżno dotąd poszukiwałem). Jest w niej mowa: O ogrodach kwiatowych, kuchennych, o sadach i wreszcie tak zwane sekreta ogrodnicze. Była to bardzo pożyteczna książka, naprawdę pierwsza w swoim rodzaju u nas, ale — co zupełnie racyonalne — była obliczona na stan chudopacholski. Porządek robót księżnej Sapieżyny w niczem nie jest do tamtej książki podobny. Każdemu też, co znał nawet Sztukę ogrodniczą, mógł się przydać. Dla nas jest nieoszacowanem źródłem

[1] Estreicher, Bibliografia IV. 230, przypisuje jej autorstwo X. Fr. Siarczyńskiemu, za Sobieszczańskim, Encykl. Orgelbr. XXIII. 328, co jest wykluczone już ze względu na to, że autor miałby wówczas 12 lat! Sądzę, że to bałamuctwo powstało z pomieszania z nazwiskiem ks. W. Sierakowskiego, autora »Postaci ogrodów«, też z XVIII w.

historycznem. W literaturze naszej nie mamy uprzednio nic podobnego. W książeczce tej wymieniono, jak obliczyłem, 590 roślin. Były wszystkie w Kocku. Gdy przechodzimy ich listę, podziwiamy, jak bogate były te zbiory. W porównywaniu ze współczesną literaturą francuską uderza, że księżna ma prawie wszystko, a niekiedy znacznie więcej, niż wymieniają ówczesne pierwszorzędne źródła. Ma zwłaszcza wiele północno-amerykańskich roślin (Floryda, Karolina, Kanada były wówczas francuskie). Wszystko to przychodziło w skrzyniach z Paryża do Kocka. Niech nas to przywykłych do kolei nie dziwi. Umiano się bez nich obejść, skoro ich nie znano. Hr. S. Wodzicki opowiedział nam, jak to w sześć tygodni bryką dochodziły skrzynie z żywymi roślinami z Paryża do Niedźwiedzia, lub nieco później do Medyki. Był transport ogromny, to szedł morzem do Gdańska, a z Gdańska dopiero końmi, lub po części jeszcze flisem.

Księżna miała nie tylko pomarańczarnie, ciepłe szklarnie, pełne żywych osobliwości, ale mnóstwo kwiatów. Kochała się w tem i nie załowała na to grosza.

Porządek robót ogrodniczych, podobnie jak Ustawy, pisane tylko dla Siemiatycz, musiały mieć rozgłos w kraju i wpływać na rozpowszechnienie się wielu roślin. Do historyi hodowli roślin są pierwszorzędnym dokumentem. Dowodzą też niepospolitego znawstwa swego autora w ogrodnictwie i hodowli roślin.

Poza zasadami psychologii i dziełem ogrodniczem, poza wieloma częściami Ustaw treści czysto nawet przyrodniczej, szukamy jeszcze wpływów księżnej na rozwój nauk przyrodniczych we współczesnej literaturze. Wpływ taki można udowodnić co do dzieł historyi naturalnej ks. Ładnowskiego, może i jest jaki w tłómaczeniu dzieła rolniczego Mitterpacha przez ks. Zapolskiego, ale najwybitniejszy i najważniejszy jest w stosunku do prac ks. K. Kluka.

W r. 1783 wyszedł w dwu tomach, w Krakowie u Grebla: »Dykcyonarz, służący do poznania historyi naturalnej i różnych osobliwych starożytności, które ciekawi w Gabinetach znajdują. Dzieło wielce ciekawe i pożyteczne z francuskiego przełożone przez ks. Ładnowskiego Pijara« [1].

[1] Ks. Remigiusz Ładnowski, ucząc w pijarskich konwiktach, czas wolny od tego zajęcia poświęcał tłómaczeniom z najrozmaitszych dziedzin wiedzy. Długi czas był w łukowskim konwikcie, a zatem blizko Kocka.

Wybór tej książki nieszczególny. Francuzi posiadali już wówczas wiele kolonii, jak Senegal, Gujana, Floryda, Karolina, Kanada. Nic dziwnego, że autor Francuz, wiele przedmiotów historyi naturalnej stamtąd pochodzących, w słowniku swoim pomieścił pod francuskiemi nazwami, które nie mają obok siebie nazw łacińskich, wskutek czego niekiedy dziś nawet są niezrozumiałe, a cóż dopiero w XVIII wieku i to u nas. Zachował autor układ całego słownika według francuskich wyrazów i dopiero na końcu drugiego tomu dał »zbiór słów... według polskiego alfabetu ułożony«, pozwalający szukać danego przedmiotu w odpowiedniem miejscu słownika. Mimo to słownik ten był »od powszechności łaskawie przyjęty« i skłonił autora do napisania »Historyi naturalnej Królestwa Polskiego«. Praca ta dedykowana jest księżnej wojewodzinie, i powiedziano w dedykacyi, że to widok »bogatego Płodów naturalnych Zbioru« księżnej natchnął autora do podjęcia tego zadania. Ksiądz Ładnowski nie był przyrodnikiem, o rzeczach przyrody miał wyobrażenie ogólnie wykształconego i na wsi wychowanego człowieka. Szkielet pracy wziął z Rzączyńskiego, uzupełnił go jednak wieloma wiadomościami. Na owe czasy książeczka ta była znakomitym nabytkiem naszej literatury. Dziś zaś jest kopalnią wiadomości o ówczesnych użytkach płodów naturalnych, w wielu razach jedynem źródłem, do którego trzeba się uciekać, jeżeli chodzi o wiek XVIII. Książka miała wielki rozgłos, skoro została nawet przetłómaczona na język niemiecki.

Wiadomo, że książki naukowe w końcu XVIII wieku wydawali księgarze przeważnie subwencyonowani przez zamożne osoby [1], można więc w tych wydawnictwach przypuszczać nietylko moralny udział księżnej wojewodziny.

W r. 1787 wyszło w Warszawie w dwu tomach: »Gospodarstwo prawdami istotnemi i doświadczeniem rzeczywistem stwierdzone«. Tłómaczem jest Pijar, ks. Cypryan Zapolski. Bawił on trzy lata w Wiedniu, z Jabłonowskimi, bratankami księżnej i to jest ważna, ale jedyna — zaznaczam to wyraźnie — podstawa do przypuszczenia, że tłómacz za wskazówkami księżnej wziął się do opracowania właśnie tej książki, wyróżniającej się w całej współczesnej literaturze ekonomicznej.

W r. 1770 kazał ks. biskup Massalski przetłómaczyć X. G. Kniaziewiczowi »Kalendarz rolniczy i gospodarski R. Bradleya«. Była

[1] Por. np. u Estreichera, Bibliogr. XV. str. 362.

to książka ciesząca się wielkiem uznaniem w Anglii, ale do naszych stosunków wcale się nie nadająca. W Anglii od Jakóba II produkcya sukna tak się zwiększyła, że trzeba było hodować żywność dla owiec, a nie zboże. Sprowadzano je z Gdańska, a wysyłano do Polski sukna. Gospodarstwo zaczęło się opierać na hodowli bydła i roślin pastewnych. Jakże było u nas daleko do tego. Niezrozumiałe były wprost przykazania tego kalendarza. Przecież nie kto inny, jak ks. B. Jundziłł (starszy), prof. uniw. wileńskiego, naśmiewał się z tych angielskich turnipsów, które są przecież tylko brukwią! bo nie rozumiał, że tu nie chodzi o wprowadzenie nowej rośliny, tylko o trzymanie bydła na stajni i karmienie go tą brukwią.

Nie wiem, czy nie bardziej niestosowne dla nas było »Dzieło o rolnictwie«, które napisał H. L. Duhamel du Monceau, a przetłómaczył twórca Pawłowa, ks. P. K. Brzostowski. Autor żył w Pikardyi w klimacie suchym, gdzie uprawa roli stała wysoko, gdzie miano już różne ustalone rasy zbóż, ulepszone narzędzia rolnicze, wszystko, o czem ani się śniło w Mereczu i w ogóle u nas, — a wybór tej książki dowodzi tylko, że najzacniejszy ksiądz referendarz litewski na rolnictwie nic a nic się nie znał. Był utopistą, który sobie wyobrażał, że można rolnictwo, znajdujące się w najokropniejszym upadku, podnieść nagle do najdoskonalszych wyżyn przez zastosowanie przepisów wysoko stojącego gospodarstwa.

J. K. Simona: »Informacya praktyczna względem gospodarstwa«, wyszła w r. 1775 w tłómaczeniu X. M. Drosta Pijara (Warszawa i Lwów). Jest to niewielka książka, bardzo w swoim czasie pożyteczna. Nie tylko zajmuje się rolnictwem, hodowlą zwierząt domowych, ale też ogrodowiznami, robieniem konserwów mięsnych, serów, krochmalu. Zawiera na końcu pierwszy w polskim języku cennik nasion erfurckich. Nie jest to jednak wyczerpujący podręcznik gospodarstwa, są to raczej — jak mówi tytuł — praktyczne przepisy.

Dopiero na tle takiego przeglądu można ocenić, co to za cenna książka dostawała się do rąk naszych gospodarzy przez tłómaczenie ks. Zapolskiego [1]. Opracował ją autor na podstawie sławnej książki

[1] Oryginał L. Mitterpacha zawiera trzy tomy, które wyszły w Peszcie 1777, 1779 i 1794 r., ostatni więc tom nie mógł być współcześnie przetłómaczony. Ks. Zapolski musiał tłómaczyć dzieło znacznie wcześniej niż wyszło, gdy w botanice, stanowiącej początek dzieła, nie używa jeszcze terminologii ks. Kluka.

Beckmanna, »Grundsätze der deutschen Landwirtschaft«, która od r. 1769 doczekała się sześciu wydań (ostatnie jeszcze 1806 r.). J. B. Beckmann (1739—1811), człowiek niezmiernie wszechstronnego umysłu był profesorem w Getyndze i jest jednym z najznakomitszych ekonomistów swego czasu. O ile tłómacz uzupełnił oryginał, niewiadomo. Zdaje się, że z trojakiego druku, użytego do wytłoczenia książki, wszystko co jest odbite kursywą, jest redagowane przez ks. Zapolskiego. Książka, ze względu na te dopiski tłómacza, jest bardzo ciekawem źródłem do badania stanu naszego gospodarstwa z końcem XVIII wieku [1].

O ile wpływ księżnej na wydanie »Gospodarstwa« nie jest pewny, o tyle pewną jest rzeczą, że nie mielibyśmy takich pism księdza Krzysztofa Kluka, jakie mamy, gdyby nie zbiory siemiatyckie wraz z ich biblioteką.

Ksiądz Kluk napisał od r. 1777—1782 dziewięć tomów Historyi naturalnej i trzy tomy Dykcyonarza roślinnego (1786—1788), o których tu chcę mówić. Wydał wprawdzie i Botanikę dla szkół narodowych, ale w aktach Komisyi edukacyjnej są dowody, że plan tej książki został podany przez konsyliarza Pawła Czempińskiego i że na książkę tę Siemiatycze nie miały żadnego wpływu.

Ksiądz Krzysztof Kluk (* 1739 † 1796) został wyświęcony na kapłana w r. 1761, a więc jako dwudziestodwuletni człowiek, a w dziewięć lat potem, osiadł jako proboszcz w rodzinnym Ciechanowcu, opuszczając bogatsze probostwo, a to dlatego, jak mówi jego biograf (ks. S. Bielecki): »iż chęć jego nabycia obszerniejszej umiejętności historyi naturalnej, łatwiej przy mieście uskuteczniona być mogła, przez zasięganie od światłych osób rady i przez użycie zdatnych do tego książek, niżeli mieszkając na wsi i samotne prowadząc życie« [2].

Sam ks. Kluk opowiedział nam o swoim stosunku do księżnej i zbiorów siemiatyckich, mówiąc o zakładaniu muzeów w tych słowach: »Poprzedziła w tej mierze, jak w różnych naukach doskonała, tak nauk i uczonych wysoka protektorka Jaśnie Oświecona z Xiążąt Sapiehów, Xsiężna Anna Jabłonowska, Wojewodzina Bra-

---

[1] Jest doprawdy gorszącą rzeczą, że nasza literatura, odnosząca się do gospodarstwa, wcale nie jest opracowana. Poza tem co pisałem o pracach Zawadzkiego T. i studyum I. Baranowskiego o Gostomskim, wszystko leży odłogiem.

[2] We wstępie do Zoologii w ed. 1808 r. str. 3.

cławska, Dama Orderu Krzyża Gwiazdowego i t. d., sprowadziwszy i sprowadzając z cudzych krajów kosztowne i znaczne osobliwości, do naturalnego gabinetu, w dobrach swoich dziedzicznych Siemiatycze, na Podlasiu przedsięwziętego. A jako tu w naturalnym gabinecie ciekawy oglądać może obfite zebranie zwierząt osobliwszych czworonożnych, ptastwa, gadu różnego w spirytusach, ryb, owadu, kruszców, kamieni, skamieniałych rzeczy, konch morskich: skellety, anatomią sztuczną człowieka, starożytności, ciekawości jak najodleglejszych krajów, nie zapominając i rzeczy krajowych: tak w Kocku, podobnież jej dobrach widzieć się daje ogród, rzadkich osobliwości pełen. Nie tu jeszcze koniec dla ciekawego: najdzie tu i ówdzie po dobrach podzielone cudzoziemskie gospodarskie zwierzęta, owce hiszpańskie, ptastwo i t. d. dla pokazania, że w kraju naszym pożytecznie chowane być mogą. Najdzie wszędzie w dobrach jej te wszystkie porządki skupione, które jako najlepsze, po różnych krajach rozproszone, sama każde doskonałością własną roztrząsnąwszy, zebrała. Tak to, jak miłość dla okazania powiększyć się w kraju mogących pożytków, dla przykładu wydoskonalenia porządków zadawnionych, dla wsparcia uczonych, dla uwiecznienia sławy, wysiliła i wysila«.

»Ja w szczególności o dobroci jej zamilczeć nie mogę. Pobudzała mię ciekawość do widzenia tych ciekawości: zabraniała szukać sposobności nieśmiałość oglądająca się na nizkość osoby mojej. Uwiadomiona o tym, wysokim mię swoim rozkazem uszczęśliwiła i pozwoliwszy wszystkie naturalnego gabinetu oglądać ciekawości, tym samym okazała, że jej dobroć niema postanowionych granic, lecz się i na najniższych rozlewa« [1].

W r. 1777 wyszedł u księży Pijarów w Warszawie tom pierwszy dzieła p. t. Roślin potrzebnych, pożytecznych, wygodnych..... utrzymanie, rozmnożenie i zażycie. Ksiądz Kluk, mając szczególne zamiłowanie do roślin, zamierzał początkowo napisać tylko książkę ogrodniczą. Ale: »Po skończonym Piśmie o Ogrodach i roślinach ogrodowych, które samo tylko być miało — jak mówi we wstępie do II. tomu dzieła o roślinach — myśl mi przyszła, abym dla powinowactwa rzeczy ciągnął dalej, pisząc o Lasach i Roślinach dzikich, o Roli i Roślinach rolniczych: ta myśl podała mi pochop do podziału całości na III Tomy«.

---

[1] Zoologia I. str. 21 i 22.

Co rok od r. 1777 wychodził tomik; tak całość została ukończona 1779 r. Trudno opowiedzieć, jak popularną stała się ta trzytomowa książka. W społeczeństwie, pragnącem postępu, mającem w oficyalistach ludzi, znających tylko odwieczną rutynę, przepełnioną zabobonami, odczuwała się potrzeba książki, na której możnaby się było oprzeć, w każdej kwestyi, odnoszącej się do hodowli roślin. Największą zasługą ks. Kluka było to, że w pismach swoich czynił zadość ogólnym potrzebom czasu, że trafiał łatwo, trochę gawędziarskim stylem, do mniej nawet wykształconych ludzi. Sam pisał [1], »że ta słodycz, którą czuje z dobrego przyjęcia pisma o Roślinach, zniewoliła mnie do przedsięwzięcia pisania o Zwierzętach«. Zapowiada w tej przedmowie, że dzieło to będzie czterotomowe, że będzie podawał literaturę obcą, z której czerpał i kończy oświadczeniem, że po ukończeniu tego dzieła p. t.: »Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, historyi naturalnej początki i gospodarstwo«, przyjdzie kolej na napisanie »gospodarskim sposobem« (jak charakterystyczne!) o rzeczach kopalnych.

Dzieło p. t. »Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, historyi naturalnej początki i gospodarstwo« wyszło w czterech tomach w ciągu dwu lat (1779 i 1780). Zostało nastrojone na wyższy diapazon, niż książka o roślinach. Zawierało systematykę zwierząt oraz ich ekonomikę. Znalazł tu rolnik rzeczy praktyczne, obok suchego balastu systematyki nie opracowanej należycie. Trzeba to przypisać po części mniejszej znajomości zoologii u autora, a potem brakowi czasu. Przecież, wliczając dwutomowe dzieło: »Rzeczy kopalnych osobliwie zdatniejszych szukanie, poznanie i zażycie«, które wyszło w latach 1781 i 1782, wydał ks. Kluk od r. 1777—1782 tomów dziewięć, liczących razem przeszło 3300 stron druku. To znaczy, że co dzień musiał napisać półtorej strony druku! Na kapłana, o którym wiemy, że starannie spełniał obowiązki duszpasterskie, to rzecz prawie trudna do uwierzenia.

Najsłabszą rzeczą z tego cyklu było dzieło o kopalinach. To prawda, że mineralogia, naukowo opracowana, nie byłaby tu właściwa, ale pewnem jest, że ks. Kluk nie stał na stanowisku współczesnej nauki, a o chemii nie miał wyobrażenia.

Dzieło o roślinach jest więc czysto praktyczne, o zwierzętach

---

[1] Przedmowa do pierwszego tomu Zoologii.

daje zasady systematyki, o kopalinach nieudolnie usiłuje stać na stanowisku nie tylko praktycznem.

Ks. Kluk w zoologii wyliczał całe szeregi dzieł, z których korzystał. Chyba nie może być wątpliwości, że były właśnie wypożyczane z siemiatyckiej biblioteki. Ale jak pisze jego biograf ks. S. Bielański[1]: »S. P. Chreptowicz Podkanclerzy Litewski, książę Massalski, biskup wileński, J. O. Pani Krakowska Branicka« należeli do tych, co go bądź zaszczycali swoimi względami i przyjaźnią, drudzy pensyami zapomagali«. Mógł więc biedny pleban ciechanowski kupić sobie sam niejednę książkę. Możnaby przypuszczać, że bez zetknięcia się z Siemiatyczami mógłby powstać jakiś cykl tych dzieł, pierwszej polskiej historyi naturalnej, ale jaki? Ks. Kluk jest jednak oprócz tego autorem pierwszej flory polskiej, a dzieła takiego bez Siemiatycz stanowczo by nie napisał.

Ksiądz Kluk był dyletant. Skończywszy średnią szkołę pijarską, po dwuletnich studyach u misyonarzy został wyświęcony na kapłana i poszedł zaraz jako wikary na prowincyę. Każdy przyrodnik zrozumie, że siedząc w zapadłym kącie, ani podobna dojść samemu do poznania flory, dziś nawet, kiedy mamy tyle dzieł, ułatwiających to poznanie, a cóż dopiero w XVIII wieku, kiedy takich nie było. Wśród siemiatyckich zbiorów, korzystając nadto z tamtejszych, bardzo kosztownych dzieł illustrowanych, mógł ks. Kluk tak dalece obeznać się z florą krajową, że nawet odróżniał nowe, do owego czasu nie opisane rośliny.

Dykcyonarz roślinny, zawarty w trzech tomach, wyszedł w latach 1786, 7 i 8. Liczy przeszło 700 stron druku. Jest znów dowodem niesłychanej pracowitości autora. Musiał on rozwinąć terminologię naukową, jakiej fundamenty położył w Botanice dla szkół narodowych. Tu po raz pierwszy posługiwał się też stworzoną przez siebie nomenklaturą polską. Wiedział, że w Polsce niema botaników, może słyszał, że w Jagiellońskiej nawet szkole głównej ks. Trzciński, fizyk, zapoznawał uczniów z systemem Linné'go, bo nie było profesora historyi naturalnej, musiał więc tę florę polską przystosować do potrzeb i gustów lubowników przyrody. Ten zmysł praktyczności, jaki mu był właściwy, pozwolił mu na znakomite rozwiązanie zadania, przez oryginalny układ, oraz dodanie obser-

[1] W pierwszym tomie, str. 296 dzieła o roślinach, wydanie 1808 r., oraz w pierwszym Zoologii na wstępie bez paginacyi.

wacyi, tak ekonomicznych jak i lekarskich, o czem niewłaściwie byłoby tu się rozpisywać.

O ks. Kluku pisał ks. Jundziłł starszy[1]: »Lecz nadto słabe jest pióro moje, abym mógł należycie wielbić pochwały tego tak zacnego Męża, ani przydać co można do tego szacunku, który sobie sprawiedliwie zjednał u całej Powszechności. Nie masz nikogo, coby dzieł jego nie czytał i nie chwalił, doświadczeń nie powtarzał i nie odnosił korzyści«.

Że takie pochwały można było o nim głosić, to w części niewątpliwa zasługa Gabinetu księżnej wojewodziny.

Wyczerpaliśmy właściwie temat, ale czytelnik zapewne radby wiedzieć, co się stało ze zbiorami siemiatyckimi. Chcemy zaspokoić jego ciekawość, tembardziej, że odsłoni nam to jeszcze jeden rys księżnej, rys najsympatyczniejszy i poznamy z niego, że księżna była Polką, jakich niewiele było wówczas. Podczas powstania kościuszkowskiego: »Gdy do wojny przygotowania czyniono, przybywała do księżnej okoliczna szlachta, przedstawiając synów swoich, którzy mieli chęć zaciągnienia się do wojska, i dawała im konie i asygnacye do kassy na dwa, cztery i sześć tysięcy. Podobne ofiary nadarzały się bezustannie — a księżna ciągle hojną szafowała ręką«[2].

Z czcią więc skłaniamy przed nią głowę. Jesteśmy pewni, żeby się nie znalazła w gronie tych epigonów możnowładczych rodów, co uświetnili swą obecnością odsłonięcie pomnika Murawiewa w Wilnie, ani tych, co mimo gnębienia wiary i języka swoich współobywateli przyjmowali zaproszenie »swego króla«, ani tych wreszcie, co dobijając się wybitnych stanowisk, w niczem nie poczuwają się do spełniania obowiązków społecznych i narodowych.

Księżna, widząc na co się w tej rewolucyi zanosi, musiała przenieść swoje zbiory do Warszawy, i musiała też opuścić Kock i Siemiatycze tak, że tułała się po kraju. »W początku rewolucyi — mówi Paulina Wilkońska — złożyła księżna Rzeczypospolitej w ofierze to, co miała najdroższego: gabinet i bibliotekę, a brat jej męża, książę Jabłonowski, na umieszczenie tychże oddał swój pałac

[1] We wstępie do »Opisania roślin w prowincyi w. ks. Litewskiego rosnących«, Wilno 1791, str. 49.

[2] W fejletonie Pauliny Wilkońskiej.

w Warszawie (dzisiejszy ratusz) oraz i fundusz odpowiedni na ich utrzymanie i służbę potrzebną, nawet i na pomnożenie zbiorów zakupnami nowemi. Lecz odpowiedziano jej, że Rzeczpospolita nie potrzebuje teraz osobliwości, tylko pieniędzy i broni. Urażona i rozżalona, że pogardzono jej darem, przedmiotem tylu starań gorliwych, najwyższego zamiłowania i zabiegów jej całego niemal życia — odrzekła tylko, że jako kobieta broni nie posiada«.

Po jej śmierci, zaszłej 3 marca 1800 r., spadkobiercy sprzedali zbiory siemiatyckie cesarzowi Aleksandrowi I. za 50.000 dukatów. Podobno suma ta była ledwo cząstką tego, co one kosztowały. Wywieziono je do Moskwy, a może po części i do Petersburga. Bawiąc tam bowiem w r. 1875 dowiedziałem się w ogrodzie botanicznym, że istnieją w zielniku okazy ks. Kluka. Mogły pochodzić tylko z Siemiatycz, które miały kompletny jego zielnik. Zapewne podczas pożaru Moskwy zakupione zbiory zgorzały; rzecz tę można i należy dokładnie zbadać. Kto wie, czy ze zbiorami kochani spadkobiercy nie sprzedali i portretu księżny. Próżno go szukałem i szukam jakiejś ryciny, przypominającej rysy tej znakomitej i najczcigodniejszej Polki.

Niedaleko Łukowa w Wojcieszkowie znajdował się jeszcze w r. 1877 [1] pomnik, wystawiony w r. 1789 przez ur. hr. Tarnowską, niewiadomo z jakiej racyi, za życia księżnej w Kocku, a przewieziony stamtąd przez F. hr. Suchodolskiego w r. 1841. Pomnik składał się z kolumny doryckiej z czarnego marmuru, z głową Apollina na wierzchu. Na podstawie miał, czy ma — jeżeli jeszcze istnieje — taki napis:

Apollo
Bóg Nauk, Bóg Światła
w miejscu
W którym dary swoje krajowi rozdaje
posąg ten
Zadatek czci światłej części narodu
ofiaruje
ten hołd winny
pani domu tego
cnotą
mądrością

[1] Jaworskiego Jana Kalendarz illustrowany na rok 1877, Warszawa, str. 108.

Obywatelstwem
głęboko nauko (tak)
na miłość współżyjących
na wdzięczność potomnych
Polaków
i światłych
zasługującą
D. D. D.
XXVI lipca R. P. MDCCLXXXIX
ur. Hr. Tarnowska.

Księżna Anna z Sapiehów Jabłonowska wystawiła sobie całem życiem trwalszy daleko pomnik i żyć będzie zawsze w pamięci narodu, którego była nieodrodną córką, niewątpliwie najznakomitszą Polką.

Nota.

Przeglądając »Porządek robót miesięcznych ogrodnika« miałem zawsze to wrażenie, że księżna pisząc go miała przed sobą jakiś pierwowzór. Napróżno jednak szperałem po francuskiej i niemieckiej literaturze. Zeszłej jesieni, zabrawszy się do pisania Historyi hodowli roślin w Polsce, zestawiając chronologicznie zużytkowaną literaturę, natknąłem się na Bradleya i jego Kalendarz rolniczy. Przyszło mi na myśl, czy nie napisał i ogrodniczego kalendarza. Takiej książki Bradleya nie ma, ale mimo to byłem na dobrym tropie.

Mam przed sobą: New improvements of Planting and Gardeing Philosophical and Practical. In three parts. By Richard Bradley. The Fifth Edition. London 1726. W III części tego dzieła, mającego 618 stron druku, jest od str. 402—492... »the Gentleman and Gardener Kalendar«, który był pierwowzorem Porządku robót miesięcznych. Tablic z nazwami roślin i różnemi datami w nim niema. Bradley miał wiele wydań, czy podobnych nie ma w wydaniu, z którego mogła korzystać księżna, to rzecz do sprawdzenia.

Przysięga na słońce.

Studyum porównawcze prawno-etnologiczne.

Napisał

Władysław Semkowicz.

Przedmowa.

W pracy niniejszej zamierzam poddać zbadaniu szczególny rodzaj dawnej przysięgi, polegający na tem, że przysięgający wzywał interwencyi słońca, względnie bóstwa słonecznego, a składał ją najczęściej z twarzą zwróconą i z palcami wytkniętymi ku słońcu lub ku wschodowi. W nauce nie poświęcono dotąd baczniejszej uwagi przysiędze na słońce i w pracach ogólnych, zajmujących się przysięgą, nie przyznano jej tej roli, jaką istotnie odegrała w rzędzie różnych rodzajów przysiąg, mimo że pośród nich zajęła jedno z miejsc pierwszych.

Pobudką do zajęcia się tą kwestyą było wykrycie w średniowiecznych, przeważnie drukiem nieogłoszonych źródłach polskich wyraźnych śladów wykonywania przysięgi na słońce. Na ślady te natrafiłem przy sposobności gromadzenia materyałów do wywodu szlachectwa w Polsce [1], występują one bowiem wyłącznie w zakresie zapisek sądowych t. zw. herbowych, których treścią są wywody naganionego szlachectwa. Stąd żywe zainteresowanie się moje tym rodzajem przysięgi, jakkolwiek niemniejszą ciekawość budził już sam archaiczny charakter jej formy, który nie pozostawiał wątpliwości, że należy ona do rzędu t. zw. przeżytków (survivals) prastarych zwyczajów prawnych i sięga w głąb pierwotnych, pogańskich jeszcze wierzeń religijnych.

---

[1] Por. moje Wywody szlachectwa w Polsce XIV do XVII w. Rocznik Tow. herald. t. III.

Chcąc wniknąć w wewnętrzną istotę przysięgi na słońce oraz zbadać jej genezę i rozwój, należało jąć się metod ustalonych już w zakresie badań prawno-etnologicznych, do którego omawiane zjawisko należy. W tym celu trzeba było z jednej strony oprzeć badania na zasadzie porównawczej, możliwie najszerzej zakreślonej, z drugiej zaś oprócz materyału, zaczerpniętego z dawnych pomników historycznych, należało uwzględnić także współczesny materyał etnograficzny.

Pracę podzieliliśmy na dwie części. W pierwszej podajemy przegląd materyału do przysięgi na słońce. Obrawszy za punkt wyjścia Polskę, postępować będziemy kolejno od ludu do ludu i to od bliższego nam pochodzeniem do coraz dalszych, szukając wszędzie śladów przysięgi na słońce, badając jej formy i znaczenie w stosunku do innych rodzajów przysiąg. Naprzód tedy poddamy zbadaniu materyał słowiański, o ile był nam dostępny, potem przejdziemy do innych szczepów aryjskich: Germanów, Greko-Italów i Indo-Irańczyków, aby następnie rozpatrzyć jeszcze materyał, dotyczący niektórych przynajmniej niearyjskich ludów rasy śródziemnomorskiej, zwłaszcza zaś starego pnia semickiego, a zakończyć badania zestawieniem, przykładowem raczej niż wyczerpującem, analogicznych przejawów u ludów innych ras, różnego pochodzenia i stopnia kultury.

W drugiej części pracy postaramy się na podstawie tego materyału przedstawić genezę i rozwój przysięgi na słońce na tle wierzeń i pojęć pierwotnych. Przy końcu podajemy dwa dodatki, z których pierwszy zmierza do wyświetlenia charakteru rycerskiego przysięgi na słońce w Czechach i w Polsce, drugi podaje nieznany akt z r. 1573, tyczący się przysięgi tureckiej.

Wykrycie szczątkowych przeżytków dawnych zwyczajów wymaga niezmiernie żmudnych poszukiwań, przejrzenia wielu dzieł i wydawnictw źródłowych. Jeżeli chodzi o specyalną kwestyę, jaką jest przysięga na słońce, o wyczerpaniu materyału nie może być oczywiście mowy. Zależało mi raczej na zyskaniu pewnego zasobu faktów, któryby starczył do wysnucia odpowiednich wniosków. Zdaję więc sobie sprawę, że w materyale, na którym oparłem tę pracę, są luki, spowodowane głównie brakiem wielu dzieł i wydawnictw, które mi nie były dostępne. Pracę tę pisałem we Wiedniu w r. 1914/15, korzystając z bibliotek, dobrze wprawdzie zaopatrzonych w literaturę niemiecką, ale za to upośledzonych w dziale sło-

wiańskim, który częściowo starałem się uzupełnić po powrocie do Lwowa. Niestety zarówno literatura rosyjska, jak i południowo-słowiańska, wskutek wojny w szczupłej tylko mierze była mi dostępna, a już za dotkliwy brak uważam niemożność korzystania z prac francuskich, angielskich i włoskich. Mimo tych braków i wskutek tego pewnej jednostronności, uznałem, że praca dojrzała do tego stanu, by mogła ujrzeć światło dzienne i pobudzić innych, w lepszych warunkach pracy, do uzupełnienia moich badań.

I. Przegląd materyału źródłowego do przysięgi na słońce.

1. Przysięga na słońce u Słowian.

a) Polska.

Polski materyał źródłowy do przysięgi na słońce jest bardzo szczupły, składa się bowiem z siedmiu zaledwie zapisek sądowych i jednego dokumentu.

Pierwsze ślady tego przeżytku znalazły się w księgach t. zw. metryki mazowieckiej, przechowanych w Archiwum głównem w Warszawie. Wykryłem tam trzy zapiski sądowe, dotyczące wywodu szlachectwa, które wyróżniają się z pośród całego zasobu znanych zapisek tego typu tem, że osoby, zaświadczające szlachectwo dotkniętego naganą rycerza, składają przysięgę nie wedle przyjętej w chrześcijańskim procesie sądowym formy na krzyż lub relikwie świętych, ale w sposób zgoła sprzeczny z jego duchem, podnosząc palce ku słońcu. Oto treść tych zapisek:

1) Dnia 3 maja 1466 r. zaświadcza książę czerski Konrad III w Łomży, że Jakób i Aleksy Szczodruchowie z Zalesia h. Trzaska wywiedli w jego obecności szlachectwo, przyczem świadkowie klejnotnicy zaprzysięgli swe zeznania, wytknąwszy dwa palce ku słońcu: »errectis versus solem duobus digitis« [1].

2) Sześciu braci, dziedziców Tykiewek h. Kościesza wywodzi szlachectwo świadkami, którzy przysięgają, podnosząc dwa palce ku słońcu: »duobus digitis in solem elevatis et errectis«. Działo się w Rożanie d. 22 czerwca 1468 r. [2].

3) Bolesław V. ks. warszawski, stwierdza d. 21 marca 1471 r.

[1] Rocznik Tow. heraldycznego. t. III., zawierający moje wydawnictwo p. t. Wywody szlachectwa w Polsce XIV—XVII w. str. 38, nr. zapiski 138.

[2] Tamże, nr 141.

wywód szlachectwa Jana z Kutyłowa h. Doliwa, którego świadkowie składali przysięgę z palcami wytkniętymi ku słońcu: »errectis versus solem duobus digitis« [1].

Przypuszczałem zrazu, że tu mamy do czynienia z przeżytkiem typowo mazowieckim, ile że tę krainę zwykło się uważać za skarbnicę archaicznych pamiątek i zwyczajów. Lecz mniemanie o lokalnym, mazowieckim charakterze przysięgi na słońce okazało się niebawem mylnem, wobec odkrycia nowych śladów tej formy przysięgi przez ks. Stanisława Kozierowskiego w księgach sądowych wielkopolskich [2].

Są to najpierw trzy zapiski kościańskie z r. 1450, których treścią jest oczyszczenie czci szlacheckiej z zarzutu hańbiącego czynu, mianowicie kradzieży [3]. Zarzut ten dotknął trzech rycerzy: Jana Nostwicza z Rakoniewic, Matyasza Krajewskiego i Michała Koszatkę z Bodzewa, którzy, pomimo odwołania zarzutu i stwierdzenia przez starostę ich dobrej sławy i niewinności, woleli »dla lepszego oczyszczenia« stanąć na rokach sądowych i przeprowadzić dowód swej niewinności. Sąd kościański polecił im oczyścić się przysięgą własną i przepisał formę jej wraz z rotą. Otóż ta właśnie forma zasługuje na uwagę z tego względu, że rycerze owi mieli przysiądz »wedle prawa rycerskiego«, patrząc w słońce i podnosząc dwa palce prawej ręki: »debent iurare iuxta ius militare, intuendo solem, elevatis duobus digitis dextrae manus«. Zresztą tenor roty jest zwyczajny, wedle modły chrześcijańskiej, wzywają oni Boga i święty krzyż na świadectwo niewinności swojej. Wyznaczony do odebrania przysięgi podkomorzy poznański stwierdził później przed sądem, że rycerze ci złożyli przepisaną przysięgę zupełnie prawidłowo: »spectato sole (solem inspiciendo), duobus digitis dextrae manus elevatis«. Na tej podstawie sąd kościański uznał ich niewinność i przywrócił im cześć szlachecką [4].

[1] Rocznik Tow. heraldycznego, t. III., zawierający moje wydawnictwo p. t. Wywody szlachectwa w Polsce XIV—XVII w. nr. zapiski 142.

[2] Ks. Stan. Kozierowski, Nieznane zapiski heraldyczne (Odbitka z Rocznika Tow. przyj. nauk pozn. 1915) nr. 45. 46. 60 i 81. Ks. Kozierowski był tak uprzejmy jeszcze przed wydrukowaniem tych zapisek przesłać mi ich teksty do zużytkowania, za co składam mu niniejszem gorące podziękowanie.

[3] Por. o samej instytucyi mój artykuł p. t. »Oczyszczenie z zarzutu haniebnego czynu«. Kwart. hist. z r. 1900, str. 447.

[4] Ks. St. Kozierowski, l. c. nr. 45. 46 i 81.

Inny wypadek, wykryty w księdze poznańskiej pod r. 1484, dotyczy oczyszczenia Piotra Więckowskiego za pomocą przysięgi, wykonanej także z palcami wytkniętymi ku słońcu »erectis duobus versus solem (in solem) digitis« [1].

Mazowiecka i wielkopolska przysięga na słońce, wykazuje — jak widzimy — wyraźne analogie. Naprzód uderza nas ta okoliczność, że tu i tam znajduje ona zastosowanie przy oczyszczeniu czci szlacheckiej, w zapiskach mazowieckich wprost naganionej, w wielkopolskich zaś pośrednio splamionej zarzutem haniebnego czynu. Co więcej, w zapiskach kościańskich ten rodzaj przysięgi na słońce określony jest jako instytucya prawa rycerskiego: obwinieni przysięgają na słońce »iuxta ius militare«. Także forma przysięgi na Mazowszu i w Wielkopolsce jest identyczna. Przysięgający ma wytknąć dwa palce ku słońcu, względnie ma patrzeć w słońce i podnieść palce w górę ku słońcu.

Wykrycie śladów przysięgi na słońce w Wielkopolsce i to także w jednym z najdalej ku zachodowi wysuniętych powiatów, dostarczyło dowodu, że zwyczaj ten był niegdyś rozpowszechniony w całej Polsce i mógł pozostawić ślady także w źródłach innych dzielnic. Ten ostatni wzgląd skłonił mnie do poczynienia dalszych poszukiwań, już w zakresie drukiem ogłoszonych źródeł średniowiecznych, a wynikiem ich było wykrycie jeszcze tylko jednego wypadku wykonania przysięgi na słońce, tym razem na Śląsku.

W r. 1456 wystawił Jan, książę oświęcimski, dokument, którym obwieszczał, że szlachetny Jan Nowowiejski wywiódł w jego obecności swoje szlachectwo świadkami krewnymi, a ci złożyli przysięgę rycerskim sposobem, z wytkniętymi ku słońcu dwoma palcami: »mit vfgeracten czweyen fingern kegen der zonnen nach ritterlichem lowfe« [2].

Jak w tamtych dwóch dzielnicach, tak i na Śląsku przysięga na słońce znalazła zastosowanie przy oczyszczeniu naganionego szlachectwa, — i tu, podobnie jak w zapisce wielkopolskiej, określono ją jako zwyczaj prawa rycerskiego.

Przywiedziony wyżej — szczupły co prawda — materyał źródłowy dozwala jednak stwierdzić z wszelką pewnością, że do schyłku średniowiecza przetrwał w Polsce zwyczaj składania przysięgi na

[1] Ks. Kozierowski, l. c. nr. 60.
[2] Cod. dipl. Sil., t. I. nr. CXXVIII.

słońce i że zwyczaj ten, zresztą niezmiernie rzadko już wówczas stosowany w wypadkach oczyszczenia czci szlacheckiej, przybrał charakter instytucyi prawa rycerskiego. Forma tej przysięgi polegała na zwróceniu się twarzą i na podniesieniu palców ku słońcu.

Niemniej ubogi jest polski materyał folklorystyczny, jakkolwiek przypuszczam, że mógłby on być obfitszy, gdyby zbieracze byli zwracali uwagę w tym kierunku. Ślad przysięgi na słońce możnaby upatrywać w bardzo powszechnem przysięganiu się »jak słonko na niebie«, używanem u nas dla wzmocnienia wiarygodności słów. Jeśli chłop polski chce nadać swym słowom szczególną wiarygodność, wówczas mówi: »ja bych móg na to pod szczerym niebem przysięgać« [1]. Rozumiem, że »pod szczerem niebem« znaczy: w obliczu słońca, że zatem jest to także reminiscencya dawnej przysięgi na słońce. Poza tem znany mi jest tylko jeden przykład, który co prawda nie dotyczy wprost przysięgi, ale umocnienia kontraktu. Kto sprzedaje bydlę, bierze postronek przez połę sukmany, obraca się przeciw słońcu trzy razy i dopiero potem oddaje bydlę kupującemu. W zwyczaju tym tkwi zapewne myśl utwierdzenia umowy przez powołanie na świadectwo słońca, którego pomocy wezwie się też przysięgą w razie zarzutu niedopełnienia kontraktu [2].

b) Czechy.

Średniowieczne czeskie źródła prawne przechowały wiele przeżytków dawnych zwyczajów, z pośród których do najciekawszych należy przysięga na słońce. Przetrwawszy wieki w stanie utajonym, zjawia się ona w najdawniejszych czeskich księgach prawa zwyczajowego z w. XIV i tą drogą dostaje się do ustawodawstwa czeskiego, uzyskując sankcyę prawną w szeregu statutów ziemskich z XV i XVI w.

»Řád (porządek) práva zemského«, księga prawna, pochodząca z połowy w. XIV [3], przepisuje składanie przysięgi na słońce t. zw. konšelom (consules terrae), t. j. członkom sądu ziemskiego [4], w razie

[1] Adalberg, Księga przysłów, str. 452.

[2] Gluziński, Włościanie polscy, uważani pod względem charakteru, zwyczajów, obyczajów i przesądów, Archiwum domowe do dziejów literatury krajowej K. Wł. Wójcickiego. Warsz. 1856, str. 486. Na szczegół ten zwrócił moją uwagę łaskawie Dr. Jan Bystroń.

[3] Kapras J., Právní dějiny zemí kor. čes. t. I. str. 37. Powołujemy poniżej wydanie H. Jirečka w Cod. juris Bohemici t. II./2, str. 245.

[4] Kapras, l. c. t. II. str. 222.

obwinienia o szkody, wyrządzone kradzieżą, rozbojem lub grabieżą. Trzeba nadmienić, że ci konšele ziemscy, zwani inaczej kmieciami ziemskimi, pochodzili w tym czasie wyłącznie ze stanu pańskiego czyli szlachty wyższej [1], tak, że to, co tu powiemy o przysiędze na słońce, dotyczy tylko tej warstwy społecznej.

Otóż wspomniany przepis Řádu dozwala konšelom w określonych wypadkach bronić się swem »konšelstwem«, t. j. oświadczyć, że się jest konšelem i żądać dla oczyszczenia się z zarzutu »prawa konšelskiego« (jus consulum) [2]. Co zaś znaczy bronić się »konšelstwem«, wyjaśnia czeski (pierwotny) tekst Porządku prawa ziemskiego: obwiniony ma podnieść dwa palce ku słońcu, ku wschodowi słońca, mając po obu stronach dwóch konšelów i ma przysięgać bez krzyża, jako jest niewinny [3]. Podobnie określa prawo konšelskie nieco późniejsza glossa, która stwierdza, że polega ono na oczyszczeniu się z zarzutu przysięgą złożoną z palcami skierowanymi w stronę wschodu [4].

Ślad tego przepisu możemy wykryć w starszej jeszcze niż Řád pr. zem. księdze prawnej, bo pochodzącej z pierwszej połowy wieku XIV, mianowicie w »Księdze starego pana Rożmberka«. Jest tam wzmianka, że dowodzący swego »kmetstwa« (t. j. prawa uczestnictwa w sądzie ziemskim) ma przysięgać »bez kříže«, podnosząc dwa palce [5]. Przysięga bez krzyża, jak wskazuje przepis Řádu pr. zemského o przysiędze konšelskiej, jest równoznaczną z przysięgą na słońce. Mamy tu zatem stwierdzenie zwyczaju prawnego, że kmetstwa czyli konšelstwa dowodziło się w Czechach w w. XIV przysięgą na słońce.

---

[1] Kapras, l. c. str. 223.

[2] W tekście łacińskim Řádu § 79: Item si aliquis consul terrae pro damnis per furtum, rapinam, spolium per ipsum factis quocunquemodo, in causam fuerit tractus, tunc talis consul in iudicio, postquam contra eum quaerimonia in tabulis lecta fuerit, debet dicere, quia consul est, et negata quaerimonia, jus consulum ad expurgandum se petet.

[3] A kdyžby (konšel zemský) měl přisahati, a bránil sě konšelstvím: tehda má zdvíhnúti dva prsty proti slunci na východ slunce, a má mieti dva konšely okolo sebe s obú stranú i má přisahati bez kříže a řka: »na tom přisahám« etc.

[4] Jus autem consulum est, quod de huiusmodi quaerimonia per se ipsum, digitos suos contra plagam orientalem erigens, jurabit de innocentia sua.

[5] Vezdy beřta na své kmetstvo, dváky (= dwa palce) zdvihnuće bez kříže. Cod. jur. Boh. t. II./2, str. 96.

Takiż sam sposób przysięgi przepisuje inny ustęp Řádu dla poprawców czyli justycyaryuszy, urzędników sądowych, powołanych do sądzenia spraw karnych, którzy także pochodzili przeważnie z wyższej szlachty, w wieku XIV wyjątkowo tylko z mieszczaństwa. Oskarżeni o szkody, wynikłe z kradzieży lub łupieztwa, mają poprawcy — wedle tekstu łacińskiego Řádu — oczyścić się przysięgą »sine cruce«, powołując się przytem na przysięgę urzędową [1]. Trzeci wreszcie ustęp dopuszcza do przysięgi na słońce w pewnych wypadkach panoszę czyli rycerza w służbie konšela ziemskiego, poprawcy lub innego wyższego urzędnika, stanowiąc, że w razie zarzucenia mu zbrodni, obwiniony może bronić się tem, że działał z nakazu pana swego, na dowód czego stawić go ma osobiście lub przedłożyć pismo jego; gdyby jednak ów pan jego już nie był przy życiu, ma on przywieść siedmiu świadków, którzy przysięgną »ku słońcu«, że obwiniony popełnił ten czyn z nakazu swego pana [2]. Przysięga panoszy względnie jego świadków ma tedy charakter zastępczy: świadkowie wchodzą w tym wypadku w miejsce zmarłego konšela, poprawcy czy innego urzędnika wyższego.

Jak widzimy Řád práva zemského ogranicza zakres dopuszczalności przysięgi na słońce w stosunku do zwyczajnej formy przysięgi chrześcijańskiej, zarówno pod względem podmiotowym, jak i przedmiotowym. Pod względem podmiotowym przysięga na słońce służyć miała tylko członkom sądu ziemskiego i poprawcom, a wyjątkowo tylko, w charakterze zastępczym, także ich panoszom. Przedmiotowo zaś dopuszczalną była ta przysięga tylko w wypadkach oskarżenia o kradzież, rozbój i łupiestwo. W innych razach konšele ziemscy (a odnosiło się to niewątpliwie także do poprawców) nie mogli czynić użytku z prawa konšelskiego, ale — jak wyraźnie zaznaczono w Porządku prawa ziemskiego — mają oczyszczać się przysięgą wedle prawa innych ziemian, »jure aliorum terrigenarum« [3]. Co to jest przysięga »prawem innych ziemian«, nie trudno się domyślić: w przeciwstawieniu do konšelskiej przysięgi

[1] § 80: Si quis vero aliquem poprawczonem, videlicet justiciarium pro damnis per furtum, rapinam, spolium... citaverit, talis justiciarius purgando se, jurabit... sine cruce... Cod. jur. Boh. II/2, s. 246.

[2] § 81: ...Pakliby ten jeho pán umřel, a on potom pohnán byl, tehdy má mieti sedm svědkóv, kteřižto zaň mají přisieci proti slunci bez zmatku. že jest jim to svědomo, žej' to učinil kázaním pána svého. Tamże, str. 247.

[3] Řád pr. zem. § 79. l. c. str. 246.

»sine cruce« czyli przysięgi na słońce, reszta ziemian, t. j. ci ze szlachty, którzy nie wchodzili w skład sądu ziemskiego lub nie piastowali urzędu poprawcy, składali zwykłą przysięgą »cum cruce« — powszechnie w przewodzie sądowym całego chrześcijańskiego świata przyjętą przysięgę na krzyż.

Bądź co bądź przysięga na słońce w Czechach miała w wieku XIV widocznie wcale żywotne znaczenie, skoro weszła do współczesnych ksiąg prawnych. Mimo jednak, że w prawie zwyczajowem miała ona niewątpliwie częste zastosowanie, w urzędowych aktach, przedewszystkiem w zapiskach sądowych prawie całkiem o niej głucho. Trzeba to tłómaczyć pogańskim charakterem tej przysięgi, która z tego powodu nie zyskała oficyalnego uznania, jakiem cieszyła się jedynie chrześcijańska forma przysięgi na krzyż. Przysięga na słońce, jako pogański zwyczaj prawny, mogła być stosowana tylko pokątnie i stąd w źródłach urzędowych, jakiemi są zapiski sądowe, mało pozostawiła po sobie śladów.

Najbliższą po Porządku prawa ziemskiego wzmiankę o przysiędze na słońce znajdujemy dopiero pod r. 1448 w zapisce sądowej berneńskiej. Pani Anna z Hradca, usprawiedliwiając przed sądem niestawiennictwo swoje na poprzednich rokach sądowych, zeznała pod przysięgą, że powodem niejawienia się jej była niemoc. Otóż przysięgę tę złożyła ona zwrócona w stronę słońca, wytknąwszy dwa palce ku słońcu [1]. Mamy tu zatem typową przysięgę na słońce, ale zasługuje na uwagę ta okoliczność, że składa ją nie członek sądu ziemskiego, ale kobieta, należąca do stanu pańskiego i to nie w sprawie określonej w Řádzie prawa ziemskiego, ale w sprawie natury procesowej. Brak tu więc warunków przepisanych w Porządku prawa ziemskiego dla dopuszczalności przysięgi na słońce, tak co do podmiotu przysięgi, jak i przedmiotu sprawy.

Zjawisko to możnaby wytłómaczyć w ten sposób, że gdy go-

[1] Paní Anna z Hradce stála na třetím roku nemocném podle panského rozkázaní a nálezu a svú nemoc zpravila takovú přísahú stojéci protiv slunci a dva prsty zdvihla na tom přisáhá: jakož p. Meinhart mě zapohnal, že jsem pro svú nemoc nemohla státi na těch rocích, tak mi Buoh pomahaj. Libri citationum et sententiarum ed. Brandl, t. III. str. 390. Půhony Brněnské. — Inny przykład pochodzi z r. 1475, a dotyczy sprawy pana Hynka z Židlochovic, obwinionego o zabójstwo pana Wilhelma z Lichtensteina. Pan Hynek oczyszcza się z zarzutu przysięgą »zdvihna dva prsty proti slunci«. Libri citationum et sententiarum, t. V/1, str. 36. Půhony Olomun.

dność konšelów ziemskich i urząd poprawców, do których przywiązane było pierwotnie prawo składania przysięgi na słońce, stały się wyłącznym udziałem wyższej szlachty, ta starała się rozszerzyć w obu kierunkach zakres zastosowania przysięgi na słońce tak, że nie tylko członek stanu pańskiego, piastujący urząd konšelski lub poprawczy i to nie tylko w sprawach zastrzeżonych w Řádzie, ale w ogóle każdy przedstawiciel tej grupy społecznej, nawet kobieta, także w innych sprawach, składać mógł przysięgę na słońce. Tym sposobem przysięga ta, mająca w XIV wieku charakter »urzędniczy«, przybiera z czasem charakter klasowy, staje się przywilejem stanu pańskiego, może też jednym z tych środków, za pomocą których stan ten starał się odgrodzić od innych, niższych grup społecznych.

Równocześnie jednak dążność szerokich warstw niższej szlachty do zrównania w prawach z najwyższymi jej słojami, osiąga niebawem to zrównanie i w zakresie prawa przysiężnego. Znajduje ono swój wyraz w laudum sądu nadwornego z 15 marca 1463 r., wydanem w formie mandatu króla Jerzego do niższych organów sądowych w Pradze, powołanych do odbierania przysięgi.

Laudum owo stanowi, że każdy ziemianin czyli szlachcic, ma w sądzie nadwornym składać przysięgę, wzniósłszy dwa palce ku wschodowi słońca. Wyraźnie tu nadmieniono, że przepis ów odnosi się do rycerstwa w ogóle (homines clientales), podczas gdy lud wieśniaczy ma składać przysięgę na krzyż [1].

Akt z r. 1463 ma w rozwoju przysięgi na słońce w Czechach epokowe znaczenie i to podwójne. Naprzód po raz pierwszy uzyskała ta forma przysięgi sankcyę ustawodawczą; dotychczasowy zwyczaj prawny podniesiony został do rzędu obowiązującego przepisu. Powtóre pojęcie i zakres przysięgi na słońce doznały tu znacznego rozszerzenia. Gdy dotąd była ona zastrzeżona przedsta-

[1] Georgius Dei gratia Bohemiae rex etc. cum dominis baronibus in pleno iudicio mandaverunt beneficiariis Pragensibus minoribus, quod quicunque terrigenarum seu nobilium debent seu deberent testari cuicunque in iudicio baronum, quia ille et illi facere debent et poterint iuramentum coram dictis beneficiariis elevatis duobus digitis contra ortum solis, et hoc homines clientales; communis vero populus seu rustici iuramentum facere debent supra crucem Domini, duobus digitis positis super latus crucifixi, flexis genibus, ut moris est. Arch. čes., t. III. str. 348.

wicielom stanu pańskiego, a co najmniej członkom sądu ziemskiego i poprawcom, to teraz obejmuje ona ogół rycerstwa. Wytwarza się pojęcie przysięgi rycerskiej, składanej w formie przysięgi na słońce — pojęcie to znajduje wyraz w nazwie: »přisaha rytiřska«, zjawiającej się już niebawem w zbiorach prawa czeskiego z przełomu XV i XVI w.

Pomimo ustawowego rozszerzenia przysięgi na słońce pod względem podmiotowym i powstania przysięgi rycerskiej, pojęcie przysięgi urzędniczej utrzymało się nadal. Między słoneczną przysięgą urzędników a przysięgą rycerską istnieją odtąd nieznaczne tylko różnice w podrzędnych szczegółach obrzędowych, które uwydatnił jasno Wiktoryn z Všehrd w swej księdze prawnej, napisanej w latach 1495—1499 [1].

Pan Všehrdski wyraźnie rozróżnia przysięgę urzędniczą od ogólnej przysięgi rycerskiej. Najwyżsi urzędnicy, kmiecie, t. j. członkowie sądu ziemskiego i inni urzędnicy ziemscy nawet miejscy, podobnie jak i urzędnicy królewscy, tak ze stanu panów jak i włodyków, a nadto książęta, składając świadectwo, przysięgają w ten sposób, że zwracając się ku słońcu i odkrywając głowę, kładą dwa palce na piersi. Inni, nie piastujący urzędów panowie, ziemianie i w ogóle ludzie herbowni, składają przysięgę, stojąc zwróceni ku słońcu z odkrytemi głowami, a dwa palce prawej ręki wyciągają w górę. Czynią zaś taką przysięgę zarówno dla umocnienia świadectwa swego, składanego przed sądem, jak i wówczas, gdy

---

[1] M. Viktorini ze Všehrd: O právich země české. Cod. juris Bohemici III/3, str. 89. Ks. II. § 12—14: Při přisaze pak k svědomí, že ne všickni jednostajně přisahají, než jiní jiným zpósobem (ač koli rovnými slovy všickni), a jiní jiným, toho slušné jest nepomíjeti. A věz, že všickni úředníci najvyšší, všickni kmetové, kteříž v laviciech sedají, všickni úředníci jiní zemští, všickni úředníci menší i jiní úředníci královští z pánóv i z rytieřstwa, všickni kněžie takto přisahají, když mají svědčiti: Dva prsty na prsi položiec, k slunci se obrátiec, hlavu odkryjíc, takto říkají: Pod tú přísahu...

Tento pak v přísahách k svědomí znamenitý rozdiel za právo se drží, že páni, zemané a jiní všickni urození a erbovní lidé stojiec proti slunci, hlavy odkryté majíc, u pravé ruky prsty dva přednie nahoru zdvihnúc přísahu činie i k súdu i k úřadu i k svědomí.

Ale měšťané všickni, by pak i konšelé nebo purkmistři byli z kteréhož koli města, sedláci všickni i jiní lidé obecní neznámi, klečiec a dva prsty položiec na kříži, přisahati mají.

zasiadając w sądzie ziemskim w charakterze ławników, przysięgają przed zagajeniem sądu królowi i wszej ziemi[1].

Dalszy rozwój przysięgi na słońce w Czechach, normowany postanowieniami Prawa ziemskiego z lat 1500 i 1549, nie wykazuje już zmian istotnych. Statut Władysława Jagiellończyka z roku 1500 rozróżnia także przysięgę najwyższych urzędników ziemskich oraz przysięgę panów i włodyków. Pierwsi składają przysięgę, stojąc zwróceni twarzą ku słońcu, z głową odkrytą, rozpuszczonym włosem i wznoszą dwa palce ku wschodowi słońca. W przysiędze panów i włodyków czyni Statut ten różnicę zależnie od tego, czy jest to urzędowa przysięga, składana przez członków sądu, czy też przysięga, umacniająca świadectwo, składane w sądzie. W pierwszym razie zwróceni twarzą ku słońcu kładą oni palce na piersiach, w drugim razie wznoszą je ku wschodowi słońca[2].

Natomiast ważną zmianę przynosi Prawo ziemskie z r. 1500 co do przysięgi mieszczan i chłopów. Gdy dotychczasowe przepisy prawne, podobnie jak i prawnicy czescy (Wiktoryn z Všehrd) nie wspominali o tem, by te niższe warstwy społeczne zwracały się, przysięgając na krzyż ku słońcu, to Statut z r. 1500 wyraźnie stanowi, że lud wiejski i miejski klęka przy przysiędze naprzeciw wschodu słońca, a palce kładzie na znamieniu Bożej męki[3]. Po-

[1] Tamże, str. 35. Ks. II. § 1: Páni a vládyky tak volení a najprvé úředníci najvyšší mají v súdu zemském sedati tím řádem a obyčejem, jakož prvé jest povědieno. Ale dřieve než na svá miesta v ten súd dosednú, mají všickni přisahu králi i všie zemi rovnú a jednostajnú učiniti, dva prsty u pravé ruky zdvihnúce, proti slunci stojiece a hlavy odkryté majíce.

[2] Archiv český, t. V. str. 119. Zřizení zemské za krale Wladislava r. 1500: 1) § 207. De iuramentis supremorum officialium regni: Pro iure constitutum est: quod supremus purgrauius Pragensis debet in primis stando se vertere adversus solis ortum, capite aperto, capillis sparsis, et levare duos digitos adversus solis exortum, et ita iurare debet etc. Podobnie przysięgają inni dygnitarze. 2) § 211. Pro iure constitutum est, quomodo iurare debent barones et equestres cum testimonium dare debent, qui in iudicio regni assident: inprimis debent se vertere versus orientem capite aperto, capillis sparsis et quisque eorum duos digitos ut ponat ad pectus suum. 3) § 212. Pro iure constitutum, quomodo iurare debent barones et equestres in dando testimonio (w ogóle nie tylko ci, którzy siedzą w sądzie, ale i ci, którzy występują przed sądem jako strony). Inprimis debent se vertere versus orientem et duos digitos levare, et in verba notarii... iurare in hunc modum...

[3] Tamże, § 213. Quomodo communis populus et civium iuramentum ad testimonium facere debeat. Civium et communis populus ad testimonium

dobne postanowienia zawiera Statut z r. 1549 [1], a powtarza je jeszcze Prawo ziemskie z r. 1627 [2].

W rozwoju przysięgi na słońce w Czechach daje się śledzić bardzo ciekawa ewolucya. Z chwilą, gdy w pomniku prawa zwyczajowego z połowy XIV wieku po raz pierwszy źródłowo zjawia się ta forma przysięgi, ma ona swój zakres podmiotowy ograniczony do jednej tylko kategoryi osób pochodzenia szlacheckiego, mianowicie do wyższych urzędników, zasiadających w radzie ziemskiej i do poprawców, jest więc przysięgą urzędniczą. Ogół szlachty, nie piastujący urzędów, bez względu na to, czy panowie czy włodycy, składa przysięgę zwyczajną na krzyż. Później, około połowy XV w. mamy wyraźne ślady rozszerzenia zakresu przysięgi tej na całą warstwę szlachty wyższej czyli panów, aż wreszcie laudum sądu nadwornego z r. 1463 dopuszcza i niższe słoje stanu szlacheckiego, t. j. rycerstwo włodycze do równouprawnienia w zakresie przysięgi słonecznej. Z tą chwilą jednak wprowadzono pewne różnice obrzędowe między dawniejszą przysięgą urzędniczą a obecną ogólno-rycerską. Inne, nieszlacheckie warstwy były nadal wyłączone od tego przywileju i składały przysięgę na krzyż, jeszcze bez prawa zwracania się ku słońcu. Dopiero Statut z r. 1500 czyni w tym względzie ustępstwo na rzecz mieszczan i chłopów, dopuszczając ich częściowo do przysięgi na słońce, w tej przynajmniej formie, że dozwala im przy przysiędze na krzyż zwracać się ku wschodowi słońca.

Jak wyjaśnić ten proces stopniowego rozszerzania przysięgi na słońce na coraz to szersze warstwy społeczne? Otóż mniemam, że powód tego zjawiska leży w tej okoliczności, iż przysięga na słońce, jako pogański zwyczaj prawny, zakorzeniona była pierwotnie pośród szerokich mas ludowych, które w życiu codziennem posługiwały się nią powszechnie. Gdy z pośród tych mas ludowych wyłoniły się z czasem warstwy społecznie wyższe, które uzyskały wyłączny wpływ na tok życia prawnego, starały się one ten stary zwyczaj prawny — jak i inne zresztą — zastrzedz wyłącznie dla siebie i uczynić zeń jedno ze znamion, wyróżniających je od warstw niższych. Gdy jednak przysięga na słońce nie dała się wydrzeć ze

iisdem verbis cum iuramento facere debet, flectendo versus solis ortum, et quisque debet duos digitos in signum crucis sanctae ponere.

[1] Cod. jur. Boh. t. IV/1, str. 163.

[2] Tamże, t. V/2, str. 176 i V/3, str. 167.

swego podłoża ludowego i była nadal stosowana przez szerokie warstwy ludności, ustawodawstwo, widząc się bezsilnem wobec zakorzenionego i rozpowszechnionego zwyczaju, było zmuszone dopuszczać siłą faktu coraz to szersze warstwy do udziału w tym zwyczaju prawnym, wprowadzając równocześnie różnice w akcesoryach obrzędowych dla poszczególnych grup społecznych. W ten sposób wytworzyła się cała skala różnic w składaniu tej przysięgi, począwszy od najwyższych urzędników, w których obrzędzie jest najwięcej znamion pierwotnych (zwrócenie się twarzą ku słońcu, wytknięcie palców ku niemu, stanie z głową obnażoną i rozpuszczonym włosem) aż do prostego ludu, którego udział w przysiędze na słońce ogranicza się do zwrócenia się w stronę jego przy kładzeniu palców na krzyż.

Nieco odmienny kształt niż w Czechach właściwych, uzyskała przysięga na słońce na Morawie, tem ciekawszy dla nas, że wykazujący wybitne analogie z istotą tej przysięgi w Polsce.

Zwód prawny pana Czcibora Towaczowskiego z Cimburka z r. 1481, znany pod nazwą »Księgi towaczowskiej«, poświęca przysiędze na słońce osobny ustęp. Określa ją nazwą przysięgi rycerskiej i przyznaje ją tylko ludziom dobrej sławy »velmí zachovalým«. Wykonywa się tę przysięgę z rozpuszczonym włosem, wznosząc dwa palce ku słońcu [1].

Podobnie opisuje tę przysięgę inna księga prawa morawskiego, pochodząca z pierwszej ćwierci XVI wieku, której autorem jest Czcibor Drnowski z Drnowic. »Księga drnowska« mówiąc o przysiędze rycerskiej, nadmienia podobnie jak »Księga towaczowska«, że służy ona ludziom dobrej sławy »velmí zachovalým«, a to w wypadkach naruszenia czci lub »wielkiego zganienia«. Przysięgający stojąc z rozpuszczonym włosem, wznosi dwa palce ku słońcu [1].

---

[1] Kniha Tovačovská ed. Brandl, str. 66. Kap. 115. O přisaze rytířské: Jakož jest přísaha, kteráž slove rytířská, ta se nalézá take lidem velmi zachovalým a také jakž pře jest. veliká-li čili malá, vedle dobrého zdani panskeho. A ta jest takovà, jakž se ted' dole piše. Má zdvihnúti dva prsty proti slunci, prostovlas i dí: »Ja N. na tom přisahám, že jakož mne Petr viní tímto etc. že tím vinen nejsem. Tak mi Pán Buoh pomáhaj, matka Boži i všickni svati«.

[2] Kniha Drnovská ed. Brandl, str. 51: O přísaze rytířské bez klesky, po pisaři řikati (ma se a nalezati) lidem velmi zachovalým a není-li veliká pře: Zdvihna dva prsty proti slunci prostovlas a dí: »Ja N. přisaham, že jakož mne pán vini timto, že tim vinne nejsem, aneb teho nemam. Tak ani Pán Boh

Podczas gdy w prawie czeskiem przysięga rycerska, składana na słońce, ma charakter wybitnie klasowy, przysługując wszystkim osobom stanu szlacheckiego, prawo morawskie zacieśnia jej zakres do osób, cieszących się dobrą i nienaganną sławą, uznając ją za środek do oczyszczenia naganionej czci szlacheckiej. W tym względzie morawska przysięga na słońce wykazuje wyraźne analogie z polską przysięgą rycerską, która — jak przywiedziony wyżej materyał wykazał — także miewała zastosowanie w wypadkach nagany czci szlacheckiej. Tylko zdaje się, że w Czechach i na Morawie przysięga na słońce była u schyłku średniowiecza bardziej rozpowszechniona niż w Polsce, choć z drugiej strony nasze ubóstwo źródeł dawnego prawa zwyczajowego w rodzaju Porządku prawa ziemskiego lub obu Ksiąg morawskich nie dozwala przesądzać o istotnym stopniu rozpowszechnienia tej przysięgi w Polsce, którą znamy tylko z oficyalnych źródeł prawnych, dokumentów i zapisek sądowych, nie dających pełnego obrazu zwyczaju prawnego.

Przysięga na słońce miała nadto zastosowanie w czesko-morawskim procesie granicznym [1]. Wedle Księgi drnowskiej, gdy w sporze granicznym zeznania świadków się różnią, ma być na spornej granicy wykopany grób, w którymby cztery osoby mogły klęknąć, poczem na wyrzuconej zeń ziemi rozpościera się kobierzec ku wschodowi słońca, na nim kładzie się krucyfiks, a świadkowie po czterech klęcząc w grobie, boso i w koszuli, z włosem rozpuszczonym, bez broni i pasa, mają każdy położyć dwa palce na Bożej męce i przysiądz [2].

pomahaj etc. — Tamże na str. 61: Take když se čti dotyče neb zhaněni velikeho, tehdy mûźe... přisahu odbýti rytířskú.

[1] Czeskiej przysiędze granicznej poświęcił świeżo osobną rozprawę Dr. Jan Kapras p. t. Mezní přísaha v českém právu (Odbitka ze Sbornika věd právních a státních, XV. 1915). Autor zwrócił główną uwagę na inny, główny zresztą, moment przysięgi granicznej, polegający na składaniu jej w grobie, wykopanym na spornej granicy, lub z darnią na głowie. O przysiędze na słońce znajdują się w cennej pracy Dra Kaprasa ciekawe wzmianki, z których nie omieszkałem skorzystać.

[2] Přisaha svedkov na mezech. Nesrovnají-li se svědkové obapolní... tehdy káží vyrýti z zemi hrob. co by v něm čtyří mohlí kleknouti, tu odkudž mají počíti vésti ty meze aneb ohradnice, a prostrúc na vymýtané zemi koberec proti východu slunce položiti naň krucifix a pak vždy po čtyrech svědcích káži

W morawskim procesie granicznym tylko kobierzec, na którym leży krucyfiks, otrzymuje »oryentacyę« słoneczną, natomiast w granicznem prawie czeskiem odgrywa już rolę przysięga na słońce. Dokładny opis, a nawet illustracyę procesu granicznego podaje z końcem XVI wieku Jakób Menšik z Menštejna w swej książce o czeskim sądzie granicznym [1]. Wedle tej książki nie tylko grób, wykopany na spornej granicy, ma być obrócony ku wschodowi słońca, ale i przysięgający świadkowie mają się zwrócić ku słońcu. Mianowicie osoby stanu pańskiego i rycerskiego stają nad grobem i zwracając się ku słońcu, wyciągają w górę dwa palce, ludzie zaś »robotni« stają wprzód nad grobem, zwróceni ku słońcu, a po trzykrotnem zapytaniu sędziego, czy są gotowi, wstępują do grobu, klękają w nim i przysięgają, kładąc dwa palce na Bożą mękę [2]. Różnica między rycerstwem a niższemi warstwami społecznemi w składaniu przysięgi na słońce, na którą zwróciliśmy poprzednio uwagę, znalazła swój wyraz i w procesie granicznym, oczywiście z modyfikacyami, zależnemi od warunków i okoliczności, towarzyszących tego rodzaju przewodowi sądowemu.

W książce Menšika z Menštejnu znajduje się — jak wspomniałem — illustracya do procesu granicznego, bardzo ciekawa ze stanowiska historyi kultury i obyczaju. Rycina składa się z trzech części, z których środkowa, tu podana w reprodukcyi [3], przedstawia

kleknúti do toho hrobu bosým, v košili, prostovlasým, beze vší zbraně a pásu, a tak každý má dva prsty položiti na boži umučeni... Kn. drnowska ed. Brandl, str. 60. Por. Kapras. l. c. str. 6.

[1] O mezech, hranicích, soudu a rozepři mezní i příslušenství jích v kral. českém. Praga r. 1600.

[2] Książki Jakóba Menšika z Menštejna nie miałem możności w oryginale oglądać. Czerpię te wiadomości z pracy Kaprasa, str. 7, a tekst z Cod. jur. Boh. t. 4/5. str. 176: a) ...hrob vykopán k východu slunce obrácený... b) Co se lidí stavu panského neb rytířskeho dotýče, kteřiž by k svědomí na mezech od kohož koliv potřebování byli, ti mají přísahu učinití, zdvihnauce dva prsty, a stojíce nad hrobem proti východu slunce. c) Co se pak lidí robotných svědkův dotýče, ti mají býti... postaveni nad hrobem, a Boži Umučení má před nimi položeno býti; tu všickni od nich odstoupiti mají, aby mohli svobodně od pána purgkrabí a panův soudcův tazáni býti. A když tak stanou nad hrobem proti slunci, tu se jich má rychtař dotázati po třikráte, již-li sou hotovi? Tehdy... svědkově... pravou nohou mají vstoupiti do hrobu, a má každý tam kleknouti vlože dva prsty na boží umučení a přisahati...

[3] Rycina wykonana jest tu w powiększeniu na podstawie podobizny naturalnej wielkości w książce Kaprasa.

główny moment procesu granicznego, mianowicie przysięgę świadków. Dla omawianej kwestyi przysięgi na słońce rycina ta jest niezmiernie ważna i interesująca, jako jedyna znana nam illustracya tego prastarego zwyczaju prawnego. W pośrodku widzimy grób »zoryentowany«, t. j. osią zwrócony ze wschodu na zachód, w grobie klęczą trzej chłopi w koszulach i przysięgają, dotykając palcami krzyża. Na prawo widać innych świadków, czekających swej kolei. Nad grobem stoją trzy osoby stanu szlacheckiego, zwrócone ku wschodowi słońca i przysięgają ze wzniesionymi w górę palcami. Po obu stronach grobu zgromadzeni członkowie sądu.



Przysięga na słońce w czeskim procesie granicznym
(z dzieła Jakóba Menšika z Menštejna).

Ten zwyczaj składania przysięgi granicznej w grobie utrzymał się w Czechach bardzo długo. Ślady jego dają się śledzić jeszcze w połowie XVII wieku, z tą odmianą, nas tu zajmującą, że nawet świadkowie stanu wieśniaczego, klęcząc w grobie i kładąc palce na krzyżu, zwracają się ku wschodowi słońca [1].

Także na Śląsku spotykamy się w czasach przynależności do Czech z graniczną przysięgą, składaną wedle wyżej skreślonej modły. Tak opisuje tę przysięgę Prawo opolsko-raciborskie z r. 1563, a więc z okolic, zamieszkanych przeważnie przez lud polski. Szlachta przysięga stojąc bez broni z odkrytą głową i wznosi w górę

[1] Kapras, l. c. str. 9 uw. 46. Ostatni przytoczony w tej pracy przykład pochodzi z r. 1648.

dwa palce. mieszczanie przysięgają w podobny sposób, tylko klęcząc [1].

Trudno rozstrzygnąć, czy ma się tu do czynienia z rodzimym zwyczajem polskim, sięgającym jeszcze czasów przynależności Śląska do Polski, czy też z nalotem obcym, pochodzenia czeskiego. Wobec wykrycia śladów przysięgi na słońce w Polsce, przypuścić raczej trzeba, że ów zwyczaj, napotykany na Śląsku, jest odwieczny, polski, a tylko w szczegółach form obrzędowych mógł z czasem upodobnić się do zwyczaju czeskiego.

c) Ruś.

Na Rusi w zaraniu doby historycznej Perun, pan gromu, był bóstwem naczelnem, a zarazem głównym bogiem przysięgi. Na Peruna przysięgali pogańscy kniaziowie ruscy z rodu Ruryka, obok niego wzywając jeszcze niekiedy pomocy Wołosą, boga dobytku [2].

Można dziś przyjąć już za rzecz pewną i w nauce ustaloną, że ruski Perun, podobnie jak litewski Perkunas, mimo swej indywidualnej nazwy, nie był bóstwem ściśle »wydziałowem« — że użyjemy wyrażenia Usenera — nie był wyłącznie bogiem gromu, ale w istocie jego tkwi szereg innych pierwiastków kosmiczno-meteorycznych, z pośród których tylko na pierwszy plan wysunął się — niewątpliwie pod wpływem skandynawskiego Tora — element piorunowy [3]. W swym typie mitologicznym zbliża się tedy Perun do gromowładnego Zeusa [4], jest panem nieba i słońca oraz wszelakiej pogody.

Jakkolwiekbądź, przysięga na Peruna ma niewątpliwie na względzie tę gromowładną funkcyę bóstwa [5] i z przysięgą na słońce

[1] Kapras, l. c. str. 10.

[2] Kronika t. zw. Nestora. Mon. Pol. hist. t. I. str. 574. 589. 594. 596. 615.

[3] Por. o tem prace Rożnieckiego, Perun und Thor (Archiv f. slav. Phil. t. 23); Iwanowa, Kult Peruna u južnych Sławian (Izw. otd. russk. jaz. i słow. 1903, t. III. str. 140); nadto uwagi Brücknera o Perkunie w Starożytnej Litwie (Bibl. warsz. 1897. t. III. str. 417 n.), oraz Hruszewskiego w Istorii Ukrainy Rusy t. I.[3] str. 317.

[4] W starosłowiańskim przekładzie greckiej powieści o Aleksandrze Macedońskim grecki Zeus przetłómaczony na Peruna. Afanasjew A., Poeticz. wozrienija Sław. t. I. str. 250.

[5] W tym względzie znajduje ona analogię w rzymskiej przysiędze na Jowisza »Lapida« lub w dawnej greckiej na Zeusa Keraunosa.

nie pozostaje zgoła w bezpośrednim związku. Okoliczność ta nie przesądza zresztą kwestyi istnienia na Rusi przysięgi na słońce, której ślady i reminiscencye występują w dawnych źródłach i w folklorze wcale wyraźnie.

Za taki ślad pogańskiej przysięgi na bóstwo słoneczne uważam najdawniejszą chrześcijańską przysięgę na Rusi, składaną w cerkwi św. Eliasza. Gdy w r. 944 kniaź Igor, syn Ruryka, zaprzysięgał mir z Grekami, sam z pogańskimi dostojnikami swymi udał się na wzgórek, gdzie stał posąg Peruna, chrześcijańska natomiast Ruś poszła składać przysięgę do cerkwi św. Eliasza. Tak pisze o tem najstarsza kronika ruska Nestora [1].

Kult św. Eliasza, który — jak widzimy — istniał na Rusi jeszcze przed ogólnem przyjęciem chrześcijaństwa, skoro cerkiew jego stała w Kijowie już za Igora [2], dziada Włodzimierza W., dostał się na Ruś niewątpliwie z Bizancyum, gdzie w tym czasie był szeroko rozpowszechniony. Na Bałkanie pozostawił on po sobie dotąd liczne ślady w nazwach wysokich gór greckich, które tam zowią górami św. Eliasza, Ἅγιος Ἠλίας [3], oraz w wierzeniach ludów bałkańskich, tak Greków, jak Słowian i Rumunów [4].

Już Voltaire zwrócił uwagę na wybitne pokrewieństwo mitologicznego typu biblijnego Eliasza z greckiem bóstwem słońca, Heliosem [5]. Uderzyło go przedewszystkiem dźwiękowe podobieństwo brzmienia imion Elias i Helios. Powtóre szereg legendarnych rysów w postaci proroka, jak ściągnięcie z nieba żywego ognia, który pochłonął przygotowaną ofiarę, sprowadzenie deszczu po wielkiej posusze, a zwłaszcza wniebowzięcie na ognistym wozie, zaprzężonym w ogniste rumaki, wykazuje tak wyraźne analogie z mitycznymi przymiotami Heliosa, że narzucać się musiały same przez się w czasie, gdy chrześcijaństwo wstępowało w miejsce dawnego pogaństwa. To więc zauważył już Voltaire, lecz dopiero nowsi uczeni, Polit, Wiesiełowskij i in., wykazali, jaką drogą dokonało się owo przejście kultu Heliosa w kult św. Eliasza [6].

---

[1] Mon. Pol. hist. t. I. str. 594 i 596.

[2] Hruszewśkij, Istorija Ukrainy-Rusy, t. I^{3}, str. 511.

[3] Egli J., Nomina geographica, pod wyr. Ilias.

[4] Literaturę zob. niżej.

[5] Diction. philosoph. artykuł Élie.

[6] Polit w rozpr.: Ὁ Ἥλιος κατὰ τοὺς δημώδεις μύθους. Ateny 1882. Poglądy Polita częścią sprostowali, częścią uzupełnili: Wiesiełowskij w pracy Razyskanija w obłasti russkawo duchownawo sticha (Zap. petersb. Akad. nauk, t. 45.

Okazało się, że przy tej permutacyi istotnie odegrało pewną rolę podobieństwo brzmienia imion Ἠλίας i Ἥλιος, znalazło ono bowiem swój wyraz w wierszu Seduliusa, poety z V wieku [1]. Niemniej ważny wpływ wywarł tu moment jazdy na ognistym wozie. Faktem jest, że ikonografia wczesno-chrześcijańska przedstawiała proroka Eliasza zgodnie z wyobrażeniem greckiego Heliosa z epoki cesarstwa. Helios i Eliasz jadą na kwadrydze, zaprzężonej w pędzącą czwórkę rumaków. Towarzyszy im często druga jeszcze postać: Heliosowi Mitras, perski bóg słońca, Eliaszowi — uczeń jego, Eleazar. Podobieństwo typów jest tu uderzające, a posuwa się nieraz tak daleko, że Eliasz przybiera postać młodzieńczego Heliosa [2].

Także w wewnętrznej istocie obu typów mitologicznych występują wybitne analogie. Św. Ilija, tak jak się po dziś dzień przedstawia w wierzeniach i pieśniach ludowych greckich, rumuńskich i słowiańskich [3], posiada szereg typowych cech solarnych. W pieśni bułgarskiej »bůh Ilenec« występuje z jasnem słońcem na czole, księżycem na gardle i gwiazdami na reszcie postaci [4]. Pieśni serbskie nazywają go woźnicą »kočijas«, gdyż jeździ po niebie na ognistym wozie [5]. Ten moment jest tu szczególnie ważny, stanowi bowiem charakterystyczne znamię wszystkich słonecznych istot mitycznych. Św. Ilija jest nadto sprawcą wszelkich zjawisk atmosferycznych. Turkot kół jego wozu wywołuje grzmot, on sam zaś

str. 293 n.), Iwanow w cyt. rozprawie o Perunie (ustęp Sw. Ilija i Ogniennaja Marija) i Leger w rozprawie: Poroun et saint Elie.

[1] Quam bene fulminei praelucens semita coeli | Convenit Heliae! merito qui, et nomine fulgens, | Hac ope dignus erat: nam si sermonis Achivi | Una per accentum mutetur littera, Sol est.

[2] Krauss F. X., Reallexikon d. christl. Altert. I. str. 411, Detzel, Christliche Ikonographie t. II. str. 607, gdzie podano opisy i wizerunki ikonograficznych typów proroka Eliasza; Roscher, Lexikon der griech. u. rom. Mythologie, t. II[2]. str. 49, gdzie przedstawiony i opisany bóg grecki Helios wraz z Mitrasem.

[3] Por. Wiesiełowskij, l. c.; Iwanow, l. c.; a nadto Nodilo, Religia Srba i Hrvata (Rad jugo-slov. Akad. t. 89. str. 129 n.); Schiffer B. M., Eliah der Prophet (Am Urquell, t. IV. str. 11); Dähnhardt, Natursagen, t. I. str. 133, 139, 145.

[4] Verković, Nar. pjes. maked. Bug. I. 232, cyt. u Machala, Nakres slov. bajesl. str. 24 n.

[5] Nodilo, l. c. str. 135; Vuk, Pjesni srbske, l. 155 n.; Wiesiełowskij, l. c. str. 320.

dzierży gromy, którymi razi złe duchy i stąd nosi przydomek »gromownika« [1]. Ten rys mitologiczny, znalazłszy oparcie w legendzie biblijnej o ściągnięciu ognia z nieba przez proroka Eliaszą, wysuwa się z czasem, jako najbardziej oddziaływający na wyobraźnię ludową, na pierwszy plan i stanowi ogniwo, które złączyło kult św. Iliji gromownika z kultem Peruna. Pierwotnie jednak gromowładztwo św. Iliji jest tylko jednym z przejawów meteorycznych, wypływających z jego istoty słonecznej. Jako klucznik nieba, zsyła on na ziemię urodzajny deszcz lub nawiedza ją zgubną posuchą [2]. Z tego powodu lud uważa go za dawcę urodzaju i wszelakich płodów ziemi, a z jego świętem, przypadającem na 20-go lipca, wiąże się wiele zwyczajów agrarnych, jak początek żniw, zbioru siana, i t. p. [3]. Są to wszystko atrybucye, które w dziedzinie wierzeń przypadają z reguły słońcu. Ono jest sprawcą zjawisk atmosferycznych, do niego człowiek modli się o deszcz lub pogodę, uważając je za dawcę urodzaju i plonów ziemi.

Z tych rozważań nad kultem św. Eliasza wypływa niewątpliwie, że w postaci tej tkwi pierwotnie nie tylko na zewnątrz (w nazwie i typie ikonograficznym), ale także w wewnętrznej istocie typu mitycznego szereg znamion wybitnie solarnych, z czego można wnosić, że z rozwojem chrześcijaństwa kult św. Eliasza wstępował w miejsce kultu słońca.

Jeśli o Ruś chodzi, to kult św. Eliasza prawdopodobnie jest tam bardzo stary i zwłaszcza w południowej Rusi, oddawna pozostającej w stosunkach z Bizancyum [4], sięga zapewne jeszcze czasów, wyprzedzających przybycie normańskich waryagów. Kult ten mógł więc tam wstąpić w miejsce starego słowiańskiego bóstwa słonecznego — Dadźboga, (o którym niżej obszerniej będę rozprawiał) i później, gdy panowanie normańskie wysunęło na czoło ruskiego panteonu Tora-Peruna, kult św. Iliji zajął obok niego stanowisko jako kult Rusi chrześcijańskiej, nie w charakterze za-

[1] Machal, Nakres slov. bajeslovi, str. 24 n.; Wiesiełowskij, l. c. str. 320.

[2] Wiesiełowskij, l. c. str. 311; Iwanow, l. c. str. 163.

[3] Por. przysłowia agrarne w związku św. Ilijem u Wiesiełowskiego, str. 319.

[4] Być może, że przy zaszczepieniu tego kultu na Rusi współdziałał także wpływ Chazarów, wyznawców żydowskiej wiary, osiedlonych w bezpośredniem sąsiedztwie Rusi.

stępczym, ad hoc dopasowanym, ale zupełnie samoistne i równorzędne. Dopiero z czasem wierzenia ludowe wysunęły u św. Iliji ów moment gromowładczy. tkwiący w istocie mitycznej Peruna.

Rozwiedliśmy się nieco dłużej nad kultem św. Eliasza i stosunkiem jego do kultu Peruna, aby ocenić należycie istotę przysięgi, składanej w roku 944 przez Ruś chrześcijańską w cerkwi św. Eliasza. Nie można jej uważać za dosłowny odpowiednik przysięgi na Peruna, ale ze względu na solarny charakter kultu św. Eliasza, trzeba w niej upatrywać reminiscencye pogańskiej przysięgi na słońce.

Nie brak tych śladów i w późniejszych źródłach ruskich. Na Rusi halickiej utrzymał się jeszcze do XV wieku zwyczaj składania przysięgi »na kolce kościelne« [1]. »Kolce« (neutr. od koło, kółko = łac. rotha, rotula, catena) jest to rodzaj antaby, zawiasy, w kształcie pierścienia, wiszącego u drzwi kościelnych i służącego za kołatkę [2].

O przysiędze na kolce poucza nas szereg zapisek sądowych czerwono-ruskich z XV wieku.

1) R. 1445 we Lwowie, świadkowie Jana Delanowskiego i Stanisława Czeperowskiego odmówili złożenia przysięgi na kolce ruskiej cerkwi, a chcieli przysiądz na krzyż, jak chrześcijanie (= katolicy). Wojewoda ma zapytać panów, czy świadkowie ci mają przysiądz na kolce czy na krzyż [3].

2) R. 1448 we Lwowie, Miłochna Boszarka ma przywieść świadków, z których chrześcijanie (= katolicy) przysięgać będą na krzyż, a Rusini u kościoła. Zapiska ta wyjaśnia bliżej, że ta przysięga ruska ma być złożona »na kolce« wedle ich zwyczaju [4].

3) R. 1462 sąd halicki przypisał Andrzejowi Dzieciątce przysięgę more Ruthenico. Ma to uczynić w ten sposób, że lewą ręką ujmie kolce kościelne t. zw. »święte wiedenie«, prawą zaś ma przeżegnać oblicze i wyrzec przepisaną rotę przysięgi [5].

---

[1] Dąbkowski P., Litkup, str. 62 nast.

[2] Glogier Z., Encyklopedya polska pod wyr. kolce, kołatka.

[3] ...testes... recusabant ad Colcza ecclesiae Ruthenicalis iurare, sed voluerunt ad crucem sicut Christiani. Ideo dominus palatinus interrogabit dominos, quomodo iurare debeant, an ad Colcza vel ad crucem. Akta grodz. i ziem. t. XIV. nr. 1277.

[4] ... Christiani ad crucem et Ruthene ad ecclesiam, more solito. — Ruthenae iurabunt super kolcze more ipsorum... Tamże, nr. 2092.

[5] Iudicium decrevit iurare nobili Andreae Dzeczantko... more Ruthenico

Zapiski sądowe niejednokrotnie wspominają o przysiędze, składanej u cerkwi »circa ecclesiam Ruthenicalem« lub »circa synagogam«, którą określają mianem przysięgi ruskiej, wykonywanej zwyczajem ruskim [1]. Przytoczone zapiski sądowe ruskie bliżej określają formę tej przysięgi. Rusini składali ją »na kolce«, ujmując lewą ręką zawiasę kościelną czyli t. zw. kolce. Ten rodzaj przysięgi na zawiasę kościelną znany był także Frankom, a i Żydzi w wiekach średnich składali przysięgę, kładąc palce na zawiasę synagogi [2]. Była to tylko szczególna odmiana rozpowszechnionej przysięgi na pierścień, który był ogólnie przyjętym symbolem słońca. Bliżej nad tem zastanowię się jeszcze niżej przy przysiędze germańskiej, poprzestając tu jedynie na zaznaczeniu, że ruska przysięga na kolce kościelne jest śladem dawnej przysięgi na słońce, wykonywanej na symbol słoneczny w postaci pierścienia. I można się domyślić, że w ten sam sposób składali przysięgę chrześcijańscy członkowie drużyny Igorowej w r. 944 u wrót cerkwi św. Eliasza, następcy pogańskiego bóstwa słonecznego.

Liczne wreszcie reminiscencye przysięgi na słońce przechowały się w ludowych zaklęciach ruskich. Chłop małoruski klnie się na wiarygodność słów swych w tej formie: »Koły ja prawdu ne każu, to szczob meni sonce zajszło« [3]. Podobnie klnie się Wielkorus: »Cztoby mnie do utra krasnawo sołnyszka nie widat'« [4]. A zatem lud ruski wzywa słońca na mściciela krzywoprzysięstwa i wierzy, że słońce może pokarać przysięgającego krzywo, odebraniem mu swego najcenniejszego daru — światła. Te wierzenia o charakterze bardzo pierwotnym same przez się starczą już za świadectwo roli, jaką słońce odgrywało niegdyś przy przysiędze u wschodniego odłamu Słowian.

d) Słowianie południowi.

W dostępnych mi źródłach historycznych Słowian południo-

recepit manu sinistra rotham circa ecclesiam swanthe wyedinye circa hostium eiusdem... AGZ, t. XIII. nr. 5034 i 5611.

[1] Tamże, t. XIV. nr. 297. 440. 1026. 1115. 1683. 3132, t. XVII. nr. 3250 i in.

[2] O tem zob. niżej, str. 352.

[3] Rulikowski, Zapiski etnograficzne z Ukrainy. (Zbiór wiadomości antropol. kraj. t. III. str. 133).

[4] Słowar wielikorusskawo jazyka, wyd. Dal, pod wyr. sołnce.

wych nie napotkałem wzmianek o przysiędze na słońce, co zresztą nie stanowi dowodu, że ta forma przysięgi była obcą temu odłamowi Słowiańszczyzny. Wypełniający tę lukę materyał ludoznawczy stwierdza ponad wszelką wątpliwość istnienie przysięgi na słońce u Słowian południowych.

W Bułgaryi do dziś dnia osoby, zawierające związek pobratymstwa, umacniają go przysięgą, którą składają w otwartem polu, zwróceni ku wschodowi słońca [1].

Ludowe samozaklęcia także często wzywają słońca na świadka prawdy. Odwieczny niewątpliwie charakter ma chorwacka przysięga »na promienie słońca« [2], po dziś dzień też zaklinają się Chorwaci »sonce mi ni Boga« [3], lub »Kunem ti se nebom i ovim vedrijem zrakom od nebesa«, t. j. jasnem światłem nieba, słonkiem [4]. Serbowie zaś klną się słowy: »tako mi sunca« [5], lub »tako mi szto sja« (= sunca) [6], »tako mi one zrake nebeske« (= światła niebieskiego, słońca) [7]. Bułgar ściąga karę słońca na wypadek krzywoprzysięstwa słowy: »Da ma izgori (= spali) slănce-to« [8].

e) Wnioski ogólne.

Rozważania powyższe dowiodły, że przysięga na słońce była pierwotnie wspólną wszystkim ludom słowiańskim. Przetrwawszy jako przeżytek zwyczajowy, bądź to w formie czystej, bądź w symbolicznej (na Rusi przysięga na pierścień) do czasów późniejszych — w Polsce do wieku XV, w Czechach nawet do XVII, pozostawiła ona wyraźne ślady we współczesnych źródłach. W Polsce i w Czechach zyskuje przysięga na słońce charakter instytucyi prawa rycerskiego, w tym ostatnim kraju zdobywa sobie nawet sankcyę

---

[1] Barbar L., Gewohnheitsrechtliches aus Bulgarien (Zeitschr. f. vergl. Rechtwiss. XXXII. 1/2, str. 90).

[2] Ein Schwur, der bis in die älteste Zeit zurückreicht, lautet: »Bei den Strahlen der Sonne«. Smičiklas T., Cultur u. Culturanfänge der Croaten. (Donauländer, str. 171).

[3] Afanasjew, Poet. wozr. I. 66.

[4] Rječnik hrvats. ili srpsk. jez. pod wyr. kleti, 3. b.

[5] Afanasjew, Poet. wozr. t. I. 66.

[6] Vuk, Srpske nar. poslowice, str. 307.

[7] Afanasjew, l. c. t. I. str. 69.

[8] Tenże, l. c. I. 69.

ustawodawczą, statutowo ugruntowaną. W Czechach znajduje ona nadto zastosowanie w procesie granicznym.

Wyszedłszy z czasem zupełnie z użycia, zostawiła przysięga na słońce, jak tyle innych przeżytków, żywe reminiscencye w folklorze słowiańskim, mianowicie w zakresie zaklęć ludowych. Przytoczony materyał ludoznawczy, jakkolwiek tu raczej dorywczo i przykładowo, niż systematycznie zebrany [1], potwierdził w zupełności wnioski, wysnute na podstawie dawnych pomników prawa zwyczajowego. Oba te źródła pozwalają przysięgę na słońce uznać za prasłowiański zwyczaj prawny, tkwiący głęboko w dziedzinie wierzeniach religijnych, pozostający niewątpliwie w związku z przemożnym niegdyś u Słowian kultem słońca.

Nowsze badania w zakresie mitologii i wierzeń słowiańskich ustaliły pogląd, że kult słońca-ognia odgrywał pierwotnie u Słowian rolę bardzo wybitną [2]. Przyjmuje się za rzecz wysoce prawdopodobną, że naczelnem i ogólnem bóstwem słowiańskiem był bóg słońca Dadźbog (u płd. Słowian Dabog), syn Swaroga (Swarożyc), którego ślady spotykamy zarówno u Słowian zachodnich, jak wschodnich i południowych [3]. O ile zdaje się nieulegać wątpliwości, że nazwa »Swarog« jest formą apelatywną bóstwa, utworzoną z tematu scrt. svar = słońce, (svarga = niebo), o tyle etymologia drugiej nazwy »Dadźbog« jest sporną. Jedni (Miklosich) tłómaczą ją jako »dans divitias«, »dispensator divitiarum«, drudzy (Krek) dopatrują się w niej formy imperatywnej i wykładają ją: »daj bogactwo«, dla innych wreszcie (Jagić) Dadź-bog, to »deus dator«, bóg darczyńca.

Pozwolę sobie dorzucić tu i uzasadnić pomysł własny, że nazwa Dadźbog, u płd. Słowian Dabog, może pozostawać w związku z zaklęciem na słońce. Po dziś dzień roty przysiąg południowo-sło-

---

[1] Będzie zadaniem etnologów słowiańskich uzupełnić materyał ludoznawczy do przysięgi na słońce.

[2] Literaturę nowszą cytuje Hruszewśkij w 3 wydaniu I. tomu Istorii Ukrainy-Rusy (str. 315). Ostatni pogląd w tej materyi, uogólniający wyniki dotychczasowych badań, wypowiedział znakomity znawca mitologii słowiańskiej, prof. Brückner, w artykule p. t. »Wierzenia religijne i stosunki rodzinne« (Encyklopedya polska Akad. Umiej., t. IV. cz. 2, str. 149 i nast.). Na tych wynikach głównie się tu opieram, uwzględniając także mało znaną choć gruntowną pracę Nodila o religii Serbów i Chorwatów (Rad jugoslov. Akad. t. 81. str. 152 n.).

[3] Por. Krek, Einleitung in die slavische Philol. str. 390 i nast. oraz Machal, Nakres slov. bajeslovi, str. 31.

wiańskie zaczynają się od inwokacyi: »da Bog, da« (n. p. go uzjahali Turci), »da Bog mi«, »da bi Bog da«, »ako Bog da«. Jest to forma optatywna, odpowiadająca ludowemu zaklęciu ruskiemu »Dast Bih«, naszemu »Bodaj« = »Bog daj«, »daj Bóg« (z »daci Bóg«). Znane są przekleństwa nasze w rodzaju: »Bodaj cię piorun trzasł« lub dla omawianej kwestyi jeszcze charakterystyczniejsze: »Bodajeś światłości niebieskiej nie oglądał« [1], przypominające zupełnie wielkoruskie zaklęcie: »cztoby mnie do utra krasnawo sołnyszka nie widat'«.

Przypuszczam zatem, że pierwotna nazwa słowiańskiego boga-słońca Swarożyca (t. j. syna słońca, sunčevića) brzmiała właściwie Bog [2], a forma Dadź Bog utarła się głównie za pośrednictwem często na ustach pierwotnie będącego zaklęcia, stosowanego także przy przysiędze na słońce. Słowianin przysięgając, zwracał się do słońca i wzywał jego karzącej interwencyi na wypadek krzywoprzysięstwa lub niedotrzymania poczynionych obietnic. Nasuwa się zaś myśl, którą także rozstrzygną filologowie, że wyraz »rota« na oznaczenie formuły przysiężnej znany tylko Słowianom, pozostaje w związku z przysięgą na symbol słoneczny »kolce« czyli koło, które niegdyś u Słowian zwać się mogło rota, na co wskazują formy: scrt. rátha, staroir. rath, awest. rada, lit. ratas, germ. rad, łac. rota [3]. Wyraz ten zachował się tylko w znaczeniu przysięgi a raczej klątwy (rotiti se = klęti se) i mógłby być także reminiscencyą słowiańskiej przysięgi na słońce [4].

2. Przysięga na słońce u Germanów.

Prastarą germańską formułę przysięgi, sięgającą jeszcze doby pogańskiej, przekazał nam najdawniejszy pomnik praw islandzkich, »Landrecht« z r. 927. Brzmi ta formuła (w przekładzie niemieckim) tak: »Ich schwöre auf den Ring einen gesetzlichen Eid, so wahr mir Freyr, Njördr und der allmächtige Ase helfe...« [5]. Z tą formułą

[1] Słow. jęz. pols. (warszawski) t. I. str. 181 pod wyrazem Bodaj.

[2] Por. wedyjski Bhaga, łagodny, dobry, jasny bóg, hojny darczyńca.

[3] Schrader, Sprachvergl. str. 298.

[4] Czy i niemieckie schwören, staronord. sverja, gockie svaran nie pozostaje w związku z tematem svar = słońce, nie umiem rozstrzygnąć.

[5] Golther W., Germ. Mythol. str. 231, 548, z powołaniem się na (niedostępne mi źródła): Ares Isländerbuch hrg. v. Golther, Halle 1892, str. 32, oraz Die Eidformel der Ulfljótslog nach Hauksbók u. Melabók. Isländinga Sögur I. 258 i 334.

przysięgi, wzywającą pomocy Freyra, Njörda i najpotężniejszego z Azów, t. j. Tora, spotykamy się także w sagach islandzkich [1].

Freyr i ojciec jego Njörd są to bóstwa płn.-germańskie, a ogniskiem ich kultu była pierwotnie stara Uppsala w Szwecyi oraz prowincya Drontheim w Norwegii. Stąd kult Freyra przedostał się do Islandyi, gdzie przetrwał dość długo i zostawił swe ślady w nieocenionych islandzkich źródłach prawnych i literackich [2].

Charakter mityczny Freyra jest w nauce sporny. Golther i Leyen upatrywali w nim hypostazę starego boga nieba [3], Mogk nazywa go wprost bogiem nieba i słońca [4], wedle R. M. Meyera był Freyr demonem wegetacyi i uprawy roli, podniesionym z czasem do rzędu bóstwa [5]. Nie ulega wszakże wątpliwości, że w kulcie Freyra tkwią wyraźne pierwiastki solarne. Jest on źródłem światła i ciepła, władnie też deszczem i sprowadza bujny rozwój roślinności. Przypomina w tem słowiańsko-grecki kult św. Eliasza, jak widzieliśmy również z przysięgą związany. Wedle dawnej legendy o Thorgrimie, czcicielu Freyra, na grobie jego od strony południowej śnieg zawsze taje i nigdy tam nie marznie, w czem przejawia się wyraźnie słoneczna istota opiekuńczego bóstwa [6]. Freyrowi poświęcone były konie, które utrzymywano przy świątyni jego w Drontheim i używano przy wykładaniu wyroczni. Wyobrażano zaś sobie to bóstwo jako jeżdżące na wozie, ciągnionym przez złotoszerstnego dzika lub płynące na łodzi. Koń, dzik i łódź to znane ogólno-aryjskie symbole słoneczne [7], wyrocznia zaś także była atrybucyą bóstwa słonecznego. To wszystko wskazuje, że Freyra możemy uważać za bóstwo pierwotnie słońca, które czczono w różnych jego dobroczynnych przejawach, w pierwszym rzędzie jako dawcę urodzaju.

[1] Isländ. saga, hrgb. v. Vigfusson u. Unger, t. I. str. 249, 336; por. Grimm, Rechtsaltertümer, II. 898 i Mogk, Mythologie (Grundr. der germ. Philol. t. I. str. 1058).

[2] Golther, Germ. Mythol. str. 218 n.; Meyer R. M., Altgermanische Religionsgesch. str. 196.

[3] Gother, l. c. str. 218; Leyen, Sagenbuch, str. 104.

[4] Mogk, l. c. str. 1056.

[5] Meyer R. M., l. c. str. 196.

[6] Golther, l. c. str. 219.

[7] Déchalette J., Le culte du soleil aux temps préhistoriques (Revue archeol. ser. IV. 13 r. 1909, str. 305 n.); Müller, Nord. Altertumsk. I. str. 470; Montelius, Kulturgeschichte Schwedens, str. 137 n.; Meyer R. M., Altgerm. Relig. str. 105.

Przysięgę staronordyjską, w której na pierwszem miejscu wzywano pomocy Freyra i ojca jego Njörda (cfr. Dadźbog syn Swaroga) zaliczyć tedy trzeba do kategoryi przysiąg na słońce. Przemawia za tem silnie jeszcze inna okoliczność: składano tę przysięgę na pierścień, jak wskazuje formuła islandzka: »ich schwöre auf den Ring« etc. Otóż Freyrowi przydaje mitologia słynny pierścień złoty Daupnir, wykuty przez karła Sindri [1]. Pierścień, jak tarcza, dysk i każdy w ogóle przedmiot kształtu koła, jest niewątpliwie typowym symbolem słońca i z tem zjawiskiem spotkać się możemy we wszystkich kultach świata [2]. W pieśniach Eddy jest mowa o przysiędze na święty pierścień boga Ullara, o którym nic zresztą nie wiemy, ponadto wiemy, że na jego imię przysięgali nawet najwyżsi bogowie [3]. W świątyniach staronordyjskich leżał na ołtarzu wielki pierścień, na który składano najuroczystsze przysięgi, pomazując go poprzednio krwią zwierząt ofiarnych [4]. Były to pierścienie, noszone zwykle na ramionach, t. zw. armilla, Bauge [5], a zwyczaj składania przysiąg na święte naramienniki »armilla sacra«, poświadczony jest

[1] Golther, l. c. str. 312; Meyer R. M., l. c. str. 202.

[2] Montelius, Das Rad als religiöses Sinnbild (Prometheus 1904—5, nr. 16—18); Ehrenreich, Die allgemeine Mythologie, str. 296; por. też Helm, Altgerm. Religion, str. 174 i 243; Wislicenus, Die Symbolik von Sonne u. Tag, str. 40. 48.

[3] Saemundar Edda, hrgb. v. Detter u. Heinzel, t. I. str. 146; por. też Meyer R. M., Schwurgötter, Archiv f. Religionswiss., t. XV. str. 444.

[4] Maurer K., Verlesungen über altnordische Rechtsgesch. I², str. 236; Brunner, Deutsche Rechtsgesch. II. str. 429: Golther, Germ. Mythol. str. 599. Wedle sag islandzkich w świątyni Tora w Thorolf w Norwegii leżał na ołtarzu pierścień wagi dwóch uncyi, który nosił kapłan podczas zgromadzeń ludowych. Na pierścień ten składano przysięgi. Podobnie w Kjalnesinga Saga, gdzie opisana jest świątynia Tora, na ołtarzu leżał wielki złoty pierścień, na który także przysięgano. Golther, l. c. str. 599 i 600. W Eyrbyggja Saga wspomniany jest pierścień w Thorsnäs, na który przysięgano. Wedle Chronicon Saxonicum jeszcze w r. 876 umacniali Normanowie przymierze z Anglosasami przysięgą, złożoną na święty pierścień. Lasch, Der Eid, str. 60.

[5] Pojęcie pierścienia przysiężnego »Eidring« wiązano dawniej ze znajdowanymi w grobach naramiennikami; por. Andree R., Die Eid- u. Schwurringe bei den arischen Völkern (Globus, t. XIII. str. 329); Lindenschmitt, Die Eid- u. Schwurringe bei den arischen Völkern (tamże, t. XIV. str. 469 i nast.), oraz zestawienie Olshausena w Zeitschr. f. Ethnologie, t. 22. str. 294. — Helm w swojej Altgermanische Religion, str. 239 sprzeciwia się temu i sądzi, że są to zwykłe naramienniki, noszone jako ozdoba lub odznaka, a niepozostające w żadnym związku z pierścieniami przysieżnymi.

nie tylko w źródłach nordyjskich, ale i w greckich [1]. Natomiast u Franków w drugiej połowie IX wieku spotykamy się ze zwyczajem składania przysięgi na pierścień czyli t. zw. »kolce« u drzwi kościelnych, co się nazywa »jurare in armilla januae« [2], zwyczaj, który w zupełnie identycznej formie daje się śledzić na Rusi halickiej jeszcze w wieku XV (zob. wyżej, str. 325). W tych wypadkach przysięga na pierścień jest symboliczną formą składania przysięgi na słońce przez dotknięcie symbolu słonecznego, jakim jest pierścień.

Zdaje się, że w związku z przysięgą na słońce pozostaje także inny germański ryt przysiężny, który polega na tem, że składający przysięgę zakreśla mieczem na ziemi wkoło siebie krąg, a stając w jej środku wygłasza formułę przysięgi. Taką przysięgę w kole opisuje Prawo niemieckie na przedmieściu praskiem [3], wzmianki o niej znajdujemy także w innych zbiorach prawnych [4], a prawdopodobnie też należy tu wspomniane w Lex Ribuaria przysięga »in circulo et in hasla hoc est in ramo« [5]. Rytuał ten, występujący w identycznej formie u arabskich Beduinów i indyjskich Biharów [6], ma niewątpliwie podkład magiczny i pozostaje prawdopodobnie także w związku kultowym ze słońcem.

Do przysiąg na słońce. wykonywanych sposobem symbolicznym, przez dotknięcie symbolu słonecznego lub wezwanie takiego przedmiotu, zaliczyćby można z pewnem prawdopodobieństwem znaną z Eddy przysięgę »bei Schiffes Bord, Schildes Rand und Schwertes

---

[1] Grimm, l. c. II. str. 895 oraz Brunner, l. c. II. str. 429. U Ethelwerda, De Danorum regibus, lib. 4, cap. 3: Eique statuerunt jusjuramentum in eorum armilla sacra, quod caeterarum regionum fecere nunquam. Zob. Ducange, Glossarium, t. IV. str. 455.

[2] W Miracula S. Germani z Auxerre (2 poł. IX w.): Si quis saltem in armilla januae iusiurandum explere praesumpserit. (Acta Sanctorum, 7 lipiec, 265).

[3] Brunner, l. c. str. 429; Amira, Recht § 89 oraz Rössler, Deutsche Rechtsdenkmäler aus Böhmen u. Mähren, t. I. str. 189. Jura Theutonicorum in suburbio Pragensi § 23.

[4] Statuta Salfeldzkie i Lautenberskie, por. Amira, l. c.

[5] Goldmann G., Zur Geschichte des fränkischen Eidganges. Festschrift f. Amira, str. 90.

[6] Tamże, str. 94 oraz Pedersen, Der Eid bei den Semiten, str. 152. Zob. niżej str. 352. Podobnie, jak Germanowie, używali Arabowie do kreślenia tego koła szabli; por. też Lasch, Der Eid, str. 62.

Spitze« [1]. Łódź jest typowym symbolem słońca [2], toż samo powiedzieć można o tarczy, której pojęcie w Eddzie nieraz w znaczeniu słońca jest użyte [3]. Trudniej natomiast zastosować się to daje do miecza, jakkolwiek wiemy, że miecz był także poświęcony Freyrowi [4] i że w ogóle u starych Germanów doznawał czci boskiej [5], możliwe bowiem, iż tu odgrywała rolę myśl zgoła inna (śmierć od miecza w razie krzywoprzysięstwa), nie mająca ze słońcem żadnego związku.

Niemniej też przysięgi starogermańskie, składane na pewne zwierzęta, poświęcone słońcu, zaliczyć należy do tej kategoryi. Mam tu na myśli przysięgę nordyjską na dzika [6], który — jak wyżej wspomniałem — był zwierzęciem Freyra, oraz przysięgę angielską na łabędzia [7], ptaka, należącego także do zwierzęcych symbolów słońca [8].

To wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli o germańskiej przysiędze na słońce, opiera się na mniej lub więcej uzasadnionych przypuszczeniach, obecnie zaś przechodzimy do bezpośrednich i wyraźnych wzmianek źródłowych o tej formie przysięgi.

Chronologicznie najdawniejsze świadectwo o germańskiej przysiędze na słońce zawiera Żywot św. Eligiusza, apostoła Franków (588—659), pochodzący z końca wieku VII [9]. W jednem z kazań jego jest zakaz wzywania słońca i księżyca i przysięgania na nie [10]: »nullus (christianus) dominos solem aut lunam vocet, neque per eos iuret, quia creatura dei sunt etc.«. Mamy tu zatem bardzo wyraźne stwierdzenie nie tylko kultu słońca i księżyca u pogańskich Franków, ale i związanej z tym kultem przysięgi na ciała niebieskie. Przysięga na księżyc musiała mieć od samego początku podrzędne znaczenie, gdyż później już nigdy z nią się nie spotykamy i nawet

[1] Wölundars Lied, V. 31.

[2] Zob. wyżej, str. 330 przypisek 7.

[3] Grimm, Germ. Mythol., str. 585 i Helm, Altgerm. Religion, str. 175.

[4] Mogk, l. c. str. 1057.

[5] Ammianus to mówi o starych Kwadach. Golther, l. c. str. 224.

[6] Götzinger E., Reallex. der deutschen Altertümer, str. 82 n.

[7] Wiemy o królu Edwardzie I, że w r. 1306 »votum vovit deo coeli et cygnis, se proficisci in Scotiam. Grimm, R. A. str. 901.

[8] Déchalette J., Les cygnes et les symboles solaires en Italie, dans l'Europe centrale et la Gaule (Manuel d'archéologie préhistorique II. cz. I).

[9] D'Achery, Spicilegium t. V. str. 215.

[10] Por. Grimm, Mythol. II[1]. XXX.

w ogólnej etnologii należy ona do zjawisk bardzo wyjątkowych. Natomiast przysięga na słońce odbiła się w dawnych źródłach germańskich wcale silnem echem.

W Eddzie, bohater pieśni Atlamal składa przysięgę »na południowe słońce (at sól inni sudrhollo), na gród boga-zwycięscy, na pokój małżeńskiego łoża i na pierścień Ullara« [1]. Pierwsze więc miejsce zajmuje w rzędzie tych przysiąg słońce, którego symbol w postaci pierścienia zamyka ów szereg.

Kościół oczywiście zwalczał ten zwyczaj pogański i prawo kanoniczne wyraźnie zabroniło »iurare per creaturas«, dopuszczając z pośród t. zw. kreatur tylko przysięgę na ewangelię, ołtarz, relikwie świętych, krzyż poświęcony i rękę biskupa. Kto przysięgał »per creaturam non concessam«, do czego zaliczano także przysięgę na słońce [2], miał podledz karze chłosty, a w razie niepoprawności nawet klątwie [3].

Tymczasem Zwierciadło szwabskie, które w ustępie o przysiędze wykazuje wyraźny wpływ Summy Rajmunda, do owych kreatur dodaje jeszcze jedną: »man mag auch die Hand aufheben gegen Himmel« [4]. Że przysięga z ręką wyciągniętą ku niebu. jest tylko zmodyfikowaną formą przysięgi na słońce, zdaje się być pewnem. tak, że ów przepis Zwierciadła szwabskiego przedstawia się jako pewnego rodzaju kompromis między dawną pogańską formą przysięgi z palcami skierowanymi ku słońcu, a pojęciami i wymogami kościelnymi.

Nie mniej przeto ciekawą jest w tym względzie jedna z formuł sądowych reńskich z początku XV wieku, która fakultatywnie dopuszcza składanie przysięgi na wschód słońca »jegen dat osten« w tym razie, jeśli zabraknie na miejscu relikwiarza [5].

Chcąc wiedzieć, jak się ta sprawa przedstawiała w praktyce codziennej, należałoby zbadać cały niemiecki materyał dokumentalny i zapiskowy, przynajmniej w zakresie średniowiecza. Praca

[1] Saemundar Edda, hrgb. v. Detter u. Heinzel, t. I. str. 146.

[2] ...τὸν χριστιανὸν μήτε ἥλιον ὀμνῦναι, μήτε σελήνην, μήτε ἄστρα etc. Constit. Apost. Lib. V. cap. 12.

[3] Decr. Grat. P. II. XXII. q. 1: Si quis per creaturam iuraverit, acerrime castigetur etc.

[4] Rockinger L., Berthold von Regensburg u. Raimund von Peniafort im sogenannten Schwabenspiegel (Bayer. Abh. III. Cl. Bd. XIII. Abt. 3, str. 71).

[5] Homeyer C. G., Der Rechtsteig Landrechts, str. 335, § 24 i str. 456.

tego rodzaju przekraczałaby możność i cel niniejszego studyum, w którem wystarczy ograniczyć się do pewnego terytoryum i do przykładowego zestawienia materyału źródłowego, aby uzyskać pewność, że zwyczaj ten w praktyce ogólnie stosowany, znalazł swe odźwierciedlenie także we wspomnianych kategoryach źródeł.

Rzecz szczególna, że zwyczaj składania przysięgi na słońce najgłębsze i najtrwalsze zapuścił korzenie w okolicach nadreńskich, w t. zw. Ryngowii. W dokumentach ryngowskich z XIII—XVI w. nie należą do rzadkości wzmianki o przysiędze z palcami wytkniętymi ku słońcu »mit vffgerakten Fingern gein die Sunne« lub skierowanymi ku wschodowi »juramentum versus orientem« [1].

Oto parę przykładów:

W r. 1314 Gizela z Scharfensteinu zrzekła się praw do spadku po bracie. Zrzeczenia tego dokonała w sposób symboliczny, rzucając rękawiczkę ku niebu i wznosząc palce ku wschodowi (»versus orientem elevatis digitis«), przyczem trzykrotnie wykrzyknęła formułę rezygnacyjną [2].

Inny przykład. Jan hr. Wittgensteinu, typ rycerza-rabusia, tak się dawał we znaki swym sąsiadom w całej Hessyi i Nassau, że ci, chcąc położyć kres jego rozbojom, zawarli w r. 1390 przeciw niemu związek, dostali go w swe ręce i wypuścili dopiero po dwóch latach, gdy hr. Jan zobowiązał się zaniechać dalszych rozbojów i napadów i uznał się wasalem nassauskim. Układ ten utwierdził on przysięgą, którą złożył »mit uffgerackten liblichen (= leiblichen) Fingern gein (= gegen) der Sonnen« [3].

Jeszcze ciekawszem jest to, co wiemy o przysiędze homagialnej, jaką lud ryngowski składał swym panom, arcybiskupom mo-

---

[1] Opieram się w tym względzie na dziele F. J. Bodmanna, Rheingauische Alterthümer, który na podstawie obfitego materyału dokumentalnego, głównie z moguńckiego archiwum arcybiskupiego (znanego nam tylko z regestów Sauera, Böhmera i Willa), doszedł do następującego wniosku: Die Eide wurden häufig gegen die Sonne abgelegt. Wir würden nicht fertig-werden, wenn wir hier jene Menge von Stellen unserer erzstiftlichen Urkunden auskramen wollten, welche von XIII. Jhdt bis zum XVI. der »jurarmentum versus orientem«, des »gestabten Eyds mit vffgerakten Fingern gein die Sunne« u. s. w. erwähnen... (str. 642).

[2] Sauer, Nassau. Urkb. T. I.[3] str. 87. Reg. nr. 1537 oraz Bodmann, l. c. str. 612.

[3] Arnoldi J., Geschichte der Oranien-Nassauischen Länder u. ihrer Regenten. 1799. T 1. str. 227.

gunckim. Bodmann, autor »Starożytności ryngowskich«, dokładnie kreśli na podstawie współczesnych źródeł cały ceremoniał uroczystego wjazdu, przyjęcia i hołdu, składanego arcybiskupom w Ryngowii [1].

W ustroju feudalnym stosunek wierności pana lennego do wasala opierał się na zobowiązaniach obustronnych. Pan terytoryalny przy objęciu rządów musiał wpierw zatwierdzić przywileje stanów i poddanych swych, a dopiero potem mógł od nich żądać należnego hołdu. Tak też było w państwie arcybiskupów moguckich. Na drugi dzień po uroczystym wjeździe jego i przyjęciu przez stany ryngowskie odbywał się na łące Lützelaue (później w Eltvil) akt złożenia hołdu. Po odczytaniu protokołu wyboru i bulli konfirmacyjnej, zgromadzony lud zapytywał arcybiskupa, czy zechce zatwierdzić jego prawa, przywileje, wilkirze i zwyczaje, nadane przez poprzedników, oświadczając gotowość przyjęcia go w tym razie za swego pana. Gdy arcybiskup oznajmił swą wolę w tym kierunku, odczytywano przywilej potwierdzający, który kanclerz zaopatrywał pieczęcią, poczem arcybiskup wygłaszał rotę przysięgi, trzymając rękę na przywileju. Następował akt dla nas najciekawszy. Oto kanclerz wraz z całym obecnym ludem składał ślub i przysięgę wierności, wznosząc palce ku słońcu, »mit vffgerackten Fingern gein der Sunnen«, jak się wyrażają średniowieczne zapiski archiwalne.

Ryngowska przysięga homagialna jest zjawiskiem niezwykle interesującem, przedewszystkiem jako świadectwo siły zwyczaju prawnego, który mimo swego wybitnie pogańskiego piętna nie tylko utrzymał się do schyłku średniowiecza w terytoryum kościelnem, podległem bezpośredniej zwierzchności pana duchownego, ale co więcej zyskał jego aprobatę i współudział w akcie, w którym ten pogański rytuał był momentem bodaj najważniejszym.

W porównaniu z przysięgą na słońce u Słowian, a w szczególności w Polsce i Czechach, gdzie ona najwyraźniej daje się śledzić, wykazuje rozwój niemieckiej przysięgi pewne różnice. Mianowicie nie osiągnęła ona tam charakteru klasowego, nie została przysięgą prawa rycerskiego, ale była udziałem ogółu społeczeństwa, zachowując swój pierwotny ludowy charakter.

[1] Bodmann, l. c. I. str. 18.

Mamy natomiast wyraźne ślady, że przysięga na słońce w Niemczech, podobnie jak w Czechach i na Śląsku, miała zastosowanie w procesie granicznym. Oto w sporze granicznym o dobra klasztoru Schiffenberg (koło Giessen) w r. 1492 świadkowie zaprzysięgają swe zeznania »mit leiblichen vffgereckten Fingern gegen der Sonen« [1].

Przysięga na słońce pozostawiła w Niemczech wyraźne ślady w dziedzinie zaklęć ludowych. Z pośród nich na pierwszy plan wysuwa się stare i popularne zaklęcie się »sammir (= so mir helfe) das heilige Licht« [2], które odpowiada słowiańskiemu »tako mi sunca«. Niezwykle bogata literatura ludoznawcza dostarczyłaby tu jeszcze wiele materyału. w tym też kierunku badania będą mogły być jeszcze pogłębione i uzupełnione.

Przywiedziony materyał wystarcza do stwierdzenia. że przysięga na słońce w świecie germańskim była znana i rozpowszechniona, a ślady jej, znacznie wyprzedzając pierwsze jej przejawy u Słowian, sięgają jeszcze w czasy głębokiego pogaństwa.

3. Przysięga na słońce u Greków i Rzymian.

Grek przysięgając. wyjątkowo tylko wzywał pomocy lub świadectwa jednego bóstwa — zazwyczaj wzywał kilku bogów lub nawet cały panteon, szczególne jednak znaczenie miała przy przysiędze greckiej trójca bóstw: διὰ τριῶν ἦν ἔθος ὀμνύναι [3], jak wspomina jedna ze scholii homerowych, a prawodawstwo solońskie także przypisywało składanie przysięgi na trójcę bóstw: τρεῖς θεοὺς ὀμνύναι κελεύει Σόλων [4].

Znany mitolog niemiecki Usener w pracy swej o trójcy starożytnej zestawił trójce greckich bóstw przysiężnych [5]. Na 18 trójc w 12-tu występuje naczelne bóstwo greckie, pan nieba, Zeus, ale

---

[1] Steinbacher Grenzweistum 1492 w Grimma J., Weistümer, III. str. 349.

[2] Grimm, RA. str. 813 uw. oraz Thudichum, Geschichte des Eides, str. 16.

[3] Usener H., Dreiheit (Rheinisches Museum, t. 58, r. 1903, str. 17) oraz Hirzel, Der Eid. str. 82 n.

[4] Usener, l. c. str. 17.

[5] Tenże, l. c. str. 18 i nast. oraz Ziebarth, De iureiurando in iure Graeco. Göttingen 1892, str. 20 i nast.

zaraz druga rola po nim w 11-tu trójcach przypada bóstwu słońca, reprezentowanemu bądź przez Heliosa, bądź też przez Apollina [1]. Helios był — jak wiadomo — właściwym bogiem słońca; nazwa jego pierwotnie czysto realistycznie pojmowana, przywiązana była do słońca, jako zjawiska natury, z czasem zaś do jego persönifikacyi [2]. Zakres funkcyi i kultu tego bóstwa był ściśle ograniczony. Nierównie obszerniejszem w tym względzie jest pojęcie i zakres funkcyi Apollina, w którym jednak pierwiastek solarny wysuwa się już w najdawniejszej dobie na plan pierwszy [3]. Identyfikacya Helios = Apollo w pojęciach mitologicznych Greków jest na porządku dziennym [4], we wspomnianych zaś trójcach przysiężnych występują te bóstwa alternatywnie tak, że jedno albo drugie z nich reprezentuje tam słońce i nigdy nie spotyka się ich razem.

Lecz nie tylko w oficyalnej trójcy występuje tak często Helios lub Apollo; spotykamy ich także prawie zawsze w liczniejszych

---

[1] Oto zestawienie tych trójc, w których występuje bóg słońca:

1) Zeus, Ge, Helios. Stara ta i powszechnie przyjęta przysięga występuje już w Iliadzie. Umacniano nią zwłaszcza przymierza, była nadto w użyciu jako przysięga urzędnicza, hołdownicza i wyzwoleńcza.

2) Zeus, Apollo, Ge, jest tylko waryantem poprzedniej formuły, znana jako sędziowska przysięga z Kalymny.

3) Zeus, Atena, Apollo, lub Zeus, Apollo, Atena, znana już u Homera, występuje także w doryckim Gortynie.

4) Zeus, Apollo (lub Helios), Demeter, oficyalna przysięga w Atenach.

5) Zeus, Apollo, Temis, w prawach platońskich ma tak przysięgać świadek, na dowód, że nic nie wie o sprawie.

6) Zeus, Apollo, Artemis, przysięga magnetów tesalskich.

7) Zeus, Hera, Apollo, pomocnicy przysięgi przymierza Filipa macedońskiego z Hannibalem.

8) Zeus, Helios, Atena, przysięga Juliana Apostaty zresztą jako odmiana 3).

9) Apollo, Posejdon, Zeus. Delficcy labiadowie składają taką przysięgę sędziowską.

10) Apollo, Leto, Artemis, częsta przysięga przy zawieraniu przymierzy i amfiktyonii w Focydzie, Eretryi, na Krecie.

11) Posejdon, Apollo, Demeter, przysięga króla Eumenesa przy zawarciu układu z najemnymi żołnierzami.

[2] Gruppe O., Griechische Mythologie (I. Müllera, Handb. d. klass. Alterth. V. 2), t. II. str. 1066.

[3] Tamże, l. c. str. 1225. 1240. 1467.

[4] Tamże, l. c. str. 1467.

grupach bóstw przysiężnych [1], niekiedy i na czele całego panteonu [2]. Ważniejsze jednak są tu dla nas wypadki, gdzie wzywano przy przysiędze tylko dwóch bóstw, z których jednem jest bóstwo słońca. Bohaterowie Eurypidesa składają zazwyczaj przysięgę na Heliosa i Gaję [3]. Przysięga sędziowska w Eresos, pochodząca z czasów Aleksandra Wielkiego, kończyła się słowami: οὕτω ποήσω ναὶ μὰ Δία καὶ Ἄλιον [4], a jeszcze u Owidyusza Jason przysięga tylko Hekacie i Heliosowi [5].

Najbardziej charakterystyczne są jednak te przysięgi, w których wzywano wyłącznie bóstwa słońca, Heliosa lub Apollina. Heliosa wzywał Grek na świadka przy zawieraniu układów, przyczem ofiarowywał mu dzika (jak Germanowie) lub białę jagnię [6]; wzywał go także młodzieniec, przysięgający miłość swej oblubienicy [7]. Czysty i bez winy, był Helios zawsze uważany za stróża prawdy i sprawiedliwości i w tym charakterze (δείκτης δικαιοσύνης, πιστοφύλαξ) powoływany często na świadectwo rzetelności słów i intencyi, oraz mściciela krzywoprzysięstwa [8]. Toż samo powiedzieć można o Apollinie, do którego pomocy uciekali się przy przysiędze archontowie i heliaści ateńscy, sędziowie z Kalymny, a w życiu prywatnem wzywano go na świadka przysięgi w Atenach, na Krecie, w Gortynie, Dresos, Itanos, etc. [9].

Z powyższych rozważań wynika, że w Grecyi Helios wzgl. Apollo byli bóstwami κατ᾽ ἐξοχήν przysiężnymi i gdyby szło o to, komu przyznać w tym względzie pierwszeństwo,

---

[1] Por. zestawienia u Ziebartha, l. c. str. 24 oraz u Lasaulxa E., Der Eid bei den Griechen. (Studien des class. Altertums, str. 177 i nast.).

[2] τὸν ἥλιον ὄμνυμι καὶ πάντας θεούς u Libaniusa II. p. 229, 3; por. Lasaulx, l. c. str. 179 uw. 13.

[3] Tak w Hippolicie 601 oraz w Medei 746, gdzie Medea wzywa Aigeusa do złożenia przysięgi: ὄμνυ πέδον Γῆς πατέρα θ᾽ Ἥλιον πατρός.

[4] Collitz, Griech. Dialektinschr. I. 106, 56.

[5] Metamorph. 7. 97.

[6] Iliada, Γ. 104, 275. Τ. 197, 258.

[7] Pauly-Wissowa, Real-Enc. d. class. Altert. oraz Roscher, Allgem. Lexicon der griech. u. röm. Mythol. pod wyr. Helios.

[8] U Eurypidesa (Hercules, 858): Ἥλιον μαρτυρόμεσθα; por. też Pauly-Wissowa, l. c. oraz Roscher, l. c.

[9] οὐ μὰ γὰρ Ἀπόλλωνα (Ilias, I. 86). We fragmencie praw Solona czytamy: ἐπεγγνᾶν ἐπιορκήσοντα τὸν Ἀπόλλω; por. Lasaulx, l. c. str. 180, oraz Pauly-Wissowa, R. E. pod wyr. Apollo.

a raczej starszeństwo, Heliosowi czy Zeusowi, to oświadczyłbym się za Heliosem. Bóg słońca bowiem jest pojęciem dla umysłu pierwotnego prostszem, opartem o zjawisko przyrody, bezpośrednio i silnie oddziaływające na jego zmysły, gdy ogólniejsze pojęcie nieba i światła dziennego, które wciela w sobie Zeus, graniczy już z abstrakcyą, dlatego je za późniejszy substrat wierzeniowy uważać należy [1]. Zeus, jako bóg nieba wchłonął w siebie cały szereg zjawisk meteorycznych i astronomicznych [2], między innemi także zjawisko gromu, które pierwotnie czczono w Grecyi jako osobne bóstwo, Keraunosa [3]. Tak też niewątpliwie było i z Heliosem; wiele on ze swych funkcyj i atrybucyj kultowych stracił z czasem na rzecz Zeusa, który go w siebie częściowo wchłonął [4] i pozbawił pierwotnego znaczenia. Między innemi przejął Zeus od Keraunosa (= Perun, Tor) i od Heliosa (= Dadźbog. Freyr) część funkcyj przysiężnych i temu niewątpliwie zawdzięczał swój przydomek Ὅρκιος. Mimo wszakże tej degradacyi w sferze kultu, Helios i jego wtór solarny — Apollo, zatrzymali jeszcze w przysiędze, w stosunku do innych bóstw, stanowisko wyjątkowe.

Zauważone zjawisko w wyższym jeszcze stopniu występuje u Rzymian, gdzie Juppiter, bóg nieba, wchłonął w siebie prawie zupełnie kultowy substrat bóstwa słonecznego wraz z całą jego istotą etyczną i charakterem przysiężnym [5]. Lecz ta etyczna strona, przymiot stróża wierności w dotrzymywaniu przyrzeczeń a zarazem charakter świadka przysiężnego, nie roztopiła się całkowicie w naturze boskiej Jowisza, lecz przeciwnie wyodrębnia się w niej bardzo

[1] Tak też Usener, l. c. str. 331.

[2] Ehrenreich, Allgem. Mythol. str. 253.

[3] Usener, Keraunos (Rhein. Mus. t. 60. str. 1 i nast.).

[4] Świadczą o tem z jednej strony stare identyfikacye Zeusa z Heliosem, z drugiej zaś podnoszenie Heliosa do rzędu naczelnego bóstwa i pana świata; por. Eisler, Weltenmantel und Himmelsbild, który dopatruje sie w tem mylnie wpływów oryentalnych. Zob też Gruppe, Griech. Mythol. str. 1094, 1101, 1467.

[5] Kwestya pierwotnego istnienia osobnego bóstwa słonecznego jest dziś w nauce oceniana na ogół negatywnie, jakkolwiek nie brak wyraźnych wskazówek, że Sol w Rzymie należał do pierwotnych bóstw t. zw. »di indigetes« i w kalendarzu rzymskim miał poświęcony sobie dzień. Zob. co do tego Wissowa, Religion u. Kultus der Römer. 2 wyd. (Müllera I., Handbuch d. klass. Althert. t. V.[4]), str. 316 oraz Dictionaire de antiquités gr. et rom. pod wyr. Sol.

wyraźnie i prowadzi z czasem do wydzielenia się z mitycznej istoty tego najwyższego bóstwa, odrębnego indywiduum kultowego, osobnego »geniusza«, jako bóstwa par excellence przysiężnego, znanego pod nazwą Dius Fidius [1]. Kult jego sprzągł się z czasem z kultem samnickiego bóstwa zwanego Semo Sancus i stąd pełne miano jego: Semo Sancus Dius Fidius.

Otóż na tego to Diusa Fidiusa składali Rzymianie najuroczystsze przysięgi i w życiu prywatnem zaklęcie się »me Dius Fidius« było bardzo popularne [2]. Pierwotny typ solarny zatarł się wprawdzie w tem bóstwie, stopiwszy się w ogólnej naturze kosmicznej Jowisza, nie brak wszakże pewnych momentów, które nam dozwalają rozpoznać ślady tkwiących w niem niegdyś pierwiastków słonecznych. Oto przed laty kilkunastu wykopano u stóp Kwirynału posąg bóstwa z napisem »Dio Fidio Semoni Sanco«, którego typ rzeźbiarski wzorowany był na archaicznym typie greckiego Apollina, słonecznego boga przysięgi [3]. Prastara świątynia Diusa Fidiusa wznosiła się na wzgórzu kwirynalskiem, z którem kult słońca widocznie był związany, gdyż na wzgórzu tem był ponadto t. zw. »pulvinar Solis« i »solarium orologium« [4], w późniejszych zaś czasach, za cesarstwa stanęła tam świątynia słonecznego Serapisa [5].

Co najciekawsze jednak, że w świątyni Diusa Fidiusa przechowywano obok traktatów państwowych krążki spiżowe, które wedle tradycyi ulano z kruszcu, skonfiskowanego Vitrubiusowi i ofiarowano bóstwu w r. 359 [6]. Podobizna tych »orbes aënei« zjawia się na dawnych monetach rzymskich [7], a znane one były także jako symbol Fidiusa w Umbryi, gdzie składający temu bóstwu ofiary, musiał trzymać je w ręku [8]. Krążki u wszystkich ludów są

---

[1] Wissowa, l. c. str. 118 i 130; Roscher, Allgem. Lex. pod wyr. Dius Fidius; Dictionaire pod wyr. Semo Sancus.

[2] Bo przy publicznych przysięgach powoływany był na świadkach przeważnie Jowisz Lapis (= Perun, Tor).

[3] Podobizna posągu w Dictionaire des antiquités t. IV.[3] str. 1184.

[4] Richter O., Topographie der Stadt Rom (Müllera I., Handbuch, III. 2.[2] str. 286 i nast.).

[5] Tenże, l. c. str. 293.

[6] Livius, VIII. 20. 8: bona (Vitrubii) Semoni Sanco censuerunt consecranda, quodquodque aeris ex eis redactum est, ex eo aenei orbes facti, positi in sacello Sangus adversus aedem Quirini.

[7] Mommsen, Römisches Münzwesen, str. 222 n.

[8] Bücheler, Umbrien, str. 148.

symbolami słońca [1], a przechowywane w świątyni Diusa Fidiusa stanowią świadectwo i dowód solarnego charakteru tego bóstwa [2]. I trzeba się domyślać, że owe krążki odgrywały także pewną rolę przy przysiędze, składanej w świątyni Diusa Fidiusa, może w tej formie, że przysięgający dotykał palcami symbolu słonecznego [3].

Solarny charakter Diusa Fidiusa przejawia się nadto w samym rytuale przysięgi na to bóstwo, wiemy bowiem, że składało się ją z reguły pod gołem niebem, a jeśli wypadło wykonać ją w domu, wówczas stawano w atrium pod compluvium, przez które wpadało do wnętrza domu światło dzienne [4]. W ten sam sposób przysięgali Rzymianie na Herkulesa (zaklęcie się »mehercle« nie mniej popularne, jak »me Dius Fidius« [5]), który także należy do rzędu postaci mitologicznych o typie wybitnie solarnym [6].

Nie brak także w literaturze rzymskiej przykładów składania przysięgi na samo słońce: Sol. Można wprawdzie przypuszczać, że jest to wpływ i naśladownictwo greckiego zwyczaju, ile że Sol rzymski, kultowo słabo zindywidualizowany, był w przeważnej mierze odbiciem greckiego Heliosa, ale bądź co bądź i z tymi przejawami liczyć się trzeba tem bardziej, że właściwie nie wiadomo dokładnie, czy i o ile ma się do czynienia z pierwotnym, rodzimym kultem lub z naleciałością obcą [7]. I tak u Wergilego Eneasz i Latinus zawierają przymierze »ad surgentem conversi lumina solem« [8], zupełnie tak samo, jak do dziś dnia Bułgarowie przy zawieraniu pobratymstwa. Wyrzekając słowa przysięgi, przywołuje Eneasz na świadka w pierwszym rzędzie słońce: »esto nunc Sol testis« etc. [9].

---

[1] Montelius, Das Rad als religiöses Sinnbild (Prometheus 1904/5, nr. 16/18).

[2] Analogicznie w hymnach orficznych Zeus, zidentyfikowany z Heliosem, nazwany także Δίσκος; por. Eisler, Weltenmantel u. Himmelszelt, II. str. 361.

[3] Por. niżej o analogicznym zwyczaju przy przysiędze babilońskiej na Szamasza.

[4] Wissowa, l. c. str. 131.

[5] Tenże, l. c. str. 281; Roscher, l. c. t. I.² str. 2257.

[6] Ehrenreich, Allgem. Mythol. str. 112 i 258.

[7] Wedle Diodora Hist. ks. XXXVII. 11, Italikowie zobowiązali się Liwiuszowi Druzusowi przysięgą, którą złożyli na Jowisza, Westę i »τὸν γενάρχην Ἥλιον«, co widocznie oznacza rodzime bóstwo słońca, w przeciwstawieniu do kultu Heliosa, przeszczepionego z Grecyi; por. Wissowa, l. c. str. 917.

[8] Aeneis, ks. XII. w. 172.

[9] Tamże, ks. XII. w. 176.

Podobnie na innych miejscach u Wergilego [1], nie inaczej u innych pisarzy rzymskich, jak u Owidyusza [2], Juwenala [3], etc. Rzecz oczywista, że ożywienie i wzrost kultu słońca w czasach cesarstwa pod wpływem Wschodu, nie mogły pozostać bez wpływu także na rozwój przysięgi na słońce.

Kończąc przegląd ludów aryjskich w Europie, wspomnę jeszcze o Albańczykach, którzy po dziś dzień przysięgają się między innemi »na oko słońca«: περ συ τε δίελιτ [4].

Przechodzę obecnie do Aryów azyatyckich, z pośród których przedewszystkiem uwzględnić trzeba dawnych Irańczyków i Indów.

4. Przysięga na słońce u Indo-irańczyków.

W indyjskiej Wedzie i irańskiej Aweście spotykamy się z bóstwem światła niebieskiego, które ma nazwę Mitra [5]. Czcili je więc przodkowie Persów i Hindusów jeszcze w czasach, gdy wspólne mieli siedziby. Zazwyczaj występuje Mitra w parze z bóstwem nieba, które w Wedzie zwie się Waruna, w Aweście — Ahura (Mitra-Waruna, Mitra-Ahura). Wedyjski i irański Mitra mają wiele cech wspólnych, jakkolwiek w dalszym rozwoju, po rozdzieleniu się obu szczepów, w kulcie ich wynikły pewne odchylenia od pierwotnego wspólnego typu.

W Aweście jest Mitra bogiem słońca względnie geniuszem światła słonecznego, które przed wschodem słońca zjawia się na wierzchołkach gór. W dzień przebiega on na wozie, zaprzężonym w cztery białe rumaki, sklepienie niebieskie (cfr. Helios grecki). Jest sprawcą ciepła, życia i radości, »panem rozległych pól«, które czyni urodzajnemi. Daje obfitość plonu, zdrowie ciała, pełnię bogactw i szczęśliwe potomstwo. Jest dobroczyńcą i przyjacielem wiernych (stąd Mithra = przyjaciel), darzy ich szczęściem, mądrością i sławą.

---

[1] Aen. IV. 607: Sol, qui terrarum flammis opera omnia lustras.

[2] Metamorph. I. w. 766: utraque caelo brachia porrexit, por. też IV. 238.

[3] Satyry, ks. XIII. w. 78: per solis radios, tarpeiaque fulmina iurat...

[4] Gopčević, Oberalbanien, str. 112.

[5] Cumont F., Die Mysterien des Mithra, tłóm. z franc. G. Gehrich; por. też Cumonta artykuły o Mitrze w Roschera, Allg. Lex. d. griech. u. röm. Mythol. t. II.[2] str. 3029 oraz w Dictionaire des antiquités gr. et rom. pod wyr. Mithra i Sol.

Ale najważniejszym przymiotem etycznym Mitry jest miłość prawdy i sprawiedliwości. Stróż umów i przyrzeczeń, karze srogo tych, którzy je łamią i niedotrzymują [1]. Złamanie umowy było u starych Irańczyków ciężką zbrodnią przeciw Mitrze i zwało się Mithrô aiwi drucktô (z tego później Mihr - daruj = oszustwo Mitry). Dwa są stopnie grzechu Mitry: złamanie słowa i niedotrzymanie umowy (t. zw. zabicia ręki, Handschlag) [2]. W księdze Vendidad słowo Mitra jest równoznaczne z pojęciem umowy. Wspaniały hymn do Mitrasa w Khorda-Aweście nazywa go wrogiem tych, którzy nie dotrzymują układu i łamią przysięgi [3]. Mitrze, który nigdy nie kłamie, towarzyszy po prawej stronie »Rashnu« najsprawiedliwszy, po lewej najrzetelniejsza »Mądrość«, a poprzedza go »Przysięga mądrego« w postaci srogiego dzika (cfr. dzik złotoszerstny, poprzedzający nordyjskiego Freyra) [4].

W Boghazkiöj odkryto pomnik, zawierający układ między Chetytami a królem aryjskim Mitani z XIV wieku przed Chrystusem. Jest to najdawniejszy znany ślad historyczny Aryów [5]. Otóż na czele bóstw aryjskich, które wymienione są tam jako stróże układu i poręczyciele przysięgi, stoi Mitra.

Ten przymiot irańskiego boga słońca daje się śledzić także w późniejszych czasach u Persów. Wedle Xenofonta Persowie przysięgali się na Mitrę »μὰ τὸν Μίθρην« [6], podobnie też u Plutarcha: »νὴ τὸν Μίθραν εἶπεν« [7]. Cyrus przysięga się na Mitrę: »Ὄμνυμί σοι τὸν Μίθρην, ὅτανπερ ὑγιαίω« [8], a Daryusz dyktuje eunuchowi Tireosowi

---

[1] Cumont, l. c. str. 3; Spiegel Fr., Avesta, t. II. str. LV.

[2] W księdze Vendidad pyta Zaratustra Ahuramazdę: »Stwórco, ile jest tych twoich Mitrów« (= grzechów Mitry). Rzekł na to Ahuramazda: »Sześć czysty Zaratustro«. Pierwszy popełnia się słowem, drugi zabiciem ręki, etc.

[3] Khorda-Avesta wyd. Spiegel, yaszt 10, 2, 3, 5, 17: Kto oszukuje Mitrę (= łamie umowę, przysięgę), zabija całą okolicę, tyleż zabija wiernych, ile złych; gdyż dla obu jest Mitra (sc. świeci słońce) tak dla złych, jak i dla dobrych. Szybkie konie daje Mitra, który ma wiele pól, tym, którzy nie oszukują Mitry; proste ścieżki toruje ogień Ahuramazdy tym, którzy nie oszukują Mitry.

[4] Tamże, 127.

[5] Meyer Ed., Das erste Auftreten der Arier in der Geschichte (Sitzungsber. der Berl. Akad. d. Wiss. 1908, I.), oraz Winkler, Die Arier in den Urkunden von Boghazkiöj (Orientalische Literaturzeitung, t. XIII. 1910, str. 289).

[6] Xenophont, Cyropaedia, ks. 7. rozdz. 5. w. 53.

[7] Plutarch, Artaxerxes, rozdz. 4.

[8] Xenophont, Oeconom. 4. 24.

takie słowa przysięgi: »εἰπέ μοι σεζόμενος Μίθρου τε φῶς μέγα καὶ δεξιὰν βασίλειον« [1].

Był więc Mitra u starych Persów bogiem przysięgi i zatrzymał ten charakter nawet w systemie Zoroastra, który Ahuramazdę, ogólne bóstwo nieba, wyniósł ponad inne, a Mitrze wyznaczył w panteonie mazdejskim jedno z miejsc podrzędnych.

Jeszcze bardziej zbladła postać Mitry w indyjskiej Wedzie [2], gdzie stosunek tego bóstwa do słońca zaznacza się już tylko słabą reminiscencyą. Podobnie jak Ahura w systemie Zoroastra, w księgach Wedy Waruna wysunął się na czoło hierarchii bogów, usuwając w cień inne bóstwa i jakkolwiek Mitra występuje z nim często w towarzystwie, to jednak postać dawnego boga słońca jest tam tak bezbarwna i blada, że ledwie ślad pierwotnej jego roli daje się tu i ówdzie wykryć [3]. Miejsce jego zajął inny, konkretne kształty mający, realistycznie pojęty bóg słońca — Surya.

Moralne przymioty Mitrasa, które tak wyraźnie występują w hymnach Awesty, przeszły w Wedzie całkowicie na Varunę. Postać tego boga, jak zresztą i etymologia imienia jego nie jest dotąd całkowicie wyświetlona. Wedle jednych Varuna = Οὐρανός jest bóstwem nieba, inni przeciwstawiają go bogu słońca Mitrze, jako bóstwo lunarne [4]. Nie wchodząc w tę sporną kwestyę [5], poprzestanę jedynie na stwierdzeniu, że i atrybucye przysiężne przejął na siebie w zupełności Varuna: w Wedzie wzywa się na świadków przysięgi Varunę, krowy i wody [6].

Widzimy więc, że jeśli chodzi o moralną istotę, a w szczególności o przysiężny przymiot boga słońca, to doznał on u Indoirańczyków podobnego losu, jak u szczepu italo-greckiego. Jak Mitra zatrzymał w Iranie pierwotny charakter bóstwa przysiężnego, który

---

[1] Plutarch, Alexander, 30; por. nadto miejsca z pisarzy armeńskich, przytoczone w Cumonta, Textes et monuments figurés relatifs aux mystères de Mithra, str. 4. Inne przykłady składania przysięgi na słońce w Persyi przytacza z biblii Spiegel Fr., Eranische Alterthumskunde, t. III str. 685

[2] Oldenberg, Religion des Veda, str. 190 i nast.

[3] Tenże, l. c. str. 191.

[4] Tenże, l. c. str. 194, oraz Meyer Ed., Gesch. d. Alterth. I.[2] str. 832.

[5] Pozwolę sobie tylko mimochodem zaznaczyć, że bardziej mi przemawia do przekonania identyfikacya Varuny z niebem. Wskazuje na to między innemi poświęcone mu zwierzę, krowa, która w większości religii (n. p. u Egipcyan) jest symbolem nieba.

[6] Oldenberg, l. c. str. 520.

utracił w Indyach na rzecz Varuny, podobnie Helios w Grecyi cieszył się zawsze zaufaniem przysięgających, podczas gdy w Italii ten przymiot słoneczny wchłonął w siebie Juppiter.

Do szczepu indoeuropejskiego zalicza się dziś także Chetytów [1]. W pobliżu stolicy ich Boghazkiöj odkryto rzeźby, wykute w niszy skalnej, przedstawiające układ króla Chetytów Chattušila z faraonem egipskim Ramzesem II, zawarty około r. 1290 przed Chr. W egipskim przekładzie tego traktatu pokojowego znajduje się formuła przysięgi, którą go umocniono i lista bogów, poręczających jej dotrzymanie [2]. Na czele chetyckich bóstw przysięgi wymieniony jest bóg słońca i bogini słońca, czczona w mieście Arinna, a dopiero na drugiem miejscu występuje Tešub, bóg grzmotów i piorunów, mimo że był głównem i naczelnem bóstwem Chetytów. Na rzeźbie zaś, illustrującej ów układ, znajduje się pieczęć boga słońca i miasta Arinna w postaci tarczy słonecznej. Wskazuje to, że u Chetytów nie główny ich bóg Tešub, ale bóg słońca był bogiem przysięgi [3].

5. Przysięga na słońce u Semitów.

Stając wobec zjawiska, wnikającego — jak przysięga na słońce — w głąb pierwotnych pojęć prawnych, a zarazem w tajniki wierzeń religijnych, nie można ograniczyć badań do jednej tylko grupy etnicznej, narodu, szczepu lub nawet jeszcze obszerniejszego odłamu etnicznego, lecz trzeba wciągnąć w zakres porównawczego studyum inne ludy, bez względu na ich rasę, pochodzenie i stopień kultury, aby stwierdzić, czy i w jakim zakresie dane zjawisko posiada ogólniejszy podkład etnologiczny.

Po indo-europejskim odłamie rasy śródziemnomorskiej na pierwszy plan wysuwa się stary pień semicki, który zarówno ze względu na swe bezpośrednie sąsiedztwo z Aryjczykami, jako też

[1] Meyer E., Geschichte des Alterthums, t. I.[2] wyd. 2. nr. 485. Nowszej pracy E. Meyera, Reich u. Kultur der Chetiter, nie miałem sposobności poznać; por. informujący artykuł Hertiga p. t. Die Hetiter Frage w Deutsche Literaturzeitung 1916 nr. 9.

[2] Zob. Müller Max, Der Bündnisvertrag Ramses II. u. d. Chetiterkönigs (Mitt. d. Vorderasiatischen Gesellsch. 1902, t. V. str. 17 i 39).

[3] Müller, l. c., nie mogąc sobie wytłómaczyć tego faktu, przypuszcza, że to pierwszeństwo boga słońca było »aus Rücksicht auf ägyptisches Verständniss an den Anfang der Götterliste«.

i na dawność swej silnie i daleko promieniującej kultury zasługuje tu przedewszystkiem na omówienie [1].

Wykopaliska babilońskie z ostatnich lat dziesiątków dostarczyły całych archiwów dokumentów klinowych, treści przeważnie prawnej. W ruinach Babilonu, Warki, Larsy, a przedewszystkiem miasta Sippar znaleziono niezmiernie obfity materyał dokumentów prawnych z okresu pierwszej dynastyi babilońskiej (t. zw. dynastyi Hammurabiego 2225—1926 przed Chr.) [2]. Są to w przeważnej części prywatno-prawne umowy (kupna, zamiany, darowizny, małżeństwa, adopcye, etc.), w których strony umacniały zawarte kontrakty przysięgą. Nadto występuje przysięga stron w aktach procesowych, jako środek, służący do wzmocnienia siły prawnej wyroku sędziowskiego.

Przysięgę wykonywano na bogów i to zwykle na dwóch do trzech, oraz na króla. Lokalny charakter religii babilońskiej [3] wycisnął swe piętno i na przysiędze. Babilończycy powoływali przedewszystkiem bóstwo opiekuńcze danego miejsca, ponieważ zaś przeważna część dokumentów z epoki dynastyi Hammurabiego pochodzi z kolebki jej Sippar, którego naczelnem bóstwem był Szamasz, bóg słońca, przeto w kontraktach tych występuje z reguły na pierwszem miejscu to właśnie bóstwo, niekiedy jeszcze w towarzystwie swej małżonki Aji. Trzecim ich towarzyszem był najczęściej babiloński bóg Marduk [4].

Uderzyć nas jednak musi fakt, że nawet po przeniesieniu stolicy królów babilońskich z Sippar do Babilonu, Szamasz nie ustąpił pierwszeństwa Mardukowi, ale wzywany był zwykle nadal na miejscu naczelnem [5].

Nie może także ujść naszej uwagi ta okoliczność, że Szamasz

[1] Do przysięgi u Semitów zob. przedewszystkiem najnowsze gruntowne dzieło Pedersena, Der Eid bei den Semiten (Studien zur Geschichte u. Kultur des Islam. Orients t. III. 1914). Nadto korzystałem z dziełka Mercera S. A., The oath in Babylonian and Assyrian Literature, Paris 1912, z dodatkiem Hommla Fr., Die Schwurgöttin Esch-Ghanna u. ihr Kreis; por. też zestawienia babilońskich bóstw przysięgi u Lindla, Beitr. zur Assyriologie IV. str. 374—385, oraz u Meissnera, Altbab. Privatrecht, passim.

[2] Schorr M., Urkunden des altbabylonischen Zivil- u. Prozessrechts. (Vorderasiatische Bibliothek, Bd. V. 1913).

[3] Por. Jastrow M., Die Religion Babyloniens u. Assyriens, t. I. str. 167.

[4] Por. zestawienia u Mercera, l. c. str. 7.

[5] Por. uwagę Hommla w cyt. dziełku Mercera, str. 47.

zjawia się w przysięgach, składanych w innych miejscowościach, choćby na drugiem, po bóstwie lokalnem, wymieniony miejscu. Tak dokumenty z Warki i z Lagasz [1], które na pierwszem miejscu powołują przy przysiędze lunarne bóstwo opiekuńcze Nannar, na drugiem kładą Szamasza.

Spostrzeżenia powyższe uprawniają do wniosku, że Szamasz był u Babilończyków bóstwem par excellence przysiężnem. Nie mniej też w czasach późniejszych u Assyryjczyków odgrywa Szamasz tę samą rolę. Na Szamasza każe król assyryjski Tiglat-Pileser I (około r. 1100) przysiądz na wierność pokonanemu królowi Naïri'emu [2]. Słusznie tedy podnosi Pedersen, autor gruntownej pracy o przysiędze Semitów, że Szamasz był głównym bogiem przysięgi, a ten charakter jego pozostaje zapewne w związku z etyczną naturą tego bóstwa, jako stróża prawa i sprawiedliwości, »króla sądu«, boskiego sędziego [3].

Szamasz był u Babilończyków (i w ogóle u wschodnich Semitów) bogiem słońca, a głównem miejscem jego kultu były dwie miejscowości w Babilonii: Larsa i Sippar [4]. Mimo wybitnego znaczenia i wysokiego kultu, nie zdobył sobie Szamasz w panteonie babilońskim i assyryjskim naczelnego miejsca. W najdawniejszej epoce (przed Hammurabim) przewyższa go kultem bóstwo księżyca Sin, z którem zazwyczaj w parze, choć na drugiem miejscu, bywa wymieniany. Później w czasach Hammurabiego, z przeniesieniem stolicy państwa do Babilonu, główny bóg tego miasta Marduk, przyćmił Szamasza blaskiem swego kultu. Wreszcie w epoce assyryjskiej bóg Aszur wybił się na czoło panteonu, Szamasz zachował w nim wprawdzie wybitne, ale zgoła nie pierwszorzędne stanowisko.

Jakkolwiek kult Szamasza nie osiągnął u wschodnich Semitów najwyższego znaczenia, to jednak jako bóg słońca zyskał on i utrzymał długo przymiot najwyższego stróża sprawiedliwości i charakter boga przysięgi — jak Helios u Greków lub Mitras u Irańczyków.

Dokumenty babilońskie wspominają niejednokrotnie o szczególnym rytuale, który towarzyszył przysiędze na Szamasza.

W Sippar przysięga odbywała się w świątyni Szamasza, u gło-

---

[1] Zob. Schorr, l. c. nr. 16. 48. 49 etc. (Warka) nr. 265 (Lagasz).

[2] Keilinschriftliche Bibliothek, t. I. 32 nast. i V. 13 nast.; por. też Pedersen, l. c. str. 158.

[3] Pedersen, l. c. str. 157.

[4] Jastrow, l. c. str. 66 i nast., 220 i nast.

wnej jej bramy lub »przed bogiem«, jak się wyrażają dokumenty [1]. To ostatnie wyrażenie każe się domyślać, że składano ją przed wizerunkiem Szamasza lub jego emblemem. W szeregu dokumentów powiedziano niedwuznacznie, że przysięgę wykonywa się »przed emblemem (šurinnu) Szamasza« [2], przyczem niekiedy dodano, iż przysięgający »wyciąga ów emblem« [3]. O jego wyglądzie daje nam pojęcie płaskorzeźba na steli alabastrowej, znalezionej w świątyni Szamasza w Sippar [4]. Wyobrażony jest na niej bóg słońca, siedzący na tronie pod baldahimem i dzierżący w ręku duży pierścień. Nad głową jego trzy symbole astralne: księżyc, słońce i planeta Wenus — przed nim zaś na ołtarzu, umieszczony w ozdobnej osadzie emblemat Szamasza w postaci okrągłej tarczy, symbolizującej słońce. Tarcza, przedzielona na krzyż czterema trójkątami, zbiegającymi się swemi podstawami w jej środku, między niemi zaś wybiegają w cztery strony promienie do obwodu koła. Do ołtarza zbliża się arcykapłan i wiedzie króla, wznoszącego rękę ku bóstwu. Podobny emblemat słońca spotykamy na innych rzeźbach babilońskich i assyryjskich [5].

Otóż nie ulega wątpliwości, że dokumenty prawne z Sippar i Larsy, mówiąc o przysiędze w świątyni Szamasza, składanej przed jego emblemem, mają na myśli taką właśnie, osadzoną na ołtarzu tarczę słoneczną, której przysięgający prawdopodobnie dotykał palcami, a niekiedy miał ją wyciągnąć z osady, co było już rodzajem »ordale«, ile że wydźwignięcie ciężkiego metalowego krążka nie zawsze się udawało [6].

---

[1] Pedersen, l. c. str. 146; Kohler i Ungnad, Hammurabis Gesetz, t. III. str. 258; Schorr, l. c. str. 259 i 348.

[2] Kohler i Ungnad, l. c. t. III. nr. 698. 695. 708. 742; Schorr, l. c. nr. 261. 305.

[3] Kohler i Ungnad, t. III. nr. 716; Schorr, l. c. nr. 287.

[4] Pochodzi ona z czasów króla assyryjskiego Nebupallidina (r. 852 przed Chr.), ale rzeźba wzorowana jest niewątpliwie na starszym oryginale; por. podobiznę u Prutza H., Allgem. Weltgesch. t. I. str. 141 i w innych wydawnictwach illustrowanych historyi Wschodu, n. p. Jastrowa M., Bildermappe zur Religion Babyloniens u. Assyriens, nr. 94.

[5] Por. kamień graniczny z czasów króla Nebukadnesara u Prutza l. c., str. 140.

[6] Kohler i Ungnad, l. c. III. str. 258; Ungnad, Die Deutung der Zukunft bei den Babyloniern u. Assyrern (Der alte Orient t. X. 3. str. 35); Kohler sądzi, że tarcza utwierdzona była w ziemi, natomiast Pedersen, l. c. str. 146, mniema, że w dokumentach jest mowa o zabraniu symbolu do lokalu,

Wpływ Szamasza jako boga przysięgi rozszerzył się i poza granice państwa babilońskiego. W dokumentach elamickich Szamasz bywa często wzywany przy przysiędze obok innych bóstw rodzimych [1].

Przechodząc do zachodniego odłamu Semitów, zwrócę uwagę na przysięgę u Żydów i Arabów.

Żydzi wytworzyli sobie pojęcie jedynego Boga nieba, stapiające w sobie ogół pierwiastków meteorycznych i kosmicznych, nie wyłączając solarnego. Element solarny w postaci Jahwego uwydatnia się bardzo wyraźnie [2]. Pod wpływem kultów postronnych (zwłaszcza fenickiego Baala) ten element solarny niekiedy u szerokich mas wyłaniał się z większą siłą, ale oficyalna religia zwalczała wszelkie przejawy kultu, zagrażające ogólnemu charakterowi boskiemu Jahwego, pana nieba i ziemi [3].

Najdawniejszą przysięgą Żydów, którą nam przekazał Stary Zakon, jest przysięga na niebo. Abraham, przysięgając królowi Sodomy, wzniósł oczy i ręce ku niebu, siedzibie Jahwego [4]. Mojżesz przysięgał na niebo i ziemię [5]. To były najuroczystsze przysięgi, obok nich jednak było w użyciu jeszcze kilka innych form przysiąg [6], ale żadna z nich nie posiadała znamion przysięgi na słońce.

Dopiero w wiekach średnich spotykamy się u Żydów — a co szczególne u Żydów polskich — z przysięgą składaną w tej formie, że przysięgający zwracał się ku wschodowi lub ku słońcu. Najdawniejszy ślad takiej przysięgi spotykamy w śląskiem prawie ziemskiem z roku 1422, które stanowi: »Der Jude sal gekert sin kegen deme ofgange der Sunnen« [7]. Analogiczny przepis zawiera t. zw. »Ius municipale«, czyli prawo miejskie w Polsce, z tą różnicą, że każe przysięgającemu Żydowi zwrócić się w o-

w którym miała być złożona przysięga; przysięgający dotykał jej, zdaniem Pedersena, palcami.

[1] Zwykle Szala, Szamasz i Rukhuratir. Zob. Jastrow, l. c. str. 178 uw. 9.

[2] Vollers K., Die solare Stellung des alttestamentlichen Gottesbegriffes. (Arch. f. Religionswiss. 1906, str. 176 i nast.).

[3] Tak n. p. księga prawa z r. 623 grozi karą ukamieniowania za modlitwę do słońca.

[4] Gen. 14. 22. 23; por. też Frankel, Der Eid bei den Juden i Göpfert, Der Eid.

[5] Ks. Mojż. 5. 30. 19.

[6] Por. The jevish Encycl. pod wyr. Oath.

[7] Gaupp E. T., Das schlesische Landrecht, str. 199.

góle ku słońcu [1]. Stamtąd przedostał się ten przepis do zwodów i kompilacyi polskiego prawa ziemskiego z XV wieku, w szczególności daje się śledzić w dodatku do przywileju Kazimierza Jagiellończyka dla Żydów z roku 1447 (jest to transumpt znanego przywileju Kazimierza Wielkiego) [2], a nadto znajdujemy go w pewnym zwodzie prawa mazowieckiego z połowy XV wieku [3]. Taką to niewątpliwie drogą dostał się ów przepis do ustawodawstwa statutowego i znalazł swój wyraz w konstytucyi króla Aleksandra z r. 1505, stanowiącej, że Żyd przysięgając »ma się obrócić przeciwko słońcu, osobnie od innych i ma stać boso na jednym stołku, przyoblekłszy się płaszczem albo suknią, a czapkę żydowską ma mieć na głowie« [4]. Za pośrednictwem prawa polskiego weszła ta forma przysięgi żydowskiej do ustawodawstwa węgierskiego i mieści się w zbiorze Verböczego t. zw. Tripartitum z r. 1517 [5].

Trudno rozstrzygnąć, jakie jest źródło tej żydowskiej przysięgi na słońce, czy mamy tu do czynienia z lokalnym zwyczajem żydowskim, wykwitłym na tle wzmożonego kultu słońca, czy też z formą, narzuconą Żydom przez ustawodawstwo chrześcijańskie. To ostatnie przypuszczenie wydaje się prawdopodobniejszem, jeśli się uwzględni inne jeszcze akcesorya przysięgi, zmierzające do ośmieszenia i upokorzenia Żyda [6]. Otóż jest możliwem, że narzucono u nas Żydom przysięgę na słońce, jako formę pogańską, utrzymującą się w tym charakterze w świadomości mas, a to w tym celu, aby przeciwstawić ją chrześcijańskiej formie przysięgi, składanej na krzyż Pański.

Analogicznie na Zachodzie, n. p. w Niemczech kazano Żydom

---

[1] Możnaby przypuszczać, że ten przepis dostał się do Jus municipale z saskiego Weichbildu, tymczasem ten przepisuje inną formę przysiędze na słońce; por. Daniels i Grüben, Das sächsische Weichbildrecht (Rechtsdenkmäler des deutschen Mittelalters, I. 1, str. 174). Zresztą trzebaby tu jeszcze przeprowadzić szczegółowe badania nad prawami poszczególnych krajów i miast, aby dojść do źródła tego przepisu.

[2] Bandtkie, Jus Polonicum, str. 20.

[3] Balzer O., Średniowieczne prawa mazowieckiego pomniki z rękopisu petersburskiego (Arch. kom. prawn. t. V. str. 218 i 301): Judeus... debet verti contra solem... etc.

[4] Vol. leg. I. 337.

[5] Tripart. Pars, III. lit. 36 § 1; por. nadto co do tego Scherer J. E., Die Rechtsverhältnisse der Juden in den deutschösterr. Ländern 1901, str. 296.

[6] Scherer, l. c. str. 296.

przysięgać na »kolce« t. j. pierścień wiszący u drzwi synagogi [1]. Wykazaliśmy poprzednio, że przysięga na kolce odrzwi świątyni (»in armilla januae«), jest symboliczną formą przysięgi na słońce, sięgającą w czasy pogaństwa [2]. I tu więc, jak w Polsce, ustawodawstwo chrześcijańskie narzuciło widocznie Żydom pogańską formę przysięgi, w czem może także upatrywało środek do wyplenienia jej z mas ludowych, które przywiązane do tego zwyczaju, mogły go sobie obrzydzić, widząc, że jest udziałem znienawidzonych Żydów.

Mówiąc o przysiędze dawnych Germanów, zwróciliśmy uwagę na szczególną jej formę, mającą również znamię solarne, a polegającą na tem, że przysięgający kreślił na ziemi koło, w którem wygłaszał rotę przysięgi. Otóż analogiczny zwyczaj daje się zauważyć u dzisiejszych Arabów, lecz sięga on początkami swymi niewątpliwie epok bardzo odległych. Arab, mając złożyć przysięgę o wielkiej mocy moralnej, o mocy tak niemal strasznej jak śmierć, kreśli dokoła siebie szablą lub laską trzy koncentryczne koła, dzieląc je niekiedy na krzyż. Ów krąg zowie się u Arabów pierścieniem Dawida lub Salomona [3]. Otóż, jak już wyżej zauważyliśmy, jest ta forma przysięgi, występująca nadto u indyjskich Biharów, prawdopodobnie także odmianą symbolicznego przysięgania na słońce i stanowi reminiscencyę dawnego kultu słońca u Arabów, o którym wspomina jeszcze Herodot [4]. Zresztą przysięgają Arabowie także na niebo i gwiazdę poranną, która poprzedza zjawienie się słońca [5].

Wykazaliśmy rozpowszechnienie i znaczenie przysięgi na słońce u ludów, należących do dwóch pni rasy śródziemnomorskiej, t. j. indoeuropejskiego i semickiego. Pień trzeci, hamicki, reprezentowany przez starożytnych Egipcyan, pomijamy tu z powodu, że dająca się u nich stwierdzić przysięga na słońce, idzie w parze z dominującym tam i przyćmiewającym swym blaskiem inne bóstwa kultem solarnym tak, że źródła tej przysięgi nie podobna oddzielać od sa-

---

[1] Lasch, l. c. str. 61: ein Judeneid konnte im Mittelalter auf den Ring der Synagogentüre geschworen werden; por. Saski Weichbild, Daniels i Grüben, l. c. str. 174.

[2] Zob. wyżej, str. 326 i 331.

[3] Pedersen, Der Eid bei den Semiten, str. 152.

[4] Historya, III. 8.

[5] Pedersen, l. c. str. 227.

mego kultu najwyższego bóstwa słońca [1], podczas gdy dla nas właśnie większe znaczenie przedstawia przysięga na słońce tam, gdzie ono w kulcie nie odgrywa roli naczelnego bóstwa. W tym bowiem razie przyczyny tego zjawiska szukać będziemy poza kultem, w dziedzinie innych pojęć, prawnych i wierzeniowych.

6. Przysięga na słońce u Turków.

Także Turcy, wyznawcy Allaha i proroka jego Mahometa, posługiwali się dawnymi czasy przysięgą na słońce. Fakt ten wyświetla proces, który toczył się w r. 1573 przed sądem podstarościego lwowskiego przeciw Turczynowi Hadziassanowi, podejrzanemu o wywożenie z Polski chłopiąt chrześciańskich [2].

Sprawa miała się tak, że gdy Hadziassan, sługa kupca tureckiego Czelabiego, wiózł traktem gliniańskim towar do Turcyi, na przednim wozie zauważono dwoje chłopiąt chrześcijańskich, a ponieważ było podejrzenie, że Hadziassan zamierza wywieść te dzieci do Turcyi, podstarości gliniański przyaresztował go, chroniąc tem samem przed samosądem wzburzonego żołdactwa i odesłał go do podstarościego lwowskiego, celem wyśledzenia sprawy. Stawiony przed sąd, Turczyn dla okazania swej niewinności oświadczył gotowość prawo uczynić wedle wiary swej tureckiej, na słońce przysiądz i przekleństwo na się wziąć, »aby mię Bóg nie chował i ogniem spalił z nieba, jeślim tego winien«. Pan podstarości przesłuchawszy chłopców, którzy zeznali, że przysiadłszy się po drodze do Glinian, tylko przypadkiem znaleźli się na wozie tureckim, uwzględniając też świadectwa wiarygodnych ludzi o szlachetności i uczciwości Hadziassana, dopuścił, »aby ten Turczyn przysiągł na słońce tą przysięgą, aby go ogień spalił i z majętnością jego, jeśliże winien, z podniesieniem palca ku słońcu, gdyż tak oni zwykli

[1] Por. wspomniane wyżej przymierze Ramzesa II z Chetytami z r. około 1290, gdzie poczet bogów przysięgi otwiera bóg słońca Amon. Müller M., Der Bündnisvertrag Ramses II. u. d. Chetitenkönigs (Mitt. d. vorderasiat. Gesell. 1902, V. str. 17 i 39). Podobnie przysięgę umowną, zwaną sturiosis, składano w Tebach na Amona, jako miejscowe bóstwo słońca; por. Estreicher St. Początki prawa umownego (Rozpr. Akad. Umiej. Wydz. hist.-fil. t. 41. str. 303).

[2] Bardzo ciekawy ten akt wykrył w księgach grodzkich lwowskich Dr. Antoni Prochaska, któremu za życzliwe zwrócenie nań uwagi, składam niniejszem najserdeczniejszą podziękę. Tekst aktu podaję w Dodatku 2.

przysięgać, czego się pan podstarości od Ormian dowiedział«. W myśl tego orzeczenia Hadziassan »podniósłszy dwa palce ku słońcu« przysiągł, jako nie jest winien.

Ze sprawy tu opisanej okazuje się, że w owych czasach przysięga na słońce była u Turków zwyczajem prawnym. Turczyn miał prawo czynić »wedle wiary swej tureckiej«, a dochodzenia podstarościego także stwierdziły, że »oni tak zwykli przysięgać«.

Uderzyć nas musi przedewszystkiem fakt, że przysięga ta określona została wprost jako przysięga na słońce, z czego wynika, że ono jest głównym jej elementem. Forma zewnętrzna przysięgi odpowiada najzupełniej tej, którą stwierdziliśmy u innych ludów: przysięgający wyciąga ku słońcu dwa palce. W treści jej tkwi najwyraźniej moment samoprzekleństwa, ściągającego na głowę krzywoprzysięzcy i jego majętności ogień z nieba. Ów bóg, którego interwencyi wzywa Turczyn przy przysiędze na słońce, ma tedy prócz znamion solarnych charakter gromowładczy (Eliasz, Zeus). Żadnego z tych momentów nie można się już dopatrzyć w postaci mahometańskiego Allaha i stąd wnoszę, że zwyczaj przysięgania na słońce u Turków nie tkwi w Islamie, ale ma źródło nierównie starsze, sięgające pierwotnych wierzeń i pojęć szczepu tureckiego.

7. Przysięga na słońce u ludów pierwotnych.

W dotychczasowych badaniach posługiwaliśmy się prawie wyłącznie materyałem historycznym, pochodzącym z czasów dawnych, gdy omawiane ludy posiadały już znajomość pisma, w którem przekazały nam swe zwyczaje i wierzenia. Na tym stopniu kultury te zwyczaje i wierzenia były oczywiście już także w stadyum wyższego rozwoju, gdy zaś do poznania stadyów wcześniejszych brak nam u tych ludów jakichkolwiek danych, przeto chcąc poznać genezę i wyśledzić początkowy rozwój przysięgi na słońce, zwrócić się musimy do etnologii i wciągnąć w zakres porównawczego badania zwyczaje współczesnych ludów, stojących na niższych szczeblach kultury.

Nie mogąc jednak dla szczegółowej kwestyi, będącej przedmiotem niniejszej pracy, czynić zbyt rozległych badań źródłowych, sięgać do niezmiernie obfitej literatury etnograficznej i podróżniczej, opisującej zwyczaje i obyczaje różnych ludów, rozprószonych po całej kuli ziemskiej, ograniczę się tylko do zestawienia wyników go-

towych już prac z zakresu etnologii prawniczej, przedewszystkiem zaś prac dwóch badaczy, t. j. Posta, autora szeregu dzieł ogólnych z tej dziedziny nauk i Lascha, autora doskonałej pracy o przysiędze z punktu widzenia etnologicznego. Przytoczony więc tu materyał nie ma pretensyi do wyczerpania przedmiotu, ale jest raczej przykładowem zestawieniem dowodów, że przysięga na słońce w różnych fazach swego rozwoju, daje się stwierdzić u wielu, nieraz bardzo odległych od siebie ludów pierwotnych.

Zaczynając od azyatyckich Mongołów, spotykamy bardzo pierwotne formy przysięgi na słońce u Tunguzów i Jakutów.

Tunguz, obwiniony o bezprawie, odprzysięga się, wymachując nożem ku słońcu i wołając: »Jeślim winien, niechaj słońce zeszle na mnie chorobę, którąby we wnętrznościach moich szalała, jak ten nóż« [1].

Jakut, oskarżony o kradzież, musi wykazać niewinność swoją przysięgą własną, którą składa wedle przepisanego rytuału. Czarownik kładzie przed ogniskiem swój bęben, za którym staje obwiniony, zwrócony twarzą ku słońcu i mówi: »Obym wszystko utracił w życiu, co mi jest drogiem: ojca, matkę, żony i dzieci, bydło i życie. Niechaj mój duch pójdzie na wieczne potępienie, jeślim jest winien zarzuconej mi zbrodni«. Potem czarodziej rzuca na popiół masło, a obwiniony, pochyliwszy się nad bębnem, wciąga ustami parę z masła, poczem znów patrząc w słońce mówi: »Jeślim fałszywie przysiągł, odbierz mi twoje światło i twoje ciepło« [2].

Z przysięgą na słońce spotykamy się także w Indyach: Mhairowie (Indye północne) i Pufajowie (Indye południowe) wzywają przy przysiędze słońca. Z ręku wyciągniętą ku słońcu przysięgają także cejlońscy Syngalezi [3].

Malajscy Dajakowie, wzywając przy przysiędze boga Petary, stają pod gołem niebem, twarzą zwróceni ku wschodowi słońca i rzucają zabarwione na żółto ziarna gotowanego ryżu na wschód i na zachód [4].

Bardzo rozpowszechniony jest ten rodzaj przysięgi u ludów,

[1] Post, Ethnologische Jurisprudenz, t. II. str. 481 i Lasch, Der Eid, str. 31.

[2] Post. l. c. str. 479; Lasch, l. c. str. 31.

[3] Lasch, l. c. str. 31.

[4] Tamże.

zamieszkujących wyspy Oceanu Spokojnego. Plemię Wuków i Mairassisów z Nowej Gwinei wzywa przy przysiędze zemsty słońca, domagając się, aby ich spaliło w razie krzywoprzysięstwa. Na wyspach Arn (koło Nowej Gwinei) przywołuje się słońce dla rozstrzygnięcia, kto jest w prawie, względnie mówi prawdę. Na wyspach Sawu, Ceramlaut i Gorong składa się przysięgę pod gołem niebem, z twarzą zwróconą ku słońcu [1].

Słońca wzywają na świadka przysięgi także niektóre szczepy Indyan północno-amerykańskich, n. p. Czarnonodzy i t. zw. Szoszoni [2].

II. Geneza i rozwój przysięgi na słońce na tle wierzeń pierwotnych.

Wynik dotychczasowych rozważań naszych daje się streścić w tem, że przysięga na słońce jest zjawiskiem powszechnem, które, chociaż występuje w rozmaitych formach, daje się stwierdzić u wielu ludów dawniejszych i współczesnych, stojących na niskich szczeblach kultury, w formie zaś przeżytkowej nawet jeszcze w okresach wyższego rozwoju cywilizacyjnego. Na stwierdzeniu jednak powszechności tego zjawiska i zestawieniu paraleli zadanie nasze się nie kończy. Zastanawia przedewszystkiem i domaga się wyjaśnienia sam fakt tej zgodności zwyczaju u różnych ludów, odległych od siebie pod względem przestrzeni czasu i miejsca.

Ta zgodność zjawisk etnologicznych może mieć różne przyczyny, które dadzą się sprowadzić do czterech głównych [3]. Przedewszystkiem może ona mieć swoje źródło w przypadkowości, lecz tu z góry trzeba ją wyłączyć, gdyż niepodobna przypuścić, by identyczne lub przynajmniej analogiczne zjawisko zaistniało w całym szeregu środowisk ludzkich bez współdziałania jakichś naturalnych i głębiej sięgających przyczyn. Nie może też tu być mowy o pierwotnem pokrewieństwie tych zgodnych zjawisk, w tem rozumieniu, że przyczyną ich jest genetyczny rozwój ludów z jednego praszczepu. Tak wytłómaczyćby się dała conajmniej zgodność zwyczaju w obrębie jednego pnia etnicznego, n. p. indoeuropejskiego: stwierdziwszy przysięgę na słońce u Słowian, Germanów, Greków

[1] Post, l. c. str. 481, oraz tegoż autora Grundlagen des Rechts, str. 443.
[2] Lasch, l. c. str. 32.
[3] Meyer R. M., Kriterien der Aneignung (Neue Jahrbücher f. das klass. Altertum, Gesch. u. deutsche Liter. Bd. XVII. 1906, str. 349 i nast. i odbitka).

i Indo-irańczyków, moglibyśmy identyczność tego prastarego zwyczaju odnieść do wspólnego pochodzenia tych szczepów z jednego pierwotnie pnia aryjskiego, ale takie rozwiązanie kwestyi nie wyjaśnia jeszcze genezy samego zjawiska wobec rozpowszechnienia jego u ludów rasowo od siebie bardzo nieraz odległych. Ten wzgląd wyłącza także możliwość przeszczepienia, przeniesienia zwyczaju od jednego szczepu do drugiego. Możnaby to jeszcze przyjąć, gdybyśmy dane zjawisko stwierdzili tylko u dwóch szczepów (n. p. Aryów i Semitów), które pozostawały z sobą w odwiecznych stosunkach i wzajem na siebie oddziaływały, ale znajdując analogiczny zwyczaj u ludów, wprawdzie współcześnie żyjących, ale takich, które nigdy z sobą w żadne stosunki nie wchodziły, lub u takich, które oddziela od siebie przestrzeń całych wieków lub nawet lat tysięcy, o żadnym wpływie i przeszczepieniu tego rodzaju zjawisk mowy być nie może.

Wobec tego szukać trzeba wyjaśnienia stwierdzonej zgodności tylko w identyczności przyczyn, które wywołały dane zjawisko, oraz w analogii warunków, wśród jakich ono się rozwijało [1]. Stare prawo logiczne, że te same przyczyny wywołują jednakie skutki i że te same warunki oddziaływają przy równej dyspozycyi w jednaki sposób, tłómaczy nam zgodność całego szeregu zjawisk historycznych, kulturalnych i językowych, których ani wspólnem pochodzeniem ludów, ani wzajemnym wpływem i przejęciem ich od drugich ludów wyjaśnić nie można.

Na tej drodze prawoznawstwo etnologiczne stara się wyświetlić genezę i rozwój całego szeregu instytucyj prawa pierwotnego, a między innemi i genezę przysięgi [2]. Już u ludów na bardzo pierwotnym stopniu kultury zjawia się przysięga, jako środek, służący do utwierdzenia i zabezpieczenia umów, przyrzeczeń, przymierzy, etc. Pierwotna przysięga ma tedy charakter wyłącznie przyrzekający (promissoryjny), natomiast stwierdzająca (assertoryjna) przysięga oczyszczająca jest na tem najdawniejszem stadyum rozwoju pojęć jeszcze nieznana.

Jak wszystkie stosunki życia człowieka pierwotnego, tak i początki przysięgi tkwią głęboko w sferze wierzeń religijnych i sięgają

[1] Meyer R. M., l. c. str. 368 (24).

[2] Lasch R., Der Eid, seine Entstehung und Beziehung zu Glaube und Brauch der Naturvölker (Studien u. Forschungen zur Menschen u. Völkerkunde, t. V. Stuttgart 1908).

jeszcze epoki preanimistycznej, epoki wiary w potęgę czarów, przy pomocy których człowiek umie wywierać wpływ na siły przyrody i na inne istoty, umie zmusić je do uległości swej woli, obronić się przed ich szkodliwością [1]. Na czary te składają się: 1) silne magiczne słowo w formie zaklęcia, którem człowiek ściąga na siebie lub na drugiego pomyślność (= błogosławieństwo) lub zgubę (= przekleństwo) oraz 2) pewna czynność mistyczna w postaci gestu lub bardziej skomplikowanego obrzędu, który wzmacnia magiczną siłę słowa.

Przysięga w swem pierwiastkowem stadyum rozwoju jest także jedną z takich praktyk czarowniczych. Przysięgający odpowiedniem zaklęciem jakiejś siły przyrody (gromu, słońca, ognia, ziemi) lub jakiegoś przedmiotu (n. p. broni) ściąga na się ich zgubne działanie, na wypadek niedotrzymania obietnicy. Tym sposobem wzbudza on w sobie mistyczną grozę przed skutkami zaklęcia i to go zmusza do dotrzymania zaprzysiężonych obietnic [2].

Zaklęciu przysiężnemu towarzyszy zwykle jakiś gest lub inny obrzęd, najczęściej dotknięcie zaklętego elementu względnie jego surogatu w postaci fetysza lub symbolu [3].

Na tle tych pojęć przysięga na słońce przedstawia się jako jeden ze sposobów zabezpieczenia poczynionych obietnic przy współdziałaniu zaklętej siły słońca i w tym względzie nie różni się ona zasadniczo od tych rodzajów przysiąg, w których analogiczna rola interwenientów przypadła innym siłom przyrody lub zgubnym przed-

---

[1] Lehmann E., Die Anfänge der Religion und die Religion der primitiven Völker (Kultur der Gegenwart I. III. 1. str. 10 i nast.).

[2] Schurtz, Urgeschichte der Kultur, str. 618. Na czarodziejski charakter przysięgi pierwotnej zwrócił już pierwiej uwagę Amira w historyi prawa niemieckiego (w Paulego, Grundriss. d. germ. Phil. II. str. 193), oraz Schrader w dawniejszej pracy Sprachvergleichung u. Urgeschichte t. II.[2] str. 409, oraz nowszej Reallexikon der indogerm. Alterth. (Eid). W naszej literaturze najszerzej omawia z tego stanowiska przysięgę Dr. Przemysław Dąbkowski w pracy p. t. Litkup (Archiwum Naukowe, Dz. I. T. III. z. 2), w dodatku zatytułowanym: O przysiędze i klątwie (str. 56), oraz Dr. St. Estreicher w pracy Początki prawa umownego, l. c. str. 301.

[3] Stąd obok słowiańskiego pojęcia kląć, klęti, klęti se (klątwa, klatba), zjawia się drugie jeszcze pojęcie: przy-sięgać = dotykać, łac. tango; por. Miklosich, Denkschr. d. Wien. Akad. philol. hist. Cl. XXIV. 44. Charakterystyczną w tym względzie jest przysięga, opisana w jednej z komedyi Plauta (Rudens, 2. 45): Gripus: »Tange aram hanc Veneris«. Labrax, »Tango«. Podobnie Hannibal (u Liviusza) przysięga »tactis sacris«.

miotom. Wyraźnie występuje ten charakter przysięgi u nowogwinejskiego plemienia Wuków, którzy przysięgając, zaklinają słońce, aby ich spaliło, górę, aby ich zasypała, broń, aby ich zabiła [1].

Do takich sił przyrody, których interwencyi człowiek pierwotny najczęściej wzywa zaklęciem, należy przedewszystkiem piorun, jako zjawisko groźne, śmiercionośne. Przysięga na grom jest też u ludów pierwotnych bardzo rozpowszechniona i reminiscencye jej dają się śledzić jeszcze na wyższych szczeblach kultury. Grecy przysięgali na Zeusa Keraunosa (= gromowładnego), rażącego krzywoprzysięzcę piorunem [2]; w starożytnym Rzymie przy szczególnie uroczystych przysięgach wzywany był Juppiter-Lapis (kamień symbolizuje tu grom). Być też może, że Zeus-Juppiter w ogóle zawdzięczał tę wybitną rolę, jaką odegrał w przysiędze ludów klasycznych, głównie swemu gromowładnemu charakterowi. Bardzo wyraźnie występują też te reminiscencye w germańskiej przysiędze na Tora (Donnara) i w słowiańskiej na Peruna, trwając w ustach ludu do dziś dnia.

Do elementów częściej wzywanych zaklęciem przysiężnem należy dalej ziemia, czy to jako całość czy w różnych swych częściach i przejawach (góry, rzeki). Przeżytek tego zwyczaju przetrwał w postaci przysięgi składanej w grobie, z darnią na głowie i t. p.[3].

Nie mam zamiaru wyliczać szczegółowo wszystkich żywiołów, sił przyrody i przedmiotów, których dawny człowiek wzywał przy przysiędze zaklęciem. Odsyłając w tym względzie do wyczerpującej pracy Lascha, zajmę się wyłącznie rolą, jaką w tym zakresie odegrało słońce.

W słońcu upatrywał człowiek przedewszystkiem element dobroczynny: źródło ożywczego światła i ciepła, dawcę życia i urodzaju. Ale słońce może człowiekowi także szkodzić nadmiarem gorąca: jego palące promienie, zwłaszcza w okolicach podzwrotnikowych, sprowadzają często zgubną posuchę, a nawet o śmierć przyprawiają [4]. »Sol ingenti ardore torret et incendit omnia« — mówił Rzymianin; podobnie w pieśni serbskiej słońce razi śmiercionośnymi

---

[1] Post, Die Grundlagen des Rechts, str. 443.

[2] Aristoph. Nub. 397: τὸν κεραυνὸν ὁ Ζεὺς ἵησ' ἐπὶ τοὺς ἐπιόρκους.

[3] Por. Kapras J., Mezní přisaha v českém právu, str. 14. U nas i na Litwie lud przysięga: »Niech mię ziemia pożre«; por. Jucewicz, Litwa staroż. str. 302.

[4] Por. Taylor, Cywilizacya pierwotna (w przekł. niem.), t. II. str. 287.

promieniami [1]. Wedle wierzeń ludu polskiego »między słonecznymi promieniami taki się czasem zły trafia, że na co padnie, psuje i niszczy: skała od niego pęka, drzewo usycha, człowiek i bydle choruje albo wrzodu dostaje, owca niechybnie zdycha«. Ten promień złowieszczy zwie się słonecznicą [2]. W wyobraźni ludzkiej przybierają te promienie kształty strzał, któremi demon słońca uśmierca wszelakie stworzenie [3]. Ciekawą reminiscencyę tych pojęć spotykamy w kronice Kadłubka, gdzie na widok Wandy, wyraźnej personifikacyi słońca [4], wojsko niemieckie pada, jakby promieniem słońca rażone, »veluti quodam solis radio repente percellitur«.

Tę szkodliwą moc słońca umie człowiek obrócić przeciw osobie, której zamierza szkodzić. W tym celu ciska na nią przekleństwo, zawierające optatyw lub imperatyw skierowany ku słońcu, aby jej wyrządziło szkodę lub zgubę. Rusin galicyjski klnie tak: »sońce-b tja pobiło«, podobnie ukraiński: »szczob ty skriź sonce prioszow« [5], a Chorwat: »sunce te osvetilo« (= »cztob tebie solnce otomstilo«). Słońce może jednak szkodzić człowiekowi i ujemnie, przez odjęcie mu swego światła. Dlatego klnie chłop ukraiński: »Szczob nad toboju świt ne świtaw i sonce prawiedne ne schodyło« lub »szczob ty ne dyżdaw soneczka prawiednoho pobaczyty« [6].

Wzywając przy przysiędze interwencyi słońca, człowiek samoprzekleństwem ściąga na siebie lub na swe dobra zgubne jego działanie, które także może się przejawić w dwojakim kierunku: dodatnim, niszczącym i ujemnym. Bardzo wyraźnie występuje ten moment w tureckiej przysiędze, w której przysięgający na słońce ciska na siebie przekleństwo wzywając boga, aby ogniem z nieba spalił

---

[1] Vuk, Pjesme, t. I. str. 157.

[2] Łapczyński, Kronika góralskiej chaty. Tyg. illustr. Ser. I. t. 12. str. 51.

[3] Co do Greków por. Roscher, l. c. t. I.[2] str. 1999, co do Persów zob. Avesta, w przekładzie Spiegla, t. III. str. 95. Dla Germanów por. Simrock, Mythologie[2], str. 95; podobnie w serbskiej modlitwie dziewczęcia »vidovnomu Bogu« (= słońcu), który zabija gorzkiemi strzałami. Bogisić, Narodni pjesme, str. 230.

[4] Świadczy o tem taki zwrot (MPH. II. str. 258): Vanda mari, Vanda terrae, aëri Vanda imperet, lub mit o utonięciu w wodach Wisły; podobnie solarny charakter daje się wykazać w mitycznej postaci uśmiercającegó smoka Krakusa, który u Kadłubka ma aureolę słoneczną (ib. str. 255).

[5] Afanasjew, Poet. wozr. t. I. 69.

[6] Tamże, str. 67.

go wraz z majętnością. Podobnie Wuka zaklina słońce, aby go spaliło, Tunguz natomiast, by mu zesłało chorobę, podobnie Bułgar klnie się: »da mi izgori sonce to«. Łotysze przysięgali słowy: »Niechaj zczernieję jak węgiel, rozsypię się jak proch i stwardnieję jako kamień« — oczywiście pod wpływem żaru słonecznego [1]. Lecz człowiek może zmusić słońce także do odjęcia mu swego życiodajnego światła i ciepła. Jakut wzywa słońce, by mu odebrało swe ciepło i światło, podobnie Małorus z Ukrainy klnie się: »szczob meni sonce zajszło«, a Wielkorus: »Cztoby mnie do utra krasnawo sołnyszka nie widat'« [2].

Dopełnieniem i wzmocnieniem magicznej siły zaklęcia słownego jest dotknięcie przedmiotu, na który zamierza się oddziałać zaklęciem. Jeśli tym przedmiotem jest słońce, to dotknięcie może być osiągnięte w dwojaki sposób:

1) Przysięgający wyciąga palce ku słońcu, co w pojęciu człowieka pierwotnego było dotknięciem fizycznem, ile że, podobnie jak dziecko, nie zdaje on sobie sprawy z odległości ciał niebieskich i ulega złudzeniu ich bezpośredniej bliskości.

2) Dotknięcie słońca zastąpić można dotknięciem jego fetysza, którego najczęstszą formą był krążek (tarcza, dysk) lub pierścień. Dotknięcie emblemu słonecznego ma równorzędne znaczenie z dotknięciem słońca samego i w tym względzie można zauważyć zgodność w zwyczajach wielu ludów, że przypomnę rolę, jaką odgrywał krążek słoneczny w babilońskiej przysiędze na Szamasza lub krążki spiżowe, przechowywane w świątyni rzymskiego boga przysięgi Diusa Fidiusa, a wreszcie »kolcze« kościelne (armilla sacra), na które przysięgali Frankowie i Rusini (zob. wyżej).

Tak tedy w tem najdawniejszem stadyum rozwoju pojęć prawnych i religijnych, w epoce czarów i zaklęć, przysięga nie ma jeszcze podkładu etycznego. Niema tu jeszcze mowy o karzącej mocy obrażonego bóstwa. Mająca w tych razach wyniknąć szkoda lub zguba ma swe źródło wyłącznie w woli przysięgającego, który magicznem słowem i gestem zmusza swe otoczenie do ewentualnej interwencyi.

Lecz z czasem w poglądzie człowieka pierwotnego na świat dokonywa się zmiana. Dojrzewająca wyobraźnia ludzka zapełnia

[1] Jucewicz L., Litwa starożytna, str. 302.
[2] Zob. wyżej str. 326.

świat duchami, uposażonymi nadprzyrodzonemi siłami, którym człowiek ulega, od których czuje się zależnym. Zbliża się do nich już nie z rozkazem ale z czcią i błagalną prośbą: w miejsce zaklęcia wstępuje modlitwa, choć forma słów i rytuał zazwyczaj pozostają te same, co pierwej.

W parze z tą doniosłą zmianą w dziedzinie wierzeń religijnych, z powstaniem świata duchów i bóstw, idzie także rozwój pojęć prawnych, od tamtych nieodłącznych [1]. Człowiek nie jest już panem otoczenia, na któreby mógł wywierać wpływ magiczny i zmuszać je do posłuchu. W siłach przyrody widzi on uposażone w przymioty etyczne wyższe istoty, które przysięgą wzywa na świadków prawdy i rzetelności swych słów, ręczycieli swej niewinności, względnie poddaje się ich karzącej sprawiedliwości na wypadek krzywoprzysięstwa lub niedotrzymania umowy. Magiczne zaklęcie biernych sił przyrody ustępuje miejsca uroczystemu wezwaniu czynnej interwencyi bóstwa, tylko jako ślad dawnego zwyczaju pozostaje fizyczne lub symboliczne dotknięcie. W tej fazie przysięga ma charakter sakralny i jest tylko odmianą sądu bożego, ordale — istota ich jest jedna i podłoże wspólne.

Z pośród bóstw, które człowiek powołuje na świadków i gwarantów zaprzysiężonych zeznań i oświadczeń, najczęściej spełnia tę rolę bóstwo słońca, które gdzieniegdzie zyskało stanowisko wyłącznego bóstwa przysięgi, nawet tam, gdzie w dziedzinie mitu i kultu nie zdołało osiągnąć tak dominującego znaczenia lub swój wpływ z czasem straciło. Nowsze badania w dziedzinie mitologii wykazują, że u ludów pierwotnych księżyc zdobył sobie pierwszeństwo przed słońcem [2]. Na wrażliwą wyobraźnię człowieka silniej oddziaływują częste zmiany faz księżyca niż jednostajne zjawisko wschodu i zachodu słońca. Tak n. p. u starych Babilończyków naczelnem bóstwem był lunarny Sin, a przecież nie on, tylko słoneczny Szamasz zyskał przywilej i stanowisko bóstwa przysięgi. Podobnie było u ludów, które na czoło swego panteonu wysunęły ogólniejsze bóstwo nieba, usuwając boga słońca na plan dalszy; mimo to, jak n. p. u Greków lub Irańczyków, bóg słońca nie stracił swego przodują-

---

[1] Kohler J., Recht, Glaube u. Sitte (Zeitschr. f. d. Privat- u. öffentliche Recht der Gegenwart. XIX. 1892, str. 561 nast,).

[2] Ehrenreich P., Die allgemeine Mythologie und ihre ethnologischen Grundlagen (Mythologische Bibliothek, t. IV. 1910, str. 114), oraz prace Sieckego i Hüsinga w temże wydawnictwie.

cego stanowiska w przysiędze. To zjawisko, stwierdzone u całego szeregu ludów, od siebie zgoła niezależnych, ma swój początek w tej właśnie epoce wierzeń i pojęć prawnych, a powszechna zgodność jego wskazuje, że zarówno przyczyny, wywołujące je, były wszędzie te same, jak i proces psychologiczny tym samym rozwijał się torem. W nauce dotąd nie poruszono tej kwestyi i nie zbadano jej porównawczo ze stanowiska etno-psychologii, dlatego pokuszę się o wskazanie pewnych wytycznych, które do rozwiązania jej dopomóc mogą.

Do pojęcia słońca jako bóstwa przysięgi prowadzi skojarzenie szeregu wyobrażeń, jakie człowiek wytworzył sobie o bóstwie słonecznem. Identyczne wrażenia zmysłowe, wywołane tem samem zjawiskiem, działając u ludów pierwotnych na jednakie podłoże psychiczne, wywołać musiały takież same wszędzie wyobrażenia, które skojarzyły się w łańcuch pojęć w sposób prosty i naturalny [1].

W najdawniejszym okresie wierzeń, w epoce preanimistycznej, pojmował człowiek słońce całkiem realistycznie, jako krąg ognisty i błyszczący [2], któremu odpowiada fetysz najczęściej w postaci okrągłej tarczy lub pierścienia [3]. Z chwilą, gdy powstały pojęcia o duchu ożywiającym słońce (jak i inne twory przyrody), otwarte zostały wrota personifikacyi tego zjawiska kosmicznego i to naprzód fizycznej, później także moralnej.

Najprostszem, najłatwiej nasuwającem się umysłowi pierwotnego człowieka było porównanie słońca z okiem. Pojmowanie słońca jako oka nieba jest przejawem niemal powszechnym. W Rigwedzie słońce (Surya, Savitar) zwane jest okiem Waruny i Mitry [4], w Aweście okiem Ahuramazdy [5]; w greckich hymnach orficznych słońce nosi miano: κόσμου τὸ περίδρομον ὄμμα [6], u Owidyusza: »mundi ocu-

---

[1] Por. Schröder L., Über den Glauben an ein höchstes gutes Wesen bei den Ariern. (Wiener Zeitschr. für die Kunde des Morgenlandes, t. 19. str. 1 i nast.).

[2] Liczne reminiscencye w folklorze i w dawnej literaturze, n. p. w Eddzie, gdzie słońce zwane »fagra hvél« = błyszczące koło (Alvissmal, 16) lub przed słońcem stoi tarcza »svalinu« (Grimmismál, 28).

[3] Zob. wyżej, str. 331. 342 etc.

[4] Rigveda, I. 115, VII. 61, X. 37.

[5] Cumont, l. c. str. 3.

[6] Orphica, ed. E. Abel, hymn VIII; podobnie u Hezyoda, Διὸς ὀφθαλμός.

lus [1]. To pojęcie znanem jest także Germanom [2] i Słowianom. Przypomnieć należy w Sielance Szymonowicza: »Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego«, podobnie w ruskiej pieśni słońce zwane »okiem bożem«, a w serbskiej »božim prohlednutim« [3].

To oko słońca patrzy z góry na świat i ludzi, stąd wszystko widzi i wszystko wie. W Rigwedzie bóg słońca jest wszechwidzącym, patrzącym wkoło na cały świat [4], Mitras w Aweście słyszy i widzi wszystko przy pomocy swych tysiąca uszu i dziesięciu tysięcy oczu [5]. U Homera i innych autorów Helios ma najczęściej przydomek ὁ πάντα λεύσων, πανόπτης [6], czemu odpowiada południowosłowiańskie określenie słońca jako »Vida« [7] lub »vidovnego« Boga i przedstawienie go w bajce czeskiej jako złotowłosego dziadka-Wsiewieda [8].

Jako wszechwidzące i wszechwiedzące jest słońce świadkiem wszech działań ludzkich (σκοπός, ὁ πάντ' ἐποπτεύων), na świadka też wzywa je człowiek, gdy chodzi o stwierdzenie jakiegoś zdarzenia, czynu lub cierpienia [9].

Taką drogą wytworzyło się pojęcie słońca jako świadka κατ'ἐξοχήν. Ale równocześnie tworzy się i kształtuje substrat etyczny boga słońca. Tu znów kojarzy się wyobrażenie światła z pojęciem dobra i prawdy. Bóstwo nieskazitelnego światła dziennego (ἁγνὸς θεός, ἀμίαντος) [10], bóg czysty i jasny [11], jest wolnym od wszelkiej skazy i winy, sam wiarygodny (πιστοφύλαξ), prawdę stwarza, prawdą się opiekuje, umów dotrzymania strzeże (Mitras w Aweście),

[1] Metamorph. 4. 228.

[2] Grimm, Mythol. t. 2[4]. str. 585, t. 3. str. 205.

[3] Machal, Nakres baj. slov. str. 39 nast.

[4] Rigv. I. 34. 50, IV. 13, 53.

[5] Avesta, ed. Spiegel, III. str. 80, 85, 87, 92 etc.

[6] Por. też u Homera: ὃς πάντ' ἐφορᾷ καὶ πάντ' ἐπακούει. Pauly-Wissowa, Real-Encykl. d. class. Alterth. pod wyrazem Helios.

[7] Nodilo, Rel. Srba i Hrvata (Rad jugosl. Akad. t. 81. str. 154); Bogišić, Nar. pjesme, str. 230.

[8] Afanasjew, l. c. t. I. str. 67.

[9] Por. Prometeusza, który wzywa na świadka swych cierpień τὸν πανόπτην κύκλον ἡλίου. Pauly-Wissowa, l. c.

[10] Pauly-Wissowa, l. c.

[11] Serbowie nazywają słońce »bog čisti« (Nodilo, l. c. str. 150), a ruskie dziewki modlą się do wschodzącego słońca: »Dzień dobry jasne słoneczko! Ty święte, ty jasne, przekrasne, ty czyste, wzniosłe i drogie«. Machal, l. c. str. 39 nast.

zła i kłamstwa nienawidzi; dlatego grzech każdy jest obrazą boga słońca [1]. W hymnie Rigwedy błaga człek słonecznego Suryę, aby wolny od winy mógł stanąć przed obliczem jego [2], a chłop białoruski, mając zamiar wspomnieć o czemś nieczystem, dodaje: »Szanujuczy jasnaho sonca na niebi« [3]. Wobec słońca więc człowiek wstrzymuje się od złego, ono go uczy sprawiedliwości, napomina ku dobremu i oczyszcza z winy [4]. Nikt słońca oszukać i okłamać nie może; Savitar w Wedzie a Mitra w Aweście mają przymiot »nie dających się okłamać« [5], toż samo Owidyusz mówi o słońcu: »Quis Solem fallere possit« [6].

Przed okiem słońca zło się ukryć nie może, słońce je na jaw dobywa, czego przykładem grecki Helios, który wykrył porwanie Persefony i który Hefajstowi wyjawił niewierność Afrodyty [7]. Znana też jest niemiecka bajeczka ludowa o owym czeladniku krawieckim, który zabił Żyda i obrabował go. Żyd umierając powiedział: »Jasne słonko to wyjaśni«. Istotnie po latach słońce go zdradziło: ujrzawszy raz promyk słońca na spodku od kawy, przypomniał sobie owo powiedzenie Żyda i zawołał: »Aha! Chciałobyś wyjawić, ale nie możesz!« Na nalegania żony, aby jej wyjaśnił te słowa, wszystko jej opowiedział, a ona nie omieszkała rozgłosić to sąsiadom, wskutek czego krawca uwięziono. Tak słońce wyjawiło zbrodnię [8].

Z podobnem pojmowaniem spotykamy się u naszego ludu. Niedawno opisały dzienniki fakt następujący: W Woli Batorskiej koło Niepołomic zamordowany został włościanin Fryderyk Brotoń. Gdy żona jego udawała zasmuconą i zapewniała, że umarł śmiercią naturalną, obecne tam kobiety wskazując na nią, jako na spra-

---

[1] U Sofoklesa i Eurypidesa Helios wzdryga się na widok winy Edypa i krwią matki zbroczonego miecza Orestesa. Zob. Pauly-Wissowa, l. c.

[2] Rigweda, VII. 62.

[3] Federowski, Lud białoruski, t. I. str. 143. Podobnie w okolicach Brzeżan mówi w tych razach lud ruski: »Szanuja Boha światłoho i sonce świata«, a w okolicy Lwowa: »Nie obrażając słoneczka i regularności Pańskiej (?)«. Zwrócił mi na to uwagę prof. W. Bruchnalski.

[4] Pauly-Wissowa i Roscher o Heliosie, l. c.; por. też Orphica, VIII. i Hymn o Rigwedzie, IV. 54 i X. 37. W pieśni serbskiej: słońce grije, od grjeha nas mije. Nodilo, l. c. str. 151. Podobnie w hymnie do Szamasza. Jastrow, Religion der Bab. u. Ass. t. I. str. 323 i 427.

[5] Rigveda, IV. 53. Avesta, l. c. str. 87.

[6] Ars am. II. 573.

[7] Roscher, Lexikon, l. c. pod wyr. Helios.

[8] Bracia Grimm, Bajki, t. II. nr. 115.

wczynię zbrodni, mówiły: »Słoneczko cię wyda, boś ty go zamordowała« [1].

Do tej etycznej personifikacyi słońca przyłączają się dawne reminiscencye o szkodliwej dla człowieka jego potędze. Skojarzenie tych wyobrażeń wytworzyło pojęcie o karzącej mocy słońca. Za złe uczynki słońce się gniewa i karze je nadmiarem żaru lub odebraniem swych darów. »Jer je sunce ognjevito, sestru će mi izgoreti« mówi pieśń chorwacka [2]. W pieśni ruskiej słońce gniewa się na ludzi, którzy w niedzielę oddają się pracy [3], u ludu białoruskiego zabicie węża jest zbrodnią, która ściąga gniew słońca [4]. Wyrażenie słowiańskie »pałać gniewem«, »wospyłat' gniewom« nasuwałoby myśl, że poszło od gniewu słońca. Wyobrażenia te przejawiają się także w zaklęciach germańskich, wzywających gniewu i kary słońca na zbrodniarza [5]. Mitra w Aweście, Helios u poetów greckich, Szamasz w hymnach babilońskich występują często w charakterze mścicieli zbrodni [6].

Te wszystkie etyczne przymioty bóstwa słonecznego streszczają się w pojęciu słońca sędziego, słońca sprawiedliwości. Zespolenie idei pradobra i sprawiedliwości ze słońcem daje się śledzić u Platona i u późniejszych mistyków greckich [7]. U Heraklita mamy zrównanie: τὸ δίκαιον = ὁ Ἥλιος, a w hymnach orficznych ma słońce epitet oka sprawiedliwości: ὄμμα δικαιοσύνης [8], czemu odpowiada pojęcie rzymskiego »Solis iusticiae« [9]. Te same określenia spotykamy na Rusi, gdzie słońce w zaklęciach i pieśniach zwane jest »soneczko prawiedne«, »prawiediennyszko« [10], a przysłowie ruskie mówi o słońcu-sędzi: »pered bohom soncem sudice carice« [11].

[1] »Nowa Reforma« z 15 czerwca 1914 r. nr. 277. Zob. Czubryński, Mit kruszwicki, str. 171.

[2] Rječn. kroac. jaz. pod wyr. sunce.

[3] Afanasjew, t. I. str. 67.

[4] Federowski, Lud białoruski, l. str. 255.

[5] Weinhold, Die altdeutschen Verwünschungen, str. 671, oraz Grimm, Myth. I.[1] 14.

[6] Avesta, l. c. str. 82. Roscher i Pauly-Wissowa, l. c. pod wyr. Helios Jastrow, Rel. der Bab. u. Assyrer, I. 427. Erynie zwane były niekiedy córkami Heliosa, Ἡελίου κόραι (Dieterich, Abraxas, str. 96).

[7] Eisler, Weltenmantel, str. 372 uw. 3.

[8] Orphica, l. c. hymn VIII. w. 16.

[9] Por. Cicero, De legibus, I. 7 nast.

[10] Afanasjew, t. I. str. 67.

[11] Tamże.

Wyraźnie też występuje ta rola słońca-sędziego w hymnach do Szamasza babilońskiego:

Ty kierujesz prawem całej ludzkości,
Tyś sprawiedliwym w niebie,
Tyś sprawiedliwą mądrością krajów,
Ty wiesz, co dobre a co złe!
Szamasz szanuje głowę sprawiedliwego,
Szamasz rozdziera złoczyńcę jak rzemień skórzany,
Szamaszu! Tyś towarzyszem Anu i Bela.
Szamaszu! Tyś jest wzniosłym sędzią nieba i ziemi [1].

Towarzyszkami Szamasza są Kettu i Meszara, personifikacye prawa i sprawiedliwości (= Themis-Dike, córki Heliosa wzgl. Zeusa).

Jakże pokrewne myśli zawiera hymn do Mitrasa w Khorda-Aweście [2]:

»Mitrasa czcimy, który posiada rozległe pola, Mitrasa prawdę mówiącego, jednającego, który ma 1000 uszu i 10.000 oczu, wielkiego, silnego, czujnego.

»Mitrasa czcimy, który za nikogo nie kłamie, ale gdy go kto okłamuje... tego niszczy gniewny...

»Po jego prawicy jedzie Rashnu najsprawiedliwszy, najświętszy, po lewicy zaś jedzie Mądrość najsprawiedliwsza, niosąca dary, czysta, biała, podobna mazdejskiemu prawu.

»Przodem jedzie silna przysięga mędrca, w dobrej postaci dzika atakującego, uzbrojonego ostrymi kłami«.

Ślady tych wspólnych wielu ludom pojęć o słońcu sprawiedliwości, słońcu stróżu prawa, odźwierciedlają się w urządzeniach i praktykach sądu oraz przewodu sądowego. Wykażemy porównawczo, że sąd i proces odbywały się dawniej wszędzie pod znakiem słońca i oryentacyi.

W Grecyi Helios był opiekunem sądów, jak wskazują wyrazy używane na oznaczenie sądu, sądzenia i sędziów: ἡλιαία, ἡλιάζεσθαι, ἡλιαστής [3]. Ta sama rola opiekuna sądów przypadła tam w udziale drugiemu bóstwu słonecznemu, Apollonowi »Lykosowi (= świetlistemu), patronowi attyckiego heliasty« [4].

[1] Jastrow, l. c. I. str. 427 i nast.
[2] Avesta, tłóm. Spiegel, t. III. str. 79 i nast.
[3] Usener, Götternamen, str. 215.
[4] Tamże, str. 214.

Sędzia grecki sądził zwrócony twarzą ku słońcu: ἡλιάσει πρὸς ἥλιον — jak czytamy w »Osach« Arystofanesa [1]. Podobnie wiemy o starych Bityńczykach, że tam sędzia wyrokujący siedział naprzeciw słońca: Βιθυνοὶ δίκας ἐδίκαζον καθεζόμενοι ἀντίοι τοῦ ἡλίου, ὡς ἂν ὁ θεὸς ἐποπτεύοι [2].

U Germanów sądy odbywały się pierwotnie pod gołem niebem, gdy zaś później zaczęto odbywać je pod dachem, to przecież, gdy miał być wydany wyrok potępiający, sędziowie i ławnicy wychodzili z budynku sądowego na wolne miejsce, pod gołe niebo i zwróciwszy się ku słońcu, z odkrytą głową, ogłaszali wyrok [3]. W Hamburgu aż do r. 1842, t. j. do wielkiego pożaru, który zniszczył stary gmach sądu, sala, w której zapadały wyroki, miała u góry otwór, przez który wpadało do wnętrza światło słoneczne [4]. Budynek sądowy u Germanów był »zoryentowany«: wejście do sądu było od wschodu, sędzia siedział w stronie zachodniej, twarzą zwrócony ku wyjściu, t. j. ku wschodowi [5]. Po obu jego stronach, nieco niżej, siedzieli ławnicy, przed nimi zaś stawały strony procesowe tak, że oskarżyciel zwrócony był twarzą ku południowi, a oskarżony ku północy. Przy wszystkich ważniejszych czynnościach sędziowie germańscy zwracali się twarzą ku słońcu, tak przy gajeniu sądu, ordaliach, odbieraniu przysięgi, wydawaniu wyroku [6].

Z tych samych względów praktyki sądowe ograniczone były pod względem czasu trwania zachodem słońca, niektóre zaś musiały się odprawić jeszcze przed południem. U starych Indów procesy miały być odbywane przed południem, ordalia zaś przeprowadzano rano, tylko ordale wody w południe [7]. Sąd germański zwał się »taga-dinc«, bo musiał się odbyć w dzień przed zachodem słońca. Jeśli pozwany się nie jawił, powód przeczekawszy do zachodu słońca, zakładał z powodu nieobecności drugiej strony protest, który miał skutek prawny na przyszłość i otrzymywał od sądu odpowiednie poświadczenie. Nazywało się to w procesie frankońskim »solsatire«

[1] Usener, Götternamen, str. 196. Podobnie u Indów sędzia siedzi zwrócony ku słońcu. Kohler J., Altindisches Processrecht, str. 10.

[2] Usener, str. 194.

[3] Tamże, str. 182.

[4] Tamże.

[5] Grimm, Rechtsaltertümer, t. II. 430.

[6] Tamże, II. str. 438. Bodmann, Rheingauische Altert. str. 614.

[7] Kohler J., Altindisches Processrecht, str. 14.

(= Sonnesetzen) [1]. Podobnie pozew, pojedynek sądowy, przysięga i wykonanie kary, musiały się odbyć przed zachodem słońca [2]. Z tem samem spotykamy się u Słowian, także i w Polsce. Sądy trwały u nas »do nieszporów« [3], czyli do zachodu słońca. Do tej pory czekała strona jawiąca się na nieobecnego przeciwnika [4]. Statut Kazimierza Wielkiego ograniczał urzędowanie sądu do godziny dziewiątej czyli do południa, co jednak w praktyce nie było przestrzegane i sądy odbywały się do wieczora [5]. Również pozwy sądowe musiały być u nas doręczone w ciągu dnia, przed zachodem słońca [6], przysięgi zaś odbierano zazwyczaj przed południem [7].

Pewien stary zbiór czeskich zaklęć i zażegnywań zawiera ciekawą radę dla wstępujących w progi sądowe. Zaleca im mianowicie przed wdaniem się w spór powitać słońce słowy: »Vítám tebe jasne slunečko, Krista Pána jasná záře«. Ma to być skuteczny środek do uzyskania pomyślnego wyroku [8].

Odbiegliśmy nieco od właściwego tematu, aby wykazać, jaką drogą dokonało się skojarzenie pojęć etycznych o prawie, sprawiedliwości i sądzie z pojęciem bóstwa słońca. Widzieliśmy, że ewolucya myślowa była tu nader prosta i, jeśli tak można określić, logiczna, tem też tłómaczy się zgodność przejawów jej u wielu ludów, tak, że niema potrzeby szukać przyczyn tej zgodności w zapożyczeniu pojęć innych ludów lub w ich pokrewieństwie etnicznem [9].

[1] Grimm, RA. t. II. 477. Brunner, Grundzüge der deutschen Rechtsgesch.[3] str. 23.

[2] Grimm, l. c. II. str. 62. 441. 531.

[3] To wyrażenie w przekładzie Statutu litewskiego. Arch. kom. praw. t. VII. str. 96.

[4] Por. Helcel, Star. pr. pol. pomn. t. II. nr. 3095, Akta gr. i ziem. t. XVII. nr. 472. 1174.

[5] Tenże, l. c. t. I. str. 56; por. uw. poprzednią.

[6] Tenże, l. c. t. II. nr. 2386.

[7] Tak na Mazowszu. Księga ziemi Czerskiej, str. LXXV. zapiska z r. 1446: jako Mściszek stał na sdanem miejscu, przeglądając świadków, a świadkowie stali i przed południem przysiądz nie chcieli, przez swego pierca przed południem«. Zob. Zwód Goryńskiego (Bandtkie, Jus Polonicum, str. 409); por. też Ulanowski, Forma processus iud. 1553 (Arch. kom. prawn. t. I. str. 276). Podobnie w Czechach (Všehrd II. 17).

[8] Opisał ten rękopis Č. Zíbrt w Světozorze z r. 1889, t. 23. str. 348.

[9] Podobnie tłómaczą się inne przymioty i funkcye słońca, n. p. wpływ

Otóż w tej etycznej personifikacyi słońca, tkwi niewątpliwie także źródło i istota przysiężnego charakteru tego bóstwa. Przysięgający wzywa pomocy bóstwa słońca bądź jako świadka-gwaranta danego zdarzenia lub czynu, bądź jako mściciela w razie krzywoprzysięstwa lub niedotrzymania przyrzeczeń czy umów. Do obu tych ról żaden z uduchowionych tworów przyrody nie kwalifikował się tak dobrze, jak słońce. Rola świadka-gwaranta wynika z wszechwidzącego i wszechwiedzącego przymiotu słońca jako oka nieba, rola zaś karzącego sędziego wypływa z moralnej istoty świetlistego i czystego bóstwa prawdy i sprawiedliwości. Dzięki tym przymiotom słońce, jakkolwiek w kulcie i w micie nie wszędzie zdobyło sobie miejsce naczelne, to jednak z pośród tworów przyrody, których interwencyi pierwotny człowiek wzywał przysiężnem zaklęciem, osiągnęło ono później w przysiędze dominujące znaczenie. Taki Szamasz, Mitra, Helios czy Freyr, mimo, że w swych panteonach podrzędne zajęli stanowiska, pozostali przecież głównemi bóstwami przysięgi.

Tymczasem przychodzi chrześcijaństwo, wnosząc nowe pojęcia religijne i etyczne. Chrześcijaństwo zastaje w cesarstwie rzymskiem wznowiony pod wpływem Wschodu kult słońca. Czy to pod postacią greckiego Apollina, czy egipskiego Serapisa, perskiego Mitrasa, azyatyckiego Attisa, syryjskiego Zeusa z Heliopolis czy z Doliche, wszędzie szerzy się kult światła słonecznego. Szczególnie rozpowszechnionym był kult Mitry ze swemi tajemniczemi misteryami, zawleczony do Rzymu przez legiony, przybywające ze Wschodu. Nie ulega wątpliwości, że kultowi Mitrasa towarzyszyła, tak ściśle z tem bóstwem związana przysięga, na słońce. Równocześnie z szerzeniem się oryentalnych kultów coraz silniej dawała się odczuwać religijna potrzeba ujęcia tych wszystkich sił boskich w jedność wszechwładną [1]. Otóż ta dążność do synkretyzmu z jednej a rozpowszechnienie kultów solarnych z drugiej strony, złożyły się na to wybitne stanowisko, jakie bóg słońca osiągnął w cesarstwie rzymskiem w drugiej połowie III wieku. »Sol invictus« stanął na na czele religii dworu i państwa, przez pół wieku, aż do Konstan-

jego na pracę rolną, na czas powrotu z wyprawy wojennej, termin płacenia czynszów rolnych, rozgraniczenie i dzielenie dóbr (limitacya etc.).

[1] Wissowa, Religion der Römer. Seeck, Untergang der antiken Welt, t. III. str. 115 i nast.

tyna Wielkiego stanowiąc główny przedmiot oficyalnego kultu religijnego.

Dopiero Konstantyn zerwał z kultem widzialnego słońca, a oddał swą cześć niewidzialnemu jego stwórcy. Miejsce »Solis invicti« zajmuje »Sol iustitiae« z proroctwa Malachiaszowego: »Et orietur vobis timentibus nomen meum Sol iustitiae«. Pojęcie słońca sprawiedliwości, wykwitłe na pogańskiem podłożu kultu Heliosa, Sola i Mitrasa, zespala się teraz z ideą Chrystusa [1]. Pierwszy dzień w tygodniu, poświęcony słońcu, staje się dniem Pańskim, a święto »Solis invicti« (25 grudnia) ustępuje miejsca narodzeniu »Światła świata« [2]. W miejsce przysięgi na słońce i na inne pogańskie bóstwa wstępuje przysięga na krzyż — symbol Chrystusa i relikwie świętych.

Nasuwa się tu myśl, którą oczywiście tylko w formie hypotezy rzucić pragnę, że między pogańską przysięgą na słońce a chrześcijańską przysięgą na krzyż może istnieć pewien bezpośredni związek i że tu tem ogniwem mogło być pojęcie »słońca sprawiedliwości«, które wiązano dawniej z pogańskiem bóstwem światła dziennego, a obecnie z osobą Chrystusa. I krzyż, ów symbol Chrystusa, już dawno przedtem u wielu ludów spełniał rolę symbolu słońca. Widzimy go na słonecznym emblemacie Szamasza, na Heliosowym dysku i na berle Apollinowem [3], a niektórzy dopatrują się w t. zw. »labarum«, znaku Chrystusowym, zaprowadzonym przez Konstantyna w armii rzymskiej, związku z kultem słońca [4]. Julian Apostata, wznawiając kult Mitrasa, próbował wprowadzić także przysięgę na słońce [5], ale ta reakcya pogańskiego kultu słońca i związanych z nim praktyk nie miała już trwałych skutków. Zwyciężył Galilejczyk, a przez to i przysięga na symbol »nowego słońca« odniosła zwycięstwo nad starą pogańską formą umacniania słów wiarygodności.

Odtąd krył się kult słońca tylko wśród ludu, a wraz z nim przysięga na słońce długo jeszcze utrzymywała się jako zwyczaj ludowy, daremnie przez Kościół karcony i tępiony. Niewątpliwie była przysięga na słońce bardziej rozpowszechnioną, niżby się to na pod-

[1] Usener, l. c. str. 480.

[2] Tenże, l. c. str. 488.

[3] Encycl. of Relig. and Ethic, pod wyr. Cross.

[4] Rapp, Das Labarum und der Sonnenkult (Sitzber. d. Ver. d. Alterthumsfr. in den Rheinländern, 1866).

[5] Wochenschr. f. klass. Philol. t. XXI. (1904) str. 234 nast.

stawie źródeł wydawać mogło, te bowiem odzwierciedlają nam przeważnie praktykę sądową, gdzie z natury rzeczy przestrzegano przepisów prawa i procesu chrześcijańskiego. W prywatnem jednak życiu odgrywał ten zwyczaj pogański rolę nierównie rozleglejszą, czego ślady przetrwały do dziś dnia w ludowych zaklęciach. W Czechach zaś — jak widzieliśmy — po kilku wiekach chrześcijaństwa, już u samego schyłku średniowiecza, rozgorzał ten przeżytek nowym blaskiem, przypominającym czasy pogańskiego prawieku.

Dodatki.

1. Przysięga na słońce jako przysięga rycerska.

Pozostaje jeszcze do omówienia kwestya, tycząca się pewnej właściwości, jaką przysięga na słońce zyskała w wiekach średnich w Polsce i Czechach.

Mamy tu na myśli ów rycerski charakter, cechujący polską i czesko-morawską przysięgę na słońce. W Polsce jest ona — jak wykazaliśmy na początku — instytucyą »par excellence« prawa rycerskiego; składa się ją »more militari« w tych wypadkach, gdzie chodzi o zmazanie plamy, ciążącej na dobrej czci szlacheckiej i grożącej w przeciwnym razie utratą szlachectwa. Podobnie w Czechach przysięga na słońce była zrazu zastrzeżona wyłącznie szlachcie i dopiero z czasem ustawodawstwo dopuściło stopniowo inne, niższe warstwy społeczne do prawa posługiwania się nią w ograniczonym zakresie.

Przyczyny tego zjawiska szukać należy przedewszystkiem w prawno-społecznem stanowisku rycerstwa, jedynej warstwy, która miała pełną swobodę zarówno w normowaniu, jak i w wykonywaniu własnych praw. Prawo rycerskie, mając niczem nie krępowaną możność rozwoju, mogło swobodnie używać swych odwiecznych praw i skutecznie bronić ich rodzimych pierwiastków przed tępiącym je wpływem prawa kanonicznego i rzymskiego, podczas gdy niższe warstwy, mieszczaństwo i ludność wieśniacza, którym narzucone zostały z zewnątrz normy życia prawnego, mogły tylko pokątnie. w ramach życia prywatnego, korzystać z rodzimych zwyczajów prawnych — »pro foro externo« zaś ściśle przestrzegać musiały obcych duchem pod wielu względami przepisów prawnych. Stąd prawo rycerskie zdołało zachować wiele z dawnego swego

charakteru, mogło utrzymać nawet niektóre pogańskie zwyczaje, sprzeczne z duchem chrześcijańskich praw; przypuścić też można, że rycerstwo dążąc do wyróżnienia się w każdym względzie od innych warstw nierycerskich, najsilniej broniło tych właśnie zwyczajów, które uwydatniały jego charakter społeczny, choćby tylko symbolicznie. Do takich zwyczajów należała także przysięga na słońce. Aby to zrozumieć, trzeba głębiej wniknąć w ideowy związek, jaki mógł łączyć pojęcie rycerstwa z symboliką słońca.

W pojęciu rycerstwa polskiego i czeskiego na pierwszy plan wysuwają się dwa momenty, wyróżniające je wybitnie od innych warstw, nierycerskich: a) nieograniczona wolność osobista, b) pełna własność ziemska. Oba te momenty wiążą się z ideami, jakie człowiek wysnuwał z pojęć o bóstwie słonecznem.

Oddziaływające silnie na wyobraźnię przeciwieństwo światła i ciemności przenosił człowiek na różne inne kategorye pojęć: w sferze moralnej skojarzył z niem przeciwieństwo dobra i zła, w sferze stosunków społecznych pojęcie wolności i niewoli. Słońce jako źródło światła stało się symbolem wolności. Zbiegły niewolnik pozostawał pod opieką słońca. Aristonikos, pretendent do tronu pergameńskiego Attalosa, zwerbował sobie wojsko ze zbiegłych niewolników, których jako obywateli przyszłego wolnego państwa nazwał heliopolitai [1]. Wedle praw germańskich, poddany, który zbiegł swemu panu i schronił się u innego, ma być wydany tylko w tym razie, jeśli pan zażąda wydania go jeszcze przed wschodem słońca, »morgens von sonnenscheine«; jeżeli jednak poddany ów zostanie tam nienagabywany przez pana aż do chwili, w której oświeci go wschodzące słońce, »bysz yn dye sonne überschynet«, pan traci do niego wszelkie prawo i odzyskuje on wolność [2].

Podobnie jak pojęcie wolności, łączył dawny człowiek z wyobrażeniami o boskich przymiotach słońca także pojęcie władania ziemią. Słońce jest panem ziemi i źródłem wszelkich jej darów — ono wydziela ludziom ziemię, więc własność jej bierze początek od słońca. U starożytnych pogląd ten, aczkolwiek już nieco zatarty, nie pozostał bez śladów. Uwydatnia to mit o Stratonie. Tyryjczycy, pozabijawszy swych panów, postanowili wybrać królem z pośród siebie tego, kto pierwszy ujrzy wschodzące słońce. Panowanie osią-

[1] Roscher, Lexikon, pod wyrazem Aristonikos; Usener, Götternamen, str. 183.

[2] Grimm, Weistümer. t. I. 826; Usener, l. c. str. 183.

gnał Straton, który pierwszy dostrzegł promień słoneczny, odbijający się na wierzchołku miasta [1].

Wiara, że słońce wydziela ludziom władanie ziemią, odzwierciedla się także w zwyczaju, jaki przechował się u pasterzy pirenejskich, którzy mając podzielić między siebie łąki, wychodzą w nocy na wysoką górę i modląc się, wyczekują wschodu słońca, poczem dopiero dokonują podziału gruntów [2].

Najwyraźniej jednak występuje ta idea u ludów germańskich. W dobie feudalizmu, który wciągnął w swe kręgi wszystkie warstwy społeczne i ogarnął całą niemal własność ziemską, nieliczne allodya i dziedziczne dobra, należące do ludzi wolnych i niezawisłych od żadnego pana ziemskiego, nazywano lennami słonecznemi (Sonnenlehen) [3]. Tkwi w tem pojęciu mniemanie, że słońce jest źródłem władania ziemią, że ono ją ludziom wydziela, a dobra nikomu niewydzielone są w jego bezpośredniem władaniu, od niego też może je człowiek nabyć; wówczas te dobra są lennem słońca, a ono suwerenem nabywcy (ein frei herschaf an der Sonnen ontfangen). Symboliczne sposoby nabycia takiego lenna opisują nam dawne źródła germańskie. I tak w nordyjskiej sadze rycerz objeżdża przestrzeń, którą ma zawłaszczyć, trzymając w ręku płonącą szczapę drzewną, zwróconą ku słońcu (gegen die Sonne) [4]. W Niemczech znów wjeżdża zawłaszczający wczesnym rankiem do owej posiadłości i skoro tylko ukaże się słońce, czyni ku niemu mieczem w powietrzu trzy krzyże [5]. Wilhelm Zdobywca, wstępując na ziemię angielską i biorąc ją we władanie, zaklął się »na blask boży« (= słońce), że mu jej już nikt wydrzeć nie zdoła [6].

Nie ulega wątpliwości, że te pojęcia były znane i Słowianom, a folklor dostarczyłby tu niejednego przykładu [7]. Otóż własność rycerska w Polsce i w Czechach była w porównaniu z zachodnią takiem właśnie lennem słonecznem. I chociaż samo pojęcie lenna było nam obce, to jednak owe wyobrażenia o stosunku słońca do

[1] Znał ten mit z Justyna Wincenty Kadłubek i przytacza go w swej kronice. MP. II. str. 264.

[2] Menzel W., Das altdeutsche Sonnenlehen. Germania, t. I. str. 66 i nast.

[3] Grimm, RA. t. I. str. 387, Menzel, l. c. str. 63 i nast.

[4] Menzel, l. c.; Usener, Götternamen, str. 183.

[5] Grimm, l. c. I. str. 387.

[6] Lappenberg, Gesch. v. England, t. I. str. 546.

[7] Należy w tym kierunku pogłębić badania niniejsze.

wolnego władania ziemią tkwiły niewątpliwie i w naszem społeczeństwie.

Przypuszczać przeto można, że te właśnie dwa czynniki, t. j. wolność osobista i własność ziemska, które znalazły swój najpełniejszy wyraz w istocie rycerstwa czeskiego i polskiego, zapewniły przysiędze na słońce miejsce pośród instytucyj »iuris militaris«. Jeżeli bowiem naganą czci zagrożone zostało stanowisko i charakter społeczny rycerza, instynkt pierwotny kierował wzrok i rękę jego ku słońcu, choć usta chrześcijańską wyrzekały rotę.

2. Przysięga turecka z r. 1573.

Actum in castro inferiori Leopoliensi die Dominico ante festum S. Margarethe Virginis proximo (12 lipca), A. D. 1573.

Wedle listu urodzonego pana Andrzeja Zglińskiego, podstarościego z Glinian, który pisał, oznajmując urzędowi, że chłopiąt dwoje krześciańskich na wozie formańskiem siedziały, którzy formani do Turek z towarem szli Czelebiejowym, przy których towarach sługa na imię Hadziassan Turek beł, osobliwie jadąc w rydwaniku. A iż podejrzany ten Turczyn beł Hadziassa (sic), żeby on wywoził te dzieci do Tureckiej ziemie i zahamował go ten to podstarości gliniański z towarem i osobę jego w Glinianiech. Tam, iż żołnierze koronni bieżeli, widząc, iż chłopięta chrześciańskie siedziały na wozie formańskim, z onego zahamowania tak beli powstali przerzeczoni żołnierze koronni przeciwko temu to słudze Czelebiego, że mało i towary i sam nie zginął. Ale temu zabiegając, pan Zgliński podstarości gliniański, wziął Turczyna i wozy na zamek i chcąc uhamować te żołnierze na instygacyą pilną żołnierzów tych, dał do więzienia Hadziassana sługę Czelebiego, a potem z pisaniem swym do urzędu lwowskiego do Lwowa tego to Turczyna i z chłopięty odesłał i z formanem Zajdikiem z Kamieńca, na którego wozie te chłopięta siedziały, towar zostawiwszy w Glinianach. A jako dnia dzisiejszego stanąwszy przerzeczony Turczyn, będąc obwiniony o te dzieci, dawał sprawę o sobie na żałobę przerzeczoną o te dzieci (dawał sprawę o sobie), powiedając, że sam osobno w rydwaniku jachał a formani przodkiem szli do Glinian. Tamże jadąc, nadeszły to dwoje chłopiąt na drodze i pobrali ich na wóz bez jego wiadomości i pierwej przyjechali do Glinian a on ich nadścignął, a wten-

czas żołnierze się rzucili. »Ja, iż mię wziął pan podstarości gliniański za to mu wielce dziękuję, boby mnie beli tam roztargali z towarem moim. Iżem tu stanął, proszę, aby mię wolno wypuszczono z towarem moim, bo mi konia z siodłem żołnierz wziął Russian z roty pana Kunatowej. A jam gotow prawo uczynić wedle wiary swej tureckiej na słońce przysiądz i przekleństwo na się wziąć, aby mię Bóg nie chował i ogniem spalił z nieba, jeślim tego winien. A iż też forytarz uczynił formanowi memu, tedy ten tego winien, że je pobrał na wóz, a ten jest z Kamieńca« i prosił listu tenże Turczyn do pana starosty kamienieckiego, aby tam mógł mieć z niego sprawiedliwość, »bo ja przezeń mam te szkody i zahamowania«. A nadto prosił urzędu, aby tych chłopiąt sam pan podstarości pytał osobliwie, z kim jądły i kto ich wziął na wóz. Potem urząd, urodzony Baltazar Ożga, podstarości lwowski, kazał wystąpić Turczynowi i Zacharyaszowi, tłómaczowi miasta Lwowa i pytał chłopiąt, skądby beli; powiedział jeden, »żem jest z Brześcia litewskiego«, a drugi powiedział, »żem jest z Grodka«. A inquisitissime i z groźbą jako dzieci pod biczem pytał ich pan podstarości, kądy się wzięli, a zeszli się z formany. Powiedział ten z Brześcia »żem tu we Lwowie mieszkał, a imię jemu Misko Rusin, żem ta z Wołochy zaszedł do Lwowa ode trzech lat i takem się żywił jako kalika żebrząc«, jakoż urząd widział go kaliką, a potem szedł z miasta do Glinian, żeby kądy służbę miał paść gęsi, albo owce. A ten z Gródka na imię Wojtek mając ośm lat powiedział, »żem ja z Gródka, miałem ojca Bobowskiego, który poszedł precz z Gródka, a matka mi umarła, a takiem poszedł, gdziebym się pożywieł, ludzie mi dawali jeść i pierwejem poszedł ku Glinianom i pogonił mię ten Misiek i tam nas formańczyk wziął. A ten Misko powiedział, gdy nas wozy pogoniły: tedym przy wozie szedł a tego małego formańczyk wziął na wóz«. A urząd pan podstarości lwowski, czyniąc około tego pilność, bacząc tego Turczyna szlachetność, że tu od wielu lat bywał z kupiami, a nie czynił nic takiego, żeby miał być podejrzany w Koronie, ktemu też na siwość jego patrząc, słysząc toż od pana Constantego, celnika ziem ruskich, także też Krzysztofa i Filipa, Ormianow ludzi uczciwych i dobrego zachowania świadectwo o nim dając, znalazł dekretem swem, aby ten Turczyn przysiągł na słońce tą przysięgą, aby go ogień spalił i z majętnością jego, jeśliże winien, z podniesieniem palca ku słońcu, gdyż tak oni zwykli przysięgać,

czego się pan podstarości od Ormian dowiedział. A ten przerzeczony Turczyn wedle dowodu przerzeczonego wyszedszy w (s.) półzamku lwowskiego nizkiego, podniowszy dwa palca ku słońcu przez Zacharyasza tłómacza miasta Lwowa przysięgłego rotę jemu wydającego przysiągł, jako nie jest winien ani o tem wiedział, jako te chłopięta przyszły z tem furmanem do Glinian. A potem pan podstarości słysząc sprawy jego, wolnym go ode wszytkiego uczynił a chłopięta przy sobie zostawił.

(Castr. Leopol. t. 335. p. 638).

Teorya ewolucyjna w świetle współczesnej paleontologii.

Napisał

Józef Siemiradzki.

Dla dzisiejszego pokolenia przyrodników, wychowanych w przeświadczeniu o bezwzględnej słuszności i nienaruszalności zasad teoryi ewolucyjnej w tej postaci, jaką jej nadał Karol Darwin, a zwłaszcza niemieccy jej naśladowcy z Ernestem Haecklem na czele, poruszanie tej sprawy dzisiaj, gdy w »stałość gatunku«, o którą kruszyli kopie przeciwnicy wielkiego Anglika, nikt już nie wierzy, a powolna ewolucya świata organicznego stała się niewzruszonym dogmatem wiedzy przyrodniczej, wydać się może anachronizmem. A jednak poruszenie tej sprawy uważam za niezbędne, ponieważ liczne spostrzeżenia, poczynione w ostatnich lat dziesiątkach w dziedzinie paleontologii, a więc nauki, najbardziej powołanej do poparcia rozstrzygającymi dowodami panujących w biologii poglądów na powolną ewolucyę i stopniowe udoskonalenie świata organicznego, nauki, której Haeckel wspaniałomyślnie wyznaczył gotowe zadanie odkrycia kopalnych form przejściowych pomiędzy ustanowionemi w biologii grupami świata zwierzęcego, podają w wątpliwość wprawdzie nie samą zasadę powolnej ewolucyi świata organicznego, ale dedukcyjne wnioski Darwina i Haeckla o jej istotnych przyczynach. Wśród tłumu zahypnotyzowanych powagą obu tych, nietykalnych dla dzisiejszego pokolenia biologów imion, odzywają się nieliczne dziś jeszcze, ale bardzo poważne głosy rzeczowej krytyki, wskazujące na okoliczność, iż w naukach przyrodniczych bardziej niż gdziekolwiek należy baczyć, aby nie rozpoczynać budowy wielkiej teoryi od dachu, lecz zbadać przedewszystkiem najdokładniej każdą cegiełkę, z której gmach ogólnej teoryi wystawić

mamy. We Francyi Gaudry i Depéret, w Niemczech G. Steinmann podjęli walkę przeciwko słabym stronom współczesnej teoryi ewolucyjnej, wysnutej drogą dedukcyjną — niedopuszczalną w studyach przyrodniczych, z bardzo szczupłego, bo opartego jedynie na znajomości dziś żyjących organizmów materyału, z całkowitem pominięciem faktów, dostarczonych przez geologię i paleontologię, które bagatelizowano, wtłaczając je sztucznie w ramki, ustanowione przez Linné'go, jakkolwiek w tych ramkach wcale dla nich miejsca nie było. Zamiast drogą żmudnych drobiazgowych badań odtwarzać pojedyńcze ogniwa ewolucyjne, takie, jakiemi w chronologicznem następstwie kolejnych epok geologicznych były w istocie, a nie jakiemiby być według Darwina powinny, przez stopniowe nawiązywanie ze sobą poznanych ogniw odtwarzać drobne gałązki, z gałązek zaś składać większe konary przypuszczalnego drzewa genealogicznego, uchwycono się szybszej i łatwiejszej metody domyślenia się drogą dedukcyjną, jakiem to drzewo być musiało i wtłoczenia w system tą drogą stworzony faktów, dostarczonych przez bezpośrednią obserwacyę.

Stosując natomiast metodę indukcyjną, jedynie dopuszczalną w badaniach przyrodniczych, udowodniono wprawdzie istnienie mniej lub więcej rozgałęzionych i różniczkujących się w rozmaitych kierunkach szeregów rozwojowych (mutacyj), nie znaleziono jednak wcale postaci przejściowych pomiędzy poszczególnymi rzędami, gromadami, a nawet częstokroć pomiędzy gatunkami, zaliczanymi do jednego rodzaju, jak tego wymaga Darwinowskie pojęcie teoryi ewolucyjnej.

Poznanie postaci kopalnych podało w wątpliwość zasadnicze podstawy dziś obowiązującej systematyki biologicznej i utworzonych przez Linné'go z małemi tylko późniejszemi zmianami gromad, rzędów, rodzajów etc., zachwiało wiarę w fylogenetyczne znaczenie ich znamion charakterystycznych. Wprowadzone przez Neumayra w miejsce dawnych podziałów pojęcie szeregów mutacyjnych (wyraz ten w biologii używanym bywa w całkowicie innem znaczeniu: nagłych skoków, według teoryi de Vriesa, co zaznaczam celem uniknięcia nieporozumień) poszły w poprzek poprzez rodzaje, rodziny, rzędy i nawet gromady, a tylko największe zgrupowania czyli klasy z pewnemi zastrzeżeniami utrzymać się dały. Okazało się, iż podziałki te, pod względem pedagogicznym bardzo wprawdzie dogodne, są równie dalekiemi od naturalnej systema-

tyki, mającej za zadanie łączyć w jednę grupę postacie, połączone wspólnością pochodzenia, jak daleką od niej była dawno przez botaników zarzucona również Linneuszowska systematyka, oparta na liczbie płatków i pręcików kwiatowych. Okazało się jednem słowem, iż ewolucya świata zwierzęcego, będąca sama w sobie faktem, niepodlegającym najmniejszej wątpliwości, szła w rzeczywistości zupełnie innemi drogami, aniżeli przypuszczał genialny uczony angielski. Fakty, o których dalej mówić mi jeszcze wypadnie, nie potwierdziły wcale istnienia ani »doboru naturalnego«, utrwalającego znamiona »korzystne«, a eliminującego »niekorzystne«, ani też »walki o byt« w tem przesadnem znaczeniu, jakie pojęciu temu nadali niemieccy naśladowcy Darwina, który sam o tem zjawisku daleko oględniej się wyrażał. Wreszcie paleontologia zna wprawdzie liczne przykłady zaniku całych faun lokalnych wskutek przewrotów geologicznych, ale nie zna ani jednego przykładu, świadczącego o doszczętnem wytępieniu choćby najmniejszej grupy zwierzęcej w walce o byt z »lepiej do walki o byt uzbrojonym« przeciwnikiem, z jedynym wyjątkiem najnowszego okresu dziejów ziemi, w którym na widownię świata wystąpił jedyny radykalny tępiciel zwierzęcego świata — człowiek.

Na odkryciach paleontologii teorya ewolucyi nic nie straciła— przeciwnie zyskała nowe trwałe podstawy, ale, z całym naciskiem podnieść to należy, wszystkie nowoczesne spostrzeżenia w tej dziedzinie skierowują sprawę przyczyn zjawisk obserwowanych na tory, jakie nauce wytknęli niesłusznie zapomniani, a piszący na 50 lat przed Karolem Darwinem, uczony francuski, współczesny Cuvierowi Jan Lamarck, Izydor Geoffroy St. Hilaire i wreszcie rodzony dziadek Karola, Erazm Darwin. We wstępie do wielkiego dzieła Lamarcka »Histoire naturelle des animaux sans vertébres« i w znakomitej, z przekonywującą jasnością napisanej pracy »Philosophie zoologique« znajdujemy bardzo starannie opracowane poglądy na przyczyny ewolucyi zwierzęcego świata, jak: wpływ klimatu i otoczenia, zmiana warunków bytu, wpływ zmian geologicznych, przystosowanie się do zmian otoczenia i zwyczajów, rozwój organów przez nieustanne ćwiczenie w pewnym kierunku i zanik takowych wskutek bezczynności i t. p. — do zrozumienia tych zjawisk Karol Darwin bardzo niewiele już tylko mógł dodać. Olbrzymia powaga Cuviera w ówczesnym świecie naukowym była powodem, iż Lamarcka, który zwalczał niedorzeczną Cuvierowską teoryę »katakli-

zmów« uznano za maniaka, a znakomite dzieło jego dopiero w ostatnich latach odgrzebano z pyłu zapomnienia. Lamarck umarł w nędzy, nie zdoławszy pozyskać dla swojej nauki nikogo, oprócz własnej swej córki. Owoce jego pracy naukowej zebrał w 50 lat później Darwin, zbywający swego wielkiego poprzednika we wstępie do »pochodzenia gatunków« kilkuwierszową zaledwie wzmianką.

Zasadniczemi podstawami teoryi ewolucyjnej Darwina i Haeckla są następujące tezy:

1. Linneuszowskie podziały świata zwierzęcego na gromady, rzędy, rodziny i rodzaje są naturalnemi grupami, obejmującemi postacie, pochodzące od wspólnego przodka. Zadaniem paleontologii miało być przeto wyszukanie hypotetycznego pra-kręgowca (Haeckel uważa zań lancetnika), pra-gada, pra-płazu, pra-ryby, pra-ssawca etc., od których drogą różniczkowania i ewolucyi wszystkie inne ssawce, gady, płazy, ryby etc. powstać miały.

2. Poszczególne grupy naturalne świata organicznego, doszedłszy w rozwoju swoim do pewnego maximum, odpowiadającego stadyum starczemu, giną jednocześnie na całej kuli ziemskiej, ustępując miejsca innym postaciom, lepiej w »walce o byt« wyposażonym (podobnie twierdził Cuvier w swoim »discour sur les révolutions du globe terrestre«, że od czasu do czasu jakieś katastrofy niszczyły doszczętnie istniejące organizmy, na których miejsce Bóg stwarzał inne doskonalsze istoty).

3. Główną dźwignią postępu w świecie organicznym jest walka o byt, w której drogą doboru naturalnego, podobnie jak doborem sztucznym w hodowli zwierząt i roślin domowych, utrzymują się odmiany lepiej do tej walki uzbrojone, a giną mniej odporne odmiany.

4. Znamiona korzystne w walce o byt utrwalają się drogą dziedziczności, niekorzystne zaś stopniowo zanikają (organa szczątkowe).

Zmiany geologiczne, klimatyczne i t. p. odgrywają rolę drugorzędną, jedynie jako bodźce, powodujące walkę o byt, i ściśle z tem pojęciem związany dobór naturalny.

Przeciwnie Lamarck, Geoffroy St. Hilaire i Erazm Darwin w tych właśnie przyczynach zewnętrznych widzą główny lub jedyny powód ewolucyi, objawiającej się przez przystosowanie organów zwierzęcia czy rośliny do funkcyj życiowych zarówno odziedziczonych, jak też wynikających z indywidualnie nabytych przyzwycza-

jeń. Tak n. p. trawożerne ssawce, spędzające większą część dnia w postawie stojącej, wytwarzają stopniowo kończyny sztywne, opatrzone kopytami; zwierzęta, zmuszone z jakichkolwiek powodów żyć na drzewach, wytwarzają kończyny chwytne; girafa wydłuża szyję z powodu konieczności żywienia się liśćmi drzew; dzięcioł lub mrówkojad, zmuszony posługiwać się językiem do wyszukiwania pożywienia w szczelinach, mocą ciągłego ćwiczenia przekształcają swój język w znany kształt robaczkowaty i t. d. Zmiany geologiczne, wytwarzające odmienny rozkład mórz i lądów, przemianę klimatu wilgotnego w pustyniowy i odwrotnie, zmiany flory stąd wynikłe, muszą się odbijać na zmianie sposobu życia zwierząt, daną okolicę zamieszkujących, a zmiany te objawiają się rozrostem lub przystosowaniem do nowych funkcyj odpowiednich organów, które, zdaniem Lamarcka, nawet na nowo wytworzyć się mogą wskutek nieustannych wysiłków woli zwierzęcia do spełnienia pewnych funkcyj, wynikających ze zmienionych warunków życia; przeciwnie, organy mniej używane, wskutek braku ćwiczenia stopniowo zanikać muszą, n. p. oczy u Spalax typhlus lub u zwierząt jaskiniowych, ogon u małp starego lądu, nogi u węży i t. p.

Przypatrzmy się teraz bliżej, o ile spostrzeżenia ostatniej doby w dziedzinie paleontologii są zgodne lub nie z zasadniczymi postulatami teoryi ewolucyjnej Darwinowskiej szkoły.

1. Ustanowione przez systematykę zoologiczną podziały świata zwierzęcego są naturalnemi grupami, pochodzącemi od wspólnego przodka.

Istotną wartość istniejących podziałów systematycznych na gromady, rzędy, rodziny, rodzaje i gatunki bardzo jasno wyłożył Lamarck (»Philosophie zoologique« str. 4). Ustęp ten uważam za wskazane przytoczyć w brzmieniu dosłownem, do określenia tego bowiem dzisiejsza nauka ani jednego wyrazu dodać nie jest w stanie:

»Ces sortes de parties généralement employées dans les sciences naturelles sont uniquement des produits de l'art, dont il a fallu faire usage pour ranger, diviser et nous mettre à portée d'étudier, de comparer, de reconnaître et de citer les différentes productions naturelles observées. La nature n'a rien fait de semblable, et au lieu de nous abuser en confondant nos oeuvres avec les siennes, nous devons reconnaître que les classes, les ordres, les familles, les genres et les nomenclatures[1],

[1] Gatunki i odmiany (p. aut.).

à leur égard, sont des moyens de notre invention, dont nous ne saurions nous passer, mais qu'il faut employer avec discrétion, les soumettant à des principes convenus, à fin d'éviter les changements arbitraires, qui en détruisent tous les avantages«.

»Sans doute, il était indispensable de classer les productions de la nature et établir parmi elles différentes sortes de divisions telles que les classes, ordres, familles et genres; enfin il fallait déterminer ce qu'on nomme des especès et assigner des noms particuliers a ces divers genres d'objets. Les bornes de nos facultés l'éxigent et il nous faut des moyens de cette sorte pour nous aider à fixer nos connaissences sur cette multitude prodigieuse de corps naturels, que nous pouvons observer, et qui sont infiniment diversifiées entre eux«.

»Mais ces classifications, dont plusieurs ont été si heureusement imaginées par les naturalistes, ainsi que les divisions et sousdivisions qu'elles présentent, sont des moyens tout à fait artificiels. Rien de tout cela, je le repête, ne se trouve dans la nature, malgré le fondement que paraissent leur donner certaines portions de la série naturelle qui nous sont connues et qui ont l'apparence d'être isolées. Ainsi l'on peut assurer, que parmi ses productions, la nature n'a réellement formé ni classes, ni ordres, ni familles, ni genres, ni espèces constantes, mais seulement des individus qui se succédent les uns aux autres et qui ressemblent à ceux qui les ont produits. Or, ces individus appartiennent à des races infiniment diversifiées, qui se nuancent sous toutes les formes et dans tous les degrés d'organisation et qui chacune se conservent sans mutation, tant qu'aucune cause de changement n'agit sur elles«.

A dalej (str. 6):

»Un ordre établi par la nature existe parmi ses productions dans chaque régne des corps vivants: cet ordre est celui, dans lequel chacun de ces corps a été formé dans son origine«.

Ce même ordre est unique, essentiellement sans division dans chaque règne organique, et peut nous être connu a l'aide de la connaissance des rapports particuliers et généraux qui existent entre les différents objets qui font partie de ces deux règnes. Les corps vivants qui se trouvent aux deux extrémités de cet ordre ont essentiellement entre eux le moins de rap-

ports et présentent, dans leur organisation et leur forme, les plus grandes différences possibles«.

»C'est ce même ordre qui devra remplacer, a mesure que nous le connaitrons, ces distributions systématiques ou artificielles que nous avons été forcés de créer pour ranger d'une manière commode les différents corps naturels que nous avons observés«.

»...on a été d'autant plus longtemps a rechercher l'ordre même de la nature qu'on n'en soupçonnaît même pas l'existence«.

»De là naquirent des classifications de toute sorte, des systèmes et des méthodes artificielles fondées sur des considérations tellement arbitraires, que ces distributions subirent dans leurs principes et leur nature des changements prèsque aussi fréquents qu'il y eût d'auteurs qui s'en sont occupés«.

Agassiz wykazał, iż każde zwierzę w pewnym okresie swego rozwoju posiada znamiona dorosłych swoich przodków. Zasada ta, przeprowadzona konsekwentnie na materyale paleontologicznym, pochodzącym z warstw bezpośrednio po sobie następujących, daje istotnie możność, jak wykazał Neumayr przy klasyfikacyi ammonitów, ułożenia małych grup, połączonych licznemi wspólnemi znamionami morfologicznemi w szeregi mutacyjne, związane ze sobą wspólnem pochodzeniem. Przytem jednak wychodzi na jaw, iż szeregi mutacyjne nie zgadzają się z pojęciem gatunku czy rodzaju. Formy zaliczone według systematyki zoologicznej do jakiegoś rodzaju na podstawie wspólności znamion, uważanych za »pierwszorzędne«, a różniące się jedynie znamionami »podrzędnemi« w ciągu swego rozwoju przechodzą istotnie zgodnie z twierdzeniem Agassiza pewne stadyum, w którem posiadają znamiona postaci dawniej istniejących, ale... znamiona te u gatunków jednego rodzaju bywają często całkowicie różne, wskazując na pochodzenie ich od kilku odmiennych przodków, czyli że pochodzenie wielu rodzajów nie jest monofyletycznem, jak utrzymuje Darwin, lecz polifyletycznem, a znamiona wspólne tym gatunkom, na podstawie których zaliczono je do jednego rodzaju, powstały pod wpływem zewnętrznych nieznanych nam zresztą przyczyn, wytwarzając objawy konwergencyi w pewnym określonym kierunku jakiegoś znamienia, uważanego za cechę rodzajową u kilku form

sobie blizkich, lecz nie posiadających bezpośredniego wspólnego przodka. Znamiona takie, jako nie homologiczne, lecz tylko analogiczne, nie mogą być brane za podstawę klasyfikacyi naturalnej, opartej na wspólnem pochodzeniu od jednego przodka.

Wyraźnego kryteryum, które znamiona mamy uważać za »istotne«, nadające się do klasyfikacyi, które zaś za »przypadkowe«, tak samo jak podstaw do określenia, które z pomiędzy nich są odziedziczonemi po przodkach cechami homologicznemi, a które tylko wytworzonemi indywidualnie pod wpływem zewnętrznych czynników cechami analogicznemi, dostarczył nam nie kto inny, jak sam Karol Darwin (O pochodzeniu gatunków, przekład Bronna, 1869, str. 430): »Przy ustanawianiu ugrupowania gatunków w rodzaje, rodziny i rzędy stosowano bezwiednie, jako podstawę systematyki, stosunki ich pokrewieństwa między sobą. Nie posiadamy wprawdzie pisanych rodowodów, lecz oznaczamy stopień pokrewieństwa według podobieństwa pewnych znamion dziedzicznych. W tym celu wybieramy znamiona takie, które, o ile możemy sądzić, najmniej są dotknięte przez zewnętrzne warunki życiowe: organy szczątkowe w tym celu są może najodpowiedniejsze. Niech to znamię nie wydaje się nam niemającem żadnego znaczenia, jak n. p. zagięty brzeg dolnej szczęki lub sposób sfałdowania skrzydła u owadu, specyalny rodzaj owłosienia lub upierzenia i t. p. Skoro to znamię utrzymuje się u wielu gatunków, zwłaszcza posiadających odmienny sposób życia, staje się bardzo ważnem, ponieważ obecność jego może być wytłómaczoną jedynie jako skutek odziedziczenia po przodkach. Możemy się mylić co do niektórych punktów organizacyi — skoro tylko jednak pewne znamię istnieje u wszystkich postaci pewnej grupy, posiadających najróżnorodniejsze zwyczaje i sposób życia, możemy być przeświadczeni, iż znamię to zostało odziedziczonem. Mogą przeto pewne organizmy różnić się pomiędzy sobą bardzo znacznie, nawet w swoich najważniejszych organach, a jednak być zaliczonymi do jednej kategoryi systematycznej. Uczynić to można zawsze, jeżeli istnieje chociażby najdrobniejszy łącznik, zdradzający ich wspólne pochodzenie. Nawet w takich wypadkach, gdzie dwie postacie ze sobą porównywane nie posiadają ani jednego znamienia wspólnego, są jednak połączone szeregiem form

przejściowych, musimy, pomimo braku wspólnych znamion uznać ich pochodzenie od wspólnego przodka i zaliczyć do jednej gromady«.

Zdawałoby się przeto, iż w myśl powyższych wywodów Darwina systematyka zoologiczna naturalna powinnaby się opierać przedewszystkiem na znamionach szczątkowych, które, jako nieczynne, tylko drogą dziedziczności powstać mogły, lub na znamionach obojętnych, nie dotkniętych bezpośrednio przez zmianę sposobu życia zwierzęcią pod wpływem zmienionych warunków zewnętrznych. Tymczasem widzimy coś wręcz przeciwnego: systematyka dziś obowiązująca opiera się na kształcie zębów, budowie kończyn, miednicy, stopniu rozwinięcia organów rozrodczych [1] — jednem słowem — wręcz przeciwnie, niż żąda Darwin — na znamionach najsilniej dotkniętych przez zmianę funkcyj życiowych, a natomiast o organach szczątkowych, na których znaczenie tak wielki nacisk położył Darwin, wcale się nie mówi. Jakkolwiek Darwin wszędzie kładzie nacisk na monofyletyczne pochodzenie poszczególnych rodzajów i gatunków, to jednak sam daje przykład temu przeczący: pochodzenie psa domowego, uznanego w niezliczonych swych rasach za jeden gatunek (»canis familiaris«), jakkolwiek sam Darwin stwierdza, iż pies domowy został w różnych częściach świata wytworzony przez przyswojenie najróżnorodniejszych gatunków miejscowych psa dzikiego (wilk, szakal, »Canis Azarae« i inn.).

Jeżeli teraz położymy nacisk na niewłaściwość opierania systematyki zoologicznej na organach, spełniających ważne funkcye życiowe, a tem samem najbardziej podległych zmianom funkcyjnym, okaże się wielka nierównorzędność pomiędzy sobą rozmaitych gromad i rzędów ustanowionych, jak Darwin się wyraża »bezwiednie«, jako grupy naturalne o wspólnem pochodzeniu. Zwłaszcza w klasyfikacyi kręgowców nierównorzędność ta jest szczególnie rażącą wskutek całkowitego pominięcia materyału paleontologicznego, który

[1] Ptaki wodne, łażące, biegające, grzebiące, według sposobu życia podzielone łączą w jednę grupę najróżnorodniejsze postacie: papugi, kukułki i dzięcioły — łażące, dropie, strusie i nieloty — biegające, nury, mewy i kaczki — wodne, chociaż wspólnemi ich znamionami są tylko takie, które wynikają z jednakowych warunków życia, dalej torbacze jako naturalna grupa, nietoperze, jeże i krety połączone w jeden rząd owadożernych i t. p. (p. aut.).

pod tym względem bardzo wiele wyjaśnić nam może, podczas gdy opieranie się wyłącznie na formach dziś żyjących, jak to czyni Haeckel, musi doprowadzić do błędnych wyników. Czy można sobie n. p. wyobrazić bardziej różnorodną mieszaninę, jak rzęd torbaczy, połączonych razem jedynie dla tego, iż w swoim rozwoju fylogenetycznym nie przekroczyły pewnego nizkiego stopnia ewolucyi, stojącego na granicy między stadyum rozwojowem gadów i ptaków z jednej, a ssawców z drugiej strony. Oprócz jedynego znamienia — niedorozwiniętej miednicy — odziedziczonej po przodkach z epoki kredowej, czy jest cokolwiek wspólnego pomiędzy kangurem, zaliczanym jeszcze przez Lamarcka do rzędu gryzoni lub wombatem a dydelfami lub wilkiem australskim (Thylacinus)? Znakomity paleontolog francuski, Albert Gaudry, w pomnikowem swem dziele »Enchaînements du monde animal dans les temps géologiques, Mammifères tertiaires« (Paryż 1878), mówiąc o kopalnych szczątkach dydelfów z miocenu Francyi, jako różnicę pomiędzy ssawcami bezłożyskowymi i łożyskowymi podnosi niejednakowy stopien rozwoju, na str. 10 powiada: »leurs foetus sont comparables à des foetus de placentaires ou l'allantoide aurait eu un arrêt de développement«. A zaraz dalej: »Ces mammifères inférieurs ont précédé dans notre pays les placentaires; après y avoir vécu pendant les temps secondaires, ils y sont devenus rares pendant l'époque éocène et ils en ont disparus au milieu de l'époque miocène. Je suppose, que plusieurs d'entre eux sont devenus des placentaires«. Na str. 13 tego samego dzieła Gaudry opisuje takie przejściowe postacie między dydelfami i drapieżcami łożyskowymi (subdidelphes), jak Hyaenodon i Pterodon, których uzębienie jest nadzwyczaj zbliżonem do dzisiejszego Thylacinus, jednak zmiana zębów trzonowych mlecznych na stałe obejmuje jak u ssawców łożyskowych wszystkie zęby, a nie tylko jednę parę, jak u dzisiejszych torbaczy. Ten sam autor na innem miejscu mówiąc o rozwoju ryb powiada wyraźnie: »pendant l'époque crétacée la plupart des poissons ont perdu l'état ganoide pour prendre l'état teléostien«.

Dzisiejsze torbacze nie są przeto rzędem odrębnym, równorzędnym z innymi rzędami ssawców czy też podgromadą odrębną, lecz jedynie zachowanym w Australii i Ameryce południowej przeżytkiem dawniejszego niższego stadyum rozwojowego,

który w innych częściach świata wszystkie ssawce przekroczyły w swej ewolucyi już przed końcem epoki mioceńskiej — przeżytkiem podobnym, jak do dziś w wodach australskich żyjący Ceratodus — w Europie zaginiony od epoki tryjasowej, lub Nowozelandzka Hatteria, podobna do zwierzęcia, które w Europie żyło w okresie permskim.

Wśród zwierząt kopytnych, pomimo pewnej reformy, zaprowadzonej przez wyelimowanie Linneuszowskiego rzędu gruboskórców, pozostało jeszcze sporo postaci o systematycznem stanowisku zupełnie niezrozumiałem, jeżeli opierać się będziemy jedynie na formach dziś żyjących: taką postacią jest Hippopotam, którego zupełną zgodność w zasadniczych kształtach szkieletu i czaszki z eoceńskim rodzajem Coryphodon wykazał Steinmann. Drugim jest mors, którego czaszka najbardziej się zbliża do innego Amblypoda eoceńskiego, Loxolophodon. Trzecim Hyrax, zupełnie niezrozumiały, jeżeli się nie zna całego szeregu form mu pokrewnych z trzeciorzędu Ameryki południowej.

Gryzonie kopytkowe Ameryki południowej nie mają nic wspólnego z gryzoniami starego lądu oprócz kształtu siekaczy i wypukłości łuków jarzmowych, które posiadają również przeróżne południowo-amerykańskie formy kopalne (Toxodontia, Typotheria), a także niektóre torbacze (Diprotodon).

Jeżeli spojrzymy na gromadę gadów i jej podziały systematyczne, uderzy nas znowu ich wielka nierównorzędność. Krokodyle, żółwie, węże, jaszczurki posiadały już charakterystyczne znamiona swoje z domieszką pewnych szczątkowych organów, odziedziczonych po swych tryjasowych przodkach (Stegocephalia, Labirynthodontia) podczas epoki jurajskiej lub nawet dawniej. Co jednak począć z »zaginionymi« rzędami, jak Ichthyosaury, Plesiosaury, olbrzymie morskie Mososaury, wreszcie przeróżne Dinosaury, które do żadnego z istniejących rzędów gadów nie tylko wtłoczyć się nie dają, ale co gorsza, nie mają z nimi ani jednego wspólnego znamienia, przeciwnie zaś posiadają liczne znamiona wspólne, częścią ze ssawcami (dinosauria orthopoda), częścią z ptakami (dinosauria Theropoda).

Olbrzymie mnóstwo tych Dinosaurów zaludniało lądy i wody bezpośrednio przed ukazaniem się wielkich ssawców eoceńskich, nie poprzedzonych obecnością żadnego prassawca, gdyż jedynymi ssawcami, znanymi z epoki przedeoceńskiej aż po górny trias włą-

cznie były jedynie drobne i nieliczne dydelfy (Microlestes antiquus i Amphilestes Broderipi), prawie niczem się nie różniące od dziś żyjącego australskiego Myrmecobius. Trzeba wielkiego zapasu bujnej wyobraźni. ażeby w bardzo krótkim okresie czasu, bo pomiędzy epoką kredową a eocenem, drogą ewolucyi wyhodować z dydelfa tak różnorodne postacie, jak eoceńskie wieloryby (Zeuglodon), olbrzymie trawożerne Amblypoda, pokrewne nosorożcom i hippopotamom, oraz przeróżne zwierzęta częścią kopytne (Hyracotherium, przodek konia), częścią wszystkożerne, podobne do łasic i niedźwiedzi (Phenacodus). Powoływanie się w tej mierze na okoliczność, iż hypotetycznych przodków ssawców eoceńskich dotychczas nie znaleziono z powodu niedostatecznego przeszukania różnych okolic kuli ziemskiej, jeszcze bliżej niezbadanych, możliwem było za czasów Darwina, ale nie dzisiaj, kiedy geologowie przeszukali całą kulę ziemską od równika do biegunów, kiedy we wszystkich krajach nawet napółcywilizowanych. nie wyłączając republik południowo-amerykańskich, a tem bardziej we wszystkich koloniach europejskich, istnieją państwowe zakłady geologiczne i bogato uposażone muzea. Przodków takich, którzyby połączyli wieloryba lub nosorożca z dydelfem, jak sobie życzą ewolucyoniści, nie znaleziono i nie znajdą nigdy, bo takich przeobrażeń w przeciągu tak krótkiego przeciągu czasu żadna »walka o byt« i żaden »dobór naturalny« czy sztuczny wytworzyć nie są w stanie, tak samo jak nie znamy kataklizmu, któryby był w możności z końcem epoki kredowej wszystkie Dinosaury naraz na całej kuli ziemskiej wytępić. O wiele prostszem i racyonalniejszem wydaje mi się natomiast pojmowanie ewolucyi w ten sposób, iż Dinosaury, Stekowce, torbacze i ssawce łożyskowe są kolejno po sobie następującymi stopniami powolnej ewolucyi, podczas której szczątkowe znamiona dawnych przodków, stojących w organizacyi swojej na wysokości, odpowiadającej dzisiejszym gadom, drogą powolnej ewolucyi zanikły, aby ustąpić miejsca znamionom nowym, cechującym ssawce łożyskowe. W ten sposób nie będziemy szukali chociażby nawet jakiegoś jednego Dinosaura, jako przodka wszystkich żyjących dzisiaj ssawców, gdyż każda ich grupa wykształciła się niezależnie od innych, równolegle, przebywając stopniowe stadya ewolucyjne od stadyum niższego, odpowiadającego pojęciu Dinosaurów, do stadyum ssawców łożyskowych. Wówczas nie zadziwi nas konieczność wyprowadzenia genezy pta-

ków również od Dinosaurów, gdyż Dinosaury, z których się wytworzyły ptaki, były całkowicie różne od tych, które dały początek ssawcom, a co więcej, początek ptaków musi być tak samo polyfyletycznym jak ssawców; niepodobna bowiem porównywać budowy szkieletu n. p. strusia, nura i gołębia jako wyprowadzonych z jednego pnia wspólnego.

Rzekomy praptak (Archaeopteryx), znaleziony w warstwach epoki jurajskiej, okazał się w swojej budowie daleko dalszym od jakiejkolwiek grupy ptaków znanych, niż współczesny mu Compsognathus, który wprawdzie piór nie posiadał, lecz budową swoją do ptaków dzisiejszych był znacznie bardziej zbliżony, wiemy zaś, że i dzisiejsze ptaki nie zawsze mają pióra (Apteryx, Kazuar).

Porównanie zwierząt bezzębnych (edentata), zwłaszcza niektórych wytępionych przez przedhistorycznego człowieka postaci, jak Glyptodon n. p. wykazuje uderzające podobieństwo do Dinosaurów, i to w znamionach niewątpliwie dziedzicznych. Nadzwyczaj charakterystyczna jamista budowa kręgów, jaką znamy u Dinosaurów i ptaków, kształty tych kręgów zupełnie podobne jak u Dinosaurów (z żyjących gadów te same znamiona przechowały się tylko u krokodyli), sposób opancerzenia ciała, charakterystyczny, zupełnie nie posiadający znaczenia funkcyjnego, palcowaty wyrostek ku dołowi na łuku jarzmowym, właściwy niektórym Dinosaurom i jeszcze starszym Pareiosaurom z dyasu, zrośnięcie kręgów lędźwiowych i wiele innych szczegółów są tak uderzająco do Dinosauria orthopoda podobne, iż potrzeba bardzo silnego uprzedzenia, aby tego nie dostrzec. »Pour apercevoir les choses, il faut croire à leur possibilité«, jak mówi Marcel Bertrand.

Najbardziej uderzającym przykładem tego rodzaju jest stosunek Ichthyosaurów do delfinów i wielorybów, wykazany bardzo jasno przez Steinmanna. Ichthyosaurus jest uważanym za gada z powodu obecności pewnych znamion pierwotnych, jak foramen parietale, dwuwklęsłość kręgów, sposób osadzenia zębów we wspólnym rowku etc., był jednak niewątpliwie żyworodnem zwierzęciem, a temperatury jego krwi nie znamy. Z drugiej strony delfiny zupełnie w budowie swej podobne do Ichthyosaurów należą wśród ssawców do typów najniższych, rodzajem uzębienia i kształtem mózgu przypominających jeszcze gady. Zachodzić może

pytanie, czy uderzające podobieństwo w szkielecie Ichthyosaurów i delfinów jest istotnem, homologicznem, jak twierdzi Steinmann, czy też pozornem, analogicznem, wytworzonem przez konwergencyę wskutek jednakowego sposobu życia, jak twierdzą biologowie. Odpowiedź na to bardzo prosta: kształt i układ wzajemny kości czaszkowych nie ma nic wspólnego z konwergencyą funkcyjną, a są one u obu zupełnie podobne. Bardzo ważne w tym względzie spostrzeżenie Steinmanna podnieść musimy: oto, jak wiadomo, Ichthyosaury są jedynymi kręgowcami w całym świecie żyjącym i zaginionym, posiadającymi więcej niż 5 palców i bardzo wielką liczbę stawów palcowych (hyperdactylia i hyperfalangia); otóż to samo zjawisko jako organ szczątkowy, nie mogący być w żaden sposób wytłómaczonym przez funkcyjną konwergencyę, dostrzeżono niejednokrotnie także u delfinów. Wreszcie, jeżeli nie uznamy Ichthyosaurów za bezpośrednich przodków delfinów, pozostaną nam dwa naraz niemożliwe do rozwiązania pytania: w jaki sposób rasa Ichthyosaurów, zwierząt silnych, drapieżnych, żyjących w otwartem morzu na całym obszarze kuli ziemskiej w okresie jurajskim i kredowym, mogła tak doszczętnie wyginąć, jak tylko przy katastrofach na lądzie lub wyschnięciu morza na ograniczonej przestrzeni wyobrazićby sobie można? Z drugiej strony, skąd się wzięły od razu, już z początkiem eocenu, drapieżne olbrzymie Zeuglodonty, kiedy jeszcze na lądzie stałym drapieżców innych, jak drobne dydelfy nie było? Co do mnie ani w katastrofalne wyginięcie potężnie rozwiniętej rasy zwierząt morskich jednocześnie na całej kuli ziemskiej, ani w samorodztwo nagle z nieba spadłych delfinów i wielorybów uwierzyć nie mogę, i uważam za rzecz dowiedzioną, iż Ichthyosaury, że użyję wyrażenia Alberta Gaudry o rybach kostołuskich i kościstych: »ont perdu l'état Ichthosauroïde pour prendre l'état Delphinoïde«.

Reasumuję wywody powyższe: gromady i rzędy, ustanowione przez dzisiejszą systematykę biologiczną, nie przedstawiają zamkniętych w sobie, połączonych wspólnością pochodzenia grup, lecz analogiczne stopnie rozwojowe rozmaitych szeregów mutacyjnych: są zatem równie polyfyletycznemi, jak polyfyletycznemi według Darwina są przeróżne rasy psa domowego, wytworzone przez analogiczną ewolucyę, spowodowaną oswojeniem kilku zupełnie różnych gatunków psa dzikiego.

2. Wymieranie grup zwierzęcych po osiągnięciu

najwyższego szczebla rozwoju, jako drugi aksyomat teoryi Darwina, na bardzo również chwiejnych spoczywa podstawach. Gdybyśmy nawet nie chcieli przyznać słuszności argumentom przytoczonym powyżej, wykluczającym możność podobnego uwiądu starczego ras, niema w naturze ostrych granic pomiędzy ogniwami jednego szeregu ewolucyjnego, a tem samem nie mogą wymierać jakiekolwiek rasy czy grupy zwierzęcego świata, lecz, zatracając powoli swoje znamiona, przetwarzać się muszą w organizmy, posiadające wyższy stopień rozwoju fylogenetycznego, jak wspomniane wyżej dydelfy mioceńskie Francyi stopniowo przetwarzają się w drapieżce łożyskowe. Przykłady wymierania całych faun lokalnych wskutek zmiany warunków bytu, spowodowanych przewrotami geologicznymi, są liczne, nie obejmują jednak nigdy ani całej jakiejś »przestarzałej« grupy zwierzęcej, ani nie rozciągają się na cały obszar kuli ziemskiej jednocześnie, tak iż z wyjątkiem wymierania pewnych form lokalnych, pozbawionych możności zmiany miejsca pobytu, zjawisko to sprowadza się do peryodycznych wędrówek pewnych form zwierzęcych z okolic, w których warunki egzystencyi z jakichkolwiek powodów stały się dla nich niekorzystnymi, do innych, bardziej im odpowiadających. Przytem należy wyróżnić trzy pod względem odporności na zmiany warunków lokalnych odrębne kategorye: pierwszą stanowią zwierzęta otwartego morza oraz formy głębinowe, na które zmiany klimatyczne, spowodowane przewrotami geologicznymi, prawie żadnego nie wywierają wpływu; drugą — fauny mórz zamkniętych, odczuwające wszelkie zmiany lokalnego klimatu w daleko większej mierze, niż formy oceaniczne. W faunach takich dostrzegamy dążność do wytwarzania niezliczonego mnóstwa postaci lokalnych, nieznanych gdzieindziej, n. p. zagłębie sylurskie Czech i Kanady, jurajskie zagłębie południowych Niemiec, dzisiejsze morze Kaspijskie lub Bałtyk. Lokalne rasy takie wytwarzają się w różnych miejscach kuli ziemskiej analogicznie, nie może przeto być mowy o tem, aby jakaś grupa świata zwierzęcego, zastąpiona przez mnóstwo różnorodnych ras lokalnych, mogła jednocześnie na całej kuli ziemskiej wyginąć. Jeżeli taki lokalny basen morski wskutek transgresyi geologicznej zostanie osuszonym, to przeważna część właściwych mu postaci lokalnych zginąć musi. I tu jednak należy wyróżnić kilka kategoryj: ponieważ wyschnięcie morza, posiadającego jakieś połączenie z oceanem, nie odbywa się nagle, lecz objawia się stopniowem bądź wysłodzeniem wody (Bał-

tyk), bądź powiększeniem procentu zawartości soli w wodzie (morze Śródziemne), zwierzęta przeto, dla których te zmiany są niedogodne, powoli opuszczają zagłębie pierwotnie zamieszkiwane, przenosząc się do mórz sąsiednich. Zwłaszcza dotyczy to postaci, obdarzonych swobodą ruchów, jak głowonogi, ryby i t. p. Gruboskorupowe natomiast małże i ślimaki, pełzające w ile przybrzeżnym, lub postacie stale przyrosłe, jak korale lub gąbczaki, do emigracyi niezdolne, częścią wymierają stopniowo, częścią przystosowują się do nowych warunków życiowych, wytwarzając w sobie narządy odpowiednie do życia w wodzie limanowej lub słodkiej, n. p. wytwarzają naskórek rogowy na skorupie, zmniejszają ilość wapna potrzebnego do budowy swego pancerza i t. p. Dzisiaj żyje n. p. w Dniestrze ślimak Nerita, którego znajdujemy także licznie w warstwach śródziemnomorskiego miocenu Podola. Pospolite w rzekach naszych skójki (Unio) są według Neumayra niewątpliwymi potomkami pospolitych niegdyś we wszystkich zamkniętych morzach Schizodontów (Myophoria, Trigonia), które uważano za prawie całkowicie wygasłe. Takich »reliktów« morskich biologia zna bardzo liczne przykłady (Bajkalska i Kaspijska fauna n. p.). Trzecią wreszcie kategoryę stanowi fauna lądowa i słodkowodna, najwrażliwsza na zmiany klimatyczne, topograficzne i geologiczne, która też w stosunku do zwierząt morskich wykazuje znacznie szybsze tempo ewolucyjnego rozwoju i przystosowania się do zmian zewnętrznych warunków istnienia, a w razie gwałtownych kataklizmów, jak trzęsienia ziemi, długotrwałe posuchy, powodzie, zatopienie lądów wskutek transgresyj geologicznych—w przeważnej części ginąć musi. I tu jednak, jak w kategoryach poprzednich, niepodobna znaleźć przyczyny, któraby spowodowała wytępienie jakiejś rasy czy grupy zwierzęcej jednocześnie na całym obszarze kuli ziemskiej; zwierzęta lądowe bowiem, obdarzone swobodą ruchów, w razie powolnej zmiany klimatu stopniowo emigrują do lądów sąsiednich, n. p. masowa emigracya wielkich zwierząt kopytnych: słoni, nosorożców, wielbłądów, koni z Ameryki północnej podczas pliocenu, lub także emigracya całej fauny ssawców plioceńskich Europy do Afryki z początkiem oziębienia Europy w epoce lodowej. Jedynie całkowite zatopienie odosobnionego lądu lub długotrwała posucha mogłaby spowodować zupełne zniszczenie fauny lądowej danego obszaru. W tym razie doszczętne wyginięcie tej fauny nie będzie jednak również wynikiem ani uwiądu starczego

przeżytej rasy, ani zwyciężenia jej w walce o byt przez rasę bardziej odporną, ale wyłącznie przyczyn zewnętrznych, klimatycznych i geologicznych. Bezpośrednia atoli obserwacya poucza nas, iż jakkolwiek w teoryi takie masowe wytępienie fauny przez posuchę, zarazy i inne klęski jest możliwem, w rzeczywistości z każdej katastrofy, jak z biblijnego potopu, zawsze pewna część osobników ocalić się zdoła, wetując nader szybko poniesioną klęskę. Na stepach Argentyny i Australii co kilka lat powtarzają się długotrwałe posuchy, powodujące wymieranie milionów koni, bydła i owiec: mimo to jednak po każdej takiej klęsce niezliczone tabuny argentyńskich pampasów szybko się mnożą znowu, chociaż pomoc człowieka w tych wypadkach ogranicza się do zera. Zresztą posuchą dotknięte są w równym stopniu zwierzęta dzikie: Guanaki, jelenie, strusie, których liczba pomimo to wciąż utrzymuje się na jednakowym poziomie. Tak samo zarazy bydlęce, którym w krajach mało kulturalnych, a takimi są wielkie kraje pasterskie, żadnej zapory się nie stawia, nie pozostawiłyby w całej Mongolii i Syberyi ani jednej krowy, gdyby i z takich katastrof zawsze nie ocalała pewna liczba osobników. która nadzwyczaj szybko wyrównywa poniesione w latach klęski straty.

Z jak nadzwyczajną szybkością odbywa się na lądzie różniczkowanie ras zwierzęcych i jak silnie wpływa na nie najmniejsza chociażby zmiana w ukształtowaniu powierzchni danej okolicy, świadczy wymownie bajecznie bogata fauna ptaków i ryb na obu stokach Andów równikowych. Widzimy tam n. p. pośród kolibrów olbrzymie mnóstwo ras tak ściśle terytoryalnie od siebie odgraniczonych, iż każda niemal dolina górska posiada sobie tylko właściwy gatunek kolibra, nieznany o parę kilometrów dalej, w pozornie zupełnie tych samych warunkach otoczenia. Przypomnę taką n. p. Loddigesia mirabilis. ograniczoną do małej dolinki na wschodniej stronie Andów peruwiańskich lub Chaetocercus bombus, znanego tylko w gajach mimozowych przy ujściu Tumbezu, albo zastępcze rasy kolibrów na granicy wiecznych śniegów Chimborazo (Oreotrochilus Chimborazo i Oreotrochilus Pichincha), gdzie dwie zupełnie podobne do siebie, ale różniące się pewnem drobnem lecz stałem znamieniem w ubarwieniu, rasy kolibra są przedzielone od siebie działem wodnym, zaledwie kilkadziesiąt metrów nad poziom regionu ich zamieszkania wzniesionym. Inny gatunek, drobny strzyżyk z rodzaju Thryothorus, żyjący na za-

chodniej stronie Andów Ekwadorskich, od gorących wybrzeży morskich aż po granicę górną lasów, przedstawia pomiędzy odmianą nizinną i górską wszystkie stopniowe przejścia w wielkości, długości dzioba i ubarwieniu, i to przejścia, na określonej wysokości nad poziomem morza zupełnie ustalone, a wykazujące zmienność w kierunku formy nizinnej lub górskiej, w miarę jak się posuniemy o 100 metrów niżej lub wyżej po stoku górskim. Każdy strumyk w Andach Ekwadorskich posiada odmienne, sobie tylko właściwe gatunki drobnych rybek, nieznanych w potoczkach sąsiednich dolin. Fakty powyższe byłyby trudne do wytłómaczenia w świetle walki o byt czy doboru naturalnego, gdyż warunki klimatyczne są tutaj jednakowe, a formy blizkie od siebie całkowicie odosobnione. Dla geologa jednak przyczyna tego zjawiska jest bardzo prostą i łatwo zrozumiałą: oto Andy należą do gór bardzo niedawno wydźwigniętych i dziś jeszcze nieustannie się dźwigających, a wytworzone wskutek powstania potężnego pasma górskiego na pierwotnie jednostajnej równinie o równomiernej równikowej temperaturze zmiany topograficzne wytworzyły konieczność przystosowania się pierwotnej fauny do zmieniających się wskutek stopniowego podnoszenia nad poziom morza warunków klimatycznych; a że zarazem nowopowstające działy wodne pomiędzy górskiemi dolinami wytworzyły dla ptaków takich, jak kolibry i t. p., posiadających bardzo mały zasiąg wznoszenia się ponad poziom okolicy, nieprzebyte zapory, pierwotnie jednakowe formy, znalazłszy się w nowych warunkach życiowych, lecz całkowicie odosobnione od innych osobników tej samej rasy, odbywały ewolucyę swoją w sposób z niemi a n a l o g i c z n y, lecz nie we wszystkich szczegółach z niemi jednostajny, wytwarzając niezliczone mnóstwo nowych ras, których znamiona stopniowo się utrwalały drogą dziedziczności. To samo miało miejsce w nowopowstałych górskich potokach z fauną drobnych ryb, które, nie schodząc nigdy poniżej pewnej granicy hypsometrycznej, nie mają żadnej styczności z rybami sąsiednich dolin i również wytwarzają stopniowo mnóstwo ras odrębnych z pierwotnie jednostajnego typu. Jakkolwiek kolibry i inne drobne ptaki posiadają, jako całość wzięte, zasiąg bardzo rozległy, roi się od nich bowiem zarówno na gorącem wybrzeżu morskiem, jak na granicy wiecznych śniegów Chimborazo, to jednak każda forma czy gatunek, osobno wzięty, posiada nadzwyczaj szczupłe granice rozsiedlenia, nie wznosząc się prawie nigdy powyżej 100 metrów od poziomu zamieszkania sobie

właściwego, a nawet sezonowe ich wędrówki ograniczają się do przestrzeni zaledwie kilku kilometrów. Wzgórze, wzniesione cokolwiek powyżej maksymalnej granicy, do której kolibr pewnego gatunku się wznosić może, stanowi już dla jego rozpowszechnienia nieprzebytą zaporę: żyjąca po drugiej stronie wzgórza rasa zupełnie podobna (zastępcza), odosobniona przez wiele wieków od krzyżowania się z rasą poprzednią, wytworzyła z biegiem czasu pewne drobne znamiona sobie właściwe: odmienną barwę plamki na podgardlu, kształt piórek w ogonie i t. p. Różnice te zaszły tak daleko, iż nawet wówczas, kiedy czynniki denudacyjne zniosły już pierwotną zaporę, rozdzielającą obie rasy, obniżając znacznie pierwotną wysokość dzielącego je wzgórza, rasy te ze sobą się już nie łączą i pozostają nadal terytoryalnie rozdzielone (n. p. Oreotrochilus Chimborazo i Oreotr. Pichincha).

Zjawiska podobne, jak opisane powyżej przykłady wytwarzania nowych ras zwierzęcych w Andach równikowych, musiały się się oczywiście powtarzać i gdzieindziej we wszystkich okresach geologicznych, gdziekolwiek na pierwotnej równinie stopniowo się wytwarzały pasma górskie. dzieląc pierwotnie jednolity pod względem klimatu obszar na klimatycznie odmienne strefy, wskutek czego, tak samo jak dzisiaj na stokach Andów, musiały się wytwarzać niezliczone odmiany czy rasy lokalne, coraz bardziej się oddalające od wspólnego pierwotypu.

3. Przejdźmy teraz z kolei do zagadnienia walki o byt. Należy ubolewać, iż niemieccy naśladowcy Darwina, którzy pojęcie walki o byt w przyrodzie rozwinęli do zupełnego absurdum, przypisując utrzymującej przedziwną równowagę w świecie organicznym przyrodzie tendencye, wynalezione przez Krzyżacką cywilizacyę i czysto pruskie hasło »ausrotten« obwieszczając światu jako nieubłagane prawo natury, nie wniknęli lepiej w ducha swego mistrza i w pojęciu walki o byt nie pozostali raczej na tem stanowisku, na jakiem je postawił sam Darwin.

Walką o byt (»struggle for life«) nazywa Darwin utrzymanie równowagi w przyrodzie, gdzie, tak samo jak w społeczeństwie ludzkiem, obowiązuje prawo Malthusa o znacznie szybszym przyroście istot organicznych, aniżeli środków potrzebnych do ich wyżywienia: stąd konieczność usunięcia nadmiernej ilości organizmów, które wyżyć obok siebie by nie mogły. Według obliczenia Darwina, najmniej ze wszystkich zwierząt płodny słoń z jednej tylko pary

w przeciągu 500 lat wytworzyćby musiał niemniej, jak 15 milionów słoni, gdyby każdy osobnik dożył bez przeszkody przeciętnego wieku i dał przeciętną ilość rozwijającego się bez żadnych przeszkód potomstwa. Każdy organizm posiada dążność do jak największego rozmnożenia się, a pozostawiony sam sobie, w krótkim czasie cały świat by potomstwem swojem zaludnił. Jednakże w życiu zarówno osobnika, jak szczepu zwierzęcego przychodzą co pewien czas jakieś chwile walki z niekorzystnymi warunkami bytu, ograniczające tę dążność rozmnożenia do granic, wymaganych przez równowagę w przyrodzie. Jeżeli te niekorzystne warunki znikną lub chociażby chwilowo zostają usunięte, natychmiast liczba osobników rasy dotkniętej poprzednią klęską wzrasta bardzo szybko. Ostra zima roku 1854 według Darwina wytępiła $^4/_5$ wszystkich ptaków w Anglii — znacznie więcej, aniżeli najstraszliwsze epidemie pomiędzy ludźmi wybuchające, a jednak ubytek ten w latach następnych bardzo szybko się wyrównał. Kilka przykładów ilustruje dalej, w jaki sposób Darwin tę walkę o byt rozumiał: »Roślina, rzucona na granicę pustyni »walczy o byt z suchym klimatem«, co można także wyrazić inaczej: do istnienia potrzebuje pewnej określonej ilości wilgoci w powietrzu. Obecność pewnego gatunku bąka w Paragwaju przeszkadza nadmiernemu rozmnożeniu się bydła rogatego, które nie mogło zdziczeć tak, jak w sąsiedniej Argentynie, gdzie tego bąka niema. Gdyby przeto w Paragwaju rozmnożyły się z jakichkolwiek powodów owadożerne ptaki, niszczące owe szkodliwe bąki, bydło i konie mogłyby się równie obficie rozmnożyć, jak w Argentynie. Kształt kwiatów czerwonej koniczyny jest tego rodzaju, iż pszczoły do wnętrza dostać się nie mogą, a tem samem nie mogą przenosić potrzebnego do zapłodnienia pyłka kwiatowego, czynią to jedynie trzmiele. Myszy zjadają trzmiele, koty niszczą myszy; stąd lepszy urodzaj koniczyny czerwonej w pobliżu osad ludzkich, gdzie jest wiele kotów. Pojedyńcze osobniki tej samej rasy posiadają niekiedy odmienne przyzwyczajenia i gusta, utrwalające się drogą dziedziczności. W Kanadzie n. p. istnieją dwie odmiany wilków: jedne bardziej ociężałe, niższe, chwytają najchętniej owce; inna odmiana, polująca na jelenie, jest wysmuklejsza i ścigła«.

Tyle Darwin... Jakże daleko od tego określenia dążności przyrody do utrzymania równowagi pomiędzy przeróżnymi organizmami, do gloryfikacyi zasady wytępienia słabszych, »posiadających zna-

miona niekorzystne w walce o byt« przez uprzywilejowane, »posiadające znamiona w walce o byt korzystne«!

Bardzo pouczającym przykładem, jakimi są rzeczywiste wyniki walki o byt w przyrodzie, o ile człowiek się do niej nie wtrąca, są stosunki, panujące w olbrzymich obszarach Afryki angielskiej, zastrzeżonych jako »rezerwacye«, w których polowanie jest bezwarunkowo wzbronionem, w porównaniu z sąsiednimi rewirami zaludnionymi, gdzie polowanie na grubego zwierza pozostaje pod kontrolą surowych przepisów rządowych. W rezerwacyach roi się od wszelkiego rodzaju zwierzyny, pomimo obecności muchy tsetse, mnóstwa lwów, lampartów i innych drapieżników. W terenach łowieckich natomiast, mimo znacznego przetrzebienia wielkich drapieżników, girafa jest blizką wymarcia, a natomiast próba ochrony bawołów, jako cenionej zwierzyny łownej, dała w krótkim czasie jako rezultat takie kolosalne rozmnożenie się tych zwierząt, iż stały się klęską ludności osiadłej, i zakaz polowania na nie cofnąć musiano.

Pomiędzy znamionami »korzystnemi w walce o byt« pisano bardzo wiele o t. zw. mimicry, czyli zabarwieniu ochronnem. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego nie tylko ścigana przez lwa gazela posiada piaskową barwę pustyni, ale i ścigający ją lew, posiadając tę samą barwę, może się łatwiej przed swoją ofiarą ukryć. Tak samo białe zabarwianie zwierząt podbiegunowych, obejmuje zarówno kryjącego się w śniegu od prześladowania zająca czy pardwę, jak ścigającego je lisa, niedźwiedzia lub sowę. Znamiona takie, korzystne w tym wypadku zarówno dla ścigającego, jak dla ściganego, w rezultacie przestają być przywilejem ochronnym jednej strony, lecz stanowią jeden z niezliczonych przykładów utrzymywania równowagi w przyrodzie. Że zabarwienie ochronne niezbyt wielką odgrywa rolę w walce o byt, świadczy przykład zebry, która mimo swego jaskrawego zabarwienia, widocznego na otwartym stepie, jak opowiada Roosevelt, w kilometrowej odległości, mimo braku wszelkiej ochrony ze strony człowieka — prawo myśliwskie bowiem nawet w koloniach angielskich pozwala zabijać dowolną ilość zebr i antylop na potrzeby przeżywienia karawany — należy mimo to do najpospolitszych zwierząt afrykańskiego stepu: brak przeto ochronnego zabarwienia w tym wypadku bynajmniej nie zdaje się być dla zebry bardziej »niekorzystnym«, niż dla znacznie mniej licznych, choć ochronnie ubarwionych gazelli. Przykład zebry i gazelli świadczyć

się zdaje, że zjawisko mimicry musi posiadać inne przyczyny, aniżeli skuteczną ochronę przed okiem nieprzyjaciela, istnieją bowiem obok siebie w zupełnie podobnych warunkach żyjące zwierzęta, z których jedne posiadają »ochronne« zabarwienie, inne nie posiadają takowego, a nie można dostrzedz jakiejkolwiek różnicy w ich wzajemnym stosunku liczebnym, przemawiającej na korzyść lepszej ochrony postaci, obdarzonych »ochronnem« zabarwieniem. Sprawa ta przez wielu obserwatorów nowszych, między innymi przez Roosevelta, silnie została zakwestyonowaną, własnego zdania sobie w tej mierze dotychczas wyrobić nie mogłem — jest wiele faktów za i przeciw — zdaje się jednak, iż znamiona mimicry są dla zachowania gatunku w walce o byt obojętne i nie odgrywają w żadnym razie w zachowaniu gatunku tej przesadnej roli, jaką im zwykle przypisują.

Przykładów całkowitego wytępienia pewnych form zwierzęcych wskutek walki o byt z inną, bardziej uprzywilejowaną formą, paleontologia wcale nie dostarczyła. Gdziekolwiek fakty podobne w większym rozmiarze miały mieć miejsce, w rzeczywistości zachodzi fakt powolnej ewolucyi z dawniejszego, niższego, stadyum rozwojowego do nowszego, bardziej udoskonalonego, tylko że ewolucya ta zamiast urywać się w granicach ramek jednego z systematycznych podziałów na rzędy, gromady i t. p., przechodzi zupełnie stopniowo w granice innych ramek: stąd mniemanie o rzekomem wyginięciu pierwszej w walce o byt z drugą. W samej rzeczy trudno w ramach obowiązującej systematyki zrozumieć, jakim sposobem przeróżne zaginione Dinosaury znikają z powierzchni ziemi ściśle na jakiś czas przed ukazaniem się i to nagłem, już zupełnie gotowych, choć o wiele podobniejszych do Dinosaurów, niż do dzisiejszych ssawców istot, zaliczanych do ssawców łożyskowych niemal wyłącznie na podstawie stwierdzonej mniej lub więcej kompletnej zamiany zębów mlecznych na stałe. Jeżeli Dinosaury wyginęły wskutek walki o byt z lepiej od nich przystosowanymi ssawcami, to musiałyby obie te grupy istnieć jednocześnie przez czas jakiś; tymczasem w górnokredowych pokładach, zawierających dinosaury, niema ani śladu jakiegokolwiek ssawca, z którymby te Dinosaury walczyć miały, a znowuż w dolnoeoceńskich pokładach północno-amerykańskich, tak bardzo obfitujących w szczątki kręgowców lądowych, niema ani jednej kosteczki jakiegokolwiek Dinosaura, tylko same dziwaczne, znamionami szkieletu bardzo

do gadów jeszcze zbliżone ssawce. Kiedyż więc miała się odbyć owa przypuszczalna walka o byt między obu następującemi po sobie w tej samej miejscowości bezpośrednio gromadami kręgowców? Skąd się wzięły naraz, bez jakiegokolwiek przodka owe olbrzymie Amblypoda, Creodontia i t. p.? Przywędrowały z innej części świata, powiedzą zwolennicy teoryi walki o byt. Ale w warstwach górnokredowych zarówno Europy, jak Ameryki południowej i Azyi, skąd zwierzęta te przybyćby mogły, spotykamy również tylko Dinosaury przeróżne — ssawców nigdzie ani śladu, z wyjątkiem drobnych dydelfów, już przy końcu tryjasu istniejących, które bez zmiany przetrwały do dnia dzisiejszego (Microlestes = Myrmecobius). Zamiast szukać hypotetycznych przodków ssawców w jakichś prassawcach przedeoceńskich, których śladu najmniejszego nigdzie na kuli ziemskiej nie znaleziono, o wiele prostszem wydaje mi się mniemanie, iż owymi prąssawcami były właśnie przeróżne Dinosaury, które na lądzie północno-amerykańskim, nie zalanym przez żadną transgresyę morską od początku epoki jurajskiej aż do dnia dzisiejszego, przeszły wszystkie stopnie ewolucyi aż do ssawców łożyskowych włącznie, i że w tamtych okolicach, które dostarczyły materyałów do kompletnego rodowodu konia i wielbląda aż do ich eoceńskich przodków, znajdziemy klucz do dalszego rodowodu ssawców kopytnych, konsekwentnie szukając przodków dolnoeoceńskich prassawców pomiędzy górnokredowymi Dinosaurami, pogrzebanymi w warstwach bezpośrednio pod niemi leżących.

Jakkolwiek materyał paleontologiczny, obecnie zebrany, dalekim jest jeszcze od tego, aby na jego podstawie można było odbudować całokształt drzewa genealogicznego zwierząt dziś żyjących, to jednak jest on już na tyle obfitym, iż dozwala odtworzyć rodowody wielu grup świata zwierzęcego większych i mniejszych; dotychczas jednak wszystkie konary w ten sposób odtworzone nie łączą się w pień wspólny, lecz tworzą równolegle do siebie rozwijające się już od epoki sylurskiej szeregi rozwojowe, odpowiadające mniej więcej pojęciu klas czyli szczepów systematyki zoologicznej. W najstarszej dostępnej dla badań paleontologicznych formacyi kambryjskiej fauna morza jest już tak urozmaiconą, iż niepodobna wykazać dla niej jakiegoś hypotetycznego pra-przodka wspólnego, z wyjątkiem bowiem kręgowców, które prawdopodobnie istniały także, lecz nie posiadały jeszcze skostniałego szkieletu i za-

chować się przeto nie mogły, spotykamy wśród niej przedstawicieli wszystkich dziś żyjących klas świata zwierzęcego, niekiedy, jak Trylobity n. p. okazujących już bardzo wysoki stopień ewolucyi.

Co było przed epoką kambryjską, jest i pozostanie hypotezą, wszelkie bowiem ślady życia organicznego z tych warstw najdawniejszych, poddanych działaniu wielu czynników dynamicznych, zostały całkowicie w nich zniszczone, a jedynie obecność pokładów grafitu i marmuru wskazuje na istnienie w tych starodawnych pokładach warstw organicznego pochodzenia.

Nie mogąc się kusić o hypotetyczne sprowadzenie istniejących już podczas epoki kambryjskiej szczepów zwierzęcych do wspólnego jakiegoś przodka, przypatrzmy się, jaką drogą odbywała się w rzeczywistości ewolucya tych szczepów od epoki kambryjskiej do dni naszych, o ile paleontologia odpowiedniego w tym kierunku materyału dostarczyć może.

1. Pierwotniaki (Protozoa). Jedynie otwornice, posiadające trwałe wapienne lub krzemionkowe szkielety, zachowały się w stanie kopalnym. Niektóre rodzaje ich, właściwe faunie planktonu, jak Globigerina, już w epoce kambryjskiej występują w wielkiej obfitości. W ogóle wśród otwornic daje się zauważyć już od początku kilka odmiennych szeregów rozwojowych, które, zachowując w zasadzie sposób połączenia ze sobą pojedyńczych komórek, sposób zwinięcia, rzeźbę skorupy i t. p. znamiona odziedziczone, wykazują zmienność w dwóch kierunkach. Z jednej strony w budowie histologicznej samej skorupy: rozwój rozpoczyna się w każdym szeregu mutacyjnym od form posiadających skorupę zlepioną z okruchów obcych przedmiotów lub ziarnek piasku (aglutynacyjną), wewnątrz której stopniowo zwierzę wydziela coraz większe ilości węglanu wapniowego, aż do całkowitego zastąpienia skorupy piaskowej przez wapienną. W drugim kierunku różniczkowanie odbywa się przez coraz większą komplikacyę w budowie samej skorupy: wytwarzanie w jej wnętrzu przegród i przegródek poprzecznych, kanalików etc. Niektóre formy lokalne, jak n. p. nummulity podczas epoki eoceńskiej, rozmnażają się niezwykle licznie, aby później zniknąć bez śladu, a może tylko przetworzyć się w postacie pozbawione wapiennej powłoki, w stanie kopalnym do zachowania niemożliwe. W całości biorąc, szczep otwornic od syluru po dziś w pewnych grupach odbył wprawdzie dość znaczną ewolucyę, w innych, i to w przeważnej większości,

jak Globigeriny, Astrorhizy, Lagenidae, Nodosariae etc., nie uległ prawie żadnym widocznym przeobrażeniom, jak zresztą spodziewać się należało u postaci, należących do fauny morskiego planktonu, bardzo mało podlegających zmianom zewnętrznym.

2. Gąbczaki również zmianom niewielkim uległy. W okresie paleozoicznym, od kambru począwszy, mamy już obok siebie trzy główne grupy gąbczaków dziś znanych — Hexactinellidae — formy głębinowe, bardzo podobne do dzisiejszych Holtenia, Euplectella etc., Tetractinellidae (Lithistidae), oraz gąbczaki o szkielecie wapiennym (calcarea). Brak natomiast gąbczaków o szkielecie rogowym, nie tylko z powodu, iż szkielet taki w stanie kopalnym utrzymać się nie mógł, ale przedewszystkiem dlatego, iż istnieją liczne dowody na to, że dzisiejsze Ceraospongiae są potomkami szeroko rozpowszechnionych we wszystkich formacyach od syluru po kredę gąbczaków wapiennych (Pharetrones), a po części nawet Hexactinellidów, u których stopniowo włókna krzemionkowe i wapienne zostały zastąpione przez włókna rogowe.

3. Korale paleozoiczne od współczesnych różnią się bardzo znacznie w budowie swego szkieletu wapiennego; przyczem należy zaznaczyć, iż już w epoce paleozoicznej istnieją obok siebie Alcyonaria o tylko 8-miu czułkach i Zoantharia o liczbie czułków większej. Pierwsze z nich przetrwały bez wielkich zmian do dzisiaj: Heliopora coerulea n. p. bardzo się mało różni od sylurskich Heliolitów, a Tubipora musica od sylurskich Syringoporidae. Natomiast Zoantharia paleozoiczne odznaczają się stale wyraźnie dwustronną symetryą budowy swego ciała, oraz litym, niedziurkowanym charakterem ścian i przegród swego szkieletu. Przeciwnie u form trzeciorzędnych i współczesnych, dwustronna symetrya w budowie kielicha w stanie dorosłym należy do zjawisk wyjątkowych (Madrepora), ściany zaś i przegrody wapienne kielichów są mniej lub więcej porowate. Wśród nielicznych dotychczas znanych korali z epoki tryjasowej i liasowej znajdują się jednakże wszystkie możliwe stopnie przejściowe pomiędzy obu typami korali paleozoicznych (Tetracoralla) i współczesnych (Hexacoralla). Nie brak wreszcie i tutaj form współczesnych, u których ewolucya doprowadziła, jak u wszystkich niemal innych grup fauny morskiej, do całkowitego zastąpienia tkanki wapiennej w szkielecie przez tkankę rogową (Hicksonia).

4. Fylogenetyczny rozwój szczepu Szkarłupni (echinodermata) należy do najlepiej zbadanych. Dzisiaj istniejące cztery typy tego szczepu: jeżowce, rozgwiazdy, wężowidła i liliowce już przy końcu epoki sylurskiej są całkowicie wyodrębnione, jakkolwiek pod pewnymi względami od dzisiejszych postaci się różnią, przedstawiając niższy stopień rozwojowy. Natomiast w okresie poprzednim — kambryjskim i dolno-sylurskim, szkarłupnie są zastąpione przez bardzo oryginalne postacie, noszące nazwę pęcherzowców (Cystidea), które jednakże w rzeczywistości są taką samą zbieraniną sztucznie połączonych form, jak wśród kręgowców ryby kostołuskie, torbacze lub dinosaury. Mając przed oczyma postacie takie, jak Agelacrinus zupełnie podobny z kształtu do rozgwiazdów, Pleurocystites, Caryocrinus lub Echinoencrinus o wybitnych znamionach Liliowców, i Glyptosphaërites — o znamionach pierwotnych jeżowców, musimy uznać, iż trzy później wyróżnione grupy szkarłupni istnieją już w dolnym sylurze, a znamionami, je łączącemi pomiędzy sobą, są embryonalne, szczątkowe organa, stopniowo zanikające podczas epoki sylurskiej, czyli, że w okresie kambryjskim i dolno-sylurskim jeżowce, rozgwiazdy i liliowce, których wspólne znamiona szczątkowe świadczą o wspólnem pochodzeniu z jakiegoś nieznanego dawniejszego pierwotypu, pozostają jeszcze w stadyum rozwoju pęcherzowcowem, które przemija z końcem epoki sylurskiej, tu i owdzie jeszcze pozostając w postaci szczątkowych organów, n. p. w postaci zachowanych u niektórych sylurskich Liliowców luźnych plam powierzchni, posiadających charakterystyczne pory rautowe, u dawniejszych postaci, pokrywające całą powierzchnię. Zaginiona grupa Blastoidea z epoki węglowej należy do liliowców, od których różni się brakiem łodygi i przyrośnięciem ramion do powierzchni. Pomiędzy rozgwiazdami i wężowidłami epoki dewońskiej a dzisiejszemi jedyna różnica polega na przesunięciu układu płytek, osłaniających bruzdy ambulakralne: u form paleozoicznych płytki te stoją symetrycznie naprzeciwko siebie, u dzisiejszych natomiast naprzemianległe. Liliowce, niezwykle obfite w okresie paleozoicznym różnią się po części od dzisiejszych bardzo znacznie — charakterystycznem dla nich jest mocne zrośnięcie płytek kielichowych i obecność dwóch pierścieni płytek podstawowych, oraz niekiedy bardzo silnie wykształcona pokrywa kielichowa. Jednakże niektóre rodzaje głębinowe, jak Pentacrinus, przetrwały od syluru do dzisiaj bez

zmiany. W okresie mezozoicznym liczba liliowców zmniejsza się widocznie, a w budowie ich kielicha zaznacza się z jednej strony coraz wyraźniejsze rozdzielenie płytek kielichowych, połączonych ze sobą rodzajem stawów, i rozpadających się po śmierci zwierzęcia, (stąd wielka rzadkość całkowitych kielichów), z drugiej — zmniejszeniem ilości wapna w szkielecie kielicha, w którym coraz bardziej przeważają części miękkie — skórzaste. Dwa pierścienie podstawowe zrastają się stopniowo w jednę płytkę (centrodorsale). Wreszcie z początkiem epoki kredowej liliowce nagle znikają prawie zupełnie, ograniczając się do nielicznych form głębinowych do dziś istniejących. Steinmann jednak wykazał, iż to zniknięcie liliowców jest pozornem, gdyż w tym właśnie czasie pojawia się wielkie mnóstwo szkarłupni nowego typu — wolno pływających (Antedonacea), już w epoce jurajskiej pospolitych. Dokładne porównanie budowy tych rzekomo nowych postaci wykazuje, iż są to pozbawione łodygi wolno pływające kielichy najróżnorodniejszych liliowców, u których płytki pierścieni podstawy zrosły się w jednę tarczę środkową (centrodorsale). Takich form wolno pływających, u których łodyga zanikła, a kształt pierwotny kielicha pozostał jeszcze bez zmiany, Steinmann wykazał cały szereg, n. p. Uintacrinus socialis z górnej kredy Ameryki południowej posiada budowę kielicha zupełnie podobną do dewońskiego Rhipidocrinus, z drugiej zaś strony tenże Uintacrinus według Springera wykazuje nadzwyczajną analogię w budowie swego kielicha z dziś żyjącym Actinometra solaris. W innych wypadkach nastąpiło stopniowo zrośnięcie pierwotnie licznych drobnych płytek kielicha w mniej liczne, stawami połączone płytki, jak to bardzo przekonywująco zestawił Steinmann (Geologische Grundlagen der Abstammungslehre, str. 152) na rysunkach Taxocrinus Greeni z karbonu i Guettardocrinus dilatatus z górnego jura. Rodzaj Antedon nie jest jednolitym, lecz przedstawia mnóstwo form najrozmaitszego pochodzenia, których wspólnem znamieniem jest utrata łodygi, t. j. przejście ze stanu przyrosłego (Liliowcowego) do stadyum wolnopływającego (Antedon), oraz zrośnięcie pierwotnie mniej lub więcej licznych płytek kielicha w jednę tarczę środkową.

Jest rzeczą ciekawą, iż charakterystyczna dla dzisiejszych szkarłupni pięciopromienna budowa u Liliowców paleozoicznych, zwłaszcza u postaci, pozostających jeszcze w stadyum pęcherzow-

cowem, nie istnieje: liczba ramion kielich okalających jest bardzo zmienną, ale wyjątkowo tylko wynosi 5, a sposób, w jaki się ta pięciopromienna symetrya wytwarza, jest dobrze widocznym na budowie narządów ambulakralnych. Tworzą one najsamprzód prostą szczelinę; od środka tej szczeliny oddziela się później prostopadle inna prosta szczelina; na końcach tych szczelin wytwarzają się trzy słabe ramioną; potem końce pierwotnej szczeliny rozwidlają się, i w ten sposób powstaje budowa pięciopromienna, utrwalona u form późniejszych. W rzeczywistości jednak ciało liliowców posiada budowę dwustronnie symetryczną, zatracającą się stopniowo w miarę późniejszego rozwoju ewolucyjnego.

Pierwotne jeżowce w stadyum pęchorzowcowem przedstawiają się jako kuliste lub gruszkowate torby, okryte bezładnie ułożonemi wielokątnemi płytkami — narządów ambulakralnych niema — zastępują je rozsiane po całej powierzchni ciała parzyste otworki (pory). W okresie węglowym jeżowce mają jeszcze wybitny kształt kulisty, ale płytki pancerza są już ułożone w 10 pasów południkowych: naprzemian 5 pasów płytek drobnych, przebitych parzystemi porami (ambulacralia) i 5 pasów płytek większych, opatrzonych zazwyczaj kolcami (interambulacralia). W przeciwieństwie jednak do jeżowców epok późniejszych liczba płytek, składających owe 10 pasów południkowych, jest znacznie większą: w każdym z tych pasów można naliczyć po kilka podłużnych szeregów, wskutek czego kształt płytek szeregów środkowych bywa 6-kątnym, podczas gdy u późniejszych jeżowców, u których liczba szeregów płytek pancerzowych w każdym z 10 pasów południkowych wynosi stale tylko 2, płytki te są zawsze pięciokątne. Z początkiem triasu jeżowce dochodzą do stadyum rozwojowego, odpowiadającego rzędowi regulares, o prawidłowo pięciopromiennej budowie, otworze gębowym, położonym na środku dolnej powierzchni i otworze analnym, leżącym w środku t. zw. narządu czy tarczy szczytowej, złożonej z dwu prawidłowych pierścieni płytek, na przeciwległej stronie górnej, podobnie jak u dziś jeszcze żyjącego rodzaju Cidaris. W początkach okresu jurajskiego zaczyna się w budowie jeżowców zarysowywać dwustronna symetrya budowy ciała: naprzód w ten sposób, iż anus przesuwa się stopniowo w tył z granic tarczy szczytowej najpierw na górną, stopniowo później na dolną powierzchnię ciała, a z początkiem epoki kredowej przeważna więk-

kszość jeżowców osiąga już stadyum dwustronnej budowy o sercowatym kształcie, właściwe dzisiejszym Spatangidae i t. p.

6. Szczep skorupiaków, dla wyjaśnienia fylogenii kilku istniejących grup świata zwierzęcego bardzo ważny, dotychczas nie został jeszcze dostatecznie opracowanym. W epoce kambryjskiej najliczniejszymi przedstawicielami tego szczepu obok małżoraczków są Trylobity, których organizacya, dziś bardzo dobrze znana, różni się znacznie od skorupiaków dzisiejszych, przedstawiając w ogóle bardzo wysoki stopień rozwojowy. Trylobity, najpospolitsze w epoce kambryjskiej i dolnosylurskiej, znikają całkowicie z końcem epoki węglowej, i zdają się stanowić, podobnie jak pęcherzowce wśród szkarłupni, polyfyletyczną, bardzo różnorodną grupę zwierząt stawonogich, z której rozmaitych przedstawicieli drogą dalszej ewolucyi wytworzyły się bardzo różnorodne grupy zwierząt dzisiejszych. Tak n. p. Steinmann (l. c. str. 198) wykazał nadzwyczaj blizkie pokrewieństwo stonogów (Isopoda) z trylobitami (Homalonotus z syluru, Cyclosphaeroma trilobatum z grupy jura, Sphaeroma gigas i Serolis paradoxa z dzisiejszych mórz podbiegunowych). Od trylobitów również wywodzić się muszą raki dziesięcionogie (decapoda) i Cirrhipedia (Balanus istnieje już w dewonie)! Od trylobitów z końcem syluru oddziela się osobna grupa Giganthostraca (merostomata), które za młodu mają kształt trylobitów, a których żyjącym potomkiem jest Limulus. Od Merostomata oddzielają się już w okresie węglowym najdawniejsze skorpiony, jako zwierzęta pierwotnie morskie, później słodkowodne i lądowe, oraz w dalszym ciągu właściwe pajęczaki z grupy Anthracomarti. Co się tyczy owadów, Handlirsch wywodzi je również od trylobitów. Steinmann robi jednak zastrzeżenie, iż gromada ta jest prawdopodobnie polyfyletyczną i częściowo może pochodzić także od wijów. Najdawniejsze znane owady z epoki węglowej są najbardziej zbliżonymi do szarańczaków (Blattidae).

7. Mięczaki. W epoce sylurskiej istnieją obok siebie wszystkie trzy dzisiaj znane gromady: małży, ślimaków i głowonogów, przyczem najliczniej zastąpione są głowonogi, najmniej licznie ślimaki. Małże najdawniejszych warstw kambryjskich i sylurskich, posiadają pewne wspólne znamiona (Palaeoconchae), ograniczone jednak do mało rozwiniętej jeszcze budowy skorupy: skorupa paleozoicznych małży jest zawsze cienką, nie posiada śladów

zawiasy, łączącej prawą i lewą stronę; odcisk płaszcza zawsze całkowity, bez wykrojenia w tyle. Zresztą zaś małże te posiadają znamiona morfologiczne, przypominające kształtem i rzeźbą skorupy rozmaite grupy późniejsze. Dopiero z końcem syluru zaczyna się u małży wytwarzać zawiasa, jak wykazał Neumayr, przez stopniowe przesunięcie promienistych żeber zewnętrznej powierzchni poza linię zawiasową do wnętrza, wytwarzając znane dzisiaj odmiany. Zanik zawiasy u form późniejszych jest bardzo rzadkiem zjawiskiem, wywołanem zazwyczaj pasożytnym sposobem życia lub, jak u skałotoczy, połączonem nawet z częściowym zanikiem samej skorupy. U małży najrozmaitszych szeregów rozwojowych formy dawniejsze mają zawsze odcisk płaszcza na skorupie całkowity (integripalliata), u późniejszych — pojawia się wcięcie tylne syfonu (sinupalliata); zresztą inne znamiona skorupy — kształt i rzeźba — małym tylko uległy zmianom. Niektóre małże o skorupach ciężkich, przyrosłych do skały, jak pospolite w epoce jurajskiej i kredowej Dicerasy i Hippuryty, według Steinmanna nie zaginęły, lecz utraciły skorupę, przetwarzając się stopniowo w osłonice (tunicata). Inne znów dały początek bezskorupowym małżom mórz dzisiejszych.

U ślimaków, krórych główne znamiona systematyczne, polegające na budowie zębów języczka, są dla paleontologii niedostępne z powodu braku zachowania, dostrzedz możemy w ewolucyi samej skorupy w przeróżnych szeregach rozwojowych, iż u form dawnych otwór jest zawsze całkowitym (holostomata), u form późniejszych zaś następuje mniej lub więcej silnie zaznaczone wycięcie lub wyciągnięcie w długi kanał (Siphonostomata). Nakrywka (operculum), która zdaje się być szczątkiem zanikłej lewej skorupy, u form paleozoicznych niekiedy bardzo silnie rozwinięta, u dzisiejszych jest przeważnie cienką rogową blaszką.

Znacznie lepiej, niż u ślimaków i małży, paleontologia była w możności wyjaśnić fylogenetyczną ewolucyę głowonogów. Najdawniejsze formy z dolnego syluru należą jeszcze wszystkie do rodziny łodzikowatych (nautiloidea), pomiędzy niemi normalnie zwinięty rodzaj Nautilus skorupą swoją od dzisiejszego się wcale nie różni. Obok Nautilus istnieją liczne formy o skorupach bądź prostych (Orthoceras), bądź w rozmaity sposób ślimakowato zwiniętych, które z końcem epoki paleozoicznej znikły bez śladu, t. j. prawdopodobnie przekształciły się w głowonogi pozbawione

skorupy. Z bardzo pospolitego aż do końca epoki węglowej rodzaju Orthoceras wytwarza się w epoce tryjasowej osobliwa forma, uważana dawniej za Orthocerasa, dopóki nie znaleziono całkowitych okazów, świadczących, iż formy te (Aulacoceras) od Orthocerasów różniły się obecnością długiego kolca na dolnej stronie takiego samego, jak kolce (rostrum) pojawiających się w tym czasie Belemnitów. Ten rodzaj Aulacoceras w dalszym swym rozwoju przetworzył się w formy, u których, podobnie jak u dzisiejszych nagich ślimaków lądowych, skorupa, istniejąca jeszcze za młodu, z wiekiem ukrywa się pod skórą. Przez stopniowe zmniejszenie się końcowego kolca tego wewnętrznej skorupy, a rozrośnięcie jego kosztem górnej części — cienkiej blaszki wapiennej (proostracum), z pospolitych w epoce jurajskiej i kredowej Belemnitów wytworzyła się w eocenie Belosepia, a wreszcie dzisiejsze ośmionogi (Octopus, Loligo etc.).

Innego rodzaju ewolucyę odbyły paleozoiczne łodziki o skorupie spiralnie zwiniętej. Już z początkiem dewonu embryonalna kulista pierwsza komora, u łodzika okryta miękką skórą, pokrywa się twardą skorupą, właściwą wszystkim Ammonitom późniejszym, a przegrody pomiędzy komorami powietrznemi zaczynają się fałdować w coraz zawilsze gzygzaki, jednocześnie z pierwotnie wklęsłych stając się wypukłemi; zarazem sipho, u form łodzikowatych nie posiadający ustalonego położenia, przesuwa się trwale na stronę brzuszną. Z końcem dewonu rozmaitość tych nowowytworzonych t. zw. Goniatytów jest już nadzwyczaj wielką. Z końcem epoki węglowej większość szeregów rozwojowych Ammonitów przekracza pierwotne stadyum goniatytowe, przechodząc w wyższe stadyum rozwoju, czyli stadyum t. zw. ceratytowe. Niektóre formy zachowują to stadyum bez zmiany aż do końca epoki kredowej. Większość jednak już w końcu triasu, a prawie wszystkie z początkiem liasu przekraczają stadyum ceratytowe, dochodząc do stadyum ammonitowego. Przy końcu okresu kredowego Ammonity, bardzo licznie jeszcze rozrodzone, znikają nagle, a zniknięcie ich poprzedza ukazanie się mnóstwa postaci o skorupach anormalnie, jakby patologicznie rozkręconych, jak: Baculites, Scaphites, Turrillites, Crioceras etc., świadcząc o zmianie warunków życia tych zwierząt, pierwotnie pelagicznych, które podobnie, jak dzisiejszy Nautilus, i jak wszystkie mięczaki, posiadające wielkie i ciężkie skorupy, przeważnie pełzały po dnie

morskiem, wlekąc skorupę nakształt ogona za sobą. Przypuszczenie to potwierdza nadzwyczajne podobieństwo skorupy dzisiejszych żeglarków (Argonauta) do górnokredowych Hoplitów etc., które wykazał Steinmann. Według tego autora Ammonity nie zaginęły, lecz przetworzyły się z początkiem trzeciorzędowego okresu w postacie nagie, z których jedynie żeglarki zachowały, i to tylko u samicy, szczątek dawnej skorupy, służący za zbiornik na pomieszczenie jaj. Brak wewnętrznej warstwy perłowej i wytworzonej z niej tkanki przegród międzykomorowych oraz syfonu u Argonautów tłómaczy się łatwo tem, iż zwierzę wytwarza przy pomocy żaglowato rozszerzonych ramion jedynie zewnętrzną warstwę skorupy, podczas gdy zarazem, wskutek okrycia oddzielonego od skorupy ciała skórą, płaszcz zwierzęcia traci zdolność wydzielania tkanki wapiennej, tworzącej wewnętrzną (perłową) warstwę skorupy u ammonitów i łodzików.

8. Szczep kręgowców, który według zapatrywań dawniejszych powinien był pojawić się najpóźniej, w rzeczywistości ukazuje się już bardzo dawno. Zęby i kolce płetwowe rekinów znaleziono już w dolnym sylurze, a z końcem syluru, zwłaszcza zaś na granicy syluru i dewonu znamy już wielkie mnóstwo ryb, częścią pancernych (Placoganoidei), częścią okrytych grubą kostną łuską (Lepidoganoidei). Ryby te, od dzisiejszych całkowicie różne, są między sobą tak dalece niepodobne, iż nie sposób ich wyprowadzić od wspólnego jakiegoś pierwotypu, a pewne szczątkowe znamiona ich budowy, nieznane u ryb późniejszych, świadczyć się zdają o tem, iż przodka ich szukać w epoce przedkambryjskiej należy, w każdym razie nie w Haecklowskim prakręgowcu (Amphioxus), lecz pomiędzy formami, posiadającemi ciało podzielone na liczne poprzeczne odcinki, połączone wspólnym kanałem rdzeniowym. Mogły niemi być jedynie jakieś skorupiaki o budowie podobnej do trylobitów. W samej rzeczy podobieństwo takich postaci, jak n. p. Cephalaspis do kambryjskich trylobitów jest uderzającem, a znowuż dewońskie rodzaje: Asterolepis lub Pterichthys, posiadające dziwaczne wiosłowate narządy, oskorupione zupełnie nakształt szczypców raka, stanowczo byłyby uznane za skorupiaki, gdyby nie znaleziono u nich tu i owdzie szczątków ogona, okrytego rybią łuską. Bardzo osobliwą grupę tworzą również pancerne ryby z rodzaju Coccosteus, zupełnie niepodobne do innych ryb im współczesnych, posiadające pewne znamiona zupełnie obce rybom,

natomiast wspólne z najstarszymi płazami (Stegocephali), jak: ruchome osadzenie głowy, układ kości czaszkowych, pierścień piersiowy, złożony z czterech części i t. p. W ogóle ryby pancerne, jakkolwiek niewątpliwie były rybami, nie mają najmniejszej analogii z jakąkolwiek grupą ryb późniejszych, chyba może, jak przypuszcza Steinmann, Pteraspidae możnaby uważać za przodków dzisiejszych jesiotrów i opancerzonych ryb morskich.

Jednocześnie jednak z temi dziwacznemi opancerzonemi istotami pojawiają się także właściwe ryby kostołuskie (Lepidoganoidei), okryte rombową lub okrągłą łuską, które przez szereg stopniowych przejść ewolucyjnych przechodzą (Gaudry) z końcem epoki kredowej w ryby kościste (Teleostei). Różnice ryb kostołuskich i kościstych polegają wyłącznie na odmiennym stopniu rozwoju fylogenetycznego, podczas gdy cały plan budowy szkieletu jest najzupełniej ten sam. Dość porównać w tej mierze układ kości czaszkowych u dyasowego Palaeoniscus, jurajskiego Lepidotus i dzisiejszego karpia lub łososia, aby się o tem przekonać. Szkielet u form dewońskich tylko częściowo skostniały, przechodzi podczas epoki triasowej i jurajskiej wszystkie stopnie coraz silniejszego zwapnienia pierwotnej tkanki chrząstkowej, nie zmieniając ani wzajemnego układu kości, ani ogólnego kształtu ciała, aż do całkowitego skostnienia szkieletu z końcem epoki kredowej. Jednocześnie z tym procesem skostnienia szkieletu odbywa się ewolucya dwóch innych ważnych znamion morfologicznych: łuska u form, posiadających szkielet chrząstkowy, gruba, emaliowana, w miarę coraz większego zwapnienia tkanki kostnej staje się cieńszą, zachowując jednak kształty pierwotne i pierwotną budowę histologiczną (przykładem dziś żyjąca Amia calva), aż dochodzi wreszcie w końcu kredowego okresu do całkowitego zaniku dolnej warstwy kostnej i przeobrażenia powierzchownej emalii w warstwę rogową równocześnie z całkowitem skostnieniem szkieletu. Drugiem znamieniem, wykazującem powolną i stopniową ewolucyę łącznie ze skostnieniem szkieletu, jest stopniowe przeobrażenie płetwy ogonowej: u postaci dawniejszych górna połowa tej płetwy jest zupełnie odmienną od dolnej (heterocerci). Górną jej połowę tworzy przedłużenie kręgosłupa, dolną natomiast, homologiczną z płetwami grzbietowemi — fałd skórny, w którego wnętrzu wytwarzają się zrazu chrząstkowe, później kostne podpórki, wsparte o haemapofyzy kręgosłupa. W ciągu dalszej ewolucyi podczas epoki liasowej i jurajskiej wi-

dzimy stopniowe wyrównanie obu pierwotnie nierównych części płetwy ogonowej, a zarazem stopniowe zrastanie się wszystkich kostek (podpór) z końcem kręgosłupa w jednolitą płytkę, w której wszelki ślad pierwotnej asymetryi i braku homologii pomiędzy górną i dolną połową płetwy ogonowej całkowicie się zaciera (Homocerci).

Z początkiem epoki węglowej i pojawieniem się większych obszarów bagnistych nizin ukazują się obok słodkowodnych ryb kostołuskich naraz w wielkiej obfitości znane zresztą już przy końcu dewonu ryby dwudyszne (dipnoi), bardzo blizko spokrewnione z rybami kostołuskiemi, podobnie jak tamte okryte kostną emaliowaną łuską i posiadające szkielet również częściowo tylko skostniały: ryby te jednak posiadają na podgardlu trzy tarcze kostne, nieznane u ryb kostołuskich, natomiast istniejące u najstarszych płazów (Stegocephali). Tarcze te w ciągu dalszej ewolucyi, ukrywając się pod skórą, wytwarzają powtarzające się u wszystkich Stegocephali i najdawniejszych gadów trzy kostki pierścienia piersiowego (episternum i parę obojczyków). Oprócz tego ryby dwudyszne posiadają zupełnie odmienną budowę płetw parzystych, aniżeli ryby kostołuskie: zamiast właściwych płetw posiadają one wytworzone niezależnie od kręgosłupa (Gaudry) w fałdach skórnych dwie pary kończyn w kształcie kwastów, opatrzonych chrząstkową osią wewnętrzną, któremi posługują się do pełzania po ziemi, przyczem pęcherz spełnia funkcye narządu oddechowego. Dwa przeżytki z tej epoki dziś istniejące w Australii i środkowej Afryce (Ceratodus Forsteri i Lepidosiren annectens) dają nam dokładne wyobrażenie o ciekawej budowie tych istot, które musimy uważać za stadyum przejściowe pomiędzy rybami kostołuskiemi dewońskiego okresu, a najdawniejszymi czworonogami o znamionach właściwych dzisiejszym płazom, od jakich się roiło w epoce dyasowej (Stegocephali). Lamarck, za którego czasów oba wyżej wymienione gatunki ryb dwudysznych nie były jeszcze odkryte, przewidział ich istnienie, twierdząc, iż ryba zmuszona z jakichkolwiek powodów stać się zwierzęciem ziemnowodnem, musi przetworzyć się w istotę czworonożną.

Z końcem epoki dyasowej liczba ryb dwudysznych nagle spada, a natomiast pojawiają się liczne zwierzęta ziemnowodne, stojące pod względem organizacyi na stopniu rozwojowym dzisiejszych płazów, lecz do tych ostatnich w małej tylko części podobne. Obok postaci, podobnych do traszek i salamander

(Branchiosaurus), widzimy formy o kształtach krokodyli, oddychające jednak za młodu skrzelami, jak płazy i posiadające czaszkę przytwierdzoną do kręgosłupa podwójną główką stawową (condylus), która u późniejszych krokodyli zrasta się, jak u innych gadów w jednę (Archaegosaurus, Labiryntodontia). Inne znów mają kształty jaszczurek lub nawet węży: wspólnemi znamionami tej bardzo różnorodnej grupy kręgowców jest obecność pewnych znamion szczątkowych, właściwych dawnym rybom kostołuskim i dwudysznym, jak: rybi kształt kręgów, pierścień kostny naokoło oczu, układ kości czaszkowych, foramen parietale, etc.

Współczesne Stegocephalom kręgowce lądowe połączono w równie sztuczną grupę pod nazwą Theromorpha: należą tu niedostatecznie jeszcze zbadane zwierzęta, niekiedy bardzo znacznych rozmiarów, o pierwotnych znamionach w budowie szkieletu, których przodków bezpośrednich dotychczas nie znamy.

Z początkiem epoki triasowej Stegocephalia i współczesne im Theromorpha tracą stopniowo znamiona poprzedniego (płazowego) stadyum rozwojowego, wznosząc się do wyższego szczebla ewolucyjnego — właściwego dzisiejszym gadom. Zaznaczyć jednak należy, że wszystkie dziś istniejące rzędy gadów są już reprezentowane w epoce jurajskiej z wyjątkiem może tylko węży, których szczątki w ogóle należą do wielkich osobliwości, lecz które mają już niewątpliwych przodków pośród dyasowych Stegocephalia. Krokodyle morskie zarówno o typie krokodyli właściwych, jak gawiali ukazują się jednocześnie, a od dzisiejszych różnią się jedynie nieco odmiennem położeniem nozdrzy. Uderzające podobieństwo ich z górnotryjasowymi Labirynthodontami, pomimo różnicy w przytwierdzeniu czaszki, dającej się łatwo wytłómaczyć przez zrośnięcie w jedno pierwotnie podwójnej główki stawowej, wyklucza możność wyprowadzenia ich od innych przodków. Żółwie, nie różniące się zasadniczo od dzisiejszych żółwi morskich, istnieją już w końcu epoki tryjasowej — przy końcu jury znamy ich wielką liczbę — a różnice od dzisiejszych polegają przeważnie na niekompletnem wykształceniu pancerza, który pozostawia nieokryte miejsca (fontanellae) pomiędzy żebrami i na środku brzucha, co zresztą widzimy także u niektórych morskich żółwi dzisiejszych. Żółwie słodkowodne i lądowe pojawiają się znacznie później. Jaszczurki pierwotne posiadają kształty podobne do dzisiejszych, ciało okryte

również łuską, ale w szkielecie wiele znamion embryonalnych, szczątkowych, jak: częściowe tylko skostnienie kręgosłupa i stawów, obecność foramen parietale, etc.; znamiona zachowane zresztą u żyjącego dziś rodzaju Hatteria z Nowej Zelandyi. Obok tych niewątpliwych gadów w początkach triasu ukazują się liczne i bardzo różnorodne kręgowce, zaliczane dotychczas do gadów, z powodu osiągnięcia równego dzisiejszym gadom stopnia ewolucyi, ale nie tylko do żadnej istniejącej grupy gadów niepodobne, lecz przeciwnie, posiadające znacznie więcej znamion wspólnych ze ssawcami, zwłaszcza kopalnymi z epoki eoceńskiej, i ptakami, aniżeli z jakimikolwiek płazami. Zwierzęta te, dorastające niekiedy potwornych rozmiarów, systematyka dotychczasowa uważa za grupy całkowicie zaginione w walce o byt z »lepiej uzbrojonymi do tej walki ssawcami«. Dla zwierząt lądowych tej kategoryi stworzono osobny rząd Dinosauria, kręgowce morskie podzielono między trzy również zaginione kategorye: Ichthyosauria, Plesiosauria i Pythonomorpha. O Ichthyosaurach, jako bezpośrednich przodkach delfinów, mówiłem już wyżej. Co się tyczy dziwacznych Plesiosaurów, odznaczających się nadmierną długością szyi o więcej niż 10 kręgach i budową miednicy oraz klatki piersiowej podobną do żółwi, Steinmann uważa je za przodków wielorybów zębatych (Physeter), głównie na podstawie podobieństwa w budowie dolnej szczęki — mojem zdaniem bystry ten obserwator tym razem uniósł się za daleko, i odstąpił od kardynalnej zasady ewolucyjnej, iż pokrewieństwa dwóch istot organicznych niepodobna opierać na podobieństwie jednego tylko chociażby bardzo ważnego narządu: tymczasem pomiędzy Plesiosaurami a wielorybami oprócz podobnego sposobu związania obu połów dolnej szczęki niema żadnych znamion wspólnych, przypuścić zaś, aby pomiędzy epoką kredową, w której Plesiosaury jeszcze żyły, a eocenem, w którym pojawiają się najdawniejsze wieloryby zębate (Zeuglodonty), mogły ulec całkowitemu zanikowi znamiona tak charakterystyczne dla Plesiosaurów jak długość szyi, kształt miednicy i klatki piersiowej, wreszcie potężne wiosłowate kończyny, wydaje mi się zbyt śmiałem. Znacznie więcej znamion wspólnych posiadają mojem zdaniem Plesiosaury z pewną kategoryą żółwi — mianowicie z olbrzymimi żółwiami wysp Galapagos (Testudo elephantopus), a łącznikiem między nimi mógłby być olbrzymi żółw mioceński z Himalajów, Colossochelys atlas, dochodzący do 4 metrów

długości. Przypuszczenie to o tyle wydaje mi się prawdopodobniejszem, że wielka różnorodność dziś żyjących żółwi dozwala przypuszczać ich polifyletyczne pochodzenie, jak niemal wszystkich ustanowionych »rzędów«, a przodków bezpośrednich tego rzędu dotychczas nie znamy: mogłyby być nimi przeto jakieś postacie do Plesiosaurów zbliżone.

Przed kilkudziesięciu laty wystawiono w Berlinie pod nazwą »Hydrarchos« potwornie długi szkielet rzekomego »węża morskiego«, który okazał się wprawdzie po części falsyfikatem, gdyż nadmiernie wielka liczba kręgów była zestawioną z kilku okazów, ale zresztą przedstawiał bardzo ciekawy typ olbrzymiego potwora morskiego z końca epoki kredowej, któremu nadano później nazwę Mososaurus. W późniejszym czasie odnaleziono w Ameryce północnej większą ilość szczątków podobnych (Clidastes etc.), które połączono w grupę »zaginionych« Pythonomorpha. Zwierzęta te, dochodzące do 12 metrów długości, posiadały czaszkę bardzo podobną do czaszki młodego wieloryba, zwłaszcza zaś charakterystyczny dla wielorybów sposób rozsuwania na boki obu połów dolnej szczęki, spotęgowany jeszcze istnieniem u Clidastes stawów, dzielących te szczęki w połowie długości, oprócz tego kończyny przednie pięciopalcowe, krótkie, wiosłowate, silniej jednak niż u wielorybów dzisiejszych wykształcone. Steinmann uważa je za bezpośrednich przodków wielorybów właściwych (Mystacoceti), wykazując wielkie podobieństwo w budowie czaszki tych istot z czaszką młodych wielorybów.

Co się tyczy rzędu rzekomo zaginionych Dinosauria, to przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż rząd ten jest nadzwyczaj sztuczną zbieraniną lądowych kręgowców, których jedynem wspólnem znamieniem jest nizki stopień rozwoju miednicy, odpowiadający miednicy ptaków lub stekowców, pozatem zaś inne znamiona są tak rozbieżne, iż zaszła konieczność rozbicia rzędu Dinosauria na trzy podrzędy: Orthopoda, Theropoda i Sauropoda. W rzeczywistości Dinosaury są tak samo przodkami eoceńskich ssawców lądowych, jak Ichthosaury i Mososaury były przodkami ssawców morskich, a różnice pomiędzy nimi a ssawcami polegają jedynie na niższym stopniu ich rozwoju ewolucyjnego.

Jeżeli porównamy Dinosaury nie ze ssawcami łożyskowymi dzisiejszymi, lecz z pierwotnemi postaciami, odnalezionemi w dolnym eocenie Ameryki północnej, to przekonamy się, że

różnice pomiędzy obu gromadami zejdą do minimum, tak iż częstokroć niepodobna orzec, czy się ma do czynienia z gadem czy też ze ssawcem o bardzo nizkiej jeszcze organizacyi stekowców lub torbaczy.

W rzeczywistości ssawce zrazu bezłożyskowe, później łożyskowe, stanowią jedynie wyższy etap w ewolucyi kręgowców lądowych podczas epoki trzeciorzędowej, przyczem pamiętać należy, iż przeróżne grupy ssawców łożyskowych nie wytworzyły się z jednego wspólnego prassawca, lecz powstały zupełnie niezależnie od siebie z początkiem eocenu, w rozmaitych szeregach ewolucyjnych równocześnie przekroczywszy stadyum niższe (dinosaurowe) do wyższego (ssawcowe). Najdawniej stadyum rozwojowe ssawców osiągnęły drobne lądowe zwierzęta owadożerne, zupełnie podobne do dziś żyjącego Myrmecobius (Microlestes antiquus z retu). W miocenie, jak wykazał Gaudry, torbacze drapieżne, wytworzone prawdopodobnie z tych pierwotnych dydelfów, przekształcają się w łożyskowe drapieżce przez zanik ossa marsupialia i drugiej pary kłów. Ssawce kopytne dopiero z początkiem eocenu utraciły znamiona gadom właściwe i zróżniczkowały się nadzwyczaj szybko w kilku rozbieżnych kierunkach. Dawne Theromorpha z epoki dyasowej, jak Pareiosaurus, mocnym pancerzem kostnym okryty, odznaczający się charakterystycznym wyrostkiem łuku jarzmowego, zupełnie nieznanym u innych kręgowców, przeszedłszy przez stadyum rozwojowe dinosaurów w epoce jurajskiej (Stegosaurus etc.) dały początek zwierzętom bezzębnym południowo-amerykańskiego lądu (Glyptodon, Megatherium etc.). Z nieznanych przodków, które żyły prawdopodobnie bądź na lądzie antarktycznym bądź na lądzie dziś zatopionym, który łączył Amerykę południową z Afryką i Australią, pochodzi wyłącznie południowo-amerykańska grupa zaginionych ssawców kopytnych (Toxodontia) i pazurowych (Typotheria), o znamionach czaszki podobnych do gryzoni, których potomkami są południowo-amerykańskie gryzonie kopytkowe i afrykański Hyrax. Nietoperze rozwinęły się przez dalszą ewolucyę jurajskich Pterosaria, etc.

Przykładów podobnych mógłbym przytoczyć znacznie więcej, nie chcąc jednak nadmiernie powiększać rozmiarów niniejszego szkicu, poprzestaję na wyżej przytoczonych, w przekonaniu, że dla nieuprzedzonego czytelnika przykłady te w zupełności wystarczyć powinny, aby go przekonać, iż przyroda skoków nie czyni, że bez

przyczyny nic się w przyrodzie nie dzieje i że ewolucya powolna lub szybka, stosownie do mniejszej lub większej zmiany warunków otoczenia, nie pociąga za sobą nigdy wytępienia żadnej słabszej rasy w walce z silniejszą, inaczej bowiem równocześne istnienie obok siebie fauny dzisiejszej i przeżytków dawno zaginionego świata zwierzęcego, które w walce o byt dawno zginąć były powinny, byłoby niemożliwem, tak samo jak n. p. wprowadzenie psa do Australii, gdzie istniały tylko »niższe« drapieżce bezłożyskowe, powinnoby spowodować całkowite wytępienie pierwotnych mieszkańców, co się dotychczas nie stało i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie stanie, o ile człowiek, jako generalny niszczyciel wszystkiego co żyje, nawet wówczas, gdy wprowadza ustawy ochronne, ręki do tego nie przyłoży.

Około Mickiewiczowskiego sonetu »Do Niemna«.

Napisał

Tadeusz Sinko.

»Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele? Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje? Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?« — te pytania, zwrócone do Niemna, i odpowiedź, dana na nie: »Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje«, wskazują, że sonet powstał na początku wejścia poety »w wiek męski, w wiek klęski«, na który później »polały się łzy czyste, rzęsiste«, a więc chyba nie w czasach uniwersyteckich, ale w latach następnych po pierwszem przybyciu do Kowna, leżącego nad Niemnem. Widok »domowej rzeki« przypomniał mu lata dziecinne, spędzone nad brzegami jej dopływów: Szczary, wypływającej z jeziora Kołdyczewskiego i bliższego Zaosia Serwecza. Nad temi rzeczkami odbywały się dziecinne zabawy, jak czerpanie wody »w niemowlęce dłonie«. Niemen przypomniał mu też późniejsze, młodzieńcze wycieczki łódką w jakieś chłodne ustronia. To szukanie samotności łączyło się z uczuciem do Laury. Jej wspomnienie budzi reminiscencyę literacką: Jak włoski śpiewak Laury opiewał »Chiare, fresche et dolci acque — ove le belle membra — pose colei che sola a me par donna...« w kanzonie, spolszczonej przez Mickiewicza (O jasne, słodkie, o przeczyste wody — w których zwierciadlanej fali — Laura kąpała swą anielską postać...), tak jego nadniemeński uczeń, zastępując kąpiel konkretnego ciała odbiciem jego w srebrnej fali, rozpamiętywa, jak jego Laura, używając tafli Niemna za zwierciadło, rozplatała włosy i zdobiła kwiatami swe skronie i jak on (może patrząc na nią z pobliskiego ukrycia) nieraz ronił do wody łzy i »obraz jej malowny w srebrnej fali łonie — łzami mącił«. Fan-

tazya Mickiewicza była zawsze bardzo konkretna. Wolno więc zastanawiać się nad tem, czy Laura, przechadzając się po płaskim brzegu, zatrzymywała się, przeglądała w rzece, rozpuszczała włosy i zdobiła czoło kwiatami, czy też czyniła to podczas kąpieli lub po niej. Wyrażenie: »patrząc z chlubą na cień swej urody« może wprawdzie odnosić się do twarzy, ale raczej odpowiada — aktowi; a »obraz malowany w srebrnej fali łonie« może wprawdzie oznaczać odbicie na powierzchni wody osoby, stojącej na brzegu, ale łatwiej jest zrozumiały, gdy ta osoba stoi w wodzie. Dlatego nie bezpodstawnem byłoby przypuszczenie, że Mickiewicz, mając przed oczyma konkretną kąpiel Laury Petrarki, wyraża się o niej tak wstydliwie i delikatnie, jak potem Słowacki o podobnej sytuacyi w Szwajcaryi.

Miraż wspomnień z przeszłości pryska wobec teraźniejszości. Dzieciństwo, lata młodzieńcze, Laura, (uniwersyteccy) przyjaciele, wszystko przeszło, jakby spłynęło z falami Niemna, które ową przeszłość odzwierciedlały. Zostały tylko łzy po niepowrotnem szczęściu. — Więc co? Czy siąść i płakać? Woda wielka i czysta (jak wywodzi w wierszu znacznie później napisanym w Szwajcaryi) inny daje przykład: Odbija ona czarne ściany skał, odbija chmury i gromy, a sama »jak dawniej czysta — stoi wielka i przejrzysta«. Więc i poeta, pomijając skały i błyskawice, wszystko wiernie odbija, bo wie, że »skałom trzeba stać i grozić — obłokom deszcze przewozić — błyskawicom grzmieć i ginąć — mnie płynąć, płynąć i płynąć«. — A jeśli »nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu«, zapytywał w latach kowieńskich poeta-żeglarz, czy wtedy »porzucić korab żywota?« A jeśli »komu piękność pokaże oblicze, potem wśród drogi zdradliwa odlata«, zostawiając czczość w świecie, a burzę w piersi, czy wtedy nie lepiej »zakończyć« zawód? Hamletowska niepewność co do ostateczności śmierci i wiara Schillerowej »Rezygnacyi« (»Żeglarz« pisany jest nawet w pięciowierszowych strofach, rymowanych jak »Rezygnacya«), wiara, »że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła — i raz rzucona krąży po niezmiernej głębi, — póki czas wieczne toczyć będzie koła«, słowem wiara w nieśmiertelność i niezniszczalność duszy, pozwala poecie przemódz rozpacz i zawołać: »Ja płynę dalej, wy (przyjaciele) idźcie do domu«.

Mickiewicz, jak widzieliśmy, chętnie sprzęgał swe losy z obrazem rzeki. Słowackiemu litewski Niemen przedstawiał się jako symbol piewcy Litwy tak, że nazwał go wprost Niemnem w znanej

strofie »Beniowskiego« (V 511): »Ikwo, płyń przez łąk zielonych kobierce! — Ty także sławna, że fal twoich gwary — jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce — gadają. Tyś zmusiła Niemen stary — wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy — lecz rzekł: Niech idzie tam, gdzie my idziemy«. Współzawodnictwo swoje z Mickiewiczem przeniósł tu Słowacki na »domowe rzeki« obydwu i zapewnił Ikwę, że jeżeli Niemen słynie dzięki Mickiewiczowi, to Ikwa będzie »także sławna«, oczywiście dzięki Słowackiemu. Reminiscencya z Horacyuszowskiej Banduzyi (C. III 13, 13): »Fies nobilium tu quoque fontium — me dicente« w tym wypadku zupełnie przypadkowa, choć zobaczymy, że właśnie oda Horacego do źródła Banduzyi była prototypem wielu późniejszych wierszy z pochwałami ojczystych czy rodzinnych rzek. Gdy dusza Słowackiego wyrywała się na skrzydłach tęsknoty ku stronom rodzinnym, to wyobrażał sobie jej pobyt »w tej mojej krainie — gdzie po dolinach moja Ikwa płynie — gdzie góry moje błękitnieją mrokiem — a miasto dzwoni nad szmernym potokiem — gdzie konwaliją woniące lewady — biegną na skały, pod chaty i sady« [1]. Raj lat dziecinnych związany jest u Słowackiego ze wspomnieniem Ikwy, jak Mickiewicza ze wspomnieniem Niemna.

Pierwsze rojenia młodzieńcze łączył z opiewaną przez Mickiewicza (ustami Halbana) rodzicą strumieni litewskich, niebieskolicą Wilią. W Missolungi [2] żywa pamięć Byrona i walk o niepodległość grecką budzi wspomnienie chwil młodzieńczych, w których po raz pierwszy czytał o owych walkach i streszcza się w takim śnie: »Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską — niezabudkami rzeczułkę; przy zdroju — miejsce kładkową przeskoczone deską — zawsze błękitne i zawsze w pokoju«. Tam chodziła się kąpać ukochana Ludka; tam też w dzień upalny (koło południa) spieszył poeta, by usiadłszy na owej kładce, czytać o wojnach greckich lub marzyć. Przedmiotem tych marzeń była oczywiście Ludka. Młodzieniec »chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać (rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie) — czeka, czy biała i powiewna postać — może z pod wielkiej jarzębiny wstanie i wyjdzie«. Uświadomiwszy sobie, że to wszystko już bezpowrotnie przeszło, że »smutne dzisiaj« podróżnika po Grecyi jest — przyszłością, chciałby jeszcze jak dawniej (strofa

[1] Dzieła, I. str. 187, wyd. Gubrynowicz, 1909.
[2] Podróż na Wschód IV. strofa 36 nn.

60 n.) »cały włosem się osłonić — nad dawną księgą — i dawne łzy ronić«; chciałby się obudzić jak dawniej »nad rzeką...« »gdy w rzeki zwierciadło — patrząc, patrzałem na twój wzrok uroczy — nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy«. Wspomnienie złotych chwil młodzieńczych, spędzonych nad rzeką, której fale odzwierciedlały pierwszą miłość poety i poczucie bezpowrotności tych chwil, to główne motywy pięknego epizodu Słowackiego, jak i Mickiewiczowskiego sonetu do Niemna. Ale motywy to z życia wzięte; dlatego o żadnej zależności piewcy Ludki od poety Laury tu niema mowy.

Natomiast jak najwyraźniej od sonetu Mickiewicza zależny jest obrachunek z minioną młodością, przeprowadzony nad Niemnem i z Niemnem przez wileńskiego przyjaciela Adama, Juliana Korsaka. Jego wiersz »Do Niemna« [1] zaczyna się zapytaniem, zwróconem do »rodzinnej wody, rzek litewskich księcia«, gdzie są wajdeloci, którzy sławili jego piękności, »gdzie ów śpiewak słowiczy z kurhanku Maryli — sławiący twoje wody, doliny i kwiecie?« Dalsze pytania odnoszą się do nadniemeńskich Rusałek, pięknych panien z czasów młodości poety, a przedewszystkiem do wielkiej przeszłości Litwy, której wierności dochował jedynie odwieczny dąb. Poeta podziwiał już Niemen w rozmaitych okolicach i porach, ale nigdy nie witał go z takim zapałem, jak w ten cichy wieczór. Śpiew słowików, szmer wody zgodnie wtórują jego dumaniu. Duma zaś o rozłące z przeszłością, z tamtym brzegiem, na którym zostawił swoje najlepsze dni, wypłakał najsłodsze zdroje łez, pił rajski nektar przyjaźni i miłości: »Wszystko przeszło, jak przeszły sny mej wyobraźni... tylko zdala twe fale błyskają w noc ciemną — tak przeszłość błyszczy za mną, a przyszłość przedemną«. Ptak małego lotu nie kończy jednak swego śpiewu tym akordem melancholijnym, jak to uczynił mistrz jego, Mickiewicz i tego antagonista, Słowacki. Przeciwnie, rezolutnie odwraca się od tego, co minęło, a z nadzieją i ufnością wyciąga ręce przed siebie: »Tymczasem witaj dla mnie, witaj kraju nowy! — Żegnaj luba przeszłości! Niemnie, bywaj zdrowy!«

Niemen Korsaka jest jeszcze prawdziwym Niemnem Mickiewicza. Hydrografią raczej, niż poezyą zalatuje od wiersza »Do Niemna«, napisanego przez geografa, Wincentego Pola (w Antologii

[1] Najdostępniejszy w Antologii Lorentowicza, Ziemia polska w pieśni, 1913, str. 399 nn.

Lorentowicza, str. 401 n.). Niemen zapytany, która z przepływanych przez niego okolic najbardziej mu się podoba, odpowiada, że najcudniejsze dla niego owo miejsce, »gdzie droga Wilia w me ramiona pada — i najwdzięczniejsza kowieńska dolina — w całem dziedzictwie kniazia Gedymina — bo jak kobierzec ślubny się rozściela— i wiecznie świadkiem naszego wesela«. W tej odpowiedzi posługuje się Niemen oczywiście motywem z Halbanowej pieśni o Wilii, motywem, którego antropomorfizm mógł był Mickiewicz przejąć ze znanej opowieści Klonowicza (Flis) o dwóch braciach, Niemnie i Bugu, i ich siostrze Narwi, służących u królowej Wisły.

Pol sławił dolinę Wilii dlatego, że podobała się niegdyś Mickiewiczowi. Żywszy jeszcze kult dla jej piewcy widać z wiersza ziomka Mickiewicza. Syrokomli (Wilja)[1], prawdziwego dziecka nadniemeńskiego. Wita on z uwielbieniem »dolinę wieszcza« nad Wilią i pije z niej wodę, poświęconą nieśmiertelnem natchnieniem piewcy starych czynów, który jest duchem doliny kowieńskiej. Obecność jego czuje w głosie słowika, w woni kwiatów, w kołysaniu wiatru, »w fali odmęcie — z jakim Wilija bieży w Niemnowe objęcie«; sądzi, że ów duch, unosząc się nad litewskiemi wodami, pyta się ich, jak się Litwie powodzi, o czem gawędzą po zaściankach i siołach, jakie mówią modlitwy, jakie składają pieśni: »Na kolana pielgrzymie! słuch ciebie nie mami, czujesz rozhowor ducha z rzecznemi falami«. Korsak, Pol i Syrokomla cytowali niejako źródło swoich natchnień. Jeśli Gomulicki (Narew)[2] śpiewa skoczną pieśń o innej rzece litewskiej, o Narwi i nazywa ją zaraz w tytule »swoją rzeką«, to niewątpliwie stawia ją obok Niemna, który Mickiewicz nazwał »domową rzeką swoją«; ale po za tą chęcią podjęcia tradycyi śpiewu o domowych rzekach, żadnych śladów imitacyi u niego niema. Jest tylko wspólne przekonanie, że nad rzeką rodzinną zostało młodzieńcze szczęście poety: »Gdybym wrócił w twoje strony — może byłbym ocalony; — dawna wiara, dawna siła — znówby może pierś wzmocniła«; bo »nad brzegami mojej rzeki — są na smutek dzielne leki — co ratują od rozbicia i wracają chęć do życia«. Jest w tem zaufaniu do macierzystej rzeki coś z takiego uczucia, z jakiem Achilles, skrzywdzony przez Agamemnona, idzie żalić się nad brzeg morza, przed matką swą, wodnicą Tetydą.

[1] Lorentowicz, 403.
[2] Tenże, 404.

Rzeki polskie nie znalazły tyle szczęścia u poetów, a raczej do poetów, co litewskie. Królową Wisłę serdeczniej wielbią proste krakowiaki (»Hej! Wisła nasza, Wisła — nasza polska rzeka« — lub: »Hej, od południa stoi matka Babia-góra — urodziła jej się śliczna Wisła córa«), niż przyjęte do Antologii Lorentowicza wiersze A. Malczewskiego (Dumanie nad Wisłą, str. 387), Filleborna (str. 394), A. Czajkowskiego (391), K. Balińskiego (388), R. Zmorskiego (390), W. Pola (389) i T. Lenartowicza (387). Dla Malczewskiego jest ona obrazem życia; Filleborn śpiewa na temat: lubię; więc lubię szumy twej fali, lubię twe wody szalone, lubię spokojne i t. d. Czajkowski opisuje z miłością jej krasy i pożytki, Baliński rozumie psalmy i hymny jej szumów, »lecz gdzie pierś, co je wyśpiewa — Chryste Panie, Chryste Panie!« Zmorski parallelizuje jej stan normalny i wzburzony z polskim ludem, który, na razie spokojny, kiedyś zerwie okowy (podobną allegoryę przeprowadził był już Fr. Morawski w bajce o zamarzniętej Wiśle): Pol rozczula się nad »Wisełką« u źródeł, a Lenartowicz prosi ją, by mu wykołysała taką rybę, »coby z głębi *jej* fali — wychodziła na Moskali — z jaszczurową szablą krzywą«. Podobno dopiero »Legenda« Wyspiańskiego z całą wodną czy podwodną mitologią Wisły jest jej godnem enkomion...

Wiersze o Wiśle (bo pochwały innych rzek pomijamy) mają tylko tyle wspólności z sonetem do Niemna, że ten jest najwspanialszym okazem całego gatunku, a jako najwcześniejszy mógł stanowić podnietę do podobnych produkcyj innych. Kto zabierze się kiedyś do opracowania motywu rzeki w poezyi polskiej, choćby tylko XIX wieku (jak Dr. Petzold ze Lwowa opracował niedawno ‚Strommotiv' w poezyi niemieckiej XVIII w.), znajdzie do tego niewątpliwie dużo materyału. Nam od Wisły wypada wrócić do Niemna, by pokazać najosobliwszy może ogródek, jaki kiedykolwiek zroszono jego wodą mianowicie greckie naśladowanie sonetu Mickiewiczowskiego, pochodzące od Niemca. Autorem jego jest Dr. Jan Józef Schwickert, profesor gimnazyalny w Diekirch, który w r. 1878 wydał krytyczne opracowanie olimpijskich pieśni Pindara [1], a w »Do-

[1] P. t.: Pindars olympische Siegesgesänge | in durchgreifend geläutertem Texte | auf der Grundlage kritisch-exegetischer Untersuchungen | nebst begleitender Übersetzung | und einem dreifachen Anhange | mit zahlreichen... Emendationen. W Trewirze, Commissionsverlag der Fr. Lintzschen Buchhandlung. —

datku »umieścił prócz greckiej satyry na pysznych bogaczy (naśladowanej z niemieckiego), greckie »naśladowanie polskiej pewnej pieśni najsławniejszym poetą Mickiewiczem napisanej« [1]. Niepolski instrumentalis w tej jedynej próbie jego polszczyzny zdaje się wskazywać, że Schwickert umiał prawdopodobnie i po rosyjsku. Nie puszczając się w poszukiwania za tem, jaką drogą doszedł do znajomości tych języków słowiańskich, dodajemy, że owo naśladowanie zatytułował po grecku jako: Ὑπομνημόκλαυστον τῆς πατρίδος μέλος Ἕλληνος ἀνδρὸς δηρὸν ἀποδήμου, t. j. Wspominająca łzawo ojczyznę pieśń Greka długo przebywającego z dala od niej. Tym Grekiem jest, jak się dowiadujemy z następnej uwagi (greckiej), ówczesny poseł grecki w Berlinie, wymieniony w dedykacyi tego dzieła, a więc Ekscellencya A. Rhidso Rangabé, znakomity badacz starożytności, poeta i polityk. Imię jego powtarza się do dziś dnia wśród sporów o grecki język literacki, jako tego, który teoretycznie i praktycznie przygotował zwycięstwo języka sztucznego, opartego o grecki język ogólny, kojne. Za próbę tego języka niech posłuży pierwsza strofa jego piosenki p. t. Lotos (naśladowanej z Heinego): Πᾶσαν νέαν αὐγὴν γλυκὺ ἄνθος λωτοῦ | εἰς τοῦ Γάγγου τὸ κῦμα ἀναθάλλει | εἰς τὸν ἥλιον στίλβουν τὰ πέταλ᾽αὐτοῦ | κ᾽εὐωδίας ὁ κάλυξ του χύνει παντοῦ | ὡς χρυσῆ μυροφόρος φιάλη... Zwolennik takiego języka sztucznego mógł zasmakować i w pieśni Schwickerta, którą przytaczamy w przedruku, łącząc po dwa wiersze w jednej linii:

Σὺ Καφισσὲ μὲν πατρῴας | Ῥεῖθρα γᾶς, ποῦ δὴ
Ὕδατ᾽ ἐστὶ κεῖνα πάντα | Ἃ καὶ παιδαρίου
Χειρί ποτ᾽ ἤφυσσα φίλας | Τᾶς νεότατος,
Ἃ πάλαι τ᾽ ἦ μ᾽ ἐκόμιζε | Ζητοῦντα ψυχροὺς
Αὔραις χώρους τε παὶ 'νάπαυλαν | Ἀγρερημίας,
Εὖτ᾽ ἂν φρένας φυλαξείην γε | Ζάλᾳ ἢ ὁρμαθεῖσας
Τοῦ μὴ ἐκχεῖν γ᾽ἐν ἀνθρώποισι | Δάκρυσι θυμούς. —
Οἶδμα δ᾽ὧν ποῦ δὴ φαιδρωπόν | κάτοπτρον καλῶν
Ἔσοπτρόν τε μὰν προσώπων | Νύμφας φιλτάτας,
Εὖθ᾽ ἄνθει στεφανωθεῖσα | Κρᾶτ᾽ εὐώδεϊ
Καββλεφαῖσ᾽ ἀναφανείη | Ἐν κύμασι
Καφισοῦ σοῦ γ᾽ ἐν ῥεέθροις | Κατ᾽ ἐγὼ δὲ τότ᾽
Δάκρυσ᾽ εἶδος ἐψέκασα | Τᾶς ἐρασμίας
Ἔρωτι φλέων ὀφθαλμῶν | Λαυρ—Ἀλεξάνδρας. —

Znajomość tej publikacyi i zawartego w niej naśladownictwa Mickiewicza zawdzięczam ś. p. profesorowi Adamowi Miodońskiemu.

[1] Tamże, str. 163.

Ποῦ δὴ νῦν φίλαι γ'αἱ κράναι | Ἐλπίδων πότοι
Τόσσων ἁμῶν σοῦ Καφισσὲ | Κάτοπτρον καλῶν
Τε καὶ σκοπῶν γε τοῦ μέλλοντος | Νύμφας γε φίλας;
Ἁδοναὶ παιζοπαιδίας | Ποῦ δ' ἀνωδύνου;
Ποῦ φρενῶν δὴ ἀνηνεμία | Ἁ πελομένα
Νεαρῶν διὲξ ἐνιαυτῶν | Τε καὶ θουρίων;
Μήποτ' ἆρα παυσθήσονται | Λαύρας καὶ φίλων
Αἰθόφρενες μὰν οἱ πόθοι γε; | Ἔρρει δὴ νῦν τὸ πᾶν,
Τῶν γ' ἄλλων ὄντων ὧν ἀΐστων | Τά τε δάκρυα, φεῦ, τί μή;

w polskim przekładzie znaczy to mniej więcej: Kefissie, ojczystej ziemi rzeko, gdzie to są wody owe wszystkie, które i dziecięcia ręką niegdyś czerpałem za miłej młodości i które potem mię nosiły, gdym szukał miejsc chłodnych od podmuchów i odpoczynku w dzikiej ustroni, strzegąc serca burzą poruszonego, by nie wylać we łzach przed ludźmi uczucia. — Gdzie jest fala błyszcząca, wejrzadło i zwierciadło pięknego oblicza ukochanej dziewicy, kiedy uwieńczywszy głowę kwieciem wonnem, przeglądała się w twych spokojnych falach Kefissie, a ja wtedy łzami zrosiłem postać ukochanej, bo mi z oczu przelewała się miłość do Laury-Aleksandry. – Gdzież są teraz twoje miłe zdroje, Kefissie, pojące tak wielkie moje nadzieje, owo zwierciadło pięknych celów przyszłości i dziewicy ukochanej? Gdzie bezbolesnego dzieciństwa rozkosze? Gdzie wreszcie pogoda serca, właściwa latom młodym i gwałtownym? — Nigdy tedy nie skończy się paląca serca tęsknota za Laurą i przyjaciółmi? Wszystko teraz przeszło, ale gdy wszystko inne już zniknęło, łzy, ach czemuż nie (zniknęły)?

Ze względu na dobór wyrazów i obrazów naśladowanie Schwickerta ma się do oryginału tak, jak n. p. bizantyjska parafraza pieśni Pindara do samych poezyj wieszcza beockiego. Rozszerzenia naśladowcy nie sprzeciwiają się przeważnie intencyom Mickiewicza, gdy n. p. szukanie ochłody dla serca niespokojnego w dzikiej ustroni przypisuje chęci, »by nie wylać we łzach przed ludźmi uczucia«, lub gdy owo mącenie łzami obrazu ukochanej na wodzie, objaśnia tem, »że z oczu przelewała mu się miłość« do Laury. Tak samo szczęście nie źle łączy z ukochaną, a »milsze burzliwego wieku niepokoje« nazywa pogodą, właściwą latom młodym i gwałtownym. Z toku wypada dopiero, zastępując pytania, »kędy jest Laura moja? Gdzie są przyjaciele?« skargą na palącą serce tęsknotę za Laurą i przyjaciółmi. Epigrammatyczne zakończenie oryginału też niepotrzebnie rozszerzone podjęciem pierwszych wyrazów

w zdaniu czasowem. Zresztą dobór wyrazów, jak na uczonego znawcę Pindara przystało, przeważnie Pindarowski (z wyjątkiem nowotworu ἀγρ-ερημία na dzikie ustronie), dyalekt według wzorów liryki chóralnej zabarwiony z dorycka, a czasem i z eolska, kompozycya ciągła, niestroficzna (może dla zaznaczenia charakteru niby skolionu), a metrum o charakterze przeważnie logaedycznym. Schemat jego możemy w myśl zasad metrycznych, których Schwickert trzymał się przy czytaniu Pindara, przedstawić w następujący sposób:

∪ | ⊢ — ∪ | — ∪ — — || — ∪ ⊢ | ⊢ ⊢
∪ ∪ | — ∪ — ∪ | — ∪ || ∪ ⊢ ∪ ∪ | ⊢
— ∪ ∪ ⊢ | — ∪ ∪ ⊢ || — ∪ ∪ | — ∪
— ∪ ⊢ | — ∪ ∪ | — ∪ || ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ | ⊢
⊢ ⊢ | ⊢ — ∪ | — ∪ — ∪ || — ∪ — ∪ | —
⊢ — ∪ | — ∪ — — | — ∪ || ∪ | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢
⊢ ⊢ | — ∪ ⊢ | ⊢ — ∪ || — ∪ ∪ — ∪
— ∪ ⊢ | ⊢ ⊢ | ⊢ — ∪ || ∪ | ⊢ — ∪ | —
∪ | ⊢ — ∪ | — ∪ — — || ⊢ ⊢ | — ∪ —
⊢ ⊢ | — ∪ ∪ | ⊢ — ∪ || ⊢ ⊢ | — ∪ ∪
⊢ ⊢ | ⊢ ∪∪ ∪ | ⊢ ⊢ || ∪ ∪ | — ∪ ∪
⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ | — ∪ — — || ∪ ∪ | — ∪ ∪
— ∪ — ∪ | — ∪ — ∪ || — ∪ — ∪ | —
∪ | ⊢ — ∪ | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ || — ∪ — — | —
— | ⊢ — ∪ | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ || — ∪ — ∪ | —
— | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ | ⊢ ∪ — || ∪ | ⊢ — ∪ | —
∪ | — ∪ — ∪ | — — | — — || — | — ∪ ∪ —
— ∪ ⊢ | — ∪ — ∪ | — || — ∪ — ∪ | —
— ∪ — ∪ | — ∪ ∪ — || ⊢ ∪ ∪ ∪ | —
∪ ∪ | — ∪ — ∪ | ⊢ ⊢ || ∪ — | — ∪ —
— ∪ — ∪ | ⊢ — | ⊢ — || — | — ∪ —
— | — ∪ — — || — ∪ — ∪ || — | — — | — ∪ —
— | ⊢ ⊢ | ⊢ ⊢ | — ∪ — — || ∪ ∪ | — ∪ ∪ — ∪ —

Mickiewicz, który w Kownie mozolił się nad przekładem Pindarowej Ol. I (Najpierwszą woda istotą) i który po latach na katedrze w Lozannie »kropił z powagą Grodka« (de re metrica), a w Paryżu potrafił jeszcze ułożyć w metrum alcejskiem »Ode in Bomarsundum captum«, nie byłby z pewnością zachwycony tą budową metryczną pieśni Schwickerta. Mimo Pindaryckiej pozy pozo-

staje ona o tyle poza oryginałem, o ile wysychający w lecie potok attycki Kefissos za potężnym Niemnem.

Nie było to bynajmniej rzeczą przypadkową, że na sonet do Niemna uwagę zwrócił i w wiersze niby Pindaryckie go ubrał znawca Pindara. Bo Pindar jest tym poetą greckim, który pierwszy złączył swą miłość do ojczystych Teb i Beocyi z ich rzekami i źródłami. Jeden z jego najwcześniejszych utworów, pochwała Teb, zaczyna się od pytania (fr. 29, 1): ‚Czy Ismenos czy Meliję ze złotem wrzecionem (mam opiewać)?' Ismenos, to rzeka płynąca obok Teb, a Melija, to nimfa beockiej rzeczki Melas, wpadającej do jeziora Kopais. Pomijamy inne wzmianki o Ismenosie i innym beockim strumieniu, Asoposie, a zatrzymujemy się jedynie przy tebańskiem źródle Dirke, w pobliżu którego według tradycyi stał dom Pindara. Domowe to źródło Pindara, według opisu podróżników przedstawiające się dziś jak zarosła zielskiem studzienka, sącząca się cienkim ponikiem, doszło do światowej sławy (jak źródła poetyckie Kastalia i Hippokrene) dzięki Pindarowi. Ten oświadczył Pyth. IX 88, że niemym jest mąż, który nie otwiera ust na sławę Heraklesa i nie pamięta zawsze o wodzie dyrcejskiej (μηδὲ Διρκαίων ὑδάτων ἀὲ μέμναται) i nie chcąc być takim niemcem, wspominał o Dirce przy każdej sposobności. Więc mówiąc o Tebach, zaznaczał (Isthm. 8, 20), że leżą obok Dirki o pięknych falach (παρὰ καλλιρόῳ Δίρκᾳ); zwycięzcy Tebańskiemu kazywał swój wieniec istmijski pokazać falom Dirki (Istm. 1, 29), pieśni swe nazywał zjawionemi nad sławną Dirke (Ol. 10, 85 τὰ παρ' εὐκλέϊ Δίρκᾳ... φάνεν), albo wprost identyfikował je z wodą Dirki, gdy mówił zwycięzcy egineckiemu (Isthm. 6, 74): ‚Napoję cię świętą wodą Dirki, którą nizko przepasane córy Mnemozyny złotoszatnej zaczerpnęły przy warownych bramach Kadmosa'. Za przykładem Pindara sławili Dirkę poeci tragiczni, opracowujący mity tebańskie, zdobili ją epitetami lirycy i epicy, a kto wie, czy nie przykład Pindara sprawił, że późniejsza poezya pisze swą sławę na falach swych rzek domowych. Trzeba przytem zawsze i o tem pamiętać, że ten motyw literacki miał konkretną podstawę w prastarym, a wiecznie młodym kulcie rzek i źródeł jako bóstw. Były one niby tylko mieszkaniem bóstwa, ale zarazem samem bóstwem [1].

Pomijając liczne przykłady z Antologii i z inskrypcyj greckich,

[1] Por. Friedländer, Sittengesch. Roms II.[8] str. 193 n.

poprzestajemy na poetach Augustowskich: Oto Wergiliusz (Georg. III 10 nn.) spodziewa się, że pierwszy przyniesie palmę poezyi ojczystej Mantui i wzniesie świątynię swej sławy w pobliżu wody, »gdzie ogromny Mincio błądzi w powolnych zakrętach, uwieńczywszy brzegi w delikatną trzcinę«: »propter aquam, tardis ingens ubi flexibus errat — Mincius et tenera praetexit harundine ripas«. Nad brzegami Mincio wyśpiewywał pierwsze swe pieśni pasterskie (Ecl. VII 12 n.). Horacy mniej czule wspominał ojczystą Apulię (Sat. I. 5, 77), ale ulegając konwenansowi, łączył swą przyszłą sławę poetycką z krainą, położoną nad apulskim Aufidusem (Ofanto): »Dicar, qua violens obstrepit Aufidus« (C. III 30, 10). Poza tem całą miłość swoją przeniósł na tiburtyński Anien, nad którego cienistym brzegiem niejedna mu się złożyła piosenka (C. I 7, 12 nn., IV 2, 27 nn.)[1]. W podobny sposób kolebkę Propercyusza, umbryjski Assyż, określa astrolog (El. IV 1, 123 n.) przez położenie nad pełną oparów Mewanią: »Qua nebulosa cavo rorat Mevania campo — et lacus aestivis intepet Umber aquis — scandentisque Asisi consurgit vertice murus — murus ab ingenio notior ille tuo«. W zapewnieniu o przyszłej sławie nie wymienia jednak sam Propercyusz domowej rzeki (El. IV 1, 65): »Scandentes quisquis cernet de vallileus arces — ingenio muros aestimet ille meo«. W tem wiernie naśladuje go Owidiusz (Am. III 15, 11 nn.): »Atque aliquis spectans hospes Sulmonis aquosi — moenia, quae campi iugera pauca tenent: quae tantum dicat potuistis ferre poëtam — quantulacumque estis, vos ego magna voco«. Rzeka domowa znalazła tu schronienie w epitecie Sulmony: »aquosus«.

Większej niż Propercyuszowa Mewania sławy doczekała się inna rzeczka umbryjska i jej źródło, Clitumnus. Ważne miejsce w pochwałach Italii (Georg. II 136 nn.) przyznaje mu Wergiliusz, gdy mówi (w. 144): »hinc albi, Clitumne, greges et maxima taurus— victima, saepe tuo perfusi flumine sacro — Romanos ad templa deum duxere triumphos«. Piękność jego i sławę głosi w wymownych słowach Pliniusz Młodszy w liście do przyjaciela (Epist. VIII 8), a ten list dostarczył pewnych szczegółów dwom nowożytnym piewcom Klitumna, niby symbolu całej Italii, Byronowi (Childe Harold IV strofa 166—167) i Carducciemu. Byrona znał autor sonetu Niemna, więc go tu przytaczamy:

[1] Por. Sinko, Za spojrzeniem Horacego, Eos XIX. 1913, str. 57 nn.

But thou, Clitumnus! in thy sweetest wave
of the most living crystal that was e'er
the haunt of river nymph, to gaze and lave
her limbs where nothing hid them, thou dost rear
thy grassy banks where on the milk — white steer
grazes; the purest god of gentle waters!
and most serene of aspect. and most clear:
surely that stream was unprofaned by slaugh ters —
a mirror and a bath for Beauty's youngest daughters!

And on thy happy shore a temple still,
of small and delicate proportion, keeps
upon a mild declinity of hill
its memory of thee; beneath it sweeps
the currents calmuss; of fromout it leaps
the finny darter with the glittering scales,
who dwells and revels in thy glassy deeps;
while, chance, some scatter'd water lily sails
down, where the shallower wave still tells its bubbling tales.

Carducciego olbrzymią odę »Alle fonti del Clitunno« (Odi barbare I 6) spopularyzował, przynajmniej wśród filologów, Wilamowitz: »An den Quellen des Clitumnus« [1].

Osobna wzmianka należy się Horacyuszowej Banduzyi. Jest to nazwa jego domowego, apulskiego źródła, którą przeniósł na rozkoszne źródło leśne, wytryskające u stóp góry Lukretilis w Sabinum, wsławione prześliczną odą C. III 13: »O fons Bandusiae splendidior vitro...« Ile pochwał innych źródeł zrosili poeci europejscy wodą z tej Banduzyi, pouczają zestawienia E. Stemplingera [2]. Do najpiękniejszych naśladownictw należy ustęp w kanzonie Petrarki, zaczynający się od słów »Standomi un giorno solo a la fenestra«. Czytamy tam: »Chiara fontana in quel medesmo bosco — sorgea d'un sasso, et acque fresche et dolci — spargea, soavemente mormorando«. Pomijamy dalsze szczegóły. Zwracamy jeszcze tylko uwagę na zakończenie obrazu. Poetę rozczulił piękny widok. Nagle wszystko znikło, a on sam pozostał z bólem i wspomnieniami: »ond' anchor doglia sento, — et sol de la memoria mi sgomento«.

[1] Reden u. Vorträge[3], Berlin, 1913, str. 370 nn.

[2] W książce: Fortleben der horazischen Lyrik seit der Renaissance, Lipsk, 1908. Możnaby osobny tom wypełnić polskiemi naśladownictwami Horacego. Banduzyę najpiękniej adaptował do kolegiackiej studni w podwórzu Bibl. Jagiell. Sebastyan Petrycy (Horacyusz Flaccus w trudach więzienia moskiewskiego, 1609, Bibl. Pis. polskich wyd. przez Akad. Um. nr. 67).

Prócz Petrarki w tym związku obchodzi nas bliżej jeszcze inny naśladowca Horacego, Maciej Sarbiewski. Motyw rzeki, powiernicy uczuć poety, spotykamy u niego w epigrammie 21 (Super rivulos aquarum): Błądziłem niedawno — opowiada podczas swego pobytu w Rzymie — w pobliżu kryształowych fal Tybru, tam, gdzie żali się woda, rozbijana o skały i mówiłem: ,Moja wodo, wypłacz moje uczucia, bo mnie już zabrakło własnych łez. O gdybym ja mógł stać się tak obfitą rzeką! płynąłbym w wiecznej ucieczce przez piękne pola'. Tak ja, a rzeka wstrzymała ciche skargi. Może i sama pragnęła we mnie się zamienić... Do Horacyuszowskiej Banduzyi i Katullowego Sirmio (Carm. 31) nawiązuje wyraźnie, gdy wróciwszy z Rzymu, wita się z rzeczką, przepływającą rodzinne Sarbiewo, Soną (Epod. I 2, ad fontem Sonam): »Fons innocenti lucidus magis vitro — puraque purior nive — pagi voluptas, una Nympharum sitis — Ocelle natalis soli«. Wraca do źródła od ludów tuscyjskich, znużony mozołami długiej podróży i obarczony nawałem trosk, kładzie się nad jego brzegiem i dłonią czerpie wodę. Orzeźwiony, błogosławi źródłu, by jego spokoju nie mąciły trzody ani gałęzie, spadające z drzew; by jego gadatliwego szmeru nie zagłuszały niemiłe poszumy topoli. Jeśli uznanie papieża Urbana, udzielone pieśniom poety, coś znaczy, to Sona nie będzie mniej sławna niż Banduzya i Sirmio: »olim fluenti lene Bandusiae nihil — aut Sirmioni debeas«.

Bardziej od tradycyi Horacyusza oddala się oda do domowej rzeki Sarbiewskiego, mazowieckiej Narwi, nad której brzegami wyśpiewał pierwszą swoją piosenkę (Lyr. II 15): Na białych różach spał, na liliach i fiołkach ów dzień, któremu, czuwając, po raz pierwszy zdołałem przerwać sen pieryjskim barbitonem, gdy jako chłopiec, wolny od trosk, błądziłem po brzegach pięknej Narwi: »curae dum vacuus puer — formosi legerem littora Narviae«. Od tej chwili zakwitło szczęście poety, przestały go niepokoić szczęki orężne, a przedmiotem jego upodobań stały się rozkosze wiejskie, różane ogrody, błyszczące w rannej rosie, delikatne fiołki, Wilia, tocząca się łagodną strugą (volubilem — leni flumine Viliam). Dlatego na cześć Narwi wycina na korze młodego dębu pieśń, by rzekę, którą kocha Febus i Pierydy, kochały też lutnie i chóry dziewic. Pieśni owej wyuczą się chłopcy i dziewczęta i w święto, rozstawiwszy się po obu brzegach, będą ją naprzemian śpiewać, z jednej strony chłopcy, z drugiej dziewczęta.— Konwenansowym torem

Horacyańskim toczy się znów Pochwała Bugu (Laus Bugi, Epod. 15): Wyliczywszy sławne rzeki starożytne [1], których nie myśli opiewać (Salmacis, Tigris, Achelous, Cydnus, Pactolus, Tyber), zapowiada poeta pochwałę Bugu, łagodzącego żar Syryusza i wilgotność Austra. Bug przedstawia mu się jako starożytny bożek rzeki z rogami i brodą. Życzy mu tego samego, co dawniej Sonie, by go nie mąciły ani trzody ani gałęzie; by go nie prażyły wiatry gorące ani mroziły zimne. Miły jest jego szum, ale milszy jeszcze stukot kół młyńskich, obracanych jego falami. Teraz ma z polecenia poety porozumieć się ze swym dopływem. Narwią. i donieść przez nią Nimfom Mazowieckim: Nie długi łańcuch wieków wyda ze zdumieniem wieszcza, który rozniesie po miastach rzeki, pełne naszej sławy, i wspanialszą je opiewać będzie pieśnią:

Si vera praesens vaticinantibus
Latous edit, credite posteri!
Non longa saeclorum catena
Attonito dabit ore vatem.

Qui plena nostrae flumina gloriae
Feret per urbes: non humili lyra
Cantuque vos olim sonabit
Et cithara generosiore.

Gdyby nie ów łańcuch wieków, choć nie długi, moglibyśmy zgodnie z przepisami krytyki odnosić ową przepowiednię do samego Sarbiewskiego, który przeczuwa swą przyszłą sławę, a wkładając to przeczucie w usta bożka Bugu, tak je formułuje, że ów poeta będzie roznosił po miastach rzeki pełne naszej (t. j. Bugu i Narwi) sławy i opiewać będzie was, (t. j. Nimfy Mazowsza). »Non longa saeclorum catena dabit vatem«, t. j. nie będzie trzeba czekać na niego przez długi łańcuch wieków, lecz wnet on się zjawi. Ale czy Mickiewicz, czytając tę pieśń (a że znał Sarbiewskiego, za to ręczą i wykłady Borowskiego i wzmianki w Kursie literatur słowiańskich), nie mógł owej przepowiedni odnieść do siebie i znaleźć w niej bodźca do opiewania Niemna i Wilii? W każdym razie Sarbiewskiego i Pertrarki pieśni o rzekach, zasilone z Horacyuszowej Banduzyi, tworzą tę tradycyę literacką, na której tle trzeba umieszczać Mickiewiczowski sonet do Niemna.

[1] Taki katalog egzotycznych rzek zawiera Verlaine'a Nocturne parisien, w związku z dumaniem poety nad brzegiem Sekwany.

Sprawa stosunku Litwy do Polski na Sejmie Wielkim.

Napisał

Władysław Smoleński.

Aktem 14 sierpnia 1385 r., wystawionym w Krewie, wielki książę Jagiełło, wybrany na męża Jadwigi i powołany na tron Piastów, przyrzekł ziemie litewsko-ruskie wcielić wieczyście w skład Polski. Litwa, rezygnując z odrębności państwowej, miała zlać się z Polską w jeden organizm polityczny. Możliwość zrealizowania inkorporacyi arystokracya polska, kierująca akcyą, fundowała na naturze stosunku Jagiełły do jego ziem — na prawie dziedzica-jedynowładcy do rozporządzenia swoją własnością.

Pomimo zapewnień aktu krewskiego odrębność Litwy po objęciu tronu polskiego przez Jagiełłę nie zanikała. Wyobrazicielami tej odrębności byli osobni wielcy książęta litewscy, najprzód brat rodzony króla, Skirgiełło, po nim stryjeczny, Witołd Kiejstutowicz. Ostatni, mąż wielkiej ambicyi i energii, niezadawalniając się wykonywaniem władzy zastępczej, pokusił się o przywrócenie Litwie samodzielności państwowej. W r. 1398, podczas zjazdu z przedstawicielami Zakonu krzyżackiego na wyspie Salin, obwołany został przez kniaziów i bojarów litewsko-ruskich monarchą samoistnym. Niebezpieczeństwo zupełnego unicestwienia unii państw zażegnał układ Jagiełły z Witołdem, sankcyonowany przez panów polskich i litewskich w Wilnie w r. 1401. Witołd zrezygnował z samodzielności monarszej w zamian za przyznanie mu władzy wielko-książęcej dożywotniej. Stwierdziło się w ten sposób zwierzchnictwo króla nad Litwą, utrzymany został pewien związek ostatniej z Polską. Faktycznie jednak Witołd rządził Litwą samoistnie. Skupił w swem ręku ustawodawstwo, sądownictwo, skarbowość i obronę;

samodzielnie prowadził politykę zagraniczną, wypowiadał wojny i zawierał traktaty.

Wcielenie Litwy w skład Polski zapowiedziane aktem krewskim, nie miało uzasadnienia ani w jedynowładztwie Jagiełły, ani w bierności jego poddanych. Pokuszono się o zjednoczenie narodów, różniących się przeszłością i kulturą, wychowanych w państwach o odmiennej strukturze wewnętrznej, niedawno wrogich sobie. Górne warstwy społeczeństwa litewsko-ruskiego stały przy swej odrębności politycznej, powodowane instynktem samozachowawczości, dawały też potężne oparcie akcyi separatystycznej takiego gracza politycznego, jakim był Witołd Kiejstutowicz.

Za to Litwa, broniąca swej odrębności państwowej, zbliżała się do Polski pod względem kulturalnym i organizacyjnym. Wzięła z niej katolicyzm; w pochodzie rozwojowym wzorowała się na jej instytucyach politycznych i społecznych. Stwierdza to akt unii horodelskiej z 2 października 1413 r.

Unia horodelska separatyzm układu wileńskiego z r. 1401 jeszcze bardziej potęguje, albowiem odrębność państwową Litwy przenosi po za kres życia Witołda, t. j. na całą przyszłość; z drugiej przecież strony stwarza szereg ogniw, konkretnie i ideowo jednoczących dwa samoistne organizmy polityczne.

Wielki książę ma być wybierany przez bojarów litewskich, lecz elekcya osoby musi mieć sankcyę króla, który zasięgnie w tym względzie opinii prałatów i baronów polskich. W ten sposób zagwarantowano wpływ króla na obsadzenie tronu wielkoksiążęcego i ugruntowano pewnego rodzaju zawisłość Litwy od Polski.

Z woli władców obu państw Polacy i Litwini mają odprawiać, dla porozumienia się w sprawach wspólnych, zjazdy generalne w Lublinie lub Parczowie. Artykuł ten, stwierdzający potrzebę współżycia obu państw i stwarzający w tym celu stosowny organ, działał w kierunku zespalającym

Zaprowadzono na Litwie urzędy na wzór polskich i zapewniono dygnitarzom udział w radzie wielko-książęcej. Pozyskiwała tą drogą Litwa instytucye, podobne polskim, zbliżające do siebie oba organizmy polityczne.

Kościół litewski otrzymał całą pełnię swobód kościoła polskiego.

Przedstawiciele czterdziestu siedmiu domów bojarskich, wyznający katolicyzm, przyjęci zostają z rodami swymi do herbów

szlachty polskiej i otrzymują szereg przywilejów społecznych i politycznych, jak prawo dowolnego rozporządzania posiadłościami ziemskiemi, swobodnego wydawania za mąż córek i t. p.

»Ośrodkiem, jądrem horodelskiego aktu — powiada badacz tych stosunków [1] — jest wyraźne, konstytucyjne uznanie trwałej odrębności państwowej Litwy; wszystkie inne, szeregujące się około tego przepisu postanowienia mają na celu usunąć skrajne następstwa tego faktu, a zarazem stworzyć podstawę najściślejszego zespolenia obu wydzielonych organizmów, czy to przez stworzenie łączników, wiążących je formalnie, czy przynajmniej przez upodobnienie najważniejszych kształtów państwowego ich i społecznego ustroju«. Akt horodelski, formalnie orzekający trwałą odrębność państwa litewskiego, przygotowuje jednocześnie grunt do usunięcia jej w przyszłości, stwarza warunki późniejszego nawrotu do zespolenia.

Po śmierci Witołda panował na Litwie brat jego, Zygmunt, następnie Świdrygiełło Olgierdowicz. Od r. 1440 wynoszeni są wyłącznie Jagiellonowie; władze: królewska i wielko-książęca łączą się w jednym rodzie panującym, skutkiem czego separatyzm Litwy w stosunku do Polski łagodnieje. Za panowania w Polsce Władysława Warneńczyka rządził na Litwie brat jego, Kazimierz; za królowania Olbrachta — brat tegoż, Aleksander. Kazimierz po Władysławie, Aleksander po Olbrachcie obejmują tron polski, nie tracąc godności wielko-książęcej; oba organizmy polityczne przechodzą pod bezpośrednie rządy władcy wspólnego. Urabia się tą drogą stosunek, sformułowany w akcie unii mielnickiej z r. 1501: w Polsce i na Litwie ma być na przyszłość »jedna głowa, jeden król i jeden pan«; oba organizmy mają zespolić się »w jedno nierozdzielne, nieróżniące się ciało, żeby był jeden lud, jeden naród, jedno braterstwo i wspólna rada«. Wprawdzie, wbrew unii mielnickiej, po śmierci Aleksandra, dokonany został osobny wybór wielkiego księcia, Polska jednak sparaliżowała poryw separatystyczny, ofiarując Zygmuntowi berło królewskie. Zygmunt Stary przeprowadza wybór na wielkiego księcia swego syna dlatego, żeby mu utorować drogę do tronu polskiego. Obie władze koncentrują się w jednej osobie; spójnia Litwy z Polską jest nieprzerwalną, aż utrwaloną zostaje w akcie unii lubelskiej.

Deklaracya sejmu warszawskiego z r. 1564 zapowiada, »że

[1] Balzer, Unia horodelska, Rocznik Ak. Um. w Krakowie 1912.

te oboje państwa... w jedno złączone są, a w takie jedno, iż nietylko w jeden animusz, albo w jednę myśl, w jednę wspólną przyjaźń, acz i to wszystko tak jest, ale też k' temu w jedno ciało, w ciało nieróżne, nierozdzielne..., w jednę Rzeczpospolitę jednego ludu, który się przez związek i spojenie dwóch narodów w jedność jednostajną i nierozdzielną zniósł i spoił tak, iż już jako te państwa nie są dwie ciele, tak też te dwie Rzeczypospolite być nie mogą, ale jedna Rzeczpospolita z tych narodów spojona...« Akt unii lubelskiej z r. 1569 stwierdza, »iż już Korona polska i Wielkie księstwo litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się ze dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła«.

Unia lubelska nie inkorporowała Litwy w skład Polski, lecz położyła kres dotychczasowemu związkowi mechanicznemu dwóch ciał politycznych, w zasadzie obcych sobie. Upodobniła ona oba państwa pod względem organizacyjnym i dwie indywidualności współrzędne zjednoczyła w Rzeczpospolitę. Zapewnioną została nierozdzielność krajów, wspólność monarchy, obieranego przez oba narody, i wspólność sejmów, w których zasiądą obok polskich senatorowie i posłowie litewscy. Pozostały za to podwójne, polskie i litewskie, urzędy centralne, t. j. ministerya, osobny skarb i osobne wojsko. Oprócz tego utrzymała Litwa odrębny statut, t. j. prawo sądowe.

Współrzędność państwowa Litwy znajduje wyraz we wszystkich instytucyach, powstałych w czasach następnych. Obok Trybunałów koronnych: głównego i skarbowego funkcyonują podobnież litewskie. W myśl tej samej reguły stają osobne konfederacye, łączące się w generalną obojga narodów pod dwoma marszałkami: koronnym i litewskim. Magistratury litewskie rezydują w Wilnie i w innych miastach litewskich; od r. 1673 każdy trzeci sejm Rzeczypospolitej odbywa się w Grodnie. Dogadzało to Litwinom nie tylko ze względów ideowych, lecz i z ekonomicznych: funkcyonowanie wysokich magistratur na ich terytoryum zabezpieczało od wywozu bogactw litewskich do Korony, przyczyniało się do wzrostu miast rezydencyonalnych.

Zasady dualizmu państwowego święcie przestrzegano w reformach, podjętych po śmierci Augusta III. Na sejmach z r. 1764 uchwalono podwójne Komisye: wojskowe i skarbowe. Wprawdzie na sejmie rozbiorowym powstaje wspólna dla obu narodów insty-

tucya kulturalna, Komisya edukacyjna, i, za wpływem postronnym, centralny organ władzy wykonawczej, złożona z pięciu Departamentów Rada nieustająca, która w r. 1776 wchłonęła w siebie Komisye wojskowe; jednakże podwójne Komisye skarbowe istnieć nie przestały.

Ostatecznego zespolenia państw za pomocą wspólnych organów centralnych dokonał dopiero sejm wielki.

Przed sejmem z r. 1788 publicystyka mało zajmowała się sprawą stosunku Litwy do Korony. Nie poruszał tej sprawy Staszic, nie potrącali jej pisarze, zabierający głos z okazyi »Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego«. Wyjątek stanowi autor listów do Stanisława Małachowskiego.

Ksiądz referendarz litewski był zwolennikiem organów centralnych: pragnął takiego zarządu skarbowości, jaki posiadała obrona krajowa w Departamencie wojskowym Rady nieustającej, a szkolnictwo w Komisyi edukacyjnej, Racye Litwinów, uzasadniających potrzebę utrzymania osobnej Komisyi skarbowej litewskiej korzyściami ekonomicznemi, spływającemi na ich prowincyę z powodu rezydowania wysokiej magistratury rządowej w Wilnie, zwalczał w imię dobra powszechnego. »Nie radbym — pisze — obraźliwą prawdą uprzykrzał się powszechności narodowej. Nie radbym tykał tych uprzedzeń, które najwięcej irytują obiedwie prowincye; lecz miłość dobra powszechnego i doświadczenie w poprawie niektórych części rządu naszego przymusza mnie, ażebym o Komisyach skarbowych obojga narodów słów kilka powiedział. Departament wojskowy zatrudnia się dozorem wojska obudwóch narodów, Komisya edukacyjna rządzi edukacyą w Koronie i Litwie; czemużby Departament skarbowy nie miał utrzymywać rządu obudwóch skarbów? Odłóżmy na moment poszepty własnej miłości: mniej nas umieści się na posłudze publicznej, lecz rząd będzie prostszy, a zatem lepszy. Wydatek na opłatę komisarzów pomniejszony zostanie, a przeto ubędzie potrzeba podatku, który z innego źródła wydobyty być nie może, tylko z intraty partykularnych. Fałszywe nadto jest mniemanie, żeby prowincye zbogacały się rozkładem dykasteryów. Weźmy na przykład Kraków i Poznań, gdzie żadnej nie masz sądowej jurysdykcyi; weźmy Piotrków i Lublin, gdzie od niepamiętnych czasów sądzą się Trybunały. Porównajmy te miasta, a sami na zarzuconą odpowiemy trudność... Przeto za wzór innych Rzeczypospolitej

magistratur byłoby dobrze, gdyby tylko jeden Departament skarbowy na obadwa ustanowić narody, a wybierając jednego ze trzech podskarbich na prezydenta, dwunastu ustanowić komisarzów, sześciu z Litwy, a sześciu z Korony... Szukam tylko oszczędzenia skarbu, tem bardziej, im bardziej widzę, jak potrzeby Rzeczypospolitej prowadzą nas do nieuchronnego, a wielkiego podatku...«

Proponując centralną magistraturę skarbową, Kołłątaj nie uwłaczał zasadzie współrzędności narodów: ofiarował Litwinom połowę komisarzy, zabezpieczał ich prowincyę od majoryzacyi żywiołów koronnych.

Po otwarciu obrad sejmowych Kołłątaj w dalszym ciągu propagował myśl centralistyczną. »Powinniśmy dla Rzeczypospolitej — pisał — pewne naznaczyć centrum, któreby wygodzie wszystkich województw zarówno dogadzało. Próżna jest rzecz myśleć o takiej Rzeczypospolitej, której rząd z miejsca na miejsce przenosićby się musiał... Rzeczpospolita musi mieć, że tak powiem, swój Rzym, swoje pryncypalne miasto, swoje trwałe siedlisko, w któremby magistraty wykonawcze, nie mniej jak i władza najwyższego dozoru raz na zawsze przebywała... Tej tak ważnej potrzebie wszystkie drobne zarzuty ustąpić powinny, tem bardziej prerogatywy jednej prowincyi, nierównie późniejsze od unii, a wcale przeciwne duchowi Rzeczypospolitej...« Miał na widoku Warszawę, »miasto jedno z najokazalszych, największych i najwygodniejszych w Polszcze«. Ponieważ każdy trzeci sejm odbywał się w Grodnie, Kołłątaj w zamian za zrezygnowanie z tego prawa proponował Litwinom kompensatę pieniężną. »Prowincya Wielkiego księstwa litewskiego... rozumie się być... pokrzywdzoną, iż zjazdy do stołecznego miasta przenoszą znaczną liczbę bogactw w rzeczonej prowincyi do Warszawy. Ale temu zbyt łatwo można zaradzić, naznaczywszy Warszawę miastem wszystkich trzech prowincyi wspólnem. Niech więc dochody publiczne, jakie się z tego miasta ciągnąć zwykły, na trzy części podzielone zostaną, a trzecia część rzeczonych dochodów niech idzie raz na zawsze do skarbu na opłacenie ciężarów prowincyi litewskiej. Tym sposobem wspomniona prowincya będzie miała zysk publiczny z miasta Warszawy; tym sposobem Warszawa stanie się jej miastem. Jeżeli Holandya, Anglia, Francya, Hiszpania, Portugalia mogą mieć osady swoje w odległych i morzem przedzielonych krajach, jeżeli Gibraltar może być własnością Wielkiej Brytanii; zacóżby Warszawa nie mogła być dobrą Wielkiego księstwa litewskiego

własnością?... Z tych to powodów chciałbym mieć Warszawę stolicą rządu ogólnego i w niej bez najmniejszego na prowincye podziału umieściłbym wszystkie magistratury wykonawcze, umieściłbym Rzeczpospolitę, nieustannie w reprezentantach trwałą«.

Kiedy Kołłątaj ogłaszał swe myśli o ujednostajnieniu władz rządowych i zogniskowaniu ich w Warszawie, ta sama sprawa weszła na porządek dzienny obrad sejmowych.

Na sesyi 20 października na wniosek Walewskiego, wojewody sieradzkiego, uchwalono podniesienie armii do 100.000, a następnie poruszono kwestyę zwierzchnictwa nad wojskiem. Stanisław Potocki, poseł lubelski, dowodził, że powierzenie władzy nad armią stotysięczną Departamentowi wojskowemu, instytucyi narzuconej i podległej wpływom obcym, równałoby się oddaniu wszystkich sił zbrojnych Rzeczypospolitej na usługi Rosyi; proponował zniesienie Departamentu i przywrócenie Komisyi wojskowej, któraby była zależną tylko od sejmu. Większość sejmowa oświadczyła się za obaleniem Departamentu, lecz jednocześnie powstała kwestya: czy należy ufundować jednę na całą Rzeczpospolitę Komisyę wojskową, czy też dwie, osobne dla Korony i Litwy, jakie istniały od r. 1764 do 1776. Powstał spór pomiędzy Litwinami, domagającymi się osobnej Komisyi wojskowej dla swej prowincyi, a reprezentantami Korony, oświadczającymi się za wspólną magistraturą.

Radziszewski, poseł starodubowski, złożył izbie projekt ufundowania osobnej Komisyi wojskowej litewskiej. Posłowie wołyńscy, Czartoryski i Jabłonowski, wnieśli ustanowienie jednej Komisyi dla obojga narodów. Projekt posłów wołyńskich na sesyi 27 października popierał najprzód Mierzejewski podolski, »bo na tem wiele zawisło, aby siła wojska koronnego unią z Księstwem litewskiem złączona i rządzona była«; następnie Szczytt, chociaż senator litewski. Ostatni, zwalczając projekt posła starodubowskiego, groził fatalnemi następstwami rozdwojenia zarządu wojskowego, zwłaszcza podczas bezkrólewiów. »Nic łatwiej zdarzyć się nie może nad to, że Komisya wojskowa litewska jednemu do Korony kandydatowi, a Komisya wojskowa koronna drugiemu sprzyjać może. Kto świadom domowych w czasie inwazyi Karola XII wojen; kto słyszał o krwawych utarczkach między wojskiem koronnem a litewskiem z przyczyny rozróżnionego względem kandydatów do Korony przywiązania, ten będzie o tej prawdzie przekonanym; i zdaje mi się, że dosyć jest brzydzić się wojną domową dla nieprzychylenia się do

przyjęcia tego projektu. Tak strasznemu wojsk krajowych rozdwojeniu ustanowieniem jednej Komisyi dla obojga narodów skutecznie zapobiega« projekt posłów wołyńskich. Czacki czerniechowski w projekcie Radziszewskiego dostrzegał »dzieło nieśmiertelne wiecznych związków Polski z Litwą zbliżające się ku swemu nadwątleniu«. »Dwie — mówił — oddzielne władze wojskowe, sobie niepodległe, nie sążże tą iskrą, która pożar wojny domowej wzniecić potrafi? i, tę słodką w unii zamianę nieprzyjaciela w brata osłabiając, wystawić prowincye ku wojnie domowej? Przezacne Księstwo litewskie! w czemżeśmy przeciwko tobie zgrzeszyli, iż słodki węzeł z wami nadwerężać chcecie?; czyż ręce i serca nasze nawzajem tak skażone widzicie, by ku waszej i wspólnej służyć nie mogły obronie?; a doświadczony ten miły związek po cóż wzruszać chcecie? Ścieśńmy ten węzeł, który siły nasze łączy, zawsze jednak w nim znając tę tylko wadę, która przy złączeniu Rusi z Koroną się znajduje, że odmienność Rusina od Polaka starta, a Litwina różnica po części została. Czcijmy go jednak, wszak nie mieczem, lecz miłością złączyliśmy się; nie przerywajmy więc, czyniąc podwójną Komisyę«.

Najżarliwszym rzecznikiem separatyzmu był Suchodolski, poseł smoleński. Na uwagę posłów koronnych, że jeżeli Departament w Radzie nieustającej zarządzał wojskiem, toć to samo pełnić może Komisya — odpowiedział długim wywodem historyczno-prawnym. Departament — dowodził — był częścią Rady nieustającej, na której czele stał król i zarazem wielki książę litewski. Struktura Departamentu nie uwłaczała prawom unii Litwy z Polską. Zgodziłby się na jednę Komisyę, gdyby ta to samo znaczyła, co Departament; skoro jednak zamierzono uniezależnić ją od władzy panującego, osobna musi być koronna i osobna litewska. »Stany koronne nie mogą mieć zwierzchności nad wojskiem litewskiem. Naród litewski, unją łącząc się, nie póddał się pod żadną, ani sądową, ani rządową stanów koronnych zwierzchność«...

Ostatecznie posłowie litewscy zgadzali się na Komisyę obojga narodów, zastrzegali jednak dla niej przedewszystkiem alternatę miejsca, t. j. żeby w kolejnych okresach czasu rezydowała na terytoryum ich prowincyi. Wniosek ten popierał Sapieha, marszałek konfederacyi litewskiej. »Dla jednostajności ustaw i rządu, uznając być lepszą jedną, niżeli podwójną tę magistraturę, gotowa jest prowincya litewska żądania swego odstąpić, zawsze jednak z zastrze-

żeniem co do miejsca alternaty«. Tegoż zdania byli: książę Poniatowski, podskarbi wielki litewski, i Ignacy Potocki, marszałek nadworny, wreszcie różni posłowie koronni. Wtedy Suchodolski smoleński oświadczył, że alternata miejsca to tylko blask, równość zaś osób w Komisyi jest gruntem. Żądał, iżby przez dwa lata dwie części były komisarzów koronnych, a trzecia litewskich; na drugie zaś dwulecie dwie części litewskich, a trzecia koronnych, albo też zawsze połowa koronnych i litewskich. Łubieński sieradzki propozycyę Suchodolskiego poczytał za obraźliwą i krzywdzącą prowincye koronne.

Po długich dyskusyach stanęła uchwała, według której Komisya obojga narodów agitować się będzie zawsze w trzeciem dwuleciu na Litwie, wchodzi zaś do niej ośmnaście osób: hetman prezydujący, na zmianę koronny i litewski; pięciu komisarzy wojskowych, z których trzech z Korony, dwóch z Litwy może być obranych; tudzież dwunastu cywilnych, z tych ośmiu koronnych i czterech litewskich.

23 grudnia r. 1788 ogłoszono wybór komisarzy.

Zwyciężyła tendencya centralistyczna. Tryumf ten zawdzięczała ona w znacznym stopniu dobrej woli Litwinów, gotowości ich do poświęcenia interesów partykularnych na rzecz dobra powszechnego. Pozyskali wprawdzie alternatę miejsca, lecz, mając jednę trzecią część komisarzy, poddawali się w zarządzie sprawami wojskowemi przewadze prowincyj koronnych.

Po obaleniu Rady nieustającej, 7 września r. 1789 wyznaczoną została przez sejm Deputacya do poprawy rządu, złożona z senatora duchownego, czterech ministrów, czterech posłów koronnych i dwóch litewskich. Po kilkomiesięcznej pracy przedstawiła ona sejmowi »Zasady do poprawy rządu«, poczem zajęła się wygotowaniem »praw kardynalnych«. Opracowała olbrzymi »Projekt do formy rządu«, w którym określiła stosunek Litwy do Polski.

Każdy trzeci sejm odbywa się w Grodnie. Jedna na całą Rzeczpospolitę Straż, jako organ władzy wykonawczej, składa się z króla i dwunastu panów radnych, w trzeciej części obywateli litewskich. Osobni są ministrowie koronni i litewscy. Wspólne są Komisye: edukacyi narodowej, wojskowa, według zapadłej już uchwały sejmowej, i policyi, mająca trzecią część komisarzy litew-

skich. Utrzymują się dotychczasowe Komisye skarbowe, koronna, złożona z obywateli polskich, litewska z litewskich.

Jednocześnie z dziełem Deputacyi wyszedł z druku projekt konstytucyi, opracowany przez Kołłątaja. Nieschodząc ze stanowiska centralistycznego, autor, oprócz wspólnych organów rządzących, a więc i Komisyi skarbowej, domaga się jednego kodeksu cywilnego i obowiązkowego w czynnościach publicznych języka polskiego. »Ponieważ jeden język widocznym jest dowodem jedności narodu, przeto język polski będzie powszechny dla wszystkich prowincyj, z których się państwa Rzeczypospolitej składają. Odtąd więc niewolno będzie innego języka, prócz polskiego, używać w stanowieniu praw i wykonywaniu onych, tak dalece, że nie tylko prawa, ale nawet wszelkie wyroki sądowe, opisy urzędowe i pozwy w języku tylko polskim pisane być mają. W szkołach nawet wszystkie nauki dawane być powinny w tym języku, wyjąwszy nauki duchowne, które potrzebują z swym obrządkiem zgodnego«.

W duchu zupełnego zespolenia obu narodów przemówił i kanonik Jezierski w broszurze: »Wzmianka krótka o zjednoczeniu Księstwa litewskiego z Królestwem polskiem w duchu wolności i równości«. »Z mieszkańców dwojakiej ziemie obróciło się obywatelstwo w postać jednej Rzeczypospolitej. To nie jest zjednoczenie takie, jak Wielkiej Brytanii, gdzie trzy królestwa złączone, ale niezjednoczone w jeden naród angielski; to nie jest zjednoczenie takie, jakie sobie przedsięwzięła jedna królowa na północy, chcąc połączyć Norwegię, Szwecyę i Danię; ale to jest zjednoczenie Litwy z Polską, tak wspólnie wzajemne, jakie jest szczepienie w ogrodach drzewa w drzewo, gdzie z podwójnej drzewiny jedna tylko powstaje roślina. Kraje litewskie są ziemią polską, a prowincye polskie są nawzajem ziemią litewską... Gdy razem dwa narody przeistaczają się w jeden naród, wszystko wspólną i wszystko całkowicie ogólną własnością zostaje. I ta jest różnica zjednoczenia się dwóch narodów w jeden naród od połączenia się dwóch narodów pod panowanie jedno. Co więc tylko Polska ma urzędów, dostojeństw — wszystko to jest wspólne dla szlachty litewskiej; i nawzajem: co tylko jest na Litwie, jest dla polskiej szlachty«...

Pomysły unifikacyjne Kołłątaja i Jezierskiego przewyższały wszystko, co na temat zespolenia Litwy z Koroną mówiono dotychczas na posiedzeniach sejmowych i co dokonane zostanie w najbliższej przyszłości.

Konstytucya 3 maja r. 1791 zaprowadza wspólny sejm i wspólny organ władzy wykonawczej, zwany Strażą praw, od której zależą Komisye: edukacyi, policyi, wojska i skarbu. Przy opisie szczegółowym władz rządowych dla dwóch kolejno następujących po sobie sejmów ordynaryjnych wyznaczono Warszawę w Koronie, dla każdego trzeciego Grodno na Litwie. Komisye wywołały znowu sprawę separatyzmu litewskiego.

Siwicki, poseł trocki, domagał się dla Litwy osobnej Komisyi policyi. Popierali go: Suchodolski, kasztelan smoleński, i Korsak, poseł wileński, powołując się na świętość i nienaruszalność unii, której akt zastrzega dla Wielkiego księstwa litewskiego oddzielność magistratur i urzędów. Jednakże nawet w gronie senatorów i posłów litewskich byli zwolennicy jedności. Tyszkiewicz żmudzki mniemał, że zadowolnić powinna separatystów taka alternata w funkcyonowaniu Komisyi policyi na Litwie, jaka zastosowana została dla każdego trzeciego sejmu ordynaryjnego. Marszałek konfederacyi litewskiej wyrażał wątpliwość, czy z ducha unii da się wywieść oddzielność Komisyi. Król oświadczył, że akt unii zawarował dla Litwy i Korony jedność rządową, którą ustawa 3 maja jeszcze mocniej utwierdziła; przeto domaganie się dwoistości Komisyi policyi sprzeciwia się duchowi praw zasadniczych. Nie osiągnie się siły rządu przez rozbijanie go; troskliwość stawających przy prerogatywach prowincyi litewskiej ustąpić powinna dobru powszechnemu. Zarzut, że Warszawa, przez funkcyonowanie w niej władz administracyjnych, pochłaniać będzie intraty Księstwa litewskiego, jest błahy; zresztą i tę trudność ułatwi w części przyjęcie poprawki posła żmudzkiego: »gdy osoba króla i sejm przenosić się będzie do Litwy, wtedy zgromadzać się tam będą powinny wszystkie magistratury, a zatem i Komisya policyi«.

Na sesyi 17 czerwca większością stu głosów przeciwko jedenastu stanęła Komisya policyi obojga narodów z trzecią częścią komisarzy litewskich.

Więcej było trudności w złączeniu w jednę obojga narodów dwóch Komisyi skarbowych, istniejących dotychczas od r. 1764.

Projekt Gutakowskiego, posła orszańskiego, zalecał złączenie Komisyi skarbowych. Za projektem przemawiał Świętosławski wołyński, przeciwko niemu marszałek konfederacyi litewskiej. Komisya wojskowa — dowodził — nie powinna w tym wypadku służyć za przykład, stworzyła ją bowiem konieczność utrzymania w armii

ładu i jedności. Ze złączenia Komisyj skarbowych zamiast pożytku wyniknie szkoda przez narażanie obywateli litewskich na odległą podróż do Warszawy, a głównie — dla zwątlenia świętości unii. Gliszczyński poznański w połączeniu skarbów upatrywał nie nadwerężenie unii, lecz wzmocnienie jej, zdanie zaś jego podzielał Krzucki wołyński, a nawet jeden z posłów litewskich, Karp żmudzki.

Gutakowski, chociaż pierwszy proponował złączenie skarbów, ulegając naciskowi kolegów litewskich, odstąpił od swego zdania. Książę Czartoryski lubelski pochwalał jedność administracyi, jednakże dla uniknięcia w narodzie rozjątrzeń nie zgadzał się z żądaniami posłów wołyńskich. Zabrał głos król. »To powinno być w pierwszym widoku naszym, co ukontentowanie całej prowincyi litewskiej sprawić może i jej ufność ugruntować; tak nam postępować należy, ażebyśmy wszelkie przyczyny niesmaków i zobopólnego zasmucenia odsuwali. Takie postępowania nasze staną się jedności obroną i najmocniejszem zabezpieczeniem. To też jest i dla mnie powodem, abym najusilniej upraszał wszystkich tu, przekładających potrzebę złączenia skarbu, aby dziś przychylili się po bratersku do żądań prowincyi litewskiej i dalszemu czasowi zostawili, kiedyż sami obywatele litewscy o potrzebie złączenia skarbów przekonani zostaną«.

Sesye 14 i 17 października sprawa ta zajęła całkowicie. Posłowie wołyńscy i w znacznej liczbie wielkopolscy domagali się złączenia skarbów, litewscy opierali się, król i marszałek konfederacyi koronnej starali się złagodzić rozdwojenie. W trakcie tego ze szczęśliwym pomysłem wystąpił Potocki lubelski. Osobiście był on za wnioskiem posłów wołyńskich, uwzględniając jednak pobudki, wyrażone w tej sprawie przez króla, proponował Litwinom w zamian za złączenie skarbów zawarowanie ich prowincyi połowy komisarzy skarbowych. Na żądanie króla propozycya Potockiego odesłaną została do rozważania na sesyi prowincyonalnej litewskiej.

Posłowie litewscy zbierali się na sesyę dwukrotnie: niełatwo im przyszło zrezygnować z osobnej Komisyi skarbowej. Wreszcie na posiedzenie sejmowe 20 października marszałek konfederacyi litewskiej przyniósł projekt swojej prowincyi p. t. »Zaręczenie wzajemne obojga narodów«. W zamian za złączenie skarbów żądano różnych ustępstw na rzecz prowincyi litewskiej. Oponowali posłowie wołyńscy, król zaś żądał, żeby przyniesiony projekt Litwinów przyjęty był jednomyślnością. »Jedność nadewszystko od nas powinna

być żądana; ta jedność w domu pomyślności nasze zagruntuje, a zewnątrz nas samych i per consequens potomność naszą zabezpieczy. Pytam się was, gorliwi obywatele, których serca czystą pałają ojczyzny miłością: czy to nie najmilszy stawia się widok przed wami, który przed dwiema wiekami unię, zawartą między dwiema narody, tę, mówię, świętą unię ugruntuje i uwieczni? Czyż to łechtać nie powinno miłości własnej Polaka, gdy dziś jednem słowem zgody zrobi to, że cały naród polski i litewski stopi w masę taką, która przez swoją ścisłość zrobi się tem bardziej poważniejszą, silniejszą i nie zostawi miejsca do sideł i zamiarów podstępnych... Pozwólcie jeszcze raz, jako ojcu do dzieci, obrócić do siebie najusilniejsze prośby moje, w momencie tym, który w księgach historyi za najszczęśliwszy, za najznakomitszy zapisany będzie, gdy ten związek, tak powszechnie upragniony, a żadną ludzką mocą zerwany być nie mogący, dojdzie do końca. Trzeba zgody: o to Cię, wielki Boże, proszę, a was zaklinam, abyście się zgodzili«.

Po mowie króla, na trzykrotne zapytanie marszałka sejmowego o zgodę na projekt litewski, przyjęto jednomyślnością »Zaręczenie wzajemne obojga narodów«.

Zarząd wojska i skarbu ustanawia się wspólny, lecz 1) w Komisyach: wojskowej i skarbowej, oraz we wszystkich magistraturach wspólnych, jakie ustanowione będą w przyszłości, tyle zasiadać będzie osób z Litwy, ile z Korony; 2) w Komisyach: wojskowej i skarbowej prezydencya koleją raz będzie przy Litwie, drugi raz przy Koronie z równym wymiarem czasu; 3) Wielkie księstwo litewskie będzie miało taką samą, jak Korona, liczbę ministrów i urzędników narodowych, z tymi samymi tytułami i obowiązkami; 4) kasa skarbowa z dochodów publicznych litewskich znajdować się będzie na Litwie; 5) sprawy Komisyi skarbowej, dotyczące Wielkiego księstwa litewskiego, roztrząsane będą przez sąd osobny na Litwie. »A te wszystkie rzeczy, tu postanowione i obwarowane..., znając być potrzebne i obojemu temu narodowi, tak Koronie polskiej, jako i Wielkiemu księstwu litewskiemu, jako jednej wspólnej, a nierozdzielnej Rzeczypospolitej pożyteczne, uznajemy być artykułami aktu unii tychże narodów, oraz trwałość i nienaruszenie onych przez akt niniejszy warujemy, utwierdzamy i umacniamy warunkiem, utwierdzeniem i umocnieniem takiem, jakie mamy w akcie unii Korony polskiej i Wielkiego księstwa litewskiego«.

»Zaręczenie« stanowić będzie artykuł pactorum conventorum zarówno dla króla obecnego, jak i jego następców.

Historyczną sesyę sejmową marszałkowie zamknęli podziękowaniem Stanisławowi Augustowi za przyczynienie się do ścisłego zespolenia narodów, poczem stany przystąpiły do ucałowania ręki królewskiej.

W rocznicę koronacyi Stanisława Augusta senatorowie i posłowie litewscy z okazyi zjednoczenia skarbów i wojska dali w pałacu radziwiłłowskim bal, na którym był obecny król i posłowie zagraniczni.

W przyjęciu projektu »Zaręczenia« okazali dobrą wolę przedstawiciele koronni, poświęcając interesy partykularne na rzecz dobra powszechnego. »Była to, według wyrażenia Kołłątaja, szlachetna, a raczej braterska ofiara prowincyj koronnych... Ponowione zostały między Litwą i Koroną święte unii śluby«...

Proces dziejowy, rozpoczęty aktem krewskim, uwieńczyło »Zaręczenie wzajemne obojga narodów« z 20 października r. 1791.

Nad rzeszą sejmującą, która uchwaliła akt październikowy, unosił się cień Zygmunta Augusta i rozbrzmiewało echo jego nakazu testamentowego:

»Obiema państwu, Koronie polskiej i Wielkiemu księstwu litewskiemu, dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unią zwali... A który z tych dwóch narodów naród tę unię, od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, temu błogosławieństwo dajemy... Który zaś naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego... Racz, Panie Boże, to w tem obojgu państwie utwierdzić, coś w niem przez nas sprawił. Racz oboi ten lud, w jedności spojony, w niezmyślonej miłości wiecznie zachować«...

Uwagi o pojęciu przypadku w zjawiskach fizycznych.

Napisał
Maryan Smoluchowski.

I. Rachunek prawdopodobieństwa, który początkowo we fizyce stosunkowo podrzędną rolę odgrywał, w postaci »teoryi błędów«, służącej do najkorzystniejszego wyzyskania materyału liczbowego pomiarów doświadczalnych, dzisiaj coraz wyraźniej wysuwa się na pierwszy plan, jako metoda matematyczna najbardziej odpowiednia dla celów tej nauki. Nie tylko teorya kinetyczna materyi, ale tak samo elektronika, teorya promieniowania, nauka o promieniotwórczości, posługują się w zasadniczych swych badaniach tą właśnie metodą.

Dziwnem to może się wydawać z dwóch powodów.

Wszak przedmiotem fizyki są prawa przyrody, a prawidłowość, determinizm zdaje się być antytezą do przypadkowości, indeterminizmu, pojęcia podstawowego dla rozważań z dziedziny prawdopodobieństwa. Jak w ogóle może się zrodzić »przypadek« w obrębie zjawisk, przebiegających w myśl niezmiennych praw przyrody? A po drugie: Jeżeli istotnie przypadek nieobliczalny odgrywa pewną rolę w zjawiskach fizyki, jak można w takim razie przewidywać przebieg tych zjawisk?

Pytania w tej formie są może zbyt ogólnikowo sformułowane. Matematyk będzie wolał określić problem w ściślejszy sposób: Pod jakimi warunkami zjawisko y, wywołane prawidłowo działającą przyczyną x, można uważać za przypadkowe? W jakich razach przyczyny x, przypadkowo działające, mogą dać wynik prawidłowy i określony, y?

W kwestyach tych, posiadających zasadnicze znaczenie dla zastosowania teoryi prawdopodobieństwa, kierujemy się dzisiaj tylko

pewnego rodzaju intuicyą i dalecy jesteśmy od ogólnego i ścisłego sprecyzowania warunków, określających różne przypadki, które się nadają do traktowania z punktu widzenia teoryi prawdopodobieństwa. Także uwagi niniejsze nie są oczywiście odpowiedzią wyczerpującą, tylko mają być przyczynkiem do ściślejszego sprecyzowania myśli, wygłaszanych przez różnych autorów, a zwłaszcza Poincaré'go [1], co do tego przedmiotu.

II. Jest to powiedzenie bardzo słuszne i często słyszane: że słowo »przypadek« jest tylko wyrazem naszej nieznajomości przyczyn pewnego zjawiska i że jakaś istota wszechwiedząca nie posługiwałaby się wcale tem pojęciem. Tak samo i we fizyce zwykle mowa jest o przypadku, jeżeli wprawdzie znamy prawa zasadnicze jakiegoś zjawiska, ale nie znamy wszystkich wielkości, określających stan początkowy systemu badanego, tak że nie możemy przyszłości jego przewidzieć z pewnością matematyczną.

Sama subjektywna nieznajomość owych warunków początkowych nie daje nam jednak podstaw dostatecznych do jakiegokolwiek obliczenia; musimy jeszcze koniecznie mieć pewne dalsze wskazówki, ażeby w ogóle mogła być mowa o prawdopodobieństwie i ażeby nasze odnośne spekulacye miały jakąś wartość objektywną. Objaśni to najlepiej przykład specyalny.

Wyobraźmy sobie, że artylerzysta z pewnego punktu wyrzuca pocisk z prędkością c, pod takim kątem elewacyi α, aby trafić punkt, znajdujący się w odległości x. O ile chodzi nam o zadanie teoretyczne, w którem wykluczamy opór powietrza, przypadkowe niedokładności ustawienia i t. p., łatwo możemy obliczyć wielkość x jako funkcyę owych danych początkowych $x = f(c, \alpha)$, lub na odwrót $\alpha = F(x, c)$; jesteśmy wówczas p e w n i, że punkt x zostanie trafiony przy użyciu obliczonej elewacyi, jesteśmy również pewni, że przy zastosowaniu elewacyi zawartej między granicami $\alpha_1 - \alpha_2$, jakiś punkt celu, rozciągającego się od x_1 do x_2 zostanie trafiony.

Jeżeli zaś ów artylerzysta nie posiada danych, wystarczających do przewidzenia wyniku (n. p. nie zna prędkości początkowej c) i obliczyć nie potrafi właściwego kąta elewacyi α, musi wystrzelić

[1] Poincaré H., Calcul des probabilités. 2 édition, Paris 1912. Wstęp jest nadzwyczajnie zajmujący, także i dla niefachowców. Czytelnik zauważy jednak, że nie we wszystkiem podzielam zapatrywania tego autora.

»na oślep«. Może powie się w potocznym języku, że zależy to wówczas od przypadku, czy cel (sięgający od x_1 do x_2) zostanie trafiony — ale co do prawdopodobieństwa tego zdarzenia nic w ogóle powiedzieć nie możemy, dopóki nie posiadamy jakichś dalszych wskazówek co do sposobu, jak ów artylerzysta postąpi przy ustawieniu działa. Jest to może pole, nadające się do spekulacyj psychologicznych, ale nie do obliczeń fizycznych. Przypadek, w tem znaczeniu jest zaprzeczeniem racyonalnej prawidłowości i musi być wykluczonym z nauki ścisłej.

III. Natomiast zadanie nasze otrzymuje od razu znaczenie całkiem określone, przypadek staje się przystępnym metodom rachunkowym, z chwilą kiedy wprowadzamy n. p. założenie, że wszystkie możliwe kąty α są równie prawdopodobne. Wtedy oczywiście prawdopodobieństwo trafienia celu $(x_2 - x_1)$ będzie wynosić $\frac{\alpha_2 - \alpha_1}{2\pi}$, to znaczy, że przy wielokrotnem powtórzeniu doświadczenia taki się okaże procent wystrzałów celnych.

Co prawda, że w takim razie prawdopodobieństwo skutku zredukowaliśmy po prostu do prawdopodobieństwa przyczyny, która koniecznie ów skutek za sobą pociąga. Trzeba się wówczas zastanowić nad dalszem pytaniem: Jak urzeczywistnić w praktyce owo założenie jednakowego prawdopodobieństwa wszystkich kątów α? Sposób dający się łatwo pomyśleć — choć trudniej wykonać — polega na tem, żeby rurę działową wprowadzić w niezmiernie szybki ruch obrotowy koło osi poziomej, utwierdzonej w łożyskach lawety i żeby artylerzysta w jakim bądź momencie, n. p. za pomocą kontaktu elektrycznego, spowodował wystrzał.

Może wyobraźmy sobie zamiast tego podobny przykład, dający się łatwiej urzeczywistnić: strzelec strzela ku tarczy, zaopatrzonej na obwodzie czarnymi i białymi wycinkami o jednakowych rozmiarach kątowych. Dopóki tarcza jest nieruchoma, można strzelbę tak starannie ustawić, dobierając równocześnie stosownie małą odległość, że na pewno liczyć można na trafienie wycinka czarnego; tak samo rzecz się będzie miała przy bardzo powolnym obrocie tarczy.

Przy szybszym obrocie prawdopodobieństwo zależeć będzie od wprawy strzelca, a wreszcie jeżeli prędkość obrotu będzie bardzo wielka, wówczas zależeć to będzie od czystego przypadku, czy trafiony zostanie wycinek czarny lub biały, i prawdopodobieństwo każdego z tych wypadków będzie wynosić $^1/_2$, bez względu na zrę-

czność strzelca. Rozumiemy to wszystko bez żadnego rachunku; przykład jest tak prosty, że wydaje się banalnym, lecz właśnie zanalizowanie dokładniejsze takich najprostszych przykładów najlepiej daje nam poznać rysy charakterystyczne.

IV. Dla czego mówimy, że wynik wystrzału zależy od przypadku w razie niezmiernie szybkiego obrotu? Bo warunkiem osiągnięcia wyniku korzystnego albo niekorzystnego jest nadzwyczajnie dokładne uchwycenie odpowiedniego momentu, kiedy należy wypalić— bez porównania dokładniejsze, niż tego dokonać potrafi zręczność ludzka. Jeżeli n. p. tarcza posiada 24 wycinków i wykonuje 100 obrotów na sekundę, zależy to od różnicy czasu $\Delta t = \frac{1}{2400}$ sekundy w chwili wystrzału, czy wynik będzie korzystny lub nie. Trudno ocenić szybkość decyzyi i wprowadzenia jej w czyn ze strony człowieka, ale to jest chyba pewne, że nawet przy wystrzale »na komendę« u najzręczniejszego osobnika panować będą nie dające się opanować »przypadkowe« zboczenia $\tau = \frac{1}{20}$ sekundy. Na taki czas przypada już nadzwyczaj wielka liczba przypadków korzystnych oraz taka sama liczba przypadków niekorzystnych.

Jako cechy charakterystyczne, które następnie również i w innych tego rodzaju przykładach napotkamy, podkreślić trzeba zatem następujące okoliczności:

1. Nadzwyczajnie mała różnica warunków początkowych (zmiennej t) rozstrzyga o tem, czy wynik będzie korzystny lub niekorzystny. Mała przyczyna — wielki skutek, oto co przedewszystkiem charakteryzuje »przypadek« w zjawiskach fizycznych.

Cóż znaczy jednak słowo »mała« różnica? Mały lub duży, są to pojęcia względne. Otóż rozumiemy to słowo w znaczeniu: mały, w porównaniu z obrębem »niedającej się opanować zmienności« warunków początkowych. Wszak o przypadku tylko wówczas może być mowa, jeżeli warunki początkowe (czas t) mogą się wahać w sposób nieokreślony, w obrębie pewnych, zazwyczaj nie wielkich różnic.

2. Wynik korzystny (a tak samo wynik niekorzystny) da się osiągnąć przez wielką liczbę różnych możliwych konstelacyj warunków początkowych — w obrębie przypadkowej zmienności tychże. Można też powiedzieć, że ten sam skutek zostaje wywołany przez jakąbądź z pomiędzy wielkiej liczby różnych przyczyn. Wycinek

czarny zostanie trafiony, jeżeli wystrzał nastąpił albo w obrębie czasu t do $t + \Delta t$, albo $t + 2\,\Delta t$ do $t + 3\,\Delta t$, albo $t + 4\,\Delta t$ do $t + 5\,\Delta t$, i t. d.

Wreszcie wprowadzamy, po części nieświadomie, jeszcze jedno założenie w powyższy przykład, a mianowicie że:

3. w obrębie przypadkowej zmienności warunków początkowych prawdopodobieństwo pewnej ich wartości jest określone przez funkcyę regularną, nie posiadającą dużo maksymów i minimów. Jeżeli pobudka pierwotna całego zjawiska wychodzi od człowieka, jak w powyższym przykładzie, można to łatwo zrozumieć, że prawdopodobieństwo pociągnięcia za cyngiel w chwili $t + n\,\Delta t$ będzie prawie to samo, jak w chwili $t + (n + 1)\,\Delta t$ i t. d., ale leży w tem pewna hipoteza. Gdyby n. p. tarcza wirująca połączona była z kontaktem elektrycznym lub z jakiemś urządzeniem mechanicznem, łatwo możnaby rzecz tak urządzić, ażeby prawdopodobieństwo wystrzelenia w »korzystnych« interwałach czasu było większe, niż w niekorzystnych, mimo krótkości tych interwałów. Właśnie ten szczegół nas jednak w tym przykładzie zadowolić nie może, że prawdopodobieństwo przyczyny pierwotnej, główną rolę w tym wypadku odgrywające, zależy w tąk znacznym stopniu od psychologicznego lub fizyologicznego ustroju człowieka.

V. Dla tego może warto rozważyć jeszcze inny przykład, w którym ten rys występuje mniej wyraźnie i który dotyczy przyrządu, dającego prawdopodobieństwo ciągle niezmienne dla wydarzenia się pewnego skutku, w jakim bądź momencie czasu. Wyobraźmy sobie naczynie o kształcie mniej więcej kulistym, z małym otworkiem i o sztywnych, chropowatych ścianach, do którego wrzucamy bardzo drobną, idealnie sprężystą kuleczkę — najlepiej drobinę gazową — z pewną prędkością początkową c, w kierunku dowolnym i do pewnego stopnia przypadkowym. Rożważmy, jakie będzie prawdopodobieństwo, ażeby owa drobina w pewnym czasie, w skutek odbić od ścian, znów przez otwór na zewnątrz wyleciała, przy czem dla uproszczenia pominiemy zupełnie wpływ ciężkości.

Drobina owa poruszać się będzie prostolinijnie ze stałą prędkością i tylko kierunek jej ruchu będzie się zmieniał, przy uderzeniach o ściany. Jeżeli kształt tychże, wraz z wszystkiemi drobnemi wypukłościami (które powodują jej chropowatość) jest dany, można sobie wykreślić drogę owej drobiny, która będzie się składała na ogół z wielkiej liczby prostolinijnych odcinków o najrozma-

itszych kierunkach, i można obliczyć czas, który upłynie aż do chwili, kiedy drobina przez otwór wyjdzie na zewnątrz, jako funkcyę jej początkowego położenia i kierunku jej ruchu początkowego.

Długość tego czasu będzie w najwyższym stopniu zmienna, zależnie od owych dwóch warunków początkowych. Wszak już przy minimalnej zmianie kierunku pierwotnego, drobina uderzy o część ściany inaczej pochyloną (z powodu owych drobnych »chropowatości«), co pociąga za sobą znaczną zmianę kierunku drogi po odbiciu. Każde odbicie działa zatem w myśl poprzednio wymienionej zasady (1): mała różnica warunków początkowych — duża różnica skutków. Jeżeli kierunek początkowy był w pewnych granicach przypadkowo dobrany, to kierunki i położenia drobiny po kilkakrotnym odbiciu podlegają przypadkowi w sposób wielokrotnie powiększony.

Także cechę (2) odnajdujemy w tym przykładzie, gdyż oczywiście najrozmaitsze kombinacye dróg początkowych będą dawały ten sam skutek końcowy (wyjście drobiny przez otwór w danym czasie). Zdaje się, że warunek (3) ma tutaj mniejsze znaczenie, o ile otwór jest tak mały, że całe zjawisko trwa dostatecznie długo [1]. Nie udało się w ogóle jeszcze dokonać szczegółowej analizy matematycznej tego przykładu, ale teorya kinetyczna gazów daje nam bardzo poważne powody do przypuszczenia, że w tego rodzaju przykładach prawdopodobieństwo kierunku i miejsca drobin staje się przybliżenie jednostajnem po upływie dostatecznie długiego czasu. Znaczy to, że owa drobina zawsze — z wyjątkiem pewnych przypadków osobliwych — z jednakowem prawdopodobieństwem w jakim bądź kierunku przestrzeni się porusza i o wszystkie elementy ścian owego naczynia przeciętnie równie często uderza, o ile tylko, od chwili nadania jej impulsu pierwotnego, upłynął pewien czas, zależny od rozkładu prawdopodobieństwa kierunku pierwotnego.

Jeżeli przyjmiemy ten wniosek za ważny, łatwo dojdziemy do wyniku następującego: prawdopodobieństwo, ażeby drobina w prze-

[1] W pewnych przypadkach, n. p. jeżeli ściany naczynia są idealnie gładkie i posiadają kształt dokładnie kulisty albo kształt prostościanu, twierdzenie o ustaleniu się równomiernego przypadkowego rozkładu prawdopodobieństwa nie będzie ważnem. Zdaje się, że założenie »chropowatości« ścian wyklucza możliwość takich przypadków osobliwych. Stopień chropowatości, oraz kształt naczynia muszą wpływać na długość czasu potrzebnego do ustalenia się rozkładu równomiernego.

ciągu czasu dt wyleciała przez ów otwór, będzie wynosić $\frac{w\ c}{4\,a^3\ \pi}\,dt$, (jeżeli w oznacza powierzchnię otworu).

VI. Poznaliśmy we fizyce jedno zjawisko, które przebiega w myśl takiej samej zasady: rozkład atomów substancyj promieniotwórczych. Naczynie, w rodzaju właśnie omawianego, z napuszczoną do środka cząstką α, daje nam obraz zachowania się atomu emanacyi radowej.

Wszak widocznie z pomiędzy n takich atomów rozkładają się w jednostce czasu: $\frac{w\ c}{4\,a^3\ \pi}\,n\ dt = -\,dn$, wyrzucając równocześnie z siebie po jednej cząstce α. więc rozkład następuje w myśl charakterystycznego prawa wykładniczego: $n = n_0\ e^{-\gamma t}$

przy czem spółczynnik γ będzie: $\gamma = \frac{w\ c}{4\,a^3\ \pi}$.

Porównanie to ma oczywiście tylko znaczenie szematycznej ilustracyi owego zjawiska, ale daje ono jednak pewne wskazówki co do jego przyczyn wewnętrznych. W każdym razie (jak już Rutherford i Soddy zauważyli) nie da się utrzymać tłómaczenie rozkładu w myśl porównania atomu z jakimś systemem planetarnym, postępującym drogą ciągłej wewnętrznej ewolucyi; również niemożliwa jest hipoteza J. J. Thomsona, oparta na przypuszczeniu, że atom promieniotwórczy stopniowo promieniuje energię swoją w przestrzeń i wskutek tego wreszcie, przy przekroczeniu granic statecznej równowagi układu wewnętrznego, doznaje przemiany promieniotwórczej. Wówczas bowiem atomy musiałyby się starzeć stopniowo i prawdopodobieństwo rozkładu w pewnym czasie musiałoby być większe dla starszego niż młodszego atomu, co się sprzeciwia faktom obserwowanym.

Musimy przypuścić, że w atomach ciał promieniotwórczych odbywają się wciąż jakieś nieregularne zmiany, o tyle przypadkowe, że przebiegają po krótkim czasie zupełnie różnie w atomach, których stan początkowy był bardzo podobny, i że pewne konstelacye wewnętrzne, które liczbowo tworzą tylko bardzo drobny procent wszystkich możliwych, pociągają za sobą proces rozkładowy. Czy zaś źródło tego procesu rozkładowego leży w atomie samym, czy

też właściwym czynnikiem jest jakieś promieniowanie zewnętrzne [1], które działa rozkładowo na pewne konstelacye — to jest dla rzeczy samej zupełnie obojętne, dopóki nie potrafimy wpłynąć na zmianę tych czynników.

VII. Przykład poprzedni jest w samej swej istocie zbyt skomplikowany, ażeby na nim można dokładnie, matematycznie zanalizować genezę przypadkowości. Dla tego rozważmy jeszcze jeden przykład, w którym łatwiej się daje rozpoznać właściwe źródło »przypadku« i sposób jego działania.

Jest to t. zw. deska Galtona, przyrząd który uważam za najlepszy model zjawisk prawdopodobieństwa. Składa się on z deski, nachylonej pod pewnym kątem, do której wbito wielką liczbę sztyfcików, w jednakowych odstępach, rzędami poziomymi, i to w taki sposób, że naprzemian sztyfciki jednego rzędu umieszczone są poniżej otworów poprzedniego rzędu. Kuleczki o jednakowej wielkości, odpowiadającej ściśle odległościom sztyfcików, wypuszcza się z pewnego miejsca u górnej krawędzi tej deski, tak, że tocząc się po niej, napotykają na owe sztyfciki i przeciskając się między nimi, dochodzą do dolnej krawędzi, gdzie wpadają w odpowiednie przegrody. Pokazuje się, że układają się tam w myśl »prawa błędów« Gaussa: $y = \frac{1}{\sqrt{\alpha \pi}} e^{\frac{-x^2}{\alpha}}$, tak że najwięcej ich się nagromadzi w środku, poniżej punktu skąd je wypuszczano, a coraz mniej ku bokom; wysokości, do których sięgają w przegrodach, odpowiadają wprost wartościom y owego wzoru.

Zrozumiemy łatwo działanie tego przyrządu, jeżeli przyjmiemy, że kuleczka, wpadając na jakibądź sztyfcik, odchyla się całkiem przypadkowo, tak że z jednakowem prawdopodobieństwem przeciśnie się koło niego po jednej lub po drugiej stronie. W takim razie wynikiem każdego takiego zdarzenia elementarnego jest równie prawdopodobnie przyrost odciętej x o połowę odstępu między sztyfcikami, jak zmniejszenie się jej o ową wielkość.

Jeżeli zatem przez m oznaczymy liczbę rzędów sztyfcików, a odstęp między sztyfcikami tego samego rzędu oznaczymy przez b, wówczas kula osięgnie po przejściu przez wszystkie rzędy odstęp $x = n\, b$,

---

[1] Za tem ostatniem przypuszczeniem przemawiałaby analogia z rozkładem fotoelektrycznym, który zdaje się również podlegać prawom przypadku. Por. nowsze badania Joffe'go i E. Meyera.

jeżeli $\frac{m+n}{2}$ razy doznała odchylenia dodatniego, zaś $\frac{m-n}{2}$ razy odchylenia ujemnego. Prawdopodobieństwo takiej kombinacyi zdarzeń elementarnych wynosi, w myśl znanego twierdzenia Bernoulliego:

$$P(n) = \sqrt{\frac{2}{\pi m}}\, e^{\frac{-n^2}{2m}}$$

Procentowa liczba, przypadająca na przegrody w odstępie od x do $x + \Delta x$, będzie zatem:

$$P(n)\, \Delta x = \frac{1}{\sqrt{2 b^2 m \pi}}\, e^{\frac{-x^2}{2 m b^2}} \Delta x$$

to znaczy, że rozkład kulek oznaczony będzie znaną »dzwonowatą« krzywą Laplace-Gaussa. Tak tłómaczy się łatwo prawidłowy wynik ostateczny, o ile przyjmiemy zasadnicze założenie co do zupełnej przypadkowości zjawisk elementarnych.

VIII. Słusznie jednak można powiedzieć, że nie wyjaśniliśmy jeszcze rzeczy, tylko odsunęliśmy trudność, bo pozostaje nam do wytłómaczenia, dla czego skutek każdego uderzenia kuli o sztyfcik uważać można za zjawisko zupełnie przypadkowe. Wszak zdawałoby się, że początkowe położenie i początkowa prędkość kuleczki już jednoznacznie określają całe dalsze jej zachowanie się, i gdyby się znało dostatecznie dokładnie te wielkości, jak i położenie wszystkich sztyfcików, możnaby z góry obliczyć miejsce, które ona w końcu musi osiągnąć.

Co prawda, że w praktyce różne, nie dające się skontrolować czynniki uboczne, jak ruchy obrotowe kuleczki, drobne nierówności deski, minimalne wypukłości i wklęsłości powierzchni kuleczki i t. d., wielce się przyczyniają do wytworzenia »przypadkowości«, ale sądzę, że, nawet pomijając te czynniki i rozważając przykład idealnie uproszczony, można zrozumieć do pewnego stopnia, skąd pochodzi tutaj pozorna przypadkowość.

Wyobraźmy sobie bowiem ową deskę, tak samo jak kuleczkę i sztyfciki, idealnie gładką, tak że tylko postępowy ruch, pod wpływem prędkości początkowej, ciężkości oraz spotkań ze sztyfcikami, rozważać potrzeba. Załóżmy, że spotkania te odbywają się zupełnie niesprężyście, tak że składowa prędkość kuleczki, normalna do płaszczyzny styczności, zostaje zniesiona, a składowa styczna pozostaje niezmienioną.

Wówczas łatwo można tak rzecz urządzić, obierając nachylenie deski stosownie małe, że kuleczka, uderzywszy o sztyfcik B_1 zostanie zawsze odbita ku sąsiedniemu sztyfcikowi C_1 po prawej, lub A_1 po lewej stronie, od niego znów odbije się ku B_1 i t. d., aż po wielokrotnem odbiciu wreszcie prześliźnie się przez otwór między tymi dwoma sztyfcikami. Czy przejdzie ona przez otwór A_1 B_1, czy B_1 C_1, to zależy od tego, po której stronie sztyfcika B_1 pierwsze nastąpiło uderzenie.

Po której zaś stronie sztyfcik B_2 (lub C_2) drugiego rzędu uderzony zostanie, to zależy wyłącznie od kierunku minimalnej prędkości, pozostałej po wielokrotnem odbiciu między A_1 B_1 (lub B_1 C_1). To zaś zależy znów od punktu na powierzchni B_1, w którym nastąpiło pierwsze uderzenie. Nadzwyczajnie mała różnica w położeniu tego punktu pociąga za sobą, jako skutek, nabycie drobnej pozostałej prędkości w kierunku ku prawej lub lewej ręce, C_2 lub B_2, a zatem przesunięcie kulki w następnym rzędzie o $+b$ lub $-b$.

Rozpoznajemy więc znów cechę charakterystyczną (1): »mała różnica przyczyny, duża różnica skutków«, a również odnajdujemy cechę (2), gdyż zależnie od położenia punktu uderzenia na powierzchni sztyfcika B_1, przechodzić będziemy od wierzchołka tegoż ku dołowi w ogromnie częstej zmianie przez położenia, które naprzemian wywołują albo skutek $+b$, albo $-b$. Ten sam zatem skutek $+b$ odpowiada wielkiej liczbie konstelacyj początkowych, czyli »rozmaite przyczyny, ten sam skutek«.

Właściwości te występują tu nawet w postaci szczególnie jaskrawej, w razie jeżeli odstępy wolne między sztyfcikami równają się dokładnie średnicy kulki, gdyż wówczas liczba owych odbić będzie nieskończenie wielka, a składowa prędkość, pozostająca po przejściu przez otwór, będzie nieskończenie mała. Ze symetryi warunków tych odbić wnioskujemy dalej, że prawdopodobieństwo skutków dodatnich i ujemnych jest jednakowo wielkie.

Teoretycznie zatem sposób każdego odbicia zależy wprawdzie od skutku odbicia poprzedniego, ale zależność ta nie da się wcale przedstawić w postaci zwykłej funkcyi analitycznej. Już każda nieskończenie mała zmiana warunków powoduje skończoną zmianę skutków $+b$ na $-b$, lub na odwrót, a prawdopodobieństwa tych wydarzeń są jednakowo wielkie przy każdorazowem przejściu kuli przez otwór w szeregu sztyfcików; rozumiemy zatem, że zjawisko

tak się przedstawia, jak gdyby wynik każdego spotkania z szeregiem sztyfcików był zupełnie przypadkowy i nie zależał od poprzedzających je wypadków.

W rzeczywistości »przypadkowość« takiego zdarzenia elementarnego nie będzie zupełna, gdyż odstęp między sztyfcikami musi być nieco większy niż średnica kuli, zatem liczba odbić nie będzie nieskończenie wielka i na ogół pozostanie pewien ślad zależności między przejściami kulki przez kolejne rzędy, ale zależność ta bardzo szybko zanika w ciągu dalszych przejść i mały na ogół wywiera wpływ na całe zjawisko.

Charakterystyczny znów jest rys, że wprawdzie pojęcie przypadku i prawdopodobieństwa tylko wówczas się dają stosować, jeżeli warunki początkowe są do pewnego stopnia zmienne, że jednak wynik ostateczny, rozkład końcowy, nie zależy zupełnie od obrębu i rodzaju tej zmienności (o ile tylko zmienność przyczyny pierwszej określona jest funkcyą analityczną). Czy będziemy się więcej lub mniej o to starali, żeby wszystkie kuleczki puszczać w drogę dokładnie tak samo — to wcale nie wpływa na ich rozkład ostateczny; ułożą się one w każdym razie według krzywej Laplace-Gaussa.

IX. Przyrząd Galtona tworzy doskonałą ilustracyę wielkiej klasy zjawisk fizycznych: zjawisk dyfuzyjnych. Gdybyśmy z różnych punktów pierwszego szeregu sztyfcików wypuszczali różnobarwne kuleczki w określonej proporcyi, musiałyby te różne kategorye kuleczek mieszać się między sobą stopniowo, w miarę jak one postępują przez kolejne szeregi sztyfcików. Łatwo można istotnie wykazać, że do tego zjawiska stosuje się dokładnie dobrze znane równanie, które określa stopniowo, w miarę czasu, postępującą dyfuzyę. Rachunek [1] jest zupełnie identyczny z obliczeniem dyfuzyi drobin gazowych lub cząstek emulsyi, które początkowo były rozmieszczone z gęstością zależną od odciętej x, a z czasem się mieszają wskutek swych ruchów drobinowych.

Różnica występuje tylko w prawie, określającem wynik zdarzenia »elementarnego«. W powyższym przykładzie musi nastąpić określone przesunięcie $+b$ albo $-b$, podczas gdy w owych przypadkach istnieje przy każdem zjawisku elementarnem (zderzenie

[1] Por. Smoluchowski, O drodze średniej cząsteczek gazu i o związku jej z teoryą dyfuzyi. Rozpr. Akad. Krak. XLVI. str. 129, 1906.

z inną drobiną i t. d.) możliwość, że drobina osiągnie większe lub mniejsze przesunięcie w kierunku x. Można udowodnić, że w razie dostatecznie długiego trwania zjawiska wynikiem będzie zawsze częściowa dyfuzya, jeżeli tylko funkcya, określająca prawdopodobieństwo przesunięć przy pojedyńczem zjawisku elementarnem, jest funkcyą parzystą, dającą się rozwinąć w szereg Mac Laurina: $f(x) = a + b x^2 + cx^4 + \dots$

Ten sam zresztą przyrząd jest równocześnie modelem przewodnictwa cieplnego, w razie rozkładu temperatury wyłącznie zależnego od x, gdyż zasadnicze równanie przewodnictwa cieplnego jest identyczne z równaniem dyfuzyi.

Przyjmowaliśmy dotychczas, że deska Galtona jest nieograniczona w kierunku x. Jeżeli zaś posiada ona ściany boczne, zmuszające kuleczki do pozostawania w obrębie odciętych od $-l$ do $+l$, wówczas przyrząd ten przedstawia obraz dyfuzyi w naczyniu zamkniętem. Widocznie że wówczas, w razie dostatecznie długiego czasu (t. j. dostatecznie dużej liczby rzędów sztyfcików), wystąpi zupełne wyrównanie prawdopodobieństwa dla pobytu kulki w jakiej bądź odciętej — czyli zupełne rozmieszanie kulek początkowo rozdzielonych.

Przyrząd Galtona możnaby jeszcze zmienić tak, ażeby mógł posłużyć do ilustracyi różnych innych zjawisk fizycznych. Układając n. p. sztyfciki symetrycznie i nadając desce odpowiednie nachylenie boczne, tak żeby kuleczki stosunkowo większych nabywały przesunięć w kierunku dodatnim niż ujemnym, i umieszczając równocześnie listwę pionową boczną, dla powstrzymania kuleczek od przekroczenia pewnej odciętej x, otrzymałoby się rozkład analogiczny do rozkładu gęstości atmosfery ziemskiej, lub do rozkładu cząstek gumiguty, w blizkości dna naczynia, jaki się ustala pod wpływem ciężkości.

Zresztą przykłady te są pod pewnym względem najprostszymi możliwymi, gdyż prawdopodobieństwo wyniku każdego zjawiska elementarnego jest takie same, niezależnie od odległości x, już osiągniętej przez kuleczkę. Istnieją inne przykłady we fizyce, gdzie sprawa jest więcej skomplikowana. Tak n. p. drobina, posiadająca pewną prędkość postępową ξ w kierunku osi X, doznaje przypadkowej zmiany tej prędkości przy spotkaniu z inną drobiną. Na ogół jednak prawdopodobieństwo przyrostu prędkości ξ jest mniejsze, niż prawdopodobieństwo zmniejszenia się, i różnica jest tem wybitniej-

sza, czem większa jest wartość ξ. Skutek wielokrotnych zderzeń jest w tym wypadku analogiczny do wzoru, omawianego w rozdziale VII, gdyż ważnem będzie w tym razie słynne prawo rozkładu prędkości drobinowych Maxwella, identyczne w ogólnym swym kształcie z prawem Gaussa; różnica zaś polega na tem, że parametr krzywej »dzwonowatej« nie wzrasta w miarę czasu, jak w owym przykładzie, tylko pozostaje niezmiennym (w związku z temperaturą gazu).

X. Starajmy się streścić w formie nieco ściślejszej myśli zazadnicze, występujące w omawianych przykładach specyalnych.

Pytanie, przytoczone w rozdz. I: Jak przyczyny, przypadkowo działające, mogą dać określony, prawidłowy wynik. wyjaśnia się samo przez się. Wszak zrozumiałem będzie z wszystkiego, co mówiliśmy, że słowa »przypadek« we fizyce nie rozumiemy w znaczeniu potocznem — które jest równoważne z nieobliczalnym i zupełnie dowolnym kaprysem — tylko jako pewnego rodzaju prawidłowość, która się sprawdzić daje doświadczalnie, z stosunkowo coraz większą dokładnością, w miarę wielokrotnego powtórzenia zjawiska.

Prawidłowość tę, z którą we fizyce łączymy nazwę »przypadku«, możemy mniej więcej w następujący sposób określić: Powiadamy, że zjawisko y, powstające wskutek przyczyny x. jest przypadkowe, jeżeli kształt funkcyi, określającej prawdopodobieństwo różnych wartości y, nie zależy od kształtu funkcyi, która określa prawdopodobieństwo rozmaitych wartości x. Wówczas bowiem rozkład przyczynowy nie wpływa na rozkład skutków i wydaje się, jak gdyby to były zjawiska niezależne.

Warunek dostateczny dla przybliżonej przypadkowości skutków alternatywnych y_1, y_2 jest następujący: Rozważmy obręb, w którym różne wartości zmiennej x występują z prawdopodobieństwem stosunkowo niewiele różnem. Jeżeli w tym obrębie funkcya, wyrażająca związek przyczynowy x a skutku y. taki posiada charakter, że wielkiej liczbie przedziałów $x \ldots\ldots x + \Delta x_1$, $x + \Delta x_2 \ldots\ldots$ $x + \Delta x_3$, $x + \Delta x_4 \ldots\ldots x + \Delta x_5 \ldots\ldots$ i t. d. odpowiada skutek y_1, natomiast na przemian położonym przedziałom $x + \Delta x_1 \ldots\ldots x + \Delta x_2$, $x + \Delta x_3 \ldots\ldots x + \Delta x_4 \ldots\ldots$, i t. d. skutek y_2, wówczas występowanie skutków y_1, y_2 można uważać za przybliżenie przypadkowe. Ściśle przypadkowe będą one wówczas, jeżeli wszystkie owe przedziały Δx są nieskończenie małe, a liczba ich nieskończenie wielka. Stosunek prawdopodobieństw zjawisk y_1, y_2 wówczas jest ozna-

czony przez stosunek sumy przedziałów parzystych do sumy przedziałów nieparzystych.

W zjawiskach, do których stosujemy w praktyce rachunek prawdopodobieństwa, występuje przypadek zazwyczaj tylko w owem znaczeniu »przybliżonem«. Że rachunek prawdopodobieństwa tak dobrze się zgadza z doświadczeniem przy różnych grach hazardowych i t. p., polega tylko na tem, że tam jako właściwy, pierwotny czynnik występuje człowiek, który jest maszyną, posiadającą nadzwyczajnie wielki »obręb przypadkowej zmienności«.

Z punktu widzenia fizyki najciekawsze przykłady, należące do zakresu kinetycznej teoryi materyi, przedstawiają niestety nieprzezwyciężone dotychczas trudności dla zastosowania takich kryteryów przypadkowości. Czujemy intuicyjnie, że Maxwella i Boltzmanna metoda obliczania skutków zderzeń drobinowych, opierająca się na przyjęciu zupełnej przypadkowości zjawisk składowych [1], jest bardzo przybliżenie ważna. Mechanika statystyczna daje nam jednak poważne powody do przypuszczenia, że metoda ta nie jest zupełnie ścisła; niestety nie potrafimy obecnie jeszcze należycie ocenić wielkości błędów, wywołanych przez użycie owego założenia Boltzmanna.

[1] Przyjęcie to wyraża się matematycznie w formie t. zw. Stosszahl-Ansatz. Por. P. u. T. Ehrenfest, Begriffliche Grundlagen der statistischen Auffassung in der Mechanik, Encyklopädie der mathemat. Wissenscbaften, IV. 2 II. Heft 6. Teubner, Leipzig 1912.

Rzut oka na historyczny rozwój prawa egzekucyjnego.

Napisał

Kamil Stefko.

Wstęp.

§ 1. Cel rozprawy.

Przystępując do przedstawienia historycznego rozwoju prawa egzekucyjnego, nie zamierzam dać wyczerpującego obrazu wszystkich w historyi znanych systemów, lecz uważam jedynie za swe zadanie, wskazać, jakiemi drogami szedł rozwój praw poprzedzających dzisiejsze prawo egzekucyjne i na jakich zasadniczych myślach się opierał. Stosownie do tego wytyczonego celu poświęcam więcej uwagi początkowym okresom powstawania i rozwoju prawa, okresom zmagania się zasadniczych idei i kierunków, niż tym, które od dzisiejszego prawa w swych zasadach nie wiele odbiegają; uwzględniam też tylko te prawa, które można uważać za zaczątki dzisiejszego prawa egzekucyjnego. W konsekwencyi mego założenia zwracam mniej uwagi na szczegóły, gdyż idzie nie tyle o drobiazgową dokładność, ile raczej o przedstawienie wytycznych kierunków historycznego rozwoju.

Podstawą, na której drogą ewolucyi rozwinęło się dzisiejsze prawo procesowe i egzekucyjne austryackie, niemieckie, francuskie, włoskie i wielu innych narodów jest prawo rzymskie i germańskie; stąd też i historyczne przedstawienie musi zająć się prawem rzymskiem i germańskiem, oraz ich dalszym rozwojem aż do dzisiejszych czasów.

Szkic rozwoju prawa egzekucyjnego ma dla nauki dwojakie znaczenie. Pierwszy cel takiego szkicu jest natury sprawozdawczej,

dalszym zaś celem mojej rozprawki jest wyciągnięcie z historycznego rozwoju wniosków co do charakteru i prawnej konstrukcyi prawa egzekucyjnego w ogóle, a więc wysnucie takiej konstrukcyi, którąby była trafna dla prawa egzekucyjnego we wszystkich stadyach jego rozwoju.

Rozdział I.

Zarys historycznego rozwoju prawa egzekucyjnego.

§ 2. Czasy przedhistoryczne.

O stanie prawa egzekucyjnego w czasach, z których nie zachowały się nam żadne zabytki historyczne, nie możemy mieć żadnych niewątpliwych wiadomości; jedynie w drodze wnioskowania z pierwszych znanych nam zaczątków prawnych możemy stworzyć sobie wyobrażenie o egzekucyi owych czasów.

Pewnem jest, że początkowo rozstrzygała przemoc. Pokrzywdzony sam starał się przemocą urzeczywistnić swe prawo, a zwyciężał nie ten, po czyjej stronie była słuszność, lecz ten, kto miał za sobą większą siłę fizyczną. Pokrzywdzonemu szli zwykle z pomocą krewni i sąsiedzi, tak że nawet jednostka fizycznie słabsza mogła w razie słuszności swej sprawy liczyć na pomoc członków gminy. Tą drogą poczęło się wyrabiać powoli poczucie słuszności przemocy w jednych, a niesłuszności takiej przemocy w innych przypadkach, czyli innemi słowy, poczęło powstawać zwyczajowe prawo egzekucyjne. Dowodem trafności przypuszczenia, że źródłem, z którego wytworzyło się zwyczajowe prawo egzekucyjne, była przemoc, poparta co najwyżej pomocą członków gminy, jest szeroko rozgałęzione prawo pomocy własnej w początkach znanych nam najdawniejszych praw [1].

Egzekucya czasów najdawniejszych mogła być — teoretycznie biorąc — tak jak i dziś, egzekucyą bądź na osobie, bądź na majątku. Istnienie egzekucyi osobistej w tych czasach możemy przyjąć niemal za pewne [2]. W czasach pierwotnych, kiedy nie robiono jeszcze różnicy między bezprawiem cywilnem a karnem, była zemsta wspólnym środkiem zadośćuczynienia, a zemsta zwraca się zawsze

[1] Kohler, Altindisches Prozessrecht, str. 10.
[2] Ihering, Vorgeschichte der Indoeuropäer., str. 78 i n.

przeciw osobie. Tem tłómaczy się, że już w pierwszych okresach ery historycznej poświadczają źródła zarówno rzymskie, jak germańskie, istnienie egzekucyi osobistej we formie rzymskiej manus iniectio i germańskiej Acht. Czy czasy najdawniejsze znały także egzekucyę majątkową, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Niektórzy autorowie dopatrują się śladów egzekucyi majątkowej w starem, narodom indogermańskim wspólnem prawie przeszukiwania domu przez tego, komu jakąś rzecz ukradziono i zabrania jej w razie znalezienia (Spurfolge)[1]. Czy to przypuszczenie jest trafne, trudno osądzić; przeciw jego trafności przemawia jednak poważnie fakt, że w pierwszych początkach doby historycznej mamy zaledwie drobne ślady egzekucyi majątkowej, a natomiast egzekucya osobista jest niemal wyłączną formą egzekucyi owych czasów.

§ 3. Proces rzymski.

I. Egzekucya wedle prawa XII tablic.

Charakterystyka.

Egzekucyę prawa rzymskiego z najdawniejszych znanych nam czasów historycznych, to jest z czasów legis actionum, charakteryzują wybitnie dwa momenty: egzekucya owych czasów jest działalnością czysto prywatną, działalnością samego uprawnionego, zaś co do myśli przewodniej jest ona zemstą, karą za niedopełnienie obowiązku. Egzekucya jest czynnością prywatną, bo wierzyciel sam, bez upoważnienia ze strony władzy rozpoczyna egzekucyę i sam ją do końca przeprowadza, a władza nie tylko nie pomaga mu, ale nawet nie nadzoruje jego czynności i działalność pretora rozpoczyna się dopiero wtedy, jeżeli ktoś trzeci zaprzeczy prawności egzekucyi. Mimo to jest egzekucya owych czasów postępowaniem procesowem, bo musi się odbywać we formach ustawą przepisanych, wierzyciel musi lege agere. Myślą przewodnią egzekucyi jest zemsta. Egzekucya nie zmierza do najszybszego zaspokojenia roszczeń wierzyciela przez sprzedaż przedmiotów majątkowych, lecz ma na celu, wywrzeć przymus na dłużnika, by dług zapłacił. Jeżeli dłużnik nie chce lub nie może tego uczynić, ulega zemście, która prowadzi ewentualnie do zupełnego zniszczenia osoby. Źródła wyraźnie przypisują

[1] Schmidt Richard, Lehrbuch des deutschen Zivilprozessrechts, 2 wyd., str. 37 i n.

egzekucyi charakter kary w słowach: tertiis nundinis capite »poenas« dabant. Charakter kary objawia się także w tem, że egzekucya per manus iniectionem nie ograniczała się do kroków, prowadzących do zaspokojenia wierzytelności, lecz obejmowała wiele takich aktów, które wychodziły poza ten cel i dadzą się wytłómaczyć tylko charakterem kary i zemsty.

Przedstawienie.

1. Prawo rzymskie, objęte XII tablicami, normowało tylko jeden rodzaj egzekucyi, tylko egzekucyę roszczeń pieniężnych we formie legis actio per manus iniectionem. O egzekucyi roszczeń niepieniężnych nie znajdujemy żadnej wzmianki ani w XII tablicach, ani w innych zabytkach z owych czasów. Przyczyna tego jest następująca: Roszczenia in rem nie potrzebują wedle pojęć rzymskich żadnej egzekucyi [1], bo z chwilą wyroku lub sądowego uznania mógł wygrywający zaraz korzystać ze swego prawa, a ewentualne użycie przez niego przemocy przeciw drugiej stronie nie jest bezprawiem, lecz wykonaniem własnego prawa [2]. Egzekucya niepieniężnych roszczeń in personam była również wykluczona, ale z innej przyczyny, z tej mianowicie, że wyrok mógł opiewać tylko na kwotę pieniężną. W razie uznania lub zasądzenia na świadczenie niepieniężne musiało nastąpić aestimatio litis, a więc oszacowanie na kwotę pieniężną i dopiero ta kwota mogła być przedmiotem egzekucyi. Tem tłómaczy się, że pierwotne prawo rzymskie znało tylko egzekucyę roszczeń pieniężnych (aes).

Formą tej egzekucyi była legis actio per manus iniectionem [3]. Wedle brzmienia III tablicy służyła ona jedynie przeciw dłużnikowi już na zapłatę długu pieniężnego zasądzonemu lub, co na równi stało, temu, który dług pieniężny w sądzie uznał. Ta egzekucya mogła się rozpocząć dopiero po upływie 30 dni od uzyskania tytułu egzekucyjnego, to jest od uzyskania wyroku lub sądowego

[1] Skargę rzeczową pojmowali Rzymianie jako skargę ustalającą, a nie skargę o świadczenie. Słowa legis akcyi brzmiały: Fundus, qui est in agro, qui Sabinus vocatur, eum ego ex iure Quiritium meum esse aio. Natomiast w skargach in personam opiewała formuła: aio te mihi X milia aeris dare oportere.

[2] W wykonaniu tego prawa chroni go w razie potrzeby władza w zakresie swego imperium.

[3] Źródła: tekst XII tablic III tab. 1—6, Gellius noctes Atticae XX 1. § 46, 47 (cytuję wedle Brunsa Gradewitza, Fontes iuris romani antiqui wyd. 7), Gaius IV § 21—25 (cytuję wedle Kruegera-Studemunda, 5 wyd.).

uznania [1]. Jeżeli dłużnik w tym czasie nie zaspokoił roszczenia, miał wierzyciel prawo egzekwowania w ten sposób, że, gdziekolwiek dłużnika przydybał, mógł go przytrzymać i przed pretora przyprowadzić [2]. Przed pretorem odbywała się właściwa manus iniectio, mianowicie oświadczenie wierzyciela, że dłużnika bierze w swą władzę, połączone z równoczesnem symbolicznem wzięciem go pod władzę przez dotknięcie jego ciała [3]. Uroczyste słowa tej legis actio musiały zawierać oznaczenie tytułu egzekucyi (wyroku lub sądowego uznania), sumy dłużnej i faktu niezapłacenia. U Gaiusa spotykamy takie brzmienie: quod tu mihi iudicatus (sive damnatus) es sestertium X milia, quandoc non solvisti, ob eam rem ego tibi sestertium X milium iudicati manum inicio. Słowa formuły nie zawierają wcale prośby do pretora o zezwolenie na wzięcie dłużnika pod swą władzę, lecz tylko skonstatowanie przed pretorem, że wierzyciel sam ze swego prawa korzysta.

Egzekucyę tak rozpoczętą mogły wedle słów III tablicy przerwać dwa fakty: zapłata długu lub sprzeciwienie się prawności egzekucyi podniesione przez osobę trzecią, czy to dlatego, że dług już zapłacony, czy na tej podstawie, że wyrok nieważny, czy wreszcie z innej prawnej przyczyny. Sam dłużnik nie miał prawa sprzeciwienia się, mógł to tylko uczynić za niego vindex, obrońca. W przeciwstawieniu do manum inicere nazywano to manum depellere. Sprzeciw sam przez się powodował natychmiastowe i stanowcze uwolnienie dłużnika z pod władzy wierzyciela, a równocześnie był początkiem procesu między wierzycielem a obrońcą [4] o słuszność egzekucyi. Jeżeli wierzyciel przegrał, była sprawa całkowicie ukończona; jeżeli wygrał, musiał mu vindex zapłacić duplum i to pod rygorem egzekucyi, a więc znowu manus iniectio.

Inny był przebieg, jeżeli dłużnik nie zapłacił i nikt trzeci nie sprzeciwił się egzekucyi [5]. Wtedy wierzyciel miał prawo wziąć go do domu [6] i tam trzymać uwięzionego [7]. Do tego wzięcia dłużnika

---

[1] Aeris confessi rebusque iure iudicatis XXX dies iusti sunto, III tab. 1.

[2] Post deinde manus iniectio esto. In ius ducito. III tab. 2.

[3] et simul aliquam partem corporis eius prehendebat. Gaius IV, § 21.

[4] pro se causam agere solebat. Gaius IV, 21.

[5] Ni iudicatum facit aut quis endo eo in iure vindicit III tab. 3.

[6] secum ducito. III tab. 3.

[7] vincito aut nervo aut compedibus XV pondo, ne maiore, aut si volet minore vincito. III tab. 3. (Niektórzy autorowie twierdzą, że III tab. 3 opiewa:

pod władzę nie trzeba było ani współdziałania pretora, ani jego zezwolenia, wystarczała jego obecność przy tym akcie. Dopiero później wprowadzono akt oddania dłużnika wierzycielowi pod władzę przez pretora (addictio)[1]. Od dnia manus injekcyi był dłużnik więźniem wierzyciela, który mógł mu nałożyć więzy, ale też musiał go żywić, jeżeli dłużnik sam nie starał się o pożywienie[2]. Mimo ograniczenia wolności nie tracił dłużnik prawa rozporządzania swym majątkiem i nie stawał się niewolnikiem, owszem źródła wyraźnie zaznaczają, że mógł z wierzycielem zawrzeć ugodę[3]. Ten stan trwał przez 60 dni, w ciągu których wierzyciel musiał, aby mógł korzystać z prawa dalszych kroków egzekucyjnych, w trzech po sobie następujących dniach targowych przyprowadzać dłużnika przed pretora i tam publicznie ogłaszać kwotę swej wierzytelności w tym celu, by osobom chętnym dać sposobność uwolnienia dłużnika przez zapłatę lub ułożenie się z wierzycielem[4]. Po upływie 60 dni miał wierzyciel prawo dłużnika zabić lub w niewolę sprzedać, lecz tylko za granicę[5], bo sprzedaż w kraju nie mogła mieć skutku przejścia

»XV pondo ne minore, aut si volet maiore vincito«, tak n. p. Horten, Die Personalexecution in Italien II. str. 14, Puchta-Krüger, Cursus der Institutionen, 7 wyd. § 179, II. str. 200 i n.

[1] Niektórzy autorowie, jak n. p. Bethmann Hollweg, Der Civilprocess des gemeinen Rechts in geschichtlicher Entwicklung (1864), I. str. 198, Kleineidam, Die Personalexekution der Zwölftafeln, str. 212 i n., Karlowa, Der römische Civilprozess zur Zeit der Legisaktionen (1872), str. 158, twierdzą, że addictio ze strony pretora od najdawniejszych czasów była potrzebna, choć III tablica o tem nie wspomina. Historyczny rozwój i analogia egzekucyi w prawie germańskiem przemawiają jednak raczej za twierdzeniem w tekście przedstawionem, bo naturalnym torem rozwoju była pierwotna pomoc własna, która drogą powolnej ewolucyi przemieniała się w egzekucyę sądową. — Zgodnie z tekstem Huschke, Recht des Nexum, str. 79 i n., 133 i n., Puchta-Krüger, II. str. 200 uw. i, Girard Mayr, Geschichte und System des römischen Rechtes, II. str. 1073 i inni. Por. także Ihering, Geist des römischen Rechts, 4 wyd. str. 118 i n.

[2] Si volet suo vivito. Ni suo vivit, qui eum vinctum habebit, libras farris endo dies dato. Si volet, plus dato. III tab. 4.

[3] Erat autem ius interea paciscendi ac nisi pacti forent, habebantur in vinculis dies sexaginta. Gellius XX. 1, 46.

[4] Inter eos dies trinis nundinis continuis ad praetorem in comitium producebantur, quantaeque pecuniae iudicati essent, praedicabatur. Gellius XX. 1, 46 i 47.

[5] Tertiis autem nundinis capite poenas dabant, aut trans Tiberim peregre venum ibant. Gellius XX. 1, 46 i 47.

dłużnika w stan niewoli. Jeżeli jest więcej wierzycieli, mogą dłużnika bądź sprzedać, bądź zabić a ciałem się podzielić [1].

Pozostaje jeszcze pytanie, co się działo z majątkiem zabitego lub w niewolę sprzedanego. Źródła nic o tem nie wspominają, a zapatrywania autorów idą w dwóch rozbieżnych kierunkach: jedni twierdzą, że majątek przypadał tym, którzy go otrzymywali w razie śmierci obywatela lub jego popadnięcia w obcą niewolę [2], inni są zdania, że majątek przypadał wierzycielowi, względnie wierzycielom, którzy się nim dzielili [3]. Szczegół ten (czy majątek przypadał wierzycielowi, czy innej osobie) jest dla charakterystyki i ogólnej wytycznej zasady egzekucyi per manus iniectionem obojętny; w każdym razie egzekucya nie zmierzała najkrótszą drogą do zaspokojenia wierzyciela, lecz niszczyła osobistość dłużnika wraz z jego majątkiem.

Tak przedstawia się egzekucya per manus iniectionem w prawie XII tablic. Z czasem zaszły w tem postępowaniu ważne zmiany.

Wedle prawa XII tablic służyła wierzycielowi legis actio per manus iniectionem tylko wtedy, jeżeli swą wierzytelność zaskarżył i w procesie uzyskał wyrok lub uznanie. Późniejsze ustawy wprowadziły dla pewnych roszczeń przywilej egzekucyi per manus iniectionem bez wytaczania procesu i wyczekiwania wyroku. Dalsza zmiana polegała na wprowadzeniu dla niektórych przypadków złagodzonej formy, mianowicie tak zwanej manus iniectio pura, której złagodzenie polegało na tem, że dłużnik miał prawo sam sprzeciwić się egzekucyi i sam we wyłaniającym się stąd procesie był stroną. Niebezpieczeństwo sprzeciwienia się manus iniekcyi polegało tylko na tem, że dłużnik przegrywający musiał zapłacić duplum. W ostatniem stadyum rozwoju istniała trojakiego rodzaju manus iniectio: dawna wedle XII tablic, zwana manus iniectio iudicati, rozszerzona ale co do surowości na równi stojąca manus iniectio »pro« iudicato i rozszerzona ale złagodzona manus iniectio pura [4]. Na mocy lex Valeria stała się manus iniectio pura regułą, a dawna manus in-

[1] Tertiis nundinis partis secanto. Si plus minusve secuerunt, se fraude esto. III tab. 6.

[2] Puchta-Krüger, II. str. 202 i n.; Kleineidam, str. 258—268.

[3] Bethmann Hollweg, I. str. 199; Girard Mayr, II. str. 1076; Karlowa, str. 160—164; Ihering, Scherz und Ernst in der Jurisprudenz, str. 232—243.

[4] Gaius IV. 22—25.

iectio iudicati, obostrzona tym rygorem, że tylko vindex mógł za dłużnika manum depellere, obowiązywała odtąd tylko w przypadku egzekucyi wyroku lub uznania sądowego i przy actio depensi. — Wreszcie ustępuje pierwotna surowość egzekucyi. Wspomniałem już, że dłużnikowi służyło prawo, ułożyć się z wierzycielem. Ta ugoda polegała często na tem, że dłużnik, nie mając pieniędzy, godził się tak jak w przypadku zobowiązania z nexum [1], odrobić swój dług i aż do umorzenia długu pozostać we władzy wierzyciela. Z czasem stało się to drogą zwyczaju ostatniem stadyum egzekucyi, tak że o zabiciu lub sprzedaży w postępowaniu wdrożonem per manus iniectionem historycy wcale nie wspominają. W nexum, zawiązanem czy to dobrowolnie przez zaciągnięcie zobowiązania per aes et libram, czy też pod przymusem egzekucyi per manus iniectionem rozporządzał wierzyciel zupełnie dowolnie pracą dłużnika jako swojem prawem prywatnem, a w praktyce prowadziło to do krzyczących nadużyć ze strony wierzycieli przez katowanie i innego rodzaju znęcanie się nad dłużnikami. Tym nadużyciom położyła koniec lex Poetelia (z r. 428 lub 441), uchylając prawo trzymania dłużnika we więzach i znosząc prawną dopuszczalność umowy o odrobienie długu w służalstwie u wierzyciela. Prawo zabicia i sprzedaży w niewolę już przedtem per non usum przestało istnieć. Po tej reformie pozostała egzekucya per manus iniectionem nadal egzekucyą osobistą, ale zasadniczo zmienioną, bo utrzymała się tylko jako osobisty areszt za długi, mający przez samo odjęcie wolności wywierać przymus na wolę dłużnika.

---

[1] Nexum jest umową zawartą uroczyście (per aes et libram) przed 5-a świadkami, mocą której dłużnik obowiązuje się dług w pewnym terminie zwrócić i poddaje się na przypadek niezapłacenia pod władzę wierzyciela na czas aż do umorzenia zobowiązania swą pracą u wierzyciela. (Varro, de lingua latina, VII. 5, § 105: Liber, qui suas operas in servitutem pro pecunia quadam debebat, dum solveret, nexus vocatur). Czy nexum powstało na wzór manus iniekcyi, czy przeciwnie najpierw wyrobiło się dobrowolne nexum, a dopiero na jego wzór powstała manus iniectio, jest sporne. Wedle analogii prawa germańskiego, które pierwotnie dobrowolnego oddania się w służalstwo za długi nie znało i dopiero z czasem tę instytucyę wytworzyło, sądzę, że i w prawie rzymskiem nexum dopiero później powstało. Wspólność pierwotnych poglądów u obu tych narodów w czasach przedhistorycznych uprawnia do stosowania analogii co do stanu prawnego w pierwszych znanych nam początkach historycznych. Także formuła: »dare damnas esto« uprawnia do przyjęcia, że najpierw istniało condemnatio, t. j. wyrok, a dopiero za tym wzorem poszło nexum.

2. »Legis actio per pignoris capionem«. Historyi egzekucyi w omawianym okresie procesu rzymskiego nie można ukończyć, nie wspomniawszy jeszcze o legis actio per pignoris capionem. Ta legis actio była również rodzajem egzekucyi, a różniła się od legis actio per manus iniectionem tem, że zwracała się nie przeciw osobie, lecz wyłącznie przeciw majątkowi, a dalej tem, że przysługiwała nie wszystkim osobom i nie dla wszelkiego rodzaju roszczeń, lecz tylko kilku, w części prawem pisanem, a w części prawem zwyczajowem szczegółowo wskazanym roszczeniom o charakterze sakralnym i prawno-administracyjnym.

Prawo takiej egzekucyi służyło [1]:

a) na mocy prawa zwyczajowego dla aes militare (żołdu), aes equestre (pieniędzy na zakupno koni) i aes hordearium (pieniędzy na futraż koni);

b) na mocy XII tablic dla ceny kupna hostiae, to jest bydła przeznaczonego na ofiarę bogom i dla czynszu najmu zwierząt w tym celu w najem danych, aby uzyskaną tytułem najmu kwotę pieniężną dać na ofiarę.

Legis actio per pignoris capionem odbywała się w ten sposób, że uprawniony sam zajmował tyle rzeczy, ile na pokrycie uważał za potrzebne, a charakter tej czynności jako postępowania procesowego, jako legis actio, polegał jedynie na tem, że działający musiał przy zajęciu wypowiedzieć uroczyste słowa tej legis actio. Takie zajęcie wolno było uczynić nawet w nieobecności dłużnika i w dniu, który był wolny od rozpraw sądowych (dies nefastus), a nadto ani obecności władzy, ani późniejszego usprawiedliwienia aktu zajęcia przed pretorem nie było trzeba. Źródła nie powiadają, co się działo z zajętymi przedmiotami, a zdania literatury są podzielone: wedle jednych mógł wierzyciel zastaw sprzedać i tą drogą swą wierzytelność zaspokoić, wedle innych zajęta rzecz przechodziła na jego własność, jeżeli jej dłużnik nie wykupił.

Co do prawnego charakteru legis actio per pignoris capionem niema zgody między autorami: jedni uważają ją za resztki przedhistorycznej pomocy własnej [2], drudzy za normalną legis actio, prowadzącą w razie sprzeciwu do sądowego procesu o słuszność egze-

[1] Gaius IV. §§ 26 do 28.
[2] Bethmann-Hollweg, I. str. 90.

kucyi [1], inni wreszcie za postępowanie czysto administracyjne [2]. Bez względu na to, czy pierwsze, drugie lub trzecie zdanie jest słuszne, pewnem jest, że pignoris capio było tylko wyjątkową egzekucyą, co objawiło się nie tylko w szczupłości przypadków, w których ono było dopuszczalne, ale i w tem, że ta egzekucya per pignoris capionem na dalszy rozwój historyczny, mianowicie na wytworzenie się egzekucyi majątkowej w czasie procesu per formulas żadnego nie wywarła wpływu, a dalsze losy tej egzekucyi polegały na tem, że z uchyleniem postępowania per legis actiones weszła w miejsce dawnej legis actio per pignoris capionem zwyczajna skarga sądowa (actio ficticia).

II. Egzekucya w procesie per formulas.

Charakterystyka.

Egzekucyę tej epoki w stosunku do poprzedniej charakteryzuje ten moment, że wierzyciel, który dotychczas z mocy własnego prawa egzekucyę rozpoczynał, może ją teraz wdrożyć tylko za upoważnieniem władzy. W miejsce legis actio per manus iniectionem stwarza pretor actio iudicati, która rozpoczyna się wezwaniem dłużnika do sądu, gdzie wierzyciel otrzymuje zezwolenie na egzekucyę. Samo przeprowadzenie egzekucyi jest i w tym okresie czynnością prywatną wierzyciela, nie działalnością władzy sądowej.

Ważnem zjawiskiem tej epoki jest powstanie egzekucyi majątkowej we formie bonorum venditio [3]. Myślą przewodnią tej egzekucyi majątkowej jest, podobnie jak w egzekucyi osobistej, raczej wywarcie przymusu na dłużnika, niż uzyskanie jak najszybciej zaspokojenia, bo bonorum venditio prowadzi do sprzedaży i pozbawienia dłużnika całego majątku, choćby dług był od wartości majątku znacznie niższy.

Przedstawienie.

Lex Poetelia prócz innych przepisów zawierała także postanowienie: pecuniae creditae bona debitoris non corpus obnoxium esset. Jest to najdawniejszy zabytek, uznający dopuszczalność egzekucyi

[1] Ihering, Geist des römischen Rechts, I. str. 159; Karlowa, str. 205 do 207; Wlassak, Römische Prozessgesetze, I. str. 251 i n.

[2] Girard Mayr, II. str. 1072.

[3] Wedle Gaiusa IV. 35 miał tę egzekucyę wprowadzić pretor P. Rutilius. Mimo to sporne jest w literaturze, od którego czasu ta egzekucya się datuje.

majątkowej. Pewnych danych do poznania źródeł, skąd ta egzekucya powstała, niema. Autorowie prawa rzymskiego przyjmują zwykle, że pretor poszedł tu drogą, jaką państwo egzekwowało swe roszczenia do obywateli. Ta egzekucya roszczeń państwowych odbywała się w ten sposób, że kwestor na mocy upoważnienia, udzielonego mu przez pretora, zajmował cały majątek dłużnika i sprzedawał go w całości osobie ofiarującej najwyższą cenę. To postępowanie wprowadzili potem pretorowie do egzekucyi roszczeń prywatnych (w swych edyktach już wkrótce po lex Aebutia), tak że odtąd istniały obok siebie dwa rodzaje egzekucyi. egzekucya osobista i egzekucya majątkowa. Wierzyciel mógł wedle woli obrać jednę lub drugą drogę, albo nawet obie naraz.

Cel, jaki sobie pretorowie wytknęli, wprowadzając egzekucyę majątkową, był ten, by nie zmieniając prawa stworzonego przez jus civile, utorować drogę do uchylenia egzekucyi osobistej, nie odpowiadającej potrzebom czasu, bo nie dawała wierzycielowi zaspokojenia jego wierzytelności. Egzekucya majątkowa miała przez sprzedaż spowodować umorzenie długu, co za sobą pociągało natychmiastowe ustanie egzekucyi osobistej. Samego prawa egzekucyi osobistej nie mógł pretor uchylić, bo nie służyło mu prawo zmiany juris civilis i dlatego wierzyciel miał prawo obok egzekucyi majątkowej prowadzić także egzekucyę osobistą tak długo, dopóki egzekucya majątkowa nie dała mu materyalnego zaspokojenia.

Przedmiotem egzekucyi może być ciągle jeszcze tylko roszczenie majątkowe. Wprawdzie w postępowaniu per formulas mógł wyrok orzekać, że pozwany ma rzecz ruchomą lub nieruchomą wydać (rem restituere lub exhibere), ale egzekucya i tu jest możliwa tylko po litis aestimatio; zamiast rzeczy otrzymywał wierzyciel w drodze egzekucyi kwotę pieniężną. Tytułem egzekucyi jest wyrok lub uznanie sądowe, ale także i contumacia, bo indefensus pro damnato habetur.

Egzekucya osobista.

Egzekucya we formie legis actio per manus iniectionem istnieje nadal dla iudicia legitima. Dla iudicia, quae imperio continentur, stworzył pretor w swym edykcie egzekucyę osobistą na wzór legis actio per manus iniectionem z tą zmianą, że postępowanie rozpoczyna się przez actio iudicati, a więc przez normalne in ius vocatio. Dłużnik mógł sprzeciwić się egzekucyi pod warunkiem, że złożył kaucyę (satisdatio iudicatum solvi), zabezpieczającą zapłatę

podwójnej kwoty w razie przegrania sporu (poena dupli). Jeżeli tego nie uczynił, kończyło się postępowanie przez addictio dłużnika wierzycielowi. Następstwa egzekucyi były w obu razach jednakowe, mianowicie trwały areszt za długi, pozbawiony od czasu legis Poeteliae wszelkich obciążeń i wszelkiej surowości. Areszt kończył się z chwilą umorzenia długu. Wedle lex Julia de cessione bonorum mógł się dłużnik od tej osobistej egzekucyi (powodującej za sobą infamię) uwolnić przez dobrowolne odstąpienie majątku wierzycielom.

Egzekucya majątkowa [1]. Missio in possessionem i bonorum venditio.

Postępowanie rozpoczynał wniosek wierzyciela (postulatio) o udzielenie mu bonorum possessio. Jeżeli wniosek był uzasadniony, to jest odpowiadał wymogom edyktu, wydawał pretor dekret: bona possideri proscribive venireque iubet. Ten dekret zapadał bez causae cognitio, czego następstwem było, że dłużnik mógł w drodze procesu zaprzeczyć prawności egzekucyi, a w pewnych przypadkach nawet po sprzedaży majątku unieważnić całe postępowanie egzekucyjne, mianowicie jeśli mógł udowodnić, że egzekucya została wdrożona, choć nie zaistniały warunki wdrożenia egzekucyi wskazane w edykcie.

Dekret pretorski był dla wierzyciela upoważnieniem, by majątek dłużnika wziął w posiadanie. W akcie objęcia posiadania władza zupełnie nie współdziałała; także dalsze akty egzekucyjne, jako to bonorum proscriptio i bonorum venditio, były czynnościami samych wierzycieli, nie zaś aktami władzy publicznej.

Bonorum possessio dawało wierzycielowi tylko faktyczne dzierżenie w celu wykonania custodiae, a więc w celu utrzymania istniejącego stanu rzeczy aż do ukończenia postępowania, nie dawało mu natomiast posiadania we właściwem tego słowa znaczeniu. Dłużnik dalej zostaje posiadaczem nieruchomości, które wierzyciel tylko nadzoruje, tak samo zatrzymuje nadal posiadanie ruchomości, które tylko wyjątkowo wolno było odebrać w celu oddania ich w bezpieczne przechowanie, w końcu on tylko pozostaje uprawnionym z tytułu swych wierzytelności i innych praw, a wierzyciel uzyskuje jedynie uprawnienie przeglądania ksiąg, rachunków i innych dokumentów, aby mógł się o stanie majątku przekonać.

[1] Źródła: patrz Bethmann Hollweg, II. str. 667 uw. 1.

Proscriptio bonorum. Obowiązkiem wierzyciela było, podać fakt otrzymania bonorum possessionis do publicznej wiadomości przez przybicie ogłoszenia na najbardziej uczęszczanych miejscach. Zawiadomienie musiało pozostać wywieszone przez 30 dni, jeżeli szło o majątek osoby żyjącej, a 15 dni, jeżeli o majątek zmarłego. Celem ogłoszenia było zawiadomienie osob trzecich, by mogły objąć defensionem dłużnika i zawiadomienie innych wierzycieli, by się mogli do postępowania przyłączyć, przez co uzyskiwali współdzierżenie, prawo przeglądu papierów dłużnika i prawo do zaspokojenia z ceny kupna. Po upływie 30, względnie 15 dni, wydawał pretor na wniosek wierzyciela drugi dekret, zwołujący wierzycieli na zgromadzenie celem wyboru z ich grona jednej osoby, która miała sprzedaż majątku uskutecznić. Jeżeli nie zgłosiło się więcej wierzycieli, musiał sam egzekwujący wierzyciel zająć się przygotowaniem i wykonaniem sprzedaży, jeżeli więcej się zgłosiło, wybierano magistra, który te czynności obejmował. Przygotowanie polegało na sporządzeniu i ogłoszeniu warunków licytacyi (lex venditionis). Dzień sprzedaży nie mógł przypadać wcześniej, jak przy egzekucyi osobistej, a więc dopiero po upływie 60 dni od pierwszego dekretu, od missio in bona; tylko wtedy, gdy szło o majątek zmarłego, mogła sprzedaż nastąpić już po upływie 30 dni.

Bonorum venditio odbywała się przez licytacyę (auctio), a kończyła ją addictio ze strony magistra. Bonorum emptor stawał się następcą ogólnym (succesio per universitatem) wedle prawa pretorskiego, ale też musiał zaspokoić egzekwującego wierzyciela, a gdy ich było więcej, wszystkich w stosunku określonym przez warunki licytacyjne.

Egzekucya majątkowa pociągała za sobą także skutki osobiste. Dłużnik, który w ciągu 30 dni od missio in bona nie zapłacił długu, ani w drodze procesu nie zaprzeczył prawności egzekucyi, popadał w infamię. W ciągu pierwszych 30 dni mógł dłużnik objąć swoją defensio bez wszelkich utrudnień, po upływie tego czasu tylko za daniem kaucyi judicatum solvi, nadto defensio po 30 dniach objęta uchyla wprawdzie missio in bona, ale nie uchyla infamii. Za czasów cesarstwa została bonorum venditio zniesiona w egzekucyi przeciw osobom stanu senatorskiego, aby je uwolnić od infamii. W miejsce tego weszła distractio bonorum, która polegała na tem, że władza mianowała kuratora bonorum i ten sprzedawał nie cały majątek, lecz pojedyńcze przedmioty majątkowe, a z uzyskanej

kwoty zaspokajał wierzyciela. Późniejsze ustawodawstwo uchyliło zupełnie bonorum venditio w egzekucyi i wprowadziło bonorum distractio jako jedyny sposób spieniężenia.

III. Egzekucya wedle prawa justyniańskiego.

Charakterystyka.

Egzekucya z czasów cesarstwa daje zupełnie nowy obraz. W miejsce dotychczasowej działalności samych stron, przy której czynność sądu ograniczała się do udzielenia zezwolenia na wdrożenie, wstępuje postępowanie od początku do końca urzędowe [1]; wierzyciel stawia wniosek o wdrożenie egzekucyi, resztę robi sąd. Także myśl przewodnia egzekucyi zmienia się zasadniczo. W miejsce dotychczasowych środków przymusu, które w razie oporu dłużnika zmierzają do zniszczenia jego majątku i osoby, wchodzą środki, których jedynym celem jest najszybsze zaspokojenie wierzyciela. Egzekucyę osobistą i ogólną egzekucyę majątkową zastępuje egzekucya majątkowa szczegółowa. Ta szczegółowa egzekucya majątkowa datuje się od czasów Antoniusa Piusa. Początkowo jest ona tylko egzekucyą wyjątkową, tylko dla pewnych spraw (executio extra ordinem), później zatacza coraz większe kręgi, a od Dyoklecyana staje się powszechnem i jedynem postępowaniem egzekucyjnem.

Przedstawienie.

Egzekucya wierzytelności pieniężnych [2] polegała na tem, że na wniosek powoda wydawał magistratus swym organom (apparitores, executores) rozkaz zajęcia rzeczy dłużnika (pignoris capio) i sprzedaży. Pignus in causa iudicati captum nie nadaje wierzycielowi posiadania przedmiotu, lecz ma tylko ten skutek, że po 60 dniach apparitor sprzedaje zajęte rzeczy na publicznej licytacyi, zaspakaja wierzyciela, a ewentualną nadwyżkę wydaje dłużnikowi. Tą drogą wolno było zająć i sprzedać nie tylko ruchomości, ale i inne przedmioty majątkowe, był tylko przepisany ten porządek, że najpierw

---

[1] C. VIII. 22 lex 2. Imp. Alexander A. Valeriano: Cum in causa iudicati aliqua res pignori capitur, per officium eius, qui ita decrevit, venumdari solet, non per eum, qui iudicatum fieri postulavit.

[2] Źródła: Dig. XLII. 1 de re iudicata et de effectu sententiarum, Cod. Just. VII. 53 de exsecutione rei iudicatae, Cod. VII. 22 si in causa iudicati pignus captum est.

należało egzekucyę skierować na ruchomości, jeżeli te nie wystarczały na nieruchomości, a w ostatnim rzędzie na wierzytelności. Egzekucya roszczeń o wydanie rzeczy [1] (ad restituendum, exhibendum) odbywała się w ten sposób, że organ władzy odnośny przedmiot dłużnikowi odbierał i wierzycielowi oddawał. Roszczenia o osobiste świadczenia lub zaniechania nie mogły być przedmiotem egzekucyi in natura, lecz wyrok musiał wprzód w drodze postępowania likwidacyjnego przyznać powodowi odszkodowanie (interesse), a więc kwotę pieniężną.

Egzekucya osobista znika zupełnie i ma odtąd zastosowanie tylko w postępowaniu konkursowem.

IV. Tymczasowe zarządzenia w prawie rzymskiem.

Przez tymczasowe zarządzenia rozumiemy czynność procesową podjętą w czasie, kiedy egzekucya jeszcze nie jest możliwa, a zmierzającą do zabezpieczenia przyszłego wykonania prawa w drodze egzekucyi.

Instytucye pokrewne z dzisiejszemi tymczasowemi zarządzeniami powstały w prawie rzymskiem nie samorzutnie z prywatnego zajęcia, lecz wytworzyło je celowo jus honorarium we formie praetoriae stipulationes [2]. Stipulatio jest umową, zawartą za pomocą pytań i odpowiedzi, mocą której zawierający umowę przyjmuje na siebie pewne zobowiązanie. W przypadkach edyktem przewidzianych pretor nakazywał stronie zawarcie takiej stipulatio na korzyść osoby żądającej tego zabezpieczenia i umowę na skutek tego pretorskiego nakazu zawartą zwano praetoria stipulatio. Praetoriae stipulationes polegały bądź na prostem przyrzeczeniu, repromissio, bądź na przyrzeczeniu połączonem ze zabezpieczeniem (satisdatio)— a przyrzekały bądź rem restituere, bądź facere, bądź też dare quanti ea res est. Niezastosowanie się do nakazu zawarcia takiej stipulatio pociąga za sobą środki przymusowe, rozmaite stosownie do jakości sprawy, a więc missio in possessionem, odmówienie skargi, a nawet pignoris capio. Te praetoriae stipulationes służyły rozmaitym celom, niektóre z nich odpowiadają jednak zupełnie swymi warunkami i zadaniami dzisiejszym tymczasowym zarządzeniom Tu należy przedewszystkiem cautio iudicatum solvi, służąca

[1] Dig VI, 1, 68 de rei vindicatione.
[2] Gaius IV. 102, Dig XLVI. 5 de stipulationibus praetoriis.

przeciw dłużnikowi, którego osobistość usprawiedliwiała obawę, że ściągnięcie długu od niego natrafi na trudności (propter personam suspectam), a więc przeciw temu, kto już był niewypłacalnym (qui decoxerit) lub cuius ex edicto praetoris bona dies 30 possessa sunt. Prócz tych zabezpieczeń, uzasadnionych względami osobistymi, znało prawo rzymskie cały szereg tymczasowych zarządzeń usprawiedliwionych względami rzeczowymi, jakością roszczenia (propter genus actionis). I tak dla zabezpieczenia roszczeń in personam musi być złożona cautio judicatum solvi przy actio depensi i we wszystkich innych sprawach, w których pierwotnie istniało prawo natychmiastowej egzekucyi per manus iniectionem. Te ostatnie przypadki całkiem wyraźnie wskazują na to, że kaucya jest surrogatem egzekucyi i ma na celu służyć jako zabezpieczenie przyszłego zrealizowania roszczenia. Pierwotnie miał wierzyciel prawo natychmiastowej egzekucyi, uchyla jednak tę egzekucyę wystąpienie obrońcy (vindex), który ma charakter ręczyciela, bo odpowiada wierzycielowi w przyszłej egzekucyi. Później rolę, którą sprawował vindex, zastąpiła cautio iudicatum solvi, mająca na celu właśnie zabezpieczenie przyszłej egzekucyi. Także dla zabezpieczenia roszczeń in rem można było żądać tymczasowych zarządzeń, jak n. p. satisdatio iudicatum solvi w miejsce dawnych praedes litis et vindiciarum przy windykacyi nieruchomości; podobne zabezpieczenia były dopuszczalne także przy innych procesach o roszczenia rzeczowe.

Stan rzeczy, stworzony przez pretorów w czasie postępowania per formulas, nie uległ w następnym okresie procesu kognicyjnego żadnej zasadniczej zmianie.

§ 4. Proces germański.

I. Egzekucya wedle praw germańskich aż do powstania źwierciadła saskiego.

Charakterystyka.

Egzekucya narodów germańskich ma podobnie, jak egzekucya prawa rzymskiego, swe źródło w zemście. W pojęciach owych czasów dopuszcza się bezprawia nie tylko ten, kto spełnia czyn wedle naszych dzisiejszych urządzeń ustawą karną ścigany, ale i ten, kto narusza cudze prawo prywatne [1]. Jedno i drugie wymaga kary,

[1] Dowodem słuszności twierdzenia w tekście przedstawionego jest fakt, że pierwotne prawo germańskie nie zna nawet procesu cywilnego we właściwem tego słowa znaczeniu. Najdawniejsze prawo szczepowe, Lex Salica rozró-

a kara polegała na tem, że jednostkę, dopuszczającą się bezprawia, wykluczano ze społeczności, a wtedy pokrzywdzony mógł ją, jako wyjętą z pod prawa, bezkarnie zabić [1]. Aby nie narazić się na taką zemstę, musi dłużnik albo sam wierzyciela zaspokoić, albo pozwolić, aby on z jego majątku się zaspokoił. Z tego źródła, to jest z umowy stron, mocą której dłużnik chce się od zemsty uwolnić, powstaje potem zarówno prawo prywatnego zajęcia, jak i prawo majątkowej egzekucyi sądowej. Pierwotna egzekucya prawa germańskiego była zatem, jak widzimy, egzekucyą wyłącznie osobistą, wyjęciem z pod prawa. Zajęcie majątku nie było początkowo egzekucyą, lecz jej surrogatem. Wierzyciel nie miał wyboru między zajęciem majątku, a wyjęciem dłużnika z pod prawa, lecz miał jedynie prawo wykluczenia opornego dłużnika ze społeczności, a tylko dłużnik mógł się od tego uwolnić przez zezwolenie na zajęcie majątku. Właściwością praw szczepowych germańskich jest to, że prawo wierzyciela zaspokojenia się z majątku dłużnika jest prawem wierzycielowi nie z ustawy służącem, lecz przez dłużnika nadanem. Wierzyciel uzyskuje je na mocy prywatnej umowy uroczystej i nie potrzebuje wcale wyroku, by mógł egzekucyę majątkową rozpocząć. Sam wyrok nie dawał prawa egzekucyi majątkowej, to też w przypadkach, w których z natury rzeczy poprzedzającej umowy prywatnej nie było, n. p. w razie roszczeń wynikłych z uszkodzenia, musi wierzyciel po wyroku uzyskać od dłużnika przyrzeczenie dopełnienia wyroku, bo wyrok prawa egzekucyi majątkowej nie daje.

żnia tylko trzy rodzaje postępowania: egzekucyjne postępowanie, proces o zwrot ukradzionej rzeczy i postępowanie z powodu czynu karygodnego. To ostatnie dopiero z czasem stało się ogólną formą procesu zarówno cywilnego, jak karnego. Por. Sohm, Der Prozess der Lex Salica (1867), str. 6 i n., 121 i n.; Engelmann, Der Zivilprozess, Geschichte und System, II. zeszyt 1. str. 34, 35. Zresztą nawet skarga prawa prywatnego »erscheint dem deutschen Recht nicht als Verfolgung eines privatrechtlichen Anspruchs, sondern als der gegen den Beklagten erhobene Vorwurf begangenen oder fortgesetzten Unrechts«, jak powiada Engelmann, str. 44. Por. także Planck, Das deutsche Gerichtsverfahren im Mittelalter (1879), I. str. 357 i n.

[1] Pierwotną formą egzekucyi jest pomoc własna, poparta w razie potrzeby współdziałaniem członków gminy. Tą drogą wykonywano wyjęcie z pod prawa, Friedlosigkeit (por. Brunner, Deutsche Rechtsgeschichte, I. str. 236, II. str. 467), ściganie śladów kradzieży, Spurfolge (por. Engelmann, str. 47, Sohm, str. 65) i inne akty (por. Amira, Das altnorwegische Vollstreckungsverfahren, 1874, str. 258, 259, Brunner, II. str. 452).

Jeżeli dłużnik nie chce złożyć przyrzeczenia dopełnienia wyroku, jest nieposłuszny prawu i wolno go z pod prawa wyjąć. Myślą zazadniczą egzekucyi jest zatem zemsta osobista, mianowicie wyjęcie z pod prawa z jego surowymi skutkami; egzekucya majątkowa jest tylko surrogatem.

Egzekucya osobista odbywała się w czasach przedhistorycznych prawdopodobnie we formie pomocy własnej, w czasach, z których zachowały się nam zabytki historyczne, była już egzekucya osobista postępowaniem sądowem [1]. Egzekucya majątkowa toczyła się we formie bądź prywatnego zajęcia bądź postępowania sądowego.

Egzekucya osobista.

Egzekucya osobista jest wedle praw szczepowych germańskich jedyną egzekucyą w ścisłem tego słowa znaczeniu. Stosuje się ją wtedy, jeżeli jednostka jest nieposłuszną prawu. Nieposłusznym jest przedewszystkiem ten, kto, wezwany do sądu, nie daje przyrzeczenia jawienia się w sądzie i istotnie mimo wezwań nie jawi się. Jeżeli pozwany dał przyrzeczenie jawienia się i w ten sposób prawu się poddał, może się proces normalnie rozpocząć, a niekorzyść niejawiącego się pozwanego polegała tylko na tem, że w procesie zapadał wyrok w myśl żądania powoda. Jeżeli pozwany nie dał przyrzeczenia jawienia się i rzeczywiście nie jawi się, natenczas proces nie mógł się rozpocząć a pozwany uchodził za nieposłusznego prawu. Prawo rypuarskie wymagało aż siedmiokrotnych wezwań, wedle innych wystarcza czterokrotne wezwanie; po każdem wezwaniu musi wierzyciel czekać w sądzie na dłużnika aż do zachodu słońca (solem collocare). Skutek niejawienia się mimo przepisanej ilości wezwań jest ten, że opornego dotyka, jako nieposłusznego prawu, pozbawienie prawa, banicya, Acht. Nieposłusznym jest także ten, kto nie złożył przyrzeczenia dopełnienią wyroku. Wedle Lex Salica [2] musi wierzyciel czekać na to przyrzeczenie w dniu wyroku aż do zachodu słońca, a po 40 dniach [3] musi to ponownie uczynić. Jeżeli

[1] Jak w prawie rzymskiem, tak i w germańskiem widać ciągły wzrost działalności sądu i ograniczanie pomocy własnej. Jasno wykazują to źródła frankońskie: po Lex Salica następuje Lex Ribuaria, która jest przeróbką Legis Salicae, a jednak już znaczny postęp w tym kierunku oznacza; jeszcze dalej idące roszczenie działalności sądu widzimy w Edictum Chilperici.

[2] Lex Salica LVI. De eum, qui ad mallum venire contemnit (Behrend II. wyd. str. 116—118).

[3] Jest to zwyczajny termin dopełnienia wyroku.

i tym razem nie dał dłużnik przyrzeczenia, wzywa go wierzyciel przed króla i tu staje wraz z 12 świadkami, a gdy ci przysięgą poświadczą, że wierzyciel dopełnił wszystkich powyższych formalności, »tunc rex, ad quem mannitus est, eum extra sermonem suum ponat«, wyjmuje go z pod prawa, a więc pozbawia jego osobę i jego majątek ochrony prawnej (tunc ipse culpabilis et omnes res suas erunt).

Banicya wyjmuje banitę i jego majątek z pod prawa. Osobie banity nie wolno dawać pomocy, przytułku, pożywienia, a to pod grozą kary osobistej, majątek zaś przypadą fiskusowi, który z niego zaspokaja wierzyciela a resztę sobie zatrzymuje.

Z biegiem czasu wytwarzają się dwa stadya banicyi: wstępne, ograniczone do banicyi majątku, trwające 1 rok i 1 dzień, w którym to czasie wolno było banicyę uchylić, i stanowcze, obejmujące także osobę. Później odpada banicya osoby, jeżeli banicya majątkowa [1] dała wierzycielowi zupełne zaspokojenie jego wierzytelności, tak że tylko w razie niewystarczającego majątku rozciągano banicyę także na osobę. Z biegiem czasu doznaje banicya ograniczenia jeszcze w innym kierunku. Jak wspomniałem, karano w początkach znanych nam praw germańskich banicyą tak niejawienie się w sądzie, jak i niezłożenie przyrzeczenia dopełnienia wyroku; w dalszym rozwoju natomiast stosowano banicyę tylko w razie nieposłuszeństwa przez niejawienie się w sądzie. Nieposłuszeństwo przez niezłożenie przyrzeczenia dopełnienia wyroku nie miało w późniejszych czasach skutku banicyi, albowiem prawo frankońskie wypowiada już w Edictum Chilperici zasadę, że i bez przyrzeczenia dopełnienia wyroku przystępuje się do egzekucyi majątkowej, a myśl tę przyjęły wkrótce inne prawa.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy szczepowe prawa germańskie znały areszt za długi i odsługiwanie długu w takim areszcie. Odpowiedź musi wypaść przecząco. Aresztu i służalstwa za długi nie zna prawo tej epoki, ale początki jego daje już instytucya dobrowolnego oddania się w służalstwo za długi (loco wadii), którem posługiwano się nie tylko z góry dla zabezpieczenia zobowiązań,

[1] Banicya obejmowała najpierw majątek ruchomy, a dopiero gdy ruchomości nie wystarczały, rozciągała się na nieruchomości. Por. Freyberg, Ueber das altdeutsche öffentliche Gerichtsverfahren (1824), str. 45; Maurer, Geschichte des altgermanischen und namentlich altbairischen öffentlich mündlichen Gerichtsverfahrens (1824), str. 92 uw. 32 i 33.

ale i ex post dla uchylenia się od banicyi i jej srogich skutków [1]. W niektórych prawach rozwinęło się służalstwo za długi w innej drodze. Lex Salica oddaje dłużnika we władzę wierzyciela jedynie w przypadku niemożności ściągnięcia głowszczyzny. Późniejsze ustawy (Ed. Chilp.) przenoszą to na inne przypadki nieściągalności kar za czyny karygodne, później zaś rozciągnięto to także na przypadki nieściągalności wierzytelności cywilnych.

Egzekucya majątkowa.

Prywatne zajęcie.

Momentem, uzasadniającym prywatne zajęcie, jest umowa prywatna, uroczyście, zwykle wobec świadków zawarta. Formą zaspokojenia jest w czasach najdawniejszych postępowanie zupełnie prywatne, a więc prywatne zajęcie bez wszelkiego współudziału sądu. Za czasów państwa frankońskiego spotykamy tę formę czysto prywatnego zajęcia tylko w prawie longobardzkiem, natomiast przeważna ilość innych praw, jak prawo burgundzkie, frankońskie, bawarskie i t. p. dozwala wprawdzie prywatnego zajęcia, ale czyni jego dopuszczalność zależną od zezwolenia sądu. Sąd nie mógł odmówić zezwolenia, jeżeli wierzyciel udowodnił dopełnienie form. W badanie materyalnego uzasadnienia sąd nie wchodził.

Wedle najdawniejszego znanego szczepowego prawa germańskiego, Lex Salica [2], było postępowanie następujące: Tytułem prywatnego zajęcia jest umowa uroczysta, tak zwana fides facta [3], to znaczy zobowiązanie formalne, zawierające przyrzeczenie zapłaty w pewnym oznaczonym dniu, zaciągnięte słownie i równocześnie symbolicznie przez danie i wzięcie festuki. Skoro dzień zapłaty minął, udaje się wierzyciel z trzema świadkami do dłużnika i wobec nich wzywa go do zapłaty [4]. Jeżeli dłużnik nie płaci, wzywa go do

[1] O dobrowolnem zabezpieczeniu zobowiązań przez oddanie w zastaw swej osoby, co prowadziło do służalstwa za długi, a dalej o zastawianiu swego honoru patrz Walter, Deutsche Rechtsgeschichte (1857), II. str. 220 i 221.

[2] Przedstawienie nawiązuję do Lex Salica, bo to jest najdawniejsze szczepowe prawo germańskie; zresztą przez utworzenie państwa frankońskiego i rozciągnięcie jego władzy na inne szczepy uzyskało prawo frankońskie wielki wpływ na dalszy rozwój prawa niemieckiego. To jest powodem, dla którego wszyscy autorowie prawa niemieckiego biorą prawo szczepów frankońskich, w pierwszym rzędzie Lex Salica za podstawę prawa procesowego i egzekucyjnego owych czasów.

[3] Lex Salixa L. De fides factas (Behrend, str. 103 do 107).

[4] Zapłata mogła nastąpić nie tylko w pieniądzach, ale i przez danie ru-

sądu. Czy dłużnik w sądzie stanie, czy nie, jest obojętne i na tok sprawy nie wpływa. Przed sądem prosi wierzyciel o oddanie mu władzy nad majątkiem dłużnika, lecz nie dowodzi swego prawa, tylko stawia wprost swe żądanie słowami: »rogo te thungine, ut nexti canthichus gasacio meo illo qui mihi fidem fecit et debitum debet«, a sąd, nie badając praw wierzyciela, czyni zadość jego żądaniu. Gdy sąd oddanie wierzycielowi władzy nad majątkiem dłużnika (t. zw. nexti canthichio) orzekł, udaje się wierzyciel natychmiast ze świadkami do domu dłużnika, aby tu zapowiedzieć mu (testare), że tak długo nie wolno mu majątkiem rozporządzać, dopóki długu nie zapłaci [1]. Na zapłatę czeka wierzyciel aż do zachodu słońca, co zwano solem collocare. Po upływie 7 dni musi drugi raz a po upływie dalszych 7 dni trzeci raz wezwać dłużnika wobec świadków do zapłaty (testare i solem collocare), poczem ma prawo sam pozasądownie zająć ruchomości dłużnika. Podobnem było postępowanie wedle innych praw [2].

Zająć wolno tyle, ile potrzeba na pokrycie długu i tych grzywien, które dłużnik ma płacić za karę, quia legem noluerit audire. Wedle Lex Salica ma dłużnik, który zaraz przy pierwszem wezwaniu (przed nexti canthichio) nie umarza długu, płacić wierzycielowi 15 solidów, za każdą testatio po 3 solidy. Wedle innych praw wolno zająć więcej, i tak w burgundzkiem o jednę trzecią, w longobardzkiem dwukrotną wartość i t. p.

Prawnemu zajęciu nie wolno opierać się, ale też każde materyalnie lub formalnie nieuzasadnione zajęcie jest czynem karygodnym, który wedle rozmaitych praw rozmaicie był karany, wedle Edictum Rothari dziesięciokrotną kwotą, wedle Lex Baiuvariorum dwukrotną i t. p. Lex Salica rozróżnia dwa przypadki: jeżeli wierzyciel nieprawnie egzekwował wskutek nieznajomości form postępowania, musiał zwrócić zastaw, jeżeli zaś egzekwował, nie mając

---

chomości, które obecni świadkowie oceniali i dlatego Lex Salica L. 1 każe iść »cum testibus vel cum illis, qui praecium adpreciare debent«.

[1] Lex Salica L. 2 (Behrend, str. 104) powiada: »Tunc ipse cui fides facta est testare debet ut nulli alteri nec solvat nec pignus donet solutionis nisi ante ille impleat quod ei fidem fecerat«. Jest to położeniem aresztu na cały majątek.

[2] Patrz Sohm, str. 42 i n.; Meibom, Das deutsche Pfandrecht (1867), str. 231—233, Siegel, Geschichte des deutschen Gerichtsverfahrens (1857), str. 35 i n.; Wilda, Das Pfändungsrecht, Zeitschrift für das deutsche Recht (1839) str. 184 i n.

materyalnego prawa do tego, musiał prócz zwrotu zastawu zapłacić dłuznikowi 15 solidów za karę.

Zajęcie nie jest równoznaczne z zaspokojeniem. Wierzyciel ma na razie tylko prawo zatrzymania i dopiero wtedy, jeżeli dłużnik w terminie ustawowym długu nie zapłaci, staje się właścicielem zajętych rzeczy [1].

Egzekucya sądowa.

Historycznie wytworzyła się sądowa egzekucya majątkowa u jednych szczepów z prywatnego zajęcia, u innych z postępowania przeciw opornemu. Rozwój egzekucyi sądowej z prywatnego zajęcia odbywa się tą drogą, że ustawy coraz więcej aktów tej prywatnej egzekucyi zastrzegają sądom, aż z czasem postępowanie stało się wyłącznie sądowem. Wytworzenie się egzekucyi sądowej z postępowania przeciw opornemu poszło następującym torem: Nieposłuszeństwo sprowadza na dłużnika bannum, t. j. wyjęcie z pod prawa jego osoby i majątku z tym skutkiem, że majątek przypadał królowi lub gminie i z niego wierzyciel miał być zaspokojony; ograniczenie bannus na razie do majątku było początkiem, z którego wyszła sądowa egzekucya majątkowa.

Egzekucya na ruchomościach.

Wedle praw szczepowych germańskich zapadał wyrok przed dowodami i wypowiadał, co jest w danym przypadku zgodne z prawem, pozostawiając późniejszemu dowodowi rozstrzygnięcie, czy wedle tej opinii prawnej i wyniku dowodu wygra powód, czy pozwany [2]. Sam wyrok nie dawał prawa egzekucyi majątkowej i prawo to mogło powstać dopiero na podstawie przyrzeczenia dopełnienia wyroku (Urteilserfüllungsgelöbnis). Formą przyrzeczenia było uroczyste zobowiązanie się (per festucam, per wadia i t. p.), przyczem wedle niektórych praw mógł to przyrzeczenie dać sam dłużnik, wedle innych winien je dać ręczyciel, a przyrzeczenie samego dłużnika wystarcza tylko wyjątkowo, mianowicie wtedy, jeżeli dłużnik nie był w stanie dać ręczyciela. Przyrzeczenie ręczyciela

[1] Mimo prawnych zakazów, n. p. w capitulare Pipina z r. 787 nie tylko prawo prywatnego zajęcia nie znikło, ale nawet gdzie niegdzie jeszcze szersze niż pierwotnie objęło kręgi. Por. Brunner I. str. 451; Siegel str. 35—42.

[2] Wyrok nakazywał pozwanemu przyrzec, że w ustawowym terminie dowód swej niewinności przeprowadzi lub roszczenie powoda zapłaci. Najjaśniej wypowiada to Lex. Alam. 36. 2: »et wadium suum donet... ut in constituto die legitime iuret aut, si culpabilis est, conponat«.

jest tylko zabezpieczeniem, albowiem mimo przyrzeczenia przez ręczyciela danego, toczy się egzekucya w pierwszym rzędzie przeciw dłużnikowi.

Postępowanie było następujące: Wedle Lex Salica ma dłużnik po wyroku, w dniu oznaczonym w przyrzeczeniu, zapłacić dług lub dowód swej niewinności przeprowadzić. Jeżeli wierzyciel dłużnika w sądzie nie zastał, czeka ze świadkami aż do zachodu słońca i dopiero po takim bezskutecznym dniu ma prawo żądać w sądzie egzekucyi. Znamiennym dla charakteru ówczesnej egzekucyi jest sposób jej rozpoczęcia w sądzie. Lex Salica L. 3. opisuje to następująco: »ille cui fides facta est ambulet ad grafionem loci illius in cuius pago manet et adprehendat fistucam et dicat verbum: Tu grafio homo ille mihi fidem fecit quem legitime habeo iactivo aut admallatum in hoc quod lex Salica continet. Ego super me et furtuna mea pono quod securus mitte in furtuna sua manum. Et dicat de qua causa aut quantum ei fidem fecerat«. Wierzyciel prosi grafa o egzekucyę, lecz nie dowodzi wcale istnienia tytułu egzekucyjnego, tylko przyjmuje swoją osobą i swoim majątkiem gwarancyę prawności egzekucyi (super me et furtuna mea pono) i na znak przyjęcia odpowiedzialności bierze festucam w rękę. Wierzyciel, nieprawnie żądający egzekucyi, podlega karze głowszczyzny, a gdyby jej nie uiścił, karze śmierci. Graf musi wezwaniu zadość uczynić i ze siedmioma rachineburgami udać się do dłużnika, którego wzywa po raz ostatni do zapłaty, a w razie odmowy lub jego nieobecności poleca rachinburgom zajęcie tylu rzeczy, ilu dla umorzenia długu potrzeba. Te rzeczy przechodzą na własność wierzyciela. Przeciw przeprowadzonej egzekucyi wolno dłużnikowi podnieść w drodze skargi sprzeciw, oparty na tem, że egzekucya została bezprawnie wdrożona. Podobnem było postępowanie u innych szczepów, jednak gdzieniegdzie nie przechodziły zajęte rzeczy na własność wierzyciela, tylko w zastaw, a dłużnikowi służyło prawo wykupu w czasokresie ustawą zakreślonym.

Egzekucya na nieruchomościach[1].

Z postępowania przeciw opornemu, z missio in bannum, wy-

[1] Najdawniejsze prawo germańskie nie znało wcale egzekucyi na nieruchomościach. Widzimy to w Lex Salica LVIII, De chrenecruda (Behrend str. 121—123). Jeżeli zabójca nie miał ruchomości na zapłacenie głowszczyzny i jeżeli także najbliżsi krewni nie mieli z czego zapłacić tej kary pieniężnej, wtedy nie przystępowano do egzekucyi na nieruchomościach, lecz zabójca popadał we

tworzyła się egzekucya na nieruchomościach. Ślady jej znajdujemy już w źródłach z drugiej połowy ósmego wieku. Zajęcie, czy to prywatne, czy sądowe, mogło objąć tylko ruchomości, a zaspokojenie z nieruchomości było możliwe tylko w razie banicyi, bo wtedy ulegał konfiskacie tak majątek ruchomy, jak nieruchomy i przypadał królowi lub gminie, którzy z niego zaspokajali wierzyciela [1]. Pierwszym krokiem postępu było ograniczenie banicyi na razie do majątku całego, ruchomego i nieruchomego, z pozostawieniem nienaruszonej samej osoby dłużnika (vorbannus); rok i dzień czasu ma dłużnik do uchylenia banicyi majątkowej przez zapłacenie długu i kar, w jakie popadł. Po upływie tego czasu następuje stanowcza konfiskata i zaspokojenie wierzyciela, przyczem resztę, jaka po zaspokojeniu pozostawała, otrzymywało państwo lub król, nigdy sam dłużnik. Dalszym krokiem w historycznym rozwoju jest wyodrębnienie egzekucyi na nieruchomościach jako osobnego środka egzekucyi, toczącego się we formach takich samych, jak przedtem banicya majątkowa. Zajęcie nieruchomości odbywa się symbolicznie przez umieszczenie na nich znaku (wiffare), a sposobem spieniężenia jest sprzedaż [2].

Egzekucya roszczeń o wydanie ruchomości lub nieruchomości.

Jeżeli przegrywający nie dopełnił wydania zaraz po wyroku, musiał pod zwyczajnym rygorem dać zabezpieczenie dopełnienia, mianowicie przyrzeczenie dopełnienia wyroku ze strony ręczycieli, którzy potem przy oddaniu byli obecni, a w razie potrzeby sami oddanie uskuteczniali [3].

II. Egzekucya wedle prawa, zawartego w źwierciadle saskiem, szwabskiem i niemieckiem.

Charakterystyka.

Planck [4] tak charakteryzuje egzekucyę tej epoki: »Der Be-

władzę tego, komu miał głowszczyznę zapłacić. Dopiero ustawodawstwo karolińskie wprowadziło egzekucyę na nieruchomościach.

[1] Prawne zabytki, które wskazują drogę tego rozwoju, szkicuje krótko Brunner II. str. 452, 453.

[2] Źródłowe przepisy przytacza Walter II. str. 346 uw. 9. 10. 11.

[3] Akty sądowe, z których wynika, że taki był przebieg egzekucyi, podaje Buchner, Das öffentliche Gerichtsverfahren in bürgerlichen und peinlichen Rechtsvorfallenheiten nach altdeutscher vorzüglich altbairischer Rechtspflege (1825), str. 303—310.

[4] II. str. 236.

rechtigte selbst ist es, der den Zwang ausübt, aber mit Erlaubnis des Richters. Der vom Berechtigten ausgehende Zwang ist nicht Selbsthilfe in dem Sinn, dass Voraussetzung, Art, Mass und Form des Zwangs seinem Belieben und seinem Ermessen überlassen wäre; wohl aber in dem Sinn, dass er selbst den durch die Rechtsordnung festgestellten Zwang ausführt unter Aufsicht des Richters. Er handelt nicht im Auftrag des Richters, sondern aus eigenem Recht mit Erlaubnis des Richters«. Mimo tego ogólnego charakterystycznego rysu egzekucyi tych czasów spotykamy w niektórych przypadkach egzekucyę zastrzeżoną sądowi, a z biegiem czasu stale wzrasta działalność sądu i maleje prywatna czynność stron. Myślą zasadniczą jest nadal wywarcie przymusu na wolę dłużnika, a więc egzekucya osobista, ale dążność zastąpienia celu zemsty realnym celem zaspokojenia wciąż się rozwija, ograniczając egzekucyę osobistą do przypadków, kiedy egzekucya majątkowa nie wystarcza. W egzekucyi majątkowej spotykamy wprawdzie jako myśl przewodnią dawny cel zemsty, karę, ale obok tego i to przeważnie, występuje w innych przypadkach jako jedyny cel egzekucyi zaspokojenie wierzyciela.

Przedstawienie[1].

Tytułem egzekucyi jest wyrok lub sądownie stwierdzone nieposłuszeństwo pozwanego. Dawniejsza zasada, że dłużnik winien po wyroku dać przyrzeczenie dopełnienia wyroku, żyje nadal w tej formie, że powodowi służy prawo żądania, by pozwany po wyroku zabezpieczył dopełnienie swego obowiązku, gdyby zaś dłużnik tego uczynić nie chciał lub nie mógł, ma wierzyciel prawo domagać się aresztu na osobie dłużnika. Tak więc egzekucya osobista jest głównym, właściwym środkiem przymusowym, egzekucya majątkowa tylko jej surrogatem. Sposób zabezpieczenia obowiązku przez pozwanego zależy w pierwszym rzędzie od porozumienia stron, ale przewidziane są rodzaje zabezpieczeń, które wierzyciel musi przyjąć, n. p. zastaw ruchomy ręczycieli mających odpowiednie nieruchomości i t. p. Dłużnik, który sam posiada dostateczną nieruchomość, jest zupełnie wolny od obowiązku zabezpieczenia. Jeżeli nie zachodzi żaden z przypadków uwalniających, musi dłużnik dać zabezpieczenie, inaczej popada w areszt. Wypuszczenie dłużnika

[1] Por. z polskich autorów Dąbkowski, Prawo zastawu w źwierciadłach saskiem, szwabskiem i niemieckiem, str. 40, 63 i n.

z aresztu nie jest równoznaczne z uwolnieniem go od egzekucyi, owszem wierzyciel może go każdej chwili znowu wziąć w areszt. W sprawach małej wartości musi wierzyciel wedle niektórych praw dłużnika z aresztu uwolnić. Jeżeli dłużnik w czasokresie, zakreślonym ustawą, nie dopełnia obowiązku, poszukuje wierzyciel swych praw na danem zabezpieczeniu, jeżeli zaś zabezpieczenia nie było, może prowadzić egzekucyę bądź przeciw osobie, bądź przeciw majątkowi dłużnika.

Egzekucya osobista.

Jeżeli dłużnik w dniu wyroku nie dał zabezpieczenia, otrzymuje wierzyciel od sądu pozwolenie przyaresztowania go, lecz areszt ma na razie tylko charakter zabezpieczenia i dopiero w przypadku nieuiszczenia długu w dniu płatności staje się na mocy przyznania sądowego aresztem egzekucyjnym. Także wtedy, kiedy aresztu zabezpieczającego nie było, może wierzyciel, jeżeli dłużnik wyroku na czas nie dopełni, egzekwować jego dopełnienie zapomocą aresztu na osobie. Ten środek służył mu także, jeżeli egzekucya majątkowa nie dała mu wcale żadnego lub nie dała mu zupełnego zaspokojenia. W każdym z tych przypadków zaczyna się areszt tem, że wierzyciel otrzymuje sądowe upoważnienie wzięcia dłużnika w areszt i trzymania go w swej władzy aż do zapłaty długu.

Areszt osobisty jest równocześnie służalstwem za długi. Wierzyciel może zmusić dłużnika do pracy, trzymać w zamknięciu, w razie potrzeby nałożyć mu więzy, lecz musi z nim postępować po ludzku, tak że ustawy nawet szczegóły tego postępowania normują [1]. Złagodzenie w późniejszych czasach polega przedewszystkiem na tem, że dłużnik nie daje swej pracy darmo, lecz odsłuża nią swój dług, a w niektórych prawach w ogóle przymus pracy jest uchylony. W dalszym rozwoju ustaje więzienie w domu wierzyciela, a jego miejsce zajmuje areszt publiczny. Areszt był co do czasu nieograniczony, tak że nawet uwolnienie dłużnika przez wierzyciela nie niszczyło prawa wzięcia dłużnika każdej chwili znowu w areszt [2].

---

[1] Charakter aresztu za długi jako zemsty zatrzymuje wyraźnie Bamberger Stadtrecht § 256. Reprodukując treść tego przepisu, powiada Walter II. str. 349: »So lange er dieses war (w areszcie), musste er am rechten Bein baarschenkel und barfuss gehen und nicht längere Kleider als bis auf die Knie tragen«.

[2] Jeżeli wierzyciel nie chciał trzymać dłużnika w areszcie, mógł od niego

Egzekucya majątkowa [1].

Zajęcie ruchomości uskutecznia sługa sądowy na polecenie sądu i bierze je w przechowanie. Potem następuje wedle niektórych praw trzykrotne publiczne ogłoszenie (Aufbieten des Pfandes) w tym celu, by trzecie osoby mogły zgłosić swe prawa i by dłużnik mógł zajęte ruchomości wykupić. Jeżeli dłużnik w tym czasie długu nie zaspokoił, następowało spieniężenie, z reguły przez sługę sadowego, w niektórych miastach przez samego wierzyciela. Sposobem spieniężenia jest danie w zastaw, a gdyby to nie dawało pokrycia, sprzedaż. Tą samą drogą odbywało się zajęcie i sprzedaż wierzytelności.

Sprzedaż nieruchomości, Frohnung, ma za cel, bądź wywrzeć na dłużniku przymus przez surowość skutków, które są poniekąd karą, bądź zaspokoić wierzyciela. Zaczyna się zajęciem nieruchomości, które uskutecznia sługa sądowy przez umieszczenie na niej, zwykle na bramie, pęku słomy (wifa), rękawiczki lub krzyża dla uwidocznienia na zewnątrz, że nieruchomość jest w egzekucyi. Skutki zajęcia polegają bądź na faktycznem natychmiastowem przeniesieniu posiadania na wierzyciela z tym rygorem, że po upływie 1 roku i 1 dnia nabywa wierzyciel prawo przyznania mu nieruchomości na własność, bądź tylko na samem prawnem zagrożeniu, że dłużnik, choć mu wolno na razie dalej samemu posiadanie nieruchomości wykonywać, po upływie roku i dnia tę nieruchomość utraci. Drugiem stadyum jest pozbawienie dłużnika nieruchomości, Aberkennung des Gutes, co, jak wspomniałem, następuje po upływie roku i dnia. Wedle prawa lennego nabywa pan lenny całe lenno, choćby jego wartość była większą od wysokości długu; z przypadłego na jego rzecz lenna, ma pan lenny dług zaspokoić, o ile wartość lenna na to wystarcza. Wedle prawa ziemskiego (Landrecht) przypada nieruchomość ustawowym dziedzicom, którzy z jej wartości zaspokajają wierzyciela; gdyby do 1 roku i 1 dnia nieru-

---

żądać przysięgi, że mu ze swego zarobku odda wszystko, co mu ponad niezbędne utrzymanie zbywać będzie.

[1] Porządek egzekucyi majątkowej jest ściśle oznaczony. W pierwszym rzędzie należy egzekucyę prowadzić na ruchomościach i to na rzeczach nieżyjących, jeżeli zaś te nie wystarczają, na dobytku żyjącym. Skoro egzekucya mobilarna nie dała zaspokojenia, wolno przystąpić do egzekucyi na nieruchomościach, mianowicie przedewszystkiem na owocach, a dopiero w ostatnim rzędzie na samej substancyi. Por. Engelmann str. 74; Meibom str. 57.

chomości nie objęli, staje się ona rzeczą bez właściciela i zabiera ją sąd, który ją sprzedaje i z ceny kupna zaspokaja wierzyciela, a resztę wydaje wójtowi. Tu ma egzekucya, jak widzimy, cel przymusu, a w razie dalszego oporu, cel kary, bo nie ogranicza się ona do zaspokojenia wierzyciela, lecz za karę pozbawia dłużnika całej nieruchomości.

Wedle innych praw, głównie w miastach, dokonuje zajęcia nieruchomości sam wierzyciel i sam obejmuje posiadanie. Trzykrotnie co 14 dni ma nieruchomść sądownie do wykupu ofiarować, poczem przypada ona jemu z tem, że może ją sobie zatrzymać tylko wtedy, jeżeli jej wartość nie przewyższa jego wierzytelności, natomiast w przypadku, jeżeli ta wartość jest wyższa, musi nieruchomość sprzedać, a nadwyżkę zwrócić dłużnikowi. Gdyby wierzyciel, któremu nieruchomość przypada, chciał ze względu na niską wartość nieruchomości dochodzić w drodze egzekucyi reszty, t. j. wartością nieruchomości nie pokrytej części swej .wierzytelności, musi nieruchomość sprzedać i dopiero wtedy może niedoboru dochodzić egzekucyjnie. Myślą tego postępowania jest, jak z przedstawionego przebiegu wynika, wyłącznie cel zaspokojenia wierzyciela.

Egzekucya roszczeń o wydanie rzeczy ruchomych lub nieruchomych odbywała się sądownie w ten sposób, że sąd odbiera rzecz dłużnikowi i oddaje ją fizycznie lub symbolicznie wierzycielowi, zapewniając mu równocześnie pokój (Friedenwirken), co miało ten skutek, że przeciwnik, naruszający go w posiadaniu, ulega karom.

Egzekucya roszczeń o świadczenia osobiste lub zaniechania była także w tej epoce dopuszczalna, a wykonywał ją sąd przez nakładanie grzywien lub użycie przemocy.

III. Tymczasowe zarządzenia w prawie germańskiem.

Charakterystyka.

Tymczasowe zarządzenia w prawie niemieckiem mają swe źródło powstania w egzekucyi. Skoro prowadzenie natychmiastowej egzekucyi jest jeszcze niemożliwe, a zachodzi konieczność zabezpieczenia przyszłej egzekucyi, nabywa wierzyciel prawo do »aresztu«, czyli wedle dzisiejszej terminologii do tymczasowego zarządzenia.

Meibom tak charakteryzuje ten areszt:

»Was den Arrest zur Sicherstellung von Forderungsrechten betrifft, so ist ein Zusammenhang desselben mit der Exekution schon

deshalb wahrscheinlich, weil für beide die Bezeichnung Pfändung gebraucht wird. Und eine nähere Betrachtung ergiebt, dass in der Tat der Arrest nichts anderes, als ein Akt der Exekution und dass das Arrestverfahren aus dem Exekutionsverfahren hervorgegangen ist« [1].

»Den Arrest von der Exekution zu unterscheiden war nur da ein Anlass gegeben, wo er nicht, wie im gewöhnlichen Verfahren, unmittelbar zu der Befriedigung des Glaubigers hin leitete, sondern von den hierauf bezüglichen Handlungen durch ein inzwischen stattfindendes Verfahren getrennt war« [2].

Przedstawienie.

Przewodnią myślą źródłowych postanowień o areszcie jest zasada, że areszt (tymczasowe zarządzenie) jest dopuszczalny tylko pod warunkiem, że istnieje materyalne prawo, dla którego strona żąda aresztu i że zachodzi obawa utrudnienia przyszłego dochodzenia prawa. Jest to jednak zasada, która da się wysnuć dopiero ze zestawienia i porównania ze sobą wszystkich postanowień źródłowych, bo niektóre z tych przepisów wcale o takich wymogach nie wspominają, i tylko ogólnikowo nadają powodowi prawo do aresztu na osobie lub majątku, a dopiero z innych postanowień wynika, że przecież zasadniczą myślą jest konieczność zabezpieczenia z powodu obawy o przyszłość. Tak n. p. ustanowienie wyjątku, że posiadacze nieruchomości są wolni od aresztu na ich osobie lub majątku, wskazuje, że inni dlatego aresztowi podpadają, ponieważ co do nich ze względu na ich osobę lub ich stosunki majątkowe brak rękojmi, iż swego obowiązku na czas dopełnią.

Areszt dla zabezpieczenia roszczeń [3] był dopuszczalny tylko wtedy, jeżeli zachodziła obawa utrudnienia lub udaremnienia przyszłego dochodzenia prawa. Przeciw obecnemu, mającemu dostateczny majątek nieruchomy, nie wolno wykonywać aresztu, chybą że zachodzi obawa niewypłacalności; przeciw innym jest areszt dopuszczalny wtedy, jeżeli ich osobiste stosunki uzasadniają obawę o przyszłość. Tu należy przypadek, jeżeli majątek małoletniego jest narażony na niebezpieczeństwo, bo nie ma ustanowionego opiekuna; tu także przypadek, jeżeli zachodzi podejrzenie, że dłużnik chce

---

[1] Str. 148.

[2] Str. 148 i 149.

[3] Od aresztu, mającego na celu zabezpieczenie roszczenia, należy odróżnić areszt dla zabezpieczenia jawienia się w sądzie w celu umożliwienia rozpoczęcia procesu. Por. Meibom str. 151—156; Planck II. str. 358—366.

uciec lub ze szkodą swych wierzycieli pozbyć się swego majątku. Przeciw obcym, to jest tym, którzy w okręgu danego sądu nie mieszkają, jest areszt zawsze dozwolony, nawet gdyby nie zachodziła obawa ich nierzetelnego postępowania. Czy te warunki zachodzą, winien powód sam ocenić. Sąd ich nie bada, lecz działa bez osobnych dochodzeń wprost na żądanie powoda, który w razie braku warunków sam jest za to odpowiedzialny.

Sposobami zabezpieczenia są:

a) przytrzymanie osoby, w razie potrzeby bez poprzedniego zezwolenia sądu przez samego wierzyciela w obecności świadków; jeżeli niema niebezpieczeństwa, za zezwoleniem sądu i współudziałem sługi sądowego. Jeżeli przytrzymany nie dał zabezpieczenia (z reguły ręczyciela), pozostawał w areszcie;

b) przytrzymanie majątku, które również wymagało poprzedniego zezwolenia sądu, jeżeli zaś niema czasu na zasięgnięcie tego zezwolenia, przynajmniej ingerencyi sługi sądowego, tak że tylko tam, gdzie zwłoka zagrażała niebezpieczeństwem, wolno było wierzycielowi samemu w obecności świadków dokonać tego przytrzymania majątku. Ruchomości, wierzytelności i nieruchomości aresztuje się z reguły w ten sposób, że sąd wydaje dłużnikowi zakaz rozporządzania, względnie zakazuje osobom trzecim wydawać lub płacić do rąk dłużnika. W niektórych razach bierze sąd rzeczy dłużnika w przechowanie lub oddaje je powodowi w posiadanie. Porządek środków zabezpieczających jest taki sam, jak w egzekucyi, a więc regułą jest przytrzymanie osoby; dłużnik uwalnia się od aresztu osobistego przez danie zabezpieczenia majątkowego. Przeciw majątkowi zwracają się środki zabezpieczające dopiero wtedy, jeżeli ich na osobie wykonać nie można, a więc przeciw nieobecnemu lub zmarłemu.

»Dy besatzunge des richters ist eyn begin der clage« [1], zatem prośba o areszt jest początkiem procesu. Jeżeli areszt został wykonany dla zabezpieczenia roszczeń powoda [2], trwa do wyroku, a potem w razie pomyślnego wyroku przechodzi w egzekucyę na przedmiocie zabezpieczenia, a więc w razie zabezpieczającego aresztu na

[1] Das alte Kulmische Recht (Leman 1838) II. 47, podobnie Das Magdeburg-Breslauer systematische Schöffenrecht (Laband 1863) II. 2, 31.

[2] Jeżeli zabezpieczenie miało przeciwnika spowodować do jawienia się w sądzie i on istotnie się zjawił, staje się zabezpieczenie wolnem.

osobie zaczyna się areszt za długi, w razie zabezpieczenia przez areszt przedmiotów majątkowych zaczyna się egzekucya majątkowa.

§ 5. Proces rzymsko-kanoniczny.

Jak wiadomo, dokonała się w Niemczech w XV i XVI wieku stopniowo recepcya prawa rzymskiego, ale nie w jego czystej formie, nie w brzmieniu, jakie ono miało w prawie justyniańskiem, lecz z temi zmianami, jakim ono uległo pod wpływem szkół prawniczych włoskich w średnich wiekach. Ten proces rzymsko-kanoniczny jest tworem pierwiastków germańskich i rzymskich. Proces włoski z początku wieków średnich daje nam obraz pierwszego zetknięcia się prawa rzymskiego z germańskiem. Ludność miejscowa żyje dalej prawem rzymskiem, ale posługuje się raczej tradycyą, niż prawem pisanem i dlatego wobec napływu ludności germańskiej zaczyna znaczenie prawa germańskiego rosnąć, a nawet z czasem brać górę. W Longobardii, gdzie wpływ germańskiego prawa jest większy, jest prawo w owym czasie obowiązujące w swej istocie prawem germańskiem z pewną przymieszką prawa rzymskiego; natomiast w Romanii, gdzie wpływ germański jest mniejszy, przeważają pierwiastki procesu rzymskiego, a z prawa germańskiego spotykamy zaledwie nieznaczne ślady. Od XI wieku począwszy zaczyna się wzmaganie wpływu prawa rzymskiego, w czem główną rolę odgrywają szkoły prawnicze. Szkoła w Padwie uczy początkowo tylko prawa longobardzkiego, a rzymskiem posługuje się jedynie dla wyjaśnienia i uzupełnienia, lecz już z końcem XI wieku uznają komentarze prawa longobardzkiego prawo rzymskie za lex omnium generalis. Wpłynęło na to niewątpliwie utworzenie cesarstwa niemieckiego, bo cesarze niemieccy tytułowali się także cesarzami rzymskimi, więc prawo rzymskie było także ich prawem. Doniosłe znaczenie miał dalej fakt, że w XII wieku uzyskała naukową przewagę szkoła w Bolonii, która za podstawę wykładu brała prawo w Romanii obowiązujące. Nie mniej ważnem było rozszerzenie się wpływu kościoła i jego sądownictwa. Kościół żył prawem rzymskiem, ale je swemi ustawami zmieniał, przyczem idąc za ogólnym prądem, wnosi do prawa rzymskiego wiele pierwiastków prawa germańskiego. Rozciągnięcie wpływu kościoła na sprawy świeckie powoduje nie tylko rozumienie prawa rzymskiego w duchu interpretacyi kościoła, ale i wprost posługiwanie się ustawowymi przepisami kościoła. Wpływ na prawo kościelne i naukę szkół wywie-

rują od XIV wieku także statuty miast włoskich, powstałe również pod wpływem prawa rzymskiego i germańskiego [1].

Charakterystyka.

Egzekucya w prawie longobardzkiem [2] zatrzymuje wybitną cechę egzekucyi praw germańskich. Obok prywatnego zajęcia spotykamy egzekucyę sądową, zawsze zaś do rozpoczęcia egzekucyi potrzeba przyrzeczenia dopełnienia wyroku. Przewodnią myślą egzekucyi jest raczej przymus osobisty i zemsta, niż cel najszybszego zaspokojenia. W prawie Romanii [3] znikają te cechy i egzekucya przybiera niemal zupełnie wszystkie zasadnicze myśli egzekucyi w prawie justyniańskiem, a z rozszerzeniem się znaczenia prawa rzymskiego i wpływu kościoła nie pozostają z czasem także w Lombardyi prawie żadne ślady z dawnej egzekucyi germańskiej.

Przedstawienie egzekucyi w procesie rzymsko-kanonicznym [4].

Egzekucya w procesie rzymsko-kanonicznym spoczywa wyłącznie w rękach sędziego; wykonuje ją sędzia, który wydał wyrok, judex ordinarius. Podstawą, to znaczy tytułem egzekucyi może być tylko prawomocny wyrok, który staje się wykonalnym po upływie czasokresu ustawą do dopełnienia obowiązku zakreślonego, mianowicie w odniesieniu do roszczeń rzeczowych po upływie 10 dni, gdy zaś idzie o roszczenia osobiste, po upływie 4 miesięcy.

Egzekucya roszczeń, mocą których uprawniony z jakiegobądź tytułu ma prawo do rzeczy (actio realis), odbywa się w ten sposób, że egzekutor na polecenie sądu odbiera dłużnikowi rzecz ru-

---

[1] Rozwoju prawa egzekucyjnego w statutach miast włoskich nie przedstawiam, bo prawo w tych statutach zawarte nie jest bezpośredniem ogniwem w rozwoju prawa rzymskiego i germańskiego, a cała jego doniosłość polega na oddziaływaniu na ewolucyę prawa rzymskiego w nauce włoskich szkół prawniczych, a tem samem na wytworzenie procesu rzymsko-kanonicznego. Cenną pracą dla poznania procesu włoskiego są dzieła: Ficker, Forschungen zur Reichs- und Rechtsgeschichte Italiens (1868); Wach, Der italienische Arrestprozess.

[2] Szczegóły u Bethmanna Hollwega V. str. 384 i n.

[3] Por. Bethmann Hollweg, str. 425 i n.

[4] Prawo egzekucyjne jest działem, którego kanoniści prawie nie dotykają i dlatego podstawę egzekucyi w procesie kanonicznym stanowi niemal wyłącznie prawo rzymskie, a zmiany, dokonane przez prawo kanoniczne, są bardzo szczupłe. Por. Endemann, Civilprozessverfahren nach der kanonistischen Lehre, Zeitschr. f. deutschen Civilprozess XV. str. 311. 316.

chomą lub nieruchomą, ewentualnie przy pomocy siły zbrojnej, i oddaje ją wierzycielowi. Wszystkie roszczenia, które nie podpadają pod actio realis, uważają kanoniści za actio personalis, a egzekucya tych roszczeń odbywa się in res condemnati z zachowaniem porządku przez prawo rzymskie ustanowionego, to znaczy, że egzekwuje się najpierw ruchomości, potem nieruchomości, a w ostatnim rzędzie wierzytelności i inne prawa majątkowe. Jeżeli egzekucya majątkowa nie doprowadza do zaspokojenia, ulega dłużnik aresztowi za długi. Egzekucya świadczeń osobistych odbywa się w ten sposób, że osoba trzecia spełnia tę czynność na koszt zobowiązanego, a wydatek ściąga się egzekucyjnie jako wierzytelność pieniężną.

Tymczasowe zarządzenia.

Tymczasowe zarządzenia, czyli tak zwany areszt ma swe źródło w prawie germańskiem. Prawo longobardzkie uznawało w szerokich rozmiarach zasądowe prywatne zajęcie. Wzmocnienie władzy państwowej wywołuje dążność zupełnego uchylenia tego prawa, ale silnie zakorzenione poczucie prawne i praktyka sądów stawiają temu opór. Ze zmagania się tych dwóch sił, z jednej strony poczucia prawnego i potrzeby prawnej, z drugiej strony dążności państwa do uchylenia prywatnego zajęcia, powstaje jako przeciętna ten rezultat, że prawo prywatnego zasądowego zajęcia utrzymało się nadal jedynie w tych przypadkach, w których natychmiastowe kroki egzekucyjne były konieczne ze względu na zachodzące niebezpieczeństwo. To prawo utrzymało się dalej tylko w złagodzonej formie: wierzyciel ma wprawdzie w razie niebezpieczeństwa prawo zasądowego prywatnego zajęcia, lecz stosownie do zasady, że egzekucya należy do sądu, musi swe kroki zaraz wobec sądu usprawiedliwić, a sąd po zbadaniu zatwierdza je lub uchyla. Dalszym postępem w historycznym rozwoju jest przekazanie sądowi całej działalności od początku do końca. Równolegle z tym rozwojem dokonuje się przemiana w prawnej doniosłości prywatnego zajęcia. Początkowo są sądowe kroki, które wierzyciel w razie niebezpieczeństwa spełnić może, początkiem egzekucyi. Z czasem pozwala ustawa na uchylenie wykonanych kroków, jeżeli przeciwnik da dostateczne zabezpieczenie, a to prowadzi w ostatecznym rozwoju do ustalenia charakteru aresztu jako kroku nie do stanowczej egzekucyi, lecz do zabezpieczenia roszczeń prowadzącego. Jak długo areszt był początkiem egzekucyi, łączył się z nim zaraz proces w sprawie głównej; z chwilą, gdy areszt miał doprowadzić tylko do zabezpieczenia,

ograniczyło się postępowanie, łączące się z aresztem, do zbadania jedynie słuszności samego aresztu. Tak powstał proces aresztowy obok procesu w sprawie głównej. Przedstawione tu postępowanie przeszło z praktyki sądów longobardzkich do nauki szkół prawniczych, które praktykę starały się usankcyonować słowami prawa rzymskiego i wtłoczyć w przepisy zbioru justyniańskiego. Tą drogą stał się areszt częścią procesu rzymsko-kanonicznego.

§ 6. Proces powszechny niemiecki.

Charakterystyka.

Proces powszechny niemiecki jest prawem, opartem na procesie rzymskim w tej jego formie, jaką mu nadał proces kanoniczny, zwany dlatego rzymsko-kanonicznym. To decyduje o charakterze egzekucyi: jest ona w głównych zasadach egzekucyą procesu kognicyjnego w prawie rzymskiem [1], bo prawo kanoniczne zawiera o egzekucyi bardzo nieliczne postanowienia, a także ustawodawstwo niemieckie po recepcyi żadnych zasadniczych zmian nie wprowadziło. Charakterystykę prawa egzekucyjnego w procesie powszechnym niemieckim możnaby ująć w następujące słowa: celem egzekucyi jest zaspokojenie roszczenia, rozpocząć postępowanie może tylko tytuł egzekucyjny w dzisiejszem pojęciu, cała czynność leży w rękach sądu.

Przedstawienie.

Tytułem egzekucyi są prawomocne wyroki [2] i akty na równi z wyrokami stojące, n. p. ugody sądowe [3].

---

[1] Dla przekonania się o tem wystarcza rzucić okiem na źródła prawa egzekucyjnego, które przytaczają autorowie, n. p. Osterloh, Lehrbuch des gemeinen deutschen ordentlichen Zivilprozesses 1856, II. str. 144 uw. 1 lub Wetzel, System des ordentlichen Zivilprozesses 3 wyd. (1878), str. 633 uw. *.

[2] Kontumacya, która w prawie rzymskiem uzasadniała kroki egzekucyjne, utraciła w procesie powszechnym niemieckim to znaczenie, bo wedle JRA. (Jüngster Reichs-Abschied) § 36 musiał mimo zaoczności zapaść po rozpatrzeniu sprawy wyrok końcowy, tak że w istocie nie kontumacya, lecz wyrok stanowił podstawę egzekucyi. Por. Bayer, Vorträge über den deutschen gemeinen ordentlichen Zivilprozess 10 wyd. (1869), str. 647 i n.; Heffter, System des römischen und deutschen Zivil-Prozessrechts, 2 wyd. (1843), str. 448; Renaud, Lehrbuch des gemeinen deutschen Zivilprozessrechts, 2 wyd. (1873), str. 480 i n.; Osterloh II. str. 70—75; Wetzel, str. 620 i n.

[3] W prawach partykularnych stanowiły tytuł egzekucyjny także instrumenta, quae paratam executionem habent, mianowicie dokumenty, sporządzone

Porządek dopuszczalnych środków egzekucyi roszczeń pieniężnych jest podobny, jak w prawie rzymskiem. W pierwszym rzędzie należy próbować zajęcia i sprzedaży ruchomości [1], pignoris capio; jeżeli ta egzekucya nie wystarcza, przystępuje się do egzekucyi na nieruchomościach; dopiero w ostatnim rzędzie wolno domagać się egzekucyi na wierzytelnościach i innych prawach majątkowych. Tylko tam, gdzie idzie o małoletnich, jest porządek nieco inny: po egzekucyi na ruchomościach idzie egzekucya na wierzytelnościach, a dopiero potem na nieruchomościach.

Egzekucya na ruchomościach odbywa się w ten sposób [2], że sługa sądowy bierze ruchomości w sądowe przechowanie i po upływie 60 dni sprzedaje. W razie egzekucyi na nieruchomościach uzyskuje wierzyciel posiadanie, ale sprzedaż uskutecznia po 60 dniach nie wierzyciel, lecz sędzia w drodze licytacyi; w braku odpowiedniej oferty może wierzyciel prosić o przyznanie mu nieruchomości na własność, co ma skutek pokrycia całej wierzytelności bez względu na to, czy jej kwota jest wyższa, czy niższa od wartości przedmiotu egzekucyi. Egzekucyę na wierzytelnościach wdraża się zakazem, wydanym przez sąd osobie trzeciej, by do rąk zobowiązanego zapłaty nie uskuteczniała. Dalszy postęp egzekucyi jest prawnie dożwolony tylko wtedy, jeżeli osoba trzecia uznaje swój dług wobec zobowiązanego. Sposobem spieniężenia jest ściągnięcie przez osobę do tego ustanowioną lub sprzedaż. Inne prawa majątkowe, jak n. p. prawo użytkowania, renty, pensye i t. p. spienięża się bądź przez wydzierżawienie, bądź przez sekwestracyę, to znaczy ustanowienie zarządcy, który dochody pobiera i w sądzie składa, a za swą czynność otrzymuje wynagrodzenie.

Egzekucya osobista we formie służalstwa za długi, a następnie w złagodzonej formie jako areszt za długi, utrzymała się w procesie powszechnym niemieckim i po recepcyi, ale tylko jako ostateczny środek egzekucyjny, gdy egzekucya majątkowa zawiodła. W po-

---

przed sądem lub przed notaryuszem pod warunkiem, że dokumentowi nadano wyraźnie moc egzekucyjności.

[1] W użyciu było także »Einlegung der Wache«, a więc zakwaterowanie u dłużnika i na jego koszt żołnierzy lub egzekutorów. Bayer, str. 1108 i 1109; Osterloh II. str. 153 i 154.

[2] Podobnie jak w prawie kanonicznem może być wniosek o wdrożenie egzekucyi postawiony we formie skargi, actio iudicati, lub zwyczajnego podania. Osterloh II. str. 148 i 149.

łowie XVIII wieku zniesiono areszt za długi i tylko wyjątkowo był areszt za długi nadal dopuszczalny dla egzekucyi roszczeń wekslowych, aż wreszcie w XIX stuleciu i to przez pozytywne ustawodawstwo uchylone zostało.

Egzekucyę roszczeń o wydanie rzeczy ruchomych lub nieruchomych (exhibere, restituere, tradere, dare) dokonuje sąd przez odebranie rzeczy zobowiązanemu i wydanie ich wierzycielowi. Roszczenia, z mocy których zobowiązany winien spełnić czynność, którą z równym skutkiem ktoś inny uskutecznić może, egzekwuje się w ten sposób, że egzekwujący wierzyciel uzyskuje od sądu pozwolenie spełnienia samemu tej czynności lub zlecenia jej osobie trzeciej, a wydatek po odpowiedniej likwidacyi egzekwuje się jak zwyczajną wierzytelność pieniężną. Egzekucya takich czynności czysto osobistych, których nikt inny za dłużnika spełnić nie może, odbywa się przez zakwaterowanie warty albo kary pieniężne lub kary aresztu, a jeśli to nie doprowadza do zaspokojenia, może wierzyciel po poprzedniem postępowaniu likwidacyjnem uzyskać egzekucyę odszkodowania pieniężnego. Jeżeli świadczenie polegać ma na zaniechaniu, natenczas wyrok ustanawia już z góry karę, którą zagraża zobowiązanemu na przypadek, gdyby dopuścił się czynności niezgodnej z owym obowiązkiem zaniechania; w razie działania wbrew zakazowi może wierzyciel żądać nałożenia kary we wyroku zagrożonej (declaratio poenae), dalszego zagrożenia nową karą i kaucyi, mającej zabezpieczyć przed przyszłemi naruszeniami (cautio de non amplius turbando, impediendo).

W prawie rzymskiem w ogóle, nawet w jego ostatecznym rozwoju, był zakres instytucyi, które możnaby stawiać na równi z dzisiejszemi tymczasowemi zarządzeniami, bardzo szczupły. Powstanie tymczasowych zarządzeń i ich rozwój w normalną instytucyę prawną zawdzięczamy prawu niemieckiemu. Proces powszechny niemiecki przyjmuje w tym kierunku spuściznę po procesie niemieckim wieków średnich, stara się jednak instytucye wytworzone przez prawo rodzime niemieckie, wtłoczyć w słowa prawa rzymskiego [1], w instytucyę kaucyi iudicatum solvi [2].

---

[1] Całkiem jasno widzimy to n. p. u Bayera str. 92 i n.

[2] Inne z prawa rzymskiego przejęte zabezpieczenia, jak cautio pro expensis, cautio de lite prosequenda i t. p. mają zupełnie inne znaczenie i nie zostają w związku z dzisiejszą instytucyą tymczasowych zarządzeń.

Proces powszechny niemiecki odróżnia środki zabezpieczenia, których powód domaga się równocześnie ze skargą lub w toku procesu, od tych, o które prosi przed wniesieniem skargi. Pierwsze uważają i w teoryi i w praktyce za rzymskie kaucye iudicatum solvi, drugie za samoistną instytucyę aresztu (majątkowego lub osobistego). Mimo różnicy w nazwach nie różnią się obie te instytucye co do warunków, wśród których tymczasowe zarządzenia, a więc kaucya (w toku procesu) lub areszt (przed procesem) są dopuszczalne, lecz tylko co do formalnego postępowania. Żądanie kaucyi rozpoczyna postępowanie wpadkowe w toczącym się procesie, żądanie aresztu daje początek osobnemu postępowaniu aresztowemu (Arrestprozess), zaliczanemu do procesów sumarycznych. Zasadniczej różnicy między temi dwiema instytucyami niema także co do rodzaju zabezpieczenia, jakie one dają: jeżeli kaucyi iudicatum solvi pozwany dobrowolnie nie daje, następuje jej egzekucyjne urzeczywistnienie, a znowu przy areszcie może strona od już zarządzonych kroków egzekucyjnych uwolnić się przez danie kaucyi [1].

Warunkiem, od którego zależy dopuszczalność tak kaucyi, jak aresztu [2], jest istnienie roszczenia i obawa, że egzekucya przyszłego wyroku może być utrudniona lub udaremniona z powodów, zachodzących w osobie lub dotyczących majątku przeciwnika.

Postępowanie, prowadzące do złożenia kaucyi, jest następujące: Powód, który w toku procesu chce uzyskać kaucyę judicatum solvi, musi podać odpowiedni wniosek, zawierający wyraźne żądanie, dalej przedstawienie faktycznych stosunków, uzasadniających to żądanie kaucyi, w końcu uprawdopodobnienie przytoczonych faktów. Po sumarycznej rozprawie nad dopuszczalnością żądanej kaucyi, oraz nad jej jakością i wysokością, następuje orzeczenie sądu, przeciw któremu służą zwyczajne środki prawne. Jakość zabezpieczenia zależy przedewszystkiem od porozumienia się stron. Sposobami zabezpieczenia są: danie ręczycieli, ustanowienie zastawu,

[1] Autorowie procesu powszechnego niemieckiego stwierdzają wyraźnie, że nieposłuszeństwo pozwanego »hinsichtlich der ihm obliegenden Sicherheitsbestellung Arrestanlage zur Folge haben kann« (Renaud str. 143; Wetzel str. 322. 323), a z drugiej strony »als Mittel, die Relaxation des Arrestes zu erwirken, die cautio iudicatum solvi von jeher vorkommt« (Wetzel str. 318 uw. 60; Heffter str. 493).

[2] Por. warunki kaucyi u Wetzla str. 139: »fugae suspectus, Fremder, alienationis suspectus« i t. p. z warunkami aresztu u Hefftera str. 491 i 492.

złożenie rzeczy lub pieniędzy w sądzie (cautio realis), a jeżeli strona nie jest w stanie dać kaucyi realnej złożenie przysięgi przyrzekającej (cautio verbalis). Wolni są od obowiązku dania kaucyi: gminy, fiskus i osoby prywatne, które w okręgu sądowym mają nieruchomość wystarczającą na zaspokojenie. Odmówienie kaucyi powoduje egzekucyjne ściągnięcie jej środkami egzekucyi majątkowej na ruchomościach, nieruchomościach, wierzytelnościach i innych prawach majątkowych w takim porządku i w taki sposób, jak w egzekucyi dla zaspokojenia. Gdy środki egzekucyi majątkowej nie wystarczają, wolno sięgnąć do środka egzekucyi osobistej.

Podobnem było postępowanie, zmierzające do udzielenia zabezpieczenia zapomocą aresztu. Jeżeli przed rozpoczęciem procesu zachodzą warunki uzasadniające tymczasowe zarządzenie, może je strona uzyskać w drodze procesu aresztowego. Postępowanie rozpoczyna się podaniem, w którem strona przedstawia swe roszczenie i zachodzące niebezpieczeństwo (iustam causam arresti), oraz uprawdopodobnia te momenty. Sędzia bada to podanie jednostronnie, to jest na razie bez przesłuchania przeciwnika. Jeżeli ma wątpliwości, może dozwolenie aresztu uczynić zależne od złożenia kaucyi przez proszącego, jeżeli zaś podanie jest zupełnie uzasadnione, dozwala areszt i zarządza jego wykonanie, a więc urzeczywistnienie zabezpieczenia środkami egzekucyi majątkowej w jej przepisanym porządku, w ostatnim rzędzie środkiem aresztu osobistego. Równocześnie z dozwoleniem aresztu zarządza sąd dwustronną rozprawę, po której następuje wyrok potwierdzający lub uchylający areszt. Sprawy głównej w tem postępowaniu zupełnie nie rozpatruje się, jednak wniesienie skargi głównej jest warunkiem dalszego trwania dozwolonego aresztu. Nieprawny areszt uzasadnia obowiązek odszkodowania [1].

[1] Wspomnieć należy, że analogicznie do dziś w § 458 austr. proc. cyw. z urzędu dozwolonych tymczasowych zarządzeń, były takie zarządzenia z urzędu dopuszczalne także i w powszechnym procesie niemieckim. Osterloh I. str. 292 powiada: »Im Falle der Gefährdung des Gemeinwohls sind die Gerichte befugt ohne Präjudiz für die künftige Entscheidung, von Amstwegen provisorische Verfügungen, decreta provisoria, interimistica, zu erlassen«. Dodać należy. że K. G. O. z r. 1555 II. 21 § 3, normujący dopuszczalność tymczasowych zarządzeń z urzędu, odnosi je — tak jak i dzisiejszy § 458 austr. proc. cyw. — do stosunków z posiadania wynikających. Por. Wetzel str. 324—326.

Rozdział II.

§ 7. Wnioski.

I. Przewodnie myśli historycznego rozwoju prawa egzekucyjnego występują jasno w ewolucyi prawa rzymskiego i niemieckiego. Wedle pojęć Rzymian i Germanów w pierwszych początkach znanych nam czasów historycznych uchodzi każde naruszenie prawa jednostki za bezprawie bez względu na to, czy ten kto naruszenia prawa dopuścił się, działał w złej wierze, czy tylko nie dołożył należytej uwagi, a nawet i wtedy, gdy nie ponosi żadnej winy lub wprost poczynił wszelkie kroki, by prawo przeciwnika zaspokoić, a tylko z braku funduszów lub innych przeszkód nie jest w stanie dopełnić swego obowiązku. Zewnętrzny skutek wystarcza. Każdy zewnętrzny stan rzeczy niezgodny z prawem jednostki uważa ówczesne społeczeństwo za bezprawie wymagające kary. Kara zwraca się zawsze przeciw osobie, to też egzekucya najdawniejszych czasów tak u Rzymian (legis actio per manus iniectionem), jak u Germanów (Acht) jest egzekucyą przeciw osobie, a celem jej zemsta, prowadząca do zniszczenia osoby dłużnika przez zabicie lub sprzedaż trans Tiberim w prawie rzymskiem, a wyjęcie z pod prawa w prawie germańskiem. Wykonanie egzekucyi leży w tych czasach w rękach samej pokrzywdzonej jednostki, której w razie potrzeby spieszą inni członkowie gminy z pomocą. Z wzmocnieniem władzy państwowej przechodzą najpierw poszczególne akty, potem całe stadya egzekucyjne w ręce sądu, tak że z czasem egzekucya staje się postępowaniem wyłącznie sądowem. W parze z tą przemianą idzie złagodzenie charakteru egzekucyi. Łatwo zrozumieć, że jak długo organem wykonującym jest sam wierzyciel, tak długo ten organ, sam w swej sprawie interesowany, odczuwa każdy stan rzeczy niezgodny z jego prawem, jako osobistą krzywdę, jako bezprawie i chce na przeciwniku wywrzeć zemstę. Dopiero z chwilą, gdy egzekucya przechodzi w ręce sądu, a więc czynnika nieinteresowanego, następuje zmiana poglądów i w miejsce kary, zemsty, wchodzi jako przewodnia myśl całej egzekucyi cel zaspokojenia wierzyciela. Złagodzenie charakteru egzekucyi polega w pierwszym rzędzie na ograniczeniu egzekucyi osobistej i skierowaniu kroków egzekucyjnych przeciw majątkowi dłużnika. Egzekucya majątkowa obejmuje początkowo cały majątek i dopiero z czasem przeradza się w egzekucyę na poszczególnych przedmiotach majątkowych, a egze-

kucya na całym majątku zastrzeżona jest osobnemu postępowaniu konkursowemu, które jest tylko wtedy dopuszczalne, jeżeli majątek nie wystarcza na zaspokojenie wszystkich wierzycieli.

II. Historyczny rozwój prawa egzekucyjnego wskazuje nam dalej, że tymczasowe zarządzenia powstały organicznie z egzekucyi. Dowodzi tego jasno ewolucya, jaką przeszła w rzymskiem prawie cautio judicatum solvi. Pierwotnie jest ona warunkiem wstrzymania już wdrożonej egzekucyi, później musi ją pozwany złożyć przy rozpoczęciu procesu, a celem jej jest, służyć jako zabezpieczenie zapłaty w tych przypadkach, w których przedtem natychmiastowa egzekucya była dopuszczalna. Ten sam rozwój wykazuje także prawo germańskie, zwłaszcza longobardzkie, w którem prawo prywatnego zajęcia, będące pierwotnie egzekucyą, zostało z czasem ograniczone w ten sposób, że wierzyciel może sam prywatnie zajmować tylko w razie niebezpieczeństwa w zwłoce i musi zaraz swój krok w sądzie usprawiedliwić. I tu wytworzyły się tymczasowe zarządzenia w drodze osłabienia pierwotnej egzekucyi i ograniczenia jej do przypadków, w których zabezpieczenie przyszłej egzekucyi okazuje się konieczne.

III. Rzut oka na historyczny rozwój prawa egzekucyjnego poucza nas wreszcie, że postępowanie egzekucyjne nie musi być koniecznie postępowaniem sądowem, owszem egzekucya może się toczyć także poza sądem, nie tracąc wcale charakteru egzekucyi w ścisłem tego słowa znaczeniu. Legis actio per pignoris capionem i prywatne zajęcie w prawie germańskiem, zwłaszcza w prawie longobardzkiem, są egzekucyą spoczywającą w zupełności w rękach samego wierzyciela bez wszelkiego współdziałania sądu. Ta pomoc własna jest przez prawo ściśle unormowana. Kto działa we formach ustawą nakazanych, ten działa procesowo, ten prowadzi egzekucyę w ścisłem tego słowa znaczeniu.

IV. Poznanie zasady, że postępowanie zasądowe, jeżeli jest ujęte we formy prawne, uważać musimy nie za dziką pomoc własną, lecz za normalne prawne postępowanie procesowe, ma dla dzisiejszej nauki doniosłe znaczenie. W panującym dziś sporze o teoryę roszczenia ochrony prawnej musi to przechylić szalę przeciw tej teoryi. Roszczenie ochrony prawnej ma być prawem jednostki wobec państwa (sądu) do udzielenia jej ochrony przez wykonanie żądanej, dla proszącego korzystnej czynności procesowej. To roszczenie składa się zatem z dwóch w jednę całość złączonych praw: prawa do

czynności procesowej i prawa do korzystnej treści tej czynności; oba prawa, a raczej owo nowe ze zjednoczenia tych praw powstałe roszczenie skierowane ma być wyłącznie przeciw państwu. Tej teoryi należy przeciwstawić, że czem innem jest prawo jednostki wobec sądu do żądania od sądu pewnej czynności procesowej (wydania wyroku, zajęcia ruchomości i t. p.), a czem innem prawo jej do korzystnej treści tej czynności (do pomyślnej dla niej treści wyroku, do trwałego przyznania jej korzyści z egzekucyi i t. p.). Prawo do żądania czynności procesowej jest prawem strony wobec sądu, prawo do korzystnej treści jest prawem jej wobec przeciwnika. — Historya popiera w całej pełni zapatrywanie, że prawo do czynności procesowej należy odróżnić od prawa do korzystnej treści tej czynności. Prawo do czynności procesowej nie musi być prawem jednostki wobec sądu, lecz może być także takiem prawem jednostki, które ona sama bez pomocy sądu może zrealizować Stąd płyną ważne konsekwencye przeciw teoryi o roszczeniu ochrony prawnej, zwłaszcza w okresie, kiedy część czynności egzekucyjnych spełniała sama strona, inne zaś sąd. Roszczenie ochrony prawnej uczy, że prawo do korzystnej treści czynności procesowej zwraca się przeciw temu samemu podmiotowi, który te czynności spełnia Logicznem następstwem tej teoryi musi być twierdzenie, że w okresach, kiedy postępowanie egzekucyjne leżało częścią w rękach strony, a częścią w rękach sądu, było także prawo do korzystnej treści, n. p. do korzystnego wyniku egzekucyjnych czynności, nie prawem wobec dłużnika, lecz prawem wierzyciela, zwróconem częścią do siebie, a częścią do sądu. Także te okresy, kiedy wszystkie czynności spoczywały w rękach samej strony, dostarczają dowodu przeciw roszczeniu ochrony prawnej. Roszczenie ochrony prawnej jest roszczeniem skierowanem przeciw temu podmiotowi, który czynności procesowe spełnia, zatem w czasie, kiedy strona sama wszystko spełniała, musiałoby to roszczenie być prawem strony wobec siebie samej, a takich praw nauka uznać nie może.

V. Historya rozwoju daje nam zatem doniosłe nauki co do istoty tymczasowych zarządzeń i egzekucyi. Ze względu na ewolucyę, jaką przechodziły instytucye podpadające pod kategoryę dzisiejszych tymczasowych zarządzeń, musimy tymczasowe zarządzenia uważać za osłabioną formę egzekucyi, bo tylko takie pojęcie tymczasowych zarządzeń, zgodne zresztą i z dzisiejszem pozytywnem prawem, zdoła ująć tę instytucyę we wszystkich jej objawach i fa-

zach rozwoju w jednę dla wszystkich stadyów trafną konstrukcyę. Historya uczy nas dalej, że stworzonemu w nowszych czasach pojęciu roszczenia ochrony prawnej sprzeciwia się, poza argumentami wysnutymi z dzisiejszego pozytywnego prawa [1], także ewolucya prawa egzekucyjnego. Dla egzekucyi we wszystkich stadyach jej rozwoju może być tylko taka konstrukcya prawa egzekucyjnego trafna, która unika nienaturalnego, a teoryi roszczenia ochrony prawnej właściwego, zjednoczenia dwóch odrębnych praw i która oddziela prawo do czynności egzekucyjnych od prawa do korzystnego wyniku egzekucyi, uważając pierwsze za prawo publiczne, drugie bądź za prawo prywatne (natury cywilnej, handlowej i t. p.), bądź za publiczne (natury podatkowej, administracyjnej i t. d.), stosownie do prawnego charakteru roszczenia, które ma być wyegzekwowane.

Prócz interesujących obrazów rozwoju pojęć i zapatrywań społeczeństwa, oraz przemiany prawa egzekucyjnego w miarę udoskonalania budowy państwowej tak w Rzymie, jak w krajach germańskich, daje nam zatem rzut oka na historyę prawa egzekucyjnego także cenne wskazówki dla oceny, a nawet rozwiązania teoretycznych zagadnień nowoczesnych.

---

[1] Por. Stefko, Grundprobleme des Zivilprozessrechts str. 1 i n.

Kulty polne i leśne w dawnej Polsce.

Napisał
Adam Szelągowski.

Najprostsza forma wierzeń, spotykana u wszystkich ludów na kuli ziemskiej, polega na czci zjawisk natury. Kamień, źródło, drzewo staje się tym sposobem przedmiotem czci (fetyszyzm). To stadyum rozwoju nazywa się religią przyrodniczą (naturalizm). Na obydwóch półkulach, czy to w Patagonii, czy w Arabii, dochował się u różnych ludów zwyczaj obwieszania gałęzi drzew ofiarami. U Germanów czczono gaje święte, i drzewa, których nie wolno było ścinać tak samo, jak i u Dayaków dzisiaj na wyspie Borneo. A podobnież i u Słowian były gaje święte, jak w Radgoszczy u Lutyków (w Meklemburgu), Św. Otton zaś w czasie misyi u Słowian na Pomorzu (w XII. w.) natrafił na dąb z wytryskującem u stóp jego źródłem, będący wraz z niem przedmiotem czci ogólnej i nietykalny dla dłoni ludzkiej. Ten kult drzew i boru był tylko cząstką kultu ogólnego roślin od gałęzi zwykłej począwszy aż do sędziwego i na wpół spróchniałego dziupła drzewnego, jaki u Słowian kwitł powszechnie i jakiego ślady spotykają się jeszcze dzisiaj.

I do dziś dnia lud przechował wiarę zabobonną w siłę drzew, gałęzi i krzaków, a postacie niektórych duchów—dyabłów żyjące w opowieściach ludowych, noszą nazwę zapożyczoną od boru — Boruta lub krzaka rokity — Rokita. Ale na tle tych wierzeń wyrastały także pewne obrzędy, w pewnych porach roku. Mówią nam one nie tylko o samym kulcie roślin, ale i o znaczeniu, jakie lud temu kultowi przypisywał. Do tych obrzędów należą zwyczaje i zabawy ludowe wiosenne, zimowe albo godowe oraz zapustne.

Obrzędy wiosenne mają charakter powitania wiosny lub po-

żegnania zimy, a częstokroć są i jednem, i drugiem. Do dziś dnia przechował się zwyczaj (na Śląsku, w Wielkopolsce) wprowadzania uroczystego do wsi drzewa, zwykle jodły, częstokroć ubranego wstążkami i świecidłami. Zwie się ono Maikiem, Gaikiem, albo Lateczkiem. Gdzie indziej zamiast drzewa chłopcy obnoszą lub obwożą konno figurę ludzką ze słomy, ubraną w liście i różne zioła polne, którą zowią Majem. Zabawy te, połączone z tańcami naokoło drzewa lub włażeniem na nie, odprawiają się w porze wiosennej (od Wielkiej Nocy do Zielonych Świątek) prawie powszechnie w całej Europie. Tak u Francuzów obchód ten zowie się querir le may, u Anglików drzewo may-pole, u Włochów obchód piantar maggio, a u Hiszpanów drzewo arbole de enamorado), a równocześnie obok nazw tych świąt, jak Zielone Świątki u nas, u Rusinów — święto Dżelmana, przechował się zwyczaj majenia lub gajenia domów na te uroczystości.

Na znaczenie pierwotne tych obrzędów wskazują jeszcze inne zwyczaje, obserwowane w przeszłych wiekach w Polsce, a i dzisiaj zachowane gdzieniegdzie. Razem z wprowadzeniem Gaika lub Lateczka do wsi odbywało się lub odbywa topienie lub palenie bałwana ze słomy albo z konopi. Bałwan ten nazywa się Marzanną, inaczej Morą (na Podlasiu), u Wielkorusów Kostrom lub Jaryłą, u Czechów zaś Śmiercią (Smert), a że i u nas oznacza on śmierć, na to wskazuje zwrotka starożytnej pieśni, przy tem śpiewanej jeszcze w XVI w. u nas: »Śmierć się wije po płotu, szukającą kłopotu« (Bielski). Czasem miejsce straszydła, kukły, bałwana zastępuje zwykła kłoda, pień drzewny albo piasta, ale obrzęd ten przenoszono i na inne pory roku — miasto wiosennej, także zimową w końcu lub na początku zimy, w śródpoście albo w czasie zapustnym.

Ale nie tylko wiosna ze swem przebudzeniem roślinności i całej natury do życia była ważną porą roku w życiu pierwotnego człowieka. Zmianę w naturze zapowiadało już dołowanie słońca, przypadające na koniec roku. Pora ta od Bożego Narodzenia do Trzech Króli jeszcze dziś zowie się u ludu godami i ma także różne swe obrzędy wiejskie, gdzie występuje między innymi także palenie bałwana ze słomy (na Pokuciu u Huculów w wigilię Nowego Roku tak zwanego dida. U nas palą kłodę w czasie zapust. Ta kłoda zowie się także pustą, stąd może nazwy polskie Zapusty i Niesopust, przerobiony w popularnym sensie dzisiejszym na Mię-

sopusta. U Rusinów istnieje na tę pore roku nazwa Kołodij (Kołodziej). U nas w Polsce istniał zwyczaj przywiązywania do tej kłody albo zaprzęgania w nią parobka, któremu nakładano grochowy wieniec. Pozostałości tego kultu kłody są t. zw. klocki, które w środę popielcową przyczepiają pannom i kawalerom, za to iż w czasie karnawału nie wstąpili w związki małżeńskie. Zabawa ta w Krakowskiem nosiła ongi miano Cząbra (to samo, co macierzanka).

Bo też i kłoda ta albo dziad, inaczej baba albo rodzice, przedstawiają sobą nie tylko śmierć, zimę, ale i świat obumarły, do którego należą duchy przodków. Ta wiara w duchy przodków czyli animizmu jest podłożem całego kultu przyrodzonego. W naturze czczono tę samą siłę rozrodczą, jaka jest w człowieku, i kłoda albo pień albo piasta były takim samym symbolem generacyi, jak drzewo, gałęź lub wić, i moc tę swoją twórczą, rozrodczą udzielała również ludziom. Ale do upostaciowania tego świata duchów, świata podziemnego, oprócz formy roślinnej (kłody) i późniejszej antropomorficznej (lali, kukły, straszydła, dziada) nadawały się jeszcze postacie zwierząt.

I one to najczęściej figurują w obrzędach godowych. Do dziś dnia utrzymał się zwyczaj chodzenia po kolędzie albo w czasie zapust z kozą, niedźwiedziem, turoniem a czasem koniem. Miejsce zwierzęcia zastępuje tutaj najczęściej człowiek przebrany dziwacznie w kożuch, przewrócony futrem na wierzch, wjeżdżający na koniu, wystruganym z drzewa albo z kozą lub turoniem. Także i w obrzędach wiosennych figurują te zwierzęta, najczęściej koń (lalkonik zwierzyniecki), a także kogut, inaczej zwany kurem. Ta ostatnia zabawa zastępuje gdzieniegdzie zwyczaj gaika lub maiku. Kogut (gdzieniegdzie baran) jest obwożony na wózku i przedstawia tę samą siłę rozrodczą, przyrodzoną, co drzewo Lateczko.

Jajko — pisanka — i woda lub ogień, palenie kłody lub topienie bałwana) są to środki oczyszczające, i towarzyszą one prawie wszystkim tym obrzędom. Niektóre z nich przetrwały do dziś dnia tylko w postaci szczątkowej, jak pisanki wielkanocne, oblewanie wodą w drugi dzień Wielkiejnocy lub uderzanie rózgą w niedzielę palmową. Stąd nazwa śmigusa (od schmiegen — uderzać rózgą), dangusa (od danga, duca — to samo, co kłoda), także poleń (od polenia-kłody) lub łapuń (niewyjaśnionego bliżej znaczenia).

Utrzymał się przy wszystkich tych obrzędach zwyczaj kolę-

dowania, składania życzeń i pobieranie datków. Można przypuszczać, że przez długi czas, te względy utylitarne utrzymywały te zwyczaje wiejskie na powierzchni życia, zwłaszcza odkąd utraciły one swe pierwotne znaczenie i zamieniły treść swą dawną wierzeniową na formy suche, tradycyjne, obrzędowe. Ale pierwotnie te obrzędy były bliżej związane z życiem; i nie ograniczały się tylko na samym kulcie pól i lasów, lecz towarzyszyły człowiekowi przy każdem ważnem zdarzeniu życia. A takiem były głównie trzy: małżeństwo-wesele. śmierć i narodziny dziecka. Zajmiemy się niemi po kolei.

Swadźba lub wesele odpowiada wiośnie, radosnej porze życia. I ta sama wić, maj, gaik, którą czczono na wiosnę, figuruje do dziś dnia przy obrzędach ludowych zaślubin, jako t. zw. rogal (rózga), »rajskie drzewko« lub »boże drżewko«, stawiane na stół w czasie wesela. Także utrzymał się zwyczaj majenia domów, gdzie jest dziewka »na wydaniu« i taki bukiet do dziś dnia zowie się »majem« (Wielkopolska).

Ale i kłoda utrzymała się przy uroczystości ślubnej, tylko w różnych postaciach dzieży u nas lub t. zw. posagu na Rusi. Posag są to trzy kołki, wbite w ścianę, pod którymi sadzają na rozesłanym ręczniku oblubieńców. Ręcznik ten, chusta albo nałęcz (źawitek na głowie), są to akcesorya nieodzowne każdego wesela. Sam obrzęd weselny u ludu i do dziś dnia odbywa się niezależnie od ślubu kościelnego w domu według starego ceremoniału, który jest bardziej skomplikowany od ceremonii kościelnej i według wszelkiego prawdopodobieństwa zwyczaj ślubu kościelnego poprzedzał. Polega on na t. zw. oczepinach lub rozplecinach, dawniej prawdopodobnie na postrzyżynach niewiasty. I dziś gdzieniegdzie obcinają jej włosy. Poprzedzają obrzęd zaślubin swaty lub rejty, rajty, rajny (jak wesele prawdopodobnie zwało się rajem). Po dziewczynę przychodzą swaty (swat, rajek), od pana młodego i umawiają się z rodzicami narzeczonej. Na weselu też swat lub swacha spełniają urząd starosty lub starościny i zajmują pierwsze miejsce. Jest to urząd bardzo ważny, który piastują zwykle starsze i poważne osoby — niekiedy dziedzicznie, jakoż i same obrzędy oraz połączone z nimi pieśni i owacye wymagają pewnego fachowego przygotowania.

Małżeństwo to z umowy poprzedziła zapewne starsza jego forma, małżeństwo przez kupno. I dziś jeszcze w czasie obrzędu

rozplecin utrzymał się gdzieniegdzie zwyczaj licytacyi panny młodej (t. zw. kupowania bydlaka), przy czem targu dobija pan młody, cała zaś suma stąd zebrana idzie na czepek. Dawniej kupowanie żony było powszechnie we zwyczaju w Polsce i według podróżnych arabskich kto miał dużo córek, miał w nich zarazem spory majątek. (Al-Bekri).

Ale obok tego małżeństwa drogą kupna był i zwyczaj porywania dziewcząt. Kronikarz ruski opisuje, że chłopcy umykali niewiasty. To porywanie dziewcząt było nie zawsze aktem gwałtu, lecz niekiedy także oznaką siły przyszłego małżonka, i jako takie stało się gdzieniegdzie nawet symbolem małżeństwa. Tak w Bawaryi obrzędowi zaślubin towarzyszą wyścigi między panem młodym a panną młodą (t. zw. Brautlauf) i samo wesele u Skandynawów wzięło swą nazwę Bryllup. Zwyczaj ten zachował się dotąd i u Słowian południowych.

Porywanie dziewcząt, a zapewne i wyścig ślubny, miało miejsce w czasie schadzek i zabaw wiosennych. Na Rusi te zabawy nazywały się rusalja, w Polsce — stada (stadło, nazwa małżeństwa), i także odbywała się w porze wiosennej (od Wielkniejnocy do Zielonych Świątek).

Jakoż i dzisiejsze zabawy ludowe wiosenne mają ten sam charakter miłosny (gaik, kur, dągus), a na Rusi noszą nawet nazwy, jak rozigry, rozpustki, i treść obchodów ich jest ta sama, co i wesela. Są to swaty wiosenne i obrzęd małżeństwa, tylko osobą swataną jest drzewo zielone, wić pod nazwą czy to Dzelmana (na Rusi), czy jak u nas św. Jana albo Jana Zielonego, u Wielkorusów Owsien (nasz Jasion). Ale jak w naturze obrzęd powitania wiosny jest zarazem obrzędem pożegnania zimy lub grzebania śmierci, tak samo i niewiastka po oczepinach zmienia się, już »nie świeci się«, lecz »bieli się« w pieśniach towarzyszących tym obrzędom ludowym.

I obrzędy polne i leśne obok powitania wiosny i kultu radosnego życia, są zarazem pożegnaniem zimy i kultem śmierci oraz duchów umarłych.

Ta sama kłoda, która jest przedmiotem kultu drzewnego u ludu pierwotnego, jest też przedmiotem kultu przodków pod nazwą dziada, baby, rodziców albo plona. A te same obrzędy, które są obrzędami wiosennymi, są zarazem obrzędami zadusznymi. Tak w Polsce obrzęd zaduszny Rękawki na Krzemionkach pod Krako-

wem odbywa się w drugi dzień Wielkiejnocy, podobnież u Rusinów ten sam obrzęd w porze wielkanocnej jest znany pod nazwą rachmańska Wielkanoc albo nawskyj deń (nowy — dusze zmarłych).

Słowianie, jak i większość ludów pierwotnych, zmarłych swoich palili. Zwyczaj ten zachował się u Litwinów jeszcze do końca ich ery pogańskiej. Ostatni taki pogrzeb Kiejstuta brata Olgierda odbył się jeszcze w czasach historycznych (1352), przyczem według świadectwa współczesnego wraz z księciem spalono jego oręż, konie, psy i sokoły. A w dawnej Polsce palono ze zmarłym także i żony jego na stosie. U Wętyczów był zwyczaj wystawiać prochy w żalach na rozstajnych drogach. Z tych zwyczajów pogrzebowych widać, że i Polacy, jak reszta Słowian, wierzyli w żywot pośmiertny, zagrobowy, przedstawiając go sobie w ten sposób, jak i ziemski, i te same potrzeby przypisując duchom zmarłych, które miały i osoby żyjące. Jakoż na cześć zmarłego w miejscu jego spalenia i grzebania prochów urządzano stypę czyli ucztę pośmiertną. Zwyczaj ten zachował się do dnia dzisiejszego. Wszystkie też obrzędy zaduszne polegały na dzieleniu się strawą ze zmarłymi. Zwyczaj kładzenia pisanek na mogiłkach na Wielkanoc, do dziś dnia przechowany na Rusi, był znany i w Polsce jeszcze w XIII w. (według żywota św. Jadwigi). Cmentarzyska pogańskie z przechowanemi naczyniami urnemi lub żalami są bardzo liczne na ziemiach słowiańskich. Są to czasem kopce lub mogiły (jak mogiła Krakusa lub Wandy). Ale były to zarazem miejsca święte, gaje czczone w Redrze czy też w Radgoście (Gościradzie). Do tego gaju poświęconego mieli dostęp tylko ci, którzy przychodzili składać tu swe ofiary bóstwa lub też żegnać się z życiem. Stąd zapewne pochodzi zwyczaj, że i dzisiejsze zabawy wiosenne odbywają się przeważnie na miejscach uświęconych, na cmentarzach, a nawet sam cmentarz pod kościołem u Rusinów zachował dawną nazwę pogosta lub po polsku pogąsta (miejsca duchów) i tak samo, jak kościół później lub gród (castellum) był punktem zbornym dla całego obwodu (kasztelanie zapewne po polsku zwały się pogąstami).

Ale ze śmiercią wcale nie kończył się stosunek zmarłych do żyjących — owszem nabierał on dopiero całkowitego swego znaczenia, albowiem zmarli mieli władzę nad żyjącymi — mogli im pomagać lub szkodzić. Były to więc duchy dobre iub złe, jak strzygi, upiory, mary i t. p. Aby zapewnić sobie z tej strony spokój, trzeba było moc jednych duchów niszczyć, z drugimi żyć w zgodzie. Cały

przeto szereg zwyczajów ma na celu pojednanie się z duchami przy pomocy ofiar — i to tak dobrze z duchami polnymi, leśnymi, jak i domowymi — rodzicami. Na tem tle czci dusz zmarłych, kultu podziemnego albo chtonicznego wyrosły nowe obrzędy polne, już nie z obudzeniem się natury, ale przy zbieraniu jej darów, jak przy kośbie lub przy żniwach (dożynki), a także na wzór ich powstały i obrzędy dla zabezpieczenia życia rozrostu ludzi w różnych porach wieku przy urodzeniu, dojrzewaniu lub zaślubinach. Te ostatnie szczególnie zasługują na uwagę, bo są to t. zw. postrzyżyny, których śladów najwięcej dochowało się u Słowian.

Jak obrzędy polne i leśne są tylko tłómaczeniem zjawisk życia ludzkiego, podobnie i to samo życie człowieka przyrównywano do życia rośliny. W jej fazach rozwoju są te same stadya, co i w fazach rozwoju człowieka. Lecz cała ta forma roślinna wzrostu człowieka głównie upostaciowała się we włosach. Wszystkie te same pojęcia, które od kolebki do mogiły towarzyszą rozwojowi człowieka odnosi się także i do świata roślin. I tak drzewa, lasy mają ten sam porost, co i ludzie i zwierzęta. Są to liście, igły (cetyna ten ostatni wyraz równoznawczy ze szczeciną u zwierząt), Podobnież ziemia ma też swój porost w kształcie źdźbeł trawy na wiosnę (nowina) lub kłosów w polu. Ostatnia też garść zboża nieżżętego nazywa się brodą lub pępem, pępkiem, tak samo jak u człowieka i tak samo jak dziecko od łona matki, sierp lub kosa odrywa je od ziemi. Dla tych to duchów ziemi zostawiono tę ostatnią garść zboża nieżżętego w polu (t. zw. jeszcze inaczej dziada lub babę). Mówiło się gdzieniegdzie, jak w Niemczech, że dla koni boga Wotana, u nas na Mazowszu mówi się dla myszy. I te konie Wotana, i te myszy mazowieckie są to duchy podziemne. Stąd zarówno przy koszeniu i grabieniu siana, jak i przy żniwach dochowały się zwyczaje ludowe, których resztkami dzisiaj są obrzędy kosiarzy przy sianokosie lub żniwiarzy w polu. Te ostatnie są to okrężne czyli dożynki. I tutaj figuruje ów pęp lub wieniec dożynkowy, zwany także plonem, niegdyś przeznaczany dla świata podziemnego duchów przodków (także w postaci wianka), dzisiaj zanoszony i składany gospodarzowi. W czasach pierwotnych słowiańskich były to uroczystości religijne ludowe, jak w Radgoście lub u Prusaków (na cześć ibóstwa Kurka, identycznego z pępem. plonem, garścią zboża).

Ale i liście lub gałęzie drzewne były to także postacie bogin i boginek, t. zw. wile, rusałki o zielonych włosach, rożenice z na-

tury swej będące nic innego, jak dusze zmarłe. Ich władzy podlegały drzewa, wody a także życie ludzkie.

Ale najpotężniejszy duch, który ma w swej mocy zarówno drzewa, jak i ludzi, jest to duch kłody czyli kołtun. Jak wszelkie zło i dobro, tak samo zdrowie i choroby pochodzą od duchów, czyli upiorów, wili, rusałek, rożenic, strzygów. Jest duch, który kręci kości i nazywa się gościec. Inny sprawia bóle (bolecha). Duch, który kręci włosy, nazywa się kołtun. Nie należy jednak przypuszczać, aby ten duch dokuczał tylko ludziom. Kręci on i w drzewach ich konary i gałęzie i tworzy kołtun na drzewie, inaczej t. zw. wicher albo kanie gniazdo (także kujon, gulon). Jak każdemu duchowi także i kołtunowi nie można się sprzeciwiać. U ludzi, u których skręca włosy, nie wolno tych włosów obcinać, co najwyżej wolno je odpalać, choć nie każdy może się wziąć do tego, chyba tylko ten, co ma »ciężką rękę«. Tak na tle wierzenia religijnego powstał dzisiejszy zabobon, który długi czas brano za chorobę specyalnie polską (trichoma albo plica polonica), podczas gdy w rzeczywistości jest to tylko przesąd, z którym nie lekarstwem, lecz czystością walczyć trzeba. Lecz ów kołtun dowodzi, jak dalece symbolika roślinna włosów była zakorzeniona, i jak silną rolę odgrywały włosy w kulcie starożytnym u Słowian i u Polaków. Śladem tego kultu są i postrzyżyny.

Jeżeli religia nakazywała cząstkę płodów ziemi przynosić na ofiarę duchom, to to samo obowiązywało w stosunku do płodów życia ludzkiego. Gdzieniegdzie w tym celu były, jak wiadomo, składane ofiary krwawe (n. p. z dzieci). Lecz śladów tych ofiar u Słowian (z wyjątkiem zabijania jeńców wojennych) niema. Natomiast włosy zastępowały ofiarę z życia zarówno dziecka, jak i dorosłego człowieka.

Zwyczaj postrzyżyn dzieci, dochowany na Słowiańszczyźnie południowej dzisiaj, a praktykowany gdzieindziej, n. p. na Rusi w domach bojarskich — jeszcze w XVIII. w. — utrzymywał się w Polsce przez dłuższy czas nawet po wprowadzeniu chrześcijaństwa (w XIII. w.). Można wnosić, iż postrzyżyny sprawiano w siódmym roku życia dziecka (okres zębów mlecznych), choć może i także w latach wcześniejszych. Dokonywał tego obrzędu czasem ojciec, czasem ktoś z poza rodziny. W takim razie stosunek jego do dziecka przybierał charakter ojcostwa postrzyżonowego. Prawdopodobnie towarzyszył temu obrzędowi zwyczaj dawania imienia (pierw-

sze imię było utajone, aby uchronić dziecko od złych duchów) Imię bowiem w pojęciach pierwotnych, a i dziś jeszcze u ludu jest samo przez się talizmanem, znakiem i siłą cudowną. Są ślady, że ten obrzęd postrzyżyn odpowiadał porze roku rozpoczynających się żniw, i że włosy dziecka były taką samą ofiarą składaną duchom, jak pierwsze ścięte kłosy (t. zw. za Rusi zażynek).

Ale prócz tych postrzyżyn dziecka były także i postrzyżyny dorosłych. Postrzyżynami w pewnym sensie był obrzęd zaślubin, przyczem ofiarą panny młodej były jej włosy, obcinane przy oczepinach. Ale i chłopcy także przynosili ofiarę ze swego zarostu (wąsów, brody). U Germanów ofiara ta była połączona ze ślubami wojennymi (u Chattów), a postrzyżyny zarostu były pasowaniem młodzieńca na rycerza z chwilą, kiedy ręką swą własną położył na polu bitwy pierwszego wroga. I w Polsce był analogiczny zwyczaj, który dochował się do dnia dzisiejszego, ale nie o charakterze wojennym, lecz polnym. Postrzyżyny młodego chłopca (wilka) mają miejsce wówczas, gdy w robocie dogania już dorosłych. Dlatego odbywają się przy sianokosie, a obcięcie (symboliczne) zarostu (wilczych kosów) równa się wyzwolinom (frycowanie) i wprowadza chłopaka w okres życia dojrzałego, czyni z niego parobka.

Z tego dochowanego zwyczaju widać, że w dawnej Polsce golenie zarostu było przywilejem ludzi dorosłych. Jakoż znane nam pieczęcie pierwszych Piastów przedstawiają ich twarze ogolone (bez brody i wąsów) aż do Henryka Brodatego, który od zapuszczonego według nowej mody zarostu wziął nawet i swój przydomek. Na odwrót poza postrzyżynami małoletnich długie włosy były zawsze przywilejem ludu wolnych i oznaką starszeństwa, (n. p. królowie z dynastyi Merowingów), z obcięciem zaś włosów była połączona nie tylko hańba, ale i utrata wolności. I pod tym względem w zwyczajach ludowych (n. p. u Górali) daje się zauważyć ta sama archaiczna tradycya, która n. p. typ górala zakopańskiego o długich włosach, często splecionych kosmykami, i bez zarostu, przedstawia jako typ człowieka pierwotnego w Polsce, wolnego i szlachetnie urodzonego.

Intromisye polskie.

Epizod z pierwszych czasów panowania austryackiego w Galicyi [1].

Napisał

Ernest Till.

Zasada rzymska: traditionibus et usucapionibus non nudis pactis dominia rerum transferuntur, ma swe usprawiedliwienie w przeświadczeniu, że prawa, które w treści swej mieszczą w sobie uprawnienie do bezpośredniego rozrządzania przedmiotami świata zewnętrznego, a więc w pierwszym rzędzie prawo własności, a niemniej prawa na rzeczy cudzej, mogą mieć doniosłość dla uprawnionego tylko wówczas, jeśli temuż dane są zarazem warunki, w pośród których może je wykonywać. Nie rozumiał Rzymianin prawa własności, dopóki rzeczy nie miał w wyłącznem posiadaniu, a tem samem nie uzyskał możności dowolnego, swobodnego rozrządzania substancyą i pożytkami rzeczy nabytej [2].

---

[1] Jakkolwiek kwestya t. zw. intromisyj prawa polskiego dziś pozbawiona jest wszelkiej doniosłości praktycznej, wydawało mi się, że warto wydobyć z pyłu aktów archiwalnych kilka dotąd nie publikowanych szczegółów o zniesieniu przez ustawodawstwo austryackie tego, od wieków w Polsce praktykowanego zwyczaju. Szczegóły te bowiem, jak z jednej strony rzucają charakterystyczne światło na ówczesne zapatrywania i sposoby argumentacyi, tak z drugiej strony także ze stanowiska historyi kodyfikacyi austryackiej ustawy cywilnej mają znaczenie jako jeden z objawów zwycięstwa, jakie, po długoletnich walkach między autonomistami a centralistami, odniosła idea ujednostajnienia prawa cywilnego dla wszystkich krajów, wchodzących w skład monarchii austr. Por. debaty o t. zw. statutach prowincyonalnych w Ofnera, Urentw. II. str. 590 i nast., dalej § 11 kod. cyw. i dekr. nadw. z 13 lipca 1813 r. w zbiorze Kropp-Goutta XXX. str. 20.

[2] Dobitnie wyraża to zapatrywanie Corpus Juris Fridericiani (1750), 7. P, II. Tit. 3 § 4: Natürlicher Weise kann kein Eigenthum eines Dinges acquiriret werden, als durch dessen Ergreifung und Apprehension, weil das Dominium

Jednakże uzyskana władza nad rzeczą daje tylko faktyczną możność korzystania z rzeczy, jeśli nie opiera się na zasadzie prawnej, którąby ją wobec ustawy usprawiedliwiała. Nunquam nuda traditio transfert dominium, sed ita, si venditio aut aliqua iusta causa praecesserit, propter quam traditio sequeretur.

Obydwie te zasady łączy ze sobą teorya w wiekach średnich szeroko rozpowszechniona, a w wieku XIX przez szkołę historyczną zd. m. niesłusznie zwalczana [1], o t. zw. titulus i modus acquirendi, która i w kodeksie austryackim z r. 1811 znalazła wyraz w §§ 380, 449, 451. 480, stanowiących, że, bez tytułu i prawnego sposobu nabycia, własności ani innych praw rzeczowych nabyć nie można.

I w Polsce obydwie te zasady były uznane. Kwestyi, czy weszły one do prawa polskiego z prawa rzymskiego czyli też powstały samorodnie na gruncie rodzimym, rozbierać nie chcemy. Okoliczność jednak, że znachodzimy je w dawniejszych ustrojach prawnych nawet i tam, gdzie, jak w Polsce, formalna recepcya prawa rzymskiego nigdy się nie odbyła, zdaje się wskazywać, że tkwią w naturze rzeczy i są objawem szeroko rozpowszechnionego poczucia prawnego. Najdobitniej objawiają się one przy nabywaniu praw rzeczowych na mocy aktów prawnych. Wszak uzyskanie władztwa nad przedmiotem jest celem nabycia prawa rzeczowego. Wobec tego akt prawny, z którego wynika obowiązek przeniesienia prawa własności lub praw na rzeczy cudzej do majątku nabywcy, przedstawia się, zarówno jak sam stosunek obowiązkowy, wytworzony takim aktem, jako środek, który dopiero przez dopełnienie obowiązku, a zatem wydanie rzeczy nabywcy, prowadzi do celu. Stosunek obowiązkowy jest więc stadyum przygotowawczem prawa rzeczowego; w chwili, gdy cel osiągnięty zostaje, traci racyę bytu i gaśnie, a chwilą tą jest ta, w której nabywca osiągnie faktyczną, lecz przez prawo przedmiotowe chronioną możność rozrządzania przedmiotem nabytym.

W Polsce t. zw. wwiązanie (intromissio) było koniecznym

eine Macht nach Gefallen davon zu disponiren inferiret, welche ohne Effekt sein würde, wann das Ding niemals in unserer Gewalt und Gewahrsame gewesen wäre. Daher mit Recht gesagt wird, dass die Dominia aus dem Besitz und Possession der Dinge ihren Ursprung haben und dass das Eigenthum niemalen durch blosse Pacta erlangt werden könne.

[1] Por. moją rozpr. Teorya kodeksu cywilnego o tytule i prawnym sposobie nabycia w Przegl. prawa i adm. 1911, str. 727.

warunkiem pochodnego przejścia własności dóbr nieruchomych, tak samo, jak wręczenie nabywcy rzeczy ruchomych. Wwiązanie musiało być prawnem, t. j. opierać się o tytuł prawny (umowę, rozporządzenie ostatniej woli, wyrok sądowy). Ponad te wymogi materyalne obowiązywał przy przejściu dóbr nieruchomych ten wymóg formalny, że wwiązanie nastąpić musiało we formie uroczystej przy udziale władzy i w pośród warunków jawności (manifeste, ut nullum lateat novi domini in illis bonis possessio, qui aliquod interesse habere se praetendit ad eadem). Odbywało się ono tedy przy udziale delegata sądowego (woźnego) i dwóch szlachty za poprzedniem wezwaniem sąsiadów, ażeby byli obecni przy akcie oddania, szczególnie, gdy pozbywający oprowadzał nabywcę po dziedzinie i okazywał mu granice. Celem intromisyi było więc nie tylko oddanie nabywcy faktycznej władzy nad dobrem nabytem, lecz także danie sposobności interesowanym do zgłoszenia ewentualnych roszczeń co do granic. Pośrednio i to ostatnie miało na celu utrwalenie, umocnienie władzy nabywcy; kto bowiem się jawił a nie protestował, albo kto się nie jawił, a w ciągu trzech lat i trzech miesięcy nie podniósł roszczeń co do granic, ten narażony był, podnosząc je później, na ich utratę, a co najmniej na pewne trudności procesowe. Dopiero dokonaną intromisyę wpisywano do ksiąg sądowych. Intromissio est anima inscriptionis. Kto nie miał wwiązania, nie mógł być wpisany, kto nie był wpisany, temu, chociażby dobra rzeczywiście posiadał, nie biegła dawność ziemska. Ab intromissionis inscriptione seu relatione omnis praescriptio incipit initium et firmitatem [1].

Te zasady utrzymały się w pierwszych czasach po rozbiorze Polski w dziedzinach przyłączonych do Austryi. W »najwyższej rezolucyi« z 31 października 1785 r. N. 489 zb. u. s. znajduje się pod lit. g między przepisami, specyalnie dla Galicyi wydanymi, postanowienie, które w istotnej swej treści zastosowuje się do prawa polskiego. Rezolucya ta opiewa:

»Jeżeli przedany bywa majątek nieruchomy, należy zawsze oznaczyć czas, w którym przedawca ma wskazać nabywcy granice przedanego dobra. O tym czasie zawiadomić należy najmniej na

---

[1] Ob. Dąbkowski, Prawo pryw. pol. II. str. 191 n. i cytowane tamże źródła. Obok nazwy intromissio cytuje Dąbkowski, jako używane: introductio, innodatio, investigacio, investitucio, inequitacio, illigacio, intronisatio.

ośm dni naprzód wszystkich graniczących ze sprzedanem dobrem sąsiadów przez należyte doręczenie im ogłoszenia ze strony sądu miejscowego w tym celu, ażeby przy wskazaniu granic mogli być obecni. Gdyby następnie sąsiedzi, bez względu, czy na wezwanie stanęli, czy nie, sądzili, że mogą kwestyonować granice wykazane, winni wnieść skargę w ciągu trzech lat i trzech miesięcy, po upływie tego terminu nie mają być więcej słuchani, lecz nabywca w posiadaniu dobra utrzymany zostanie w tych granicach, co do których wykaże, że podług nich dobra nabył«.

Wprowadzony patentem z 13 lutego 1797 w Zachodniej Galicyi kodeks cywilny, którego moc obowiązującą rozszerzono patentem z 8 września tego samego roku także i na Galicyę Wschodnią, zastąpił na tym obszarze prawo cywilne polskie. Zasadę, że do nabycia własności i innych praw rzeczowych potrzeba tytułu i prawnego sposobu nabycia, a w szczególności, że do pośredniego nabycia takich praw konieczne jest oddanie przedmiotu do rąk nabywcy, kodeks ten utrzymuje w mocy (§§ 102. 228. 314. 172 II. kod. gal.). O potrzebie oddawania dóbr nieruchomych za udziałem władzy sądowej kodeks ten nie wspomina. Gdy jednakże takiego sposobu oddawania nie zabraniał, siłą zwyczaju utrzymywały się intromisye sądowe, do których ludność przywykła, a sądy nie wahały się brać w nich udział, a to tem bardziej, że cytowana wyżej rezolucya z r. 1785 wyraźnie nie została zniesiona. Intromisye takie odbywały się tedy na podstawie poleceń sądowych za udziałem t. zw. komorników granicznych (Grenzkämmerer), szczególnie przy przenoszeniu własności dóbr tabularnych i realności miejskich.

Sposobu przeprowadzenia aktów intromisyi żadna ustawa nie normowała. To też komornicy przy takiej czynności trzymali się dawnego zwyczaju tradycyą czasów polskich przekazanego. W dawnej Tabuli krajowej lwowskiej od chwili jej założenia 1780 r. znajduje się mnóstwo odpisów takich aktów intromisyi, najczęściej podług jednego szablonu układanych [1].

[1] Przytaczamy tu jeden z takich dokumentów, z którego widoczny jest przebieg tej czynności urzędowej: (Liber Testam. 81 p. 323) Actus intromissionis Magn. Ignatii Comitis Morski ad bona Węgierka cum. att. Wola Węgierska, Chorzów et Tyniowice in circulo Premisliensi sita, vigore mandati Excelsi C. R. Fori Nob. Leopoliensis dto 2 Junii 1803 ad N. Exh. 6781 emanati, sub die 2 & 3 Septembris 1803 assumptus. C. R. Officium Camerariale Premisliense infrascrip-

Akt oddania majątku ziemskiego w czasie, gdy obowiązywał już kodeks austryacki z r. 1797, zewnętrznie podobny był do dawnych intromisyj polskich. Jak dawniej, tak i teraz akt ten miał na celu wprowadzenie nabywcy we faktyczną nad przedmiotem

---

tum, inhaerendo mandato Excelsi Fori Nob. Leopoliensis de actu supra citato, ad praeciandam requisitionem Illustr. Magnif. Ignatii Comitis Morski fine effectuandae intromissionis ad bona Węgierka cum attinentiis... condescendit, iurisdictionemque suam in bona ibidem sita fundavit, innotescitis de eo partibus collateralibus actum sui assumpsit. In ordine igitur effectuandae huius intromissionis ad deponenda et producenda coram praesenti C. R. Officio Camerariali iura bonorum Węgierka cum. att. Ill. Magn. Ignatium Comitem Morski invitavit, quae pars interressata eo producit ordine, nempe transactionem seu contractum empti-venditi originalem sub die 12 Februarii 1803 inter Illustr. Magn. Com. Thaddaeum Morski ac Illustr. Magn. Ignatium Com. Morski Leopoli confectum tymbro 100 fr. ac altero tymbro 10 fr. firmatum, iam vero ad Tabulas Regias sub praes. 22 Martii 1803 N. 6781 pro intabulatione exporrectum, ac sub die 2 Junii a. c. pro inscriptione et intabulatione in Cons. C. R. Fori Nob. Leopol. decretatum, atque sub die 3 Augusti 1803 apud C. R. Galicienses Tabulas Libro Contr. Nov. 103 p. 334 ingrossatum, tum Haer. 24 p. 116 n. 7. Haer. super bonis Węgierka... intabulatum. Viso itaque originali contractu seu transactione ad verificanda inventaria fundi accessit, nam a novis erigendis inventariis (siquidem hae noviter errecta in fundo Officium Cameraríale deprehenderit) supersedit. Quibus verificatis, ac Communitatibus statutis, earum dationibus perlectis, bona praefata Węgierka... Mgn. Ignatio Comiti Morski in perpetuam, haereditariam ac realem possessionem cum omnibus attinentiis et pertinentiis, agris, fundis, pratis, fenificiis, avulsis, nemoribus, agris, desertis, et usufructibus variis, quibuscunque aedificiis tam curialibus quam aliis, nec non mobilibus in palatio in bonis Węgierka reperibilibus et existentibus, tum pecoribus et pecudibus, equis, in transactione specificatis, sylvis, stagnis, piscinis, fluviis, hortis, pomariis, molendinis, braxatoriis, crematoriis, tabernis, cauponis, ac aliis quibuscunque in hisce bonis existentibus, cum subditis ac eorum dationibus, censibus et diebus laborabilibus, commodis universis et quibuscunque emolumentis, cum omni dominio, proprietate, omnibusque suis limitibus, prout demonstratum ac per partes collaterales adstantes et praesentes, circumcursis, nihilque ratione limitum controvertentium extitit, cum iure patronatus praesentandorum parochorum utriusque ritus, erga solvendas et praestandas altissimo aerario tam dominicales quam a subditis fassiones et contributiones tradidit, ipsumque Illustr. Mfcum Ignatium Com. Morski pro vero et indubitato haerede bonorum Węgierka cum att. agnovit, obedientiam omnimodam subditis ac toti communitati bonorum in praestandis per ipsos dationibus et laboribus officiose iniunxit, hancque intromissionem nihilo obstante in praesentia vicinorum ac plurium amicorum nec non in praesentia Communitatum praefatorum bonorum effectuavit, ac de peracta intromis-

władzę, jak dawniej tak i teraz odbywał się wśród warunków jawności w tym celu, ażeby wszyscy interesowani mieli sposobność poznania nowego właściciela ewentualnie podniesienia swoich roszczeń do przedmiotu i załatwienia ich na miejscu drogą dobrowolnej komplanacyi. Mimo to jednakże pod wpływem ustawodawstwa austryackiego daje się spostrzegać zasadnicza różnica w znaczeniu tego aktu oddania. Gdy bowiem wedle prawa polskiego intromisya była warunkiem, od którego zależał wpis w księgi sądowe, wedle praktyki austryackiej przeciwnie wpis był warunkiem intromisyi, dozwalano jej bowiem jedynie na podstawie dokonanego już wpisu, a decydującą dla przejścia własności majątku nieruchomego była już nie chwila obwołania nowego właściciela i oddania mu władzy nad dobrami i poddanymi, lecz chwila wpisania go jako właściciela w księdze gruntowej. Punkt ciężkości aktu nabycia przeniósł się z gruntu do księgi gruntowej.

Ta zmiana znaczenia intromisyi zostaje w związku z ewolucyą, jaka pod względem nabywania praw rzeczowych na nieruchomościach odbywała się w wieku XVIII i z początkiem XIX pod wpływem udoskonalenia się instytucyi ksiąg gruntowych i idącej z nią w parze zasady zaufania do tychże ksiąg. Zmagały się wówczas w nauce i prawodawstwie dwa kierunki, z których jeden, da-

---

sione C. R. Officium Circulare Premisliense informavit actus praesentis vigore. Cum porro ratione limitum controversarum a pariete bonorum Węgierka et Wola Węgierska praesentanei cum haeredis Illustr. Mfci Ignatii Com. Morski cum pariete bonorum Prosnow et Kramarzówka Mfci Ignatii Smolski haereditariorum, inter sylvis et nemoribus controversum existens, partes modo complanativo inter se finierunt, et sub tempus durantis urbarii scopulos erigerint, omnemque controversum mortisaverint, ac actumque praesentem assumere et adnotare partes instaverint, linio olim fundi controversi et per complanationem superati, prout demonstratum per partes extitit, tum iuxta descriptionem limitum et scopulorum in libro urbariali sequenti modo adnotatur, nempe... (tu następuje opisanie granic). Iam vero ex parte aliarum collateralium parietum sub actu intromissionis praesentis in loco limitum suarum adstantium et praesentium nulli controversi excitati fuerint, partesque collaterales in descriptionem urbarialem limitum et erectionem scopulorum adhaererint, tum in usum praesentem fundorum ac sylvarum per Illustr. Mfcum Ignatium Com. Morski nihil quidquam inferendo concesserint atque descriptionem limitum tempore durantis urbarii subscripserint. Signatum in loco Węgierka die 3 Fbris 1803 Carolus Kownacki Camer. Judic. L. S.

wniejszy, przy nabywaniu takichże praw rzeczowych pokładał główną wagę na osiągnięcie przez nabywcę faktycznej władzy nad przedmiotem samym, drugi, nowszy, w którym przeważała dążność nadania decydujacego znaczenia wpisowi w księdze gruntowej. Prawo pospolite, jakie panowało w Niemczech, nie znało instytucyi ksiąg gruntowych, która rozwój swój zawdzięcza prawom partykularnym. Tam więc, gdzie instytucya ksiąg gruntowych jeszcze się nie ustaliła, wyłącznym sposobem nabycia praw rzeczowych było faktyczne oddanie i odebranie przedmiotu we władzę nabywcy. Zwrot w kierunku ku księgom gruntowym uczynił Landrecht pruski z r. 1794, wedle którego wpis wprawdzie nie był warunkiem koniecznym nabycia (I. 10 §§ 1, 3), lecz nadawał nabywcy pewne korzystniejsze stanowisko prawne (I. 10 §§ 7—9). Nadto kodeks ten sankcyonował obowiązek wpisywania zmian własności (t. zw. Zwangstitelberichtigung). Dalej w tym kierunku poszedł kodeks austr. z 1797 r., stanowiąc, że do pośredniego nabycia własności nie wystarcza wola poprzedniego właściciela i oddanie i odebranie samo (allein), lecz, że ponadto (überdies) nastąpić musi wpis aktu nabycia w księdze gruntowej (§ 172, II). Stanowczy zwrot w kierunku wpisu usankcyonowała praktyka i teorya prawa austryackiego po ogłoszeniu kodeksu cywilnego z 1811 r., uznając oddanie faktycznego posiadania za zupełnie zbędne do nabycia własności [1].

W czasie, gdy w Galicyi obowiązywał kodeks cyw. z r. 1797, nie chodziło o kwestyę, czy przy pośredniem nabywaniu nieruchomości potrzeba faktycznego oddawania czy nie, gdyż kodeks ten oddania takiego dość wyraźnie wymagał, lecz tylko o to, czy oddanie takie miało lub mogło się odbywać za udziałem sądu. W tym względzie odróżniano oddanie na mocy wyroku sądowego drogą egzekucyi i oddanie dobrowolne na podstawie kontraktu. Co do pierwszego rodzaju oddania nie było wątpliwem, że mogło ono się odbywać tylko za udziałem sądu, bo tak stanowił wyraźnie § 403 gal. ust. sąd. Co do oddania dobrowolnego to wobec tego, że kod. cyw. udziału sądu nie przepisywał, mogła powstać wątpliwość, czy udział ten jest dopuszczalny. Sądy jednak galicyjskie, idąc za dawnym zwyczajem, nie odmawiały swego udziału, jeśli strony tego

---

[1] O ile praktyka ta i teorya była mylną. starałem się wykazać w mojej rozprawie: Tabularbesitz und Tabularersitzung w Gellera Zentralblatt 1914, str. 1 n.

żądały, a to nie tylko przy nabywaniu własności, lecz także przy oddawaniu dzierżawy lub użytkowania.

Także i władze wiedeńskie podzielały zdanie o dopuszczalności intromisyj sądowych poza przypadkami egzekucyi wyroków. Na zapytanie lwowskiego Trybunału ziemskiego wyszedł dekret Kancelaryi nadwornej galicyjskiej z dnia 16 stycznia 1802 r. L. 1497 [1], w którym władza ta uznaje dopuszczalność takich intromisyj, argumentując, że są one rodzajem egzekucyi, ponieważ zarządzenie sędziego, na podstawie którego prawo posiadania do ksiąg publicznych zapisane zostaje, należy do rzędu »orzeczeń sądowych« (richterliche Sprüche), które po myśli § 298 powsz. u. s. (§ 396 gal. u. s.) uprawniają do żądania przymusowego wykonania przeciwko temu, komu po myśli § 175 kod. cyw. cz. II zawiadomienie o intabulacyi nabywcy doręczone zostało, jeżeli tenże po myśli § 176 II kod. cyw. nie wniósł w terminie prawnym przewidzianego tamże sprzeciwienia się.

Dekret ten, który udzielono wszystkim sądom galicyjskim do zastosowania się, stanowił odtąd, chociaż nigdy nie był publikowany, jako »normale«, legalną podstawę intromisyj.

Mimo to jednak w r. 1807 podniesiono w gronie Najwyższej Izby Sprawiedliwości (Oberste Justizstelle) w Wiedniu z okazyi kilku procesów, które się tam z Galicyi dostały, kwestyę, czy praktykowane wprowadzenie w posiadanie przez komorników sądowych należałoby także i na przyszłość w mocy utrzymać? Skutkiem tego polecono pismem z 14 marca 1807 r. Trybunałom apelacyjnym we Lwowie i w Krakowie, ażeby, »po wysłuchaniu podwładnych Trybunałów ziemskich, oświadczyły się, czy i co ze względu na ustrój kraju lub inne szczególniejsze okoliczności mogłoby stanąć na przeszkodzie zniesieniu intromisyj, a gdyby utrzymanie ich miało być pożądane, pod jakimi warunkami miałyby być nadal tolerowane?«

Wszystkie ówczesne Trybunały galicyjskie, tudzież Trybunał ziemski bukowiński, nie porozumiewając się między sobą, oświadczyły się stanowczo za utrzymaniem intromisyj w tej samej rozciągłości, w jakiej je dotąd praktykowano. Protokoły obrad, złożone w aktach ministerstwa sprawiedliwości (Fasc. 49 J), rzucają niejedno ciekawe światło na ówczesne stosunki i zapatrywania.

[1] Dekret ten nigdzie nie był ogłoszony drukiem. Znalazłem go w aktach tutejszego Sądu apelacyjnego.

I tak:

W Trybunale ziemskim we Lwowie na sesyi plenarnej z 27 kwietnia 1807 r. zapadła 16 głosami przeciwko dwom uchwała:

quod intromissiones his in regnis quoque in futurum confirmandae sint, modalitasque circa intromissiones hucdum observata quoque pro futuro manutenenda sit,

ex rationibus:

a) quod intromissiones tam in legibus antiquis patriae, quam in modernis (§ 302, 303 Cod. Jud. & § 33 Cod. civ. Pars II) fundantur;

b) quod intromissiones iam stante regimine antiquo et hucusque cum bono effectu practicabantur ac locali consuetudini, tum indoli incolarum horum regnorum valde conveniant, praecipue vero ratione subditorum necessariae sint, cum illi, omni educatione destituti, nonnisi si ipsis circa intromissiones dominus mònstratur, capere possunt, quod his et non alius sit ipsorum dominus; dein

c) modalitas hucusque usitata circa intromissiones ultro observanda foret, quia illa videtur esse optima, nam is solum intromitti disponitur, qui aut pactum aut decretum addictionis haereditatis aut decretum aut sententiam iudicis intabulatam producit, quorum uno alterove producto, camerario intromissionis effectuatio disposita per eundem exequitur; praecautionibus his quoque obtinetur et id, ne tertii iura laedantur.

Do tego dodał prezes: quod intromissiones nemini noceant, imo optimum effectum his in regnis habeant, quo stante nulla adest ratio, cur tam utilis lex a tam longo tempore practicata, aboliri deberet.

Trybunał ziemski tarnowski na sesyi z 21 kwietnia 1807 r. uchwalił jednomyślnie:

intromissiones abrogari non posse, imo easdem iuxta consuetudinem hucusque modalitatem in decr. aul. de dato 16 Ianuarii 1802 & 2 martii (powinno być: maii) 1806 fundatam permittendas esse, ex rationibus:

...pro more antiquitus hic regnorum consueto ad adquirendum ius in re non tantum contractus loc.-cond. vel emti-vend., ast etiam traditio, quae aliter intromissio dicitur, requirebatur; quia vero adpraesens traditio boni alicuius immobilis iuxta § 172 Cod. civ. Pars II per intabulationem iuris adquiritur, intromissio pro eo casu, ubi partes inter se privative pactum ineunt, necessaria quidem non

esset, si modo partes transigentes inter se pacto satisfaciant. Ast cum hic regii fori plures quaerulae iam natae fuerint ex eo, quod nonnulli proprietarii bonorum, non obstante pacto inter se et tertium inito, etiam intabulato, de possessione pro tempore vel in perpetuum competente cedere noluerint, quales casus et in futurum obstringere posse dubitari nequit, eo tum intromissiones iudiciales, si talem pars an per detentionem rei praeiudicatur expetit, omnino necessaria esse videtur (?)

Podobnie jednomyślnie uchwalono w Trybunale stanisławowskim na sesyi z 29 kwietnia 1807 r.:

quod constitutio horum regnorum tum circumstantiae in iis vigentes abolitionem totalem intromissionum haud admittere videantur.

W Trybunale apelacyjnym krakowskim na sesyi z 29 czerwca 1807 r. zdania były podzielone. Referent Dwernicki wnosił, aby intromisye utrzymano. Asesor Weinberg sądził: intromissio arbitrio partium relinquenda. Sprzeciwił się temu jeden z asesorów (Baron Münch-Bellinghausen) argumentując: quod (intromissio) etiam iuxta antiquas leges non fuit necessaria, sed tantum ad adquirendam possessionem pacificam et lucrandum terminum, a quo praescriptio currit, necessariam fuisse, modernis vero in temporibus... etiam absque intromissione iudiciali pacificam a nemine turbatam adquirere possessionem quotidiana docet experientia... Si vendens in possessione existit & bonum emptori tradere vult, tunc facile convocando communitatem ipsi novum dominum cum sufficienti solemnitate monstrare ipsi possessionem cedere debet.

Natomiast wotant Einberg motywował potrzebę utrzymania intromisyj:

1) quia praeter ingrossationem, intabulationem, semper adhuc necessarius est aliquid actus externus ex. gr. traditio clavium, physica rei occupatio, quod si actus iste aliqua solemnitate concommittetur, nihil est, quod opugnet, sed consolidat potius et praesefert mutationem dominii iuxta leges peractam esse;

2) natio Polonica ad has intromissiones ita assueta est, ut eadem non subsecuta, dominium rei adquisivisse non posse reputet;

3) ...non constat, ut propter intromissiones... lites exortae fuissent, fiunt quidem ast vel propter impugnatum dominium vel possessionem... non vero propter peractam solam intromissionem.

Uchwała zapadła większością głosów za utrzymaniem intromisyj.

W tym samym duchu i z podobnych motywów zapadły uchwały w Trybunale ziemskim krakowskim na sesyi z 24 kwietnia i w lubelskim na sesyi z 28 kwietnia, wreszcie i w Trybunale bukowińskim na sesyi z 9 maja 1807 r.

Najobszerniej motywuje zdanie swe Trybunał apelacyjny lwowski, w sprawozdaniu, którem przedkłada zebrane przez siebie opinie sądów podwładnych.

Referent (radca apel. Hipper) wnosił:

a iudice intromissiones in temporaneam vel etiam perpetuam rei immobilis possessionem nonnisi in via executionis ad mentem §§ 402. 403. 422 novi cod. iudiciarii, tum si possessio vi nobilis officii iudicis tutori, administratori, curatori, vel haeredi, vel demum emptori, qui rem immobilem authore praetore emit, tradenda esset, decerni posse, alias autem species iudicialis intromissionis abrogandas esse.

Nam intromissiones his in regnis vigentes originem quidem trahunt ex constitutionibus regni Poloniae atque posterioribus decretis aulicis ddto 31 Oct. 1785 N. 489 Coll. Leg. lit. g., ddto 16 Januar. 1802, ddto 21 Januar. 1803, et ddto 2 Maii 1806 conservatae sunt; ast introducto iam his in regnis Codice iudiciario et civili vigenteque lege tabulari usitatae intromissiones iudiciales exceptis casibus supra memoratis qua superfluae, imo praeiudiciosae, omnino abrogari possunt. Etenim:

a) vi §§ 35. 36. 159. 160 Cod. civ. Pars II omnis titulus rei ab altero acquirendae animo et voluntate tradentis et accipientis, modus vero acquirendi re iuste tradita et acceptata continetur: nihilominus vi §§ 43. 172 Cod. civ. P. II iusta possessio non sola partium voluntate vel rei traditione, sed libris publicis, eum in finem ductis inscriptione adquiritur. Quo facto

b) eiusmodi possessori ipsam rei acquisitae administrationem nchoare intendenti ex parte tradentis aut cuiusdam tertii, vel aliquod impedimentum opponitur, vel nil plane obstat; in posteriori hoc casu nulla sane ratio adest, cur possessor rem adquisitam non ab ipso tradente recipere, sed adhuc seorsivo iudicis effato pro possessore declarari, et qua talis intromitti deberet. Iam vero

c) in casu priori, si videlicet possessio contradicitur, § 40 cod. civ. P. II expresse statuitur, quod talis a competente iudice in via iuris petenda sit, idque eo magis, quod vi § 58 Cod. civ. P. II possessor, qualiscunque sit notae, vi dejici nequeat. Porro

d) id ipsum § 396 Cod. iud. nov. omnimodo correspondent; ibi enim casus, in quibus executio mox decerni valet. omnes recensentur, quin mentio fieret de eo, quod intabulatio documenti tale iudicis decretum constitueret, ut desuper executio decerni posset; secus enim etiam super intabulato chirographo petita executio mox decerni deberet: quod §§-is 396. 397. 398 Cod. iud. et expressis decretis aulicis ddto 3 Octobr. 1785 N. 476 Coll. leg., ddto 11 Sept. 1789 N. 1049· et ddto 12 Octobr. 1790 N. 65 adversatur. Consequenter

e) in casu subintrantis de possessione contradictionis semper praevie ordine praescripto partes percipi, et cognosci debet, atque eotum iam ex decreto iudicis in conformitate § 402, 403, 422 agnitus possessor intromittendus erit. Ex praemissis itaque

f) elucescit, usitatas intromissiones vere superfluas esse; sed tales etiam praeiudiciosas esse, ex eo patet, quod perinde non solum partibus immenses expensae causentur, verum etiam ansa maioribus involutionibus et litibus suppeditetur: nam circa actum intromissionis collimitanei ex officio adcitari, limites monstrari, atque signari, nonnunquam statim rectificari, nonnunquam contradictiones partium audiri, et voluminosa commissionis Prothocolla assumi solent; quae dein iudicis resolutioni substernuntur, ab eo deciduntur, ab hac decisione recurritur, atque revidetur, ex experientia docente, decreta intromissio saepe saepius revocatur, et revocata iterum effectuatur, sicque campus infinitis litibus ab ipso iudice apperitur. Si porro consideretur, quod omnia eiusmodi vasta intromissionis Prothocolla, ex quibus innumera dubia et litigia oriuntur, intabulentur, tum certe evidens est, quod hoc in regno, ubi cum bonis immobilibus quasi commercium exercetur, ubi adeoque vix unus actus intromissionis intabulatus erat, iam alter iterum pro intabulatione exhibetur, paulopost vero utriusque contradictio infertur, et iterum unius alteriusve annulatio tabulis insertur, vigentes hae intromissiones malas sequelas pro se trahunt et pro fundamento multarum litium reputari possint ac debeant. Caeterum

g) praeter casus in via executionis emergentes etiam in casibus, ubi in via nobilis officii iudicis tutori, curatori vel haeredi aut etiam emptori, qui rem authore praetore emit, possessio tradenda venit, intromissio iudicialis omnino locum obtinet; quia eotum ipsemet iudex partem tradentem vi § 160 Cod. civ. P. II et vi decreti aulici ddto 22 Aprilis 1803 repraesentat. Nec demum

h) ea est magni momenti ratio, omnis generis intromissiones

iudiciales conservandi, ut subditis, vel circa intromissionem ad domum inquilinis possessor monstretur eo fine, ut huic obedientiam, censum, aliaque praestanda praestent; quia id ipsum iurisdator circa traditionem valide effectuare potest: et si tamen authoritas cuiusdam instantiae hunc in finem intrare deberet, tum id potius instantiae politicae competeret, cuius officii est, invigilare, ne subditi praeiudiciosis et abolitis praestationibus aggraventur et quis ultimus possessor sit veram informationem capere.

Wniosek i motywy referenta uzyskały głosy tylko pięciu asesorów, dziesięciu zaś, do których przyłączył się prezes, oświadczyło się przeciwnie za utrzymaniem intromisyj w dotychczas praktykowanej rozciągłości.

Uchwała większości opiewała: ut Sacr. Majestati conservatio vigentium legalium his in regnis intromissionum suadentur, salvo § 40 Cod. civ. P. II, nempe si pars iure non victa immissioni contradiceret, pars intromissionem petens, eam via iuris petat et obtineat.

Consuetudo legalis a saeculis his in regnis hucusque persistens fuit sequens: Posteaquam bona alicui vendita, donata fuerint, vendens alienatorum bonorum dabat statim intromissionem per ministerialem (qui ministeriales a iudicio iurati et constituti erant) teste statuto regni anni 1523 Vol. I folio 416, 419, actum intromissionis ministerialis in actis publicis rei sitae recognoscebat. Vi constitutionis regni Vol. I fol. 333 etiam iudicialiter intromissionem petere licuit. Lex anni 1576 Vol. II fol. 940 praescriptionem a tempore intromissionis computandam esse decrevit. Subsequo tempore praeter ministerialem duo nobiles adhibebantur. Haec consuetudo usque ad annum 1780 perstitit. Patentalibus, quibus Tabula R. die 4 martii 1780 erigebatur, intromissiones medio C. R. anteacti Tribunali Leop. in Tabula R. suberat decerni ordinabantur. Praxis modo legalis ea est. Pars intromissionem petens contractum intabulatum tum probationem de informato iuxta legem tradente super facta intabulatione contractus producit. Iudicium intromissionem contractui conformiter medio camerarii disponit. Camerarius, si nullam in fundo oppositionem invenit, bona acquirenti tradit, si oppositionem invenit, ab intromissione abstinet, iudicio de obstaculo refert. Iudicium de peractis partes informat, partem impetrantem ad viam iuris relegat. Haec itaque praxis commoda esse videtur ex rationibus:

a) quod hic usus fundetur in praxi pluribus saeculis hucusque existenti,

b) qnod hic usus iam per decretum aulicum ddto 31 Octobris 1785 medio cuius statuitur, quod circa intromissionem vicini adcitandi, an intuitu limitum aliquid ne fors opponendum habeant, tum per decreta aulica ddto 16 Januarii 1802, 21 Januarii 1803 et 2 Maii 1806 approbatus sit;

c) quod usus intromissionum partibus sit utilis et praesertim in his regnis, ubi plures villae dantur, in quibus sunt quandoque et centeni proprietarii adeoque si tantum idealis per intabulationem traditio sufficeret, confusiones maximae oriuntur et possessionis probatio ipso lapsu temporis redderetur difficilis aut plane impossibilis. Tandem sine ullo processu pars rem suam consequitur. Si enim super qualibet intromissionis petitione contrapars percipi deberet, ex frequenti processuum protractione multarum partium vita brevis foret ad consequendam rei acquisitae possessionem. Nam si unus ad cedendam possessionem iure vinceretur, ille tertio possessionem cederet, ille iterum iure vinci et audiri deberet, et sic in infinitum res duraret;

d) usus modernus nemini nocet, quia si tradens vel possessor adinventus contradicit, pars intromissionem petens vi § 40 Cod. civ. P. II ad viam iuris relegatur;

e) magna differentia est, an tradens in bonis tradendis circa intromissionem vel an in iudicio non contradicit, quia circa intromissionem id fit statim, in iudicio menses aliquando anni labuntur. antequam de voluntate tacita vel expressa tradentis sciri valeat;

f) iure romano, iure antiquo huius regni ad implendum pactum et acquirendum dominium requiritur non ficta sed vera traditio, imo Cod. civ. § 159 P. II hance traditionem requirit, § 40 Cod. P. II dicit, titulum dare ius ad possessionem sed non ipsam possessionem, § 171 Cod. P. II dicit, ad bona immobilia sine tabulis nec per traditionem ius acquiri posse, sed nullibi dicit, ipsis tabulis possessionem acquiri qui diceret id, quod naturae et essentiae possessionis repugnat, adaeque traditio debet extraiudicialis vel iudicialis fieri, iudicialis vero vel contentiosa vel benevola est. Extraiudicialem legi non repugnare nullum dubium est, nec de contentiosa ex partium controversis per sententiam decreti etiam hic non est quaestio, sed hic est sermo de ea benevola, quam iudex ad petitionem partis decernit, et pars tradens huic circa intromissionem non contradicit, et talis

g) est extraiudiciali praeferenda, quia eo casu camerarius

a iudicio delegatus ex parte iudicii tantum testem rei gestae agit, talis actus intromissionis plenam fidem et praesumptionem iustae possessionis pro se habet, iam multum partium interest, plenam probationem possessionis habere, multi enim sunt casus difficilis vel impossibilis probationis;

h) tali modo intromissionis multis praecavetur dolis et fraudibus. Idem est ac si chyrographum non creditor, sed tertius possideret, utique ille aperto creditoris nomine illud chyrographum tertio creditorem non noscenti facile cedere posset. Sic etiam in fraudem tertii posset esse in tabulis dominus et alius bona possidere. Possessor pro habitu dolum et fraudem exercere voleret, partibus enim non omnibus est occasio, videre tabulas, intromissio vero per camerarium facta tabulis semper convenit, et talis traditio a fraude remotior est;

i) iuxta Cod. civ. videtur in aliquibus casibus esse fortius ius possessionis prae intabulatione, ergo partibus nunquam defendi potest, ut sibi de validis probandae possessionis mediis provideant, modus probationis facillimus est per intromissiones sic vi § 609 C. c. P. III possessor non intabulatus ipsa 30 annorum possessione qua dominus in libris tabularibus inscribi potest, imo vi § 622 lapsu tantum temporis extabulari valent.

Consiliarius Gałecki pro voto suo etiam, addidit rogandam esse Majestatem, ut intromissiones conservare dignetur, secus incolae horum regnorum sentient se omni securitate circa possessiones suas manutenendi orbatos esse et quidem ex eo, quod in his regnis instantiae politicae ius Provisoria tribuendi et possessores manutenendi erronee interpretari soleant ita, ut si quis alienum agrum invadat, coaret et inseminet, in sylva violenter ligna secet, Officium Circulare eundem qua ultimum possessorem manuteneat, et cum in possessione manuteneri sit maximum ius, quandoque verus et iustus possessor post plures annos litis possessionem suam recuperare potest... Dabantur etiam in his regnis casus, ubi economus (Verwalter) verum dominum ad possessionem non admisit et Officium Circulare eundem qua possessorem manutenuit. Casus eiusmodi, si Sacratissima Maiestas disponeret, votans consiliarius se indicaturum offert. Interea autem dignetur Sacratissima Majestas clementer reflectere ad quam tristem sortem incolae redigerentur, si adhuc illo iudiciali, et plenam fidem merente intromissionis documento ad probandam in quovis casu invasionis suam iustam possessionem privarentur.

Praeses maioribus votis accessit dicendo, mores et leges maiorum a seculis existentes sine gravi et clare probata necessitate mutandas non esse, nam ea, quae contra intromissiones adferuntur, abusum legis demonstrant, sed haec legi usui legali non nocent, secus omnes leges tolli debent, nulla enim est, cuius abusus non committeretur.

Gdy relacye sądów galicyjskich znalazły się w Najwyższej Izbie Sprawiedliwości, puszczono je w obieg między ówczesnych radców tego Trybunału. W aktach wyżej powołanych Ministerstwa Sprawiedliwości złożono szereg opinij, z których na uwagę zasługują szczególnie opinie tych radców, którzy w poprzedniej praktyce swojej mieli sposobność poznania stosunków istniejących w naszym kraju, a którzy jednomyślnie za utrzymaniem w mocy zwyczaju intromisyj sądowych się oświadczyli.

I tak pisze w swoim wywodzie radca nadw. Ignacy Rottmann [1]: Dążność zbytnia do zrównania prowincyj często wiele złego była przyczyną. Każda prowincya ma swe właściwości, i odmiennie dąży do wyższej kultury. W Galicyi żyje młodszy naród; to, co narodom starszym jest zbędne, w Galicyi może mieć dobry skutek, mianowicie pożądane jest tam większe uzmysłowienie aktu nabycia posiadania, fizyczne, uroczyste wprowadzenie w posiadanie pod powagą sędziego.

Nie wchodzi w subtelną kwestyę prawną, czy intromisye powinny być pozwalane niejako drogą egzekucyi na podstawie dokumentów tabularnych. I za tem zdaniem można przytoczyć argumenty, a nawet Najwyższy Trybunał przyjął tę zasadę w swojem orzeczeniu z 16 stycznia 1802 r. L. 1497. Sądzi jednak, że intromisye, chociażby ich nie opierano na ustawie, bardzo dobrze mogłyby istnieć obok ustawy i dobroczynnie działać dla kraju. Intromisye takie bowiem utwierdzają wiarę i zaufanie. Skoro kto sądownie wprowadzony zostaje, nikt nie może mieć wątpliwości, że co najmniej w owej chwili jego posiadanie nie jest wadliwe. Tym sposobem udaremnia się zarówno gwałtowne wdzieranie się w posiadanie, jak i nieprawne przedłużanie posiadania. Możnaby sobie życzyć, żeby niejedna inna czynność prywatna tylko przed sądem

[1] Tenże, Niemiec z rodu, z okazyi organizacyi sądów w Galicyi Zachodniej z r. 1796, wysłany był do Krakowa jako radca apelacyjny, gdzie przebył lat 10, poczem w r. 1806 zamianowany został radcą nadwornym w Wiedniu. Później w r. 1809 został prezydentem Trybunału ziemskiego we Lwowie.

mogła być dokonywana. Dalej przytacza, że Galicya jest większą od wszystkich innych krajów dziedzicznych, ma o wiele więcej ciał tabularnych, system wydzierżawiania majątków i obrót dóbr pociągają za sobą to, że nieporozumień i sporów, które najczęściej do posiadania się odnoszą, jest więcej, aniżeli gdzieindziej. Znosząc intromisye podanoby podstępnym posiadaczom jeszcze więcej środków kontynuowania niecnych praktyk; pewnem jest bowiem, że sprawa poruszona przy sposobności zakwestyonowanej intromisyi daleko szybciej załatwiona bywa, aniżeli załatwić ją może formalny proces albo egzekucya wyroku.

Odnośnie do licznych nieruchomości w Galicyi dużo jeszcze jest takich spraw, które wymagają uporządkowania. Otóż takie uporządkowanie intromisye częścią przygotowują, częścią sprowadzają. Władza polityczna wgląda w inwentarze, sprawdza wysiewy i daniny, pożytki i ciężary, poddanych upomina się do posłuszeństwa, oficyalistom przypomina się przepisy. To wszystko są czynności, które w innych krajach mogą być zbędne, w Galicyi zaś bezwarunkowo są potrzebne, a niezawodnie pożyteczne. Zwraca dalej uwagę na to, jak silny wpływ na ludzi wywierają dawne uświęcone zwyczaje. Intromisye praktykowane bywają od XIV wieku. Mieszkańcy tak dalece nie mogą się od nich odzwyczaić, że żądają ich dobrowolnie, nie szczędząc niemałych kosztów, chociaż wiedzą, że ustawa ich do tego nie zmusza. Dla czegóż ustawa miałaby ich pozbawiać tego, co im daje pewne uspokojenie, a dla administracyi państwa nie jest uciążliwe, przeciwnie dla spraw publicznych nawet pożyteczne? To, co przeciw temu przytaczano, odnosi się do nadużyć, a nie dowodzi szkodliwości samej instytucyi. Nie może być to jednak powodem odrzucenia samej czynności urzędowej, inaczej bowiem znieśćby trzeba niejedną ustawę z powodu, że niekiedy mogłaby być nadużywaną.

Jeżeli nadto wszystkie sądy i apelacye w kraju uznawają zniesienie tej nieszkodliwej formalności za niepożądane, to tem mniej możnaby doradzać jej zniesienia, że i kodeks cywilny wszelkie nabycie czyni zależnem od oddania i odebrania (§ 159. 172 II). Jak z jednej strony pewnem jest, że wystarczy pozasądowe oddanie, tak pewnem jest także, że ustawa nie zakazuje oddania przez sędziego, jeśli o nią prosi strona dla swego uspokojenia. Komornik, których w kraju jest dostateczna ilość, działa tu niejako w charakterze

świadka, którego stwierdzenie, że nastąpiło objęcie fizyczne, ma zupełną moc dowodową...

W końcu Rottmann dochodzi do wniosku, że wprawdzie intromisyj sądowych nie należy uznawać za konieczne, lecz należy ich dozwalać na żądanie strony interesowanej. Co do zarządzeń, jakie byłyby wskazane celem zapobiegania nadużyciom, wskazuje na dwa zasadnicze orzeczenia, mianowicie z 16 stycznia 1802 r. L. 1497, które mieści w sobie wskazówkę, że wprowadzenie w posiadanie na podstawie intabulowanego dokumentu jest rodzajem egzekucyi, a może być dopuszczone, jeśli wykazane zostanie, że uchwała zarządzająca wpis stronie drugiej doręczona została i że termin do sprzeciwienia się minął, i na takież orzeczenie z 2 maja 1806 r., które stanowi, że gdyby ktoś trzeci sprzeciwiał się wprowadzaniu nabywcy w posiadanie, komornik intromisyi zaniechać i sądowi o tem relacyę złożyć winien, a sąd po odbytej ustnej rozprawie wydać ma orzeczenie.

Podobnie oświadczył się za utrzymaniem intromisyi Franciszek Ludwik hr. Fürstenbusch [1]. Twierdzi on w swej opinii, że intromisye sądowe nie są szczególną właściwością ustawodawstwa polskiego, lecz że w dawniejszych czasach były w użyciu także i u innych narodów europejskich, jak w Niemczech, we Francyi i są dotąd jeszcze ustawami przepisane w Węgrzech. Były one w czasach dawniejszych konieczne dla ochrony prawnego posiadania przed samowolnem naruszeniem, a jakkolwiek tam, gdzie istnieją uregulowane księgi gruntowe, zadanie to spełniają obecnie te księgi, to intromisye sądowe przynoszą mimo to stanowczy pożytek, ponieważ: a) stwierdzają wiarogodnie prawdziwy stan faktycznego posiadania, w którym to celu nie zawsze wystarczy sam wpis; b) stanowią urzędowy publiczny środek dowodu na okoliczność, komu, kiedy i co w posiadanie zostało oddane, taki dowód zaś jest bardzo ważny przy procesach między sprzedawcą a nabywcą, właścicielem a dzierżawcą i t. p.; przygotowanie takiego dowodu zdoła zapobiedz procesom, a w każdym razie wpłynie na ich uproszczenie i krótsze trwanie. Twierdzi dalej, że przez intromisye tylko takie spory mogą być wywołane, które musiałyby powstać i bez intromisyj później lub

---

[1] Był on radcą gubernialnym i starostą w Tarnowie, poczem w r. 1797 powołany został do galicyjskiej kancelaryi nadw., a w r. 1804 do Najw. Izby Spraw. w Wiedniu.

prędzej, a byłyby wówczas trudniejsze i bardziej zawikłane. Te korzyści intromisyj sądowych tem bardziej objawić się muszą w Galicyi. Wobec małej dawniej wartości, można powiedzieć bezwartości zbędnych i nieużywanych gruntów, wobec niezmiernego rozdrobnienia większych majątków ziemskich skutkiem działów spadkowych, wobec oddawania dóbr wierzycielom w zastaw, a nadto wobec licznych wojen i niepokojów wewnętrznych, granice dóbr są tam powikłane i niewyraźne. Intromisye zdolne są nastręczyć sposobność do ich sprostowania i uregulowania. Intromisye polegają w Galicyi na dawnych wyraźnych przepisach ustawowych, w całej dawnej Polsce były one zwyczajem przez wieki utrwalonym, do dziś dnia w tych częściach, które przypadły Rosyi albo tworzą Księstwo Warszawskie, poczytywane są za konieczne do nabycia posiadania. Wobec licznych stosunków z ościennemi państwami zniesienie intromisyi byłoby nowością niebezpieczną.

Strony, mające oddawać lub odbierać dobra ziemskie, żyją rozrzucone po rozległej Galicyi, a nawet pod obcymi rządami i często nie mogą zjeżdżać na miejsce celem oddawania pozasądowego. Nie chcąc zaś powierzać tego aktu dowolności pełnomocników, czują potrzebę interwencyi sądu, do którego mają zaufanie. W pośród takich okoliczności zniesienie intromisyj tem mniej byłoby wskazane, że także i w innych prowincyach sam wpis nie zawsze wystarcza do nabycia posiadania, lecz jeszcze innych potrzeba formalności, jak n. p. t. zw. »Aufsandung« w Austryi. Obowiązujący w Galicyi kodeks nie zabrania intromisyj sądowych, a § 172 II wymaga obok wpisu także oddania. Podług §§ 42 i 44 II przez wpis nabywa się tylko prawo do posiadania, prawdziwe posiadanie, t. j. władza rozrządzania istotą i pożytkami rzeczy, jest jednakże właściwym celem nabycia, który osiągnąć można tylko przez rzeczywiste zmysłowe objęcie przedmiotu. Byłoby więc niesłusznem i niesprawiedliwem, gdyby sędzia odmawiał nabywcy wprowadzenia w posiadanie, któregoby mu później w postępowaniu wykonawczem odmówić nie mógł. Nie uniknionoby tem procesów, lecz owszem pomnożonoby je, a prawny nabywca byłby zmuszony do prowadzenia procesów i uzyskania wyroków, których wykonanie po latach często mogłoby być dlań bezprzedmiotowe.

Krócej motywowali swe zdanie, lecz niemniej stanowczo żądali utrzymania intromisyj radcy dworu: Marischler [1], Schep-

[1] Franciszek Marischler von Rottensheim, od r. 1787, w którym został

pel i Heinrich [1]. Pierwszy przestrzegał przed skasowaniem zwyczaju za którym oświadczyły się wszystkie w kraju sądy i powoływał się na cytowaną wyżej rezolucyę z r. 1785, drugi przytaczał, że urzędowe wprowadzanie nabywcy w posiadanie dóbr ziemskich było także i w Czechach w zwyczaju, a chociaż później nie przestrzegano uroczystości przedstawiania nowego nabywcy poddanym i t. p., to jednak żądano interwencyi władzy obwodowej choćby już tylko dlatego, ażeby pozbyć się odpowiedzialności za t. zw. fundusze kontrybucyjne.

Jedynym. który sprzeciwił się utrzymaniu intromisyj, był radca dworu Purtsche, który w r. 1807 był radcą apelacyjnym we Lwowie i tam już przeciw ówczesnej uchwale założył w tej sprawie votum separatum.

Wbrew jednomyślnej opinii wszystkich Trybunałów krajowych i większości członków Najw. Izby Sprawiedliwości, Komisya nadworna dla spraw prawodawczych postanowiła intromisye, poza przypadkami egzekucyi wyroków sądowych, skasować.

Z wyciągu obrad tejże komisyi z dnia 18 lipca 1811 r. dowiadujemy się o motywach tego zarządzenia.

Podług zdania komisyi prawodawczej intromisye w tym rodzaju i w tej rozciągłości, w jakiej je praktykowano w Galicyi: a) niezgodne są z systemem powszechnych ustaw, b) są bezcelowe i c) w niektórych względach szkodliwe.

Ad a) Gdyby prawodawca był uznał takie intromisye za pożądane i pożyteczne, byłyby one niewątpliwie zaprowadzone nie tylko dla dóbr tabularnych w Galicyi, lecz objęte powszechnemi ustawami, a co najmniej nowo sankcyonowanym kodeksem cywilnym. Lecz tak dawniej, jak i dzlsiaj przy układaniu nowego kodeksu przyjęto zasadę, że ingerencya sędziego przy czynnościach osób prywatnych własnowolnych powinna nastąpić tylko w przypadkach spornych. W jakimże celu mogłaby się przydać ingerencya sędziego przy określaniu granic, skoro strony w swoich kontraktach mogą

protokolistą rady w Trybunale ziemskim w Tarnowie, przebywał w Galicyi przez lat 17, od r. 1797 jako radca apelacyjny. W r. 1805 został radcą nadwornym w Wiedniu.

[1] Jan Scheppel i Jakób Heinrich, rodem Czesi; pierwszy był jednym z wybitnych członków komisyi prawodawczej do kodyfikacyi ust. cyw. ceniony szczególnie jako znawca instytucyi ksiąg gruntowych i autor kilku dzieł prawniczych.

i powinny je należycie określić, a przy czynności intromisyjnej w sposób dokładny określić ich nie podobna?

Ad b) Poza przypadkami egzekucyi intromisye są bezcelowe. Nie nadają bowiem żadnego prawa, lecz służą tylko do egzekucyi tegoż, która potrzebna się okazuje tylko w przypadkach sporu lub nieprawnego zaprzeczenia. Mogą być one z natury rzeczy i po myśli wskazówek, wydanych w latach 1802, 1803 i 1806, dozwolone tylko przeciw temu, dla którego z umowy lub wyroku bezpośrednio powstało jakie prawo, nie mogą więc odnosić skutku przeciw osobom trzecim, jako res inter tertios gesta. Komornik graniczny nie ma nawet prawa zwoływania sąsiadów lub poddanych. Zwoływanie takie byłoby nadto bezcelowem, bo jeśli zawezwani zgadzają się na żądane prawo posiadania, to prawo to nabyte zostaje nie skutkiem intromisyi, lecz skutkiem zgody interesowanych. Jeśli zaś temu prawu się sprzeciwiają, albo do aktu intromisyi nie staną, to zaprzeczone prawo posiadania przyznane być nie może, lecz sprzeciwienie się oddane być musi pod decyzyę sędziego. Nie uchodzi także bronić intromisyj tem, że komornicy mają przytem sposobność dochodzenia, czy zwierzchność nie dopuściła się nieprawnego uciskania poddanych lub nadużyć w sprawach sierocych lub kontrybucyjnych i że mogą w takich przypadkach donosić o tem władzy obwodowej. Gdy bowiem władze obwodowe mają obowiązek dochodzenia takich nadużyć przy corocznych objazdach, nie potrzeba w tym celu spółdziałania komornika, do którego zakresu tego rodzaju czynności nie należą, a który owszem wykonywać ma tylko polecenia sądowe. Kto chce prostować swoje granice albo dochodzić swych praw przeciw poddanym lub sąsiadom, zwrócić się powinien bezpośrednio do nich, a to bądź pozasądownie, bądź sądownie, lecz w tym ostatnim przypadku nie drogą intromisyi, która jest tylko czynnością wykonawczą i bezpośrednio ich nie obchodzi, lecz drogą zwyczajnego procesu.

Ad c) Zawikłane procesy, jakie wywiązywały się z czynności intromisyjnych, stały się już przed kilku laty powodem, że Najw. Izba Spraw. poruszyła kwestyę ich zniesienia. Czynności te, pomijając już, że są bardzo kosztowne, dają sposobność i podniecają chęć do przywłaszczania sobie posiadania. Jeżeli twierdzono, że spory takie nigdy uniknąć się nie dadzą, to jednak pozostaje prawdą, że intromisye dają stronom sposobność do podnoszenia roszczeń

i wzniecania procesów takich, o którychby zresztą może nawet nie myślały.

Na podstawie tych argumentów w nadwornej komisyi prawodawczej większością głosów zapadła uchwała:

»że intromisye przez komorników granicznych, poza przypadkami egzekucyi, jako nieuzasadnione w żadnej ustawie i nie istniejące w żadnej innej dziedzicznej prowincyi niemieckiej, skasować należy całkowicie także i w Galicyi«.

Przeciwnego zdania byli tylko radcy dworu Scheppel i radca baron Gärtner, którzy sądzili, że, ze względu na szczególny ustrój kraju i charakter narodu polskiego, całkowite zniesienie intromisyj nie jest wskazane i należałoby, odpowiednio do opinij władz krajowych, ze stosunkami miejscowymi i właściwościami narodowemi dokładnie obznajomionych, pozostawić ten zwyczaj nietkniętym aż do wydania nowej procedury w sprawach spornych i niespornych.

Wkrótce po uchwale komisyi prawodawczej wyszedł dekret nadworny z 2 sierpnia 1811 r. N. 952 zb. u. s., który mieści w sobie dosłownie treść tejże uchwały.

Po wydaniu tego dekretu jeszcze raz w kraju podjęto usiłowania, aby ocalić intromisye przynajmniej w zastosowaniu do miejskich realności i do posiadłości poddanych. Z inicyatywy sądów krajowych Trybunał apelacyjny wystosował zapytanie do Wiednia, czy dekret z 2 sierpnia 1811 r. ma mieć zastosowanie także do takichże realności. Lecz i ta próba zawiodła. Dekretem nadwornym z 13 listopada 1813 r. N. 1013 zb. u. s. objaśniono, że dekret powyższy odnosi się do wszelkich jakiegokolwiekbądź rodzaju nieruchomości.

W ten sposób zniknął ostatni ślad prawodawstwa polskiego w tej materyi.

Stanisław Konarski jako poeta i filozof.

Z dawniejszych wykładów uniwersyteckich o literaturze polskiej XVIII wieku.

Napisał

Józef Tretiak.

Przebiegając w myśli długi szereg znakomitych ludzi, pisarzy i reformatorów, których wydała Polska w XVIII wieku, dostrzegamy w nich wszystkich — z bardzo nielicznymi wyjątkami — obok najlepszej chęci, rozsądnej myśli, pożytecznych usiłowań i wysokich zdolności — dostrzegamy pewnego braku energii, braku męskiej stanowczej woli, braku tego, co stanowi siłę charakteru. Jednym z nielicznych wyjątków, o których wspomniałem, jest Stanisław Konarski. Jest to przedewszystkiem wielki charakter, gorąca wola, przejęta jedną myślą, skierowana ku jednemu celowi, którym jest dźwignięcie ojczyzny z anarchii, wyprowadzenie jej z ciemnoty, zreformowanie społeczeństwa. Można śmiało powiedzieć, że nie ma w dziejach naszych drugiego człowieka, któryby, na tak skromnem stojąc stanowisku, tyle zwalczył, tyle dokazał, tak obfitym mógł się pochlubić owocem swej pracy. Reforma polityczna, reforma literacka, reforma wychowania, oto trzy wielkie dzieła tego prawdziwie wielkiego człowieka. Wprawdzie na każdej z tych trzech dróg jeszcze przed nim odzywały się głosy, wskazujące zło, domagające się naprawy, ale żaden z tych głosów nie miał ani ćwierci, ani dziesiątej części tej siły przekonania, tej mocy płynącej z gorącego serca i jasnego rozumienia rzeczy, a stąd i tej trafności i skuteczności, co głos Konarskiego.

To też wpływ jego na społeczeństwo nieobliczony. Nie ogranicza się on na tem, że Konarski pchnął naród naprzód na wszystkich niemal drogach, ale że i umiał powstrzymać ten ruch postępowy tam, gdzie on groził zdrowiu społecznemu małpiem naślado-

wnictwem współczesnej filozofii francuskiej. On pierwszy dał hasło całemu zastępowi światłych i zdolnych pisarzy do utrzymania środka na drodze, wiodącej od przesądów, zabobonów, ciemnoty i nietolerancyi czasów saskich do płytkiego ubóstwienia rozumu i chełpliwej bezbożności francuskich pisarzy. Najlepiej to hasło zrozumiał i pochwycił Krasicki i pozostał mu wiernym w długim i sławnym swoim zawodzie poetyckim. To też jakkolwiek nie w szkołach pijarskich się kształcił, można go przecież nazwać uczniem Konarskiego, do czego zresztą i sam on przyznaje się poniekąd w znanym swym wierszu: »Nagrobek Stanisławowi Konarskiemu«:

Ten, co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił.

Tak, poezya Krasickiego, wieńcząca pamięć wielkiego reformatora, była laurem, przez tegoż reformatora zaszczepionym.

I.

Mając omawiać poetycką działalność Konarskiego, z góry zaznaczyć trzeba, że poezya była dla niego wyłącznie narzędziem reformatorskich dążeń. Odmówić mu zupełnie talentu poetyckiego nie można, ale formą artystyczną, poetyckim stylem władał nieudolnie, i podczas gdy jego proza polska prawie wszędzie łączy płynność i jasność z siłą wyrażenia, wiersz polski jest zwyczajnie niedołężny, bardzo rzadko, w bardzo nielicznych ustępach staje się wymownym. Czuł zapewne sam Konarski, że słabo włada wierszem polskim, skoro wszystkie swoje liryki pisał po łacinie. Część ich wyszła za życia autora w r. 1767 p. t. »Opera lyrica«, reszta po jego śmierci, jako »Carmina posthuma« (1778). Przetłómaczone wielokrotnie przez jego uczniów i przyjaciół na język polski, wydane zostały w tych przekładach w pięć lat po śmierci ich autora, w r. 1778.

Liryki Konarskiego są to przeważnie okolicznościowe wiersze treści politycznej lub moralnej, po większej części zwrócone do jakichś znakomitszych osób współczesnych. Pomiędzy temi osobami spotykamy: ze starszych, Jana Wielopolskiego, wojewodę sandomierskiego, Grabowskiego, biskupa warmińskiego, Wacława Rzewuskiego, wojewodę krakowskiego, Józefa Jabłonowskiego, wojewodę nowo-

gródzkiego, a z młodszych, Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, i Ignacego Potockiego. Są i cudzoziemcy: Aranda, niegdyś poseł hiszpański w Warszawie, potem naczelny wódz sił hiszpańskich w wojnie z Portugalią, i Durand, poseł Francyi przy dworze polskim. Ale najwięcej tych ód i wierszy zwraca się ku Stanisławowi Augustowi, i te są przeważnie najciekawsze.

Stanisław August wstępował na tron jako przedstawiciel stronnictwa reformy. Wprawdzie elekcyę jego popierały bagnety rosyjskie, ale tę pomoc uważali patryoci ze stronnictwa reformy jako niezbędne rusztowanie, które miało być odrzuconem, jak tylko miał stanąć gmach nowego urządzenia Rzpltej. Już podczas bezkrólewia 1764 r. pisze Konarski pieśń o mądrym królu, w której daje wzór monarchy takiego, jakiego Polska potrzebuje. W tych radach wierszowanych, dawanych przyszłemu królowi, jakkolwiek są one ogólnikowe, jest wiele mądrych wskazówek. Przedewszystkiem żąda Konarski silnej władzy wykonawczej: niech w tej niekarnej dotąd Rzeczypospolitej żaden grzech, żadna zbrodnia nie uchodzi bezkarnie; niech następnie przyszły władca przykłada wszelkich starań, aby zakwitnęły nauki, aby się podniosły rękodzieła i rozwinął handel, wzrosło bogactwo narodowe. Dla obrony zaś tego bogactwa i w ogóle bezpieczeństwa narodu, potrzeba myśleć o silnem wojsku i gotować się do wojny, i to nie wtedy, kiedy ta już zagląda do granic, ale podczas pokoju. Niech ów przyszły król wznosi świątynie, szkoły, twierdze, buduje drogi i mosty, ozdabia mieszkanie przodków, niech nawet bawi oczy poddanych okazałemi wód igrzyskami w swoich ogrodach, ale, nic nie żałując na cele publiczne, niech dla siebie będzie oszczędnym i niech patrzy na to, aby nigdy rozchód nie prześcigał dochodu, i aby dworskie myszy nie rozkradały jego mienia. Pracując nad pomnożeniem tego mienia, niech nie uciska kmiecia nowymi ciężarami, i owszem, niech stara się ulżyć mu w jego doli, niech pamięta, że nie jest królem dla jednego stanu, ale wszystkie ma ogarniać swoją opieką.

Taki ideał, nakreślony ręką zasłużonego Pijara-reformatora, miał przed sobą Stanisław August, wstępując na tron. Ideał ten zgodny był niemal we wszystkiem z dążeniami Familii, i nowy król w istocie starał się go spełnić, ale wobec trudności zewnętrznych, politycznych, niezdolny był spełnić go w całości, i w rzeczach najważniejszych, od których sam byt państwa był zależny, dał się skrępować swoim sprzymierzeńcom zagranicznym, którzy mu do

wstąpienia na tron dopomogli. Co gorsza, nie spełnił tego, co mógł był spełnić, przez nikogo niekrępowany: nie był oszczędnym dla siebie i nie stosował się do rady sędziwego Pijara, aby nigdy rozchód nie przewyższał dochodów.

To był pierwszy wiersz Konarskiego, poświęcony królowi, jeszcze nienazwanemu imiennie, bo jeszcze nieobwołanemu królem. W dalszych latach wielokrotnie przemawiał Konarski do króla, korzystając, wzorem ówczesnych poetów, z rozmaitych takich sposobności, jak rocznice elekcyi, koronacyi, jak imieniny lub urodziny królewskie, wreszcie z takiej sposobności, jaką miało niewielu poetów, ze sposobności otrzymania złotego medalu od króla za naukowe zasługi. W wierszach Konarskiego do króla nie ma takich kłębów kadzidła, jak w wierszach Trembeckiego lub Naruszewicza; między nim a tymi poetami była ta walna różnica, że on od króla nie miał nic do żądania dla siebie, żadnych godności duchownych, o które inni tak się ubijali (wszak i Trembecki wyciągał rękę po infułę), nie pożądał i nie przyjmował, wdzięczny mu był tylko za publiczne uznanie jego zasług. To też w tych wierszach nie uwielbienie króla jest głównem zadaniem, ale raczej zachęta, aby nietracił odwagi w trudnych okolicznościach. Konarski w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta nie miał jeszcze sposobności poznać charakteru jego dokładnie, i nie przypuszczał, że tak blizką była pierwsza katastrofa polityczna. W wierszu na dzień urodzin królewskich 1770 r. Pallas zapytuje Jowisza, dla czego wbrew nadziejom same klęski spadają na króla i naród, któremu on panuje, a Jowisz odpowiada, że przyczyną tego są grzechy narodu, złe sądy, ciemiężenie ludu, przedajność posłów, rwanie sejmów i t. p. Ale te klęski są tylko chłostą, która ma sprowadzić poprawę i jeszcze silniej zahartować umysł królewski, a ten król, który skrycie gardzi tronem, myśląc tylko o szczęściu ojczyzny, doczeka się nareszcie dni pogodnych dla siebie i dla narodu, dni, w których zasługi jego zajaśnieją przed całym światem.

Na nieszczęście król nie był takim, jakim się wydawał Konarskiemu. Wprawdzie hasło tego ostatniego: »cierpliwości i odwagi« było ciągle na ustach królewskich, jak o tem z korespondencyi jego współczesnej z panią Geoffrin łatwo się przekonać, ale nie można o nim powiedzieć, aby w tych ciężkich czasach, kiedy pękały stare mury Rzeczypospolitej i groziły runięciem, Stanisław August wyłącznie i jedynie myślał o sprawie publicznej, a tem

mniej, aby gardził w skrytości tronem, który i owszem miał dla niego wiele ponęty, był niejako sceną dla jego teatralnego usposobienia i którego on, wbrew wszelkim przykrościom i zniewagom, trzymał się oburącz wszelkiemi siłami. Nie spełniła się też i przepowiednia Konarskiego o blizkiej pogodzie. Następny rok (1771) był rokiem zamachu na króla, dwa dalsze lata (1772 i 3) latami pierwszego rozbioru Polski. Zamach na króla, który poruszył tyle piór za i przeciw królowi, który wywołał tak obfitą literaturę, pobudził sędziwego Konarskiego do napisania nie poetyckiego utworu, ale prozaicznego sprawozdania z tego wypadku p. t. »Boskiej Opatrzności dowód, Uwaga nad niebezpieczeństwem życia Najj. Pana« (toż samo po łacinie: »Providentiae divinae argumentum«), gdzie bardzo szczegółowo opowiedziany jest ów wypadek, i przedstawiony jako dowód szczególnej opieki Boskiej nad królem.

Od tego czasu aż do niedalekiej swojej śmierci nie przemawiał Konarski publicznie, czy to prozą, czy wierszem do króla. Wypadki r. 1772 głęboko wstrząsnęły jego duchem i bardzo być może, iż śmierć jego przyspieszyły. Tym to wypadkom poświęcił ostatni swój utwór liryczny. W tym roku żenił się jeden z jego uczniów, jeden z byłych konwiktorów warszawskiego collegium, który miał we dwadzieścia lat potem tak znaczącą odegrać rolę polityczną, żenił się Ignacy Potocki z Elżbietą księżniczką Lubomirską. Na tę uroczystość stojący nad grobem starzec napisał odę, która, pod wrażeniem współczesnych wypadków politycznych, zamieniła się w elegię polityczną. Pochwała młodej pary stosunkowo mało zajęła tu miejsca, natomiast nieszczęścia ojczyzny wywołały obfity wylew uczuć patryotycznych, które właśnie dla tego, że głębokie i gorące, w łacinie kutej czy lepionej na wzór Horacego nie znajdowały godnego dla siebie naczynia. Ale warto podziwiać tę śmiałość, z jaką Konarski, w czasach powszechnego upadku ducha i lękliwości wobec przemocy rosyjskiej, występuje przeciw roszczeniom zaborców, strojącym się w pozór prawa, i jak piętnuje te roszczenia. Nie karci on już tutaj narodu, ale bierze go w obronę wobec obłudnych zarzutów, że niezgodny ten naród mięsza i kłóci pokój u sąsiadów. Wszakże to wy podżegacie tę niezgodę, odgrywając tym sposobem rolę wilka wobec jagnięcia, pijącego wodę. Rozum wam doradza, mówicie, nie pozwalać, aby naród, niechętny dla was, wzmógł się; powiedźcie lepiej po prostu, że to wam chciwość wasza tak doradza. Tak otwarcie, jawnie, prosto w twarz

potężnym wrogom, którzy gospodarowali w Polsce, jak w swoim kraju, nie odważał się mówić ani Naruszewicz [1], ani Krasicki, ani tem mniej Trembecki.

Z pomiędzy innych lirycznych wierszy Konarskiego zasługuje na szczególną uwagę wiersz, który w polskim przekładzie X. Szostowicza nosi tytuł: »Gniew na bezbożnego poetę, ktokolwiek on jest, co pisał wiersze o trzęsieniu ziemi w Lizbonie« [1]. Tym nienazwanym bezbożnym poetą jest Wolter, a tym utworem jego »Poème sur le désastre de Lisbonne« rzecz, napisana wkrótce po straszliwej katastrofie, która w r. 1755 nawiedziła Lizbonę i wywarła ogromne wrażenie na współczesne umysły. Nie był to jeszcze najbezbożniejszy wiersz Woltera, autor występował tu tylko, jako skończony sceptyk, mianując się uczniem Bayle'a:

J'abandonne Platon, je rejette Epicure,
Bayle en sait plus qu'eux tous; je vais le consulter...

i chciał tylko wynicować teoryę filozofii Leibnitza, głoszącą, że wszystko, co się dzieje, jest dobrem, teoryę, którą wyśmiewał nieraz, a najgłówniej w »Kandydzie«. Obrażał jednak i tutaj uczucia religijne tak silnie, że wywołał sławną odpowiedź Russa w obronie nieśmiertelności duszy. Wolter, jak wiele innych utworów, tak i ten wydał bezimiennie, ale autorstwo było współczesnym dobrze znane, i Konarski wiedział bez wątpienia, do kogo mówi, chociaż nie nazywał po imieniu przeciwnika. Ta odprawa, dana Wolterowi, najlepiej nas przekonywa, jak gorącemi były uczucia religijne Konarskiego. Przyznając Wolterowi nadzwyczajną siłę rozumu i niezrównany talent poetycki, jednocześnie z najszczerszem i najgłębszem oburzeniem ciska nań przekleństwa za to, że śmie targać się na prawodawczą władzę Boga i odbierać nagrodę cnocie. Przeczy on temu, żeby cnotliwi więcej od niecnotliwych doznawali nieszczęść, żeby zbrodnia mogła się pogodzić ze szczęściem, przypomina mu wyrażenie Horacego o pomście dybiącej za zbrodniarzem (Raro antece-

[1] Naruszewicz napisał z tej samej okazyi Sielankę (II) na Akt weselny Ign. Potockiego Pisarza W. X. Lit. z Księżniczką Elżb. Lubomirską, Marszałkówną Koronną, i w niej chciał naśladować Szymonowicza. Jest i tutaj alluzya do wypadków współczesnych, ale bardzo słaba.

[2] W oryginale: In impium poetam. Quicunque sit autor carminis de terrae motu Ulyssiponensi.

dentem scelestum — Deseruit pede Poena claudo, Lib. III c. II), i zastosowuje ten poetyczny aksyomat do samegoż Woltera.

Nie tylko liryki używał Konarski, jako narzędzia pedagogicznego i politycznego, ale także i dramatu. W kollegiach jezuickich dyalogi były ulubioną zabawą uczniów, a pisane przez Ojców, miały charakter taki, jak i cała poezya i wymowa jezuicka czasów saskich. Pełne były cudowności, napchane allegorycznością, a za zadanie główne miały nastrajać ku uwielbieniu życia zakonnego. Temat czerpały zwykle albo z Pisma św., albo z historyi Kościoła i żywotów świętych. Konarski, reformując szkoły pijarskie, widział, jak silnem narzędziem w ręku Jezuitów są owe dyalogi, narzędziem nie tylko do przyciągania uczniów ku sobie, ale i do oddziaływania na nich, i postanowił sam użyć tego narzędzia w swoich szkołach. Myśl tę już w parę lat po założeniu konwiktu szlacheckiego zaczął wprowadzać w życie, a w r. 1746 zaczął stawiać teatr przy kollegium Pijarów w Warszawie. W r. 1750 teatr ten został otwarty i co rok w czasie karnawału odbywały się tam przedstawienia, w których występowali uczniowie kollegium.

Ale Konarski naśladował Jezuitów tylko w tem, że użył teatru jako środka pedagogicznego; w wyborze sztuk, w kierunku wpływu, jaki ów teatr miał wywierać, był on tak samo reformatorem, jak i w innych sferach swej działalności. Nie dziwaczne, po większej części niedorzeczne, suchym morałem naszpikowane dyalogi w rodzaju dawnych jezuickich chciał Konarski przedstawiać na swojej scenie, ale takie sztuki, któreby budziły szlachetne, obywatelskie uczucia w młodzieży, zaznajamiały z wybitnemi postaciami historycznemi, kształciły rozsądek i smak estetyczny. W tym celu zwrócił się do teatru francuskiego, gdzie wybór był tak obfity i sam wiele tragedyj francuskich, stosownych dla młodzieży, przełożył na język polski, między innemi: »Polieucte'a« Kornela i »Śmierć Cezara« Woltera [1]. Tłómaczono też i grano u Pijarów tragedye Woltera: »Zairę i Alzirę« i Józef Potocki, hetman w. kor., obecny na przedstawieniu tych sztuk, tak był tem przedstawieniem zachwycony, że wyznaczył wieczystą fundacyę na przedstawienie dramatów w języku polskim na scenie Pijarów.

Konarski nie poprzestał na samych przekładach, ale napisał

[1] Bielski Szymon, Vita et scripta quorundam e congregatione Scholarum Piarum, Varsaviae 1812.

podług wzorów francuskich oryginalny utwór dramatyczny, który, niewydany za życia autora, przechował się w rękopisie i dopiero w r. 1880 ogłoszony został drukiem przez dr. Nowakowskiego. Utwór ten ma tytuł: »Tragedya Epaminondy«.

Główną postacią tragedyi, jak sam tytuł wskazuje, jest bohater tebański Epaminondas. Rzecz dzieje się w Tebach, nazajutrz po powrocie Epaminondasa do Teb po zwycięskiej bitwie pod Leuktrą. Lud gotuje mu tryumf, przyjaciele jego cieszą się z jego powrotu i wielbią przymioty skromnego bohatera. ale Epaminondas ma i nieprzyjaciół w mieście, a na ich czele stoi Meneklid i syn Pelopidasa, Polimnos. Epaminondas, dla ocalenia ojczyzny od pewnej zguby, nie usłuchał przesłanych sobie przed bitwą rozkazów, aby złożył w inne ręce dowództwo, ale zatrzymał dowództwo, aby odnieść niebawem zwycięstwo. Korzystając z tego, jego nieprzyjaciele głoszą, że Epaminondas, jako buntownik, jako naruszyciel praw kraju, nie na nagrodę, nie na tryumf zasłużył, ale na karę i podburzają lud przeciw niemu. Na tem się kończy akt pierwszy, zawierający w sobie jasną, udatną ekspozycyę sztuki. W akcie drugim ukazuje się sam Epaminondas i w rozmowie z przyjacielem, Pelopidą, dowiaduje się o tryumfie, który dla niego gotują. Tryumfu tego on nie chce przyjąć, nie chce dawać ludowi przykładu wyniosłości, zresztą spełnił tylko swój obowiązek i do żadnej nadzwyczajnej nagrody nie ma prawa.

Gdym Spartanów i Leuktry obaczył płaszczyznę
W myśli nie miałem nic, tylko ojczyznę.
Nie myślałem o bramach, posągach, kolosach,
Wozach, ni o laurami przeplatanych włosach,
Samą wolność i sławę Teban miałem w myśli,
Nie to, co rzekną o mnie niniejsi i przyszli.

Jak odrzucił tryumf, tak odrzuca ofiarowaną sobie przez posła Dyomedona przyjaźń króla perskiego. W dalszych scenach dowiaduje się Epaminondas, że wśród ludu, który gotował się urządzić mu tryumf, nagle zapanowało oburzenie przeciw niemu, że poduszczony przez Meneklida odgraża się na nieposłusznych wodzów, i że na placu obrad wywieszono tablicę z wypisanem na niej prawem, iż ktokolwiek przetrzyma nad termin władzę wojskową, ma za to głową odpowiedzieć. Epaminondas przyjmuje tę wiadomość spokojnie, bo sumienie mu nic nie wyrzuca. On wie, że naruszył prawo, ale wie także, że nie było innego sposobu ocalenia ojczyzny. Kiedy

sobie przypomnimy, jaką to walkę staczał Konarski z obrońcami »liberum veto«, którzy je uważali za źrenicę wolności, za odwieczne prawo, którego zniesienie, nawet ograniczenie było dla nich zbrodniczem naruszeniem prawa, to w słowach Epaminondasa znajdziemy niejedną wyraźną alluzyę do ówczesnych polskich stosunków:

Gdyby się były prawa skrzętnie zachowały.
Upadłyby już Teby, a prawaby stały,
Odniosłaby ojczyzna z swych praw zysk sowity!
Prawa nie są na zgubę rzeczypospolitej!
Całość wrócona praw jej nieco uchybiła,
Zawsze większa nad prawo jest potrzeby siła.
I prawo nie jest prawem, z istoty wychodzi
Prawo, w okoliczności, gdy ojczyźnie szkodzi.

Taką naukę polityczną dawał Konarski ustami Epaminondasa młodzieży. Ale zarazem dawał i inną jeszcze. W Polsce ówczesnej głębokie uszanowanie dla powagi prawa, w jakikolwiek sposób schlebiającego wolności szlacheckiej, łączyło się w dziwny sposób z lekceważeniem praw takich, które tę wolność ograniczały. Naruszenie »liberum veto« wydawało się szlacheckiemu społeczeństwu rzeczą tak groźną i niebezpieczną, że dzięki czci bałwochwalczej dla tego potwornego prawa ani jeden sejm za Augusta III nie doszedł do skutku; a pomimo to w tych samych czasach dobywanie korda na sejmikach wbrew prawu było rzeczą tak zwykłą, że nie pociągało niemal nigdy odpowiedzialności za sobą. Otóż dając naukę w jednym kierunku, dawał Konarski i w przeciwnym. Prawa, choćby najstarożytniejsze uchylić, jeżeli całość państwa tego wymaga, ale prawa w ogóle szanować należy i bezkarnie ich przestępować niech nie będzie wolno, bo od uszanowania dla praw także całość państwa zależy. Widzi to Epaminondas, w sumieniu wprawdzie czuje się spokojnym, ale wie, że czyn jego może się stać złym przykładem dla innych. Co wolno było jemu, to wolno będzie i drugiemu, a nic łatwiejszego, jak pretekst wynaleźć. Dla tego Epaminondas gotów jest to, co mogło stać się złym przykładem w jego bohaterskim czynie, naprawić z zupełnem poddaniem się prawu, które wymagało śmierci wodza, nieposłusznego rozkazom najwyższej władzy.

Przeto utrzymać świętość praw jestem gotowy,
Nawet z niebezpieczeństwem mojej własnej głowy.
Wzgardy praw niech z przykładu mego nikt nie wnosi,
Na wstręt złym ludziom niechaj wiek to przyszły głosi:

Epaminondas prawa zgwałcił, lecz przypłacił
Winy głową i życie za gwałt prawa stracił.

Tymczasem nieprzyjaciele bohatera knują spisek na życie jego i Pelopidasa. Rodzony a wyrodny syn tego ostatniego jest jednym ze spiskowych. Ponieważ zaś dowiadują się, że do Teb potajemnie powrócił z kilkudziesiąt przyjaciół wygnany dawniej z miasta Cymon, stronnik i przyjaciel Epaminondasa, postanawiają naprzód jego zgładzić.

W akcie III jest inna jeszcze nauka dla młodzieży, zastosowana do współczesnych politycznych stosunków Polski. Poseł perski Dyomedon, niezrażony pierwszą odprawą, którą mu dał Epaminondas, powtórnie stara się go pozyskać, ofiarowując mu w imieniu króla perskiego 300 talentów złota i dodając, że ten król pragnie tylko, ażeby mu Teby sprzyjały i były szczęśliwe. Epaminondas odpowiada na to z gniewem, że jeżeli król żąda czegoś dobrego dla Teb, to on żądania jego spełni bez zapłaty, jeśli czegoś złego, to niema dość złota, aby go mógł kupić.

Bogactwo (jeżeli mię kupić chcesz Dyomedoncie)
Dosyć na tym i drugim nie masz horyzoncie.
Myśl i mów, jak chcesz, żeć się zdaję nader drogim,
Żyłem w ubóstwie, chcę żyć i umrę ubogim.
Następcom zaś mym inszej nie myślę puścizny
Zostawić, tylko cnotę i miłość ojczyzny.
Za wszystkie im bogactwa królów perskich stanie,
Gdy się im ma Leuktryjska w dziedzictwo dostanie.

A dalej powiada:

Czyż wy darmo płacicie? Wcale nie; lecz wzajem
Wolność naszą i język bierzecie na najem.
Wolnemu wzięty jurgielt mówić wcale nie da,
Co rozumie; nie jest swój, kto się komu sprzeda.

W dalszym ciągu tego aktu pojawia się Cymon i odkrywa przed zwierzchnikiem Teb Archiaszem i innymi spisek, uknuty przez Meneklidesa i Polimna, dążący do obalenia obecnej władzy. Obudwu głównym spiskowym śmierć grozi, ale Epaminondas wstawia się za nimi i wyprasza im wolność, utrzymując, że łatwo ich skarać śmiercią, a chwalebniej starać się o ich poprawę.

W akcie IV puszczeni na wolność Meneklid i Polimnos, niepamiętni, że Epaminondas ich od śmierci wyzwolił, podburzają lud przeciw niemu, wtrącają go do więzienia i dają mu sposobność

okazania prawdziwie stoickiej stałości duszy i wypowiedzenia przeczutej za Sokratesem wiary w nieśmiertelność duszy:

Duch nasz nie jest z powietrza, wody ognia, ziemi
Wyprowadzon; nie ma nic podobnego z niemi;
Z żadnych nie złożon części, na części nie dzielny,
Rozsypać się nie może; toć jest nieśmiertelny.
Rozum nasz ma coś w sobie Boskiego rodzaju;
Z nieba idzie, nie tu z podmiesięcznego kraju,
Świat dla niego więzienie, pustynia, dziczyzna!
Pnie się ku niebu! niebo jest jego ojczyzna!
Lizydo! są przed nami nieskończone wieki
Szerokości, wieczności brzeg zawsze daleki.
Wierz mi, ta myśl często mnie i niezmiernie cieszy,
Epaminondas tam, gdzie ma być wieczny, śpieszy.

A Lizys, filozof, niegdyś nauczyciel Epaminondasa, odpowiada mu na to:

W tobie widzę skutecznie, jak filozofija
Ratuje nas i bojaźń śmierci nam wybija.

Tak więc Konarski nie jest przeciwnikiem filozofii, nie chce od niej młodzieży odstręczać, ale pod warunkiem, że ta filozofia prowadzi ku niebu, wskazuje nieśmiertelność, wieczności »brzeg daleki«; tej filozofii, która człowieka uważa za igraszkę przypadku i zachęca tylko do używania chwili, takiej filozofii jest zaciętym nieprzyjacielem.

W ostatnim akcie odgrywa się scena sądu nad Epaminondasem. Archiasz, który go ma sądzić, chętnieby oddał krew swoją za niego, ale gdy nieprzyjaciele wyraźnie wnoszą oskarżenie o gwałt prawu zadany, a Epaminondas potwierdza ich skargę i nic na swoją obronę przytoczyć nie chce, lud zaś domaga się śmierci winowajcy, wtedy Archiasz w rozpaczy nie wie, co czynić; bo nic mu nie pozostaje, jak wydać wyrok śmierci na wielkiego bohatera. Ale tymczasem Cymon odkrywa ludowi knowania Meneklida i jego wspólników i wywołuje w ludzie zwrot opinii za Epaminondasem, a przeciw jego nieprzyjaciołom. Z tych niektórzy na miejscu rozsiekani, Meneklid ma być także śmiercią ukarany, ale Epaminondas raz jeszcze prośbami swemi ocala go od śmierci. Tragedya kończy się moralnem i politycznem zwycięstwem Epaminondasa.

Tak piękny ideał stawiał Konarski przed oczyma swoich wychowanków. Co się tyczy artystycznej wartości utworu, to jakkol-

wiek był niedoskonały, wznosił się przecież o całe niebo wyżej od jezuickich dyalogów. Ani typowej, ani tem bardziej indywidualnej charakterystyki osób niema w tym dramacie, ale nie było też jej i we francuskiej tragedyi nawet u najsławniejszych autorów. Wiersz trzynastozgłoskowy nie jest odpowiedni dramatycznemu tokowi, ale to także naśladownictwo aleksandrynów francuskiej tragedyi. Język w ogóle niedołężny, rymy słabe, ale tok akcyi dramatycznej jest żywy, rozwój jej naturalny, i utwór ten pod tym względem i dziś jeszcze dobrzeby się przedstawiał na scenie. Zasługuje jeszcze na uwagę to, że jakkolwiek wzorem Konarskiemu była pseudoklasyczna tragedya francuska ze swemi jednościami, przecież ośmielił się on nie trzymać się tych jedności ściśle, i scena działania, pozostając w obrębie Teb, zmienia stę jednak parę razy (portyk, ogród, więzienie).

II.

Nowy król, zwolennik reformy i oświaty, oceniał dobrze zasługi Konarskiego, chciał je wynagrodzić środkami, które miał w ręku; mógł mu dać godność biskupią, wprowadzić do senatu. Ale Konarski należał do owych wybranych charakterów, które innej nagrody nie pragną nad powodzenie pracy swojej dla dobra ogółu, więc biskupiej godności nie żądał i pozostał nadal na skromnem stanowisku zakonnika. Widział, że jego rola kończy się; po trzydziestu latach wytężeń i usiłowań różnego rodzaju, aby dźwignąć naród z ciemnoty i anarchii, widział, że pracę jego ma dalej prowadzić sam król i rząd jego; chciał się już tylko spokojnie jej z boku przypatrywać, od czasu do czasu z głosem doradczym się odzywając. To była najlepsza dla niego nagroda. Ale król znalazł jednak sposób odznaczenia zasług Konarskiego, od którego on usunąć się nie mógł; kazał dlań wybić wielki medal złoty z napisem bardzo szczęśliwie obmyślonym przez Albentrandi'ego: »sapere auso« — temu, który się ośmielił być mądrym — i ten mu uroczyście ofiarował.

Przypatrując się z boku owocom swojej pracy Konarski wiele mógł czuć zadowolenia, nie wszystko jednakże odpowiadało jego pragnieniom i oczekiwaniom. Reforma polityczna była kulawą; okulawili ją sąsiedzi. Ale na to nie znajdował rady Konarski. Jedyną radą na to było sto tysięcy wojska, którego przecież stworzyć sam nie mógł. Drugą rzeczą, budzącą w nim niepokój, było to, że

z oświatą francuską, której on sam na oścież otworzył wrota do Polski, powiało i płytkie niedowiarstwo współczesne, należące wówczas do tonu modnego, i dla tego łatwo się krzewiące w wyższych próżniaczych warstwach, w szczególności między młodzieżą, co zbijała bruki paryskie, a tanim kosztem, z czytania rozwiązłych powiastek i ulotnych pisemek francuskich, nabierała ducha filozoficznego.

Nastały owe czasy, o których wspomina Podkomorzy w »Panu Tadeuszu«:

> Ah, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny
> Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny,
> Gdy raptem paniczyki obce z cudzych krajów
> Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
> Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków, wiarę,
> Prawo i obyczaje, nawet suknie stare.

Ale Podkomorzy myli się, gdy powiada, że »Mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli«. Tak źle nie było. I owszem już w r. 1766 X. Samuel Chróścikowski, jeden z tych Pijarów, których Konarski wysyłał za granicę, profesor filozofii i matematyki w collegium nobilium, wystąpił z obszernem dziełem p. t. »Filozofia chrześcijańska o początkach praw naturalnych przeciwko deistom czyli teraźniejszego wieku mędrkom dla kawalerów uczących się filozofii in collegio nobilium«, gdzie obszernie dowodził niedostateczności rozumu i potrzeby Objawienia.

Ale książka Chróścikowskiego, choć bez wątpienia powstała pod wpływem Konarskiego, nie wydała mu się dostateczną zaporą wobec antyreligijnych prądów, może dla tego, że była zbyt obszerną (470 stron). Więc spostrzegłszy coraz większe krzewienie się libertyństwa w młodzieży, nie usiedział spokojnie, i jeszcze raz, pod siedemdziesiąt lat już licząc, wystąpił z większą pracą, która, jak wszystkie prace Konarskiego, miała doniosłe znaczenie. Tą pracą była książka »O religii poczciwych ludzi« (Warsz. 1769).

Poczciwymi ludźmi nazywali się wówczas ludzie, nieuznający moralności chrześcijańskiej, a opierający swoję moralność na rozmaitych teoryach filozoficznych. Francya XVIII wieku stała się ogniskiem antychrześcijańskiego ducha. Długie panowanie Ludwika XIV ze swoją nietolerancyą i obłudą religijną, która szła w parze z coraz większą rozwiązłością obyczaju, za jego następcy wywołała silną reakcyę w kierunku antyreligijnym. Reakcya ta znalazła

sobie głównego przedstawiciela w człowieku, który, wciągnąwszy w siebie całą wiedzę współczesną i całą rozwiązłość współczesnego obyczaju, połączył z tem w sobie nadzwyczajną żywość i zwinność wyobraźni, prawdziwie francuską jasność myśli i stylu, niesłychaną łatwość słowa, nieporównany dowcip i przerażającą płytkość uczucia. To był Wolter. Próżność, górująca w nim nad wszystkiemi uczuciami, popchnęła go do tego, aby wystąpić do zaciętej walki z chrześcijaństwem, którego ducha tak samo nie był zdolny pojąć, jak nie był zdolny pojąć piękna Szekspirowskiej tragedyi, a jego fenomenalna żywość fantazyi i łatwość słowa, fenomenalna obfitość twórczości była przyczyną, że on daleko silniejsze wycisnął piętno na literaturze francuskiej XVIII wieku, niż inni sławni pisarze współcześni. On był w istocie patryarchą antyreligijnego kierunku, pod jego wpływami wytworzył się cały legion »ésprits forts«, którzy prześcignęli nawet mistrza w negacyi, jak n. p. De la Mettrie, baron Holbach i Helvetius, ale takiego wpływu, jak on, niezdolni byli wywierać, bo nie posiadali takiego dowcipu i tak niewyczerpanej fantazyi.

Francya nie miała wówczas ludzi, którzyby jako tako skutecznie walczyć mogli z tym kierunkiem. Spostrzegł to nasz król Stanisław, którego dziwne losy zbratały z Francyą, i choć nie władał świetnem piórem, choć pisanie w języku francuskim zawsze mu nastręczało pewne trudności, i wymagało korekty, postanowił wystąpić do walki z tym kierunkiem. Najważniejszym utworem jego polemicznym w tym kierunku była broszurka p. t. »L'incrédulité combattue par le simple bon sens« (Niedowiarstwo zwalczone prostym rozsądkiem). Występował w niej król Stanisław zarówno przeciw ateuszom, jak i przeciw deistom, t. j. tym, którzy uznawali tylko istnienie Boga, odrzucając wszystkie inne dogmaty Objawienia. Leszczyński w sporze z nimi nie chce walczyć bronią, której oni nie uznają, więc nie opiera się w wywodach swoich na Objawieniu, ale tylko na rozumie. Przeciwko deistom wywodził król Stanisław, że uznawać Boga, a nie czcić Go, nie składać mu hołdów, to większa niekonsekwencya, niż nie czcić, nie uznając Go wcale; przeciwko ateuszom, dla których wszystko jest materyą i wszystko dziełem przypadku, występował z pytaniem: skąd się bierze harmonia i piękność tak w obrotach ciał niebieskich, jak w drobnym kwiatku i w skrzydle motyla, i żądał, aby mu powiedzieli, czem jest materya, w którą wierzą, odrzucając ducha, materya, która

przecież w istocie swojej równie jak duch jest niepojętą. W końcu wskazywał przyczynę, dla której filozofowie współcześni tak nieprzychylni byli religii chrześcijańskiej. Oto dla tego, że ona nie pobłaża ich dumie i zepsuciu.

Głos Leszczyńskiego bardzo słabe echo znajdował we Francyi, gdzie w kołach, nadających ton społeczeństwu, to tylko popłacało, co odznaczało się krańcowością poglądów i silną zaprawą dowcipu. W Polsce te i inne filozoficzno-moralne pisemka Leszczyńskiego były ogółowi nieznane, ale niewątpliwie znane były takim ludziom, jak Konarski, i nie pozostały bez wpływu na stanowisko jego względem współczesnej filozofii.

Ale Konarskiemu o coś więcej chodziło w dziele »O religii poczciwych ludzi«, niż Leszczyńskiemu w »Niedowiarstwie«. Główną myślą Konarskiego jest, że bez religii, bez religii prawdziwej, niema prawdziwej moralności, i że naród wewnętrznie zepsuty, nigdy już więcej sam się poprawić nie zdoła. Deiści odrzucają wiarę w nieśmiertelność duszy i każą kochać cnotę dla cnoty samej. Jest że to dostateczna podstawa, aby się na niej moralność całego społeczeństwa oprzeć mogła? Jakże to w praktyce objawia się u tych ludzi to kochanie cnoty? »Znać je dobrze, powiada Konarski, na naszych deistach i filozofach, znać je i na prywatnem ich życiu sprośnem i prawie zwierzęcem i na publicznych ich sprawach, kiedy bez żadnego na sumieniu skrupułu, dobro cudze i fortuny zdzierają; włości, miasteczka, miasta i prowincye sprawiedliwym posesorom wydzierają, krew ludzką jak wodę leją, wolność ludzką oprymują i jej się despotami stają«. Miał tu Konarski na myśli (jak się zdaje) Fryderyka Wielkiego, który w swoim »Anti-Machiavelu« powstawał przeciw zasadom polityki włoskiej, a jednocześnie stosował je w życiu z całą świadomością, który w swoich poezyach francuskich przeklinał wojnę, a gotów był toczyć krew poddanych, jak wodę; miał zapewne na myśli prywatne a pełne zgorszenia życie Woltera i Russa.

Chrześcijańska moralność opiera się na wrodzonem człowiekowi dążeniu do szczęścia i na wierze w nieśmiertelność duszy; cnotę zaś chrześcijanin kocha nie dla cnoty samej, ale dla tego, że ona go prowadzi do Boga. To jest szeroka i bezpieczna podstawa moralności.

Religijność, w obronie której stawał Konarski, była zupełnie różną od tej, jaka w epoce saskiej była panującą. Była to religij-

ność już duchem filozoficznym przejęta, oczyszczona z tysiącznych przesądów i zabobonów. Występował przeciw deistom, mocnym duchom, ale filozofii w ogóle nie zarzekał się. »Trzeba na to wielkiej lekkomyślności, nierozumnej śmiałości, a wyraźniej mówiąc głupstwa, żeby dobrej filozofii nie przyznać, że i ona prowadzi do poznania Boga, do cnoty i do dobrych obyczajów; ale nie w Szkole Spinozy, Machiavela, Hobba... Baila, Arroueta, Russa i stu im podobnych ich uczniów«.

Jakiej więc filozofii był zwolennikiem Konarski, jaką chciał do Polski wprowadzić? Taką, która nie występowała wrogo przeciw chrześcijanizmowi, ale która i owszem wywodami swymi mogła go wspierać, która duchem swoim najwięcej zbliżała się do niego. Pomiędzy filozofami, których nie wymienił Konarski, jako przedstawicieli złej filozofii, a którzy byli głośni w owym czasie, był Descartes, Locke i Leibnitz, ponieważ wszyscy oni — jakkolwiek w rozmaity sposób i z rozmaitą szczerością — uznawali Objawienie. Szczególnie idealistyczna filozofia Leibnitza, jego teorya o przedustawnej harmonii, wyprowadzająca tę harmonię z woli Boga, jego pogląd na świat, jako na najlepszy z możliwych światów, ta filozofia najbardziej zbliżała się swym duchem do ducha teologii chrześcijańskiej i dla tego też miała ona u nas, około połowy XVIII wieku, najwięcej zwolenników. Należał do nich tak gorliwy i pobożny biskup, jakim był Stanisław Załuski, biskup krakowski, który znał się osobiście z Chrystyanem Wolfem, najznakomitszym uczniem Leibnitza w Niemczech, rozwijającym jego filozofię z katedry, i chciał go sprowadzić do Krakowa. Załuski, jako biskup krakowski, był zwierzchnikiem akademii i jako taki pragnął ją wyprowadzić ze scholastycznego zastoju naukowego i w tym to celu chciał sprowadzić Wolfa, ale starzy akademicy krakowscy oparli się temu pod pozorem, że Wolf był protestantem, a w rzeczy samej, że się im nie chciało wprowadzać żadnych nowości, przy którychby ich zacofanie naukowe mogło się wydawać rażącem. Załuski, nie mogąc sprowadzić Wolfa, posłał do Halli Świątkowskiego, aby się tam wykształciwszy pod kierunkiem Wolfa w matematyce i fizyce, mógł potem te nauki wykładać w krakowskiej akademii. Ale i ze Świątkowskim powiodło się nie lepiej jak z Wolfem, bo akademicy krakowscy tyle mu okazywali niechęci, że Świątkowski usunął się z akademii.

Pomimo to za obrębem akademii miała u nas filozofia Leibnitza i Wolfa stosunkowo niemało zwolenników. Nie tylko Pijarzy (Kazi-

mierz Narbutt, »Logika«), ale i Jezuici (Nakcyanowicz, »Praelectiones mathematicae ex Wolfianis elementis adornatae«, Wilno 1759) opierali się na uczonym z Halli.

Taką to filozofię, nie noszącą cechy bezbożności, filozofię, która i owszem swojemi drogami dążyła również do Boga, przeciwstawiał Konarski francuskim deistom. Niesłusznie tylko stawiał na jednej linii Aroueta, t. j. Woltera, z Russem, ponieważ w tym względzie pomiędzy tymi dwoma filozofami była niezmierna różnica. Rousseau przy całej swej paradoksalności był duchem dość blizki chrześcijaństwu, kiedy Wolter był prawdziwą antytezą chrześcijańskiego ducha. On też to cały swój dowcip wysilał na ośmieszanie nie tylko religii chrześcijańskiej, ale i teoryi filozoficznych Leibnitza, a mianowicie optymizmu jego filozofii.

Swoje stanowisko pomiędzy ciemną, przesądną religijnością czasów saskich a wolteryanizmem, który coraz silniej za Stanisława Augusta zaczynał zawiewać do nas z Francyi, Konarski najlepiej określa w ten sposób. Deiści mają ciągle na ustach przesądy i na nie wyrzekają, »ale ta superstycya u nich nic inszego nie znaczy, tylko najbardziej chrześcijańską religię. Ale my chrześcijanie — ciągnie dalej Konarski — znamy się na superstycyi i zabobonie, ganimy ją i wykorzeniać usiłujemy z pospólstwa, często i z duchownych, mniej nauki, a więcej prostoty mających: nie lubimy tyle, jak i oni, bigotów, to jest hipokondrycznych świętoszków albo tartufów hipokrytów, nie wiemy jednak, jak tym dogodzić filozofom, kiedy u nich i samo klękanie przed Bogiem jest superstycya; iść do kościoła w wyznaczone dni jest superstycya; milczenie i skromność w kościele jest superstycya; błogosławienie do stołu i po stole jest superstycya; czytanie książek moralnych, chrześcijańskich jest superstycya; pacierz ranny i wieczorny jest superstycya; mówić co o Bogu i za wiarą jest superstycya. Jakież więc są inne ich akty religii, jeżeli jaką mają? My wcale nie wiemy: tyle wiemy, że religia powinna być w rozumie i sercu wewnętrzna, ale że bez powierzchownych aktów i publicznej adoracyi Boga być żadną miarą nie może religia«.

Konarski mógł spodziewać się, że jemu występującemu teraz przeciw filozofom francuskim, w szczególności przeciw Wolterowi, mogą zarzucić przeciwnicy, że przecież on nieraz zaznajamiał młodzież z utworami Woltera, sam nawet tłómaczył jego »Śmierć Cezara«; więc może dla tego tak pisał w książce, o której mowa: »Jest

wprawdzie jeden wieku tego mędrzec, który żadnej w chrześcijaństwie, a wszystkie w pogaństwie widzi cnoty, ale swoim tym przeciw chrześcijanom otruty jadem, jak w jednych skryptach przeciw tej religii bluźni, tak w drugich przeciwnie tęż samą chrześcijańską kanonizuje i pod niebiosa wynosi religią; wolno jego współfilozofom nierozsądnemu i lekkomyślnemu, wolno nam jemuż samemu rozsądnie rezonującemu wierzyć«.

W istocie tragedye »Zaïre«, »Alzire«, »Mahomet« są pisane w duchu chrześcijańskim. Ostatnią nawet ofiarował Wolter papieżowi Benedyktowi XIV i otrzymał od niego list z błogosławieństwem.

Książka Konarskiego nie wywołała polemiki, chociaż wpływ wywarła stanowczy. Nasi deiści poważniejsi, jacy byli, chylili się ku wierze chrześcijańskiej, katolickiej, już z narodowego usposobienia i domowego obyczaju; głos Konarskiego, którego przywykli cenić i szanować, który prowadził cały naród do ładu i oświaty, był dla nich stanowczem hasłem: postanowili oni strzec wiary ojców, oczyszczonej z przesądów i fanatyzmu, jako drogiego skarbu, od którego zależy dobro społeczne, a który rozproszony, nie da się powrócić. Inni deiści, którym filozofia potrzebną była do popisów salonowych, nie byli zdolni do podjęcia rzuconej rękawicy.

Ale jeżeli książka »O religii poczciwych ludzi« nie wywołała polemiki ze strony tych, przeciw którym była wymierzoną, to wywołała z drugiej strony, od dawnych przeciwników Konarskiego, podejrzenie o brak prawowierności. Te podejrzenia dostały się do nuncyusza papieskiego Duriniego, który w swojem sprawozdaniu do Rzymu nazywał Konarskiego człowiekiem wolnomyślnym, w wierze obojętnym, a nawet krzewicielem materyalizmu. W ogóle Durini nie odznaczał się ani znajomością ludzi, ani znajomością stosunków polskich, ani rozumem politycznym. Niektóre uwagi, które przesyłał stolicy apostolskiej o Polsce, były zapewne słuszne, ale kiedy jego poprzednik wskazywał mu dwóch tylko ludzi ze stanu zakonnego, którzy mu mogą być pomocą, t. j. Konarskiego i Śliwickiego, wizytatora XX. Misyonarzy, Durini tych właśnie ludzi oskarżał ciągle przed papieżem, jako wyznawców tolerancyi, stawał się echem najfałszywszych plotek o Konarskim i występował z tak śmiesznymi zarzutami, jak ten, że w szkołach pijarskich czytają Erazma i Wolfa, albo że Konarski jest autorem dzieła przeciw »liberum veto« i najsilniejszym podstawom wolności polskiej, i że tem dziełem przyczynił

się do wprowadzenia moskiewskiej przemocy w Polsce. Szczególnie uderzał na jego książkę »O religii poczciwych ludzi«, którą posłał do Rzymu, jako corpus delicti. Potrzeba było rozwiać te fałszywe sądy i mniemania, i Konarski książkę swoją przełożywszy na język łaciński (»De religione honestorum hominum«) przedstawił ją w r. 1771 papieżowi Klemensowi XIV. Papież nie znalazł w książce nic przeciwnego wierze i książkę pochwalił.

We dwa lata potem, 3 sierpnia 1773 r., umarł Konarski. Wszystko, co żyło, śpieszyło oddać cześć wielkiemu obywatelowi. Wszystkie zakony stanęły do oddania ostatniej posługi. Dawni przeciwnicy, Jezuici, nie dali się wyprzedzić innym. Jerzy Zacharyaszewicz, wice-administrator dyecezyi warszawskiej, miał mowę pogrzebową na temat słów św. Ambrożego: »tantus recessit, sed non totus recessit a nobis«. W istocie, zostawiał Konarski tyle dobrego po sobie, że trudno w Polsce XVIII wieku wynaleźć kogoś, ktoby go w tym względzie przewyższał.

Zagadnienie czasu.

Napisał
Mścisław Wartenberg.

Nie mam zamiaru w rozprawie niniejszej poruszać wszystkich kwestyj, zagadnieniem czasu objętych. Ograniczę się do dwóch, i to najważniejszych. Pierwsza z tych kwestyj, którą nazwać można epistemologiczną, tyczy się czasu jako naszego przedstawienia. Chodzi tutaj o pytanie, na czem to polega, co jest warunkiem tego, od jakich czynników poznawczych zależy fakt, że wszystko, co tworzy przedmiot naszego doświadczenia, przedstawia się nam w czasie, jako w czasie będące i w czasie się odbywające. Druga kwestya, którą nazwać można ontologiczną albo metafizyczną, tyczy się realności czasu. Tutaj chodzi o pytanie, czy czas jest czemś rzeczywistem, od naszego przedstawienia niezależnem, a jeżeli jest czemś rzeczywistem, to jaką formę, jaki rodzaj rzeczywistości, należy mu przypisać.

Pierwszą, systematycznie wypracowaną i rozwiniętą teoryę czasu spotykamy u Kanta, teoryę wybitnie apriorystycznego i idealistycznego typu. A ponieważ nasze poglądy, które w dalszym ciągu przedstawić i uzasadnić mamy, nie idą po linii kantowskich poglądów, lecz zasadniczo od nich odbiegają, i ponieważ z drugiej strony teoryę Kanta uważamy, mimo że się z nią nie zgadzamy, za najdonioślejszą dotychczas próbę rozwiązania problematu czasu, z którą każdy, kto zagadnieniem tem się zajmuje, krytycznie rozprawić się musi: przeto będzie rzeczą słuszną, że w badaniach naszych uwzględnimy, o ile okaże się potrzeba, kantowską teoryę czasu i krytyczne względem niej zajmiemy stanowisko.

Co to jest czas, tego nie możemy pojęciowo, za pomocą defi-

nicyi, wyjaśnić. Każda definicya czasu, którą podać usiłujemy, jest w istocie tylko tautologią, określa idem per idem, zawiera, włącza, przyjmuje jako określnik to, co ma być dopiero określone. Jeżeli n. p. Arystoteles określa czas jako miarę ruchu, t. j. stawania się, pod względem stanu wcześniejszego, poprzedzającego i późniejszego, następującego (μέτρον κινήσεως κατά τὸ πρότερον καὶ τὸ ὕστερον), albo jeżeli Leibniz określa czas jako porządek następstwa (ordre de succession), każdy widzi, że to nie są właściwe definicye, lecz pseudodefinicye, tautologie. Albowiem stosunek między wcześniejszem a późniejszem, między tem, co poprzedza, a tem, co następuje, stosunek następstwa, sukcesya, włącza już czas, jako konieczny warunek; w stosunku tym czas już jest zawarty. Jeżeli według starej, scholastycznej reguły definicya polega na podaniu najbliższego rodzaju, do którego należy przedmiot, który mamy określić, oraz różnicy gatunkowej, t. j. cechy, którą przedmiot ten różni się od innych przedmiotów, pod to samo pojęcie rodzajowe podpadających: to definicya czasu dla tego jest niemożliwa, że czas jest czemś w swoim rodzaju (sui generis), przedmiotem, który w istocie swej nie zawiera żadnych takich cech, które byłyby mu wspólne z innymi przedmiotami, że nie istnieje żadne wyższe pojęcie rodzajowe, któremu moglibyśmy czas podporządkować i za pomocą którego moglibyśmy istotę jego określić.

Ale chociaż nie możemy zdefiniować czasu, możemy przecie opisowo, drogą analizy myślowej, wykryć i wskazać cechy, do istoty czasu należące. Czyniąc to, przekonywamy się, że czas jest to szereg momentów, które po sobie następują, t. z. w tym do siebie pozostają stosunku, że jeden moment przemija, gdy drugi po nim następuje, że warunkiem zaistnienia momentu następnego jest zniknienie momentu poprzedniego. Istotą czasu jest więc następstwo, sukcesya [1]. Jako szereg następujących po sobie momen-

[1] Równoczesność, w odróżnieniu od następstwa, nie jest określeniem, należącem do istoty czasu, lecz stosunkiem, w jakim przedmioty pozostają do czasu. Równoczesnymi nazywamy przedmioty, istniejące w tym samym momencie czasu czyli współistniejące. Same momenty czasu zaś nigdy nie współistnieją, nie są razem, lecz następują po sobie. Następstwo może być wprawdzie także pojęte jako stosunek czasowy, ale tylko o tyle, o ile stosujemy je do przedmiotów, w różnych momentach czasu istniejących. Samo w sobie, z pominięciem przedmiotów, jest zaś następstwo właściwą, istotną cechą samego czasu. Tak samo trwałość, którą Kant wymienia jako trzeci modus czasu, nie ma

tów jest czas wielkością rozciągłą, różni się jednak od przestrzeni, jako wielkości rozciągłej, pod tym względem, że podczas gdy przestrzeń jest wielkością rozciągłą w trzech wymiarach (extensio in longum, latum et profundum), czas jako wielkość rozciągła ma jeden tylko wymiar, mianowicie długość. Ta okoliczność staje się powodem tego, że przedstawiamy sobie czas jako linię prostą. Ale to przedstawianie sobie czasu w formie, od przestrzeni zapożyczonej, nie odpowiada zgoła istocie czasu, jest przeniesieniem form przestrzennych na przedmiot różnorodny, który w tych formach ująć i przedstawić się nie da. Na tem bowiem polega istotna różnica między przestrzenią a czasem, jako wielkościami rozciągłemi, że części przestrzeni współistnieją, istnieją razem obok siebie i wzajemnie się warunkują, gdy tymczasem części czasu nie istnieją razem, lecz po sobie następują. Punkty linii prostej istnieją razem, obok siebie, — punkty czasu, momenty, nie istnieją razem, lecz następują po sobie kolejno, jeden moment jest, gdy drugi już minął. Przedstawianie sobie czasu w formie linii prostej jest więc z natury rzeczy symbolizowaniem, niezgodnem zupełnie z istotą czasu. Z tego wynika, że jeżeli mówimy, iż czas jako wielkość rozciągła ma jeden wymiar, mianowicie długość, to musimy jasno zdać sobie sprawę z tego, że długość jako wymiar czasu całkiem coś innego oznacza, aniżeli długość jako wymiar przestrzeni; inaczej popełnimy μετάβασις εἰς ἄλλο γένος i łudzimy się symbolem, z naturą przedmiotu niezgodnym.

W czasie jako szeregu następstwa wyróżnić możemy trzy momenty: mianowicie moment teraźniejszy, przeszły i przyszły. Momentem teraźniejszym albo obecnym nazywamy ten, który w pewnej chwili istnieje; momentem przeszłym jest ten, który istniał, ale już minął, poprzedziwszy moment obecny; momentem przyszłym jest ten, który jeszcze nie istnieje, ale istnieć będzie, nastąpi po momencie obecnym, skoro w szeregu czasu przyjdzie na niego kolej. Ta okoliczność, że w czasie jako szeregu następstwa momentów zawarte są trzy elementy: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, mogłaby nas skusić do innej próby uzmysłowienia sobie czasu. Moglibyśmy wyobrazić sobie czas jako taką linię prostą (A B), po której jakiś realny punkt

z istotą czasu nic do czynienia, lecz jest znowuż tylko stosunkiem, w jakim przedmioty do czasu pozostają. Trwałym nazywamy przedmiot we wszystkich momentach czasu istniejący, swój byt, mimo kolei czasu, niezmiennie zachowujący.

P posuwa się od A do B. Ten punkt linii, w którym ów punkt realny P w danej chwili by się znajdował, reprezentowałby moment teraźniejszy, punkty, które już przebiegł, reprezentowałyby przeszłość, a te, które dopiero przebiegnie, przyszłość; sam proces kolejnego przebiegania punktów linii przez realny punkt P przedstawiałby zaś następstwo po sobie momentów czasu. Atoli jasną jest rzeczą, że przedmiotem, który w ten sposób chcielibyśmy sobie poglądowo przedstawić, wyobrazić, nie jest czas, lecz ruch, jako zmiana miejsca w przestrzeni. Posuwanie się realnego punktu P po linii A B, kolejne przebieganie tych punktów, jest zmianą miejsc, które ten realny punkt na linii po kolei zajmuje, jest więc ruchem, który, jako proces, odbywający się w przestrzeni, nie nadaje się zgoła do tego, by oddać wiernie, w sposób naturze przedmiotu odpowiadający, istotną cechę czasu. Wprawdzie ruch, będąc zmianą, zawiera także momenty czasowe; ale właśnie te momenty czasowe są tem, co zapomocą przedstawienia ruchu w poglądowej formie przedstawić, to znaczy wyobrazić się nie da. Przedstawiając sobie ruch, jak w przykładzie powyżej podanym, przedstawiamy sobie poglądowo, wyobrażamy, tylko elementy przestrzenne, w nim zawarte; elementy czasowe, które również jako zmiana zawiera, są zaś tą resztą, która uzmysłowić, wyobrazić się nie da, która da się jedynie myślowo, pojęciowo przedstawić.

Jeżeli więc czasu wyobrazić sobie nie możemy, jeżeli, usiłując czas uzmysłowić, przedstawić poglądowo, czynimy to zawsze w takich formach, które istotnym właściwościom jego nie odpowiadają i w sposób adekwatny oddać ich nie mogą, jeżeli to, co czasowi jest istotne, tylko pojęciowo przedstawić sobie i ująć możemy, to jasną jest rzeczą, że czas, jako przedstawienie nasze, nie jest wyobrażeniem, jak mylnie twierdzi Kant, lecz pojęciem[1].

[1] Argumentów, którymi Kant w Krytyce czystego rozumu stara się uzasadnić swą tezę, że czas nie jest pojęciem, lecz wyobrażeniem (Anschauung), argumentów tych tutaj szczegółowo rozbierać i zbijać nie możemy. Tylko tyle chcemy zaznaczyć, że argumenty te polegają głównie na fałszywem założeniu Kanta, że istnieją tylko pojęcia ogólne, zawierające wspólne cechy wielu przedmiotów, że nie istnieją zaś pojęcia jednostkowe, odnoszące się do jednego tylko przedmiotu. Nie znając i nie uznając pojęć jednostkowych, twierdząc, że przedstawienie, które dane być może tylko przez jeden jedyny przedmiot, musi być wyobrażeniem, mniema Kant mylnie, że czas, gdyby był pojęciem, musiałby być pojęciem ogólnem, z czego wynikłyby nieprzezwyciężone trudności odnośnie do stosunku, w jakim czas jako całość pozostaje do swych części, który to sto-

Czas jest tak samo, jak przestrzeń, wielkością ciągłą (continuum). Szereg następujących po sobie momentów nie jest szeregiem, z oddzielnych i od siebie oddzielonych części złożonym, lecz szeregiem ciągłym, nieprzerwanym, w którym pomiędzy dwoma po sobie następującymi momentami niema żadnej przerwy i luki. Jako wielkość ciągła, płynna, jest czas w nieskończoność podzielny; żadna część czasu nie jest częścią najmniejszą, ostateczną, elementem niepodzielnym, prostym, lecz wielkością, z części złożoną i dalej podzielną. Z tego wynika, że pojmując przez czas szereg następujących po sobie momentów, nie należy przez momenty czasu rozumieć jakichś ostatecznych, elementarnych, niepodzielnych cząstek, z których czas się składa. Czas nie składa się z oddzielnych momentów, jako swych części, tak jak przestrzeń nie składa się z oddzielnych punktów. Moment czasu to nic więcej, jeno w ciągłym, nieprzerwanym szeregu następstwa, w ciągłem płynieniu czasu, abstrakcyjnie wyróżniona i wyodrębniona jednostka czasowa, jednostka, która jako taka jedność, jako ostateczny, prosty element, w szeregu czasu nie isnieje.

Rozważania nasze obracały się dotąd w dziedzinie abstrakcyi. Zastanawialiśmy się nad istotą czasu w oderwaniu od przedmiotów, od konkretnej treści. Ta abstrakcya była wprawdzie konieczna w celu dokładnego pojęciowego zdania sobie sprawy z istoty czasu, w celu wykrycia jego cech istotnych; ale była to tylko abstrakcya, na której poprzestać nie możemy. W rzeczywistości nie jest nam bowiem czas dany jako pusty czas, w oderwaniu od przedmiotów rzeczywistych, od konkretnej treści zdarzeń, lecz razem z tą treścią, która go wypełnia. Z wyżyn abstrakcyi musimy więc teraz zstąpić do konkretnej rzeczywistości i rozważać czas nie w oderwaniu od przedmiotów rzeczywistych, lecz w ścisłym z nimi związku.

I tutaj powstaje zaraz pytanie, na początku postawione jako pierwsza kwestya, której rozwiązaniem zająć się mamy, mianowicie, na czem to polega, co jest warunkiem tego, że wszystko, co tworzy przedmiot naszego doświadczenia, przedstawia się nam jako istniejące i odbywające się w czasie.

---

sunek jest wręcz przeciwny temu stosunkowi, jaki zachodzi pomiędzy ogólnem pojęciem a przedmiotami, które tworzą zakres tego pojęcia. Że czas, lubo nie jest pojęciem ogólnem, może być przecie pojęciem jednostkowem i jest niem rzeczywiście, tego Kant wcale nie uwzględnił.

Istnieją, o ile się zdaje, tylko dwa możliwe sposoby rozwiązania tego zagadnienia, dwa możliwe poglądy, nawzajem się wykluczające. Według pierwszego, empirystycznego poglądu przedmioty naszego doświadczenia dla tego przedstawiają się nam w czasie, ponieważ są już pierwotnie, jako zjawiska w świadomości naszej, w formie stosunków czasowych uporządkowane. Wraz z wrażeniową treścią zjawisk [1] odbiera umysł nasz także formę stosunków czasowych, w jakiej ta treść jest ujęta i uporządkowana; forma ta tkwi pierwotnie w zjawiskach, we wszystkiem, cokolwiek w świadomości naszej się zjawia, jest razem z wrażeniową treścią zjawisk umysłowi dana. Czas jest empirycznym elementem i czynnikiem naszego poznania. Fakt zatem, że przedmioty naszego doświadczenia, zjawiska, przedstawiają się nam jako istniejące w czasie, fakt ten jest czysto empirycznie uwarunkowany. Według przeciwnego, apriorystycznego, poglądu, którego przedstawicielem jest Kant, forma stosunków czasowych, w jakiej zjawiska w świadomości naszej występują, nie jest umysłowi wraz z wrażeniową treścią tychże dana, lecz przez umysł do tej treści dodana. Forma stosunków czasowych nie tkwi pierwotnie w zjawiskach, jako przedmiotach, lecz tkwi w umyśle, jako podmiocie poznania, który dzięki tej formie, jemu właściwej, wrażeniową treść zjawisk według stosunków czasowych porządkuje. Czas nie jest empirycznym, lecz apriorycznym elementem i czynnikiem poznania; nie pochodzi z doświadczenia i na niem nie polega, lecz poprzedza, jako forma z samego umysłu wynikająca, doświadczenie i tworzy konieczny warunek jego możliwości. Fakt zatem, że zjawiska przedstawiają się nam jako w czasie istniejące, fakt ten nie jest empirycznie, lecz apriorycznie uwarunkowany. Warunkiem tego faktu jest wyłącznie czynnik podmiotowy, czysto umysłowy, mianowicie czas jako aprioryczna, od doświadczenia niezależna, z samego umysłu pochodząca forma wyobrażania przedmiotów.

Mamy to przekonanie, że oba poglądy, które przedstawiliśmy, są niesłuszne, ponieważ oba są jednostronne i krańcowe. Każdy

[1] Przez wrażeniową treść zjawisk nie pojmujemy tutaj tylko wrażeń zmysłowych, lecz w najszerszem znaczeniu wszystko, co w odróżnieniu od formy czasowej tworzy jakąś treść świadomości naszej. Tak samo przez zjawisko pojmujemy tutaj w najszerszem znaczeniu wszystko, co w świadomości się zjawia, co stanowi przedmiot naszego doświadczenia, zarówno wewnętrznego jak zewnętrznego, zmysłowego.

z tych poglądów uwzględnia bowiem jednostronnie tylko jeden z dwóch koniecznych czynników naszego poznania, a pomija drugi. Pogląd empirystyczny kładzie wyłączny nacisk na czynnik przedmiotowy, empiryczny, — pogląd apriorystyczny podnosi zaś wyłącznie czynnik podmiotowy, umysłowy, aprioryczny. Możliwy jest jednak jeszcze trzeci pogląd, który, wystrzegając się jednostronności i krańcowości empiryzmu i aprioryzmu, uwzględnia zarówno przedmiotowy jak podmiotowy czynnik poznania i, tworząc syntezę uprawnionych momentów, zawartych w owych przeciwnych poglądach, stara się poglądy te, które z powodu jednostronności i krańcowości nawzajem się wykluczają, pogodzić i połączyć. Ten pogląd będziemy się starali w dalszym ciągu przedstawić i uzasadnić.

Zwracając naprzód uwagę naszą na pogląd kantowski, musimy przedewszystkiem zauważyć, że nie wydaje nam się trafnem, nazywać czas formą wyobrażania (Anschauungsform). Albowiem nie tylko te zjawiska, które nazywamy wyobrażeniami, i w których przedstawiamy sobie jakiś przedmiot konkretny, i w ogóle nie tylko przedstawienia nasze istnieją w czasie, ale bez wyjątku wszystkie zjawiska, wszystkie fakty naszej świadomości, a więc tak samo uczucia, afekty, pożądania i akty woli. Nie mogę przecież powiedzieć, że uczucie wyobrażam sobie, mogę mówić tylko, że uczucia doznaję; nie mogę powiedzieć, że akt woli wyobrażam sobie, mogę mówić tylko, że go wykonywam. Nie można więc nazywać czasu formą wyobrażania; bo chociaż naturalnie wyobrażenia nasze w czasie istnieją, i czynność wyobrażania jako czynność w czasie się dokonywa, to jednak w czasie istnieją także inne stany umysłowe i inne czynności umysłowe, jak czynność myślenia i akty woli, w czasie się dokonywują. Czas nie jest tylko formą wyobrażania, lecz formą naszej świadomości, formą, w której ujmujemy, uświadamiamy sobie, doświadczamy, bez wyjątku wszystkie zjawiska, wszystko, cokolwiek stanowi w najszerszem tego słowa znaczeniu fakt naszej świadomości. Niewątpliwie Kant to samo miał na myśli, nazywając czas także formą zmysłu wewnętrznego (Form des innern Sinnes), w odróżnieniu od przestrzeni, jako formy zmysłu zewnętrznego. Albowiem to, co Kant, posługując się dawną terminologią, nazywa zmysłem wewnętrznym, nie oznacza nic innego, jak właśnie świadomość.

Dalej należy sprostować mylne pojmowanie rzeczy, do którego może dać powód wyraz »aprioryczna, czysta forma«. Wyraz ten może

nasunąć mniemanie, że Kant uważa czas za jakąś już gotową, w umyśle tkwiącą, wrodzoną mu formę, w którą umysł wkłada wrażenia, za jakiś gotowy schemat, za jakąś sieć, w którą umysł chwyta wrażenia, lub za jakąś pieczęć, którą wyciska na nich. Takie pojmowanie rzeczy nie odpowiada poglądowi Kanta. Wprawdzie w »Krytyce czystego rozumu« wyraża się Kant miejscami nieoględnie, mówiąc, że czas jako forma zmysłu wewnętrznego leży w umyśle gotowy (liegt im Gemüte bereit); ale w łacińskiej rozprawie inauguracyjnej na temat: »De mundi sensibilis atque intelligibilis forma et principiis«, w której Kant swoją apriorystyczną teoryę po raz pierwszy, i to częściowo lepiej przedstawił, określa on czas jako czynność, którą umysł wykonywa, i mocą której wrażenia swoje porządkuje i szereguje (mentis actio sua sensa coordinans), albo jeszcze dokładniej i ściślej jako prawo umysłu, według którego umysł wrażenia swoje w określony sposób łączy (lex animi, secundum quam certa ratione sensa sua conjungit). Ujmowanie przedmiotów w formie czasu jest więc czynnością, którą umysł wykonywa według właściwego mu prawa. Czas jest to sposób porządkowania, szeregowania, stosunkowania wrażeń, sposób umysłowi naszemu tak samo właściwy, jak właściwy jest mu sposób myślenia według praw logicznych. A tak, jak prawa logiczne, według których umysł myśli, nie pochodzą z doświadczenia, lecz w umyśle myślącym mają swoje źródło, jako fundamentalne, właściwe mu sposoby czynności myślenia, tak samo czas, jako prawo ujmowania wrażeń, nie pochodzi z doświadczenia, nie jest wraz z wrażeniami umysłowi dany, lecz ma źródło swe w ujmującym wrażenia umyśle, jako fundamentalny, właściwy mu sposób czynności ujmowania przedmiotów, porządkowania i szeregowania wrażeń. Prawo następczości tkwi tak samo w ujmującym wrażenia umyśle, jest tak samo właściwym mu sposobem postępowania, funkcyonowania, jak prawo racyi dostatecznej tkwi w myślącym umyśle, jako właściwy jemu sposób funkcyonowania [1].

---

[1] Prawa myślenia są w rzeczywiście odbywającym się procesie myślenia prawami naturalnemi, według których faktycznie myślimy; ze stanowiska logiki, jako nauki normatywnej, która bada i formułuje warunki prawdy formalnej, są prawa myślenia prawami normalnemi, normami i przepisami, które określają, jak myśleć powinniśmy. Na zarzut, że prawa logiczne, które logika formułuje, nie mogą być uważane za prawa naturalne, według których proces myślenia faktycznie się odbywa, ponieważ prawo jest wyrazem konie-

Swoją apriorystyczną tezę, że czas jest czystą, od doświadczenia niezależną, z samego umysłu wynikającą formą ujmowania wrażeń, formą warunkującą doświadczenie przedmiotów w ogóle, tezę tę uzasadnia Kant na mocy trzech argumentów.

Pierwszy argument jest natury ogólnej, odnoszący się do aprioryzmu form poznawczych w ogóle, i brzmi następująco: To, w czem wrażenia jedynie się uporządkowywują i mogą być ujęte w pewną formę, nie może być wrażeniem. Dla tego wprawdzie materya, treść zjawisk jest umysłowi dana a posteriori, jest empirycznym elementem poznania, ale forma zjawisk nie może być umysłowi dana a posteriori, nie może być empirycznym elementem, lecz tkwi w samym umyśle, jest apriorycznym czynnikiem poznania. Nie trudno spostrzec, że dowód ten polega na wyłudzeniu zasady (petitio principii), na zgoła niczem nieumotywowanem ograniczeniu wrażenia do materyi czyli treści zjawisk. Bo dla czego forma zjawisk nie może polegać na wrażeniu, dla czego wrażeniem może być tylko materya, treść zjawisk, na to nie dał Kant ani cienia dowodu. Że wrażenie daje materyę, ale nie daje formy (sensatio materiam dat, non formam), to jest zasada, którą Kant stawia jako pewnik, jako twierdzenie, którego prawdziwość wrzekomo sama przez się jest oczywista, gdy tymczasem rzeczywiście nie jest to żaden pewnik, lecz twierdzenie, wymagające dowodu swej prawdziwości. To radykalne przeciwstawienie materyi i formy zjawisk, jako nie tylko dających się abstrakcyjnie wyróżnić, ale realnie różnych i z różnych źródeł wypływających elementów i składników naszego poznania, jest niewątpliwie reminiscencyą scholastycznych, na zasadach metafizyki Arystotelesa opartych dystynkcyj, i jak następnie wykażemy, zgoła nieuzasadnione.

Drugi dowód, który Kant przeprowadza, jest następujący: Doświadczenie przedmiotów jako w czasie istniejących jest możliwe tylko dzięki temu, że umysł zawiera już w sobie czas jako aprioryczną formę, jako prawo ujmowania wrażeń, i według tego prawa wrażenia swoje porządkuje i łączy. Stosunki czasowe zjawisk nie dochodziłyby do świadomości naszej, nie zaznaczałyby się w niej,

czności, podczas gdy rzeczywista czynność myślenia bardzo często do praw logicznych nie stosuje się, lecz od nich odbiega, na zarzut ten odpowiadamy, że czynność umysłowa, o ile nie odbywa się według praw logicznych, lecz jakimś innym podlega prawom, nie jest, ściśle biorąc, w ogóle myśleniem, lecz mechanicznem, assocyacyjnem kombinowaniem i stosunkowaniem pojęć.

gdyby czas jako prawo ujmowania wrażeń nie tkwił a priori w umyśle [1]. By móc przedstawić sobie zjawiska jako równoczesne lub po sobie następujące, do tego potrzebujemy już formy czasu, w której odnośne wrażenia ujmujemy, tak samo, jak chcąc przedstawić sobie przedmioty jako zewnątrz nas istniejące, potrzebujemy formy przestrzeni, jako prawa projekcyi i lokalizacyi wrażeń. Czas jest więc warunkiem doświadczenia, warunkiem możliwości jego, a jako konieczny warunek, doświadczenie poprzedzający i umożliwiający, nie może czas polegać na doświadczeniu, nie może być empirycznym elementem zjawisk, lecz może pochodzić tylko z samego umysłu, jako element aprioryczny zjawisk, do wrażeniowej treści zjawisk przez umysł dodany [2]. Czy dowód ten jest słuszny, o tem zaraz następnie się przekonamy.

[1] Jeżeli Kant powiada, że równoczesność i następstwo po sobie nie zaznaczałoby się w spostrzeżeniu (würde nicht in die Wahrnehmung kommen), gdyby czas nie był formą a priori, to to nie znaczy naturalnie, że te stosunki czasowe są pierwotnie razem z wrażeniami umysłowi dane, a tylko uświadomienie ich sobie wymaga apriorycznej formy czasu za konieczny warunek, lecz znaczy, że te stosunki czasowe same przychodzą dopiero do skutku dzięki owej formie.

[2] Kant wypaczył nieco myśl tezy swego dowodu, wyrażając ją w ten sposób, że czas nie jest pojęciem empirycznem, wydobytem w jakibądź sposób z doświadczenia, lecz przedstawieniem a priori. Albowiem pomijając to, że wyraz »pojęcie« użyty jest tutaj w znaczeniu mniej ścisłem, ile że Kant twierdzi przecież, że czas nie jest pojęciem, lecz wyobrażeniem, pomijając to, trzeba zauważyć, że w dowodzie, który Kant przeprowadza, nie chodzi o to, czy czas, jako przedstawienie nasze, jest wydobyty z doświadczenia, czy nie jest z niego wydobyty, lecz chodzi o to, czy czas jako czynnik i składnik doświadczenia, jako forma wszystkich zjawisk, jest wraz z empiryczną treścią zjawisk, wraz z wrażeniami, umysłowi dany, czy też przez umysł do nich dodany. Około tej kwestyi obraca się dowód Kanta. Wyrażając tezę swego dowodu w sposób, nie odpowiadający ściśle myśli w niej zawartej i tokowi myśli tego dowodu, uczynił to jednak Kant niewątpliwie dla tego, że chciał zarazem wykazać, iż ci, którzy czas jako przedstawienie nasze uważają za pojęcie empiryczne, z doświadczenia przez abstrakcyę wydobyte, pomijają właściwą kwestyę, właściwy problem, o który chodzi. Bo mając już doświadczenie przedmiotów istniejących w czasie, możemy naturalnie drogą abstrakcyi myślowej, pomijając treść zjawisk, a zwracając uwagę tylko na formę ich stosunków czasowych, tę wspólną formę ich od treści oderwać i przedstawić sobie jako oderwane, empiryczne pojęcie. Ale by módz tej abstrakcyi dokonać, musimy wprzód mieć już doświadczenie przedmiotów w czasie, a koniecznym warunkiem możliwości tego doświadczenia, z którego czas jako empiryczne pojęcie wydobywamy, jest czas

Trzeci argument, który Kant przytacza na dowód prawdziwości swej tezy, jest następujący: Czas jest przedstawieniem koniecznem, będącem podstawą wszystkich zjawisk. Ze względu na zjawiska w ogóle niepodobna zgoła usunąć samego czasu, chociaż można doskonale usunąć zjawiska z czasu. Czas jest zatem dany a priori. W nim jedynie możliwa jest wszelka rzeczywistość zjawisk. One wszystkie mogą odpaść, ale on sam (jako powszechny warunek ich możliwości) nie może być usunięty. Ponieważ do argumentu tego później już nie powrócimy, przeto musimy już tutaj nad nim krytycznie się zastanowić.

Naprzód możnaby się zapytać, jaką to konieczność Kant ma na myśli, dowodząc, że czas jest przedstawieniem koniecznem; czy chodzi tu o konieczność względną, czy też o konieczność absolutną. Jeżeli Kant mówi, że czas dla tego jest przedstawieniem koniecznem, że tworzy podstawę wszystkich zjawisk, że jest powszechnym warunkiem ich możliwości, że ze względu na zjawiska w ogóle niepodobna usunąć samego czasu, to te zwroty mogłyby nasunąć myśl, że Kantowi chodzi tylko o wykazanie względnej konieczności czasu. Czas jest przedstawieniem koniecznem, ponieważ bez niego niema w ogóle zjawisk. Ale gdyby Kant rzeczywiście tę względną konieczność czasu uważał za argument swego dowodu, dowód ten byłby chybiony, nie dowodziłby słuszności tezy, że czas jest aprioryczną formą naszego poznania. Albowiem fakt, że bez czasu niema w ogóle zjawisk, że czas nie da się od zjawisk odłączyć, że wszystkie zjawiska występują bez wyjątku w świadomości naszej we formie stosunków czasowych, ten fakt nie dowodzi jeszcze bynajmniej, że czas jest apriorycznym, doświadczenie poprzedzającym, nie z wrażeń, które odbieramy, lecz z samego umysłu wynikającym czynnikiem poznania. Fakt ten da się bowiem czysto empirycznie wyjaśnić. Bez czasu niema w ogóle zjawisk, bez czasu nie dadzą się zjawiska w ogóle przedstawić, ponieważ we wrażeniowej treści wszystkich zjawisk tkwi już forma stosunków czasowych, jako wraz z tą treścią umysłowi pierwotnie dany, empiryczny element. Ze względu na zjawiska w ogóle czas nie może być usunięty, ponieważ zjawiska w ogóle nigdy umysłowi nie są dane, nigdy w świadomości naszej nie występują bez formy stosunków czasowych, w jakiej ich treść wrażeniowa pier-

jako forma a priori, jako właściwe umysłowi prawo, pod które on podciąga i według którego porządkuje i łączy swoje wrażenia.

wotnie jest uporządkowana. Nie podlega jednak wątpliwości, że Kantowi nie chodzi o tę względną, lecz o absolutną konieczność czasu, i że ta absolutna konieczność jest właściwym argumentem jego dowodu. Wszystkie zjawiska mogą odpaść, wszystkie zjawiska mogę usunąć z czasu, ale sam czas nie może być usunięty, i to nie tylko ze względu na zjawiska, które w nim istnieją, ale w ogóle z mej świadomości. Po usunięciu zjawisk z czasu, pozostaje w mej świadomości czas, jako trwały, nie dający się od niej oddzielić czynnik, ustawicznie jej towarzyszący, jako forma z naturą umysłu koniecznie, nierozłącznie związana. A ponieważ czas nie da się ze świadomości usunąć, ponieważ nie możemy go z niej wyeliminować, przeto nie może on należeć do empirycznych elementów zjawisk, jako wraz z treścią ich umysłowi pierwotnie dany element, gdyż wówczas musiałby po usunięciu tej treści również odpaść, lecz musi tkwić w samym umyśle, musi należeć do świadomości jako takiej, jako aprioryczny, od doświadczenia niezależny czynnik naszego poznania. Taka jest prawdziwa myśl kantowskiego dowodu.

Nie wydaje nam się, żeby dowód ten był słuszny. Przedewszystkiem musimy się zapytać, co to właściwie znaczy, że zjawiska mogę usunąć z czasu, i że po usunięciu zjawisk z czasu pozostaje sam czas, który nie da się usunąć. Jeżeli przez usunięcie zjawisk z czasu rozumieć będziemy abstrakcyjne, myślowe ich pominięcie, to takie czysto abstrakcyjne wydzielenie zjawisk z czasu i pominięcie ich w myśli da się naturalnie wykonać; ale tak samo możliwy jest proces odwrotny, mianowicie wydzielenie drogą abstrakcyi czasu ze zjawisk, pominięcie go w myśli i zwrócenie uwagi na samą wrażeniową treść zjawisk. W myśli możemy abstrahować zarówno od treści, jak od formy zjawisk, ponieważ możemy obie w myśli odróżnić i jedną bez drugiej myślowo rozważać. Ale to, co po dokonaniu tej abstrakcyi myślowej, po wydzieleniu i usunięciu zjawisk z czasu, w umyśle naszym pozostaje, to jest czas jako pojęcie oderwane. Ta okoliczność, że po myślowem usunięciu zjawisk z czasu przez abstrakcyę pozostaje czas jako pojęcie oderwane, nie dowodzi zaś naturalnie bynajmniej, że czas jest jakąś formą a priori, niezależnie od doświadczenia, z samego umysłu wynikającą. Bo zarówno czy czas będzie apriorycznym, czy empirycznym elementem zjawisk, możemy wrażeniową treść zjawisk od niego jako formy, w której ta treść jest uporządkowana, przez

abstrakcyę oddzielić i w myśli pominąć, pozostawiając sam czas jako pojęcie oderwane. Kant nie rozumie jednak przez usunięcie zjawisk z czasu ich pominięcia abstrakcyjnego, czysto myślowego. Przez czas, który, po usunięciu z niego wszystkich zjawisk, sam nie da się zgoła usunąć, lecz pozostaje w naszym umyśle jako forma koniecznie z nim związana, nie rozumie naturalnie Kant czasu jako pojęcia oderwanego, lecz czas jako element i czynnik naszego doświadczenia, jako formę stosunków, w jakiej zjawiska w świadomości naszej faktycznie są uporządkowane i w niej występują. Jest to ten czas, któremu Kant przyznaje realność empiryczną, t. j. ważność objektywną ze względu na wszystkie przedmioty naszego doświadczenia. O tym czasie twierdzi Kant, że nie da on się ze świadomości usunąć, że pozostaje w niej, po usunięciu z niego wszystkich zjawisk. Ale Kant oczywiście myli się; twierdzenie jego sprzeciwia się wprost faktom wewnętrznego doświadczenia. Jest rzeczą absolutnie niemożliwą usunąć ze świadomości wszystkie zjawiska, pozbyć się wszelkiej treści wrażeniowej, tak, żeby pozostał w świadomości tylko czas jako czas pusty, żadną konkretną treścią wrażeń nie wypełniony. Jakaś treść, ujęta w formie stosunków czasowych, czy będzie nią treść wrażeń zmysłowych, czy wspomnien i obrazów fantazyjnych, czy myśli, uczuć lub pożądań, jakaś treść mieści się zawsze w naszej świadomości i absolutnie nie da się z niej zupełnie usunąć. Gdyby nam się nawet udało zamknąć zmysły nasze, odłączyć świadomość naszą od świata zewnętrznego, to i wtedy świadomość nasza byłaby pełna treści, wyobrażeń odtwórczych i wytwórczych, myśli, uczuć, pożądań i t. d. A gdyby się nam udało, co jest naturalnie rzeczą niemożliwą, usunąć ze świadomości naszej w ogóle wszelką treść, wyeliminować z niej wszystkie zjawiska, to wtedy nie pozostałby w niej czas jako pusty czas, jako pusta forma, lecz nie pozostałoby w niej w ogóle nic; sama świadomość byłaby usunięta, zniszczona. W świadomości naszej nie upływa nigdy pusty czas, lecz zawsze upływa tylko czas, wypełniony wrażeniową treścią zjawisk. Nigdy nie przedstawiamy sobie czasu, z którego zostały usunięte wszystkie zjawiska, lecz zawsze tylko ze zjawiskami, które w nim istnieją. Pusty czas przedstawiamy sobie tylko jako pojęcie oderwane, jako twór myślowej abstrakcyi. Jak czas nie da się z świadomości naszej usunąć, chyba tylko przez myślową abstrakcyę, jak czas świadomości naszej ustawicznie towarzyszy, tak samo nie dadzą się z niej fakty-

cznie usunąć zjawiska w ogóle, lecz zawsze jej towarzyszą. Forma bez treści istnieje tak samo tylko w myślowej abstrakcyi, jak treść bez formy. W rzeczywistem doświadczeniu są zaś oba czynniki zawsze z sobą koniecznie związane. Aprioryczny charakter czasu nie da się więc uzasadnić tem, że czas, jako forma zjawisk, jest koniecznym składnikiem świadomości, który nie da się z niej usunąć, w przeciwstawieniu do treści zjawisk, która nie jest koniecznym składnikiem świadomości, ponieważ może być z niej usunięta. Dowód, który Kant tutaj przeprowadza, opiera się na argumencie fikcyjnym, niezgodnym z rzeczywistym stanem rzeczy.

Powstaje teraz pytanie, czy czas jest rzeczywiście apriorycznym, z samego umysłu wynikającym czynnikiem naszego doświadczenia, właściwem umysłowi prawem, według którego on sam porządkuje i stosunkuje wrażenia swoje. Jestli prawdą, że we wrażeniach, jako treści zjawisk, nie leży pierwotnie zgoła żadna forma stosunków czasowych, w jakiej one w świadomości występują, że formę tę umysł sam z siebie dopiero do wrażeniowej treści zjawisk dodaje mocą swego apriorycznego prawa ujmowania wrażeń? Czy słuszne jest twierdzenie Kanta, że *jedynie* od umysłu naszego i jego prawa apriorycznego zawisły jest fakt, iż cokolwiek tworzy treść świadomości naszej, że wszystko, co w świadomości się zjawia, przedstawia się nam jako w czasie istniejące? Czy *tylko* od poznającego umysłu i jego sposobu ujmowania wrażeń według prawa następczości zależy, że posiadamy doświadczenie następstwa po sobie zjawisk? Czy czas jest rzeczywiście koniecznym warunkiem doświadczenia, doświadczenie poprzedzającym i umożliwiającym, i o ile nim jest? Czy w doświadczeniu następstwa po sobie zjawisk nie mieści się może jakiś element empiryczny, który od czynności ujmowania wrażeń przez umysł jest niezależny, lecz dany mu jako fakt? Stawiając to ostatnie pytanie, mówiąc o pierwiastku empirycznym, tkwiącym w doświadczeniu następstwa po sobie zjawisk, nie mamy naturalnie na myśli treści czyli materyi zjawisk, jakiej dostarczają świadomości naszej wrażenia w najszerszem tego słowa znaczeniu, i którą sam Kant uważa za element empiryczny, niezależny od czynności umysłu. Mówiąc o empirycznym pierwiastku, zawartym w doświadczeniu następstwa po sobie zjawisk, chcemy wiedzieć, czy pomijając *treść* zjawisk, w samej ich *formie*, w *stosunku ich następstwa*, w jakim je ujmujemy, nie mieści się przecież coś, co nie jest apriorycznym, od samego umysłu

i właściwego mu sposobu ujmowania wrażeń zawisłym, lecz empirycznym, od tego sposobu niezawisłym, umysłowi wraz z wrażeniami danym i narzuconym elementem. Odpowiedź, którą damy na powyższe pytania, zawierać będzie zarazem krytyczną ocenę dwóch pierwszych argumentów, którymi Kant dowodzi prawdziwości swej apriorystycznej tezy, i które poprzednio wyłuszczyliśmy.

Nie podlega, zdaniem naszem, żadnej wątpliwości, że taki empiryczny, umysłowi dany i narzucony element mieści się faktycznie i musi się mieścić w doświadczeniu następstwa po sobie zjawisk, że więc doświadczenie to pod względem swej formy czasowej nie zależy, jak mniema Kant, jedynie od naszego umysłu i właściwego mu sposobu ujmowania przedmiotów. Kant uważa niesłusznie empiryczną, wrażeniową treść zjawisk za jakiś zupełnie jeszcze surowy, wszelkiej formy stosunków czasowych pozbawiony pierwotnie materyał, w którym jako takim nie leży jeszcze żadna różnica między tem, co poprzedza, a tem, co następuje, którą to różnicę dopiero umysł sam z siebie dzięki właściwemu mu prawu ujmowania przedmiotów do tego materyału wnosi, porządkując i łącząc rozmaitość wrażeń odebranych według stosunków czasowych, które prawo to apriori określa. To jest naturalnie zupełnie mylne pojmowanie rzeczy, i w tem tkwi zasadniczy błąd kantowskiej apriorystycznej teoryi czasu. Gdyby bowiem rzecz tak się miała, jak twierdzi Kant, gdyby w empirycznym materyale wrażeń, które umysł odbiera, nie leżała pierwotnie jeszcze żadna różnica pomiędzy wrażeniem, które poprzedza, a wrażeniem, które następuje, gdyby dopiero umysł sam mocą jakiegoś apriorycznego prawa następczości różnicę tę do materyału wrażeń wnosił: wtedy dałoby się może jeszcze zrozumieć, że w ogóle ujmujemy zjawiska w formie stosunków czasowych, ale nie dałoby się wcale zrozumieć, dla czego w poszczególnym, konkretnym wypadku ujmujemy zjawiska w ściśle określonym, takim a nie innym stosunku czasowym, dla czego więc ujmujemy zjawisko A jako poprzedzające, zjawisko B zaś jako po niem następujące, a nie odwrotnie. Z ogólnej formy czasu, jako prawa następczości, nie wynika przecież, w jakim porządku następstwa po sobie mamy w poszczególnym wypadku ujmować zjawiska, wynika tylko, że mamy je ujmować w ogóle w stosunku następstwa. Czas, jako prawo następczości, nie określa w ogólności swej porządku następstwa po sobie zjawisk w poszczególnym wypadku. Jeżeli więc umysł w konkretnych wypadkach uj-

muje zjawiska w pewnym, ściśle określonym porządku ich następstwa po sobie, jeżeli zjawiska w tym, a nie w innym porządku w świadomości po sobie następują, to nie może to zależeć od samego umysłu, nie może polegać jedynie na ogólnem prawie następczości, jako apriorycznej formie ujmowania wrażeń, lecz musi zależeć od jakichś dat empirycznych, zawartych już pierwotnie w materyale wrażeń, od dat, które wskazują i określają, w jakim porządku następstwa umysł ma wrażenia swoje uporządkować, zszeregować i połączyć [1]. W empirycznym materyale wrażeń, w treści zjawisk, musi więc leżeć już różnica między wrażeniem, które poprzedza, a wrażeniem, które po niem następuje, różnica, która określa i wskazuje formę i kierunek, w jakim umysł ma wrażenia swoje ująć i przedstawić sobie pod względem ich stosunku czasowego. Jeżeli przeto przez formę zjawisk pojmiemy to, w czem ich treść czyli materya jest uporządkowana i rozmaitość tej treści pod względem pewnych stosunków zestawiona i zszeregowana, to musimy przeciwko twierdzeniu Kanta powiedzieć, że forma stosunków czasowych, w jakiej zjawiska w świadomości naszej występują, musi być umysłowi dana pod tym względem, że we wrażeniach, jako treści zjawisk, musi już leżeć pierwotnie różnica między wrażeniem poprzedzającem a wrażeniem następującem; a jeżeli w nich leży, jeżeli jest umysłowi dana, to musi polegać na wrażeniu, tak samo jak treść zjawisk, musi być empirycznym elementem naszego doświadczenia. Kantowskie radykalne przeciwstawienie formy i treści, jako dwóch składników zjawisk, dających się nie tylko abstrakcyjnie, w myśli, odróżnić, ale realnie różnych i z różnych, przeciwnych źródeł wypływających elementów i czynników poznania, to radykalne przeciwstawienie jest więc nieuzasadnione.

Różnica pomiędzy wrażeniem poprzedzającem a wrażeniem następującem, jako empiryczny warunek doświadczenia następstwa po sobie zjawisk, może być jednak tylko pod tym warunkiem w materyale wrażeń pierwotnie zawarta i wraz z nim umysłowi dana, jeżeli w świadomości naszej wrażenia rzeczywiście po sobie następują, jeżeli odbywa się tutaj jakaś rzeczywista zmiana tych

[1] Twierdzenie Kanta, że określony stosunek następstwa po sobie zjawisk polega na apriorycznem prawie przyczynowości, któremu umysł podporządkowywuje zjawiska, wyznaczając im przez to w sposób ścisły, przedmiotowy, ich miejsca w czasie, twierdzenie to starałem się odeprzeć w pracy: Kants Theorie der Kausalität (str. 256 i nast.).

wrażeń w ściśle określonym porządku. Pierwszym, koniecznym warunkiem możliwości doświadczenia następstwa zjawisk w czasie jest przeto rzeczywistość z m i a n, odbywających się w świadomości naszej, zmian, których porządek, od nas niezależny, dostarcza umysłowi dopiero odpowiednich dat empirycznych, które określają, w jakim porządku następstwa umysł zmieniające się wrażenia swoje ma ująć i przedstawić sobie. Ten ważny, zasadniczy moment pominął Kant w swej teoryi czasu, nie uświadomił sobie wcale, że warunek ten uważać trzeba za konieczny. Przeciwnie, Kant całkiem inaczej rzecz pojął. Zdaniem jego w świadomości naszej nie odbywają się rzeczywiście żadne zmiany, tu nic rzeczywiście nie poprzedza i nic rzeczywiście nie następuje; zmianę, następstwo po sobie przedmiotów, p r z e d s t a w i a m y sobie tylko, istnieją one tylko w przedstawieniu naszem; zmiana nie jest rzeczywistą, lecz tylko czemś przedstawionem, jest zjawiskiem [1], od apriorycznej formy czasu zależnem i nią pod względem swej możliwości jako zjawisko jedynie uwarunkowanem [2]; niezależnie od tej formy, jako sposobu przedstawiania sobie przedmiotów, żadna zmiana w świadomości naszej rzeczywiście nie odbywa się. Myśmy zaś wykazali, że rzeczywistość zmian, którym zjawiska w świadomości naszej podlegają, trzeba koniecznie przyjąć jako niezbędny warunek możliwości doświadczenia następstwa po sobie zjawisk. Doświadczenie to nie zależy więc, jak mniema Kant, jedynie od warunku podmiotowego, apriorycznego, który tkwi w samym umyśle, jako swoisty, właściwy mu sposób ujmowania wrażeń; w doświadczeniu tem jest zawarty element i czynnik empiryczny, umysłowi wraz z wrażeniami dany i ze strony przedmiotów narzucony, a tym empirycznym, przedmio-

[1] Zjawisko pojmuje Kant w znaczeniu fenomenalistycznem i idealistycznem jako przedstawienie tylko.

[2] Dziwną jest argumentacya Kanta, mianowicie, że gdyby czas nie był aprioryczną formą przedstawiania sobie przedmiotów, to nie dałoby się zrozumieć, jak jest możliwą zmiana, jako połączenie kontradykcyjnie przeciwnych, wykluczających się predykatów w jednym i tym samym przedmiocie, n. p. istnienie pewnej rzeczy w pewnem miejscu i nieistnienie jej w tem samem miejscu. Bo chociaż to połączenie przeciwnych predykatów w tym samym przedmiocie zrozumiałe jest tylko pod warunkiem czasu, t. j. wtedy, gdy uwzględnimy, że te przeciwne, wykluczające się predykaty nie istnieją razem w tym przedmiocie, nie są jednocześnie stanami jego, lecz kolejno po sobie następują, jako jego sukcesywne stany: to przecie ta okoliczność nie ma oczywiście nic do czynienia z apriorycznością czasu.

towym czynnikiem jest określony porządek, w jakim zmiany wrażeń naszych w świadomości rzeczywiście się odbywają [1].

W poprzednich wywodach naszych przyznaliśmy więc, o ile się zdaje, słuszność poglądowi empirystycznemu, odrzucając bezwzględnie apriorystyczny pogląd Kanta. Wniosek taki byłby jednak przedwczesny i zbyt skwapliwy. Zgodziliśmy się bowiem z empiryzmem wprawdzie pod tym względem, że we wrażeniach, które umysł odbiera, leży już pierwotnie także forma stosunków czasowych, w jakiej wrażenia te są uporządkowane. Ale przez to nie jest jeszcze bynajmniej rozwiązana kwestya, na czem to polega, od jakich czynników i warunków zależy fakt, że wszystko, co stanowi przedmiot naszego doświadczenia, przedstawia się nam jako istniejące w czasie. Wskazując słusznie ów empiryczny pierwiastek, zawarty w doświadczeniu następstwa po sobie zjawisk, uważa empiryzm wspomnianą kwestyę już za rozwiązaną, i w tem właśnie nie możemy mu przyznać słuszności.

Chociaż bowiem należy przyjąć, że wrażenia w świadomości naszej rzeczywiście zmianie podlegają, że różnica między wrażeniem poprzedzającem a następującem leży już pierwotnie we faktycznym porządku, w jakim wrażenia rzeczywiście po sobie następują, to jednak ten czysto empiryczny, umysłowi dany i narzucony element nie jest jeszcze wystarczającą podstawą poznania tej zmiany, jedynym warunkiem możliwości doświadczenia następstwa po sobie zjawisk. Zmiana wrażeń, w świadomości naszej rzeczywiście

[1] Przez zmianę, w znaczeniu niemieckiego wyrazu »Wechsel«, czyli odmianę pojmujemy ten proces realny, dzięki któremu jakiś przedmiot, zarówno rzecz, jak stan lub stosunek, który obecnie istnieje, przestaje istnieć, a inny przedmiot, przedtem nieistniejący, poczyna istnieć. Przez zmianę w ściślejszem znaczeniu, odpowiadającem niemieckiemu wyrazowi: »Veränderung«, pojmujemy ten proces realny, na mocy którego jakiś przedmiot istniejący przechodzi ze stanu, w którym znajduje się obecnie, w inny stan, pozostając mimo to, co do essencyi swej, tym samym przedmiotem. Zmiana w tem znaczeniu tyczy się tylko istniejących rzeczy, nie tyczy się zaś ich stanów lub stosunków, które mogą się tylko odmieniać, ale nie mogą się zmieniać. Zmiana czyli przemiana, w znaczeniu niemieckiego wyrazu: »Verwandlung« lub »Umwandlung«, oznaczałaby, gdyby w ogóle rzeczywistość jej można przyjąć, ten proces realny, dzięki któremu jakiś przedmiot istniejący stawałby się innym przedmiotem, przemieniałby się, jak potocznie mówimy, w inny przedmiot. Problematów metafizycznych, które to pojęcie zmiany, w najszerszem tego słowa znaczeniu, narzuca, nie możemy tutaj naturalnie rozważać.

się odbywająca, nie jest jeszcze poznaniem tej zmiany; faktyczne następstwo po sobie wrażeń nie jest jeszcze doświadczeniem tego następstwa. Poznaniem, doświadczeniem staje się ono dopiero pod tym warunkiem, jeżeli do owego elementu empirycznego przyłączy się, jako element aprioryczny, czysto umysłowy, podmiotowy, samodzielna syntetyczna czynność umysłu.

Gdyby bowiem w świadomości naszej zmiana wrażeń wprawdzie rzeczywiście się odbywała, gdyby wrażenia wprawdzie faktycznie po sobie następowały, ale gdyby umysł nie był w możności tych następujących po sobie wrażeń połączyć i w całość ułożyć, wtedy o doświadczeniu zjawisk w czasie nie mogłoby być mowy. Umysł ujmowałby wprawdzie wrażenia swoje w tym porządku, w jakim one w świadomości po sobie faktycznie następują, ale gdyby nie był w stanie poszczególnych części, w skład tego szeregu nastepstwa wchodzących, z sobą połączyć i w całość złożyć, ograniczałby się do tego wrażenia, które w danej chwili jest mu obecne, którego teraz rzeczywiście doznaje, które w danym momencie stanowi rzeczywistą treść świadomości. Wtedy doznawałby umysł wprawdzie rozmaitych następujących po sobie wrażeń, ale nie uświadamiałby sobie, nie wiedziałby o tem, że te wrażenia po sobie następują; ujmowałby wprawdzie wrażenia swoje po kolei, w tym porządku, w jakim one po sobie następują, ale nie miałby świadomości ich następstwa po sobie; przedstawiałby sobie swoje wrażenia po kolei, ale nie przedstawiałby sobie kolei ich następstwa: słowem nie miałby doświadczenia następstwa po sobie zjawisk. Koniecznym warunkiem możliwości tego doświadczenia jest więc połączenie, synteza następujących po sobie wrażeń, czynność przez umysł wykonywana.

Atoli by móc tę czynność syntetyczną wykonać, by móc połączyć następujące po sobie wrażenia w całość i przedstawić je sobie w szeregu ich następstwa, musi naturalnie umysł mieć możność odtwarzania, reprodukcyi, minionych wrażeń, musi, przechodząc do ujęcia następnego wrażenia, odtworzyć w pamięci to wrażenie, którego poprzednio doznawał, ale obecnie już nie doznaje, i dołączyć to odtworzone poprzednie wrażenie do wrażenia następnego, którego w danej chwili doznaje.

Ta czynność reprodukcyi, odtwarzania minionych wrażeń, nie wystarczałaby jednak jeszcze do połączenia ich w całość i przedstawienia ich sobie w szeregu czasu, gdyby umysł nie wykonywał

jeszcze dalszej czynności, mianowicie czynności rozpoznawania, stwierdzania tożsamości swych wrażeń. Umysł musi mieć możność rozpoznania w odtworzonem wrażeniu tego samego wrażenia, którego poprzednio rzeczywiście doznawał, musi wiedzieć, że wrażenie, które w pamięci odtwarza, jest tem samem wrażeniem, którego przedtem faktycznie doznawał; inaczej nie mógłby wcale dołączyć odtworzonego wrażenia, jako poprzedniego, do obecnie doznawanego, jako następnego, ponieważ nie uświadamiałby sobie, że wrażenie odtworzone poprzedzało wrażenie, którego obecnie doznaje.

Ale ta syntetyczna czynność umysłu, czynność łączenia następujących po sobie wrażeń, na mocy ich odtwarzania i rozpoznawania, jest tylko pod tym dalszym koniecznym warunkiem możliwa, że podmiot, który tę syntetyczną czynność wykonywa, pozostaje pomimo zmiany swych wrażeń niezmiennym, jednym i tym samym podmiotem. Odtwarzać minione wrażenia, rozpoznawać w nich wrażenia poprzednio doznawane, stwierdzać ich identyczność, dołączać poprzednio doznawane a obecnie odtworzone wrażenie do wrażenia następnego, a więc uświadamiać sobie ich następstwo, może tylko podmiot identyczny, podmiot, który przez cały ciąg odbywającej się rzeczywiście zmiany wrażeń pozostaje niezmiennie tym samym podmiotem, podmiot, do którego wszystkie następujące po sobie wrażenia jako własne stany jego należą, podmiot, który wszystkim zmieniającym się wrażeniom jako trwały czynnik towarzyszy. Jedność naszej świadomości, tożsamość naszej jaźni, jako podmiotu wszystkich stanów świadomości naszej, transcendentalna jednia apercepcyi, jak Kant się wyraża, jest więc ostatecznym koniecznym warunkiem możliwości owej syntetycznej czynności umysłu, przeto także warunkiem możliwości doświadczenia następstwa po sobie zjawisk.

Doświadczenie przedmiotów, jako w czasie istniejących, jest więc zawisłe od warunków i czynników podmiotowych, tkwiących w samym poznającym umyśle, od jego intelektualnej czynności syntetycznej i tych czynników umysłowych, które wykonywanie tej czynności syntetycznej umożliwiają. Te warunki podmiotowe, umysłowe, nie są naturalnie empirycznymi, lecz apriorycznymi czynnikami naszego doświadczenia, nie polegają na doświadczeniu i nie mają w niem swego źródła, lecz poprzedzają i umożliwiają doświadczenie, jako czynniki, do wewnętrznej istoty i organizacyi umysłu należące. I pod tym względem ma Kant słuszność, uważając

czas, ze stanowiska poznającego umysłu, za czynność, którą ten umysł wykonywa, i mocą której wrażenia swoje łączy. Doświadczenie następstwa po sobie zjawisk polega istotnie na takiej czynności umysłu. Ale czysty aprioryzm Kanta nie da się utrzymać. Czas nie jest formą aprioryczną, którą umysł sam z siebie wnosi i dodaje do wrażeń, pozbawionych pierwotnie tej formy; czas nie jest prawem ujmowania wrażeń, właściwem umysłowi, prawem, według którego umysł sam z siebie wyznacza a priori wrażeniom ich stosunki czasowe, w empirycznym materyale wrażeń pierwotnie jeszcze nie zawarte. Doświadczenie następstwa po sobie zjawisk zależy niewątpliwie od syntetycznej czynności umysłu; ale ta syntetyczna czynność umysłu nie jest funkcyą, wykonywaną według jakiegoś apriorycznego prawa następczości, tkwiącego w podmiocie, funkcyą, dzięki której porządek czasowy wchodzi dopiero do chaotycznego materyału wrażeń, lecz funkcyą, wykonywaną według prawa empirycznego, a tem prawem empirycznym jest faktyczny porządek, w jakim wrażenia w świadomości naszej rzeczywiście po sobie następują. Jeżeli więc ze względu na doświadczenie przedmiotów jako w czasie istniejących można i trzeba przyjąć prócz czynnika empirycznego czynnik aprioryczny, to tym czynnikiem apriorycznym nie jest, jak chce Kant, jakieś właściwe umysłowi i tkwiące w nim prawo następczości, lecz są nim te warunki podmiotowe, umysłowe, które umożliwiają ową syntetyczną czynność umysłu, dzięki której przedstawianie sobie i ujmowanie zjawisk w stosunkach czasowych przychodzi do skutku.

Dochodzimy zatem do następującego wyniku: Fakt, że wszystko, cokolwiek tworzy przedmiot naszego doświadczenia, przedstawia się nam jako w czasie będące i w czasie się odbywające, ten fakt polega na współdziałaniu dwóch czynników naszego poznania, mianowicie czynnika empirycznego, przedmiotowego, jakim jest faktyczny porządek, w jakim wrażenia w świadomości naszej rzeczywiście po sobie następują, zmiana wrażeń naszych, i czynnika apriorycznego, podmiotowego, jakim jest syntetyczna czynność umysłu, czynność łączenia wrażeń, po sobie następujących, na mocy ich odtwarzania i rozpoznawania, czynność, której ostatecznym warunkiem jest jedność i tożsamość świadomości naszej [1].

---

[1] Tę syntetyczną czynność umysłu przyjmuje także Kant; odgrywa ona

Przystępujemy teraz do drugiej, we wstępie postawionej kwestyi, do kwestyi **realności** czasu, mianowicie, czy czas jest czemś rzeczywistem, od naszych przedstawień, od doświadczenia naszego niezależnie istniejącem, a jeżeli jest czemś rzeczywistem, to jaką formę, jaki rodzaj rzeczywistości należy mu przyznać.

W kwestyi tej możliwe są dwa przeciwne poglądy: pogląd **realistyczny** i pogląd **idealistyczny**. Według poglądu realistycznego czas jest czemś realnem, od naszego poznającego umysłu niezależnem: niezależnie od umysłu, który przedmioty w czasie sobie przedstawia, doświadcza, istnieją rzeczy w czasie i w czasie zdarzenia rzeczywiście się odbywają. Ten pogląd realistyczny może występować w dwóch formach, we formie **krańcowej** i formie **umiarkowanej**. Według krańcowego realizmu czas ma byt samoistny, od rzeczy, które w nim istnieją, i zdarzeń, które w nim dzieją się, niezależny; według realizmu umiarkowanego czas nie bytuje niezależnie od rzeczy i zdarzeń rzeczywistych, lecz zależnie od bytu rzeczy i zdarzeń, jako realna forma tego bytowania, t. z.

---

w jego teoryi poznania bardzo ważną rolę. Ale Kant nie traktuje o niej w transcendentalnej estetyce, w związku z problematem czasu, gdzie powinien już był nią się zająć, lecz dopiero w transcendentalnej analityce, mianowicie w rozdziale o dedukcyi czystych pojęć rozsądkowych czyli kategoryi. Kant nie pojmuje jednak tej czynności syntetycznej jako **jednej** funkcyi, lecz przyjmuje **trzy** rozmaite syntezy, mianowicie syntezę aprehenzyi czyli ujęcia, syntezę reprodukcyi czyli odtworzenia, i syntezę rekognicyi czyli rozpoznania, podczas gdy istotnie nie są to trzy rozmaite syntezy, lecz tylko trzy, dające się abstrakcyjnie wyróżnić, akty, z których jednolita czynność syntetyczna umysłu się składa, i warunki tę czynność umożliwiające. Syntezą jest połączenie wrażeń następujących po sobie w określonym empirycznie porządku, przedstawienie ich sobie w szeregu czasowym. To połączenie jest atoli tylko pod tym warunkiem możliwe, że następujące po sobie wrażenia po kolei ujmujemy, minione wrażenia odtwarzamy i stwierdzamy identyczność tych odtworzonych wrażeń z wrażeniami poprzednio doznawanemi, czego ostatecznym warunkiem jest jedność i tożsamość świadomości naszej, którą Kant nazywa transcendentalną, t. z. doświadczenie warunkującą jednią apercepcyi. Mówiąc o **kolejnem** ujmowaniu wrażeń i odtwarzaniu wrażeń **minionych**, powinien był Kant spostrzec, że to kolejne ujmowanie wrażeń i odtwarzanie wrażeń minionych, ich aprehenzya i reprodukcya, wtedy tylko są możliwe, gdy wrażenia rzeczywiście w świadomości po sobie następują, zmieniają się. Gdyby Kant był to spostrzegł, wówczas jego czysty aprioryzm w pojmowaniu czasu stałby się niemożliwym i musiałby upaść, ponieważ z tym czystym aprioryzmem pojęcia aprehenzyi i reprodukcyi wrażeń absolutnie się nie zgadzają i stają się na tem stanowisku pojęciami sprzecznemi.

istnieje realnie o tyle tylko, o ile istnieją realnie rzeczy i zdarzenia realnie się odbywają. Według poglądu idealistycznego, którego najwybitniejszym przedstawicielem jest Kant, czas nie jest rzeczywistym, od poznającego umysłu niezależnie istniejącym, lecz jest tylko subjektywną formą, subjektywnym sposobem przedstawiania sobie, doświadczania przedmiotów. O czasie możemy mówić tylko na stanowisku umysłu, który w tej formie, jemu właściwej, wszystkie przedmioty sobie przedstawia: skoro zaś pominiemy umysł i właściwy mu sposób przedstawiania sobie przedmiotów, wtedy czas traci wszelkie znaczenie. Przedmioty istnieją w czasie o tyle tylko, o ile przedmioty te w subjektywnej formie czasu sobie przedstawiamy, o ile są przedstawieniami naszemi, zależnemi od umysłu i jego subjektywnej formy, o ile są zjawiskami (Erscheinungen). Jako rzeczy same w sobie (Dinge an sich), niezależne od umysłu i jego subjektywnej formy czasu, przedmioty w czasie nie istnieją. Czas jest tylko subjektywną formą zjawisk, jako przedstawień naszych; ale czas nie jest objektywną, realną formą rzeczy samych w sobie, samoistnej rzeczywistości. Przedmioty przedstawiamy sobie tylko w czasie jako zjawiska, ale przedmioty te same w sobie w czasie nie istnieją. Dla tego Kant przyznaje czasowi wprawdzie realność empiryczną, t. z. objektywną ważność ze względu na wszystkie przedmioty naszego doświadczenia, ile że wszystko, co sobie przedstawiamy, co stanowi przedmiot naszego doświadczenia, zarówno wewnętrznego jak zewnętrznego [1], wszystkie bez wyjątku

---

[1] Tutaj musimy poruszyć jedną ważną kwestyę, która wiąże się zarówno z poprzedniemi jak z następnemi wywodami naszemi. Kant uważa czas za subjektywną formę zmysłu wewnętrznego, świadomości naszej. Jako taka forma jest czas tylko określeniem zjawisk wewnętrznych, stanów naszej świadomości. Bezpośrednio, pierwotnie, tylko zjawiska wewnętrzne, stany naszej świadomości, mają formę czasu i występują z natury swej w tej formie. Co się zaś tyczy zjawisk zewnętrznych, przedmiotów zewnętrznego doświadczenia, to do nich bezpośrednio, pierwotnie, forma czasu nie odnosi się. Czas nie należy, zdaniem Kanta, do określeń przedmiotów zewnętrznych jako takich, nie jest ich istotną formą jako zjawisk: określnikiem przedmiotów zewnętrznych jest tylko przestrzeń, jako subjektywna forma zmysłu zewnętrznego. Ponieważ jednak przedmioty zewnętrzne, będąc przedstawieniami w naszej świadomości, wchodzą jako przedstawienia w skład tej świadomości, przeto pośrednio, pochodnie, przenosi się także na te zjawiska zewnętrzne forma czasu, jako forma świadomości naszej, t. z. przedmioty zewnętrzne przedstawiamy sobie także w czasie. Warunkiem doświadczenia wewnętrznego jest czas bezpośrednio, pierwotnie; warun-

zjawiska, przedstawiamy sobie i, odpowiednio do szczególnej natury umysłu naszego, musimy sobie przedstawiać w formie czasu. Ale Kant odmawia czasowi realności absolutnej, t. z. rzeczywistości niezależnej od naszego umysłu i sposobu przedstawiania so-

---

kiem doświadczenia zewnętrznego jest on zaś tylko pośrednio, pochodnie. — Z takiego pojmowania rzeczy wynika jednak następująca trudność. Jeżeli czas nie należy do określeń przedmiotów zewnętrznych jako takich, lecz przynależy im jako forma o tyle tylko, o ile przedmioty te przedstawiamy sobie w subjektywnej formie świadomości naszej, to oczywiście nie może być wtedy mowy o różnicy między subjektywnym a objektywnym czasem i między subjektywną a objektywną miarą czasu. Przez czas subjektywny pojmujemy ten czas, w którym wewnętrzne stany świadomości naszej po sobie następują, zmieniają się, a subjektywną miarą czasu, miarą długości jego okresów, jest chyżość, z jaką ta zmiana się odbywa. A ponieważ ta chyżość jest zmienna, różna u różnych osobników, różna nawet u jednego i tego samego osobnika, zależnie od rozmaitych warunków życia umysłowego, przeto ta subjektywna miara czasu jest względną tylko. Jeden i ten sam okres czasu, n. p. jedna godzina, wydaje się jednemu krótkim, drugiemu długim, a nawet temu samemu osobnikowi raz krótkim, drugi raz długim, zależnie od zmienionych, indywidualnie zabarwionych warunków życia umysłowego danych osobników. Od tego subjektywnego czasu odróżniamy czas objektywny, który jednostajnie upływa, w którym długość poszczególnych części czyli okresów jest zawsze ta sama, niezmienna, nie ulegająca żadnym wahaniom i alteracyom. Twierdzimy, że objektywnie, niezależnie od tego, jaką się nam wydaje, długość równych okresów czasu jest zawsze jednakowa, że więc n. p. jedna godzina jest objektywnie tak długą, jak druga, czyli trwa tak długo, jak druga, mimo że subjektywnie, mierzona chyżością zmiany stanów umysłowych rozmaitych osobników, może im się wydawać dłuższą lub krótszą od drugiej. Chcąc przeto czas określić objektywnie, nie pod względem pozornej, lecz rzeczywistej długości jego okresów, nie możemy w tym celu posługiwać się jako miarą chyżością zmian wewnętrznych stanów świadomości naszej, ponieważ ta miara jest tylko subjektywną i względną, lecz musimy zastosować miarę objektywną, absolutną, która przezwycięża i wyrównywa indywidualne różnice, jakie panują w mierzeniu czasu według subjektywnej miary, i usuwa sprzeczności, w jakie tutaj popadamy. Tą objektywną miarą długości czasu, tym objektywnym czasomierzem, jest, jak wiadomo, w obrębie naszego doświadczenia jednostajny, zawsze z tą samą chyżością odbywający się ruch w świecie zewnętrznym, mianowicie obrót ziemi około swej osi i obrót ziemi około słońca. Ta różnica między subjektywnym a objektywnym czasem i między subjektywną a objektywną miarą czasu upada na stanowisku, jakie Kant w kwestyi czasu zajmuje, staje się bowiem na tem stanowisku bezprzedmiotową. Jeżeli bowiem przyjmiemy, że czas jest tylko subjektywną formą zjawisk wewnętrznych, stanów świadomości naszej, że nie jest zaś pierwotnie żadnem określeniem przedmiotów zewnętrznych, że przedmioty te tylko pośrednio i pochodnie przyjmują tę formę, o ile mianowicie są przedstawieniami na-

bie przedmiotów, umysłowi właściwego. Jeżeli pominiemy ten subjektywny warunek wszelkiego doświadczenia, przedstawiania sobie przedmiotów jako zjawisk, to czas jest niczem, traci wszelkie znaczenie. Z tym idealistycznym poglądem Kanta musimy się naprzód krytycznie rozprawić.

Przedewszystkiem należy zauważyć, że wyraz »realność empiryczna«, który Kant stosuje do czasu jako subjektywnej formy zjawisk, jest nieodpowiedni, z własnem stanowiskiem Kanta niezgodny, i tylko w błąd wprowadzić może. Przez realność pojmujemy bowiem i możemy pojmować tylko niezawisłość jakiegoś przedmiotu od naszych przedstawień, od naszego umysłu, który ten przedmiot sobie przedstawia, czyli jego samoistność. Realnymi czyli rzeczywistymi nazywamy przedmioty samoistne, od przedstawień naszych niezależne, w przeciwstawieniu do tych przedmiotów, które, jak n. p. twory naszej fantazyi, istnieją tylko w naszem przedstawieniu, t. z. o tyle tylko, o ile je sobie przedstawiamy. Mogłoby więc wydawać się, że Kant, przypisując czasowi empiryczną realność, uważa go za coś rzeczywistego, samoistnego, od przedstawień naszych niezależnego. Wprawdzie pojmując czas jako formę zmysłu

---

szemi, to z tego wynika jako konieczna konsekwencya, że istnieje tylko czas jako subjektywna forma zjawisk wewnętrznych, stanów świadomości, ale nie istnieje czas objektywny, jako swoiste, od subjektywnej formy zjawisk wewnętrznych niezależne określenie zewnętrznych przedmiotów, że więc również wszelka miara czasu może być tylko subjektywną, a o objektywnem mierzeniu długości czasu nie może być żadnej mowy. Jeżeli czas nie jest pierwotnem i istotnem określeniem przedmiotów zewnętrznych, lecz przenosi się na nie jako forma tylko o tyle, o ile one są przedstawieniami naszemi, ujętemi w subjektywną formę zjawisk wewnętrznych, stanów świadomości, to przedmioty te same nie istnieją w czasie, jako swej własnej, swoistej formie, lecz istnieją tylko w czasie jako formie od wewnętrznych zjawisk zapożyczonej, jako zjawiska wewnętrzne, jako przedstawienia nasze. Wtedy czas, w którym przedmioty zewnętrzne istnieją, jest subjektywnym czasem, a nie czasem objektywnym. A wtedy nie możemy mowić o czasie, który jednostajnie upływa, ponieważ czas, jako forma zjawisk wewnętrznych, do których należą także zewnętrzne przedmioty, jako przedstawienia nasze, jednostajnie nie upływa. Wtedy nie możemy też mówić o jednostajnym ruchu, który w świecie zewnętrznym się odbywa, i który staje się dla nas objektywną miarą długości czasu, ponieważ ten ruch jednostajny wymaga objektywnego, jednostajnie upływającego czasu jako swoistej formy zmian w przedmiotach zewnętrznych za konieczny warunek. Objektywny czas i objektywna miara czasu stają się na subjektywistycznem stanowisku Kanta bezprzedmiotowemi fikcyami umysłu naszego.

wewnętrznego, świadomości naszej, jako formę zjawisk, wewnętrznych, a pośrednio także zewnętrznych, nie przypisuje Kant czasowi realnego istnienia poza świadomością; ale w obrębie świadomości naszej jest czas, zdaniem jego, czemś realnem, rzeczywistem, jest realną formą, w jakiej zjawiska w świadomości zmieniają się, po sobie następują. Byłby to więc wyraźny realizm w pojmowaniu czasu, chociaż realizm ograniczony do wewnętrznej sfery świadomości. Znaczyłoby to, że jak rzeczywista jest świadomość nasza z wewnętrzną treścią swych stanów, jak rzeczywiste są zjawiska jako stany tej świadomości, tak rzeczywistym jest też czas, jako realna forma, w jakiej zmiana tych stanów rzeczywiście się odbywa, w jakiej zjawiska rzeczywiście po sobie następują. Takie atoli pojmowanie rzeczy nie odpowiadałoby poglądowi Kanta. Przecież uczy on wyraźnie, że czas jest tylko subjektywną formą, w jakiej przedstawiamy sobie przedmioty jako zjawiska, że czas o tyle ma tylko znaczenie, o ile w nim jako subjektywnej formie przedmioty sobie przedstawiamy, że pomijając ten subjektywny warunek, czas jest niczem. Kant nie przyjmuje, że w świadomości naszej zjawiska rzeczywiście w czasie istnieją, temu on stanowczo zaprzecza, twierdzi, że zjawiska umysł przedstawia sobie tylko jako w czasie istniejące, dzięki właściwej mu, subjektywnej formie ujmowania przedmiotów. W świadomości naszej nie odbywają się rzeczywiście żadne zmiany; zmianę przedstawiamy sobie tylko; a jeżeli zmiana nie jest realną, lecz tylko przedstawioną, to i czas nie może być realną formą, w której zmiana się odbywa, lecz jest tylko subjektywnym warunkiem, pod którym zmianę sobie przedstawiamy. Nie można mówić na stanowisku Kanta, że świadomość z wewnetrzną treścią stanów swych jest czemś rzeczywistem, realnem, że rzeczywistemi, realnemi, są zjawiska; na idealistycznem i fenomenalistycznem stanowisku Kanta świadomość z wewnętrzną treścią zjawisk jest tak samo przedstawieniem tylko, jak przedmioty zewnętrzne, jest sama tylko zjawiskiem, przedstawieniem, poza którem ukrywa się niepoznawalna rzecz sama w sobie, przedmiot, któremu, ściśle biorąc, jedynie realność, rzeczywistość, przypisać możemy, realność w pełnem, właściwem tego słowa znaczeniu, realność, którą Kant w odróżnieniu od realności empirycznej zjawiwiska nazywa realnością absolutną. Czas nie istnieje więc realnie ani poza świadomością, w świecie zewnętrznym, ani w obrębie świadomości, jest on tylko subjektywną formą przedstawień naszych.

Takie jest przekonanie Kanta [1]. A jeżeli czas nie istnieje ani poza świadomością, ani w świadomości, jako realna forma zmian, to jasną jest rzeczą, że nie możemy mu przypisać w ogóle żadnej realności. Czas jest na stanowisku Kanta tylko czemś idealnem, przedstawionem. Wyraz »empiryczna realność«, którym Kant posługuje się w odniesieniu do czasu, jest przeto zupełnie niewłaściwy; jest to czysta ekwiwokacya, która zakrywa właściwą myśl Kanta i tylko w błąd wprowadza. Ekwiwokacyą jest również, jeżeli Kant przypisuje czasowi ważność objektywną ze względu na wszystkie przedmioty naszego doświadczenia jako zjawiska. Ważność objektywną, w ścisłem znaczeniu tego pojęcia, ma bowiem tylko to, co stanowi określnik samych przedmiotów, należy do własnej, samoistnej ich natury. Na idealistycznem stanowisku Kanta czas nie jest określnikiem samych przedmiotów, nie należy do swoistej natury ich, lecz jest tylko subjektywną formą, w jakiej przedmioty te sobie przedstawiamy, formą przedmiotów jako przedstawień. Czas nie ma przeto na stanowisku Kanta ważności objektywnej, lecz ma tylko subjektywną ważność. A jeżeli Kant mimo to przypisuje czasowi ważność objektywną ze względu na to, że jest on, jako subjekty-

[1] Znamienną jest odpowiedź, którą Kant daje w »Krytyce czystego rozumu« (wyd. Kehrbacha str. 63) na zarzut, podnoszony przeciwko jego idealistycznej teoryi czasu, odpowiedź, która zarzutu tego nie zbija, lecz powtarza tylko zaczepioną tezę i bliżej ją wyjaśnia. Kant pisze tutaj dosłownie następująco: »Die Zeit ist allerdings etwas Wirkliches, nämlich die wirkliche Form der inneren Anschauung. Sie hat also subjektive Realität in Ansehung der inneren Erfahrung, d. i. ich habe wirklich die Vorstellung von der Zeit und meiner Bestimmungen in ihr. Sie ist also wirklich nicht als Objekt, sondern als die Vorstellung meiner selbst als Objekts anzusehen. Wenn aber ich selbst, oder ein ander Wesen mich, ohne diese Bedingung der Sinnlichkeit, anschauen könnte, so würden eben dieselben Bestimmungen, die wir uns jetzt als Veränderungen vorstellen, eine Erkenntnis geben, in welcher die Vorstellung der Zeit, mithin auch der Veränderung gar nicht vorkäme. Es bleibt also ihre empirische Realität als Bedingung aller unserer Erfahrungen. Nur die absolute Realität kann ihr nach dem oben Angeführten nicht zugestanden werden. Sie ist nichts, als die Form unserer inneren Anschauung. Wenn man von ihr die besondere Bedingung der Sinnlichkeit wegnimmt, so verschwindet auch der Begriff der Zeit, und sie hängt nicht an den Gegenständen selbst, sondern bloss am Subjekte, welches sie anschauet... Ich kann zwar sagen: meine Verstellungen folgen einander, aber das heisst nur, wir sind uns ihrer, als in einer Zeitfolge, d. h. nach der Form des inneren Sinnes bewusst. Die Zeit ist darum nicht etwas an sich selbst, auch keine den Dingen objektiv anhängende Bestimmung«.

wny warunek możliwości doświadczenia w ogóle, powszechną formą przedmiotów jako przedstawień, to dzieje się to dla tego, ponieważ Kant uważa mylnie przedstawienia przedmiotów za przedmioty i przedmiotami je nazywa, nie odróżniając dostatecznie przedmiotu od przedstawienia tego przedmiotu[1].

Wobec tego, cośmy wyłożyli, powstaje przedewszystkiem pytanie, jaka to konsekwencya wynika z kantowskiej idealistycznej teoryi czasu ze względu na nasz pogląd na świat rzeczywisty. Konsekwencya, z której sam Kant nie zdawał sobie jasno sprawy, jest ta, że nasz pogląd na świat rzeczywisty musimy poddać gruntownej rewizyi i całkowicie go zmienić. Każdy z nas, tak w życiu codziennem jak w praktyce badań naukowych, poświęconych naturze rzeczywistości, jest o tem przekonany, że w świecie rzeczywistym, zarówno w wewnętrznej sferze świadomości naszej, jak w sferze zewnętrznych przedmiotów, odbywają się zmiany, dzieją się zdarzenia; i tę zmienność rzeczy, to ciągłe stawanie się, to ustawiczne następowanie po sobie rozmaitych stanów rzeczy, uważamy za charakterystyczną cechę rzeczywistości, którą ona różni się od niezmiennego świata naszych tworów myślowych. Czy mówimy o własnych naszych przeżyciach, czy o wypadkach w dziejach ludzkości, czy o procesach, odbywających się w przyrodzie: wszędzie operujemy w naszym poznawczym stosunku do rzeczywistości pojęciem zmiany, stawania się. To przekonanie staje się na idealistycznem stanowisku, jakie Kant w kwestyi czasu zajmuje, bezprzedmiotowem. Jeżeli bowiem czas nie istnieje realnie, ani poza świadomością, w świecie zewnętrznym, ani w obrębie świadomości, jeżeli jest on tylko subjektywną formą przedstawiania sobie przedmiotów, to o zmianie, która wymaga czasu za konieczny warunek, o zmianie realnej, rzeczywiście się odbywającej, nie może być naturalnie żadnej mowy. Zmiana staje się tylko czemś w subjektywnej formie czasu przedstawionem. Musimy ją więc usunąć z samoistnej rzeczywistości, z przedmiotów samych w sobie, zarówno ze świadomości naszej jak z przedmiotów zewnętrznych, tak samo jak usunęliśmy

---

[1] Wprawdzie Kant przyjmuje oprócz przedmiotów jako przedstawień, które nazywa przedmiotami empirycznymi, przedmiotami doświadczenia, albo zjawiskami, jeszcze przedmioty same w sobie; ale te przedmioty same w sobie są, jako przedmioty transcendentne, niepoznawalne, i do nich nie odnosi się też czas jako realna ich forma. Dla tego przypisuje Kant czasowi ze względu na przedmioty czyli rzeczy same w sobie transcendentalną idealność.

czas z tych przedmiotów. A wtedy cały świat rzeczywisty, który w doświadczeniu naszem jako zmienny nam się przedstawia, świat rzeczywisty z wszystkiemi zdarzeniami i procesami, staje się tylko przedstawieniem naszem, subjektywnym obrazem, nie odpowiadającym objektywnej naturze samoistnej rzeczywistości. Wtedy bieg życia pewnej jednostki, jej rozwój umysłowy, z całą treścią zmieniających się ustawicznie stanów umysłowych, nie jest niczem więcej, jeno w subjektywną formę czasu ujętą i tylko dzięki tej subjektywnej formie na wielość następujących po sobie wewnętrznych doświadczeń rozłożoną treścią jej świadomości, treścią, która sama jest tylko czemś przedstawionem, zjawiskiem wewnętrznem, od subjektywnych warunków doświadczenia naszego zależnem. Wtedy zarówno dzieje ludzkości, cały jej rozwój dziejowy z wszystkimi wypadkami, jak bieg przyrody z wszystkimi procesami, które tu odbywają się, nie są niczem więcej, jeno w subjektywną formę czasu ujętą i znów tylko dzięki tej formie na szereg wypadków i procesów rozłożoną treścią zjawisk zewnętrznych, treścią, która znowuż jest tylko czemś przedstawionem [1], od subjektywnych warunków doświadczenia zależnem. Historyczny punkt widzenia w myśleniu naszem o rzeczywistości, rozważanie i badanie rzeczy pod względem ich rozwoju od niższych, zawiązkowych, do coraz wyższych i doskonalszych form ich bytowania, ten historyczny punkt widzenia nie ma na stanowisku kantowskiej idealistycznej teoryi czasu żadnej racyi bytu i powinien być usunięty z naszego poglądu

---

[1] Kant zapomina tylko, że wypadki dziejowe w historyi ludzkości i procesy w przyrodzie nie są zjawiskami w znaczeniu przedstawień naszych, lecz mogą być z natury swej pojęte tylko jako niezależnie od przedstawień naszych odbywające się zdarzenia i procesy w świecie rzeczywistym. N. p. przejście Hannibala przez Alpy albo obrót ziemi około słońca nie są przecież zjawiskami, przedstawieniami, lecz tamto jest zdarzeniem realnem, które w przeszłości rzeczywiście miało miejsce, dokonało się, ten zaś procesem realnym, który w świecie rzeczywistym wciąż się odbywa, niezależnie od tego, czy to zdarzenie i ten proces ktoś przedstawiał sobie względnie przedstawia. Wypadki dziejowe nie są dla nas w ogóle przedmiotami doświadczenia, ponieważ nie możemy ich, jako już dokonanych, spostrzegać; a procesy w przyrodzie są przedmiotami doświadczenia tylko w małej części, mianowicie te tylko, które faktycznie spostrzegamy; o innych, które albo już się odbyły, albo odbywając się, w przebiegu swym nie mogą być spostrzegane, wnioskujemy tylko z pewnych zjawisk, tak jak o wypadkach dziejowych wnioskujemy z pewnych faktów obecnych, które z niemi się wiążą i na nie wskazują.

na świat, ponieważ w przedmiotowej naturze samoistnej rzeczywistości nie ma żadnego realnego odpowiednika, lecz jest tylko subjektywnym punktem widzenia, uwarunkowanym subjektywną formą czasu, jako formą przedstawień naszych, a nie objektywną formą czasu, jako realną formą rzeczy. Taka konsekwencya wynika z kantowskiej idealistycznej teoryi czasu ze względu na nasz pogląd na świat rzeczywisty.

Powstaje teraz pytanie, czy ten idealistyczny pogląd Kanta jest uzasadniony i słuszny. I tutaj musimy naprzód stwierdzić fakt, że Kant poglądu swego formalnie właściwie wcale nie uzasadnia. Kant uzasadnia tylko aprioryczny charakter czasu, dowodzi, że czas jest aprioryczną formą przedstawiania sobie przedmiotów; ale że czas pod względem przedmiotowym jest tylko subjektywną formą zjawisk jako przedstawień, że niezależnie od sposobu przedstawiania sobie przedmiotów realnie nie istnieje, tego Kant właściwie nie uzasadnia. Wnioskuje on raczej z aprioryczności czasu o jego idealności, wnioskuje, że ponieważ czas jest aprioryczną formą doświadczenia, z umysłu wynikającą, przeto niezależnie od umysłu nie może istnieć jako realny określnik samych przedmiotów. Wniosek ten polega oczywiście na wyłudzeniu zasady, na założeniu z góry przyjętem, a nieuzasadnionem, że to, co pod względem podmiotowym zależy od umysłu, nie może pod względem przedmiotowym istnieć niezależnie od umysłu. Tak przedstawia się sprawa pod względem formalnym. Rzeczywiście jednak spotykamy w wywodach Kanta uwagi, które możemy uważać za argumenty, mające dowodzić, że czas nie istnieje realnie, lecz jest tylko subjektywną formą przedmiotów, o ile je sobie w tej formie przedstawiamy. Kant zauważa, że gdyby czas istniał realnie, to musiałby istnieć albo sam w sobie, jako substancya, niezależnie od rzeczy, które w nim istnieją, albo jako objektywne określenie tych rzeczy, do których pozostawałby w stosunku inherencyi, jako ich akcydens, jako porządek ich następstwa po sobie. Pojmując realność czasu w formie substancyalnej, uważając go za substancyę, przyjęlibyśmy realne istnienie rzeczy niepodobnej, dziwotworu (Unding); czas istniałby wtedy jako czas pusty, byłby czemś rzeczywistem, bez rzeczywistych przedmiotów. Pojmując zaś realność czasu w formie akcydencyalnej, jako objektywną własność rzeczy, mianowicie jako porządek ich następstwa po sobie, nie moglibyśmy wyjaśnić, jak to jest możliwem, że czas i stosunki czasowe poznajemy a priori.

niezależnie od doświadczenia, że wydajemy o nich syntetyczne sądy a priori, sądy apodyktycznie pewne, odznaczające się koniecznością i ważnością powszechną (Notwendigkeit und Allgemeingültigkeit), sądy, które, mimo że wydajemy je a priori, niezależnie od doświadczenia, mają przecie objektywny walor dla wszystkich przedmiotów doświadczenia. Albowiem gdyby czas był objektywną własnością samych rzeczy, wtedy tę własność ich moglibyśmy tylko pod tym warunkiem poznać, że stwierdzilibyśmy ją na podstawie doświadczenia; a wtedy sądy, które wydajemy o czasie i stosunkach czasowych, byłyby sądami a posteriori, nie odznaczałyby się pewnością apodyktyczną, ponieważ to, co na mocy doświadczenia stwierdzamy i o czem wydajemy sąd, mający w doświadczeniu swą podstawę dostateczną, nie jest nigdy pewne, lecz tylko prawdopodobne. Fakt, że o czasie i stosunkach czasowych wydajemy syntetyczne sądy a priori, sądy apodyktycznie pewne, i że sądy te, mimo że wydajemy je a priori, niezależnie od doświadczenia, mają przecie objektywny walor dla wszystkich przedmiotów doświadczenia, ten fakt da się tylko tem wytłómaczyć, że czas jest tylko subjektywną formą przedstawiania sobie przedmiotów, a przedmioty, które w tej formie istnieją, są tylko przedstawieniami naszemi. Wtedy bowiem nasza aprioryczna i apodyktyczna wiedza o czasie i stosunkach czasowych nie ma za przedmiot jakiejś realnej własności samych rzeczy, lecz własną formę umysłu, w której tenże przedmioty sobie przedstawia.

Zgadzamy się zupełnie z Kantem pod tym względem, że realność czasu nie może być pojęta w formie substancyalnej. Gdyby bowiem czas miał byt substancyalny, niezależny od rzeczy i od nich oddzielony, gdyby sam w sobie istniał, wtedy istniałby jako pusty czas, jako czyste płynienie (fluxus purus), które samo w sobie upływa. Pustemu czasowi nie podobna jednak przypisać realnego istnienia z następujących względów: Czyste płynienie, które samo w sobie płynie, jest tak samo, jak czysta czynność (actus purus), która sama się wykonywa, rzeczą niepodobną. Jak czynność wymaga koniecznie realnego podmiotu, który tę czynność wykonywa, tak samo płynienie wymaga koniecznie czegoś płynącego, jakiejś rzeczywistej treści konkretnej, która tem płynieniem jest objęta, która w stanie tego płynienia się znajduje, i od której to płynienie nie da się odłączyć i usamoistnić. Odłączyć da się ono od niej tylko w abstrakcyi myślowej, ale nie da się od niej rze-

czywiście oddzielić i pojąć jako coś samoistnego, od treści tej niezależnie istniejącego. Pusty czas jest tylko myślową abstrakcyą, której w rzeczywistości żaden realny przedmiot nie odpowiada i odpowiadać nie może, ponieważ pusty czas jest pojęciem samej formy tylko, z pominięciem materyi, treści, a w rzeczywistości nigdy i nigdzie nie istnieje forma bez treści, jako forma czysta, lecz zawsze i wszędzie jako forma wypełniona konkretną treścią. Forma i treść są konieczne, nawzajem wymagające się korelaty, i jedna bez drugiej istnieć nie może. Pusty czas, jako pojęcie oderwane, jest pojęciem stosunku, porządku następstwa, sukcesyi. Stosunek nie istnieje zaś bez realnych członów, które w stosunku tym do siebie pozostają, porządek nie istnieje bez czegoś uporządkowanego. To też czas, jako stosunek i porządek następstwa, nie istnieje sam w sobie jako stosunek i porządek czysty, bez treści ustosunkowanej i uporządkowanej, lecz może istnieć tylko razem z tą treścią, w ścisłem z nią zjednoczeniu. Nie można oczywiście za te człony stosunku następstwa uważać momentów pustego czasu; albowiem momenty pustego czasu, moment poprzedzający i następujący, nie są członami, które w stosunku następstwa do siebie pozostają, lecz są tem, co w pojęciowej formie stosunek ten oznacza. A jakże mamy właściwie pojąć i określić stosunek, w jakim ten pusty czas, sam w sobie upływający, pozostaje do rzeczy? Mówimy przecie, że rzeczy istnieją w czasie. Jakim jest więc ich stosunek do czasu, jeżeli ten czas pojmiemy jako pusty czas, sam w sobie upływający, jako czyste płynienie, które niezależnie od rzeczy upływa? Istnieją tylko dwie możliwości. Albo przyjmiemy, że rzeczy, mianowicie zdarzenia rzeczywiste, już same przez się po sobie następują, i że to następowanie ich po sobie, ta zmiana rzeczy, odbywa się równolegle do upływania pustego czasu: wtedy jest oczywiście rzeczą całkiem niepotrzebną, zbytecznem pomnażaniem bytów i podwajaniem rzeczywistości, przyjmować obok tych zmian rzeczywistych, tego następstwa po sobie zdarzeń, jeszcze jakiś pusty czas, który sam w sobie upływa, ponieważ to, co ten pusty czas zawiera, mianowicie następstwo, jest już w rzeczywistych zdarzeniach, w zmianie rzeczy, realnie się odbywającej, zawarte. Albo przyjmiemy, że rzeczy same przez się nie podlegają zmianie, że zmiana nie jest w nich jako takich zawarta, lecz wynika dopiero jako skutek z realnego stosunku rzeczy do czasu, któremu rzeczy swą zmianę, następstwo po sobie stanów swych, zawdzięczają: wtedy musimy przyjąć, że pusty, sam

w sobie upływający czas wywiera jakiś realny wpływ na rzeczy, mocą którego staje się przyczyną zmian, które w rzeczach wywołuje w porządku, odpowiadającym następstwu kolejnemu momentów tego czystego płynienia. Ale takie pojmowanie rzeczy jest niemożliwe. Bo naprzód momenty tego pustego czasu, tego czystego płynienia, niczem od siebie się nie różnią, jeno tem, że jeden poprzedza, a drugi następuje. Nie da się przeto zrozumieć, na czem to polega, że z dwóch następujących po sobie zdarzeń w konkretnym wypadku zdarzenie A mieści się w momencie czasu a, zdarzenie B zaś w momencie czasu b, że więc A poprzedza B, a nie odwrotnie. Że zdarzenie A poprzedza zdarzenie B jako po niem następujące, ta różnica między obu zdarzeniami, pod względem ich stosunku następstwa, nie może mieć swej dostatecznej podstawy w kolei momentów pustego czasu, ponieważ momenty te niczem od siebie się nie różnią, co mogłoby wyznaczać w sposób ścisły zdarzeniu A miejsce w momencie a, zdarzeniu B zaś miejsce w momencie b, a nie odwrotnie. A potem przypisując pustemu czasowi wywieranie wpływu na rzeczy, wywoływanie w nich zmian, wyznaczanie porządku, w jakim zdarzenia rzeczywiste mają po sobie następować według kolei jego momentów, obdarzamy czas jakąś siłą, jakąś zdolnością działania i wywoływania skutków, robimy z niego jakąś działającą istotę; a to są określenia, które z pojęcia czasu jako stosunku sukcesyi absolutnie nie wynikają, a nawet mu się sprzeciwiają, ponieważ istota czasu wyczerpuje się całkowicie stosunkiem następstwa, sukcesyi, i innych atrybutów absolutnie w sobie nie zawiera. Czas, który na rzeczy wpływ wywiera i zmiany jako skutki w nich wywołuje, przestaje być czasem, porządkiem następstwa, a staje się jakąś rzeczą wśród innych rzeczy, na które działa. Czas, dopóki jest tem, czem jest istotnie, mianowicie stosunkiem sukcesyi, nie zawiera w swej essencyi nic, żadnych tego rodzaju atrybutów, z których wynikałaby jakaś zdolność działania i wywoływania skutków. Z tego wynika, że uważając czas za coś rzeczywistego, nie możemy przypisywać mu bytu substancyalnego, nie możemy go oddzielać od rzeczy i usamoistniać jako pusty czas, który sam w sobie, niezależnie od rzeczy, upływa. Czasowi możemy przypisać tylko byt a k c y d e n c y a l n y, stosunek jego do rzeczy istniejących możemy pojąć tylko jako stosunek i n h e r e n c y i, t. z. realność czasu jest zależna od rzeczy, czas istnieje w rzeczach, jako realna forma zmian rzeczywistych, jako stosunek następujących po

sobie stanów rzeczy, jako porządek, w jakim zdarzenia rzeczywiste po sobie następują. A jak przestrzeń, jeżeli istnieje realnie, nie istnieje jako przestrzeń pusta, jako próżnia, sama w sobie, niezależnie od rzeczy w niej istniejących, lecz istnieje tylko jako stosunek koegzystencyi, spółbytności rzeczy, tak samo czas, jeżeli istnieje realnie, nie istnieje sam w sobie jako czas pusty, lecz istnieje tylko jako stosunek i porządek sukcesyi, następstwa, razem z konkretną treścią następujących po sobie zdarzeń rzeczywistych, w nierozłącznem z tą treścią zjednoczeniu i zespoleniu. Mówimy wprawdzie, że czas upływa; ale wyrażając się w ten sposób, nie mamy na myśli jakiegoś pustego czasu, który sam w sobie płynie, lecz mamy zawsze na myśli zmiany rzeczywiste, które się odbywają, rzeczywiste zdarzenia, które po sobie następują. Zawsze łączymy jakąś konkretną treść zdarzeń rzeczywistych z czasem jako jej formą realną. Jest to wprawdzie właściwością umysłu naszego, że wszystko to, co w mowie naszej, pod względem gramatycznym, występuje w formie rzeczownika, jako substantivum, jesteśmy skłonni uważać pod względem przedmiotowym za jakąś samoistną rzecz, za substancyę. I tak, mówiąc, że czas upływa, że chyżo bieży lub wlecze się, że wszystko z sobą porywa i niszczy, że ząb czasu wszystko nagryza, jesteśmy skłonni uważać czas za jakąś samoistną rzecz, za substancyę, działającą i skutki wywołującą [1]. Ale skoro zastanowimy się i przestaniemy operować przenośniami, przekonywamy się, że to, co mamy właściwie na myśli, używając takich wyrazów, to nie jest jakiś pusty czas, sam w sobie upływający i rzeczy w wir tego płynienia porywający i niszczący, lecz to są zmiany, którym rzeczy podlegają, ciągła odmiana stanów rzeczywistości; chcemy wyrazić myśl, że w świecie wszystko jest zmienne i znikome, że nic nie trwa, że wszystko przemija, że stawanie się jest charakterystyczną cechą rzeczywistości.

Realność czasu pojęliśmy w formie akcydencyalnej, stosunek

[1] Ten naiwny pogląd na realność czasu spotykamy nieraz także u filozofów, n. p. u Bergsona, który w swem dziele »Ewolucya twórcza« (przekład niem. str. 52) mówi o czasie, że wżera się on w rzeczy i pozostawia na nich ślady swych zębów. Że nie jest to tylko przenośnia i zwrot retoryczny, któremi zresztą Bergson często posługiwać się lubi, pokrywając niemi logiczne braki swych pojęć i rozumowań, to wynika z tego, że Bergson na innem miejscu wspomnianego dzieła (l. c. str. 45) nazywa wyraźnie czas właściwą substancyą rzeczy, której przypisuje siłę działania.

jego do rzeczy istniejących jako stosunek inherencyi. Czas jest atrybutem zmiany, formą, w której zmiana odbywa się, porządkiem następstwa po sobie zdarzeń rzeczywistych. Ale takiemu pojmowaniu sprzeciwia się argument Kanta, który dowodzi, że czas nie może być pojęty jako objektywny określnik rzeczy, jako atrybut ich zmiany, ponieważ wtedy nie moglibyśmy wyjaśnić, jak to jest możliwe, że o czasie i stosunkach czasowych wydajemy syntetyczne sądy a priori, sądy odznaczające się pewnością apodyktyczną i mające, pomimo swej niezależności od doświadczenia, ważność objektywną dla wszystkich przedmiotów doświadczenia. Możliwość takich sądów da się jedynie pod tym warunkiem wyjaśnić, że czas uznamy tylko za subjektywną formę przedstawiania sobie przedmiotów, a przedmioty, które w tej formie sobie przedstawiamy, za zjawiska, przedstawienia nasze.

Ten atoli argument Kanta jest tak słaby, że pozycyi naszej, którą zajęliśmy w kwestyi realności czasu, obalić nie może. Fakt istnienia syntetycznych sądów a priori o czasie i stosunkach jego nie dowodzi wcale, że czas jest tylko czemś idealnem, przedstawionem, a nie realnym, objektywnym określnikiem rzeczy samych, nie dowodzi tego z tej prostej przyczyny, że takie syntetyczne sądy a priori o czasie i stosunkach jego w ogóle nie istnieją, są tylko fikcyą Kanta. Owe apodyktyczne twierdzenia o stosunkach czasu, owe pewniki chronometryczne, które Kant przytacza, mianowicie, że czas ma tylko jeden wymiar, że różne części czasu nie istnieją razem, lecz następują po sobie: to nie są żadne sądy syntetyczne a priori, lecz sądy analityczne najczystszej wody. Że czas ma jeden tylko wymiar, że jego części nie istnieją razem, lecz po sobie następują: to wynika wprost z samego pojęcia czasu, jako stosunku następstwa, sukcesyi. Sądy tę są apodyktycznie pewne w tem znaczeniu, że, dopóki przez czas pojmujemy stosunek sukcesyi, t. z. pojmujemy go zgodnie z jego istotą, musimy mu przypisać w sądach, o nim i stosunkach jego wydanych, koniecznie te cechy, które w essencyi jego są zawarte, nie możemy mu cech tych odmówić, ponieważ popadlibyśmy w sprzeczność z pojęciem czasu. Sądy te możemy też, posługując się terminologią Kanta, uważać za sądy a priori w tem znaczeniu, że podstawą dostateczną, uzasadniającą prawdziwość tych sądów, jest samo pojęcie czasu. Czy zaś to pojęcie czasu jest pojęciem jakiejś apriorycznej, subjektywnej formy, w której przedstawiamy sobie przedmioty jako zjawiska tylko, czy pojęciem objektywnej, realnej właściwości samych rzeczy, pojęciem empirycznem.

drogą myślowej abstrakcyi z doświadczenia pierwotnie wydobytem, to jest zupełnie inna kwestya, która z kwestyą możliwości apodyktycznych twierdzeń o czasie, aksyomatów chronometrycznych, nie ma absolutnie nic wspólnego. Bo zarówno czy czas będzie tylko subjektywną formą przedmiotów jako przedstawień, czy objektywną formą rzeczy samych: dopóki mamy o nim pojęcie, odpowiadające jego istocie, będziemy musieli, chcąc uniknąć sprzeczności, w sądach o nim wydanych przypisać mu wszystkie te cechy, które w pojęciu jego są implicite zawarte, które należą do jego istoty. Czas, który ma więcej niż jeden wymiar, którego części nie następują po sobie, lecz istnieją razem, taki czas przestaje być czasem, a pojęcie takiego czasu jest pojęciem w sobie sprzecznem. Aksyomaty chronometryczne są więc sądami analitycznymi, a apodyktyczna pewność, którą się odznaczają, polega na samem pojęciu czasu, jako stosunku następstwa, i nie ma absolutnie nic do czynienia z realnością względnie idealnością czasu. Sądy o czasie i jego stosunkach mają też, mimo że dostateczną racyą ich prawdziwości jest samo pojęcie czasu, mimo że pod tym względem są sądami a priori, które nie potrzebują oglądać się na doświadczenie i w niem szukać podstawy uzasadnienia swej prawdziwości: sądy te mają ważność objektywną dla wszystkich przedmiotów, które w czasie istnieją, zarówno czy te przedmioty są zjawiskami, przedstawieniami naszemi, czy rzeczami samemi w sobie. Pytanie, jak to jest możliwem, że to, co o czasie twierdzimy z apodyktyczną pewnością na podstawie samego pojęcia czasu, ma ważność objektywną dla przedmiotów w nim istniejących, to pytanie mogłoby wtedy tylko powstać, gdyby możliwą była kwestya, czy czas, w którym przedmioty istnieją, jest tym samym czasem, te same posiada istotne cechy, co ten czas, o którym na podstawie jego pojęcia sądy wydajemy. Ale kwestya ta jest oczywiście całkiem bezprzedmiotowa, ponieważ czas, który miałby inne własności, niż te, które pojęcie czasu jako istotne cechy zawiera, n. p. więcej niż jeden wymiar, taki czas nie byłby w ogóle czasem, lecz jakimś innym stosunkiem pomiędzy rzeczami.

Pojmując czas jako realną formę zmiany, jako stosunek następstwa po sobie zdarzeń rzeczywistych, uzależniliśmy realność czasu od realności zmiany. Czas istnieje realnie pod warunkiem, że w rzeczywistości zmiany się odbywają, że rzeczy się zmieniają, że różne stany ich, jako zdarzenia rzeczywiste, po sobie następują. Ale teraz powstaje pytanie, czy też warunek ten jest rzeczywiście

spełniony. Pytanie to może wprawdzie wydawać się próżnem. Na idealistycznem stanowisku Kanta nie jest ono jednak próżnem, lecz musimy je postawić, i w myśl poglądu kantowskiego przeczącą dać na nie odpowiedź. Zmiana jest, zdaniem jego, tylko czemś przedstawionem, zależnem od formy czasu, jako subjektywnego warunku doświadczenia, przedstawiania sobie przedmiotów jako zjawisk. Skoro pominiemy ten subjektywny warunek, zmiana jest niczem. Ale ten pogląd Kanta nie może się utrzymać. Bo chociażbyśmy nawet przyjęli, że w świecie zewnętrznym poza naszą świadomością, w rzeczach od niej niezależnie istniejących, żadne zmiany nie odbywają się, że zmiana jest tutaj tylko określeniem przedmiotów tych jako zjawisk, o ile przedmioty te przedstawiamy sobie, to przecie nie możemy zaprzeczyć, że w wewnętrznej sferze świadomości naszej zmiana rzeczywiście się odbywa, że nasze wyobrażenia, myśli, uczucia, pożądania i t. d., jako stany umysłowe, ustawicznie zmieniają się, po sobie następują, nie możemy temu zaprzeczyć, ponieważ ta zmiana naszych stanów wewnętrznych jest oczywistym faktem naszego wewnętrznego doświadczenia. Że zmiana ta, jak mniema Kant, nie jest rzeczywistą, lecz tylko przedstawioną, że nie odbywa się realnie, lecz przedstawiamy ją sobie tylko jako odbywającą się, dzięki subjektywnej formie czasu, to twierdzenie jest wprost niedorzeczne. Ten pogląd, pod względem rzeczowym zgoła niemożliwy, stał się dla Kanta możliwym tylko dla tego, że Kant w sposób z naturą rzeczy niezgodny traktuje przedmioty wewnętrznego doświadczenia zupełnie równorzędnie z przedmiotami doświadczenia zewnętrznego, uważając tak jedne jak drugie w tem samem znaczeniu za zjawiska, mianowicie za przedstawienia nasze, poza któremi ukrywa się jakaś odrębna, od nich różna i niepoznawalna rzeczywistość. Kant pojmuje wszystkie bez wyjątku zjawiska w znaczeniu subjektywno-idealnem, nie zna i nie robi różnicy między zjawiskami w znaczeniu subjektywno-idealnem, jakiemi są przedmioty zewnętrznego doświadczenia, a zjawiskami w znaczeniu objektywno-realnem, jakiemi są przedmioty doświadczenia wewnętrznego, stany świadomości naszej. Różnica pomiędzy przedstawieniem a rzeczywistością jest zupełnie uzasadniona ze względu na przedmioty zewnętrznego doświadczenia: przedmioty te są istotnie zjawiskami w subjektywno-idealnem znaczeniu, ile że są nam pierwotnie dane w formie przedstawień, mianowicie spostrzeżeń zmysłowych, a samoistna rzeczywistość, przedmiot realny, który tym

przedstawieniom odpowiada, istnieje, jeżeli w ogóle przyznamy mu istnienie realne, po za naszą świadomością. Ale różnica między przedstawieniem a rzeczywistością jest nieuzasadniona odnośnie do przedmiotów doświadczenia wewnętrznego, do wewnętrznych stanów świadomości naszej, ponieważ przedmioty te nie istnieją poza świadomością, lecz w świadomości, w której je bezpośrednio ujmujemy jako nasze własne stany umysłowe. Że myśląc o czemś, doznając jakiegoś uczucia lub postanawiając coś, nie myślę, nie doznaję uczucia i nie postanawiam rzeczywiście, lecz przedstawiam sobie siebie tylko jako myślącego, czującego i postanawiającego, że więc te doświadczenia i doznania wewnętrzne są zjawiskami w subjektywno-idealnem, a nie zjawiskami w objektywno-realnem znaczeniu, takie twierdzenie nie miałoby zgoła żadnego sensu. To, czego faktycznie w świadomości mej doznaję, czego faktycznie doświadczam, co uświadamiam sobie jako własny mój stan umysłowy, to nie może być tylko przedstawieniem, poza którem ukrywa się jakaś odrębna rzeczywistość, od przedstawienia różna, lecz musi być uważane za samą rzeczywistość. Jeżeli więc doświadczam w świadomości zmiany własnych stanów umysłowych, a to jest faktem niezaprzeczonym, to ta zmiana nie może być tylko przedstawieniem mojem, w jakąś subjektywną formę czasu ujętem, nie może być zmianą przedstawioną tylko, lecz musi być uznana za zmianę, w świadomości mej rzeczywiście się odbywającą. — Wydaje nam się rzeczą w ogóle niepojętą, jak moglibyśmy przedstawiać sobie zmianę naszych stanów wewnętrznych, gdyby te stany rzeczywiście nie zmieniały się, nie następowały po sobie. Wydaje nam się rzeczą konieczną, że przedstawiać sobie siebie jako doznających rozmaitych kolejno po sobie następujących stanów umysłowych, wyobrażeń, myśli, uczuć, pożądań i t. d., możemy tylko pod tym warunkiem, że stany te rzeczywiście po sobie następują, że treść naszej świadomości jest zmienna. Gdyby nie była zmienna, gdybyśmy sobie przedstawiali ją tylko jako zmianie podlegającą dzięki jakiejś subjektywnej formie czasu, to nie dałoby się absolutnie zrozumieć, jak to jest możliwe, że treść świadomości naszej, która rzeczywiście zmianie nie podlega, przelewamy w jakąś formę całkiem jej obcą. — Nie trzeba też zapominać o tem, o czem Kant niestety zapomniał, mianowicie że nasze doświadczenie wewnętrzne nie składa się z samych stanów biernych, których doznajemy, lecz że ważnym składnikiem jego są rozmaite czynności umysłowe, mocą których umysł staje się przy-

czyną zmian w treści swej świadomości. Trudno zaś będzie pojąć czynności te znowuż jako czynności przedstawione tylko, a nie jako rzeczywiste akty przez umysł wykonywane, ponieważ pojęcie czynności rzeczywiście nie wykonywanej zawiera w sobie wewnętrzną sprzeczność. A tak, jak czynności umysłowe, które same oznaczają jakieś stawanie się w sferze naszej świadomości, jak te czynności umysłowe, jako przyczyny zmian naszych stanów wewnętrznych, są realne, są aktami rzeczywiście wykonywanymi, tak samo są realne zmiany naszych stanów umysłowych, które z tych czynności jako skutki wynikają. Kant sam przyjmuje, jak widzieliśmy, takie czynności umysłowe, przyjmuje czynności syntetyczne, na których doświadczenie przedmiotów w czasie polega: czynność łączenia wrażeń na mocy ich kolejnego ujmowania i odtwarzania wrażeń minionych, czynność, która, jak już poprzednio zauważyliśmy, tylko pod tym warunkiem jest możliwa, że wrażenia, które umysł kolejno ujmuje, odtwarza i w całość szeregu czasowego łączy, rzeczywiście jako stany świadomości zmieniają się, po sobie następują. — Zmianę musimy więc uznać za rzeczywistą, przynajmniej w sferze świadomości naszej, jako zmianę stanów umysłowych, ponieważ jest ona faktem wewnętrznego doświadczenia, który ze stanowiska subjektywistycznej i idealistycznej teoryi Kanta pojmowany i interpretowany być nie może.

Powstaje teraz pytanie, czy rzeczywistość zmiany ogranicza się do wewnętrznej sfery świadomości naszej, czy też odnosi się również do przedmiotów świata zewnętrznego. Do naszych stanów umysłowych, które zmianie rzeczywiście podlegają, należą naturalnie także nasze spostrzeżenia przedmiotów zewnętrznych. Ale w kwestyi, którą rozważać mamy, nie chodzi oczywiście o spostrzenia nasze, lecz o przedmioty tych spostrzeżeń, nie chodzi o to, czy nasze spostrzeżenia przedmiotów zewnętrznych zmianie podlegają, ponieważ to jest faktem wewnętrznego doświadczenia, lecz chodzi o to, czy same przedmioty tych spostrzeżeń, rzeczy w świecie zewnętrznym, poza naszą świadomością, również zmianie podlegają. Według naszego przekonania należy na to pytanie odpowiedzieć twierdząco.

W celu racyonalnego wyjaśnienia faktu, że umysł doznaje rozmaitych wrażeń zmysłowych i odnosi wrażenia te, w swych spostrzeżeniach, do przedmiotów zewnętrznych, czując się w tym względzie zależnym od czynników samoistnych, w celu wyjaśnienia

tego faktu musimy ze stanowiska krytycznej teoryi poznania przyjąć jako najprawdopodobniejszą hipotezę, przeciwko której nie przemawia żadna poważna ujemna instancya, że poza naszą świadomością, od niej niezależnie, istnieje świat zewnętrzny, który pozostaje z nią w stosunku realnym, oddziaływa na nią w formie podniet zewnętrznych i pobudza ją do odpowiednich wrażeń zmysłowych, które umysł w akcie przedmiotowania tych wrażeń, w spostrzeżeniach swych, odnosi do tej rzeczywistości. Pomiędzy imanentną sferą naszych spostrzeżeń zmysłowych, a transcendentną sferą rzeczywistości samoistnej istnieje przeto stosunek realny: rzeczy w świecie zewnętrznym są dzięki podnietom, mocą których działają na nasze zmysły, przyczynami naszych wrażeń zmysłowych. Stosunek ten Kant tak samo pojmuje. Z tego wynika, że cokolwiek staje się w imanentnej sferze naszych wrażeń i spostrzeżeń zmysłowych, musi mieć swój odpowiednik realny, swój korelat objektywny, w transcendentnej sferze rzeczywistości samoistnej, na której tamta jako na swej przyczynie polega. Nasze spostrzeżenia zmysłowe muszą być, w formie świadomości, przedstawicielami tego, co istnieje i dzieje się w świecie zewnętrznym, poza naszą świadomością. Otóż jest faktem wewnętrznego doświadczenia, że nasze spostrzeżenia przedmiotów zewnętrznych podlegają zmianie: nie spostrzegamy wciąż tych samych przedmiotów, tych samych własności ich i tych samych pomiędzy niemi stosunków, lecz przedmioty zmieniają się w naszych spostrzeżeniach, zmieniają swoje własności i zmieniają stosunki, w jakich do siebie pozostają. Jeśli więc w spostrzeżeniach zmysłowych, zależnych od rzeczy świata zewnętrznego, będących ich przedstawicielami w świadomości naszej, zachodzą zmiany, to zmiany takie muszą się także odbywać w świecie zewnętrznym, jako objektywnym korelacie naszych spostrzeżeń. Spostrzegam n. p. na wiosnę drzewo pokryte zielonymi liśćmi. W jesieni spostrzegam to samo drzewo, ale jest ono teraz pokryte liśćmi żółtymi. W mojem spostrzeżeniu tego samego przedmiotu zaszła przeto zmiana. Z tego wynika, że także w samym przedmiocie realnym, który pobudza mój umysł do odnośnych wrażeń zmysłowych, musiała zajść jakaś odpowiednia zmiana; w przeciwnym bowiem razie nie możnaby absolutnie zrozumieć, dla czego ten sam przedmiot realny, pozostając niezmiennym, mógłby na umysł mój działać odmiennie, a więc raz tak, że doznaję wrażenia barwy zielonej, a potem tak, że doznaję wrażenia barwy żółtej. Chcąc przeto fakt zmian, zacho-

dzących w naszych spostrzeżeniach zmysłowych, w sposób zadowalniający wyjaśnić, bez uciekania się do hipotez sztucznych, musimy koniecznie przyjąć rzeczywistość odpowiednich zmian w świecie zewnętrznym, poza świadomością naszą, jeżeli w ogóle przyjmiemy realne istnienie przedmiotów zewnętrznych i sprowadzimy do nich jako przyczyn fakt naszych wrażeń zmysłowych.

Zmianę musimy więc uznać za realną, rzeczywiście odbywającą się, zarówno w wewnętrznej sferze świadomości, jak w świecie zewnętrznym; a ponieważ czas pojęliśmy jako atrybut zmiany, jako realną jej formę, przeto realność musimy przypisać także czasowi, chociaż realność uwarunkowaną, od realności zmiany zależną. Tam, gdzie zmiana się odbywa, gdzie ma miejsce sukcesya różnych stanów rzeczywistości, zarówno stanów wewnętrznych świadomości naszej, jak stanów rzeczy zewnętrznych, tam, gdzie jakiś stan poprzedza, a inny po nim następuje, tam istnieje też czas, jako realna forma tej zmiany, jako stosunek tych stanów do siebie, jako porządek ich następstwa; tam, gdzie żadna zmiana się nie odbywa, gdzie nic rzeczywiście nie poprzedza i nic rzeczywiście nie następuje, tam traci czas swą realność [1].

Tej konsekwencyi możnaby jednak zaprzeczać. Możnaby twierdzić, że wprawdzie zmianę rzeczy uważać trzeba za rzeczywistą, że jednak z tego nie wynika koniecznie, iż czas jest czemś rzeczy-

[1] Pojmując czas jako atrybut zmiany, a więc realność jego jako względną tylko, od realności zmiany zawisłą, postąpilibyśmy właściwie odpowiedniej, gdybyśmy pojęcie czasu zastąpili pojęciem czasowości i tego wyrazu używali, chcąc zaznaczyć, że realność czasu jest realnością zmiany uwarunkowana. Albowiem mówiąc o czasie jako czemś realnem, jesteśmy zawsze skłonni tę realność czasu uważać za coś nieuwarunkowanego, niezależnego, za realność absolutną, a temu fałszywemu przyzwyczajeniu należy właśnie w interesie sprawy możliwie przeciwdziałać. Atrybutem zmiany nie jest więc właściwie czas, lecz czasowość. Ponieważ jednak, rozważając kwestyę realności czasu, wychodzimy od pojęcia czasu, jako przedmiotu, przez abstrakcyę myślową wyodrębnionego i usamoistnionego, i pytamy się, czy i jaką realność mamy przedmiotowi temu przypisać, nie przesądzając z góry, jak odpowiedź na to pytanie wypadnie, podczas gdy pojęcie czasowości, która oznacza własność czegoś istniejącego, a nie coś samoistnego, kwestyę już z góry przesądza na korzyść względnej tylko realności tego przedmiotu, i ponieważ nadto wyraz »czasowość« jest trochę niewygodny, przeto uważamy za rzecz słuszną, że nie posługiwaliśmy się tym wyrazem, lecz używaliśmy wyrazu »czas« i że nadal używać go będziemy, w przekonaniu, że czytelnik, po uwagach obecnych, łatwo zrozumie, co mamy na myśli.

wistem, mianowicie realną formą zmiany. Albowiem jest rzeczą możliwą, że zmiana odbywa się w innej, nieznanej nam i niedającej się przez nas określić formie, jako zmiana rzeczywista, a czas jest tylko subjektywną formą, w jakiej ten, nie w formie czasowej, lecz w innej formie odbywający się proces zmiany przedstawiamy sobie. Atoli ten pogląd jest niemożebny. Pojęcie zmiany, nie odbywającej się w formie czasowej, lecz w innej formie, jest pojęciem sprzecznem. Zmiana oznacza bowiem następstwo po sobie stanów rzeczy, w zmianie leży różnica między tem, co poprzedza, a tem, co następuje. Rzecz zmienia się, znaczy, że rzecz ta przechodzi z jednego stanu w stan inny, że przyjmuje kolejno rozmaite stany, że zamienia sukcesywnie jednę własność swą na drugą, lub jeden stosunek swój do innych rzeczy na inny stosunek. Czas jest zaś stosunkiem następstwa, sukcesyi. Czasowość jest przeto istotną cechą pojęcia zmiany; usuwając tę cechę z treści pojęcia zmiany, niszczymy samo pojęcie zmiany, pozbawiamy essencyę zmiany tej istotnej cechy, bez której nie da się ona zgoła bez sprzeczności pomyśleć. Zmiana odbywa się w formie czasowej: ten sąd jest sądem analitycznym, którego prawdziwość jest oczywistą już na zasadzie sprzeczności. Kto więc mówi o zmianie jako czemś realnem, ten musi, nie chcąc popaść w sprzeczność z pojęciem zmiany i pojęcia tego zniszczyć, przypisać konsekwentnie realność temu, bez czego zmiana nie da się absolutnie pojąć, mianowicie czasowi.

Ale jeszcze inny zarzut możnaby podnieść przeciwko naszemu pojmowaniu czasu jako realnej formy zmiany. Możnaby zarzucić, że czas nie jest wcale ze zmianą związany, nie jest od niej zależny, ponieważ nie tylko te przedmioty, które zmianie podlegają, ale także przedmioty niezmienne, w których przynajmniej żadnej zmiany nie spostrzegamy, przedstawiają się nam jako w czasie istniejące; a to jest oczywistym dowodem tego, że czas nie jest realną formą zmiany, do niej jako atrybut przywiązany, lecz tylko subjektywną formą, w jakiej wszystkie przedmioty sobie przedstawiamy. Gdyby bowiem czas nie był tylko formą przedstawiania sobie przedmiotów, lecz istniał rzeczywiście, jako forma zmiany, z nią nierozerwalnie związana i od jej realności zależna, to nie moglibyśmy oczywiście stosować określeń czasowych do przedmiotów niezmiennych, lecz moglibyśmy stosować je tylko do tych przedmiotów, które się zmieniają i w których taką zmianę spostrzegamy. Faktycznie jednak stosujemy określenia czasowe nie tylko do przedmiotów zmieniają-

cych się, lecz także do przedmiotów niezmiennych; nie tylko tam, gdzie zmianę w rzeczach spostrzegamy, mówimy o czasie, ale mówimy o nim także w tych wypadkach, w których żadnej zmiany nie spostrzegamy. N. p. skała przedstawia się nam niewątpliwie jako coś trwałego, niezmiennego, nie spostrzegamy w niej, przynajmniej przez dłuższy przeciąg czasu, żadnej widocznej zmiany, lubo taka zmiana, dla nas niedostrzegalna, może w niej rzeczywiście się odbywać; a mimo to skała istnieje dla nas w czasie, stosujemy do niej tak samo określenia czasowe, jak do rzeczy, w których zmianę spostrzegamy. Ten fakt dowodzi niezbicie, że czas jest tylko subjektywną formą przedstawiania sobie przedmiotów. — Zarzut ten atoli jest nieuzasadniony. Jeżeli bowiem zastanowimy się nad tem, dla czego właściwie stosujemy określenia czasowe także do przedmiotów niezmiennych, mimo że czas jest ze zmianą ściśle związany i od niej zależny, przekonywamy się, że czynimy to dla tego, ponieważ te przedmioty niezmienne porównywamy z przedmiotami zmieniającymi się, mianowicie albo ze zmianą przedmiotów świata zewnętrznego, albo ze zmianą wewnętrznych stanów świadomości naszej, i przenosimy określenia, które istotnie odnoszą się tylko do zmieniających się przedmiotów, na przedmioty niezmienne. Skała, mimo że nie spostrzegamy w niej zmiany, istnieje dla nas przecież w czasie, stosujemy do jej istnienia określenia czasowe, mówimy n. p., że skała trwa już setki lat, ponieważ porównywamy jej istnienie ze zmianą, która odbywa się w świecie zewnętrznym, mianowicie z obrotem ziemi około słońca, i przenosimy określenia czasowe, które, przedmiotowo biorąc, odnoszą się jedynie do tej zmiany, do ruchu ziemi, na skałę jako przedmiot niezmienny. Nie bezpośrednio i pierwotnie odnoszą się przeto określenia czasowe do przedmiotów niezmiennych, tak, jak do zmieniających się, lecz odnoszą się do nich tylko pośrednio i pochodnie, za pośrednictwem rzeczy zmiennych, z których przenosimy je, na mocy porównywania, na przedmioty niezmienne. Wyobraźmy sobie, że w świecie zewnętrznym wszelkie zmiany ustają, żadne zdarzenia nie dzieją się, żadne stany rzeczy po sobie nie następują, to mimo to ten świat zewnętrzny, sam w sobie niezmienny, przedstawiałby się nam jako w czasie istniejący; stosowalibyśmy do niego określenia czasowe, to dla tego tylko, że w wewnętrznej sferze świadomości naszej, w naszych stanach umysłowych, zachodziłaby zmiana, z którą porównywalibyśmy istnienie świata zewnętrznego i której określenia

czasowe przenosilibyśmy pośrednio na świat zewnętrzny, mimo że w nim czas straciłby wszelkie znaczenie realne, dla braku zmiany rzeczywistej, z którą ściśle się wiąże. Wyobraźmy sobie dalej, że nie tylko w świecie zewnętrznym, ale również w sferze świadomości naszej wszelka zmiana ustaje, że w ogóle wszelkie następstwo po sobie zdarzeń zostaje z rzeczywistości usunięte, stan rzeczy, który trudno nam przedstawić sobie: wtedy czas straciłby w ogóle wszelkie znaczenie realne, nie oznaczałby już nic rzeczywistego, ponieważ nie odbywałyby się już żadne zmiany, od których realności realność czasu jest zawisła. Wtedy charakterem rzeczy istniejącego świata nie byłaby czasowość, lecz wieczność, jako negacya czasowości.

Przeciwko realności czasu możnaby wytoczyć jeszcze argument następujący: Realność leży tylko w teraźniejszości, w chwili obecnej; tylko to jest realne, rzeczywiste, co obecnie istnieje. Przeszłość i przyszłość nie oznaczają nic rzeczywistego; to, co przeszło, minęło, nie istnieje rzeczywiście, nie istnieje też rzeczywiście to, co dopiero nastąpi. Przeszłość i przyszłość istnieją tylko w przedstawieniu naszem: pierwsza we wspomnieniu, druga w antecypującej rzeczywistość wyobraźni naszej. Gdyby czas był czemś rzeczywistem, to przeszłość i przyszłość musiałyby być tak samo rzeczywistemi, jak teraźniejszość. Ponieważ jednak warunek ten nie jest spełniony, ponieważ realną jest tylko teraźniejszość, a przeszłość i przyszłość są tylko czemś idealnem, przedstawionem, przeto czas nie może być realny, ponieważ do realności tej brak mu realności dwóch istotnych jego momentów, przeszłości i przyszłości. — Ale argumentacya ta polega oczywiście na pomięszaniu pojęć i przeciwko realności czasu, jak tę realność pojęliśmy, absolutnie nic nie dowodzi. Bo chociaż jest prawdą, że rzeczywistość leży tylko w teraźniejszości, w chwili obecnej, to przecież należy uwzględnić to, że ta chwila obecna nie jest czemś wiecznem, absolutnie trwałem, jakiemś »nunc stans«, lecz wielkością zmienną, — że to, co w chwili obecnej istnieje, nie istnieje wiecznie, lecz przemija; i chociaż jest prawdą, że przeszłość i przyszłość nie istnieją rzeczywiście, lecz istnieją tylko w przedstawieniu naszem, w naszem wspomnieniu, względnie w antecypującej wyobraźni, to trzeba jednak uwzględnić, że to, co przeszło, co minęło, było dawniej rzeczywiste, a to, co nastąpi w realnym procesie zmiany, będzie rzeczywiste. W znaczeniu względnem, ze względu na każdorazową chwilę obecną, którą

wypełnia to, co w chwili tej jest rzeczywiste, nie oznaczają wprawdzie przeszłość i przyszłość nic rzeczywistego; w znaczeniu absolutnem jednak pojęcie realności stosuje się do nich tak samo, jak do chwili obecnej, ponieważ to, co przeszło, nie istnieje w absolutnem znaczeniu, tylko w przedstawieniu naszem, lecz było rzeczywiste, istniało dawniej, jak również to, co nastąpi, nie istnieje w absolutnem znaczeniu, tylko w przedstawieniu naszem, lecz będzie rzeczywiste, będzie później istniało, skoro w realnym procesie zmiany przyjdzie na nie kolej. Rzeczywistość przedstawia w zmianie rzeczy ciągłe przechodzenie stanów przyszłych przez teraźniejszość do stanów przeszłych, ciągłe następstwo po sobie stanów rzeczy, z których te, które są w chwili danej rzeczywistymi, przestają nimi być, a te, które po nich następują, stają się rzeczywistymi. Charakterem rzeczy istniejących jest zmienność, a tam, gdzie zmiana odbywa się, tam istnieje też rzeczywiście czas, jako realna forma tej zmiany. Kto zaś chce, żeby to, co minęło, i to, co dopiero nastąpi, było w tem samem znaczeniu rzeczywiste, jak to, co w chwili obecnej istnieje —, ten chce, żeby to, co nie jest już rzeczywiste, było jeszcze rzeczywiste, i to, co nie jest jeszcze rzeczywistem, było już rzeczywiste, ten miesza więc pojęcia, nie operuje pojęciem czasu, lecz innem pojęciem, do niego zgoła niepodobnem.

Wreszcie musimy odeprzeć jeszcze jedną argumentacyę przeciwko realności czasu. Argumentacya ta, podobna do poprzedniej, wprowadzająca jednak nowy argument do dowodu, jest następująca: Teraźniejszość, jako punkt i moment czasu, jest ściśle czemś nieczasowem, nie jest częścią czasu, lecz tylko czystą granicą w czasie, tak samo, jak punkt geometryczny jest czemś nieprzestrzennem, nie jest częścią przestrzeni, lecz czystą granicą w przestrzeni. Tylko teraźniejszość jest realna, tylko to jest rzeczywiste, co w momencie teraźniejszym, w chwili obecnej, istnieje. Otóż sumując te wszystkie momenty teraźniejsze, te wszystkie chwile obecne, po sobie następujące, otrzymamy tylko sumę momentów nieczasowych, z których nie możemy utworzyć czasu jako realności. Jeżeli bowiem żaden moment teraźniejszy, w którym jedynie realność jest zawarta, nie jest częścią czasu, wielkością czasową, to i z sumy tych momentów nie powstanie nigdy wielkość czasowa, czas jako realność. Ale i ta argumentacya nic przeciw realności czasu nie dowodzi. Musimy przedewszystkiem zauważyć, że, ściśle biorąc, o teraźniejszości we właściwem tego słowa znaczeniu możemy mówić tylko

na stanowisku świadomości naszej. Teraźniejszość wymaga bowiem za warunek podmiotu, który przedmioty w szeregu czasu przedstawia sobie, i dla którego pewien moment w tym szeregu jest momentem teraźniejszym, chwilą obecną, w odróżnieniu od momentu przeszłego i przyszłego. Stając na tem stanowisku podmiotu i nazywając teraźniejszem to, co podmiot ten w chwili obecnej jako rzeczywiste sobie przedstawia, musimy przyznać, że z tego stanowiska teraźniejszość nie jest momentem nieczasowym, czystą granicą czasu, lecz jest pewną wielkością, mającą pewien wymiar, który w znaczeniu temporalnem nazywamy trwaniem. Każda chwila, jako chwila obecna, w której coś przedstawiamy sobie, ma pewne trwanie, nie jest momentem nieczasowym, lecz pewną wielkością czasową, wypełnia pewną część czasu. W chwili, będącej momentem ściśle nieczasowym, nie mającym żadnego trwania, nie moglibyśmy sobie w ogóle nic przedstawiać. Ściśle nieczasowy moment świadomości jest pustą abstrakcyą. — Stając teraz na stanowisku przedmiotowem. uwzględniając zmianę odbywającą się, jako szereg następujących po sobie stanów rzeczy, możemy tę fazę w realnym procesie zmiany, ten stan, w którym odnośna rzecz zmieniająca się w danej chwili się znajduje, nazwać, chociaż w niewłaściwem znaczeniu, stanem obecnym, w odróżnieniu od przyszłego i przeszłego jej stanu. Ten stan obecny rzeczy, jako jedynie rzeczywisty, musielibyśmy w myśl powyższej argumentacyi uważać za coś nieczasowego, istniejącego w nieczasowym momencie, jakim ma być teraźniejszość, chwila obecna. Ale takie pojmowanie rzeczy jest niemożliwe. Nie można bowiem w żaden sposób dzielić i rozbijać realnego procesu zmiany na szereg momentów nieczasowych, ponieważ czas, jako forma zmiany, nie jest wielkością rozerwaną, lecz wielkością ciągłą, i ponieważ odpowiednio do tego zmiana nie składa się z oderwanych i oddzielonych od siebie momentów, lecz z takich, które tworzą szereg nieprzerwany, w sposób ciągły z sobą się wiążą. Z sumy momentów nieczasowych nie powstanie naturalnie nigdy czas jako wielkość rozciągła pod względem jednego wymiaru, mianowicie trwania, tak samo, jak z sumy punktów nieprzestrzennych nie powstanie nigdy przestrzeń jako wielkość rozciągła pod względem trzech wymiarów. Ale jest równie niedorzecznem chcieć składać czas, jako wielkość, z momentów nieczasowych, jak niedorzecznem jest chcieć z nieprzestrzennych punktów konstruować przestrzeń. Każdorazowy moment w procesie zmiany, stan, w którym

jakaś rzecz zmieniająca się znajduje się w obecnej chwili, w obecnej fazie procesu zmiany, nie jest nieczasowy, lecz jest czemś czasowem; albowiem jako integralny składnik tego procesu, jako konieczny punkt przejściowy od stanów przeszłych do przyszłych, ma ten moment charakter czasowy, jak ma go zmiana, w której się mieści. Nie trzeba tylko wydzielać go z procesu zmiany i oddzielać od innych momentów, z którymi tworzy proces zmiany, by uważać go potem za moment nieczasowy; bo oddzielnie istnieje on tylko w abstrakcyi myślowej, podczas gdy w konkretnym procesie zmiany wiąże się z innymi momentami, tworząc z niemi ciągły, nieprzerwany szereg następujących po sobie stanów. Mylne jest też, jak już poprzednio wykazaliśmy, mniemanie, że realnym jest tylko moment teraźniejszy, a więc ten stan, w którym zmieniająca się rzecz obecnie się znajduje. Bo chociaż trzeba przyznać, że poprzednie momenty i stany w procesie zmiany nie są już rzeczywiste, jako minione, a następne nie są jeszcze rzeczywiste, lecz mają się nimi dopiero stać, to przecież z tego nie wynika bynajmniej, że predykat realności w absolutnem znaczeniu tylko temu stanowi przypisać możemy, w którym zmieniająca się rzecz obecnie się znajduje, tak, jak gdyby stany przeszłe i przyszłe w ogóle żadnej realności nie posiadały, lecz istniały tylko w przedstawieniu naszem. Bo nim rzecz zmieniająca się osiągnie tę fazę w procesie swej zmiany, przyjmie ten stan, w którym znajduje się obecnie, musi ona przecież przejść kolejno fazy poprzednie, poprzednie stany, a nim ten proces zmiany się ukończy, będzie ona musiała przejść fazy następne, następne stany [1]. W procesie stawania się, zmiany, jest więc moment teraźniejszy, obecna faza, obecny stan, istotnie czemś czasowem, jest częścią czasu, a suma tych momentów, tych stanów, po sobie następujących i wiążących się z sobą w sposób

[1] Celem ściślejszego ujęcia wywodów w tekście należy ustanowić różnicę między realnością a rzeczywistością. Pojęcie realności jest pojęciem o szerszym, pojęcie rzeczywistości pojęciem o ciaśniejszym zakresie. Byt realny (esse in re) posiadają przedmioty, od przedstawień naszych niezależne czyli samoistne, w odróżnieniu od bytu idealnego przedmiotów przedstawionych, wyobrażonych lub pomyślanych (esse in mente, in intellectu). Realną jest więc zarówno treść teraźniejszości, obecnych stanów rzeczy, jak treść przeszłości, stanów poprzednich, minionych, i treść przyszłości, stanów następnych, które w procesie stawania się, w związku zdarzeń, powiązanych łańcuchem przyczynowym, zaistnieją. Rzeczywistą jest zaś tylko treść teraźniejszości, obecnych stanów rzeczy.

ciągły, nieprzerwany, tworzy wielkość rozciągłą i szereg ciągły, który tak samo jest realny, jak realny jest proces stawania się, zmiany rzeczy.

Czas jako wielkość rozciągła ma jeden wymiar, który nazywamy jego długością czyli trwaniem. Ponieważ czas nie jest realnością samoistną, czystem płynieniem, które samo w sobie upływa, lecz atrybutem zmiany, realną jej formą, przeto przez trwanie czasu nie należy rozumieć trwania samoistnie upływającego czasu, jako czystego płynienia, lecz trwanie zmiany rzeczywistej, długość realnego procesu stawania się w świecie. Jeśli weźmiemy pod uwagę jakąś zmianę poszczególną pewnej istniejącej rzeczy, stanowiącą część ogólnego procesu stawania się jako całości, to długość czasu, w którym ta zmiana się odbywa, nie jest niczem więcej, jeno długością procesu tej zmiany, który naturalnie, niezależnie od sposobu, w jaki długość tę mierzymy i przedstawiamy sobie, posiada sam w sobie, jako proces realnie odbywający się, pewne określone, objektywne trwanie. Proces zmiany musi się przecież dokonać; rzecz zmieniająca się musi przebiec po kolei wszystkie fazy swej zmiany, przejść wszystkie, kolejno i w sposób ciągły następujące po sobie stany; proces zmiany musi przeto trwać, musi posiadać pewną, przebiegiem swym objektywnie określoną długość. — W celu wyrównania różnic indywidualnych i usunięcia sprzeczności, jakie panują w mierzeniu długości czasu według miary subjektywnej, stawia nauka postulat objektywnego, jednostajnie upływającego czasu, którego te same części czyli okresy równą mają długość, równe trwanie. Otóż jeśli postulat ten uważamy w rzeczywistości za spełniony, to przez objektywny czas nie możemy pojmować, jak chciał Newton, jakiegoś samoistnego czasu, który sam w sobie jednostajnie upływa, którego płynienie nie ulegą zmianom (tempus, quod aequabiliter fluit, cuius fluxus mutari nequit), bez stanowiska naszego umiarkowanego realizmu nie rozumielibyśmy przezeń nic innego, jeno jednostajnie odbywający się, żadnym wahaniom, alteracyom i modyfikacyom nie podlegający proces rzeczywistego stawania się w świecie, pojęty jako całość zmian rzeczywistych. A gdyby ktoś zarzucił, że o jednostajnie odbywającym się procesie stawania się, zmiany, możemy przecież mówić tylko pod warunkiem, że istnieje objektywny, sam w sobie jednostajnie upływający czas, którego jednostajne płynienie jest właśnie miarą i skalą, która określa i warunkuje jednostajność odbywającego się procesu zmiany:

musielibyśmy odpowiedzieć, że tak przedstawia się stosunek ten tylko ze stanowiska naszego dyskursywnego myślenia, naszej myślowej abstrakcyi, która oddziela czas od zmiany odbywającej się, usamoistnia go i każe jednostajności upływania tego samoistnego czasu stawać się dopiero miarą jednostajności odbywającego się procesu zmiany; ale tak nie przedstawia się stosunek w rzeczywistości, gdzie czas istnieje tylko jako atrybut zmiany, jako forma, w której proces zmiany odbywa się rzeczywiście: tutaj miara jednostajności odbywania się procesu zmiany nie jest od jednostajności upływania jakiegoś samoistnego czasu zależna i nią dopiero określona, lecz tkwi w samym procesie zmiany, jako własna, swoista miara odbywania się tego procesu.

Jeżeli czas jest atrybutem zmiany i o tyle tylko jest rzeczywisty, o ile zmiany rzeczywiście się odbywają, to zdaje się koniecznie wynikać, że istnieje właściwie tyle różnych czasów, wiele zmian rozmaitych przedmiotów odbywa się w świecie rzeczywistym. Nie istnieje jeden czas, lecz wielość czasów. Gdyby czas był czemś, co samo w sobie istnieje i upływa, niezależnie od zmian, w nim się odbywających, to moglibyśmy mówić o jednym czasie; ponieważ jednak realność jego pojęliśmy jako zależną od realności zmiany, jako jej atrybut, przeto nie możemy mówić o czasie jako jedności, ale musimy, odpowiednio do wielości zmian rzeczywistych, przyjąć wielość czasów. Każda odbywająca się zmiana ma swój czas, jako własny atrybut. — Na tę konsekwencyę moglibyśmy się ostatecznie zgodzić; albowiem pojęcie jedności czasu jest przedewszystkiem podmiotowo uwarunkowane, mianowicie tem, że posiadamy oderwane pojęcie czasu, które nie jest pojęciem ogólnem, lecz pojęciem jednostkowem, odnoszącem się do jednego przedmiotu. Atoli po bliższem rozważeniu rzeczy, przekonywamy się jednak, że powyższa konsekwencya, niszcząca jedność czasu, z naszego poglądu wcale nie wynika. Bo jeśli się bliżej przypatrzymy, to musimy przyznać, że o wielości zmian możemy mówić tylko z naszego ograniczonego, antropocentrycznego, stanowiska patrzenia na rzeczy; z kosmocentrycznego stanowiska, ogarniającego byt rzeczywisty jako całość, ten punkt widzenia nie jest słuszny, nie odpowiada naturze rzeczy. Jak bowiem świat jest jednością, tworzy zwartą w sobie całość rzeczy, od siebie wzajemnie zależnych, tak też proces rzeczywistego stawania się, jako całość zmian rzeczywistych, jest istotnie jednym, zwartym w sobie procesem, i odpowiednio do tego czas, jako

realna forma stawania się, jest jednym czasem. Tylko nam, z naszego ograniczonego punktu widzenia, nie mogącym objąć umysłem naszym całości bytu i stawania się, tylko nam w naszej abstrakcyi myślowej, ze stanowiska dyskursywnego myślenia, które zwraca uwagę tylko na poszczególne części całości, a nie na całość rzeczy, przedstawia się ten realny proces stawania się, będący w sobie jednością, jako na oddzielne części, na wielość poszczególnych zmian, rozerwany i z nich jako odrębnych części złożony. W rzeczywistym procesie stawania się nie odbywają się zaś zmiany te, które od całości odrywamy, oddzielnie, lecz łączą się z innemi zmianami i wiążą się z niemi w jeden proces, jako zwartą w sobie całość. A tak, jak zmiany, które w świecie odbywają się, są częściami jednego procesu stawania się jako całości, tak też czasy, stanowiące realną formę tych zmian, są częściami jednego czasu jako całości. Mylne jest przeto twierdzenie, że jedność czasu jest wtedy tylko zachowana, gdy pojmiemy realność czasu jako realność samoistną, gdy przypiszemy czasowi byt substancyalny, z czego idealiści wyprowadzają wniosek, że, ponieważ jedność czasu jest uwarunkowana substancyalnością czasu, a realność czasu nie da się pojąć w formie substancyalnej, przeto nie można czasowi w ogóle przypisywać żadnej realności. Myśmy wykazali, że akcydencyalny charakter czasu, zależność jego realności od realności zmiany, zgadza się zupełnie z jednością czasu, ponieważ jedność ta jest jednością realnego procesu stawania się w świecie rzeczywistym dostatecznie zagwarantowana.

Rozważając ze stanowiska metafizycznego problemat zmiany i jej stosunku do bytu niezmiennego, trwałego, dojdziemy do wyniku, którego tutaj jednak bliżej uzasadnić nie możemy, mianowicie że zmianie podlegają tylko stany rzeczy, jako ich przypadłości, akcydensy, że zaś rzeczy same, jako substancye, pod względem swej essencyi, swej istoty, zmianie nie podlegają, lecz tworzą, jako realne podmioty zmiany, trwałą podstawę, z której w odpowiednich warunkach odmiana ich stanów, jako przypadłość wynika. Z tego musimy wyprowadzić następujący wniosek: Jeżeli czas jest realną formą zmiany, to w czasie istnieją tylko stany substancyi, jako odmieniające się przypadłości, i tylko do nich możemy stosować określenia czasowe; essencya substancyi nie istnieje zaś w czasie, ponieważ jest niezmienna, i do niej określeń czasowych nie możemy stosować. Jeśli więc mówimy, że świat istnieje w czasie, to musimy zdać

sobie dokładnie sprawę z tego, w jakiem znaczeniu zdanie to wypowiadamy; zdanie to jest bowiem dwuznaczne i może wyrażać, zależnie od znaczenia, w jakiem je wypowiadamy, albo sąd prawdziwy, albo sąd mylny. Pojmując mianowicie przez świat całość zmian rzeczywistych, proces stawania się, twierdzimy słusznie, że świat istnieje w czasie, że czasowość jest jego cechą charakterystyczną, jako istnienia zmiennego. Ale pojmując przez świat całość istniejących substancyi, które wprawdzie stany swoje zmieniają, które jednak pod względem swej essencyi są niezmienne, twierdzimy niesłusznie, że świat istnieje w czasie, wydajemy sąd mylny, ponieważ do substancyalnego bytu świata określenia czasowe nie dadzą się zastosować.

Zastanawiając się w pierwszej części niniejszej pracy nad kwestyą, na czem to polega, że wszystko, co tworzy przedmiot naszego doświadczenia, przedstawia się nam w czasie, doszliśmy do wyniku, że koniecznym warunkiem możliwości przedstawiania sobie następstwa w czasie jest jedność i tożsamość naszej świadomości, niezmienność podmiotu poznania, który przedstawia sobie zjawiska w czasie. Otóż ten niezmienny, identyczny podmiot, który czas przedstawia sobie, jest czemś poza czasem istniejącem, i do niego, o ile jest tym podmiotem, nie możemy również stosować określeń czasowych; w czasie istnieją tylko odmieniające się stany wewnętrzne tego niezmiennego podmiotu. Nasza jaźń, jako identyczny podmiot wszystkich stanów świadomości, jest tem, co świadomość czasu warunkuje i umożebnia, czego istnienie jednak jest od czasu niezależne, ponieważ jest niezmienne.

Objektywnym korelatem, odpowiednikiem naszej jaźni, jako poza czasem istniejącego jestestwa, po stronie przedmiotowej, jest byt substancyalny świata, do którego również nie możemy stosować określeń czasowych. Jak nasza jaźń, jako identyczny podmiot świadomości, który zmianę sobie przedstawia i możliwość tego przedstawienia warunkuje, jest czemś po za czasem istniejącem, tak samo substancyalny byt świata, który pod względem objektywnym możliwość zmian warunkuje, jest czemś poza czasem istniejącem. Dwa trwałe bieguny istnieją więc w świecie, pomimo odmiany zjawisk, i warunkują z jednej strony możliwość odbywania się zmian, a z drugiej strony możliwość przedstawiania sobie i poznania zmian — bieguny zmianą nietknięte i w tym sensie poza czasem istniejące:

mianowicie substancyalny byt świata pod względem przedmiotowym, a pod względem podmiotowym jaźń nasza.

Wynik powyższy rzuca też światło na charakter czasu jako wielkości ciągłej. Ponieważ czas sam w sobie nie istnieje, lecz jest atrybutem zmiany, przeto przez ciągłość czasu, w znaczeniu realnem, należy rozumieć ciągłość procesu stawania się, zmiany rzeczywistej. Warunkiem zaś, który tę ciągłość procesu zmiany umożebnia, jest substancyalny byt rzeczy, tworzący realny podmiot zmiany, podmiot, który pomimo odmiany swych stanów, przypadłości, pozostaje pod względem essencyi swej niezmienny, podmiot, który przez cały ciąg odbywającej się zmiany trwa jako podmiot identyczny, tworząc jej trwałe podłoże i nadając trwaniem swem odmianie swych stanów charakter procesu ciągłego, w swych fazach nieprzerwanego. Gdyby wraz z odmianą stanów zmieniał się także podmiot tych stanów, substancya, gdyby w każdej z następujących po sobie faz procesu zmiany stawał się innym podmiotem, wtedy proces zmiany nie byłby ciągły, lecz rozerwany na oddzielne i oddzielone od siebie, bo niczem z sobą niepowiązane fragmenty. Warunkiem ciągłości procesu rzeczywistego stawania się jest przeto trwałość substancyi, jako realnego podmiotu zmiany.

Rozum człowieka zastanawiał się i zastanawia nad pytaniem, z którem jakoś trudno mu się uporać, mianowicie czy świat ma, czy niema początku w czasie, czy więc pod względem czasu jest skończony, czy nieskończony. Kant starał się nawet w swej słynnej nauce o antynomiach czystego rozumu wykazać, że rozum, zajmując się rozwiązaniem tego problematu, popada w antynomię, w sprzeczność z samym sobą, stawiając koniecznie dwa wykluczające się nawzajem twierdzenia, tezę, która twierdzi, że świat ma początek w czasie, i antytezę, która twierdzi, że świat niema początku w czasie, i że oba te twierdzenia sprzeczne może rozum w sposób ścisły, równą mocą argumentów, udowodnić. Od tej antynomii możemy się, zdaniem Kanta, tylko w ten sposób uwolnić, że staniemy w kwestyi realności czasu na stanowisku idealistycznem, t. z. uważać będziemy czas tylko za subjektywną formę przedstawiania sobie przedmiotów jako zjawisk, a nie za objektywną formę rzeczy samych w sobie.— Nie uznajemy takiej antynomii. Kwestya, czy świat ma, czy nie ma początku w czasie, jest bowiem zdaniem naszem fałszywie postawiona, jest kwestyą bezprzedmiotową. Czy świat ma, czy niema początku w czasie, o to moglibyśmy wtedy tylko pytać się, gdyby

czas był czemś samoistnem, niezależnie od rzeczy istniejącem. Wykazaliśmy jednak, że czas o tyle tylko jest realny, o ile realne są zmiany, których formę stanowi. Nie świat istnieje więc w czasie, w którym mógł był wziąć swój początek, ale czas istnieje w świecie, jako forma stawania się, jako porządek następstwa po sobie stanów istniejących rzeczy. Wykazaliśmy dalej, że substancyalny byt świata, jako niezmienny pod względem essencyi swej, istnieje poza czasem, że określenia czasowe nie odnoszą się wcale do niego. Nie mamy przeto żadnej objektywnej racyi pytać się, czy świat powstał, czy nie powstał w czasie, ponieważ substancyalny byt świata wyklucza wszelkie określenia czasowe. A gdybyśmy nawet świat pod względem substancyalnego bytu uważali za coś, co powstało na mocy twórczego aktu jakiejś wyższej przyczyny, pogląd, który zdaniem naszem przynajmniej w tej formie, w jakiej się go zazwyczaj pojmuje i przedstawia, nie może się utrzymać, to i wtedy powyższa kwestya nie istniałaby wcale. Albowiem nie p r z e d początkiem, przed stworzeniem świata upływałby, jak sobie zwykle wyobrażamy, jakiś pusty, sam w sobie istniejący czas, lecz jako forma zmian w świecie począłby czas istnieć dopiero r a z e m ze światem, z pierwszą zmianą, która dokonała się w tym stworzonym świecie. Inna rzecz, gdy kwestya skończoności lub nieskończoności świata pod względem czasu tyczy się nie początku świata w czasie, lecz procesu realnego stawania się w świecie istniejącym. Przyjmując, że świat istniejący miał początek i będzie miał koniec, chociaż tego początku względnie końca świata nie można pojmować w czasie, raczej trzeba przyznać, że wtedy czas rozpoczął się i skończy się wraz z istniejącym światem: przyjmując to, musimy proces zmian w świecie uważać zarówno a parte ante, jak a parte post za skończony. Przyjmując zaś, że świat nie miał początku i końca mieć nie będzie, że jest w swym bycie substancyalnym wieczny, że przeto także czas nie rozpoczął się i nie skończy się, musimy jużci przyznać, że proces rzeczywistego stawania się w tym wiecznie istniejącym świecie jest zarówno a parte ante, jak a parte post nieskończony. Za którą z tych możliwości trzeba się oświadczyć, to wymagałoby osobnych, poza nasz problemat wybiegających rozważań, których tutaj przeprowadzać nie możemy.

Ukończyliśmy nasze rozważania, dotyczące istoty czasu. Zdajemy sobie jednak jasno sprawę z tego, że pomimo naszych usiłowań rozwiązania problematu czasu, wyjaśnienia kwestyi, które przedmiot

ten rozumowi naszemu narzuca, pozostaje przecież jakaś iracyonalna reszta, której nie możemy rozumem zgłębić, pozostaje problem, który rozwiązać się nie da. Właściwa natura czasu, to nieustanne przechodzenie teraźniejszości w przeszłość a przyszłości w teraźniejszości, ta ciągła odmiana istniejącego i nieistniejącego, jest dla nas ostatecznie czemś tajemniczem, niepojętem. Wprawdzie ta tajemniczość nie leży właściwie w naturze czasu, który sam w sobie realnie nie istnieje; ale tkwi ona przecie w naturze zmiany, której realną formę czas stanowi. Jak to jest możliwe, że coś, co istnieje rzeczywiście, przestaje istnieć, staje się czemś nieistniejącem, a coś, co nie istnieje rzeczywiście, poczyna istnieć, staje się czemś rzeczywistem, jak jest możliwe to ciągłe wahanie się między bytem a niebytem, to nieustanne przechodzenie od bytu do niebytu i od niebytu do bytu: tego nie możemy zrozumieć i wyjaśnić; tu leży granica naszego poznania rzeczy, której nie możemy przekroczyć. Właściwa natura rzeczywistości, jakkolwiek staramy się wyjaśnić ją sobie, pozostaje w wewnętrznej istocie swej dla nas ostatecznie czemś tajemniczem, niepojętem.

Przyczynki chemiczno-analityczne.

Napisał

Zygmunt Weyberg.

I.

Przyczynek do wyznaczenia granic błędu chemicznych analiz wagowych.

Granice błędu oznaczeń wagowych w chemii analitycznej są przedmiotem badań systematycznych w oznaczeniach względnych ciężarów atomowych, t. j, w oznaczeniach, dokonywanych z tak wielką skrupulatnością, jaka jest ani konieczna ani możliwa w zwykłych przypadkach badania naukowego lub technicznego. W tych przypadkach granica błędu jest oceniana nie tyle na zasadzie danych liczbowych, ile raczej »na oko«, na zasadzie wprawy i porównywania licznych analiz, bez dokładnego obliczania. W rozprawach analityczno-badawczych, w których autorowie podają nowe metody lub opracowania krytyczne metod dawniej znanych, zazwyczaj porównywają swe dane z wynikiem obliczenia, opartego na wielkościach ciężarów atomowych, uznając ten wynik za »teoretycznie« słuszny. Nie jest to jednak właściwe, bo wyniki analizy, dokonanej w warunkach zwykłego rozbioru chemicznego, nie są spółmierne z wynikami oznaczeń ciężarów atomowych. Należy więc każdą metodę analityczną opracować niezależnie samą w sobie.

Piszący słowa niniejsze wybrał na takie studyum reakcyę pomiędzy glinianem sodu i wolnym bromem w roztworze wodnym. O reakcyi tej W. Jakób [1] podaje dużo szczegółów jej wykonania i zastosowania analitycznego, i nie szczędzi dla niej słów uznania, jako dającej wyniki bardzo dobre i osad wodorotlenku glinowego w doskonałym stanie.

[1] Bullet. Akad. krak. 1913, str. 56.

Autor niniejszego zwrócił baczniejszą uwagę na tę reakcyę jeszcze z tego względu, że własności fizyczne strąconego wodorotlenku glinowego sposobem zwykłym, t. j. wodnym roztworem amoniaku, czynią ilościowe oznaczenie glinu sprawą kłopotliwą i żmudną. Rozpowszechnienie zaś tego pierwiastka powoduje, że wydzielenie i zważenie tlenku glinowego jest czynnością bardzo częstą, a w wielu działach petrografii, mineralogii i chemii glinokrzemianów na dokładnie poznanej ilości tlenku glinowego opieramy wnioski doniosłe. Jest zatem sprawą uwagi godną poznanie każdej reakcyi oznaczenia tlenku glinowego, o ile można najwszechstronniejsze.

Badanie, opisane w niniejszem, było wykonane w sposób następujący.

Przedmiotem rozbioru były duże, zupełnie przezroczyste, nieskazitelnie lśniące kryształy ałunu potasowo-glinowego. Kryształy takie otrzymuje się przez powolne studzenie dużych mas roztworu mało przesyconego, w którym znajdują się maleńkie nieskazitelne kryształki. Takie kryształy dają jaknajzupełniejszą gwarancyę czystości, a także zawartość wody krystalizacyjnej jest w nich nadzwyczaj stała, można więc ją ważyć zupełnie dokładnie, czego nie można czynić z żadną inną solą glinową.

Wszystkie oznaczenia były robione w dużej misce platynowej. Woda była destylowana dwukrotnie: raz przez chłodnicę cynową w wielkim alembiku, a potem powtórnie w małym przyrządzie destylacyjnym z chłodnicą srebrną. Wodorotlenek sodowy, do reakcyi używany, był rodzaju najlepszego, jakiego dostarcza fabryka Kahlbauma; roztwór jego przechowywany był w butelce platynowej. Woda bromowa była w starej butelce ze szkła jeńskiego. Oznaczenia, podane niżej, wykonano w rozcieńczeniu 1 *g* Al_2O_3 na 1000 *g* H_2O. Roztwór ałunu w platynowej misce ogrzewano do lekkiego wrzenia, poczem z biurety kroplami dodawano 10%-wego ługu sodowego aż do rozpuszczenia wodorotlenku glinowego, poczem z drugiej biurety również kroplami dodawano wody bromowej aż do lekkiego zażółcenia całego roztworu. Podczas obu tych czynności roztwór znajdował się w stanie spokojnego wrzenia. Po strąceniu ogień gaszono, po ustaniu się osadu zlewano ciecz na sączek 11 *c* z bibuły Schleichera i Schülla N° 589 z białą opaską, poczem dekantowano osad wrzątkiem trzykrotnie i dopiero po takiem opłukaniu osad, zlany na sączek, był na nim wypłukany do czystości. Po wysuszeniu w suszarce cały sączek umieszczano w tyglu platynowym,

gdzie bibułę zwęglano bez ukazania się płomienia, potem ją spalano, a gdy się zetliła wypalano osad do stałej wagi.

Sączki wspomniane opatrzone były notatką fabrykanta, że popiół każdego waży 0.0001% *g*. Trzykrotnie spalano po jednym sączku i za każdym razem przekonano się, że każdy zostawił popiołu 0.0002 *g*. Spopielono potem dziesięć sączków i otrzymano popiołu 0.0020 *g*. Wobec tego od każdego oznaczenia odjęto 0.0002 *g*.

We wszystkich oznaczeniach autor stwierdził słuszność pochwał W. Jakóba. Osad ma zastanawiająco małą objętość oraz osiada i płucze się doskonale. Autor nie zauważył wszakże, aby osad Al_2O_3 tym sposobem otrzymany przyciągał wodę podczas ważenia.

Przesącz w kilku pierwszych oznaczeniach został potraktowany amoniakiem i odparowany do suchości, poczem rozpuszczał się w wodzie bez reszty i w ogóle nie wykazał zawartości jonu glinowego.

Oznaczenia były robione w następujących ilościach ałunu:

Jedno oznaczenie w 1.0036 *g* ałunu; osiem oznaczeń w 0.94914 *g*, t. j. 9.4914 *g* ałunu były rozpuszczone w kolbie półlitrowej, z której brano pipetą po 50 c^3; cztery w 1.85842 t. j. 9.2921 *g* ałunu były rozpuszczone w kolbie ćwierćlitrowej i brano po 50 c^3, cztery w 1.87098 *g* (9.3549 $\times$ 0.2), jedno w 1.6816, jedno w 1.8900 i jedno w 1.9897, razem oznaczeń dwadzieścia, z nich dziewięć Al_2O_3 0.1 *g*, dziesięć Al_2O_3 około 0.2 *g* i jedno Al_2O_3 0.1811 *g*.

Co do kolb miarowych i pipety, to kolba półlitrowa zawierała wody 500.515 *g* (średnia z trzech oznaczeń) pipeta, w tej samej temperaturze i ciśnieniu, 50.0471 *g* (średnia z trzech oznaczeń), a więc zawartość pipety stanowiła 0.099978 zawartości kolby, co zupełnie może być uznane za 0.1. Kolba ćwierćlitrowa zawierała 250.290 *g* wody, więc pipeta stanowiła jej 0.19996, co uznano za 0.2.

Wyniki tych dwudziestu oznaczeń podaje tablica następująca. W niej rubryka M zawiera ilość ałunu odważoną, rubryka m podaje ilość ałunu wziętą do analizy, w rubryce P podano zważone ilości tlenku glinowego, w rubryce p ilości te są przeliczone na jeden gram ałunu, nakoniec rubryka $\pm\Delta$ zawiera odchylenia od średniej arytmetycznej wielkości p.

n	M	m	P	p	$\pm\Delta$
1	9.4914	0.94914	0.1025	0.10799	0.00039
2	9.4914	0.94914	0.1016	0.10705	0.00055
3	9.4914	0.94914	0.1019	0.10736	0.00024
4	9.4914	0.94914	0.1016	0.10705	0.00055
5	9.4914	0.94914	0.1024	0.10789	0.00029
6	9.4914	0.94914	0.1022	0.10768	0.00008
7	9.4914	0.94914	0.1020	0.10747	0.00013
8	9.4914	0.94914	0.1021	0.10757	0.00003
9	1.0036	1.00360	0.1079	0.10752	0.00008
10	9.2921	1.85842	0.2003	0.10778	0.00018
11	9.2921	1.85842	0.2000	0.10762	0.00002
12	9.2921	1.85842	0.2000	0.10762	0.00002
13	9.2921	1.85842	0.2001	0.10767	0.00007
14	9.3549	1.87098	0.2016	0.10775	0.00015
15	9.3549	1.87098	0.2014	0.10765	0.00005
16	9.3549	1.87098	0.2015	0.10770	0.00010
17	9.3549	1.87098	0.2010	0.10743	0.00017
18	1.6816	1.68160	0.1811	0.10770	0.00010
19	1.8900	1.89000	0.2036	0.10772	0.00012
20	1.9897	1.98970	0.2144	0.10775	0.00015

Średnia arytmetyczna tych dwudziestu oznaczeń przeliczonych na 1 gram ałunu wynosi:

$$0.10760 \pm 0.00005,$$

gdzie $0.00005 = \sqrt{\frac{\Sigma(\Delta^2)}{n(n-1)}}$ t. j. średni błąd średniej arytmetycznej

Średni błąd jednego pomiaru, t. j. $\sqrt{\frac{\Sigma(\Delta^2)}{n-1}}$ wynosi

$$\pm\ 0.00024.$$

Wyrażając liczby te w procentach, otrzymujemy, że średn błąd średniej arytmetycznej wynosi jej $\pm$ 0.046%, a średni błąd jednego pomiaru stanowi $\pm$ 0.223% średniej arytmetycznej.

Zważmy jednak, że pomiary przytoczone nie są jednakowe, mianowicie, w pierwszych dziewięciu oznaczano ilość glinki w dwa razy mniejszej ilości ałunu, niż w następnych jedenastu. Należy więc przeprowadzić obliczenie średniej wielkości i błędów w dwu tych seryach pomiarów osobno. Okaże się, że pomiary seryi drugiej są doskonalsze od pierwszej. Oto różnice pomiędzy średnią arytmetyczną pierwszych dziewięciu pomiarów i każdym z nich:

0.00048
0.00046
0.00016
0.00046
0.00038
0.00017
0.00004
0.00006
0.00001

Średnia arytmetyczna dziewięciu pierwszych pomiarów wynosi

0.10751 ± 0.00011 czyli ± 0.102%

przyczem średni błąd jednego pomiaru

± 0.00033 czyli ± 0.307%

średniej arytmetycznej.

Gdy obliczymy osobno średnią z jedenastu dalszych pomiarów, t. j. analiz, dokonywanych na dwa razy większej masie materyału, otrzymamy różnice następujące:

0.00011
0.00005
0.00005
0.00000
0.00008
0.00002
0.00003
0.00024
0.00003
0.00005
0.00008

Średnia arytmetyczna jedenastu pomiarów drugiej seryi (oznaczenie 10—20) wynosi:

0.10767 ± 0.00003 t. j. ± 0.028%

a średni błąd jednego pomiaru

± 0.00010 t. j. ± 0.093%.

Przedstawmy jeszcze te wyniki w przeliczeniu na wolny glin. Podane są one w tablicy następującej, w której rubryka *n* zawiera numer analizy, rubryka *p* mieści ilości glinu otrzymane w jednym gramie ałunu; w rubryce $\pm \Delta_1$ pomieszczone są różnice wyników i średniej arytmetycznej wszystkich dwudziestu rozbiorów, a w rubryce $\pm \Delta_2$ mamy różnice pomiędzy każdą daną i średnią arytmetyczną danej seryi, t. j. do N⁰ 9 go włącznie są to odchylenia od średniej pierwszych dziewięciu doświadczeń, a od N⁰ 10-go włącznie to samo seryi drugiej.

n	*p*	$\pm \Delta_1$	$\pm \Delta_2$
1	0.05727	0.00012	0.00026
2	0.05677	0.00029	0.00024
3	0.05694	0.00012	0.00007
4	0.05677	0.00029	0.00024
5	0.05722	0.00016	0.00021
6	0 05710	0.00004	0.00009
7	0.05699	0.00007	0.00002
8	0.05705	0.00001	0.00004
9	0.05702	0.00004	0.00001
10	0.05716	0.00010	0.00005
11	0.05707	0.00001	0.00004
12	0.05707	0.00001	0.00004
13	0.05710	0.00004	0.00001
14	0.05714	0 00008	0.00003
15	0.05709	0.00003	0.00002
16	0.05712	0.00006	0.00002
17	0.05697	0.00009	0.00014
18	0.05711	0.00005	0.00000
19	0.05713	0.00007	0.00002
20	0.05715	0.00009	0.00004

Średnia arytmetyczna wszystkich tych dwudziestu wyników

0.05706 ± 0.00003 czyli ± 005%

średni błąd jednego oznaczenia

± 0.00012 t. j. ± 0.021% średniej arytmetycznej.

Co zaś do seryi pierwszych dziewięciu i następnych jedenastu oznaczeń, to:

średnia arytmetyczna oznaczeń 1—9 włącznie

0.05701 ± 0.00006 czyli ± 0.010%.

Wyniki tych oznaczeń są zupełnie zgodne, z wynikiem obliczenia zawartości tlenku glinowego lub glinu w ałunie glinowopotasowym na zasadzie jego wzoru chemicznego i ciężarów atomowych.

Na rok 1914 komisya międzynarodowa przyjęła ciężary atomowe następujące:

K = 39.1
Al = 27.1
S = 32.07
O = 16 00
H = 1.008

Liczby te, wstawione do wzoru $KAl(SO_4)_2 . 12H_2O$ dają w jednym gramie ałunu:

Al_2O_3 0.10768
Al 0.05711

Z doświadczeń opisanych w niniejszem mamy:
w seryi pierwszej

Al_2O_3 0.10751 ± 0.00011
Al 0.05701 ± 0.00006

w seryi drugiej

Al_2O_3 0.10767 ± 0.00003
Al 0.15711 ± 0.00002

Niewątpliwie seryę drugą należy uznać za doskonalszą, gdyż ilość ważonego tlenku glinowego była w niej dwa razy większa, co też szczególnie daje się widzieć na średnim błędzie jednego oznaczenia:

w seryi pierwszej ± 0.00033
w seryi drugiej ± 0.00010

Tak więc badanie, opisane w artykule niniejszym, wykazuje, że metoda strącania wodorotlenku glinowego wolnym bromem z roztworu glinianu może być zaliczona do najdokładniejszych, gdyż w warunkach zwykłego rozbioru chemicznego daje wyniki zupełnie zgodne z wynikami oznaczeń ciężarów atomowych z błędem bardzo małym. Stosowanie jej wydaje się co prawda dość szczupłe, gdyż nie daje się ona użyć, gdy mamy w roztworze jony pierwiastków dwuwartościowych. Zważmy jednak, że w analizach skał i minerałów glinowokrzemowych oddzielamy żelazo od glinu ługiem sodowym, więc w tej metodzie mamy doskonały sposób wydzielenia tlenku glinowego w postaci doskonałej do sączenia i płukania. W tych więc rozbiorach do ostatecznego przed ważeniem strącenia wodorotlenku glinowego sposób bromowy może być stale używany z doskonałym skutkiem.

Sprawa dalsza: czy ten sposób może być skutecznie użyty do oznaczenia ciężaru atomowego glinu?

W oznaczeniach ciężaru atomowego tego pierwiastka pierwszą trudność stanowi wybór ciała wyjściowego. Ałuny, potasowy lub amonowy, mogą być otrzymane w stanie wielkiej czystości, a także dają zupełną gwarancyę nieprzyciągania ani utraty wody, o ile rozumie się użyjemy dużych pięknych kryształów o nieskazitelnych ścianach. Takie bowiem kryształy, wytarte dokładnie cienką skórą lub jedwabiem, ważą się tak samo jak wszelkie przyrządy analityczne, platynowe, kwarcowe lub szklane. Lecz niestety ałuny składają się z wielu pierwiastków, a więc ciężar atomu glinu musi tu być obliczany względem kilku ciał, co kumuluje błędy. Jednakże tak skrupulatny badacz, jak Mallet [1], użył między innemi ałunu amonowoglinowego i przeprowadzał go w glinkę wypalaniem. Tak więc, autor niniejszego sądzi, że złożoność tej soli równoważy się jej czystością i stałością, gdy inne ciała wyjściowe, jak haloidowe połączenia, siarczan lub metal wolny, są albo nieczyste, albo hygroskopijne, albo wymagają złożonej metody analitycznej.

Druga sprawa, to strącenie bromem wodorotlenku alkalicznego z roztworu glinianu. Jak dalece wodorotlenek glinowy otrzymuje się

[1] Phil. Trans. 1880 (1003).

tu wolny od ciał w roztworze będących i jak dalece mała jest jego rozpuszczalność w wodzie do płukania użytej? Wyniki bowiem, otrzymane przez Jakóba i autora niniejszego, acz ze wzorem i ciężarami atomowymi zgodne, raczej zachęcają do dalszego badania tej sprawy niż rozstrzygają. Jednakże autor sądzi, że dalsze jego badania będą w stanie rozstrzygnąć kwestyę, czy reakcya omawiana może być zastosowana skutecznie do dalszego udoskonalenia liczby atomowej glinu.

II.

Dwuwodny chromian potasowo-magnezowy jako sól podstawowa w jodometryi.

Ustalanie miana roztworów tiosiarczanu sodowego wolnym jodem jest kłopotliwe, zarówno z powodu koniecznego oczyszczania jodu, jak z powodu lotności tego ciała. Racyonalniejsze i prostsze jest miareczkowanie jodu, wypartego z jodku potasowego nadmanganianem lub chromianem czy pirochromianem w kwaśnym roztworze. Użycie nadmanganianu jednak wymaga przedtem nastawienia miana tego odczynnika, więc gdy używamy chromianu czy dwuchromianu, unikamy mianowania dodatkowego.

Zwykle poleca się użycie pirochromianu, jako soli bardzo czystej, bezwodnej i stałego składu. Jednak wymaga ona uwolnienia jej od wody hygroskopijnej i resztek ługu pokrystalicznego. Tu różni autorowie podają różną temperaturę, Treadwell n. p. radzi $+190^0$ [1] a Miłobędzki aż $+240^0$ C[2]. Pirochromian w tak wysokiej temperaturze zmienia już barwę i nie jest zupełnie pewne, czy nie ulega on rozkładowi. W takich więc przypadkach pewniejsze jest albo ciało, znoszące temperatury bardzo wysokie, albo też sól, niewymagająca suszenia.

Z tego więc względu wydaje się stosowniejszy chromian potasowy, zamiast pirochromianu. Sól ta obecnie może być otrzymana z fabryk pierwszorzędnych w stanie doskonałej czystości. Autor niniejszego analizował wiele prób chromianu potasowego z fabryk Mercka i Kahlbauma i w rodzajach »purissima pro analysi« nie znalazł w nich żadnych zanieczyszczeń. Gdyby zachodziła jakaś wątpliwość w tym względzie, to pirochromian zneutralizowany wę-

[1] Treadwell, Chemia anal. ilośc. Kraków 1908, str. 511.
[2] Chemik Polski 1907, str. 273.

glanem potasu po przekrystalizowaniu nie będzie już wzbudzał niepewności.

Chromian potasowy jest to sól bardzo trwała. Można go śmiało ogrzewać do temperatury jego topliwości, bez obawy rozkładu.

Przykład, niezwłocznie przytoczony niżej, przekona, że może on być zastosowany do ustalania miana tiosiarczanu.

Roztwór tiosiarczanu był mianowany jodem:

0.2394 *g* J	zużyły	39.80 c^3	roztworu,	miano:	0.00601507
0.2503 »	»	41.54 c^3	»	»	0.00602552
0.2600 »	»	43.18 c^3	»	»	0.00602130

a więc średnia: 0.00602063.

Chromian potasowy w platynowej miseczce ogrzewany był w ciągu godziny gwiazdą palnika Teclu tak, że dno miseczki w cieniu słabo promieniowało barwą ciemnowiśniową; doszedł do stałej wagi, tracąc kilka dziesiątych miligrama w kilkanaście minut. 0.9220 *g* tak wysuszonego chromianu było rozpuszczone w kolbce 100 c^3, brano z niej pipetą po 15 c^3, t. j. po 0.1383. Wzięto cztery próby, które zużywały roztworu tiosiarczanu sodowego miana 0.00602063:

45.03
45.05
45.10
45.03

śr. 45.05 c^3.

Dane te dają zawartość CrO_4 59.75%, z wzoru wypada 59.73%, a więc zgodność zupełna.

Oznaczenia te były robione w sposób następujący. Próby roztworu K_2CrO_4 wlewane były pipetą do buteleczek, opatrzonych doskonale przyszlifowanemi korkami. Do każdej próby dodano po 10 c^3 roztworu kwasu siarkowego 10%-go i po 10 c^3 10%-go roztworu czystego przechowywanego w ciemności roztworu jodku potasowego. Poczem szczelnie zatkane butelki stały w ciemnej chłodnej szafie przez noc. Ilość wypartego jodu była miareczkowana nazajutrz.

O ile nie używamy jakiegoś katalizatora, reakcya wyparcia jodu dwuchromianem, jak wiadomo, wymaga czasu. Podane za Zulkowskim przez Miłobędzkiego w rozprawie powyżej przytoczonej

pół godziny czekania nie wystarcza dla każdego stężenia roztworu. Autor przekonał się, że n. p. 0.10008 *g* pirochromianu

po 30	minutach	wyparło	0.2412 *g* jodu
» 2	godzinach	»	0.2580 »
» 12	»	»	0.2591 »

z równania wypada, że po ukończonej reakcyi ta ilość pirochromianu ma wyrugować jodu 0.25908, a więc widzimy, że po 12 godzinach stania w szczelnie zamkniętej butelce osiąga się wynik teoretyczny. W doświadczeniu tem objętość roztworu wynosiła 45 c^3. W tej objętości było wspomniane 0.10008 *g* pirochromianu, 1 *g* jodku potasowego i 1.68 *g* kwasu siarkowego.

Zatem przytoczona powyżej analiza dwuchromianu dowodzi, że jeżeli tiosiarczanem oznaczyliśmy dokładnie jego skład i uzyskaliśmy zgodność z wzorem, to możemy również używać chromianu zamiast pirochromianu do ustalania miana tiosiarczanu. Będziemy mieli to ułatwienie, że suszenie soli odbywać możemy bez żadnych ostrożności: w tyglu albo na miseczce porcelanowej czy platynowej ogrzewamy wprost palnikiem sól tak jak chlorek sodowy lub sodę, studzimy w eksykatorze i ważymy.

Jednak i w tym przypadku suszyć należy, a potem studzić sól omawianą ze zwykłemi ostrożnościami, słowem i tu musimy postępować tak, jak zwykle postępujemy z solami, które krystalizują się bez wody krystalizacyi, jednak wykrystalizowane szybko z dużo przesyconego roztworu mogą zawierać ślady ługu pokrystalicznego. W takich razach piszący słowa niniejsze przekłada sole nawet z wodą krystalizacyi, ale krystalizujące się dobrze, a więc takie, które można wyhodować w dużych kryształach i obetrzeć je starannie.

Wprawdzie autor niniejszego nie zna chromianu, mającego te własności w tak wysokim stopniu, jak sól Mohra, ałuny, sól Seignette'a i wiele innych, które prędko i łatwo przy pewnej niewielkiej wprawie można mieć w dużych nieskazitelnych kryształach. Jednak jest on w możności wskazać pewną sól chromianową bardzo trwałą, acz nie krystalizującą się tak wspaniale. Jest to sól $K_2Mg(CrO_4)_2 \cdot 2H_2O$.

Jeszcze w r. 1904 autor poszukiwał przykładu, na ktorym możnaby poznać dokładność oddzielenia magnezu od potasowców w warunkach tych, jakie stale się ma w analizie glinokrzemianów,

t. j. gdy przed tem oddzieleniem należy strącić wodorotlenki trójwartościowe. Takim przykładem jest właśnie wymieniony dwuwodny chromian magnezowopotasowy. Po rozpuszczeniu go i zredukowaniu alkoholem dwuchromianu strącamy i ważymy tlenek chromu, którego waga da znać o tem, czy nie została przytem okludowana magnezya, a następnie wzór wykaże, czy dobrze została przeprowadzona manipulacya oznaczenia magnezu i potasu.

Omawiana sól otrzymuje się przez neutralizowanie roztworu pirochromianu potasowego węglanem lub tlenkiem magnezu. A więc miernie rozcieńczony roztwór pirochromianu ogrzewa się na kąpieli wodnej z magnezyą, poczem sączy się roztwór od nadmiaru nierozpuszczalnego związku magnezyowego. Przesączony roztwór, po nieznacznem zgęszczeniu na kąpieli wodnej pozostawia się na powietrzu w temperaturze zwykłej. Po kilku dniach krystalizuje się zeń sól żądana w drobnych, co prawda, ale nieskazitelnych kryształkach. Gdy ich zbierze się ilość znaczniejsza, wyjmujemy je z roztworu, który możemy pozostawić do dalszej krystalizacyi, kryształy uwalniamy od resztek roztworu pompką, a potem rozkładamy na bibule i suszymy na powietrzu. Tak przyrządzona sól od r. 1904 do roku bieżącego, a więc 12 lat znajdowała się w szklanym słoiku zatkana zwykłym korkiem. Korek bynajmniej nie był szczelny. Chronił on zawartość słoika tylko od pyłu, i wcale nie tamował ciągłego stykania się soli z atmosferą. Kryształki soli tej, po tylu latach, oglądane przez mikroskop okazały się zupełnie przezroczyste, niezwietrzałe. Dokonana była więc ich analiza, której przebieg i wyniki są następujące:

0.9600 *g* soli $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O$ było rozpuszczone w 100 c^3 wody z tego brano po 15 *c*; wzięto cztery próby, które zużyły roztworu $Na_2S_2O_3$:

48.80 c^3
48.75 c^3
48.76 c^3
48.76 c^3

Roztwór tiosiarczanu był ten sam, który wymieniono opisie miareczkowania dwuchromianu potasowego, t. j. jeden centymetr tego roztworu odpowiadał 0.001848 *g* CrO_4, a więc otrzymujemy, że sól analizowana zawiera 62.62% CrO_4.

1.0350 *g* tej soli rozpuszczono w 25 c^3 10-go kwasu octowego

i strącono z niej azotyn kobaltowopotasowy, z którego wydzielono nadchloran potasu w ilości 0.7743 *g* Daje to zawartość potasu 21.11%.

Woda była oznaczona dwukrotnie przez ogrzewanie soli w rurze szklanej na porcelanowem czółenku w strumieniu suchego powietrza i przez zważenie wody pochłoniętej w zważonej rurce z chlorkiem wapnia.

1.0141 *g* soli dało wody 0.0986 t. j. 9.72%
0.9860 *g* » » » 0 0958 » 9.71%

a zatem		otrzymane	obliczone
K	21.11		21.103
Mg			6.563
CrO_4	62.62		62.610
H_2O	9.72	9.71	9.724

Zgodność rozbioru z obliczeniem dowodzi, że sól ta po dwunastu latach stykania się z atmosferą nic nie utraciła wody. Nie wspominamy już tu w ogóle o jej doskonałej czystości [1].

Trwałość tej soli i jej czystość zachęca więc do użycia jej jako soli podstawowej do ustalania miana tiosiarczanu. Dla stwierdzenia użyteczności tej soli, a zarazem przydatności omawianej metody bez uciekania się do katalizatorów wykonano trzy analizy nieskazitelnych kryształów soli Mohra, miareczkując je nadmanganianem potasowym, którego miano ustalono tiosiarczanem zmianowanym na zasadzie soli $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O$.

0.6753 *g* $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O$ było rozpuszczone w kolbce 100 c^3; cztery próby po 20 c^3 w zakorkowanych flaszkach stały przez noc każda zadana 10 c^3 15%-go kwasu siarkowege i 10 c^3 10%-go roztworu jodku potasowego. Nazajutrz zużyły roztworu $Na_2S_2O_3$:

46.070 [2]
46.080

[1] Gdyby nawet substancye, z których przyrządzano sól $K_2Mg(CrO_4)_2.2H_2O$ zawierały zanieczyszczenia, to muszą one pozostać w roztworze wobec małej rozpuszczalności soli $K_2Mg(CrO_4)_2.2H_2O$. Od jonu $''SO_4$ musi ona być wolna również z powodu tego, że siarczany podwójne potasowców i magnezu nie są z nią izomorfijne, gdyż krystalizują się z sześcioma drobinami wody krystalizacyi.

[2] Biureta, używana w badaniu niniejszem, była dzielona do 0.1 c^3, miała

46.050
46.060

średnio 46.065 c^3

Ponieważ $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O = 3J_2$, przyjmując, że

$$K_2 = 78.200$$
$$Mg = 24.320$$
$$Cr_2 = 104.000$$
$$O_8 = 128.000$$
$$2H_2O = 36.032$$

$$K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O = 370.552, \quad 3J_2 = 761.52$$

otrzymujemy, że 1 *g* soli $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O$ równoważy 2.05511 (log tego spółczynnika = 0.3128322) gramów jodu. Każda próba zawierała $0.6753 \times 0.2 = 0.13506$ *g* soli, a więc rugowała jodu $0.13506 \times 2.05511 = 0.27754$ *g* jodu, stąd miano roztworu tiosiarczanu wynosi $0.27754 : 46.065 = 0.006025$ *g* J na 1 c^3.

Następnie po 25 c^3 roztworu nadmanganianu potasowego w takich samych butelkach zadane było takiemi samemi ilościami tych samych roztworów kwasu siarkowego i jodku potasowego. Przytem okazało się, że miareczkowane w pół godziny po zmieszaniu zużywały roztworu tiosiarczanu:

29.01 c^3
29.05 c^3
29.02 c^3
29.06 c^3

średnio 29.035 c^3

Inne próby, które stały w ciemnej chłodnej szafie przez noc, nazajutrz zużyły:

kreski obejmujące więcej niż połowę swego obwodu, przed użyciem została sprawdzona pipetą Ostwalda, prócz tego sprawdzono odległości pomiędzy kreskami, które okazały się prawie wszystkie równe, kilka tylko były większe stale o 0.055 mm co na objętość wynosi 0.0045 c^3. Wszystkie odczytywania biurety w niniejszem podane, dokonano przez mikroskop poziomy z mikrometrem okularowym. 0.1 c^3 biurety odpowiadała 22-om (w kilku przypadkach 23-em) podziałkom mikrometru, a więc można było odczytać z dokładnością do 0.0045 c^3. Miareczkowanie każde było kończone bardzo małemi częściami kropki, spłukiwanemi do naczynia pipetką.

29.132 c^3
29.100 c^3
29.114 c^3
29.100 c^3
29.118 c^3
średnio 29.113 c^3

Rozumie się, do obrachunku analizy wzięto wynik drugi, co okazało się słuszne. Zarazem okazuje się, że reakcya pomiędzy nadmanganianem i jodkiem, również, acz nie w takiej jak chromian mierze, wymaga albo czasu, albo katalizatora.

29.113 c^3 roztworu tiosiarczanu o mianie 0.006025 znaczy 0.1754 *g* jodu, a że J = Fe, t. j. 126.92 *g* jodu równoważne jest 55.84 *g* żelaza, czyli 1 *g* jodu = 0.43996 (log tego spółczynnika = = 1.6434153) *g* żelaza, więc 29.113 c^3 roztworu $Na_2S_2O_3$ odpowiada 0.077117 żelaza, że zaś zużyte one zostały na 25 c^3 roztworu nadmanganianu potasowego, przeto miano tego roztworu wynosi 0.077117 : 25 = 0.0030868 *g* Fe na 1 c^3.

3.2427 *g* soli Mohra $(NH_4)_2Fe(SO_4)_2 . 6H_2O$ rozpuszczono w 100 c^3 skąd brano po 20 c, t. j. po 3.2427 × 0.2 = 0.64854 *g*. Próby te zużywały nadmanganianu potasowego

29.90 c^3
29.80 c^3
29.85 c^3
29.80 c^3
średnio 29.84 c^3

co daje 0.092112 *g* Fe, a więc 14.20% Fe.

Ze wzoru $(NH_4)_2Fe(SO_4)_2 . 6H_2O$ wypada:

2N =	28.02
20H =	20.16
Fe =	55.84
2S =	64.14
14O =	224.00
	392.16

(55.84 : 392.16) × 100 = 14.239% Fe.

0.6578 *g* $K_2Mg(CrO_4)_2 . 2H_2O$ traktowane tak samo jak poprzednio opisano, 0.6578 × 0.2 = 0.13156 *g* zużywało:

	45.171 c^3
	45.157 c^3
	44.961 c^3
	45.043 c^3
średnio	45.083 c^3

innego[1] niż w analizie pierwszej roztworu tiosiarczanu. Stąd miano jego 0.0059971 *g* J na 1 c^3.

25 c^3 innego roztworu nadmanganianu zużywało:

	28.400 c^3
	28.345 c^3
	28.350 c^3
	28.380 ^{3}
średnio	28.369 c^3

skąd miano nadmanganianu: 0.002994 *g* Fe na 1 c^3.

4.1158 × 0.2 = 0.82316 *g* soli Mohra zużywało nadmanganianu potasowego:

	39.250 c^3
	39.150 c^3
	39.068 c^3
	39.050 c^3
średnio	39.129 c^3

to jest wykazało żelaza 0.11716 *g* t. j. 14.23%.

0.6621 × 0.2 = 0.13242 *g* chromianu potasowomagnowego zużywało:

	45.318 c^3
	45.341 c^3
	45.310 c^3
	45.260 c^3
średnio	45.307 c^3

[1] W każdym z tych trzech rozbiorów użyto innego roztworu tiosiarczanu i nadmanganianu. Były to pozostałości dawno stojących roztworów w niewielkich osobnych butelkach.

innego niż w poprzednich rozbiorach roztworu tiosiarczanu, miano jego 0.0060065 *g* J na 1 c^3.

25 c^3 innego niż w poprzednich analizach roztworu nadmanganianu zużyło tiosiarczanu miana 0.0060065

28.508 c^3
28.500 c^3
28.510 c^3
28.523 c^3

średnio 28.510 c^3

więc miano jego 0.0030137 *g* Fe na 1 c^3.

3.2199 × 0.2 = 0.64398 soli Mohra zużywało:

30.425 c^3
30.445 c^3
30.423 c^3
30.445 c^3

średnio 30.435 c^3

roztworu nadmanganianu potasowego miana 0.0030137, t. j. wykazały zawartość żelaza 0.09172 *g* czyli 14.24% Fe.

W przytoczonych zatem trzech analizach czystej i świeżej soli Mohra, otrzymanej w dużych nieskazitelnie przezroczystych i lśniących kryształach, otrzymano Fe

14.20
14.23
14.24

Zupełna zgodność z obliczoną na zasadzie wzorów i ciężarów atomowych zawartością żelaza 14.239% dowodzi, że sól $K_2Mg(CrO_4)_2 \cdot 2H_2O$ dobrze wykrystalizowana i wysuszona w powietrzu w ciągu długich lat nie wietrzeje, i przeto bez żadnych zabiegów wprost może być użyta jako ciało podstawowe do jodometryi.

Trwałość kryształów soli $K_2Mg(CrO_4)_2 \cdot 2H_2O$ nasuwa autorowi słów kilka, dotyczących w ogóle trwałości kryształów soli z wodą krystalizacyi.

Długoletnie obserwacye i doświadczenia krystalogenetyczne utwierdzają piszącego niniejsze w przekonaniu, że trwałość ta jest

znacznie większa niż sądzi się ogólnie, lecz że głównym jej warunkiem jest doskonały stan kryształów i ich powierzchni. Kryształy wielu soli wodnych, otrzymane przez autora lat temu dwadzieścia, do dnia dzisiejszego są zupełnie przezroczyste i świeże, ani śladu zmętnienia nie wykazując. Ale własność tę posiadają tylko te, które mają ściany zupełnie gładkie i doskonale lśniące. Kryształy takie, wyjęte z roztworu, z którego je otrzymano, były starannie wytarte do suchości miękką ścierką lnianą, tak aby śladu nawet roztworu na nich nie pozostawało. Kryształy mętne, a szczególniej kryształy hodowane zbyt pospiesznie, więc w roztworze zbytnio przesyconym, posiadające przeto ściany znieprawione, okaleczałe, są bardzo nietrwałe. Również nietrwałe są kryształy o powierzchni poddanej działaniu rozpuszczalnika. Stąd wniosek, że nieskazitelnie gładka powierzchnia przyrostu kryształu jest pod każdym względem odporna. A zatem nawet substancye, których nie możemy łatwo hodować w wielkich kryształach, możemy mieć w stanie trwałym, o ile proszek krystaliczny, po usunięciu z niego ługu pompą lub wirówką, nie będzie potem opłukiwany wolnym rozpuszczalnikiem.

Kwas szczawiowy, dawniej uznawany za doskonałą podstawę oksydymetryi, obecnie z wieloma zarzutami się spotyka. Piszący słowa niniejsze nie może się nań uskarżać, lecz krystalizuje go nie w igłach łamliwych, tylko w krępych kryształkach, które po wysuszeniu seryą drobnych sit rozdziela na frakcye jednej wielkości kryształów i mikroskopem wybiera do przechowania tę tylko frakcyę, której kryształy nie zawierają ani inkluzyi roztworu, ani nie są pokryte pyłem kryształów bardzo drobnych. Tak samo postępuje się z kryształkami $BaCl_2 . 2H_2O$ i wielu innych ciał wodę zawierających, a krystalizujących się drobno.

Przechowują się drobne kryształy nie w słojach szczelnie zamkniętych, lecz w pudełkach lub w słoikach zatkanych zwykłymi korkami. Pudełka są lepsze, gdyż kryształy w nich nie uszkadzają się wzajemnie przez tarcie.

Nakoniec chronić należy kryształy świeże od zetknięcie ze zwietrzałemi. Autor widział wiele razy, a nieraz wywoływał celowo taką »zarazę« wietrzenia, która rozprzestrzenia się od zwietrzałego kryształu na niezwietrzałe, i stopniowo ogarnia kryształy, leżące co raz dalej od ogniska »zarazy«.

Echa klasyczne u Mikołaja Sępa Szarzyńskiego.

Napisał

Stanisław Witkowski.

Uznanie lub nieuznanie zależy u poetów często od dziwnego przypadku: prawdziwie zasłużeni pokolenia całe nie znajdują nieraz uznania, inni zdobywają je łatwo, choć niebardzo na nie zasłużyli. Do takich szczęśliwych należy Szarzyński. I współcześni i nowsi przeceniali jego talent. Ὃν οἱ θεοὶ φιλοῦσιν, ἀποθνῄσκει νέος sprawdza się przy młodo zmarłych poetach. Wyradza się wtedy przekonanie, że niezbyt świetne pierwociny trzeba położyć na karb młodości; gdyby poeta był pożył dłużej, byłby z pewnością wyrósł na wielkiego poetę. Szarzyński nie posiadał danych na prawdziwego poetę. Wierszowanie przychodzi mu z trudnością. Wystarczy porównać lotne wiersze młodego Kochanowskiego z ciężkimi, zawiłymi, niejasnymi utworami Szarzyńskiego, aby widzieć różnicę między poetą z bożej łaski, a młodzieńcem, z trudem składającym wiersze. Kilka głębszych myśli lub nowych obrazów nie zrównoważy ciężkiej, często nieudolnej formy. Wiersze miłosne, które są lżejsze formą, są banalne.

O wpływach klasycznych na Szarzyńskiego pisał Władysław Ćwik (Pamiętnik literacki 1907, str. 300 nn.). Przed nim jeszcze dotknął ich krótko prof. Brückner. Ćwik nie wyczerpał jednak przedmiotu. Do miejsc, przez niego zebranych, dorzucam kilka nowych, które mi się nasunęły same przy przygodnem czytaniu. Poza niemi znajdzie się z pewnością jeszcze wiele innych przy systematycznem badaniu. Zwłaszcza liryka Horacego wywarła na Szarzyńskiego znaczny wpływ. Tekst Szarzyńskiego cytuję według drugiego wydania prof. Chrzanowskiego (Kraków 1913).

Pierwsza strofa wiersza XVIII (O Frydruszu):

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nie tylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską wzgardzić jest gotowy.

przypomina Horacego carm. III 3:

Iustum ac tenacem propositi virum
non civium ardor prava iubentium,
non voltus instantis tyranni
mente quatit solida neque Auster
. . . .
si fractus illabatur orbis,
inpavidum ferient ruinae.

a zarazem Horacego carm. II 3:

Aequam memento rebus in arduis
servare mentem, non secus in bonis
ab insolenti temperatam
laetitia, moriture Delli,
seu maestus omni tempore vixeris,
seu te in remoto gramine per dies
festos reclinatum bearis
interiore nota Falerni.

Wiersz XX, enkomion Stefana Batorego, początkiem swoim:

Królowi hymn możnemu śpiewajmy, Kamaeny!
Bogu naprzód: bez Boga nic nie godno ceny:
On stworzył. on sprawuje, on oświeca tego
Żywotem, szczęściem, sławą: król sam zna samego

przypomina Teokrytowe enkomion Ptolemaiosa Filadelfa (id. 17) w. 1 nn.:

Ἐκ Διὸς ἀρχώμεσθα καὶ ἐς Δία λήγετε, Μοῖσαι,
ἀθανάτων τὸν ἄριστον ἐπὴν κλείωμεν ἀοιδαῖς.
ἀνδρῶν δ' αὖ Πτολεμαῖος ἐνὶ πρώτοισι λεγέσθω
καὶ πύματος καὶ μέσσος· ὁ γάρ προφερέστατος ἄλλων
. . . .
αὐτὰρ ἐγὼ Πτολεμαῖον ἐπιστάμενος καλὰ εἰπεῖν
ὑμνήσαιμ' . . . .

oraz ww. 73 nn.:

. . . . Διὶ Κρονίωνι μέλοντι
αἰδοῖοι βασιλῆες· ὁ δ' ἔξοχος, ὅν κε φιλήσῃ
γεινόμενον τὰ πρῶτα· πολὺς δέ οἱ ὄλβος ὀπαδεῖ,
πολλᾶς δὲ κρατέει γαίας, πολλᾶς δὲ θαλάσσας.

Słowa Szarzyńskiego w w. 19 n.:

. . . . Ale . . . .
Twe własności kto zduża śpiewać doskonale?

przypominają Teokrytowe wiersze (11—12):

τί πρῶτον καταλέξω; ἐπεὶ πάρα μυρία εἰπεῖν,
οἷσι θεοὶ τὸν ἄριστον ἐτίμησαν βασιλήων.

Słowa Teokryta są, jak wiadomo, powtórzeniem początku Aratowych Phainomena:

Ἐκ Διὸς ἀρχώμεσθα.....

Ta sama myśl wraca potem kilkakroć u poetów rzymskich: Vergil. ecl. 3, 60:

Ab Iove principium, Musae; Iovis omnia plena,
Ille colit terras; illi mea carmina curae.

(por. Aen. 7, 217 ab Iove principium generis), Ovid. metam. 10, 147:

Ab Iove, Musa parens (cedunt Iovis omnia regno),
Carmina nostra move!

Hor. carm. I 12, 13 nn.:

Quid prius dicam solitis parentis
laudibus, qui res hominum ac deorum,
qui mare et terras variisque mundum
temperat horis?

Wiersz 45 tejże pieśni Szarzyńskiego:

O, bodaj późno w niebie twojej godną cnoty
Koronę gotowano.

jest naśladowaniem słów Horacego carm. II 45:

serus in caelum redeas.

Wiersz XXI Szarzyńskiego zawiera w swym początku:

Złoto znać na strzechstenie, człowieka na złocie

myśl, powtarzającą się u różnych pisarzy klasycznych, a wyrażoną może po raz pierwszy u Teognisa. Wyrażenia wiersza 5 tejże pieśni: »chciwość niesytą«, »strach szkarady« (= szkaradny) mają pełno parallel u starożytnych, n. p. »insatiabilis avaritia« u Sallu-

stiusa, »insatiabilis cupiditas« u Cicerona, »insatiatus amor habendi« u Prudencyusza (psych. 478).

Wiersz XXV* (Statuta Kupidynowe):

Dziecię jest, ale
Nie będzie w cale
Ten, kto go zgardzi.
Bogowie hardzi
Skakać musieli
Tam, gdzie nie chcieli.
Kiedy on raczył,
Wnetki zabaczył
Król swego stanu:
Pan to jest panu!

jest prawdopodobnie parafrazą wiersza Anakreonta (47 Anthol. lyr. ed. Bergk-Hiller):

<τὸν> Ἔρωτα γὰρ τὸν ἁβρὸν μέλομαι βρύοντα μίτραις
πολυανθέμοις ἀείδειν· ὅδε γὰρ θεῶν δυναστής,
ὅδε καὶ βροτοὺς δαμάζει.

Wiersz następny (XXVI*): Statuta Fortuny, zawiera myśli z Horacego carm. I 35, a nie jak Ćwik przez pomyłkę podał (str. 307), II 24. Ww. 19—21 »Statutów«:

Ta z króla nędznika,
Króla z niewolnika
Uczyni, gdy raczy

przypominają nie tylko słowa ody Horacego (I 35), przytoczone przez Ćwika (w. 2 i 5), ale i ww. 11—12:

(te) regum... matres barbarorum et
purpurei metuunt tyranni.

Wiersz XLI na Jadwigę Tarłównę zawiera w strofach drugiej, trzeciej i czwartej:

Bacha śpiewajmy —, Przy nim Cyprydę i wojny pustego Spokojne dziecka — I was, nadobne Nimfy, wspominiemy...

nie tylko reminiscencye z Horacego carm. II 8 (ww. 13—17), zauważone przez Ćwika, lecz także z innych ód Horacego. Podobne zestawienie bóstw, jak u Szarzyńskiego, mamy n. p. u Horacego carm. I 30: »O Venus regina Cnidi Paphique — fervidus tecum

puer — properentque Nymphae«, lub carm. I 32, 9 nn.: »Liberum — Veneremque et illi semper haerentem puerum«; por. II 19.

Nawiasem dodaję, że połączenie »wojny spokojne« przypomina »boje, do których miecza nie trzeba ni zbroje« z »Szachów« Kochanowskiego.

Wreszcie początek wiersza LIV:

Ergo erat in fatis...

przypomina początek 5. satyry z II. księgi Horacego:

Hoc erat in votis.

Na zakończenie omawiam parę miejsc z tekstu, w którychby należało inaczej, zdaniem mojem, czytać lub interpungować niż to znajdujemy w ostatniem wydaniu poety:

Wiersz II 2—3 lepiejby było interpungować:

A, chciwa może odciąć rozkosz nędzą,
Śmierć tuż za nami spore czyni kroki.

W wierszu XX 14 na końcu należy usunąć interpunkcyą:

Tu cię Bóg wniósł, gdzie jeszcze nie próżna obrona
Dzielność twoja być może, królu niezmożony

(= nie próżną obroną).

Tamże w. 16 należy po »Królu« również skreślić interpunkcyą:

Królu i z twej natury, nie tylko z korony.

Wiersz XXVI* 24:

A tego nie baczy,
Komu da swe dary,
W której żadnej wiary
Nie zachowywuje

należy »w której« zmienić na »w których«.

Wiersz XXXIX 12:

.... ten grób pokropiony
Będzie ....
Upuść na tę mogiłę, którą kropię z oczy:
Niech go ziemia odwilży, nie tak twardo tłoczy

należy może czytać:

Niech go ziemia od wilży (= wilgoci) nie tak twardo tłoczy.

Wiersz LIV 5:

...vili corpusque cucullo
Contectus, cultu vacuis sub montibus

nie potrzeba zmieniać cultu na cultus; montes są vacui cultu, dzikie.

Wiersz LXXVII* 6 rękopis ma:

Tak się ja też tej to godzinie raduję,
W którą dokończenie przeciwko mnie czuję
Twe gniewy...

Miejsce to poprawiam na: dokończone.

Uwaga przy korrekcie:

Do wiersza LIV (str. 628 i n.):

Już po oddaniu tej pracy do druku (1914) spostrzegłem, że prof. Brückner (Pamiętnik literacki 1914, str. 232 n.) odmawia autorstwa tego wiersza Szarzyńskiemu.

Przy wierszu XVIII (str. 623 n.) i XX (str. 624) przeoczyłem, że prof. T. Sinko (Eos XI, 1905, Drobiazgi humanistyczne II) zauważył przedemną wpływ Horacego carm. III 3 na pierwszy, a początku enkomion Teokrytowego na drugi z wymienionych wierszy.

Witold Kozłowski (Mikołaja Sępa Szarzyńskiego wzory rzymskie, w: Pamiątkowej Księdze ku uczczeniu 45-letniej pracy literackiej Prof. Dr. Józefa Tretiaka, Kraków 1913, str. 87–104) zajmuje się innymi wierszami Szarzyńskiego niż ja; wpływów klasycznych na wiersze przezemnie uwzględnione nie dotyka.

Geologiczne podstawy występowania oleju skalnego.

Napisał

Rudolf Zuber.

Z 1 tablicą.

Występowanie w przyrodzie minerałów tak zwanych »bitumicznych«, które są rozmaitemi mieszaninami połączeń węgla z wodorem (węglowodorów), i których głównymi przedstawicielami są olej skalny czyli nafta, ozokeryt czyli wosk ziemny i asfalt czyli smoła ziemna wraz z towarzyszącymi im zawsze gazami palnymi, posiada niezmierną doniosłość teoretyczną oraz praktyczną.

Ponieważ minerały te znajdują się w znacznych ilościach na obszarze ziem polskich, mianowicie w Karpatach, gdzie powinny być, a nawet po części i są jednem z głównych źródeł bogactwa narodowego, przeto bliższe ich poznanie tem większego dla nas nabrać musi znaczenia.

Wszechstronne, umiejętne zbadanie tych minerałów obejmuje zadania następujące:

1. Istota, skład i właściwości ich pod względem chemicznym i fizycznym,

2. Warunki geologiczne ich pojawiania się w przyrodzie, i

3. Sposób ich powstawania, przeobrażania się i rozmieszczenia.

Im bardziej zbliżymy się do rozwiązania tych zagadnień czysto teoretycznych, tem pewniejsze zdołamy zdobyć także wskazówki w celu ich racyonalnego i ekonomicznego eksploatowania i zużytkowania pod względem praktycznym.

Problemy powyższe bynajmniej jeszcze nie są ostatecznie rozwiązane, a trudności największe wynikają z tego, że wymagają one koniecznie równoczesnego traktowania ze stanowiska chemicznego, fizycznego i geologicznego, a najmniejsza jednostronność w tych

kierunkach może łatwo sprowadzić wnioskowania teoretyczne na błędne drogi.

W innej dawniejszej pracy, jeszcze w r. 1898 usiłowałem uporządkować i oświetlić krytycznie teorye pochodzenia nafty i minerałów pokrewnych [1].

Od tego czasu wiadomości nasze tych przedmiotów dotyczące pod wielu względami znacznie postąpiły.

Obecnie pragnę przedstawić możliwie krótko główne wyniki badań geologicznych nad występowaniem na wstępie wymienionych minerałów, opierając się w znacznej mierze na długoletnich i rozległych badaniach własnych.

Badając rozmieszczenie wystąpień nafty na całej kuli ziemskiej w stosunku do względnego wieku warstw, w których ona się pojawia, spostrzegamy na pierwszy rzut oka brak jakiejkolwiek prawidłowości.

I tak wiemy, że we wschodniej części Ameryki północnej nafta występuje w kilku różnych poziomach systemów sylurskiego, dewońskiego i karbońskiego; w zachodnich Stanach Zjednoczonych w warstwach wieku kredowego i trzeciorzędnego; w Texas i Meksyku w kredzie i w trzeciorzędzie; znany asfalt i nafta na wyspie Trinidad w warstwach trzeciorzędnych; w Argentynie w górnym triasie i w dolnej kredzie; w Karpatach w kilku poziomach kredy i trzeciorzędu; w Kaukazie głównie w trzeciorzędzie; to samo na Sumatrze i Borneo i t. d.

Wiek przeto pokładów naftonośnych jest dla nich widocznie zupełnie obojętnym.

Jeżeli się jednak bliżej przypatrzymy tym różnowiekowym formacyom naftonośnym, to przekonamy się, że są one do siebie zadziwiająco podobne.

Tak n. p. w Karpatach występowanie nafty przywiązane jest wyłącznie do potężnie rozwiniętej formacyi tak zwanego piaskowca karpackiego, który, jak wiadomo, obejmuje całą kredę i dolny trzeciorzęd, a składa się z naprzemianległych pokładów rozmaitych piaskowców z charakterystycznemi wypukłościami, znanemi pod nazwą hieroglifów, dalej ze zlepieńców, margli fukoidowych, łupków

[1] Zuber R., Kritische Bemerkungen über die modernen Petroleum-Entstehungs-Hypothesen. Zeitschr. f. prakt. Geologie, Berlin 1898, März.

bitumicznych, charakterystycznych pstrych (zwłaszcza czerwonych) iłów, sferosyserytów i t. p.

Sylurskie, dewońskie i karbońskie poziomy naftonośne wschodnich Stanów Zjednoczonych i Kanady, jak n. p. piaskowce Medina (sylur) i z Gaspé (dewon), łupki i piaskowce Chemoung (dewon) i t. d. niczem nie różnią się petrograficznie od tak znacznie młodszych pokładów naftonośnych Karpat galicyjskich.

Górno triasowa formacya naftonośna w argentyńskiej prowincyi Mendoza składa się z czerwonych iłów, bitumicznych czarnych łupków oraz gruboziarnistych piaskowców i zlepieńców łudząco podobnych do eoceńskich i oligoceńskich utworów Karpat.

Górno kredowe formacye naftonośne zachodnich Stanów Zjednoczonych Dacota i Colorado składają się również z ciemnych iłów bitumicznych, z iłów czerwonych i zielonych oraz grubszych piaskowców i zlepieńców ze śladami roślin zwęglonych, problematycznymi odciskami i t. d.

Znacznie młodsze formacye (przeważnie górno trzeciorzędne) tak obfitujące w naftę w Kaukazie, Rumunii, Sumatrze i w. i. tak samo składają się z grubych pokładów naprzemianległych ciemnych i pstrych iłów oraz piaskowców i zlepieńców. Są one tylko często miększe i mniej dobrze warstwowane. Nie może ulegać wątpliwości, że starsze formacye innych regionów pierwotnie tak samo wyglądały, lecz dopiero później przez długo trwające wielkie ciśnienie i daleko sięgające zaburzenia tektoniczne przybrały większą zwięzłość i twardość.

Wapienie albo wcale w tych formacyach nie występują, albo tworzą tylko lokalne i podrzędne wtrącenia i albo przewodzą szczelinami olej skalny, pochodzący z innych formacyj, albo zawierają substancye bitumiczne więcej smołowate (asfaltowe), a nie właściwe złoża naftowe.

Natomiast niezawodnie ściślejszy związek z formacyami naftonośnemi okazują formacye solne, t. j. potężne masy zwykle pstrych iłów z pokładami soli kamiennej i gipsu, które tak samo, jak formacye naftonośne bywają najrozmaitszego wieku i bardzo często im towarzyszą. Źródła solne i siarkowodorowe są prawie nieodłącznymi towarzyszami nafty.

Okazuje się przeto, że formacye naftonośne bez względu na ich wiek geologiczny wykształcone są zawsze w pewnej właściwej sobie formie, którą to formę nazywamy f a c i e s e m f l i s z o w y m.

Istnieją wprawdzie formacye fliszowe, nie zawierające nafty, ale nie znamy ważniejszych formacyj naftonośnych poza utworami fliszowymi.

Stwierdzenie, że występowanie pokładów naftonośnych jest tak ściśle przywiązane do faciesu fliszowego różnowiekowych poziomów, jest pierwszym doniosłym wynikiem badań geologicznych w tym zakresie.

Fakt ten obala najpierw wszystkie dawniejsze teorye pochodzenia nafty i minerałów pokrewnych z nieznanych wielkich głębokości, z wnętrza ziemi szczelinami na sposób wulkaniczny, ponieważ, gdyby te teorye były uzasadnione, to nie podobna zrozumieć, dla czego tylko pokłady, rozwinięte w facyesie fliszowym, naftę zawierają, a w innych formacyach, jak w rozmaitych wapieniach, piaskowcach pustyniowych, skałach wybuchowych i t. d. nigdy nafty nie znajdujemy.

Musi więc nafta być w związku genetycznym z formacyami fliszowemi, — i, jeżeli zdołamy poznać warunki, wśród jakich te formacye powstały i powstają, to zbliżymy się także do możności wyjaśnienia, w jaki sposób towarzyszące im minerały bitumiczne mogły powstać.

W innem miejscu uzasadniłem obszerniej pogląd [1], że flisz jest osadem morskim, tworzącym się przy bardzo płaskich wybrzeżach przy współudziale wilgotnego klimatu podzwrotnikowego, znacznych oscylacyj poziomu wody, oraz rzek wpadających z lądu i tworzących delty, estuarya i laguny wśród bujnej wegetacyi przybrzeżnej.

Tylko w takich warunkach mogą powstawać owe potężne masy osadów piaszczystych i namulistych, zlepieńców i pstrych iłów ze źle zachowaną i bardzo mieszaną fauną morską, limanową i lądową, z mnóstwem rozdrobnionych szczątków roślin lądowych, z pręgami falistymi i problematycznymi fukoidami i hieroglifami, a te właśnie cechy charakteryzują to, co nazywamy facyesem fliszowym.

Ponieważ w takim stanie rzeczy wulkaniczne pochodzenie nafty z nieznanych głębokości jest wykluczonem, przeto musimy szu-

[1] O pochodzeniu fliszu, Kosmos XXVI. Lwów 1901; Spostrzeżenia geologiczne z zachodniej Afryki, Księga pamiąt. Uniw. Lwow., Lwów 1912.

kać jej pochodzenia tylko w materyale organicznym, nagromadzonym w osadach fliszowych.

Tu znów liczne obserwacye, które udało mi się wykonać na różnych wybrzeżach, jak w delcie rzeki Orinoco, w Meksyku, w Brazylii, w zachodniej Afryce i w Indyach wschodnich, doprowadziły mnie do wniosku, że sedymentacyi, odbywającej się w powyżej przedstawionych warunkach topograficznych i klimatycznych, towarzyszy wprawdzie niezmiernie bogate i urozmaicone życie organiczne tak roślinne, jak i zwierzęce, — że jednak substancya organiczna, t. j. ciało zwierząt (robaków, mięczaków, skorupiaków, ryb i t. d.) ulega nader szybko zupełnemu rozkładowi i zniszczeniu tak, że tylko części mineralne tych organizmów, jak skorupy i szkielety dostają się do osadów. Natomiast jedyną prawie materyą organiczną, która gromadzi się często w znacznych ilościach w tych osadach fliszowych, jest mniej lub więcej rozdrobniona substancya roślinna.

Tak więc tylko te szczątki roślinne, nagromadzone w pokładach fliszowych, mogły być głównym materyałem, z którego tworzyła, a ewentualnie jeszcze tworzy się nafta.

Pierwszym, który usiłował wyjaśnić proces chemiczny powstawania nafty ze substancyi roślinnej i jako proces taki uważał specyalną fermentacyę cellulozy, był Bronisław Radziszewski [1].

Jak widzimy, nowsze badania geologiczne dostarczają dalszych argumentów, popierających teoryę Radziszewskiego, chociaż nie da się zaprzeczyć, że istnieją tu jeszcze liczne komplikacye, wymagające dalszych trudnych badań i doświadczeń, nim zdołamy znaleść wszechstronnie zadowalające wyjaśnienie tych zawiłych problemów.

Później Felix Kreutz [2] zwrócił uwagę na fakt, że ozokeryt czyli wosk ziemny, chociaż występuje w najściślejszym związku z naftą, to jednak w większych ilościach ogranicza się do formacyj młodszych od bogatych poziomów naftonośnych. Opierając się na tem spostrzeżeniu oraz na niektórych innych znanych już wtedy doświadczeniach laboratoryjnych, wypowiedział przypuszczenie, że ozokeryt jest tak samo, jak płynny olej skalny produktem rozkładu głównie substancyi roślinnej (cellulozy), lecz następnie pod wpływem

[1] Chemiczna teorya powstawania nafty, Przegl. lekar. 1877 i Czasop. Tow. Aptek., Lwów 1878.

[2] O tworzeniu i przeobrażaniu się wosku i oleju ziemnego w Galicyi Kosmos VI. Lwów 1881.

ciśnienia, wyższej temperatury i czasu, rozszczepia się na lżejsze węglowodory płynne i gazowe (naftę i gazy).

Niektóre dalsze spostrzeżenia, poczynione nad występowaniem asfaltu na wyspie Trinidad, w Venezueli i w Afryce zachodniej doprowadziły mnie do rozszerzenia poglądu powyższego, wypowiedzianego przez Kreutza w tym kierunku, że prawdopodobnie pierwszym produktem bituminizacyi substancyi roślinnej w osadach fliszowych, jest asfalt, który następnie przeobraża się w ozokeryt, a ten ostatecznie w naftę i gazy.

Szereg genetyczny tych minerałów przedstawiałby się przeto w sposób następujący:

Celluloza-Asfalt-Ozokeryt-Olej skalny-Gazy palne.

Dokładniejsze poznanie tego procesu głównego i niewątpliwie towarzyszących mu reakcyj ubocznych wymagać będzie niezawodnie jeszcze dłuższych i skomplikowanych badań tak w pracowni, jak i w przyrodzie.

Obecność soli (NaCl) w osadach fliszowych zdaje się odgrywać w tych procesach bituminizacyjnych ważną, chociaż dotąd nie wyjaśnioną rolę, na co również zwrócił uwagę już Radziszewski, i co potwierdzają badania geologiczne: wiadomą jest rzeczą, że nagromadzenia substancyi roślinnej (celluloza) w pokładach lądowych i słodkowodnych (moczarowych i jeziornych) ulegają głównie zwęglaniu (węgle kopalne), gdy w pokładach morskich, a więc solonośnych (flisz) przeobrażają się prawdopodobnie i przeważnie w bituminy mineralne (nafta i minerały pokrewne).

Następną ważną kwestyą jest związek nafty z tektoniką czyli z budową warstw naftonośnych, i tą sprawą obecnie się bliżej zajmiemy.

Pierwsze obserwacye, że obszary naftonośne rozmieszczone są na grzbietach wypiętrzeń siodłowatych, znajdujemy u geologów amerykańskich, a mianowicie w r. 1861 E. B. Andrews[1] i T. Sterry Hunt[2] stwierdzili ten fakt w Ameryce północnej, a H. Hoefer[3] ujął te spostrzeżenia w ramy ogólniejszej teoryi (Anticlinal-Theorie).

Obecnie jest to faktem stwierdzonym prawie we wszystkich

---

[1] Rock oil, its geological relations and distribution, American Journal of Science and Arts (2), XXXII. 1861.

[2] On the history of petroleum or rock oil, Report Smithsonian Institution 1862.

[3] Die Petroleum-Industrie Nordamerikas, Wien 1877.

ważniejszych obszarach naftowych na całej kuli ziemskiej, że główne nagromadzenia nafty znajdują się na grzbietach siodeł geologicznych, podczas gdy partye tych samych warstw naftonośnych, znajdujące się w zagłębieniach łękowych, albo zawierają wodę (zwykle słoną), albo są zupełnie suche, t. j. nie zawierają ani nafty, ani wody.

Spostrzeżenia te nie ograniczają się wcale tylko do siodeł regularnych i normalnych, lecz także do siodeł ukośnych (izoklinalnych) oraz przesuniętych. Nadto znane są wypadki, gdzie poziom naftonośny przedstawia zupełnie nieregularną wyspę, pokrytą nieprzepuszczalną partyą młodszą regularnego siodła. Takie wypadki zachodzą n. p. w niektórych terenach naftowych zachodniej Galicyi, gdzie formacyą naftonośną są wyspy warstw kredowych, ukryte wśród nieprzepuszczalnych pstrych iłów eoceńskich, które nad temi wyspami tworzą regularne siodła, a owe iły eoceńskie chronią zapasy nafty w wyspach kredowych zawarte przed zatratą lub wymyciem przez wodę.

Stwierdzono dalej, że największe zapasy nafty znajdują się na grzbietach siodeł zwłaszcza tam, gdzie siodła te także wzdłuż swego biegu wykazują wyniosłości (elewacye) kopułowate, gdy tymczasem zaklęśnięcia (depresye), tak podłużne, jak i poprzeczne, nawet w obszarach w ogóle bogatych, albo nafty wcale nie zawierają, albo wykazują znaczne zubożenia.

Tak n. p. sławne szyby wybuchowe »Jakób« w Schodnicy i »Oil City« w Tustanowicach leżały na szczycie takich kopułowatych elewacyj i temu zawdzięczały swe bogactwo, gdy tymczasem bardzo głębokie wiercenia w Truskawcu (ku połudn. wschodowi) i w Popielach (ku północ. zachodowi od Tustanowic i Borysławia) nie dały pomyślnych rezultatów, a po części wykazały wielkie ilości wody, ponieważ znalazły się na depresyach poprzecznych.

Kopułowate wypiętrzenia terenów naftonośnych okazują często jeszcze następującą charakterystyczną właściwość: Gdy formacya taka obfituje w gazy o bardzo wysokiem ciśnieniu, a kopuła chroniona jest ku górze przez grubą pokrywę warstw nieprzepuszczalnych (iłów), wtedy w najwyższej części kopuły gromadzi się tylko gaz, który po nadwierceniu wydobywa się z niezmiernem ciśnieniem. Dopiero dalsze wiercenia, wykonane w pewnej odległości od szczytu i na stokach kopuły, natrafiają na wytryski płynnego oleju skal-

nego, a jeszcze dalej za upadem warstw często znajdują już tylko wodę.

Objawy takie bardzo często obserwowano zwłaszcza w obszarach naftowych Ameryki Północnej, gdzie mniej lub więcej rozległe i płaskie zewsząd zamknięte kopuły są niemal regułą.

Bywają jednak i dalej idące komplikacye tektoniczne w obszarach naftowych.

Pomiędzy poznanymi bliżej obszarami naftowymi może największe komplikacye tektoniczne wykazują Karpaty.

Porządkując krytycznie dotychczasowe wyniki badań stratygraficznych i tektonicznych w Karpatach wykazał w ostatnich czasach dr. Jan Nowak [1], że postępując od brzegu karpackiego ku południowi wyróżnić można kilka odrębnych regionów facyalnych i tektonicznych, a mianowicie:

a) Pas brzeżny, złożony z utworów, obejmujących wszystkie piętra od kredy do miocenu (t. j. do formacyi solnej włącznie), ułożony w fałdy autochtoniczne po części przewrócone i przechodzące w łuski ku północy na swe przedmurze nasunięte.

b) Płaszczowina Skolska. Region silnie sfałdowany i jako płaszczowina (nappe de recouvrement) po części na pas poprzedni nasunięty.

c) Region Krośnieńsko-Szypocki, autochtoniczny, sfałdowany z wyspami kredowemi, wypiętrzonemi pośród siodeł eoceńskich.

d) Region Magórski znów po części nasunięty na pas poprzedni.

Dalsze pasy południowe nie wchodzą tu w rachubę.

Badając rozmieszczenie i nagromadzenie nafty w tych obszarach spostrzegamy, że najobfitszymi są grzbiety siodeł autochtonicznych i to zwłaszcza tam, gdzie od południa niejako napierają na nie czoła fałdów leżących lub płaszczowin z południa nasuniętych.

W partyach nasuniętych albo nafty nie ma wcale, albo są to tylko lokalne nasiąknięcia gniazdowate.

Dołączony przekrój, poprowadzony przez Schodnicę, Mraźnicę i Borysław, doskonale ilustruje te stosunki [2].

[1] W pracy, drukującej się obecnie w Arch. Nauk. Tow. popier. Nauki Polskiej we Lwowie.

[2] Wyniki nowszych badań i głębokich wierceń skłoniły mnie do kilku

Po stronie lewej rysunku (SW) mamy brzeg płaszczowiny Skolskiej nie zawierającej nafty. Z pod brzegu tego wynurza się autochtoniczne wypiętrzenie eoceńskie, które było źródłem sławnych i bogatych kopalń Schodnickich.

W dalszym ciągu ku północy mamy szereg stromych fałdów z wypiętrzoną kredą i z mniejszemi ilościami nafty (Mraźnica).

Na samym brzegu karpackim znajdujemy największe bogactwo nafty w siodle autochtonicznem koło Borysławia, gdzie wielka łuska, pochodząca z Mraźnicy, siodło to częściowo nakrywa.

Wosk ziemny (ozokeryt) powciskał się najobficiej w żyły, gniazda i szczeliny iłu solnego na grzbiecie głównego siodła Borysławskiego.

Podobne warunki rozmieszczenia nafty w stosunku do tektoniki zauważono także w Rumunii [1], a okażą się one niezawodnie jeszcze i w innych obszarach naftowych w miarę ich dokładniejszego poznawania przez geologów-specyalistów.

Należy poświęcić jeszcze słów kilka szczelinom i wodzie w obszarach naftowych.

Głęboko sięgające otwarte szczeliny i uskoki w górach fałdowanych (a takiemi są wszystkie obszary naftonośne) w ogóle nie istnieją. Teorye więc szczelinowe (Spalten-Theorie) niektórych geologów, doprowadzające naftę z głębi takiemi szczelinami do jej dzisiejszych złożysk, nie mają zupełnie podstawy.

Sposób powstawania złożysk naftowych możemy sobie wyobrazić krótko w sposób następujący:

W osadach o charakterze fliszowym, złożonych głównie z namułu ilastego i piasku, nagromadziła się lokalnie substancya organiczna przeważnie pochodzenia roślinnego. W miarę rosnącego ciśnienia i czasu rozpoczęła się bituminizacya tych substancyj organicznych z coraz dalszem rozszczepianiem na węglowodory stałe, ciekłe i gazowe. Ruchy górotwórcze zaczęły coraz intenzywniej fałdować i przesuwać tak powstałe pokłady. Utworzone w nich płyny

modyfikacyj przekrojów, które publikowałem z tych okolic w pracach dawniejszych. Zwłaszcza nasunięcie brzegu karpackiego koło Borysławia sięga dalej ku południowi, niż to się wydawało poprzednio.

[1] Głównie w urzędowem wydawnictwie zbiorowem: Arbeiten der mit dem Studium der Petroleumregionen betrauten Kommission, Bucarest 1904. (Autorowie części geologicznej: S. Athanasiu, G. Murgoci, L. Mrazec, W. Teisseyre).

(nafta i gazy) wsiąkały przedewszystkiem w piaskowce, chronione przez naprzemianległe, nieprzepuszczalne iły. Największa ilość przestworów wolnych w tych piaskowcach musiała powstać podczas fałdowania na grzbiecie siodeł. W porach i szczelinach tak powstałych w tych fałdowanych piaskowcach największe masy nafty i gazów nagromadziły się właśnie w tych miejscach, gdzie tych szczelin najwięcej było, t. j. na grzbietach siodeł.

Woda, która równocześnie, lub następnie mogła się dostawać do tych samych pokładów, musiała zajmować części głębsze warstw przepuszczalnych, a więc gromadziła się w tychże piaskowcach, ale w ich partyach głębszych, t. j. bliżej ku dnom łęków.

W miarę wyczerpywania się zapasów nafty i gazów przez górnictwo, prowadzone na grzbietach siodeł, woda musi podchodzić z dołu coraz wyżej i zajmować wolne miejsca w porach i szczelinach, gdzie przedtem była nafta i gazy.

Losowi temu ulegają zwolna niemal wszystkie znane formacye naftonośne [1].

W powyższem przedstawieniu bynajmniej przedmiotu nie wyczerpałem. Pominąłem przeważnie bardzo rozległą literaturę i ograniczyłem się wyłącznie do zwięzłego naszkicowania głównych wyników, do jakich doprowadziło dotychczas geologiczne badanie wystąpień naftowych.

Nawet z tego krótkiego zestawienia nie trudno jednak zrozumieć, że ściśle umiejętne badanie poruszonych problemów prowadzi nie tylko do stopniowego rozwiązywania zagadnień teoretycznych, lecz może wydać także doniosłe rezultaty praktyczne.

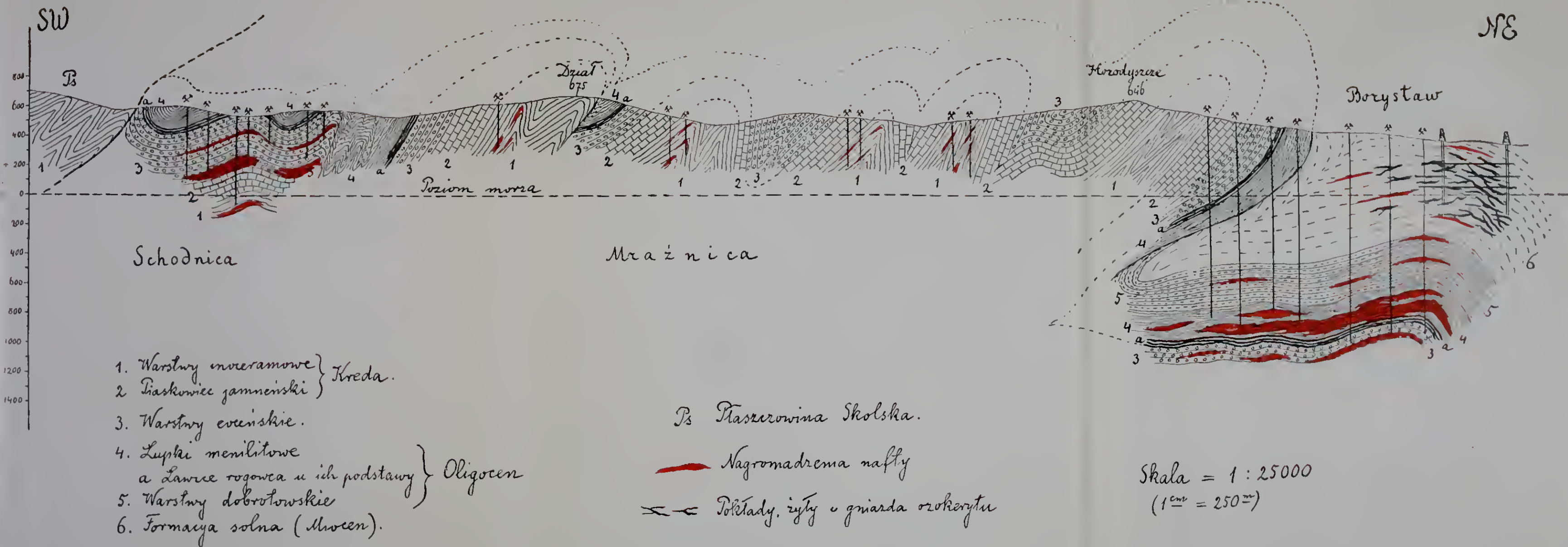
Powołanymi jednak do takiego skutecznego traktowania tych przedmiotów mogą być tylko wszechstronnie przygotowani i doświadczeni geologowie, a nie geologizujący dyletanci lub »praktycy« pogardzający »teoryą«.

We Lwowie, w czerwcu 1914.

---

[1] Zuber R., Die Oel- und Wasser-Horizonte von Borysław-Tustanowice, Petroleum VII. Nr. 9, Berlin 1912.

R. Zuber.



Ks. Pam. Orzech.

O warunkach nakładalności linij krzywych[1]).

Napisał
Kazimierz Żorawski.

§ 1. Metody badania utworów geometrycznych, stosowane w geometryi analitycznej, opierają się na tem, że krzywe, powierzchnie, lub ich systemy określone są zapomocą równań wyznaczających utwór jako miejsce geometryczne elementów, z których on się składa. Równania łączą ze sobą spółrzędne zmiennego elementu, dajmy na to punktu, określając przez to jego położenie względem elementów stałych, n. p. względem kartezyuszowskiego układu spółrzędnych. Metoda takiego określania utworów geometrycznych jest bardzo ogólną, bo obejmuje wszelkie utwory, które równaniami zdefiniować można. Równania te określają zarówno położenie utworu względem układu spółrzędnych, jak również wszelkie własności utworu, które od jego położenia są niezależne. Te ostatnie moglibyśmy nazwać wewnętrznemi cechami utworów i zwrócić zarazem uwagę na to, że nader częstem, niemal codziennem zadaniem geometryi analitycznej jest wyodrębnianie z równań utworu jego cech wewnętrznych, n. p. przez wprowadzenie układu spółrzędnych, względem którego równanie lub równania utworu otrzymują o ile można najprostszy kształt. O ile chodzi o badanie utworów elementarnych, do których n. p. moglibyśmy zaliczać krzywe i powierzchnie stopnia drugiego, to uwagi te są bezpośrednio zrozumiałe, ale geometrya dąży do tego, by obejmować możliwie najszersze zakresy, a w takiem ogólnem rozumieniu może być kwestya własności wewnętrznych utworu przynajmniej bezpośrednio nie tak widoczna.

[1] Rozważania tego artykułu były częściowo tematem dwóch wykładów autora w kwietniu 1914 r. na kursie uzupełniającym dla profesorów szkół średnich w Krakowie.

Rzecz jasna, że te punkty widzenia muszą być tak dawne, jak dawną jest geometrya analityczna, a także, że większość rzeczywistych postępów w dziedzinie geometryi analitycznej polegała na zbadaniu pewnych cech wewnętrznych utworów geometrycznych. Takim postępem była n. p. teorya krzywizny linij krzywych i powierzchni, bo krzywizna jest oczywiście cechą wewnętrzną, t. j. niezależną od położenia. Niemniej jednak dopiero w drugiej połowie XIX stulecia te punkty widzenia znalazły szersze uwzględnienie i wywołały powstanie nowego działu geometryi, zwanej we Włoszech geometria intrinseca — geometryi wewnętrznej lub naturalnej, która znów stoi w bardzo blizkim związku z teoryą pewnych niezmienników różniczkowych i w znacznej mierze podporządkowywa się teoryi grup przekształceń.

Nie możemy jednak tu zajmować się ogólną charakterystyką tych obszernych dziedzin, a zwrócimy się tylko do bliższego rozpatrzenia pewnych związków, które w geometryi wewnętrznej odgrywają bardzo ważną rolę i nazywają się równaniami wewnętrznemi, czy też naturalnemi. Ażeby przytem jeszcze ograniczyć nasz zakres, uważać będziemy tylko równania naturalne linij krzywych płaskich i przestrzennych.

Jeżeli dla pewnej linii krzywej płaskiej, o której możemy n. p. założyć, że jest krzywą analityczną [1], a nie jest prostą minimalną, oznaczamy przez s długość jej łuku w punkcie zmiennym P, licząc łuk ten w pewnym określonym kierunku od pewnego stałego jej punktu, przez K zaś jej krzywiznę w punkcie P, to związek zachodzący pomiędzy temi wielkościami:

$$K = \Phi(s) \tag{1}$$

nazywa się wewnętrznem równaniem tej krzywej. Podobnież, jeżeli dla pewnej analitycznej [2] linii krzywej przestrzennej, t. j. nie leżącej w żadnej płaszczyźnie, oznaczamy przy założeniu, że krzywa nie jest minimalną, przez s długość jej łuku w punkcie zmiennym P, liczoną od pewnego stałego jej punktu w pewnym określonym kierunku, przez K jej krzywiznę w punkcie P, a przez S jej skrę-

[1] Co do zakresu pojęcia krzywej analitycznej zob. artykuł H. v. Mangoldt'a: Die Begriffe »Linie« und »Fläche«, ogłoszony pod sygnaturą III A B 2 w wydawnictwie: Encyklopädie der mathematischen Wisssenschaften etc., Verlag v. B. G. Teubner, Leipzig.

[2] Zob. wyżej wymieniony artykuł v. Mangoldt'a.

cenie w tym punkcie, to związki zachodzące pomiędzy temi wielkościami:

$$K = \Phi(s), \quad S = \Psi(s) \tag{2}$$

nazywają się równaniami wewnętrznemi uważanej linii krzywej przestrzennej.

Własności związków (1), jak również związków (2) traktowane są w wielu nowszych książkach z dziedziny zastosowań rachunku nieskończonościowego do geometryi. W szczególności najściślej równania te związane są z dziełem Ernesto Cesàro: »Lezioni di geometrra intrinseca« [1].

Przypuśćmy, że uważamy pewną określoną linię krzywą analityczną płaską lub przestrzenną, że obierzemy na niej pewien punkt stały jako początek rachowania łuków i pewien kierunek, w którym łuki te rachujemy i że obliczymy dla tej krzywej równanie wewnętrzne (1), względnie równania wewnętrzne (2). Widoczna, że jeżeli krzywą tę przemieszczać będziemy w płaszczyźnie względnie w przestrzeni, pozostawiając na niej ten sam stały punkt, od którego rachujemy łuki i ten sam kierunek, w którym je rachujemy to wszystkie krzywe, które otrzymują się przez te przemieszczenia, spełniać będą to samo równanie wewnętrzne (1) względnie te same równania wewnętrzne (2).

Fakta te są w blizkim związku z pewnemi zadaniami, podjętemi przez S. Lie'go [2]. Zadania te można wysłowić, jak następuje.

Dane są na płaszczyźnie dwie linie krzywe analityczne; wyznaczyć warunki konieczne i wystarczające, żeby krzywe te można było nałożyć jednę na drugą przez przemieszczenie jednej z nich w tej płaszczyźnie.

Dane są w przestrzeni dwie linie krzywe analityczne; wyznaczyć warunki konieczne i wystarczające, żeby te krzywe można było nałożyć jednę na drugą przez przemieszczenie jednej z nich w przestrzeni.

---

[1] Wydane w Neapolu 1896 r. W niemieckim przekładzie, dokonanym przez G. Kowalewskiego, wyszło w Lipsku 1901 r. Zauważmy przytem, że liczne daty, odnoszące się do historyi i literatury równań naturalnych, znajdują się w artykule E. Wölffinga: Bericht über den gegenwärtigen Stand der Lehre von den natürlichen Koordinaten, ogłoszonym w Bibliotheca Mathematica Ser. III, t. I. str. 142—159, Leipzig 1900.

[2] Vorlesungen über continuierliche Gruppen etc. bearb. v. G. Scheffers. S. 666—694, Leipzig 1893.

Krzywe, które można w ten sposób nałożyć jedną na drugą, nazywają się nakładalnemi. Łatwo dostrzec, że spełnianie tych samych równań wewnętrznych (1) lub (2) jest wystarczającym, ale nie jest koniecznym warunkiem nakładalności, bo równania wewnętrzne widocznie zależą od wyboru punktu, od którego rachujemy łuki i od wyboru kierunku, w którym je rachujemy, mogą przeto być krzywe nakładalne, dla których otrzymamy odmienne równania wewnętrzne. S. Lie oparł rozwiązanie postawionego zadania w płaszczyźnie na uważaniu wielkości:

$$K \text{ i } \frac{dK}{ds},$$

a w przestrzeni na uważaniu wielkości:

$$K, \frac{dK}{ds}, S, \frac{dS}{ds}.$$

Ale rezultat, uzyskany przez Lie'go, nie został przez niego dostatecznie ściśle sformułowany, bo nie wyciągnął on koniecznych wniosków z tej okoliczności, że wśród przytoczonych wyrażeń są niewymierne i dwuwartościowe, a więc wartości ich zależą do pewnego stopnia od naszego wyboru.

Rozwiązanie Lie'go poddane zostało krytyce przez E. Study'ego [1], który zadania te rozwiązał, używając tylko wyrażeń, które z równań krzywej określają się zapomocą formuł wymiernych.

Celem tego artykułu jest wyprowadzenie warunków nakładalności linij krzywych płaskich i przestrzennych zapomocą metody, polegającej na bezpośredniem wyznaczeniu spółczynników odpowiedniego euklidesowego ruchu. Ponieważ przytem dogodnie jest używać różniczkowania względem łuku krzywej, a więc wprowadzać wielkości, które zapomocą równań krzywej określają się niewymiernymi wzorami, przeto zadanie o kryteryach nakładalności stosujemy do t. zw. krzywych oryentowanych i modyfikujemy w ten sposób, żeby uwydatnić w niem rolę rzeczonych wielkości niewymiernych. Ponieważ wreszcie interesującem jest porównanie kryteryów symetryi linij krzywych z kryteryami ich nakładalności, więc jednocześnie wyprowadzamy także i kryterya symetryi. Zauważamy tu przytem,

---

[1] Jahresbericht der deutschen Mathematiker Vereinigung XVII, 1908, str. 125—142; Transactions of the American Mathematical Society X, 1909, str. 1—49.

że w niniejszym artykule nie zajmujemy się wcale liniami krzywemi minimalnemi i liniami krzywemi, położonemi na płaszczyznach minimalnych.

§ 2. Niech x, y oznaczają kartezyuszowskie spółrzędne prostokątne punktu w płaszczyźnie i przypuśćmy, że dla krzywej analitycznej mamy równania:

(3) $$x = \varphi(t).\ y = \psi(t),$$

przedstawiające spółrzędne punktów krzywej jako funkcye parametru t. Parametr t uważamy jako zespolony i zakładamy, że funkcye $\varphi(t)$. $\psi(t)$ są w ogóle funkcyami zespolonemi. Do rozważania własności równań (3) służyć może płaszczyzna zespolonego parametru t i zakładamy, że na płaszczyźnie tej istnieją takie obszary dwuwymiarowe w których obie powyższe funkcye są holomorficzne. Wprowadzamy nadto założenie. że uważana linia krzywa jest taką, iż dla niej nie zachodzi tożsamościowo związek:

(4) $$\varphi'^2(t) + \psi'^2(t) = 0.$$

Na płaszczyźnie zmiennej zespolonej t uważać będziemy pewne obszary, które nazywać będziemy regularnymi. Nazwy tej używać będziemy dla każdego dwuwymiarowego jednospójnego obszaru na tej płaszczyźnie, wewnątrz którego równanie (4) nie posiada żadnego pierwiastka, a obie funkcye $\varphi(t)$ i $\psi(t)$ są w każdym punkcie wewnątrz tego obszaru holomorficznemi. Niechaj będzie taki obszar regularny E i przyjmijmy dla t zmieniającego się wewnątrz E równanie:

(5) $$\frac{ds}{dt} = \varepsilon \sqrt{\varphi'^2(t) + \psi'^2(t)},$$

gdzie znak ε oznacza, że dla pierwiastka kwadratowego obraliśmy wewnątrz tego obszaru pewną określoną z dwóch jego wartości. Przy dowolnej zmianie parametru t wewnątrz obszaru E funkcya stojąca po prawej stronie w równaniu (5) będzie funkcyą jednowartościową. Równanie to określi wówczas dla części krzywej, odpowiadającej rzeczonemu obszarowi E długość łuku s tej krzywej jako funkcyę, która jednowartościowo zależy od początku i końca tego łuku. Łuk, na którym umawiamy się w ten sposób rachować jego długość, oznaczać będziemy symbolem $\overrightarrow{L}$.

Uważajmy teraz dwie krzywe, z których dla jednej mamy równania:

$$(6) \qquad x_1 = \varphi_1(t_1),\ y_1 = \psi_1(t_1),$$

a dla drugiej równania:

$$(7) \qquad x_2 = \varphi_2(t_2),\ y_2 = \psi_2(t_2),$$

gdzie litery ze wskaźnikami 1 i 2 mają analogiczne znaczenie do poprzednich liter bez wskaźników, a do funkcyj stosują się takie same jak poprzednio założenia. Zajmować się będziemy wyznaczeniem warunków, przy których można ustanowić pomiędzy parametrami t_1 i t_2 zależność, która pociągałaby za sobą związki:

$$(8) \qquad \begin{aligned} \varphi_2(t_2) &= a + \varphi_1(t_1)\cos\alpha - \zeta\psi_1(t_1)\sin\alpha, \\ \psi_2(t_2) &= b + \varphi_1(t_1)\sin\alpha + \zeta\psi_1(t_1)\cos\alpha, \end{aligned}$$

gdzie a, b i α oznaczają wielkości stałe, a ζ równa się stale bądź $+1$, bądź też -1. Jeżeli istnieje taka zależność, to można na płaszczyznach zmiennych zespolonych t_1 i t_2 ograniczyć takie obszary regularne E_1 i E_2, żeby na mocy tej zależności każdej wartości zmiennej t_1 wewnątrz obszaru E_1 odpowiadała jedna i tylko jedna wartość zmiennej t_2 wewnątrz obszaru E_2 i nawzajem każdej wartości zmiennej t_2 wewnątrz obszaru E_2 odpowiadała jedna i tylko jedna wartość t_1 wewnątrz obszaru E_1. W tych warunkach także pochodna $\frac{dt_2}{dt_1}$ jest holomorficzną funkcyą zmiennej t_1 wewnątrz obszaru E_1. Określmy teraz dla obszaru E_1 długość łuku s_1 zapomocą równania:

$$(9) \qquad \frac{ds_1}{dt_1} = \varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1)},$$

które ma znaczenie analogiczne do równania (5) i zdefiniujmy odpowiedni utwór $\vec{L}_1$, a dla obszaru E_2 długość łuku s_2 zapomocą równania:

$$(10) \qquad \frac{ds_2}{dt_2} = \varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2)}$$

i zdefiniujmy odpowiedni utwór $\vec{L}_2$. Przez różniczkowanie równań (8) na mocy uważanej zależności pomiędzy t_1 i t_2 oraz uformowanie sumy kwadratów rezultatów mieć będziemy:

$$[\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2)]dt_2^2 = [\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1)]\,dt_1^2,$$

t. j. mieć będziemy na mocy rzeczonej zależności równość:

$$ds_2^2 = ds_1^2.$$

Z równości tej wynika:

(11) $$ds_2 = \eta ds_1,$$

gdzie $\eta = \pm 1$ i ponieważ na podstawie równań (9), (10) i (11) mamy:

$$\eta = \frac{\varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2)}}{\varepsilon_1 \sqrt{\varphi_2'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1)}} \frac{dt_2}{dt_1}$$

i prawa strona tej równości jest holomorficzną funkcyą zmiennej t_1 wewnątrz obszaru E_1, przeto η nie może dla pewnej części obszaru E_1 mieć wartości $+1$, a dla pozostałej wartości -1, tylko ma dla całego obszaru E_1 t. j. dla całych odpowiadających sobie obszarów E_1 i E_2 jedną i tę samą wartość albo wynoszącą $+1$ albo wynoszącą -1.

Jeżeli na mocy rzeczonej zależności równania (8) są spełnione i przytem $\zeta = 1$, to mówić będziemy, że utwory $\overrightarrow{L_1}$ i $\overrightarrow{L_2}$ są nakładalne; jeżeli zaś równania (8) są spełnione i przytem $\zeta = -1$, to mówić będziemy, że utwory $\overrightarrow{L_1}$ i $\overrightarrow{L_2}$ są symetryczne. Przytem może być $\eta = +1$, albo $\eta = -1$. W pierwszym przypadku utwory te będą nakładalne względnie symetryczne jednokierunkowo, w drugim nakładalne względnie symetryczne różnokierunkowo. Zajmiemy się wyznaczeniem warunków koniecznych i wystarczających, którym utwory nasze czynić zadość powinny, ażeby były nakładalne jednokierunkowo, nakładalne różnokierunkowo, symetryczne jednokierunkowo, symetryczne różnokierunkowo.

Przyjmując oznaczenia:

$$\frac{d\varphi_1(t_1)}{ds_1} = \cos\tau_1, \quad \frac{d\psi_1(t_1)}{ds_1} = \sin\tau_1,$$

$$\frac{d\varphi_2(t_2)}{ds_2} = \cos\tau_2, \quad \frac{d\psi_2(t_2)}{ds_2} = \sin\tau_2$$

i różniczkując względem s_1 równania (8) przy uwzględnieniu związku (11) otrzymamy:

$$\cos\tau_2 = \eta(\cos\tau_1 \cos\alpha - \zeta \sin\tau_1 \sin\alpha),$$

(12) $$\sin\tau_2 = \eta(\cos\tau_1 \sin\alpha + \zeta \sin\tau_1 \cos\alpha),$$

z których dla $\eta = +1$ wynika związek:

(13) $$\tau_2 = \zeta\tau_1 + \alpha + 2l\pi$$

a dla $\eta = -1$ związek:

(14) $$\tau_2 = \zeta\tau_1 + \alpha + (2l + 1)\pi,$$

gdzie i w jednym i w drugim związku l oznacza jakąkolwiek liczbę całkowitą dodatnią albo ujemną albo zero.

Jeżeli krzywizny utworów $\vec{L}_1$ i $\vec{L}_2$ określimy odpowiednio wzorami:

$$K_1 = \frac{d\tau_1}{ds_1}, \quad K_2 = \frac{d\tau_2}{ds_2},$$

to na mocy związków (13), (14) i (11) musimy mieć w odpowiadających sobie punktach:

(15) $$K_2 = \eta\zeta K_1 .$$

Równaniu temu może się stać zadość naprzód w ten sposób, że ustanawia ono związek pomiędzy parametrami t_1 i t_2, t. j. odpowiedniość pomiędzy punktami uważanych linij krzywych i chodzi o to, jakie warunki spełnione być muszą, żeby dla odpowiadających sobie punktów tych krzywych wynikały z równań (8), (13), (14) na wielkości α, a, b wartości stałe. Równanie (15) może być także spełnione przy stałych K_1 i K_2; wówczas nie określi ono takiej odpowiedniości, ale można przypuszczać, że skądinąd można ustanowić taką odpowiedniość pomiędzy punktami tych krzywych, żeby z równań (8), (13), (14) wynikały na α, a i b wartości stałe.

Zróżniczkujmy teraz równania (8), (13), (14) względem t_1, zakładając, że t_2 jest funkcyą zmiennej t_1 i traktując wielkości α, a i b również jako funkcye zmiennej t_1. Wówczas otrzymamy związki:

$$\varphi_2'(t_2)\frac{dt_2}{dt_1} = \frac{da}{dt_1} + \varphi_1'(t_1)\cos\alpha - \zeta\psi_1'(t_1)\sin\alpha$$

$$- \left[\varphi_1(t_1)\sin\alpha + \zeta\psi_1(t_1)\cos\alpha\right]\frac{d\alpha}{dt_1},$$

$$\psi_2'(t_2)\frac{dt_2}{dt_1} = \frac{db}{dt_1} + \varphi_1'(t_1)\sin\alpha + \zeta\psi_1'(t_1)\cos\alpha$$

$$+ \left[\varphi_1(t_1)\cos\alpha - \zeta\psi_1(t_1)\sin\alpha\right]\frac{d\alpha}{dt_1}.$$

$$\frac{d\alpha}{dt_1} = \frac{d\tau_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \zeta\,\frac{d\tau_1}{dt_1}.$$

A jeżeli w ostatniem z tych trzech równań różniczkowania, odnoszące się do jednej i do drugiej krzywej, zastąpimy różniczkowaniami względem odpowiednich łuków to otrzymamy wzór:

$$\frac{d\alpha}{dt_1} = K_2 \frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \zeta K_1 \frac{ds_1}{dt_1};$$

jeżeli zaś zastosujemy ten ostatni wzór, jak również związki (12) i (8), to na mocy pierwszych dwóch ze wspomnianych trzech równań dojdziemy do wzorów:

$$\frac{da}{dt_1} = \cos\tau_2\left(\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \eta\frac{ds_1}{dt_1}\right) - (\psi_2(t_2) - b)\left(K_2\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \zeta K_1\frac{ds_1}{dt_1}\right),$$

$$\frac{db}{dt_1} = \sin\tau_2\left(\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \eta\frac{ds_1}{dt_1}\right) + (\varphi_2(t_2) - a)\left(K_2\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} - \zeta K_1\frac{ds_1}{dt_2}\right).$$

Widzimy więc, że pochodne wielkości a, b, α wtedy i tylko wtedy wszystkie są zerami, gdy jednocześnie zachodzą równości:

(15) $$K_2 = \eta\zeta K_1,$$

(16) $$\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} = \eta\frac{ds_1}{dt_1}.$$

Jeżeli więc równość (15) określa związek pomiędzy t_1 i t_2, to związek:

$$\frac{dK_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1} = \eta\zeta\frac{dK_1}{dt_1},$$

wynikający z równości (15) przez różniczkowanie, musi być identyczny ze związkiem (16), t. j. musi być spełniony warunek:

(17) $$\frac{dK_2}{ds_2} = \zeta\frac{dK_1}{ds_1}$$

i nawzajem, gdy warunek ten będzie spełniony dla zależności określonej z równości (15), wówczas z równości (8), (13), (14) wynikną wartości stałe na a, b i α.

Doszliśmy więc do rezultatu, że pomiędzy wchodzącemi w grę wartościami zmiennej t_1 i zmiennej t_2 muszą zachodzić związki:

$$K_2 = \eta\zeta K_1, \quad \frac{dK_2}{ds_2} = \zeta\frac{dK_1}{ds_1},$$

które można także zastąpić związkami:

$$K_2 = \eta\zeta K_1, \quad \frac{dK_2}{d\tau_2} = \eta\,\frac{dK_1}{d\tau_1}.$$

Z drugiej strony jeżeli istnieje zależność pomiędzy t_1 i t_2 związki te spełniająca i mamy obszary regularne E_1 i E_2, które na skutek tej zależności jedno-jednowartościowo przechodzą jeden w drugi, wówczas odpowiadające tym obszarom utwory $\vec{L}_1$ i $\vec{L}_2$ przechodzą jeden w drugi zapomocą pewnego przekształcenia uważanych kategoryj. Jeżeli przytem $\zeta = +1$, $\eta = +1$, to zachodzi nakładalność równokierunkowa tych części; jeżeli $\zeta = +1$, $\eta = -1$ ich nakładalność różnokierunkowa; jeżeli $\zeta = -1$, $\eta = +1$ symetrya równokierunkowa, jeżeli zaś $\zeta = -1$, $\eta = -1$ symetrya różnokierunkowa.

Ale zważmy teraz, że jeżeliby nam chodziło o to tylko, czy zachodzi nakładalność lub symetrya, a nie o to, czy nakładalność lub symetrya jest równokierunkowa albo też różnokierunkowa, to dla nakładalności otrzymalibysmy widoczne warunki:

(18) $$K_2^2 = K_1^2, \quad \frac{dK_2}{ds_2} = \frac{dK_1}{ds_1},$$

albo warunki:

(19) $$K_2^2 = K_1^2, \quad \frac{dK_2^2}{d\tau_2} = \frac{dK_1^2}{d\tau_1},$$

a dla symetryi warunki:

(20) $$K_2^2 = K_1^2, \quad \frac{dK_2}{ds_2} = -\frac{dK_1}{ds_1},$$

albo też warunki:

(21) $$K_2^2 = K_1^2, \quad \frac{dK_2^2}{d\tau_2} = -\frac{dK_1^2}{d\tau_1}.$$

Zauważmy, że wszystkie te ostatnie warunki wymiernie zależą od pochodnych 1-go, 2-go i 3-go rzędu funkcyj figurujących w równaniach (6) i (7). W szczególności są one najzupełniej niezależne od poprzednio wprowadzonych określeń dla łuków s_1 i s_2. Każdej zależności zmiennych t_1 i t_2, spełniającej związki (18) lub (19) odpowiada nakładalność, a każdej zależności spełniającej związki (20) lub (21) symetrya.

Jeżelibyśmy dla pewnej zależności pomiędzy t_1 i t_2 skonstafo-

wali jedno lub drugie i chcieli zbadać, jak zachowują się przytem określone przez nas utwory, to możnaby postąpić w taki sposób, żeby wybierać na płaszczyznach zmiennych zespolonych t_1 i t_2 obszary regularne E_1 i E_2 jedno-jednowartościowo sobie odpowiadające, dla tych obszarów określać utwory $\vec{L}_1$ i $\vec{L}_2$ i starać się wyznaczyć odpowiadający im znak η. To ostatnie można uskutecznić zapomocą krzywizn K_1 i K_2, wystarczy mianowicie na mocy wzoru (15) obliczyć iloraz tych krzywizn, wziętych dla dwóch takich odpowiadających sobie punktów, w których krzywizny te nie są zerami.

Jeżeli teraz K_1 i K_2 są wielkościami stałemi i związek (15) jest spełniony, wówczas należy zależność pomiędzy t_1 i t_2 wybrać tak, żeby ona czyniła zadość związkowi (16). Pisząc ten związek w postaci:

$$\frac{ds_2}{dt_2}\,dt_2 = \eta\,\frac{ds_1}{dt_1}\,dt_1,$$

mamy na mocy wzorów (9) i (10) równanie różniczkowe:

$$\varepsilon_2\sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2)}\,dt_2 = \eta\varepsilon_1\sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1)}\,dt_1,$$

skąd przez kwadraturę:

$$\int \varepsilon_2\sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2)}\,dt_2 = \int \eta\varepsilon_1\sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1)}\,dt_1 + \text{const.}$$

otrzymuje się zależność ze stałą dowolną; zapomocą tej zależności otrzymuje się rozwiązanie zadania. Przypadku tego, odnoszącego się do kół lub linij prostych bliżej rozważać tu nie będziemy.

§ 3. Oznaczając przez x, y, z spółrzędne prostoliniowe prostokątne punktów w przestrzeni, przypuśćmy, że dla krzywej analitycznej mamy równania:

$$x = \varphi(t),\ y = \psi(t),\ z = \sigma(t), \tag{22}$$

w których t uważamy jako zmienny parametr zespolony. Do rozważenia własności równań (22) może służyć płaszczyzna zespolonego parametru t. Zakładamy, że funkcye $\varphi(t)$, $\psi(t)$, $\sigma(t)$ są w ogóle funkcyami zespolonemi i że na rzeczonej płaszczyźnie istnieją takie obszary dwuwymiarowe, w których trzy te funkcye są wszystkie jednocześnie funkcyami holomorficznemi. Założymy dalej, że dla

punktów określonych równaniami (22) nie jest spełnione tożsamościowo żadne z równań:

$$\varphi'^2(t) + \psi'^2(t) + \sigma'^2(t) = 0, \tag{23}$$

$$\begin{vmatrix} \varphi'(t), & \psi'(t), & \sigma'(t) \\ \varphi''(t), & \psi''(t), & \sigma''(t) \end{vmatrix}^2 = 0. \tag{24}$$

Na płaszczyźnie zmiennej zespolonej t istnieją takie dwuwymiarowe obszary jednospójne, że wewnątrz takiego obszaru żadne z równań (23) i (24) nie posiada żadnego pierwiastka, a wszystkie trzy funkcye $\varphi(t)$, $\psi(t)$, $\sigma(t)$ są w każdym punkcie wewnątrz takiego obszaru holomorficzne. Takie obszary nazywać będziemy regularnemi i uważając pewien obszar regularny E, określimy dla niego wielkości zmienne s i K na podstawie równań:

$$\frac{ds}{dt} = \varepsilon \sqrt{\varphi'^2(t) + \psi'^2(t) + \sigma'^2(t)}, \tag{25}$$

$$K = \frac{\varepsilon \sqrt{\begin{vmatrix} \varphi'(t), & \psi'(t), & \sigma'(t) \\ \varphi''(t), & \psi''(t), & \sigma''(t) \end{vmatrix}^2}}{\left(\varepsilon \sqrt{\varphi'^2(t) + \psi'^2(t) + \sigma'^2(t)}\right)^3}, \tag{26}$$

gdzie po prawej stronie znajdują się pewne określone wartości kwadratowych pierwiastków. Wartości te, a więc i prawe strony tych równań są wewnątrz obszaru E funkcyami holomorficznemi. Część krzywej, odpowiadającej regularnemu obszarowi E, dla której długość łuku s określona jest równaniem (25), a krzywizna K równaniem (26) możemy uważać jako pewien odrębny utwór geometryczny, dla którego przyjmiemy oznaczenie $\vec{L}$.

Dla utworu tego określimy wzorami:

$$\alpha = \frac{d\varphi(t)}{ds}, \ \beta = \frac{d\psi(t)}{ds}, \ \gamma = \frac{d\sigma(t)}{ds},$$

dostawy kierunkowe ramienia stycznej, które nazywać będziemy ramieniem dodatniem. Wówczas l, m, n obliczone ze wzorów:

$$\frac{d\alpha}{ds} = Kl, \ \frac{d\beta}{ds} = Km, \ \frac{d\gamma}{ds} = Kn \tag{27}$$

będą dostawami kierunkowemi dodatniego ramienia normalnej głównej. Jeżeli następnie wyznaczymy λ, μ, ν na podstawie formuł:

$$\lambda = \beta n - \gamma m, \ \mu = \gamma l - \alpha n, \ \nu = \alpha m - \beta l,$$

to będą one dostawami kierunkowemi dodatniego ramienia binormalnej i mieć będziemy dalsze związki:

$$(28) \quad \frac{dl}{ds} = - K\alpha - S\lambda, \ \frac{dm}{ds} = - K\beta - S\mu, \ \frac{dn}{ds} = - K\gamma - S\nu$$

oraz związki:

$$(29) \quad \frac{d\lambda}{ds} = Sl, \ \frac{d\mu}{ds} = Sm, \ \frac{d\nu}{ds} = Sn,$$

w których zastosowane jest oznaczenie:

$$S = - \frac{\begin{vmatrix} \varphi'(t), & \psi'(t), & \sigma'(t) \\ \varphi''(t), & \psi''(t), & \sigma''(t) \\ \varphi'''(t), & \psi'''(t), & \sigma'''(t) \end{vmatrix}}{\begin{Vmatrix} \varphi'(t), & \psi'(t), & \sigma'(t) \\ \varphi''(t), & \psi''(t), & \sigma''(t) \end{Vmatrix}^2}$$

Wielkość ta nazywa się drugą krzywizną lub skręceniem linii krzywej. Wzory (27), (28) i (29) noszą nazwę wzorów Frenet'a. Zauważmy, że S wyraża się wymiernie przez pochodne funkcyj $\varphi(t)$, $\psi(t)$, $\sigma(t)$, a więc określa się niezależnie od wszelkich założeń co do wartości pierwiastków we wzorach (25) i (26). Przytem S jest w każdym obszarze regularnym funkcyą holomorficzną. Wielkości α, β, γ, l, m, n, λ, μ ν są zależne od poprzednich założeń co do pierwiastków we wzorach (25) i (26), ale są również w każdym regularnym obszarze E holomorficzne.

Uważajmy teraz dwie linie krzywe, z których dla jednej mamy równania:

$$(30) \quad x_1 = \varphi_1(t_1), \ y_1 = \psi_1(t_1), \ z_2 = \sigma_1(t_1),$$

a dla drugiej równania:

$$(31) \quad x_2 = \varphi_2(t_2), \ y_2 = \psi_2(t_2), \ z_2 = \sigma_2(t_2).$$

Litery ze wskaźnikami mają znaczenie analogiczne do poprzednich liter bez wskaźników, do funkcyj zaś stosują się poprzednie zało-

żenia. Zajmiemy się zadaniem wyznaczenia pomiędzy parametrami t_1 i t_2 takiej zależności, przy której z układu równań:

$$(32)\qquad \begin{cases} \varphi_2(t_2) = a + a_1\varphi_1(t_1) + a_2\psi_1(t_1) + \zeta a_3\sigma_1(t), \\ \psi_2(t_2) = b + b_1\varphi_1(t_1) + b_2\psi_1(t_1) + \zeta b_3\sigma_1(t_1), \\ \sigma_2(t_2) = c + c_1\psi_1(t_1) + b_2\psi_1(t_1) + \zeta c_3\sigma_1(t_1), \end{cases}$$

gdzie ζ równa się bądź $+1$, bądź -1, wynikają na a, b, c oraz na a_i, b_i, c_i $(i = 1, 2, 3)$ wartości stałe, spełniające związki:

$$(33)\qquad a_i a_k + b_i b_k + c_i c_k = \varepsilon_{ik},$$

(w których ε_{ik} jest równe O dla $i \neq k$, a równe $+1$ dla $i = k$), a nadto także związek:

$$(34)\qquad \begin{vmatrix} a_1 & b_1 & c_1 \\ a_2 & b_2 & c_2 \\ a_3 & b_3 & c_3 \end{vmatrix} = +1.$$

Jeżeli istnieje rzeczona zależność pomiędzy parametrami t_1 i t_2, to na płaszczyznach zmiennych zespolonych można wybrać takie regularne obszary E_1 i E_2, że obszary te są odwzorowane jeden na drugi jedno-jednowartościowo oraz, że t_2 jest holomorficzną funkcyą zmiennej t_1 wewnątrz obszaru E_1, a t_1 jest holomorficzną funkcyą zmiennej t_2 wewnątrz obszaru E_2. Następnie możemy określić w obszarze E_1 utwór $\vec{L}_1$, przyjmując równania:

$$(35)\qquad \frac{ds_1}{dt_1} = \varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1) + \sigma_1'^2(t_1)},$$

$$(36)\qquad K_1 = \frac{\varepsilon_1 \sqrt{\begin{vmatrix} \varphi_1'(t_1), & \psi_1'(t_1), & \sigma_1'(t_1) \\ \varphi_1''(t_1), & \psi_1''(t_1), & \sigma_1''(t_1) \end{vmatrix}^2}}{\left(\varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1) + \sigma_1'^2(t_1)}\right)^3}$$

a w obszarze E_2 utwór $\vec{L}_2$, przyjmując równania:

$$(37)\qquad \frac{ds_2}{dt_2} = \varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t) + \sigma_2'^2(t_2)},$$

$$(38)\qquad K_2 = \frac{\varepsilon_2 \sqrt{\begin{vmatrix} \varphi_2'(t_2), & \psi_2'(t_2), & \sigma_2'(t_2) \\ \varphi_2''(t_2), & \psi_2''(t_2), & \sigma_2''(t_2) \end{vmatrix}^2}}{\left(\varepsilon_1 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2) + \sigma_2'^2(t_2)}\right)^3}.$$

I jedne i drugie z tych równań mają we wszystkich szczegółach znaczenie analogiczne do równań (25) i (26).

Z drugiej strony, jeżeli istnieje zależność pomiędzy t_1 i t_2, spełniająca w sposób wskazany równania (32), to z równań tych wynika:

$$[\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2) + \sigma_2'^2(t_2)]\, dt_2^2 = [\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1) + \sigma_1'^2(t_1)]\, dt_1^2,$$

t. j. mamy:

$$ds_2^2 = ds_1^2.$$

Z tej ostatniej równości otrzymujemy:

$$(39) \qquad ds_2 = \eta ds_1.$$

gdzie $\eta = \pm 1$ i na mocy równań (35), (37) i (39) mamy dla obszarów E_1 i E_2 równość:

$$\eta = \frac{\varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2) + \sigma_2'^2(t_2)}}{\varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1) + \sigma_1'^2(t_1)}} \frac{dt_2}{dt_1},$$

w której po prawej stronie znajduje się holomorficzna funkcya zmiennej t_1 wewnątrz obszaru E_1. To znaczy, że dla naszych obszarów E_1 i E_2 przy założeniu istnienia rzeczonej zależności wielkość η winna mieć jedną określoną z wartości ± 1.

Przymijmy następnie dla utworów $\vec{L_1}$ i $\vec{L_2}$ wszystkie inne oznaczenia analogiczne do tych, które mieliśmy dla utworu $\vec{L}$. Wówczas dla utworów $\vec{L_1}$ i $\vec{L_2}$ będą także miały miejsce odpowiednie wzory Frenet'a.

Różniczkując równania (32) względem s_1, przy uwzględnieniu związku (39), otrzymujemy:

$$(40) \qquad \begin{cases} \eta\alpha_2 = a_1\alpha_1 + a_2\beta_1 + \zeta a_3\gamma_1, \\ \eta\beta_2 = b_1\alpha_1 + b_2\beta_1 + \zeta b_3\gamma_1, \\ \eta\gamma_2 = c_1\alpha_1 + c_1\beta_1 + \zeta c_3\gamma_1. \end{cases}$$

a różniczkując te ostatnie formuły względem s_1 przy uwzględnieniu związku (39) oraz odpowiednich wzorów Frenet'a mamy:

$$K_2 l_2 = K_1(a_1 l_1 + a_2 m_2 + \zeta a_3 n_1),$$
$$K_2 m_2 = K_1(b_1 l_1 + b_2 m_2 + \zeta b_3 n_1),$$
$$K_2 n_2 = K_1(c_1 l_1 + c_2 m_2 + \zeta c_3 n_1).$$

Podnosząc obie strony tych równości do kwadratu i dodając otrzymujemy:

(41) $$K_2^2 = K_1^2,$$

skąd wynika:

(42) $$K_2 = \bar{\eta} K_1,$$

gdzie $\bar{\eta} = \pm 1$ i ma dla całości odpowiadających sobie obszarów E_1 i E_2 jedną i tę samą wartość, bo iloraz funkcyj K_2 i K_1 jest wewnątrz każdego z tych obszarów funkcyą holomorficzną. Dochodzimy zatem do równań dla dodatnich ramion normalnych głównych:

(43) $$\begin{cases} \bar{\eta} l_2 = a_1 l_1 + a_2 m_1 + \zeta a_3 n_1, \\ \bar{\eta} m_2 = b_1 l_1 + b_2 m_1 + \zeta b_3 n_1, \\ \bar{\eta} n_2 = c_1 l_1 + c_2 m_1 + \zeta c_3 n_1, \end{cases}$$

a na mocy związków (40) i (43) otrzymujemy dla dodatnich ramion binormalnych równania:

(44) $$\begin{cases} \zeta\eta\bar{\eta}\lambda_2 = a_1\lambda_1 + a_2\mu_1 + \zeta a_3\nu_1, \\ \zeta\eta\bar{\eta}\mu_2 = b_1\lambda_1 + b_2\mu_1 + \zeta b_3\nu_1, \\ \zeta\eta\bar{\eta}\nu_2 = c_1\lambda_1 + c_2\mu_1 + \zeta c_3\nu_1. \end{cases}$$

Przypuśćmy teraz, że K_1 i K_2 nie są wielkościami stałemi, a że równanie (42) określa jedną lub więcej zależności pomiędzy t_1 i t_2. Niechaj będzie taka zależność i przypuśćmy, że na mocy tej zależności pewne obszary regularne E_1 i E_2 odpowiadają sobie jedno-jednowartościowo, a nadto t_2 jest w obszarze E_1 holomorficzną funkcyą t_1, i t_1 jest w obszarze E_2 holomorficzną funkcyą t_2. Dla rzeczonej zależności możemy z równań (32), (40), (43) i (44) wyznaczyć wszystkie wielkości a, b, c, a_i, b_i, c_i $(i = 1, 2, 3)$ i wielkości te spełniać będą związki (33) i (34). Chodzi teraz o to, żeby zbadać, przy spełnieniu jakich warunków wielkości te będą stałe.

W tym celu wyprowadzimy pewien szereg ogólnych formuł. Mianowicie różniczkować będziemy każde pierwsze z równań (32), (40), (43) i (44) względem t_1, uważając t_2 jako funkcyę zmiennej t_1, ale pozostawiając tę funkcyę na razie jako nieokreśloną. Przy tem różniczkowaniu traktować będziemy wielkości: a, b, c, a_i, b_i, c_i $(i = 1, 2, 3)$ jako funkcye zmiennej t_1. Wówczas otrzymamy równania:

$$\varphi_2'(t_2)\frac{dt_2}{dt_1}=a_1\varphi_1'(t_1)+a_2\psi_1'(t_1)+\zeta a_3\sigma_1'(t_1)+\frac{da}{dt_1}+\varphi_1(t_1)\frac{da_1}{dt_1}+$$
$$+\psi_1(t_1)\frac{da_2}{dt_1}+\zeta\sigma_1(t_1)\frac{da_3}{dt_1},$$

$$\eta\frac{d\alpha_2}{dt_2}\frac{dt_3}{dt_1}=a_1\frac{d\alpha_1}{dt_1}+a_2\frac{d\beta_1}{dt_1}+\zeta a_3\frac{d\gamma_1}{dt_1}+\alpha_1\frac{da_1}{dt_1}+\beta_1\frac{da_2}{dt_1}+\zeta\gamma_1\frac{da_3}{dt_1},$$

$$\bar{\eta}\frac{dl_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}=a_1\frac{dl_1}{dt_1}+a_2\frac{dm_1}{dt_1}+\zeta a_3\frac{dn_1}{dt_1}+l_1\frac{da_1}{dt_1}+m_1\frac{da_2}{dt_1}+\zeta n_1\frac{da_3}{dt_1},$$

$$\zeta\eta\bar{\eta}\frac{d\lambda_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_2}=a_1\frac{d\lambda_1}{dt_1}+a_2\frac{d\mu_1}{dt_1}+\zeta a_3\frac{d\nu_1}{dt_1}+\lambda_1\frac{da_1}{dt_1}+\mu_1\frac{da_2}{dt_1}+\zeta\nu_1\frac{da_3}{dt_1},$$

a jeżeli do różniczkowań, odnoszących się do jednej i do drugiej krzywej z osobna, zastosujemy odpowiednie wzory Frenet'a, a nadto uwzględnimy, że zachodzą równania (40), (43) i (44), to mieć będziemy:

$$\frac{da}{dt_1}+\varphi_1(t_1)\frac{da_1}{dt_1}+\psi_1(t_1)\frac{da_2}{dt_1}+\sigma_1(t_1)\frac{da_3}{dt_1}=\eta\alpha_2\left(\eta\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}-\frac{ds_1}{dt_1}\right),$$

$$\alpha_1\frac{da_1}{dt_1}+\beta_1\frac{da_2}{dt_1}+\gamma_1\frac{da_3}{dt_1}=\eta l_2\left(\eta K_2\eta\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}-K_1\frac{ds_1}{dt_1}\right),$$

$$l_1\frac{da_1}{dt_1}+m_1\frac{da_2}{dt_1}+n_1\frac{da_3}{dt_1}=$$
$$=-\eta\alpha_2\left(\bar{\eta}K_2\eta\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}-K_1\frac{ds_1}{dt_2}\right)-\zeta\eta\bar{\eta}\lambda_2\left(\zeta S_2\eta\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}-S_1\frac{ds_1}{dt_1}\right),$$

$$\lambda_1\frac{da_1}{dt_1}+\mu_1\frac{da_2}{dt_1}+\nu_1\frac{da_3}{dt_1}=\eta l_2\left(\zeta S_2\eta\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}-S_1\frac{ds_1}{dt_1}\right).$$

Widoczna nadto, że analogiczne równania zachodzić będą dla wielkości b, c, b_i, c_i $(i=1, 2, 3)$. Z tych wszystkich równań wnosimy, że z równań (32), (40), (43) i (44) wtedy i tylko wtedy wynikają na a, b, c, a_i, b_i, c_i $(i=1, 2, 3)$ wartości stałe, gdy jednocześnie zachodzą równości:

(42) $$K_2=\eta K_1$$

(45) $$S_2=\zeta S_1,$$

(46) $$\frac{ds_2}{dt_2}\frac{dt_2}{dt_1}=\eta\frac{ds_1}{dt_1}.$$

Wracając teraz do poprzedniego założenia, że krzywizny K_1 i K_2 nie są wielkościami stałemi i że równość (42) określa zależność pomiędzy zmiennemi t_1 i t_2, mieć będziemy dla pochodnej $\frac{dt_2}{dt_1}$ równanie:

$$\frac{dK_2}{dt_2}\,\frac{dt_2}{dt_1} = \bar{\eta}\,\frac{dK_1}{ds_1}.$$

Widzimy więc, że przy poprzedniem założeniu wtedy i tylko wtedy zachodzi związek (46), gdy mamy:

$$\frac{dK_2}{ds_2} = \eta\bar{\eta}\,\frac{dK_1}{ds_1}. \tag{47}$$

Zatem warunki konieczne i wystarczające, żeby nasze zadanie miało rozwiązanie dla zależności, spełniającej związek (42), polegają na tem, żeby dla tejże zależności spełnione były jeszcze związki (45) i (47).

Jeżeli zaś krzywizny K_1 i K_2 są stałe i związek (42) jest spełniony tożsamościowo, a obie wielkości S_1 i S_2 nie są stałe i związek (45) określa jedną lub więcej zależności pomiędzy t_1 i t_2, to aby dla pewnej takiej zależności rozwiązanie zadania było możliwe, musi być na mocy związku (46) także spełnione jeszcze równanie:

$$\frac{dS_2}{ds_2} = \eta\zeta\,\frac{dS_1}{ds_1}. \tag{48}$$

W jednych i drugich z powyższych warunków zachodzą wielkości ζ, η, $\bar{\eta}$, z których każda jest równa $+1$ albo -1. Jeżeli $\zeta = +1$, $\eta = +1$ to powiedzieć możemy, że zachodzi nakładalność równokierunkowa utworów $\vec{L}_1$ i $\vec{L}_2$; jeżeli $\zeta = +1$, $\eta = -1$, to ma miejsce nakładalność różnokierunkowa. Przy wartościach $\zeta = -1$, $\eta = +1$ mamy symetrye równokierunkową, a przy wartościach $\zeta = -1$, $\eta = -1$ symetrye różnokierunkową. Przytem może być jeszcze we wszystkich tych przypadkach albo $\bar{\eta} = +1$, albo też $\bar{\eta} = -1$; wtedy możemy powiedzieć, że dla utworów $\vec{L}_1$ i $\vec{L}_2$ krzywizny są w pierwszym przypadku zdefiniowane równoznacznie, a w drugim różnoznacznie.

Jeżeliby nam chodziło tylko o to, przy spełnieniu jakich warunków mamy nakładalność względnie symetryę, a nie o to, jaką ona jest w stosunku do znaków η i $\bar{\eta}$, to przy zmiennych krzywiznach mielibyśmy warunki:

$$(49) \qquad K_2^2 = K_1^2, \quad S_2 = \zeta S_1, \quad \left(\frac{dK_2}{ds_2}\right)^2 = \left(\frac{dK_1}{ds_1}\right)^2,$$

a przy stałych krzywiznach i zmiennych skręceniach warunki:

$$(50) \qquad K_2^2 = K_1^2, \quad S_2 = \zeta S_1, \quad \left(\frac{dS_2}{ds_2}\right)^2 = \left(\frac{dS_1}{ds_1}\right)^2.$$

Warunki te wymiernie zależą od pochodnych funkcyj, figurujących w równaniach (30) i (31) i są koniecznymi i wystarczającymi warunkami nakładalności względnie symetryi krzywych, określonych równaniami (30) i (31). Jeżelibyśmy zaś dla pewnej zależności pomiędzy t_1 i t_2, warunki te spełniającej, określili jedno-jednowartościowo odpowiadające sobie obszary regularne E_1 i E_2 i dla tych obszarów zdefiniowali utwory $\overrightarrow{L_1}$ i $\overrightarrow{L_2}$, to przy warunkach (49) wystarczyłoby dla określenia wartości η i η wyznaczyć stosunki $K_2 : K_1$ i $\frac{dK_2}{ds_2} : \frac{dK_1}{ds_1}$ dla takiej pary odpowiadających sobie wartości t_1 i t_2, dla której ostatnio przytoczone pochodne nie są zerami; przy warunkach zaś (50) należałoby takie same określenie zastosować do stosunków $K_2 : K_1$ i $\frac{dS_2}{ds_2} : \frac{dS_1}{ds_1}$.

Jeżeli zarówno K_1 i S_1 jak K_2 i S_2 są wielkościami stałemi to dla możności rozwiązania zadania muszą zachodzić równości (42) i (45). Gdy one zachodzą, wówczas należy odpowiedniość określić tak, żeby był spełniony związek (46), t. j. związek:

$$\frac{ds_2}{dt_2} dt_2 = \eta \frac{ds_1}{dt_1} dt_1,$$

który na mocy formuł (35) i (37) można napisać w formie:

$$\varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2) + \sigma_2'^2(t_2)}\, dt_2 = \eta \varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_1) + \psi_1'^2(t_1) + \sigma_1'^2(t_1)}\, dt_1,$$

skąd przez kwadraturę otrzymujemy zależność:

$$\int \varepsilon_2 \sqrt{\varphi_2'^2(t_2) + \psi_2'^2(t_2) + \sigma_2'^2(t_2)}\, dt_2 =$$

$$= \int \eta \varepsilon_1 \sqrt{\varphi_1'^2(t_2) + \psi_1'^2(t_2) + \sigma_1'^2(t_2)}\, dt_1 + \text{const.},$$

zawierającą stałą dowolną. Zależność ta daje rozwiązanie naszego

zadania. Przypadku tego, odnoszącego się do linij śrubowych i kół bliżej rozważać tu nie będziemy.

§ 4. W rozważaniach, które przeprowadziliśmy w dwóch §§ poprzedzających, stosowaliśmy przy pewnych założeniach teoretyczno-funkcyjnych elementarne prawidła rachunku algebraicznego i nieskończonościowego. Przedmiot wszakże, który traktowaliśmy, może być ujęty bardzo od naszego przedstawienia odmiennie, mianowicie jako zastosowanie pewnej obszernej teoryi — teoryi niezmienników różniczkowych ciągłych grup przekształceń.

Równania:

$$(51) \qquad \begin{aligned} x_2 &= a + x_1 \cos\alpha - \zeta y_1 \sin\alpha, \\ y_2 &= b + x_1 \sin\alpha + \zeta y_1 \cos\alpha, \end{aligned} \quad (\zeta = \pm 1)$$

przedstawiają przy dowolnych wartościach parametrów a, b i α wszystkie przemieszczenia płaszczyzny samej w sobie i jej odwzorowania symetryczne. Równania te określają nieskończony zbiór przekształceń zmiennych x_1, y_1 na zmienne x_2, y_2, który ma tę własność, że dwa dowolne przekształcenia zbioru, wykonane jedno po drugiem, dają przekształcenie także do zbioru należące. Zbiory, posiadające tę własność, nazywają się grupami. Równania (51) określają więc pewną grupę, mianowicie t. zw. grupę ruchów euklidesowych płaszczyzny i jej odwzorowań symetrycznych, a zadanie, które traktowaliśmy w § 2, można scharakteryzować jako badanie, czy krzywe (6) i (7) mogą przejść jedna w drugą przez jakiekolwiek przekształcenie tej grupy. Doszliśmy do rozwiązania tego zadania przez uważanie wielkości:

$$K \text{ i } \frac{dK}{ds},$$

które są niezmiennikami różniczkowymi tej grupy.

Podobnież równania:

$$(52) \qquad \begin{aligned} x_2 &= a + a_1 x_1 + a_2 y_1 + \zeta a_3 z_1, \\ y_2 &= b + b_1 x_1 + b_2 y_1 + \zeta b_3 z_2, \\ z_2 &= c + c_1 x_1 + c_2 y_1 + \zeta c_3 z_1 \end{aligned} \quad (\zeta = \pm 1)$$

przedstawiają przy stałych a. b, c, a_i, b_i, c_i $(i = 1, 2, 3)$, spełniających równania:

$$a_i a_k + b_i b_k + c_i c_k = \varepsilon_{ik} \ (\varepsilon_{ii} = 1; \ \varepsilon_{ik} = 0 \text{ dla } i \neq k)$$

$$\begin{vmatrix} a_1 & b_1 & c_1 \\ a_2 & b_2 & c_2 \\ a_3 & b_3 & c_3 \end{vmatrix} = +1$$

a zresztą dowolnych, grupę przemieszczeń trzywymiarowej przestrzeni samej w sobie i odwzorowań symetrycznych. Zadanie. które traktowaliśmy w § 3 można określić jako badanie. czy krzywe (30) i (31) mogą przejść jedna w drugą zapomocą jakiegokolwiek przekształcenia tej grupy. Rozwiązanie tego zadania uzyskaliśmy przez uważanie wielkości:

$$K, \frac{dK}{ds}, S \text{ i } \frac{dS}{ds},$$

które są niezmiennikami różniczkowymi tej grupy.

Zadania powyższe możemy jeszcze scharakteryzować krótko, mówiąc, że badaliśmy, przy spełnieniu jakich warunków krzywe (6) i (7) są równoważne wewnątrz grupy (51), a krzywe (30) i (31) wewnątrz grupy (52). W ten sposób zadania te są szczególnymi przypadkami ogólnego problemu o równoważności utworów analitycznych lub geometrycznych. Problem ten można sformułować jak następuje: Dana jest grupa przekształceń, a zarazem dane są w zmiennych pierwotnych i przekształconych dwa utwory analityczne, czy też geometryczne; chodzi o to, by poznać, czy od jednego z nich można przejść do drugiego zapomocą jakiegokolwiek przekształcenia tej grupy oraz o to, by w tym ostatnim przypadku wyznaczyć przekształcenia przejście to uskuteczniające.

Ale można spytać się, jaki ma cel stosowanie ogólnej teoryi, opierającej się na różnych odrębnych pojęciach, skoro jak to w powyższych rozważaniach widzieliśmy, drogą elementarnego rozumowania uzyskać można było rozwiązanie. Teorya grup przekształceń uzasadnia ogólnie, że rozwiązanie obraca się około wyrażeń, posiadających cechy niezmienności i pozwala a priori przewidywać różne szczegóły tego rozwiązania; teorya ta zajmuje się klasyfikacyą grup i studyowaniem własności różnych klas i przez to daje dla odpowiednich problemów równoważności znacznej wartości podstawy, bez których w bardziej skomplikowanych zagadnieniach trudno byłoby sobie radzić.

Taką teoryą ogólną zajmował się Sophus Lie i można ją poznać przedewszystkiem z jego dzieł. W szczególności nadaje się do tego książka: »Vorlesungen über kontinuierliche Gruppen mit

geometrischen und anderen Anwendungen« bearbeitet und herausgegeben von Dr. Georg Scheffers, Lipsk 1893.

W książce tej rozwiązanie problemu równoważności traktuje się jako zastosowanie niezmienników różniczkowych. W niej też rozwiązane są tą metodą zadania, o których mówiliśmy w §§ 2 i 3. Ale jak już wspomnieliśmy w § 1 rozwiązanie to u Lie'go nie jest dostatecznie ściśle sformułowane. Pozatem i ogólna metoda Lie'go nie jest wolna od pewnych braków, jak to wykazał E. Study w artykułach wyżej cytowanych. W każdym razie ogólne teorye Lie'go dają bardzo ważne dyrektywy, w jakich przy różnych badaniach specyalnych należy postępować kierunkach. W tem znaczeniu są one bogatem źródłem obecnych i przyszłych dociekań i zastosowań.

Nie możemy tu bliżej zająć się ogólnymi wywodami, odnoszącymi się do teoryi niezmienników różniczkowych, ale, żeby dać czytelnikowi wyobrażenie o obszerności i znaczeniu tej dziedziny, wymienimy pewne działy nauki, w których niezmienniki różniczkowe mają liczne zastosowania.

W dziedzinie analizy najważniejszem zastosowaniem są teorye przekształcania równań różniczkowych zwyczajnych i cząstkowych. Postęp w zakresie tych teoryj uważał S. Lie za najważniejszy cel naukowy swoich metod. Metody te objęły swemi ogólnemi twierdzeniami wszystkie poprzednio znane teorye formalne całkowania równań różniczkowych, doprowadziły do wielu rdzennie nowych rezultatów oraz wywołały szereg nowych poszukiwań w tej dziedzinie. Po śmierci Lie'go badania tej kategoryi prowadzone były przez ostatnich lat kilkanaście głównie we Francyi.

Znaczenie pojęcia grupy i niezmiennika różniczkowego w geometryi rozważone jest szczegółowo w artykule Gino Fano p. t. »Kontinnierliche geometrische Gruppen. Die Gruppentheorie als geometrisches Einteilungsprinzip«, ogłoszonym w tomie III 1 str. 289—388 Encyklopedyi nauk matematycznych, wychodzącej w Lipsku nakładem firmy B. G. Teubner. Odróżnienie własności metrycznych i rzutowych jest jednym z pierwszych tematów tego artykułu. Pominąć tu musimy bliższe rozważanie tych tematów, w których geometrya traktowana jest poniekąd jako zastosowanie ogólnej teoryi przekształceń. Zakończymy tylko uwagą, że te punkty widzenia mogą być stosowane także do badania pod pewnymi względami równań, które spotykają się w kinematyce ciał sztywnych, kinema-

tyce ciągłych ośrodków i w dynamice i że te dziedziny znacznie mniej uwzględniane były w zakresie rzeczonej teoryi w literaturze matematycznej. To tłómaczy się większą komplikacyą zagadnień do dziedzin tych należących; jeżeli w badaniu stosunkowo mniej zawiłych utworów geometrycznych spotykamy się z różnemi trudnościami, tem więcej ich być musi w bardziej zawiłych dziedzinach mechaniki.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 16 06 20 03 013 7